

STEPHEN KING

MARZENIA

I

KOSZMARY



STEPHEN KING

MARZENIA

I

KOSZMARY

Z angielskiego przełożyli
MICHAŁ WROCZYŃSKI
WITOLD NOWAKOWSKI



2012. Wydanie elektroniczne

Spis treści

Wstęp: Mit, przekonanie, wiara oraz „Wierzcie w to lub nie!” Ripleya

Cadillac Dolana

Koniec całego bałaganu

Udręka małych dzieci

Nocny Latawiec

1

2

3

4

5

6

7

8

9

Popsy

To żyje w nas

Gryziszczeka

Dedykacja

Palec

Trampki

Mają tu kapekę jak wszyscy diabli

Urodzi się w domu

Pora deszczowa

Mój śliczny kucyk

Przepraszam, to nie pomyłka

AKT I

AKT II

Ludzie Godziny Dziesiątej

1

2

3

4

Crouch End

Dom na Maple Street

Piąta ćwiartka

Sprawa doktora

Ostatnia sprawa Umneya

I. Wieści od Peorii

II. Kaszel Vernona

III. O malarzach i pesos

IV. Ostatni klient Umneya

V. Spotkanie z Bogiem

VI. Ostatnia sprawa Umneya

VII. Druga strona światła

Pałka niżej!

Brooklyński sierpień

Noty

Żebrak i diament

Przypisy

Wstęp:

Mit, przekonanie, wiara oraz „Wierzcie w to lub nie!” Ripleya

Kiedy byłem dzieckiem, wierzyłem we wszystko, co mi mówiono, we wszystko, co czytałem, i w każdą rzecz, jaką tworzyła moja nadmiernie wybujała wyobraźnia. Stało się to powodem wielu bezsennych nocy, ale również nadawało otaczającemu mnie światu barw i wyrazu, których nie miałby z pewnością, gdybym całe noce spędzał pogrążony w kamiennym śnie. Już wtedy zdawałem sobie sprawę z tego, że istnieją ludzie – tak, naprawdę bardzo wielu ludzi – których wyobraźnia pozostaje kompletnie jałowa, odrętwiała, przytępiona, i w rezultacie stan ich umysłów kojarzy się z przypadłością, na jaką cierpią daltoniści. Zawsze takim osobom współczułem i nawet do głowy mi nie przyszło (w każdym razie nie wtedy), że ludzie ci z kolei współczują mnie, a bywa, iż mną gardzą, i to nie dlatego, że dręczą mnie różne irracjonalne lęki, ale głównie z tego względu, że zawsze cierpiałem na głęboką i nieuleczalną łatwowierność. „Ten chłopiec – musiał myśleć ten czy ów (wiem, że tak również uważała moja matka) – kupi most brooklyński; i to nie raz. Będzie go nieustannie kupował przez całe życie”.

Podejrzewam, że tkwiło w tym stwierdzeniu ziarno prawdy, a szczerze mówiąc, sądzę, iż tkwi do dzisiaj. Moja żona z upodobaniem rozpowiada na lewo i prawo, że w wyborach prezydenckich po raz pierwszy wziąłem udział, mając dwadzieścia jeden lat, i głosowałem na Richarda Nixona. „Nixon obiecywał, że zakończy wojnę w Wietnamie – ciągnie zazwyczaj z wesołym błyskiem w oku moja żona – a Steve mu uwierzył!”.

To prawda, Steve mu uwierzył. Podobnie jak w ciągu swego czterdziestopięcioletniego, często ekscentrycznego życia wierzył w wiele innych rzeczy. Na przykład, jako ostatni z mieszkających w sąsiedztwie dzieciaków zdecydował, że ogromna liczba ulicznych świętych Mikołajów oznacza, że prawdziwego świętego Mikołaja nie ma (do dziś nie widzę żadnej logiki w twierdzeniu, że skoro istnieje milion uczniów, to nauczyciel nie istnieje). Nigdy nie kwestionowałem zapewnień mego wuja Orena, że można metalowym śledziem od namiotu oderznąć komuś cięć (trzeba tylko zrobić to w chwili, gdy słońce stoi w zenicie), ani też stwierdzenia jego żony, że za każdym razem, kiedy mam dreszcze, oznacza to, że po miejscu, w którym pewnego dnia wykopią mi grób, spaceruję. Jeśli wziąć pod uwagę przebieg całego mego dotychczasowego życia, oznacza to, że płytą grobową zostanę przykryty za stodołą ciotki Rhody w Goose Wallow w stanie Wyoming.

Wierzyłem również we wszystko, co usłyszałem na szkolnym podwórku. Z równą łatwością przelykałem maleńkie niczym piskorzki kłamstewka i gigantyczne łgarstwa rozmiarów wieloryba. Pewne dziecko oświadczyło mi z absolutnym przekonaniem, że jeśli położę na szynach kolejowych dziesięciocentówkę, to wykolei się na niej pierwszy przejeżdżający pociąg. Inne dziecko poinformowało mnie, że jeśli zostawię na szynie tę monetę, to kolejny pociąg kompletnie ją sprasuje (tak dokładnie powiedziało: „kompletnie ją sprasuje”) i jeśli zdejmę później ten pieniążek z szyny, będzie on giętki, prawie przezroczysty i duży jak srebrna dolarówka. Świącie wierzyłem w te rewelacje: że dziesięciocentówki są kompletnie sprasowane, a poza tym wyrzucają z szyn pociągi, które je sprasowały.

Inne fascynujące historie, które usłyszałem na szkolnym dziedzińcu w Central School w Stratford w stanie Connecticut oraz w szkole podstawowej w Durham w Maine, wiążą się z tak różnorodnymi tematami jak piłeczki do golfa (zatrute i skorodowane od środka), poronienia (dzieci, które, choć rodzą się żywe, są tak potwornie zdeformowane, że muszą zostać zabite przez pewnych osobników ze służby zdrowia, określanych złowieszczym mianem „pielęgniarek specjalnych”), czarne koty (jeśli przebiegnie ci drogę, musisz natychmiast skrzyżo-

wać palce i odpędzić zły urok, bo w przeciwnym razie prawie na pewno do końca dnia umrzesz), pęknięcia w płytach chodnikowych. Nie muszę zapewne wyjaśniać niebezpiecznego związku tych ostatnich z kręgosłupami kompletnie niewinnych matek.

Moim podstawowym źródłem cudownych i zadziwiających informacji w tamtych czasach była wydana przez oficynę Pocket Books w broszurowej oprawie kompilacja książki Ripleya *Ripley's Believe It or Not!* („Wierzcie w to lub nie!”). To od Ripleya dowiedziałem się, że można stworzyć potężny materiał wybuchowy, zeskrobując celuloide z odwrotnych stron kart do gry, a następnie upychając go w długiej rurce. Tą rurką wierci się w czaszce otwór i wtyka tam świecę, dzięki czemu czaszka staje się istotą ludzką, która widzi w nocy (pytanie, po co ktokolwiek miałby zrobić taką rzecz, przyszło mi do głowy dopiero znacznie później). Dowiedziałem się, że istnieją prawdziwi giganci (pewien mężczyzna miał dobrze ponad dwa i pół metra wzrostu), że istnieją krasnale (kobieta mająca zaledwie dwadzieścia osiem centymetrów wzrostu) i prawdziwe POTWORY ZBYT OKROPNE, ŻEBY JE OPISYWAĆ... z tym tylko, że Ripley opisał je z lubością i z najdrobniejszymi szczegółami, załączając przy tym zazwyczaj fotografię (gdybym nawet żył sto lat, nie zapomnę pewnego typu ze świecą wbitą w środek wygolonej czaszki).

Cała seria tych broszur stanowiła – w moim pojęciu – najbardziej zdumiewający przejaw bocznych torów, którymi toczy się świat. Nosilem te książeczki w tylnej kieszeni i wyciągałem je w deszczowe popołudnia, kiedy nie można było grać w baseball, a wszyscy mieli chwilowo dosyć „monopolu”. Czy wszystkie te bajkowe cuda i ludzkie potwory z książeczek Ripleya istnieją naprawdę? Teraz nie ma to większego znaczenia. Dla mnie istniały – w okresie między szóstym a jedenastym rokiem życia, a więc podczas krytycznych lat, kiedy formuje się wyobraźnia człowieka – co więcej były czymś aż nadto prawdziwym. Wierzyłem w nie równie mocno jak w dziesięciocentówkę, która wykoleja pociąg towarowy, czy w to, że wyciekające z piłeczki golfowej jakieś płynne paskudztwo może, jeśli człowiek nie będzie uważać, zżreć mu dłoń. Broszury „Wierzcie w to lub nie!” Ripleya po raz pierwszy pokazały mi, jak cienka linia oddzie-

la czasami bajkowy świat od codziennej szarzyzny. Pozwoliły zrozumieć, że zestawienie tych dwóch światów rzuca nieraz wiele światła na powszednie aspekty życia oraz na sporadyczne wybuchy zjawisk niesamowitych. Proszę pamiętać, że mówimy teraz o przekonaniu, a przekonanie stanowi kolebkę mitu. Zapytacie: a co z rzeczywistością? Jeśli o mnie chodzi, rzeczywistość może wziąć sobie dupę w troki i wejść nawet do komory akceleracyjnej. Nigdy nie przykładałem większej wagi do rzeczywistości, w każdym razie w swoim pisarstwie. Zbyt często rzeczywistość jest dla wyobraźni tym, czym dla wampira osinowy kołek.

Uważam, że tak naprawdę mit i wytwór wyobraźni to prawie to samo, a przekonanie stanowi dla nich nieustanne źródło energii. Przekonanie o czym? Szczerze mówiąc, nie sędzę, żeby miało to znaczenie. Jeden bóg czy wielu. Albo to, czy na dziesięciocentówce może wykoleić się pociąg towarowy.

Owe moje przekonania nie mają nic wspólnego z wiarą. Postawmy sprawę jasno. Wychowałem się w cieniu Kościoła Metodystów i odebrałem w dzieciństwie wystarczająco wiele fundamentalistycznych nauk, żeby wierzyć, iż takie przekonanie w najlepszym przypadku poczytane zostanie za zarozumiałstwo i arogancję, a w najgorszym za istne bluźnierstwo. Moje przekonanie o istnieniu tych wszystkich dziwacznych rzeczy brało się stąd, że zostałem ukształtowany tak, żeby w nie wierzyć. Inni ludzie zostają szybkobiegaczami, bo zostali ukształtowani na szybkobiegaczy; albo grają w baseball, ponieważ Bóg obdarzył ich dwumetrowym wzrostem; albo rozwiązują na tablicy skomplikowane równania matematyczne, gdyż są ukształtowani tak, iż dostrzegają miejsca, w których zazębiają się liczby.

Ale w którymś miejscu wkracza w to wszystko wiara i myślę, że to właśnie miejsce ma związek z ponownym robieniem wszystkiego od początku, obrabianiem ciągle od nowa tej samej rzeczy, jakkolwiek człowiek jest najgłębiej przekonany, że nie wykona już tego lepiej, że już wyczerpał temat i jeśli jeszcze mocniej naciśnie, nie będzie już miał dokąd iść; może zmierzać wyłącznie w dół. Nie masz nic do stracenia, podejmując pierwszą próbę rozbicia pinaty, ale podjęcie drugiej (i trzeciej... czwartej... i trzydziestej czwartej) zwiększa

tylko ryzyko porażki, depresji, a w przypadku twórcy opowiadań, który tworzy doskonale zdefiniowany gatunek, prowadzi do uprawiania parodii tego gatunku. Ale my tak właśnie robimy, w każdym razie większość z nas, i jest to bardzo trudne. Nie uwierzyłbym w to dwadzieścia lat temu, a nawet dziesięć, ale tak właśnie jest. To bardzo trudne. Bywają dni, kiedy myślę o tym starym procesorze mowy marki Wang, który przed pięcioma laty przestał reagować na elektryczność; ten z „Mrocznej połowy” działa wyłącznie na zasadzie wiary. No i dobrze; jeśli tylko wyświetla słowa na ekranie, to wszystko w porządku, prawda?

Pomysł każdego opowiadania zawartego w tej książce zrodził się w chwili przekonania, a każde napisałem w przyływie wiary, radości i optymizmu. Owe pozytywne uczucia mają jednak swoje mroczne analogie i lęk przed fiaskiem jest tutaj rzeczą najmniej istotną. Najgorszą rzeczą – w każdym razie dla mnie – jest wałkowanie spraw, o których powiedziałem już wszystko, co miałem do powiedzenia, a teraz wsłuchuję się jedynie w nieustanne trajkotanie własnego głosu, ponieważ cisza, jaka zapadłaby, gdybym przestał mówić, byłaby zbyt upiorna.

W ostatnich latach coraz trudniej wykrzesać z siebie wiarę niezbędną do napisania opowiadania; każdy chce stworzyć powieść, a każda z nich powinna liczyć cztery tysiące stron. Pokażna liczba krytyków zauważyła już to zjawisko i oceniają je niezbyt pochlebnie. W recenzjach każdej długiej powieści, jaką wydałem, od „Bastionu” poczynając, a na „Sklepiku z marzeniami” kończąc, oskarżano mnie o nabijanie tekstu. Czasami krytyka ta była uzasadniona; czasami sprowadzała się wyłącznie do gniewnego trajkotania mężczyzn i kobiet, którzy zaakceptowali literacką anoreksję ostatnich trzydziestu lat w sposób zadziwiająco (w każdym razie dla mnie) bezkrytyczny i jednomyślny. Ci samozwańcy diakoni w Świątyni Literatury Amerykańskiej Ostatnich Czasów wydają się wielkoduszność traktować podejrzliwie, strukturę z niechęcią, a jakkolwiek rozmach literacki z nieskrywaną nienawiścią. Wynik jest dziwaczny, wyjaławia klimat literacki, utwórki w rodzaju *Vox* pióra Nicholsona Bakera, w którym autor bezsensownie rozdziela włos na czworo, stają się obiektem zażartych dysku-

sji i analiz, a naprawdę ambitna amerykańska powieść Grega Matthews'a pod tytułem *Heart of the Country* zostaje kompletnie zignorowana.

Ale to sprawy marginalne – dygresja, w której chciałem wylać trochę swoich żalów. Przede wszystkim, czy istniał kiedykolwiek pisarz lub pisarka, którzy nie czuliby się źle potraktowani przez krytykę? Chciałem właśnie powiedzieć, i sam sobie bardzo niedelikatnie przerwałem, że w ostatnich latach z niejakim trudem przychodzi mi dopełnić owego aktu wiary niezbędnej do zamiany przekonania w coś konkretnego – to znaczy w opowiadanie, które ludzie naprawdę zechcą czytać.

„Cóż, więc nie pisz opowiadań” – mógłby ktoś powiedzieć (z tym, że zazwyczaj słyszę takie głosy tylko w swojej głowie, takie same jak te, które słyszała Jessie Burlingame w „Grze Geralda”). – „Ostatecznie nie potrzebujesz już, jak kiedyś, tyle pieniędzy”.

Tak, to prawda. Czasy, kiedy czek za cztery tysiące napisanych słów mógł w magiczny sposób załatwić sprawę penicyliny dla mego dzieciaka, który dostał zapalenia ucha, lub spłacenia długów, minęły już dawno. Ale logika jest rzeczą bardziej niż mylącą; jest niebezpieczna. Bo widzicie, tak naprawdę to wcale nie chodzi o te pieniądze, które przynoszą mi powieści. Gdyby chodziło tylko o pieniądze, odwiesiłbym mundur na kołek i poszedł pod prysznic... albo spędziłbym resztę życia na Karaibach, wygrzewając się w słońcu i obserwując, jak rosną mi paznokcie.

Ale bez względu na to, co sądzi o tym prasa brukowa, nie chodzi mi o pieniądze ani o nakłady, co z kolei zarzuca mi wielu aroganckich krytyków. Rzeczy podstawowe oparły się próbie czasu, a dla mnie główny cel nie uległ zmianie – moja praca ciągle cię bierze, Wytrwały Czytelniku, przejmuję nad tobą bez reszty kontrolę i mam nadzieję, że potrafi tak cię wystraszyć, że zasypiasz tylko przy zapalonym świetle. Ciągle po raz pierwszy dostrzegam coś niemożliwego... a następnie wysławiam to. Ciągle sprawiam, że zaczynasz wierzyć w to samo co ja – przynajmniej przez jakiś czas.

Nieczęsto o tym mówię, ponieważ jest to krępujące i brzmi pompatycznie, ale nadal uważam opowiadanie za najwspanialszą rzecz, za coś, co nie tylko

wzbogaca ludzi wewnątrz, ale też ich chroni. I nie mówię tego w sensie metaforycznym. Moim zdaniem dobre pisarstwo – dobre opowiadania – stanowi cudowny gejzer wyobraźni, a wyobraźnia, w moim pojęciu, ma przynosić ukojenie i ratunek w sytuacjach krańcowych, na gwałtownych wirażach życia, które, bez takiej pociechy, stałoby się nie do zniesienia. Mogę, naturalnie, mówić tylko za siebie i opierając się wyłącznie na własnym doświadczeniu, ale właśnie w moim przypadku wyobraźnia, która po wielekroć powodowała, iż w dzieciństwie nie mogłem ze strachu zasnąć, później, kiedy już wkroczyłem w wiek męski, przeprowadziła mnie bezpiecznie przez wiele straszliwych zakoli życiowych i mrocznych krajobrazów rzeczywistości. Jeśli opowiadania, które zrodziły się z tej właśnie wyobraźni, wywrą podobny skutek na niektórych czytelnikach, będę absolutnie szczęśliwy i absolutnie usatysfakcjonowany – poczuję radość, jakiej nie wzbudziłoby we mnie napisanie scenariusza do najbardziej kasowego filmu czy zawarcie umowy autorskiej opiewającej na miliony dolarów.

Niemniej opowiadanie jest niezwykle trudną i wymagającą formą literacką. Z tego też względu ogarnęła mnie duma – i zdumienie – kiedy w pewnej chwili skonstatowałem, że stworzyłem ich wystarczająco dużo, żeby złożyć z nich trzy zbiory. Uświadomienie tego faktu przyszło również w najbardziej odpowiedniej chwili, ponieważ jako dziecko wierzyłem święcie (wzięło się to zapewne z lektury „Wierzcie w to lub nie!” Ripleya), że ludzie co siedem lat kompletnie się odmieniają; cała tkanka, każdy mięsień, zastępowany zostaje nowymi komórkami.

„Marzenia i koszmary” ułożyłem latem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku, siedem lat po wydaniu mego poprzedniego zbioru pod tytułem *Skeleton Crew*, opublikowanego z kolei siedem lat po „Nocnej zmianie”, moim pierwszym tomie opowiadań. Ale najfajniejsza w tym wszystkim jest świadomość, że mimo iż wiara w przetworzenie pomysłu w rzeczywistość przychodzi mi z coraz większym trudem (jak wiadomo, z każdym dniem nasze mięśnie stają się starsze), to ciągle jest to jeszcze możliwe. Kolejną krzepiącą rzecz stanowi to, że ktoś ciągle jeszcze chce czytać te opowiadania – i to właśnie, Wytrwały Czytelniku, mnie zachwyca.

Najstarsze (moja wersja o morderczej piłeczce golfowej i potwornych poronieniach, jeśli sobie życzyacie) jest opowiadanie „To żyje w nas”, po raz pierwszy opublikowane w magazynie literackim Uniwersytetu Maine zatytułowanym *Marshroots...*, jakkolwiek dla potrzeb tego zbioru zostało w pewnym stopniu zmodyfikowane i zmienione tak, żeby wyraźniej pokazać, o co mi głównie chodziło – ostateczne spojrzenie wstecz na skazane na zagładę małe miasteczko Castle Rock. Najnowszym utworem jest „Ludzie godziny dziesiątej”, które niczym w gorączce napisałem w trzy dni latem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku.

Znajduje się tutaj kilka prawdziwych ciekawostek – pierwotna wersja mojej jedynej sztuki telewizyjnej („Przepraszam, to nie pomyłka”); opowiadanie o Sherlocku Holmesie („Sprawa doktora”), w którym do wyjaśnienia sprawy rusza doktor Watson; historia rodem z mitologii Cthulhu (*Crouch End*), której akcja rozgrywa się na przedmieściach Londynu, tam gdzie mieszkał Peter Straub, kiedy zawarłem z nim znajomość; ostre, „kryminalne” opowiadanie w stylu Richarda Bachmana („Piąty element”); i nieco zmieniona wersja opowiadki „Mój śliczny kucyk”. To opowiadanie po raz pierwszy wydało w niewielkim nakładzie Whitney Museum, z ilustracjami Barbary Kruger.

Po długim i głębokim namyśle postanowiłem również włączyć do zbioru długi kawałek niebeletrystyczny, zatytułowany „Pałka niżej!” traktujący o dzieciach i baseballu. Po raz pierwszy ukazał się drukiem na łamach *The New Yorker*, a praca nad nim sprawiła mi większą trudność, niż przez ostatnich piętnaście lat nastreczył mi jakikolwiek utwór. Zapewne nie powinienem go tu zamieszczać, ale pisanie i publikacja moich tekstów sprawia mi nieprawdopodobną satysfakcję, toteż zdecydowałem się na „Pałkę niżej!”. Bo tak naprawdę to ten tekst nie pasuje do zbioru opowiadań traktujących głównie o sprawach niejasnych i nadnaturalnych... z tym tylko, że esej ten również zawiera wszystkie te elementy. Struktura jest ta sama. Jeśli nie wierzycie, sprawdźcie sami.

Przede wszystkim jednak jak ognia unikałem starych utworów trzymanyh w różnych kufrach i na dnie szuflad. Mniej więcej od roku 1980 niektórzy krytycy zarzucają mi, że spisy brudnej bielizny, którą oddaję do pralni, mógłbym

wydać w milionowym nakładzie. Wielu uważa wręcz, że przez cały czas dokładnie to robię. Ludzie natomiast, którzy czytają moje utwory dla przyjemności, sądzą coś innego i książkę tę wymyśliłem właśnie dla nich, a nie dla krytyków. W sumie powstała nowa, książkowa jaskinia Aladyna, gdzie każdy znajdzie swego demona; książka, która zamyka całość rozpoczętą „Nocną zmianą” i *Skeleton Crew*. Znalazły się w niej wszystkie moje dobre opowiadania. Złe wepchnąłem pod dywan najgłębiej, jak się dało, i zostaną tam do dnia Sądu Ostatecznego. Jeśli w przyszłości pojawi się kolejny zbiór, zawierać będzie wyłącznie utwory, których dotąd nie napisałem, a nawet takie, o których nawet jeszcze nie myślałem (inaczej: historie, w które jeszcze nie uwierzyłem). Podejrzewam, że stanie się to już w roku, którego pierwszą cyfrą będzie 2.

A na razie mamy dwadzieścia kilka osobliwych opowiadań (ostrzegam, kilka jest bardzo osobliwych). W każdym zawarłem cząstkę czegoś, w co przez jakiś czas wierzyłem, i choć wiem, że niektóre z tych rzeczy – wynurzający się z umywalki palec, pożerające człowieka ropuchy („Pora deszczowa”), kłapiące zęby – nie są znanymi straszakami, to sądzę, że lepiej będzie, jeśli pójdziemy tam razem. Ale najpierw powtórz za mną katechizm:

Wierzę, że dziesięciocentówka może wykoleić pociąg towarowy.

Wierzę, że w kanałach Nowego Jorku żyją aligatory i szczury wielkości szetlandzkich kucyków.

Wierzę, że stalowym śledziem od namiotu można odciąć komuś jego cień.

Wierzę w świętego Mikołaja; wierzę, że poprzebierani w czerwono-białe stroje osobnicy, których spotyka się przed Bożym Narodzeniem na ulicach, są naprawdę jego pomocnikami.

Wierzę, że otacza nas niewidzialny świat.

Wierzę, że piłeczka golfowa jest wypełniona trującym gazem, więc jeśli ktoś ją przetnie i wciągnie ten gaz do płuc, umrze.

Ale przede wszystkim wierzę w duchy, wierzę w duchy, wierzę w duchy.

W porządku? Gotowy? Świetnie! Proszę, oto moja dłoń.

Ruszamy. Znam drogę. Ty musisz tylko wziąć się w garść... i uwierzyć.

Maine

Bangor, 6 listopada 1992 roku

Jawa? Sen?

Po której stronie linii mieszczą się sny?

Cadillac Dolana

Zemsta jest potrawą, którą najlepiej spożywać na zimno.

Przysłowie hiszpańskie

Czekałem i obserwowałem przez siedem lat. Dolan. Widziałem go, jak przychodzi i odchodzi. Obserwowałem, jak uczęszcza do wytwornych restauracji, ubrany w smoking, zawsze z inną kobietą uczeponą jego ramienia, zawsze w towarzystwie dwóch ochroniarzy. Obserwowałem, jak jego stalowoszare włosy stawały się elegancko i modnie siwe, podczas gdy moje stopniowo wypadały, aż zacząłem świecić łysą pałą. Obserwowałem, jak opuszcza Las Vegas, udając się w swe regularne pielgrzymki na Zachodnie Wybrzeże; obserwowałem jego powroty. Dwa czy trzy razy obserwowałem z pobocza szosy, jak jego sedan cadillac De Ville, w kolorze takim samym jak włosy właściciela, przemyka szosą 71 w kierunku Los Angeles. Kilkakrotnie obserwowałem, jak tą samą szarą limuzyną opuszcza swój dom na Hollywood Hills, żeby wrócić do Las Vegas – ale to zdarzało mi się nieczęsto. Jestem nauczycielem. Nauczyciele nie mają tyle wolnego czasu i takiej swobody ruchów jak bogaci gangsterzy. Jest to po prostu czysto ekonomiczny aspekt życia.

Nie wiedział, że go obserwuję. Nigdy nie zbliżyłem się do niego na tyle, żeby mógł mnie dostrzec. Zachowywałem ostrożność.

Zabił moją żonę, czy raczej doprowadził do jej śmierci; na jedno wychodzi. Chcecie poznać szczegóły? Ode mnie się ich nie dowiedziecie. Jeśli pragniecie je poznać, zajrzyjcie do starych gazet. Miała na imię Elizabeth. Uczyła w tej samej szkole co ja. Zresztą uczę tam do dzisiaj. Prowadziła lekcje z pierwszymi klasami. Dzieciaki ją uwielbiały i myślę, że niektóre nie zapomniały ukochanej na-

uczycielki, choć dzisiaj mają już po kilkanaście lat. Ja również ją kochałem i Kocham do teraz. Nie miała oszałamiającej urody, ale była ładna. Była cicha i spokojna, ale umiała się śmiać. Śnię o niej. Śnię o jej orzechowych oczach. Nigdy nie istniała dla mnie inna kobieta. I nigdy już się nie pojawi.

Powinęła mu się noga. Dolanowi. To wszystko, co musicie wiedzieć. Jednocześnie znalazła się tam Elizabeth. W niewłaściwym miejscu i o niewłaściwym czasie. Była świadkiem tego, jak powinęła mu się noga. Poszła na policję, stamtąd odesłano ją do FBI. Została przesłuchana i wyraziła zgodę, oświadczyła, że będzie zeznawać jako świadek. Zapewniono jej wprawdzie ochronę, lecz i FBI powinęła się noga albo nie doceniło Dolana. A może i jedno, i drugie. Tak czy owak, pewnego wieczoru Elizabeth wsiadła do samochodu, a podłączony do stacyjki ładunek dynamitu sprawił, że zostałem wdowcem. To on zrobił ze mnie wdowca – Dolan.

Kiedy zabrakło jedyne go świadka, został zwolniony. On wrócił do swego świata, ja do swego. Wytworny apartament na dachu wieżowca dla niego, dla mnie pusty niewielki domek. Dla niego piękne kobiety w futrach i błyszczących wieczorowych strojach, dla mnie cisza. Cztery szare limuzyny marki Cadillac rocznie dla niego, dla mnie stary Buick Riviera. Jemu włosy posiwiały, mnie po prostu wyszły.

Ale obserwowałem.

O tak, byłem bardzo ostrożny! Bardzo. Wiedziałem, kim jest i na co go stać. Wiedziałem, że zgniótlby mnie jak robaka, gdyby dowiedział się lub domyślił, co dla niego szykuje. Dlatego byłem ostrożny.

Podczas letnich wakacji przed trzema laty towarzyszyłem mu (w roztropnej odległości) w drodze do Los Angeles, dokąd jeździł regularnie. Zatrzymał się w swej eleganckiej rezydencji i wydawał przyjęcia (skryty w bezpiecznym cieniu na najbliższej przecznicy, obserwowałem przyjeżdżających i odjeżdżających gości i jeszcze bardziej wsiąkałem w mrok, kiedy pojawiały się odbywające patrol policyjne radiowozy). Zatrzymałem się w tanim hoteliku, gdzie goście za głośno nastawiali radia, a w oknach mego pokoju lśniły jaskrawe światła neonu mieszczącego się po drugiej stronie ulicy baru, w którym występowały dziew-

częta w toplenessach. Nocami, kiedy już zapadałem w sen, śniły mi się orzechowe oczy Elizabeth, śniłem, że wcale się to wszystko nie wydarzyło, i czasami, gdy się budziłem, na twarzy miałem ślady łez.

Powoli traciłem nadzieję.

Rozumiecie, ciągle był dobrze strzeżony; tak dobrze strzeżony. Nie ruszał się z domu na krok bez dwóch uzbrojonych po zęby goryli, a jeździł opancerzonym cadillakiem. A także wyposażonym w ogromne, radialne, samouszczelniające opony, tak lubiane przez awanturniczych dyktatorów niewielkich, niespokojnych państweczek.

I wtedy właśnie, gdy towarzyszyłem mu po raz ostatni, wymyśliłem sposób, w jaki można to zrobić... Znalazłem sposób i okropnie się wystraszyłem.

Towarzyszyłem mu w drodze powrotnej do Las Vegas, ale trzymałem się za nim w odległości półtora, a czasem trzech lub czterech kilometrów. Kiedy przecinaliśmy pustynię, jadąc w kierunku wschodnim, jego samochód był zaledwie lśniącym na horyzoncie maleńkim punkcikiem odbitego od karoserii słonecznego światła, a ja myślałem o Elizabeth i o tym, jak cudownie słońce skrzyło się w jej włosach.

Trzymałem się w bardzo dużej odległości. Był środek tygodnia i na autostradzie US 71 panował niewielki ruch. Na pustej szosie tropienie innego samochodu staje się uciążliwe i niebezpieczne – o tym wie nawet nauczyciel ze szkoły podstawowej. Minąłem pomarańczowy znak z napisem: OBJAZD ZA 8 KILOMETRÓW i zwiększyłem dzielący nas dystans. Na pustynnych objazdach wszyscy poruszają się bardzo powoli, a ja nie chciałem zanadto zbliżyć się do szarego cadillaca forsującego jakąś drugorzędną, porżniętą koleinami drogę.

OBJAZD ZA 5 KILOMETRÓW – pojawił się kolejny napis, a pod nim: ROBOTY DROGOWE PRZY UŻYCIU DYNAMITU. WYŁĄCZYĆ RADIA CB.

Przypomniał mi się film, który oglądałem dwa lata wcześniej. Na filmie tym uzbrojeni rabusie, ustawivszy przy drodze fałszywe znaki, zwabili opancerzoną limuzynę na pustynię. Kiedy kierowca, zmamiony fałszywymi znakami, skręcił w opustoszałą, wiejską drogę (na pustyni istnieje wiele takich szlaków wydeptanych przez stada owiec, dróg prowadzących do odległych rancz oraz starych,

rządowych traktów wiodących donikąd), złodzieje usunęli znaki, żeby się upewnić, że nie pojawi się jakiś inny, przypadkowy samochód, i tak długo oblegali zwabiony w pułapkę opancerzony wóz, aż wyleźli z niego ochroniarze.

Zabili ochroniarzy.

Pamiętam ten szczegół.

Zabili ochroniarzy!

Dotarłem do objazdu i skręciłem w wyboisty szlak. Droga, jak to przewidywałem, była w fatalnym stanie – zasypana piaskiem, wąska dwupasmówka, pełna dziur i kolein, na których mój stary buick trzął się i jęczał. Wymagał nowych amortyzatorów, a to bardzo poważny wydatek dla nauczyciela, nawet dla bezdzietnego wdowca, który nie ma żadnego hobby z wyjątkiem pragnienia zemsty.

Pomysł przyszedł mi do głowy w chwili, gdy buick trzął się i podskakiwał na nierównej drodze. Zamiast następnym razem podążać za cadillakiem Dolana w drodze z Las Vegas do Los Angeles albo z Los Angeles do Las Vegas, powinienem go wyprzedzić – pojechać przodem. Powinienem postawić fałszywe znaki objazdu, takie same jak na filmie, i wywieść Dolana na odludzie, w puste, ciche i otoczone górami rozciągającymi się na wschód od Las Vegas miejsce. Potem natychmiast usunąć znaki, jak zrobili to rabusie na filmie...

Brutalnie wróciłem do rzeczywistości. Przed sobą, tuż przed sobą, ujrzałem zaparkowanego na pylistym poboczu cadillaca Dolana. Jedna opona, samouszczelniająca się albo i nie, była płaska. Nie, nie płaska. Została rozerwana na strzępy. Zapewne winę za to ponosił jakiś ostry kawałek skały, który uderzył w oponę niczym miniaturowa mina przeciwczołgowa. Jeden z dwóch ochroniarzy pochylony był przy ustawionym z przodu podnośniku. Drugi – olbrzym ze spoconą, świńską twarzą, stał obok samego Dolana, zapewniając mu bezpieczeństwo. Widzicie sami, nawet na środku pustyni nikt nie miał szans zbliżyć się do Dolana.

Dolan stał obok auta, szczupły, w rozpiętej pod szyją koszuli i w czarnych spodniach, pustynny wiatr rozwiewał mu siwe włosy. Palił papierosa i spoglądał na mężczyzn zupełnie tak, jakby znajdowali się w restauracji, na sali balo-

wej lub w salonie.

Jego wzrok spoczął na chwilę na przedniej szybie buicka. Nasze oczy spotkały się, ale po chwili Dolan odwrócił głowę. Najwyraźniej mnie nie poznał, jakkolwiek raz już widział mnie przed siedmioma laty (wtedy miałem jeszcze włosy!), gdy podczas wstępnego przesłuchania siedziałem obok żony.

Przerażenie, jakie ogarnęło mnie w chwili nieoczekiwanego spotkania, zamieniło się w ślełą furję.

Przez głowę przemknęła mi myśl, żeby opuścić okno po stronie pasażera i wrzasnąć: „Jak śmiałeś mnie zapomnieć? Jak śmiałeś mnie tak zbyć?”. Och, naturalnie, byłby to czyn szaleńczy. To bardzo dobrze, że mnie zapomniał, to miło, że tak mnie zbył. Lepiej być myszą kryjącą się za boazerią i przegryzającą przewody. Lepiej być pajakiem snującym wysoko pod rynną swoją zabójczą sieć.

Mozolący się w pocie czoła przy podnośniku ochroniarz zamachał ręką. Nie tylko Dolan mnie zapomniał. Popatrzyłem obojętnie na gestykulującego w moją stronę mężczyznę, życząc mu w duchu zawału lub wylewu, najlepiej obu tych przypadłości jednocześnie. Pojechałem dalej – ale w głowie huczało mi i pulsowało, a przez kilka chwil góry na horyzoncie falowały mi w oczach i widziałem je podwójnie.

Gdybym miał pistolet! – pomyślałem. – Gdybym tylko miał pistolet! Gdybym tylko miał pistolet, odebrałbym mu raz na zawsze jego parszywe, odrażające życie!

Kiedy przejechałem kilkanaście kilometrów, wrócił mi zdrowy rozsądek. Gdybym miał pistolet, jedynym moim zyskiem byłaby własna śmierć. Gdybym miał pistolet, mógłbym jedynie zatrzymać się obok pracującego przy lewarku goryla, który do mnie machał, wysiąść z samochodu i na oślep zasypać pustynny krajobraz gradem kul. Może nawet kogoś bym zranił. Ale potem oni zastrzeliliby mnie i pochowali w bezimiennym, płytkim grobie. Wtedy Dolan znów ciągałby się z pięknymi kobietami, odbywał swoje pielgrzymki srebrzystym caddillakiem z Las Vegas do Los Angeles i z powrotem, a w tym czasie pustynne zwierzęta odgrzebałyby moje szczątki i walczyły o kości w zimnym świetle

księżycu. I nikt nie pomściłby Elizabeth... Nikt.

Towarzyszący mu mężczyźni potrafili tylko zabijać. Ja potrafiłem tylko uczyć trzecioklasistów.

To nie film – napomniałem się w duchu, kiedy z powrotem wjeżdżałem na autostradę i mijałem pomarańczową tablicę z napisem: KONIEC ROBÓT DROGOWYCH. STAN NEVADA DZIĘKUJEMY. Gdybym kiedykolwiek pomylił film z rzeczywistością, sądząc, że łysiejący, cierpiący na krótkowzroczność nauczyciel trzeciej klasy szkoły podstawowej mógłby przekształcić się w Dirty’ego Harry’ego naprawdę, a nie wyłącznie w marzeniach, nikt nigdy nie pomściłby Elizabeth. Nigdy.

Ale czy w ogóle można się zemścić? Czy można?

Pomysł ustawienia fałszywych znaków był równie romantyczny i nierealny jak pomysł wyskoczenia z samochodu i położenia trupem całej trójki. Kto niby miał to zrobić? Ja? Ja, który ostatni raz strzelałem w wieku szesnastu lat, a na dodatek nigdy nie miałem w ręku pistoletu.

Nawet na filmie taka rzecz jest niemożliwa do zrealizowania bez całej dobrze zorganizowanej grupy. To oczywiste nawet dla takiego romantyka jak ja. Na filmie było ich ośmiu czy dziewięciu, podzielonych na dwa oddziały, które kontaktowały się ze sobą za pomocą radiotelefonów. Jeden krążył nawet nad autostradą w niewielkim samolocie, żeby się upewnić, że opancerzonemu pojazdowi, kiedy zbliżał się do fałszywego objazdu, nie towarzyszy żaden inny samochód.

Bez wątpienia całą intrygę wymyślił jakiś otyły scenarzysta siedzący na brzegu basenu z *piña colada* w jednym ręku, długopisem Pentela w drugim i z rozłożoną przed nosem prawie podręcznikowo traktowaną książką Edgara Wallace’a. Ponadto ów jegomość miał jeszcze całą armię asystentów, którzy pomogli mu dopracować pomysł. Ja byłem sam.

Plan do niczego. Po prostu chwilowy, poroniony pomysł, jakich tyle przychodziło mi do głowy przez te wszystkie lata, jak pomysł z trującym gazem wpuszczonym do przewodów systemu klimatyzacyjnego Dolana, pomysł podłożenia bomby w jego rezydencji w Los Angeles czy też idea zdobycia jakiejś morder-

czej broni, na przykład bazooki, z którą, gdy jechałby szosą 71 na wschód do Vegas lub na zachód do Los Angeles, zamieniłbym jego przeklętego srebrnego cadillaca w kulę ognia.

Lepiej tego zaniechać. Odrzucić to wszystko.

Ale to niemożliwe. Bo to nie chce odejść.

Odetnij go – wstawiał się w mojej głowie za Elizabeth jakiś wewnętrzny głos. – *Odetnij go tak, jak wyszkolony owczarek odcina od stada wskazane przez właściciela jagnię. Wyprowadź go na manowce, na odludzie, i tam zabij. Zabij ich wszystkich.*

Do niczego. Musiałem pogodzić się z prawdą, że skoro człowiek taki jak Dolan pozostawał przy życiu, musiał szczególnie wyostrzyć w sobie instynkt przetrwania – wyostrzyć zapewne do stanu paranoi. On i jego ludzie w jednej chwili zorientują się w podstępie z objazdem.

A jednak dzisiaj skręcili – odparł wewnętrzny głos wstawiający się za Elizabeth. – *Nawet się nie zawahali. Skręcili potulnie jak baranki.*

Ale wiedziałem też – tak, skądś to wiedziałem – że ludzie pokroju Dolana, ludzie przypominający bardziej wilki niż człowieka, potrafią jakimś szóstym zmysłem zwęszyć niebezpieczeństwo. Mógłbym wykraść z jakiegoś przydrożnego baraku prawdziwe tablice nakazujące objazd i ustawić je we właściwych miejscach. Mógłbym nawet ustawić owe fluorescencyjne, pomarańczowe pachołki drogowe i wymalować kilka znaków na samej szosie. Mógłbym to wszystko zrobić, a mimo to Dolan zwęszyłby zapach potu pochodzący z moich rąk. Zwęszyłby go nawet przez pancerne szyby swojej limuzyny. Zamknąłby oczy, odebrałby telepatycznie gdzieś w najgłębszych otchłaniach swego umysłu wymawiane przeze mnie imię Elizabeth.

Głos, który pod moją czaszką wstawiał się za Elizabeth, zamilkł i nie odzywał się dłuższy czas. Kiedy jednak w zasięgu wzroku pojawiło się Vegas – spowite błękitną mgiełką i drżące na krańcach w bijącym z pustyni upale – zabrzmiał ponownie.

Zatem nie próbuj zwodzić go fałszywym objazdem – szepnęło mi coś pod czaszką. – *Zwiedź go prawdziwym.*

Wjechałem buickiem na pobocze i z całych sił nacisnąłem hamulce. Rozwartrymi ze zdumienia oczyma gapiłem się we wsteczne lusterko.

W głowie wstawiający się za Elizabeth głos wybuchnął śmiechem. Dzikim, obłąkańczym śmiechem. Po chwili mu zawtórowałem.

Kiedy pojawiłem się w klubie rekreacyjnym przy Dziewiątej Ulicy, zgromadzeni tam nauczyciele wybuchnęli na mój widok śmiechem. Któryś chciał wiedzieć, kto wysmarował mi piaskiem twarz. Też odpowiedziałem śmiechem. Osobników takich jak ja ludzie nie podejrzewają o nic tak długo, dopóki ci śmieją się wraz z innymi. A poza tym, dlaczego miałem się nie śmiać? Ostatecznie moja żona nie żyła już od siedmiu lat, prawda? Pozostał z niej w trumnie tylko proch, włosy i kilka kości! Dlaczego więc nie miałbym się śmiać? Kiedy człowiek nagle przestaje to robić, ludzie zaczynają podejrzewać, że coś jest z nim nie tak.

Śmiałem się wraz z nimi, jakkolwiek przez całą jesień i zimę bolały mnie mięśnie. Śmiałem się, mimo że nieustannie byłem głodny – żadnych drugich śniadań, żadnych przekąsek późnym wieczorem, żadnego piwa, żadnych przedobiednich ginów z tonikiem. Wyłącznie wołowina lub baranina i dużo, dużo, dużo warzyw.

Na Boże Narodzenie kupiłem sobie nautilusa.

Nie, niezupełnie tak. To Elizabeth kupiła mi na Boże Narodzenie ten przyrząd do ćwiczeń siłowych.

Już nie widywałem Dolana tak regularnie. Byłem zbyt zajęty przygotowaniami, zrzucaniem brzucha, rozwijaniem mięśni ramion, klatki piersiowej i nóg. Przychodziły jednak chwile, gdy ogarniało mnie zniechęcenie, opadały czarne myśli, że już nie zdołam odzyskać pełnej sprawności fizycznej, że nie potrafię funkcjonować bez drugiego śniadania, bez pierniczków w czekoladzie i, od czasu do czasu, solidnej porcji śmietanki do kawy. Kiedy nachodził mnie taki nastrój, parkowałem samochód naprzeciwko którejś z ulubionych restauracji Dolana albo szedłem do któregoś z klubów, gdzie często bywał, i czekałem, aż pojawi się z uwieszoną na ramieniu arogancką, zimną blondynką lub roześmia-

nym, rudowłosym wampem – albo z obiema tego rodzaju kobietami – i wysiądzie z siwego niczym mgła cadillaca. Oto on, człowiek, który zabił moją Elizabeth, oto on w oślepiająco białej koszuli od Bijana, ze złotym rolexem ciskającym migotliwe lśnienia w światłach nocnego lokalu. Kiedy byłem zniechęcony i zmordowany, szedłem do Dolana niczym umierający z pragnienia na pustyni człowiek do oazy. Spijałem jego zatrutą wodę, która w jednej chwili orzeźwiała mnie i stawiała na nogi.

W lutym zacząłem codziennie biegać, a koledzy nauczyciele śmiali się z mojej łysej głowy, bo poróżowiła od słońca i zaczęła się łuszczyć z niej skóra. Później różowiła coraz mocniej i jeszcze bardziej się łuszczyła bez względu na to, ile kremu przeciwsłonecznego bym na nią nie nałożył. Wtórowałem im śmiechem, choć wielokrotnie bliski byłem utraty przytomności, a przez długie minuty przed końcem biegu dręczyły mnie potworne skurcze mięśni ściskające łydki i uda niczym stalowe imadło.

Kiedy przyszło lato, złożyłem w Wydziale Dróg i Autostrad w Nevadzie podanie o przyjęcie do pracy. Miejski urząd pracy niechętnie podstemplował formularz i skierował do okręgowego nadzorca, niejakiego Harveya Blockera. Blocker był wysokim mężczyzną o skórze spalonej słońcem Nevady prawie na czarno. Miał na sobie dzinsy, zakurzone buty robocze i niebieski podkoszulek z obciętymi rękawami. Na przodzie koszulki widniał napis: ZŁE NASTAWIENIE. Pod skórą grały mu sploty wspaniale rozwiniętych mięśni. Popatrzył na moje podanie. Potem spojrział na mnie i wybuchnął śmiechem. Papier wyglądał bardzo zabawnie w jego olbrzymiej dłoni.

– Chyba stroisz sobie żarty, przyjacielu. Tak, na pewno! Mówimy o pustynnym słońcu i pustynnym żarze, a nie o tych gównianych solariach dla yuppies. Co tak naprawdę robisz w życiu, braciszku?

– Jestem nauczycielem – odparłem. – Uczę w trzeciej klasie.

– Och, słoneczko ty moje – odparł i ponownie ryknął śmiechem. – Zejdź mi z oczu, dobrze?

Miałem zegarek kieszonkowy. Otrzymałem go od pradziadka, który pracował przy budowie ostatniego odcinka ogromnej linii kolei transkontynentalnej. Ro-

dzinna legenda głosi, że pracował tam aż do chwili, kiedy wbito w podkład ostatni, złoty gwóźdź. Wyjąłem zegarek za dewizkę i zadyndałem nim przed nosem Blockera.

– A to pan widzi? – zapytałem. – Jest warte sześćset, może siedemset dolarów.

– Czy ma to być łapówka? – Blocker znów dostał paroksyzmu wesołości. Był z niego straszliwy śmieszek. – Człowieku, słyszałem o ludziach, którzy wchodzili w układy z diabłem, ale po raz pierwszy spotykam kogoś, kto za pomocą łapówki sam chce się dostać do piekła. – Popatrzył na mnie ze współczuciem.

– Może ci się tylko wydaje, że wiesz, w co chcesz wdepnąć, ale ja jestem tutaj po to, żeby ci powiedzieć, że nie masz o tym zielonego pojęcia. Na zachód od Indian Springs spotykałem już w lipcu temperatury dochodzące do sześćdziesięciu pięciu stopni. Najsilniejsi wymiękają. A ty, braciszku, do najsilniejszych nie należysz. Nie musisz ściągać koszuli, żeby wyprężyć tych kilka nędznych mięskulów wyrobionych w klubie kulturystycznym dla yuppie. Zresztą natychmiast byś sobie te mięśnie naderwał.

– Proszę sprawdzić mnie przez jeden dzień. Nie naderwę sobie mięśni, a po prostu odejdę. Proszę zatrzymać ten zegarek. Nie kłóćmy się.

– Pieprzysz.

Popatrzyłem na Blockera, a on przez dłuższą chwilę spoglądał na mnie.

– Faktycznie nie pieprzysz – powiedział w końcu ze zdziwieniem.

– Nie.

– Dasz ten zegarek na przechowanie Tinkerowi? – zapytał, wskazując kciukiem Murzyna o cyklopiej posturze, który w farbowanej wełnianej koszuli siedział nie opodal w kabinie spycharki, zajadał placek owocowy od McDonalda i przysłuchiwał się naszej rozmowie.

– Można mu zaufać?

– Masz niewyparzoną gębę, koleś.

– A więc niech przechowa go do chwili, kiedy zdecyduje pan, czy mam wynosić się natychmiast, czy dopiero we wrześniu, kiedy będę musiał wracać do szkoły.

– Co mam zrobić?

Wskazałem formularz z biura pracy.

– Podpisać to. Nic więcej.

– Upadłeś na głowę.

Pomyślałem o Dolanie, o Elizabeth i nie odezwałem się słowem.

– Zacznieś od najbardziej gównianej roboty – ostrzegł Blocker. – Będziesz rzucał łopata z tyłu ciężarówki gorący asfalt i zalewał nim dziury. Nie dlatego, że zależy mi na twoim przeklętym zegarku, choć byłbym bardziej niż rad, gdyby trafił w moje ręce, ale dlatego, że w ten sposób zaczynają tu wszyscy.

– W porządku.

– Tak długo, aż zrozumiesz, braciszku.

– Rozumiem.

– Nie rozumiesz – odparł Blocker. – Dopiero zrozumiesz.

No i miał rację.

Z następnych dwóch tygodni pamiętam tyle co nic – zgarniałem łopata gorący asfalt, zalepiałem nim dziurę w jezdni i ze zwieszoną głową wlokłem się za ciężarówką, dopóki nie zatrzymała się przy kolejnym wyboju. Czasami pracowaliśmy na Stripie i wtedy dobiegał mnie dźwięk dzwonek oznajmujących pełną pulę przy stolikach pokerowych w kasynach. Odnosiłem wrażenie, że to dzwoni mi pod czaszką. Unosiłem głowę i widziałem, że Harvey Blocker obserwuje mnie z wyrazem osobliwej litości, jego twarz lśniła w bijącym od rozpalonej szosy upale. Niekiedy przyglądałem się Tinkerowi siedzącemu pod brezentem skrywającym kabinę buldożera. Tinker wyciągał zegarek mego dziadka i bujał go na łańcuszku. Zegarek lśnił w promieniach słońca.

Toczyłem ze sobą straszliwą walkę, żeby nie zemdleć, żeby zachować przytomność. Wytrzymałem cały czerwiec, minął pierwszy tydzień lipca. Pewnego dnia podczas przerwy na lunch, kiedy jadłem kanapkę trzymaną w drżącej dłoni, przysiadł się do mnie Blocker. Potrafiłem tak nieraz drzeć do dziesiątej wieczorem. To od upału. Drżałem i niewiele brakowało, żebym zemdlał. Ale w takich chwilach myślałem o Dolanie i udawało mi się tylko drzeć.

– Ciągłe brakuje ci siły, braciszku – odezwał się Blocker.

– Nie – odparłem. – Ale jak ktoś powiedział, trzeba wziąć pod uwagę surowiec wyjściowy.

– W każdej chwili się spodziewam, że popatrzę w twoją stronę, a ty będziesz leżał nieprzytomny na środku drogi. Ale ty najwyraźniej wcale nie zamierzasz mdleć.

– Nie, nie zamierzam.

– Tak, nie zamierzasz. Tyle że jeśli w dalszym ciągu będziesz szedł z łopata za ciężarówką, to w końcu zemdlejesz.

– Nie.

– Braciszku, największe upały dopiero się zbliżają. Tink nazywa tę pogodę piekarnikiem.

– Wytrzymam.

Wyciągnął coś z kieszeni. Był to zegarek mego pradziadka. Położył mi go na kolanach.

– Zabierz ten pieprzony zegarek – powiedział z niesmakiem.

– Nie potrzebuję go.

– Przecież dobiliśmy targu.

– Odwołuję to.

– Jeśli wyrzucisz mnie z roboty, pozwę cię do sądu arbitrażowego – odrzekłem. – Podpisałeś mój formularz. Jeśli...

– Wcale cię nie wywalę – odparł i odwrócił twarz. – Chcę, żeby Tink nauczył cię obsługiwać ładowarkę czołową.

Przypatrywałem mu się długo, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Moja sala lekcyjna w trzeciej klasie, tak chłodna i przyjemna, nigdy jeszcze nie wydawała mi się równie odległa... i ciągle nie miałem najmniejszego pojęcia, co taki człowiek jak Blocker sobie myśli ani jak rozumie to, co powiedział. Zdawałem sobie sprawę, że mnie podziwia, a zarazem mną pogardza, ale zupełnie nie miałem pojęcia, co naprawdę myśli.

I nie musi cię to obchodzić, kochanie – odezwał się nieoczekiwanie w mojej głowie głos Elizabeth. – *Tu chodzi o Dolana. Pamiętaj, o Dolana.*

– Dlaczego chcesz to zrobić? – zapytałem w końcu. Popatrzył na mnie. W oczach błysnęły mu złość i rozbawienie.

Ale przeważała chyba złość.

– O co chodzi, braciszku? Jak myślisz, kim jestem?

– Nie...

– Myślisz, że chcę cię zabić, żeby mieć ten twój pierdzielony zegarek? Tak właśnie myślisz?

– Przepraszam.

– Tak, pewnie. Najżałośniejszy skurwiol, jakiego w życiu spotkałem.

Odłożyłem zegarek pradziadka.

– Nigdy już, braciszku, nie nabierzesz krzepy. Niektóre rośliny i niektórzy ludzie wytrzymują na słońcu. Inni więdną i umierają. Ty umierasz. Dobrze o tym wiesz, a mimo to nie szukasz cienia. Dlaczego? Dlaczego włączysz w takie gówno?

– Mam swoje powody.

– Ba, o to mogę się założyć. I niech Bóg ma w swej opiece każdego, kto ci stanie na drodze.

Podniósł się i odszedł.

Zbliżył się uśmiechnięty Tinker.

– Jak myślisz, potrafisz nauczyć się obsługiwać ładowarkę czołową?

– Wydaje mi się, że tak – odrzekłem.

– Mnie też się tak wydaje. Staruszek Blockhead bardzo cię lubi, tylko nie potrafi tego okazać.

– Zauważyłem.

Tink roześmiał się.

– Twardziel z ciebie, skurwielu.

– Mam nadzieję – odrzekłem.

Resztę lata spędziłem na ładowarce czołowej, a kiedy jesienią wróciłem do szkoły, prawie tak czarny jak Tinker, nauczyciele przestali się ze mnie podśmiewać. Czasami, gdy ich mijalem, obserwowali mnie kątem oka, ale przestali się śmiać.

„Mam swoje powody”. Tak właśnie mu powiedziałem. Bo miałem. Dla kaprysu nie spędziłbym całego lata w piekle. Rozumiecie, musiałem dojść do formy. Przygotowanie się do tego, żeby wykopać grób mężczyźnie czy kobiecie, nie wymaga... aż tak drakońskich metod, ale ja wcale nie zamierzałem grzebać ani mężczyzny, ani kobiety.

Zamierzałem pogrzebać tego przeklętego cadillaca.

Do kwietnia następnego roku znajdowałem się na liście prenumeratorów biuletynu zatytułowanego „Znaki drogowe w Nevadzie”, wysyłanego przez Komisję do spraw Autostrad Stanowych. Wszelkie materiały na temat bieżących rachunków za naprawy dróg, nowo zakupionego sprzętu do prac drogowych, wszelkich akcji dotyczących kontroli szos poprowadzonych między piaszczystymi wydrami czy artykuły o najnowszych technikach zapobiegania erozji szos studiowałem pobieżnie. Głównie interesowały mnie dwie ostatnie strony biuletynu. Dział zatytułowany po prostu „Kalendarium”, w którym podawano miejsca oraz daty planowanych prac drogowych w nadchodzącym miesiącu. Szczególnie przykuwały mą uwagę miejsca i daty wymieniane po prostym, pięcioliterowym skrócie: PRZEB. Oznacza on słowo „przebudowa”, a doświadczenie wyniesione z pracy w ekipie Harveya Blockera mówiło mi, że przy tego rodzaju robotach prawie zawsze robi się objazdy. Ale nie zawsze. Decyzję o zamknięciu jakiegoś odcinka drogi Komisja do spraw Autostrad podejmuje bardzo niechętnie i w ostateczności. Ale wcześniej czy później – myślałem – tych pięć liter oznaczać będzie koniec Dolana. Tylko pięć liter, ale jakże często widywałem je w snach: PRZEB.

Nie łudziłem się, że przyjdzie mi to łatwo, albo że nastąpi w najbliższym czasie – zdawałem sobie świetnie sprawę z tego, iż zapewne będę musiał czekać lata, a w tym czasie ktoś inny może dostać Dolana w swoje ręce. Był złoczyńcą, a złoczyńcy prowadzą niebezpieczne życie. Niczym rzadka koniunkcja planet, musiałyby jednocześnie wystąpić cztery niezależne od siebie czynniki: podróż Dolana, moje wakacje, święto państwowe, trzydniowy weekend.

Miną całe lata. Może nigdy to nie nastąpi. Ale czułem wewnętrzny spokój,

miałem osobliwą pewność, że taka chwila nadejdzie, a wtedy ja będę gotowy. I w końcu rzeczywiście nadeszła. Nie tego lata, nie tej jesieni ani nie następnej wiosny. Ale w czerwcu zeszłego roku otworzyłem nowy numer „Znaków drogowych w Nevadzie” i ujrzałem w kalendarium:

1 LIPCA–22 LIPCA (poszerz.):

US 71 704–755 km (PASMO ZACHODNIE) PRZEB.

Trzęsącymi się rękami zacząłem kartkować stojący na biurku kalendarz. Czwarty lipca wypadł w poniedziałek.

A więc wystąpiły trzy czynniki z czterech, a podczas robót prowadzonych na długim odcinku autostrady z pewnością zrobią objazd.

Ale Dolan... co z Dolanem? Co z czwartym czynnikiem? Pamiętałem, że dotąd trzykrotnie wybrał się do Los Angeles w tygodniu, w którym wypadł Czwarty Lipca – w świątecznym tygodniu w Las Vegas w interesach panował zastój. Pamiętałem również, iż trzykrotnie wybrał się gdzieś indziej – raz do Nowego Jorku, raz do Miami, a raz do Londynu. Raz po prostu nie ruszał się z Las Vegas.

Gdyby się tym razem wybrał...

Czy istniał sposób, żeby to jakoś sprawdzić?

Długo się nad tym zastanawiałem i niepokoiły mnie dwie wizje. W pierwszej oczyma wyobraźni widziałem cadillaca Dolana pomykającego o zmierzchu autostradą US 71 w kierunku zachodnim, do Los Angeles. W promieniach zachodzącego słońca prowadził za sobą długi cień. Widziałem, jak mija szereg tablic z napisem: OBJAZD, z których ostatnia nakazywała wyłączyć radia CB. Widziałem, jak mija pozostawiony na skraju szosy sprzęt – buldożery, równiarki, ładowarki czołowe. Maszyny stoją w bezruchu nie dlatego, że zakończono już dzienną pracę, ale ze względu na weekend; trzydniowy weekend.

W drugiej wizji wszystko było tak samo, tyle że na czas weekendu zostały pozdejmowane tablice informujące o objeździe.

Zostały pozdejmowane, bo ja je zdjąłem.

Dopiero ostatniego dnia zajęć w szkole nieoczekiwanie przyszło mi do głowy,

w jaki sposób mam się dowiedzieć, czy Dolan zamierza jechać na święto do Los Angeles, czy nie. Prawie zasypiałem już i umysł mój znajdował się w odległości tysięcy kilometrów zarówno od szkoły jak od Dolana, kiedy nagle usiadłem prosto jak rażony prądem, strącając stojący na skraju katedry wazon (były w nim jakieś przepiękne pustynne kwiaty, które wręczyli mi uczniowie na koniec roku szkolnego). Naczynie spadło z hukiem na podłogę i potłukło się. Kilku uczniów, którzy również drzemali, też wyprostowało się w ławkach jak rażeni prądem, a na mojej twarzy zapewne malowało się przerażenie, bo mały Timothy Ulrich wybuchnął płaczem i musiałem go długo uspokajać.

Prześcieradła – myślałem, gładząc Timmy'ego po głowie.

– Prześcieradła, poszewki, pościel i srebrna zastawa stołowa... dywany... otoczenie domu. Wszystko musi być zapięte na ostatni guzik. Dolan z całą pewnością chce, żeby wszystko było zapięte na ostatni guzik.

Naturalnie. To wszystko stanowiło w tym samym stopniu część Dolana co jego cadillac.

Uśmiechnąłem się, a Timmy Ulrich odpowiedział mi uśmiechem. Ale ja uśmiechałem się nie do niego.

Uśmiechałem się do Elizabeth.

W tym roku szkoła kończyła się dziesiątego czerwca. Dwanaście dni później poleciałem do Los Angeles. Wynająłem samochód i zatrzymałem się w tym samym tanim hotelu, z którego korzystałem przy innych okazjach. Przez kolejne trzy dni jeździłem na Hollywood Hills i obserwowałem posiadłość Dolana. Nie mogłem tego robić bez przerwy, ponieważ ktoś mógł w końcu zwrócić na mnie uwagę. Bogacze zawsze zwracają uwagę na kręcących się w okolicy obcych, ponieważ obcy aż za często okazują się niebezpieczni.

Jak ja.

Początkowo posesja była jak wymarła. Okiennice otwarte, trawniki niezarośnięte – Boże broń! – woda w basenie czysta i chlorowana. Ale poza tym domostwo sprawiało wrażenie opustoszałego. Żaluzje w oknach były opuszczone, na podjeździe nie stały żadne samochody, nikt nie pływał w basenie, którego brze-

gi każdego ranka starannie mył jakiś młodzian z włosami związanymi w kitkę.

Zacząłem podejrzewać, że cały mój plan wziął w łeb. Mimo to nie opuszczałem Los Angeles w nadziei, że jednak pojawi się w końcu ów czwarty czynnik.

Dwudziestego dziewiątego czerwca, kiedy byłem już prawie gotów dać za wygraną i rozpocząć kolejny rok obserwacji, oczekiwania, ćwiczeń i wakacyjnej pracy na ładowarce czołowej dla Harveya Blockera (jeśli, naturalnie, zatrudniłby mnie ponownie), przed posiadłością Dolana pojawił się niebieski samochód z napisem AGENCJA OCHRONY LOS ANGELES. Wysiadł z niego jakiś mężczyzna, otworzył kluczem bramę, wprowadził do środka samochód, następnie wrócił piechotą i ponownie dokładnie zamknął bramę na klucz.

Było to wyraźne odstępstwo od panujących tu na co dzień zwyczajów. Poczuliem przypływ nadziei. Odjechałem prawie na dwie godziny, po czym znów wróciłem, ale tym razem zaparkowałem przy sąsiedniej przecznicy, a nie naprzeciwko domu. W kwadrans później przed bramę zajechał kolejny niebieski van. Na boku pojazdu widniał napis: USŁUGI PORZĄDKOWE DUŻEGO JOE. Serce mocniej zabiło mi w piersi. Obserwowałem to we wstecznym lusterku. Pamiętam, jak mocno zaciskałem dłonie na kierownicy wynajętego samochodu.

Z półciężarówki wysiadły cztery kobiety, dwie białe, Murzynka i Chicana¹. Miały na sobie białe stroje, jak kelnerki. Ale oczywiście kelnerkami nie były. Były sprzątaczkami.

Któraś nacisnęła dzwonek umieszczony przy bramie, a wtedy natychmiast pojawił się ochroniarz i otworzył wrota. Cała piątka wśród wybuchów śmiechu zaczęła się przekomarzać. Ochroniarz próbował położyć jednej z kobiet rękę na pośladku, ale ona dała mu klapsa po dłoni.

Jedna wróciła do niebieskiej furgonetki i wprowadziła ją na podjazd. Pozostałe, głośno rozmawiając, ruszyły w stronę domu, a strażnik zamykał bramę.

Pot spływał mi po twarzy. Miałem wrażenie, że to tłuszcz. Serce waliło mi jak młotem.

Kiedy zniknęli z zasięgu wstecznego lusterka, odważyłem się odwrócić w stronę domu.

Zobaczyłem, że tylne drzwi furgonetki są otwarte.

Jedna sprzątaczką niosła stos schludnie złożonej pościeli, druga ręczniki. Trzecia dźwigała dwa odkurzacze.

Zatrzymały się przed drzwiami wejściowymi i strażnik wpuścił je do środka.

Odjechałem. Byłem tak poruszony, że z najwyższym trudem mogłem skupić uwagę na kierownicy.

Otwierano dom. Dolan nadjeżdżał.

Dolan nie kupował co roku nowego cadillaca; nie kupował go nawet co dwa lata. Szary sedan DeVille, którym pojawił się pod koniec tego czerwca, miał już trzy. Znałem dokładnie wszystkie jego parametry. Napisałem list do General Motors z prośbą o przysłanie mi danych technicznych tej marki samochodu. Przedstawiłem się jako pisarz pracujący nad nową powieścią. Przysłali mi całą książkę obsługi wraz z prospektem tegorocznego modelu cadillaca. Zwrócili nawet zaadresowaną przeze mnie kopertę zwrotną ze znaczkiem. Najwyraźniej wielkie przedsiębiorstwa zachowują klasę nawet wtedy, gdy mają deficyt.

Potrzebne mi były trzy parametry – maksymalna szerokość, wysokość i długość cadillaca. Udałem się z nimi do znajomego nauczyciela z liceum w Las Vegas. Chyba już wam wspominałem, że przygotowywałem się do tego nie tylko pod kątem formy fizycznej. Z całą pewnością nie.

Przedstawiłem mu problem jako czysto teoretyczne zadanie. Oświadczyłem, że pragnę napisać opowiadanie science fiction i chciałbym, żeby wszystkie wyliczenia w nim były niezwykle dokładne. Podałem mu nawet zarys wiarygodnego schematu intrygi opowiadania – własna pomysłowość wręcz mnie zaskoczyła.

Mój przyjaciel chciał wiedzieć, z jaką prędkością ma się poruszać ów wymyślony pojazd zwiadowczy obcych. Takiego pytania nie przewidziałem i spytałem, czy to takie ważne.

– Naturalnie, że ważne – odparł. – Bardzo ważne. Jeśli zaplanowałeś, że wymyślony przez ciebie pojazd zwiadowczy ma wpaść w zastawioną pułapkę, pułapka musi mieć dokładnie wyliczone wymiary. Z tego, co powiedziałaś, wynika, że ma pięćset osiemnaście centymetrów na sto pięćdziesiąt dwa.

Otworzyłem usta, żeby odpowiedzieć, że niedokładnie tyle, ale uciszył mnie machnięciem ręki.

– No dobrze – stwierdził. – To ułatwi mi wyliczenie łuku.

– Czego?

– Łuku spadania – odrzekł, a mnie zrobiło się zimno.

Usłyszawszy taki zwrot, mężczyzna ogarnięty żądzą zemsty mógł wpaść w si-
dła miłości. Słowa brzmiały mrocznie i złowieszczo: łuk spadania.

Zakładałem, że wystarczy, jeśli wykopię mogiłę, która będzie pasowała do
wymiarów cadillaca. I dopiero mój znajomy nauczyciel matematyki uświadomił
mi, że zanim dół posłuży za grób, wcześniej musi spełnić rolę skutecznej pułap-
ki.

Oświadczył, że istotny jest kształt. Dodał, że jama, jaką sobie wymyśliłem,
nie spełniłaby pokładanej w niej nadziei... Tak naprawdę szanse, że jej nie speł-
ni, były znacznie większe, niż szansa, że to zrobi.

– Jeśli pojazd nie trafi dokładnie na sam początek dołu i natychmiast w niego
nie wpadnie – oświadczył mój znajomy nauczyciel – to może wcale w niego nie
wpaść. Prześlizgnie się nad nim, pochyli pod pewnym kątem, a kiedy stanie,
obcy wydostaną się lukiem pasażerskim i dopadną twoich bohaterów.

Wyjaśnił, że rozwiązaniem jest poszerzenie przedniej części pułapki i nadanie
całości kształtu zwężającego się komina.

Później wyniknął problem szybkości.

Jeśli cadillac Dolana będzie jechał za szybko, a dziura w ziemi będzie za
krótka, pojazd przeleci po prostu nad nią i zahaczy podwoziem lub tylnymi ko-
łami o krawędź dołu po przeciwnej stronie. Może nawet dachuje, ale cały do
jamy nie wpadnie. Jeśli natomiast cadillac posuwać się będzie zbyt wolno,
a dół okaże się za długi, auto może wylądować ukosem, oprzeć się na masce,
nie spaść do środka czterema kołami i pułapka w takim przypadku również nie
spełni swego zadania. Nie można przecież pogrzebać cadillaca z wystającymi
na pół metra nad ziemię bagażnikiem i tylnym zderzakiem. To tak, jakby chcia-
ło się pochować człowieka z nogami sterczącymi w górę.

– No więc jak szybko zamierza jechać ten twój pojazd zwiadowczy? – zapytał

mój znajomy.

Zacząłem szybko dokonywać w myślach obliczeń. Na autostradzie kierowca Dolana jechał z szybkością stu, stu dwudziestu kilometrów na godzinę. W miejscu, gdzie zamierzałem zastawić pułapkę, zapewne będzie się wolniej posuwać. Mogłem wprawdzie zabrać znaki informujące o objeździe, ale nie zdołałem ukryć maszyn drogowych.

– Około dwudziestu rull – odparłem.

Nauczyciel uśmiechnął się.

– Przetłumacz to.

– Powiedzmy, osiemdziesiąt kilometrów na godzinę.

– Aha.

Bezzwłocznie zabrał się do pracy, a ja usiadłem obok i z szerokim, pogodnym uśmiechem rozmyślałem o cudownym zwrocie „łuk spadania”.

Matematyk prawie natychmiast uniósł głowę i popatrzył na mnie.

– Wiesz, bracie – odezwał się – powinieneś pomyśleć o zmniejszeniu rozmiarów tego pojazdu.

– Tak? A to dlaczego?

– Pięć metrów na półtora to bardzo dużo jak na pojazd zwiadowczy – oświadczył ze śmiechem. – To, do licha, prawie rozmiary wozu Lincoln Mark IV.

Również się roześmiałem. Obaj chichotaliśmy dłuższą chwilę.

Zaraz po tym, jak ujrzałem wchodzące do posiadłości Dolana sprzętaczkę z pościelą i ręcznikami, wróciłem samolotem do Las Vegas.

Wszedłem do swego mieszkania, udałem się do salonu i sięgnąłem po telefon. Ręka lekko mi drżała. Dziewięć lat czałem się, czekałem i obserwowałem; jak pajak wysoko pod rynną; jak mysz za boazerią. Zrobiłem wszystko, żeby Dolan nie miał najmniejszego pojęcia o tym, że mąż Elizabeth ciągle jest nim zainteresowany. Obojętny wzrok, jakim obrzucił mnie tamtego dnia, gdy mijałem jego unieruchomiony samochód, i wściekłość, która mnie wtedy ogarnęła, były moją nagrodą.

Ale teraz musiałem podjąć ryzyko. Musiałem je podjąć, ponieważ nie mogłem być w dwóch miejscach jednocześnie i musiałem mieć absolutną pewność, że Dolan wybiera się w drogę, żeby już na niego czekać, usunąwszy na chwilę znaki informujące o objeździe.

Zaplanowałem, że do domu wrócę samolotem. Wierzyłem, że mi się uda. Wierzyłem, że zdołam sprawić, że mi się to uda.

Zadzwoiłem do biura numerów w Los Angeles i poprosiłem o telefon firmy porządkowej Dużego Joe. Kiedy już mi podano ten numer, natychmiast go wykręciłem.

– Tu Bill z firmy dostawczej Renniego – powiedziałem.

– W sobotę wieczorem mamy przyjęcie w Hollywood Hills na Aster Drive pod numerem tysiąc sto dwadzieścia jeden. Czy któraś z waszych dziewcząt nie mogłaby sprawdzić w domu pana Dolana, czy w szafce nad kuchenką stoi taka ogromna waza na poncz? Moglibyście to dla nas zrobić?

Poproszono, żebym chwilę zaczekał przy telefonie. Czekałem, ale z każdą upływającą sekundą, z których każda wydawała mi się wiecznością, byłem coraz bardziej pewien, że tamten coś zwąchał i z drugiej linii telefonuje do Renniego.

W końcu – po bardzo, bardzo długim „w końcu” – odezwał się. Sprawiał wrażenie zakłopotanego, a to był już dla mnie dobry znak.

– W sobotę wieczorem?

– Tak, zgadza się. Nie mam tak wielkiej wazy, jaka jest potrzebna, i musiałbym obdzwonić całe miasto. Wydaje mi się, że on ma. Chcę się po prostu upewnić.

– Niech pan posłucha. Z mojej listy zleceń wynika, że pan Dolan ma pojawić się w naszym mieście dopiero w niedzielę po południu, około trzeciej. Oczywiście, któraś z dziewcząt może tej wazy poszukać, ale najpierw chciałbym pewną rzecz wyjaśnić. Pan Dolan nie jest człowiekiem, którego można traktować jak ciula, jeśli wybaczy mi pan mój salonowy język...

– W pełni podzielał tę opinię – wtrąciłem.

– ...więc skoro ma się tutaj pojawić dzień wcześniej, natychmiast wyślę do

jego domu jeszcze kilka sprzątaczek.

– Proszę chwilę zaczekać. Sprawdzę jeszcze raz – odrzekłem.

Na stoliku obok mnie leżała czytanką dla klas trzecich zatytułowana: „Drogi do wszystkich miejsc na świecie”. Sięgnąłem po książkę i trzymając ją tuż przy słuchawce, zacząłem głośno kartkować.

– Och, Boże! – jęknąłem. – To mój błąd. Przyjęcie rzeczywiście ma się odbyć w niedzielę. Strasznie mi głupio. Proszę wybaczyć, że narobiłem tyle zamieszania.

– Nie szkodzi. Proszę jeszcze chwilę zaczekać... Polecę którejś z dziewcząt, żeby sprawdziła tę wazę w.

– Skoro ma się odbyć w niedzielę, to nie ma sprawy – przerwałem szybko. – W niedzielę rano oddadzą mi moją wazę, którą wypożyczyłem na przyjęcie weselne w Glendale.

– W takim razie w porządku. I niech się pan nie przejmuję.

– Pogodny, pozbawiony podejrzliwości ton; ton człowieka, który nie zamierza przetrwać wszystkiego dwa razy.

Taką miałem nadzieję.

Odwiesiłem słuchawkę i siedziałem bez ruchu, układając sobie wszystko w głowie na tyle, na ile potrafiłem. Kalkulowałem.

Dolan, żeby zdążyć do Los Angeles na piętnastą, powinien opuścić Las Vegas w niedzielę około dziesiątej rano. Do miejsca robót drogowych dotrze mniej więcej kwadrans po jedenastej, wpół do dwunastej. Wtedy na autostradzie praktycznie nie będzie żadnego ruchu.

Zdecydowałem, że dosyć tych jałowych spekulacji, że należy przystąpić do działania.

Przejrzałem mnóstwo ogłoszeń, wykonałem kilka telefonów, a następnie udałem się do handlarza używanymi samochodami, gdzie obejrzałem pięć pojazdów, które były w zasięgu moich możliwości finansowych. Zdecydowałem się na zdezelowanego forda pochodzącego z tego roku, kiedy zabita została Elizabeth. Zapłaciłem gotówką. Gdy opuściłem handlarza, zostało mi na koncie tylko dwieście pięćdziesiąt siedem dolarów, lecz nic mnie to nie obchodziło.

W drodze do domu wstąpiłem do wypożyczalni mieszczącej się w budynku o rozmiarach niewielkiego domu towarowego i wypożyczyłem sprężarkę powietrzną, dopłacając brakującą gotówkę z MasterCard.

W piątek, późnym popołudniem, załadowałem furgonetkę. Kilofy, łopaty, sprężarka, ręczne kowadło blacharskie, skrzynka z narzędziami, lornetka, wypożyczony w Wydziale Dróg i Autostrad młot pneumatyczny do rozbijania asfaltu, komplet ostrzy w kształcie grota do strzały, wielka płachta brezentowa piaskowego koloru oraz duży zwój brezentu, który osobiście przyciąłem jeszcze poprzedniego lata. Do tego dwadzieścia jeden cienkich rozpór drewnianych, każda długa na półtora metra, a na końcu przemysłowy zszywacz do stalowych klamer.

Na skraju pustyni zatrzymałem się w centrum handlowym, skąd ukradłem tablice rejestracyjne, które niezwłocznie zamontowałem do swojej furgonetki.

Sto dwadzieścia kilometrów na zachód od Vegas ujrzałem pierwszą pomarańczową tablicę. ROBOTY DROGOWE. JAZDA NA WŁASNE RYZYKO. Około dwóch kilometrów dalej stała ta, na którą czekałem od... no cóż... czekałem od dnia śmierci Elizabeth, jakkolwiek wtedy jeszcze nie miałem o tym najmniejszego pojęcia.

OBJAZD ZA 10 KILOMETRÓW.

Kiedy pojawiłem się na miejscu, żeby dokładnie ocenić sytuację, zmierzch przechodził już w noc. Powinienem być to zawczasu przewidzieć. Trochę żałowałem; ale nie bardzo.

Objazd prowadził w prawo, między dwoma garbami wzniesień, przez które przechodziła autostrada. Była to typowa, niegdyś zabezpieczona po bokach płotem stara droga, którą Wydział Dróg i Autostrad wygładził i poszerzył, przystosowując do chwilowo zwiększonego ruchu. Wjazd oznaczała świetlna strzałka zasilana z buczonego agregatu zamkniętego na kłódkę w stalowej skrzyni.

Tuż za miejscem, gdzie rozpoczynał się objazd, autostradę, która pięła się tam na szczyt kolejnego pagórka, blokował podwójny rząd pachołków. Za nimi (na wypadek, gdyby ktoś był wyjątkowym gapą, minął świetlną strzałkę i przejechał po rzędach pachołków; a podejrzewam, że niektórzy kierowcy są tak nie-

botycznymi głupcami) postawiono pomarańczową tablicę, wielkości tablicy szkolnej, z napisem: DROGA ZAMKNIĘTA. KORZYSTAĆ Z OBJAZDU.

Bardzo się ucieszyłem, że wzniesienie zasłaniało miejsce robót. Nie chciałem, żeby Dolan miał okazję zwęszyć pułapkę, zanim w nią wpadnie.

Szybko, by nikt mnie nie zauważył, wyskoczyłem z furgonetki i przestawiłem tuzin pachołków, tworząc przejazd takiej szerokości, by zmieścił się w nim mój samochód. Tablicę z napisem: DROGA ZAMKNIĘTA przewlokłem na prawą stronę, biegiem wróciłem do auta, wskoczyłem do szoferki i przejechałem na drugą stronę zapory.

Usłyszałem dźwięk nadjeżdżającego samochodu.

Znów wyskoczyłem z furgonetki i zacząłem gorączkowo ustawiać pachołki na miejsce. Dwa wyleciały mi z rąk i potoczyły się do przydrożnego rowu. Dysząc ciężko, zbiegłem po nie, ale w mroku potknąłem się o kamień i rozciągnąłem jak długi na ziemi. Natychmiast zerwałem się na nogi. Na twarzy osiadła mi gruba warstwa kurzu, z dłoni kapała krew. Samochód się zbliżał. Niebawem miał pojawić się na wzniesieniu przed objazdem, a wtedy jego kierowca w świetle reflektorów ujrzałby mężczyznę w dżinsach i podkoszulku próbującego przestawiać pachołki, a obok, tam, dokąd prawo wjazdu miały tylko wozy należące do Wydziału Dróg i Autostrad, zaparkowany cywilny samochód. Postawiłem na miejsce ostatni pachołek i co sił w nogach pobiegłem po tablicę. Pociągnąłem za mocno, toteż o mały włos jej nie przewróciłem.

Kiedy blask reflektorów nadjeżdżającego ze wschodniej strony samochodu stawał się coraz silniejszy, nieoczekiwanie nabrałem pewności, że jest to patrol stanowej policji Nevady.

Znak stał już tam, gdzie poprzednio. A jeśli nawet niedokładnie tam, to wystarczająco blisko szosy, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Pędem ruszyłem do furgonetki, wskoczyłem do środka i odjechałem, by skryć się za wzniesieniem. Gdy tam dotarłem, pierwszą górkę zalało światło reflektorów nadjeżdżającego auta. Czy jego kierowca dostrzegł mój samochód, który stał z wygaszonymi światłami?

Nie sądzę.

Rozparłem się w fotelu, zamknąłem oczy i czekałem, aż serce zacznie mi normalnie bić. W końcu, gdy warkot i klekot podskakującego na wyboistym objeździe samochodu ucichł, bicie serca i oddech wróciły mi do normy.

A więc byłem na miejscu – bezpieczny i za objazdem.

Musiałem wziąć się do roboty.

Za drugim wzniesieniem szosa schodziła łagodnie i dalej, jak okiem sięgnąć, ciągnęła się równiną. Ale dwie trzecie tego płaskiego odcinka autostrady po prostu nie istniały. Piętrzyły się tam aż po horyzont pryzmy ziemi oraz kopy żuźlu i żwiru.

Czy nie zauważą tego w porę i nie zatrzymają się? Czy nie zawrócą? A może pojedą dalej, jeśli nie dostrzegą żadnych znaków ostrzegawczych?

Było już za późno na takie spekulacje.

Wybrałem teren odległy o dwadzieścia metrów od miejsca, gdzie zaczynał się płaski odcinek drogi. Jakies czterysta metrów dalej asfalt się urywał. Zatrzymałem się na poboczu, wyskoczyłem z kabiny i przeszedłem na tył pojazdu. Otworzyłem drzwi. Ułożyłem kilka desek i po nich wyniosłem z auta sprzęt. Chwilę odpoczywałem, patrząc w zimne, pustynne gwiazdy.

– Jesteśmy, Elizabeth – szepnąłem do tych gwiazd.

Odniosłem wrażenie, że jakaś zimna dłoń musnęła mi kark.

Sprężarka zagrzmiała niczym silnik rakietowy, a huk młota pneumatycznego był jeszcze gorszy. Ale nic na to nie mogłem poradzić. Mogłem jedynie żywić nadzieję, że przed północą uporam się z pierwszą częścią zadania. Gdyby praca się przeciągnęła, byłbym w kropce, gdyż miałem ograniczony zapas paliwa do kompresora.

Nieważne. Po co przejmować się tym, czy ktoś słucha i zastanawia się, co za idiota w środku nocy pracuje młotem pneumatycznym. Myślałem o Dolanie. Myślałem o szarym sedanie DeVille.

Myślałem o łuku spadania.

Najpierw za pomocą kredy, taśmy mierniczej i wyliczeń mego znajomego matematyka wyznaczyłem zarys grobu. W mroku białął naszkicowany z grub-

sza prostokąt o szerokości około półtora metra i o długości trzynastu. Bliższy mnie koniec był nieco szerszy. W mroku rysunek nie przypominał kształtem zwężającego się komina, tak jak to było na wykresie, który wyrysował mój znajomy. Przypominał bardziej szeroki wlot do długiej, prostej tchawicy. A wszystko po to, żeby cię lepiej pożarł, mój drogi – pomyślałem i uśmiechnąłem się w ciemnościach.

W poprzek naszkicowanego kredą tego prawie prostokąta przeciągnąłem dwadzieścia linii, tworząc pasy o szerokości mniej więcej sześćdziesięciu centymetrów każdy. Później wyrysowałem pojedynczą pionową krechę przez środek, dzięki czemu powstała krata złożona z czterdziestu figur zbliżonych do kwadratu. Każda z nich miała wymiary sześćdziesiąt na siedemdziesiąt pięć centymetrów. Segment czterdziesty trzeci, pierwszy i nieprzekreślony rozszerzały się niczym szufla.

Zakasałem rękawy, uruchomiłem sprężarkę i zabrałem się do pierwszego.

Praca posuwała się zwawiej, niż zakładałem, ale wolniej, niż miałem nadzieję. Czy tak jest zawsze? Wszystko nabierze tempa, gdy przyjdzie kolej na ciężki sprzęt, ale to nastąpi później. Najpierw musiałem zerwać nawierzchnię szosy. Nie skończyłem do północy. Nie skończyłem nawet do trzeciej nad ranem, kiedy wyczerpało mi się paliwo. Przewidziałem taką okoliczność i zabrałem ze sobą pompkę do przelewania benzyny z baku furgonetki. Ale kiedy odkręciłem nakrętkę i w nozdrza uderzył mnie zapach ropy, po prostu zakręciłem bak i położyłem się na pace samochodu.

Dosyć, na dzisiaj dosyć. Nie mogłem. Chociaż pracowałem w roboczych rękawicach, na dłoniach porobiły mi się bąble; wiele krwawiło. Od wibracji, w które wprawiał je młot pneumatyczny, ciało dygotało jak w febrze, a ramiona drżały niczym oszalały kamerton. Bolała mnie głowa, kark miałem zdrętwiały i czułem, że kręgosłup wypełnia mi sproszkowane szkło.

Wyciąłem dwadzieścia osiem kwadratów.

Dwadzieścia osiem.

Zostało czternaście.

A to przecież zaledwie początek zadania.

Nigdy – pomyślałem. – To nierealne. Nie dam rady.

I znów dotyk lodowatej dłoni.

Dasz radę, kochanie, dasz.

Dzwonienie w uszach nieco ucichło. Co pewien czas słyszałem dźwięk silnika samochodowego... po chwili niknął po prawej stronie, kiedy pojazd skręcał w objazd i szerokim łukiem omijał odcinek autostrady, na którym trwały prace.

Jutro sobota... przepraszam, już dziś jest sobota – pomyślałem.

– Dziś jest sobota. A Dolan pojawi się w niedzielę. Mam niewiele czasu.

Zgadza się, kochanie.

Eksplozja rozdarła Elizabeth na strzępy.

Moja najdroższa rozerwana została na strzępy za to, że chciała powiedzieć policji o tym, czego była świadkiem; została rozdarta na strzępy za to, że nie dała się zastraszyć, za odwagę. A Dolan ciągle jeździł po świecie swoim sedanem, pijał dwudziestoletnią whisky, a na ręce lśnił mu rolex.

Spróbuję – pomyślałem i zapadłem w kamienny, pozbawiony jakichkolwiek majaków sen, który bardziej przypominał śmierć.

Obudziłem się o ósmej, kiedy upalne słońce zaświeciło mi w twarz. Usiadłem i z krzykiem przyłożyłem pulsujące bólem dłonie do krzyża. Praca? Wyciąć pozostałe czternaście kwadratów asfaltu? Przecież nie byłem nawet w stanie chodzić.

Ale musiałem. Musiałem chodzić, więc chodziłem.

Poruszając się jak grający w shuffleboard starzec, poczłapałem do szoferki i ze skrytki wyciągnąłem buteleczkę z etopiryną, którą zabrałem ze sobą na wypadek takiego właśnie przebudzenia.

Czyżbym naprawdę sądził, że jestem w formie? Czy naprawdę tak sądziłem?

Śmieszne, prawda?

Popiłem wodą cztery tabletki, odczekałem kwadrans, żeby rozpuściły się w żołądku, a następnie z wilczym apetytem pochłonałem śniadanie złożone z suszonych owoców i obrzydliwych na zimno pierożków z mięsem.

Popatrzyłem w stronę kompresora i młota pneumatycznego. Żółta blaszana

obudowa sprężarki już teraz zdawała się skwierczeć w promieniach ostro grzejącego, porannego słońca. Potem skierowałem wzrok na starannie wycięte poprzedniego wieczoru kwadraty w asfalcie.

Wcale nie chciało mi się tam iść i ponownie chwytać za młot. Przypomniały mi się słowa Blockera: „Nigdy już, braciszku, nie nabierzesz krzepy. Niektóre rośliny i niektórzy ludzie wytrzymują na słońcu. Inni więdną i umierają... Dlaczego włazisz w takie gówno?”.

– Bo rozerwało ją na strzępy – zaskrzeczałem. – Ja ją kochałem, a ona została rozdarta na strzępy.

Nie była to zachęta w rodzaju okrzyku: „Dawaj, stary!” czy „Dołóż mu!”, niemniej skłoniło mnie do działania. Krztusząc się od smaku i smrodu paliwa, najwyższym wysiłkiem woli zatrzymując w żołądku niedawno zjedzone śniadanie, przepompowałem ropę z baku furgonetki. Błysnęło mi w głowie pytanie, co będzie, jeśli przed długim weekendem drogowcy usunęli z maszyn paliwo, ale natychmiast odsunąłem od siebie tę myśl. Nie było sensu martwić się na zapas tym, na co i tak nie miałem wpływu. Coraz bardziej czułem się jak człowiek, który wyskoczył z B-52 z parasolem zamiast spadochronu.

Zaniósłem pełen kanister do kompresora i nappełniłem jego bak. Lewą dłonią musiałem zacisnąć palce prawej ręki na lince startowej sprężarki. Pociągnąłem za sznurek, a wtedy większość pęcherzy pękła. Urządzenie już pracowało, gdy spostrzegłem, że z prawej dłoni cieknie mi ropa.

Nie uda się.

Błagam, kochanie.

Sięgnąłem po młot. Uruchomiłem go.

Najgorsza była pierwsza godzina, później nieustanny łoskot i wibracje w połączeniu z etopiryną sprawiły, że cały zdrętwiałem – plecy, ręce, głowa. O jedenastej wyciąłem ostatni blok asfaltu. Nadeszła chwila, kiedy miałem się przekonać, ile zapamiętałem z nauk Tinkera na temat, jak uruchamia się maszyny drogowe za pomocą krótkiego spięcia.

Na miękkich nogach, zataczając się, podszedłem do furgonetki, po czym pojechałem nią dwa i pół kilometra dalej, do miejsca, gdzie prowadzono prace

drogowe.

Maszynę zauważyłem prawie natychmiast. Ogromna, jednonaczyniowa ładowarka Case-Jordan z zamontowanym z tyłu potężnym chwytakiem; maszyna warta sto trzydzieści pięć tysięcy dolarów. U Blockera pracowałem na caterpillarze, ale oba typy ładowarki funkcjonowały na podobnej zasadzie.

Przynajmniej taką miałem nadzieję.

Wgramoliłem się do kabiny i popatrzyłem na umieszczoną obok dźwigni biegów tabliczkę z diagramem. Wyglądała identycznie jak ta w caterpillarze. Kilkakrotnie zmieniałem biegi. Początkowo szło opornie, ponieważ do skrzyni biegów dostał się piasek. Facet operujący maszyną nie założył gumowego kołnierza ochronnego, a nadzorca tego nie sprawdził. Blocker by sprawdził i obciąłby pracownikowi z wypłaty pięć dolarów bez względu na to, czy zbliżał się długi weekend, czy nie.

Oczy Blockera. Na poły pełne podziwu, na poły pełne pogardy. Co by pomyślał o moim przedsięwzięciu?

Nieważne. Nie miałem czasu rozmyślać o Harveyu Blockerze. Musiałem myśleć o Elizabeth. I o Dolanie.

Na stalowej podłodze maszyny leżał w charakterze dywanika jutowy worek. Podniosłem go w nadziei, że znajdę kluczyki. Naturalnie nie znalazłem.

Pod czaszką usłyszałem głos Tinkera: „Kurczę blade, byle szczeniak za pomocą krótkiego spięcia uruchomi każde z tych maleństw, białasku. Co w tym trudnego? Każdy pojazd można tak uruchomić. Popatrz tutaj. Nie, nie tam, gdzie się wkłada kluczyki, bo przecież ich nie masz. Co się tak gapisz? Popatrz tu. Widzisz te kabelki?”.

Popatrzyłem na zwisające przewody. Wyglądały dokładnie tak samo jak tamte, które pokazywał mi Tinker: czerwony, niebieski, żółty i zielony. Z końcówki każdego zdarłem po dwa centymetry izolacji, po czym z tylnej kieszeni spodni wyjąłem miedziany drut.

„W porządku, białasku. Posłuchaj uważnie, bo później nie będzie czasu na pytania i odpowiedzi, kapewu? Połącz ten czerwony z zielonym. Nie zapomnisz, bo są to kolory Bożego Narodzenia. Wtedy silnik załapie”.

Połączyłem miedzianym drucikiem zielony przewód case-jordana z czerwonym. Pustynny wiatr gwizdał cicho, jakby ktoś dmuchał w wylot butelki po wodzie sodowej. Po karku ściekał mi pot i wpływał za koszulę. Aż mnie plecy zaczęły od tego swędzieć.

„Teraz weź niebieski i żółty. Nie musisz ich wiązać drutem. Zetknij tylko i uważaj, żeby nie dotknąć któregoś paluchami, bo ci się jaja zagotują. Niebieski i żółty uruchamiają starter. Później je puść. Kiedy już będziesz miał dosyć przejażdżki cudzą maszyną, po prostu rozłącz czerwony i zielony. To tak, jakbyś wyjął kluczyki ze stacyjki”.

Zetknąłem niebieski i żółty. Przeskoczyła między nimi wielka żółta iskra. Gwałtownie cofnąłem głowę i uderzyłem potylicą w jeden z metalowych słupków kabiny. Po chwili jednak znów pochyliłem się, po czym jeszcze raz zetknąłem druty. Silnik zakaszłał i ładowarką spazmatycznie szarpnęło. Poleciałem do przodu, na tablicę rozdzielczą, a lewym policzkiem wyrznąłem w drążek sterowniczy. Oczywiście, zapomniałem ustawić przekładnię na luz i w rezultacie o mało nie straciłem oka. Prawie słyszałem gromki, szydery śmiech Tinkera.

Przestawiłem dźwignię biegów i ponownie złączyłem przewody.

Silnik zacharczał, z komina buchnął obłok śmierdzącego, brązowego dymu, który natychmiast został rozpędzony przez nieustannie wiejący wiatr. Motor krztusił się. Wmawiałem sobie, że maszyna jest po prostu w fatalnym stanie – człowiek, który nie opuścił gumowej osłony przed piaskiem, mógł zapomnieć o wszystkim – ale nabierałem coraz większej pewności, że, tak jak się obawiałem, robotnicy opróżnili zbiorniki.

Kiedy już chciałem wyskoczyć z kabiny i zmierzyć prętem poziom paliwa (*zawsze lepiej spojrzeć prawdzie w oczy, choćby była najgorsza, kochanie*), silnik zaczął równo pracować.

Rozłączyłem druty – pozbawiony izolacji fragment niebieskiego przewodu dymił – i otworzyłem przepustnicę. Kiedy silnik się rozgrzał, wrzuciłem pierwszy bieg, odwróciłem maszynę wokół jej własnej osi i ruszyłem w stronę długiego, brązowego prostokąta wyciętego równo w prowadzącym na zachód paśmie autostrady.

Resztę dnia wspominam jako przerażające piekło wypełnione rykiem silnika i palącym, oślepiającym słońcem. Operator case-jordana zapomniał wprowadzić osłonę przeciwpiaaskową, ale nie omieszkał zabrać znad kabiny brezentowej plandeki chroniącej przed palącymi promieniami słońca. No cóż, zgaduję, że starzy bogowie również lubią się czasami pośmiać. Nie wiedzieć dlaczego. Po prostu lubią. Ponadto uważam, że starzy bogowie mają wypaczone poczucie humoru.

Ponieważ nigdy nie opanowałem precyzyjnego operowania dźwigiem, prawie do drugiej po południu gołymi rękami wrzucałem bryły zdartego asfaltu do przydrożnego rowu. Przypominając kształtem łopatę końcówką urządzenia rozcinałem płaty asfaltu na pół, a następnie przenosiłem je i wyrzucałem za szosę. Bałem się, że jeśli użyję dźwigu, to je pokruszę.

Kiedy już cały asfalt znalazł się w przydrożnym rowie, odstawiłem ładowarkę tam, skąd ją wziąłem. Miała niewiele paliwa, więc przyszła pora, żeby przepompować trochę benzyny z furgonetki. Zatrzymałem się przy samochodzie, sięgnąłem po plastikowy przewód... i wzrok mój spoczął na dwudziestolitrowym, blaszanym pojemniku z wodą. Odrzuciłem na bok przewód i popełziłem w głąb auta. Jęcząc z rozkoszy, zacząłem polewać sobie twarz, kark i tors. Wiedziałem, że jeśli się napiję, natychmiast zwymiotuję. Ale musiałem się napić. Napiłem się i zwymiotowałem. Nawet nie wyszedłem z samochodu, tylko odwróciłem głowę. Później odpełziłem jak najdalej od bałaganu, jakiego narobiłem.

Zapadłem w sen, a gdy się zbudziłem, było już prawie ciemno. Gdzieś w od-dali do stojącego na purpurowym niebie księżycu w pełni wył samotny wilk.

W niknącym świetle dnia wyłom w asfalcie rzeczywiście przypominał grób – grób jakiegoś mitycznego olbrzyma. Może Goliata.

– Nic z tego – powiedziałem, kierując te słowa do asfaltu. *Błagam* – odszepnęła Elizabeth. – *Błagam... dla mnie*. Wyjąłem ze skrytki cztery kolejne tabletki etopiryny i przełknąłem je.

– Dla ciebie – mruknąłem.

Podjechałem case-jordanem do buldożera od strony, gdzie znajdował się jego bak. Operator maszyny należący do ekipy stanowej mógł wprawdzie pojechać do domu, zapomniawszy opuścić osłonę przeciwpiaaskową, ale czy, skoro litr ropy kosztował dolara i pięćdziesiąt centów, mógłby zapomnieć zakręcić korek wlewu paliwa? Nigdy.

Przepompowałem ropę z buldożera do ładowarki, a potem siedziałem chwilę bez ruchu; starając się o niczym nie myśleć, spoglądałem na wschodzący coraz wyżej księżyc. Później podjechałem do wycięcia w asfalcie i zacząłem kopać.

Kierowanie ładowarką w blasku księżycy okazało się zajęciem znacznie prostszym niż operowanie w palących promieniach słońca młotem pneumatycznym. Niemniej praca posuwała się powoli, gdyż chciałem, żeby dno wykopu było pochylone pod dokładnie wymierzonym kątem. W konsekwencji nieustannie sprawdzałem to nachylenie stolarską wasserwągą. Każda taka operacja wymagała zatrzymania maszyny, zeskoczenia na ziemię, pomiaru nachylenia dna i powrotu do kabiny. W normalnych warunkach nie stanowiłoby to najmniejszego problemu, lecz gdy wybiła północ, moje ciało zeszywniało, a każdy ruch powodował straszliwy ból w kościach i mięśniach. Najgorszy był krzyż. Podejrzewałem, że naprawdę wyrządziłem sobie jakąś krzywdę.

Ale tym, podobnie jak wszystkim innym, miałem się martwić później.

Gdybym naprawdę musiał wykopać dół długości blisko trzynastu metrów, szerokości półtora metra i tej samej głębokości, byłaby to dla ładowarki praca niemożliwa do wykonania w tak krótkim czasie. Z równym powodzeniem mógłbym maszynę wyrzucić w przestrzeń kosmiczną lub postawić na niej Tadz Mahal. Żeby tego dokonać, musiałbym przerzucić ponad dwadzieścia osiem metrów sześciennych ziemi.

„Musisz stworzyć pułapkę o kominowatym kształcie, która wessie tych twoich wrogich obcych – oświadczył mi znajomy matematyk. – A jej dno powinno być nachylone tak, żeby mogło w pewien sposób odegrać rolę łuku spadania”.

Wyciągnął kolejny wykres.

„To oznacza, że ci twoi intergalaktyczni powstańcy, czy kim tam oni są, muszą wybrać jedynie połowę ilości ziemi, którą wskazywały początkowe wylicze-

nia. W tym konkretnym przypadku... – Nabazgrał coś na kartce i rozpromienił się.

– Trochę ponad czternaście metrów sześciennych. Kaszka z mleczkiem. Taką pracę człowiek mógłby w pojedynkę wykonać łopata”.

Wtedy w to uwierzyłem, lecz nie wziąłem pod uwagę upału... pęcherzy na dłoniach... wyczerpania... nieustannego bólu w krzyżu.

Przerwa; ale niezbyt długa. Pomiar nachylenia dna.

Mogło być gorzej, kochanie, prawda? Masz ostatecznie do czynienia tylko z podłożem szosy, a nie ze zbitym pustynnym zlepkiem...

W miarę jak głębokość dołu rosła, poruszałem się coraz wolniej. Zaciśnięte na drążkach sterowniczych dłonie krwawiły. Pchałem mocno do przodu dźwignię, aż łyżka ładowarki opadała na dno wykopu. Ciągnąłem drążek do siebie, a następnie chwyciłem inny. Ten z ostrym, hydraulicznym jękiem prostował ramię koparki, na którego końcu znajdowała się łyżka. Obserwowałem, jak z brudnej, pomarańczowej otuliny wysuwa się jasna, naoliwiona, metalowa rura wpychająca czerpak w ziemię. Od czasu do czasu stalowa łyżka, kiedy trafiła na krzemień, krzesła iskry. Podnosiłem ramię z czerpakiem... obracałem je – ciemny podługowaty kształt na tle rozgwieżdżonego nieba (starałem się nie zwracać uwagi na pulsującą bólem szyję oraz jeszcze mocniejszy ból przeszywający krzyż) – i wyrzucałem zawartość łyżki do przydrożnego rowu, zasypując zwalone tam bryły asfaltu.

Nieważne, kochanie. Jak skończysz, zabandażujesz sobie dłonie. Zabandażujesz, jak z nim skończysz.

– Rozerwało ją na strzępy – wychrypiałem i ponownie zanurzyłem czerpak w dole, żeby z grobu Dolana wydobyć kolejne sto kilogramów ziemi i żwiru.

Kiedy człowiek dobrze się bawi, czas szybko płynie.

W chwilę po tym, jak ujrzałem na niebie pierwszy brzask, dokonałem za pomocą stolarskiej wasserwagi kolejnego pomiaru nachylenia dna. Zbliżałem się do końca pracy; wydawało mi się nawet, że nie muszę pogłębiać dołu. Przykucnąłem w wykopie i posłyszałem cichy trzask w krzyżu.

Wydałem zduszony okrzyk i upadłem na bok, na wąskie, pochyłe dno wykopu. Zacisnąłem zęby, dłonie przyłożyłem do pleców.

Powoli ból mijał i w końcu mogłem dźwignąć się na nogi.

W porządku – pomyślałem. – O to chodzi. Koniec. To była ostra próba, ale więcej już nie dam rady.

Błagam, kochanie – odparła szeptem Elizabeth. Niesamowite, że jej głos, tak pełen ufności i wiary, teraz nabrał nieprzyjemnej barwy; stał się nieprzejednany. – *Błagam, nie poddawaj się. Ciągnij dalej.*

Co? Mam dalej kopać? Nie wiem nawet, czy zdołam zrobić krok!

Ależ zostało tak niewiele do zrobienia! – zawodził mi pod czaszką głos. Przestał to już być głos, który wstawiał się za Elizabeth; to była sama Elizabeth. – *Tak niewiele zostało, kochanie!*

W coraz jaśniejszym świetle nadchodzącego dnia popatrzyłem na jamę i powoli skinąłem głową. Miała rację. Do wykopania zostało mi zaledwie półtora metra, najwyżej dwa. Ale były to najgłębsze dwa metry w moim życiu. Dwa metry piasku do wykopania.

Zrobisz to, kochanie... wiem, że stać cię na to.

Słodko, przymilnie.

Ale tak naprawdę to nie głos Elizabeth skłonił mnie do kontynuowania tego, co zacząłem. Sprawiał to obraz Dolana, który stanął mi przed oczyma. Dolana śpiącego w swoim apartamencie na szczycie wieżowca, podczas gdy ja stałem w wykopie obok cuchnącej ropą ładowarki, której silnik dudnił i grzmiał. Byłem oblepiony brudem, dłonie miałem odarte do krwi, a Dolan spał tylko w spodniach od jedwabnej pidżamy. Obok niego leżała jedna z jego blondynek ubrana tylko w bluzę.

Na dole, w oszklonej przybudówce obok parkingu, ładowano jego bagaż do cadillaca, wlewano do baków paliwo, tak żeby auto było w każdej chwili gotowe do drogi.

– Jeśli tak, to dobrze – mruknąłem.

Powoli wspiąłem się na siodełko operatora ładowarki i odwróciłem maszynę.

Pracowałem do dziewiątej, po czym zrobiłem sobie przerwę – zostało mi jeszcze wiele innych rzeczy do zrobienia. Dół o pochyłym dnie miał jedenaście metrów długości. To powinno wystarczyć.

Odstawiłem ładowarkę tam, skąd ją wzięłem. Wiedziałem, że będę jej jeszcze używał, a to oznaczało, że będę musiał jeszcze raz przepompować paliwo do baków, ale chwilowo nie miałem na to czasu. Powinienem zażyć następne etopiryny. W fiolce pozostało jednak już niewiele tabletek, a wiedziałem, że będę ich rozpaczliwie potrzebował później... i następnego dnia. O, tak! Następny dzień – poniedziałek, wspaniały Czwarty Lipca.

Zamiast etopiryny zażyłem piętnastominutowego odpoczynku. Zdawałem sobie sprawę, że być może marnuję czas, ale zmusiłem się do tego. Leżałem na plecach na pace furgonetki i rozmyślałem o Dolanie. W mięśniach czułem skurcze.

Zapewne zbierał już ostatnie drobiazgi – jakieś papiery, które chciał przejrzeć podczas podróży, neseser z przyborami toaletowymi, może jakąś książkę lub talię kart.

A jeśli tym razem poleci samolotem? – szepnął mi w umyśle jakiś złośliwy głos.

Jęknąłem cicho. Na to już nie miałem wpływu. Jak dotąd Dolan nigdy nie latał do Los Angeles samolotem – zawsze jeździł sedanem DeVille. Nawet mi do głowy nie przyszło, że mógłby zrobić inaczej. A przecież czasami latał samolotem... raz poleciał do Londynu. Myśl ta nie dawała mi spokoju, doskwierała, swędziała, pulsowała jak obrzydliwy liszaj.

O wpół do dziesiątej wyciągnąłem z samochodu zwój brezentu, wielki spinacz, przemysłowe klamry i drewniane rozpory. Dzień wstał pochmurny i nie było upału – czasami Bóg lubi okazać łaskę. Aż do tej chwili, dręczony gorszymi dolegliwościami, nie zwracałem uwagi na swoją łysą głowę. Kiedy jednak dotknąłem jej palcami, aż syknąłem z bólu i natychmiast cofnąłem dłoń. Przejrzałem się we wstecznym lusterku od strony pasażera. Skórę miałem wściekle czerwoną – prawie koloru śliwki.

W Las Vegas Dolan zapewne odbywał ostatnie rozmowy telefoniczne, a szofer podprowadził już cadillaca przed front domu. Dzieliło nas około stu dwudziestu kilometrów i już niebawem szary samochód miał zacząć zmniejszać ten dystans z szybkością stu kilometrów na godzinę. Nie mogłem więc stać bezczynnie i biadolić nad spaloną słońcem łysiną.

Uwielbiam twoją spaloną słońcem głacę, kochanie – odezwała się zza moich pleców Elizabeth.

– Dziękuję, Beth – odrzekłem i zacząłem przenosić do jamy drewniane rozpory.

W porównaniu z kopaniem ta praca była lekka, a okropny, prawie nie do zniesienia ból w krzyżu uspokoił się, przechodząc w tępe pulsowanie.

Ale co później? – zapytał przymilnie głos. – *Jak myślisz, hmmm?*

Później będę musiał zająć się sobą, to wszystko. Teraz liczyło się tylko to, że pułapka była prawie gotowa.

Rozpory spinające brzegi jamy dopasowałem tak, że mogłem oprzeć je mocno na krawędziach asfaltu, który stanowił najwyższą warstwę wykopu. Praca byłaby znacznie trudniejsza, gdyby asfalt stwardniał. Teraz jednak, w środku dnia, czarna masa nabrała miękkości i mocowanie rozpór przypominało wtykanie ołówków w cukierki toffi.

Kiedy już umieściłem rozpory, dół ponownie przybrał wygląd wyrysowanego kredą diagramu, z tym tylko, że nie było długiej, pionowej linii ciągnącej się przez środek. Położyłem ciężki zwój brezentu przy płytszej stronie jamy i rozwiązałem troki.

Rozwinąłem trzynaście metrów szosy 71.

Z bliska nie wyglądało to najlepiej – makijaż na twarzach aktorów i dekoracje sceniczne nigdy nie prezentują się dobrze z trzech pierwszych rzędów. Ale już z odległości kilkunastu metrów brezent był nie do wykrycia. Jego ciemnoszary kolor idealnie harmonizował z barwą nawierzchni drogi. Po lewej stronie rozesłanego brezentu (jeśli stanęło się twarzą w kierunku zachodnim) biegła przerywana żółta linia. Posuwając się powoli wzdłuż dołu, przypiąłem brezent

przemysłowymi zszywaczami do drewnianych rozpór. Ręce nie chciały pracować, ale pochlebstwami i przymilaniem się jakoś skłoniłem je do wykonania tego zadania.

Kiedy już płachta została należycie zamocowana, wróciłem do furgonetki, wślizgnąłem się za kierownicę (czynności tej towarzyszył okropny skurcz mięśni) i podjechałem na szczyt wzniesienia. Stałem tam całą minutę i spoglądałem na opuchnięte, poharatane, złożone na podołku dłonie. Później wysiadłem z auta i popatrzyłem przelotnie na drogę 71. Wiecie, nie chciałem skupiać uwagi na jakiejś konkretnej rzeczy. Pragnąłem ogarnąć wzrokiem całość – *gestalt*, jeśli wolicie. Chciałem, na ile to możliwe, spojrzeć na wykop oczyma Dolana i jego ludzi, kiedy będą zjeżdżać ze wzniesienia i dopiero w ostatniej chwili zobaczą pułapkę. Chciałem widzieć, jak wspaniale – czy jak okropnie – to odczują.

Wszystko wyglądało lepiej, niż się spodziewałem.

Majaczące w niedalekiej perspektywie prostej szosy maszyny drogowe doskonałe tłumaczyły stertę ziemi, którą wyrzuciłem z wykopu do przydrożnego rowu. Prawie całkowicie zakrywała bryły asfaltu. Wprawdzie niektóre wystawały spod piachu – wzmagający się wiatr porywał ziemię – ale sprawiały wrażenie pozostałości po jakichś innych, dawnych pracach drogowych. Kompresor wyglądał jak używany w takich sytuacjach sprzęt Wydziału Dróg i Autostrad.

Brezent idealnie udawał asfalt – z miejsca, w którym się znajdowałem, szosa wydawała się nietknięta.

W piątek na autostradzie panował ogromny ruch; w sobotę jeszcze większy – nieustannie dobiegał mnie szum silników zmierzających w kierunku objazdu samochodów. W niedzielę jednak ruch praktycznie zamarł. Ludzie dojechali już tam, gdzie zamierzali świętować Czwarty Lipca, lub też zdecydowali się na jazdę autostradą międzystanową biegnącą sześćdziesiąt pięć kilometrów na południe od szosy 71. Do moich planów pasowało to wyśmienicie.

Zaparkowałem furgonetkę tuż za grzbietem wzgórza, by była niewidoczna z drugiej strony, wyszedłem z szoferki, położyłem się na ziemi na brzuchu i przeleżałem tak do dziesiątej czterdzieści pięć. Gdy za zakrętem objazdu znik-

nęła już posuwająca się w ślimaczym tempie cysterna z mlekiem, podjechałem furgonetką do rozjazdu, otworzyłem tylne drzwi i powrzucałem do środka blokujące drogę pachołki.

Błyskająca strzałka sprawiła mi większą trudność. Początkowo nie miałem zielonego pojęcia, jak odczepić ją od skrzyni z agregatem, nie narażając się przy tym na porażenie prądem. Szybko jednak znalazłem wtyczkę. Prawie cała była skryta w gumowej obudowie w kształcie litery O, tuż obok tabliczki znamionowej... niewielkie zabezpieczenie przed wandalami i żartownisiami, którym mogło przyjść do głowy splątanie wspaniałego figla polegającego na wyłączeniu na autostradzie ostrzegawczego znaku. Tak mi się w każdym razie wydawało.

Ze skrzynki z narzędziami, którą miałem w samochodzie, przyniosłem młotek i dłutko. Wystarczyły cztery mocne uderzenia, żeby gumowa obudowa pękła. Za pomocą kombinerek przeciąłem przewody. Strzałka ściemniała i przestała mrugać. Wepchnąłem skrzynkę z agregatem do rowu, a potem przysypałem ją ziemią. Osobliwie było tak stać i słyszeć dochodzący spod piasku cichy pomruk urządzenia. Pomyślałem o Dolanie i uśmiechnąłem się pod nosem.

Nie sądzę, żeby Dolan mrucał.

Będzie wrzeszczał, ale na pewno nie mrucał.

Strzałka została zawieszona na niskim stalowym rusztowaniu i przymocowana do niego czterema śrubami. Odkręciłem je najszybciej, jak potrafiłem, jednocześnie bacznie nasłuchując, czy nie nadjeżdża kolejny samochód. Był już najwyższy czas, żeby się jakiś pojawił – ale z pewnością nie był to jeszcze czas na Dolana.

I znów odezwał się w mojej głowie pesymistyczny głos:

A jeśli zdecydował się na samolot?

Nie lubi latać.

Więc jeśli nawet wybrał się samochodem, mógł pojechać inną drogą. Na przykład międzystanówką. Dziś wszyscy...

Zawsze jeździ szosą 71.

Zgoda, lecz jeśli...

– Zamknij się! – syknąłem. – Zamknij się, do cholery ciężkiej! Zamknij się, do kurwy nędzy!

Uspokój się, kochanie! Uspokój się! Wszystko będzie dobrze.

Wrzuciłem strzałkę na pakę furgonetki. Uderzyła mocno w boczną ścianę. Rozprysnęło się kilka kolejnych żarówek. Większość stłukła się wcześniej, kiedy zdejmowałem ją z rusztowania.

Kiedy już się uporałem ze strzałką, wróciłem na wzniesienie. Przystanąłem tam i spojrzałem za siebie. Usunąłem strzałkę i pachołki. Została jedynie wielka pomarańczowa tablica ostrzegawcza z napisem: DROGA ZAMKNIĘTA. KORZYSTAĆ Z OBJAZDU.

Nadjeżdżał jakiś samochód. Przyszło mi na myśl, że jeśli Dolan pojawi się wcześniej, wszystkie moje plany wezmą w łeb. Siedzący za kierownicą bandzior skręci po prostu w objazd, zostawiając mnie, oszalałego ze wściekłości, na pustyni.

To był chevrolet.

Uspokoilo się bijące mi jak oszalałe serce, odetchnąłem z ulgą.

Nie wolno dać się ponieść nerwom.

Podjechałem znów do miejsca, gdzie znajdowała się pułapka, i tam zatrzymałem samochód. Sięgnąłem pod stertę rzuconego w nieładzie z tyłu auta bagażu i wyciągnąłem podnośnik. Ignorując przeszywający krzyż ból, uniosłem tył furgonetki. Odkręciłem koło i wrzuciłem je na pakę, żeby, kiedy (jeśli) pojawią się tutaj, widzieli uszkodzony samochód. Pękły kolejne żarówki w świetlnej strzałce. Mogłem tylko mieć nadzieję, że odłamki szkła nie przebiją opony, gdyż nie wziąłem zapasowego koła.

Wróciłem do szoferki, zabrałem sfatygowaną lornetkę i pieszo ruszyłem w stronę objazdu. Minąłem go, po czym, najszybciej jak zdołałem, wbiegłem na szczyt pierwszego wzniesienia. Stać mnie jednak było tylko na chwiejny, słamazarzny trucht.

Kiedy już byłem na górze, skierowałem lornetkę na wschód.

Miałem stamtąd widok prawie na pięć kilometrów, w tym na ponad trzy kilometry szosy. Dostrzegłem na niej sześć pojazdów, rozrzuconych nierówno ni-

czym koraliki na nitce. Pierwszy jechał samochód zagraniczny, datsun albo subaru, i był odległy o niecałe półtora kilometra. Za nim posuwała się jakaś półciągarówka, a za nią auto przypominające forda mustanga. Pozostałe pojazdy widziałem jedynie jako błyski światła, które odbijało się w chromach i szkle.

Kiedy pierwszy samochód – subaru – był już blisko, wyprostowałem się i wyciągnąłem kciuk. Nie sądziłem, żeby wóz się zatrzymał. Nie rozczarowałem się. Siedząca za kierownicą bogato ubrana kobieta obrzuciła mnie przerażonym spojrzeniem i skrzywiła się, jakby dostała pięścią prosto między oczy. Po chwili auto zniknęło za wzniesieniem i skręciło w objazd.

– Wykąpałbyś się, chłopie! – krzyknął pół minuty później kierowca półciągarówki.

Mustang okazał się fordem escortem. Za nim pojawił się plymouth, a następnie winnebago, z którego dobiegały takie odgłosy, jakby cała chmara dzieciaków prowadziła w środku wojnę na poduszki.

Dolana ani śladu.

Popatrzyłem na zegarek. Jedenasta dwadzieścia pięć. Jeśli się pojawi, pojawi się lada chwila. Był już najwyższy czas.

Wskazówki mego zegarka przesunęły się powoli na jedenastą czterdzieści, a Dolana ani widu, ani słyhu. Minął mnie najnowszy model forda i czarny jak gradowa chmura karawan.

Nie pojawi się. Wybrał międzystanówkę. Albo poleciał samolotem.

Nie! Pojawi się!

Na pewno się nie pojawi. Obawiałeś się, że zwęszy niebezpieczeństwo i rzeczywiście je zwęszył. Dlatego odstąpił od swoich zwyczajów.

Dostrzegłem kolejny odbłask promieni słonecznych w chromie. To był duży samochód. Jak cadillac.

Położyłem się na brzuchu na poboczu szosy, łokcie wsparłem na ziemi i przyłożyłem lornetkę do oczu. Auto zniknęło za wzniesieniem... pojawiło się... skryło się za zakrętem... i ponownie się pojawiło w zasięgu mego wzroku.

Tak, był to cadillac, ale nie szary – miał barwę soczystej zieleni.

Nastąpiło trzydzieści najstraszliwszych sekund mego życia. Trzydzieści se-

kund, które wydawały mi się trzydziestoleciem. Część mego umysłu zdecydowała natychmiast – jednoznacznie i nieodwołalnie – że Dolan sprzedał starego cadillaca i kupił nowego. Z całą pewnością robił to już nieraz, a jakkolwiek nigdy dotąd nie kupował zielonego, to ostatecznie kupno zielonego pojazdu nie jest przestępstwem.

Druga część mego umysłu zaprotestowała gwałtownie, twierdząc, że na autostradach między Vegas a Los Angeles na dwanaście pojazdów jedzie dziesięć cadillaców, toteż szanse, że ten zielony samochód należy do Dolana, są jak sto do jednego.

Pot zalewał mi oczy, widziałem wszystko jak przez mgłę. Odstawiłem lornetkę od oczu. I tak w niczym już mi nie mogła pomóc. Kiedy zdołam rozróżnić pasażerów, będzie za późno.

To już ostatnia chwila! Idź i zdejmij znak informujący o objeździe! Stracisz jedyną okazję!

Powiedz mi, kogo złapię w tę pułapkę, jeśli teraz ukryję znak? Dwoje zamożnych ludzi zmierzających do Los Angeles, żeby zobaczyć swoje dzieci i zabrać wnuki do Disneylandu?

Zrób to! To on! To twoja jedyna i niepowtarzalna szansa!

Tak, masz rację. To jedyna szansa. I dlatego nie chcę jej stracić, łapiąc nie tych, na których poluję.

To Dolan!

Nie, to nie Dolan!

– Przestań! – jęknąłem, chwytając się za głowę. – Przestań, przestań!

Słyszałem już dźwięk silnika.

Dolan.

Starsi ludzie.

Kobieta.

Tygrys.

Dolan.

Starsi...

– Elizabeth, pomóż mi! – wychrypiałem w udręce.

Kochanie, ten człowiek nigdy w życiu nie miał zielonego cadillaca. I nigdy nie będzie miał. Oczywiście, że to nie on.

Minął mi ból głowy. Byłem w stanie podnieść się i wyciągnąć dłoń z wysuniętym kciukiem.

To nie byli starzy ludzie. I nie był to również Dolan. Samochodem jechał z tuzin chórzystek z Vegas. Towarzyszył im starszy jegomość w największym kapeluszu kowbojskim i w najczarniejszej koszuli Foster Grant, jakie kiedykolwiek widziałem. Kiedy cadillac skręcał w objazd, jedna z chórzystek obrzuciła mnie bezmyślnym spojrzeniem.

Powoli, znużonym gestem, uniosłem do oczu lornetkę.

I wtedy zobaczyłem, że nadjeżdża.

Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że cadillac, który wynurzył się zza odległego zakrętu, jest szary jak niebo nad moją głową, bo zadziwiająco wyraźnie odbijał się od ponurego brązowego krajobrazu pustyni.

To był on – Dolan. W jednej chwili opuściły mnie wszelkie wahania i wątpliwości. To był Dolan i wcale nie musiałem widzieć szarego cadillaca, żeby o tym wiedzieć.

Nie wiem, czy on mnie wyczuł, ale ja go wyczułem.

Świadomość, że Dolan jednak się pojawił, pomogła mi przewyciężyć ból w nogach i wstać.

Wróciłem do wielkiej tablicy: OBJAZD i położyłem ją w przydrożnym rowie napisem do ziemi. Nakryłem znak piaskowej barwy brezentem, a słupki zasypałem. Efekt końcowy nie był tak dobry jak w przypadku fałszywej nawierzchni szosy, ale sądziłem, że tyle mistyfikacji wystarczy.

Teraz pobiegłem na szczyt drugiego wzniesienia, gdzie zostawiłem furgonetkę. W tej chwili stanowiła kolejny element pułapki – samochód opuszczony chwilowo przez właściciela, który pojechał po nową oponę albo zwulkanizować starą.

Wsiadłem do kabiny i wyciągnąłem się na fotelu. W piersi serce tłuło mi się jak oszałałe.

I znów wydawało się, że czas stanął w miejscu. Nasłuchiwałem zbliżającego się dźwięku silnika, ale go nie było, nie było.

Skręcili z głównej drogi – pomyślałem. – W ostatniej chwili jednak wyczuł moją obecność... albo jemu lub któremuś z jego ludzi coś wydało się podejrzane... i skręcili z głównej drogi.

Leżałem na siedzeniach, krzyż pulsował długimi, powolnymi falami bólu. Zaciśnąłem powieki, jakbym dzięki temu miał lepiej słyszeć.

Czy to dźwięk silnika?

Nie, to tylko wiatr, który na tyle już przybrał na sile, że od czasu do czasu uderzał falą piasku w bok mojej furgonetki.

Nie przyjedzie. Pojechali objazdem albo zawrócili. Tylko wiatr.

Pojechali objazdem albo w ogóle za...

Nie, to nie był wiatr. Był to dźwięk silnika. Warkot rósł, a w kilka sekund później przemknął obok mnie pojazd – pojedynczy pojazd.

Usiadłem, chwyciłem za kierownicę – musiałem się czegoś chwycić – i wyjrzałem przez przednią szybę. Oczy miałem wybałuszone, szeroko rozwarte, przygryzałem język.

Szary cadillac spływał w dół wzniesienia ku płaskiemu odcinkowi szosy z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę; może trochę szybciej. Światła hamulcowe do końca nie rozbłysły. Do końca nie zobaczyli pułapki. Do końca nie mieli o niej najmniejszego pojęcia.

A było tak: w pewnej chwili odniosłem wrażenie, że cadillac mknie wewnątrz szosy, a nie po niej. Złudzenie było tak silne, że przez chwilę czułem oszołomienie i zawrót głowy, chociaż ja sam owo złudzenie stworzyłem. Cadillac tkwił w szosie 71 po osie kół, później do połowy drzwiczek. Naszła mnie dziwaczna refleksja: gdyby General Motors produkował okręty podwodne, tak właśnie wchodziłyby w zanurzenie.

Do moich uszu dobiegł cichy trzask pękających pod ciężarem auta drewnianych rozpór. Słyszałem, jak pruje się i pruje brezent.

Wszystko to trwało zaledwie trzy sekundy, ale były to trzy sekundy, które zapamiętam do końca życia.

Odniosłem wrażenie, że cadillac składa się tylko z ośmiu centymetrów polaryzowanych szyb i dachu. Rozległ się potężny, głuchy łoskot, po nim dźwięk tłuczonego szkła i gniecionego metalu. W powietrze wzniósł się wielki tuman kurzu, ale wiatr szybko go rozwiął.

Chciałem tam biec – chciałem tam biec natychmiast – lecz najpierw musiałem uporać się z objazdem. Nie chciałem, żeby ktokolwiek nam przeszkodził, nie potrzebowałem przypadkowych świadków.

Wyskoczyłem z furgonetki, przeszedłem na tył i wyjąłem koło. Założyłem je najszybciej, jak umiałem, i tylko palcami dokręciłem śruby mocujące. Klucza mogłem użyć później. Teraz musiałem natychmiast wracać na dół, do miejsca, skąd z szosy 71 odchodził objazd.

Opuściłem podnośnik, wskoczyłem do kabiny. Nastawiłem uszu i przez chwilę nasłuchiwałem.

Usłyszałem zawroźnienie wiatru.

A z długiego, prostokątnego dołu w asfalcie dobiegał czyjś krzyk... a raczej wrzask.

Uśmiechnąłem się i zawróciłem furgonetkę.

Błyskawicznie cofnąłem się ze szczytu wzniesienia, samochód jak pijany przesuwał się z jednej strony szosy na drugą. Wyskoczyłem z kabiny i otworzyłem tylne drzwi. Wyjąłem pachołki. Ustawiając je, wyteżądałem słuch, ale wiatr wiał już zbyt mocno, żebym mógł wychwycić warkot silnika jakiegokolwiek nadjeżdżającego samochodu. Kiedy bym go usłyszał, pojazd z pewnością byłby już tuż przy mnie.

Podbiegłem do rowu, usiadłem na tyłku i zsunąłem się z szosy. Zdjąłem piaskowej barwy brezent, a później wtargałem na pobocze drogi tablicę. Ponownie ją ustawiłem, wróciłem do samochodu, po czym zatrzasnąłem tylne drzwi. Nie miałem najmniejszego zamiaru ustawiać strzałki na miejsce.

Podjechałem na szczyt wzniesienia i przystanąłem w tym samym miejscu co poprzednio, tuż za grzbietem pagórka, gdzie nikt nie mógł mnie zobaczyć. Wsiadłem z szoferki, żeby tym razem już kluczem dokręcić śruby w kole. Dobie-

gające z dołu krzyki przeszły we wrzask i skowyty; bardzo głośne.

Śruby dokręcałem powoli i starannie. Nie obawiałem się, by ktokolwiek mógł wydostać się z auta, zaatakować mnie lub uciec na pustynię. Po prostu nie można było wydostać się z tkwiącego na dobre w pułapce samochodu. Potrzask został skonstruowany po mistrzowsku. Cadillac stał w odległym końcu wykopu, a drzwiczki dzieliło od ścian dołu zaledwie po osiem centymetrów z każdej strony. Trójka uwięzionych ludzi mogła tylko uchylić drzwi i co najwyżej wysunąć stopy. Ale i tego nie byłem pewien. Nie mogli natomiast uchylić okien, ponieważ ich otwieranie było zasilane elektrycznie, a tkwiący we wraku akumulator zamienił się w zmoczoną kwasem miazgę strzaskanego metalu i plastiku.

Kierowcę i drugiego goryla siedzącego z karabinem na przednim siedzeniu impet uderzenia mógł również zgnieść, ale to niewiele mnie obchodziło. Wiedziałem, że ktoś przeżył, a ponadto doskonale wiedziałem, że Dolan zawsze podróżował z tyłu i jak każdy przyzwoity obywatel zapiął pasy bezpieczeństwa.

Kiedy już mocno dokręciłem śruby, podjechałem do szerokiego, płytkiego końca dołu i wysiadłem z wozu.

Większość drewnianych rozpór zniknęła, jakkolwiek dostrzegłem kilka kawałków ciągle jeszcze sterczących z asfaltu. Brezentowa „szosa” leżała na dnie wykopu, pomięta i podarta niczym zrzucona przez węża skóra.

Przeszedłem do głębokiego końca dołu, gdzie znajdował się cadillac Dolana.

Miał kompletnie zgnieciony przód. Pogięta w harmonię maska wybrzuszyła się, przybierając kształt postrzępionego wachlarza. Silnik stanowił masę zmiażdżonego metalu, gumy i przewodów zasypanych piaskiem i ziemią, które opadły tam po strasznym uderzeniu w przednią ścianę wykopu. Słychać było syk oraz kapanie oleju i benzyny. W powietrzu unosiła się woń alkoholu z płynu do spryskiwania szyb.

Obawiałem się o przednią szybę. Istniała szansa, że pękając, wpadnie do środka, co umożliwiłoby Dolanowi wygramolenie się na zewnątrz. Ale nie brałem takiej możliwości zbyt poważnie pod uwagę. Już wam mówiłem, że samochody Dolana konstruowano na wzór pojazdów drobnych dyktatorów i despotycznych przywódców wojskowych. Szkło nie miało prawa pęknąć.

I nie pękło.

Tylna szyba cadillaca była jeszcze mocniejsza, ponieważ zajmowała mniejszą powierzchnię. Dolan nie zdołałby jej stłuc – w każdym razie nie w tak krótkim czasie, jaki zamierzałem mu zostawić – a na pewno nie odważyłby się w nią strzelać. Strzelanie w kuloodporne szkło przypomina rosyjską ruletkę. Pocisk robi na szybie jedynie niewielki biały odprysk, a następnie wraca rykoszetem.

Jestem przekonany, że gdybym dał Dolanowi odpowiednią ilość czasu, w końcu jakoś by się wydostał, ale byłem na miejscu i nie zamierzałem mu tego czasu dawać.

Kopniakiem strąciłem na dach cadillaca bryłę ziemi.

Odzew był natychmiastowy.

– Ratunku, potrzebujemy pomocy. Nie możemy się wydostać.

Dolan. Mówił normalnie, zachowując zdumiewający spokój. Ale wyczułem lekki strach, nad którym jednak bandzior wspaniale panował, i na tyle, na ile było mnie stać, poczułem dla niego litość. Wyobraziłem sobie, jak męczy się na tylnym siedzeniu tkwiącego w pułapce cadillaca. Jeden z jego ludzi jęczał, przyszpilony zapewne blokiem silnika; był ranny i jęczał. Drugi goryl... był martwy lub nieprzytomny.

Wyobraziłem sobie to i przez denerwujący moment sam odczuwałem coś, co określiłbym mianem klaustrofobii. Naciskasz guzik otwierający okno – nic. Próbujesz drzwi – też nic. Wiesz, że nie otworzysz ich na tyle, żeby się przez nie wydostać.

Przestałem sobie cokolwiek wyobrazać, ponieważ to on był sprawcą wszystkiego, co go spotkało. Prawda? Tak. Kupił bilet i teraz musiał za niego płacić pełną cenę.

– Kto tam jest?

– Ja – odparłem. – Ale ja ci nie pomogę, Dolan.

Znów zepchnąłem nogą lawinę kamieni na siwy dach cadillaca. Kiedy strąciłem kolejne kamyki, ktoś w środku ponownie zaczął wrzeszczeć.

– Moje nogi! Jim, moje nogi!

W głosie Dolana nagle pojawiła się czujność. Człowiek na zewnątrz, człowiek

na górze znał jego nazwisko. A to znaczyło, że sytuacja jest w najwyższym stopniu niebezpieczna.

– Jimmy! Piszczele mam na wierzchu!

– Zamknij się – powiedział lodowato Dolan.

Kiedy słuchałem tych głosów, odnosiłem dziwaczne wrażenie. W pierwszej chwili chciałem wejść na bagażnik cadillaca i zajrzeć do środka przez tylną szybę. Ale gdybym nawet przytknął nos do szkła, nic bym nie zobaczył. Jak wspominałem, szyby były polaryzowane.

A poza tym wcale nie chciałem go widzieć. Wiedziałem, jak wygląda. Po cóż miałbym na niego patrzeć? Żeby ujrzeć rolexa na rękę i szyte na miarę u krawca dzinsy?

– Kim, bracie, jesteś?

– Nikim – odparłem. – Jestem nikim, ale miałem wszelkie powody, żeby cię tu wpakować.

Wyraźnie przestraszony zapytał nagle:

– Nazywasz się Robinson?

Poczułem się tak, jakby ktoś walnął mnie w brzuch. Błyskawicznie przeleciał w pamięci na wpół zapomniane nazwiska i od razu wybrał właściwe. Czy traktowałem go jak zwierzę obdarzone zwierzęcym instynktem? Nie wiem, ale chyba tak, bo w przeciwnym razie nie zdobyłbym się na odwagę zrobienia tego, co zrobiłem.

– Moje nazwisko nie jest istotne – odrzekłem. – Ale ty wiesz, co się teraz stanie, prawda?

Ze środka znów dobyły się krzyki – straszne, bulgoczące, mamlące wrzaski.

– Wyciągnij mnie stąd, Jimmy! Wyciągnij mnie stąd! Na rany Chrystusa! Mam potrzaskane nogi!

– Zamknij się – odparł Dolan, po czym zwrócił się do mnie:

– Kiedy tak wrzeszczy, nie słyszę cię, człowieku.

Opadłem nad dołem na czworaka i wychyliłem się do przodu.

– Powiedziałem, że wiesz, co się teraz sta...

Wyobraziłem sobie nieoczekiwane spotkanie wilka z bajki o Czerwonym

Kapturku, którą kiedyś opowiadała mi babcia. „Podejdź... żebyś mógł cię lepiej słyszeć...”.

Cofnąłem się w samą porę.

Rewolwer wypalił czterokrotnie. Z miejsca, gdzie klęczałem, wystrzały brzmiały bardzo głośno; w samochodzie musiały być ogłuszające. W dachu caddy otworzyło się czworo czarnych oczu. Poczujęm, że tuż przy moim czole coś ze świstem przecięło powietrze.

– Dostałem cię, cwelu?

– Nie – odparłem.

Wrzaski mężczyzny przeszły w szloch. Goryl siedział z przodu. Widziałem jego ręce, białe jak twarz tonącego, którymi klepał niemrawo w przednią szybę, a obok niego rozwalone ciało drugiego mężczyzny. Jimmy musi go jakoś wyciągnąć. Krwawi, ból był wielki, straszliwy, ból był większy, niż potrafił znieść, zaklinał się na rany Chrystusa, z całego serca żałował za grzechy, ale to było więcej niż...

Rozległ się huk dwóch kolejnych wystrzałów. Mężczyzna przestał się wydzieierać. Bijące w przednią szybę dłonie zniknęły.

– No tak... – odezwał się prawie z zadumą Dolan. – On już nie cierpi, a my możemy spokojnie porozmawiać.

Nic nie powiedziałem. Byłem oszołomiony, czułem się tak, jakbym trafił w jakiś nierealny świat. Właśnie zabił człowieka. Zabił. Pomyślałem sobie, że mimo całej ostrożności nie doceniłem go, ale naprawdę dopisało mi szczęście.

– Chcę ci złożyć pewną propozycję – odezwał się Dolan.

Milczałem...

– Przyjacielu?

Milczałem w dalszym ciągu.

– Ej! Ty! – Głos nieznacznie mu zadrzał. – Jesteś tam jeszcze? Odezwij się! Co ci szkodzi?

– Jestem – powiedziałem. – Właśnie sobie pomyślałem, że oddałeś sześć strzałów. Może już wcześniej zaplanowałeś zostawić dla siebie ostatnią kulę. A może miałeś ich w magazynku osiem albo naładowałeś broń na nowo.

Teraz on dłuższą chwilę milczał.

– Co chcesz zrobić? – zapytał w końcu.

– Chyba już się domyśliłeś – odrzekłem. – Ostatnie trzydzieści sześć godzin kopałem największy na świecie grób, w którym teraz zamierzam cię pochować w twoim francowatym cadillacu.

Ciągle trzymał strach na wodzy. Chciałem tę wodzę przerwać.

– Może zechcesz najpierw wysłuchać mojej propozycji?

– Wysłucham. Ale za chwilę. Najpierw muszę po coś pójść.

Podszedłem do furgonetki i wyjąłem z niej łopatę.

Kiedy wróciłem, mówił jak ktoś do głuchego telefonu:

– Robinson? Robinson? Robinson?

– Jestem, jestem powiedziałem. – Mów. A ja będę słuchał. Kiedy skończysz, ja złożę ci kontrpropozycję.

Odezwał się znacznie serdeczniejszym tonem. Gdybym naprawdę złożył mu kontrpropozycję, przystąpiłbym do układów. A gdybyśmy zaczęli się układać, on w połowie byłby już wolny.

– Za wypuszczenie mnie stąd proponuję ci milion dolarów. Ale równie istotne jest...

Nabrałem całą łopatę żwiru i cisnąłem go na bagażnik cadillaca.

O tylną szybę zagrzechotały kamyki. Ziemia przykryła klapę bagażnika.

– Co ty wyprawiasz? – Głos miał ostry, zaniepokojony.

– Diabeł nie lubi, kiedy człowiek próżnuje – wyjaśniłem.

– Będę pracował i słuchał.

Nabrałem ziemi na łopatę i wysypałem ją do dołu. Teraz już Dolan mówił szybciej, żarliwiej.

– Milion dolarów i moja osobista gwarancja, że nikt cię nie tknie palcem... ani ja, ani moi ludzie, ani nikt.

Dłonie w cudowny sposób przestały boleć. Było to zdumiewające. Nie usta wałem w kopaniu i w pięć minut później bagażnik cadillaca spoczywał pod ziemią. Ręczne wrzucanie ziemi do dołu okazało się znacznie lżejszą pracą niż ko-

panie jamy. Przestałem zasypywać dół i na chwilę oparłem się na łopacie.

– Mów, mów.

– Posłuchaj, to szaleństwo – odezwał się Dolan i teraz już wyraźnie słyszałem w jego głosie strach. – Powtarzam, to szaleństwo.

– Masz zupełną rację – zgodziłem się, po czym zagarnąłem kolejną łopatę ziemi.

Nawet nie przypuszczałem, że ktoś potrafi tak długo gadać, tłumaczyć, przypominać się – ale w miarę jak w tylnym okienku rosła góra piachu, Dolan mówił coraz bardziej chaotycznie, powtarzał się, zaczynał tłumaczyć wszystko od początku, jękał się. W pewnej chwili otworzył nawet drzwi, które uderzyły w ścianę wykopu. Ujrzałem rękę porośniętą czarnymi włosami i sygnet z rubinem na palcu. Szybko wrzuciłem przez szczelinę w drzwiach cztery łopaty ziemi. Wrzasnął jakieś przekleństwo i zatrzaskał drzwiczki.

Milczał, ale niezbyt długo. Myślę, że to łoskot spadającego piachu w ten sposób na niego podziałał. Tak, z pewnością tak. A w cadillacu rumor czyniony przez spadającą ziemię, piasek i kamienie musiał być bardzo głośny. Piasek i żwir sypał się po bocznych oknach auta. Dolan z całą pewnością uświadomił już sobie, że tkwi w ośmiocylindrowej trumnie o silniku z elektronicznym wtryskiem paliwa.

– Wypuść mnie! – zaskrzeczał. – Proszę! Już dłużej nie wytrzymam! Wypuść mnie!

– Chcesz poznać moją kontrpropozycję? – zapytałem.

– Tak! Tak! Jezu! Tak! Tak! Tak!

– Wrzeszcz! Taka jest moja kontrpropozycja. Tego właśnie chcę. Krzycz dla mnie. Jeśli będziesz krzyczał wystarczająco głośno, to cię wypuszczę.

Wrzasnął przesywająco.

– To było dobre – odparłem zgodnie z prawdą. – Ale jeszcze nie najlepsze.

Wróciłem do kopania, wrzucając na dach cadillaca łopatę ziemi za łopatą. Rozdrobnione grudki osuwały się po przedniej szybie, zasypując wycieraczki.

Dolan znów wrzasnął; jeszcze głośniej. A ja zacząłem się zastanawiać, czy

człowiek jest w stanie krzyknąć tak głośno, żeby rozdrzeć sobie krtań.

– Nieźle – oświadczyłem, podwajając wysiłek. Mimo bolesnego pulsowania w krzyżu uśmiechałem się. – Masz szanse, Dolan. Naprawdę masz.

– Pięć milionów!

To była jedyna sensowna rzecz, jaką wywrzeszczał.

– Chyba jednak nie – odrzekłem, opierając się na łopacie i ocierając kantem brudnej dłoni pot z czoła. Ziemia zakrywała już prawie cały dach limuzyny. Wyglądał jak rozgwieżdżone niebo... albo jakby poklepała go wielka, brązowa dłoń. – Ale jeśli potrafisz krzyknąć tak, by zabrzmiało to jak eksplozja, powiedzmy, ośmiu lasek dynamitu włożonego do chevroleta rocznik tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt osiem, to wrzaśnij. Wtedy cię wypuszczę. Masz na to moje słowo.

Darł się zatem, a ja zasypywałem cadillaca. Przez jakiś czas wrzeszczał rzeczywiście bardzo głośno, ale ja osądziłem, że drze się z mocą równą wybuchowi zaledwie dwóch lasek dynamitu podłączonych do zapłonu chevroleta z roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego; no, może trzech. Kiedy już srebrzysta karoseria zniknęła pod piaskiem, a ja przerwałem pracę, żeby chwileczkę odetchnąć i popatrzeć na czarny garb ziemi w dziurze, Dolan wydawał tylko ochryple, urywane chrząknięcia.

Popatrzyłem na zegarek. Minęła właśnie pierwsza po południu. Ręce mi krwawiły, a trzonek łopaty był śliski. Tuman ostrego piasku uderzył mnie w twarz. Gwałtowny pustynny wiatr wydawał dziwaczny hałas – przeciągłe, basowe brzęczenie, które trwało i trwało. Zupełnie jakby zawodził jakiś duch-idiota.

Pochyliłem się nad jamą.

– Dolan?

Cisza.

– Drzyj się, Dolan!

Początkowo odpowiedziała mi cisza. Później dotarł do mnie ochrypły kaszel.

Zachwycające!

Wróciłem do furgonetki, włączyłem silnik i podjechałem dwa i pół kilometra do miejsca, gdzie prowadzono prace drogowe. Po drodze włączyłem WKXR z Las Vegas, jedyną stację, jaką udało mi się złapać w zainstalowanym w samochodzie radiu. Barry Manilow powiedział mi, że napisał nową piosenkę, którą będzie śpiewać cały świat. Oświadczenie to przyjąłem z niejakim sceptycyzmem. Później nadawali prognozę pogody. Zapowiadano gwałtowne wiatry. Na głównych drogach łączących Vegas z Los Angeles ustawiono tablice ostrzegawcze. Spiker oświadczył, że z powodu burz piaskowych mogą wystąpić problemy z widocznością, ale najbardziej należało się strzec potężnych podmuchów wiatru. Dobrze wiedziałem, o czym mówi, ponieważ słyszałem już, jak wichura smaga karoserię mojej furgonetki.

I oto byłem znów przy moim case-jordanie; myślałem już o nim jak o swojej maskotce. Wsiadłem na siodełko operatora i mrucząc pod nosem piosenkę Barry'ego Manilowa, ponownie zetknąłem niebieski i żółty przewód. Silnik ładowarki zaskoczył gładko. Tym razem już pamiętałem, żeby biegi ustawić na luzie. „Nieźle, białasku – usłyszałem w głowie głos Tinka. – Jesteś pojętna bestia”.

Co racja, to racja. Uczyłem się cały czas.

Siedziałem z minutę i obserwowałem półprzezroczyste tumany piasku mienionego pustynnym wiatrem, wsłuchiwałem się w łoskot silnika ładowarki i zastanawiałem się, co też może kombinować Dolan. Czy próbuje wytluc tylną szybę? A może wpełzł na przedni fotel i stara się sforsować przednią? Wprawdzie szyby przykryłem półmetrową warstwą ziemi, ale wszystko było możliwe. Wszystko zależało od tego, do jakiego stopnia zwariował. Tego jednak nie mogłem wiedzieć, więc nie było sensu roztrząsać problemu. Miałem na głowie inne rzeczy.

Wrzuciłem pierwszy bieg i skierowałem maszynę w stronę wykopu. Kiedy dotarłem na miejsce, z niepokojem obszedłem jamę, prawie się spodziewając, że z przodu lub z tyłu cadillaca ujrzę dziurę wielkości człowieka, przez którą dostał się Dolan.

Ale ziemia była nienaruszona.

– Dolan! – zawołałem serdecznie.

Milczenie.

– Dolan!

Milczenie.

Zabił się – pomyślałem i poczułem gorzkie rozczarowanie.

– W jakiś sposób się zabił albo umarł ze strachu.

– Dolan?

Spod piachu dobiegł mnie śmiech. Jasny, nieopanowany, prawdziwy śmiech. Poczulem występującą mi na całym ciele gęsią skórę. Był to śmiech człowieka, który stracił zmysły.

Dolan zanosił się i zanosił ochrypłym rechotem. Potem zaczął wrzeszczeć i ponownie wybuchnął śmiechem. W końcu i ryczał ze śmiechu, i darł się jak opętany.

Przez chwilę sam mu wtórowałem i śmiechem, i wrzaskiem. Bóg jeden wie czym. Do towarzystwa dołączył się również wiatr.

Wróciłem do case-jordana, opuściłem lemiesz i zacząłem na dobre zakopywać cadillaca.

Po czterech minutach po samochodzie nie było śladu. Pozostał jedynie zarys zasypanego dołu.

Wydawało mi się, że coś słyszę, ale w zawodzeniu wichury i nieustannym łomocie silnika ładowarki trudno mi było określić co. Uklęknąłem na ziemi, a po chwili położyłem się na brzuchu i przyłożyłem ucho tam, gdzie niedawno jeszcze ziała jama.

W dole, głęboko pod ziemią, Dolan wciąż zanosił się śmiechem. Były to dźwięki żywcem wyjęte z dymków komiksu: Rehe-he! Aaaha-ha-ha! Być może wykrzykiwał również jakieś słowa. Trudno mi powiedzieć. Mimo to uśmiechnąłem się i z uznaniem skinąłem głową.

– Wrzeszcz – szepnąłem. – Wrzeszcz, ile wlezie.

Ale ów cichy śmiech dobywający się spod ziemi sączył się niczym trujący wyziew.

I nagle opadło mnie skrajne przerażenie. Za mną stał Dolan! Tak! Dolan w jakiś sposób znalazł się za moimi plecami. Kiedy się odwróce, wepchnie mnie do dołu i...

Zerwałem się na równe nogi, odwróciłem głowę. Poharatane dłonie zacisnąłem w pięści.

W twarz smagnął mnie tuman piasku.

Za mną nie było nikogo.

Wytarłem twarz brudną chustką, wróciłem do ładowarki i przystąpiłem do dalszej pracy.

Na długo przed zmierzchem dół był zasypany. Zostało sporo ziemi, ponieważ jej miejsce zajął w wykopie cadillac. Wiatr szybko ją rozwiewał. Szybko... bardzo szybko.

Kiedy zawracałem ładowarkę i jechałem nią dokładnie po miejscu, gdzie po grzebałem Dolana, dręczyły mnie ciężkie, bezładne, wpółszaleńcze myśli.

Odstawiłem maszynę na miejsce, zdjąłem z grzbietu koszulę, po czym dokładnie wytarłem wszystkie metalowe części w kabinie. Chciałem usunąć odciski palców. Do dzisiaj nie wiem, dlaczego to zrobiłem, gdyż musiałem ich zostawić setki w innych miejscach. W szarobrazowym mroku burzowego zmierzchu wróciłem do furgonetki.

Kiedy otworzyłem tylne drzwi, ujrzałem, że wewnątrz przykucnął Dolan. Odskoczyłem z wrzaskiem i zakryłem ręką twarz. Wydawało mi się, że serce eksploduje mi w piersi.

Nic – nikt – jednak nie wysiadł z samochodu. W porywach wichru z głośnym klekotem otwierały się i zamykały drzwi auta. Jak okiennice w nawiedzonym domu. W końcu, z duszą na ramieniu, podkradłem się do furgonetki i ponownie zajrzałem do środka. Na pace leżały tylko w beładzie przedmioty, które ze sobą zabrałem: strzałka z potłuczonymi żarówkami, podnośnik, skrzynka z narzędziami.

– Musisz wziąć się w garść – powiedziałem cicho. – Weź się w garść.

Czekałem, aż odezwie się Elizabeth: *Wszystko będzie w porządku, kochanie.* Oczekiwałem czegoś w tym rodzaju... ale dobiegało mnie tylko potępieńcze za-

wodzenie wiatru.

Wsiadłem do furgonetki i wróciłem do miejsca, gdzie był wykop. Nabierałem coraz większej pewności, że gdzieś w samochodzie czai się Dolan. Nie spuszczałem oka ze wstecznego lusterka, starając się spośród innych cieni wyróżnić jego cień.

Wiatr się wzmaczał, a furgonetka kołysała się w jego podmuchach. W świetle reflektorów tumany piasku sprawiały, iż miałem wrażenie, że brnę w kłębach dymu.

W końcu zatrzymałem samochód na poboczu, wysiadłem i pozamykałem wszystkie drzwi. Zdawałem sobie sprawę, że nocowanie w ten sposób jest czystym szaleństwem, ale nic na to nie mogłem poradzić. Wziąłem śpiwór i wpełzłem pod samochód.

W pięć sekund po tym, jak zasunąłem suwak, spałem już jak kamień.

Obudził mnie jakiś senny koszmar – nie pamiętam jaki; wiem tylko, że były w nim zaciskające mi się na gardle dłonie – i odkryłem, że jestem żywcem pogrzebany. W nosie i w uszach miałem piasek. Dławiłem się, ponieważ piasek zalepiał mi gardło.

Wrzasnąłem i rzuciłem się do przodu przekonany w pierwszej chwili, że śpiwór jest przygniatającą mnie ziemią. W końcu wyrznąłem głową w podwozie furgonetki. Posypały się na mnie płatki rdzy.

Wytoczyłem się spod samochodu w mglistą szarość świtu. Gdy tylko wyzwoliłem się ze śpiwora, wiatr porwał go natychmiast niczym kulę zielska. Krzyknąłem zaskoczony, przebiegłem za nim jakieś dziesięć metrów i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że zrobiłbym największy błąd, jaki mógłbym zrobić. Widoczność była ograniczona do jakichś ośmiu metrów, może mniej. Miejscami piasek już kompletnie zasypał szosę. Obejrzałem się w stronę samochodu. Ledwo majaczył w tumanach niesionej potężnym huraganem ziemi. Niczym na ciemnobrunatnej fotografii przedstawiającej resztki jakiegoś upiornego miasta.

Chwiejnie wróciłem do vana, wygrzebałem z kieszeni kluczyki i wgramoliłem się do szoferki. Cały czas wypluwałem piasek, wstrząsał mną suchy kaszel. Włą-

czyłem silnik i zawróciłem auto.

Nie musiałem czekać na prognozę pogody. Tego dnia wszelkie prognozy pogody stanowiły najlepszy dowcip. Największa pustynna burza piaskowa w historii Nevady. Wszystkie drogi zostały zamknięte. Siedź w domu i nie wychodź, jeśli nie jest to absolutnie konieczne. A jeśli jest – to również nie opuszczaj domu.

Wspaniały Czwarty Lipca.

Zostań w samochodzie – pomyślałem. – Chyba zwariowałeś, jeśli zamierzasz wyjść. Piasek cię kompletnie oślepi.

Ale musiałem podjąć ryzyko. Musiałem pochować Dolana na zawsze – w najdzikszych snach nie przypuszczałem, że trafi mi się taka okazja, i musiałem wykorzystać ją do końca.

Miałem w samochodzie trzy czy cztery koce. Oderwałem z jednego z nich długi, szeroki pas, owinąłem sobie nim głowę i niczym oszalały Beduin wysiadłem z samochodu.

Cały ranek dźwigałem z przydrożnego rowu płaty asfaltu i jak najdokładniejszy murarz stawiający ścianę z cegieł... a raczej jak robotnik zamurujący niszę układałem je w miejscu wykopu. Przenoszenie i układanie asfaltowych bloków nie było zajęciem szczególnie wyczerpującym, ale każdy kawałek, niczym archeolog biedzący się nad starożytnymi artefaktami, musiałem wygrzebywać z piasku. Co dwadzieścia minut wracałem do furgonetki, żeby wytrząsnąć pył spod ubrania i dać odpoczynek piekącym oczom.

Posuwałem się powoli w kierunku zachodnim od tej strony, gdzie wykop był najpłytszy, toteż kwadrans po południu – zacząłem o szóstej rano – miałem jeszcze przed sobą około pięciu metrów. Wtedy wiatr zaczął stopniowo cichnąć i od czasu do czasu widziałem na niebie plamy błękitu.

Dźwigałem i kładłem, dźwigałem i kładłem. Dotarłem do miejsca, w którym według moich wyliczeń powinien znajdować się Dolan. Czy już umarł? Ile metrów sześciennych powietrza mieści się w cadillacu? Na jak długo starczy powietrza dla Dolana przy założeniu, że obaj jego kompani nie żyją?

Uklęknąłem na gołej ziemi. Wiatr w dużym stopniu zatarał ślady gąsienic case-jordana, ale resztki można było jeszcze gdzieś wypatrzeć. Gdzieś tam, w głębi, znajdował się mężczyzna z rolexem na ręce.

– Dolan – odezwałem się przyjacielsko. – Zmieniłem zdanie. Wypuszczę cię stąd.

Nic. Żadnego odzewu. Na pewno umarł.

Wróciłem i przydzwigałem kolejny blok asfaltu. Ułożyłem go na miejsce, a kiedy zacząłem wstawać, usłyszałem przesączaający się spod ziemi słaby śmiech.

Przykucnąłem i wysunąłem do przodu głowę – gdybym miał jeszcze włosy, wiatr nawiewałby mi je na twarz – i pozostawałem w tej pozycji dłuższy czas. Nasłuchiwałem tego śmiechu. Dobiegał do mnie bardzo cicho.

Kiedy się urwał, wstałem i przyniosłem kolejny kwadratowy blok asfaltu. Na tym kawałku widać było fragment żółtej linii. Wyglądał jak litera. Uklęknąłem.

– Na miłość boską! – zaskrzeczał Dolan. – Na miłość boską, Robinson!

– Właśnie – odparłem z uśmiechem. – Na miłość boską.

Położyłem ostrożnie kawał asfaltu tak, że przylegał dokładnie do sąsiedniego, i chociaż mocno wyęczałem słuch, nie usłyszałem już więcej Dolana.

Do swego mieszkania w Vegas dotarłem o jedenastej wieczorem. Przespałem szesnaście godzin, wstałem, powędrowałem do kuchni, żeby zaparzyć sobie kawy, ale w przedpokoju upadłem, zwijając się z potwornego, oślepiającego bólu. Jedną ręką tarłem krzyż, a drugą przyłożyłem do ust, żeby stłumić krzyk.

W jakiś czas później popełziłem do łazienki – próbowałem wstać, ale to wywołało kolejną błyskawicę bólu. Jakoś udało mi się dźwignąć się z podłogi, gdy oparłem się na umywalce. Z apteczki wyjąłem drugą fiolkę etopiryny.

Zażyłem trzy tabletki, po czym puściłem wodę do wanny. Leżałem na podłodze i czekałem, aż wanna się napełni. Wtedy wyłuskałem się jakoś z pidzamy i z najwyższym trudem wszedłem do kąpielni. Spędziłem w niej pięć godzin, głównie drzemiąc. Kiedy wyszedłem z wody, mogłem jako tako chodzić.

Jako tako.

Udałem się do kręgarza. Oświadczył, że wypadły mi trzy dyski i mam poważnie przesunięte kręgi w dole kręgosłupa. Chciał wiedzieć, czy przypadkiem nie podnosiłem w cyrku ciężarów.

Wyjaśniłem, że kopałem w ogrodzie.

Kazał mi jechać do Kansas City.

Pojechałem.

Przeszedłem operację.

Kiedy anestezjolog zakładał mi na twarz gumową maskę, z syczącej ciemności dobiegł mnie śmiech Dolana i wiedziałem, że umrę.

Sala pooperacyjna wyłożona była jasnozielonymi kafelkami.

– Czy ja żyję? – wychrypiałem.

Pielęgniarz wybuchnął śmiechem.

– Jasne – odparł, dotykając mojej brwi; brwi, która ciągnęła się wokół całej głowy. – Ależ pana spaliło słońce! Mój Boże! Czy już odczuwa pan ból, czy jeszcze działają środki znieczulające?

– Jeszcze działają – odparłem. – Czy mówiłem coś, kiedy byłem nieprzytomny?

– Tak.

Zmroziło mnie. Zmroziło do szpiku kości.

– A co mówiłem?

– Powiedział pan: „Jak tu ciemno. Wypuść mnie!”.

I wybuchnął śmiechem.

– Aha – mruknąłem.

Dolana nigdy nie znaleziono.

Trwała burza. Burza, która przyszła w najbardziej odpowiednim momencie. Jestem pewien, co się wydarzyło, ale sądzę, że mnie zrozumiecie, jeśli wam powiem, że nigdy tego dokładnie nie sprawdzałem.

PRZEB... – pamiętacie, prawda? Przebudowali autostradę. I Huragan prawie całkowicie zasypał odcinek szosy 71 w okolicach, gdzie zaczynał się objazd. Kiedy ekipy wróciły do pracy, nie likwidowały od razu nowych wydm piasko-

wych, ale stopniowo, w miarę jak posuwał się front robót – bo i po co miałyby robić inaczej? I tak ruch kołowy był zamknięty! Pługi odgarniały piasek i zaraz na to miejsce kładziono nowy asfalt. Jeśli nawet operator buldożera przez przypadek dostrzegł przed lemieszem kierowanej przez siebie maszyny fragment pokruszonego asfaltu ułożonego schludnie prawie w geometryczny wzór – odcinek o długości mniej więcej dwunastu metrów – nie zwrócił na to uwagi. Może niewiele go to obeszło. A może myślami był już na wieczornej randce z dziewczyną.

Później przyjechały wywrotki z nowym żwirem, a za nimi rozściełacze i walce. Po nich olbrzymie i śmierdzące gorącym asfaltem pojazdy z rozpylaczami. Kiedy asfalt ostygł, pojawiły się maszyny do malowania znaków. Ich operatorzy, siedzący pod brezentowymi parasolami, nieustannie oglądali się za siebie, by sprawdzić, czy linia jest prosta, nieświadomi faktu, że przejeżdżają nad mglistosiwym cadillakiem z trzema mężczyznami w środku, nieświadomi tego, że pod nimi znajduje się sygnet z rubinem i złoty rolex, który być może ciągle jeszcze odmierza czas.

Pod którymś z tych ciężkich pojazdów zwykły cadillac z całą pewnością by się załamał. Maszyna przechyliłaby się, zachręściła i natychmiast cała ekipa ludzi zaczęłaby kopać, żeby sprawdzić co – lub kogo – znajdzie. Ale ten cadillac był bardziej czołgiem niż samochodem; tak więc Dolan sam bardzo starannie zadbał o to, żeby nikt go nie znalazł.

Wcześniej czy później cadillac naturalnie się rozpadnie – zapewne pod ciężarem przejeżdżających po autostradzie olbrzymich samochodów – i kierowca któregoś z kolei pojazdu ujrzy szczerbę w nawierzchni ciągnącego się na zachód pasma szosy. Zainteresuje się tym Wydział Dróg i Autostrad i zarządzi kolejną przebudowę. A jeśli żaden z robotników zatrudnionych przez departament nie wykaże zainteresowania i nie zacznie bliżej zgłębiać przyczyny zapadnięcia się drogi, oficjalnie oświadczy się, że powodem była „dziura błotna” (tak to się zawsze określa) albo zmarzlina, bryła soli lub niewielkie, pustynne trzęsienie ziemi. Naprawią i życie potoczy się dalej.

Ogłoszono zaginięcie Dolana.

Wylano kilka łez.

Dziennikarz z *Las Vegas Sun* zasugerował, że Dolan zapewne gra w domino lub w bilard z Jimmym Hoffą.

Być może nie jest to tak dalekie od prawdy.

Ja czuję się świetnie.

Krzyż mam już w najlepszym porządku. Otrzymałem od lekarzy ścisłe zalecenie, żebym nie dźwigał ciężarów większych niż piętnaście kilogramów. Przestrzegam go. W tym roku trafiła mi się wyjątkowo wspaniała trzecia klasa, a poza tym mam wszelką pomoc, jakiej mogę potrzebować.

Przejeżdżałem wielokrotnie tamtą autostradą swoją nową acurą. Raz nawet zatrzymałem się, wysiadłem z samochodu (sprawdziwszy uprzednio, że szosa jest z obu stron pusta) i odlałem się dokładnie we właściwym miejscu. Ale mimo że miałem pełny pęcherz, strumień był wątki i moczu oddałem niewiele.

Kiedy odjeżdżałem z tego miejsca, nieustannie spoglądałem we wsteczne lustro. Wiecie, miałem dziwaczne odczucie, że Dolan zamierza podnieść się z tylnego fotela, ciało będzie miał ciemne jak cynamon i naciągnięte na czasze niczym skóra mumii, we włosach pełno piachu, a oczy i rolex lśniące.

Wtedy po raz ostatni jechałem szosą 71. Od tamtego czasu, kiedy wybieram się na zachód, jadę międzystanówką.

A Elizabeth? Podobnie jak Dolan umilkła. Czuję z tego powodu niewysłowioną ulgę.

Koniec całego bałaganu

Chcę wam opowiedzieć o końcu wojny, upadku ludzkości i śmierci Mesjasza. Byłaby to epicka opowieść zasługująca na tysiące stron druku i całą półkę wolframinów, ale wy (jeśli będziecie istnieć jeszcze jacykolwiek „wy”, którzy to przeczytacie) musicie zadowolić się niestety tą wersją w formie liofilizowanej. Zastrzyk zawsze najszybciej działa. Wyliczyłem, że zostało mi od czterdziestu minut do dwóch godzin, to zależy od mojej krwi. Mam nadzieję, że posiadam grupę A, bo to by mi dało trochę więcej czasu. Jeśli okaże się, że mam jednak grupę 0, natkniesz się, mój hipotetyczny przyjacielu, na wiele pustych stron.

Na wszelki wypadek najlepiej będzie, jeśli przystąpię do pracy najszybciej, jak tylko się da.

Używam elektrycznej maszyny do pisania. Wprawdzie na komputerze Bobby'ego praca szłaby sprawniej, ale generator prądu działa już zbyt nieregularnie, żeby na nim polegać, nawet jeśli użyję stabilizatora napięcia. Pozostał mi już tylko jeden zastrzyk, a nie mogę ryzykować powrotu do domu po to, żeby przekonać się, że całą rzecz trafił szlag tylko dlatego, że napięcie opadło lub nieoczekiwanie wzrosło do tego stopnia, że nie poradzi sobie z nim nawet stabilizator.

Nazywam się Howard Forno i byłem niezależnym pisarzem. Natomiast mój brat, Robert Forno, był Mesjaszem. Zabiłem go przed czterema godzinami, wstrzykując mu preparat, który on sam wynalazł. Nazwał go „Wyciszaczem”. Powinien wprawdzie określić go mianem „Bardzo Poważnego Błędu”, ale co się stało, to się nie odstanie, jak od wieków mawiają Irlandczycy... co najlepiej świadczy o tym, jakimi są dupkami.

Kurczę blade, nie potrafię powstrzymać się od takich wtretów.

Kiedy Bobby już umarł, przykryłem go kołdrą, a potem przez trzy godziny siedziałem przy jedynym oknie w salonie jego domku letniskowego i patrzyłem na las. Zazwyczaj można było stamtąd dostrzec pomarańczowy blask łuków sodowych o wysokim napięciu bijący z North Conway, lecz te czasy bezpowrotnie już minęły. Teraz widziałem jedynie banalne gwiazdy oraz wierzchołki White Mountains, które wyglądały jak ciemne trójkąty wycięte przez dziecko z krepiny.

Włączyłem radio, ale przeleciałem cztery zakresy, natrafiłem na jakiegoś zwariowanego prezentera, więc je wyłączyłem. Siedziałem i zastanawiałem się, w jaki sposób opowiedzieć tę historię. Ślizgałem się myślami po ciągnącym się kilometrami sosnowym lesie, lecz nic mi nie przychodziło do głowy. W końcu doszedłem do wniosku, że powinienem zapalić światło i wziąć się w garść. Szlag by to trafił, nigdy nie potrafiłem zabrać się do pracy, jeśli nie miałem pilnego, nieprzekraczalnego terminu.

Bóg mi świadkiem, że teraz taki termin mam.

Nasi rodzice nie mieli powodu spodziewać się niczego innego niż to, czego się dochowali – bystrych dzieciaków. Tata skończył historię i w wieku trzydziestu lat otrzymał profesurę w Hofstra. Dziesięć lat później został jednym z sześciu wicedyrektorów Narodowego Archiwum w Waszyngtonie, DC, i czekał w kolejce do najwyższego stanowiska. Był kapitalnym facetem – miał wszystkie płyty Chucka Berry’ego, jakie się kiedykolwiek ukazały, i sam wspaniale grał bluesa na gitarze. W dzień prowadził kartoteki, a wieczorami grał rocka.

Mama ukończyła Drew *magna cum laude*. Należała do Phi Beta Kappa² i czasami wkładała ów twarzowy, malowniczy, filcowy kapelusz z zawiniętym, podłużnym rondem. Szybko została najbardziej wziętą licencjonowaną księgową w DC, spotkała mego tatę, poślubiła go, a kiedy zaczęła w łonie nosić niżej podpisanego, porzuciła pracę. Ja na świecie pojawiłem się w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym. Od osiemdziesiątego czwartego moja mama wyliczała podatki niektórym współpracownikom taty – nazywała to „swoim małym hobby”. Do roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego, kiedy to urodził się

Bobby, zajmowała się podatkami, wykazami inwestycji i planowaniem majątku tuzina bardzo wpływowych ludzi. Mógłbym ich wymienić z imienia i nazwiska, ale kogo to może obchodzić? Ludzie ci obecnie albo nie żyją, albo są śliniącymi się kretynami.

Moim zdaniem mama rokrocznie zarabiała „swoim małym hobby” więcej niż tata w archiwum, ale nigdy to nie miało większego znaczenia – byli ze sobą szczęśliwi i zadowoleni z tego, co w darze zesłał im los. Byłem świadkiem wielu ich sprzeczek, ale nigdy nie podnosili na siebie ręki. Kiedy już podrosłem, jedyną różnicą, jaką zauważyłem między swoją mamą a matkami moich kolegów było to, że gdy w telewizji szły opery mydlane, ich mamy czytały, prasowały, szyły i rozmawiały przez telefon, a gdy szły w telewizji te same mydlane opery, moja mama wyjmowała z kieszeni kalkulator i wypisywała na wielkich zielonych arkuszach cyfry.

Nie rozczarowałem tych dwojga ludzi posiadających złote karty Mensy. W szkole uczyłem się na samych piątkach i szóstkach (o ile wiem, rodzicom nigdy nawet nie zaświtał pomysł, żeby mnie lub Bobby’ego posłać do którejsz z prywatnych szkół). Od wczesnego dzieciństwa miałem wielką łatwość pisania. W wieku lat dwudziestu sprzedałem do czasopisma swój pierwszy artykuł na temat Armii Kontynentalnej zimującej w Valley Forge. Sprzedałem go do magazynu lotniczego za czterysta pięćdziesiąt dolarów. Tata, którego kochałem z całego serca, zapytał, czy może odkupić ode mnie ten czek. Później oprawił go w ramkę i powiesił sobie nad biurkiem. Jeśli chcecie, możecie go nazwać romantycznym geniuszem. Możecie go też nazywać romantycznym geniuszem grywającym bluesa. Uczcie się ode mnie; dzieciaki potrafią być dużo gorsze. Oczywiście, pod koniec zeszłego roku on i moja mama umarli, mającąc i robiąc pod siebie, podobnie zresztą jak prawie wszyscy ludzie na całym wielkim świecie. Ale to nie znaczy, że przestałem rodziców kochać.

Mieli wszelkie powody, żeby oczekiwać takiego dziecka jak ja – dobrego chłopca o bystrym, chłonnym umyśle; zdolnego chłopca, którego talent od wczesnego dzieciństwa rozwijał się w atmosferze miłości i zaufania; oddanego dziecka, które kochało tatę i mamę.

Bobby był inny. Nikt, nawet ludzie należący do Mensy jak nasi starzy, nie mogli spodziewać się takiego syna jak Bobby.

Przenigdy.

Okazałem się lepszy od Bobby'ego tylko w jednej rzeczy – o całe dwa lata wcześniej przestałem siadać na nocnik. Ale nie zazdrościłem bratu; byłoby to tak, jakby niezły pitcher z amerykańskiej ligi czuł zawiść do Nolana Ryana czy Rogera Clemensa. Po kilku próbach porównywania się z Bobbym ten rodzaj zazdrości zniknął zupełnie. Przeszedłem ów okres i mogę śmiało oświadczyć: w pewnym momencie człowiek wycofuje się i osłania oczy przed oślepiającą jasnością.

Bobby zaczął czytać w wieku dwóch lat, a w wieku trzech pisał już krótkie rozprawki („Nasz pies”, „Podróż z matką do Bostonu”). Jego teksty miały wybujałą, wzruszającą konstrukcję właściwą opowieściom sześciolatka i już samo to było zaskakujące. Istniał jednak jeszcze jeden element. Gdyby jego nieustannie rozwijająca się kontrola motoryczna nie była w jakimś stopniu czynnikiem określającym wartość tych utworów, można by odnieść wrażenie, że ich twórcą jest bardzo rozgarnięty, choć w najwyższym stopniu naiwny piątoklasista. Z przyprawiającą o zawrót głowy szybkością przechodził od prostych zdań do złożonych, skomplikowanych konstrukcji, z osobliwą intuicją chwytając zasadę budowy zdań głównych i podrzędnych. Czasami stosował złą składnię, błędnie rozmieszczał akcenty, ale i z tą wadą – plagą większości pisarzy, którzy walczą z nią przez całe życie – Bobby uporał się w wieku lat pięciu.

Cierpiał na coraz większe bóle głowy. Rodzice obawiali się, że zapadł na jakąś chorobę – zapewne na guza mózgu – i poszli z nim do lekarza. Ten starannie go zbadał, jeszcze staranniej wysłuchał, po czym oświadczył, że z Bobbym wszystko jest w porządku, tyle że dzieciak przeżywa stres. Znajduje się w stanie pełnej frustracji, ponieważ ręka, którą pisze, nie nadąża za jego umysłem.

– Dziecko państwa usiłuje pozbyć się umysłowego kamienia nerkowego – oświadczył lekarz. – Na bóle głowy mogę coś zalecić, ale sądzę, że najlepszym lekiem będzie maszyna do pisania.

Tak więc tata z mamą podarowali Bobby'emu maszynę IBM. Rok później, na

Gwiazdkę, dostał commodore'a 64 z WordStarem i bóle głowy całkowicie minęły. Zanim przejdę do innych kwestii, chciałbym dodać, że mniej więcej przez następne trzy lata Bobby był najgłębiej przekonany, iż komputer pod choinkę rzeczywiście położył mu najprawdziwszy święty Mikołaj. Kiedy teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że było to drugie pole, na którym pobiłem Bobby'ego. W świętego Mikołaja przestałem wierzyć znacznie wcześniej.

W tamtych czasach wydarzyło się wiele rzeczy, o których chciałbym opowiedzieć, ale podejrzewam, że muszę się śpieszyć i relacjonować wszystko w ogromnym skrócie. Nieprzekraczalny termin. Ach, nieprzekraczalny termin. Kiedyś czytałem bardzo zabawny kawałek zatytułowany: *Elementy zasadnicze „Przeminęło z wiatrem”*.

– Wojna? – wybuchnęła śmiechem Scarlett.

– Koszałki-opałki!

Trach! Ashley poszedł na front! Atlanta spłonęła! Rhett pojawiał się i znikał!

– Koszałki-opałki – powiedziała przez łzy Scarlett. – Pomyślę o tym jutro, ponieważ jutro również będzie dzień...

Czytając to, serdecznie się uśmiełem. Dzisiaj, kiedy stanąłem twarzą w twarz z czymś podobnym, wcale już nie wydaje mi się to takie zabawne. Dziś to idzie tak:

– Dzieciak ze współczynnikiem IQ tak wysokim, że nie jest go w stanie określić żaden test? – wybuchnęła śmiechem India Fornoj i popatrzyła na swego oddanego męża Richarda.

– Koszałki-opałki! Zapewniamy atmosferę i warunki, w których jego intelekt może swobodnie się rozwijać... by nie wspomnieć już o jego nie-do-końca-głupim bracie. Wychowujemy ich na normalnych, typowych amerykańskich chłopców.

Trach! Chłopcy Fornojów wyrosli! Howard wstąpił na Uniwersytet Wirginia, ukończył go cum laude i rozpoczął karierę niezależnego pisarza! Urządził sobie przyjemnie życie! Spotykał się z wieloma kobietami, z niektórymi z nich chadzał do łóżka! Uniknął chorób społecznych, zarówno spowodowanych seksem jak i środkami

farmaceutycznymi! Kupił sobie aparaturę stereo firmy Mitsubishi! Przynajmniej raz w tygodniu pisał do domu! Opublikował dwie bardzo dobre powieści!

– Koszałki-opałki – powiedział Howard. – To jest właśnie życie dla mnie!

I tak toczyły się losy aż do dnia, kiedy nieoczekiwanie (wedle najlepszych wzorów oszalałych naukowców) pojawił się Bobby z dwoma akwariami. W jednym z nich znajdowało się gniazdo pszczół, a w drugim gniazdo os. Bobby miał na sobie włożony na lewą stronę podkoszulek z napisem „Mumford Phus Ed”; stał właśnie u progu odkrycia, które zniszczyć miało ludzki intelekt, i był radosny jak mięczak podczas przyływu.

W każdym pokoleniu faceci tacy jak mój brat trafiają się najwyżej raz czy dwa. Mam na myśli facetów pokroju Leonarda da Vinci, Newtona, Einsteina, może Edisona. Wszyscy oni mają jedną wspólną cechę: są niczym ogromne kompasy, które długo kręcą się bez celu, poszukując prawdziwego kierunku północnego, a następnie rzucają się w jego stronę z przerażającą energią. Ale zanim to się stanie, ludzie tacy przejawiają skłonność do wymyślania największych głupot. Bobby nie stanowił wyjątku od tej reguły.

Kiedy miał osiem lat, a ja piętnaście, przyszedł do mnie i oświadczył, że wymyślił samolot. Zbyt dobrze znałem Bobby'ego, żeby skwitować to krótkim „bzdury” i wykopać go ze swego pokoju. Zszedłem z nim do garażu. Tam ujrzałem stojącą na dużym, czerwonym wagonie jego drewnianej kolejki American Flyer dziwaczną, wykonaną z dykty konstrukcję. Przypominała nieco samolot myśliwski, ale miała skrzydła wysunięte do przodu, a nie odchyłone do tyłu. Pośrodku maszyny Bobby przymocował śrubami siodło swego konia na biegunach. Z boku sterczała dźwignia. Maszyna nie miała silnika. Bobby oświadczył, że to jest szybowiec. Chciał, żebym zepchnął go z wierzchołka Carrigan's Hill, najbardziej stromego stoku w Grant Park w DC. Na górze ciągnęła się wybetonowana alejka, po której spacerowali staruszkowie. Bobby zakomunikował, że to będzie pas startowy.

– Bobby – zaoponowałem – najpierw musisz odwrócić te skrzydła. To dzieci-nada.

– Wcale nie – sprzeciwił się. – Tak właśnie powinno być. Coś podobnego widziałem w książce „Królestwo dzikich zwierząt”. Były tam jastrzębie. Najpierw pikują do swej ofiary, a kiedy wracają na górę, tak właśnie układają skrzydła. Rozumiesz, mają stawy zginające się w obie strony. To ułatwia im wznoszenie się.

– Dlaczego zatem nasze lotnictwo wojskowe nie buduje takich maszyn? – zapytałem, pogrążony w błogiej nieświadomości, ponieważ nie wiedziałem, że zarówno Amerykanie jak Rosjanie mają już na rysownicach i stołach kreślarskich myśliwce o skrzydłach wychylonych do przodu.

Bobby wzruszył tylko ramionami. Nie wiedział dlaczego, ale niewiele go to obchodziło.

Poszliśmy na Carrigan’s Hill. Tam Bobby zajął miejsce w siodle i chwycił dźwignię.

– Tylko pchnij mnie z całych sił – polecił.

W jego oczach palił się płomień szaleństwa, który tak dobrze znałem... Jezu, taki płomień czasami widywałem w jego źrenicach jeszcze w czasach, kiedy leżał w kołysce. Przysięgam na Boga, że nigdy bym go nie zepchnął tak mocno z betonowej alejki, gdybym wierzył, że to urządzenie naprawdę zadziała.

Ale nie wiedziałem o tym, więc popchnąłem go z całych sił. Ruszył na jałowym biegu w dół stoku, krzycząc z radości jak kowboj, który po powrocie ze szlaku wjeżdża do miasta, gdzie czeka już na niego piwo. Starsza kobieta prawie szczupakiem odskoczyła Bobby’emu z drogi, wagonik z moim bratem o milimetry minął wspartego o laskę starowinę. W połowie zjazdu Bobby pociągnął za dźwignię, a ja szeroko rozwartymi oczyma, oszołomiony ze strachu i zdumienia, obserwowałem, jak wykonany z dykty samolot oddzieli się od czerwonego wagonu. W pierwszej chwili unosił się zaledwie kilka centymetrów nad nim i przez sekundę wydawało się, że osiadzie na ziemi. Wtedy podmuch wiatru porwał konstrukcję Bobby’ego, jakby ktoś podciągnął ją na niewidzialnej linie. Wagonik pomknął alejką i wylądował w krzakach. Bobby w jednej chwili znalazł się trzy metry nad ziemią, później sześć i piętnaście. Sunął nad Grant Park lotem ślizgowym w swym nieustannie wznoszącym się samolociku i krzy-

czał z radości.

Ruszyłem za nim biegiem, wrzeszcząc, żeby natychmiast wracał na ziemię. Przed oczyma miałem okropną wizję: jego ciało zsuwa się z tego idiotycznego siodła i z impetem spada na drzewo lub jeden z wielu stojących w parku pomniczków. Nie mogłem sobie wyobrazić pogrzebu brata, pogrzebu, do którego ja bym się przyczynił.

– BOBBY! – wrzasnąłem. – NATYCHMIAST WRACAJ!

– ŁIIIIJEEEEEE! – odkrzyknął Bobby słabym, ale pełnym ekstazy głosem.

Gracze w szachy, gracze w frisbee, czytający książki, parki zakochanych i biegacze przerwali swoje zajęcia i zadarli głowy.

– W TYM PIEPRZONYM SAMOLOCIE NIE MASZ PASÓW BEZPIECZEŃSTWA!

– zawołałem z rozpaczą.

O ile dobrze pamiętam, wtedy właśnie, po raz pierwszy w życiu, użyłem tego szczególnego słówka.

– Niiiiic miiii nieeeeeee bęęęęędzie...

Darł się ile tchu w płucach, ale ja byłem zbyt przejęty i prawie go nie słyszałem. Z wrzaskiem, na złamanie karku, zbiegłem Carrigan's Hill. Zupełnie nie pamiętam, co krzyczałem, ale następnego dnia mogłem mówić tylko szeptem. Pamiętam tylko, że minąłem jakiegoś młodego typa w eleganckim, trzyczęściowym garniturze, stojącego obok posągu Eleanor Roosevelt u stóp wzgórza. Popatrzył na mnie i oświadczył zachęcającym do pogawędki tonem:

– Powiem ci coś, przyjacielu. Mam paskudne halucynacje.

Pamiętam zniekształcony, dziwaczny cień szybowca prześlizgujący się po zielonych trawnikach parku, kurczący się i rozciągający, kiedy przepływał po ławkach, pojemnikach na śmieci i po zadartych twarzach gapiów. Pamiętam, że goniłem ten cień. Pamiętam, jak wyobrażałem sobie skurcz twarzy i wybuch płaczu matki, kiedy powiem jej, że samolot Bobby'ego, który przecież nie miał prawa w ogóle latać, trafił w wir powietrzny, odwrócił się do góry nogami i Bobby zakończył swoją błyskotliwą, choć krótką karierę rozmazany na bruku D Street.

Ponieważ sprawy potoczyły się, jak się potoczyły, dla wszystkich byłoby le-

piej, gdyby tak się właśnie stało.

Ale Bobby zawrócił w stronę Carrigan's Hill i trzymając się nonszalancko ogona swego samolotu, żeby nie spaść, skierował się nad niewielką sadzawkę położoną w środku Grant Park. Prześlizgnął się nad nią na wysokości półtora metra, później metra... aż w końcu pociągnął tenisówkami po powierzchni wody, zostawiając na falach dwie białe smugi, płosząc zadowolone zawsze z siebie (i przekarmione) kaczki, które z krzykiem oburzenia i łopotem skrzydeł wzbily się w górę i leciały przed zaśmiewającym się z radości Bobbym. Wylądował po drugiej stronie stawu, dokładnie między dwiema ławkami, o które jego samolocik zahaczył skrzydłami. Wyleciał z siodła, wyrznął głową w trawę i zaczął się drzeć wniebogłosy, jakby obdzierano go ze skóry.

Takie właśnie było życie z Bobbym.

Fakt pozostaje faktem, że nie wszystko było aż tak spektakularne... w każdym razie do chwili wynalezienia przez niego Wyciszacza. Przytoczyłem jednak tę historię, gdyż moim zdaniem przypadki skrajne najlepiej ilustrują normę: żyjąc obok Bobby'ego, człowiek nieustannie miał pieprznik w głowie. W wieku lat dziewięciu mój brat zapisał się na wykłady z fizyki kwantowej i wyższej algebry na Uniwersytecie Georgetown. Pewnego dnia zagłuszył swoim głosem wszystkie odbiorniki radiowe i telewizyjne na naszej ulicy – a także na czterech sąsiednich. Znalazł na strychu stary, przenośny telewizor, po czym przerobił go na szerokopasmową stację nadawczą. Jeden stary, czarno-biały zenith, cztery metry giętkiego izolowanego przewodu, wieszak do ubrań zainstalowany na dachu naszego domu... i już! Przez blisko dwie godziny mieszkańcy czterech ulic w Georgetown mogli odbierać wyłącznie WBOB... Okazało się, że stacją jest mój zacny braciszek, który czytał wybrane przez siebie moje utwory, opowiadał kretyńskie dowcipy i wyjaśniał, że wysoka zawartość siarki w prażonej fasoli powoduje, że nasz tata w każdą niedzielę puszcza bąki podczas porannego nabożeństwa.

– Ale puszcza je bardzo cichutko – wyjaśniał Bobby około trzem tysiącom słuchaczy. – Prawdziwe salwy zachowuje na koniec, kiedy przychodzi do śpie-

wania hymnów.

Tata, który był bardziej niż niezadowolony z wyczynu Bobby'ego, musiał wpłacić do kasy Federalnej Komisji Telekomunikacyjnej siedemdziesiąt pięć dolarów kary, a później, przez cały rok, skrupulatnie odliczał je z kieszonkowego mego brata.

Życie z Bobbym, o, tak... no i popatrzcie. Płaczę. Zastanawiam się, czy jest to szczerzy sentyment, czy tylko chwilowe roztkliwienie się nad sobą. Sądzę, że to pierwsze – jeden Bóg wie, jak go kochałem... Ale chyba lepiej będzie, jeśli się pośpieszę i przejdę do tematu.

Bobby, naturalnie, bardzo szybko, bo w wieku lat dziesięciu, ukończył wyższą uczelnię, ale nie uzyskał tytułu magistra ani nauk humanistycznych, ani matematyczno-przyrodniczych – nie mówiąc już o wyższych stopniach naukowych. Sprawiał to ów ogromny, potężny kompas umiejscowiony w jego głowie, który nieustannie kręcił się, poszukując jakiegoś prawdziwego bieguna północnego, na którym mógłby się zatrzymać.

Bobby przeszedł w życiu okres fascynacji fizyką, i krótszy, kiedy zwariował na punkcie chemii... ale w końcu zbyt wciągnęła go matematyka, żeby te dwie tak konkretne i empiryczne nauki mogły go dłużej pociągać. Uprawiał je, ale szybko go znudziły.

Kiedy skończył piętnasty rok życia, zajął się archeologią. Przeczesał podnóża White Mountain w okolicach naszego domu letniskowego w North Conway i na podstawie znajdujących grotów od strzał, krzemieni, a nawet węgla pochodzącego z ognisk palonych w okresie kamiennym w jaskiniach środkowego New Hampshire odtwarzał historię Indian. Ale i ta pasja szybko minęła, a Bobby zaczął pochłaniać literaturę z zakresu historii i antropologii. Kiedy miał szesnaście lat, mama z ojcem niechętnie wyrazili zgodę na jego udział w wyprawie antropologów z Nowej

Anglii do Ameryki Południowej.

Wrócił po pięciu miesiącach po raz pierwszy w życiu opalony. Był również o trzy centymetry wyższy, stracił siedem i pół kilograma na wadze oraz zacho-

wywał się dużo spokojniej. Ciągłe miał wiele wdzięku, a w każdym razie potrafił go mieć, ale jego dziecięca wylewność, czasami zaraźliwa, czasami nużąca, zniknęła bez śladu. Dorósł. Wtedy po raz pierwszy słyszałem, jak mówił o wydarzeniach na świecie... o tym, że są okropne. Był rok dwa tysiące trzeci, rok, w którym odłam OWP, zwany Synami Dżihadu (nazwa ta zawsze w jakiś okropny sposób kojarzyła mi się z katolickimi wspólnotami w Pensylwanii), detonował w Londynie bombę rozpylającą, która skaziła sześćdziesiąt procent miasta i sprawiła, że pozostałe czterdzieści stało się w najwyższym stopniu szkodliwe dla osób, która planowały mieć dzieci (jak również dla ludzi po pięćdziesiątce). W tym samym roku, gdy rząd Cadena zaakceptował „niewielki zespół” doradców z komunistycznych Chin (zgodnie z danymi dostarczonymi nam przez satelity zwiadowcze, około piętnastu tysięcy osób), próbowaliśmy założyć blokadę Filipin i wycofaliśmy się z przedsięwzięcia tylko ze względu na to, iż: a) Chiny nie żartowały, że opróżnią silosy, jeśli się nie wycofamy, i b) ponieważ Amerykanie nie są aż tak szaleni, żeby z powodu Archipelagu Filipińskiego popełniać zbiorowe samobójstwo. W tym też roku jakaś inna grupa szalonych skurwieli – chyba Albańczyków – próbowała rozpylić nad Berlinem wirusa AIDS.

Bardzo to przygnębiało wszystkich, ale najbardziej Bobby’ego.

– Dlaczego ludzie są tak podli? – zapytał mnie pewnego dnia.

Byliśmy akurat w naszym domku letniskowym w New Hampshire. Kończył się sierpień i siedzieliśmy już na walizkach. Chatka, ogołocona ze wszystkiego, sprawiała przygnębiające wrażenie, jak to zawsze bywało, gdy nadchodził koniec wakacji i każdy ruszał w swoją drogę. Dla mnie oznaczało to powrót do Nowego Jorku, a dla Bobby’ego podróż do Waco w Teksasie... Wakacje spędził na lekturze tekstów z zakresu socjologii i geologii – czy ktoś inny zdołałby przetrwać taką zwariowaną sałatkę? – oświadczając, że w Waco zamierza przeprowadzić kilka doświadczeń. Powiedział to niedbale, od niechcienia, lecz dostrzegalem, z jaką pełną zadumy, osobliwą uwagą nasza matka obserwowała go przez ostatnie dwa tygodnie, które spędziliśmy razem w New Hampshire. Choć ani tacie, ani mnie nie zaświtała nawet w głowie taka myśl, moja mama wiedziała już, że igła kompasu Bobby’ego odkryła w końcu ów alegoryczny bie-

gun północny, przestała się kręcić jak oszalała i wskazywała jeden, konkretny kierunek.

– Dlaczego są tak podli? – zapytałem. – Przypuszczasz, że znam odpowiedź na to pytanie?

– Ktoś musi być lepszy – odparł. – Niedługo losy świata potoczą się inaczej.

– Potoczą się tak, jak toczyły się zawsze – powiedziałem.

– I podejrzewam, że ludzie są, jacy są, ponieważ zostali stworzeni po to, żeby byli podli. Jeśli już musisz kogoś winić, wiń Boga.

– Idiotyzm. Nie wierzę w to. Nawet gdyby w końcu się okazało, że podwójny chromosom X naprawdę jest bzdurą. I tylko mi nie wmawiaj, że podłość ludzką powoduje presja ekonomiczna, konflikt między tymi, co posiadają, a tymi, co nic nie mają, bo to niczego nie wyjaśnia.

– Grzech pierworodny – oświadczyłem. – Według mnie to pasuje... gra tak dobrze, że możesz w takt tego tańczyć.

– Cóż – odparł Bobby. – Może i grzech pierworodny. Ale jaki to instrument, duży bracie? Czy kiedykolwiek zadałeś sobie to pytanie?

– Instrument? Jaki znów instrument? Nie nadażam za tobą.

– Myślę, że woda – odparł markotnie Bobby.

– Co takiego?

– Woda. Coś w wodzie. – Popatrzył na mnie. – Albo coś, czego w niej brakuje.

Następnego dnia Bobby wyjechał do Waco. Nie widziałem go aż do chwili, kiedy pojawił się w moim mieszkaniu ubrany w koszulkę Mumford odwróconą na lewą stronę, dzierżąc przed sobą dwa akwaria. To było trzy lata później.

– Jak się masz, Howie? – powiedział, wkraczając do mego mieszkania i klepiąc mnie bezceremonialnie po plecach, jakbyśmy się nie widzieli zaledwie trzy dni.

– Bobby! – krzyknąłem i chwyciwszy go w objęcia, zrobiłem z bratem „niedźwiedzia”.

Poczułem na klatce piersiowej ostry kant, a do moich uszu dobiegło wściekłe

brzęczenie pszczoł.

– Mnie również cieszy twój widok – odrzekł Bobby. – Ale lepiej się odsuń. Niepokoisz mieszkańców.

Pośpiesznie zrobiłem krok do tyłu. Bobby odstawił wielką papierową torbę, zdjął z ramienia torbę podróżną, a następnie z papierowej ostrożnie wyjął dwa akwaria. W jednym znajdowała się pasieka, a w drugim gniazdo os. Pszczoły już się uspokoiły i zajęły swoimi sprawami, natomiast osy były wyraźnie niezadowolone ze wszystkiego.

– W porządku, Bobby – powiedziałem. Popatrzyłem na niego z uśmiechem; nie umiałem powstrzymać tego uśmiechu.

– Co nowego wykombinowałeś tym razem?

Bobby rozpiął zamek torby podróżnej i wyciągnął słoik po majonezie do połowy wypełniony przezroczystym płynem.

– Widzisz to? – zapytał.

– Jasne. Wygląda jak woda lub jakiś inny bezbarwny płyn.

– Tak naprawdę jest to i jedno, i drugie. Pochodzi ze studni artezyjskiej w La Plata, niewielkim miasteczku leżącym sześćdziesiąt pięć kilometrów na wschód od Waco. Zanim przetworzyłem wodę w ten koncentrat, było jej dwadzieścia litrów. Howie, mam tylko zwykłą aparaturę do destylacji, ale nie wiem, czy rząd kiedykolwiek pozwoli mi rozpowszechnić tę substancję. – Cały czas się uśmiechał, ale teraz jego uśmiech stał się jeszcze szerszy. – Tak, to woda, ale równocześnie najcholerniejszy zajzajer, z jakim rasa ludzka miała kiedykolwiek do czynienia.

– Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Ale się dowiesz. Wiesz co, Howie?

– Co?

– Założę się, że jeśli ta idiotyczna rasa ludzka przetrwa jeszcze sześć miesięcy, przetrwa na zawsze.

Uniósł słoik i powiększone oko Bobby'ego lypnęło na mnie poważnie przez szkło.

– To jest rewelacja – oświadczył. – Lekarstwo na najgorszą chorobę, która ze-

ruje na homo sapiens.

– Mówisz o raku?

– Nie – odparł Bobby. – O wojnach. Bijatykach w knajpach. Zamachach. O tym całym bałaganie. Gdzie masz łazienkę, Howie? Jestem brudny jak świńskie ucho.

Kiedy znów pojawił się w pokoju, miał nie tylko koszulkę Mumford odwróconą na właściwą stronę, ale uczesane włosy. Spostrzegłem jednak, że metody toalety nie zmienił. Po prostu włożył na chwilę głowę pod prysznic, a następnie palcami odgarnął grzywkę z czoła i zaczesał ją do tyłu.

Popatrzył bacznie na dwa akwaria. Stwierdził, że pszczoły i osy wróciły już do normy.

– Z tym tylko, Howie, że gniazdo os nigdy nie przypomina czegoś „normalnego”. Osy są owadami społecznymi, jak pszczoły czy mrówki, ale w przeciwieństwie do pszczół, które zawsze wykazują rozsądek, i do mrówek, które od czasu do czasu dostają paranoi, osy są urodzonymi szaleńcami. – Uśmiechnął się.

– Tak jak nasz gatunek, stary, dobry homo sapiens.

Zdjął przykrywkę z akwarium, w którym roiły się pszczoły.

– Powiem ci coś, Bobby – odezwałem się z o wiele za szerokim i zbyt serdecznym uśmiechem. – Zamknij to akwarium i po prostu opowiedz mi to, co zamierzasz mi opowiedzieć. Demonstrację zostawmy na później. Chodzi o to, że właścicielka domu jest fajną cizią, ale dozorca to ten wielki buhaj, co pali cygara Odie Perode i waży piętnaście kilogramów więcej ode mnie. Ona...

– Spodoba ci się to – odparł beztrąsko Bobby, jakby w ogóle nie usłyszał, że cokolwiek powiedziałem; sposób równie dobrze mi znany jak jego „Dziesięciopalcowa Metoda Czesania Sie”.

Bobby nie był niegrzeczny czy nieuprzejmy, ale często kompletnie tracił kontakt z rzeczywistym światem. I jak miałem go powstrzymać? Cholera, nie istniał taki sposób. Zanadto cieszyłem się z powrotu brata. Chcę powiedzieć, iż już wtedy wiedziałem, że wszystko zmierza w fatalnym kierunku, ale kiedy przebywałem z Bobbym dłużej niż pięć minut, on po prostu mnie hipnotyzował. On był Lucy trzymającą piłkę i obiecującą, że tym razem to „już na pew-

no”, a ja Charliem Brownem biegnącym przez pole, żeby tę piłkę kopnąć³.

– Zapewne już wcześniej spotkałeś się z takimi sztuczkami. Zdjęcia z tego rodzaju przedstawień publikują czasopisma, widowiska takie transmituje telewizja w dokumentalnych filmach przyrodniczych. To nic szczególnego, ale robią ogromne wrażenie, ponieważ ludzie żywią całkowicie irracjonalne uprzedzenie do pszczół.

A najdziwniejsze w tym było to, że miał rację – widywałem już takie rzeczy wcześniej.

Wsunął rękę do akwarium między szkło a ul. W niecałe piętnaście sekund jego dłoń pokryła żywa czarno-żółta rękawica. Widok ów w jednej chwili sprowadził na mnie falę wspomnień. Siedziałem przed telewizorem we flanelowej pidżamie i tuliłem do siebie misia Paddingtona. Do pójścia do łóżka zostało mi jeszcze około pół godziny (oraz kilka lat do narodzin Bobby’ego). Z mieszaniną zgrozy, niesmaku i fascynacji patrzyłem, jak pewien pszczelarz pozwolił rojowi usiąść sobie na twarzy. Pszczoły najpierw utworzyły mu na głowie kaptur, jaki nosili kaci, a następnie ów człowiek jednym ruchem ręki uformował sobie z owadów groteskową, żywą brodę.

Bobby nagle skrzywił się, ale zaraz potem uśmiechnął.

– Jedna mnie użądliła – oświadczył. – Ciągłe są trochę niespokojne po podróży. W La Plata przyłączyłem się do jakiejś agentki ubezpieczeniowej, która miała starego piper cuba, i razem wróciliśmy do Waco. Potem, do Nowego Orleanu, poleciałem niewielką, lokalną linią lotniczą... podejrzewam, że była to Linia Lotnicza „Dupek”. W sumie miałem ze czterdzieści przesiadek, ale przysięgam, że najbardziej rozwścieczyła je droga taksówką z LaGarbage. Na Drugiej Alei jest więcej dziur w jezdni niż na Bergenstrasse po kapitulacji Niemiec.

– Wiesz, Bobby, naprawdę uważam, że powinieneś wyjąć już tę rękę – powiedziałem.

Spodziewałem się w każdej chwili, że kilka pszczół wyfrunie z akwarium, a później ja będę za nimi ganiał godzinami ze zwiniętą gazetą i po kolei strącał, zupełnie jakby były uciekinierami z więzienia z jakiegoś archiwalnego filmu. Ale żadna nie uciekała... przynajmniej na razie.

– Howie, rozluźnij się. Czy widziałeś, żeby pszczoła kiedykolwiek użądliła kwiat? Albo czy przynajmniej słyszałeś o takim przypadku?

– Na kwiatek to ty nie wyglądasz.

Roześmiał się.

– Chrzanisz, bracie! Czy myślisz, że pszczoła wie, jak wygląda kwiat? Ha, ha! Nie ma o tym zielonego pojęcia, człowieku! Owady nie mają najmniejszego pojęcia, jak wyglądają kwiaty, podobnie jak ty czy ja nie wiemy, jaki dźwięk wydaje chmura. Pszczoły wiedzą tylko, że jestem słodki, ponieważ wraz z potem wydzielam cukier. i trzydzieści siedem innych składników. przynajmniej tyle znamy.

Urwał i zamyślił się.

– Ale muszę ci się przyznać, że dzisiaj wieczorem zachowałem trochę ostrożności i... eee, tego... trochę się dosłodziłem. W samolocie zjadłem pudełko wiśni w czekoladzie...

– Boże drogi, Bobby!

– ...a w taksówce, w drodze do ciebie, dwie torebki cukierków

MallowCremes.

Wsunął do akwarium drugą dłoń i ostrożnie zaczął nią zgarniać pszczoły. Tuż przed tym, jak strącił ostatnią, ponownie się skrzywił. Po chwili zakrył akwarium, czym sprawił mi wielką ulgę. Na każdej ręce miał zaczerwienione, spuchnięte miejsce: na lewej w zagłębieniu dłoni, a na prawej wysoko przy nadgarstku, w punkcie, który chiromanci nazywają rasceta. Użądliły go, ale zademonstrował mi to, o co mu chodziło. Około czterystu pszczół obsiadło jego dłoń. Użądliły tylko dwie.

Z małej kieszonki w dzinsach wyjął pęsetkę i podszedł do mego biurka. Przesunął plik rękopisów bliżej komputera Wang Micro, na którym w tamtym czasie pracowałem, a na miejsce papierów postawił punktową lampę Tensor. Tak długo się z nią bawił, aż uzyskał wąski strumień ostrego światła padający na wykonany z wiśniowego drewna blat.

– Pisziesz co fajnego, Bow-Wow? – zapytał od niechcienia, a ja poczułem, że mi się jeżą włosy na głowie.

Kiedy po raz ostatni nazwał mnie Bow-Wow? Gdy miał cztery lata? Sześć? Do licha, sam już nie pamiętam! Ostrożnie operował pęsetą przy lewej ręce. Dostrzegłem, że wyjął coś drobnutkiego, coś, co przypominało włosy z nosa, i położył na popielniczce.

– Pracuję nad artykułem o sztuce fałszerstwa w „Targowisku próżności” – odparłem. – Bobby, co, do diabła, tam robisz?

– Wyjmiesz drugie żądło? – zapytał, wręczając mi pincetkę. Z przepraszającym uśmiechem wyciągnął w moją stronę prawą dłoń. – Zastanawiam się nad tym, że skoro jestem tak cholernie rozgarnięty, powinienem być oburęczny. A tu moja lewa ręka ciągle posiada wskaźnik IQ około sześciu.

Ten sam stary Bobby.

Usiadłem obok niego, wziąłem pęsetę i wyciągnąłem żądło z zaczerwienionego, spuchniętego przy rasciecie nadgarstka. W trakcie zabiegu Bobby wyjaśniał mi różnicę między pszczołami a osami, różnicę między wodą z La Plata a tą z Nowego Jorku. Mówił też, jak wszystko się świetnie ułoży dzięki jego wodzie oraz mojej niewielkiej pomocy.

I tak, do cholery, skończyłem, biegnąc do piłki, którą pokazał mi mój roześmiany, piekielnie inteligentny braciszek.

Po raz ostatni.

– Pszczoła ugryzie cię w ostateczności, ponieważ ją to zabije – wyjaśniał poważnym tonem Bobby. – Czy pamiętasz, jak w North Conway oświadczyłeś, że zabijamy się wzajemnie z powodu grzechu pierworodnego?

– Jasne... Nie ruszaj ręką.

– Cóż, jeśli coś takiego jak grzech pierworodny istnieje, jeśli istnieje w ogóle Bóg, który mógł nas jednocześnie kochać w stopniu wystarczającym, żeby poświęcić dla nas na krzyżu swego syna, a jednocześnie wysłać nas saniami raketowymi do piekła tylko dlatego, że jakaś głupia dziwka ugryzła nie to jabłko, co trzeba, to równie dobrze mógł rzucić na nas przekleństwo: Uczynię was na podobieństwo os, a nie pszczół... cholera jasna, Howie, co ty wyprawiasz?

– Nie ruszaj ręką, to ci to żądło wyciągnę – odparłem.

– Jeśli zamierzasz dalej gestykulować, powiedz, ja zaczekam.

– W porządku – mruknął, usiadł względnie spokojnie, a ja wyciągnąłem żądło. – Bow-Wow, pszczoły mają naturę kamikaze. Zjrzyj do akwarium, to sam się przekonasz, że te dwie, które mnie użądliły, leżą teraz na dnie martwe. Ich żądła są na wąsie, jak haczyk w wędce. Pszczoła wbija żądło bez problemów, ale kiedy je wyciąga, wyrywa sobie jednocześnie wnętrzności.

– Duże – oświadczyłem, kładąc drugie żądło na popielniczce.

Nie widziałem żadnego wąsa, ale nie miałem przecież mikroskopu.

– To właśnie sprawia, że pszczoły są czymś szczególnym – ciągnął Bobby.

– Jasne.

– Osy, z kolei, mają żądła bez wąsa. Mogą nimi kłuć tyle razy, ile im się podoba. Za trzecim lub czwartym razem kończy się im trucizna. Ale żądła również bez niej, jeśli chcą... a przeważnie chcą. Zwłaszcza osy ścienne. Te, które mam tutaj. To gatunek zwany Noxon. Muszą mieć kaca, ponieważ obudziły się bardziej rozdrażnione niż zwykle.

Popatrzył na mnie poważnie. Dopiero teraz spostrzegłem, że ma podkrążone ze zmęczenia oczy. W jednej chwili uświadomiłem sobie, że nigdy jeszcze nie widziałem swego brata-dzieciaka tak znużonego.

– Dlatego ludzie nieustannie toczą ze sobą walki, Bow-Wow. Ciągle, ciągle i ciągle. Mamy żądła bez wąsów. A teraz popatrz.

Wstał, podszedł do torby podróźnej i zaczął w niej bobrować. Po chwili wyciągnął kropłomierz. Otworzył słoik po majonezie, wsunął do środka pipetkę, a potem wciągnął w nią odrobinę destylowanej wody z Teksasu.

Kiedy zbliżył się do akwarium z gniazdem os, zauważyłem, że jest ono nieco inaczej skonstruowane – zamknięcie stanowiła cienka, plastikowa płytka wsunięta w prowadniczkę. Nie musiał mi niczego wyjaśniać. Pojemnik z pszczołami otworzył bez wahania. Z osami nie śmiał ryzykować.

Nacisnął czarną gumkę pipetki. Na gniazdo spadły dwie kropelki. Przez chwilę widać było ciemną plamkę, która prawie natychmiast zniknęła.

– Zaczekajmy ze trzy minuty – powiedział Bobby.

– Co...

– Wstrzymaj się z pytaniami – odparł. – Sam zobaczysz. Trzy minuty.

W ciągu tych trzech minut przeczytał mój artykuł... choć tekst liczył już dwadzieścia stron.

– W porządku – oświadczył, odkładając kartki. – Wspaniały artykuł, chłopie. Powinieneś jednak trochę poczytać o tym, jak Jay Gould⁴ wystroił prywatną salonkę w swoim pociągu fałszywymi płótnami Maneta. Bomba.

Mówiąc to, otworzył akwarium z gniazdem os.

– Jezu, Bobby, skończ tę komedię! – zawołałem.

– Stare dobre oski – wybuchnął śmiechem Bobby i wyciągnął szare gniazdo wielkości kuli do kręgli.

Trzymał je w rękach. Owady wyszły stamtąd i obsiadły Bobby'emu ręce, policzki i czoło. Jeden przeleciał przez pokój, po czym usiadł mi na przedramieniu. Pacnąłem dłonią i osa spadła martwa na dywan. Byłem przerażony; śmiertelnie przerażony. Do głowy uderzyła mi adrenalina, poczułem, że oczy wychodzą mi z orbit.

– Nie zabijaj ich – powiedział Bobby. – To tak jakbyś zabijał noworodki w obawie, że mogą wyrzucić ci krzywdę. Bo do tego to się sprowadza.

Przekładał gniazdo z ręki do ręki niczym powiększoną, miękką piłkę tenisową. Podrzucił je w górę. Ze zgrozą patrzyłem, jak osy, niczym patrolowe myśliwce, śmigają szybko po pokoju.

Bobby włożył ostrożnie gniazdo z powrotem do akwarium i usiadł na moim łóżku. Poklepał materac obok siebie, dając mi znak, żebym również usiadł. Jak zahipnotyzowany zbliżyłem się do brata. Osy były wszędzie: na dywanie, na suficie, na firankach. Z pół tuzina łąziło po wielkim ekranie telewizora.

Zanim zająłem wskazane miejsce, Bobby odgarnął z łóżka, gdzie miałem usiąść, dwa owady. Natychmiast odleciały. Latały swobodnie, łąziły swobodnie, poruszały się bardzo szybko. Nic nie wskazywało na to, żeby znajdowały się pod działaniem jakiegoś środka czy narkotyku. Kiedy Bobby mówił, stopniowo wracały do swego gniazda wykonanego z substancji przypominającej papier, wchodziły do środka i niebawem wszystkie zniknęły w mieszczącym się na górze gniazda otworze.

– Początkowo wcale nie interesowałem się Waco – wyjaśnił Bobby. – Po prostu było to największe miasteczko w osobliwym zakątku najbardziej niespokojnego stanu, Teksasu. Tylko w Waco nie spotykało się najmniejszych przejawów agresji. Teksaszczyki uwielbiają do siebie strzelać, Howie. Powiedziałbym, że to ich lokalne hobby. Połowa mężczyzn chodzi pod bronią. W sobotnie noce w barach Fort Worth huczy jak na strzelnicy, gdzie pijacy strzelają do ciebie jak do glinianych kaczek. W Teksasie jest więcej osób należących do koła strzeleckiego niż metodystów. Nie znaczy to wcale, że tylko w Teksasie bliźni do siebie strzelają, rzną się nożami, czy kiedy dzieci zbyt długo płaczą, sadzają je na rozpalone maszynki do gotowania, ale Teksaszczyki są wyjątkowo rozmiłowani w broni.

– I tylko Waco stanowi wyjątek?

– Och, tam również kochają broń – odparł Bobby. – Ale używają jej znacznie, znacznie rzadziej.

Jezu słodki!

Popatrzyłem na zegar i sprawdziłem czas. Myślałem, że piszę tylko kwadrans, a tu już minęła ponad godzina. Niekiedy zdarza mi się coś takiego, gdy bez reszty pogrążam się w gorączkowej pracy, teraz jednak muszę sprawować nad sobą większą kontrolę. Czuję się normalnie – nie mam zaschniętego gardła, nie miałem kłopotów z doborem słów, a kiedy przejrzałem to, co napisałem, zobaczyłem tylko zwykłe szeregi liter i normalne poprawki, które nanoszę w trakcie pracy nad tekstem. Ale nie wolno mi oszukiwać samego siebie. Muszę się śpieszyć. „Koszałki-opałki” – powiedziała Scarlett. I to tyle.

Panująca w okolicach Waco atmosfera spokoju i brak u jej mieszkańców gwałtownych reakcji zostały już wcześniej zauważone i były badane głównie przez socjologów. Bobby powiedział, że jeśli wprowadzi się do komputera wystarczającą liczbę danych statystycznych dotyczących Waco i podobnych rejonów – gęstość zaludnienia, przeciętną wiek mieszkańców, średni poziom ekonomiczny, średni poziom wykształcenia oraz z tuzin innych czynników – w wyniku otrzyma się obraz jednej wielkiej anomalii. Materiały naukowe rzadko by-

wają dowcipne, a mimo to w ponad pięćdziesięciu naukowych dysertacjach na temat Waco i jego okolic, jakie przestudiował mój brat, ironicznie konstatawano, że jest to zapewne „coś w wodzie”.

– Pomyślałem sobie, że może warto ów żart potraktować serio – oświadczył Bobby. – Ostatecznie w wielu miejscach właśnie w wodzie występuje składnik, który zapobiega próchnicy. Tym składnikiem jest fluor.

Pojechał do Waco w towarzystwie trzech pomocników – dwóch studentów socjologii po absolutorium i profesora zwyczajnego geologii, który otrzymał właśnie roczny urlop oraz stypendium na prowadzenie prac badawczych poza uczelnią i który chętnie zgodził się wziąć udział w przygodzie. Przez sześć miesięcy Bobby i socjologowie tworzyli program komputerowy ilustrujący „jedyną na świecie erupcję spokoju”, jak to określił mój brat. Pokazał mi wyciągnięty z torby lekko pomięty wydruk komputerowy. Ujrzałem czterdzieści kół rozmieszczonych koncentrycznie. Waco znajdowało się w ósmym, dziewiątym i dziesiątym, licząc od skraju do środka grafiku.

– A teraz popatrz na to – powiedział Bobby i położył na wydruku przezroczystą folię.

Pojawiło się jeszcze więcej kół, ale tutaj każde miało swój numer. Czterdzieście: 471, trzydzieste dziewięć: 420, trzydzieste ósme: 418... I tak dalej, i tak dalej. W dwóch przypadkach liczby rosły, zamiast maleć; ale działo się tak tylko w dwóch przypadkach (i były nieznacznie tylko wyższe).

– Co oznaczają te cyfry? – zapytałem.

– Każda z nich oznacza liczbę brutalnych przestępstw w określonym kole – wyjaśnił Bobby. – Morderstwa, gwałty, napaści i pobicia, nawet akty wandalizmu. Komputer wyznaczył te dane, biorąc pod uwagę gęstość zaludnienia. – Mój brat stuknął palcem w dwudzieste siódme kółko z liczbą dwieście cztery w środku. – Na przykład w całej tej okolicy żyje niecałe dziewięćset osób. Cyfra wskazuje trzy czy cztery przypadki awantur rodzinnych, kilka bójek w barach, akt znęcania się nad zwierzęciem... o ile pamiętam, pewien stary farmer najpierw wysikał się na wieprza, a następnie strzelił do niego ładunkiem z soli kuchennej... oraz przypadek nieumyślnego zabójstwa.

Ujrzałem, że w centralnych kółkach liczby gwałtownie maleją: 85, 81, 70, 63, 40, 21, 5. W epicentrum „erupcji spokoju”

Bobby’ego znajdowało się miasteczko La Plata. Nazwanie tej osady sennym miasteczkiem wydawało się stanowczo za łagodne.

W kółku z miasteczkiem La Plata widniała cyfra 0.

– I o to właśnie chodzi, Bow-Wow – oświadczył Bobby, pochylając się nad wykresem i zacierając nerwowo ręce. – Tu, moim zdaniem, znajduje się raj. Cała populacja liczy półtora tysiąca głów, z czego dwadzieścia cztery procent stanowią mieszkańcy zwani powszechnie Indios. Znajduje się tam fabryka moka-synów, dwa warsztaty samochodowe, kilka nędznych gospodarstw rolnych. To tyle, jeśli chodzi o miejsca pracy. Co do rozrywek, są tam cztery bary, dwie sale, gdzie można potańczyć i posłuchać muzyki, która przypomina repertuar George’a Jonesa, dwa bary samochodowe i kręgielnia... – Urwał, a po chwili dodał: – Jest tam również gorzelnia. Nie wiedziałem, że gdzieś poza Tennessee mogą robić tak wyśmienitą whisky.

Jednym słowem (już za późno, żeby się szerzej rozwodzić), La Plata powinno być idealnym miejscem dla zwykłych przestępstw, o jakich codziennie czyta się w zamieszczanych w prasie kronikach policyjnych. Powinno być, ale nie było. W ciągu ostatnich pięciu lat przed przybyciem Bobby’ego do La Plata miało tam miejsce tylko jedno morderstwo, dwie napaści... Żadnych gwałtów, żadnego znęcania się nad dziećmi. Zdarzyły się cztery napady z bronią w rękę, ale okazało się, że wszystkie były dziełem przyjezdnych... jak również owo zabójstwo i jedna napaść. Miejscowy szeryf był gruby, głosował na republikanów i stanowił wierną replikę komika Rodneya Dangerfielda. Znany był z tego, że całe dni spędzał w kawiarni, pociągał gości za krawat i błagał ich, żeby wzięli sobie jego żonę. Mój brat twierdził, że nie był to wcale tylko kiepski żart. Bobby uważał, że ów nieszczęsny facet przechodził pierwsze stadium choroby Alzheimera. Jego jedynym zastępcą był własny siostrzeniec. Mój brat oświadczył, że siostrzeniec ten do złudzenia przypominał prześmiesznie wyglądającego grajka country and western, Juniora Samplesa, z przedstawienia *Hee-Haw*.

– Postaw tych dwóch facetów w miasteczku w Pensylwanii, pod każdym

względem z wyjątkiem położenia geograficznego podobnym do La Plata – mówił Bobby – a już przed piętnastu laty nie wiedzieliby, gdzie mają szukać dupy. Ale w La Plata spokojnie utrzymywali się na swoich stanowiskach aż do śmierci... Umarli zapewne we śnie.

– A wy co? – zapytałem. – Co zrobiliście po swoim odkryciu?

– Cóż, mniej więcej przez tydzień po tym, jak złożyliśmy do kupy ten cały statystyczny fajans, siedzieliśmy przy stole i gapiliśmy się na siebie – wyjaśnił Bobby. – Chodzi mi o to, że byliśmy na coś przygotowani, ale nie na to, co odkryliśmy. Nawet Waco nie przygotowało nas do tego, co spotkaliśmy w La Plata.

Bobby nieustannie wyginał palce u rąk i strzelał stawami.

– Jezu Chryste, przestań! – odezwałem się. – Nie znoszę tego!

Uśmiechnął się.

– Przepraszam, Bow-Wow. Tak czy siak, zaczęliśmy badania geologiczne, a następnie mikroskopowe analizy wody. Nie spodziewałem się wiele po tych pracach. W tamtych okolicach każdy ma studnię, przeważnie bardzo głęboką, i właściciele regularnie przeprowadzają badania wody, chcąc mieć pewność, że nie piją boraksu czy innego świństwa. Gdyby woda zawierała jakieś szczególne składniki, dawno by już je wykryto. Tak więc przystąpiliśmy do submikroskopowych badań i dopiero wtedy natrafiliśmy na coś bardzo dziwnego.

– Bardzo dziwnego?

– Przerwy w łańcuchach atomów, subdynamiczne fluktuacje elektryczne oraz szereg jakichś trudnych do określenia protein. Widzisz, ta woda nie była wodą pitną w pełnym tego słowa znaczeniu... należałoby dopiero dodać do niej siarczków i związków żelaza. Bóg jeden wie, co znajdowało się w formacjach wodonośnych tego regionu. A wodę w La Plata można było określić tylko za pomocą równie długiego łańcucha skrótów, jaki umieszcza przed swoim nazwiskiem emerytowany profesor.

– Oczy Bobby'ego załśniły. – Bow-Wow, najbardziej intrygujące były te proteiny. O ile się orientuję, tego rodzaju proteiny odkryto dotąd tylko w jednym miejscu. W ludzkim mózgu.

Och!

Właśnie się pojawiła; suchość w gardle między jednym przełknięciem śliny a drugim. Nie jest to jeszcze zbyt dokuczliwe, ale wystarczająco przykre, żebym przerwał pisanie i wypił szklankę wody z lodem. Jezu, zostało mi około czterdziestu minut, a tyle jeszcze mam do przekazania! O odkrytych przez nich osach, które nie atakowały, o zderzeniu dwóch samochodów, którego świadkiem był Bobby i jeden z jego asystentów. Obaj kierowcy – obaj mężczyźni, obaj pijani, obaj w wieku około dwudziestu czterech lat – wysiedli z aut, uściśnęli sobie dłonie, po przyjacielsku wymienili numery polis ubezpieczeniowych, po czym zgodnie udali się do baru na kolejną ćwiarteczkę.

Bobby ciągnął swoją opowieść bardzo długo – trwała znacznie dłużej niż cały czas, który mi pozostał. Ale finał był prosty: substancja w słoiku po majonezie.

– W La Plata zainstalowaliśmy własną aparaturę do destylacji – mówił Bobby. – I wyekstrahowaliśmy właśnie to, Howie: białą, pacyfistyczną błyskawicę. Formacja wodonośna pod Teksasem leży bardzo głęboko, ale jest zdumiewająco rozległa; zupełnie jak owo niewiarygodne Jezioro Wiktorii, które wsiąka w gąbczaste pokłady leżące na powierzchni Mohorovicicia. Woda stanowi potęgę, ale to, co wkropliłem osom, jest jeszcze potężniejsze. Mamy już tego, cholera, ponad dwadzieścia tysięcy litrów w wielkich stalowych zbiornikach. Do końca roku będziemy mieli pięćdziesiąt tysięcy. Do przyszłego czerwca wyekstrahujemy sto tysięcy. Ale to wciąż za mało. Potrzebujemy więcej, musimy wytwarzać to szybciej... a poza tym należy zorganizować transport.

– Transport? Dokąd?

– Zaczniemy od Borneo.

Pomyślałem, że albo postradałem zmysły, albo się przesłyszałem...

– Posłuchaj, Bow-Wow. Przepraszam, Howie. – Ponownie zaczął myszkować w swojej torbie. Wyciągnął i wręczył mi kilkanaście lotniczych zdjęć. – Widzisz? – zapytał. – Widzisz, jak cholernie są dokładne? Zupełnie jakby sam Bóg wtrącił się w naszą pracę, mówiąc: „Wydajemy na wasz użytek specjalny biuletyn! To wasza ostatnia szansa, dupki! Wracamy was do *Days of Our Lives*⁵”.

– Nie łapię – odparłem. – I nie mam najmniejszego pojęcia, na co patrzę.

Ale oczywiście wiedziałem. Była to wyspa – nie samo Borneo, ale wysepka o nazwie Gulandio, położona na wschód od Borneo; z górą pośrodku i masą błotnistych wiosek leżących na jej dolnych stokach. Wierzchołka nie było widać, ponieważ spowijały go chmury. Nie wiedziałem tylko, czego mam na tym zdjęciu szukać.

– Góra nosi taką samą nazwę jak wyspa – wyjaśnił Bobby.

– Gulandio. W dialekcie miejscowym oznacza to albo łaskę, albo los, albo przeznaczenie; sam sobie wybierz. Ale Duke Rogers twierdzi, że tak naprawdę jest to największa na Ziemi bomba zegarowa... a jej zapalnik zadziała w październiku przyszłego roku. Zapewne wcześniej.

To jakieś szaleństwo. Cała historia wydaje się szalona, ponieważ staram się ją tak szybko i spontanicznie opowiedzieć. Bobby chciał, żebym pomógł mu zdobyć mniej więcej sześćset tysięcy do półtora miliona dolarów na: po pierwsze, zsyntetyzowanie od dwustu do trzystu tysięcy litrów czegoś, co nazywał „płynem o niskiej temperaturze wrzenia”; po drugie, dostarczenie tej wody drogą lotniczą na Borneo, gdzie istnieje lotnisko (na Gulandio można było wylądować najwyżej na lotni); po trzecie, przewiezienie statkiem tej wody na wyspę zwaną Los, Przeznaczenie lub Łaska; po czwarte, wwiezienie ciężarówkami tego towaru na szczyt wulkanu, który był nieczynny od tysiąc osiemset czwartego roku (trochę tylko podymił w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym), a następnie wlanie tej wody do krateru i wypełnionego błotem kanału. Duke Rogers naprawdę nazywał się John Paul Rogers i był profesorem geologii. Utrzymywał, że Gulandio nie tylko wybuchnie. Twierdził, że eksploduje jak Krakatau w dziewiętnastym wieku. W porównaniu z erupcją Gulandio bomba rozpylająca, która zatrzała Londyn, wydawać się będzie dziecięcym fajerwerkiem.

– Pyły z Krakatau – powiedział Bobby – dosłownie okrążyły całą kulę ziemską.

Skutki tamtej erupcji stały się w dużym stopniu inspiracją dla zespołu Sagana, który wysunął teorię nuklearnej zimy. Przez trzy miesiące po wybuchu Krakatau nad połową świata wschody i zachody słońca stały się groteskowo kolorowe. Był to skutek pyłów wulkanicznych, które dotarły aż do stref prądu strumieniowego i pierwszego pasa Van Allena, znajdującego się około sześćdziesię-

ciu kilometrów poniżej drugiego pasa. Na okres pięciu lat nastąpiła globalna zmiana klimatu. Palmy nipa, które przed erupcją rosły wyłącznie we wschodniej Afryce i na Mikronezji, pojawiły się nagle w Ameryce Południowej i Północnej.

– W Ameryce Północnej palmy nipa wyginęły przed rokiem tysiąc dziewięćsetnym – mówił Bobby – ale przetrwały i bardzo dobrze się mają poniżej równika. Rozsiał je tam Krakatau, Howie... tak samo ja chcę rozpylić wodę z La Plata po całej kuli ziemskiej. Chcę, żeby ludzie wyszli z domów, kiedy będzie spadała z nieba woda z La Plata... a po erupcji Gulandio nadejdą wielkie deszcze. Chcę, żeby wszyscy pili wodę z La Plata, kiedy już napełni ich zbiorniki. Chcę, by myli w niej włosy, kąpali się w niej, płukali szkła kontaktowe. Chcę, żeby kurwy brały w niej prysznic.

– Bobby, jesteś szalony – odparłem, dobrze wiedząc, że wcale tak nie jest.

Przesłał mi krzywy, zmęczony uśmiech.

– Nie jestem szalony – odparł. – Chcesz zobaczyć prawdziwe szaleństwo? Włącz CNN, Bow. Howie. Zobaczysz szaleństwo na żywo i w kolorze.

Wcale nie musiałem włączać stacji CNN (którą jeden z moich przyjaciół określił mianem Szlifierza Sądu Ostatecznego), żeby wiedzieć, co miał na myśli Bobby. Hindusi i Pakistańczycy zostali prawie do szczytu wytruci. Tak samo Chińczycy i Afganowie. Połowa Afryki głoduje, drugą połowę trzebi AIDS. Od pięciu lat trwają utarczki na granicy Teksasu z Meksykiem; od czasu, kiedy w Meksyku zapanował komunizm, z powodu postawionego tam muru ludność zaczęła nazywać punkt graniczny w Tijuana Małym Berlinem Kalifornii. Wszędzie słychać szczęk szabel i noży. Ostatniego dnia starego roku naukowcy odpowiedzialni za broń nuklearną nastavili swój czarny zegar na piętnaście sekund przed północą.

– Bobby, załóżmy, że to da się zrobić i wszystko pójdzie zgodnie z planem – odparłem. – Zapewne się nie da, ale załóżmy. Przecież nie masz zielonego pojęcia, jakie to może mieć skutki na dłuższą metę.

Chciał coś odpowiedzieć, ale powstrzymałem go machnięciem ręki.

– Tylko mi nie mów, że wiesz, bo wiem, że nie wiesz! Zgoda, odkryłeś tę

erupcję spokoju i zbadałeś ją dokładnie. Tu muszę oddać ci sprawiedliwość. Ale czy kiedykolwiek słyszałeś o thalidomidzie? A o cudownym środku przeciw trądzikowi? I pigułkach na sen, które powodowały raka i zawały serca już u trzydziestolatków? A nie pamiętasz szczepionki przeciwko AIDS z roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego?

– Howie?

– Szczepionka powstrzymała chorobę. Tyle że osoby, które się zaszczepiły, zapadły na nieuleczalną epilepsję i wymarły w ciągu osiemnastu miesięcy.

– Howie?

– Później przyszła...

– Howie?

Urwałem i popatrzyłem na niego.

– Świat... – zaczął Bobby i umilkł. Grdyka chodziła mu jak oszalała. Był bliiski wybuchnięcia płaczem. – Człowieku, świat potrzebuje heroiczných środków. Nie wiem, jakie moja woda będzie miała skutki na dłuższą metę, ale nie ma czasu na rozległe studia, ponieważ nie istnieją perspektywy na żadną „dłuższą metę”. Może zlikwidujemy cały ten bałagan. Może...

Wzruszył ramionami, próbował się uśmiechnąć i popatrzył na mnie błyszczącymi oczyma. Po policzkach spłynęły mu dwie łzy.

– Może podamy tylko heroinę choremu, który wszedł w ostatnie stadium raka. Tak czy owak, powstrzymam to, co się obecnie wyprawia. Zakończę cierpienie świata. – Rozłożył ręce tak, że widziałem miejsca, gdzie użądliły go pszczoły. – Pomóż mi, Bow-Wow! Błagam cię, pomóż!

No i pomogłem.

I spieprzyliśmy sprawę po mistrzowsku. Wydaje mi się, że tak naprawdę spieprzyliśmy ją w wielkim stylu. Chcecie znać prawdę? Nie wciskam wam kitu. Zabiliśmy wszystkie rośliny, zostały tylko te w szklarniach i cieplarniach. Ale któregoś dnia w końcu coś tutaj wyrośnie. Mam nadzieję.

Czytacie?

Zaczynam się trochę płatać. Po raz pierwszy od lat zastanawiam się, co robię.

Piszę. Może powinienem się bardziej śpieszyć na początku.

Nieważne. Za późno, żeby cokolwiek zmienić.

Naturalnie dokonaliśmy tego. Przedestylowaliśmy wodę, przewieźliśmy ją samolotem, przetransportowaliśmy na Gulandio, zbudowaliśmy prymitywny system dźwigów – częściowo używaliśmy wyciągarki, a częściowo kolejki zębatej – i wrzuciliśmy dwanaście tysięcy dwudziestolitrowych pojemników z wodą z La Plata w mroczną, mglistą czeluść wulkanicznego krateru. Nie kosztowało to nas sześciuset tysięcy ani też półtora miliona dolarów. Wydaliśmy cztery miliony, niecałą jedną szesnastą procenta kwoty, jaką Ameryka wydała w tamtym roku na obronę. Czy chcecie wiedzieć, jak zdobyliśmy te pieniądze? Opowiem wam, jeśli zostanie mi trochę czas... O, już maści mi się w głowie, więc nie warzne. Większość tych pieniędzy sam zarobiłem. Trochę wychodziłem, trochę wyzebrałem. Mówiąc prawdę, nie wiedziałem że óda mie sie to zrobić, dopóki nie zrobiłem. Ale dokonaliśmy tego co zamierzaliśmy i jakoś spoili razem ten świat a wulkan – nie pamientam jego naswy ale ni ma czasó rzeby sięgać do rękopisu wybuch dokładnie wte

Chwileczkę

W porządku. Trochę lepiej. Digitalin. Miał go Bobby. Serce bije mi jak oszalałe, ale znów mogę myśleć.

Wulkan – Szczyt Łaski, tak go nazywaliśmy – wybuchł dokładnie w chwili, którą przewidział Dook Rogers. Wszystko poszło i na jakiś czas uwagę wszystkich pochłonęło tylko niebo. I tra-ta-ta-ta, powiedział Straples!

Wszystko stało się szybko jak seks i kleks i efekts i wszyscy znowu ozdrowieli. Chodzi mi chwileczkę

Jezu, pozwól mi to skończyć.

Chodzi mi o to, że wszyscy wrócili na swoje miejsca. Ludzie zaczęli na wszystko trochę inaczej patrzeć. Świat zaczął się robić jak osy z gniazda Bobbyego, te ktore nie kłóły. Były tszy lata jak babie lato. Ludzie tszymali się razem jak w starej piosence Youngblooda, tak jak chcieli chipisi, flecie, bokuj i miłość

i chczkę

Straszny łoskot. Czuję się, jakby serce chciało mi wyjść uszami. Ale jeśli skupię wszystkie siły, moje skupienie...

Chciałem powiedzieć, że było to jak babie lato, jak tszy lata babiego lata. Bobby ciongnął swoje badaña. La Plata. Tło socjologiczne etc. Pamiętacie tamtego szeryfa? Grubego, starego republikana z dobrą imitacją Rodneya Youngblooda? O tym jak Bobby powiedział, że ma pierwsze objawy Choroby Rodneya?

skup się dupku

Nie tylko on. Okazało się, że dużo tego jest w tej części Teksasu. Hce powiedzieć, że wszystko zapada na Świętość. Przez tszy lata byliśmy tam z Bobbym. Pracowali nad nowym programem. Nofe kułka. Zobaczyłem, co się stało i wróciłem tutaj. Bobby i jego astenci zostali. Boby kiedy tu przyjechał powiedział, że jeden się zaszczelił.

Chwila znów łosk

Dobra. Ostatni raz. Serce tak mocno bije, że nie mogę odchać. Nowy wykres, ostatni wykres da ci w łep kiedy przyłoży się go do grafika erupcji spokoju. Wykres erupcji spokoju wykazuje, że oś przemocy jest mniejsza bliżej do La Plata; wykres Alzheimera wykazuje wzrost przypadków przetwczesnego zgzybienia bliżej do La Plata. Ludzie w bardzo młodym wiku dzieciniejo.

Przez następne tszy lata bardzo my z Bobo uważali pili tylko wodę Parrier i nakładali kalosze gdy padało... nie było wojny a kiedy wszyscy dziecinli my tu wrócili ponieważ on mój brat nie pamiętam jak się nazywa

Bobby

Bobby pojechał tu dziś wieczorem Bobby i płakał powiedziałem Bobby kocham cię Bobby zek pszykro mi Bowwow pszykro mi że zrobiłem że cały świat jest pełny gupcuw i tempakuw i powiedziałem że lepsi gupki i tepaki niż wielka czarna hmóra żuzlu w kosmosie i płakał i ja kszyczałem Bobby kocham cię

i on powiedział żeby mu dać specjalnej wody a ja żekłem tah a on powiedział czy moge nalać powedziałem tah i chyba tak zrobiłem ale naprawdę nie pamiętam widze słowa ale niewem co znaczo.

Mam Bobby nazywa sie brad i mysle nie pojade i mam ksionżke napisać toco Bobby powdział spokoj na świecie no to rzeknaj rzeknaj karzdybrat, chce ci powdzieć rzeknaj bobby ja cie koham to nie była tfoja fina ja cie koham fypaczam

koham cie

potpisano (za śfiat)

Udręka małych dzieci

Nazywała się panna Sidley i nauczanie było dla niej wyzwaniem.

Była drobną, niską kobietą, więc musiała dobrze wspinać się na palce, żeby dosięgnąć do samej góry tablicy, co właśnie w tej chwili robiła. Siedzące za jej plecami dzieci nie ważyły się chichotać, szeptać czy po kryjomu jeść trzymanych w skulonych dłoniach słodyczy. Panna Sidley posiadała niesamowity instynkt. Zawsze wiedziała, które dziecko za jej plecami żuje gumę, które ma w kieszeni procę do strzelania ziarnami fasoli, które chce iść do ubikacji nie za potrzebą, lecz żeby powymieniać się zdjęciami baseballistów. O wszystkim dokładnie wiedziała – jak Pan Bóg.

Miała siwiejące włosy, a gorset, który nosiła, żeby prostował jej zgarbione plecy, wyraźnie odcinał się pod kretonową sukienką. Drobną, zawsze cierpiącą, o kłujących jak szpileczki oczach. Ale wszyscy jej się bali. Jej cięty język obrósł już w szkole legendą. Oczy, kiedy kierowała wzrok na dzieciaka, który chichotał lub szeptał, sprawiały, że najodważniejszym łobuziakom miękły kolana.

Teraz, wypisując na tablicy listę przeznaczonych na ten dzień słówek wraz z wymową, uświadomiła sobie, iż całkowity sukces, jaki odniosła w swej długoletniej karierze nauczycielskiej, podsumowuje, zatwierdza i przypieczętowanie jeden fakt: bez obaw może spokojnie odwrócić się plecami do klasy.

– Wakacje – powiedziała wyraźnie, napisawszy na tablicy to słowo swym ostrym pismem. – Edwardzie, ułóż proszę zdanie ze słowem „wakacje”.

– Pojechałem na wakacje do Nowego Jorku – odparł piskliwie Edward.

A następnie, tak jak uczyła panna Sidley, powtórzył bardzo wyraźnie:

– Wa-ka-cje.

– Bardzo dobrze, Edwardzie – powiedziała, akcentując drugi wyraz.

Stosowała różne drobne sztuczki, ponieważ święcie wierzyła w to, że na jej sukcesy taki sam wpływ mają rzeczy mało istotne jak sprawy wielkiej wagi. Zawsze w klasie stosowała tę zasadę i nigdy na tym nie straciła.

– Jane – powiedziała cicho.

Jane, która właśnie ukradkiem przeglądała „Czytanke”, podniosła głowę. Oczy miała pełne winy.

– Proszę natychmiast zamknąć książkę. – Jane pobladła, posłusznie zamknęła podręcznik i spojrzała wystraszonym, przepojonym nienawiścią wzrokiem na plecy panny Sidley. – Za karę po dzwonku zostaniesz w ławce piętnaście minut dłużej – powiedziała nauczycielka.

– Tak, panno Sidley – odparła Jane.

Usta jej drżały.

Jedna z drobnych sztuczek panny Sidley polegała na pomysłowym wykorzystywaniu okularów. W grubych szklach, kiedy stała odwrócona tyłem do uczniów, odbijała się cała klasa, a pannę Sidley zawsze bawił wystraszony, pełen winy i skruchy wzrok dzieciaków, kiedy je w ten sposób przyłapywała na wszelkich niedozwolonych czynnościach. Teraz właśnie dostrzegła, jak zwykle w odbiciu niewyraźnie i nieco jak w krzywym zwierciadle, że siedzący w pierwszym rzędzie Robert marszczy nos. Nic nie powiedziała. Jeszcze nie. Robert sam założy sobie stryczek na szyję, jeśli ona dostarczy mu troszeczkę więcej liny.

– Jutro – oznajmiła wyraźnie. – Robercie, proszę ułożyć zdanie ze słowem „jutro”.

Robert zmarszczył teraz czoło w głębokim namyśle. Zalewana promieniami późnowrzesniowego słońca klasa była cicha i senna. Wiszący nad drzwiami elektryczny zegar wybił trzecią, oznajmiając tym samym, że do końca lekcji pozostało pół godziny. Jedyne widok złowieszczych pleców panny Sidley sprawiał, że dzieciarnia jeszcze nie posnęła.

– Robercie, czekam.

– Jutro wydarzy się okropna rzecz – powiedział Robert najbardziej niewinnym tonem, ale pannie Sidley, która jak wszyscy surowi z natury ludzie posia-

dała jakiś siódmy zmysł, słowa chłopca wcale się nie spodobały. – Jutro – zakończył Robert.

Ręce złożył układnie na blacie ławki i znów zmarszczył nos. Uśmiechnął się półgębkiem. Panna Sidley w jakiś niewytłumaczalny sposób pojęła nagle, że Robert wie o jej drobnej sztuczce z okularami.

W porządku. Bardzo dobrze.

Nie komentując ułożonego przez Roberta zdania, zaczęła pisać kolejne słowo i tylko jej sztywna postać wysyłała bardzo znaczącą informację. Panna Sidley obserwowała ostrożnie Roberta jednym okiem. Wiedziała, że chłopak niebawem pokaże jej język albo wykona palcami ohydny gest, który znali wszyscy (nawet dziewczęta), żeby po prostu przekonać się, czy ona widzi, co on robi. I wtedy przyjdzie pora na karę.

Odbicie w okularach było słabe, widmowe i bardzo niewyraźne. Kątem drugiego oka spoglądała na pisane na tablicy słowo.

W Robercie zaszła zmiana.

Dostrzegła to przelotnie, w ułamku sekundy: przerażający widok twarzy Roberta, która zamieniała się w coś... innego.

Zbladła i odwróciła się na pięcie, nie czując nawet nagłego bólu, który przeszył jej plecy.

Robert patrzył na nią uprzejmie, pytająco. Ręce miał ciągle układnie złożone na ławce. Promienie popołudniowego słońca przeświecały przez wicherki sterzących z tyłu głowy chłopca włosów. Robert nie wyglądał na przestraszonego.

Coś mi się przywidziało – pomyślała. – Patrzyłam na jego twarz, a kiedy nic nie zrobił, umysł spletał mi paskudnego figla. Tak, na pewno tak. Niemniej...

– Robercie?

Starła się nadać głosowi autorytatywny ton; starła się nadać głosowi surowe brzmienie. Ale kompletnie jej to nie wyszło.

– Słucham, panno Sidley?

Miał ciemnobrązowe oczy, jak szlam na dnie wolno płynącego potoku.

– Nic takiego.

Odwróciła się do tablicy. Po klasie przeszedł szmer.

– Spokój! – warknęła, ponownie odwracając się twarzą do rzędów ławek. – Jeszcze raz usłyszę jakiś hałas i wszyscy zostaniecie za karę po lekcjach razem z Jane!

Słowa te adresowała do całej klasy, ale patrzyła na Roberta. Chłopiec stanowił uosobienie dziecięcej niewinności. „Kto, ja? – zdawał się mówić. – To nie ja, panno Sidley”.

Odwróciła się do tablicy i zaczęła pisać, tym razem już nie próbując zerkać za siebie.

Ostatnie pół godziny wlokło się w nieskończoność. Wreszcie Robert, wychodząc już z klasy, przesłał jej osobliwe spojrzenie. Spojrzenie, które mówiło: „Mamy wspólną tajemnicę, prawda?”.

Wspomnienie tej chwili i tego spojrzenia nie chciało opuścić panny Sidley. Tkwiło w jej umyśle niczym kawałek befsztyka między zębami; malutki kawałek, a czuje się go tak, jakby w ustach ugrzązł kawał żużlu.

O siedemnastej zasiadła do samotnego obiadu (jajka na miękko z grzankami), ale wspomnienie owego spojrzenia nieustannie ją dręczyło. Wiedziała, że się starzeje, ale ten fakt przyjmowała spokojnie. Nie zamierzała zostać jedną z tych nauczycielek-starych panien, które, kiedy przychodzi czas ich emerytury, trzeba kipiące złością i wydzierające się wniebogłosy, siłą wyciągać z klas. Przypominają one nałogowych hazardzistów, którzy nie sąw stanie odejść o własnych siłach od stolika, mimo że wszystko już przegrali. Ale ona nie przegrała. Ona zawsze była górą.

Popatrzyła na stojące przed nią jajka na miękko.

Prawda, że zawsze wygrywała?

Pomyślała o ładnych dziecięcych buziach z trzeciej klasy i doszła do wniosku, że najbardziej wyróżniała się spośród nich twarz Roberta.

Wstała od stołu i zapaliła w pokoju dodatkową lampę.

Później, kiedy już prawie zapadała w sen, znów przed oczyma pojawił jej się obraz twarzy Roberta. W ciemności, pod powiekami, widziała jego bardzo nieprzyjemny uśmiech. Rysy zaczęły mu się zmieniać...

Ale zanim panna Sidley zdążyła pojąć, na czym dokładnie polega ta przemiana-

na, zapadła w sen.

Tej nocy panna Sidley nie spała i w konsekwencji przez cały następny dzień była nie w sosie. Czekwała, prawie z nadzieją, na jakieś szepty w klasie, chichoty, być może nawet na to, że dzieci zaczną przesyłać sobie liściki. Ale w sali lekcyjnej panowała cisza – cisza jak makiem zasiał. Uczniowie patrzyli na nią obojętnie, lecz panna Sidley odnosiła wrażenie, że czuje na sobie ciężar ich spojrzeń; zupełnie jakby pełzły po niej ślepe mrówki.

Dosyć tego! – zganiła się w duchu. – Zachowujesz się jak bojaźliwa absolutentka studium nauczycielskiego.

Tego dnia czas również włókł się w nieskończoność, toteż kiedy przebrzmiał już ostatni dzwonek, panna Sidley pomyślała, że czuje z tego powodu ulgę większą niż dzieciaki. Uczniowie ustawili się karnie parami przy drzwiach – chłopcy i dziewczynki, według wzrostu. Trzymali się za ręce.

– Jesteście wolni – powiedziała i z goryczą nasłuchiwała oddalających się krzyków, gdy dzieci biegły korytarzem, a następnie opuszczały budynek szkolny, by zanurzyć się w słonecznym blasku.

Cóż ja takiego zobaczyłam w chwili, kiedy się zmienił? – pomyślała. – Było to coś bulwiastego. Coś, co lśniło. Tak, to coś gapiło się na mnie. Gapiło się, szczerząc zęby, i zupełnie nie przypominało dziecka. Było to stare, było to złe i...

– Panno Sidley?

Gwałtownie poderwała głowę, a z gardła mimowolnie wydarło się jej ciche: „Och!”.

Ujrzała pana Hanninga. Uśmiechał się przeproszająco.

– Czy mogę zająć pani chwilę czasu?

– Naturalnie – odpowiedziała bardziej oschle, niż zamierzała.

O czym ja myślę? – zadała sobie w duchu pytanie. – Co się ze mną dzieje?

– Mogłaby pani sprawdzić, czy w toalecie dziewcząt nie brakuje ręczników higienicznych?

– Oczywiście.

Wstała, wyprostowała się i przyłożyła dłonie do krzyża. Pan Hanning patrzył na nią ze współczuciem.

Dałbyś pan spokój – pomyślała. – Stare panny wcale nie są zabawne. Ani interesujące.

Wyminęła pana Hanninga i ruszyła korytarzem w stronę żeńskich toalet. Na jej widok cichły śmiechy i chichoty chłopców wlokących za sobą sprzęt do baseballu. Pełni poczucia winy uczniowie chyłkiem wymykali się drzwiami wyjściowymi, skąd niebawem znów zaczął dochodzić gwar ich głosów.

Panna Sidley spoglądała chwilę za nimi ze zmarszczonym czołem, myśląc, że w jej czasach dzieci były jednak inne. Nie to, że były uprzejmiejsze – bo na to dzieci nigdy nie mają czasu – czy też że okazywały dorosłym więcej szacunku; teraz dzieci miały w sobie więcej obłudy. Jak nigdy dawniej w obecności starszych pełne są fałszywych uśmiechów i fałszywego spokoju. Okazują rodzaj milczącej pogardy, która smuci i odbiera odwagę. Zupełnie jakby...

Ukrywają się pod maską? Czy o to właśnie chodzi?

Odrzuciła te myśli i weszła do toalety. Było to niewielkie pomieszczenie w kształcie litery L. Kabiny ciągnęły się wzdłuż dłuższej ściany, a po obu stronach krótszego ramienia znajdowały się umywalki.

Kiedy już sprawdziła pojemniki z ręcznikami, przelotnie popatrzyła w lustro. Zaskoczył ją wygląd własnej twarzy. Nie chodziło jej jednak o rysy – ani troszeczkę. Po prostu w swych oczach ujrzała wyraz, jakiego jeszcze nie było w nich przed dwoma dniami. W źrenicach palił się płomień strachu i czujności. Nieoczekiwanie wstrząsnęła nią myśl, że niewyraźne odbicie bladej, pełnej szacunku twarzy Roberta, którą widziała w szklach okularów, weszło w nią i ją trzęsło.

Rozległ się stukot otwieranych drzwi. Do toalety weszły dwie dziewczynki. Zwierzały się sobie szeptem z jakichś sekretów i chichotały. Panna Sidley miała właśnie wyjść za załom ściany, wyminąć uczennice i opuścić toaletę, kiedy usłyszała wymawiane swoje nazwisko. Odwróciła się do umywalni i ponownie zaczęła sprawdzać pojemniki z ręcznikami.

– I wtedy on...

Stłumiony chichot.

– Wie, ale...

Kolejne chichoty, chlupoczące i lepkie, jak roztopiające się mydło.

– Panna Sidley jest...

Dosyć! Dosyć!

Odchyliwszy się lekko do tyłu, mogła dostrzec ich cienie, niewyraźne i zamglone w rozproszonym świetle wpadającym przez mleczone szyby. Dziewczęta obejmowały się i chichotały.

I wtedy przyszła jej do głowy kolejna myśl: Wiedzą, że jest w toalecie.

Tak, dobrze o tym wiedzą. Te małe dziwki wiedzą.

Mogła chwycić je i wytargać za uszy. Mogła nimi tak trząść, że szczękałyby zębami, a chichoty zamieniłyby się w krzyk. Mogłaby uderzyć ich głowami o wyłożoną kafelkami ścianę i zmusić do przyznania się, że wiedziały o jej obecności w toalecie.

I wtedy właśnie ich cienie zmieniły się. Zaczęły się wydłużać, rozciągać po podłodze jak topiący się lód, przybierając dziwne, garbate kształty. Na ten widok panna Sidley cofnęła się gwałtownie i oparła się krzyżem o porcelanową umywalkę. Serce załopotало jej w piersi.

Dziewczęta nie przestawały chichotać.

Ale ich głosy również się zmieniły. Nie był to już dziewczęcy śmiech. Był bezpłciowy, bezduszny, i bardzo, bardzo zły. Leniwy, napęczniały bezrozumnym weselem, docierał do panny Sidley zza załomu ściany niczym fetor z rur kanalizacyjnych.

Wytrzeszczonymi oczyma spoglądała na garbate cienie i nagle z jej gardła wydarł się wrzask. Wrzask trwał i trwał. Wdzierał się pod czaszkę tak długo, aż nauczycielce zakręciło się w głowie, aż osiągnął natężenie wrzasku szaleńca.

Wtedy panna Sidley zemdląła.

W ciemnościach, jakie ją otoczyły, towarzyszył jej ów chichot przypominający śmiech demonów.

Naturalnie nie mogła wyznać im prawdy.

Panna Sidley zdawała sobie z tego sprawę już w chwili, kiedy otworzyła oczy i ujrzała nad sobą zaniepokojone twarze pana Hanninga i pani Crossen. Pani

Crossen podtykała jej pod nos buteleczkę z solami trzeźwiącymi, którą przyniosła z apteczki pierwszej pomocy zawieszanej w sali gimnastycznej. Pan Hanning odwrócił się do dwóch małych dziewczynek przyglądających się z ciekawością pannie Sidley, a następnie poprosił je, żeby poszły już do domu.

Obie przesłały pannie Sidley uśmiech – leniwy, mówiący: mamy-wspólną-tajemnicę – i opuściły toaletę.

Świetnie, dochowa ich sekretu. Na razie. Nie może przecież dopuścić do tego, żeby ludzie zaczęli traktować ją jak kogoś niespełna rozumu albo jak osobę, która w stosunkowo młodym wieku grzybieje. Musi odegrać swoją rolę do końca. Musi ujawnić całą sprośność i wyplenić ją z korzeniami.

– Chyba się poślizgnęłam – powiedziała cicho i nie zwracając uwagi na przezywający ból w krzyżu, usiadła. – Na podłodze była mokra plama.

– To okropne – odezwał się pan Hanning. – Straszne. Czy jest pani pewna...

– Czy bardzo bolą cię plecy, Emily? – przerwała mu pani Crossen, a pan Hanning popatrzył na koleżankę z wdzięcznością.

Panna Sidley podniosła się z ziemi. Cały kręgosłup przewiercał jej ból.

– Nie, wręcz przeciwnie. Upadek sprawił chyba niewielki cud. W ostatnich latach mój kręgosłup nie miał się najlepiej.

– Możemy posłać po lekarza... – zaczął znów pan Hanning.

– Nie ma takiej potrzeby – odparła panna Sidley z zimnym uśmiechem.

– Wezwę taksówkę, żeby odwiozła panią do domu.

– Proszę nie robić tyle zamieszania. – Panna Sidley podeszła do drzwi wyjściowych z dziewczęcej toalety i otworzyła je.

– Zawsze jeżdżę do domu autobusem.

Pan Hanning westchnął i popatrzył na panią Crossen, która wywróciła tylko oczami, ale zachowała kamienne milczenie.

Następnego dnia panna Sidley zatrzymała Roberta po lekcjach. Chłopiec wprawdzie niczym nie zasłużył na karę, więc nauczycielka po prostu oskarżyła go fałszywie. Nie miała najmniejszych wyrzutów sumienia. Robert był potworem, a nie małym dzieckiem. Musiała go zmusić, żeby się do tego przyznał.

Straszliwie dokuczał jej kręgosłup. Uświadamiała sobie, że Robert dobrze o tym wie; sądził, że to mu pomoże. Ale jej głowa w tym, żeby nie pomogło. Miała więc kolejną niewielką przewagę: kręgosłup wszak bolał ją od dwunastu lat i wiele razy już dokuczał jak teraz... no, prawie tak jak teraz.

Zatrzasnęła drzwi, zamykając się z chłopcem w klasie.

Przez chwilę stała bez ruchu i w milczeniu obserwowała Roberta. Czekwała, aż uczeń spuści wzrok. Ale nie spuścił. Oddawał jej harde spojrzenie, a po chwili w kąciku ust pojawił mu się nawet lekki uśmiech.

– Z czego się śmiejesz, Robercie? – zapytała cicho.

– Nie wiem – odparł, ale uśmieszek nie schodził mu z twarzy.

– Proszę, powiedz mi.

Robert milczał.

I uśmiechał się.

Zza okien dobiegał gwar dzieci; odległy, monotony i usypiający. Jedynym rzeczywistym dźwiękiem był hipnotyczny zgrzyt zegara nad drzwiami.

– Jest nas całkiem sporo – odezwał się nieoczekiwanie Robert takim tonem, jakby mówił o pogodzie.

Słowa chłopca zamknęły pannie Sidley usta.

– W tej szkole jest nas jedenaścioro.

Całkowite zło – pomyślała zdumiona. – Czyste, nieprawdopodobne zło.

– Mali chłopcy, którzy opowiadają takie historyjki, idą do piekła – powiedziała dobitnie. – Znam wielu rodziców, którzy nie są w stanie przekonać swoich... swoich bachorów. że tak właśnie jest, Robercie, ale naprawdę tak jest. Z małymi dziewczynkami bywa podobnie.

Uśmiech Roberta stał się szerszy; prawie chytry.

– Panno Sidley, czy naprawdę chce pani zobaczyć, jak się zmieniam? Naprawdę chce pani to dokładnie sobie obejrzeć?

Panna Sidley poczuła mrowienie w kręgosłupie.

– Wynoś się – powiedziała krótko. – A jutro w szkole pojawisz się z matką lub z ojcem. Wtedy wszystko sobie wyjaśnimy.

Tak, odzyskała pewny grunt pod nogami. Czekala, aż twarz chłopca zmieni

wyraz, a w oczach pojawią się łzy.

Ale uśmiech na twarzy Roberta stał się jeszcze szerszy; teraz już chłopiec jawnie pokazał w uśmiechu zęby.

– Będzie to jak lekcja pokazowa. Prawda, panno Sidley? Robert... inny Robert... bardzo lubi lekcje pokazowe. Ciągłe się tam ukrywa, ciągle jest w mojej głowie. – Uśmiech ponownie zmarszczył chłopcu kąciki ust niczym płomień kawałek papieru.

– Czasami się przemieszcza... a to swędzi. Chce, żebym go wypuścił.

– Wynoś się – powiedziała tępo panna Sidley. Zgrzyt zegara wydał jej się bardzo głośny.

Robert zmienił się.

W jednej chwili jego twarz rozlała się jak roztopiony wosk, oczy zrobiły się płaskie i szerokie niczym rozcięte ostrym nożem żółtka, nos się rozszerzył, nozdrza rozdęły, a ust nagle nie było. Głowa się wydłużyła, włosy w ułamku sekundy przestały być włosami, bo przeobraziły się w splątane narośla.

Robert zachichotał.

Z miejsca, gdzie powinien być nos, dobiegł niski, przebrzydły dźwięk, ale nos został już pożarty przez dolną część twarzy, nozdrza połączyły się, tworząc jedną czarną jamę jak olbrzymie, rozwarłe do krzyku usta.

Robert, ciągle chichocząc, wstał i pod tym, czym stał się teraz, panna Sidley mogła dostrzec ostatnie, nędzne resztki drugiego Roberta, prawdziwego małego chłopca, którego ten obcy stwór pochłonał. Inny Robert darł się jak maniak, był przerażony i chciał się wydostać.

Panna Sidley uciekła.

Z krzykiem przebiegła korytarz, a kilku wychodzących dopiero teraz ze szkoły uczniów obejrzało się, obserwując ją wielkimi, nic nierozumiejącymi oczyma. Pan Hanning gwałtownie otworzył drzwi i wyjrzał na korytarz w chwili, kiedy ona niczym dziki, wymachujący ramionami strach na wróble, rysujący się ciemną sylwetką na tle jasnego, wrześnieowego nieba, wybiegała przez wielkie, oszklone szkolne drzwi.

Pobiegł za nią. Grdyka latała mu jak szalona.

– Panno Sidley! Panno Sidley!

Z klasy wyszedł Robert i z zainteresowaniem obserwował całą scenę.

Ale panna Sidley niczego nie słyszała, niczego nie widziała. Zbiegła z głośnym klekotem obcasów po schodach, przebyła chodnik, wpadła na jezdnię. Rozległ się ogłuszający ryk klaksonu i już majaczyła nad nią ogromna sylwetka autobusu. Szofer z przerażenia miał twarz białą jak gipsowa maska. Hamulce zawyły, a potem zasyczały jak rozjuszony smoki.

Panna Sidley upadła. Spod olbrzymich kół wydobyły się smugi dymu i wóz zatrzymał się zaledwie o dwadzieścia centymetrów od jej kruchego, usztywnionego gorsetem ciała. Leżała drżąca na bruku, a wokół niej gromadził się tłum gapiów.

Odwróciła się na plecy i ujrzała wbity w siebie wzrok dzieci. Otaczały ją ciasnym kręgiem niczym żałobnicy otwarty grób. A w głowach tego grobu stał Robert, jak mały zakrystian, który ma rzucić pierwszy szpadel ziemi.

Z daleka dobiegały urywane słowa kierowcy:

– ...zwariowała, czy co... Mój Boże, jeszcze dwadzieścia centymetrów.

Panna Sidley popatrzyła na dzieci. Padały na nią rzucane przez nie cienie. Dziecięce twarze nie wyrażały żadnego wzruszenia. Na niektórych błąkał się tylko porozumiewawczy uśmiech i panna Sidley zdała sobie sprawę, że za chwilę znów zacznie krzyczeć.

Wtedy do akcji wkroczył pan Hanning, rozpędził dzieciaki, a panna Sidley zaczęła cicho szlochać.

Przez miesiąc nie pojawiła się w trzeciej klasie. Oświadczyła panu Hanningowi, że nie czuje się najlepiej, a on poradził, żeby udała się do jakiegoś dobrego lekarza i z nim omówiła swoje problemy. Panna Sidley przyznała, że jest to jedyne rozsądne rozwiązanie. Powiedziała również, że jeśli dyrekcja szkoły życzy sobie, żeby złożyła rezygnację, ona uczyni to niezwłocznie, jakkolwiek będzie to dla niej bardzo przykre. Pan Hanning sprawiał wrażenie zakłopotanego, lecz odparł, że nie jest to wcale konieczne. Ostatecznie stanęło na tym, iż panna Sidley wróci do szkoły pod koniec października. Była pewna, że wtedy będzie już

gotowa do podjęcia wyzwania. Co więcej, będzie wiedziała, jak je podjąć.

Pierwszy tydzień po powrocie do pracy upłynął normalnie. Panna Sidley miała wrażenie, że klasa śledzi ją nieustannie wrogimi spojrzeniami. Gdy Robert spoglądał na nią z ławki w pierwszym rzędzie, na jego twarzy gościł zimny uśmiezek, a ona nie miała odwagi wywołać chłopca do odpowiedzi.

Pewnego dnia, kiedy prowadziła z dziećmi zajęcia na boisku szkolnym, podszedł do niej z piłką pod pachą i uśmiechnął się.

– Jest już nas tylu, że by pani nie uwierzyła – oświadczył.

– I nikt w to nie uwierzy. – Przesłał jej tak łobuzerskie spojrzenie, że pannie Sidley zaparło dech. – To znaczy, gdyby chciała pani im o tym powiedzieć.

Dziewczynka na huśtawce popatrzyła przez szerokość boiska prosto w oczy panny Sidley i zaczęła się śmiać.

Nauczycielka łagodnie uśmiechnęła się do Roberta.

– Robercie, co przez to rozumiesz?

Ale chłopiec odwrócił się i nie przestając się uśmiechać, wrócił na boisko.

Panna Sidley w torebce przyniosła do szkoły rewolwer. Kiedyś należał do jej brata, który zabrał go martwemu Niemcowi w bitwie o Ardeny. Jim zmarł przed dziesięcioma laty, a ona nie otwierała skrzyneczki z bronią od prawie pięciu, ale kiedy otworzyła ją teraz, rewolwer, pobłyskując złowieszczo, ciągle tam leżał. W skrzynce znajdowało się również pudełko z nabojami, którymi ostrożnie załadowała broń – dokładnie tak, jak nauczył ją Jim.

Uśmiechnęła się serdecznie do klasy; a zwłaszcza do Roberta. Chłopiec odpowiedział uśmiechem, ale ona widziała mroczną obcość kryjącą się tuż pod jego skórą; błotnistą, pełną brudu.

Nie miała pojęcia, co naprawdę wstąpiło w Roberta, ale niewiele ją to obchodziło. Żywiła jedynie nadzieję, że prawdziwy mały chłopiec odszedł na zawsze. Przecież nie chciała popełnić morderstwa! Zdecydowała, iż prawdziwy Robert umarł lub kompletnie zwariował, żyjąc tak długo w odrażającym, rozpełzłym stworze, który chichotał w klasie i sprawił, że panna Sidley z wrzaskiem wybiegła na jezdnię. A gdyby nawet żył, wyzwolenie go z udręki będzie wyłącznie

aktem łaski.

– Dzisiaj zrobimy sprawdzian – zakomunikowała.

W klasie nie rozległ się ani jęk zawodu, ani strachu. Dzieci po prostu patrzyły na nią. Ich wzrok czuła na sobie jak ciężar. Olbrzymi, przygniatający.

– To szczególny sprawdzian. Będę was brała po kolei do sali z kopiarkami i tam każdemu wręcę test. Później będziecie mogli wyjąć słodczyce i iść do domu. No, jak wam się podoba ten pomysł?

Uczniowie przesłali jej puste uśmiechy i milczeli.

– Robercie, czy mogę cię prosić pierwszego?

Robert wstał, z twarzy nie schodził mu lekki uśmiech. Całkiem otwarcie marszczył nos.

– Oczywiście, panno Sidley.

Panna Sidley sięgnęła po torebkę i ruszyli zgodnie pełnym ech korytarzem, mijali klasy, z których dobiegało monotonne recytowanie. Pomieszczenie z kopiarkami znajdowało się na samym końcu holu, za ubikacjami. Przed dwoma laty zostało pokryte płytami dźwiękoszczelnymi; stare maszyny były duże i pracowały nadzwyczaj głośno.

Panna Sidley puściła chłopca przodem i zamknęła za nimi drzwi. Przekręciła klucz w zamku.

– Nikt cię nie usłyszy – powiedziała spokojnie i wyciągnęła broń. – Ani ciebie, ani tego...

Robert uśmiechnął się niewinnie.

– A jednak jest nas wielu. Znacznie więcej niż tutaj. – Położył drobną dłoń na podajniku papieru kopiarki. – Czy życzy pani sobie, żebym zmienił się jeszcze raz?

Zanim panna Sidley zdążyła cokolwiek powiedzieć, twarz Roberta zaczęła groteskowo lśnić pod skórą i panna Sidley strzeliła. Raz. W głowę. Upadł plecami na półki pełne papieru, a potem osunął się miękko na podłogę; mały, martwy chłopiec z czarną dziurką tuż nad prawym okiem.

Wyglądał bardzo wzruszająco.

Panna Sidley stała nad nim i ciężko łapała powietrze. Policzki miała białe.

Leżąca postać nie ruszała się.

Była człowiekiem.

Była Robertem.

To tylko wytwór twego umysłu, Emily. Wszystko to powstało tylko w twoim umyśle.

Nie! Nie, nie, nie!

Wróciła do klasy i zaczęła po kolei sprowadzać dzieci do pomieszczenia z kopiarkami. Zabiła dwanaścioro, a zabiłaby wszystkie, gdyby pani Crossen nie pojawiła się po ryzę papieru podaniowego.

Oczy pani Crossen prawie wyszły z orbit. Dłonią zasłoniła usta. Zaczęła krzyczeć. Ciągle jeszcze krzyczała, kiedy panna Sidley wyciągnęła dłoń i położyła jej na ramieniu.

– Musiałam to zrobić, Margaret – odezwała się. – To straszne, ale musiałam. One wszystkie były potworami.

Pani Crossen popatrzyła na barwnie ubrane postacie leżące obok kopiarek, ale nie przestawała krzyczeć. Mała dziewczynka, którą panna Sidley ciągle trzymała za rękę, płakała nieustannie i monotonicznie. *Buuu... buuu... buuu.*

– Zmień się! – poleciła jej panna Sidley. – Zmień się przed panią Crossen! Pokaż jej, że musiałam to zrobić!

Ale dziewczynka płakała i płakała.

– Zmieniaj się, do cholery! – wrzasnęła panna Sidley. – Ty wstrętne dziwko, odrażający, rozpełzający się stworze, ty brudna, nienaturalna suko! Zmieniaj się! Do cholery ciężkiej, zmieniaj się!

Uniosła broń.

Dziewczynka skuliła się, pani Crossen niczym kotka zasłoniła sobą dziecko i panna Sidley dała za wygraną.

Do procesu nie doszło.

Gazety domagały się sądu, zrozpaczeni rodzice obiecywali histerycznie zemstę na panie Sidley, miasto było porażone, ale w końcu zwyciężył zdrowy rozsądek i żaden proces się nie odbył. Prokuratura miejska zażądała przeprowa-

dzania dokładniejszych i bardziej surowych egzaminów dla kandydatów na nauczycieli. Szkołę na Summer Street na znak żałoby zamknięto na tydzień, a pannę Sidley po cichu przewieziono do szpitala Juniper Hill w Auguście. Poddano ją wnikliwym badaniom, faszerowano najnowszymi lekami, codziennie brała udział w seansach terapeutycznych. Rok później, pod ścisłą kontrolą, poddano ją eksperymentalnie spotkaniu z dziećmi.

Nazywał się Buddy Jenkins, a psychiatria była dla niego wyzwaniem.

Z notatnikiem w ręce zajął miejsce za lustrem weneckim i spoglądał na pomieszczenie, które przerobiono na pokój dziecinny. Na przeciwległej ścianie namalowana była krowa skacząca do księżycy i mysz z zegarkiem. Panna Sidley siedziała w fotelu na kółkach, w dłoniach miała książkę z bajkami i była otoczona grupką ufnych, zaślinionych, uśmiechniętych dzieci; dzieci kompletnie cofniętych w rozwoju. Uśmiechały się do niej i śliniły, dotykały jej małymi, wilgotnymi palcami. A przy sąsiednim lustrze pielęgniarze czekali na pierwszy odruch agresji panny Sidley.

Przez pewien czas Buddy sądził, że panna Sidley wróciła do normy. Czytała na głos, pogładziła jedną z dziewczynek po głowie, pocieszyła małego chłopca, który potknął się o klocek i upadł. Ale nagle dostrzegła coś, co ją zaniepokoiło. Zmarszczyła brwi, a potem odwróciła się od dzieci.

– Proszę mnie stąd zabrać – powiedziała w przestrzeń cichym, bezbarwnym głosem.

Zabrano ją. Buddy Jenkins obserwował spoglądające za nią dzieci. Oczy miały szeroko otwarte i puste. Ale lśniła w nich jakaś głębia. Jedno uśmiechnęło się, inne łobuzersko wsunęło palec do ust. Dwie małe dziewczynki objęły się i zachichotały.

Tej nocy panna Sidley poderznęła sobie gardło kawałkiem lusterka. Po tym zdarzeniu Buddy Jenkins coraz baczniej i baczniej obserwował dzieci. W końcu nie potrafił wprost oderwać od nich wzroku.

Nocny Latawiec

1

Mimo posiadanej licencji pilota tak naprawdę Dees nie od razu zainteresował się morderstwami na lotnisku w Marylandzie – dopiero po trzecim i czwartym z rzędu. Wtedy poczuł ową specyficzną woń stanowiącą mieszaninę zapachu krwi i wydartych wnętrzności, której oczekiwali czytelnicy *Inside View*. Dla reportera popularnego pisma ilustrowanego specjalizującego się w sensacji pościg za takim tematem w połączeniu z dobrą brukową historią kryminalną staje się czymś więcej niż grą; staje się pogonią za Świętym Graalem.

Na Deesa czekała dobra i zła wiadomość. Dobra mówiła, że to on pierwszy wpadł na trop całej historii, wyprzedzając resztę zgrai; wciąż więc był nie do ugryzienia, ciągle był najważniejszym, ciągle najsilniejszym knurem w chlewie. Zła wiadomość natomiast mówiła, że róże jednak należały do Morrisona... w każdym razie do teraz. Morrison, niedawno mianowany naczelny redaktor, zerwał je, mimo że Dees, weteran dziennikarstwa, zapewniał go, iż poza dy-mem i echami nic tam nie ma. Dees zżymał się w duchu – tak naprawdę, to był wściekły – że to Morrison pierwszy zwęszył zapach krwi, i w przyływie bezrozumnej wściekłości miał ochotę naczelnego oszczać. I wiedział, jak to zrobić.

– Mówisz, że Duffrey w Marylandzie, tak?

Morrison skinął głową.

– I prasa jeszcze nic nie wyniuchała? – zapytał Dees i z zadowoleniem stwierdził, że Morrison się zjeżył.

– Jeśli pytasz, czy ktoś zasugerował już seryjnego zabójcę, to odpowiedź brzmi „nie” – odparł sztywno.

Ale szybko do tego dojdą – pomyślał Dees.

– Ale szybko do tego dojdą – powiedział Morrison. – Jeśli zdarzy się jeszcze jedno...

– Pokaż mi kartotekę – odezwał się Dees, wskazując teczkę w kolorze skóry, leżącą na osobliwie pustym biurku Morrisona.

Ale łysiejący redaktor naczelny oparł na niej dłoń i Dees zrozumiał dwie rzeczy: Morrison poda mu teczkę, ale Dees będzie musiał najpierw zapłacić za początkowe niedowierzanie... i swoją wyniosłą postawę ja-tutaj-jestem-weteranem. Cóż, może tak i powinno być. Może i najsilniejszy knur w chlewie potrzebuje czasami, żeby ktoś pociągnął go za zakręcony ogon. Może powinien odświeżyć sobie pamięć o tym, gdzie jest jego miejsce w całym porządku rzeczy.

– Myślałem, że wybierasz się do Muzeum Historii Naturalnej, żeby pogadać z tym gościem od pingwinów – odparł Morrison. Kąciki ust wygięły mu się w diabolicznym uśmiechu. – Wiesz, z tym, który twierdzi, że są mądrzejsze od ludzi i delfinów.

Dees wskazał palcem jedyną rzecz, która, poza teczką oraz fotografią niezbyt ładnej żony Morrisona i trójki jego niezbyt ładnych dzieci, stała na biurku: duży koszyk z drutu opatrzony tabliczką z napisem CHLEB CODZIENNY. W tej chwili w koszyku znajdował się jedynie cienki plik rękopisów, sześć albo osiem stron spiętych charakterystycznym, magesowym spinaczem Deesa oraz koperta w napisem: KLISZE; NIE ZGINAĆ.

Morrison zdjął dłoń z teczki (gotów w każdej chwili położyć ją tam z powrotem, gdyby tylko Dees wyciągnął rękę), otworzył kopertę i wytrząsnął z niej dwa arkusze z czarno-białymi fotografiami nie większymi niż znaczek pocztowy. Każde zdjęcie przedstawiało długi szereg pingwinów wytrzeszczających ślepią na widza. Było w nich niewątpliwie coś niesamowitego

– Mertonowi Morrisonowi kojarzyły się z zombi George'a Romero przebraniemi w smokingi. Redaktor naczelny skinął głową i z powrotem wsunął fotografie do koperty. Dees z zasady nie lubił redaktorów, ale musiał przyznać, że ten, którego miał teraz przed sobą, przynajmniej nie jest głuchy na sugestie innych, jeśli tylko uzasadniała to sytuacja. To rzadka cecha i Dess podejrzewał, że

w starszym wieku może przysporzyć Morrisonowi wielu problemów zdrowotnych. A może już zaczęły się takie kłopoty. Oto siedział przed nim mężczyzna, który z pewnością nie ukończył jeszcze trzydziestu pięciu lat, a już był w siedemdziesięciu pięciu procentach łysy.

– Niezłe – stwierdził Morrison. – Kto je robił?

– Ja – odrzekł Dees. – Zawsze robię fotki do swoich tekstów. Czy nigdy nie zwracasz uwagi na autorów zdjęć?

– Nie, zazwyczaj nie – powiedział Morrison i popatrzył na tytuł, jakim Dees opatrzył artykuł o pingwinach.

Libby Grannit z obróbki literackiej z pewnością wymyśliłaby celniejszy i bardziej przemawiający do wyobraźni nagłówek – w końcu na tym polegała jej praca i za to jej redakcja płaciła – ale i Dees miał niezłe wyczucie przy wymyślaniu tytułów. Zawsze trafiał na właściwą ulicę, jeśli nawet nie pod właściwy adres i numer mieszkania. OBCA INTELIGENCJA NA BIEGUNIE PÓŁNOCNYM. Tak brzmiał tytuł jego artykułu. Pingwiny, naturalnie, wcale nie były obcymi, a ponadto Morrison dobrze wiedział, że tak naprawdę ptaki te żyją na biegunie południowym. Ale to już nie miało większego znaczenia. Czytelnicy *Inside View* mieli bzika na punkcie zarówno Obcych jak i Inteligencji (zapewne dlatego, że większość z nich czuła się jak ci pierwsi, a tej drugiej im brakowało) i tylko to się liczyło.

– Tytuł pozostawia to i owo do życzenia – zaczął Morrison – ale...

– ...ale to już sprawa Libby – dokończył za niego Dees.

– A więc...

– A więc? – szybko zapytał Morrison.

Szeroko rozwartymi, niebieskimi oczyma, w których malowała się sama niewinność, popatrzył na Deesa zza okularów w złoconej oprawie. Znów położył dłoń na teczce, uśmiechnął się i czekał.

– A więc co chciałeś powiedzieć? Że nie mam racji? Morrison uśmiechnął się odrobinę szerzej.

– Tylko tyle, że możesz nie mieć racji. Tak mi się wydaje... wiesz, jaką jestem kizią-mizią.

– No dobrze, opowiedz mi o wszystkim – odparł Dees, ale odprężył się.

Czuł się lekko upokorzony; ścisnęło go w dołku, a nie cierpiał tego uczucia.

Morrison, z prawą ręką wciąż spoczywającą na teczce, spoglądał na niego uważnie.

– No cóż, może się myliłem.

– To wielkodusznie z twojej strony, że się do tego przyznajesz – odrzekł Morrison i wręczył mu teczkę.

Dees chwycił ją zachłannie, usiadł na stojącym przy oknie krześle i zaczął przeglądać jej zawartość. To, co tym razem wyczytał – były to tylko luźne doniesienia agencji informacyjnej oraz wycinki z wychodzących w małym miasteczku tygodników – wstrząsnęło nim do głębi.

Nie zwróciłem na to poprzednio uwagi – stwierdził w duchu i dodał: – Dlaczego?

Nie wiedział... ale zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli jeszcze raz przeoczy taką historię, będzie musiał gruntownie zrewidować swój pogląd, że jest najsilniejszym knurem w redakcyjnym chlewie. Wiedział też jeszcze coś: jeśli role jego i Morrisona odwrócą się (a w ciągu ostatnich dwóch lat dwukrotnie odmówiono mu fotela redaktora naczelnego *Inside View*), to Morrison, zanim Dees wręczy mu jakąkolwiek kartotekę, będzie musiał pełzać przed nim na brzuchu jak gadzina.

Chrzanić to – pomyślał. – Powinienem natychmiast dać mu kopa w dupę i wywalić na ulicę.

Przemknęła mu przez głowę myśl, że się wypalił. Jakże często ludzie w tej branży wypalali się kompletnie. Przez całe lata można sobie pisać o latających talerzach porywających całe brazylijskie wioski (zazwyczaj ilustrowało się takie artykuły rozmazanym zdjęciem rzędu połączonych szeregowo żarówek), o psach potrafiących rachować i wywalonych z pracy ojczym, rąbiących siekierą własne dzieci niczym drewno na podpałkę. I nagle, któregoś dnia, przychodzi załamanie. Jak w przypadku Dottie Walsh, która pewnego wieczoru wróciła do domu, weszła do wanny, a głowę owinęła sobie plastikową torbą.

Nie bądź głupi – upomniał się w duchu. Ale niepokój nie chciał go opuścić.

Trafił na temat, wspaniały temat, wielki jak życie i dwukrotnie bardziej od życia odrażający. Jak, do licha, mógł coś takiego przegapić?

Popatrzył na Morrisona, który ze splecionymi na brzuchu rękami bujał się na krześle i bacznie go obserwował.

– Tak? – zapytał Morrison.

– Cóż, to może być wielki numer. Ale to nie wszystko. Podejrzewam, że to może być prawda.

– Nie obchodzi mnie, czy jest to prawda, czy nie – odparł Morrison. – Ważne, żeby gazeta się sprzedawała. A dzięki opublikowaniu tej historii może sprzedawać się jak sto diabłów, prawda, Richardzie?

– Zgadza się. – Dees wstał i włożył teczkę pod pachę.

– Chcę ruszyć tropem tego gościa i prześledzić jego trasę, zaczynając od miejsca, które już znamy, od Maine.

– Richardzie?

Dees odwrócił się w progu. Zobaczył, że Morrison ponownie ogląda klisze i uśmiecha się pod nosem.

– Co myślisz o tym, żebyśmy zamieścili najlepsze z tych zdjęć obok fotografii Danny’ego DeVito z filmu o Batmanie?

– Ja na to jak na lato – odparł Dees i wyszedł.

Nieoczekiwanie odeszły go wszelkie wątpliwości, przestały dręczyć natrętne pytania. Znow poczuł znajomy zapach krwi, silny i w jakiś gorzki sposób pociągający. W jednej chwili zapragnął zgłębić wszystko do samego końca. Koniec przyszedł tydzień później, ale nie w Maine, nie w Marylandzie, ale znacznie bardziej na południe, w Karolinie Północnej.

2

Było lato, bawełna wyrosnięta i życie powinno być proste. Ale w ten długi dzień, który już chylił się ku wieczorowi, Richardowi Deesowi nic nie przychodziło łatwo.

Głównym problemem – jak dotąd – była niemożność dotarcia na niewielkie lotnisko Wilmington, które obsługiwało zaledwie jeden transportowiec, kilka

samolotów wahadłowych oraz masę prywatnych maszyn. W okolicy szalała straszna burza i Dees krążył w odległości stu pięćdziesięciu kilometrów od celu. Wznosząc się gwałtownie i opadając w niespokojnym powietrzu, kłął pod nosem na widok zachodzącego słońca. Zezwolenie na lądowanie dostał dopiero za kwadrans ósma. Do zmierzchu brakowało niecałe czterdzieści minut. Nie wiedział, czy Nocny Latawiec postąpi wedle swej utartej procedury, ale jeśli tak, to niebawem go spotka.

A Latawiec tu był. O tym Dees wiedział na pewno. Znalazł właściwe miejsce i właściwą cessenę skymaster. Osobnik, którego ścigał, mógł równie dobrze wybrać Virginia Beach, Charlotte, Birmingham albo jakieś miejsce położone bardziej na południe. Ale nie wybrał. Dees nie wiedział, gdzie tamten ukrywał się po opuszczeniu Duffrey w Marylandzie, zanim przybył tutaj, ale niewiele go ta kwestia obchodziła. Wystarczało, że intuicja go nie zawiodła – typ, którego ścigał, ciągle operował w powietrzu. Większą część ubiegłego tygodnia Dees spędził przy telefonie, wydzwaniając na wszystkie znajdujące się na południe od Duffrey lotniska, które wydawały się odpowiednie dla *modus operandi* Latawca. Wciąż i wciąż naciskał w wynajmowanym w motelu Days Inn pokoju guziki w telefonie tak długo, aż zaczął palić go palec, a ludzie po drugiej stronie drutu zaczęli wyrażać irytację z powodu tak natrętnego molestowania. Ale w końcu, jak to często w życiu bywa, jego upór przyniósł owoce.

Przez całą ubiegłą noc na lotniskach, które zdecydował się obserwować, lądowały prywatne samoloty, a najwięcej wśród nich było modeli Cessna Skymaster 337. Nic dziwnego, skoro ten typ maszyn stanowił samolotowy odpowiednik toyoty. Ale cessna 337, która zeszłej nocy wylądowała na lotnisku w Wilmington, była tą maszyną, jakiej szukał. Co do tego nie było wątpliwości. Miał wreszcie tego typka.

Miał go w garści.

- N471B wektor ILS, pas trzydziesty czwarty – rozległ się lakoniczny głos w słuchawkach. – Kierunek sto sześćdziesiąt. Zejdź niżej i pozostań na tysiącu.
- Kierunek sto sześćdziesiąt. Schodzę z dwóch na tysiąc.
- I uważaj. Na dole panuje okropna pogoda.

– Roger – odparł Dees, myśląc, że Wsiowy Jasiek, który do kontroli ruchu trafił z jakiegoś wioskowego browaru, to zwykły dupek, skoro gada o pogodzie.

Dees wiedział, że na dole panują paskudne warunki. Widział przecież błyskawice niczym gigantyczne fajerwerki, a ostatnie czterdzieści minut spędził, krążąc nad okolicą i czując się bardziej jak w mikserze niż jak w dwusilnikowym beechrafacie.

Wyłączył autopilota, który już stanowczo zbyt długo prowadził go nad rolniczą Karoliną Północną w swój bezmyślny sposób widzisz-to, nie-widzisz-tego. Mocno chwycił drążki sterów. Na dole nie było żadnych plantacji na tyle wysokiej bawełny, żeby mógł ją dostrzec. Tylko puste pola po uprawach tytoniu zarosnięte obecnie bylinami i łubinem. Dees, obserwowany przez kontrolę ruchu lotniczego na wieży, z radością ręcznie skierował samolot do Wilmington i na ILS⁶ obniżał lot, zbliżając się do lotniska.

Sięgnął po komunikator. Zamierzał wywołać Wsiowego Jasia i zapytać go, czy tam, na parterze, nie wydarzyło się coś dziwnego – czytelnicy *Inside View* uwielbiali takie ciemne, burzowe noce – ale po chwili zastanowienia odwiesił mikrofon. Do zapadnięcia zmroku została jeszcze chwila – w drodze z krajowego lotniska w Waszyngtonie zweryfikował miejscowy czas obowiązujący w Wilmington. Nie – pomyślał. – Jeszcze na jakiś czas zachowam wszystkie pytania dla siebie.

W to, że Nocny Latawiec jest prawdziwym wampirem, Dees wierzył równie mocno jak we wróżkę Tooth Fairy, która, gdy był dzieckiem, w zamian za wypadnięte mleczaki zostawiała mu pod poduszką dwudziestopięciocentowe monety. Ale jeśli facet myśli, że jest wampirem – a Dees był święcie przekonany, że tak właśnie jest – to powinien starannie wcielić się w odgrywaną przez siebie rolę.

Ostatecznie życie stanowi replikę sztuki.

Hrabia Dracula z licencją pilota.

Musisz, chłopie, sam przed sobą przyznać – myślał Dees – że to dużo lepsze niż pingwiny-zabójcy planujące zniszczenie rasy ludzkiej.

Kiedy, zniżając lot, wpadł w warstwę cumulusów, beechem zaczęło rzucać.

Dees zaklął, zacisnął mocniej dłonie na sterach i wyrównał lot maszyny, wyraźnie niezadowolonej z warunków pogodowych, w jakich kazano jej lecieć.

Nie tylko ty, kotku – skonstatował.

Kiedy wylecieli z chmury, dostrzegł wyraźnie światła Wilmington i Wrightsville Beach.

Tak, proszę łaskawego pana, grubasom, którzy robią zakupy w 7-ELEVEN, spodoba się ta historyjka – pomyślał, kiedy po lewej stronie niebo przecięła błyskawica. – Kupią niezliczoną liczbę egzemplarzy naszego pisma, kiedy wylegną wieczorem po ciasteczka Twinkies i piwo.

Ale ta historia to coś znacznie, znacznie więcej i Dees doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Ten artykuł będzie... no cóż, nie ma co kryć... będzie po prostu cholernie dobry.

Ten artykuł będzie prawdziwy.

Człowieku, w swoim czasie takie słowo nigdy nie przeszłoby ci przez gardło – zauważył. – Może już się wypaliłeś?

A jednak w głowie cały czas, niczym najcudowniejsza baletnica, tańczył mu olbrzymi nagłówek w czasopiśmie: *DZIENNIKARZ Z INSIDE VIEW CHWYTA SZALONEGO NOCNEGO LATAWCA. PIERWSZORZĘDNA HISTORIA O TYM, JAK SCHWYTANY ZOSTAŁ WYPIJAJĄCY KREW SWYCH OFIAR NOCNY LATAWIEC. „MUSIAŁEM JĄ PIĆ” – OŚWIADCZA ZABÓJCZY DRACULA.*

Nie jest to może aria operowa na najwyższych rejestrach – zgadzał się w myślach Dees – ale brzmi doskonale. Brzmi jak słowicze trele.

Ostatecznie sięgnął po mikrofon i nacisnął guzik. Wiedział, że jego uwielbiający krew koleś ciągle jest na dole, ale on odzyska spokój dopiero wtedy, gdy się o tym upewni.

– Wilmington, tu N471B. Czy ciągle tam jeszcze macie skymastera 337 z Marylandu?

– Wygląda na to, że tak, stary byku – rozległ się pośród trzasków głos radiooperatora. – Ale nie mogę teraz z tobą gawędzić. Ruch w powietrzu jak wszyscy diabli.

– Czy ma czerwone dysze? – upierał się Dees. Przez chwilę myślał, że nie otrzyma odpowiedzi.

– Czerwone dysze, roger. A teraz spieprzaj z eteru, N471B, jeśli nie chcesz, żeby zwała ci się na łeb Federalna Komisja Telekomunikacyjna. Muszę dziś jeszcze usmażyć dużo ryb, a mam mało patelni.

– Dzięki, Wilmington – powiedział Dees najbardziej układnym tonem.

Wysunął środkowy palec w międzynarodowym geście i wyszczerzył zęby, nie zauważając nawet kolejnego wstrząsu maszyny, która znów wleciała w chmurę. Skymaster, czerwone dysze... Dees był gotów założyć się o całą przyszłoroczną pensję, że gdyby ten idiota w wieży kontrolnej nie był tak zajęty, i sprawdził numer wymalowany na ogonie tamtej maszyny, okazałoby się, że to N101BL.

Chryste Panie! Jeden tydzień, jeden krótki tydzień. Tyle mi to zajęło. Znalazłem Nocnego Latawca, nie zapadła jeszcze noc, i, co wydawało się niewiarygodne, na scenę nie wkroczyła jeszcze policja. Gdyby pojawili się tam gliniarze, zainteresowani ceczną, Wsiowy Jasio na pewno by mnie o tym poinformował niezależnie od tego, jaki bałagan panowałby w powietrzu i bez względu na pogodę. Istnieją na świecie rzeczy zbyt ważne, żeby o nich nie poplotkować.

Muszę mieć twoje zdjęcie, skurwysynu – pomyślał Dees. Widział już zbliżające się białe światła lotniska. – Napiszę o tobie, ale najpierw muszę mieć fotkę. Tylko jedną, ale muszę mieć.

Tak, to zdjęcie uwiarygodni wszystko. Żadnych niewyraźnych fotografii; żadnych wyobrażeń artysty-fotografika; prawdziwe, realistyczne, czarno-białe zdjęcie.

Ignorując ostrzegawczy brzęczyk, skierował samolot ostro w dół. Miał bladą, spiętą twarz. Rozchylił usta, pokazując w drapieżnym uśmiechu drobne, białe zęby.

W mętym świetle zmierzchu, wymieszanym z poświatą rzucaną przez tablicę rozdzielczą, Richard Dees sam wyglądał jak wampir.

kiego czy też tak mało istotnych przymiotów jak ścisłość czy etyka – ale jedno było niezaprzeczalne: *Inside View* nastawiało się wyłącznie na sensację i horror. Z Mertona Morrisona był kawał zdrowego dupka (choć nie aż takiego, za jakiego brał go Dees, kiedy po raz pierwszy ujrzał go z tą idiotyczną, pieprzoną fajką), ale Dees musiał oddać mu sprawiedliwość: Morrison nigdy nie zapominał, że o sukcesie *Inside View* stanowią głównie całe wiadra krwi i garście świeżo wydartych bebechów.

Och, pojawiały się na łamach pisma również zdjęcia miłych, wdzięcznych dzieciaków, horoskopy, testy psychologiczne, diety-cud zawierające tak nieoczekiwane składniki jak piwo, czekolada i chipsy. Ale Morrison wyczuwał gigantyczne zmiany w otaczającym go świecie i nigdy nie kwestionował kierunku, w jakim powinno iść pismo. Dees podejrzewał, że to właśnie przede wszystkim sprawiało, iż Morrison tak długo utrzymuje się w branży mimo swojej fajki i tweedowych marynarek z Londyńskiego Bractwa Dupków. Morrison zdawał sobie sprawę, że dzieci-kwiaty z lat sześćdziesiątych wyrosły na kanibali lat dziewięćdziesiątych. Polityka, rodzina, „język uczuć” to mogło pasować intelektualnym, wyższym klasom. Ale przeciętni, stanowiący ogromną większość ludzie najbardziej interesowali się masowymi morderstwami, skandalami z życia gwiazd czy też tym, w jaki sposób Magic Johnson zaraził się AIDS.

Dees nie wątpił, że wciąż istnieją odbiorcy towaru „wszystko jest miłe, gładkie i przyjemne”, ale w miarę jak pokolenie Woodstock odkrywało siwiznę we włosach, a wokół ust wydętych pogardliwie w pełnym drażliwości grymasie pojawiły się głębokie bruzdy, zaczął wzrastać popyt na „wszystko jest gównem z wyjątkiem moczu i wydartych flaków”. Merton Morrison – którego Dees traktował już jak obdarzonego intuicją geniusza – w tydzień po tym, jak wraz z fajką zainstalował się w swoim pokoju w redakcji, wystosował memorandum do personelu etatowego oraz do wszystkich współpracowników i korespondentów czasopisma. W tym memorandum zalecał, żeby w drodze do pracy wdychali woń róż. Ale z chwilą, kiedy już dotrą na miejsce, zaczęli węszyć za zapachem krwi i wydartych trzewi. Dees, którego natura obdarzyła instynktem do wyczuwania zapachu krwi i wnętrzości, był w siódmym niebie. To dzięki swemu no-

sowi przyleciał tu, do Wilmington. Tam, na dole, na płycie lotniska czaiła się bestia zaklęta w ludzkie ciało, człowiek, który uważał się za wampira. Dees musiał wszystko z niego wyciągnąć, wycisnąć go jak gąbkę. Świadomość ta paliła mu umysł niczym drogocenna moneta trzymana w kieszeni pali jej właściciela. Niebawem wyciągnie tę monetę i ją wyda. Kiedy już to uczyni, w każdym kiosku, w każdej księgarni w Ameryce nazwisko wampira pojawi się wydrukowane sześćdziesięciopunktową czcionką.

Uważajcie, poszukiwacze sensacji i kobiety – myślał Dees.

– Jeszcze o tym nie wiecie, ale wasze drogi skrzyżują się z drogami naprawdę niebezpiecznego człowieka. Poznacie jego prawdziwe imię i nazwisko, ale szybko o tym zapomnicie.

I dobrze. Zapamiętajcie natomiast moje imię i nazwisko; imię i nazwisko, które dołączy do Kuby Rozpruwacza, Rzeźnika z Cleveland i Czarnej Dalii. Pamiętajcie, że Nocny Latawiec niebawem pojawi się przy kasie, w której zapłacicie za nasze pismo. Wyśmienita historia, wyśmienity wywiad... ale najbardziej pragnę wyśmienitego zdjęcia.

Ponownie sprawdził czas i nieco się rozluźnił (o ile w ogóle mógł się rozluźnić). Do całkowitego zachodu słońca brakowało jeszcze prawie pół godziny, a on za niecały kwadrans miał posadzić swoją maszynę obok białego skymastera z czerwonymi dyszami (i wymalowanym na ogonie również czerwoną farbą numerem N101BL).

Czy Latawiec pojechał do miasta, czy też wynajął pokój w jakimś przydrożnym motelu? Dees sądził, że nie. Jednym z powodów, dla których skymastery 337 stały się tak popularne, poza stosunkowo niską ceną oczywiście, były ich przegrody bagażowe mieszczące się pod kabiną pasażerską. Wprawdzie nie były większe od bagażnika volkswagena beetle, ale mieściły się w nich trzy wielkie walizy lub pięć mniejszych... i z całą pewnością zmieściłby się tam człowiek, który nie ma postury zawodowego koszykarza. Nocny Latawiec zatem: a) zapewne w pozycji płodowej z kolanami podciągniętymi do brody śpi w przegrodzie bagażowej cessny; b) jest na tyle szalony, by uważać się za prawdziwego wampira; c) i jedno, i drugie.

Na opcję c) Dees postawiłby wszystkie pieniądze.

Kiedy altimetr pokazał, że samolocik zszedł z tysiąca trzystu metrów na tysiąc, Dees pomyślał: Nie, mój serdeczny przyjacielu, żaden hotel, żaden motel, prawda? Kiedy grasz rolę wampira, przypominasz Franka Sinatrę – robisz to po swojemu. Wiesz, co myślę? Jeśli otworzę luk bagażowy twego samolotu, natychmiast spadnie na mnie deszcz cmentarnej ziemi (a jeśli nawet nie, możesz się założyć o swoje górne siekacze, że tak się rozpocznie moja relacja w czasopiśmie), następnie zobaczę nogę odzianą w spodnie od smokingu, a po chwili drugą. Będiesz przecież w smokingu, prawda? Chłopie drogi, będziesz ubrany niezwykle elegancko, ubrany, żeby zabijać, a ja mam już aparat fotograficzny nastawiony na samowyzwalacz i kiedy tylko ujrzę, że kłapy twego smokingu rozwiewa wiatr.

Tutaj jego myśli urwały się, ponieważ ujrzał w dole przed sobą zbliżające się, migające białe światła pasa na lądowisku.

4

„Chcę ruszyć tropem tego gościa i prześledzić jego trasę, zaczynając od miejsca, które już znamy, od Maine” – oświadczył Mertonowi Morrisonowi.

W niecałe cztery godziny później był już na Okręgowym Lotnisku w Cumberlandzie i rozmawiał z mechanikiem, Ezrą Hannonem. Pan Hannon sprawiał takie wrażenie, jakby przed chwilą wypełził właśnie z butelki z ginem, i na dobrą sprawę Dees nie powinien dopuszczać go w pobliże swego samolotu. Potraktował jednak mechanika z pełną kurtuazją i względami. Ezra Hannon stanowił w łańcuchu pierwsze ogniwo, które w mniemaniu Deesa mogło okazać się niebywale istotne.

Okręgowe Lotnisko w Cumberlandzie – bardzo zacna nazwa dla pola zagospodarowanego kompozycją dwóch półcylindrycznych baraków z blachy faliastej typu Quonset i dwóch krzyżujących się pasów startowych, z których tylko jeden był pokryty asfaltem. Ponieważ Dees nigdy jeszcze nie lądował na pasie gruntowym, zażądał pasa asfaltowego. Posadziwszy na ziemi swego beecha 55 (zastawił się za niego po uszy w lombardzie), postanowił, że przy starcie wy-

próbuję pas ziemny. Kiedy już to uczynił, z zadowoleniem stwierdził, że okazał się on gładki i twardy jak cycek studentki z koedukacyjnego akademika. Na lądowisku znajdował się naturalnie rękaw do pomiaru kierunku wiatru i był oczywiście połatany jak stare gacie taty Deesa. Lotniska takie jak to w Cumberlandzie zawsze mają rękawy wskazujące kierunek wiatru. Obok dwupłatowca, który zawsze stoi w pobliżu samotnego hangaru, stanowią one o wątpliwym uroku takich miejsc.

Pole startowe w Cumberlandzie jest najbardziej zatłoczonym lądowiskiem w Maine. Trudno to wywnioskować z samego wyglądu tego pokrytego gnojem pola... jak również z wyglądu samego Ezry, Głównego Mechanika-Gorzelnika – nasza Deesa refleksja. Kiedy Hannon wyszczerzył w uśmiechu swoich sześć zębów, wyglądał jak odprysk z filmowej wersji *Deliverance* Jamesa Dickeya.

Lotnisko, usytuowane na obrzeżach miasteczka Falmouth, utrzymywało się głównie z opłat za przyjmowanie bogatych turystów, którzy masowo pojawiali się w tych okolicach podczas letnich wakacji. Claire Bowie, pierwsza ofiara Nocnego Latawca, pełnił na lotnisku Cumberland funkcję nocnego kontrolera lotów i posiadał dwadzieścia pięć procent udziałów w zyskach. Pozostały personel stanowili dwaj mechanicy oraz drugi kontroler naziemny (kontrolerzy naziemni sprzedawali również chipsy, papierosy i wodę sodową. Później Dees dowiedział się, że zamordowany przyrządzał znakomite cheeseburgery).

Mechanicy i kontrolerzy obsługiwali też dystrybutory paliwa oraz pełnili funkcję dozorców. Było na porządku dziennym, że kontroler lotów po wyszorowaniu podłogi w ubikacji gnał na złamanie karku do wieży kontrolnej, żeby wyznaczyć jeden z dwóch pasów i udzielić zezwolenia na lądowanie. W okresie letniego szczytu nocni kontrolerzy mieli taki nawał pracy, że mogli sypiać jedynie sześć godzin na dobę, między północą a szóstą rano.

Claire Bowie został zamordowany miesiąc przed wizytą Deesa i na obraz sytuacji, jaki reporter sobie stworzył, składały się informacje, które wyczytał w cienkiej kartotece Morrisona, oraz niezwykle barwna, opowiedziana ze swadą przez Ezrę, Głównego Mechanika-Gorzelnika, historia. Ale nawet gdy wprowadził już konieczne poprawki do swych pierwotnych wiadomości, Dees nie

stracił przekonania, że na tym gównianym, niewielkim lotnisku na początku czerwca wydarzyło się coś bardzo dziwnego.

Dziewiątego czerwca, tuż przed świtem, zgłosiła się drogą radiową cessna 337, numer N101BL, z prośbą o zezwolenie na lądowanie. Claire Bowie, który na nocnych zmianach pracował tu od roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego, kiedy to piloci musieli czasami rezygnować chwilowo z lądowania (w tamtych czasach nazywało się to „wzniesieniem”), ponieważ na pojedynczy pas potrafiły przyplątać się krowy, prośbę o zezwolenie na lądowanie zarejestrował o godzinie czwartej trzydzieści dwie nad ranem. Zgodnie z wykazem przyjęć samolot osiadł na pasie lotniska o czwartej czterdzieści dziewięć. Bowie zanotował w księdze imię i nazwisko pilota, Dwight Renfield, a port macierzysty samolotu N101BL jako Bangor w stanie Maine.

Podane czasy niewątpliwie były prawdziwe, reszta natomiast okazała się czystą bzdurą (Dees sprawdził, że w Bangor nikt nie słyszał o maszynie z numerem N101BL), ale gdyby nawet Bowie zaczął coś podejrzewać, nie miałoby to najmniejszego znaczenia. Na Okręgowym Lotnisku w Cumberlandzie panowała luźna atmosfera, a opłata za lądowanie jest opłatą za lądowanie.

Imię i nazwisko podane przez pilota okazały się ponurym żartem. Dwight pochodziło od imienia aktora Dwighta Frye’a, który pośród wielu ról, jakie zagrał, wystąpił też w charakterze szaleńca Renfielda, którego idolem był najśłynniejszy wampir wszech czasów. Z drugiej strony trudno na otwartej częstotliwości radiowej prosić o zezwolenie na lądowanie, przedstawiając się jako hrabia Dracula. Dees uznał, że wzbudziłoby to podejrzania nawet na tak małym i sennym lotnisku jak Cumberland.

Być może, ale nie był tego tak do końca pewien. Ostatecznie opłata za lądowanie jest opłatą za lądowanie. „Dwight Renfield” zapłacił żądaną kwotę, a ponadto kazał dolać benzyny do pełna. Następnego dnia w kasie były jeszcze pieniądze, którymi zapłacił, oraz kopia wystawionego przez Bowiego rachunku.

Dees wiedział, że prywatne samoloty na maleńkich, lokalnych lotniskach w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych traktowano z dużą nonszalancją, ale zdumiewała go beztroska, z jaką na Cumberland przyjęto Nocnego Latawca.

Ostatecznie lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte dawno już minęły. Nastąpiła era paranoi narkotycznej, a większość gówna, któremu każdy powinien powiedzieć „nie”, pojawiała się właśnie w niewielkich przystaniach na niewielkich statkach oraz na małych lotniskach w małych samolotach... takich jak cessna skymaster „Dwighta Renfielda”. Jasne, opłata za lądowanie jest opłatą za lądowanie, ale Dees uważał, że Bowie powinien jednak poinformować Bangor o zaginięciu planu lotu choćby po to, żeby uratować własny tyłek. Nie uczynił tego. Dees w pierwszej chwili pomyślał o łapówce, jego przesiąknięty ginem rozmówca jednak oświadczył, że nie było pod słońcem uczciwszego człowieka niż Claire Bowie. Opinię tę potwierdzili dwaj policjanci z Falmouth, z którymi Dees również odbył rozmowę.

Wy tłumaczeniem tego jest najprawdopodobniej niedbalstwo, ale to w końcu nie ma znaczenia. Czytelników *Inside View* nie interesowały tak ezoteryczne szczegóły jak to, w jaki sposób i dlaczego mogło się coś podobnego wydarzyć. Czytelników *Inside View* ciekawiło, co się stało i jak to długo trwało, oraz czy osoba, której to się przytrafiło, miała czas krzyczeć. No i naturalnie zdjęcia. Domagali się zdjęć. Wielkich, wyraźnych, czarno-białych fotografii, które biją prosto między oczy.

Ezra Główny Mechanik-Gorzelnik popatrzył na Deesa ze zdumieniem, kiedy ten zapytał, dokąd, jego zdaniem, udał się „Renfield” po wylądowaniu.

– Nie wiem – odparł. – Chyba do motelu. Musiał złapać taksówkę.

– W pracy pojawił się pan... mówił pan, że o której godzinie?

O siódmej rano? Chodzi mi o dziewiątego czerwca.

– Ha! Tuż przed tym, jak Claire poszedł do domu.

– A cessna skymaster stała pusta i unieruchomiona, tak?

– Jasne. Stała dokładnie tam, gdzie teraz stoi pański samolot.

– Ezra wyciągnął rękę i Dees nieco się cofnął.

Od mechanika bił zapach bardzo starego roqueforta zamarynowanego w ginię Gilbeya.

– A może Claire wspominał, że zamówił pilotowi taksówkę, żeby go zawiozła? Bo w pobliżu nie ma żadnych moteli, prawda?

– Nie ma – przyznał Ezra. – Najbliższy, Sea Breeze, znajduje się trzy i pół kilometra stąd. Może nawet dalej...

– Podrapał się po niegolonej od dawna szczecinie na brodzie.

– Ale nie pamiętam, żeby Claire mówił coś o taksówce.

Dees postanowił popytać o to w okolicznych przedsiębiorstwach taksówkowych. Na razie założył, że poszukiwany przez niego facet, jak większość normalnych ludzi, spędził tamtą noc w łóżku.

– A może wynajął samochód? – zasugerował.

– Nie – odparł natychmiast Ezra. – Gdyby Claire zamawiał dla niego auto, na pewno by coś o tym wspomniał.

Dees skinął głową i postanowił rozpytać również w pobliskich wypożyczalniach samochodów. Mógł również przepytać resztę personelu lotniska, ale nie sądził, żeby to wniosło coś do sprawy. Opój, z którym rozmawiał, wiedział najwięcej. Miał zwyczaj wypijać z Claire'em kawę, kiedy ten opuszczał pracę, to znaczy kiedy on sam pojawiał się na służbie. Poza Nocnym Latawcem był ostatnim człowiekiem, który widział Claire'a Bowiego przy życiu.

Ezra posłał mu chytre spojrzenie, podrapał się po szczecinie na podbródku i jeszcze raz popatrzył na Deesa przekrwionymi oczyma.

– Claire nie wspominał o żadnej taksówce czy samochodzie, ale powiedział coś innego.

– Tak?

– Tak. – Ezra rozpiął wysmarowany tłuszczem kombinezon, wyciągnął paczkę chesterfieldów, zapalił jednego i zaniósł się suchym, starczym kaszlem. Przez kłęb dymu popatrzył przebiegle na Deesa. – Może ma to jakieś znaczenie, a może nie ma. Claire powiedział mi o tym, bo wydawało mu się to trochę dziwaczne. I było dziwaczne, w przeciwnym razie staremu Claire'owi nie chciałoby się otwierać gęby.

– I cóż takiego powiedział?

– Nie pamiętam dokładnie – odrzekł Ezra. – Widzi pan, czasami kiedy coś zapominam, obrazek z Alexandrem Hamiltonem doskonale odświeża mi pamięć.

– A obrazek z Abem Lincolnem? – zapytał krótko Dees.

Po chwili zastanowienia – bardzo króciutkiej chwili – Hannon przyznał, że czasami Lincoln również potrafi dokonać cudu i portret tego właśnie dżentelmena powędrował z portfela Deesa do lekko sparaliżowanej dłoni Ezry. Deesowi błysnęła myśl, że portret George’a Washingtona również sprawiłby cud, ale chciał mieć pewność, że Ezra powie mu wszystko, co wie... poza tym te pieniądze i tak pójdą w koszty.

– No więc słucham.

– Claire powiedział, że jegomość wyglądał tak, jakby wybierał się na jakieś cholernie wytworne przyjęcie.

– Aha! To znaczy jak? – Dees pomyślał, że powinien był jednak kombinować z Washingtonem.

– Powiedział, że ubrany był jak spod igły. Smoking, jedwabny krawat, takie rzeczy... – Ezra urwał na chwilę. – Claire twierdził, że facet miał nawet obszerny płaszcz, czarny jak dupa świstaka, z podszewką czerwoną jak wóz strażacki. Twierdził, że płaszcz, kiedy wydymał go wiatr, wyglądał jak skrzydła jakiegoś cholernego nietoperza.

W umyśle Deesa rozjarzyło się nagle czerwonym neonowym światłem jedno słowo: BINGO.

Nawet o tym nie wiesz, mój zamarynowany w ginie przyjacielu – pomyślał – ale być może wypowiedziałeś słowa, które uczynią cię sławnym.

– Cały czas wypytuje pan o Claire’a, a nie zapyta pan, czyja nie widziałem czegoś dziwnego.

– A widział pan?

– Prawdę mówiąc, tak.

– No i co pan takiego widział, przyjacielu?

Ezra podrapał się po szczeciniastej brodzie długim, pożółkłym paznokciem, rzucił z ukosa przekrwionymi oczyma znaczące spojrzenie na Deesa i głęboko zaciągnął się papierosem.

– Co, znów? – mruknął Dees, ale wyciągnął kolejnego Abe’a Lincolna, starając się przy tym nadać twarzy jak najbardziej przyjacielski wyraz.

Instynkt podpowiadał mu, że od Pana Mechanika-Gorzelnika nie wyciągnął

jeszcze wszystkiego.

– To za mało – odezwał się z naganą w głosie Ezra.

– Takiego bogacza z miasta jak pan stać na coś więcej niż dziesięć dolców.

Dees popatrzył na zegarek, ciężki rolex z diamentowymi cyferkami na tarczy.

– Cholera jasna! – westchnął. – Patrz pan, my tu gadu-gadu, a czas płynie. Sam pan widzi, że zrobiło się późno! A ja jeszcze nawet nie porozmawiałem z policjantami w Falmouth!

Zanim jednak zdążył wstać, kolejny pięciodolarowy banknot zniknął mu z dłoni i wylądował obok swego kolegi w kieszeni kombinezonu Hannona.

– W porządku. Jeśli ma mi pan coś jeszcze do powiedzenia, proszę mówić – oświadczył Dees. Cała jego przyjacielskość ulotniła się w jednej chwili. – Muszę odwiedzić kilka miejsc i porozmawiać z paroma ludźmi.

Mechanik zamyślił się, podrapał po brodzie i westchnął. Deesa dobiegł zapach zastarzałego sera.

– Widzi pan stertę ziemi pod tamtym skymasterem? – zapytał niechętnie Ezra. – Tę pod lukiem bagażowym?

– I co z tego?

– Ayuh. Pogrzebałem w niej butem.

Dees czekał i nic nie mówił.

– Paskudny fajans. Pełno w nim robaków.

Dees czekał. Tak, zdobył drogocenną informację, ale nie był do końca przekonany, czy Ezra naprawdę powiedział mu wszystko, co wie.

– I larwy. Larwy. Takie, jakby coś tam zdechło.

Dees zatrzymał się w motelu Sea Breeze, a następnego dnia o ósmej rano odleciał do miasteczka Alderton w stanie Nowy Jork.

5

Dees nie pojmował zupełnie osobnika, którego ścigał. Najbardziej zdumiewała go powolność, z jaką działał Latawiec. Zarówno w Maine jak i w Marylandzie dosłownie ociągał się z mordowaniem. Dopiero w dwa tygodnie po tym, jak rozprawił się z Claire'em Bowie, pojawił się na jedną noc w Alderton. Pole

lotnicze Lakeview w Alderton było jeszcze mniejsze od Okręgowego Lotniska w Cumberlandzie – pojedynczy gruntowy pas i zwykły, niedawno odmalowany barak, w którym mieściły się hangar, wieża kontroli lotów i radiostacja. Nie było żadnych urządzeń do automatycznego sterowania przylatującymi samolotami, stała za to potężna antena satelitarna tak, żeby żaden z podróżujących farmerów, którzy trafiali na to lotnisko, nie stracił okazji obejrzenia „Murphy Brown”, „Koła Fortuny” czy innego, niebywale atrakcyjnego programu.

Deesowi podobała się tam tylko jedna rzecz: gruntowy pas startowy na Lakeview był równie gładziutki jak tamten w Maine.

Przywykłem już do takich pasów – pomyślał, gdy jego beech dotknął zgrabnie kołami ziemi i zaczął zwalniać. – Żadnych wstrząsów, jak na połatany asfalcem betonie, żadnych dziur, w których można sobie wykręcić kostkę... tak, te pasy stanowczo mi odpowiadają i bardzo je lubię – skonkludował w myślach.

W Alderton nikt nie pytał go o portrety ani prezydentów, ani ich przyjaciół. Miasteczko – liczące niecały tysiąc mieszkańców – było wstrząśnięte. Kilku niepełnoetatowych pracowników lotniska, którzy wraz ze świętej pamięci Buckiem Kendallem prowadzili prawie za darmo deficytowe przedsięwzięcie, było również poruszonych do głębi. Dees na dobrą sprawę nie miał nawet z kim porozmawiać; nie było żadnego świadka na miarę Ezry Hannon. Hannon mówił wprawdzie mętnie – pomyślał z zadumą Dees – ale przynajmniej mówił.

– To musiał być chłop na schwał – oświadczył mu jeden z niepełnoetatowych pracowników. – Stary Buck ważył dobrych sto kilogramów i był łagodnym, spokojnym człowiekiem. Jeśli jednak ktoś go zirytował, mocno mógł tego później żałować. Żebyś pan widział, jak boksował przed dwoma laty w cyrku, który przyjechał na karnawał do Poughkeepsie. Oczywiście, takie walki są prawnie zabronione, ale Buck nawalał z ratami za swojego pipera, więc dołożył tamtemu siłaczowi. Zwinął całe dwieście dolarów i od razu odniósł je do kasy pożyczkowej na dwa dni przed tym, jak mieli odebrać mu samochód.

Pracownik potrząsnął głową, sprawiając wrażenie tak przybitego, że Dees miał ochotę wyciągnąć aparat fotograficzny. Czytelnicy *Inside View* z całą pewnością chętnie obejrzeliby sobie tę pociągłą pobrużdżoną twarz o żalonym wyrazie.

Dees postanowił sprawdzić, czy Buck Kendall miał psa. Czytelnicy *Inside View* z chęcią obejrzą fotografię psa, który należał do zamordowanego. Usadziłby psa na werandzie domu, w którym mieszkał Kendall, a zdjęcie opatrzyłby podpisem: BUFFY BĘDZIE BARDZO DŁUGO CZEKAĆ, albo jakoś tak.

– To okropne – powiedział ze współczuciem Dees.

Pracownik westchnął i pokiwał głową.

– Facet musiał zająć go od tyłu. Nie mogę sobie tego inaczej wyobrazić.

Dees nie wiedział, z której strony napastnik zaatakował Gerarda „Bucka” Kendalla; wiedział tylko, że nie rozerwał mu gardła. Tym razem w szyi ofiary były dwa otwory, otwory, przez które zapewne „Dwight Renfield” wyssał krew. Z tym tylko, że zgodnie z oświadczeniem koronera, otwory znajdowały się po przeciwnych stronach szyi; jeden w żyłę szyjnej, a drugi w tętnicy. Nie były to jednak lekkie ślady jak u Beli Lugosiego czy w dużo mocniejszych scenach z udziałem Christophera Lee. Koroner w swoim raporcie operował miarami metrycznymi, ale Dees bez trudu przełożył to na swoje, a Morrison miał pod ręką niezawodną Libby Grannit, która obrobi już odpowiednio skąpe informacje podane w suchym raporcie koronera. Zabójca posiadał zęby takie, jak któryś z ulubionych przez czytelników *Inside View* Bigfeetów, albo też zrobił dziury w szyi Kendalla w bardziej prozaiczny sposób – za pomocą młotka i długiego, grubego gwoźdźca.

ZABÓJCZY NOCNY LATAWIEC DZIURAWI SWE OFIARY I WYPIJA ICH KREW. Obie ofiary są mężczyznami zamordowanymi tego samego dnia, choć w różnych miejscach. Nieźle.

Nocny Latawiec prosił o zezwolenie na lądowanie na Lakeview krótko po wpół do jedenastej wieczorem dwudziestego trzeciego lipca. Kendall udzielił zezwolenia i zanotował dobrze już znany Deesowi numer samolotu: N101BL, imię i nazwisko pilota „Dwight Renfield”, a model maszyny jako „Cessna Sky-master 337”. Nic nie wspomniał o pomalowanych na czerwono dyszach ani tym bardziej o rozwianym na kształt nietoperzych skrzydeł czarnym jak dupa świstaka płaszczu z podszewką czerwoną jak wóz strażacki. Ale Dees był pewien, że tak dokładnie było. Nocny Latawiec wylądował w Alderton krótko po

wpół do jedenastej wieczorem, zabił wysokiego, potężnie zbudowanego Bucka Kendalla, wypił mu krew i odleciał swoją cessną jakiś czas przed tym, jak na lotnisku, o piątej rano, dwudziestego czwartego lipca, pojawiła się Jenny Kendall ze świeżo usmażonymi naleśnikami dla męża i znalazła jego pozbawione krwi zwłoki.

Kiedy Dees stał przed przypominającym bardziej barak hangarem i wieżą kontrolną zarazem i przetrawiał zebrane informacje, przyszła mu do głowy myśl, że jeśli człowiek oddaje krew, w zamian może spodziewać się szklanki soku pomarańczowego i słów podziękowania. Kiedy natomiast ją bierze – a konkretnie wysysa – to on, Dees, ma zgrabny tytuł na pierwszą stronę. Wylał resztkę podłej kawy na ziemię i pomaszerował w stronę swego samolotu, gotów polecieć na południe, do Marylandu. Wtedy też przyszło mu do głowy, że Bogu, kiedy kończył tworzenie majstersztyku, jakim miało być jego twórcze imperium, musiała zadrzeć ręka.

6

Teraz, w dwie paskudne godziny po opuszczeniu krajowego lotniska w Waszyngtonie, sprawy przybrały dużo gorszy obrót, i to zatrważająco nagle. Światła napasie startowym nieoczekiwanie pogasły, ale Dees spostrzegł, że ciemność zapadła nie tylko na lotnisku – połowę Wilmington i całe Wrightsville Beach również spowiły egipskie ciemności. System ILS nieustannie działał, więc Dees chwycił mikrofon i zawołał:

– Co się stało? Wilmington, odezwij się!

W odpowiedzi dobiegł go jedynie szum w głośniku i czyjeś odległe, mamroczące głosy, jakby rozmawiały ze sobą duchy.

Odwiesił mikrofon, ale nie trafił w widełki i urządzenie, zawieszony na sprężystym przewodzie, niczym jo-jo uderzyło w podłogę. Dees nie zwrócił na to uwagi. Jego wołanie do mikrofonu było jedynie odruchem. Wiedział, co się stało; wiedział to równie dobrze jak to, że słońce za kilka sekund całkowicie skryje się za horyzontem. Piorun uderzył w podstację elektroenergetyczną zlokalizowaną w pobliżu lotniska. Cały problem polegał na tym, jak długo będzie nie-

czynna.

– Masz wolny pas – dobiegł go czyjś głos.

Natychmiast (i rozsądnie) odezwał się inny głos, stwierdzając, że wszystko jest do bani. Dees generalnie wiedział, co ma robić w takiej sytuacji; nauczono go tego jeszcze w szkółce lotniczej. Logika i znajomość lotniczego fachu mówiły mu, że powinien skierować się na inny pas, a potem nawiązać łączność z kontrolą ruchu. Lądowanie w takim zamieszaniu mogło tylko narobić większego bałaganu.

Z drugiej strony, jeśli nie wyląduje teraz – teraz i natychmiast – Nocny Latawiec będzie miał okazję mu umknąć. Mogło to kosztować życie człowieka (lub wielu ludzi), ale tego czynnika w swoim równaniu Dees raczej nie uwzględniał... dopóki nie błysnął mu w głowie pomysł niczym jaskrawa żarówka. Oczywiście wyobraźni ujrzał ogromny tytuł w gazecie wypisany rozstrzelonymi literami:

BOHATERSKI REPORTER RATUJE (tu podać liczbę, możliwie jak największą, ale taką, żeby uwierzyli w nią naiwni) ISTNIEŃ LUDZKICH Z RAŃ SZALONEGO NOCNEGO LATAWCA.

Udław się, Wsiowy Jasiu – pomyślał Dees i w dalszym ciągu schodził do lądowania na pas trzydziesty czwarty.

Światła na lotnisku nieoczekiwanie rozbłysły, jakby aprobowały decyzję, którą Dees przed chwilą podjął, lecz zaraz znów zgasły, zostawiając mu na siatkówkach powidok barwy zgniłego awokado. W tym samym momencie z radia dobiegł dziwaczny szum, a potem wrzask Wsiowego Jasia.

– N471B natychmiast skęcaj w lewo! Piedmont, natychmiast w prawo! Jezu Chryste, kolizja w powietrzu... chyba dojdzie do kolizji...

Instykt samozachowawczy Deesa był równie silny jak jego wrażliwość na zapach krwi. Nie dostrzegł nawet pulsujących świateł lądowania samolotu 727 należącego do linii lotniczych Piedmont. Zbyt pochłoneńo go wykonanie gwałtownego, na tyle ciasnego skrętu w lewo, na ile tylko pozwalała mu zwrotność beecha – skrętu ciasnego jak cipa dziewicy, której zalety Dees doceni jeszcze tylko wtedy, gdy wyjdzie cało z tej gównianej sytuacji. Przez chwilę wi-

dział/czuł, że coś ogromnego zawisło nad nim dosłownie o centymetry, a następnie beech 55 zaczął się trząść, jakby otaczające go powietrze stało się szorstkie i twarde niczym sproszkowane szkło. Z kieszeni na piersi wypadły Deesowi papierosy i rozsypały się po całej kabinie. Ciemniejące nad Wilmington niebo szaleńczo zawirowało. Reporter poczuł, że żołądek podchodzi mu do serca i zaczyna wypychać je w stronę gardła. W kąciку ust pojawił się bąbelek śliny. Mapy pofrunęły po kabinie jak ptaki. Z zewnątrz dobiegał grzmot odrzutowych silników i ryk prutego powietrza. Jedno okno w czteroosobowej kabinie samolotu implodowało i do środka z astmatycznym świstem wdarł się potężny podmuch powietrza, który niczym tornado zaczął miotać wszystkimi nieprzy-mocowanymi przedmiotami.

– N471B, wróć na poprzednią wysokość! – darł się Wsiowy Jasio.

Dees uświadomił sobie, że właśnie zapaskudził spodnie, za które zapłacił dwieście dolarów. Po prostu zsiakał się, oddając dobre pół litra gorącego moczu. Ale pocieszył się myślą, że stary Wsiowy Jasio popuścił w spodnie wszystkie zjedzone tego dnia batoniki Mars. Tak w każdym razie zabrzmiał w radiu jego głos.

Dees miał przy sobie duży szwajcarski scyzoryk. Wyciągnął go z prawej kieszeni spodni i trzymając lewą ręką drążki sterowe, naciął przez koszulę lewe przedramię, tuż nad łokciem. Pojawiła się krew. Bez chwili wahania zaciął się płytko również tuż pod lewym okiem. Złożył nóż i włożył go do schowka na mapy umieszczonego w drzwiach po swojej stronie. Zabiorę go później pomyślał. – Jeśli o tym zapomnę, mogę mieć poważne kłopoty. Ale wiedział, że nie zapomni, bo tej nocy będzie miał do czynienia z Nocnym Latawcem.

Znów zapłonęły światła na pasie startowym – miał nadzieję, że tym razem już na dobre – lecz ich lekkie pulsowanie wyraźnie wskazywało na to, że są zasilane z generatora. Ponownie skierował beecha na pas trzydziesty czwarty. Po lewym policzku do kąciку ust spływała mu krew. Zlizał ją językiem i splunął różowawą śliną. Nigdy nie zapominaj o drobnych sztuczkach – napomniał się w myślach. – Zaufaj instynktowi, a on już sam bezpiecznie doprowadzi cię do domu.

Popatrzył na zegarek. Słońce miało zająć za czternaście minut. Stanowczo za szybko.

– Beech, wznies się! – krzyknął Wsiowy Jasio. – Ogłuchłeś czy co?

Dees, nie spuszczać wzroku ze świateł pasa na lądowisku, na ślepo sięgnął po poskręcany przewód, na którym zwisał mikrofon. Przesuwając palce po kablu, sięgnął w końcu do samego urządzenia. Nacisnął przycisk.

– Posłuchaj, ty francowaty sukinsynu – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Ten 727 o mało nie zrobił ze mnie marmolady truskawkowej, ponieważ ten wasz główniany generator nie zadziałał wtedy, kiedy należało, i nie docierały do mnie polecenia kontroli lotu. Nie wiem, ile osób w tym samolocie pasażerskim również o mało nie zostało przerobionych na taką samą marmoladę, ale ty wiesz i wie załoga samolotu. A to, że jeszcze wszyscy żyją, to tylko dzięki temu, że kapitan 727 wykazał tyle refleksu, żeby natychmiast wykonać skręt w prawo, a ja byłem dość bystry, żeby skręcić w stronę przeciwną. Lecz mój samolot został uszkodzony, a ja jestem ranny. Więc jeśli natychmiast nie dasz mi zezwolenia na lądowanie, wyląduję gdziekolwiek. Z tym tylko, że jeśli będę musiał usiąść bez zezwolenia, załatwię ci przesłuchanie przed Komisją Federalnego Biura Lotnictwa. Ale najpierw osobiście przestawię ci dupę na miejsce głowy i odwrotnie. Rozumiesz, palancie?

W radiu zapadła długa cisza maćona jedynie trzaskami i szumem w eterze. I nagle rozległ się cichy, niepewny głosik, nic a nic nie przypominający poprzedniego pełnego wigoru tonu Wsiowego Jasia:

– Ej, posłuchaj! Pas numer trzydzieści cztery masz wolny.

Dees uśmiechnął się pod nosem i skierował maszynę w stronę lądowiska.

Wcisnął guzik mikrofonu i mruknął:

– Byłem trochę szorstki. Przepraszam. Ale to normalne, kiedy człowiekowi w ślepią zajrzy śmierć.

Ziemia nie odpowiedziała.

– Mam cię w dupie – powiedział Dees i skierował samolot w dół, opierając się trudnej do przewyciężenia ochocie zerknięcia na zegarek.

Dees był człowiekiem zahartowanym i choć czuł z tego powodu dumę, przyznawał sam przed sobą, że nie ma co zaprzeczać, iż odkrycie w Duffrey sprawiło, że na całym ciele wystąpiła mu gęsia skórka. Cessna Nocnego Latawca cały dzień – trzydziestego pierwszego lipca – pozostawała na skraju pasa startowego, ale stanowiło to zaledwie preludium do całej historii, która właśnie spowodowała, że po plecach Deesa przechodziły ciarki. Wiernych czytelników *Inside View* interesowała naturalnie wyłącznie krew; i tak powinno być – świat bez końca, amen, amen – ale Dees coraz bardziej zdawał sobie sprawę z tego, że krew (a w przypadku Raya i Ellen Sarchów brak krwi) to jedynie początek całej historii. Za krwią bowiem istniały całe otchłanie, mroczne i obce.

Dees przybył do Duffrey ósmego sierpnia, w niecały tydzień po Nocnym Latawcu. Przez cały czas nie dawało mu spokoju pytanie, gdzie jego stary, przypominający nietoperza koleś przebywa między kolejnymi uderzeniami. W Disney Worldzie? W Busch Gardens? A może w Atlancie, żeby obejrzeć baseballowy mecz tamtejszych Bravesów? Wprawdzie w tej chwili, kiedy pościg trwał, nie była to sprawa szczególnej wagi, ale mogła okazać się bardzo istotna później. Dzięki niej będzie można przedłużyć dziennikarską ucztę i ciągnąć historię Nocnego Latawca przez kilka dalszych numerów pisma, serwując czytelnikom kolejne elementy historii, kiedy ci już przetrawią najsmakowitsze kąski.

Niemniej w całej historii istniały owe mroczne otchłanie, w których człowiek, gdyby w nie trafił, przepadłby z kretesem. Brzmiało to tyleż jak bredzenie szaleńca co jak strasznie banalna opowieść, ale kiedy Dees poznawał całą prawdę o tym, co naprawdę wydarzyło się w Duffrey, zaczął we wszystko wierzyć... a to znaczyło, że ta część historii nigdy nie ukaże się drukiem; i to nie tylko dlatego, iż sprawa ta stała się dla Deesa rzeczą osobistą. Pogwałcona również została jego żelazna zasada: nie wierz w to, co piszesz, i nie pisz o tym, w co wierzysz. Pozwalało mu to zachować przez całe lata zdrowy rozsądek, podczas gdy wszyscy dookoła gwałtownie go tracili.

Wylądował na krajowym lotnisku w Waszyngtonie – tym razem dla odmiany

było to lotnisko z prawdziwego zdarzenia – gdzie wynajął samochód, żeby dostać się do odległego o sto kilometrów Duffrey, ponieważ gdy zabrakło Raya Sarcha i jego żony, Ellen, w Duffrey lotnisko przestało funkcjonować. Prowadzili cały ten kram wraz z siostrą Ellen, Raylene, śliczną blondynką. Na lotnisku był jeden pas startowy polewany zużyтым olejem (żeby się nie kurzyło i nie pleniły się chwasty) i pawilonik kontroli ruchu lotniczego, nie większy niż szafa w przyczepie kempingowej Jet-Aire, w której mieszkali Sarchowie. Oboje na emeryturze, oboje w przeszłości latali, oboje twardzi jak gwoździe i mimo prawie pięćdziesięciu lat małżeństwa zakochani w sobie po uszy.

Ponadto Dees dowiedział się, że zwracali baczna uwagę na każdy prywatny samolot pojawiający się lub opuszczający ich lotnisko. Prowadzili prywatną wojnę z gangami narkotycznymi. Ich jedyny syn zginął w subtropikalnych bagnach Everglades na Florydzie, kiedy skradzionym beechem 18 wylądowanym kokainą próbował wylądować w miejscu, które wyglądało na gładką tafłę wody. Woda była czysta, z tym tylko że pod jej powierzchnią znajdował się pień drzewa. Beech 18 uderzył w niego i eksplodował. Dougha Sarcha impet uderzenia wyrzucił z kabiny, ale, choć płonęło na nim ubranie i był poparzony, ciągle jeszcze prawdopodobnie żył. Pożarły go aligatory. Kiedy chłopcy z DEA znaleźli go tydzień później, pozostał z niego jedynie pogruchotany szkielet, kilka skrawków ciała, zwęglone džinsy marki Calvin Klein i sportowa marynarka od Paula Stuarta z Nowego Jorku. Z jednej jej kieszeni ratownicy wyciągnęli dwadzieścia tysięcy gotówką; z drugiej blisko trzydzieści gramów peruwiańskiej kokainy.

– To narkotyki i skurwiele z gangu zabili mi chłopca – mawiał przy wielu okazjach Ray Sarch, a Ellen Sarch skwapliwie mu przytakiwała.

Wszyscy zgodnie twierdzili, że jej nienawiść do narkotyków i ludzi, którzy nimi handlują (Deesa śmieszyło powszechne przekonanie mieszkańców Duffrey, że morderstwo dokonane na tym starszym małżeństwie to „uderzenie potężnego, o ogólnokrajowym zasięgu gangu”), przewyższała tylko żal i zdumienie, że takim ludziom udało się zmarnować ich syna.

Po śmierci młodego Sarcha jego rodzice mieli baczne oko na każdego, kto

choćby w najmniejszym stopniu sprawiał wrażenie handlarza narkotyków. Czterokrotnie podnieśli fałszywy alarm, wzywając na lotnisko policję stanową z Marylandu, ale ta nie miała do nich o to pretensji, gdyż dzięki czujności Sarchów udało się przechwycić trzy małe transporty i dwa duże. Ostatni zawierał piętnaście kilogramów najczystszej boliwijskiej kokainy. Taki sukces pozwalał zapominać o fałszywych alarmach, taki sukces skłaniał jedynie do popierania wysiłków starego małżeństwa.

Tak zatem późnym wieczorem trzydziestego lipca pojawił się samolot Cessna Skymaster, którego numery i wygląd zostały już opisane w komunikacie rozesyłanym na wszystkie lotniska i pola samolotowe w całej Ameryce; w tym również i do Duffrey. Cessna, według słów pilota, który przedstawił się jako Dwight Renfield, zarejestrowana była na stałe w aeroporcie Bayshore w Delaware, gdzie, jak się później okazało, nikt nie słyszał ani o „Renfieldzie”, ani o skymasterze z numerem N101BL, którego właściciel prawie na pewno był mordercą.

– Gdyby tu przyleciał, wywołałby ogromne poruszenie – oświadczył Deesowi przez telefon jeden z kontrolerów ruchu na lotnisku Bayshore, ale Dees był zaintrygowany.

Tak, bardzo zaintrygowany.

Nocny Latawiec wylądował w Duffrey o dwudziestej trzeciej dwadzieścia siedem i „Dwight Renfield” nie tylko wpisał się do prowadzonego przez Sarchów rejestru, ale również przyjął zaproszenie Raya do jego przyczepy na piwo i emitowany na kanale TNT film *Gunsmoke*. Następnego dnia sama Ellen Sarch opowiedziała o tym właścicielce salonu piękności Duffrey Beauty Bar. Kobieta ta, Selida McCammon, przedstawiła się Deesowi jako najbliższa przyjaciółka Ellen Sarch.

Kiedy Dees zapytał, jak tamtego dnia wyglądała Ellen, Selida chwilę milczała.

– Jakoś tak niewyraźnie – powiedziała w końcu. – Jak zakochana studentka, która liczy sobie prawie siedemdziesiąt lat.

Miała taką dziwną cerę, że w pierwszej chwili sądziłam, iż zrobiła sobie makijaż. Ale dopiero gdy zaczęłam kręcić jej trwałą, zrozumiałam, że jest po pro-

stu... no, wie pan... – Selida McCammon wzruszyła ramionami.

Wiedziała, co chce powiedzieć, ale nie wiedziała, jak to wysłować.

– Napalona – podpowiedział Dees, a Selida McCammon wybuchnęła śmiechem i klasnęła w ręce.

– Napalona! Właśnie to! Jest pan pisarzem, prawda?

– Och, pisanie idzie mi jak z płatka – odparł Dees z uśmiechem, mając nadzieję, że jest to pogodny, serdeczny i rozbajający uśmiech.

Grymas ten nieustannie doskonalił przed lustrem w sypialni swego mieszkania w Nowym Jorku, które nazywał domem, oraz przed lustrami zawieszonymi w hotelach, które stanowiły jego rzeczywisty dom.

Najwyraźniej uśmiech ten wywarł na Selidzie McCammon zamierzone wrażenie, choć tak naprawdę to Dees nigdy w życiu nie zaznał ciepła ani serdeczności. Jako dziecko uważał, że takie uczucia w ogóle nie istnieją, że jest to maskarada, konwenans. Później dopiero pojął swój błąd. Wszystko to, co uważał za emocje sztucznie tworzone przez *Reader's Digest*, istniało w rzeczywistości. W każdym razie dla większości ludzi. Nawet miłość, owa bajkowa Big Enchilada⁷, istniała naprawdę. Żałował często, że obce są mu te uczucia, ale przecież na nich świat się nie kończył. Byli w końcu ludzie chorzy na raka, na AIDS lub o umyśle papugi z uszkodzonym mózgiem. Jeśli spojrzeć na to od tej strony, człowiek natychmiast uprzytamnia sobie, że brak takich cikliwych emocji niewiele mu szkodzi. Ważne, żeby potrafił odpowiednio i w stosownym momencie napiąć mięśnie twarzy. To w zupełności wystarcza. Nie boli i jest łatwe. Skoro człowiek pamięta o tym, żeby dokładnie zapiąć kurtkę, kiedy pada deszcz, równie dobrze powinien pamiętać o uśmiechu i serdecznym wyrazie twarzy, kiedy inni się tego po nim spodziewają. A pełen zrozumienia uśmiech stanowi najlepszy środek do przeprowadzenia wywiadu. O tym przekonał się już przed laty. Czasami wewnętrzny głos pytał go, co by znalazł, gdyby sam sobie zrobił *inside view* i zajrzał do własnego wnętrza, ale Dees nie zamierzał wcale tam zaglądać. Chciał tylko pisać i fotografować. Pisanie przychodziło mu z łatwością. Zawsze tak było i tak będzie; dobrze o tym wiedział, ale również niezmiernie lubił fotografować. Lubił dotykać zdjęć. Lubił oglądać uchwycone w przelocie wizerunki

ludzi, ich prawdziwe twarze przedstawione całemu światu; twarze lub maski, jakie przybierają. Te maski tak łatwe do zidentyfikowania, że nikt nie jest w stanie ich się wyprzeć. Lubił malujący się na tych obliczach wyraz zaskoczenia lub przestachu. Ludzie sprawiali wtedy wrażenie pochwyconych w pułapkę.

Gdyby przyciśnięto go do muru, przyznałby, że fotografie dają mu wgląd do wnętrza ludzkich dusz i sam temat nie ma ze sprawą żadnego związku. Natomiast ścisły związek miał Nocny Latawiec, jego mały koleś o wyglądzie nietoperza, oraz to, jak przed niespełną tygodniem wszedł w życie Raya i Ellen Sarchów.

Nocny Latawiec opuścił samolot i wszedł do biura, gdzie na ścianie wisiał rozesyłany za nim przez Federalną Agencję Lotnictwa list gończy w czerwonej obwódce. Poszukiwano niebezpiecznego osobnika poruszającego się cessań skymasterem 337 z numerem N101BL, podejrzanego o dokonanie dwóch zabójstw. Gość, stwierdzał list gończy, może, lecz nie musi, przedstawiać się jako Dwight Renfield. Skymaster wylądował, Dwight Renfield wpisał się w księdze i prawie na pewno spędził następny dzień w luku bagażowym swego samolotu. A co z Sarchami, dwojgiem ludzi czujnie obserwujących każdego przybysza?

Sarchowie nie zareagowali; Sarchowie nie podjęli żadnych kroków.

Dees odkrył, iż to drugie nie do końca było prawdą. Ray Sarch z całą pewnością zrobił jedno: zaprosił Nocnego Latawca do siebie na stary odcinek *Gunsmoke* i na piwo. Małżeństwo potraktowało gościa jak starego znajomego. A później, następnego dnia, Ellen Sarch umówiła się w salonie piękności Duffrey Beauty Bar, co bardzo zdziwiło Selidę McCammon. Ellen odwiedzała jej zakład z regularnością zegarka, a do jej kolejnej wizyty brakowało jeszcze co najmniej dwóch tygodni. Jej życzenie było niezwykle: nie tylko nie chciała skrócić włosów, ale prosiła o zrobienie trwałej ondulacji... i lekką farbę.

– Chciała wyglądać młodziej – oznajmiła Deesowi Selida McCammon i kantem dłoni otarła z policzka łzę.

Ale zachowanie Ellen było niczym w porównaniu z postępowaniem jej męża. Połączył się z Federalną Agencją Lotnictwa na krajowym lotnisku w Waszyng-

tonie i prosił o wysłanie not a mu, że lotnisko w Duffrey jest nieczynne: przynajmniej na jakiś czas. Innymi słowy, zaciągnął firanki i zamknął interes.

Wracając do domu, zatankował samochód w stacji Texaco w Duffrey i oświadczył jej właścicielowi, Normowi Wilsonowi, że chyba złapał grypę. Norm powiedział Deesowi, że Ray pewnie nie przesadzał, gdyż rzeczywiście był wyjątkowo blady, wymizerowany i wyglądał znacznie, znacznie starszej.

Tej nocy dwójka czujnych tropicieli narkotyków poniosła śmierć. Raya Sarcha znaleziono w niewielkim pokoju kontrolnym. Miał urwaną głowę, którą wciśnięto w odległy kąt pomieszczenia, a następnie ustawiono na kikucie szyi w taki sposób, że gapiła się szeroko rozwartymi, szklistymi oczyma w drzwi, jakby było tam coś do zobaczenia.

Jego żonę znaleziono w sypialni. Leżała w łóżku. Miała na sobie nowiutki peniuar, który najwyraźniej włożyła po raz pierwszy. „Była stara – oświadczył Deesowi zastępca szeryfa (był dużo droższy od Ezry Głównego Mechanika-Gorzelnika i wziął dwadzieścia pięć dolarów, lecz jego informacje warte były tej ceny) – ale taką bieliznę mogła do łóżka włożyć jedynie kobieta, która zamierzała się kochać”. Deesowi tak spodobał się zachodni akcent szeryfa, że zanotował słowo w słowo wszystko, co ten mu powiedział. W szyi miała dwie wielkie dziury, jedną w żyłę, a w drugą w tętnicy. Na jej twarzy malował się spokój, oczy były zamknięte, dłonie złożone na brzuchu.

Mimo że straciła prawie całą krew, na poduszce pod jej głową widniało kilka szkarłatnych kropel. Kilka kropel spadło również na leżącą na jej brzuchu, otwartą książkę: „Wywiad z wampirem” Anne Rice.

A Nocny Latawiec?

Okolo północy trzydziestego pierwszego lipca lub rankiem pierwszego sierpnia po prostu odleciał. Jak ptak.

Albo jak nietoperz.

Dees wylądował w Wilmington siedem minut przed oficjalną godziną zachodu słońca. Kiedy zamykał przepustnicę, nieustannie spluwając krwią, która

splywała mu spod oka do ust, oślepiła go niebieskobiała błyskawica. Ogłuszył go najpotężniejszy trzask pioruna, jaki w życiu słyszał. Pęknięte okno, znajdujące się obok tego, które wybił piedmont 727, wpadło do kabiny niczym chmura diamentów.

W oślepiającym rozbłysku wyładowania elektrycznego dostrzegł po lewej stronie sześcienny budynek znajdujący się obok pasa trzydziestego czwartego, w który trafił piorun. Budynek eksplodował, wyrzucając pod niebo kolumnę ognia, ale to było niczym w porównaniu z blaskiem samego wyładowania elektrycznego.

Jak laska dynamitu w porównaniu z eksplozją bomby atomowej – pomyślał oszołomiony Dees. I nagle błysnęło mu w głowie: Generator. Trafiło w generator.

Światła – białe, wyznaczające krawędzie pasa, oraz jasnoczerwone, które znaczyły jego koniec – w jednej chwili zgasły, zupełnie jakby silny podmuch wiatru zgasił rząd świec. W ułamku sekundy Dees pędził z mroku w mrok z szybkością przekraczającą sto trzydzieści kilometrów na godzinę.

Straszliwa fala po eksplozji, która zniszczyła główny generator lotniska, uderzyła w beecha niczym pięść. Nie tyle uderzyła, co zmiotła go niczym grabiarka siano. Beech, który jeszcze nie do końca zdał sobie sprawę z tego, że znów jest stworzeniem lądowym, przechylił się na prawe skrzydło, podskoczył w górę i znów opadł na prawe koło, telepiąc się na czymś – na czymś – i dopiero po chwili do świadomości Deesa dotarło, że są to wmurowane w pas startowy lampki wyznaczające krawędź pasa.

W lewo! – zaskowyczało Deesowi coś w mózgu. – W lewo, patafianie!

Już prawie wykonał ten manewr, ale w ostatniej chwili powstrzymał go zdrowy rozsądek. Przy takiej szybkości maszyna po prostu przewróciłaby się i zaczęła koziołkować po ziemi. Zapewne nie eksplodowałyby, ponieważ Dees leciał na resztkach paliwa, ale wszystko było możliwe. Beech mógł również po prostu się złamać i wyrwać Richarda Deesa z fotela. Pilot poleciałby w przeciwną stronę, wlokąc za sobą wydarte z brzucha trzewia niczym karnawałowe serpentyny i zostawiając na betonowym pasie nerki jak wielkie, ptasie odchody.

Trzymaj stery! – wrzasnął do siebie w duchu. – Trzymaj stery, bałwanie! Trzymaj stery!

Podmuchał kolejnej eksplozji – zapasowy zbiornik z płynnym gazem do generatora – pochylił maszynę jeszcze bardziej na prawe skrzydło, ale było to już przyjazne uderzenie, które zepchnęło samolot z nieczynnych lampek umieszczonych na skraju betonowego pasa, i beech pomknął stosunkowo gładziej, lewym kołem na skraju pasa numer trzydzieści cztery, prawym zaś na jego zewnętrznej krawędzi, między lampami w betonie a rowem ciągnącym się obok pasa. Maszyną trzęsło, ale niezbyt mocno, lecz Dees uświadomił sobie, że pękła opona w prawym kole. Rozdarły ją zapewne umieszczone w betonie lampy.

Ale zwalniał; i tylko to się liczyło. Beech pojął wreszcie, że stał się czymś nowym, stał się rzeczą należącą ponownie do ziemi. Dees już się powoli rozluźniał, kiedy dostrzegł szeroki kadłub learjeta – jakiś pilot ochrzcił go mianem Grubego Alberta – który stał w poprzek pasa startowego w miejscu, gdzie zatrzymał go pilot podczas kołowania na pas numer pięć.

Dees zbliżał się do niego szybko, widział rząd oświetlonych okien, widział twarze pasażerów gapiących się na niego z minami debili z domu wariatów obserwujących jakąś czarnoksiężką sztuczkę. Bez namysłu pchnął do końca prawy ster i beech z impetem wyjechał poza pas, mijając learjeta dosłownie o trzy centymetry. Do uszu dobiegły go ciche okrzyki, ale tak naprawdę, to nie był świadom niczego poza tym, że beech próbuje znów przekształcić się w stworzenie powietrzne, czego nie był już w stanie dokonać. Miał opuszczone klapy, a silniki nastawione na wsteczny bieg. Kiedy mijał miejsce drugiej eksplozji, samolotem gwałtownie targnęło i maszyna Deesa wskoczyła na pas do kołowania. Dees kątem oka dostrzegł główny budynek terminalu oświetlony światłami awaryjnymi zasilanymi z akumulatorów, dostrzegł stojące nie opodal samoloty – jednym z nich na pewno był skymaster Nocnego Latawca – niczym wycięte z krepiny sylwetki na tle złowieszczej pomarańczowej poświaty po zachodzącym słońcu. Zobaczył je wyraźnie w świetle kolejnej błyskawicy, która rozdarła niebo.

Za chwilę znów wyskoczę z pasa! – wrzasnął w duchu i szarpnął drażki ste-

rów.

Kiedy końcówka dotknęła betonu do kołowania, tego, który znajdował się najbliżej terminalu, lewe skrzydło skrzesło fontannę iskier. Kończówka skrzydła urwała się i poleciała w krzaki, gdzie od spowodowanego tarciem gorąca zaczęła tlić się wilgotna trawa.

W końcu beech znieruchomiał. Zapadła cisza mącona jedynie dochodzącymi z radia szumami, chlupotem płynów ciekących z potłuczonych butelek na dywanik w kabinie i oszalałym biciem serca Deesa. Reporter rozpiął pasy i zanim jeszcze nabrał całkowitej pewności, że jednak żyje, odsunął ciśnieniową osłonę kabiny samolotu.

To, co wydarzyło się później, zapamiętał z ejdetyczną wyrazistością, ale niewiele pozostało mu w pamięci z tego, co wydarzyło się od chwili, kiedy beech gwałtownie zatrzymał się na pasie do kołowania, odwrócony ogonem do learjeta i lekko przechylony na bok, do czasu, gdy dobiegły go dochodzące od terminalu krzyki. Dees zapamiętał jedynie to, że przekręcił się w fotelu i sięgnął po aparat fotograficzny. Nie mógł przecież opuścić samolotu bez nikona, najbliższej mu rzeczy na świecie. Kupił go w lombardzie w Toledo, kiedy miał siedemnaście lat, i do teraz z nim się nie rozstawał. Dodał mu wprawdzie nowe obiektywy, ale sam aparat był ciągle ten sam. Jedyne zmiany w sprzęcie stanowiły rysy i szczyrby, które powstały w trakcie użytkowania aparatu. Nikon spoczywał w kieszeni umieszczonej za oparciem fotela pilota. Wyciągnął aparat, sprawdził, czy nie został uszkodzony, po czym zawiesił go sobie na szyi.

Zaciągnął dźwignię hamulca, wyskoczył z kabiny, zachwiał się i o mało co nie upadł. Przerażony, chwycił wiszący mu na szyi aparat, żeby uchronić czuły sprzęt przed potłuczeniem się o beton. Rozległ się kolejny pomruk pioruna, ale tym razem tylko pomruk, odległy i nieszkodliwy. Delikatny wiatr owiał Deesowi twarz. Był niczym dotyk pieszczotliwej dłoni... ale poniżej paska od spodni pilot poczuł przenikliwy chłód. Z całą pewnością nie zamieści w artykule wzmianki o tym, jak podczas spotkania z learjetem zsiąkał się ze strachu w spodnie.

W tej samej chwili od strony terminalu dobiegł przesywający wrzask – krzyk

bólu i przerażenia. Dees poczuł się tak, jakby dostał w twarz. W jednej chwili wrócił mu zdrowy rozsądek. Znowu skoncentrował się na tym, po co tu przybył. Popatrzył na zegarek. Zegarek nie chodził. Albo został uszkodzony, albo też on zapomniał go nakręcić. Był to jeden z tych zabawnych staroci, które należało nakręcać, a Dees nie pamiętał, kiedy zrobił to po raz ostatni.

I to miał być zachód słońca? Panował cholerny mrok, to prawda, ale trudno było stwierdzić, czy sprawiły to skłębione burzowe chmury nad lotniskiem, czy też rzeczywiście zapadła już noc.

Kolejny krzyk – nie, to nie był krzyk, ale skrzek – a po chwili dźwięk tłuczonego szkła.

Dees doszedł do wniosku, że nie jest istotne, czy słońce już zaszło, czy nie.

Pobiegł, częściowo tylko zdając sobie sprawę, że dodatkowy zbiornik z paliwem do generatora ciągle płonie i że w powietrzu unosi się zapach gazu. Próbował biec jeszcze szybciej, ale odnosił wrażenie, że nogi grzęzną mu w płynnym betonie. Terminal był coraz bliżej, ale wszystko trwało długo. Za długo.

– Proszę, nie! Proszę, nie! PROSZĘ, NIE! OCH, PROSZĘ, PROSZĘ, NIE!

Wznoszący się na coraz wyższe tonacje wrzask przerwało naraz przerażające, nieludzkie wycie; a zarazem jednak było w nim coś ludzkiego i to właśnie budziło najwyższą zgrozę. W niepewnym świetle rzucanym przez awaryjne lampy zainstalowane w narożnikach terminalu Dees ujrzał jakiś ciemny kształt, który roztrzaskał szybę w wychodzącej na lotnisko ścianie terminalu – ściana była prawie cała ze szkła – i wypadł na zewnątrz. Wylądował na betonie z mokrym, mlaszczącym łoskotem i potoczył się. Dees spostrzegł, że ma przed sobą mężczyznę.

Burza oddalała się, ale niebo ciągle jeszcze od czasu do czasu rozświecilały w nieregularnych odstępach błyskawice. Dees, ciężko dysząc, pobiegł w rejon parkingowy lotniska i tam w końcu dostrzegł samolot Nocnego Latawca z wymalowanym na ogonie numerem N101BL. W świetle błyskawic litery i cyfry wydawały się czarne, ale przecież reporter dobrze wiedział, że wymalowano je czerwoną farbą. W aparacie miał czarno-biały film i automatyczną lampę błyskową, która samoczynnie uruchamiała się, kiedy było za ciemno na zwykłe fo-

tografowanie.

Luk bagażowy skymastera był otwarty niczym usta trupa. Poniżej, na betonie ciemniała wielka sterta ziemi z czymś, co wiło się i drgało. Dees, do świadomości którego dopiero po dłuższej chwili dotarło, co to jest, stanął jak wryty. Jego duszę ogarnął bynajmniej nie lęk, ale dzika, rozpasana radość. Jak to dobrze, że wszystko ułożyło się w całość!

Tak – pomyślał – ale nie nazywaj tego szczęściem... nie waz się nazywać tego szczęściem. Nie nazywaj tego nawet pomyślnym zbiegiem okoliczności.

W porządku. To nie szczęście kazało mu zaszyć się w małym, gównianym motelowym pokoju z hałasującym urządzeniem klimatyzacyjnym. Nie przecucie ani szczęśliwy zbieg okoliczności – w każdym razie niedokładnie to – kazało mu godzinami wydzwaniać na wszystkie lotniska i nieustannie podawać numer samolotu Nocnego Latawca. Był to czysty instynkt reportera i teraz Dees zaczął zbierać owoce. Z tym tylko, że nie były to owoce. Była to główna wygrana, strzał w dziesiątkę, Eldorado, bajkowa Big Enchilada.

Zatrzymał się przed otwartym lukiem towarowym i próbował podnieść aparat. O mało nie udusił się rzemykiem, na którym wisiał nikon. Zaklął. Zdjął rzemień i wycelował obiektyw.

Z terminalu dobiegł kolejny krzyk – tym razem kobiety lub dziecka. Dees nie zwrócił na niego uwagi. Pomyślał tylko przelotnie, że musi się tam rozgrywać jakaś przeraźliwa jatka. Drugą myślą było to, że jatka tylko zwiększy atrakcyjność tematu. Po chwili obie myśli uciekły i Dees wykonał trzy szybkie zdjęcia cessa, uważając, żeby znalazły się na nich otwarty luk bagażowy i wymalowany na ogonie numer. Samoprzewijacz w aparacie szumiał.

Dees zwijał się jak w ukropie. Rozległ się kolejny dźwięk tłuczonego szkła. Kolejny łomot upadającego na beton ciała, które sprawiało wrażenie szmacianej lalki wypełnionej gęstym jak syrop na kaszel płynem. Dees popatrzył w stronę budynku lotniska, dostrzegł jakiś niewyraźny ruch, coś zafalowało jak peleryna... ale był zbyt daleko, żeby móc to dokładnie określić. Odwrócił się. Pstryknął jeszcze dwie fotki, tym razem całego samolotu. Otwarty luk i kopę ziemi spowijał mrok i na pewno nie wyjdą w druku.

Odwrócił się na pięcie i pobiegł w stronę terminalu. Nawet nie przyszło mu do głowy, że jest uzbrojony wyłącznie w stary model nikonu.

Zatrzymał się w odległości dziesięciu metrów od budynku. Na ziemi walały się trzy ciała: kobiety, mężczyzny oraz trzecie, które równie dobrze mogło należeć do drobnej kobietki jak do trzynasto- czy piętnastoletniej dziewczynki. Trudno było powiedzieć, ponieważ trup nie miał głowy.

Dees wycelował aparat i zrobił sześć zdjęć, lampa błyskowa uruchamiała się za każdym razem samoczynnie, samoprzewijacz mruczał.

Dees nie przestawał liczyć w myślach. Na kliszy było trzydzieści sześć zdjęć. Zrobił jedenaście. A więc zostało mu jeszcze dwadzieścia pięć. W kieszeni spodni miał zapasową rolkę filmu, to wielka rzecz... jeśli tylko będzie miał czas zmienić kliszę. Ale na to nie mógł liczyć. Ze zdjęciami tego rodzaju należało się śpieszyć. Czekał go bankiet w barze szybkiej obsługi.

Dees dotarł do terminalu i mocnym szarpnięciem otworzył drzwi wejściowe.

9

Dotąd sądził, że widział już w życiu wszystko, co było do zobaczenia. Czegoś takiego jednak nigdy jeszcze nie spotkał. Nigdy.

Ilu? – krzychało mu coś w umyśle. – Ilu ich sieknąłeś? Sześciu? Ośmiu? A może cały tuzin?

Nie umiał powiedzieć. Nocny Latawiec zamienił terminal w prywatny sklep mięsny. Wszędzie leżały ciała lub ich części. Dees dostrzegł nogę w tenisówce marki Converse. Natychmiast pstryknął fotkę. Poszarpane zwłoki. Fotka. Mężczyzna w poplamionym smarem kombinezonie mechanika. Ten człowiek jeszcze żył i przez dziwaczną chwilę Dees odnosił wrażenie, że ma przed sobą Ezrę Głównego Mechanika-Gorzelnika z Okręgowego Lotniska w Cumberlandzie, ale ten chłopak nie zaczynał jeszcze łysieć; przeciwnie, miał bardzo gęstą czuprynę, a pod nią rozdartą twarz. Od czoła do brody. Nos został rozcięty na pół i z jakiegoś idiotycznego względu przypominał Deesowi upieczoną na grillu frankfurterkę, która rozpękała się od gorąca wzdłuż i była gotowa do włożenia w bułkę.

Dees zrobił zdjęcie.

I nagle coś się w nim zbuntowało. Usłyszał wewnętrzny nakaz, któremu nie można się było oprzeć, nie było się można sprzeciwić: „Dosyć! Dosyć! Przestań! To koniec!”.

Zauważył namalowaną na ścianie strzałkę ze słowem: TOALETY i bez chwili wahania pobiegł w tamtą stronę. Aparat obijał mu się o brzuch.

Pierwsze były toalety męskie i Dees wpadł do środka. Zresztą było mu wszystko jedno, do jakiej wchodzi. Z trudem łapał powietrze, spazmatycznie łkał, ale tylko mgliście sobie uświadamiał, że to on tak histerycznie płacze. Nie robił tego od lat. Po raz ostatni płakał, gdy był dzieckiem.

Jak burza minął drzwi, prześlizgnął się po wyłożonej kafelkami podłodze jak łyżwiarz, który stracił równowagę, dopadł pierwszej z brzegu umywalki i chwycił kurczowo jej krawędzie.

Pochylił się. Z ust wytrysnął gęsty, śmierdzący strumień. Część wymiocin prysnęła mu na twarz, na lustro trysnął deszcz brązowych kropel. Czuł w ustach smak przetrawionego kurczaka po kreolsku, którego zjadł na lunch, gdy telefonował z pokoju w motelu – na chwilę przed tym, nim otrzymał najświeższe wiadomości i galopem pognął do swego samolotu. Naszła go kolejna fala nudności i ponownie zaczął wymiotować, tym razem wydając z siebie głośny, chrapliwy dźwięk jak maszyna, w której za chwilę mają pęknąć tryby.

Jezu! – myślał. – Wielki Jezu, to nie jest człowiek, to nie może być człowiek...

I wtedy do jego uszu dotarł dźwięk.

Dźwięk taki słyszał już w życiu tysiące razy, normalny dźwięk, jaki każdy mężczyzna w Ameryce doskonale zna... ale teraz ów dźwięk sprawił, że Deesa ogarnęła przechodząca wszelkie pojęcie zgroza i przerażenie.

Był to dźwięk oddawanego do pisuaru moczu.

Gdy spojrział w zabrudzone wymiocinami lustro, dostrzegł w nim odbicie wszystkich trzech pisuarów. Ale nie widział nikogo.

Wampiry nie zostawiają w lustrze odbicia... – pomyślał.

W tej samej chwili ujrzał, że do środkowego pisuaru cieknie czerwona

strużka, widział, jak spływa po porcelanie, widział, jak spływa do koncentrycznie ułożonych dziurek na dnie.

W powietrzu nie widział strumyka; widział go dopiero wtedy, gdy spadał na porcelanę.

Wtedy stawał się widoczny.

Zamarł w bezruchu. Stał z dłońmi zaciśniętymi na krawędziach umywalki. W ustach, w gardle, w nosie i w przelyku czuł smak i zapach kurczaka po kreolsku i obserwował nieprawdopodobną, a zarazem tak prozaiczną rzecz, która działała się tuż za jego plecami.

Patrzę, jak wampir sika – pomyślał półprzytomnie.

Wydawało się, że trwa to wieki – strumień krwawej uryny uderzał w porcelanę, stawał się widzialny i spływał do dziurek odpływowych. Dees stał, wspierając dłonie o umywalkę, do której wymiotował, gapił się w odbicie w lustrze i czuł się jak nienasmarowany cylinder w zablokowanej maszynie.

Z pewnością jestem już martwy – błysnęła mu myśl.

W lustrze dostrzegł, że chromowana gałka pisuaru sama się naciska. Zaszumiła spuszczana woda.

Do uszu Deesa dotarł szelest i łopot materiału. Wiedział, że to peleryna i że jeśli odwróci się, „prawie na pewno” przestanie rozsądnie myśleć. Stał więc bez ruchu, wpijając palce w porcelanowe krawędzie umywalki.

Tuż za jego plecami rozległ się niski, wiecznie młody głos. Właściciel tego głosu stał tak blisko, że Dees czuł lodowaty oddech na odsłoniętym karku.

– Tropisz mnie – powiedział ów wiecznie młody głos.

Dees jęknął.

– Tak – ciągnął głos, jakby Dees mu zaprzeczył. – Widzisz, znam cię dobrze. Wiem o tobie wszystko. Posłuchaj uważnie, mój wścibski przyjacielu, bo powiem tylko raz: przestań mnie tropić.

Dees ponownie zaskomlał jak skopany psiak i jeszcze raz popuścił w spodnie.

– Otwórz aparat – polecił wiecznie młody głos.

Mój film! – zaskowyczało coś w Deesie. – Mój film! To wszystko, co mam! Wszystko, co mam! Zdjęcia!

Kolejny, przypominający szum nietoperzych skrzydeł łopot peleryny. Jakkolwiek Dees nikogo nie widział, zdawał sobie sprawę, że Nocny Latawiec podszedł jeszcze bliżej.

– Teraz.

Film nie był wszystkim, co miał.

Miał jeszcze życie.

Jakie by ono nie było, ale je miał.

Odwrócił się na pięcie i popatrzył na to, czego odbicia lustro nie potrafiło mu przekazać. Popatrzył na Nocnego Latawca, swego przypominającego nietoperza kolesia, groteskowego stwora zbryzganego krwią, oblepionego strzępami ciała i mięsa, kępkami wyrwanych włosów. Oczyma wyobraźni widział siebie, jak gorączkowo robi zdjęcia, samoprzewijacz szumi... ale fotografie i tak będą puste.

Puste.

Bo przecież i tak nie można sfotografować wampirów.

– Ty istniejesz naprawdę – wychrypiał i znów zacisnął dłonie na krawędzi umywalki.

– Tak samo jak ty – odparł zgrzytliwie wiecznie młody głos, a do Deesa dotarł bijący z jego oddechu fetor starożytnych krypt i zaplombowanych grobowców. – W każdym razie jeszcze istniejesz. Masz ostatnią szansę, mój wścibski biografie. Otwieraj aparat... albo ja to zrobię.

Kompletnie zdrętwiałymi dłońmi Dees wykonał polecenie.

Jego stężałą twarz owiał strumień powietrza; jak ostrze brzytwy. Przez chwilę miał przed oczyma smukłą, białą dłoń zbroszoną krwią, widział brudne pozdzierane i postrzępione paznokcie.

Z aparatu błyskawicznie wysunął się film.

Kolejny suchy łopot peleryny. Znów śmierdzący oddech. Dees przez chwilę myślał, że Nocny Latawiec i tak go zabije. Ale wtedy ujrzał w lustrze, że drzwi do męskiej toalety same się otworzyły.

Nie potrzebuje mnie – przeleciała mu przez głowę myśl.

– Nasycił się już dzisiejszego wieczoru wystarczająco.

I ponownie zwymiotował, tym razem prosto w lustro, w którym widniało odbicie jego twarzy o wytrzeszczonych, wychodzących z orbit oczach.

Drzwi zatrzasnęły się pchane pneumatycznym ramieniem.

Przez co najmniej trzy minuty Dees nie ruszał się. Stał tak do czasu, gdy rozległo się zawrozczenie zbliżających się syren. Stał tak do chwili, aż do jego uszu dotarł huk uruchamianych silników samolotowych.

Nie miał wątpliwości. Były to silniki cessny skymastera 337. Wtedy opuścił toaletę. Szedł jak na szrudłach. Powłókł się do końca korytarza, skreślił i wkroczył do terminalu. Poślizgnął się w kałużę krwi i o mało nie upadł.

– Niech pan się nie rusza! – wrzasnął policjant. – Nie ruszać się! Jeden ruch i jesteście martwy!

Dees nawet się nie obejrzał.

– Prasa, detektywie – powiedział, unosząc aparat fotograficzny w jednej ręce; drugą wyciągnął legitymację.

Podszedł do strzaskanego okna. Z aparatu ciągle zwisał film niczym długa, brązowa serpentyna. Przystanął i obserwował rozpędzającą się właśnie napasie numer pięć cessnę. Przez chwilę majaczyła czarną sylwetką na tle płonącego generatora i zapasowych zbiorników z gazem. Miała dokładnie kształt nietoperza. Po chwili wzbiła się w powietrze i zniknęła z pola widzenia. Policjant pchnął Deesa na ścianę tak mocno, że ten rozbił sobie nos. Popłynęła krew. Ale Dees nie zwracał na to uwagi, nie zwracał uwagi na nic. Jego piersią ponownie wstrząsnął szloch, zamknął oczy, a mimo to nieustannie widział krwawą urynę Nocnego Latawca, której strumień bił w porcelanę, stawał się widzialny i spływał na dno pisuaru.

Wiedział, że widok ów będzie mu już towarzyszył do końca życia.

Popsy

Sheridan krążył samochodem po długiej schludnej alei, wzdłuż której ciągnęły się eleganckie sklepy, i w końcu dostrzegł wychodzące przez główne drzwi pod neonowym napisem COUSINTOWN dziecko. Był to chłopiec między trzecim a piątym rokiem życia, a jego buzia miała wyraz, który Sheridan znał doskonale. Dzieciak jeszcze nie płakał, ale niewiele już do tego brakowało.

Sheridan przystanął na chwilę. Ogarnęła go dobrze mu znana fala niesmaku do samego siebie... chociaż za każdym razem, kiedy zabierał kolejne dziecko, owo uczucie było słabsze. Po pierwszym razie nie spał przez tydzień. Nieustannie myślał o tym wielkim, grubym Turku, który sam siebie określał mianem Pana Czarodzieja, i zastanawiał się, co on robi z tymi dziećmi.

– Jadą na piękną wycieczkę łodzią, panie Sheridan – wyjaśnił, a zabrzmiało to tak: „Jado na piękne wcieczkie łodzio, pane Sturdunn”. Turek uśmiechnął się.

„I jeśli pan wie, co jest dla pana najlepsze, i miły jest panu własny interes, proszę mnie o nic więcej nie pytać” – mówił ów uśmiech wyraźnie, głośno i bez akcentu.

Sheridan nigdy już więcej nie pytał, lecz nie oznaczało to, że się nie zastanawiał nad losem tych dzieci. Zwłaszcza po dostarczeniu kolejnego. Skręcając się w środku, pragnął wszystko odwrócić i nie ulegać już nigdy żadnej pokusie. Za drugim razem czuł się prawie tak samo paskudnie jak za pierwszym... za trzecim już trochę lepiej... po czwartym prawie wcale nie myślał o „pięknej wcieczce łodzio” i o losie, jaki czekał te małe dzieci u celu podróży.

Sheridan zatrzymał fargonetkę w środkowej części alei, w miejscu zastrzeżonym dla inwalidów. Jego samochód posiadał jedną z tych specjalnych tablic re-

jestracyjnych przyczepianych z tyłu pojazdu, wartych tyle złota, ile same ważą. Dzięki niej nie wzbudzał podejrzeń policyjnych radiowozów krążących po promenadzie, a miejsca parkingowe dla inwalidów sytuowano w bardzo dogodnych punktach, poza tym przeważnie były wolne.

Zawsze udaję przed samym sobą, że nie wybieram się na poszukiwania – pomyślał – ale dzień lub dwa wcześniej instaluję tę tablicę.

Całe to gówno nic nie jest warte. Znalazł się w srogich opałach i ten dzieciak rozwiąże mu kilka ważnych problemów.

Wysiadł z samochodu i ruszył w stronę chłopca, którego najwyraźniej ogarniała coraz większa panika. Tak – myślał Sheridan – ma pięć lat... może nawet sześć. Jest tylko bardzo drobny. W ostrym, fluorescencyjnym świetle bijącym zza oszklonych drzwi twarz dziecka raziała pergaminową białością; chłopak zapewne był nie tylko tego wystraszony, ale i ciężko na coś chory. Sheridan doszedł do wniosku, że jest to jednak tylko przejaw śmiertelnego przerażenia. Potrafił z łatwością wyczytać strach u innych, ponieważ od roku czy półtora, ilekroć popatrzył w lustro, we własnej twarzy widywał taki sam strach.

Dzieciak spoglądał z nadzieją na mijających go ludzi. Ci przechodzili obojętnie, śpiesząc się po zakupy, wychodzili obładowani pakunkami, a ich twarze jaśniały radością z dokonanych sprawunków, prawie jak pod wpływem narkotyków.

Chłopiec, ubrany w dżinsy Tuffskin i w podkoszulek z napisem „Pittsburgh Penguins”, rozglądał się, szukając pomocy, czekając, aż ktoś zwróci na niego uwagę, zauważy, że coś jest nie w porządku. Czekał, aż któryś z przechodniów zagadnie go, zada pytanie: „Zgubiłeś tatę, synku?”. Czekał, by ktoś podał mu przyjazną dłoń.

Ja tu jestem – pomyślał Sheridan, zbliżając się do malca. – Ja tu jestem, kawalerze. Zaprzyjaźnimy się.

Był już prawie przy dziecku, kiedy dostrzegł wynajętego do pilnowania promenady ochroniarza, który wolnym krokiem zmierzał alejką do drzwi wejściowych domu towarowego. Strażnik sięgnął do kieszeni, zapewne żeby wyjąć paczkę papierosów. Może właśnie szukał chłopca, a wtedy Sheridan mógłby

mieć kłopoty.

Cholera jasna – pomyślał, w końcu nie chciał przecież, żeby nadchodzący stróż porządku przyłapał go na rozmowie z chłopcem. To by było znacznie gorsze.

Sheridan cofnął się o krok czy dwa, zaczął przetrząsać kieszenie, jakby szukał kluczyków, a jednocześnie wodził czujnym wzrokiem po dzieciaku i gliniarzu. Malec zaczął płakać. Nie był to głośny płacz. Po prostu w czerwonym blasku neonu COUSINTOWN po gładkich policzkach spływały mu różowawe łzy.

Dziewczyna w budce informacyjnej machnęła strażnikowi ręką i coś do niego powiedziała. Było to śliczne, ciemnowłose, dwudziestopięcioletnie stworzenie. On z kolei miał włosy rudoblond i wąsik. Pochylił się, oparł łokciem o ladę i obdarzył dziewczynę szerokim uśmiechem. Sheridan pomyślał, że oboje wyglądają jak z reklamy papierosów na ostatniej stronie czasopisma. „Dusza sale-mów”. „Pal nasze lucky”. Sheridan umierał z niecierpliwości, a oni sobie gawędzili – co robisz po pracy, może byśmy poszli do tego nowego lokalu na drinka, takie tam ple-ple-ple. Teraz już i ona robiła do strażnika maślane oczy. Śliczny obrazek.

Sheridan nagle postanowił zaryzykować. Chłopiec drżał i niebawem, kiedy wybuchnie głośnym płaczem, ktoś w końcu zwróci na niego uwagę. Sheridan z zasady omijał policjantów szerokim łukiem o promieniu nie mniejszym niż dwadzieścia metrów, ale jeśli w ciągu najbliższej doby nie ureguluje karcianych długów u pana Reggiego, ten przyśle mu z wizytą dwóch bardzo dużych chłopców, którzy na oczekaniu zoperują mu ręce, tworząc na nich kilka dodatkowych stawów łokciowych.

Podszedł do dzieciaka. Potężny mężczyzna ubrany w zwykłą koszulę od Van Heusena i zielone spodnie; mężczyzna z szeroką twarzą, która w pierwszej chwili sprawiała sympatyczne wrażenie. Pochylił się nad malcem, dłonie wsparł na udach, tuż nad kolanami, a dziecko skierowało bladą, wystraszoną buzię na tę twarz. Chłopiec miał oczy zielone jak szmaragdy; co teraz podkreślały jeszcze łzy.

– Zgubiłeś tatę, synku? – zapytał Sheridan.

– Popsy – odparło dziecko, wycierając oczy. – Nie... nie mogę znaleźć mego P-P-Popsy'ego!

Dzieciak znów się rozszlochał, a przechodząca obok kobieta popatrzyła na nich z przelotnym zainteresowaniem.

– Wszystko w porządku – odezwał się do niej Sheridan i kobieta weszła do sklepu.

Sheridan uspokajająco objął chłopca i odciągnął go nieco w prawo... w kierunku, gdzie zostawił samochód. Obejrzał się.

Wynajęty ochroniarz pochylony przy budce informacyjnej uporczywie spoglądał dziewczynie w oczy. Wszystko wskazywało na to, że tego wieczoru uśmiechnie się do niej szczęście. Sheridan odetchnął z ulgą. W tej chwili mógłby nawet nastąpić napad na bank po przeciwnej stronie ulicy, a ochroniarz i tak niczego by nie zauważył. Wyglądało na to, że sprawa jest czysta.

– Chcę Popsy'ego – chlupało dziecko.

– Dostaniesz go, na pewno go dostaniesz – zapewnił Sheridan. – Poszukamy go razem. Nie martw się.

Pociągnął malca jeszcze bardziej w prawo.

Chłopiec popatrzył na niego z nagle rozbudzoną nadzieją.

– Naprawdę? Znajdzie go pan?

– Jasne! – odparł Sheridan z serdecznym uśmiechem.

– Szukanie Popsy'ego to... cóż, można powiedzieć, że to moja specjalność.

– Naprawdę? – Twarz dziecka rozjaśnił lekki uśmiech, choć w oczach ciągle jeszcze szklily mu się łzy.

– Naprawdę – powiedział Sheridan, oglądając się za siebie, żeby sprawdzić, czy ochroniarz, którego już prawie tracił z oczu (i który, nawet gdyby popatrzył w ich stronę, raczej nie dostrzegłby Sheridana i chłopca), ciągle jeszcze znajduje się w krainie czarów, gdzie zawiodła go dziewczyna. – W co był ubrany Popsy, synu?

– W garnitur – odrzekło dziecko. – On prawie zawsze nosi garnitur. Tylko raz widziałem go w dzinsach.

Chłopczyk mówił tak, jakby Sheridan powinien o tym wiedzieć.

– Założę się, że nosi czarny garnitur – odezwał się Sheridan.

Oczy malca rozbłysły.

– Czy pan go spotkał? Gdzie?

Dzieciak żwawo ruszył z powrotem w kierunku drzwi. W jednej chwili z oczu zniknęły mu łzy i Sheridan najwyższym wysiłkiem woli musiał się powstrzymać, żeby nie chwycić za ramię berbecia o bladej twarzy. Nie wolno mu tego zrobić. Nie wolno mu zrobić takiego przedstawienia. Nie może zrobić niczego, co ludzie zapamiętają. Musi w jakiś sposób zawlec brzdąca do samochodu. Okna w aucie, z wyjątkiem przedniej szyby, miały zainstalowane filtry przeciwsłoneczne i nikt nie dojrzy, co dzieje się w środku. Chyba że przytknie nos do szyby.

Przede wszystkim musi zaprowadzić chłopca do samochodu.

Dotknął ramienia malca.

– Nie, tam go nie widziałem. Widziałem go tam.

Wskazał rozległy parking zastawiony rzędami samochodów. Po drugiej stronie widać było uliczkę dojazdową, a dalej podwójne, żółte arkady McDonalda.

– A po co Popsy by tam szedł? – zapytał chłopiec, jakby Sheridan lub Popsy, a może obaj, kompletnie zwariowali.

Umysł Sheridana pracował sprawnie i szybko, przelatując od problemu do problemu niczym mijający kolejne stacje pociąg ekspresowy. Tak było zawsze, kiedy nadchodziła chwila, gdy musiał przestać zajmować się duperelami i albo wszystko wykonać idealnie, albo idealnie spieprzyć. Popsy. Nie Tata, nie Tatuś, ale Popsy. Sam dzieciak go poprawił. Może Popsy oznacza dziadka? – pomyślał Sheridan.

– Nie wiem – odrzekł. – Ale jestem pewien, że to był on. Starszy jegomość w czarnym garniturze. Białe włosy... zielony krawat...

– Popsy ma niebieski krawat – przerwał chłopiec. – Wie, że najbardziej takie lubię.

– Cóż, może i niebieski – zgodził się Sheridan. – W takim świetle trudno dokładnie to określić. Chodźmy do auta. Pojedziemy do niego.

– Czy jest pan pewien, że to był Popsy? Nie wiem, dlaczego poszedł tam,

gdzie oni...

Sheridan wzruszył ramionami.

– Posłuchaj, dziecko, skoro jesteś pewien, że to nie był twój Popsy, to sam go sobie poszukaj. Może go znajdziesz.

Odwrócił się szorstko na pięcie i ruszył do samochodu.

Chłopiec niczego nie podejrzewał. Sheridan zastanawiał się, czy nie wrócić i nie spróbować jeszcze raz, ale i tak wszystko to trwało już stanowczo za długo – albo skróci rozmowę z dzieckiem do minimum, żeby nikt nie zwrócił na nich uwagi, albo sam będzie się prosił o dwadzieścia pięć lat w Hammerton Bay. Lepiej pojechać na inną promenadę. Może na Scoterville. Albo...

– Proszę pana, niech pan poczeka! – Dzieciak biegł za nim, w głosie brzmiały mu nutki paniki. Słysząc było cichy dźwięk uderzających o chodnikowe płyty podeszew jego tenisówek.

– Niech pan poczeka! Powiedziałem mu, że chce mi się pić. Może poszedł tam coś kupić! Proszę poczekać!

Sheridan odwrócił się z szerokim uśmiechem.

– Wcale nie zamierzałem cię zostawić, synu.

Zaprowadził chłopca do samochodu. Był to czteroletni pojazd pomalowany na nierzucający się w oczy niebieski kolor. Sheridan otworzył drzwi i uśmiechnął się do malca, który patrzył na niego z wahaniem. W bladej twarzy paliły mu się wielkie, zielone oczy, wielkie jak oczy zwierząt na kuchennych makatkach lub w reklamach zamieszczanych przez tanie tygodniki drukowane na błyszczącym, kredowym papierze, takich jak *The National Enquirer* czy *Inside View*.

– Zapraszam do mojej limuzyny, mały kolego – powiedział Sheridan i uśmiechnął się bardzo naturalnie.

Nigdy nie przestawał się dziwić, że tak łatwo przychodziły mu takie uśmiechy.

Malec wszedł do auta i choć o tym nie wiedział, jego tyłek, z chwilą kiedy zamknęły się za nim drzwi, należał już do Briggsa Sheridana.

Sheridan miał w życiu tylko jeden problem. Nie były to baby, jakkolwiek, jak każdy mężczyzna, lubił szelest ich spódnic czy gładkość jedwabnych pończoch. Nie była to również gorzała, jakkolwiek lubił wieczorem wypić sobie ze trzy głębsze. Problem Sheridana – jego słaby punkt, jak można by to nazwać – stanowiły karty. Każdy rodzaj gry, w której można było obstawiać. Stracił pracę, karty kredytowe, przegrał dom swej matki. Jak dotąd nie trafił jeszcze do więzienia, ale kiedy po raz pierwszy wpadł w tarapaty z powodu pana Reggiego, pomyślał sobie, że w porównaniu z kłopotami, jakie stały się jego udziałem, więzienie mogłoby okazać się zgoła sanatorium.

Zaszalał trochę tamtej nocy. Z czasem doszedł do wniosku, że byłoby znacznie lepiej, gdyby od razu przegrał. Kiedy za pierwszym razem się przegrywa, człowiek traci odwagę, wraca do domu, pogapi się w telewizor na nocny program komediowy Davida Lettermana, a następnie idzie przykładowo spać. Kiedy jednak za pierwszym razem wygrywa, zaczyna gonić za chimerami. Sheridan pognął i tamtą noc zakończył z sumą siedemnastu tysięcy dolarów. Wprost nie mógł w to uwierzyć. Wrócił do domu oszołomiony, w euforii spowodowanej nieprawdopodobnym uśmiechem losu. W drodze powrotnej mówił sobie w samochodzie, że zawdzięcza panu Reggiego nie siedemset, nie siedem tysięcy, ale siedemnaście tysięcy twardych. Za każdym razem, kiedy o tym myślał, chichotał i nastawiał radio na cały regulator.

Ale następnego wieczoru, kiedy dwóch goryli – jeden z nich z łatwością powyginałby mu ręce pod nowymi, nader interesującymi kątami, gdyby nie spłacił długu – zaprowadziło go do biura pana Reggiego, wcale nie było mu do śmiechu.

– Zapłacę – wymamrotał natychmiast Sheridan. – Zapłacę. Proszę mnie tylko wysłuchać. To żaden problem. Kilka dni, najwyżej tydzień. Za dwa tygodnie...

– Nudzisz mnie, Sheridan – powiedział pan Reggie.

– Ja...

– Zamknij się. Jeśli dam ci tydzień, myślisz, że nie wiem, co zrobisz? Zwrócisz się do jakiegoś znajomka o kilka setek; o ile jeszcze pozostał ci jakiś kumpel. Jeśli nikogo takiego nie znajdziesz, obrobisz sklep monopolowy... jeśli star-

czy ci jaj. Bardzo w to wątpię, ale w końcu wszystko jest możliwe. – Pan Reggie pochylił się, wsparł brodę na dłoniach i uśmiechnął się. Pachniał wodą kolońską Ted Lapidus. – A jeśli uda ci się nawet zrabować ze dwie stówy, to co z nimi zrobisz?

– Oddam je panu – wyskomlał Sheridan, ale był już bliski łez. – Natychmiast je panu przekażę.

– Nic mi nie przekażesz – odrzekł pan Reggie. – Pójdiesz na wyścigi, żeby je pomnożyć. A dla mnie przygotujesz jakieś gówna warte wymówki i usprawiedliwienia. Wpadłeś po uszy, przyjacielu. Po uszy.

Sheridan nie potrafił już dłużej powstrzymać łez i rozmazał się.

– Ci chłopcy mogą cię na długo ulokować w szpitalu – powiedział z zadumą pan Reggie. – Do każdego ramienia podłączą ci plastikową rurkę, a trzecia będzie ci wychodzić z nosa.

Sheridan chlipał już na dobre.

– Ale chcę ci pomóc – oświadczył nieoczekiwanie pan Reggie i pchnął przez biurko w stronę Sheridana złożoną kartkę.

– Możesz dogadać się z tym gościem. Przedstawia się jako Pan Czarodziej, jest taką samą kupą gówna jak ty. A teraz wynocha stąd. Czekam na ciebie za tydzień, a na biurku będzie leżał bloczek do zapisów karcianych. Albo go ode mnie wykupisz, albo zajmą się tobą moi przyjaciele. A jak mawia Booker T., jak raz zaczną, to kończą dopiero wtedy, gdy są naprawdę zadowoleni ze swojej roboty.

Na złożonej kartce widniało prawdziwe imię i nazwisko Turka. Sheridan spotkał się z nim i usłyszał o dzieciach i o „pięknych wcieczkach łodzio”. Kwoty, jakie wymienił Pan Czarodziej, daleko przewyższały sumy widniejące w bloczku pana Reggiego. I w taki oto sposób Sheridan zaczął krążyć po ulicach, alejach i promenadach.

Wyjechał z głównego parkingu na Cousintown Mall, przepuścił jadące samochody, włączył się do ruchu i skierował wóz w stronę do McDonalda. Dzieciak siedział obok niego, ręce złożył na kolanach, oczy miał czujne jak żuraw. Sheri-

dan zbliżył się do budynku, minął alejkę dojazdową i jechał dalej.

- Dlaczego pan chce zajechać od tyłu? – zapytał malec.
- Musimy wejść innymi drzwiami – wyjaśnił Sheridan.
- Nie denerwuj się, dziecko. Sądzę, że tam go znajdę.
- Naprawdę? Naprawdę pan go znajdzie?
- Jestem tego pewien.

Na twarzy dziecka odmalowała się ulga i na chwilę Sheridanowi zrobiło się chłopca żal. Na rany Chrystusa, nie jestem przecież potworem czy maniakiem – pomyślał. Ale jego bloczek z długami za każdym razem troszeczkę pęczniał, a ten stary skurwysyn Reggie nie miał najmniejszych skrupułów i nie chciał wypuścić go ze swoich łap. Tym razem nie było to siedemnaście tysięcy dolarów ani dwadzieścia tysięcy, nawet nie dwadzieścia pięć. Tym razem w bloczku widniała okrągłutka suma trzydziestu pięciu tysięcy dolarów, cały batalion marszerujących w ordynku twardzieli. A on za chińskiego boga nie chciał dorobić się w najbliższą sobotę kilku nowych łokci.

Zatrzymał samochód na tyłach budynku obok ubijarki śmieci. Oprócz nich nikt w tym miejscu nie parkował. Doskonale. Na drzwiach obok kierowcy znajdowała się skrytka na mapy i drobne przedmioty. Sheridan wyciągnął stamtąd parę wykonanych z błękitnej stali kajdanek Kreiga. Obie bransoletki były otwarte.

– Dlaczego się pan tutaj zatrzymał? – zapytał dzieciak. W głosie malucha ponownie pojawił się lęk, ale był to już inny rodzaj lęku. Chłopiec nieoczekiwanie uprzytomnił sobie, że zgubienie Popsy'ego na tłocznej promenadzie nie było najgorszą rzeczą, jaka mogła go spotkać.

– Tylko na chwileczkę – wyjaśnił pogodnie Sheridan. Za drugim razem, kiedy to robił, nauczył się nie lekceważyć nawet sześciolatków, gdy chciał ich skrepować. Ten drugi dzieciak kopnął go w jaja i prawie mu uciekł. – Zapomniałem włożyć okulary i mógłbym przez to stracić prawo jazdy. Są w tym futerale na podłodze. Ześlizgnęły się z konsolki. Czy możesz mi je podać?

Dzieciak przekręcił się w fotelu, żeby podnieść pusty futerał. Sheridan błyskawicznie pochylił się i zatrzasnął bez trudu na wyciągniętej ręce dziecka jed-

ną bransoletkę kajdanek. I wtedy zaczęły się kłopoty. A przecież przed chwilą sam siebie napominał, że nie wolno nie doceniać sześciolatków. Brzdąc walczył jak wilcze szczenię, napręzał mięśnie tak silne, jakich Sheridan u niego się nie spodziewał. Wił się, walczył, z całych sił starał się dostać do drzwi, dyszał ciężko, wydając jakieś dziwne, ptasie krzyki. Sięgnął do klamki. Drzwi rozwarły się z impetem, ale lampka w suficie się nie zapaliła. Sheridan potłukł ją w walce z tamtym drugim dzieckiem.

Mężczyzna chwycił malca za koszulkę i wciągnął z powrotem do wozu. Chciał przypiąć wolną bransoletkę kajdanek do metalowego kółka między fotelami, ale ta sztuka mu się nie udała. Malec dwukrotnie ugryzł go w rękę, popłynęła krew. Boże, chłopiec miał zęby ostre jak brzytwy. Straszliwy ból przeszył całe ramię Sheridana. Uderzył malca w usta. Oszołomiony chłopiec opadł do tyłu. Na wargach i brodzie miał krew swego oprawcy. Kilka kropel spłynęło mu na podkoszulek. W końcu Sheridan przypiął kajdanki do metalowego pierścienia i rozparł się w fotelu. Zaczął ssać prawą dłoń.

Bolała straszliwie. Odjął rękę od ust i w słabym blasku rzucanym przez tablicę rozdzielczą obejrzał skaleczenia. Dwa płytkie, poszarpane rozdarcia, każde około pięciu centymetrów długości, biegły od kłykciów w stronę nadgarstka. Wąskimi strumykami spływała z nich krew. Ale nie zamierzał uderzyć dziecka po raz drugi. Co więcej, nie miało to nic wspólnego z uszkodzeniem towaru, jaki miał dostarczyć Turkowi. „Zepszujesz towara, zepszujesz czene” – wyjaśnił kapryśnie swoim zawieszistym akcentem Turek.

Nie, Sheridan wcale nie miał malcowi za złe, że tak się broni – on sam postępowałby tak samo. Przy pierwszej okazji zdezynfekuje ranę, a może nawet zgłosi się na zastrzyk. Czytał gdzieś, że najgorsze są pogryzienia przez ludzi. Niemniej jednak nie mógł nie podziwiać dziecka.

Uruchomił silnik, wyminął samochodowy bar z hamburgerami i wrócił na główną ulicę. Skreślił w lewo. Turek mieszkał w wielkim, przypominającym rancho domu w Taluda Heights na dalekich przedmieściach. Sheridan postanowił dojechać tam bocznymi ulicami i drogami. Pięćdziesiąt kilometrów. Czterdzieści pięć minut jazdy. Może godzina.

Minął tablicę z napisem: DZIĘKUJEMY ZA ZROBIENIE ZAKUPÓW NA PIĘK-
NYM COUSINTOWN MALL, skręcił w lewo i jechał z dozwoloną szybkością
sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Wyciągnął z tylnej kieszeni spodni chu-
steczkę, owinął nią prawą dłoń i wrócił myślami do czterdziestu patyków, jakie
Turek obiecał mu za dostarczenie chłopczyka.

– Pożałujesz – odezwało się dziecko.

Sheridan popatrzył na malca ze zniecierpliwieniem. Chłopiec wyrwał go wła-
śnie z marzeń, w których wygrał z ręki dwadzieścia tysięcy i u jego nóg płasz-
czył się spocony Reggie, błagając, żeby przestał grać, pytając, dlaczego to robi,
dlaczego chce puścić go z torbami.

Dziecko ponownie wybuchnęło płaczem, a jego łzy ciągle miały ów osobliwy
różowawy odcień, mimo że byli już bardzo daleko od czerwonego neonu na
promenadzie. Sheridan zaczął się zastanawiać, czy dzieciak nie jest przypad-
kiem chory na coś zaraźliwego. Doszedł do wniosku, że niestety jest już za póź-
no na żale, więc odepchnął od siebie tę myśl.

– Jak cię znajdzie mój Popsy, gorzko pożałujesz – powiedziało cicho dziecko.

– Jasne – odmruknął Sheridan i zapalił papierosa.

Skręcił na szosę stanową numer 28 i posuwał się dwupasmową asfaltową szo-
są, pośrodku której nie wymalowano nawet pasów. Po lewej stronie rozciągały
się moczary, a po prawej zbity gąszcz lasu.

Chłopiec z płaczem zaczął szarpać ręką uwięzioną w kajdankach.

– Przestań. Nic ci to nie da.

Lecz dzieciak znów szarpnął ręką. Wydał z siebie osobliwy jęk protestu, który
Sheridanowi bardzo się nie spodobał. Popatrzył na dół i ze zdumieniem stwier-
dził, że metalowy pierścień między fotelami – pierścień, który osobiście przy-
spawał – wygiął się.

Cholera jasna! – pomyślał Sheridan. – Zęby ma ostre jak brzytwy, a w dodat-
ku siłę wołu. Skoro jest taki krzepki w chorobie, to uchronię mnie, Panie Boże,
żebym miał go porywać wtedy, gdy jest zdrowy.

Zatrzymał samochód na poboczu.

– Przestań!

– Nie!

Dzieciak ponownie szarpnął kajdankami i Sheridan ujrzał, że metalowy pierścień wygiął się jeszcze mocniej. Matko Boska, jak dzieciak potrafił czegoś takiego dokonać!

To panika – wyjaśnił sam sobie. – Strach dodaje mu sił. Ale przecież żadne poprzednie dziecko czegoś takiego nie dokonało; a większość z nich była znacznie bardziej przerażona niż ten malec.

Otworzył skrytkę w tablicy rozdzielczej i wyjął z niej strzykawkę. Dostał ją od Turka, który go jednak przestrzegł, żeby używał jej w ostateczności. „Narkotyk – oświadczył Turek (wymówił to: „nakotik”) – może zepsuć towara”.

– Widzisz to?

Chłopiec spojrzał z ukosa błyszczącymi oczyma na strzykawkę i skinął głową.

– Mam tego użyć?

Malec natychmiast pokręcił głową. Silny czy nie, jak każde dziecko boi się zastrzyków – pomyślał niebywale z siebie rad Sheridan.

– Mądry chłopiec. To by cię wyłączyło... – Urwał. Wcale nie chciał tego powiedzieć... do licha, był naprawdę sympatycznym gościem, kiedy nikt nie próbował dobrać mu się do dupy... ale teraz musiał to powiedzieć. – To mogłoby cię nawet zabić.

Dzieciak popatrzył na niego. Usta mu drżały. Policzki ze strachu miał białe jak papier.

– Jeśli przestaniesz się szarpać, schowam strzykawkę. Układ stoi?

– Stoi – szepnęło dziecko.

– Obiecujesz?

– Tak. – Malec odchylił wargi, pokazując białe zęby.

Na jednym z nich widniała jeszcze krew Sheridana.

– Przysięgasz na swoją matkę?

– Nigdy nie miałem matki.

– Cholera by to nadała – mruknął pod nosem zniesmaczony Sheridan, włączył silnik i wjechał na szosę.

Teraz posuwał się trochę szybciej, i to nie tylko dlatego, że opuścił główną drogę. Ten dzieciak był jakimś upiorem. Sheridan chciał jak najszybciej oddać go Turkowi, zwinąć forszę i zmyć się.

– Mój Popsy jest naprawdę silny, proszę pana.

– Naprawdę? – odparł pytaniem Sheridan i pomyślał: Mogę iść o zakład, dzieciaku. Jedyne miejsce w domu starców, który poradził sobie z wyłamaniem kraty w oknie.

– Znajdzie mnie.

– Aha.

– Trafi do mnie węchem.

W to akurat Sheridan uwierzył. Sam czuł zapach dzieciaka.

O tym, że strach posiada woń, przekonał się podczas poprzednich wypraw. Ale ten zapach był nieprawdopodobny – szczeniak śmierdział mieszaniną potu, błocka i gorącego elektrolitu z akumulatora. Sheridan nabierał coraz większej pewności, że z tym dzieciakiem jest coś cholernie nie w porządku... ale niebawem będzie to problem nie jego, ale Pana Czarodzieja i *caveat emptor*, jak mawiają jegomości w togach; *caveat*, kurwa, *emptor*.

Sheridan pstryknął palcami w szybę. Po lewej stronie, po granice wzroku rozciągały się bagna. Drżące refleksy księżycowego światła lśniły w stojącej wodzie.

– Popsy umie latać.

– Jasne – odparł Sheridan. – Po dwóch butelkach night train będzie latać jak jakiś pieprzony orzeł.

– Popsy...

– Przestań, dzieciaku, chrzanić mi o Popsym, dobrze? Dzieciak zamknął się.

Pięć kilometrów dalej bagnisko po lewej stronie przekształcało się w szeroki, rozległy staw. Sheridan skręcił w twardą gruntową drogę obiegającą jego północny brzeg. Za jakieś osiem kilometrów odbije w prawo na autostradę 41, a stamtąd będzie już bardzo blisko do Taluda Heights.

Popatrzył na staw – płaską, rozsrebrzoną księżycowym blaskiem toń... i na-

gle księżyc zniknął.

Zasłonił go jakiś kształt.

Nad samochodem coś załopotało, jak rozwieszona na sznurze wielkie prześcieradła.

– Popsy!!! – wrzasnął dzieciak.

– Zamknij się. To tylko ptak.

Ale nagle Sheridan ogarnął strach. Wielki strach. Popatrzył na malca. Dzieciak znów rozchylił usta, odsłaniając zęby. Zęby miał bardzo białe, bardzo duże.

Nie... nie duże. „Duże” było niewłaściwym określeniem. Właściwym słowem było: długie. Szczególnie dwa górne, po obu stronach ust... jak to się nazywa? Kły?

Zawirowało mu w głowie, poczuł, jakby coś zaczęło przelatywać mu pod czaszką z piekielną szybkością.

„Powiedziałem mu, że chce mi się pić”.

„Dlaczego Popsy poszedł tam, gdzie oni...”

(jedzą? czy chciał powiedzieć słowo „jedzą”?)

„Znajdzie mnie”.

„Trafi do mnie po zapachu”.

„Popsy umie latać”.

Coś wylądowało na dachu samochodu z ciężkim, głuchym łoskotem.

– Popsy! – ponownie wrzasnęło dziecko, prawie oszalałe ze szczęścia i nagle Sheridan nie widział już drogi – olbrzymie, błoniaste skrzydło, pokryte pulsującymi żyłami, zasłoniło całkowicie przednią szybę.

„Popsy umie latać”.

Sheridan wrzasnął i z całych sił nacisnął hamulce w nadziei, że strąci stwora z dachu. Znów z prawej strony rozległ się ostry zgrzyt metalu, tym razem zakończony krótkim trzaskiem. W chwilę później paznokcie dziecka wbiły mu się w twarz, rozorały policzek.

– On mnie ukradł, Popsy! – darł się dzieciak owym ptasim wrzaskiem, zadzierając głowę w kierunku dachu. – On mnie ukradł, on mnie ukradł, ten zły

człowiek mnie ukradł!

Nic nie rozumiesz, dzieciaku – pomyślał Sheridan, sięgając po strzykawkę. – Nie jestem złym człowiekiem. Po prostu po uszy tkwię w gnoju.

I wtedy ręka, bardziej przypominająca szpony, wsunęła się przez boczne okienko i wytrąciła Sheridanowi z dłoni strzykawkę – razem z dwoma palcami. W chwilę później Popsy wyrwał całe drzwiczki od strony kierowcy, zostawiając jedynie pogięte, lśniące żywym metalem zawiasy. Sheridan ujrzał falującą opończę, czarną z czerwoną podszewką i krawat... tak naprawdę był to fular. Niebieski – dokładnie tak, jak powiedział chłopiec.

Popsy wyszarpnął Sheridana z samochodu. Szpony przeszły przez jego kurtkę, koszulę i wcięły się głęboko w ciało na ramionach. Oczy Popsy'ego nabrały naraz intensywnej czerwonej barwy niczym pąsowe róże zbroczone krwią.

– Pojawiliśmy się na promenadzie, ponieważ mój wnuk zapragnął kilku figurek wojowniczych żółwi Ninja – szepnął Popsy, a jego oddech był niczym toczony przez robaki mięso.

– Takie jak pokazywali w telewizji. Powinieneś być zostawić go w spokoju. Powinieneś być zostawić nas w spokoju.

Potrząsnął Sheridanem niczym szmacianą lalką. Sheridan zaskowyczał i Popsy ponownie nim potrząsnął. Mężczyzna usłyszał, że Popsy pyta troskliwie dzieciaka, czy ciągle jeszcze chce mu się pić. Dziecko odparło, że tak, że bardzo, że niedobry człowiek tak go wystraszył, iż kompletnie zaschło mu w gardle. Przez ulotną chwilę Sheridan widział paznokiec na kciuku Popsy'ego, postrzępiony i długi, który natychmiast zniknął pod jego podbródkiem. Zanim zdążył pojąć, co się dzieje, pazur rozerznął mu gardło i ostatnią rzeczą, jaką Sheridan ujrzał, zanim ogarnęły go ciemności, był brzdąc, który skulił złożone dłonie, żeby złapać w nie strumień cieczy; dokładnie tak samo, jak robił to Sheridan, kiedy był dzieckiem i w upalne lato podstawiał dłonie pod kran znajdujący się na tyłach domu. Ujrzał jeszcze, że Popsy delikatnie i czule, gestem pełnym miłości, gładzi włosy wnuczka.

To żyje w nas

W Nowej Anglii zapanowała jesień i spomiędzy ziela krostawca oraz krzewów herbacianych róż wyłazą płaty łysej ziemi oczekującej na śnieg, który ma spaść dopiero za cztery tygodnie. Kanały melioracyjne i przepusty pod drogami zalegają zeschłe liście, niebo jest szare, a łodygi kukurydzy stoją w rzędach nisko pochylone ku ziemi niczym żołnierze, którzy postanowili umrzeć, stojąc w tak pełnej fantazji pozycji. Dojrzałe dynie spoczywają w półmrocznych szopach i barakach, wydzielając zapach przypominający oddech starej kobiety. O tej porze roku nie jest ani zimno, ani ciepło; nad opustoszałymi polami wieje wiatr, a pod białym niebem klucze ptaków uformowane w kształt litery V odlatują na południe, do ciepłych krajów. Wiatr wzbija tumany kurzu z poboczy dróg i czesze skoszone pola niczym grzebień, wywija hołubce wokół starych, zdezelowanych samochodów ustawionych na ceglach na tylnych dziedzińcach domów.

Dom Newalla stoi na Town Road pod numerem trzecim i góruje nad częścią Castle Rock zwaną Bend. Z jakichś względów nie daje się wyczuć w tej budowli nic dobrego. W jej wyglądzie jest coś trupiego i tylko częściowo tłumaczy to brak farby. Na frontowym trawniku rozciągają się garby zeschłej roślinności, której już niedługo przymrozki nadadzą jeszcze bardziej groteskowe kształty. Ze stojącego u stóp wzgórza sklepu Browniego unosi się cienka smuga dymu. Kiedyś Bend stanowiła bardzo istotną część Castle Rock, ale czasy te minęły mniej więcej podczas wojny koreańskiej. Na starej estradzie po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko domu Browniego, dwójka małych dzieci bawi się samochodem strażackim. Dzieciaki mają zmęczone, wymizerowane twarze, prawie jak oblicza starców. Gdy ciągną między sobą samochód i co chwila przystają, żeby

wytrzeć nosy, z których nieustannie im kapie, wyglądają tak, jakby cięły rękami powietrze.

W sklepie na honorowym miejscu siedzi korpulentny, rumiany Harley McKissick, a John Clutterbuck i Lenny Partridge oparli nogi na piecu i też siedzą. Paul Corliss stoi oparty o ladę. W sklepie pachnie dawnymi czasami – unosi się tam woń salami, lepów na muchy, kawy i tytoniu, słodczy, ciemnobrązowej coca-coli i pieprzu, goździków i lakieru do włosów O'Dell, który wygląda jak męskie nasienie i zamienia włosy w twardą skorupę. W oknie od roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego wisi popstrzony przez pokolenia much plakat reklamujący fasolę, a obok niego jeszcze starszy, zapowiadający występy Kena „Country” Corriveau na Okręgowym Jarmarku Castle w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym. Przez blisko dziesięć długich lat na te plakaty padały promienie słońca, smażył je letni żar i teraz Ken Corriveau (który co najmniej pięć lat temu przestał śpiewać country and western i obecnie sprzedaje fordę pod Chamberlain) sprawia wrażenie jednocześnie wyblakłego i spieczonego. Na tyłach sklepu stoi olbrzymia szklana chłodziarka przywieziona tu w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim z Nowego Jorku, a wszystko przenika słaby, lecz wszechobecny zapach kawy.

Starcy obserwują dzieci i przyciszonymi głosami prowadzą nieskładne pogwarki. John Clutterbuck, którego wnuk Andy pił tej jesieni na umór, rozprawa o miejskim zbiorniku na nieczystości. „Szambo cuchnie jak chłopskie nogi latem” – mówi. Nikt z nim nie dyskutuje – to prawda – ale nikogo to nie obchodzi, ponieważ lato już minęło i przyszła jesień, a ogromny piec olejowy bucha omdlewającym żarem. Zawieszony za ladą termometr wskazuje czterdzieści pięć stopni. Clutterbuck nad lewą brwią ma w czole wielkie wklęsnięcie, pozostałość po wypadku samochodowym, jakiemu uległ w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim. Małe dzieci proszą go czasami, żeby pozwolił im dotknąć tej dziury. Stary Clut rokrocznie wygrywa od letników masę forsy, ponieważ nikt z nich nie wierzy, że we wklęsnięciu mieści się zawartość średniej wielkości kubka z wodą.

– Paulson – mówi cicho Harley McKissick.

Za ropniakiem Lenny'ego Partridge'a przystanął stary ford. Na boku ma kartonową tablicę z napisem: GARY PAULSON KRZESŁA PLECIONE KUPNO I SPRZEDAŻ ANTYKÓW. Poniżej wypisano numer telefonu. Gary Paulson wysiada powoli z samochodu, stary człowiek w spłowiałych, zielonych spodniach z wielką skórzaną łatą na siedzeniu. Ciągnie za sobą karbowaną laskę. Trzymając się kurczowo ramy drzwi samochodu, ostrożnie opiera laskę o ziemię. Laska ma rączkę zrobioną z białej plastikowej nakładki na kierownicę roweru naciągniętej jak kondom na czarną końcówkę kij a. Kiedy Paulson zaczyna powolną, ostrożną wędrówkę w kierunku sklepu Browniego, laska zostawia na ziemi małe kolisty ślady.

Bawiące się na estradzie dzieci spoglądają w jego stronę, następnie podążają wzrokiem za jego spojrzeniem (najwyraźniej z lękiem) w kierunku pochylonego, trzeszczącego domu Newalla, który rozsiadł się na grzbiecie górującego nad okolicą pagórka. Później dalej bawią się samochodem strażackim.

Joe Newall przybył do Castle Rock w roku tysiąc dziewięćset czwartym i mieszkał tam do tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego, ale majątek zbił na młynach w pobliskim miasteczku Gates Falls. Był chudym mężczyzną o złej, naznaczonej szaleństwem twarzy i oczach z żółtymi rogówkami. Od First National Bank w Oxfordzie nabył rozległy teren w Bend – wtedy jeszcze była to kwitnąca wioska z tartakiem i fabryczką mebli. Bank, w obecności szeryfa okręgowego, Nickersona Campbella, przejął tę posiadłość od Phila Budreau prawem wydziedziczenia. Phil Budreau, dość lubiany przez sąsiadów, choć traktowany trochę jak wariat, wyniósł się chyłkiem do Kittery, gdzie spędził następne dwanaście lat, reperując samochody i motocykle. Później wyjechał do Francji i tam walczył ze szkopami. Podczas lotu rekonesansowego wypadł z samolotu (takie w każdym razie krążyły opowieści) i poniósł śmierć.

Przez wszystkie te lata działka Budreau leżała odłogiem, a Joe Newall w tym czasie żył w wynajętym domu w Gates Falls i zbijał majątek. Był bardziej znany ze swego bezwzględności stosunku do pracowników niż z tego, że doprowadził do rozkwitu młyn, który znalazł się już na skraju bankructwa, kiedy kupił go za

bezcen w roku tysiąc dziewięćset drugim. Pracownicy nazywali go „Joem Wykopywaczem”, ponieważ za jedno niestawienie się do pracy wywalił robotnika na zbity pysk, nie zwracając uwagi na żadne usprawiedliwienia; nawet ich nie słuchając.

W roku tysiąc dziewięćset czternastym poślubił Corę Leonard, siostrzenicę Carla Stowe'a. Ów mariaż miał jedną wielką zaletę – w każdym razie dla Joego Newalla. Cora była jedyną krewną Carla i po jego śmierci miała przejąć cały majątek (jeśli naturalnie Joe pozostawałby z Carlem w dobrych relacjach, a nie miał zamiaru zadrażniać spraw ze starszym jegomościem, który w dniach młodości był Cholernym Bystrzacha, ale pod koniec życia Raczej Safandulą). W okolicy istniało kilka innych młynów. Można było je wykupić za psie pieniądze i doprowadzić do kwitnącego stanu... jeśli naturalnie dysponowało się niewielkim kapitałem, który posłużyłby jako dźwignia. Joe szybko wszedł w posiadanie takiej dźwigni; w niecały rok po jego ślubie umarł mu bogaty wuj.

Tak zatem mariaż ów miał wielką zaletę. O tak, co do tego nie było najmniejszych wątpliwości. Ale sama Cora nie miała żadnych zalet. Wyglądała jak worek z mąką, bo natura wyposażyła ją w nieprawdopodobnie rozłożyste biodra, nieprawdopodobnie pełny tyłek, piersi jak niewyrośnięte chłopię, karczysko i szyję przypominającą komin, nad którymi górowała niewspółmiernie duża, chwiejąca się jak biały słonecznik głowa. Policzki miała niczym dwie pecyny ciasta, a wargi jak płaty wątroby. Jej twarz była pyzata jak zimowy księżyc w pełni. Nawet w lutym pod pachami na sukience widać było u niej mokre plamy potu. Zresztą zawsze zalatywało od niej potem.

Joe zaczął budować dla niej dom w roku tysiąc dziewięćset piętnastym, a ukończył w rok później. Budynek został pomalowany na biało i posiadał dwanaście pokoi rozmieszczonych pod bardzo dziwnymi kątami. Joe Newall nie cieszył się w Castle Rock popularnością. Brało się to częściowo z tego, że fortunę zbił poza miastem, a częściowo stąd, iż jego poprzednik był sympatycznym gościem (co pamiętali wszyscy, jakby subtelność i głupota zawsze szły ze sobą w parze), ale przede wszystkim z powodu tego przeklętego domu, który zbudowali sprowadzeni spoza miasta robotnicy. Wkrótce po tym, jak zainstalowano

w nim rynny i rury spustowe, na drzwiach pod półkolistym oknem pojawiło się – ktoś nagryzmolił to żółtą kredą – znane od wieków, jednosylabowe słowo.

W roku tysiąc dziewięćset dwudziestym Joe Newall był już bardzo zamożnym człowiekiem. Jego trzy młyny w Gates Falls prosperowały jak wszyscy diabli, przynosząc wielkie zyski. Wojna światowa oraz nowo powstała i tworząca się nowa klasa średnia sprawiły, że zakłady Newalla nie nadążały z realizacją zamówień. Zaczął dobudowywać do swego domu następne skrzydło. Większość mieszkańców miasteczka uważała, że jest całkiem zbędne – ostatecznie mieszkał sam z żoną – na dodatek w powszechnej opinii skrzydło to potęgowało tylko brzydotę domu, i tak już paskudnego ponad wszelką miarę. Było o piętro wyższe od reszty domostwa, a jego okna spoglądały ślepo na górski stok, który w tamtych latach porastał gęsty sosnowy las.

Wiść o tym, że w nowo wybudowanym domu będą mieszkać niebawem trzy osoby, dotarła z Gates Falls najprawdopodobniej za pośrednictwem Doris Gincroft, pielęgniarki, która w tamtych latach pracowała u doktora Robertsona. Tak zatem wszystko wskazywało na to, że Joe Newall nowym skrzydłem domu chciał uczcić to wydarzenie. Po sześciu latach od przyjęcia sakramentu małżeństwa i po czterech latach życia w Bend, podczas których jego żonę widywano jedynie z daleka i przelotnie na tylnym dziedzińcu domu lub też zrywającą na rozciągającym się za budynkiem polu kwiaty – krokusy, dzikie róże, gipsówki, dzikie orchidee, dzwonki – Cora Leonard Newall była w stanie błogosławionym.

Nigdy nie robiła zakupów u Browniego. Kupowała zawsze we czwartki po południu w sklepie Kitty Korner w Gates Falls.

W styczniu tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku Cora urodziła potwora bez dłoni. Mówiło się, że zamiast jednego oka miał pięć idealnie uformowanych palców. Stworek umarł w niecałe sześć godzin po tym, jak jego czerwona, bezmyślna twarz ujrzała światło dzienne. W siedemnaście miesięcy po tym zdarzeniu, późną wiosną tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku (w zachodnim Maine nie ma wczesnej wiosny; tylko późna wiosna, a przed nią po prostu zima) Joe Newall nakrył kopułą nowo wybudowane skrzydło domu.

Ciągle robił zakupy poza miastem i nie miał żadnych interesów w sklepie Billa „Browniego” McKissicka. Nigdy też nie przekroczył progu kościoła metodystów w Bend. Zdeformowany noworodek, który wyszedł z łona jego żony, pochowany został w Gates, a nie na cmentarzu zwanym Ojczyzna. Na niewielkim nagrobku widniał napis:

SARAH TAMSON TABITHA FRANCINE NEWALL

14 STYCZNIA 1921 ROKU

NIECH BÓG DA JEJ WIECZNY ODPOCZYNEK

W sklepie nieustannie gadano o Joem Newallu, o jego żonie i ich domu, a dzieciak Browniego, Harley, który wtedy jeszcze miał mleko pod nosem (choć już drzemał w nim młodzieniec, uśpiony, czekający, czasem rozmarzony), ale był na tyle duży, by wynosić jarzyny i kartofle na stragan przy drodze, gdzie je sprzedawał, stał i przysłuchiwał się gadkom dorosłych. Przeważnie rozmawiano o samym domu. Uznano, że stanowi on afront dla ludzkiej wrażliwości i obrazę dla oczu. „Ale on żyje w nas” – zaznaczał czasami Clayton Clutterbuck (ojciec Johna). Nigdy nie doczekał się jakiegokolwiek odpowiedzi na tę uwagę. Oświadczenie to nie miało żadnego sensu... a jednocześnie głosiło fakt oczywisty. Ilekroć stało się przed sklepem Browniego, wybierając w sezonie ze skrzynki jagody, wzrok, wcześniej czy później, kierował się na stojący na wzgórzu dom, tak jak chorągiewka na dachu obraca się na północny wschód podczas marcowej zawiei. Wcześniej czy później wzrok każdego musiał tam powędrować; w przypadku większości ludzi raczej wcześniej niż później. A działo się tak, ponieważ domostwo Newalla, zgodnie ze słowami Clayтона Clutterbucka, żyło w nas.

W roku tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym Cora spadła ze schodów łączących nowe skrzydło z kopułą, skręciła sobie kark i złamała kręgosłup. Po mieście rozniosła się plotka (zrodzona zapewne na dobroczynnym jarmarku domowych wypieków zorganizowanym przez mieszkanki miasta), że w chwili śmierci Cora była kompletnie naga. Pochowano ją obok zdeformowanej córeczki, która tak krótko żyła.

Joe Newall – większość mieszkańców miasteczka była zgodna co do tego, że

ma on w sobie domieszkę krwi żydowskiej – cały czas szybko zbijał majątek. Na wzgórzu postawił dwa pawilony i stodołę, połączone z domem w podobny sposób jak nowe skrzydło. Stodołę zakończył budować w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym, a powód, dla którego ją postawił, był od początku oczywisty – Joe zdecydował zostać wytwornym farmerem. Od znajomego w Mechanic Falls kupił szesnaście krów. Nabył u niego również nowiutką, lśniącą dojarkę. Każdy kto widział tę maszynę na pace dostawczej ciężarówki, kiedy kierowca, zanim wjechał na górę, zatrzymał się przed sklepem Browniego na butelkę zimnego piwa, odnosił wrażenie, że jest to metalowa ośmiornica.

Kiedy już Joe kupił krowy i zainstalował dojarkę, wynajął w Motton półgłupka, który miał pilnować jego dobytku. Dlaczego ów skąpy i pozbawiony skrupułów właściciel młyna zrobił tak zdumiewające posunięcie, stanowiło powszechną zagadkę – odpowiedź na nią znał tylko Newall – ale zrobił je, no i naturalnie krowy mu pozdychały.

Pojawił się okręgowy inspektor sanitarny, żeby te krowy obejrzyć, ale Joe pokazał mu dokument podpisany przez weterynarza (weterynarza z Gates Falls – mówili miejscowi, znacząco unosząc brwi), który zaświadczał, że krowy zdechły na zapalenie opon mózgowych.

– Po angielsku znaczy to niefart – wyjaśnił Joe.

– Czy to jakiś żart?

– Niech pan traktuje to, jak chce – odparł Joe. – Wszystko jest w porządku.

– Dlaczego pan nie uciszy tego idioty? – zapytał okręgowy inspektor sanitarny, spoglądając w stronę półgłówka, który, oparty o pudło z jakimś dostarczonym właśnie towarem, zawodził i zawodził. Po pyzaty, brudnych policzkach spływały mu łzy. Od czasu do czasu cofał się i bił się z całych sił po policzkach, jakby to on był wszystkiemu winien.

– On też jest w porządku.

– Na mój gust nic tu nie jest w porządku – odparł okręgowy inspektor sanitarny. – W końcu wszystkie szesnaście krów leży martwych na grzbietach ze sterczącymi niczym kołki w płocie nogami. Dokładnie to przecież widzę.

– Jasne – odparł Joe Newall. – W końcu leżą niedaleko.

Okręgowy inspektor sanitarny cisnął na ziemię oświadczenie weterynarza z Gates Falls i zgniótł je nogą. Twarz tak mu poczerwieniała, że pokrywające jego nos naczynia krwionośne stały się purpurowe.

– Chcę obejrzyć te krowy, a jeśli nawet zajdzie taka potrzeba, zabiorę jedną ze sobą.

– Nie.

– Newall, nie należy do pana cały świat... Pojadę po nakaz sądowy.

– Jedź pan.

Okręgowy inspektor sanitarny odjechał. Joe obserwował jego odjazd. Na końcu prowadzącej do domu drogi półgłówek ubrany w poplamiony gnojem kombinezon od Searsa i Roebucka ciągle stał oparty o skrzynię i wył. Przez cały ten upalny sierpniowy dzień stał tam i wrzeszczał ile siły w płucach, kierując swą płaską, mongoidalną twarz w żółte niebo. „Ryczy jak cielę w blasku księżycy” – zwykł był mawiać młody Gary Paulson.

Okręgowy inspektor sanitarny nazywał się Clem Upshaw i mieszkał w Sirois Hill. Kiedy przestał działać termostat w jego samochodzie, chciał dać całej sprawie spokój, ale nie dopuścił do tego Brownie McKissick, który załatwił mu stanowisko okręgowego inspektora (i pozwolił, przy okazji, wlać w siebie całe morze piwskie). Tata Harleya McKissicka nie był człowiekiem, który wściubia nos w cudze sprawy, ale Joemu Newallowi miał to i owo do powiedzenia na temat jego własności. Pragnął mianowicie, żeby Joe zrozumiał, że własność prywatna to ważna rzecz, amerykańska rzecz, ale własność prywatna ciągle pozostaje ściśle związana z miastem, a mieszkańcy Castle Rock uważają, że interes społeczności ma pierwszeństwo. A co więcej, dotyczy to również bogaczy, którzy, jeśli przyjdzie im taki kaprys, budują sobie coraz większe domy. Tak zatem Clem Upshaw udał się do Lackery, gdzie w tamtych czasach mieściła się siedziba władz okręgowych, i otrzymał nakaz.

Zawodzącego przygłupa minęła furgonetka i podjechała do stodoły. Kiedy Clem Upshaw wrócił z nakazem, zastał już tylko jedną krowę, która leżąc na sieczce i słomie, wytrzeszczała zmętniałe, czarne ślepia. Clem stwierdził, że ta krowa faktycznie padła na zapalenie opon mózgowych, i odjechał. Kiedy znik-

nał z zasięgu wzroku, furgonetka wróciła po ostatnie zwierzę.

W roku tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym Joe zaczął wznosić kolejne skrzydło domu. Wtedy też spotykający się u Browniego ludzie zdecydowali, że Joe zwariował. Cwany, ale szalony. Benny Ellis utrzymywał, że Joe wyłupił swej córce oko i trzyma je w stojącym na kuchennym stole słoiku z czymś, co Benny określił jako „chemikalia”. Razem z okiem trzymał odcięte paluszki, które wyrastały z drugiego oczodołu dziecka. Benny zaczytywał się w brukowcach z gatunku horror, na okładkach których widniały gołe kobiety wleczone przez gigantyczne mrówki i inne tego rodzaju paskudztwa, a całą historię o słoiku zmyślił pod wpływem tych właśnie lektur. Tak więc w końcu mieszkańcy całego Castle Rock – a nie tylko Bend – doszli do przekonania, że wszystko to jest prawdą. Niektórzy nawet twierdzili, że Joe trzyma w słoiku rzeczy, o których jeszcze mniej godzi się wspominać.

Budowę drugiego skrzydła Newall ukończył w sierpniu tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku, a w dwa dni później, nocą, na podjeździe jego domu pojawił się z rykiem silników jakiś rozklekotany samochód i w ścianę nowego skrzydła ktoś cisnął cuchnącą, zrobaczywiałą już padliną wielkiego skunksa, która rozbryznęła się nad jednym oknem, zostawiając krwawy ślad, niczym chiński ideogram.

We wrześniu tego roku ogień strawił pomieszczenia do gręplowania wełny w jego głównym zakładzie w Gates Falls, wyrządzając szkody szacowane na pięćdziesiąt tysięcy dolarów. W październiku nastąpił krach na giełdzie. W listopadzie Joe Newall powiesił się na belce podporowej w jednym z niewykończonych pokoi – mówiono, że w sypialni – w najnowszym skrzydle domu. Pachniało tam jeszcze świeżym drewnem. Znalazł go Cleveland Torbutt, zastępca dyrektora Gates Mills i wspólnik Joego w licznych jego przedsięwzięciach na Wall Street (tak w każdym razie głośiły plotki), które były mniej warte niż rzygi parszywego cocker-spaniela. Ciało odciął osobiście okręgowy koroner Nobell – zresztą brat Clema Upshawa.

Joego pochowano obok żony i córki ostatniego dnia listopada. Był to jasny, mroźny dzień i jedyną osobą z Castle Rock, która brała udział w pogrzebie, był

Alvin Coy, woźnica karawanu firmy Hay & Peabody. Alvin oświadczył, że pośród uczestników pogrzebu była młoda, ładna kobieta ubrana w futro z szopów i czarną czapkę w kształcie hełmu. Siedząc u Browniego i zajadając pikle prosto z beczki, Alvin uśmiechnął się zjadliwie i oświadczył kumplom, że była to jedyna jazzowa dziewczyna, jaką widział w życiu. Rysy jej twarzy nie zdradzały rodzinnego podobieństwa do Cory Leonard Newall, dziewczyna ani razu podczas nabożeństwa nie zamknęła oczu.

Gary Paulson z denerwującą powolnością wchodzi do sklepu. Dokładnie zamyka za sobą drzwi.

– Witaj – mówi obojętnie Harley McKissick.

– Słyszałem, że wczoraj wieczorem przegrałeś z Grange'em indyka – stwierdza stary Clut, biorąc się do zapalania fajki.

– Ba – mruczy Gary.

Ma osiemdziesiąt cztery lata i podobnie jak inni pamięta czasy, kiedy Bend tętniło życiem. W dwóch wojnach stracił dwóch synów – w wojnach poprzedzających cały ten wietnamski bałagan – i była to paskudna historia. Jego trzeci syn, bardzo miły chłopak, zginął w wypadku samochodowym przy zderzeniu z ciężarówką wiozącą drewno. Stało się to w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim niedaleko Presque Isle. Bóg jeden wie dlaczego, ale tę tragedię Gary zniósł znacznie lepiej. Obecnie Gary czasami ślini się i nieustannie mlaszcze, gdy wsysa ślinę, żeby nie ciekła mu po brodzie. Ostatnio nie orientuje się już najlepiej, co dzieje się na świecie, ale za to doskonale wie, że starzenie się jest najgorszym sposobem spędzania ostatnich lat życia.

– Kawy? – pyta Harley.

– Chyba nie.

Lenny Partridge, który zapewne nigdy już nie dojdzie do siebie po złamaniu żeber, jakiego doznał w dziwnym wypadku drogowym jesienią dwa lata wcześniej, cofa nogi, robiąc Gary'emu przejście. Starszy mężczyzna mija go i ostrożnie siada na stojącym w kącie krześle (Gary osobiście w roku osiemdziesiątym drugim zrobił w tym krześle nowe plecione siedzenie). Paulson cmoka, wciąga

ślinę i wspiera swe ciężkie, pokryte guzami dłonie na lasce. Sprawia wrażenie zmęczonego i wycieńczonego.

– Będzie padało jak cholera – oświadcza po chwili. – Kości mnie łamią jak wszyscy diabli.

– Paskudna jesień – mówi Paul Corliss.

Zapada cisza. Bijący od pieca żar wypełnia sklep, który po śmierci Harleya przestanie istnieć; przestanie istnieć wcześniej, jeśli jego najmłodsza córka pójdzie swoją drogą. Żar wypełnia sklep, grzeje kości starców, sprawia, że na brudnych szybach w oknach zawieszonych starymi plakatami i wychodzących na dziedziniec, na którym stały niegdyś dystrybutory z paliwem samochodowym, osiada para. W roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym dystrybutory usunął koncern Mobil. Siedzą tu starcy, z których większość widziała, jak ich dzieci opuszczają miasteczko, udając się w ciekawsze okolice, gdzie mogły robić ciekawsze interesy. Ruchu w sklepie prawie nie ma, jeśli nie liczyć kilkunastu miejscowych klientów i letnich turystów, których ciekawia siedzący wokół pieca starcy, ubrani, nawet w lipcu, w ocieplaną bieliznę. Stary Clut upiera się, że niebawem ludzie wrócą do tej części Rock, ale przez kilka ostatnich lat sytuacja wciąż się pogarsza – wygląda na to, że całe to przeklęte miasteczko umiera.

– Kto dobudowuje nowe skrzydło do domu Newalla? – pyta w końcu Gary.

Wszyscy na niego patrzą. Przez chwilę słychać jedynie trzask palącej się kuchennej zapałki, którą stary Clut zapala fajkę. Główka zapałki siwieje, zajmuje się drewnienko. Czernieje i zwija się. W końcu stary Clut wrzuca zapałkę do popielniczki i wypuszcza ustami dym.

– Nowe skrzydło? – pyta Harley.

– Taaa...

Błękitna mgiełka dymu z fajki starego Cluta unosi się nad piecem i rozciąga w powietrzu niczym najdelikatniejsza rybacka sieć. Lenny Partridge zadziera porośniętą kilkudniową szczeciną brodę i przeciąga dłonią po szyi. Słychać cichy szelest.

– Z tego, co wiem, to nikt – mówi Harley, dając tonem do zrozumienia, że

ma na myśli każdą osobę o zdrowych zmysłach; w każdym razie w tej części świata.

– Od osiemdziesiątego pierwszego roku nie znaleźli chętnego na tę posiadłość – mówi stary Clut.

Kiedy Clut mówi o nich, ma na myśli Przedsiębiorstwo Tekstylne w południowym Maine oraz Bank w południowym Maine. Ma na myśli jeszcze więcej: ma na myśli Makaroniarzy z Massachusetts. Trzy fabryki włókiennicze Joego – i jego dom na wzgórzu – przejęło w rok po tym, jak popełnił samobójstwo, Przedsiębiorstwo Tekstylne w południowym Maine. Jednak w opinii mężczyzn skupionych wokół pieca w sklepie Browniego nazwa tej firmy stanowiła jedynie zasłonę dymną... dla czegoś, co czasami określali nazwą Prawo. „Wymogła na nim obietnicę protekcji i teraz on nie może się nawet spotykać z własnymi dziećmi w imię Prawa”. Ci mężczyźni nienawidzą Prawa, które koliduje z ich życiem i z życiem ich przyjaciół, ale jednocześnie nieustannie ich fascynuje, gdy biorą pod uwagę to, jak pewni ludzie potrafią się nim posługiwać, wykorzystując je w swych łajdackich planach robienia pieniędzy.

Przedsiębiorstwo Tekstylne w południowym Maine, znane też jako Bank of Southern Maine, znane też jako Makaroniarze z Massachusetts, bardzo się cieszyło, że tak długo mogło ciągnąć zyski z fabryk uratowanych przed upadkiem przez Joego Newalla, ale nie było w stanie pozbyć się domu, który fascynował mężczyzn spędzających całe dni u Browniego. „To jak glut z nosa, którego nie możesz strzepnąć z palców – oświadczył pewnego razu Lenny Partridge, a pozostali mu przytaknęli. – Nawet ci przekłęci pozeracze spaghetti z Maldem i Reve-re nie mogą pozbyć się tego kamienia młyńskiego”.

Stary Clut i jego wnuk Andy są ostatnio poróżnieni, a powodem antagonizmu jest paskudny dom Joego Newalla... jakkolwiek, jak to zawsze bywa, istniało więcej bardziej osobistych uraz. Problem wyłonił się pewnego wieczoru, kiedy dziadek i wnuk – obaj obecnie już wdowcy – spotkali się na skromnej kolacji w mieście, w domu młodego Cluta.

Młody Andy, który nie utracił jeszcze pracy w miejskiej policji, próbował (raczej pobłażliwie) wyjaśnić swemu dziadkowi, że Przedsiębiorstwo Tekstylne

w południowym Maine nie ma nic wspólnego z dobrami, które ongiś, przez lata, znajdowały się w rękach Newalla, że prawdziwym właścicielem domu w Bend jest Bank of Southern Maine i że obu przedsiębiorstw nigdy nic nie łączyło. Stary John odparł Andy'emu, że skoro tak uważa, to jest głupi. „Każdy wie – oświadczył – że zarówno bank, jak przedsiębiorstwo włókiennicze stanowią fasadę Makaroniarzy z Massachusetts i różnią się między sobą jedynie liczbą i znaczeniem słów. Wszelkie związki ze sobą kryją jedynie za stertami papierów – wyjaśnił bliżej stary Clut. – Innymi słowy, za Prawem”.

Młody Clut był wystarczająco niegrzeczny, żeby wybuchnąć śmiechem na to oświadczenie. Stary Clut poczerwieniał, cisnął na talerz serwetkę i zerwał się na równe nogi. „Śmieję się – powiedział. – Tak, śmieję się. Dlaczego nie? Jedyna rzecz, jaką pijus robi lepiej niż wyśmiewanie się z tego, czego nie rozumie, to płacz nad własną ignorancją”. To z kolei wprowadziło we wściekłość Andy'ego, który powiedział coś o Melissie, z powodu której pije, a John zapytał wnuka, jak długo zamierza jeszcze obciążać swoją nieżyjącą żonę własnym opilstwem. Na te słowa Andy pobladł i kazał się staremu wynosić z domu, co też John uczynił. Od tamtej pory jego noga tam nie powstała. Zresztą sam tego nie chciał. Poza szorstkimi słowami nie mógł znieść widoku Andy'ego, który powoli pracuje na bilet do piekła.

Czy to tylko domysły, czy nie, trudno zaprzeczyć jednemu: dom na wzgórzu stał pusty od jedenastu lat. Przedtem nikt w nim dłużej nie mieszkał i Bank of Southern Maine próbował sprzedać budynek za pośrednictwem jednej z miejscowych firm zajmujących się handlem nieruchomościami.

– Ostatni właściciele pochodzili ze stanu Nowy Jork, prawda? – pyta Paul Corliss, a ponieważ bardzo rzadko zabiera głos, wszyscy na niego patrzą. Nawet Gary.

– Zgadza się – mówi Lenny. – Bardzo mili ludzie. On chciał pomalować stodołę na czerwono i urządzić w niej coś w rodzaju sklepu z antykami, prawda?

– Ayuh – mówi stary Clut. – I wtedy ich chłopak wziął strzelbę, którą...

– Ludzie są tak cholernie nieostrożni... – wtrąca Harley.

– Czy zmarł? – pyta Lenny. – Mówię o chłopcu.

Po tym pytaniu zapada głucha cisza. Chyba nikt nie wie.

I wtedy, w sumie niechętnie, odzywa się Gary:

– Nie. Tylko oślepl. Przeprowadzili się do Auburn. A może do Leeds.

– Byli bardzo obiecującymi ludźmi – mówi Lenny.

– Naprawdę sądziłem, że uda się im z tego wyjść. Ale napuszczono ich na ten dom. Wierzyli każdemu, kto mówił, że dom przynosi pecha; mówiono im tak, ponieważ byli skądinąd.

– Zamyśla się. – Może teraz już inaczej sądzą... bez względu na to, gdzie mieszkają.

Zapada cisza. Starcy rozmyślają bądź to o przybyszach ze stanu Nowy Jork, bądź to o własnych, coraz bardziej zawodzących ich umysłach i ciałach. Gdzieś w mroku, za piecem, bulgocze olej. Gdzieś na zewnątrz w porywach nieustannego, jesiennego wiatru, trzaska okiennica.

– A jednak budują tam kolejne skrzydło – mówi Gary. Wypowiada te słowa cicho, ale dobitnie, jakby któryś z rozmówców chciał zaprzeczyć jego oświadczeniu. – Widziałem to z River Road. Stoi już prawie cały szkielet konstrukcji. Choroba, wygląda na to, że całość będzie miała ze trzydzieści metrów długości i dziesięć szerokości. Spozregłem to po raz pierwszy. Wykonana jest chyba z pięknego drewna klonowego. Skąd w dzisiejszych czasach ludzie zdobywają tak piękne drewno?

Wszyscy milczą. Nikt nie wie.

W końcu ciszę przerywa Paul Corliss, mówiąc od niechcienia:

– Jesteś pewien, że nie chodzi o jakiś inny dom, Gary? Może...

– Gówno prawda – mówi Gary cicho, ale z ogromną pewnością siebie. – Mówię o domu Newalla, o nowym skrzydle domu Newalla. Postawiono już całą konstrukcję nośną, a jeśli masz jakieś wątpliwości, to wyjdź i sam zobacz.

Po tych słowach nikt nie ma już nic do powiedzenia. Wierzą Gary'emu, więc ani Paul, ani nikt inny nie wychodzi przed sklep, żeby unieść głowę i popatrzeć na wznoszone właśnie nowe skrzydło domu Newalla. Uważają, że jest to sprawa warta pewnej uwagi, więc nie ma powodu się śpieszyć. Czas płynie – Harleya McKissicka dręczy od dawna myśl, że gdyby czas był pieniądzem, oni

wszyscy byliby bogaczami. Paul podchodzi do staroświeckiej skrzyni z lodem i przynosi orange crush. Płaci Harleyowi sześćdziesiąt centów, a ten wybija kwotę na klawiaturze kasy. Zamyka szufladkę i dopiero wtedy dociera do niego, że atmosfera w sklepie się zmieniła. Mają wiele spraw do omówienia.

Lenny Partridge kaszle, krzywi się i lekko przyciska dłonie do klatki piersiowej, w której połamane żebra nigdy już mu się do końca nie zrosną, a następnie pyta, kiedy będzie pogrzeb Dany Roya.

– Jutro w Gorham – mówi Gary. – Tam gdzie spoczywa również jego żona.

Lucy Roy zmarła w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym. Dana, który do roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego pracował jako elektryk w US Gypsum w Gates Falls (ludzie machinalnie i bez złośliwości nazywali przedsiębiorstwo „Ju Łes Dzi Pem”), zmarł przed dwoma dniami na raka jelit. Całe życie spędził w Castle Rock i chełpił się tym, że w ciągu swych osiemdziesięciu lat życia tylko trzy razy opuścił Maine: raz, żeby odwiedzić ciotkę w Connecticut, raz, żeby obejrzeć w Bostonie w Fenway Park mecz Red Soxów („I te drapichrusty przegrały” – dodawał zawsze) i raz wybrał się na konferencję elektryków do Portsmouth w New Hampshire. „Czysta strata czasu – mawiał zawsze o tej konferencji. – Nic, tylko wóda i baby, a i to baby takie, że nie warto było na nie popatrzeć, nie mówiąc już o innych rzeczach”. Był bliskim kumplem mężczyzn zgromadzonych u Browniego, toteż wieść o jego śmierci przyjęli z dziwną mieszanką smutku i satysfakcji.

– Wyciągnęli z niego półtora metra bebeczków – ciągnie Gary. – Ale nic to nie pomogło. Rak był wszędzie.

– Znał Joego Newalla – odzywa się nieoczekiwanie Lenny.

– Był u niego z tatą, kiedy tata zakładał Joemu elektryczność; nie mógł mieć wtedy, moim zdaniem, więcej niż sześć czy osiem lat. Pamiętam, jak mówił, że Joe dał mu raz cukierka, ale w drodze powrotnej do domu wyrzucił go przez okno ciężarówki, ponieważ cukierek był kwaśny i miał dziwny smak. Później, kiedy pracowały już wszystkie fabryki... gdzieś tak pod koniec lat trzydziestych... zakładał Joemu nową instalację elektryczną. Pamiętasz to, Harley?

– Jasne.

I tak oto dzięki Danie Royowi rozmowa znów wraca na temat Joego Newalla. Mężczyźni siedzą w milczeniu i wysilają łepetyny, żeby przypomnieć sobie jakąś anegdotę o tym człowieku. W końcu odzywa się stary Clut. Mówi coś, co wszystkich zdumiewa.

– To Will, starszy brat Dany Roya, cisnął wtedy tym skunksem w dom Joego. Jestem tego prawie pewien.

– Will? – Lenny unosi brwi. – Czy Will był na tyle odważny, żeby coś takiego zrobić?

– Ayuh, pewnie, że to był Will – stwierdza bardzo cicho Gary Paulson.

Wszyscy na niego patrzą.

– To żona Joego dała Danie cukierek tamtego dnia, kiedy pojawił się tam z ojcem – mówi Gary. – Cora, nie Joe. Dana nie miał wtedy sześciu czy ośmiu lat. A skunksem ciśnięto w dom mniej więcej w czasach wielkiego kryzysu i Cora wtedy już nie żyła. Nie, Dana może coś i zapamiętał, ale nie mógł mieć wtedy więcej niż dwa lata. Cukierek dostał chyba w tysiąc dziewięćset szesnastym, ponieważ to w szesnastym roku Eddie Roy instalował przewody elektryczne w domu Newalla. Nigdy tam już więcej nie wrócił. Frank, jego średni brat, który zmarł jakieś dziesięć, dwanaście lat temu, faktycznie mógł mieć wówczas sześć albo osiem lat. Widział, co Cora uczyniła małemu chłopcu, ale nie wiem, kiedy powiedział o tym Willowi. Nieważne. W końcu Will zdecydował, że trzeba coś z tym zrobić. Wtedy wprawdzie Cora już nie żyła, ale zemścił się na domu, który Joe dla niej wybudował.

– Nigdy nie słyszałem tej historii – mówi z przejęciem Harley. – Co takiego zrobiła Danie? Koniecznie muszę to wiedzieć.

Kiedy Gary zabiera głos, mówi bardzo cicho i bardzo stanowczo:

– Pewnego wieczoru Frank, kiedy był już po kilku głębszych, powiedział, że ta baba jedną ręką dała mu cukierek, a drugą pogmerła mu w mądach. Na oczach starszego chłopca.

– To niemożliwe! – woła wbrew samemu sobie zszokowany stary Clut.

Gary patrzy na niego zamglonymi oczyma o żółtawych białkach, ale nic nie mówi.

Znów zapada cisza, mącona jedynie szumem wiatru i trzaskiem okiennicy. Dzieciaki bawiące się na estradzie samochodem strażackim poszły gdzieś indziej i wlecze się to popołudnie, świat zalewa światło, jakie nadawał swoim malowidłom Andrew Wyeth – białe i nieruchome, pełne jakichś idiotycznych znaczeń. Ziemia jest goła, bezużyteczna, czeka już na nadejście śniegów.

Gary chciałby opowiedzieć im o sali w szpitalu Cumberland Memorial, gdzie umierał Dana Roy. Wokół nosa miał czarne smarki i śmierdział jak ryba leżąca dłuższy czas na słońcu. Chciałby opowiedzieć im o zimnych, niebieskich kafelkach na ścianach i pielęgniarzach z zaczesanymi schludnie do tyłu włosami, o tych młodziutkich stworzeniach o smukłych nogach i jędrnych, młodych piersiach, o tych stworzeniach, które nie miały zielonego pojęcia, że rok tysiąc dziewięćset dwudziesty trzeci istniał równie realnie jak ból, który przewierca kości starych ludzi. Chciałby wygłosić kazanie na temat „zła” tkwiącego w upływie czasu, zapewne na temat „zła”, jakie tkwi w pewnych miejscach, i wyjaśnić, dlaczego Castle Rock jest teraz niczym czarny, zepsuty ząb, który niebawem się wyłamie. Ale najbardziej chciał im powiedzieć, że Dana Roy takie wydawał dźwięki, jakby ktoś wypchał mu płuca i klatkę piersiową sianem, przez które próbował oddychać, oraz że wyglądał tak, jakby już zaczął gnić. Ale nic nie powiedział, gdyż nie wiedział, jak to wysłować, więc tylko wessał ślinę spływającą mu z kącików ust i nie odezwał się słowem.

– Nikt specjalnie nie lubił Joego – oświadcza stary Clut... i nagle twarz mu jaśnieje. – Ale, na Boga, on żyje w nas.

Nikt nie odezwał się słowem.

Dziewiętnaście dni później, na tydzień przed nadejściem pierwszego śniegu, który pokrył bezpłodną ziemię, Gary Paulson miał zadziwiająco erotyczny sen... ale tak naprawdę było to wspomnienie.

Czternastego sierpnia tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego roku, kiedy przejeżdżał obok domu Newalla ciężarówką swego ojca, trzynastoletni Gary Martin Paulson spostrzegł Corę Leonard Newall stojącą przy skrzynce na listy na początku podjazdu. W dłoni trzymała gazetę. Ujrawszy Gary'ego, sięgnęła

wolną ręką do skraju podomki. Nie uśmiechała się. Jej przeraźliwie przypominająca pyzaty księżyc twarz była blada i bez wyrazu. Uniosła podomkę i pokazała mu swój seks – wtedy to po raz pierwszy ujrzał ową tajemnicę, o której z takim żarem rozprawiał z kolegami. Następnie, ciągle bez uśmiechu, spoglądając z powagą na jego zdumioną twarz o rozwartych ustach, wypięła biodra. Kiedy Gary już ją minął, przykrył swoje krocze dłonią i w kilka chwil później spuścił się we flanelowe spodnie.

Był to jego pierwszy orgazm. Później kochał się z wieloma kobietami, poczynając od Sally Quelette, którą wziął pod Tin Bridge w roku dwudziestym szóstym, ale za każdym razem, kiedy dochodził do szczytu – za każdym razem – miał przed oczyma obraz Cory Leonard Newall. Stała obok skrzynki na listy, niebo miało kolor rozpalonego spiżu, a on widział, jak unosi podomkę, widział nikłą kępkę ryżych włosów pod kremowej barwy fałdą brzucha, widział pionową szczelinę z czerwonymi wargami o najcudowniejszym kolorze koralu

(Cora)

różowego. Ale to nie wspomnienie widoku jej sromu poniżej lekkiej krągłości podbrzusza prześladowało go przez wszystkie lata, jakie później nastąpiły, sprawiając, że w chwili szczytu każda kobieta stawała się w jego wyobraźni Corą; w każdym razie nie tylko to. Największe żądze rozpalało w nim wspomnienie (i nie mógł od niego uciec, gdy uprawiał miłość) sposobu, w jaki wysuwała w jego stronę biodra... raz, dwa, trzy... To wspomnienie oraz wspomnienie jej kompletnie pozbawionej wyrazu twarzy, jej całkowitej obojętności zakrawającej wręcz na debilizm, jakby stanowiła sumę erotycznego pożądania i zrozumienia wszystkich młodych ludzi potężnej, mrocznej tęsknoty, i niczego więcej – wspomnienie zakłęte w owym maleńkim Edenie różowego koralu Cory.

Jego życie erotyczne zostało zakreślone i wytyczone przez tamto doświadczenie – doświadczenie najbardziej brzemiennie w skutki – ale nigdy nikomu o nim nie wspomniał, choć niejednokrotnie, po ćwiarteczce lub dwóch, bardzo go korciło, żeby się komuś z tego zwierzyć. Krył to głęboko w sobie.

I właśnie owo zdarzenie, które wróciło doń we śnie, sprawiło, że po raz pierwszy od prawie dziewięciu lat doznał normalnej erekcji. Wtedy też pękła

mu w mózgu niewielka żyłka, tworząc zakrzep, który w jednej chwili go zabił, ratując przypuszczalnie od czteromiesięcznego paraliżu, kroplówek, cewników, poruszających się bezszelestnie pielęgniarek z zaczesanymi schludnie do tyłu włosami i z cudownie sterczącymi piersiami. Umarł we śnie. Penis mu opadł, sen ściemniał jak gasnący w mrocznym pokoju telewizor. Jego serdeczni przyjaciele byliby zdumieni, gdyby któryś z nich był przy nim i słyszał ostatnie słowo, jakie wymówił – wymówił je szeptem, ale wyraźnie:

– Księżyc!

Następnego dnia po pogrzebie na cmentarzu Ojczyzna zaczęto w nowym skrzydle domu Newalla wznosić kolejną kopułę.

Gryziszczęka

Patrzenie na gablotę wystawową było niczym spoglądanie przez brudne szyby w drzwiach w dwóch trzecich jego dzieciństwa, między siódmym a czternastym rokiem życia, kiedy to człowieka fascynują takie właśnie rzeczy. Hogan pochylił się nad gablotą, zapominając o zawodzącym wietrze i szeleście nawiewanego, bijącego w okna piasku. Gablotę wypełniały bajkowe śmieci, w większości wyprodukowane niewątpliwie na Tajwanie lub w Korei, ale nie miał najmniejszych wątpliwości, co ma z nich wybrać. Była tam największa Gryziszczęka, jaką spotkał w życiu. I była to jedyna Gryziszczęka z nogami w pomarańczowych, kartonowych butach i w białych sztylpach. Prawdziwy krzyk mody.

Hogan popatrzył na grubą kobietę stojącą za kasą. Miała na sobie podkoszulek z napisem: NEVADA JEST KRAINĄ BOGA (słowa wybrzuszały się i zapadały na jej olbrzymich piersiach), a biodra opinał akr džinsów. Sprzedawała właśnie paczkę papierosów blademu młodzieńcowi o długich, jasnych włosach związanych w kitkę sznurowadłem od tenisówek. Młody człowiek o twarzy inteligentnego doświadczonego szczura i płacił drobnymi, odliczając je pracowicie na brudnej dłoni.

– Przepraszam panią? – odezwał się Hogan.

Spojrzała na niego przelotnie, ale w tej samej chwili otworzyły się z trzaskiem tylne drzwi. Pojawił się w nich chudy mężczyzna z chustką zakrywającą usta i nos. Za nim wpadła małym cyklonem kurzawa niesionego pustynnym wiatrem piasku, którego ziarenka zagrzechotały na kalendarzu z reklamą Valvoline przypiętym pluskiewkami do ściany. Chudy mężczyzna ciągnął za sobą ręczny wózek. Na wózku spoczywały trzy druciane klatki. W najwyższej znajdowała się tarantula. W klatkach spoczywających poniżej uwięzione zostały

dwa grzechotniki. Zwijały się gwałtownie i gniewnie potrząsały grzechotkami.

– Zamknij te cholerne drzwi, Scooter. Nie mieszkasz w dziupli! – wrzasnęła kobieta zza kontuaru.

Nowo przybyły obrzucił ją przelotnym spojrzeniem. Jego oczy były czerwone, podrażnione piaskiem.

– Czego ode mnie chcesz, kobieto? Przecież widzisz, że mam zajęte ręce. Oczu nie masz? Chryste!

Sięgnął nad wózkiem i zatrzasnął drzwi. Piasek opadł na podłogę, a on pociągnął wózek do magazynka na tyłach sklepu. Nieustannie mruczał coś pod nosem.

– To już ostatnie? – zapytała kobieta.

– Został tylko Wilk. – Zabrzmiało to jak „wylk”.

– Zamierzam zostawić go w szopie obok dystrybutorów paliwa.

– Czyś ty na głowę upadł?! – odparła kobieta. – Wilk jest naszą główną atrakcją, zapomniałeś? Dawaj go do środka. W radiu mówili, że prawdziwy huragan dopiero nadejdzie. I będzie znacznie, znacznie gorszy.

– Z kogo chcesz zrobić głupa? – Chudy mężczyzna (Hogan przypuszczał, że jest jej mężem) stał i spoglądał na nią znużonym, a zarazem wojowniczym wzrokiem. Ręce wsparł na biodrach.

– Ten przeklęty zwierzak to zwykły kojot z Minnesoty. Każdy to natychmiast zauważy.

W okapach przydrożnego sklepu spożywczego i zoo Scootera zawodził i jęczał wiatr, bijąc tumanami piasku w okienne szyby. Siła huraganu rzeczywiście rosła i Hogan miał tylko nadzieję, że jakoś zdoła się przez ten wiatr przebić. Obiecał Licie i Jackowi, że wróci do domu na dziewiętnastą, najpóźniej na dwudziestą, a był człowiekiem, który lubił dotrzymywać słowa.

– Po prostu zajmij się nim – oświadczyła potężna kobieta, po czym z irytacją odwróciła się do chłopaka o szczurzej twarzy.

– Proszę pani? – odezwał się ponownie Hogan.

– Spoko, nie pali się – odparła pani Scooter takim tonem, jakby nie potrafiła poradzić sobie z nawałem klientów, choć w sklepie był jedynie Hogan i chłopak

o twarzy szurka.

– Brakuje ci dziesięciu centów, serduszko – oświadczyła blondynkowi, obrzucając szybkim spojrzeniem leżące na ladzie monety.

Chłopak popatrzył na nią szeroko rozwartymi, pełnymi niewinności oczyma.

– Chyba mi pani zaufa?

– Wątpię, by papież w Rzymie palił meritury 100's, ale jeśli nawet, to jemu też bym nie zaufała.

Chłopak nie patrzył już na nią spojrzeniem pełnym niewinności. Chłopak o szurzej twarzy przez chwilę spoglądał na nią z ponurą niechęcią (jak dziecko spogląda ze wstrętem na dorosłego domownika – pomyślał Hogan), po czym zaczął ponownie przetrząsać kieszenie.

Daj sobie spokój, chłopie, i po prostu wynoś się stąd – mruknął do siebie w duchu Hogan. – Za Hindusa nie dojedziesz do Los Angeles na dwudziestą, jeśli natychmiast nie ruszysz w dalszą drogę, bez względu na to, czy trwa burza piaskowa, czy nie. Tu obowiązują tylko dwa tempa: powoli albo bezruch. Kupiłeś benzynę, zapłaciłeś za nią, więc bierz tyłek w troki i ruszaj w drogę, zanim huragan nabierze jeszcze większej mocy.

Prawie zastosował się do rady lewej półkuli swego mózgu...

i wtedy jego wzrok ponownie padł na Gryziszczkę. Gryziszczkę stojącą w gablocie w tych wielkich, kartonowych, pomarańczowych butach. I w białych sztylpach. Zęby rzeczywiście wyglądały zabójczo. Jackowi bardzo by się spodobały – wtrąciła prawa połowa mózgu. – I prawdę mówiąc, Bill, stary byku, jeśli nawet Jack nie będzie ich chciał, ty zostawisz je sobie. Być może trafisz jeszcze gdzieś na kolejny egzemplarz Ogromnej Gryziszczki – ostatecznie wszystko jest możliwe – ale czy będzie miał takie wielkie, pomarańczowe stopy? Ha-ha! Bardzo wątpię.

Tak mówiła mu prawa połowa mózgu... i wszystko inne poszło za jej radą.

Dzieciak z kitką ciągle przetrząsał kieszenie. Za każdym razem, kiedy wyciągał pustą dłoń, twarz nabierała mu coraz bardziej ponurego wyrazu. Hogan nie był zwolennikiem palenia – jego ojciec, wypalający dwie paczki dziennie,

umarł na raka płuc – ale nieustannie towarzyszyła mu wizja, że będzie zmuszony czekać tu jeszcze godzinę.

– Ej, kawalerze!

Chłopak spojrzał w jego stronę i Hogan rzucił mu dwudziestopięciocentówkę.

– Dzięki, człowieku!

– Nie ma sprawy.

Chłopak dokończył transakcję z krzepkapanią Scooter, schował papierosy do kieszeni, a do drugiej wsypał piętnaście centów, nie fatygując się nawet zwrócić ich Hoganowi. Ten zresztą wcale na to nie liczył. Chłopcy i dziewczęta stanowili o tej porze roku rodzaj plagi – powodowali zamieszanie na autostradach ciągnących się od wybrzeża do wybrzeża, przewalali się po nich niczym kule toczzonego wiatrem zielska. Zapewne zawsze tak było, ale obecne pokolenie wydawało się Hoganowi nieprzyjemne i trochę niepokojące, jak owe grzechotniki w klatkach, które Scooter ustawiał na zapleczu.

Węże w takiej małej, gównianej, przydrożnej menażerii nie mogły nikogo zabić. Ich jad był zbierany dwa razy w tygodniu i sprzedawany klinikom, które przetwarzały go na leki. Można na to liczyć, jak alkoholik może liczyć na przyjęcie w banku krwi w każdy wtorek i czwartek. Ale wąż zawsze potrafi bardzo boleśnie ugryźć, jeśli człowiek zanadto się z nim spoufali. Włóczące się po autostradach dzieciaki – myślał Hogan – mają wiele z tymi gadzinami wspólnego.

Pani Scooter przesunęła się za ladą, słowa wypisane na jej podkoszulku falowały z góry na dół, z lewa w prawo.

– Czego pan sobie życzy? – zapytała wojowniczo. Mieszkańcy Zachodu słynęli z życzliwości i Hogan, który od dwudziestu lat prowadził w tych stronach kraju sprzedaż, dochodził do przekonania, że opinia ta jest zasłużona. Ale kobieta za kontuarem miała w sobie tyle uroku i czaru, co właściciel sklepu w Brooklynie, któremu co najmniej trzy razy w tygodniu bandziory grożą bronią. Hogan podejrzewał, że takie właśnie osoby, podobnie jak dzieciaki z autostrad, składają się na nowy obraz Zachodu. Smutne, ale prawdziwe.

– Ile to kosztuje? – zapytał, wskazując przez brudną szybę napis: MAGICZNA GRYZISZCZEKA – SAMA CHODZI! Gablotę wypełniały inne zabawne rzeczy:

chiński obcinacz palców, guma do żucia z pieprzem, proszek do kichania doktora Wacky'ego, wybuchowe papierosy („Bardzo śmieszne” – głosił napis na opakowaniu, a Hogan podejrzewał, że były w stanie wybić wszystkie zęby), okulary chroniące przed promieniowaniem rentgenowskim, sztuczne rzygowiny (jakżeż plastyczne!), śmiacze.

– Nie wiem – odrzekła pani Scooter. – Sama zastanawiam się, gdzie jest opakowanie.

Gryziszczeka jest wprawdzie jedynym artykułem stojącym w gablocie bez opakowania, ale budzi przerażenie – pomyślał Hogan. – Tak naprawdę, super-przerażenie. Straszy pięciokrotnie bardziej niż te, którymi bawiłem się jako dziecko w Maine. Gdyby odjąć jej owe śmieszne nóżki, wyglądałaby jak szczeka jakiegoś powalonego biblijnego giganta. Zęby stanowiły białe bryły, a psie kły przypominały śledzie do namiotu wtopione w nieprawdopodobnie czerwone działka wykonane z masy plastycznej. Z boku sterczał kluczyk do nakręcania zabawki, a same zębiska ścisnęła gruba gumowa opaska.

Pani Scooter zdmuchnęła kurz z Gryziszczeki, a następnie odwróciła ją do góry nogami, żeby sprawdzić, czy na którejś z podeszew pomarańczowych buciorów nie ma nalepki z ceną.

Nie było.

– Nie wiem – odparła, obrzucając Hogana pełnym zawodu spojrzeniem, jakby to on zerwał nalepkę. – To Scooter od czasów, kiedy Arka Noego osiadła na suchym lądzie, kupuje takie śmieci. Trzeba jego zapytać.

Hogan poczuł nagle, że ma dosyć tej kobiety, tudzież przydrożnego sklepu spożywczego i zoo Scootera. Znalazł w nim wielką Gryziszczekę, która straszliwie mu się spodobała, ale przecież obiecał... najpóźniej o dwudziestej.

– Nieważne – powiedział. – Tak tylko...

– Zębiska, jeśli pan uwierzy, kosztują piętnaście dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów – dobiegł go zza pleców głos Scootera. – To nie plastik... są z metalu pomalowanego na biało. Gdyby działały, potrafiłyby ugryźć jak jasna cholera... ale przed dwoma czy trzema laty, kiedy ona odkurzała w środku gablotę, rzuciła je na podłogę i coś w nich pękło.

– Aha – mruknął rozczarowany Hogan. – To fatalnie. Widzi pan, nigdy nie spotkałem egzemplarza ze stopami.

– Teraz produkują ich całą masę – wyjaśnił Scooter.

– Sprzedają je w sklepach ze śmiesznymi rzeczami w Vegas i Dry Springs. Ale fakt, że tak wielkich zębów też nigdzie nie widziałem. Ryczałem ze śmiechu, kiedy puszczałem je po podłodze, a one sunęły, kłapiąc jak krokodyl. Szkoda, że starsza pani je zepsuła.

Scooter popatrzył na żonę, ale ta spoglądała w okno smagane tumanami piasku. Hogan nie potrafił do końca określić, co wyrażała jej twarz: smutek, niesmak... a może jedno i drugie.

Scooter ponownie przeniósł wzrok na Hogana.

– Mogę je puścić za trzy i pół dolara. I tak, i tak zamierzamy przestać sprzedawać takie śmieszne rzeczy. Chcemy założyć wypożyczalnię wideokaset.

Zamknął drzwi do tylnego pomieszczenia, po czym opuścił z ust i nosa chustkę; opadła na przód jego koszuli. Twarz miał wymizerowaną i bardzo kościstą. Hogan pomyślał, że pod ową pustynną opalenizną musi kryć się jakaś poważna choroba.

– Co ty wygadujesz, Scooter! – warknęła kobieta i odwróciła się w jego stronę... prawie na niego wpadła.

– Przestań trzeszczeć – odparł. – Głowa od tego boli.

– Mówiłam ci, żebyś poszedł po Wilka...

– Myra, jeśli chcesz go mieć na zapleczu, to sama po niego idź. – Zrobił krok w jej stronę i Hogan zdumiał się, prawie osłupiał, widząc, że kobieta ustępuje. – To tylko zwykły kojot z Minnesoty. Daj, przyjacielu, trzy dolce, a ta Gryziszczeka będzie twoja. Dorzucisz dolara i będziesz mógł zabrać Wilka Myry. A jeśli dasz jeszcze piątkę, przepiszę ten lokal na ciebie. Odkąd poprowadzili główną autostradę gdzieś indziej, jest tyle wart co pierdnięcie psa.

Długowłosy chłopak stał przy drzwiach, otwierał paczkę papierosów, do której dołożył się Hogan, i obserwował widowisko z wyraźnym rozbawieniem. Małymi, szarozielonymi oczyma wodził to po Scooterze, to po jego żonie.

– Niech cię piekło pochłonie – burknęła Myra, a Hogan spostrzegł, że jest bli-

ska płaczu. – Jeśli nie chcesz przynieść mego słodkiego maleństwa, sama się tym zajmę.

Wyminęła męża, omal nie uderzywszy go piersią wielkości dużego otoczaka. Hoganowi błysnęła myśl, że tak wielkim biustem mogłaby zgnieść na placek tego chudego mężczyznę.

– Proszę posłuchać – odezwał się Hogan. – Też chyba już pojedę.

– Ach, do licha – odparł Scooter. – Niech pan nie zwraca uwagi na Myrę. Ja mam raka, a ona się zmieniła. Ale kłopoty, jakie na nią spadną, to już nie mój problem. Bierz pan te połatane zębiska. Założę się, że ma pan chłopaka, któremu się spodobają. Poza tym myślę, że w środku ześlizgnął się tylko jakiś trybik. Jestem pewien, że fachowiec łatwo sobie z tym poradzi i szczęka znów będzie chodzić i kłapać.

Obrzucił pomieszczenie bezradnym, zadumanym wzrokiem. Kiedy dzieciak otworzył drzwi i wyszedł ze sklepu, gwałtownie zaskowyczał wiatr. Chłopak najwyraźniej doszedł do wniosku, że przedstawienie się skończyło. W przejściu między puszkami a żarciem dla psów zawirował tuman piasku.

– W swoim czasie byłem bardzo sprawny – wyznał Scooter.

Hogan długo milczał. Nie przychodziło mu go głowy nic – dosłownie nic – co mógłby odpowiedzieć. Spuścił wzrok na stojącą na porysowanej, zmatowiałej gablocie Gryziszczkę i rozpaczliwie chciał przerwać milczenie (Scooter stał tuż przed nim, a Hogan widział jego nienaturalnie rozszerzone, ciemne, lśniące bólem źrenice, po których można było poznać, że właściciel sklepu jest pod wpływem jakiegoś narkotyku... darvonu, a może morfiny).

– Nie wygląda na zepsutą.

Tylko te słowa przysły mu do głowy.

Wziął zęby do ręki. Zgadzało się. Wykonano je z metalu – były zbyt ciężkie na plastik – a kiedy zajrzał do środka przez lekko rozchylone szczęki, zdumiała go wielkość sprężyny napędowej. Domyślił się, że jest tak duża, żeby zabawka kłapała zębami i poruszała nogami. Co takiego powiedział o tych zębach Scooter? „Gdyby działały, potrafiłyby ugryźć jak jasna cholera”. Hogan skubnął próbnie grubą gumową opaskę spinającą Gryziszczkę, a następnie ściągnął ją.

Całą uwagę skupił na zabawce, by nie patrzeć w ciemne, udęczone cierpieniem oczy Scootera. Wziął kluczyk i dopiero wtedy odważył się podnieść wzrok. Z ulgą spostrzegł, że chudy mężczyzna lekko się uśmiecha.

– Czy mógłby pan? – zapytał Hogan, wyciągając w jego stronę zabawkę.

– O nie, pielgrzymie. Niech pan nakręci.

Hogan uśmiechnął się i zaczął kręcić kluczykiem. Początkowo wszystko było w porządku. Ze środka urządzenia dobiegł cichy zgrzyt kółka zapadkowego. Dostrzegł, że sprężyna napędowa zaczyna się obracać. Ale po trzecim skreście rozległ się suchy trzask i klucz zaczął bez oporu obracać się w dziurce.

– Widzi pan?

– Widzę – odparł Hogan i odłożył zęby do gąbki.

Stały tam bez ruchu w swych nieprawdopodobnych, pomarańczowych butach.

Scooter stuknął koniuszkiem zrogowaciałego paznokcia w lewą stronę zaciśniętych zębów. Szczeka się otworzyła. Pomarańczowa noga uniosła się i wykonała w sennym tempie pół kroku do przodu. Wtedy urządzenie stanęło, przewróciło się na bok, oparte na kluczyku do nakręcania. Pozbawione reszty ciała szczęki pozostawały rozwarte w krzywym uśmiechu. Po sekundzie czy dwóch ogromne zębiska ponownie zwały się, wydając przy tym leniwy szczęk. I to wszystko.

Hogan nigdy nie miewał w życiu przeczuć, ale teraz nieoczekiwanie stanął mu przed oczyma obraz zarówno dziwaczny jak odrażający. Za rok o tej porze stojący przed nim człowiek od ośmiu miesięcy będzie spoczywał w grobie i gdyby ktoś wykopał jego trumnę i uchylił wieko, ujrzaliby w wyschniętej czaszce takie same wyszczerzone zęby niczym polakierowaną pułapkę.

Popatrzył Scooterowi w oczy, które lśniły niczym czarne klejnoty w zmatowiałym naszyjniku, i nagle przestało mu chodzić o to, że chce wyjść z tego sklepu. Hogan musiał z niego wyjść.

– No cóż – mruknął (rozpaczliwie pragnął, żeby Scooter nie wyciągnął w jego stronę ręki, którą należałoby uścisnąć). – Muszę już jechać. Życzę panu wszystkiego najlepszego.

A jednak Scooter wyciągnął dłoń; ale nie w stronę Hogana. Podniósł Gryziszczkę i nałożył na nią gumową opaskę (Hogan zupełnie nie rozumiał, dlaczego to zrobił, ponieważ zabawka i tak nie działała), wsunął ją w te zabawne kartonowe buty i popchnął urządzenie po porysowanej gablocie w stronę Hogana.

– Dziękuję – powiedział. – Proszę wziąć te zębiska. Za darmo.

– Och... no cóż... wielkie dzięki, ale chyba nie powinienem...

– Nie ma sprawy, bierz je pan – odparł Scooter. – Proszę podarować ją swojemu chłopakowi. Nawet jeśli zabawka nie będzie działać, może ją postawić na półce w swoim pokoju. Wiem co nieco o małych chłopcach. Wychowałem trzech.

– A skąd pan wie, że mam synka? – zainteresował się Hogan.

Scooter puścił perskie oko. Było to okropne i wzruszające zarazem.

– Wyczytałem to w pańskiej twarzy – wyjaśnił. – No, niech pan ją bierze.

Uderzył podmuch wiatru, tym razem tak potężny, że cały budynek zajęczał i zadrżał w posadach. Piasek bił w szyby niczym zlodowaciała, śnieżna krupa. Hogan podniósł szczękę za plastikowe stopy i ponownie zaskoczył go jej ciężar.

– Proszę – powiedział Scooter, podając mu papierową torbę, prawie tak samo wymiętą jak jego twarz. – Niech pan to w nią schowa. Wypcha pan sobie kieszeń, jeśli pan ją tak weźmie.

Położył torbę na ladzie, zupełnie jakby się domyślał, iż Hogan nie chce go dotykać.

– Dzięki – mruknął Hogan. Włożył Gryziszczkę do torby i zawinął górę opakowania. – Dziękuję również w imieniu Jacka... mojego syna.

Scooter uśmiechnął się, odsłaniając sztuczne zęby (ale nie tak duże jak te w papierowej torbie).

– Cała przyjemność po mojej stronie. Proszę jechać ostrożnie, dopóki nie wydobędzie się pan z zasięgu burzy. Kiedy dotrze pan na pogórze, będzie pan bezpieczny.

– Wiem... – Hogan chrząknął. – I jeszcze raz dziękuję.

Mam nadzieję, że stan pańskiego zdrowia... eeee... poprawi się.

– Też bym tego chciał – odparł bez przekonania Scooter.

– Ale nic o tym nie wspominają.

– No cóż... – Hogan poczuł nagłą pustkę w głowie i nie wiedział, co ma odpowiedzieć. – Niech pan uważa na siebie.

Scooter skinął głową.

– Pan również.

Hogan podszedł do wyjścia, nacisnął klamkę i musiał z całych sił ją przytrzymać, ponieważ wiatr chciał wyrwać mu z rąk drzwi i rąbnąć nimi o ścianę. W twarz uderzyły go drobiny piasku. Zmrużył oczy.

Przekroczył próg, zamknął za sobą dokładnie drzwi i podniósł kołnierz eleganckiej kurtki, zasłaniając nim usta i nos. Przeszedł przez werandę, zszedł po schodkach i ruszył ku swemu karawaningowi marki Dodge zaparkowanemu tuż za dystrybutorami paliwa. Wiatr rozwiewał mu włosy, a piasek bił w policzki. Kiedy obchodził auto, żeby dostać się do wejścia od strony kierowcy, ktoś pociągnął go za rękaw.

– Proszę pana! Ej, proszę pana!

Odwrócił się. Ujrzał blondyna o bladej, szurzej twarzy. Kulił się w podmuchach wiatru i tumanach piasku. Miał na sobie jedynie podkoszulek i sprane dżinsy. Za nim dostrzegł panią Scooter wlokącą na łańcuchu w kierunku tylnego wejścia nędznie wyglądające zwierzę. Kojot, czyli Wilk z Minnesoty, wyglądał jak na wpół zagłodzony szczeniak niemieckiego owczarka. W sierści miał masę siana.

– Słucham? – krzyknął Hogan, dobrze wiedząc, czego chce od niego chłopak.

– Czy mogę się z panem zabrać? – wrzasnął dzieciak, żeby przekrzyczeć wyście wiatru.

Hogan nie miał zwyczaju brać autostopowiczów – nie brał ich od pewnego popołudnia przed pięcioma laty. Zatrzymał się wtedy na przedmieściach Tonopah i zabrał młodą dziewczynę. Stojąc na skraju drogi, przypominała mu jedno z tych opuszczonych stworzeń o wielkich, smutnych oczach z pocztówek UNICEF-u; dzieciaka, którego matka wraz z kochankiem przed tygodniem spłonęli wraz z domem. Kiedy jednak dziewczę znalazło się w samochodzie, Hogan ujrzał, że ma paskudną cerę i szalone oczy narkomanki. Ale było już za późno.

Przyłożyła mu do twarzy pistolet i zażądała portfela. Broń była zardzewiała, a jej rękojeść owinięta taśmą izolacyjną. Hogan wątpił, czy pistolet jest naładowany i czy w ogóle wypali... ale miał przecież w Los Angeles żonę i dziecko.

A nawet gdyby był samotny, jego życie więcej znaczyło niż sto czterdzieści dolarów, które miał przy sobie. O tym akurat wtedy nie pomyślał, gdyż zaczynał dopiero stawać na nogi w nowej pracy i owe sto czterdzieści dolarów wydawało mu się kwotą o wiele większą niż obecnie. Oddał dziewczynie portfel. Obok jego samochodu (jeździł wtedy fordem econoline, w niczym nieprzypominającym obecnego custom dodge'a XRT) natychmiast zatrzymał się jej chłopak w brudnoniebieskim chevrolecie nova. Hogan poprosił dziewczynę, żeby zostawiła mu prawo jazdy oraz zdjęcia Lity i Jacka.

„Pierdol się, cukiereczku” – odparła i mocno uderzyła go w twarz portfelem. Następnie wysiadła i pobiegła do niebieskiego auta.

Tak, autostopowicze oznaczali kłopoty.

Ale teraz huragan przybierał na sile, a chłopak nie miał nawet kurtki. Co Hogan miał mu odpowiedzieć? „Pierdol się, cukiereczku, wleź pod jakiś kamień i razem z gadami przeczekaj burzę?”.

– W porządku – oświadczył.

– Dziękuję panu. Bardzo dziękuję.

Chłopak obiegł samochód, przystanął przy drzwiach od strony pasażera i kuląc głowę w ramionach, czekał, aż Hogan wpuści go do środka. Wiatr wydymał i łopotał jego koszulką niczym żaglem, odsłaniając co chwila chudy, pokryty krostami kark.

Hogan obejrzał się na przydrożny sklep spożywczy i zoo Scootera. Właściciel stał w oknie. Wzniósł poważnym gestem rękę, dłonią do przodu, więc Hogan w odpowiedzi uniósł swoją. Otworzył samochód, odblokował drzwi guzikiem znajdującym się obok przycisku otwierającego automatycznie okna i skinął na chłopaka, żeby wsiadł.

Blondyn wślizgnął się do szoferki, ale musiał użyć obu rąk, żeby zamknąć za sobą drzwi, które wyrywał mu wiatr. Wokół samochodu hulała wichura tak silna, że pojazd lekko kiwał się i kołysał na boki.

– Uuch! – sapnął ciężko chłopak i przeciągnął palcami po włosach (zgubił gdzieś sznurowadło, którym związał kitkę i teraz włosy opadały mu na ramiona luźną, prostą falą). – Niezła burza! Coś okropnego!

– To racja – zgodził się Hogan.

Między dwoma przednimi fotelami znajdowała się konsola – którą w prospektach reklamowych nazywano „krzesłem kapitańskim” – i na niej Hogan położył papierową torbę z Gryziszczką, a następnie przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik natychmiast zaskoczył, rozległ się cichy pomruk motoru.

Chłopak odwrócił się i z uznaniem rozejrzał po wnętrzu wozu. Było tam łóżko, obecnie złożone, niewielki gazowy piecyk, kilka szafek i półek, gdzie Hogan trzymał pudełka z próbkami towaru, a na samym końcu maleńka toaleta.

– Ubogo to tu nie jest – zauważył dzieciak. – Ma pan wszelkie wygody. – Znów spojrzał na Hogana. – Dokąd pan jedzie?

– Do Los Angeles.

Dzieciak uśmiechnął się.

– To wspaniale! Ja również!

Otworzył niedawno kupioną paczkę meritów i wyjął papierosa.

Hogan, który zapalił już reflektory i włączył pierwszy bieg, ponownie wrzucił luz. Odwrócił się w stronę chłopaka.

– Umówmy się co do kilku rzeczy – oświadczył.

Dzieciak popatrzył nań wielkimi, pełnymi niewinności oczyma.

– Jasne, panie turysto. Wał pan prosto z mostu.

– Po pierwsze, z zasady nie biorę autostopowiczów. Kilka lat temu miałem z nimi bardzo przykrą przygodę. Można powiedzieć, że to mnie uodporniło. Pojedziesz ze mną do podgórza Santa Clara, ale to wszystko. Po drugiej stronie gór jest zajazd dla kierowców ciężarówek, U Sammy’ego. Stamtąd już bardzo blisko do autostrady. Tam się rozstaniemy. Pasuje?

– Pasuje. Jasne. Pan jest tu szefem – odparł chłopak i znów popatrzył na Hogana wielkimi oczyma.

– Po drugie, jeśli masz zamiar palić, rozstaniemy się natychmiast. W porządku?

Przez chwilę Hogan dostrzegał we wzroku chłopaka inny wyraz: ostry i czujny. Trwało to tylko ułamek sekundy, potem na oblicze dzieciaka znów wróciła niewinność; ot, zwykły, nieszkodliwy uciekinier ze świata Wayne'a. Włożył papierosa za ucho i pokazał Hoganowi puste dłonie. Kiedy unosił ramiona, Hogan dostrzegł na jego bicepsie wytatuowany napis: DEF LEPPARD 4-EVER.

– Kapuję, żadnych szlugów.

– Świetnie. Nazywam się Bill Hogan.

– Bryan Adams – odparł dzieciak, szybko potrząsając podaną dłonią.

Hogan włączył pierwszy bieg i powoli ruszył w kierunku drogi numer 46. Kiedy dojeżdżał już do szosy, jego wzrok padł na leżące na półeczce nad tablicą rozdzielczą pudełko z kasetą magnetofonową. Leżał na niej nagrany album Bryana Adamsa *Reckless*.

Wszystko jasne – pomyślał. – Ty jesteś Bryan Adams, a ja, tak naprawdę, Don Hanley. Po prostu zatrzymaliśmy się w przydrożnym sklepie spożywczym i zoo Scootera, żeby zdobyć trochę materiału do naszych kolejnych albumów, prawda, turysto?

Kiedy już jechał szosą, wyteżając wzrok, żeby cokolwiek widzieć w tumanach piasku, znów zaczął rozmyślać o dziewczynie pod Tonopah, która smagneła go po twarzy jego własnym portfelem, a następnie uciekła. Nagle przestało mu się to wszystko podobać.

Ale wtedy silny podmuch wichury omal nie zepchnął go na prowadzący w kierunku wschodnim pas drogi, więc całą uwagę skupił na jeździe.

Przez jakiś czas w samochodzie panowało milczenie. Kiedy w pewnej chwili Hogan zerknął w prawo, zobaczył, że chłopak leży wyciągnięty wygodnie w fotelu i ma zamknięte oczy – może spał, może drzemał, a może tylko udawał, że śpi, bo nie miał ochoty na pogawędki. Uradowało to Hogana, ponieważ i on nie palił się do rozmowy. Z jednej strony nie wiedziałby, o czym gawędzić z panem Bryanem Adamsem ze Znikąd w USA. Zamknięty w sobie pan Adams nie stanowił odpowiedniego rynku dla nalepek z uniwersalnym kodem produktów, którymi handlował Hogan. Z drugiej strony musiał bez reszty skupiać uwagę na

prowadzeniu samochodu, ponieważ warunki jazdy stawały się z każdą chwilą gorsze.

Jak ostrzegła pani Scooter, burza rzeczywiście przybierała na sile. Droga majaczyła przed nim niewyraźnie, co chwila przecinały ją ciemne smugi nawianego piasku. Owe piaszczyste garby były niczym ograniczający prędkość „leżący policjanci” i Hogan mógł jechać z szybkością nieprzekraczającą czterdziestu kilometrów na godzinę. Ale jakoś sobie radził. W niektórych miejscach droga została tak zasypana, że musiał zwalniać do dwudziestu pięciu, a w położeniu szosy orientować się tylko po ciągnących się wzdłuż niej odblaskowych pachółkach, w których odbijało się światło reflektorów dodge’a.

Od czasu do czasu z tumanów piasku niczym prehistoryczny potwór o okrągłych, pałających światłem ślepiach wyłaniał się nadjeżdżający z przeciwka samochód osobowy lub ciężarówka. Jeden z nich, stary lincoln mark IV, tak duży jak karawaning Hogana, jechał samym środkiem szosy. Hogan dał sygnał klaksonem i gwałtownie skręcił w prawo. Poczował, że koła samochodu grzęzną w piachu, po czym uświadomił sobie, że warczy pod nosem, wyszczerzając zęby. Kiedy był już przekonany, iż nadjeżdżający z przodu samochód zepchnie go do przydrożnego rowu, lincoln zjechał na swój pas i oba wozy minęły się. Hogan miał wrażenie, że słyszy, jak przedni zderzak jego pojazdu ociera się o tylny bufor marka IV, ale w nieustannym zawodzeniu wiatru mogło mu się coś przesłyszeć. Mignęła mu nawet sylwetka kierowcy – starego, łysego mężczyzny siedzącego za kierownicą sztywno, jakby kij połknął, i z prawie maniacką koncentracją wpatrującego się w tumany niesionego wicherą piasku. Hogan pogroził mu pięścią, ale stary pryk nawet nie spojrzał w jego stronę. Zapewne nawet nie zauważył mego samochodu – pomyślał Hogan. – Nie ma sensu dłużej się zastanawiać, jak niewiele brakowało do kraksy.

Przez kilka sekund znów był bardzo bliski wypadnięcia z szosy. Czuł, że prawe koła głęboko ugrzęzły w piasku, a samochód o mało nie przewrócił się na bok. Instynkt kazał mu natychmiast ostro skręcić kierownicą w lewo. Zamiast tego jednak nacisnął tylko mocniej gaz. Koszulę miał kompletnie mokrą od potu. W końcu koła przestały buksować i Hogan odzyskał panowanie nad po-

jazdem. Odetchnął z ulgą.

– Potrafisz kierować, człowieku.

Był tak skupiony, że zupełnie zapomniał o pasażerze, więc zaskoczony dźwiękiem jego głosu drgnął i o mało nie skręcił w lewo, co mogłoby sprowadzić im na głowę kolejne kłopoty. Popatrzył w prawo i ujrzał wlepiony w siebie wzrok blondyna. Jego szarozielone oczy niezwykle lśniły; nie było w nich śladu senności.

– Miałem dużo szczęścia – odparł Hogan. – Gdyby było tu gdzieś miejsce, gdzie można się zatrzymać, zrobiłbym to bez namysłu... ale znam ten odcinek drogi i wiem, że jest tylko zajazd U Sammy'ego. Kiedy już dotrzemy do podgórza, będzie lepiej.

Nie dodał, że dzieli ich od zajazdu jeszcze sto dziesięć kilometrów, których pokonanie zajmie im ze trzy godziny.

– Pan jest akwizytorem, prawda?

– Zgadza się.

Z całej duszy pragnął, żeby chłopak milczał. Musiał bez reszty skupiać uwagę na kierownicy. W przodzie zamajaczyły w mroku światła przeciwmgielne niczym żółte upiory. Nadjeżdżał iroc Z z kalifornijską rejestracją. Oba samochody minęły się niczym leciwe damy na korytarzu w domu starców. Kątem oka Hogan dostrzegł, że chłopak wyjął zza ucha papierosa i zaczyna obracać go w palcach. Bryan Adams, też coś! Dlaczego podał fałszywe imię i nazwisko? Było w tym coś ze starego filmu, jaki można czasami zobaczyć w nocy w telewizji, czarno-biały kryminał, gdzie podróżujący akwizytor (którego gra zapewne Ray Milland) zabiera z szosy żylastego młodego typka (którego gra, powiedzmy, Nick Adams). Autostopowicz uciekł właśnie z więzienia w Gabbs, w Deeth, czy skądś indziej...

– Co pan sprzedaje, turysto?

– Etykiety.

– Etykiety?

– Zgadza się, etykiety. Z uniwersalnym kodem produktu. Takie z prostokąci-kiem z cyferkami, pod którymi widać czarne linie.

Ku zdumieniu Hogana młodziak skinął głową.

– Jasne... w supermarketach przesuwają po nim elektronicznym okiem i w magiczny sposób w kasie pojawia się cena. Mam rację?

– Tak. Z tym tylko, że to nie magia i nie jest to elektroniczne oko, ale promień laserowy. Takie urządzenia również sprzedają. Duże i przenośne.

– Znakomicie, niedo-końca turysto. – W jego głosie pojawił się lekki sarkazm... lekki, ale sarkazm.

– Bryan?

– Tak?

– Na imię mam Bill. Więc nie mów do mnie „człowieku”, „turysto”, a już na pewno nie „niedo-końca turysto”.

Coraz bardziej chciał cofnąć się w czasie, wrócić na parking przed sklepem Scootera i po prostu odmówić młodziakowi, kiedy ten poprosił go o podwiezienie. Scooterowie nie byli najgorszymi ludźmi. Zapewne pozwoliliby przeczekać chłopakowi do wieczora, kiedy to wichura miała ustać. Być może nawet pani Scooter dałaby mu pięć dolarów za opiekę nad tarantulą, grzechotnikami oraz Wilkiem, Zdumiewającym Kojotem z Minnesoty. Hoganowi coraz mniej podobały się szarozielone oczy przygodnego pasażera. Jego wzrok ciążył na nim niczym małe kamienie.

– Ach, tak... Bill, Bill Elegancka Etykietka.

Bill nic nie odpowiedział. Młodziak splótł palce i strzelił stawami.

– No cóż, jak mówiła moja mamusia: może to niewiele, ale daje się wyżyć, czy nie tak, Elegancka Etykietko?

Hogan mruknął coś wymijająco i skupił uwagę na prowadzeniu samochodu. Był już święcie przekonany, że popełnił okropny błąd. Kiedy zabrał tamtą dziewczynę, Bóg jakoś się nad nim ulitował. Proszę – modlił się w duchu. – Boże, jeszcze ten jeden, ostatni raz. Albo jeszcze lepiej, spraw, żebym mylił się co do tego młodziaka. Spraw, żeby to wszystko okazało się jedynie moją paranoją, wytworem fantazji oraz zbieżnością imienia i nazwiska, co nie jest przecież tak unikalne.

Z przeciwka pojawił się olbrzymi mack, srebrzysta kratownica maski szcze-

rzyła się w uśmiechu niczym rozwścieczony buldog. Hogan skręcił w prawo najbardziej jak mógł. Koła jego dodge'a ponownie zabuksowały w piachu. Olbrzymia, srebrzysta naczepa macka przesłoniła Hoganowi cały świat po lewej stronie. Minęła go o piętnaście centymetrów – może mniej – i zdawało się, że zapadła się w nicość.

Kiedy już ciężarówka zniknęła, jasnowłosy młodziak stwierdził:

– Bill, wygląda na to, że świetnie ci się powodzi... bryczka; taka jak twoja musiała kosztować co najmniej trzydzieści kawałków. Dlaczego więc...

– O wiele mniej. – Hogan nie wiedział, czy „Bryan Adams” wyczuł w jego głosie zdenerwowanie, ale podejrzewał, że tak. Poza tym bardzo dużo pracuję.

– Mnie to nie robi różnicy, ale na pewno nie głodujesz. Dlaczego więc nie zostawisz tego całego gówna i nie zaczniesz sobie przyjemnie żyć?

Było to pytanie, które Hogan czasami zadawał sobie podczas tych trudnych do przeliczenia kilometrów jazdy między Tempe, Tuscon, Las Vegas czy Los Angeles, pytanie, które każdy musiałby sobie zadać, kiedy w radiu nie było nic ciekawego oprócz elektronicznej muzyki lub ogranych do znudzenia staroci, i kiedy człowiek przesłuchiwał już ostatnią kasetę, a za oknami mknącego samochodu rozciągały się kilometry stanowiącej władztwo Wuja Sama pustyni porośniętej krzakami.

Mógł odpowiedzieć, że podróżując po kraju i sprzedając towar bezpośrednio klientom, lepiej wyczuwa i rozumie ich potrzeby. Tak, to była prawda, ale nie jedyny powód. Mógł powiedzieć, że nadawanie na bagaż pudeł z towarem, które były za duże, by brać je ze sobą na pokład samolotu, a później czekanie, aż pojawią się na „karuzeli”, stanowiło zawsze przygodę i wielką niewiadomą (pewnego razu jego pudła z towarem wylądowały w Hilo na Hawajach zamiast w Hillside w Arizonie). Tak, to również była prawda, ale też nie jedyny powód.

Prawdziwym powodem było to, że w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim znalazł się na pokładzie czarterowego samolotu linii Western Pride, który rozbił się na wyżynie, dwadzieścia pięć kilometrów na północ od Reno. W katastrofie zginęła dwuosobowa załoga i sześciu z dziewiętnastu pasażerów. Hoganowi pękł kręgosłup. Cztery miesiące spędził w łóżku, a następnych dzie-

się chodził w ciężkim gorsecie, który jego żona Lita nazywała *Iron Maiden*⁸. Mówią (nieważne kto), że jeśli człowiek spadnie z konia, powinien jak najszybciej ponownie wskoczyć na siodło. William I. Hogan uważał jednak to za bzdurę. Od czasu tamtego wypadku nie latał samolotem. Raz tylko uczynił wyjątek, kiedy zacisnąwszy do białości pięści i zażywszy dwie tabletki valium, poleciał samolotem na pogrzeb swego ojca.

Owe myśli odeszły go w jednej chwili, kiedy uświadomił sobie dwie rzeczy: że odkąd minął się z mackiem, szosa była kompletnie pusta, oraz że młodziak nie spuszcza z niego swego niepokojącego wzroku, najwyraźniej czekając na odpowiedź.

– Miałem paskudną przygodę podczas lotu czarterowym samolotem – wyjaśnił Hogan. – Od tamtego czasu przykładam wielką wagę do wyboru środka transportu. Wybieram takie, żebym, gdy w czasie jazdy przestaną działać silniki, mógł po prostu zjechać na pobocze i tam się zatrzymać.

– Tak, z całą pewnością miałeś paskudną przygodę, Billy-Gogusiu – odparł chłopak. W jego głosie pojawił się szyderczy, udawany ton współczucia. – A teraz bardzo mi przykro, ale czeka cię kolejna paskudna przygoda.

Rozległ się ostry, metaliczny trzask. Hogan spojrział w stronę chłopaka i nawet nie zaskoczył go widok sprężynowego noża ze lśniącym, dwudziestocentymetrowym ostrzem.

Cholera jasna – pomyślał tylko.

Teraz, kiedy już to się stało, kiedy czekały go kolejne, okropne przeżycia, nie czuł nawet strachu. Był po prostu zmęczony.

Cholera jasna – myślał. – Do domu zostało mi już tylko sześćset pięćdziesiąt kilometrów. Niech to szlag trafi.

– Zatrzymaj się, Billy-Gogusiu. Grzecznie i bez gadania.

– Czego chcesz?

– Jeśli naprawdę nie wiesz, to jesteś bardziej tępy, niż na to wyglądasz. – Na ustach młodziaka igrał lekki uśmiezek. Wykonany własnoręcznie tatuaż na bicepsie zmarszczył się, kiedy chłopak napiął mięsień. – Chcę, żebyś zostawił mi swoją forszę i ten burdel na kółkach. W każdym razie na jakiś czas. Ale nie

przejmuj się. Niedaleko stąd masz zajazd. U Sammy'ego. A stamtąd już blisko do autostrady. Ktoś cię podrzuci. Oczywiście, ludzie, którzy się nie zatrzymają, będą na ciebie patrzeć tak, jakbyś był przyklejonym do buta psim gównem, i będziesz musiał trochę się prosić, ale jestem pewien, że w końcu ktoś cię weźmie. A teraz stawaj.

Hogan z lekkim zdziwieniem odkrył, że w równym stopniu jest wściekły co zmęczony. Czy czuł podobną złość wtedy, gdy dziewczyna zabrała mu portfel? Uczciwie mówiąc, nie pamiętał.

– Nie wciskaj mi takich bzdur – odparł, odwracając głowę w kierunku młodziaka. – Kiedy chciałeś jechać, zabrałem cię i nie musiałeś mnie o to błagać. Gdyby nie ja, ciągle jeszcze byś wyciągał rękę z uniesionym kciukiem i żarł nawiewany wiatrem piasek. Dlatego odłóż ten nóż. Dojedziemy...

Dzieciak nieoczekiwanie machnął bronią i Hogan poczuł palący ból w prawej ręce. Samochód zatoczył się, a potem zatańczył na kolejnej muldzie nawianego piasku.

– Zatrzymaj się, powiedziałem. Albo dalej pójdziesz piechotą, Elegancka Etykieta, albo będziesz leżał w najbliższym rowie odpływowym z rozerzniętym gardłem i wciśniętym w dupę jednym z tych przyrządów do odczytywania ceny. Chcesz usłyszeć jeszcze coś? Przez całą drogę do Los Angeles będę palił papierosa za papierosem, a wszystkie pety hartował na tej pieprzonej tablicy rozdzielczej.

Hogan popatrzył na swoją dłoń i ujrzał ukośną, krwawą krechę biegnącą od ostatniego kłykcia po nasadę kciuka. I znów ogarnął go gniew. z tym tylko, że była to już dzika wściekłość. Jeśli nawet pozostawało w nim zmęczenie, tkwiło głęboko zagrzebane pod nieprzytomną furiją, jaka go ogarnęła. Żeby stłumić w sobie tę wściekłość, zanim opanuje go do tego stopnia, by uczynił coś szalonego, próbował przywołać w umyśle twarze Lity i Jacka, ale obraz rodziny był mętny i niewyraźny. Natomiast przed oczyma duszy pojawiła mu się bardzo wyraźnie inna twarz – twarz dziewczyny z Tonopah, dziewczyny z ironicznie skrzywionymi ustami i oczami dziecka z pocztówki. Dziewczyna powiedziała mu: „Pierdol się, cukiereczku”, a potem uderzyła go w twarz jego własnym

portfelem.

Nacisnął pedał gazu i samochód przyśpieszył. Czerwona strzałka szybkościomierza przekroczyła liczbę pięćdziesiąt.

Na twarzy młodziaka pojawiło się zdziwienie, zaskoczenie, a na końcu gniew.

– Co ty wyprawiasz? Mówiłem ci, że masz się zatrzymać! Chcesz mieć na jachach wyprute flaki?

– Nie wiem – odparł Hogan, nie zdejmując nogi z gazu. Strzałka stała trochę ponad sześćdziesiątką. Samochód podskakiwał na wydmach, trzęsąc się jak pies w gorączce. – Posłuchaj, dzieciaku, czego chcesz? Chcesz mieć połamany kark? Wystarczy, że skręcę kierownicę. Ja mam zapięte pasy. Tyś o swoich zapomniał.

W szeroko rozwartych szarozielonych oczach młodziaka malował się strach i wściekłość. Na pewno się zatrzymasz – mówiły oczy. – Mam przecież nóż, nie widzisz tego?

– Nie chcesz chyba spowodować wypadku – ni to stwierdził, ni zapytał młodziak, ale Hogan był przekonany, że pasażer próbuje przekonać samego siebie.

– Dlaczego nie? – Hogan znów odwrócił twarz w kierunku chłopaka. – Jestem pewien, że mnie nic się nie stanie, a samochód jest ubezpieczony. To ty zacząłeś tę grę, dupku. I co ty na to?

– Ty... – zaczął chłopak, ale nagle oczy mu się rozszerzyły. Zupełnie stracił zainteresowanie Hoganem. – Patrz! – wrzasnął.

Hogan spojrział do przodu i ujrzał cztery olbrzymie, okrągłe, płonące białym światłem reflektory pędzące prosto na niego w tumanach piasku. Był to ogromny samochód cysterna wiozący zapewne benzynę lub propan. Jego klakson grzmiał gromowym hukiem, niczym gigantyczna, rozwścieczona dzika gęś: TONK! TONK! TOOONNK!

Cysterna wyłoniła się z półmroku w chwili, kiedy Hogan, próbując dobić z młodziakiem targu, prowadził swego dodge'a środkiem jezdni. Skręcił ostro kierownicę w prawo, zdając sobie sprawę, że to daremny manewr, że jest już za późno. Ale nadjeżdżająca z przeciwka ciężarówka również przytuliła się do sa-

mego skraju szosy, podobnie jak uczynił to Hogan, gdy chciał uniknąć zderzenia z markiem IV. Oba pojazdy przetoczyły się obok siebie w tumanach gnane go wichurą piasku o grubość włosa. Hogan znów poczuł, że prawe koła jego samochodu zaczynają grzęznąć w piasku, i zrozumiał, iż tym razem już nie uda mu się utrzymać na drodze – nie przy prędkości przekraczającej sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Kiedy mroczny kształt olbrzymiej, stalowej cysterny (na jej boku widniał napis NAWOZY SZTUCZNE i ARTYKUŁY ROLNICZE CARTERA) zniknął już z tyłu, Hogan poczuł, że kierownica chodzi mu w rękach bardzo tępo i sama przekręca się jeszcze bardziej w prawo. Kątem oka dostrzegł, iż młodziak z nastawionym nożem pochyla się do przodu.

Co z tobą? Oszalałeś? – chciał wrzasnąć na blondyna, ale byłoby to głupie pytanie, gdyby nawet zdażył je wyartykułować.

Jasne, że młodziak był szalony – wystarczyło tylko baczniej popatrzeć w jego szarozielone oczy. Ale przede wszystkim to Hoganowi musiało odebrać rozum, kiedy zdecydował się wziąć do samochodu chłopaka. Tyle że w tej chwili było to już nieistotne. Miał przed sobą do rozwiązania problem i jeśli pozwoli sobie na luksus jałowych spekulacji, że coś takiego przecież mogło mu się wcale nie przytrafić – gdyby uwierzył w to choćby na sekundę następnego dnia, albo jeszcze następnego, znajdą go z rozerzniętym gardłem i zasypanymi piaskiem oczyma. To się działo naprawdę. To była jego rzeczywistość.

Dzieciak próbował przyłożyć Hoganowi ostrze do szyi, ale samochód właśnie zaczął się gwałtownie przechylać, grzęznąć coraz bardziej w zasypanym piaskiem przydrożnym rowie. Hogan szarpnął się do tyłu, by uniknąć klingi noża i puścił kierownicę. W pierwszej chwili pomyślał, że pozbył się już kłopotu, ale zaraz poczuł ciepło krwi spływającej z twarzy na szyję. Nóż rozciął mu policzek od skroni do szczęki. Hogan machnął prawą ręką, próbując chwycić młodziaka za nadgarstek, ale wtedy lewe przednie koło trafiło na kamień wielkości automatu telefonicznego i samochód wyrzuciło w górę jak na filmach, które zapewne młody włóczęga uwielbiał. Pojazd odwrócił się w powietrzu, wszystkie cztery koła obracały się ciągle z szybkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę (tak wskazywał licznik), a Hogan poczuł, że pas bezpieczeństwa boleśnie wpija

mu się w klatkę piersiową i w brzuch. Odniósł cudaczne wrażenie, że ponownie przeżywa tamtą katastrofę lotniczą – i tak samo jak wtedy, teraz również nie mieściło mu się w głowie, że wszystko to dzieje się naprawdę.

Dzieciaka, ciągle trzymającego w dłoni nóż, cisnęło w górę i do przodu. Kiedy samochód odwrócił się do góry kołami, młodziak wyrznął głową w sufit. Hogan dostrzegł kątem oka, że chłopak wymachuje lewą ręką i ze zdumieniem skonstatował, że ciągle próbuje go ugodzić nożem. Tak, to rzeczywiście jest grzechotnik – błysnęło Hoganowi w głowie. – Ale nikt nie usunął mu gruczołów z jadem.

Teraz z kolei dodge uderzył w twarde zlepienie pokrywające pustynię. Impet oderwał bagażnik z dachu i chłopak ponownie, tym razem znacznie mocniej, wyrznął głową w sufit. Nóż wyleciał mu z ręki. Umieszczone z tyłu pojazdu szafki otworzyły się i po całym samochodzie rozsypały się próbki towaru oraz laserowe urządzenia do odczytywania etykietek. Hogan niewyraźnie usłyszał niesamowity zgrzyt – to po twardym podłożu pustyni, już po drugiej stronie przydrożnego rowu, tarł aluminiowy dach samochodu. Pomyślał, że taki dźwięk można usłyszeć wewnątrz puszek z cienkiej blachy, którą ktoś otwiera otwieraczem do konserw.

Z hukiem pękła przednia szyba, zmatowiała i w mgnieniu oka pokryła się milionem drobniutkich żyłek. Hogan zacisnął powieki, zakrył dłońmi twarz. Dodge nieustannie sunął, przekręcił się na bok od strony kierowcy, pękła boczna szyba, a auto toczyło się z łoskotem po skałach i piasku. W końcu znów stanęło na kołach. Zakołysało się, jakby miało wylądować na boku od strony młodzika... i znieruchomiało.

Hogan przez jakieś pięć sekund siedział bez ruchu. Oczy miał szeroko rozwarte, a palce kurczowo zaciskał na poręczach fotela i czuł się trochę jak kapitan Kirk po ataku Klingona. Zdawał sobie sprawę z tego, że na kolanach ma piasek, potłuczone szkło i jeszcze coś; ale nie wiedział, co to było owo jeszcze coś. Był również świadom tumanów piasku nawiewanego przez wybite okna.

I nagle pole widzenia zasłonił mu jakiś błyskawicznie poruszający się przedmiot. Obiekt składał się z białej skóry, na której widniały brązowe plamy bru-

du, miał poharatane kłykcie i plamy krwi. Była to pięść, która trafiła go prosto w nos. Natychmiast targnął nim straszliwy ból, jakby w mózgu eksplodowała rakietnica. Na chwilę stracił zdolność widzenia. Pod powiekami paliła się tylko oślepiająca biel. Kiedy wracał mu wzrok, poczuł zaciskające się na szyi palce młodziaka. Nie mógł oddychać.

Dzieciak, pan Bryan Adams ze Znikąd w USA, przechylał się nad konsolą między przednimi fotelami. Po policzkach, czole i nosie ciekła krew z półtuzina ciętych ran, barwiąc mu twarz niczym farba wojenna indiańskiego wojownika. Szarozielone oczy wpatrywały się w Hogana z wyrazem nieprzytomnej furii.

– Popatrz, skurwysynu, co zrobiłeś! – wrzasnął młodziak. – Popatrz, co mi zrobiłeś!

Hogan szarpnął się do tyłu i kiedy na chwilę palce napastnika ześlizgnęły mu się z gardła, zdołał chwycić w płuca trochę powietrza. Ale ciągle był przypięty pasami, a zamek w drzwiach się zablokował, więc droga ucieczki została odcięta. Dłonie młodziaka prawie natychmiast znów się zacisnęły, tym razem kciuki z całych sił ugniatały Hoganowi tchawicę.

Próbował unieść ręce, ale ramiona chłopaka, sztywne niczym kraty w więziennym oknie, blokowały każdy jego ruch. Próbował uderzeniem oderwać zacisnięte na szyi dłonie. Bez skutku. Teraz słyszał kolejny poryw wiatru – wysoki, huczący ryk wiatru, który hulał mu pod czaszką.

– Popatrz, kupo gówna, co mi zrobiłeś! Cały krwawie!

Głos chłopaka dobiegł do niego z jakiejś dali.

Zabije mnie – pomyślał Hogan i w mózgu odezwał się jakiś głos: „Jasne... pierdol się, cukiereczku”.

Wspomnienie tego głosu ponownie wprowadziło go w nieprzytomną wściekłość. Na oślep sięgnął na kolana po to coś, co spoczywało tam obok piasku i potłuczonego szkła. Była to papierowa torba z masywnym przedmiotem w środku, ale nie mógł sobie przypomnieć, co to takiego. Zacisnął na przedmiocie dłoń i na oślep grzmotnął nim młodziaka w szczękę. Rozległ się głuchy łomot. Chłopak wrzasnął z zaskoczenia i bólu, a potem puścił krtań Hogana. Przewrócił się do tyłu.

Hogan wziął głęboki, konwulsyjny wdech i do jego uszu dotarł dźwięk, jaki wydaje czajnik w gwizdkiem. To ja, to ja tak świszczę? – zastanowił się. – To naprawdę ja?

Ponownie głęboko odetchnął. Czuł, że płuca wypełnia mu piasek, bolało go gardło, kaszlał, ale jednocześnie oddychanie sprawiało mu niebiańską rozkosz. Popatrzył na trzymany w ręku przedmiot. Pod brązowym papierem wyraźnie odznaczał się kształt Gryziszczęki.

Nagle poczuł, że zęby zaczynają się ruszać.

W ruchu tym było coś tak szokująco ludzkiego, że Hogan wrzasnął. Wypuścił torbę. Zupełnie jakby trzymał ludzką szczękę, która próbowała w jego ręce mówić.

Torba uderzyła młodziaka w plecy i upadła na wyłożoną dywanikiem podłogę. „Bryan Adams” niezdarnie próbował dźwignąć się na kolana. Do uszu Hogana dobiegł trzask pękającej gumowej opaski... później usłyszał, jak zęby zaczynają z trzaskiem otwierać się i zamykać.

„Poza tym myślę, że w środku ześlizgnął się tylko jakiś trybik – powiedział Scooter. – Jestem pewien, że fachowiec łatwo sobie z tym poradzi i szczęka znów będzie chodzić i kłapać zębami”.

A może sprawiło to mocne uderzenie? – pomyślał Hogan.

– Jeśli przeżyję i będę jeszcze kiedyś w tych okolicach, wpadnę do Scootera, żeby mu powiedzieć, iż najlepszym sposobem na naprawienie zepsutej Gryziszczęki jest sprokurowanie wypadku samochodowego, a następnie przywalenie w mordę autostopowicza-psychopate, który próbuje człowieka udusić. Proste. Nawet dziecko by sobie z tym poradziło.

Zęby grzechotały i szczękały w podartej brązowej torbie.

Papier falował, sprawiając wrażenie, że są to wycięte płuca, które nie mają zamiaru przestać oddychać. Dzieciak odpełzł, nie rzuciwszy nawet okiem na torbę – popęzł na tył samochodu, potrząsając w oszołomieniu głową. Próbował najwyraźniej zebrać myśli. Spod włosów ciekła mu cienkim strumykiem krew.

Hogan wymacał zapięcie pasa i nacisnął guzik zwalniający zamek. Nic. Kwadracik pośrodku sprzączki nawet nie drgnął i pas trzymał mocno jak imadło,

wpijając się w fałdę tłuszczu nad paskiem od spodni. Hogan, w nadziei że gwałtowniejsze ruchy pozwolą otworzyć zamek, zaczął poruszać się w fotelu do przodu i do tyłu. Z rany na twarzy krew popłynęła obficie. Czuł, że rozorana skóra na policzku zwisa niczym kawałek oddartej tapety. Mimo szoku ogarnęła go panika. Odwrócił głowę w prawo, by zobaczyć, co robi młodziak.

Nie był to wcale dobry pomysł. Chłopak znalazł właśnie nóż, który leżał na pliku rozrzuconych w nieładzie instrukcji i folderów reklamowych. Zacisnął palce na rękojeści, odgarnął włosy z twarzy i obejrzał się przez ramię na Hogana. Wyszczrzył zęby w uśmiechu. W grymasie tym było coś, co sprawiło, że Hoganowi stwardniały i skurczyły się jądra; zupełnie jakby zmieniły się w dwie pestki brzoskwini.

Ach, mam cię! – mówił ów uśmiech. – Przez ostatnie dwie minuty byłem już bardzo niespokojny, naprawdę niespokojny, ale w końcu wszystko ułożyło się pomyślnie. Musieliśmy trochę poimprowizować, ale teraz wracamy do podręcznika.

– Jesteś uwięziony, Elegancka Etykietko? – zapytał młodziak, przekrzykując nieustanny ryk wichury. – Jesteś, prawda? Bardzo dobrze, że zapiąłeś ten pas. Bardzo dobrze dla mnie.

Próbował wstać z podłogi, prawie mu się to udało, ale w ostatniej chwili kolana odmówiły posłuszeństwa. Na jego twarzy odmalowało się takie zdumienie, że w innych okolicznościach byłoby wręcz komiczne. Następnie znów odgarnął z twarzy zakrwawione, tłuste włosy i zaciskając palce na wykonanej z imitacji kości rękojeści noża zaczął pełznąć w stronę Hogana. Wytatuowane słowa: DEF LEPPARD kurczyły się i rozciągały, w miarę jak napinał i zwalniał swój wąty biceps. Hogan przypomniał sobie, jak marszczył się napis na podkoszulku Myry – NEVADA JEST KRAINĄ BOGA.

Hogan chwycił obiema rękami sprzączkę od pasa bezpieczeństwa i zaczął gorączkowo naciskać mechanizm zwalniający. Wbijał w niego kciuki równie energicznie, jak niedawno młodzian wbijał palce w jego krtań. Bez skutku. Sprzączka była jak zaspawana. Wyciągnął szyję, żeby ponownie spojrzeć na chłopaka.

Dzieciak dotarł już do składanego łóżka i tam pozostał. Na jego twarzy znów

pojawił się ów komiczny wyraz zdumienia. Patrzył prosto przed siebie, a więc na coś, co znajdowało się na podłodze, i Hogan w jednej chwili przypomniał sobie o zębiskach. Ciągłe klekotały.

Popatrzył w dół akurat w chwili, kiedy Magiczna Gryziszczęka wymaszerowała z podartej, papierowej torby w swoich śmiesznych, pomarańczowych butach. Kły, zęby trzonowe i siekacze otwierały się i zamykały rytmicznie, wydając dźwięk, jaki wydają kostki lodu w mikserze do koktajli. Stopy, przybrane w małe, pomarańczowe buciki i białe sztylpy, prawie podskakiwały na wyłożonej dywanikiem podłodze. Hoganowi natychmiast przed oczyma stanął obraz stepującego na scenie Freda Astaire'a; Freda Astaire'a z trzciniową laseczką pod pachą i w słomkowym kapeluszu nasuniętym filuternie na oko.

– Och, kurwa! – wykrzyknął chłopak z bladym uśmiechem.

– To o to się tam targowałeś? Człowieku, zabiję cię, Elegancka Etykietko. Wyświadczę światu tę grzeczność.

Kluczyk – pomyślał Hogan. – Kluczyk w boku szczęki, którym się zabawkę nakreca... on przecież wcale jej nie uruchamia.

I nagle doznał kolejnego olśnienia. Dokładnie wiedział, co się wydarzy dalej. Dzieciak zamierzał sięgnąć po szczękę.

W jednej chwili zęby zatrzymały się w miejscu i przestały klekotać. Po prostu stały na lekko przechylonej podłodze samochodu. Szczęki były nieco rozchyłone. Pozbawione oczu, a jednak jakby spoglądały figlarnie na chłopaka.

– Gryziszczęka – zdumiał się pan Bryan Adams ze Znikąd w USA.

Hogan wiedział, co teraz nastąpi. Chłopak sięgnął prawą ręką po zębiska.

– Gryź go! – wrzasnął piskliwie Hogan. – Odgryź mu te pieprzone palce!

Chłopak poderwał gwałtownie głowę, w jego szarozielonych oczach odmalował się ogrom zdumienia. Gapił się chwilę na Hogana z otchłanną tępotą i zaskoczeniem – i po chwili wybuchnął śmiechem. Śmiech miał wysoki i piskliwy, w tej samej tonacji co wyjąca na zewnątrz wichura niosąca na swych skrzydłach tumany piasku.

– Ugryź mnie! Ugryź mnie! Ugryyyyź mnie! – zawodził chłopak, jakby była to pointa najlepszego dowcipu, jaki słyszał w życiu. – Ej, Elegancka Etykietko,

myślałem, że to tylko ja wyrznięłem się w głowę!

Dzieciak chwycił w zęby rękojeść noża i wsunął palec wskazujący lewej dłoni między zęby Magicznej Gryziszczęki.

– Odgryź go! – wymamrotał niewyraźnie z nożem w ustach. Chichotał i chichotał, trzymając palec między ogromnymi zębiskami. – Odyż go! Oooo, odyż go!

Zęby ani drgnęły. Podobnie pomarańczowe nogi. Wizja Hogana rozviała się w jednej chwili tak, jak po przebudzeniu odchodzą sny. Chłopak pogmerał jeszcze chwilę między metalowymi zębami, zaczął wyciągać palec... i nagle przerażliwie, i ile tchu w płucach wrzasnął.

– Nie! KURWA, NIE! Puść, SKURWYSYNU!

Na chwilę podskoczyło Hoganowi serce, ale natychmiast zorientował się, że dzieciak, choć się drze, to tak naprawdę się śmieje. Nabija się z niego. Przez cały czas zębiska nawet nie drgnęły.

Młodziak wyciągnął z zębów nóż i podniósł szczękę do twarzy, żeby się jej lepiej przyjrzeć. Pogroził Gryziszczęce nożem tak, jak nauczyciel grozi wskaźnikiem niesfornemu uczniowi.

– Nie wolno gryźć – powiedział. – Tak zachowują się tylko niegrzeczne dzie...

Pomarańczowe nogi wykonały nieoczekiwanie krok do przodu na brudnej dłoni młodziaka. Jednocześnie rozwarły się szczęki i zanim Hogan w pełni pojął, co się święci, Gryziszczęka zacisnęła zęby na nosie chłopaka.

Tym razem Bryan Adams darł się naprawdę – z bólu i autentycznego zaskoczenia. Bił szczękę prawą ręką, próbując oderwać zębiska, ale one zacisnęły się na jego nosie równie mocno, jak mocno zaciął się zamek pasów bezpieczeństwa Hogana. Spomiędzy kłów buchnął strumień krwi, pojawiły się strzępy rozdartej chrząstki. Chłopak przewrócił się na plecy i przez chwilę Hogan widział tylko jego chłoszczące powietrze łokcie oraz kopiące podłogę nogi. Następnie dostrzegł błysk noża.

Dzieciak ponownie wrzasnął, a potem jak rażony prądem usiadł. Długie włosy zasłaniały mu twarz niczym kurtyna. Zaciśnięte zębiska sterczały z nich ni-

czym ster jakiejś dziwacznej łodzi. Dzieciakowi udało się wcisnąć klingę noża między zęby i to, co pozostało mu z nosa.

– Zabij go! – krzyknął ochryple Hogan. Stracił zdrowy rozsądek. Na jakimś poziomie świadomości rozumiał, że postradał zmysły, ale to w tej chwili było nieważne. – No, zabij go!

Chłopak zawył – długi, przeszywający skowyt – i przekręcił nóż. Ostrze pękło, ale chwilę wcześniej zdołało nieco rozchylić zaciśnięte zęby. Szczeka odpadła od twarzy młodziaka i spadła mu na kolana. Razem z zębami odpadł prawie cały nos.

Blondynek odrzucił włosy do tyłu. Zmrużył szarozielone oczy, próbując popatrzeć na poszarpaną wypukłość pośrodku twarzy. Usta miał rozchylone w grymasie bólu, ścięga szyi napięte jak struny.

Sięgnął po szczękę, ale ta zgrabnie odskoczyła do tyłu na swych pomarańczowych nogach. Zębiska kiwały się w górę i w dół, maszerowały w miejscu i szczyrzyły się do dzieciaka, który siedział teraz pośladkami na piętach. Przód podkoszulka miał zbroczony krwią.

Młodziak powiedział coś, co utwierdziło Hogana w przekonaniu, że zwariował. Tylko w zrodzonej w delirium fantazji ktoś mógł wypowiedzieć takie słowa.

– Daj my torbe na noos, skułysynu!

Dzieciak wyciągnął rękę w kierunku zębów, ale tym razem szczeka ochoczo skoczyła do przodu, przemknęła pod wyciągniętą ręką, dostała się między rozchylone nogi chłopaka. Rozległo się soczyste kłapnięcie. Szczęki zamknęły się na wybrzuszeniu spranych niebieskich džinsów dokładnie w miejscu, gdzie kończył się suwak rozporka.

Bryan Adams rozwarł oczy najszerszej jak potrafił. Po chwili otworzył również usta. Uniósł ramiona do wysokości barków, rozłożył je szeroko i przez chwilę wyglądał jak jakiś osobliwy parodysta Ala Jolsona, który zamierza zaintonować piosenkę *Mummy*. Wypuścił z ręki nóż, który upadł mu za plecy i potoczył się w głąb samochodu.

– Boże! Boże! Chrysteeeee...

Pomarańczowe nóżki przebierały jak w highland fling, szybkim tańcu szkockich górali. Różowe dziąsła Magicznej Gryziszczęki wykonywały gwałtowne ruchy do góry i w dół, jakby mówiły: tak! tak! tak!, a następnie szarpały w lewo i w prawo jakby mówiły: nie! nie! nie!

– ...aaaaaAAAAAAAAAAAAA...

Kiedy materiał, z którego wykonane były spodnie chłopaka, zaczął się drzeć – a sądząc po dźwięku darły się nie tylko spodnie – Bill Hogan zemdłał.

Przytomność odzyskiwał dwukrotnie. Za pierwszym razem przyszedł do siebie bardzo szybko, ponieważ wiatr nieustannie jeszcze zawodził na zewnątrz i w środku samochodu i nadal było jasno. Chciał się odwrócić, ale szyję przeszył mu straszliwy ból. Oczywiście, miał uszkodzone kręgi, ale zapewne niezbyt mocno... albo naprawdę poczuje je dopiero następnego dnia.

Jeśli dożyje następnego dnia.

Młodziak – pomyślał. – Muszę sprawdzić, czy naprawdę jest martwy.

Nie, wcale nie muszę – dumął. – Oczywiście, że nie żyje.

Gdyby żył, to ja byłbym martwy.

Z tyłu usłyszał nowe dźwięki: miarowe *zgrzyt-klap-zgrzyt* zębów.

Idą po mnie – błysnęło mu w głowie. – Skończyły z dzieciakiem, ale wciąż są głodne, więc idą po mnie.

Znów położył dłonie za zamku pasa bezpieczeństwa, ale mechanizm zablokował się beznadziejnie lub po prostu to jemu brakowało w rękach siły.

Zęby zbliżały się nieubłaganie – sądząc po dźwięku, znajdowały się tuż za oparciem jego fotela. Otępiały umysł Hogana zdawał się wyczytywać w tym nieustannym chrupaniu rymy:

ZGRZYTU-ZGRZYTULU-ZGRZYTULU-ZGRZYT!

PATRZ, JAK CHODZIMY, PATRZ NA NASZ ZGRYZ!

JESTEŚMY ZĘBY, WŁAŚNIE WRACAMY,

ZŻARŁYŚMY JEGO, CHRAPKĘ WCIAŻ MAMY!

Hogan zamknął oczy.

Klekoczący dźwięk ustał.

Ciszę mąciło jedynie nieustanne zawrodozenie wiatru i szelest piasku bijącego w zgniecioną karoserię samochodu.

Hogan czekał. Po długim, bardzo długim czasie usłyszał pojedynczy trzask, a po nim dźwięk dartego włókna. Znow zapadła cisza i znow trzask, i znow dźwięk dartego włókna.

Co one robią? – zastanowił się.

Po raz trzeci trzask i cichy dźwięk prutego materiału. Hogan poczuł, że fotel, w którym siedzi, lekko drży, i w jednej chwili zrozumiał. Zębiska wspinały się do niego. W jakiś sposób wspinały się na fotel, w którym siedział.

Hogan przypomniał sobie, jak szczęki zamknęły się na wybrzuszeniu spodni chłopaka, tam gdzie kończył się suwak, i nagle zapragnął znow zemdleć. Przez wybite okno wpadał do środka piasek, kłując go w policzki i czoło.

Trzask... rip. Trzask... rip. Trzask... rip.

Ostatni dźwięk dobiegł już z bardzo bliska. Hogan nie chciał patrzeć w dół, ale nie był w stanie się powstrzymać. Za prawym biodrem, tam gdzie płaska część fotela łączy się z oparciem, dostrzegł szeroki, olśniewająco biały uśmiech. Zębiska poruszały się z aż bolesną powolnością, podciągając niewidoczne jeszcze pomarańczowe nogi i chwytając między siekacze fałdy szarego materiału, którym obity był fotel, konwulsyjnie podciągały się do góry.

Gdy zęby chwyciły krawędź kieszeni jego spodni, Hogan ponownie zemdlał.

Kiedy odzyskał przytomność po raz drugi, wiatr ucichł, a na zewnątrz pawał już prawie mrok. Powietrze nabrało dziwnego, purpurowego odcienia, jakiego Hogan nigdy nie spotkał, nawet na pustyni. Piski wydawane przez mieciony piasek za roztrzaskanym oknem samochodu kojarzyły się z gwarem gromady biegających widmowych dzieci.

Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, co sprawiło, że znajduje się tam, gdzie się znajduje. Ostatnie, co pamiętał, to to, że spojrział na wskaźnik paliwa, który mówił, że bak jest już napełniony zaledwie w jednej ósmej, a następnie dostrzegł przy szosie tablicę informacyjną z napisem: PRZYDROŻNY SKLEP SPOŻYWCZY I ZOO SCOOTERA PALIWO BAR CHŁODZONE PIWO OBEJRZYJ-

CIE GRZECHOTNIKI!

Zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli naprawdę zechce, zdoła przedłużyć tę chwilową amnezję. Jego podświadomość może również na stałe odgradzić się od okropnych wspomnień. Ale z drugiej strony niebezpiecznie było nie pamiętać. Bardzo niebezpiecznie, ponieważ...

Nadszedł silny podmuch wiatru i o pogieęte blachy samochodu zazgrzytał piasek. Zazgrzytał jak

(zęby! zęby! zęby!).

Krucha powłoka amnezji, jaką się otoczył, zadrżała i umysł Hogana zalała fala wspomnień. Wydał zdławiony skrzek, ponieważ przypomniał sobie

(soczyste kłapnięcie!),

jakie wydała Gryziszczęka, kiedy dopadła jąder młodziaka. Hogan sam chwycił się za krocze i przerażony toczył wokół oczyma w poszukiwaniu straszliwych zębów.

Nie dostrzegł ich nigdzie, ale łatwość, z jaką poruszał ramionami, była czymś nowym. Popatrzył na podolek i powoli zdjął dłonie z krocza. Pas bezpieczeństwa już nie krępował jego ruchów. Leżał na szarym dywaniku w dwóch kawałkach. Klamra z zamkiem ciągle była zatrzaśnięta, ale zwisały z niej: poszarpane czerwone strzępy włókna. Pas nie został przecięty. Został przegryziony.

Hogan popatrzył we wsteczne lusterko i dostrzegł jeszcze coś. Tylne drzwi samochodu stały otworem, a na szarym dywaniku, gdzie leżał chłopak, teraz widniał jedynie czerwony zarys jego sylwetki. Pan Bryan Adams ze Znikąd w USA znikł.

Zniknęła również Gryziszczęka.

Wysiadł z samochodu powoli, niczym starzec dotknięty artretyzmem w najbardziej zaawansowanej fazie tej choroby. Szybko przekonał się, że jeśli trzyma głowę absolutnie prosto, uszkodzone kręgi szyjne niezbyt mu dokuczają... ale kiedy zapominał się i przekręcał głowę w prawo czy w lewo, w szyi, barkach i górnej części pleców eksplodował straszliwy ból. Nawet sama myśl o tym, żeby odwrócić głowę, była nie do zniesienia.

Powolutku obszedł samochód i zatrzymał się z tyłu pojazdu. Idąc, przeciągał lekko ręką po pogiętej karoserii, z której płatami odchodził lakier. Pod nogami czuł pokruszone szkło, słyszał, jak to szkło chrzęści. Stał tak bardzo długo. Bał się minąć róg i podejść do tylnych drzwi. Bał się, że kiedy to uczyni, ujrzy chłopaka ciągle siedzącego na piętach, ściskającego w dłoni nóż i przesyłającego mu ów pusty, tępy uśmiech. Ale nie mógł przecież tak stać w nieskończoność, w zapadających ciemnościach, trzymając nieruchomo głowę na napiętej szyi, jakby była to butelka z nitrogliceryną. Tak więc ostatecznie Hogan postąpił krok do przodu i stanął przy tylnych drzwiach karawaningu.

Nikogo tam nie było. Młodziak naprawdę zniknął. W każdym razie tak się w pierwszej chwili wydawało Hoganowi.

Nadciągnął podmuch wiatru, zmierzwił Hoganowi włosy, nawiał je na poranioną twarz, po czym ucichł zupełnie. Kiedy zapadła cisza, Hogan usłyszał ostre skrobanie dobiegające z odległości jakichś dwudziestu metrów od samochodu. Popatrzył w tamtą stronę i ujrzał podeszwy butów młodziaka znikające właśnie za niewielkim piaszczystym pagórkiem. Podeszwy tworzyły literę V. Znieruchomiały na chwilę, jakby coś, co wlokło chłopaka, potrzebowało chwili odpoczynku, pragnęło ponownie nabrać sił, i po chwili ciało młodziaka znów zaczęło posuwać się krótkimi zrywami.

W umyśle Hogana pojawił się niesamowicie sugestywny obraz. Oczyma wyobraźni ujrzał, jak Ogromna Gryziszczęka stoi na piaskowym wzniesieniu w tych swoich śmiesznych, pomarańczowych butach i w białych sztylpach. Stoi tak w elektryzującym, purpurowym świetle, które zalewa odludne pustynne tereny położone na zachód od Las Vegas. Szczęki są zaciśnięte na grubym puklu jasnych włosów młodziaka.

Gryziszczęka cofa się.

Gryziszczęka wlecze pana Bryana Adamsa do Nikąd w USA.

Hogan odwrócił się i trzymając w bezruchu swą wypełnioną nitrogliceryną głowę, ruszył powoli w stronę szosy. Sforsowanie przydrożnego rowu zajęło mu pięć minut. Po kolejnym kwadransie zatrzymał przejeżdżający samochód.

Przez cały ten czas ani razu nie obejrzał się za siebie.

Dziewięć miesięcy później, w jasny, gorący czerwcowy dzień, Bill Hogan ponownie znalazł się koło przydrożnego sklepu spożywczego i zoo Scootera... z tym tylko, że miejsce to nosiło już inną nazwę. Tablica głosiła: U MYRY PALIWO CHŁODZONE PIWO WIDEO. Pod napisem widniał wizerunek wilka – a może po prostu Wylka – wyjącego do księżyca. Sam Wilk, Zdumiewający Kojot z Minnesoty, leżał w klatce w cieniu rzucanym przez werandę. Rozłożył nie dbale tylne łapy, a mordę położył na przednich. Nawet nie drgnął, kiedy Hogan wysiadł z samochodu, żeby napełnić bak benzyną. Grzechotników ani tarantuli nigdzie nie było widać.

– Cześć, Wylku – powiedział Hogan, wchodząc po schodkach.

Mieszkaniec klatki przewrócił się na grzbiet i obserwował. Z pyska zwieszał mu się długi, czerwony ozór.

Sklep wydawał się przestronniejszy, czystszy i panował w nim większy porządek. Hogan podejrzewał, że wrażenie takie częściowo brało się stąd, że była piękna pogoda. Ale nie tylko. Okna zostały dokładnie umyte, a to już robiło bardzo dużo. Wymieniono drewniane ściany na nowe, z sosnowych desek, które ciągle jeszcze pachniały żywicą. W końcu sklepu urządzono bar przekąskowy z pięcioma wysokimi stołkami. Gablota z ciekawostkami ciągle stała na swoim miejscu, ale zniknęły z niej wybuchowe papierosy, śmiacze i proszek do kichania doktora Wacky'ego. Teraz gablotę wypełniały kasety wideo. Przyklepiono tam tabliczkę z odręcznie wykonanym napisem: TYLKO DLA DOROSŁYCH NA TYŁACH SKLEPU PONIŻEJ 18 LAT WSTĘP WZBRONIONY.

Przy kasie stała kobieta odwrócona profilem do Hogana, liczyła coś na kalkulatorze i wybijała cyfry na klawiaturze kasy. W pierwszej chwili Hogan pomyślał, że jest to córka Scooterów – kobiety dodatek do trzech chłopców, o których wspominał Scooter. Kiedy jednak uniosła głowę, Hogan zrozumiał, że to Myra. Aż nie mieściło się w głowie, że jest to ta sama kobieta, której piersi dosłownie wylewały się spod koszulki z napisem NEVADA JEST KRAINĄ BOGA. Pani Scooter straciła co najmniej dwadzieścia pięć kilogramów i ufarbowała sobie włosy na ciemny orzech. Tylko zmarszczki od słońca wokół oczu i ust pozostały te same.

– Zatankował pan paliwo? – zapytała.

– Tak. Za piętnaście dolarów. – Wręczył jej banknot dwudziestodolarowy, a ona wystukała w kasie odpowiednią kwotę.

– Od mojej ostatniej bytności bardzo się tutaj zmieniło.

– Tak, po śmierci Scootera – przyznała i wyjęła z szufladki w kasie pięć dolarów reszty. Wręczając pieniądze, po raz pierwszy spojrzała mu w twarz i zawałała się. – Przepraszam... czy to przypadkiem nie pana o mała nie zamordowano w zeszłym roku, podczas huraganu?

Skinął głową i wyciągnął dłoń.

– Jestem Bill Hogan.

Kobieta bez wahania ujęła jego rękę i mocno nią potrząsnęła nad ladą. Najwyraźniej śmierć męża dodała jej pewności siebie... a może sprawiła to całkowita zmiana trybu życia.

– Przykro mi z powodu pani męża. Sprawiał wrażenie porządnego człowieka.

– Scoot? Tak, dopóki nie zachorował, był miłym facetem – zgodziła się. – A co z panem? Już się pan pozbierał?

Hogan skinął głową.

– Przez prawie sześć tygodni musiałem nosić kołnierz... zresztą nie po raz pierwszy w życiu... ale teraz wszystko jest już w porządku.

Popatrzyła na bliznę przecinającą jego lewy policzek.

– To on to zrobił? Ten dzieciak?

– Zgadza się.

– Nieźle pana haratnął.

– Zgadza się.

– Słyszałam, że podczas katastrofy impet uderzenia wyrzucił go z samochodu. Potem poczołgał się na pustynię i tam umarł.

– Popatrzyła przenikliwie na Hogana. – Czy to prawda?

– Mniej więcej – odparł z lekkim uśmiechem.

– J.T., tutejszy policjant z patrolu drogowego, powiedział, że zwierzęta dobrze się nim zajęły. Pustynne ścierwojady potrafią być bardzo nieprzyjemne.

– Nie wiedziałem o tym.

– J.T. oświadczył, że matka tego młodziaka nie mogła rozpoznać syna – do-
dała pani Scooter, kładąc dłoń na swoim zredukowanym do niewielkich roz-
miarów biuście i popatrzyła na Hogana poważnie. – Niech skonam, jeśli łzę.

Hogan wybuchnął śmiechem. Odkrył, że podczas tygodni i miesięcy, jakie
upłynęły od dnia, kiedy jechał w huraganie, śmieje się coraz częściej. Czasami
wydawało mu się, że od tamtego dnia trochę inaczej patrzy na życie.

– Łaska boska, że pana nie zabił – powiedziała pani Scooter.

– Miał pan niewielkie pole manewru. Sam Bóg musiał nad panem czuwać.

– Co racja, to racja – przyznał Hogan. Popatrzył na gablotę z kasetami wideo.

– Widzę, że nie sprzedaje już pani tych śmiesznych rzeczy.

– Tamtych obrzydliwych staroci? Ma pan rację! Była to pierwsza rzecz, jaką
zrobiłam po... – Jej oczy nieoczekiwanie się rozszerzyły. – Ha, no proszę! Zapom-
niałabym! Mam przecież coś dla pana! Podejrzewam, że Scooter wstałby
z grobu i nie dał mi spokoju, gdybym tego panu nie przekazała!

Hogan ze zdziwieniem zmarszczył brwi, ale kobieta stała już za ladą. Wspięła
się na palce i zdjęła coś z najwyższej półki nad stojakiem z papierosami. Była
to, co zupełnie bez zdziwienia skonstatował Hogan, Ogromna Gryziszczęka.
Pani Scooter postawiła ją obok kasy.

Z głębokim uczuciem *déjà vu* popatrzył na szeroki, beztroski uśmiech. Oto
obok reklamy suszonego mięsa Slim Jim, stała największa na świecie Gryzisz-
częka w zabawnych pomarańczowych butach, chłodna niczym górski wiatr,
i patrzyła nań z uśmiechem, jakby chciała powiedzieć: „Cześć, to ja! Zapomnia-
łeś o mnie? Ale ja o tobie nie zapomniałam, przyjacielu. Ani na chwilę”.

– Znalazłam to na werandzie następnego dnia, kiedy ucichł wiatr – wyjaśniła
pani Scooter i roześmiała się. – Jak już stary Scoot dawał coś komuś za darmo,
to dawał to w dziurawej torbie.

Chciałam to wyrzucić, ale on oświadczył, że podarował tę zabawkę panu
i powinnam ją zachować. Powiedział, że podróżujący po kraju ludzie, jeśli poja-
wią się raz w jakimś miejscu, pojawią się i drugi... no i proszę, faktycznie pan
się pojawił.

– Tak – przyznał Hogan. – Pojawiłem się.

Podniósł szczękę i wsunął palec między lekko rozchylone zęby. Przeciągnął opuszką po kłach, siekaczach i zębach trzonowych. Usłyszał zawrodozenie pana Bryana Adamsa ze Znikąd w USA: „Ugryź mnie! Ugryź mnie! Ugryyyyź mnie!”.

Czy na wewnętrznych stronach zębów ciągle są jeszcze resztki krwi chłopaka? Hoganowi wydawało się, że coś dostrzega, ale był to zapewne tylko cień.

– Zostawiłam je, ponieważ Scooter powiedział, że ma pan synka.

Hogan skinął głową.

– Mam.

A on – pomyślał – ciągle ma ojca. Ja zaś w ręce trzymam sprawcę tego, że żyję. Pytanie tylko, czy szczęką przewędrowała na swoich nóżkach całą tę drogę dlatego, że tu jest jej dom... czy też dlatego, że wie coś, o czym wiedział Scooter? Wcześniej czy później podróżujący człowiek wraca zawsze tam, gdzie kiedyś był, podobnie jak morderca wraca na miejsce zbrodni.

– No cóż, jeśli pan chce, są pańskie – powiedziała właścicielka sklepu i przez chwilę patrzyła na Hogana z uwagą... a potem się roześmiała. – Choroba, na pewno bym te zęby wyrzuciła, ale na śmierć o nich zapomniałam. No tak, ale zabawka ciągle jest zepsuta.

Hogan pokręcił sterczącym kluczykiem. Obrócił się ze zgrzytem dwukrotnie, a później już kręcił się bez oporu. Zepsuta. Oczywiście, że zepsuta. I będzie zepsuta tak długo, aż sama zdecyduje, że nie chce być dłużej zepsuta. I pytanie nie brzmiało wcale, w jaki sposób tutaj wróciła, ale dlaczego to zrobiła.

Pytanie brzmiało: Czego chce?

Znów wsunął palec w wyszczerzone w lekkim uśmiechu stalowe zęby i szepnął:

– Ugryź mnie... czy chcesz mnie ugryźć?

Zęby stały na swoich pomarańczowych nóżkach i szczyrzyły się w uśmiechu.

– Wygląda na to, że nie chce odpowiedzieć – stwierdziła pani Scooter.

– Ano, nie – zgodził się Hogan i nieoczekiwanie pomyślał o chłopaku.

Pomyślał o panu Bryanie Adamsie ze Znikąd w USA. Pomyślał o innych, podobnych mu dzieciakach. O maślakach i młodziakach jak wiatr przemierzają-

cych autostrady, zawsze gotowych zabrać bliźniemu portfel, powiedzieć: „Pierdol się, cukiereczku” i dać nogę. Człowiek może nie brać autostopowiczów (tak jak Hogan), może w domu założyć alarmy (to Hogan również zrobił), ale ciągle istnieją na świecie miejsca, na które z nieba spadają samoloty, istnieją świry, którym nie wiadomo, co do łba strzeli, i zawsze należy się trochę zabezpieczyć. Ostatecznie Hogan miał żonę.

I syna.

Bardzo dobrze, jeśli Jack postawi na swoim biurku Magiczną Gryziszczkę. Na wypadek, gdyby coś się miało wydarzyć. Tylko na wypadek.

– Dziękuję, że pani ją przechowała – oświadczył, biorąc delikatnie Gryziszczkę za nogi. – Myślę, że chociaż jest zepsuta, spodoba się Jackowi.

– Niech pan dziękuje Scootowi, nie mnie. Chce pan torbę? – uśmiechnęła się.
– Dam panu plastikową... żadnych dziur, gwarantuję.

Hogan potrząsnął głową i wsunął Gryziszczkę do kieszeni sportowej kurtki.

– Tak ją wezmę – odparł i odwzajemnił uśmiech. – Wolę mieć ją pod ręką.

– Jak pan uważa. – Kiedy ruszał w stronę drzwi, zawołała:

– Proszę tu jeszcze kiedyś zajechać. Robię przepyszne kanapki z sałatką z kurczaka.

– Wierzę pani i na pewno wpadnę – odrzekł Hogan.

Zszedł po schodkach, a potem przez chwilę stał w promieniach palącego, pustynnego słońca. Uśmiechał się. Czuł się wspaniale – w ogóle ostatnio czuł się wspaniale. Doszedł do przekonania, że tak właśnie powinno być.

Po lewej stronie dźwignął się z ziemi Wylk, Zadziwiający Kojot z Minnesoty, wystawił przez siatkę klatki pysk i zaszczekał. W kieszeni Hogana zaklekotała Gryziszczka. Cicho, ale Hogan ją dosłyszał... i poczuł, jak przedmiot się poruszył. Poklepał się po kieszeni.

– Spokojnie, duży kolego – powiedział łagodnie.

Przeszedł szybko dziedziniec, wskoczył za kierownicę nowego chevroleta i ruszył w kierunku Los Angeles. Obiecał Licie i Jackowi, że będzie w domu około dziewiętnastej, a był człowiekiem, który lubi dotrzymywać słowa.

Dedykacja

Za rogiem, z dala od portierów, limuzyn, taksówek i obrotowych drzwi prowadzących do Le Palais, najstarszego i najwspanialszego hotelu w Nowym Jorku, znajdują się inne drzwi, małe, nieoznakowane, o których przeważnie się nie mówi.

Pewnego ranka, kwadrans po siódmej, pojawiła się przy nich Martha Rosewall. Na ramieniu niosła błękitną brezentową torbę. Uśmiechała się. Torba na ramieniu była rzeczą zwykłą; uśmiech – dużo rzadszą. Lubiła swoją pracę – stanowisko głównej pokojówki odpowiedzialnej za dziesiąte, jedenaste i dwunaste piętro w Le Palais mogło wydawać się niektórym mało ważne i nieciekawe, ale dla kobiety, która pochodziła z Babylon w Alabamie i jako dziecko nosiła sukienki z worków po ryżu lub mące, praca ta była bardzo ważna i atrakcyjna. Lecz bez względu na zawód, czy to mechanika samochodowego, czy gwiazdy filmowej, w powszednie dni twarze osób, które muszą z rana stawić się w pracy mówią: „Ciągle jeszcze jestem w łóżku”. Tylko to i nic więcej. Ale dla Marthy Rosewall nie był to jeden ze zwykłych, powszednich poranków.

Wszystko przestało biec zwykłym torem poprzedniego wieczoru, kiedy wróciła z pracy do domu i znalazła przesyłkę od swego syna z Ohio. Nadeszło wreszcie to od dawna spodziewane i od dawna oczekiwane. Niewiele spała tej nocy – musiała dokładnie sprawdzić, że to, co jej przysłał, jest prawdziwe i ciągle to ma. W końcu, kiedy wreszcie poszła spać, trzymała to coś pod poduszką jak panna młoda kawałek weselnego ciasta.

Teraz otworzyła kluczem niewielkie drzwi z dala od głównego wejścia do hotelu, zeszła po trzech stopniach i znalazła się w długim pomalowanym na zielono korytarzu, w którym stały rzędy wózków firmy Dandux służących do trans-

portu bielizny. Piętrzyły się na nich stosy świeżo wypranej i wyprasowanej pościeli. Korytarz wypełniała bijąca od niej woń świeżości, która Marcie zawsze kojarzyła się w jakiś mglisty sposób z zapachem pieczonego właśnie w piecu chleba. Z głównego foyer rozlegały się niewyraźnie tony muzyki z hotelowego radiowęzła, ale Martha przykładała do niej taką samą wagę jak do szumu służbowych wind czy brzęku porcelany dobiegającego z kuchni.

W połowie korytarza znajdowały się drzwi z napisem: SEKCJA GOSPODAR-CZA. Martha weszła do pomieszczenia, powiesiła na wieszaku płaszcz i przeszła przez rozległy pokój, gdzie pokojówki – było ich w sumie jednaście – spędzały przerwy śniadaniowe, zastanawiały się, co i gdzie zamówić, oraz wykonywały niekończącą się nigdy papierkową robotę. Obok tego pomieszczenia z wielkim biurkiem, ogromną tablicą z ogłoszeniami i zawsze przepełnionymi popielniczkami znajdowała się garderoba. Ściany zostały tu wykonane z nietynkowanych bloków żużlowych pomalowanych na zielono. Znajdowały się tam ławki, zamknięte na zamki szafki i dwa długie stalowe pręty z wieszakami na ubrania.

W odległym końcu przebieralni widniały drzwi prowadzące do pryszniców i toalet. W tej chwili właśnie drzwi te otworzyły się i stanęła w nich spowita kłębami pary Darcy Sagamore, ubrana w hotelowy puchaty płaszcz kąpielowy. Popatrzyła na rozjaśnioną twarz Marthy, uśmiechnęła się promiennie i natychmiast ruszyła w jej stronę z wyciągniętymi ramionami.

– Przyszła, prawda? – zawołała. – Otrzymałaś ją! Masz to wypisane na twarzy!

Martha nie zdawała sobie sprawy z tego, że ma w oczach łzy. Poczowała je dopiero w chwili, kiedy zaczęły spływać po policzkach. Przygarnęła do siebie Darcy i wtuliła twarz w jej wilgotne, ciemne włosy.

– W porządku, kochanie – powiedziała Darcy. – Opowiedz teraz o wszystkim.

– Darcy, jestem z niego taka dumna... tak cholernie dumna!

– Oczywiście. Dlatego płaczesz i to jest w porządku... Chciałabym wreszcie ją zobaczyć. – Uśmiechnęła się. – Ale trzymaj ją. Gdyby skapnęła na nią choć kropla wody z moich włosów, chybaś podbiła mi oko.

Tak więc Martha, z uszanowaniem zarezerwowanym wyłącznie dla największ-

szych świętości (a tym dla Marthy Rosewall ta rzecz była), wyjęła z niebieskiej, brezentowej torby pierwszą powieść swego syna. W domu zawinęła ją w bibułę i schowała do torby pod brązowy, nylonowy uniform roboczy. Teraz rozwinęła to opakowanie tak, żeby Darcy mogła obejrzeć jej skarb.

Darcy przyjrzała się dokładnie okładce, na której widniał rysunek trzech komandosów, z których jeden miał obandażowaną głowę, pędzących pod górę i strzelających z broni maszynowej. Tytuł, „Płomień chwały”, wypisany był ognistymi, czerwonopomarańczowymi literami, a na dole okładki widniał napis: „Powieść Petera Rosewalla”.

– Bardzo dobrze, świetne, cudowne, ale teraz pokaż mi to drugie – odezwała się Darcy tonem kobiety, która pragnie jak najszybciej uporać się z rzeczami mało interesującymi i przejść do meritum sprawy.

Martha skinęła głową i bez wahania otworzyła książkę na karcie tytułowej, a Darcy przeczytała dedykację: *Książkę tę dedykuję Mojej Matce, MARCIE ROSEWALL. Mamo, bez Ciebie książka ta nigdy by nie powstała.* Poniżej wydrukowanej dedykacji widać było dopisek zrobiony cokolwiek staroświeckim charakterem pisma: *To prawda. Kocham Cię, Mamo! Pete.*

– Czyż nie jest to urocze? – zapytała Darcy i otarła ciemne oczy kantem dłoni.

– To więcej niż urocze – odrzekła Martha i ponownie zawinęła książkę w bibułę. – To prawda.

Uśmiechnęła się, a w tym uśmiechu jej stara przyjaciółka, Darcy Sagamore, ujrzała coś więcej niż miłość. Ujrzała triumf.

O piętnastej, po podbiciu kart zegarowych, Martha i Darcy miały zwyczaj wpadać do La Patisserie, hotelowej kawiarni. Przy rzadkich okazjach zachodziły do Le Cinq, niewielkiego baru mieszczącego się tuż obok głównego holu, na kieliszek czegoś mocniejszego. A nie było przecież lepszej niż ta okazji, żeby wstąpić właśnie do Le Cinq. Darcy usadziła swą przyjaciółkę w łoży, zostawiła jej pucharek z krakersami Goldfish, a sama podeszła na chwilę do Raya, który tego popołudnia miał dyżur za barem. Martha widziała, jak uśmiecha się do

Darcy, kiwa głową, po czym pokazuje palcem wskazującym i kciukiem prawej dłoni kóleczko. Darcy z zadowoloną miną wróciła do łoży. Martha popatrzyła na nią podejrzliwie.

– O czym rozmawialiście?

– Zobaczysz.

Pięć minut później pojawił się Ray ze srebrnym wiaderkiem z lodem i postawił je na brzegu stolika. W środku była butelka szampana Perrier-Jouet i dwa kieliszki.

– Tutaj, teraz! – wykrzyknęła Martha na wpół przerażona, na wpół roześmiana i popatrzyła zaskoczona na Darcy.

– Ciii – odparła Darcy, więc Martha zamilkła.

Ray otworzył butelkę, położył korek obok Darcy i nalał odrobinę trunku do jej kieliszka. Darcy wykonała szeroki gest ręką, a potem mrugnęła do Raya.

– Dobrej zabawy, moje panie – powiedział barman i przesłał Marcie dłonią pocałunek. – Pogratuluj ode mnie swemu chłopakowi, kochanie.

Zanim oszołomiona Martha zdążyła cokolwiek powiedzieć, Ray odszedł.

Darcy napełniła kieliszki i uniosła swój. Po chwili to samo uczyniła Martha. Stuknęły się lekko szkłem.

– Za pierwszy krok w karierze twego syna – powiedziała Darcy. Obie wypily po łyku. Darcy ponownie dotknęła kieliszkiem kieliszka Marthy. – I za niego. – Ponownie wypily, lecz zanim Martha zdążyła odstawić naczynie, Darcy po raz trzeci stuknęła w nie swoim. – I za matczyną miłość.

– Amen – odparła Martha, a choć usta się jej śmiały, oczy pozostawały poważne.

Przy pierwszych dwóch toastach sączyła za każdym razem tylko odrobinę szampana. Teraz wypila zawartość kieliszka do końca.

Darcy zamówiła butelkę szampana nie tylko po to, żeby w wielkim stylu, na jaki sobie zasłużył syn jej najbliższej przyjaciółki, uczcić jego sukces. Zaintrygowały ją również słowa, które wypowiedziała Martha: „To więcej niż urocze. To prawda”. I ciekawił ją ów wyraz triumfu na twarzy Marthy.

Odczekała, aż przyjaciółka skończy trzeci kieliszek szampana, i wtedy dopiero zadała pytanie:

– O co ci chodziło z tą dedykacją?

– Słucham?

– Powiedziałaś, że to więcej niż urocze. Że to prawda. Martha tak długo spoglądała na nią w milczeniu, że Darcy w pewnej chwili sądziła już, że nie doczeka się odpowiedzi. W końcu Martha wybuchnęła śmiechem tak gorzkim, że Darcy poczuła się wstrząśnięta. Nie wpadłoby jej do głowy, że ta uroczą Martha Rosewall może mieć w sobie tyle goryczy, mimo że wiedziała, iż jej życie nie było usłane różami. Ale w tym śmiechu czuło się również ów triumf, niepokojący kontrapunkt.

– Jego książka stanie się bestsellerem, który krytycy będą smakować jak najpyszniejsze lody – odezwała się Martha.

– Świście w to wierzę, ale nie dlatego, że Pete tak twierdzi... bo tak twierdzi. Wierzę ze względu na to, co się z nim stało.

– Z kim?

– Z ojcem Pete'a – wyjaśniła Martha.

Złożyła ręce na stoliku i popatrzyła spokojnie na Darcy.

– Ale... – zaczęła Darcy i urwała.

Johnny Rosewall, naturalnie, nie napisał w życiu żadnej książki. Bardziej w jego stylu były podpisy na rewersach lub wypisywanie sprayem na murze: „Mam ciebie w dupie, mamuśka”. A tu wygląda na to, że Martha mówi...

Daj sobie z tym spokój – napomniała się w duchu Darcy.

– Doskonale wiesz, co Martha mówi. Może i była już żoną Johnny'ego, kiedy zaszła w ciążę, ale faktycznym ojcem dzieciaka musiał być ktoś inny, ktoś znacznie bardziej inteligentny.

Z tym tylko, że to się kupy nie trzymało. Darcy nigdy nie poznała Johnny'ego osobiście, ale w albumie Marthy widziała z pół tuzina jego fotografii. Doskonale też znała Pete'a – tak dobrze, że przez dwa ostatnie lata, kiedy chodził do gimnazjum, i przez pierwsze dwa lata studiów myślała czasami o nim tak, jakby po trosze był i jej dzieckiem. Poza tym fizyczne podobieństwo chłopca, któ-

ry spędzał u niej w kuchni tyle czasu, do mężczyzny ze zdjęć...

– Cóż, Johnny był biologicznym ojcem Pete'a – stwierdziła Martha, jakby czytała w myślach przyjaciółki. – Wystarczyło spojrzeć na ich nosy i oczy. Ale nie był jego ojcem naturalnym... nie ma już więcej tych bąbelków? One tak gładko wchodzą w człowieka.

Gdy Martha była na rauszu, w jej głosie jak dzieciak wyczołgujący się z kryjówki pojawiał się południowy akcent.

Darcy wlała prawie cały szampan, jaki pozostał, do kieliszka Marthy, która uniosła naczynie za nóżkę i popatrzyła przez płyn na salę. Łagodne popołudniowe światło zalewające Le Cinq przybierało barwę złota. Następnie upiła maleńki łyżeczek i znów wybuchnęła gorzkim, szorstkim śmiechem.

– Nie masz zielonego pojęcia, o czym mówię, prawda?

– Nie, kochanie, nie mam.

– Cóż, wyjaśnię ci – powiedziała Martha. – Po tych wszystkich latach muszę komuś powiedzieć... zwłaszcza teraz, kiedy wydał swoją książkę i wybił się po tak długim okresie zmudnych przygotowań. Bóg mi świadkiem, że nie mogę mu tego powiedzieć... zwłaszcza jemu. Ale ostatecznie szczęśliwi synowie nigdy nie wiedzą, jak bardzo matki ich kochają ani jakie ponoszą dla nich ofiary. Czyż nie mam racji?

– Chyba masz – przyznała Darcy. – Martho, kochanie, może powinnaś jednak przemyśleć sprawę i zastanowić się, czy naprawdę chcesz mi o wszystkim opowiedzieć...

– Nie, nawet się nie domyślają – powiedziała Martha, a Darcy uświadomiła sobie, że jej ostatnie słowa w ogóle do przyjaciółki nie dotarły. Martha Rosewall przebywała już w jakimś swoim wewnętrznym świecie. Kiedy znów spojrzała na Darcy, na jej ustach pojawił się osobliwy uśmiech, który bardzo się Darcy nie spodobał. – Nie domyślają się – powtórzyła. – Jeśli chcesz wiedzieć, co naprawdę znaczy słowo „dedykacja”, myślę, że musisz spytać o to matkę. Co o tym myślisz, Darcy?

Darcy, nie wiedząc, co odpowiedzieć, mogła jedynie w milczeniu potrząsnąć głową. Martha jednak zrozumiała gest przyjaciółki w ten sposób, jakby Darcy

całkowicie podzielała jej zdanie. Zaczęła mówić.

Nie musiała przypominać podstawowych faktów. Obie pracowały w Le Palais od jedenastu lat i przez prawie cały ten czas się przyjaźniły.

A najbardziej podstawowym z tych podstawowych faktów – mogłaby powiedzieć Darcy (w każdym razie do dnia, kiedy poszły do Le Cinq) – było to, że Martha wyszła za niezbyt interesującego człowieka, który bardziej interesował się alkoholem i prochami – nie mówiąc już o kobietach, które kiwały na niego biodrami – niż kobietą, którą poślubił.

Kiedy go spotkała, Martha przebywała w Nowym Jorku zaledwie od kilku miesięcy; po prostu dziecko we mgle. Będąc w drugim miesiącu ciąży powiedziała: „Tak”. Cięża czy nie – wielokrotnie mówiła do Darcy – to jednak bardzo dokładnie przemyślała całą sprawę, zanim zgodziła się wyjść za Johnny’ego. Czowała do niego wdzięczność za to, że z nią został (już wtedy dobrze wiedziała, że bardzo wielu mężczyzn, kiedy tylko z ust kobiety padają słowa: „Jestem w ciąży”, rozgląda się za czapką i znika w ciągu pięciu minut), ale bynajmniej nie była ślepa na jego wady. Doskonale zdawała sobie sprawę, co by jej matka i ojciec – zwłaszcza ojciec – zrobili z Johnnym Rosewallem, jego czarnym t-birdem i biało-czarnymi lakierkami kupionymi tylko dlatego, że Johnny widział kiedyś Memphis Slima, który występował w Harlemie w teatrze Apollo dokładnie w takich samych.

Martha w trzecim miesiącu poroniła. Po kolejnych pięciu miesiącach postanowiła zrobić bilans zysków i strat – głównie strat. Było zbyt wiele późnych powrotów do domu, mętnych usprawiedliwień i podbitych oczu. Powiedziała, że kiedy Johnny jest na bani, najbardziej kocha własne pięści.

„Prezentował się zawsze wspaniale – oświadczyła pewnego razu Darcy – ale jak ktoś urodził się z gównem na butach, to choćby nie wiadomo, jak świetnie wyglądał, będzie miał gówno na butach”.

Zanim zdążyła zwinąć manatki, odkryła, że znów jest w ciąży. Tym razem reakcja Johnny’ego była natychmiastowa i brutalna. Przyłożył jej w brzuch kijem od miotły w nadziei, że poroni. Dwa dni później on i dwójka jego kumpli –

równie jak on gustujących w jaskrawych ubiorach i biało-czarnych lakierkach – próbowali obrabować sklep monopolowy na Sto Szesnastej Wschodniej. Właściciel trzymał pod ladą karabin. Wyciągnął go. Johnny Rosewall miał srebrzystą trzydziestkędwójkę, którą Bóg jeden wie, skąd skołował. Wycelował we właściciela, nacisnął spust i pistolet eksplodował. Fragment bębena wszedł mu do mózgu prawym okiem i zabił na miejscu.

Martha pracowała w Le Palais aż do siódmego miesiąca ciąży (było to, oczywiście, jeszcze na długo przed tym, jak nastaly czasy Darcy Sagamore) i wtedy pani Proulx kazała jej wracać do domu, zanim poroni w korytarzu na dziesiątym piętrze albo w windzie do pralni. „Jesteś świetną pracownicą i w każdej chwili przyjmemy cię z powrotem z otwartymi ramionami – oświadczyła Roberta Proulx – ale w tej chwili, dziewczyno, natychmiast zmiataj do domu”.

Martha przestała pracować i w dwa miesiące później urodziła ważącego trzy i pół kilograma chłopca, któremu nadała imię Peter i który został zawodowym pisarzem i stworzył powieść zatytułowaną „Płomień chwały”. Utwór ten, zdaniem wszystkich – łącznie z *Book-of-the Month Club* i *Universal Pictures* – miał przynieść mu sławę i majątek.

To wszystko Darcy słyszała już wcześniej. Reszty – tej nie do uwierzenia reszty – dowiedziała się dopiero owego popołudnia i wieczoru w Le Cinq, przy kieliszkach z szampanem stojących między nimi na stoliku. Egzemplarz okazowy powieści Pete’a spoczywał w brezentowej torbie stojącej u stóp Marthy Rosewall.

– Mieszkaliśmy, oczywiście, w dzielnicy położonej daleko od centrum miasta – powiedziała Martha, spoglądając na kieliszek szampana, który obracała w palcach. – Na Stanton Street, zaraz za Station Park. Odwiedziłam później te okolice. Jest tam jeszcze gorzej, niż było... znacznie gorzej... ale już w czasach, kiedy tam mieszkaliśmy, nie było to miejsce sympatyczne.

Tam gdzie kończy się Stanton Street, już na Station Park, żyła pewna nawiedzona niewiasta. Miejscowi wołali na nią Mama Delorme i większość z nich przysięgała, że ona jest *bruja*, czarownica. Osobiście nie wierzyłam w to gadanie i pewnego razu zapytałam Octavię Kinsolving, która mieszkała w tym sa-

mym budynku co ja z Johnnym, jak ludzie w czasach, kiedy wokół ziemi krążą satelity i uleczalna jest prawie każda choroba, mogą wierzyć w takie bzdury. Tavia była wykształconą kobietą – skończyła Juilliard⁹ – a na Sto Dziesiątej Ulicy mieszkała tylko dlatego, że musiała pomagać matce i trójce młodszych braci. Myślałam, że przyzna mi rację, ale ona tylko się roześmiała i potrząsnęła głową.

„Chcesz mi powiedzieć, że wierzysz w *bruje*?”.

„Nie – odpowiedziała. – Ale w nią wierzę. Ona jest inna. Może na tysiąc... albo dziesięć tysięcy... albo milion kobiet, które twierdzą, że są wiedźmami, jedna jest nią rzeczywiście. Jeśli tak faktycznie jest, to właśnie Mama Delorme jest wiedźmą”. Wybuchnęłam śmiechem. Ludzie, którzy nie potrzebują *brui*, mogą się z nich śmiać. Tak samo jak ludzie, którzy nie potrzebują modlitw, kpią sobie z Boga. Wiesz, mówię o czasach mego pierwszego małżeństwa, a wtedy miałam jeszcze nadzieję, że naprostuję Johnny’ego. Kapujesz?

Darcy skinęła głową.

– Wtedy też poroniłam. Podejrzewam, że główną tego przyczyną był Johnny, jakkolwiek nie chciałam się do tego przyznać. Nawet wtedy. Bez przerwy mnie tłukł i cały czas pił. Brał pieniądze, które mu dawałam, a potem sam już wyciągał mi je z torebki. Kiedy mówiłam, żeby odczepił się od mojej torebki, przybierał żalospną minę i zaklinał się, że nic takiego nie zrobił. To znaczy, mówił tak, kiedy był trzeźwy. Kiedy był pijany, śmiał mi się tylko w nos.

Napisałam do domu, do mamy... Cierpiałam, pisząc ten list, ogarniał mnie wstyd i przy pisaniu płakałam, ale koniecznie chciałam wiedzieć, co ona o tym wszystkim sądzi. Odpisała, że należy z tym natychmiast skończyć, skończyć, zanim wyląduję w szpitalu albo jeszcze gorzej. Moja starsza siostra, Cassandra (zawsze wołaliśmy na nią Kissy) postąpiła jeszcze ładniej. Przesłała mi bilet na autobus Grayhounda z dwoma słowami wypisanymi na kopercie czerwoną szminką: NATYCHMIAST WRACAJ.

Martha znów upiła maleńki łyk szampana.

– No cóż, nie zrobiłam tego. Miałam w sobie zbyt wiele dumy. Uważam, że była to głupia duma. Tak czy siak, wyszło na jedno. Zostałam. Później straciłam

dziecko i znów zaszłam w ciążę... z tym tylko, że jeszcze o tym nie wiedziałam. Rozumiesz, nie miałam porannych nudności... ale przy pierwszej ciąży też ich nie miałam.

– Nie poszłaś chyba do tej Mamy Delorme z powodu ciąży? – zapytała Darcy.

W pierwszej chwili podejrzewała, iż Martha chciała, żeby czarownica dała jej coś na spędzenie płodu... a nawet na miejscu przeprowadziła zabieg.

– Nie – odparła Martha. – Tavia powiedziała, że Mama Delorme powie mi, co to jest ten biały proszek, który znalazłam w kieszeni kurtki Johnny'ego. Biały proszek w małej szklanej buteleczce.

– Ho-ho – mruknęła Darcy.

Na twarzy Marthy pojawił się niewesoły uśmiech.

– Chcesz wiedzieć, jak paskudnie potoczyły się sprawy? Zapewne nie, ale i tak ci opowiem. Niedobrze, jeśli twój mężczyzna pije i nie ma stałej pracy. Bardzo niedobrze, kiedy pije, nie ma pracy i bije cię. Jeszcze gorzej, kiedy ty sprawdzasz mu kieszenie w nadziei, że znajdziesz tam dolara, żeby kupić papier toaletowy w supermarkecie Sunland, a zamiast tego znajdujesz niewielką szklaną buteleczkę z dozownikiem. A wiesz, co jest najgorsze? Że spoglądasz na małą buteleczkę w nadziei, że jest to tylko kokaina, a nie hera.

– I z tą buteleczką poszłaś do Mamy Delorme?

Martha roześmiała się z politowaniem.

– Z całą buteleczką? O, nie! Może nie zaznałam w życiu zbyt wielu szczęśliwych chwil, ale nie chciałam umierać. Gdyby wrócił do domu... a nie wiedziałam, gdzie był... i nie znalazł tej dwugramowej buteleczki, przeorałby mnie jak leśniczy burą sukę. Po prostu wzięłam odrobinę proszku, zawinęłam go w celofan od pudełka z papierosami, poszłam do Tavii, a ta poleciła mi udać się do Mamy Delorme. Poszłam.

– I jaka okazała się ta starucha?

Martha potrząsnęła głową, ponieważ nie potrafiła powiedzieć przyjaciółce, jaka dokładnie była Mama Delorme, jak dziwne pół godziny spędziła w jej mieszkaniu na trzecim piętrze oraz o tym, jak omal nie spadła z szaleńczo stromych schodów, wracając do domu, bo bała się, że ta kobieta pójdzie za nią.

Mieszkanie było mroczne i przenikała je woń świec, starych tapet, cynamonu i skwaśniałych perfum. Na jednej ścianie wisiał obraz z Chrystusem, a na drugiej portret Nostradamusa.

– Jeśli kiedykolwiek istniały czarownice¹⁰, to ona była jedną z nich – stwierdziła w końcu. – Do dzisiaj nie wiem, ile miała lat. Mogła mieć równie dobrze siedemdziesiąt, dziewięćdziesiąt jak i sto dziesięć. Od jej nosa, po prawej stronie, ciągnęła się różowobiała blizna, która przechodziła przez czoło i niknęła we włosach. Wyglądała jak ślad po oparzeniu. Owa blizna powodowała, że Mamie Delorme opadała prawa powieka, co sprawiało takie wrażenie, jakby nieustannie puszczała perskie oko. Siedziała w fotelu na biegunach, a na podółku trzymała robótkę. Kiedy weszłam, stwierdziła: „Mam ci do powiedzenia trzy rzeczy, mała panienko. Po pierwsze, nie wierzysz ty we mnie. Po drugie, butelczka, którą znalazłaś w kieszeni kurtki twego męża, zawiera heroinę White Angel. Po trzecie, jesteś w trzecim tygodniu ciąży. Chłopcu nadasz imię jego naturalnego ojca”.

Martha rozejrzała się po sali, żeby upewnić się, że nikt nie zajął sąsiednich stolików, i zadowolona, że wciąż są same, pochyliła się w stronę Darcy, która jak urzeczona spoglądała na nią w milczeniu.

– Później, kiedy odzyskałam zdolność logicznego myślenia, doszłam do wniosku, że jeśli chodzi o te pierwsze dwie rzeczy, to żeby je znać, nie trzeba było czarownicy; czarownicy czy mentalisty w białym turbanie. Jeśli wcześniej zatelefonowała do niej Tavia Kinsolving z wiadomością, że się pojawię, mogła przy okazji powiedzieć, jaki mam do niej interes. Proste, prawda? A dla kobiety pokroju Mamy Delorme różne takie drobne sztuczki były bardzo istotne, gdyż chcąc uchodzić za *bruja*, musiała zachowywać się jak *bruja*.

– Zapewne masz rację – wtrąciła Darcy.

– A jeśli chodzi o ciążę... cóż, mogła odgadnąć to całkiem przypadkowo. Albo... sama wiesz najlepiej... pewne kobiety mają w tych sprawach nieprawdopodobnego nosa.

Darcy skinęła głową.

– Miałam ciotkę, która zawsze wyczuwała, że ta czy inna kobieta jest w ciąży. Wiedziała to czasami wcześniej niż sama delikwentka. Często zgoła domyślała się, że jakaś kobieta dopiero zajdzie w ciążę, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

Martha roześmiała się i przytaknęła ruchem głowy.

– Twierdziła, że wyczuwa zapach zmiany – kontynuowała Darcy – i potrafiła wyczuć ciążę już następnego dnia.

– Ha-ha – mruknęła Martha. – Słyszałam o tym, ale w moim przypadku było inaczej. Ona po prostu wiedziała, że ja, mimo iż z całych sił starałam się przekonać samą siebie, że wszystko to jest jedna wielka mistyfikacja, wiedziałam i wierzyłam, że ona wie. Kiedy przebywałam w jej towarzystwie, wierzyłam w *bruję*... a w każdym razie wierzyłam, że ona jest *brują*. I owo uczucie nie było jak sen, który mija zaraz po przebudzeniu, czy wychodzenie z transu, kiedy mija urok.

– Co zrobiłaś?

– No cóż, przy drzwiach stało stare krzesło z plecionym siedzeniem. Pomyślałam sobie, że jest to najbardziej odpowiednia dla mnie rzecz, gdyż kiedy powiedziała, co powiedziała, świat zawirował i pociemniał mi przed oczyma. Poczulałam, że kolana odmawiają mi posłuszeństwa. Musiałam usiąść i gdyby nawet nie było tam krzesła, usiadłabym na podłodze.

A ona po prostu czekała, aż dojdę do siebie, i tymczasem zajęła się robótką. Wyglądało na to, że była świadkiem takich scen ze sto razy. I przypuszczalnie była.

Kiedy wreszcie serce zaczęło bić mi normalnie, otworzyłam usta i oświadczyłam: „Chcę opuścić mego męża”.

„Nie – odparła natychmiast. – To on opuści ciebie. Zobaczysz, jak odchodzi. Nie odchodź, kobieto. Jest niewiele pieniędzy. Myślisz, że on zabije ci dziecko w łonie, ale to mu się nie uda”.

„Skąd...” – zapytałam, ale tylko to jedno potrafiłam z siebie wykrztusić, więc powtarzałam na okrągło: „Skąd-skąd-skąd”, zupełnie jak na starej, zacinającej się bluesowej płycie Johna Lee Hookera. Nawet teraz, po dwudziestu sześciu la-

tach, czuję ten zapach palących się świec, bijącą z kuchni woń nafty i kwaśny, niczym fetor starego sera, zapach schnących tapet. Cały czas mam przed oczyma obraz Mamy Delorme, drobnej i kruchej, w starej niebieskiej sukience w regularne, okrągłe wzorki niegdyś białe, a wtedy już pożółkłe jak gazeta na słońcu. Była taka malutka, ale czuło się bijącą od niej moc jak jasne, jaskrawe światło...

Martha wstała, podeszła do baru, porozmawiała o czymś z Rayem i wróciła do stolika z wielką szklanką wody, którą prawie całą wypija jednym haustem.

– Lepiej? – zapytała Darcy.

– Trochę. – Martha wzruszyła ramionami, a potem się uśmiechnęła. – Nie ma sensu dłużej poruszać tego tematu. Gdybyś tam była, poczułabyś to. Poczułabyś ją.

„Nieistotne, skąd o tym wiem i dlaczego poślubiłaś ten kawałek wiejskiego gówna – oświadczyła Mama Delorme. – Istotne jest, żebyś znalazła dla dziecka naturalnego ojca”.

Ktoś, kto słyszałby jej słowa, mógł pomyśleć, że stara namawia mnie, bym olała swego mężczyznę, ale nawet nie przyszło mi do głowy gniewać się za to na Mamę Delorme.

„O czym pani mówi? – zapytałam. – Naturalnym ojcem dziecka jest Johnny”. Parsknęła śmiechem i pogardliwie machnęła ręką.

„W tym człowieku nie ma nic naturalnego” – oświadczyła.

Następnie pochyliła się w moją stronę, a mnie ogarnął lekki niepokój. Tak dużo wiedziała, ale wiedza ta nie była wcale przyjemna.

„Dziewczyno, każde dziecko, które nosi w sobie kobieta, wyrzuca ze swej fu-jary mężczyzna – oświadczyła. – Wiesz o tym, prawda?”.

Nie wiem, czy w taki sposób ujmują to książki medyczne, ale czułam, że kiwam głową, w górę i w dół, jakby Mama wyciągnęła przez pokój niewidzialne ręce, ujęła moją głowę i kazała nią kiwać.

„To prawda – powiedziała do siebie i przytaknęła jeszcze ruchem głowy. – Tak to właśnie zaplanował Bóg... jak huśtawkę. Mężczyzna wyrzuca ze swej fu-jary dziecko, a zatem dziecko w większej części jest jego. Ale to kobieta nosi je

pod sercem, ona sprawia, że dziecko rośnie, a zatem dziecko w większej części jest jej. Dokładnie w taki sposób toczy się świat, ale istnieją wyjątki od reguły i twój przypadek jest właśnie jednym z nich. Mężczyzna, który zrobił ci dziecko, nie jest jego naturalnym ojcem... nie jest nim nawet, jeśli ci je zrobił. Zniechęciłbyś go jeszcze przed narodzeniem, gdyby wiedział, że tak naprawdę dzieciak nie jest jego. Mężczyzna nigdy tego nie wyczuje ani nie zrozumie, ale pojmie to, jeśli dzieciak będzie kompletnie inny... a twój dzieciak tak będzie różnił się od owego prymitywnego Johnny'ego Rosewalla, jak dzień różni się od nocy. A więc, dziewczyno, powiedz mi, kto jest naturalnym ojcem?”. – I pochyliła się w moją stronę.

Potrząsnęłam tylko głową i oświadczyłam, że nie wiem, o czym mówi. Sądzę jednak, że coś we mnie – coś w moim umyśle, coś, co mogłam tylko wyobrazić sobie w snach – sprawiało, że wiedziałam. Może zresztą tylko tak mi się wydaje teraz, kiedy już wszystko wiem. Ale nie sądzę. Myślę, że przez ułamek sekundy wtedy już znałam jego imię.

„Nie wiem, co chce mi pani powiedzieć – odrzekłam. – Nie wiem nic o naturalnych i nienaturalnych ojcach. Nie wiem nawet, czy jestem w ciąży, ale jeśli tak, to jestem w ciąży z Johnnym, ponieważ to jedyny mężczyzna, z którym śpiam!”.

Przez chwilę milczała, po czym się uśmiechnęła. Jej uśmiech był niczym promień słońca, który mnie ukoił.

„Nie chciałam cię wystraszyć, kochanie – powiedziała cicho.

– Wcale nie. Miałam po prostu wizję, a one są czasami bardzo natarczywe. Zrobię herbatę, a ty się uspokoisz. Będzie ci smakować. Herbata to moja specjalność”.

Chciałam jej powiedzieć, że nie chcę żadnej herbaty, ale nie byłam w stanie wykrztusić słowa. Nie mogłam po prostu otworzyć ust, opuściły mnie wszystkie siły.

Mama Delorme miała obskurną, małą kuchenkę ciemną jak piwnica. Siedziałam na krześle obok drzwi i patrzyłam, jak wsypuje herbatę do poszczerbionego porcelanowego imbryka i stawia go na gazowej kuchence. Pomyślałam, że wca-

le nie mam ochoty na żadną jej specjalność ani na nic, co przyniesie mi z tej maleńkiej, obskurnej kuchni. Postanowiłam przez grzeczność wypić, a potem zabrać tyłek w troki i nigdy już więcej do tej staruszki nie wrócić.

Ale ona przyniosła na tacy dwie porcelanowe filiżanki, czyste jak śnieg, ciernicę, śmietankę i dwie drożdżówki. Nalała herbatę, która miała silny, smaczkowity aromat. Zanim się zorientowałam, wypiliśmy dwie filiżanki i zjadłam ciastko.

Ona też wypija filiżankę herbaty i zjadła drożdżówkę, prowadząc przy tym zwykłą rozmowę – o znajomych z sąsiedztwa, o Alabamie, skąd pochodziłam, o sklepach, w których robiłam zakupy, i o innych, codziennych sprawach. Kiedy popatrzyłam na zegarek, zobaczyłam, że upłynęło półtorej godziny. Próbowałam wstać z krzesła, ale doznałam tak silnego zawrotu głowy, że musiałam z powrotem usiąść.

Darcy patrzyła na nią okrągłymi ze zdumienia oczyma.

– „Dała mi pani jakiś narkotyk” – zapytałam z lękiem, ale bała się tylko jakaś mniej ważna część mnie.

„Dziewczyno, próbuję ci pomóc – powiedziała Mama Delorme.

– Ale ty nie chcesz mi dać tego, czego potrzebuję, a ja cholernie dobrze wiem, że nie zamierzasz zrobić tego, co należy, mimo że raz już to zrobiłaś... muszę więc dać ci impuls. Tak. Teraz chwileczkę się prześpisz. To wszystko. Ale przedtem wyznaj mi imię i nazwisko naturalnego ojca swego dziecka”.

I wtedy, siedząc na tym krześle o zniszczonym, plecionym siedzeniu, gdy do mych uszu dobiegał wpadający przez okno jej salonu głośny hałas ruchu ulicznego, ujrzałam go tak wyraźnie, jak widzę w tej chwili ciebie, Darcy. Nazywał się Peter Jefferies i był równie biały jak ja czarna, równie wysoki jak ja niska, równie wykształcony jak ja niedouczona. Różniliśmy się od siebie pod każdym względem, różniliśmy się od siebie najbardziej, jak tylko ludzie mogą się od siebie różnić. Z wyjątkiem jednego – oboje pochodziliśmy z Alabamy; ja z Babylon, niedaleko granicy z Florydą, on z Birmingham. Nie wiedział nawet o moim istnieniu – byłam po prostu jedną z czarnych pokojówek zajmujących się jego hotelowym apartamentem na jedenastym piętrze, w którym zawsze się zatrzy-

mywał. Staralam się trzymać od niego jak najdalej, ponieważ słyszałam, jak rozmawia z ludźmi i jak postępuje. Dobrze zdawałam sobie sprawę z tego, jakiego rodzaju jest człowiekiem. Nie chodziło tylko o to, że nie wypiłby ze szklanki, z której uprzednio pił Murzyn, gdyby naczynie nie zostało dokładnie umyte. W swojej pracy spotkałam wystarczająco wielu osobników tego pokroju, żeby się z nimi oswoić. Kiedy zacznie się traktować ludzi w pewien sposób, nie ma już znaczenia kolor skóry. On należał do tego cholernego klanu, w którym spotyka się ludzi o różnej barwie skóry.

I wiesz co? On pod wieloma względami przypominał Johnny'ego, czy raczej taki właśnie mógłby być Johnny, gdyby miał więcej rozumu, był bardziej wykształcony, gdyby Bóg zechciał dać mu prawdziwy talent, a nie wyłącznie pociąg do narkotyków i gorących, mokrych cipek.

Nie zawracałam sobie głowy Jefferiesem, po prostu schodziłam mu z drogi. Ale kiedy Mama Delorme pochyliła się w moją stronę i o mało nie udusił mnie zapach cynamonu emanujący z każdego poru jej ciała, bez wahania wymówiłam to imię i nazwisko.

„Peter Jefferies – powiedziałam. – Peter Jefferies, mężczyzna, który, gdy nie przebywa u siebie w Alabamie i nie pisze książek, zajmuje pokój numer tysiąc sto sześćdziesiąty trzeci. On jest naturalnym ojcem. Ale on jest biały!”

Mama Delorme jeszcze bardziej pochyliła się nade mną. „Nie, wcale nie, kochanie. Wcale nie jest biały. Wewnątrz, tam gdzie naprawdę żyją, oni wszyscy są czarni. Może mi nie wierzysz, ale tak jest. W środku są czarni jak noc, nawet podczas stworzonego przez Boga dnia. Ale każdy mężczyzna potrafi wnieść w mrok światło i dlatego może sprawić, że kobieta urodzi białe dziecko. Naturalność nie ma nic wspólnego z kolorem. A teraz zamknij oczy, kochanie, ponieważ jesteś zmęczona... jesteś bardzo zmęczona. Teraz! Mówię ci! Teraz! Nie opieraj się! Mama Delorme nie zrobi ci krzywdy. Chce ci po prostu coś dać. A teraz... nie, nie patrz, po prostu zaciśnij dłoń na tym, co ci daję”.

Zrobiłam, co mi powiedziała, i poczułam, że trzymam w ręku coś kwadratowego. Coś, co przypominało szkło lub plastik.

„Kiedy nadejdzie odpowiedni czas, wszystko będziesz pamiętała. A teraz,

śpij. Ciii... śpij... ciii...”.

I zasnęłam – ciągnęła Martha. – Następne, co pamiętam, to to, że uciekałam po schodach, jakby gonił mnie sam diabeł. Nie wiedziałam, od czego uciekam, ale to nie miało znaczenia. Po prostu uciekałam. Później wróciłam tam tylko raz, ale Mamy Delorme już nie spotkałam.

Martha umilkła i obie przyjaciółki rozejrzały się po sali jak kobiety, które dzieliły ten sam sen. Le Cinq zaczynał się zapełniać – dochodziła już siedemnasta i w barku pojawiali się pracownicy na drinka. Nagle Martha i Darcy, choć nie powiedziały tego na głos, zapragnęły wyjść. Nie miały już na sobie służbowych ubrań, ale też nie chciały przebywać w towarzystwie ludzi z teczkami, którzy prowadzili rozmowy o rynku papierów wartościowych, akcjach i kwitach celnych.

– Mam w domu zapiekanekę i sześć puszek piwa – powiedziała bojaźliwym tonem Martha. – Mogę ją podgrzać, a piwo wychłodzić... jeśli naturalnie masz ochotę wysłuchać do końca mojej historii.

– Kochanie, sądzę, że mam ochotę – odparła Darcy z nerwowym uśmiechem.

– Więc ci opowiem – obiecała poważnie, bez uśmiechu Martha.

– Ale najpierw powinnam zadzwonić do męża. Zawiadomię go, że wrócę trochę później.

– Oczywiście.

Kiedy Darcy dzwoniła, Martha ponownie sprawdziła, czy ma w torbie swą drogocenną książkę.

Zjadły zapiekanekę i otworzyły po puszcze piwa. Później Martha ponownie spytała, czy Darcy ma ochotę wysłuchać do końca jej opowieści.

– Będę z tobą absolutnie szczerą; pewne fragmenty tej historii nie są miłe. Są gorsze niż te magazyny, które znajduje się po śmierci samotnych mężczyzn w ich mieszkaniach.

Darcy znała ten rodzaj czasopism, ale nie wyobrażała sobie swej przyzwoitej, sympatycznej i skromnej przyjaciółki studiującej zdjęcia w tych magazynach. Wyjęła z lodówki kolejne piwa, a Martha zaczęła mówić.

– Wróciłam do domu, zanim zdołałam do końca się rozbudzić, a ponieważ nie pamiętałam dobrze tego, co się naprawdę wydarzyło u Mamy Delorme, uznałam, że najlepiej będzie, najbezpieczniej, uznać to wszystko za sen. Ale proszek, który wzięłam z buteleczki znalezionej w kieszeni Johnny’ego, nie był snem. Ciągłe leżał zawinięty w celofan z paczki po papierosach. Chciałam się tego pozbyć i nigdy więcej nie spotkać się z *bruja*. Może i nie miałam powodów przeszukiwać kieszeni Johnny’ego, ale on miał powód, żeby przeszukiwać moje, ponieważ mógł tam znaleźć dolara lub dwa.

Ale nie tylko ten proszek znalazłam w swojej kieszeni. Znalazłam coś jeszcze. Wyjęłam to i dokładnie obejrzałam. Wiedziałam już na pewno, że byłam u Mamy, jakkolwiek nie pamiętałam, co się tam wydarzyło.

Było to małe, plastikowe, kwadratowe pudełeczko z przezroczystym wieczkiem. W środku odkryłam jakiś wysuszony grzyb... po tym, co słyszałam o tej kobiecie od Tavii, podejrzewałam, że mógł to być muchomor; i to zapewne z tych, które nocą sprowadzają na człowieka tak straszliwe bóle, że chce się umrzeć.

Postanowiłam, że spuszczę go z wodą w sedesie razem z proszkiem, który Johnny wdychał, ale jakoś nie potrafiłam się na to zdobyć. Odnosiłam paskudne wrażenie, że Mama Delorme jest ze mną w pokoju i nie pozwala mi tego uczynić. Popatrzyłam nawet w wiszące w salonie lustro, żeby sprawdzić, czy ona nie stoi tuż za mną.

W końcu wysypałam tę odrobinę proszku do zlewu w kuchni, a małe plastikowe pudełeczko schowałam do wiszącej nad zlewem szafki. Wspięłam się na palce i wsunęłam je najgłębiej, jak mogłam. Później o wszystkim zapomniałam.

Martha milczała dłuższą chwilę, nerwowo bębniąc palcami po blacie stołu.

– Myślę, że powinnam ci coś więcej powiedzieć o Peterze Jefferiesie – odezwała się w końcu. – Powieść mojego Pete’a traktuje o Wietnamie i o tym, co z własnego doświadczenia wie o wojsku. Książki Petera Jefferiesa są o tym, co, gdy bawił się z przyjaciółmi i był już pijany, określał mianem Drugiej Światówki. Pierwszą powieść napisał w czasach, gdy jeszcze służył w wojsku. Ukazała się drukiem w czterdziestym szóstym roku. Nosiła tytuł: „Płomień niebios”.

Darcy dłuższą chwilę spoglądała na Marthę i w końcu zapytała:

– A więc o to chodzi?

– Tak. Może już wiesz, do czego zmierzam. Może wiesz również trochę więcej o naturalnych ojcach. „Płomień niebios”, „Płomień chwały”.

– Ale jeśli twój Pete czytał książkę pana Jefferiesa, czyż nie jest możliwe...

– Oczywiście, że jest możliwe – odparła Martha i lekceważąco machnęła ręką. – Ale tak nie jest. Nie mam zamiaru cię o tym przekonywać. Albo przekonasz się sama, kiedy skończę swoją historię, albo nie. Chcę ci trochę o tym człowieku opowiedzieć.

– Więc mów.

– Między rokiem pięćdziesiątym siódmym a sześćdziesiątym ósmym, kiedy pracowałam w Le Palais, widywałam go bardzo często. Później przyszyły kłopoty z sercem i wątrobą. Biorąc pod uwagę tryb życia, jaki prowadził, oraz ilość pietygo przez niego alkoholu, dziwne, że nie zachorował wcześniej. W sześćdziesiątym dziewiątym pojawił się tylko z sześć razy, ale pamiętam, jak fatalnie wyglądał. Nigdy nie był gruby, lecz wtedy tyle stracił na wadze, że wysechł na szczapę. A jednak niezależnie od tego, jak marnie wyglądał, pił. Często słyszałam, że w łazience kaszle, wymiotuje, a czasami nawet jęczy z bólu. Myślałam wtedy: No cóż, tak to już jest. Tak już jest. Sam najlepiej wie, co robi. Chyba się więcej nie pojawi. Ale pojawiał się. W siedemdziesiątym roku przyjechał dwa razy. Towarzyszył mu jakiś mężczyzna, który się nim opiekował. No i pił, jakkolwiek na pierwszy rzut oka widać było, że nie powinien tego robić.

Ostatni raz odwiedził hotel w lutym siedemdziesiątego pierwszego. Towarzyszył mu inny opiekun. Podejrzewam, że tamten miał już dość. Jefferies poruszał się na wózku inwalidzkim. Kiedy pojawiłam się w jego pokoju, żeby posprzątać, i zajrzałam do łazienki, zobaczyłam schnące na karniszu do zasłon do prysznic ceratowe majtki. Ongiś był bardzo przystojnym mężczyzną, ale te czasy dawno już należały do przeszłości. Gdy widziałam go po raz ostatni, wyglądał jak przemacerowany. Chyba wiesz, co mam na myśli?

Darcy skinęła głową. Widywała czasami takie istoty, wlokące się ulicą w starych, wytartych płaszczach i z brązowymi torbami pod pachą.

– Zawsze zatrzymywał się w pokoju numer tysiąc sto sześćdziesiąt trzy, jednym z narożnych apartamentów z oknami wychodzącymi na Chrysler Buildings, i zazwyczaj to ja zajmowałam się tym numerem. Po pewnym czasie wołał mnie nawet po imieniu, ale to nic nie znaczyło. Nosłam przecież w klapie identyfikator, więc mógł sobie przeczytać. To wszystko. Podejrzewam, że nawet nie zauważał mego istnienia. Do roku sześćdziesiątego, kiedy wyprowadzał się z hotelu, zostawiał mi na telewizorze dwa dolary. Do sześćdziesiątego czwartego – trzy. Pod koniec zostawiał pięć. Jak na tamte czasy były to duże napiwki. Ale wcale nie chodziło mu o mnie. Taki po prostu miał zwyczaj. Dla ludzi tego typu nawyki są sprawą niebywale istotną. Dawał napiwki na tej samej zasadzie, na jakiej w drzwiach przepuszczał przodem kobietę. Z tych samych względów niewątpliwie, gdy był dzieckiem, chował pod poduszkę mleczne zęby. Tyle że ja byłam Wrózką od Sprzątania, a nie od Ząbków.

Przyjeżdżał na spotkania z wydawcami, czasami z filmowcami lub ludźmi z telewizji. Wydzwaniał do wydawców, agentów czy innych, takich jak on pisarzy i organizował przyjęcia. Zawsze organizował przyjęcia. Wiem, ponieważ następnego dnia musiałam cały ten bałagan sprzątać... tuziny pustych flaszek (głównie po whisky Jack Daniel's), miliony niedopałków, mokre ręczniki w umywalkach i wannie, resztki dostarczanego do numeru jedzenia. Raz nawet znalazłam wsunięty do sedesu talerz z krewetkami. Na wszystkich meblach były ślady po szklankach i kieliszkach, a na kanapie i podłodze chrapali goście.

Tak było przeważnie, lecz czasami, kiedy pojawiałam się o wpół do jedenastej, żeby posprzątać, impreza trwała jeszcze w najlepsze. Wpuszczał mnie do środka i sprzątałam, a oni się bawili. Nigdy nie sprowadzali kobiet na te przyjęcia. Były to męskie imprezy, na których piło się i rozmawiało o wojnie. O tym, w jaki sposób na nią trafili, kogo na niej poznali, gdzie walczyli, kto na tej wojnie zginął. Rozprawiali, co tam widzieli, a czego nigdy by nie opowiedzieli swoim żonom (jakkolwiek nie mieli nic przeciwko temu, żeby strzępy ich wspomnień słyszała czarna pokojówka). Czasami – nie za często – grali w pokera o wysokie stawki, ale nawet licytując, przebijając, blefując i wykładając karty, rozmawiali o wojnie. Pięciu lub sześciu mężczyzn z zaczerwienionymi twarza-

mi, jak to zawsze bywa ze zmęczonymi białymi. Siedzieli wokół stolika o szklanym blacie, koszule mieli porozpinane, krawaty rozluźnione, na stoliku leżał stos pieniędzy. Było ich tyle, że kobieta taka jak ja nie zarobiłaby takiej sumy przez całe życie. A w jaki sposób rozprawiali o tej wojnie! Rozmawiali o niej jak młode kobiety o chłopcach lub kochankach.

Darcy zdziwiła się, że dyrekcja hotelu nie wymówiła Jefferiesowi pokoju bez względu na to, czy był sławnym pisarzem, czy nie – przepisy hotelowe w tym względzie były bardzo surowe, a w tamtych latach, jak słyszała, panował jeszcze większy rygor.

– Nie, nie, nie – powiedziała z lekkim uśmiechem Martha.

– To nie było tak, jak myślisz. Uważasz, że on i jego znajomi zachowywali się jak członkowie kapel rockowych, którzy demolują pokoje i wyrzucają przez okna kanapy. Jefferies, podobnie jak mój Pete, takim ordynusem nie był. Ukończył West Point, ruszył na wojnę w stopniu porucznika, a wrócił z niej z dystynkcjami majora. Miał klasę. Pochodził z jednej z tych starych rodzin z Południa, które żyją w wielkich domach pełnych starych obrazów, należał do ludzi, którzy jeżdżą konno i wyglądają bardzo godnie. Potrafił wiązać krawat na cztery sposoby i wiedział, jak się pochylić, kiedy całował kobietę w rękę. Mówię ci, miał klasę.

Wymawiając to słowo, Martha uśmiechnęła się trochę krzywo. Uśmiech ów po części wyrażał gorycz, a po części kpinę.

– Bywali czasem nieco hałaśliwi, ale nigdy nie dochodziło do awantur. a to różnica, jakkolwiek trudno mi ją wytłumaczyć... i nigdy nie tracili nad sobą kontroli. Apartament Jefferiesa był pokojem narożnym i sąsiedował tylko z jednym numerem. Jeśli lokator tamtego pokoju skarżył się na hałas, dyżurny recepcjonista dzwonił do nich z prośbą o ciszę, a oni zawsze grzecznie stosowali się do tego życzenia. Rozumiesz?

– Tak.

– Ale to nie wszystko. Hotel z klasą służy takim właśnie ludziom jak pan Jefferies. Chroni ich. Tacy goście mogą wydawać przyjęcia, dobrze się bawić, pić, grać w karty czy zażywać narkotyki.

– Zażywał narkotyki?

– Nie wiem. Pod koniec stała u niego masa różnych środków, ale wszystkie miały oficjalne etykiety z apteki. Po prostu chcę ci powiedzieć, że klasa wymaga klasy... mam na myśli klasę w pojęciu dżentelmena z Południa. Zatrzymywał się w Le Palais przez wiele lat, więc możesz uważać, że dla kierownictwa hotelu było sprawą niesłychanie istotną, że Jefferies jest sławnym pisarzem. Ale to wyłącznie pozór i wydaje ci się tak dlatego, że nie pracujesz w tym hotelu tak długo jak ja. Oczywiście, miało pewne znaczenie, że cieszył się sławą znakomitego pisarza, ale to już był wyłącznie lukier. Sprawą dużo większej wagi było to, że przyjeżdżał do tego hotelu przez długie lata, a wcześniej regularnie zatrzymywał się tam jego ojciec, wielki właściciel ziemski z okolic Porterville. Ludzie, którzy prowadzili ten hotel, bardzo cenili sobie tradycję. Obecni właściciele również utrzymują, że to dla nich sprawa wielkiej wagi, i zapewne tak jest, ale wtedy, kiedy im tak wygodnie. Niemniej w tamtych czasach tradycja stanowiła element kluczowy. Kiedy wiadano, że pan Jefferies przybędzie do Nowego Jorku z Birmingham liniami lotniczymi Southern Flyer, przylegający do jego apartamentu pokój był opróżniany, chyba że hotel miał komplet gości. Nigdy nie obciążano go rachunkiem za ten pusty pokój. Po prostu dyrekcja pragnęła zaoszczędzić mu zakłopotania, gdyby musiał uciszać swoich gości.

Darcy potrząsnęła głową.

– Zdumiewające.

– Nie wierzysz?

– Wierzę. Niemniej jest to zdumiewające.

Na twarzy Marthy Rosewall znów pojawił się ów na poły gorzki, na poły ironiczny uśmiech.

– Ja nie posiadam wielkiej klasy... rozumiesz, generał Robert E. Lee, *Stars and Bars*¹¹, urok tamtych czasów. i nigdy nie posiadałam. Ale, do licha, w nim dostrzegałam tę klasę. Nie był człowiekiem, który wydzierałby się po pijanemu przez okno czy opowiadał przyjacielom kiepskie dowcipy o Murzynach, takie w stylu Rastusa P. Coona.

Jednocześnie nienawidził czarnych... nie myśl sobie... Pamiętasz, jak mówi-

łam ci, że należał do tego cholernego klanu skurwysynów? Tak, Peter Jefferies był przesiąknięty nienawiścią. Kiedy zabito Johna Kennedy’ego, Jefferies był akurat w mieście i wydawał przyjęcie. Zjawili się wszyscy jego przyjaciele, a bankiet przeciągnął się do następnego dnia. Gdy tam weszłam, z najwyższym trudem wysłuchiwałam tego, co mówili... O tym, jak byłoby dobrze, gdyby tylko ktoś dostał jeszcze w swoje łapy jego brata, który, ich zdaniem, byłby w pełni szczęśliwy dopiero wtedy, gdyby wypierdolił każdego przyzwoitego białego dzieciaka z kraju, w radiu grano by wyłącznie Beatlesów, a kolorowi (tak przeważnie nazywali Murzynów: „kolorowi”) biegaliby jak oszalali po ulicach, dźwigając pod każdą pachą telewizor.

Byłam tak wściekła, że o mało na niego nie wrzasnęłam. Ale mówiłam do siebie w duchu, że muszę się uspokoić, po prostu wykonać swoją pracę i wyjść stamtąd jak najszybciej. Przypominałam sobie, że ten człowiek jest naturalnym ojcem Pete’a, przypominałam sobie, że Pete ma dopiero trzy lata, a ja potrzebuję tej posady, którą na pewno stracę, jeśli nie poskromię języka.

Jeden z nich powiedział: „A kiedy już dostaniemy Bobby’ego, zajmiemy się trzecim słodkopierdnym braciszkiem!”. Z kolei do rozmowy włączył się jeszcze ktoś: „A na końcu dopadniemy całe ich męskie potomstwo i wtedy dopiero wyprawimy bal”.

„To racja – przyznał pan Jefferies. – Jak zdobędziemy już ostatni bastion, wyprawimy tak wielkie przyjęcie, że wynajmę do tego celu Madison Square Garden!”.

Wtedy musiałam wyjść stamtąd. Bolała mnie głowa i aż ścisnęło mnie w brzuchu od trzymania gęby na kłódkę. Zostawiłam pokój do połowy sprzątnięty, co nigdy mi się wcześniej nie zdarzyło. Ale czasami bycie czarną ma swoje dobre strony. Nawet nie wiedział, że tam byłam, i z całą pewnością nie zauważył mego wyjścia. To samo dotyczyło reszty towarzystwa.

I znów na jej ustach pojawił się pełen gorzkości i ironii uśmiech.

– Nie mieści mi się w głowie, że możesz kogoś takiego nazywać człowiekiem z klasą – odezwała się Darcy – ani też że bez względu na okoliczności potrafiłaś

wybrać go na naturalnego ojca swego nienarodzonego jeszcze dziecka. Dla mnie ten człowiek jest potworem.

– Nie! – sprzeciwiła się zdecydowanie Martha. – Nie był potworem. Był człowiekiem. Pod wieloma względami... pod większością względów. był złym człowiekiem, ale był człowiekiem. I dokonał czegoś, czemu bez złośliwego grymasu musisz przyznać, że zasługuje na miano „klasa”, jakkolwiek przejawia się ona wyłącznie w tym, co napisał.

– Ba! – parsknęła pogardliwie Darcy, patrząc na Marthę spod zmarszczonych brwi. – Czy przynajmniej czytałaś którąś z jego książek?

– Kochanie, czytałam wszystkie. Do pięćdziesiątego dziewiątego roku, kiedy to pojawiłam się u Mamy Delorme z tym białym proszkiem, napisał tylko trzy. Dwie przeczytałam. Ale później przeczytałam wszystkie, ponieważ pisał wolniej, niż ja czytałam... – Urwała i dodała z uśmiechem: – A ja czytam bardzo powoli.

Darcy popatrzyła niepewnie na półkę z książkami Marthy. Dostrzegła tam książki Alice Walker i Rity Mae Brown, *Linden Hills* Glorii Naylor oraz *Yellow Back Radio Broke-Down* Ishmaela Reeda. Ale najwięcej na tych trzech półkach było broszurowych wydań romansów oraz powieści Agathy Christie.

– W historiach o wojnie nie znajdziesz wiele chwały w takim rozumieniu, jak ty ją pojmujesz, Martho. Wiesz o tym, prawda?

– Pewnie, że wiem – odparła, wstała i przyniosła nowe piwo.

– Powiem ci zabawną rzecz, Dee. Gdyby pan Jefferies był sympatycznym człowiekiem, zapewne nie przeczytałabym ani jednej jego książki. Powiem ci rzecz jeszcze zabawniejszą. Gdyby był sympatycznym człowiekiem, nie sądzę, żeby pisał książki tak dobre.

– Kobieto, co ty wygadujesz?

– Sama dokładnie nie wiem. Ale posłuchaj, co mam ci do powiedzenia.

– No dobrze, zamieniam się w słuch.

– Cóż, do chwili zabójstwa Kennedy’ego niewiele obchodziło mnie, jakim jest człowiekiem. Przecież już latem pięćdziesiątego ósmego roku wiedziałam o nim wiele. Już wtedy orientowałam się, jak gardzi rasą ludzką, nie przyjaciółmi, za

których wskoczyłby w ogień, ale ludźmi w ogóle. „Wszyscy patrzą tylko, gdzie by tu urwać trochę forsy” – miał zwyczaj mawiać. Urwać forsy, urwać forsy, urwać forsy. Wyglądało na to, że on i jego przyjaciele takie urywanie forsy uważają za rzecz najbardziej naganną, chyba że sami grali w pokera i na stoliku piętrzyły się stosy banknotów. No tak, wtedy właśnie urywali forszę. Wydaje mi się, że urywali wiele forsy, łącznie z nim.

Pod maską nieskazitelnego dżentelmena z Południa kryło się wiele zła... ludzi, którzy chcieli czynić dobro lub naprawiać świat, uważał za największych głupców, nienawidził czarnych i Żydów, twierdził, że Rosjan należy zetrzeć z powierzchni Ziemi za pomocą bomby wodorowej, zanim oni to uczynią z nami.

„Dlaczego nie?” – mawiał. Stanowili część czegoś, co on określał mianem podgatunku rasy ludzkiej. Podgatunkiem takim w jego pojęciu byli Żydzi, czarni, Włosi, Indianie oraz wszyscy, których rodziny nie wyjeżdżały na lato do Outer Banks.

Słuchałam, jak wyrzucał z siebie wysokim głosem te obrzydlistwa, i naturalnie zastanawiałam się, dlaczego został sławnym pisarzem... jak w ogóle mógł nim zostać. Chciałam się dowiedzieć, co takiego widzą w nim krytycy, ale jeszcze bardziej interesowało mnie, co dostrzegają w nim zwykli ludzie, tacy jak ja – ludzie, dzięki którym jego książki natychmiast stawały się bestsellerami. Postanowiłam sama się tego dowiedzieć. Poszłam do biblioteki publicznej i wypożyczyłam „Płomień niebios”.

Spodziewałam się, że powtórzy się bajka o nowych szatach króla. Myliłam się. Książka traktowała o tych pięciu mężczyznach, o tym, co działo się z nimi podczas wojny i co stało się w tym samym czasie z ich żonami i dziewczynami, które zostały w domu. Kiedy przeczytałam na obwolucie, że jest to powieść o wojnie, wyróciłam oczyma, bo podejrzewałam, że będą to takie same nudne historyjki jak te, które nieustannie opowiadali sobie w hotelu.

– Ale nie były?

– Przeczytałam pierwsze dziesięć czy dwadzieścia stron i pomyślałam: Nie jest to aż tak dobre. Nie jest aż tak złe, jak przypuszczałam, ale to nic. Przeczy-

tałam dalszych czterdzieści i... no cóż, kompletnie się zatraciłam. Kiedy ponownie oderwałam się od lektury, dochodziła północ, a ja byłam na dwusetnej stronie. Pomyślałam: Martha, pora iść do łóżka. Musisz to natychmiast zrobić, bo wstajesz o wpół do szóstej. Ale przeczytałam jeszcze trzydzieści, chociaż opadały mi powieki, a głowa ciążyła. Od książki oderwałam się dopiero za kwadrans pierwsza i poszłam umyć zęby.

Martha zamilkła i popatrzyła w ciemne okno i szczerzącą do niej w uśmiechu zęby noc. Oczy miała zamglone wspomnieniami, mocno zacisnęła i lekko wykrzywiła usta. Potrząsnęła delikatnie głową.

– Nie pojmowałam, jak człowiek, jeśli tak nudzi, kiedy go się słucha, może pisać książki, od których nie sposób się oderwać. Które, gdy raz zacznie się czytać, trzeba doczytać do końca. Jak obrzydliwy człowiek o kamiennym sercu potrafi tworzyć postacie tak żywe i prawdziwe, że płaczesz, kiedy umierają. Pod koniec „Płomienia niebios” Noahaw miesiąc po zakończeniu wojny został potrącony i zabity przez taksówkę, a ja rozryczałam się jak dziecko. Nie wiem, w jaki sposób zgorzkniały, cyniczny człowiek pokroju Jefferiesa mógł tak pięknie pisać o rzeczach, które nie istniały... o rzeczach, które zrodziły się wyłącznie w jego głowie.

I było w tej książce jeszcze coś... jakaś jasność. Było tam wiele bólu, wiele brzydkich rzeczy, ale była też i słodycz... i miłość...

Ku zdumieniu Darcy Martha wybuchnęła głośnym śmiechem.

– W tamtych latach pracował w hotelu chłopak, Billy Beck, sympatyczny młodzieniec, który kończył anglistykę w Fordham, a w hotelu dorabiał jako portier. Czasami rozmawialiśmy...

– Był czarny?

– Boże, nie! – roześmiała się ponownie Martha. – Do sześćdziesiątego piątego roku w Le Palais nie zatrudniali czarnych jako portierów. Czarni mogli być tragarzami, gońcami, mogli zajmować się parkingiem, ale nigdy nie było czarnego portiera. Nie podobałoby się to ludziom z klasą, takim jak pan Jefferies.

W każdym razie zapytałam Billy’ego, jak czyjeś książki mogą być tak cudowne, podczas gdy ich twórca jest takim smarkiem jak Jefferies. Billy zapytał

mnie, czy czytałam książkę o takim tłustym prezenterze, który miał cieniutki głosik, a ja odpowiedziałam, że nie wiem, o czym mówi. Wtedy Billy odparł, że nie zna odpowiedzi na moje pytanie, ale zacytował mi, co jego profesor stwierdził o Thomasie Wolfe. Profesor oświadczył, że niektórzy pisarze – między innymi właśnie Wolfe – byli niepozorni, dopóki nie zasiadali za biurkiem i nie chwyтали do ręki pióra. Powiedział, że pióra dla tych ludzi są tym, czym budka telefoniczna dla Clarka Kenta, który dopiero tam zmienia się w Supermana. Powiedział, że Thomas Wolfe był jak... – zawahała się i uśmiechnęła – ...był jak przewód kominowy. Powiedział, że przewód kominowy sam w sobie nic nie znaczy do chwili, kiedy wiejący wiatr nie zaczyna wygrywać w nim najcudowniejszych, boskich melodii.

Myślę, że taki właśnie był Peter Jefferies. Miał klasę, wyrósł w otoczeniu, które miało klasę, ale jego klasa nie wynikała wcale z niego. To tak, jakby Bóg go nią obdarzył, a on ją jedynie wydawał. Powiem ci coś, w co zapewne nie uwierzysz. Po przeczytaniu jego dwóch książek zaczęłam mu współczuć.

– Współczuć?

– Tak. Ponieważ książki były cudowne, a człowiek, który je napisał, wstrętny jak grzech. Naprawdę przypominał mego Johnny'ego, ale Johnny na swój sposób był szczęśliwszy, ponieważ nigdy nie marzył o lepszym życiu. A pan Jefferies marzył. Książki były jego snem. W książkach wierzył w świat, z którego szydził i drwił, kiedy się budził.

Umilkła i po chwili spytała Darcy, czy chce jeszcze piwa. Darcy odparła, że nie.

– Doskonale, ale jak zmienisz zdanie, to krzycz. A zapewne zmienisz, gdyż dopiero teraz wypływamy na naprawdę szerokie i mroczne wody. Muszę dodać jeszcze jedno o tym mężczyźnie – powiedziała Martha. – Nie był człowiekiem pociągającym erotycznie. W każdym razie nie w sposób, w jaki zazwyczaj myśli się o takich mężczyznach.

– Chcesz powiedzieć, że był...

– Nie, nie, nie był homoseksualistą, gejem, czy jak się tam ich nazywa. Nie był atrakcyjny ani dla mężczyzn, ani dla kobiet. Tylko dwa, może trzy razy

przez wszystkie te lata, kiedy sprzątałam jego pokój, znalazłam w popielniczkach w sypialni niedopałki ze śladami szminki, a poduszki pachniały perfumami. Raz natknęłam się w łazience na kredkę do oczu – po prostu spadła i potoczyła się w ciemny kąt. Podejrzewam, że były to dziewczyny na telefon (poduszki nigdy nie pachniały wytwornymi perfumami, jakich używają przyzwoite kobiety), ale dwa czy trzy razy przez tyle lat to niewiele, prawda?

– Jasne – odparła Darcy, myśląc o majtkach, jakie znajdowała pod łózkami, prezerwatywach pływających w sedesach i sztucznych rżęsach pod poduszkami.

Przez kilka chwil Martha milczała zatopiona w myślach, a później uniosła głowę.

– Powiem ci coś – odezwała się. – Pan Jefferies posiadał urok erotyczny dla siebie samego. Brzmi to może głupio, ale to prawda. Z pewnością walił sobie konia na całego i nie brakowało mu spermy... a wiem to po prześcieradłach, które u niego zmieniałam.

Darcy skinęła głową.

– W łazience zawsze miał krem nawilżający. Czasami stał na nocnym stoliku. Myślę, że kiedy walił sobie konia, używał tego kremu, żeby nie podrażnić skóry.

Obie kobiety popatrzyły na siebie i zaniósły się histerycznym chichotem.

– Powiedziałam „krem nawilżający”, nie wazelina – dodała Martha.

Przez kolejnych pięć minut obie do łez zanosiły się śmiechem.

Ale nie było to wcale zabawne i Darcy dobrze o tym wiedziała.

Kiedy więc Martha podjęła opowieść, ona po prostu słuchała, choć nie dowierzała własnym uszom.

– Wydarzyło się to w tydzień lub dwa po mojej wizycie u Mamy Delorme – ciągnęła Martha. – Dokładnie nie pamiętam. Działo się to tak dawno. Byłam wtedy święcie przekonana, że jestem w ciąży. Nie wymiotowałam wprawdzie i nie miałam innych sensacji, ale czułam, że jestem. I to nie tam, gdzie myślisz. To tak, jakby przed resztą całego ciała wyczuwały to dziąsła, paznokcie u nóg

czy grzbiet nosa. Albo na przykład o trzeciej po południu nagle nachodzi cię straszna ochota na chińską *chopsuey*. Mówisz sobie wtedy: Co to jest? Co się, u licha, dzieje? Ale dobrze wiesz co! Nie wspomniałam o tym Johnny'emu słowem... wiedziałam, że w końcu będę musiała mu wyznać prawdę, ale straszliwie bałam się tej chwili.

– I wcale ci się nie dziwię – wtrąciła Darcy.

– Późnym rankiem byłam w sypialni w apartamencie pana Jefferiesa, sprzątałam i zastanawiałam się, w jaki sposób powiadomić Johnny'ego o dziecku. Jefferies gdzieś wyszedł... do któregoś z wydawców, może na spotkanie autorskie... nie wiem. W sypialni stało podwójne łóżce, a pościel była wygnieciona po obu stronach, ale to o niczym nie świadczyło. On strasznie rzucał się przez sen. Czasami znajdowałam zupełnie ściągnięte prześcieradła.

No cóż, zdjęłam narzutę i dwa koce – zawsze był zmarzluchem i sypiał pod wszystkim, pod czym się dało – ale kiedy zabrałam się do prześcieradła, stanęłam jak wryta. Całe uwalane było spermą, prawie już suchą.

Stałam bez ruchu i gapiłam się... och, nie wiem jak długo, byłam jak zahipnotyzowana. Oczyma duszy widziałam, że leży samotnie po wyjściu przyjaciół, leży i pachnie dymem papierosowym i potem. Widziałam, że leży na plecach, po czym zaczyna uprawiać miłość ze starą Grabowską i jej pięcioma córeczkami. Widziałam to tak wyraźnie, jak teraz widzę ciebie, Darcy. Nie wiedziałam tylko, o czym myśli, co za obrazy i fantazje roją mu się w głowie... ale zważywszy na sposób, w jaki mówił i jak się zachowywał, gdy nie pisał książek, byłam z tego bardzo rada.

Darcy patrzyła na nią osłupiała i nie odzywała się słowem.

– Następną rzecz, którą pamiętam... to uczucie, które mnie ogarnęło... – Urwała, zamyśliła się i potrząsnęła powoli z namysłem głową. – To był przymus. To tak jak ochota na *chopsuey* o trzeciej po południu lub na lody i marynaty o drugiej nad ranem... a czego się tobie chciało, Darcy?

– Plastra bekonu – powiedziała Darcy, czując, że ma tak zdrętwiałe wargi, iż z trudem nimi porusza. – Mój mąż wyszedł po ten bekon, ale nie mógł go nigdzie dostać, więc przyniósł jakąś wieprzowinę. Po prostu zmiotłam ją z talerza.

Martha skinęła głową i zaczęła opowiadać dalej. Ale pół minuty później Darcy zerwała się jak oparzona i pobiegła na oślep do łazienki. Tam przez chwilę walczyła z nudnościami, aż w końcu dała za wygraną i zwymiotowała całe wypite piwo.

Spójrz na to od jaśniejszej strony – pomyślała, sięgając dłonią do sznurka do spuszczenia wody. Po chwili naszła ją kolejna refleksja: Jak ja jej spojrzę w oczy? Jak zdołam spojrzeć jej w oczy?

Okazało się, że nie był to żaden problem. Kiedy odwróciła się, żeby wyjść z łazienki, w progu stała Martha i patrzyła na nią z pełną ciepłą troską.

– Czy wszystko w porządku?

– Tak. – Darcy z niekłamaną ulgą próbowała się uśmiechnąć.

– Ja... ja tylko...

– Wiem – odparła Martha. – Doskonale cię rozumiem. Mam kończyć, czy masz już dosyć?

– Kończ – powiedziała zdecydowanie Darcy i wzięła przyjaciółkę pod rękę. – Ale przejdźmy do salonu. Nie mogę nawet patrzeć na lodówkę. Zostaw otwarte drzwi.

– Koniec z tym.

W chwilę później siedziały po przeciwnych stronach podniszczonej, ale wygodnej kanapy w salonie.

– Jesteś pewna, że chcesz wysłuchać wszystkiego do końca?

Darcy skinęła głową.

– W porządku.

Martha dłuższą chwilę milczała. Ręce złożyła na podołku i obserwowała przeszłość tak, jak kapitan okrętu podwodnego obserwuje przez peryskop nieprzyjacielskie wody. W końcu podniosła głowę, odwróciła się do Darcy i podjęła opowieść.

– Resztę dnia przepracowałam w oszołomieniu. Zupełnie jakbym była pod narkozą. Ludzie coś do mnie mówili, ja im odpowiadałam, ale ich głosy dochodziły do mnie jak zza szklanej ściany, mój własny zresztą też. Pamiętam, że

w pewnej chwili pomyślałam: No cóż, jestem w hipnozie. Zahipnotyzowała mnie ta starucha. Zasugerowała mnie, wydając posthipnotyczne rozkazy, dokładnie tak, jak robią to zawodowi hipnotyzerzy. Mówią:

„Kiedy ktoś wypowie przy tobie słowo »chiclets«, masz opaść na czworaka i szczekać jak pies”. No i zahipnotyzowany człowiek zrobi to, gdyby nawet wymówiono przy nim to słowo po dziesięciu latach. Wsypała mi coś do herbaty; wprowadziła w trans i kazała to zrobić. Zrobić tę właśnie obrzydliwą rzecz.

Wiem również, dlaczego to zrobiła. Staruszka była wystarczająco przesadna, żeby wierzyć w cudowne właściwości lecznicze wody poruszającej kamienie młyńskie, w to, że można rozkochać w sobie mężczyznę, jeśli wtedy, gdy śpi, kapnie mu się na piętę kroplą własnej krwi menstruacyjnej, w lunatyków spacerujących po kalenicach dachów i Bóg jeden wie w co jeszcze... więc jeśli taka kobieta, opętana myślą o naturalnym ojcu, potrafi jeszcze hipnotyzować, to w dobrej wierze wprowadzi w trans inną kobietę, taką jak ja, i każe jej zrobić to, co zrobiłam. Bo ona w to wierzy. A w dodatku sama wymieniłam przy niej jego imię i nazwisko, prawda? Tak, ja.

Aż do chwili, kiedy w sypialni pana Jefferiesa nie zrobiłam tego, co zrobiłam, nie pamiętałam, co wydarzyło się u Mamy Delorme. A wieczorem zaczął się dalszy ciąg historii.

Jakoś przetrwałam ten dzień. To znaczy nie wybuchalam płaczem, nie wrzeszczałam, nie awanturowałam się... nie, nic z tych rzeczy. Moja siostra Kissy zachowała się znacznie gorzej, kiedy wyciągała o zmierzchu wodę ze studni i we włosy wplątał się jej nietoperz. Miałam tylko uczucie, że od świata oddziela mnie ściana ze szkła. Doszłam do wniosku, że jeśli tylko na tym się skończy, to jakoś sobie poradzę.

Gdy wróciłam do domu, poczułam straszliwe pragnienie. Nigdy jeszcze w życiu tak nie chciało mi się pić. Miałam wrażenie, że w gardle szaleje mi burza piaskowa. Piłam i piłam wodę, ale w żaden sposób nie mogłam ugasić pragnienia. Zaczęłam pluć. Plułam, plułam i plułam. Rozbolał mnie brzuch. Pobiełam do łazienki. Stałam przed lustrem, wysunęłam język i zaczęłam szukać na nim jakichś śladów, śladów tego, co zrobiłam, ale naturalnie niczego nie znalaz-

złam. Pomyślałam sobie: A widzisz? Już ci lepiej?

Ale nie było mi lepiej. Czułam się coraz gorzej. Uklękłam przy sedesie i zrobiłam to samo, co ty niedawno, Darcy, z tym że miałam pełniejszy żołądek. Wymiotowałam tak długo, iż myślałam, że umrę. Płakałam i błagałam Boga, żeby wybaczył mi i nie kazał dłużej rzygać, bo mogłam stracić dziecko, gdyby wymioty jeszcze się przeciągały. I wtedy przypomniałam sobie to, jak stałam w jego sypialni z palcami w ustach, nie myśląc nawet, co robię.

Mówię ci, widziałam, jak to robię, tak wyraźnie, jakbym oglądała siebie w kinie. I wtedy znów zwymiotowałam.

Odgłosy z łazienki dotarły do pani Parker. Podeszła do drzwi i zapytała, czy wszystko jest ze mną w porządku. To pomogło mi wziąć się nieco w garść, a kiedy wieczorem wrócił Johnny, najgorsze minęło. Wrócił pijany i skłonny do bicia. Nie dawałam mu żadnego powodu, ale i tak wyrznął mnie w oko, po czym wyszedł. Prawie się cieszyłam, że mnie uderzył, bo przynajmniej miałam czym zaprzątnąć umysł.

Następnego dnia, kiedy weszłam do apartamentu numer tysiąc sto sześćdziesiąt trzy, pan Jefferies siedział w saloniku, ubrany jeszcze w pidżamę, i gorączkowo coś pisał w jednym ze swoich złotych skoroszytów. Zawsze, do samego końca, przyjeżdżał z całym ich plikiem spiętym grubą opaską z czerwonej gumy. Kiedy pojawił się w Le Palais po raz ostatni i nie miał ze sobą tych skoroszytów, pomyślałam sobie, że zrozumiał, iż pora umierać. Ale mu nie współczułam.

Martha popatrzyła w stronę okna. Jej spojrzenie nie wyrażało żadnych ludzkich uczuć – ani przebaczenia, ani miłosierdzia. Miała chłodny wzrok mówiący o zupełnym braku serca.

– Kiedy zobaczyłam, że nie wyszedł z hotelu, poczułam ulgę, ponieważ to oznaczało, że nie muszę u niego sprzątać. Widzisz, nie znosił, kiedy podczas pracy pokojówki kręciły mu się po apartamencie. Pomyślałam sobie, że zapewne posprząta u niego Yvonne, która zaczynała pracę o piętnastej.

„Przyjdę później, panie Jefferies” – powiedziałam.

„Zrób to teraz – odparł. – Tylko zachowuj się cicho. Kurewsko boli mnie gło-

wa, a muszę jeszcze wiele rzeczy przemyśleć. Ta kombinacja mnie zabija”.

Mogę przysiąc, że w każdym innym przypadku kazałyby mi przyjść później. Odniosłam wrażenie, że słyszę śmiech tamtej starej, czarnej mamy.

Przeszłam do łazienki i zaczęłam sprzątać. Zamieniałam brudne ręczniki na czyste, kładłam nowe mydła, ale cały czas myślałam: Nie możesz, starucho, zahipnotyzować kogoś, kto tego nie chce. Bez względu na to, co mi tamtego dnia wsypałaś do herbaty, co kazałaś mi uczynić, ile razy powtórzyłaś swoje polecenie, będę mądrzejsza od ciebie... będę mądrzejsza, a ty musisz się wypchać.

Wróciłam do sypialni i popatrzyłam na łóżko. Myślałam, że będę czuć do tego mebla to samo, co dziecko, które boi się czającego w niej Czarnego Luda, czuje do szafy. Ujrzałam jednak tylko zwykłe łóże. Wiedziałam, że nie zamierzam już niczego robić, i ta świadomość przyniosła mi ulgę. Rozebrałam łóżko i znów dostrzegłam na prześcieradle te lepkie, schnące plamy, które zrobił przed jakąś godziną, gdy obudził się napalony i dobrze o siebie zadbał.

Spoglądałam na poplamione prześcieradła i zastanawiałam się, co na ich widok czuję. Nic nie czułam. Były to po prostu ślady mężczyzny, który miał do wysłania list, ale w pobliżu nie było skrzynki, w którą mógłby go włożyć; i ty, i ja widywałyśmy już takie rzeczy setki razy. Starucha okazała się *brują* w takim samym stopniu jak ja. Może byłam w ciąży, a może nie; jeśli nawet byłam, nosiłam dziecko Johnny'ego. Sypiałam tylko z nim i nic, co bym znalazła na białym prześcieradle tego mężczyzny – czy gdziekolwiek indziej – nie mogło tego faktu zmienić.

Był pochmurny dzień, ale przez sekundę miałam wrażenie, że wyszło słońce, jakby sam Bóg kończył cały problem. Nie pamiętałam, żebym kiedykolwiek w życiu doznała takiej ulgi. Stałam, dziękując Bogu za to, że wszystko jest w porządku, i przez cały czas tej dziękczynnej modlitwy zeskrobywałam to gównem z prześcieradła – najdokładniej jak potrafiłam – wsuwałam je do ust i połykałam.

Czułam się tak, jakbym opuściła własne ciało, stanęła obok siebie i wszystko to obserwowała. Jakaś część mnie mówiła: Zgłupiałaś chyba, skoro to robisz, dziewczyno, ale jeszcze bardziej jesteś szalona, że robisz to w czasie, kiedy on

jest tuż obok, w sąsiednim pokoju. W każdej chwili może wstać i wejść tutaj po drodze do toalety. Na podłodze leżą grube dywany i nawet nie usłyszysz jego kroków. To będzie oznaczać koniec twojej posady w Le Palais. a najprawdopodobniej we wszystkich większych hotelach w Nowym Jorku. Dziewczyna przyłapana na czymś takim nigdy już w tym mieście nie znajdzie pracy jako pokojówka. A już na pewno w żadnym ze stosunkowo przyzwoitych hoteli.

Ale niewiele mnie to obchodziło. Zeskrobałam wszystko – w każdym razie tyle, że jakaś moja część mówiła, że już dosyć – a później stałam z minutę i wpatrywałam się w prześcieradło. Z sąsiedniego pokoju nie dobiegały żadne dźwięki i nagle uświadomiłam sobie, że on stoi za mną, w progu sypialni. Wiedziałam, jaką ma minę. Kiedyś, gdy byłam jeszcze dziewczynką, co sierpień pojawiał się w Babylon teatrzyk wędrowny. Występował w nim mężczyzna – zdawało mi się, że mężczyzna – który w namiocie pożerał żywcem zwierzęta. Siedział w jamie, a inny gość długo gadał o tym, że tamten jest brakującym ogniwem w ewolucji, a następnie wrzucał do jamy żywego kurczaka. Ten odrażający typ odgryzał ptakowi głowę. Pewnego razu mój starszy brat Bradford – zginął w wypadku samochodowym w Biloxi – powiedział, że chce tam podejść i zobaczyć magika. Ojciec serdecznie mu to odradzał, ale nie mógł zabronić, ponieważ Brad miał dziewiętnaście lat i był już prawie dorosły. Poszedł, a ja i Kissy chciałyśmy go później prosić, żeby opowiedział nam, jak to wyglądało. Kiedy wrócił, miał taką minę, że nie śmiałyśmy już o nic pytać. Myślałam, że taki sam wyraz twarzy będzie miał pan Jefferies, kiedy odwrócę się w jego stronę. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Darcy skinęła głową.

– Wiedziałam, że tam jest... po prostu wiedziałam. W końcu zebrałam się na odwagę i odwróciłam się w jego stronę. Chciałam błagać, żeby nic nie wspominał dyrektorowi gospodarczemu hotelu... chciałam błagać go na kolanach, gdyby doszło aż do tego... ale Jefferiesa wcale w progu nie było. Wszystko to po prostu było wyłącznie przywidzeniem mej grzesznej duszy. Podeszłam do drzwi, zajrzałam do salonu. On ciągle siedział przy biurku i szybciej niż zwykle pisał coś w tych swoich żółtych skoroszytach. Wróciłam do sypialni, zmieniałam

jak zwykle pościel, odświeżyłam pokój, ale znów wróciło owo uczucie, że przebywam za ścianą ze szkła... uczucie jeszcze silniejsze niż poprzedniego dnia.

Brudne ręczniki i pościel wyniosłam na korytarz przez drzwi z sypialni. Pierwszą rzeczą, jakiej się nauczyłam, gdy podjęłam pracę w hotelu, było to, żeby nie wnosić brudów przez salon w apartamencie. Następnie wróciłam do pokoju, gdzie pracował. Zamierzałam mu powiedzieć, że salon posprzątam później, kiedy on skończy pisać. Ale gdy zobaczyłam, jak się zachowuje, stanęłam jak wryta i gapiłam się na niego niczym ciele na malowane wrota.

Chodził po pokoju tak szybko, że wokół jego nóg furkotały nogawki żółtej, jedwabnej pidzamy. Dłonie wplątał we włosy i palcami szarpał czuprynę. Wyglądał jak jeden z tych genialnych matematyków z komiksów w starych numerach *Saturday Evening Post*. Oczy miał szalone, jakby był w szoku. W pierwszej chwili pomyślałam, że jednak widział, co zrobiłam, i poczuł taki wstręt, że zwariował.

Ale to nie miało ze mną nic wspólnego... w każdym razie on tak uważał. Wtedy to jedyny raz odezwał się do mnie w innej sprawie niż tylko z prośbą o więcej słodyczy, o dodatkową poduszkę czy też przestawienie klimatyzatora na mniejsze lub większe obroty.

Mówił do mnie, bo musiał. Coś mu się stało – coś niesłychanego – i musiał z kimś porozmawiać, gdyż w przeciwnym razie oszalałby.

„Rozsadza mi głowę” – oświadczył.

„Przykro mi to słyszeć, panie Jefferies – odparłam. – Czy mam przynieść aspirynę...”

„Nie, to nie to – powiedział. – To ten pomysł. Czuję się tak, jakbym się wybrał na pstrągi, a złapał marlina. Widzisz, utrzymuję się z pisania książek. Beletrystycznych”.

„Wiem, proszę pana – odpowiedziałam. – Przeczytałam dwie pańskie książki i ogromnie mi się podobały”.

„Naprawdę? – odparł pytaniem, spoglądając na mnie w ten sposób, jakbym straciła rozum. – No cóż, to miło, że mi to mówisz. Obudziłem się dziś rano z pewnym pomysłem”.

Naturalnie, proszę pana – pomyślałam sobie wtedy.

– Przyszedł panu do głowy pomysł, w porządku. Był tak fajny i tak rajcujący, że zapaskudził nim pan całe prześcieradło. Ale tego już na nim nie ma, więc nie musi się pan niczym martwić.

O mało nie wybuchnęłam śmiechem. Och, Darcy, myślę, że gdybym się nawet roześmiała, on by tego nie zauważył.

„Zamówiłem śniadanie – powiedział, wskazując stolik na kółkach stojący przy drzwiach – i w trakcie posiłku rozważałem ów pomysł. Pomyślałem, że może uda mi się wykroić z tego opowiadanie. Wiesz, do takiego czasopisma... *The New Yorker*. zresztą nieważne”. Widzisz, Darcy, wcale nie zamierzał takiemu Murzyniátku jak ja wyjaśniać, co to jest *The New Yorker*.

Darcy uśmiechnęła się.

– „Ale kiedy kończyłem śniadanie – ciągnął – przyszedł mi do głowy pomysł na mikropowieść. A wtedy... kiedy zacząłem już ten pomysł ociosywać... – Z gardła wydarł mu się cichy, piskliwy śmiech. – Sądzę, że tak wyśmienity pomysł nie przyszedł mi do głowy od dziesięciu lat. Może nawet nigdy dotąd. Jak myślisz, czy to możliwe, żeby bracia bliźniacy, ale nie jednojajowi, tacy różniący się od siebie, mogli walczyć ze sobą podczas drugiej wojny światowej po przeciwnych stronach?”

„Cóż, ale chyba nie w *Pacific*” – powiedziałam.

Darcy, podejrzewam, że w innych okolicznościach nie odważyłabym się odezwać słowem. Stałabym po prostu jak słup soli z rozdziawioną gębą. Ale ciągle czułam się jak za szkłem lub jakbym u dentysty dostała zastrzyk z nowokainy, którego działanie jeszcze nie minęło.

Wybuchnął śmiechem, jakbym powiedziała najśmieszniejszą rzecz.

„Ha-ha. Nie, nie tam, tylko na europejskim obszarze działań wojennych. Spokaliby się zapewne oko w oko podczas ostatniej ofensywy niemieckiej w Ardenach.

„Cóż, może...” – bąknęłam, ale on znów zaczął biegać po salonie jak opętany, łapać się za głowę i toczyć coraz dzikszym wzrokiem.

„Tak, wiem, to brzmi jak melodramat – oświadczył. – Jak marna farsa w stylu *Under Two Flags* albo *Armada*, ale pomysł bliźniaków. jeśli wytłumaczony

racjonalnie... widzę go, jak...

– Gwałtownie odwrócił się w moją stronę. – Czy ma to w sobie dosyć dramatyzmu?”

„Tak, proszę pana – powiedziałam. – Każdy uwielbia historie o braciach, którzy nie wiedzą, że są braćmi”.

„Z pewnością to lubią – zgodził się. – I powiem ci coś jeszcze...”.

Urwał i zrobił najcudacznieszczą minę, jaką w życiu widziałam. Była cudaczna, ale bez trudu ją rozszyfrowałam. Jefferies jakby się nagle przebudził i pojął, że robi jakąś głupotę. Sprawiał wrażenie kogoś, kto nieoczekiwanie uświadamia sobie, że namydlił twarz kremem do golenia, po czym sięgnął po elektryczną maszynkę. Rozmawiał z czarną pokojówką hotelową o swoim najlepszym pomysle, jaki przyszedł mu w życiu do głowy... z czarną pokojówką hotelową, w pojęciu której naprawdę dobrą powieścią jest *The Edge of Night*. Zapomniał, że powiedziałam mu, iż przeczytałam jego dwie książki...

– Albo sądził, że mu schlebiasz, żeby dostać większy napiwek – mruknęła Darcy.

– Tak, to pasuje do jego pojęcia natury ludzkiej. Uważał, że przypomina rękawiczkę. Ale wyraz jego twarzy wyraźnie wskazywał na to, że nagle uświadomił sobie, z kim rozmawia. To wszystko.

„Sądzę, że przedłużę swój pobyt – zmienił gwałtownie temat.

– Powiedz o tym w recepcji. – Odwrócił się i zaczął chodzić po pokoju. Zahażył nogą o wózek ze śniadaniem. – I zabierz stąd to cholerstwo, dobrze?”.

„Czy mam przyjść później, żeby...” – zaczęłam.

„Tak, tak, tak. Przyjdź później i zrób, co chcesz, ale teraz bądź miłą panienką i zabierz to wszystko... łącznie ze swoją osobą”.

Zrobiłam dokładnie to, o co mnie prosił. Jeszcze nigdy w życiu nie byłam taka szczęśliwa jak wtedy, kiedy zamknęły się za mną drzwi od jego apartamentu. Odstawiłam stolik z resztkami śniadania pod ścianę korytarza. Na śniadanie zamówił sok i jajka sadzone na bekonie. Miałam właśnie iść do dalszych zajęć, kiedy dostrzegłam na jego talerzu grzyb, odsunięty na bok z resztką jajka i skrawkiem bekonu. Gapiłam się na ten grzyb i poczułam okropny zawrót głowy.

wy. Przypomniałam sobie grzyb w niewielkim, plastikowym pudełku, który dała mi ona, stara Mama Delorme. Przypomniałam sobie o tym po raz pierwszy od tamtego dnia. Przypomniałam sobie, że znalazłam go w kieszeni sukienki, do której schowałam pudełeczko. Grzyb na talerzu Jefferiesa wyglądał tak samo jak mój – pomarszczony, suchy i przypominający muchomora, którym człowiek mógł się niebezpiecznie zatruć.

Popatrzyła na Darcy nieruchomym wzrokiem.

– On zjadł część tego grzyba. Tak na moje oko, mniej więcej połowę.

– Tamtego dnia dyżur w recepcji pełnił pan Buckley. Poinformowałam go o tym, że Jefferies zdecydował się przedłużyć pobyt. Pan Buckley odparł, że to żaden problem, jakkolwiek pan Jefferies planował wynieść się tego popołudnia.

Później poszłam do kuchni, w której przygotowywano posiłki zamawiane do pokoi, i porozmawiałam z Bedelią Aaronson... chyba pamiętasz Bedelię. Zapytałam, czy przypadkiem rano nie kręcił się w pobliżu ktoś obcy. Bedelia chciała wiedzieć, kogo mam konkretnie na myśli, więc odparłam, że sama dobrze nie wiem. Wtedy zapytała z kolei: „Dlaczego o to pytasz, Martho?”, a ja odpowiedziałam, że wolałabym raczej o tym nie mówić. Oświadczyła, że nikogo nie widziała, nie pojawił się nawet chłopak z kuchni, który zawsze zachodził, żeby umówić się na randkę z dziewczyną przygotowującą jedzenie na wynos.

Miałam już odejść, kiedy dodała: „Chyba, że chodzi ci o tę starą Murzynkę”.

Odwróciłam się i zapytałam, czego ta staruszka chciała.

„Cóż – odrzekła Bedelia. – Podejrzewam, że weszła tutaj z ulicy w poszukiwaniu ubikacji. Zdarza się tak codziennie ze dwa, trzy razy. Murzyni często nie chcą wchodzić głównym wejściem w obawie, że służba hotelowa ich nie wpuści, nawet jeśli są przyzwoicie ubrani... sama najlepiej wiesz, że portierzy często mają takie pomysły. Tak czy siak, owa nieszczęsna Murzynka zawędrowała tutaj... – Bedelia zamilkła i popatrzyła na mnie.

– Martho, czy dobrze się czujesz? Wyglądasz, jakbyś miała za chwilę zemdleć!”.

„Nie zemdleję – odparłam. – I co zrobiła?”.

„Pokręciła się trochę, obejrzała sobie wózki z zamówionym jedzeniem. Wyglądała tak, jakby była nie z tej planety i nie wiedziała, gdzie jest. Biedna staruszka! Musiała mieć dobrze pod osiemdziesiątkę. Sprawiała wrażenie, że mocniejszy podmuch wiatru porwie ją jak latawiec... Martho, chodź tutaj i usiądź. Wyglądasz jak Dorian Gray na portrecie w tamtym filmie”.

„Ale jak wyglądała? Powiedz mi!”.

„Przecież ci mówię: starowina. Dla mnie wszystkie są takie same. Tyle że ta miała bliznę na twarzy. Ciągnęła się aż do włosów. Była...”.

Więcej nie słyszałam, bo straciłam przytomność.

Zwolniono mnie wcześniej do domu. Znów zaczęłam płuć i pić ogromne ilości wody, tak że niewiele brakowało, a skończyłabym w ten sam sposób jak poprzedniego dnia – wymiotując w łazience. Usiadłam przy oknie, wyglądałam na ulicę i prowadziłam rozmowę z samą sobą.

To, co mi zrobiła, nie miało nic wspólnego z hipnozą; wtedy już o tym wiedziałam. To coś znacznie silniejszego niż hipnoza. Ciągle nie byłam do końca przekonana, czy wierzę w czarnoksiężstwo, ale coś mi zadała i cokolwiek to było, musiałam jakoś z tym żyć. Nie mogłam porzucić pracy, na pewno nie z mężem-nerobem i najprawdopodobniej z dzieckiem w drodze. Nie mogłam również prosić o przeniesienie na inne piętro. Rok czy dwa wcześniej mogłabym to zrobić, ale wtedy akurat mówiło się o moim awansie na zastępcę kierownika gospodarczego pięter od dziesiątego do dwunastego; a to oznaczało znaczną podwyżkę pensji. Co więcej, znaczyło, że po urlopie macierzyńskim z całą pewnością znów przyjmą mnie do pracy.

Moja matka mawiała: „Czego nie da się wyleczyć, trzeba to znosić”. Rozważałam pomysł, żeby ponownie pójść do starej, czarnej mamy i prosić, żeby zdjęła ze mnie urok, ale w jakiś irracjonalny sposób wiedziałam, że na nic by to się nie zdało i starucha nie spełniłaby mojej prośby. Uparła się, że tak będzie dla mnie najlepiej, a jedną z rzeczy, jakich się w życiu nauczyłam, Darcy, jest to, że człowiek nie ma szans przekonać kogoś, kto się uparł, że pomaga innemu.

Siedziałam tak zatopiona w myślach, patrzyłam na ulicę, po której kręcili się w tę i w tę ludzie, aż w końcu zapadłam w drzemkę. Nie mogłam spać dłu-

żej niż kwadrans, ale kiedy się obudziłam, wiedziałam o czymś jeszcze. Starucha chciała, żebym dalej robiła to, co zrobiłam już dwukrotnie, a gdyby Peter Jefferies wrócił do Birmingham, byłoby to niemożliwe. Poszła więc do hotelowej kuchni i podrzuciła mu na talerz grzyb, który zjadł do połowy i który zapłodnił go pomysłem. Wykorzystał ten pomysł do napisania wspaniałej powieści; nosiła tytuł „Chłopcy we mgle”. Traktowała mniej więcej o tym, co mi powiedział: o dwóch braciach, z których jeden był żołnierzem amerykańskim, a drugi niemieckim, i spotkali się w bitwie o Ardeny. Książka ta stała się jego największym bestsellerem.

Urwała i dopiero po chwili dodała:

– Przeczytałam o tym w jego nekrologu.

– Został jeszcze tydzień. Codziennie, gdy wchodziłam do jego apartamentu, siedział w pidżamie, pochylony nad biurkiem w salonie i pisał w żółtych skoroszytach. Codziennie pytałam go, czy mam przyjść później, a on nieodmiennie odpowiadał, żebym robiła swoje, ale żebym zachowywała się cicho. Kiedy mi to mówił, nawet nie podnosił głowy znad papierów. Codziennie obiecywałam sobie, że więcej tego nie zrobię, codziennie była na prześcieradle jego świeża sperma i codziennie wszelkie moje zaklęcia, obietnice i modlitwy trafiał szlag; w pewnej chwili po prostu odkrywałam, że znów to robiłam. Tak naprawdę nie była to wcale walka z przymusem, kiedy człowiek walczy z sobą, poci się i drży. To tak, jakbym na chwilę przymknęła oczy, a kiedy je otwierałam, było już po wszystkim. Och, i codziennie, kiedy wchodziłam do apartamentu numer tysiąc sto sześćdziesiąt trzy, Jefferies trzymał się za głowę, jakby zabijał go ból. Ależ stanowiliśmy duet! On miał swoje poranne sensacje, a ja jego nocną słodycz.

– O co ci dokładnie chodzi? – zapytała Darcy.

– Dopiero wieczorami naprawdę zastanawiałam się nad tym, co robię, plułam i piłam wodę, raz czy dwa wymiotowałam. Pani Parker tak niepokoiła się moim stanem, że w końcu musiałam jej wyznać, że prawdopodobnie jestem w ciąży, ale dopóki nie nabiorę pewności, nie chcę o tym wspominać mężowi.

Johnny Rosewall był skoncentrowanym wyłącznie na sobie sukinsynem, ale myślę, że i do niego w końcu dotarłoby, że jest ze mną coś nie tak, gdyby nie skupiał całej uwagi na pieczeniu, jaką chciał upiec w największej brytfannie: na napadzie na sklep monopolowy. Właśnie planował go z kolesiami. Nic o tym oczywiście nie wiedziałam, ale byłam zadowolona, że żyje swoimi sprawami i nie zwraca na mnie uwagi. Dzięki temu było mi troszeczkę łatwiej.

Później, kiedy pewnego dnia weszłam do pokoju numer tysiąc sto sześćdziesiąt trzy, przekonałam się, że pan Jefferies wyjechał. Spakował bagaże i pojechał do Alabamy pracować nad nową książką i rozmyślać o wojnie. Och, Darcy, nawet nie wyobrażasz sobie, jaka byłam szczęśliwa! Czułam się jak Łazarz w chwilę po wskrzeszeniu. Tego dnia wydawało mi się, że wszystko przybierze w końcu pomyślny obrót; całkiem jak w powieści. Mogłabym Johnny'emu powiedzieć o dziecku, a on by się poprawił, rzucił prochy i podjął stałą pracę. Stałby się dobrym mężem i odpowiedzialnym, dobrym ojcem dla syna – byłam już święcie przekonana, że urodzę chłopca.

Weszłam do sypialni pana Jefferiesa. Pościel była jak zwykle skotłowana, koce skopane na koniec łóżka, prześcieradło ściągnięte i zmięte w kulę. Podeszłam do łóżka i znów, jak we śnie, rozłożyłam prześcieradło. No cóż – pomyślałam. – Jeśli nawet będę musiała... ale to już po raz ostatni.

Ale ten ostatni raz nie nastąpił. Na prześcieradle nie było śladów po panu Jefferiesie. Jakikolwiek urok rzuciła na nas ta stara *bruja*, czar prysnął. Wspañiale – uradowałam się. – Ja będę miała dziecko, on będzie miał książkę i oboje unikniemy magii staruchy. Nic mnie nie obchodzi naturalny ojciec tak długo, jak długo Johnny będzie dobry dla dziecka, które mam urodzić.

– Tego samego wieczoru powiedziałam Johnny'emu o ciąży – oświadczyła Martha, po czym dodała sucho: – Nie piał z zachwytu, ale o tym już pewnie wiesz.

Darcy skinęła głową.

– Z pięć razy wyrznął mnie kijem od szczotki, a potem, gdy leżałam w kącie i płakałam, stanął nade mną i wrzasnął: „Rozum ci odjęło? Nie będzie żadnego

dzieciaka! Kobieto, tobie chyba kompletnie szajba odbiła!”. Następnie odwrócił się na pięcie i wyszedł z domu.

Przez jakiś czas leżałam bez ruchu i rozmyślałam o pierwszym poronieniu. Bałam się, że lada chwila poczuję straszliwy ból i poronię po raz kolejny. Pomyślałam o liście od mojej mamy, w którym pisała, że powinnam od niego odejść, zanim doprowadzi do tego, że wyląduję w szpitalu; i o Kissy, która przysłała mi bilet na Greyhounda w kopercie z napisem NATYCHMIAST WRA-CAJ. Kiedy doszłam w końcu do wniosku, że jednak nie poronię, wstałam, żeby spakować swoje rzeczy. Postanowiłam natychmiast, zanim Johnny wróci, opuścić dom. Ale kiedy otworzyłam szafę, pomyślałam o Mamie Delorme. Pamiętam, że powiedziałam jej, że zamierzam opuścić Johnny’ego, a ona odrzekła: „Nie. To on opuści ciebie. Zobaczysz, jak odchodzi. Nie odchodź, kobieto. Jest niewiele pieniędzy. Myślisz, że on zabije ci dziecko w łonie, ale to mu się nie uda”.

Wtedy wydawało mi się, że miała rację, mówiąc mi, czego mam szukać i co robić. Podeszłam do szafy, zgoda, ale już nie chciałam wyjmować swoich rzeczy. Zaczęłam przeszukiwać kieszenie ubrań Johnny’ego i w tej samej kurtce, w której odkryłam fiolkę z White Angel, znalazłam dwie rzeczy. Była to jego ulubiona kurtka i podejrzewam, że mówiła wszystko o Johnnym Rosewallu. Uszyta z jasnego jedwabiu... ale wyglądała na tandetną. Nie cierpiałam jej. Tym razem nie znalazłam buteleczki z prochami. W jednej kieszeni natknęłam się na brzytwę, a w drugiej na niewielki, tani pistolet. Wyciągnęłam broń, przyjrzałam się jej i znów ogarnęło mnie uczucie takie jak w sypialni pana Jefferiesa–jakbym robiła coś tuż po przebudzeniu się z głębokiego snu.

Przeszłam do kuchni z pistoletem i położyłam go na niewielkim stoliku obok kuchenki. Następnie otworzyłam szafkę nad zlewem i zaczęłam macać między przyprawami i herbatą. W pierwszej chwili nie mogłam znaleźć tego, co dostałam od Mamy Delorme, i wpadłam w zatykającą dech w piersiach, okropną panikę – bałam się tak, jak czasami człowiek boi się podczas snu. Ale w końcu natrafiłam na niewielkie plastikowe pudełeczko i wyjęłam je.

Zdjęłam wieczko i sięgnęłam po grzyb. Był odrażający, zbyt ciężki jak na

swoje rozmiary i ciepły. Odnosiłam wrażenie, że trzymam w ręku ochłapek nie do końca martwego mięsa. A tamto, co robiłam w sypialni pana Jefferiesa? Mówię ci szczerze, wolałabym to zrobić jeszcze ze dwieście razy, niż wziąć do ręki ten grzyb.

Ale wzięłam go w prawą dłoń, a w lewą ową tanią trzydziestkę-dwójkę. Następnie ścisnęłam prawą rękę najmocniej, jak potrafiłam. Grzyb chrupnął z... cóż, zdaję sobie sprawę, że trudno w to uwierzyć... ale zabrzmiało to jak krzyk. Wyobrażasz sobie?

Darcy powoli potrząsnęła głową. Sama nie wiedziała, czy ma w to wierzyć, czy nie, ale jednego była pewna: nie chciała w to wierzyć.

– Cóż, ja również bym w to nie uwierzyła. Ale naprawdę tak to zabrzmiało. I jeszcze jedno, w co zapewne też nie uwierzysz, ale ja wierzę, gdyż widziałam to na własne oczy. Krew. Grzyb krwawił. Widziałam, jak z zaciśniętej pięści wypływa mi malutki strumyk krwi i spada na broń. Ale krew, gdy tylko dotykała lufy, rozpływała się w powietrzu.

Po chwili w ogóle przestała płynąć. Otworzyłam dłoń, spodziewając się widoku krwi, ale zobaczyłam jedynie grzyba; pomarszczonego i ze śladami moich palców. Ani na nim, ani na mojej dłoni, ani na pistolecie nie było odrobiny krwi. I kiedy już zaczynałam podejrzewać, że wszystko to mi się przywidziało, że śniłam na jawie, grzyb zaczął skręcać mi się w dłoni. Popatrzyłam na niego i przez sekundę czy dwie w niczym nie przypominał grzyba – przybrał wygląd żywego penisa. Pomyślałam o krwi wyciekającej z zaciśniętej pięści, kiedy go trzymałam, i przypomniały mi się słowa staruszki: „Dziewczyno, każde dziecko, które nosi w sobie kobieta, wyrzuca ze swej fujary mężczyzna”. Grzyb ponownie się skręcił – naprawdę, uwierz mi – a ja z wrzaskiem wyrzuciłam go do wiadra ze śmieciami. Wtedy też usłyszałam, że po schodach wchodzi Johnny. Chwyciłam pistolet, biegiem wróciłam do sypialni i wsunęłam go z powrotem do kieszeni kurtki. Potem w ubraniu, nawet w butach, wskoczyłam do łóżka, i podciągnęłam kołdrę pod szyję. Kiedy wszedł do pokoju, wiedziałam, że będą kłopoty. W ręce trzymał trzepaczkę do dywanów. Nie miałam pojęcia, skąd ją wytrzasnął, ale dobrze wiedziałam, co chce zrobić.

„Nie będzie żadnego bachora! – oświadczył. – Chodź tutaj!”.

„Zgadza się – odparłam. – Nie będzie żadnego dziecka. Nie potrzebujesz go i już go nie ma. Przecież sam się tym zająłeś, ty kupo gówna”.

Wiedziałam, ile ryzykuję, wyzywając go w ten sposób, ale pomyślałam, że dzięki temu mi uwierzy. Uwierzył. Zamiast mnie bić, uśmiechnął się szeroko, głupawo, okrutnie. Mówię ci, Darcy, nienawidziłam go w tamtej chwili jak nigdy nikogo w życiu.

„Nie ma?” – zapytał.

„Nie ma” – odparłam.

„A gdzie ten cały syf?” – chciał wiedzieć.

„A jak myślisz? Najprawdopodobniej w połowie drogi do East River”.

Jezu słodki! Podszedł i chciał mnie pocałować. Pocałować! Odwróciłam twarz, ale on przekręcił mi głowę; niezbyt mocno.

„Sama widzisz, że wiem najlepiej – powiedział. – Na dzieci będziemy mieli jeszcze dużo czasu”.

Znów wyszedł z domu. Dwa dni później próbował z koleśkami obrabować ten sklep monopolowy i pistolet eksplodował mu w rękach, zabijając go na miejscu.

– Sądzisz, że zaczarowałaś jego broń? – zapytała Darcy.

– Nie – odparła Martha. – Ona... można powiedzieć, moimi rękami. Spostrzegła, że sama nie mogę sobie pomóc, więc sprawiła, że sobie pomogłam.

– Ale uważasz, że na pistolet został rzucony urok?

– Wcale tak nie uważam – odparła spokojnie Martha.

Darcy przeszła do kuchni po szklanek wody. Nieoczekiwanie kompletnie wyschło jej w ustach.

– I to już właściwie koniec – odezwała się Martha, kiedy Darcy wróciła do pokoju. – Johnny umarł, a ja urodziłam Pete’a. Kiedy wróciłam do pracy, zorientowałam się, ilu mam naprawdę przyjaciół. Gdybym wiedziała o tym wcześniej, myślę, że dawno już opuściłabym Johnny’ego... a może nie. Nikt z nas tak naprawdę nie wie, jakimi prawami rządzi się świat, bez względu na to, co sobie wyobrażamy.

- Ale to jeszcze nie wszystko? – zapytała Darcy.
- No cóż, są jeszcze dwie rzeczy – odparła Martha.
- Drobiazgi.

Wcale nie uważa, że są to drobiazgi – błysnęła Darcy myśl.

– Mniej więcej w cztery miesiące po urodzeniu Pete’a ponownie odwiedziłam Mamę Delorme. Nie chciałam tego robić, ale zrobiłam. Miałam w kopercie dwadzieścia dolarów. Nie było mnie na to stać, lecz coś we mnie mówiło, że należą do niej. Było ciemno. Schody wydawały się jeszcze węższe i bardziej strome niż poprzednio. Im wyżej wchodziłam, tym mocniej czułam zapach jej mieszkania: spalonych świec, schnących tapet i cynamonowy zapach herbaty.

Wróciło tamto uczucie, że śnię – uczucie, że znajduję się za szklaną ścianą. Podeszłam do jej mieszkania i zapukałam. Nikt nie odpowiedział, więc uklękłam, żeby wsunąć kopertę pod drzwi. I wtedy, tuż zza drzwi, dotarł do mnie jej głos; zupełnie jakby również klęczała na podłodze. Nigdy w życiu nie wystraszyłam się tak jak wtedy, gdy w szparze między drzwiami a podłogą rozległ się chrzęszczący głos, który wydawał mi się głosem zza grobu.

„To będzie miły chłopiec – powiedziała. – I będzie taki sam jak jego ojciec. Naturalny ojciec”.

„Przyniosłam pani coś” – powiedziałam. Mój własny głos docierał do mnie jak z oddali.

„Wsunąć to pod drzwi, kochaneczko” – szepnęła.

Przesunęłam kopertę do połowy, a ona wciągnęła ją do środka. Usłyszałam, jak ją rozdziera. Czekałam. Po prostu czekałam.

„Tyle starczy – znów powiedziała szeptem. – Możesz już sobie iść, kochaneczko, i nigdy nie wracaj do Mamy Delorme, rozumiesz?”.

Zbiegłam po schodach najszybciej jak umiałam.

Martha podeszła do półki z książkami i po chwili wróciła z tomem w twardej oprawie. Darcy natychmiast dostrzegła podobieństwo tej okładki do okładki książki Petera Rosewalla. Ale ta była powieścią Petera Jefferies’a zatytułowaną „Płomień niebios”, a na okładce widniało dwóch żołnierzy piechoty atakują-

cych bunkier nieprzyjaciela. Jeden z nich trzymał granat, drugi strzelał z M-I.

Martha zaczęła z kolei bobrować w niebieskiej torbie z brezentu, po czym wyjęła książkę swego syna, odwinęła ją z bibułki, w którą otuliła tom, i z czułością położyła obok książki Jefferiesa. „Płomień niebios”; „Płomień chwały”. Obok siebie. Podobieństwo było oczywiste.

– To właśnie ta druga rzecz – odezwała się Martha.

– Tak – powiedziała z nutą wątpliwości w głosie Darcy.

– Wyglądają podobnie. I co z tymi powieściami? Czy są... no cóż...

Urwała zmieszana i popatrzyła spod zmrużonych rzęs na Marthę. Z ulgą spostrzegła, że przyjaciółka się uśmiecha.

– Pytasz, czy mój chłopak splagiatował tę tak głośną książkę? – zapytała Martha bez cienia urazy w głosie.

– Nie! – odparła Darcy trochę zbyt gwałtownie.

– Poza tym że obie traktują o wojnie, absolutnie się od siebie różnią – stwierdziła Martha. – Są tak różne jak... no cóż, jak różnią się od siebie ludzie czarni i biali. – Umilkła na chwilę i dodała: – Ale mają pewne cechy wspólne... coś, co możesz dostrzec tylko podświadomie, kątem oka. To ta jasność, o której ci wspominałam... odczucie, że świat jest dużo lepszy, niż na to wygląda, zwłaszcza lepszy, niż sądzą o nim ludzie, którzy są zbyt cwani, żeby być mili.

– Czyż nie jest zatem możliwe, że twój syn został zainspirowany przez Petera Jefferiesa... że czytywał go na studiach...

– Jasne – odparła Martha. – Podejrzewam, że Peter rzeczywiście czytał książki Jefferiesa. To bardziej możliwe niż niemożliwe. Widzisz, podobieństwa lgną do siebie. Ale jest jeszcze coś, coś co dużo trudniej wytłumaczyć.

Wzięła do ręki powieść Jefferiesa, patrzyła na nią chwilę z zadumą, a następnie przeniosła wzrok na Darcy.

– Kupiłam tę książkę mniej więcej w rok po urodzeniu mego syna – powiedziała. – Powieść tę ciągle wznawiano, drukowano, jakkolwiek dla mnie księgarnia musiała ją specjalnie zamawiać. Podczas jednej z wizyt pana Jefferiesa w naszym hotelu odważyłam się poprosić go o autograf. Myślałam, że moja prośba wytrąci go z równowagi, ale okazało się wręcz przeciwnie. Nawet jakby mu tro-

chę pochlebiła. Popatrz tutaj.

Odwróciła stronicę „Płomienia niebios”.

Darcy przeczytała wydrukowaną dedykację i odniosła dziwaczne wrażenie, że skądś ją zna. *Książkę tę dedykuję mojej matce, ALTHEI DIXMONT JEFFERIES, najwspanialszej kobiecie, jaką znałem.* A poniżej Jefferies dopisał wiecznym piórem czarnym atramentem, który już trochę wyblakł: *Marcie Rosewall, która bez słowa skargi sprzątała po mnie bałagan.* Poniżej widniał podpis i data: *Sierpień, 61.*

Słowa w dedykacji napisanej piórem wydały się w pierwszej chwili Darcy uwłaczające... a po chwili tajemnicze. Ale zanim miała czas to przemyśleć, Martha otworzyła książkę swego syna, „Płomień chwały” i położyła ją obok książki Jefferiesia. I znów Darcy przeczytała dedykację: *Książkę tę dedykuję Mojej Matce, MARCIE ROSEWALL. Mamo, bez Ciebie książka ta nigdy by nie powstała.* Poniżej widniała dedykacja wykonana odręcznie, najwyraźniej cienkopisem Flair: *To prawda. Kocham Cię, Mamo! Pete.*

Ale tak naprawdę wcale nie czytała. Patrzyła tylko na dedykacje. Jej wzrok błędził w tę i we w tę, w tę i we w tę, z jednej dedykacji na drugą, z dedykacji datowanej w sierpniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku na tę z kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego.

– Widzisz? – zapytała cicho Martha.

Darcy kiwnęła głową. Widziała.

Cienkie, pochyle, lekko staroświeckie pismo w obu książkach było takie samo... a również takie samo było w podpisach.

Jedynie ton przesłań jest różny – pomyślała Darcy – i różnią się od siebie tak, jak różnią się od siebie biel i czern.

Palec

Howard Mitla po raz pierwszy usłyszał skrobanie, gdy siedział samotnie w mieszkaniu w Queen, gdzie egzystował z żoną. Howard był jednym z mniej znanych licencjonowanych księgowych. Violet Mitla, jedna z mniej znanych nowojorskich laborantek dentystycznych, obejrzała w telewizji wiadomości, a następnie wybrała się do sklepu na rogu, żeby kupić pół kilograma lodów. Zaraz po dzienniku zaczął się teleturniej Jeopardy, ale jej quiz nie interesował. Twierdziła wprawdzie, że prowadzący konkurs Alex Trebek przypomina jakiegoś pokręconego ewangelistę, ale Howard znał prawdę: przy Jeopardy po prostu nie miała nic do powiedzenia.

Skrobanie dobiegało od strony łazienki znajdującej się na końcu króciutkiego korytarzyka wiodącego do sypialni. Howard na ów dźwięk zesztyniał. Nie mógł to być jakiś ćpun czy włamywacz; nie przy grubej, stalowej siatce, jaką przed dwoma laty na własny koszt zabezpieczył okna. Skrobanie wyglądało raczej na robotę myszy, która wpadła do wanny lub umywalki. Myszy albo szczura.

Przeczekał kilka pytań quizu i bacznie nasłuchiwał, w nadziei, że skrobanie samo ucichnie. Ale nie ucichło. Gdy na ekranie pojawiły się reklamy, bardzo niechętnie wstał z krzesła i ruszył do łazienki. Drzwi były uchylone, więc w korytarzyku skrobanie słychać było znacznie wyraźniej.

Na pewno mysz albo szczur. Łapki z drobnymi pazurkami szorowały o porcelanę.

– Cholera jasna – mruknął Howard i skierował kroki do kuchni.

W niewielkiej przerwie między gazową kuchenką a lodówką stały przybory do sprzątnięcia – szczotka z doczepioną szufelką, mop, wiadro wypełnione stary-

mi szmatami. Howard ujął w jedną rękę szczotkę, a w drugą szufelkę. Tak uzbrojony z ociąganiem podążył przez niewielki salon do łazienki. Wysuwał do przodu głowę, nastawiał uszu i nasłuchiwał.

Skrob, skrob, skrobu-skrob.

Dźwięk był bardzo cichutki. Hałasu nie robił chyba szczur. Ale tego właśnie gryzonia uporczywie wyczarowywała poruszona wyobraźnia Howarda. Nie jakiegoś tam szczura, ale szczura nowojorskiego, odrażające, futerkowe stworzenie z malutkimi, czarnymi ślepiami, długimi wąsami przypominającymi drut oraz pieńkowatymi zębami sterczącymi z dolnej szczęki i zachodzącymi na pysk w kształcie litery V. Wspinające się na tylne łapy szczurzysko.

Dźwięk był lekki, prawie delikatny, niemniej...

– „Rosyjski szaleniec, który został zastrzelony, zadźgany nożem i uduszony... wszystko to w ciągu jednej nocy” – dobiegł zza pleców Howarda głos Alexa Trebeka.

– „Czy był to Lenin?” – odezwał się jeden z zawodników.

– Czy był to Rasputin, kapuściany głąbie – mruknął pod nosem Howard.

Przełożył szufelkę do ręki, w której trzymał szczotkę. Wolną dłoń wsunął do łazienki i zapalił światło. Wszedł do środka, po czym szybko podszedł do wciśniętej w róg łazienki wanny zainstalowanej pod brudnym, okratowanym metalową siatką oknem. Nienawidził szczurów i myszy, nienawidził wszelkich małych, futerkowych stworzeń, które piszczą i czmychają (a czasami gryzą), ale już jako chłopiec dorastający w nowojorskiej dzielnicy Hell's Kitchen odkrył, że jeśli chce się utłuc któreś z nich, trzeba zrobić to szybko. Gdyby siedział sobie dalej na krześle, oglądał teleturniej i ignorował dźwięk, nic dobrego by z tego nie wynikło. Vi, słuchając wiadomości, rąbnęła sobie dwa piwa, więc łazienka będzie pierwszym miejscem, do którego się uda po powrocie ze sklepu. Jeśli rzeczywiście w wannie siedzi mysz, jego żona wybije głową dziurę w suficie... a następnie zażąda, żeby Howard zachował się jak prawdziwy mężczyzna i utłukł zwierzaka. I to galopem!

W wannie niczego nie było. Wyłącznie wąż od prysznicza. Wąż leżał na emalii niczym zdechła żmija.

Drapanie, które ustało w chwili, gdy Howard zapalił światło i wszedł do pomieszczenia, rozległo się ponownie; za jego plecami. Mitła odwrócił się i podszedł trzy kroki w kierunku umywalki. W miarę jak się zbliżał, coraz wyżej wznosił kij od szczotki.

Zaciśnięta na drewnie pięść uniosła się do poziomu podbródka i znieruchomiała. Howard stanął jak wryty. Szczeka mu opadła. Gdyby popatrzył na siebie w popstrzonym cętkami pasty do zębów lustrze nad umywalką, dostrzegłby połyskliwe, lśniące między językiem a podniebieniem, delikatne jak pajęczka przędza nitki śliny.

Z otworu odpływowego umywalki wydobywał się na wierzch palec.

Ludzki palec.

Palec na chwilę znieruchomiał, jakby świadom faktu, że został odkryty. Po chwili jednak ponownie zaczął się poruszać i wiercić, torując sobie drogę po różowej porcelanie falistym ruchem, jak robak. Dotarł do gumowej, białej zatyczki, wspiął się na nią, po czym ponownie zsunął się na porcelanę. To wcale nie mysz skrobała drobnymi pazurkami. To skrobał paznokiec, ocierając się o dno umywalki w miarę kolistych, płynnych ruchów palca.

Howard wydał ochrypły, pełen niedowierzania okrzyk, rzucił szczotkę na podłogę i na oślep ruszył w stronę drzwi. Wyrzwał ramieniem w wyłożoną białymi kafelkami ścianę. Ponowił atak i tym razem udało mu się wydostać z łazienki. Z impetem zamknął za sobą drzwi i stanął, opierając się o nie plecami. Ciężko dyszał. Serce biło mu jak oszalałe, nadając coś alfabetem Morse'a.

Nie stał tak zbyt długo – kiedy odzyskał kontrolę nad myślami, Alex Trebek ciągle prowadził zawodników przez pierwszą rundę Jeopardy – ale mimo to, gdy Howard już jako tako nad sobą zapanował, nie miał zielonego pojęcia, ile upłynęło czasu, kim jest, a nawet gdzie się znajduje.

Z tego stanu wyrwał go dopiero elektroniczny sygnał oznajmiający pole Daily Double.

– „Temat: »Przestrzeń kosmiczna i lotnictwo« – mówił Alex. – Mildred, masz na koncie siedemset dolarów. Ile stawiasz?».

Mildred, której kamery nie pokazały, mruknęła coś niezrozumiale.

Howard oderwał plecy od drzwi i jak na szcudłach wrócił do salonu. Ciągle ścisnął w rękę szufelkę na śmieci. Spoglądał na nią przez chwilę, po czym upuścił ją na dywan. Upadła, wzbijając lekki obłoczek kurzu.

– Ja tego wcale nie widziałem – odezwał się lekko drżącym głosem i ciężko opadł na krzesło.

– „W porządku, Mildred, pięćset dolarów. Ten doświadczalny poligon lotniczy nosił początkowo nazwę Pola Doświadczalnego Miroc”.

Howard zerknął w stronę telewizora. Mildred, drobna kobietka o mysiej twarzy, z aparatem słuchowym wielkości radia zegarowego wkręconym w ucho, głęboko się zastanawiała.

– Ja wcale tego nie widziałem – powtórzył z nieco większym przekonaniem.

– „Czy to... Baza Lotnicza Vanderberga?” – zapytała Mildred.

– Czy to... Baza Lotnicza Edwardsa, ptasi mózdzku – mruknął Howard.

Kiedy Alex Trebek potwierdził to, co Mitla już wiedział, Howard powtórzył:

– Ja tego wcale nie widziałem.

Ale niebawem miała wrócić Violet, a on zostawił w łazience szczotkę.

Alex Trebek oświadczył zawodnikom – i widowni – że nikt jeszcze nie wygrał, ale niebawem przejdą do drugiej rundy Jeopardy, gdzie punktacja może ulec zasadniczej zmianie. Przed kamerami pojawił się polityk i zaczął wyjaśniać, dlaczego powinien zostać ponownie wybrany.

Howard znów z ogromną niechęcią dźwignął się z krzesła. Nogi bardziej już przypominały nogi, a nie szcudła, ale ciągle jeszcze nie chciał wracać do łazienki.

Posłuchaj – powiedział do siebie. – To całkiem proste. Takie rzeczy czasami się zdarzają. Chwilowa halucynacja, to się często zdarza. A to, że o takich przypadkach słyszy się raczej rzadko, wynika z tego, że nikt nie lubi chwalić się taką przypadłością... ostatecznie zwidy to rzecz krępująca. Opowiadający o czymś takim człowiek czuje to samo, co ty będziesz czuł, jeśli szczotka pozostanie w łazience i Vi po powrocie do domu zapyta, co ona tam robi.

– „Bo proszę posłuchać – mówił w telewizorze polityk głębokim, pełnym na-

maszczenia, mającym budzić zaufanie głosem.

– Sprowadzając rzecz do podstaw: czy chcecie, żeby Archiwum Okręgu Nassau prowadziła uczciwa i kompetentna osoba, czy też wolicie, państwo, kogoś ze stolicy stanu, najemnika, który nigdy nawet...”

– Zapowietrzone rury – odezwał się Howard i jakkolwiek dźwięk, jaki ściągnął go do łazienki, w niczym nie przypominał bulgotu zapowietrzonych przewodów, to słysząc własny głos – rozsądny, nad którym sprawował już w pełni kontrolę – Mitla nabrał większej pewności siebie.

A poza tym niedługo wróci Vi. Tak naprawdę pojawi się lada chwila.

Staął przed drzwiami łazienki i nasłuchiwał.

Skrob, skrob, skrob. Zupełnie jakby najmniejszy ślepiec świata stukał swą laseczką w porcelanę, wyszukując drogi, badając otoczenie.

– Zapowietrzone rury! – oświadczył Howard silnym, deklamatorskim głosem i odważnie otworzył drzwi łazienki.

Schylił się, podniósł szczotkę i wyrzucił ją za drzwi. Nie musiał robić więcej niż dwóch kroków, żeby znaleźć się w niewielkim pomieszczeniu o podłodze wyłożonej spłowiałym, pomarszczonym linoleum i z zakurzonym, zakrytym kratką wywietrznikiem. A już z całą pewnością nikt nie kazał mu zaglądać do umywalki.

Stał w przedpokoiku i nasłuchiwał.

Skrob, skrob. Skrobu-skrob.

Odstawił szczotkę i szufelkę na miejsce, do niewielkiej niszy między kuchenką a lodówką, po czym wrócił do salonu. Stał przez chwilę na środku pokoju i spoglądał w stronę łazienki. Drzwi do niej były uchylone, a na przedpokój padała smuga żółtego światła.

Lepiej wyłącz to światło – mruknął do siebie w duchu.

– Wiesz, że na widok czegoś takiego Vi zrobi głową dziurę w suficie. Nie musisz przecież włączyć do środka. Po prostu sięgnij przez szparę i przekręć kontakt.

Ale co się stanie, jeśli coś dotknie jego dłoni, gdy wsunie ją tam, żeby sięgnąć do kontaktu?

Co, jeśli jakiś inny palec dotknie jego palca?

Co będzie, chłopaki i dziewczyny?

Do jego uszu ciągle dobiegał ów dźwięk. Była w nim jakaś bezlitosna nieustępliwość. Kompletne szaleństwo.

Skrob. Skrobu. Skrob.

W telewizorze Alex Trebek wyczytywał tematy drugiej rundy. Howard zbliżył się do odbiornika i puścił nieco głośniej. Następnie ponownie rozsiadł się na krześle i wmawiał sobie, że nie słyszy żadnych dobiegających z łazienki dźwięków. Nic a nic.

Może jedynie cichy dźwięk płynący z zapowietrzonych rur.

Vi Mitla należała do kobiet, które poruszają się z takim wdziękiem, że wydają się prawie kruche... ale Howard był jej mężem od dwudziestu jeden lat i doskonale wiedział, że nie ma w niej nic kruchego. Jadła, piła, pracowała, tańczyła i uprawiała miłość zawsze w tym samym tempie: *con brio*. Wtargnęła do mieszkania niczym kieszonkowe tornado. Potężnym ramieniem tuliła do prawej piersi brązową papierową torbę. Nie zatrzymując się w przedpokoju, przeszła od razu do kuchni. Howard słyszał szelest torby, trzask otwieranych, a następnie zamykanych drzwi lodówki. Kiedy Vi wróciła do salonu, rzuciła mężowi płaszcz.

– Czy mógłbyś, z łaski swojej, go odwiesić? – zapytała.

– Ja muszę koniecznie iść zrobić siusiu. Jak zwykle! Fiu!

„Fiu!” było jednym z najbardziej ulubionych wykrzykników Vi. Odpowiadało dziecięcemu „Fu”, które określać miało coś, co paskudnie pachnie.

– Jasne, Vi – odrzekł Howard i powoli wstał z krzesła, trzymając w ramionach ciemnoniebieski płaszcz.

Kiedy wchodziła do łazienki, nie spuszczał z niej wzroku.

– Elektrownia uwielbia, jak zostawiasz zapalone światła, Rowie! – zawołała przez ramię.

– Zrobiłem to umyślnie – odparł. – Wiedziałem, że natychmiast tam wpadniesz.

Roześmiała się. Usłyszał szelest jej ubrania.

– Za dobrze mnie znasz... ludzie powiedzą, że jesteśmy w sobie zakochani.

Powinieneś być jej powiedzieć... ostrzec ją – pomyślał Howard, ale wiedział, że czegoś takiego nie mógł zrobić. Jak miał o tym powiedzieć? „Uważaj, Vi, tam jest palec wyłazający z otworu w umywalce. Nie daj się temu typkowi dziobnąć w oko, gdy się pochylisz, żeby nalać sobie wody do szklanki”?

A poza tym była to wyłącznie halucynacja, złudzenie spowodowane powietrzem w rurach i lękiem przed szczurami i myszami. Teraz, kiedy minęło już kilka minut, tłumaczenie to było prawie do przyjęcia.

A jednak stał bez ruchu z płaszczem Vi w ramionach i czekał na jej wrzask. I rzeczywiście, po dziesięciu czy piętnastu trwających całą wieczność sekundach wrzasnęła.

– Wielki Boże, Howard!

Howard podskoczył i jeszcze mocniej przytulił do piersi trzymany w ramionach żoniny płaszcz. Serce, które biło mu już prawie normalnie, znów zaczęło wykręcać numer z alfabetem Morse’a. Próbował coś powiedzieć, ale przez chwilę miał kompletnie ściśnięte gardło.

– Co? – wykrztusił wreszcie. – Co, Vi? O co chodzi?

– Ręczniki! Połowa leży na podłodze. Jeeezu! Co tu się stało?

– Nie wiem! – odkrzyknął.

Serce waliło mu już jak oszalałe i trudno było stwierdzić, czy nudności i paskudne uczucie, jakie zalało go od środka, brało się z ulgi czy z przerażenia. Doszedł do wniosku, że zrzucił ręczniki podczas pierwszej próby opuszczenia łazienki, wtedy gdy przywalił barkiem w ścianę.

– To chyba duchy – stwierdziła. – Poza tym nie chcę zrzędzić, ale znów zapomniałeś opuścić deski.

– Och... przepraszam.

– Zawsze tak mówisz – dotarł do niego jej głos. – Czasami myślę, że chcesz, żebym wpadła do środka. I naprawdę wpadłam.

Rozległo się głuche uderzenie. To Vi opuściła deskę. Howard czekał, serce obijało mu się o żebra, w ramionach tulił płaszcz żony.

- „Do kogo należy rekord odbitych piłek w pojedynczej grze?”.
- „Czy to Tom Seaver?” – odszczeknęła natychmiast Mildred.
- Roger Clemens, ośła pało – powiedział Howard.

Pszzzzz! Dźwięk spuszczonej wody. I oto nadchodził moment, na który Howard (uświadomił to sobie jasno dopiero teraz) czekał cały czas. Pauza, zdawało się, trwała w nieskończoność. Później dotarł zgrzyt kurka od kranu oznaczonego literą C (od dawna zamierzał ten kurek wymienić, ale ciągle o tym zapominał), a następnie szum lejącej się do umywalki wody i odgłos energicznego płukania rąk.

Żadnych wrzasków.

Oczywiście, przecież tam nie było żadnego palca!

– Zapowietrzone rury – powiedział Howard z większą pewnością siebie i poszedł odwiesić płaszcz żony.

Vi pojawiła się w drzwiach, poprawiając spódnicę.

– Kupiłam lody – powiedziała. – Wiśniowo-waniliowe, takie jak chciałeś. Howie, ale zanim się do nich weźmiemy, może byś się napił ze mną piwa? Mamy nowy gatunek. Nazywa się American Grain. Nigdy o takich „amerykańskich wysłodach” nie słyszałam, ale akurat je sprzedawali, więc kupiłam sześć. Kto nie sieje, ten nie zbiera, prawda?

– Ha-ha! – mruknął, marszcząc nos.

Kiedy poznał Vi, jej skłonność do wymyślania dwuznaczników i kalamburów słownych uznał za cechę niezwykle wdzięczną.

Upływ lat jednak w dużej mierze stłumił jej blask i urok. Ale teraz, kiedy tak bardzo się przestraszył, piwo wydawało się wyśmienitym pomysłem. A gdy Vi wyszła do kuchni, żeby przynieść w szklankach swe najnowsze odkrycie, Howard uświadomił sobie, że lęk całkowicie go już opuścił. Doszedł do wniosku, że halucynacja jest rzeczą o niebo lepszą, niż gdyby naprawdę ujrzał wychodzący z otworu odpływowego w umywalce żywy i poruszający się palec.

Ponownie usiadł na krześle. Kiedy Alex Trebek ogłosił temat finałowej rundy Jeopardy – „Lata sześćdziesiąte” – zaczął sobie przypominać różne programy

telewizyjne, w których miewający halucynacje bohater cierpiał na: a) epilepsję; b) guz mózgu. Zapamiętał wiele takich audycji.

– Wiesz – odezwała się Vi, wnosząc do salonu dwie szklanki z piwem – nie lubię tych Wietnamczyków, którzy prowadzą nasz sklep. Chyba nigdy ich nie lubiłam. Myślę, że są podstępni.

– Czy złapałaś ich kiedyś na tym, że robią coś podstępnego? – zapytał Howard.

Osobiście uważał rodzinę Lahów za wyjątkowych ludzi... ale tego wieczoru ten problem go nie interesował.

– Nie, ani razu – przyznała Vi. – I to właśnie wydaje mi się podejrzane. Ponadto cały czas się uśmiechają. Mój ojciec mawiał: „Nie wierz temu, kto się uśmiecha”. Mawiał również... Howard, czy dobrze się czujesz?

– Naprawdę tak powiedział? – zapytał Howard, czyniąc niewielki tylko wysiłek, żeby wykrzesać z siebie iskrę beztroski i dobrego humoru.

– *Tres amusant, cheri.* Jesteś blady jak mleko. Spotkała cię jakaś przykrość?

Nie – chciał odpowiedzieć w pierwszej chwili. – Żadna przykrość mnie nie spotkała. „Przykrość” to określenie zbyt łagodne. Może mam epilepsję albo guz mózgu, Vi. Jak można coś takiego nazwać przykrością?

– Myślę, że to z przepracowania – odparł – Mówiłem ci już o tym wyliczaniu nowego podatku w szpitalu Świętej Anny.

– I co?

– Pomieszanie z poplątaniem – wyjaśnił i znów pomyślał o łazience, o umywalce i otworze odpływowym. – Zakonnice nie powinny prowadzić ksiąg rachunkowych. Ktoś stanowczo musi umieścić stosowny ustęp w Biblii, żeby wreszcie postawić sprawę jasno.

– Nie możesz pozwolić, żeby pan Lathrop obarczał cię takim nawałem pracy – powiedziała kategorycznie Vi. – Musisz mu się twardo postawić, bo w przeciwnym razie nigdy z tego nie wyjdiesz. Czy chcesz skończyć na zawał?

– Nie.

Podobnie jak nie chcę dostać epilepsji albo guza mózgu – dodał w myślach. – Boże, spraw, żeby był to zwykły, jednorazowy wybryk wyobraźni. Zgoda? Po

prostu takie przypadkowe beknięcie umysłu; jedno i koniec. Zgoda? Proszę. Bardzo proszę. Może cukiereczka?

– Jasne, że nie – odparła ponuro Vi. – Arlene Katz mówiła niedawno, że jeśli mężczyzna poniżej pięćdziesiątki dostanie zawału, prawie na pewno nie wyjdzie już ze szpitala. A ty masz tylko czterdzieści jeden lat. Musisz zająć zdecydowane stanowisko, Howardzie. Nie pozwól dłużej traktować się jak popychadło i wół czarnoroboczy.

– Chyba masz rację – mruknął posepnie.

Pojawił się Alex Trebek i zadał ostatnie pytanie: „Grupa hipisów, z którą podróżował autobusem po Stanach Zjednoczonych pisarz Ken Kessey?”. Rozległy się fanfary towarzyszące Final Jeopardy. Dwaj zawodnicy gorączkowo coś pisali. Mildred, kobieta z kuchenką mikrofalową w uchu, sprawiała wrażenie zrezygnowanej. Ale w końcu i ona zaczęła coś skrobać. Czyniła to najwyraźniej bez entuzjazmu.

Vi pociągnęła ze szklanki solidny łyk piwa.

– Ej, niezłe! – oświadczyła. – I tylko dwa dolary sześćdziesiąt siedem centów za sześć puszek!

Howard również się napił. Nic w nim szczególnego nie zauważył, ale przynajmniej było mokre i chłodne. Kojące.

Żaden z zawodników nie odpowiedział na pytanie. Nie odpowiedziała również Mildred, choć była najbliżej pola bramkowego.

– „Czy to *Marry People*, Radośni Ludzie?” – napisała.

– *Marry Pranksters*, Radośni Figlarze, tumanie – burknął Howard.

Vi popatrzyła na niego z podziwem.

– Howardzie, ty znasz odpowiedź na każde pytanie, prawda?

– Chciałbym – odparł Mitla i westchnął.

Howard nigdy specjalnie nie przepadał za piwem, ale tego wieczoru wypił trzy puszki nowego odkrycia żony. Vi oświadczyła, że gdyby wiedziała, że piwo tak mu przypadnie do gustu, zatrzymałaby się również w drogerii i kupiła kroplówkę; kolejny uświęcony „viizm”. Howard uśmiechnął się z przymusem. Na-

prawdę żywił nadzieję, że po piwie łatwo i szybko zaśnie. Bał się, że bez takiej niewielkiej pomocy mógłby się szybko obudzić i rozmyślać o tym, co zobaczył w umywalce. Ale piwo, jak mawiała Vi, posiadało całą masę witaminy PP i około dwudziestej trzydzieści, kiedy Vi poszła do sypialni włożyć nocną koszulę, Howard bardzo niechętnie ruszył do łazienki, żeby się wysikać. Najpierw podszedł do umywalki i siłą woli zmusił się do zajrzenia do odpływu.

Nic.

Poczuł ulgę (ostatecznie halucynacja była lepsza niż rzeczywisty palec, choć z drugiej strony zwid taki mógł wskazywać na guz mózgu), ale ciągle nie miał ochoty patrzeć w otwór odpływowy. Mosiężnej siateczki, która miała zatrzymywać różne rzeczy, jak włosy czy szpilki do nich, nie było już od lat i pozostała jedynie czarna dziura obramowana pierścieniem ze zmatowiałej stali. Otwór wyglądał jak wytrzeszczony oczodół.

Howard wziął gumowy korek i zatkał nim odpływ.

Tak było dużo lepiej.

Odszedł od umywalki, podniósł deskę klozetową (Vi zawsze z goryczą skarżyła się, że Howard, gdy skończy, nigdy nie opuszcza z powrotem deski, ale ona nigdy jej nie podnosiła, kiedy sama skończyła) i stanął przy sedesie. Należał do tych mężczyzn, którzy mocz oddają dopiero wtedy, kiedy czują najwyższą potrzebę (i którzy właściwie nie są w stanie wysikać się w szalecie publicznym; Howardowi sama myśl o tłoczących się za plecami w kolejce mężczyznach sprawiała, że zaciskały mu się drogi moczowe), więc i teraz zrobił to, co zawsze robił między wycelowaniem a rozpoczęciem bombardowania celu: recytował w myślach liczby pierwsze.

Kiedy doszedł do trzynastu i miał już wypuścić z siebie strumień, zza pleców dobiegł go nagły, ostry dźwięk. *Pluk!* Jego pęcherz, który jeszcze szybciej niż mózg pojął, że dźwięk ów wydała gwałtownie wypchnięta zatyczka w umywalce, w mgnieniu oka się skurczył (i to w sposób raczej bolesny).

W chwilę później do uszu Howarda dobiegł ów dźwięk – dźwięk stukającego lekko w porcelanę paznokcia na końcu wyginającego się i pełznącego palca. Skóra Howarda w ułamku sekundy stała się zimna jak lód i tak się skurczyła, że

było mu w niej za ciasno. Skapnęła pojedyncza kropla uryny, a potem penis wysmyrgnął mu się z dłoni niczym głowa żółwia, którą gad cofa do skorupy w poszukiwaniu bezpieczeństwa.

Howard powoli i chwiejnie podszedł do umywalki, żeby do niej zerknąć.

Palec wrócił. Był to bardzo długi, ale normalny palec. Howard widział paznokcie, ani nie obgryziony, ani nie szczególnie długi, oraz dwa pierwsze stawy. Na jego oczach palec postukał paznokciem w porcelanę, a później jakby zaczął się rozglądać po umywalce.

Mitla schylił się i zajrzał pod nią. Wychodząca z podłogi rura nie miała więcej niż osiem centymetrów średnicy, toteż na pewno nie przeszłoby przez nią ludzkie ramię. Ponadto kończyła się kolankiem. Do czego więc ów palec był dołączony? Do czego?

Howard ponownie się wyprostował i przez jedną straszliwą chwilę odnosił wrażenie, że głowa odpadnie mu od szyi i uleci gdzieś w przestrzeń. Przed oczyma zawirowały płatki czarnego śniegu.

Chyba zemdleję! – pomyślał.

Chwycił się za prawe ucho i z całych sił szarpnął, jak wystraszony pasażer w pociągu, gdy widzi, że dzieje się coś niedobrego, szarpie za rączkę hamulca bezpieczeństwa. Zawrót głowy minął... ale palec w umywalce pozostał.

To nie halucynacja. Jakżeby mogło być inaczej? Widział przecież na paznokciu maleńką kropelkę wody, a pod nią białą smużkę – mydło, z całą pewnością mydło. Vi, kiedy skończyła używać sedesu, umyła ręce.

A jednak może to być halucynacja – pomyślał. – Zapewne tak. Czy dlatego, że widzę mydło i kropelkę wody, mam uznać, że wszystko to nie jest wytworem mego umysłu? Posłuchaj, Howardzie. Jeśli nie jest to wytwór twej fantazji, to powiedz, co ten palec tu robi? A przede wszystkim, w jaki sposób się tu dostał? I jak to się stało, że Vi go nie widziała?

A więc zawołaj ją! Zawołaj! – podpowiedział mu umysł, ale po sekundzie zmienił dyspozycje: – Nie! Nie rób tego! Jeśli ty będziesz go w dalszym ciągu widział, a ona w dalszym ciągu nie...

Howard z całych sił zacisnął powieki i na chwilę znalazł się w innym świecie,

gdzie istniały jedynie rozbłyski czerwonego światła i oszalały łoskot jego serca.

Kiedy otworzył oczy, palec ciągle istniał.

– Czym jesteś? – szepnął Howard przez zęby. – Czym jesteś i co tutaj robisz?

Palec w jednej chwili zaprzestał swej czynionej na ślepo eksploracji umywalki... a następnie wycelował prosto w Howarda.

Ten cofnął się niepewnie o krok i przycisnął dłoń do ust, by stłumić narastający mu w gardle krzyk. Pragnął jedynie oderwać wzrok od wstrętnego, odrażającego stwora, chciał galopem wybiec z łazienki (i niewiele go obchodziło, co pomyślałaby, co powiedziałyby czy co zobaczyłaby Vi), ale stał jak sparaliżowany, niezdolny oderwać wzroku od białoróżowego palca, który do złudzenia przypominał jakiś organiczny peryskop.

Po chwili palec zgiął się w drugim stawie, jego koniuszek opadł, dotknął porcelany i zaczął z lekkim stukaniem ponownie kręcić się w tej nieustannej, ślepej eksploracji.

– Howie? – dobiegł głos Vi. – Zasnąłeś tam?

– Zaraz wychodzę! – odkrzyknął z pogodą desperata.

Spuścił w toalecie wodę, która zmyła jedyną kroplę moczu, i omijając umywalkę szerokim łukiem, ruszył w stronę drzwi. Dostrzegł swe odbicie w lustrze. Oczy miał olbrzymie, cerę paskudnie białą. Uszczypnął się mocno w policzki i wyszedł z łazienki, która zaledwie w ciągu jednej godziny stała się najbardziej przerażającym i trudnym do wytłumaczenia miejscem, jakie odwiedził w życiu.

Kiedy Vi, chcąc sprawdzić, co Howard robi tak długo, pojawiła się w kuchni, jej mąż zaglądał do lodówki.

– Czego tam szukasz? – zapytała.

– Pepsi. Chyba skoczę do Lahów po puszkę.

– Po trzech piwach i potężnej porcji waniliowo-wiśniowych lodów? Howardzie, po czymś takim cię rozerwie.

– Ale gdzie tam! – odparł.

Jeśli szybko nie pozbędzie się tego, co wyprodukowały mu nerki, rzeczywiście może go rozerwać.

– Na pewno dobrze się czujesz? – zapytała łagodniej Vi, obrzucając go krytycznym spojrzeniem. Mówiła to z troską i niepokojem. – Wyglądasz okropnie. Uwierz mi.

– No cóż – odparł z ociąganiem. – U nas w biurze panuje epidemia grypy. Po-dejrzewam...

– To może ja zejdę po tę cholerną pepsi, skoro jest ci tak niezbędna do życia – zaofiarowała się.

– Nigdzie nie pójdziesz – przerwał jej pośpiesznie Howard.

– Jesteś już w koszuli nocnej. Posłuchaj... wezmę płaszcz.

– Howardzie, kiedy ostatnio tak kompletnie się rozłożyłeś? Nie wiem. Tak dawno, że sama nie pamiętam.

– Sprawdzę jutro – odparł niepewnie, przechodząc do niewielkiego przedpo-koju, w którym wisiały ich płaszcze. – Zajrzę do książeczki zdrowia.

– No cóż, dobrze. Ale skoro już przyszedł ci do głowy tak zwariowany pomysł i musisz wyjść, to włóż przynajmniej mój szalik.

– W porządku. Świetny pomysł.

Włożył płaszcz, ale gdy zaczął zapinać guziki, odwrócił się do Vi plecami, żeby nie dostrzegła, jak fatalnie trzęsą mu się ręce. Kiedy znów odwrócił się w jej stronę, ona szła już do łazienki. Przez kilkanaście sekund stał w milczeniu, zastanawiając się, czy tym razem usłyszy jej wrzask. Dobiegł go jedynie dźwięk puszczonej do umywalki wody, a w chwilę później ostry szelest szczoteczki, którą Vi szorowała zęby. Robiła to w swoim normalnym tempie: *con brio*.

Stał jeszcze chwilę, a jego umysł nieoczekiwanie wydał werdykt w czterech prostych, niepozbowionych sensu słowach: Tracę nad sobą kontrolę.

Może i tak... ale nie zmieniało to wcale faktu, że jeśli szybko się nie wysika, spotka go bardzo nieprzyjemna przygoda. Z tym problemem jednak mógł się stosunkowo łatwo uporać i to stanowiło jego jedyną pociechę. Otworzył drzwi, przystanął w progu, po czym ściągnął z wieszaka szalik Vi.

Kiedy zamierzasz poinformować żonę o tych ostatnich, nieprawdopodobnych wydarzeniach w życiu Howarda Mitli? – zapytał go umysł.

Howard odpędził tę myśl i z uwagą zaczął zawiązywać szalik na klapach

płaszcz.

Mieszkanie Mitlów mieściło się na trzecim piętrze ośmiopiętrowego budynku na Hawking Street. Po prawej stronie, na rogu Hawking Street i Queens Boulevard, znajdowały się otwarte całą dobę delikatesy Laha. Howard jednak skręcił w lewo i doszedł do końca budynku. Był tam wąski zaułek prowadzący na tyły domu. Po obu stronach przejścia stały rzędy pojemników na śmieci. W brudnych, wąskich przerwach między śmietnikami bardzo często bezdomni – niektórzy byli notorycznymi pijaczkami – mościli sobie z gazet komfortowe łoża. Tego wieczoru jednak żaden włóczęga nie zrobił sobie w zaułku legowiska, za co Howard był głęboko wdzięczny losowi.

Mitla wsunął się między pierwszy i drugi pojemnik, rozpiął rozporek i obficie oddał mocz. W pierwszej chwili odczuł taką ulgę, że błogosławił niebiosy, ale kiedy strumień zaczął słabnąć, a on z kolei zaczął rozważać swoje położenie, znów ogarnął go niepokój.

Sytuacja była na dłuższą metę nie do utrzymania.

Oto stał i sikał na ścianę budynku, w którym znajdowało się jego ciepłe, bezpieczne, przytulne mieszkanie. Obejrzał się za siebie, żeby sprawdzić, czy nikt go nie obserwuje. Pojawienie się jakiegoś ćpuna lub bandziora byłoby rzeczą paskudną, ale nie był wcale pewien, czy jeszcze paskudniejsze nie okazałoby się spotkanie z kimś, kogo znał – na przykład z którymś z Fensterów spod 2c lub Dattlebaumów spod 3f. Co by wtedy powiedział? A co ta rozjazgotana Alicia Fenster nawrzucałaby Vi?

Skończył, zapiął spodnie i wrócił do wylotu zaułka. Ostrożnie rozejrzał się w obie strony, a następnie pomaszerował w prawo do Lahów, gdzie od uśmiechniętej pani Lah o oliwkowej skórze kupił puszkę pepsi-coli.

– Wygląda pan dziś bardzo blado, panie Mitra – powiedziała, cały czas się uśmiechając. – Czy nic pana nie boi?

Och, tak – pomyślał. – Boję się jak cholera, kochana pani Lah. Nigdy w życiu jeszcze tak się nie bałem.

– Chyba złapałem jakieś paskudztwo w umywalce – odparł, a kiedy jej

uśmiech nieco osłabł, Howard pojął, jakie głupstwo palnął. – To znaczy, chciałem powiedzieć: w biurze.

– Lepiej ublać się ciepło – odparła. Jej czoło wygładziło się.

– Radio mówi, że idą chłody.

– Dziękuję – odparł Howard i wyszedł ze sklepu. W drodze do domu otworzył puszkę pepsi i wylał jej zawartość na chodnik. Zważywszy na to, że jego łazienka najwyraźniej stała się najbardziej wrogim terytorium, ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było picie jeszcze większej ilości płynów.

Kiedy wszedł do mieszkania, z sypialni dobiegało ciche pochrapywanie Vi. Trzy piwa podziałały na nią skutecznie i szybko. Postawił na kuchennym stole pustą puszkę po pepsi, a potem podszedł do drzwi łazienki. Po kilku sekundach przyłożył do nich ucho.

Skrob-skrob. Skrobu-skrobu-skrob.

– Skurwysyn – szepnął.

Poszedł do łóżka, nie umywszy zębów, co zdarzyło mu się po raz pierwszy od tamtych dwóch tygodni spędzonych na obozie w High Pines. Miał wtedy dwaście lat, a matka zapomniała mu zapakować szczoteczkę.

Leżał obok Vi i nie mógł zasnąć.

Cały czas towarzyszył mu dźwięk, jaki wydawał obracający się w otworze odpływowym palec nieustannie eksplorujący teren; dobiegał go stukot paznokcia uderzającego w porcelanę. Naturalnie, nie mógł go słyszeć przez dwoje zamkniętych drzwi, ale wyobrażał sobie, że słyszy, i było to równie paskudne, jakby naprawdę docierały do niego te hałasy.

Wcale nie – mówił do siebie. – W końcu zdajesz sobie sprawę z tego, że ten dźwięk jest tylko wytworem twojej wyobraźni. Jeśli zaś chodzi o sam palec, tego nie jesteś już tak do końca pewien.

Niewielką to stanowiło pociechę. Ciągle nie mógł zasnąć, a jednocześnie nie potrafił rozwiązać problemu. Zdawał sobie sprawę, że nie może przecież do końca życia wymyślać pretekstów, żeby wyjść do zaułka i się wysikać. Wątpił, czy wytrzymałby tak przez czterdzieści osiem godzin.

A co się stanie, jeśli następnym razem natkną się na niego kumple, znajomi

czy sąsiedzi? Takiego pytania nigdy nie zadano w finałowej rundzie Jeopardy, zresztą nie miał pojęcia, co mogłoby go naprowadzić na właściwą odpowiedź. W każdym razie nie zaulek. Tego przynajmniej był pewien.

A może po prostu przyzwyczaisz się do tego przekłętogo stwora? – podpowiedział mu wewnętrzny głos.

Nie. Już sam pomysł był szalony. Choć ożenił się z Vi przed dwudziestu jeden laty, ciągle nie był w stanie wejść do łazienki, kiedy ona tam była. Po prostu zaciskał mu się układ moczowy. Vi mogła siedzieć sobie radośnie na sedesie, siusiać i gaworzyć o pracy z doktorem Stone'em, podczas gdy on, jej mąż, się golił. Ale on tak nie umiał. Miał zupełnie inną naturę.

Jeśli palec nie zniknie sam, lepiej będzie, jeśli przygotujesz się na zmianę swojej natury – znów podpowiedział mu wewnętrzny głos. – Obawiam się, że będziesz zmuszony dokonać pewnych korekt w podstawowej strukturze rzeczy.

Odwrócił głowę, popatrzył na stojący na nocnym stoliku zegarek. Wskazywał za kwadrans drugą... i żałośnie skonstatował, że znów musi się wysikać.

Ostrożnie wstał, po czym na palcach opuścił sypialnię. Minął zamknięte drzwi od łazienki, skąd dochodziło nieustanne skrobanie i chrobot uderzającego w porcelanę paznokcia, a następnie wszedł do kuchni. Przysunął do zlewu niewielkie, trzystopniowe schodki, wspiął się na nie i dokładnie wycelował w otwór odpływowy. Cały czas bacznie nastawiał uszu, czy Vi nie wstaje z łóżka.

W końcu jakoś mu się udało... ale dopiero wtedy, gdy w swoim katalogu liczb pierwszych doszedł do trzystu czterdziestu siedmiu. Stanowiło to absolutny rekord. Odstawił stopnie i poczłapał do sypialni, myśląc: Nie wytrzymam. Długo tak nie wytrzymam. Po prostu nie wytrzymam.

Mijając drzwi łazienki, drapieźnie wyszczerzył w ich kierunku zęby.

Kiedy następnego ranka o szóstej trzydzieści zadzwonił budzik, Howard wygrzebał się z pościeli i poczłapał do łazienki.

Otwór odpływowy był pusty.

– Dzięki Bogu – powiedział niskim, drżącym głosem. Poczłapał błogą ulgę; ulgę

tak wielką, że aż błogosławioną. – Och, dzięki Bo...

Palec wyskoczył niczym diabeł z pudełka, zupełnie jakby głos Howarda stanowił dla niego hasło. Obrócił się w otworze trzykrotnie, bardzo szybko, a następnie zastygł sztywno niczym irlandzki seter wystawiający zwierzynę. Wycełował prościutko w Howarda.

Howard cofnął się. Uniosła mu się górna warga i opadła w odruchowym kłapnięciu szczęki.

Opuszka palca zaczęła się unosić i opadać... palec na niego kiwał: Witaj, Howardzie. Jak to miło, że przyszedłeś.

– Pierdziel się – mruknął.

Odwrócił się twarzą do sedesu. Próbował zdecydowanie oddać mocz... i nic. Ogarnął go nagle nieprzytomny gniew. ochota, żeby wyrwać odrażającego intruza z umywalki, wyrwać go z jego nory, cisnąć na ziemię i zdeptać gołą stopą.

– Howardzie? – zapytała niewyraźnie żona, stukając do drzwi. – Kończysz?

– Tak – odparł, starając się ze wszystkich sił nadać głosowi naturalne brzmienie.

Spuścił wodę w klozecie.

Było rzeczą oczywistą, że Vi nie zauważyła czy też nie obchodziło jej, jakim głosem mówi jej mąż. Nie interesował jej również wygląd Howarda. Cierpiała na niezaplanowanego kaca.

– Miewałam wprawdzie gorsze, ale i ten jest wystarczająco paskudny – wymamrotała, mijając go w drzwiach. Zadarła koszulę nocną i całym ciężarem ciała opadła na sedes. Wsparła czoło na dłoni. – Nigdy więcej tego syfu, dziękuję bardzo, pokorna służka. American Grain! Mam to piwsko ciężko w dupie.

Ktoś powinien powiedzieć dzieciaczkom, które nawożą pola, żeby to robiły, zanim chmiel wyrośnie. Ból głowy po trzech parszywych piwach! Na Boga! No cóż, za tanie pieniądze psy mięso jedzą. Zwłaszcza gdy piwo sprzedają ci upiorni Lahowie. Howie, kochanie, czy mógłbyś podać mi aspirynę?

– Jasne – odparł i ostrożnie zbliżył się do umywalki.

Palec zniknął. Najwyraźniej Vi znów go wypłoszyła. Wyjął z apteczki fiolkę

i wytrząsnął z niej dwie pastylki. Kiedy odstawiał resztę do szafki, przez mgnienie oka dostrzegł w otworze koniuszek palca. Wysunął się na niecały centymetr. Zanim ponownie zniknął w dziurze, wykonał przyzywający gest.

Już ja ciebie stamtąd wykurzę – pomyślał nieoczekiwanie Howard. Czuł już tylko gniew – straszliwy, palący gniew – i to bardzo podniosło go na duchu. Uczucie owo wtargnęło w jego udręczony, ogłupiały umysł niczym jeden z ogromnych rosyjskich lodołamaczy, które z dziecięcą łatwością wyrąbują drogę w zwałach paku lodowego. – Dostanę cię. Nie wiem jeszcze jak, ale dostanę.

Wręczył Vi aspiryny i powiedział:

– Poczekaj chwilę... przyniosę ci szklanek wody.

– Nie zwracaj sobie tym głowy – odparła pośpiesznie Vi i rozgryzła obie tabletki. – Na sucho szybciej poskutkują.

– Podejrzewam, że palą się w tobie wszystkie ognie piekieł – stwierdził Howard.

Odkrył, że choć tak długo przebywa z Vi w łazience, jej obecność zupełnie mu nie przeszkadza.

– Nie ma sprawy – odparła pośpiesznie Vi. Wstała i spuściła wodę. – A ty, jak ty się dzisiaj czujesz?

– Nieszczęśliwie – odrzekł zgodnie z prawdą.

– Też go masz?

– Kaca? Nie, myślę, że to wirus grypy, o którym ci wczoraj mówiłem. Boli mnie głowa i czuję palec w gardle.

– Co?

– Palenie – poprawił się natychmiast. – To znaczy, chciałem powiedzieć, palenie w gardle.

– Cóż, lepiej nie wychodź dzisiaj z domu.

Podeszła do umywalki, zdjęła ze stojaka szczoteczkę i zaczęła energicznie szorować zęby.

– Może i ty zostaniesz? – odparł.

Tak naprawdę wcale nie chciał, żeby Vi zostawała w domu. Chciał, żeby jak najszybciej stanęła u boku doktora Stone'a i pomagała mu zakładać plomby

i czyścić kanały zębowe. Ale zdawał sobie sprawę, że byłoby niegrzecznie, gdyby czegoś w tym rodzaju nie powiedział.

Popatrzył na jej odbicie w lustrze. Na policzkach już pojawiły się kolory, oczy zaczynały błyszczeć. Vi wracała do siebie również w tempie *con brio*.

– Dzień, kiedy z powodu kaca wykręcę się od pracy chorobą, będzie dniem, kiedy całkowicie rzucę picie – oświadczyła.

– Poza tym doktor mnie potrzebuje. Mamy dzisiaj wyrwać pacjentowi wszystkie górne zęby. To parszywa robota, ale ktoś ją musi wykonać.

Splunęła prosto do otworu odpływowego i Howard pomyślał ze zgrozą: Kiedy to ponownie wychynie, będzie usmarowane pastą do zębów. Jezu!

– Zostań w domu, ubierz się ciepło i pij dużo płynów – poradziła Vi. Przybrała już swój ton siostry przełożonej, ton, który wyraźnie mówił: Jeśli się nie zastosujesz do moich poleceń, bardzo gorzko tego pożałujesz. – Przynajmniej nadrobisz zaległe lektury. A ponadto pokażesz temu panu Lathropowi Świeżej Kupie, ile traci, gdy nie ma cię przy sobie. Niech jeszcze raz dobrze sobie wszystko przemyśli.

– To nie jest głupia myśl – odparł Howard.

Pocałowała go i puściła do niego perskie oko.

– Twój Drżący Kwiatusek też zna się na tym i owym – powiedziała.

Kiedy w pół godziny później wychodziła na przystanek autobusowy, podśpiewywała sobie z wigorem.

O kacu dawno już zapomniała.

Natychmiast po wyjściu Vi Howard ruszył do kuchni, wyciągnął schodki i ponownie wyszczał się do zlewu. Gdy nie było w domu żony, poszło mu to znacznie sprawniej. Doliczył tylko do dwudziestu trzech, dziewiątej liczby pierwszej i już z niego popłynęło.

Kiedy miał ten problem z głowy – przynajmniej na kilka najbliższych godzin – wrócił do przedpokoju i wsunął głowę do łazienki. Palec dostrzegł natychmiast, a to już była rzecz niepokojąca. Stało się coś niemożliwego, gdyż z miejsca, w którym stał, krawędzie umywalki powinny jeszcze zasłaniać widok pal-

ca. A jednak go widział, co znaczyło...

– Co ty, skurwysynu, wyprawiasz? – wychrypiał Howard i palec, który obrał się we wszystkie strony, jakby badał kierunek wiatru, odwrócił się do niego.

Tak jak przewidział Howard, uświniony był pastą do zębów. Zgiął się w kierunku Howarda... z tym tylko, że wygiął się w trzech miejscach... kompletne szaleństwo, po prostu niemożliwe. Przecież trzeci staw jest już na dłoni.

To rośnie – zaszwargotało Howardowi w umyśle. – Nie wiem, jak to się dzieje, ale tak jest... skoro z tego miejsca widzę go nad umywalką, musi mieć co najmniej osiem centymetrów... zapewne więcej!

Cichutko zamknął za sobą drzwi łazienki i chwiejnie przeszedł do salonu. Nogi ponownie zmieniły mu się w szczudła. Jego umysłowy lodołamacz zniknął pod zwałami oślepiająco białej paniki i oszołomienia, które przytłoczyły go niewyobrażalnym ciężarem. To nie była zwykła góra lodowa; był to już cały lodo-wiec.

Howard Mitla usiadł w fotelu i zamknął oczy. Nigdy nie czuł się równie samotny, równie zdezorientowany i równie bezsilny. Siedział tak bardzo długo. W końcu zaciśnięte na poręczach fotela palce się rozluźniły. Prawie całą noc nie spał i teraz po prostu zmorzył go sen. A w łazience wydłużający się i wydłużający, sterczący z otworu odpływowego palec stukał paznokciem i kręcił się, stukał paznokciem i kręcił się...

Przyśniło mu się, że występuje w Jeopardy – nie w tym nowym wydaniu, gdzie można zarobić wielkie pieniądze, ale w oryginalnym programie emitowanym w środku dnia. Zamiast powierzyć wybór komputerowi, osoba stojąca za tablicą po prostu ręką wyciągała kartkę, kiedy któryś z zawodników żądał konkretnego pytania. Alexa Trebeka zastąpił Art Fleming z zaczesanymi gładko do tyłu włosami i nieco wstydliwym uśmiechem w stylu nieśmiałe-chłopię-na-przyjęciu. Kobieta pośrodku ciągle była Mildred i ciągle miała w uchu owo urządzenie do łączności z satelitą, ale włosy uczesała w stylu *bouffant*, jak Jacqueline Kennedy, a okulary w drucianej oprawie zastąpiła okularami w kształcie kocich oczu.

I wszyscy, łącznie z Howardem, byli czarno-biali.

– W porządku, Howardzie – powiedział Art i wskazał na niego palcem. Palec miał groteskowe rozmiary, blisko trzydzieści centymetrów długości, i sterczał z zaciśniętej dłoni niczym wskaźnik prelegenta. Na paznokciu widniały ślady zaschniętej pasty do zębów. – Teraz twoja kolej. Wybieraj.

Howard popatrzył na tablicę i rzekł:

– Art, chciałbym wybrać „Szkodniki i żmije” za sto dolarów.

Kwadracik z napisem 100 \$ zniknął z tablicy, a pod nim pojawiło się pytanie: „Jaki jest najlepszy sposób, żeby pozbyć się nieznośnych palców w otworze odpływowym twojej umywalki?”

– Cóż, to może... – zaczął Howard i zamilkł. Widownia w czarno-białym studio obserwowała go w milczeniu. Czarno-biały kamerzysta zrobił zbliżenie jego pokrytej potem, czarno-białej twarzy. – Cóż, to może... hmmm...

– Pośpiesz się, Howardzie. Twój czas się kończy – odezwał się przymilnie Art, wywijając groteskowo wydłużonym palcem, ale Howard milczał jak zakłęty.

Nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, odbiorą mu z konta sto dolarów, dostanie się na listę „minusowców”, przegra z kretesem i zapewne nie dadzą mu nawet zestawu wsławnych encyklopedii...

Ulicą przejechała ciężarówka dostawcza, głośno strzelając z rury wydechowej. Howard jak rażony prądem wyprostował się i o mało nie spadł z fotela.

– Czyżby był to płyn do czyszczenia rur kanalizacyjnych? – wrzasnął. – Czyżby był to płyn do czyszczenia rur kanalizacyjnych?

Taka była właśnie odpowiedź. Prawidłowa odpowiedź.

Wybuchnął śmiechem. Śmiał się jeszcze pięć minut później, kiedy wkładał płaszcz, a następnie wychodził z domu.

W sklepie z artykułami gospodarstwa domowego Wesoły Majsterkowicz na rogu Queens Boulevard postawił na ladzie przed sprzedawcą trzymającym w zębach wykałaczkę plastikową butlę. Na etykiecie widniał rysunek kobiety w domowym fartuchu. Jedną rękę trzymała na biodrze, a drugą wlewała strumień środka do czyszczenia rur kanalizacyjnych w coś, co mogło być fabrycz-

nym zlewem lub bidetem Orsona Wellesa. Na etykiecie widniał napis: *DRAIN-EZE. DWUKROTNIE silniejszy od najlepszych środków! W JEDNEJ CHWILI udroźnią przewody z wanien, zlewów, pryszniców i umywalek! Rozpuszcza włosy i wszelkie substancje organiczne!*

– Substancje organiczne – powiedział Howard. – Co to dokładnie znaczy?

Sprzedawca, łysy osobnik z masą brodawek na czole, wzruszył ramionami. Przesunął językiem sterczącą między wargami wykałaczkę z jednego kącika ust w drugi.

– Chyba resztki żarcia. Ale nie używałbym tego środka w charakterze płynnego mydła, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

– Może spalić skórę na dłoniach? – domyślił się Howard, mając nadzieję, że powiedział to wystraszonym głosem.

Sprzedawca ponownie wzruszył ramionami.

– Myślę, że nie jest tak żrący jak środek, który sprzedawaliśmy dawniej, ale tamten już wycofano z handlu, bo zawierał ług. Tak mi się w każdym razie wydaje. Spójrz pan na to. – Stuknął krótkim, serdelkowatym palcem w wymalowaną na etykiecie trupa czaszkę ze skrzyżowanymi piszczelami i napisem TRUCI-ZNA.

Howard obserwował palec sprzedawcy. Skonstatował, że w drodze do sklepu Wesoły Majsterkowicz przyglądał się uważnie palcom u rąk wszystkich mijających ludzi.

– Tak, widzę – odparł.

– Cóż, nie naklejają tego znaczka dla zabawy. Jeśli ma pan dzieciaki, proszę trzymać ten środek poza ich zasięgiem. I nie płukać nim gardła.

Sprzedawca wybuchnął śmiechem, przyklejona do jego dolnej wargi wykałaczką podskakiwała i opadała.

– Na pewno nie będę płukać gardła – odparł Howard. Odwrócił butelkę i odczytał napis wykonany maleńką czcionką:

Zawiera: wodorotlenek sodowy i wodorotlenek potasowy. Powoduje poważne oparzenia skóry. Tak, to było bardzo dobre. Nie wiedział, czy wystarczy, ale istniał sposób, żeby to sprawdzić. Pod czaszką odezwał się, pełen wątpliwości, głos:

Howardzie, a jeśli tylko go rozwścieszysz? Co wtedy?

Cóż... no i co z tego? To coś było w przewodzie kanalizacyjnym, prawda?

Zgadza się... ale to najwyraźniej rośnie.

Niemniej... czy Howard miał jakikolwiek inny wybór? W tej kwestii głos pod czaszką milczał.

– Nie chciałbym pana ponaglać przy tak poważnym zakupie – odezwał się sprzedawca – ale dzisiejszego ranka jestem sam, a muszę wystawić trochę faktur, więc...

– Biorę ten środek – powiedział Howard, sięgając do portfela. W trakcie tej czynności jego wzrok padł na coś jeszcze; na gablotę z napisem: JESIENNA WYPRZEDAŻ. – Co to takiego? – zapytał. – To, tam?

– To? – odparł pytaniem sprzedawca. – Elektryczna maszynka do strzyżenia żywopłotów. W czerwcu dostaliśmy ich dwa tuziny, ale nikt ich nie chciał kupować.

– Wezmę jeden egzemplarz – oświadczył Howard Mitla z uśmiechem.

Później sprzedawca, nagabywany przez policję, powiedział, że bardzo mu się ten uśmiech nie podobał. Bardzo.

Po powrocie do domu Howard postawił zakupy na stole w kuchni. Pudełko z nożycami do cięcia żywopłotów przesunął trochę na bok. Miał nadzieję, że do tego nie dojdzie. Tak, z całą pewnością nie dojdzie. Następnie z uwagą przeczytał instrukcję na butelce z drain-eze.

Wlej powoli ćwierć zawartości butelki do otworu odpływowego... odczekaj piętnaście minut. W razie potrzeby powtórz operację.

Tak, z pewnością do tego nie dojdzie... nieprawdaż?

Żeby się o tym upewnić, Howard postanowił wlać do umywalki połowę zawartości flaszki... no, może troszeczkę więcej. Dłuższą chwilę mocował się z kapturkiem ochronnym, ale w końcu udało mu się go zdjąć. Następnie ruszył przez salon do przedpokoju, trzymając przed sobą białą plastikową butelkę. Na łagodnej zazwyczaj twarzy Howarda malowała się surowość – surowość żołnierza, który wie, że w każdej chwili może dostać rozkaz ataku na bagnety.

Zaczekaj chwileczkę! – wrzasnął mu pod czaszką głos, w chwili kiedy sięgał do klamki w drzwiach prowadzących do łazienki. Dłoń zawisała w powietrzu. – To szaleństwo! WIESZ, że to szaleństwo! Doskonale zdajesz sobie sprawę, że potrzebny ci nie płyn do przetykania rur kanalizacyjnych, ale dobry psychiatra! Powinieneś położyć się na kozetce i opowiedzieć komuś o swoich wyobrażeniach; tak, właśnie, to dobre słowo: WYOBRAŻENIA. Opowiedzieć o palcu wychodzącym z umywalki w łazience, o palcu, który rośnie!

– O, nie! – warknął twardo Howard, kręcąc głową.

– Przenigdy!

Nie potrafił – żadną miarą nie potrafił – wyobrazić sobie, że opowiada o tym psychiatrze... tak naprawdę, to że opowiada o tym komukolwiek. A jakby wywahał coś pan Lathrop? A mógł dzięki ojcu Vi. Bill DeHorne przez trzydzieści lat pracował jako licencjonowany księgowy w firmie Dean, Green i Lathrop. To on załatwił Howardowi wstępne spotkanie z panem Lathropem i dał mu wspinałą rekomendację... właściwie zrobił wszystko, żeby Howard otrzymał tę posadę. Pan DeHome był obecnie na emeryturze, ale bardzo często spotykał się z Johnem Lathropem. Gdyby Vi odkryła, że Howard leczy się u psychiatry (a w jaki sposób zdołałby ukryć przed nią taką rzecz), powiedziałyby o tym swej matce – Vi mówiła matce o wszystkim. Pani DeHome zaś powiedziałyby mężowi. Pan DeHome natomiast...

Howard natychmiast wyobraził sobie obu mężczyzn, swego teścia i swego szefa, siedzących na wysokich, obitych skórą krzesłach w jakimś mitycznym klubie, na wysokich, obitych skórą krzesłach, w których widać główki złotych gwoździ tapicerskich. W wizji Howarda obaj panowie pili sherry. Po prawej ręce pana Lathropa stała rżnięta kryształowa karafka (Howard wprawdzie nigdy nie widział, żeby pan Lathrop pił sherry, ale ta niezdrowa fantazja domagała się, żeby pił). Ujrzał pana DeHome – który dobijał właśnie do siedemdziesiątki i miał w sobie tyle dyskrecji co mucha domowa – jak pochyla się poufnie i mówi: „John, nie uwierzysz nawet, co mój zięć wykombinował. Leczy się u psychiatry! Uważasz, wydaje mu się, że w umywalce w jego łazience zagnieżdżył się palec. Jak myślisz, czy zażywa narkotyki albo coś w tym rodzaju?”.

Może zresztą Howard nie wierzył, że coś takiego mogłoby się wydarzyć. Sądził tylko, że istnieje taka możliwość – jeśli nie ta dokładnie, to jakaś inna – choć w głębi duszy nie sądził, żeby tak się stało. Nie mógł wyobrazić sobie siebie u psychiatry. Coś w nim samym – niewątpliwie coś pokrewnego z tym, co nie pozwalało mu oddawać moczu w publicznych szaletach, jeśli tłoczyli się za nim ludzie – po prostu odrzucało taki pomysł. Po prostu nie mógłby położyć się na jednej z tych kozetek i odpowiadać – „Z otworu odpływowego w umywalce w mojej łazience sterczy palec” – na pytania, które zadawać mu będzie psychiatra z kozią bródką. Byłoby to jak Jeopardy w piekle.

Znów sięgnął ręką w stronę klamki.

Wezwij zatem hydraulika! – wrzasnął desperacko głos pod czaszką. – Zrób przynajmniej tyle! Wcale nie musisz mu mówić, co widziałeś! Powiedz tylko, że rury są zatkane! Albo że twojej żonie obrączka wpadła do umywalki! Powiedz mu COKOLWIEK!

Ale na swój sposób pomysł ten okazał się równie nie do przyjęcia jak pomysł z psychiatrą. Tu był Nowy Jork, nie Des Moines. Do umywalki mógł wpaść nawet pierścień maharadży, a mimo to człowiek czekałby tydzień na pojawienie się hydraulika. Howard nie miał zamiaru spędzić kolejnych siedmiu dni, przemykając po Queens w poszukiwaniu stacji benzynowej, w której szef za cenę pięciu dolarów pozwoli mu zrobić kupę pod tegorocznym kalendarzem kompanii naftowej Bardahl w cuchnącej męskiej toalecie.

A zatem zrób to szybko – poddał się w końcu głos. – Zrób to przynajmniej szybko.

W tym obie części umysłu Howarda były zgodne. Prawdę mówiąc, Howard naprawdę bał się, że jeśli nie zrobi tego szybko – i nie skoncentruje się na akcji – nie zrobi tego wcale.

Spróbuj wziąć go przez zaskoczenie – odpowiedział jeszcze wewnętrzny głos. – Zdejmij buty.

Howardowi błysnęła myśl, że jest to wyśmienity pomysł. Zastosował się do rady natychmiast i najpierw zsunął z nogi jeden mokasyn, a następnie drugi. Pomyślał również, że warto byłoby włożyć gumowe rękawice na wypadek, gdy-

by płyn pryskał. Zastanawiał się chwilę, czy Vi ciągle trzyma pod zlewem w kuchni parę takich starych rękawic. A zresztą nieważne – pomyślał. Osiągnął już punkt kulminacyjny. Jeśli jeszcze wróci do kuchni, żeby poszukać rękawic, odejdzie go cała odwaga... może na chwilę, może na zawsze.

Otworzył drzwi łazienki i wślizgnął się do środka.

Łazienkę Mitrów trudno nazwać pogodnym miejscem, ale o tej porze dnia, prawie w południe, było w niej jasno... i nie było śladu palca. W każdym razie jak dotąd. Howard, ściskając kurczowo w prawej ręce butlę ze żrącym płynem, przeszedł cichutko przez pomieszczenie. Pochylił się nad umywalką i zajrzał w czarny otwór pośrodku różowej, wyblakłej już porcelany.

Z tym tylko, że otwór wcale nie był ciemny. Poprzez ową ciemność wyrywało coś do góry, śpiesząc się przez wąską, wilgotną rurę, żeby go przywitać, żeby przywitać starego, dobrego kumpla Howarda Mitrę.

– A masz! – wrzasnął Howard i przechylił butlę z drain-eze nad umywalką.

Zielonkawoniebieska maź chlusnęła z naczynia prosto w otwór w chwili, kiedy wynurzał się z niego palec.

Skutek był natychmiastowy i piorunujący. Bryja oblepiła paznokiec i czubek palca, który jak derwisz w tańcu zaczął opętańczo wirować wokół wewnętrznej strony pierścienia otworu odpływowego, rozpryskując wokół drobnusieńkie kropelki zielonkawoniebieskiego drain-eze. Kilkanaście drobin płynu spadło na jasnoniebieską, bawełnianą koszulę Howarda i natychmiast wypaliło w niej dziurki. Kropelki musowały na krawędziach materiału, ale na szczęście koszula była zbyt obszerna, by płyn zetknął się ze skórą na torsie i brzuchu Howarda. Kilkanaście kropelek prysnęło mu na nadgarstek i dłoń, ale skutek ich działania odczuł dopiero później. Adrenalina nie napływała mu do głowy; to był po prostu oceaniczny przypływ adrenaliny.

Palec wynurzał się z otworu odpływowego – jeden nieprawdopodobny staw za kolejnym nieprawdopodobnym stawem. Dymił i śmierdział jak gumowy kałosz skwierczący na rozpalonym grillu.

– A masz, skurwysynu! Podano do stołu! – wrzeszczał Howard i lał płyn, a palec rósł, osiągnął już długość blisko trzydziestu centymetrów, wynurzał się

z otworu umywalki niczym kobra z koszyka zaklinacza węży.

Już prawie dotykał wylotu plastikowej butelki, kiedy zachwiał się, zadygotał i nieoczekiwanie zaczął błyskawicznie cofać się do rury odpływowej. Howard pochylił się nad umywalką, żeby lepiej obserwować tę rejteradę, i ujrzał smugę białego ciała niknącą głęboko w mroku. W górę płynęły leniwie smużki dymu.

Odetchnął głęboko i tu zrobił błąd. Wciągnął bowiem w płuca ogromną dawkę oparów drain-eze. Ogarnęły go straszliwe mdłości. Zwymiotował do umywalki, a następnie, wciąż targany nudnościami, cofnął się na chwiejnych nogach.

– Udało się! – krzyknął jak szaleniec.

Kręciło mu się w głowie od smrodu żrących chemikaliów i palonego ciała. Ogarnęło go uniesienie. Spotkał wroga i oto, dzięki pomocy Boga i wszystkich świętych, poradził sobie z nim. Poradził!

– Hej-ho! Hej-kurwa-ho! Udało się! Udało...

Znów podeszło mu do gardła niestrawione jedzenie. Tkwił przykucnięty nad sedesem, chwiał się, w wyciągniętej prawej ręce ciągle ścisnął butelkę z drain-eze i zbyt późno uświadomił sobie, że tego ranka Vi, kiedy wstała z tronu, opuściła jednak deskę klozetową i pokrywę. Zwymiotował na puszystą, różową tkaninę, którą wyłożona była deska, a potem upadł nieprzytomny twarzą prosto w wymiociny.

Przytomność stracił na krótko. Kiedy doszedł do siebie, w łazience było jeszcze jasno, a nawet latem światło słoneczne docierało tam na niecałe pół godziny; później okoliczne budynki zasłaniały słońce i w pomieszczeniu zapadał półmrok. Howard powoli uniósł głowę, świadom tego, że od linii włosów po podbródek twarz oblepia mu cuchnąca substancja. Ale jeszcze bardziej był świadom czegoś innego. Coś klekotało. Dźwięk dochodził z za pleców i najwyraźniej się zbliżał.

Odwrócił głowę w lewo, czując, że czaszkę wypełnia mu piach. Oczy prawie wyszły z orbit. Wciągnął głęboko powietrze i chciał wrzasnąć, ale gardło miał ściśnięte.

Palec wracał po niego.

Miał już dobrze ponad dwa metry długości. Wychylał się z umywalki szerokim łukiem tworzonym przez jakieś dwanaście stawów, dochodził do podłogi, gdzie znów się wyginał (Podwójne stawy! – odezwał się z zainteresowaniem w otępiałym umyśle Howarda jakiś odległy komentator). Postukiwał i sunął w stronę Howarda po wyłożonej kafelkami podłodze. Ostatnie osiemnaście czy dwadzieścia centymetrów palca było odbarwione i dymiło. Paznokcie nabrał zielonkawoczarnej barwy. Howardowi wydawało się, że tuż pod pierwszym kłykiem dostrzega białawy błysk kości. Palec był okropnie poparzony, co wcale nie znaczyło, że opuścił wyobraźnię Howarda.

– Zjeżdżaj! – szepnął Howard i na chwilę groteskowy palec z licznymi stawami znieruchomiał. Wyglądał jak jakaś zwariowana zabawka z balu sylwestrowego. Po chwili jednak znów zaczął pełznąć w jego stronę. Zagiął z pół tuzina swych pierwszych stawów i owinął się wokół kostki Howarda.

– Nie! – wrzasnął Mitla, kiedy Wodorotlenkowe Bliźniaki – Sodowy i Potasowy – przedostały się przez nylonową skarpetkę i zaczęły palić mu skórę.

Wierzgnął nogą jak oszalały. Przez chwilę palec nie puszczał jego kostki – był bardzo silny – ale Howard szybko wyzwolił się z jego uchwytu. Na czworakach odpełzł w stronę drzwi. Zlepione wielką pacyną wymiotów włosy spadały mu na oczy. Kiedy pełzł do wyjścia, próbował dojrzeć coś za sobą, ale widok zasłaniała zapaskudzona czupryna. W pełni odzyskał już głos i wydał z siebie kilka ochrypłych, pełnych przerażenia wrzasków.

Nie widział palca, w każdym razie chwilowo, ale słyszał go: szybkie *pukpuk-pukpukpuk* tuż za swymi plecami. Stale zerkając za siebie przez ramię, wpadł barkiem na ścianę po lewej stronie drzwi. Z półki ponownie pospadały ręczniki. Rozciągnął się na podłodze jak długi, a palec natychmiast owinął mu się wokół drugiej kostki parzącym, palącym pierścieniem.

Zaczął ciągnąć Howarda w kierunku umywalki. Naprawdę zaczął wciągać go ponownie do łazienki.

Mitli wydarł się z gardła głęboki, prymitywny skowyt – dźwięk, jakiego nigdy dotąd nie wyprodukowały struny głosowe zawsze uprzejmego, licencjono-

wanego księgowego – po czym Howard zamachał rękami jak cepami, chwycił prawą dłonią za framugę i rozpaczliwie, z całych sił, szarpnął się do przodu. Koszula wyszła mu ze spodni, a szew pod lewą pachą pękł z cichym, basowym trzaskiem, ale Howardowi udało się uwolnić. Stracił tylko część skarpetki.

Z trudem wstał z podłogi, odwrócił się i ujrzał, że palec w dalszym ciągu pełźnie w jego stronę. Paznokciec był głęboko rozdarty i krwawił.

Potrzebujesz manikiuru, brachu – pomyślał Howard i z gardła wydarł mu się pełen bólu śmiech.

Howard Mitla ruszył pędem do kuchni.

Ktoś walił do drzwi. Bardzo mocno.

– Mitla! Ej, Mitla! Co się tam dzieje?

Feeney z końca korytarza. Wielki, hałaśliwy irlandzki pijaczek. Poprawka: wielki, hałaśliwy i wścibski irlandzki pijaczek.

– Nic takiego, z czym nie mógłbym sobie poradzić, mój zapijaczony przyjacielu! – krzyknął Howard, wbiegając do kuchni. Ponownie wybuchnął śmiechem i odrzucił włosy z czoła. W sekundę później galaretowata grzywa ponownie opadła mu na oczy. – Nic takiego, z czym nie mógłbym sobie poradzić. Naprawdę, uwierz mi! Możesz natychmiast z tym iść do banku i włożyć na swoje konto.

– Jak o mnie powiedziałaś? – odparł Feeney.

Jego głos, dotąd wojowniczy, stał się naraz i wojowniczy, i złowieszczy.

– Zamknij się! – odwrzasnął Howard. – Jestem zajęty.

– Masz natychmiast przestać wrzeszczeć albo zadzwonię po gliny.

– Odpierdol się! – ponownie krzyknął Howard i jeszcze raz odgarnął z czoła włosy.

Chlap! – ponownie spadły mu na oczy.

– Zamknij ryj, ty kupo czterookiego gówna!

Howard przeciągnął palcami po zlepionych wymiocinami włosach i odrzucił je do tyłu osobliwie galijskim gestem; *et voilà!* – zdawał się mówić. Na białe kuchenne szafki Vi prysnęła fontanna tłustych, bezkształtnych kropel, ale Howard

nawet tego nie zauważył. Odrażający palec dotknął jego kostek i teraz paliły go tak, jakby ścisnęły je rozpalone do czerwoności żelazne obręcze. Ale Howard o to nie dbał. Sięgnął po pudło zawierające elektryczne nożyce do przycinania żywopłotów. Na opakowaniu widniał wizerunek uśmiechniętego taty z fajką w gębie, który przycina okalający jego dom żywopłot.

– Zażywacie tam jakieś prochy czy co? – dopytywał się z klatki schodowej Feeney.

– Lepiej się stąd wynoś albo przedstawię ci mego kumpla! – krzyknął do niego Howard.

Własne słowa wprawiły go w wyśmienity humor. Zadarł wysoko głowę i patrząc w sufit kuchni, zajodłował. Włosy sterczały mu jak lśniące od kwasów żołądkowych krzyżówka stogu siana z jeżem. Wyglądał jak człowiek, który właśnie odbył stosunek płciowy z tubą pomady Brylcream.

– W takim razie dobrze – oświadczył Feeney. – W porządku. Dzwonię po gliny.

Howard nawet go nie usłyszał. Dennis Feeney musiał chwilowo poczekać; Mitla smażył właśnie na patelni o wiele większą rybę. Wyciągnął z pudła nożyce, po czym zaczął je gorączkowo oglądać. Dostrzegł miejsce na baterie i zdjął klapkę.

– B-baterie – mruknął i znowu się roześmiał. – Doskonale! Bardzo dobrze! Nie ma sprawy!

Gwałtownie otworzył szufladę po lewej stronie zlewozmywaka, wyciągając ją z taką siłą, że urwał końcową blokadę. Szuflada pofrunęła przez kuchnię, uderzyła w palnik gazowy i upadła do góry nogami na linoleum. Między normalnymi przedmiotami gospodarstwa domowego – szczypcami, przyrządami do obierania warzyw i owoców, tarkami, nożami do dzielenia mięsa i workami na śmieci – znajdowało się również pudełko z bateriami. Nie przestając się śmiać – wydawało mu się, że nigdy już nie zdoła stłumić rechotu – Howard opadł na kolana i zaczął grzebać w porzrzuconych na podłodze przedmiotach. Zanim znalazł dwie odpowiednie baterie, paskudnie rozciął sobie nożem do dzielenia mięsa poduszczkę prawej dłoni, ale nie zwrócił nawet na to uwagi, podobnie

jak nie zwracał uwagi na palące żywym ogniem kostki obu nóg. Feeney zamknął w końcu swą ryczącą, irlandzką, oślą gębę, a do uszu Howarda dotarło pukanie. Ale nie dochodziło już z umywalki – ha-ha! W żadnym wypadku! Połamany paznokciec stukał teraz w drzwi łazienki... a może o podłogę przedpokoju. Howard przypomniał sobie, że nie zamknął drzwi do łazienki.

– I kto komu przepieprzy? – zapytał, a potem wrzasnął:

– KTO KOMU PRZYPIEPZY, PYTAM! JESTEM GOTÓW CIĘ PRZYJAĆ, PRZYJACIELU! DAM KOPA W DUPE I PRZEROBIE CIĘ NA GUMĘ DO ŻUCIA; A CHWILOWO CAŁA GUMA MI WYSZŁA! JESZCZE POŻAŁUJESZ, ŻE WYLAZŁEŚ Z TEJ DZIURY W UMYWALCE!

Wepchnął baterie do pojemnika umieszczonego w uchwycie nożyc do przycinania żywopłotów i włączył urządzenie. Nic.

– Ugryź się w dupę! – burknął, wyciągnął jedną baterię, odwrócił ją i z powrotem włożył do maszynki.

Tym razem, kiedy przesunął wtyczkę, ostrza zaczęły się tak szybko ruszać do przodu i do tyłu, że widać było jedynie mgiełkę.

Ruszył w stronę kuchennych drzwi, ale natychmiast wyłączył urządzenie i wrócił do stołu. Nie chciał wprawdzie marnować czasu na ponowne zakrywanie wieczkiem pojemnika na baterie, skoro gotował się do walki, ale resztki zdrowego rozsądku podszeptały mu, że nie ma wyboru. Gdyby w chwili, kiedy będzie rozprawiać się z tym stworem, ześlizgnęła mu się ręka i baterie wypadły z pojemnika, co by się stało? Zapewne dzierżąc w dłoniach nienabitą strzelbę, stanąłby twarzą w twarz z Jamesem Gangiem.

Nakładał pokrywkę i kłął pod nosem, bo nie chciała od razu wejść na miejsce.

– Poczekaj, poczekaj! – zawołał przez ramię. – Już idę! Jeszcześmy ze sobą nie skończyli!

W końcu wieczko gładko wsunęło się w prowadniczki. Howard energicznie przeszedł przez salon, trzymając przed sobą nożyce do przycinania żywopłotów. Włosy ciągle sterczały mu niczym sterta siana i kolce jeża – jak u punka. Koszula – rozdarta pod pachą i w kilku miejscach przepalona – furkotała wokół

zaokrąglonego, wydętego brzucha. Bose stopy z mlaskiem uderzały w linoleum. Wokół kostek zwieszały się strzępy skarpetek.

– Już ich wezwałem, ty ptasi mózdzku! – dobiegło zza drzwi wołanie Feeneya. – Kapujesz? Wezwałem gliniarzy i mam nadzieję, że któryś z nich będzie takim samym zapijaczonym Irlandczykiem jak ja!

– Wsadź go sobie w opaloną dupę i pierdnij! – odparł Howard, zupełnie nie biorąc sobie do serca wrzasków sąsiada. Dennis Feeney należał obecnie do innego wszechświata; stanowił jedynie trajkoczący, nieistotny głos płynący skądś z eteru.

Howard stanął obok drzwi prowadzących do łazienki. Wyglądał jak policjant w telewizyjnym filmie... z tym tylko, że ktoś włożył mu w ręce niewłaściwy przedmiot i że zamiast trzydziestkpiątki trzymał nożyce do strzyżenia żywopłotów. Kciuk położył na włączniku urządzenia. Zaczepnął głęboko tchu... i usłyszał pod czaszką ostatni, cichutki już głosik rozsądku: Czy jesteś pewien, że chcesz zawierzyć życie parze elektrycznych nożyc do strzyżenia żywopłotów, które kupiłeś na wyprzedaży?

– Nie mam wyboru – wymamrotał Howard, uśmiechnął się z przymusem i wpadł do łazienki.

Palec ciągle był w środku. Wygięty, zwieszający się łukiem z umywalki, kojarzył się Howardowi z zabawką karnawałową, która pierdzi, pohukuje i rozwija się, gdy jej właściciel nieoczekiwanie w nią dmuchnie, kierując ją w stronę niespodziewającego się podstępu balowicza. Paluch zwędził jeden z mokasynów Howarda i rozdrażniony tłukł nim nieustannie o kafelki, którymi wyłożona została podłoga. Sądząc po wyglądzie zwalonych na ziemię ręczników, palec, zanim znalazł but, poigrał i z nimi.

Howarda ogarnął osobliwy, nagły przypływ wesołości – zupełnie jakby w jego obolałym, oszołomionym umyśle zapaliło się jaskrawym blaskiem zielone światło.

– Tu jestem, chamie! – wrzasnął. – No, chodź i spróbuj się do mnie dobrać!

Palec puścił but, uniósł się potwornymi falami stawów (Howard słyszał, jak

owe kłykcie strzelają) i błyskawicznie popłynął w powietrzu w stronę Mitli. Ten uruchomił nożyce i ostrza nabrały swego drapieżnego, głodnego życia. Jak do-
tąd wszystko szło jak po maśle.

Spalony, pokryty bąblami koniuszek palca mignął mu przed twarzą, rozdarty paznokcie wyczyniał przed oczyma Howarda dzikie harce, zataczając szaleńcze kręgi. Mitla ruszył w stronę palucha. Palec wykonał błyskawiczny unik w lewo i chwycił Howarda za ucho. Ból był zdumiewający. Howard jednocześnie poczuł i usłyszał przerażający, chrupiący dźwięk, kiedy palec próbował urwać mu małżowinę. Błyskawicznie zrobił krok do przodu, chwycił palec lewą dłonią i zacisnął pięść. Nożycami szarpnęło, kiedy ostrza wgrzyły się w kość, wysoki wizgot silniczka elektrycznego przeszedł w niskie warczenie, ale urządzenie było przecież skonstruowane tak, żeby ciąć cienkie, twarde gałęzie, więc i w tym wypadku nie było najmniejszych problemów. Najmniejszych. To druga runda Jeopardy, w której wszystko mogło się zmienić, a Howard rozrywał tkan-
kę palca. Otoczyła go lekka mgiełka krwi i nagle kikut odpadł. Howard lekko się zachwiał, z ucha ciągle zwisało mu ostatnich dwadzieścia centymetrów pa-
lucha, niczym haczyk na wieszaku do ubrań, ale po chwili i one odpadły.

Palec znów ruszył do ataku. Howard pochylił się i paluch znalazł się nad jego głową. Był, oczywiście, ślepy. Na tym polegała przewaga Howarda. Palec znów sięgał po omacku do jego ucha. Howard skoczył z nastawionymi nożycami, jak-
by wykonywał paradę szermierczą, i odciął kolejnych sześćdziesiąt centyme-
trów. Obcięta część spadła na podłogę i skurczyła się.

Reszta monstrualnego palucha próbowała się wycofać.

– O nie! – wydyszał Howard. – O nie, na to nie pozwolę!

Podbiegł do umywalki, poślizgnął się w kałuży krwi, o mało się nie przewró-
cił, ale w ostatniej chwili złapał równowagę. Palec błyskawicznie niknął
w otworze odpływowym, staw za stawem, niczym wjeżdżający do tunelu po-
ciąg towarowy. Howard chwycił go, próbował zatrzymać, ale mu się to nie uda-
ło – palec zniknął w dziurze, przesuwając się w zaciśniętej dłoni Howarda ni-
czym posmarowany tłuszczem, palący sznur do bielizny. Niemniej Howard wy-
sunął nożyce i zdołał odciąć ostatni metr znikającego w otworze palca – tuż

nad zaciśniętą na nim własną dłońią.

Pochylił się nad umywalką (tym razem wstrzymując oddech) i popatrzył w ciemność rury odpływowej. Ponownie dostrzegł w mroku umykające w głąb pasmo bieli.

– Wracaj, kiedy zechcesz! – ryknął Howard Mitla. – Wracaj, kiedy tylko zechcesz! Poczekam tu na ciebie!

Odwrócił się i z głębokim westchnieniem wypuścił powietrze z płuc. W łazience ciągle śmierdziało płynem do przetykania rur. Nie powinno go tu być, nie powinno go być, skoro jeszcze została robota do wykonania. Za kurkiem z gorącą wodą leżało opakowane fabrycznie mydło Dial. Howard sięgnął po nie i cisnął nim w okno w łazience. Kostka stłukła szybę i zatrzymała się na siatce po drugiej stronie. Pamiętał, jak tę siatkę zakładał – pamiętał, jak był z niej dumny. On, Howard Mitla, subtelny, łagodny księgowy ZADBAŁ O WŁASNE DOMOSTWO. Teraz już dobrze wiedział, co znaczy ZADBAĆ O WŁASNE DOMOSTWO. Czyżby naprawdę kiedyś bał się wejść do łazienki, bo w wannie mogła znajdować się mysz, a on musiałby ją ukatrupić kijem od szczotki? Tak, tak było naprawdę, ale teraz – nowemu wcieleniu Howarda Mitli – czasy te wydawały się zamierzchną przeszłością.

Powoli rozejrzał się po łazience. Straszliwy bałagan. Na podłodze lśniły kałuże krwi i leżały dwa strzępy palca. Trzeci, wykrzywiony członek został w umywalce. Na ścianach i lustrze perliły się maleńkie kropelki posoki. Umywalka była nią zboczona.

– W porządku – mruknął Howard. – No, chłopaki i dziewczyny, pora sprzątać!

Ponownie włączył nożyce i zaczął ciąć trzy odcinki palca tak, żeby mógł je spuścić z wodą w klozecie.

Policjant był młody i rzeczywiście był Irlandczykiem – nazywał się O'Bannon. Kiedy wreszcie dotarł do drzwi prowadzących do mieszkania Mitlów, na klatce schodowej zdążyło już się zebrać kilkunastu lokatorów, którzy natychmiast stanęli gromadką za jego plecami. Z wyjątkiem Dennisa Feeneya, który

miął bardzo złą minę, wszyscy byli wyraźnie zaniepokojeni.

O'Bannion zapukał do drzwi. Drugi raz uczynił to mocniej. W końcu załomotał.

– Chyba lepiej byłoby je wyważyć – odezwała się pani Javier. – Słyszałam go u siebie aż na siódmym piętrze.

– On oszalał – stwierdził Feeney. – Zapewne zamordował własną żonę.

– Nie – wtrąciła się do rozmowy pani Dattlebaum.

– Widziałam ją, jak rano wychodziła do pracy, jak zawsze.

– Ale mogła wrócić, prawda? – odparował wojowniczo Feeney i pani Dattlebaum zamilkła.

– Panie Mitter? – zawołał O'Bannion.

– Mitla – poprawiła pani Dattlebaum. – Przez „l”.

– Gównu tam – burknął O'Bannion i uderzył ramieniem w drzwi. Otworzyły się na oścież, więc policjant wkroczył do mieszkania; zaraz za nim pan Feeney.

– Proszę tu zostać – polecił srogo O'Bannion.

– Niech mnie wszyscy diabli wezmą, jeśli tam nie wejdem – odparł Feeney i zajrzał do kuchni, gdzie na podłodze leżały wyrzucone z szuflady przedmioty, a na szafkach widniały resztki wymiocin. Oczka Feeneya błyszczały ciekawością. – Ten facet jest moim sąsiadem. No i poza wszystkim innym to ja po was zadzwoniłem.

– To, czyś pan dzwonił, czy nie, obchodzi mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg – odparł O'Bannion. – Niech pan się w tej chwili stąd wynosi, bo trafi pan na posterunek razem z tym Mittlem.

– Z Mitlą – poprawił Feeney i niechętnie wrócił na klatkę schodową, uprzednio zerknąwszy jeszcze raz ciekawie do kuchni.

O'Bannion kazał wyjść Feeneyowi przede wszystkim dlatego, że nie chciał, żeby ten zobaczył, jak zdenerwowany jest on sam. Bałagan w kuchni to jedna rzecz; inna to zapach. Zapach kojarzący się z wonią panującą w laboratorium chemicznym, a pod tym zapachem krył się jeszcze jakiś. Policjant obawiał się, że może być to zapach krwi.

Obejrzał się za siebie, by się upewnić, że Feeney opuścił mieszkanie – że nie

zwleka w przedpokoju, gdzie na wieszakach wisiały ubrania – a następnie powoli ruszył przez salon. Kiedy już zniknął z pola widzenia gapiów, rozpiął kaburę i wyciągnął pistolet. Wszedł do kuchni i zlustrował ją baczym spojrzeniem. Pusto. Bałagan, ale pusto. I... czym zostały wymazane szafki? Nie był pewien, ale sądząc po smrodzie...

Zadumę przerwał dochodzący zza pleców jakiś hałas, ciche szuranie. O'Bannion odwrócił się, błyskawicznie wznosząc broń.

– Pan Mitla?

Nie doczekał się odpowiedzi, ale w przedpokoju znowu rozległo się szuranie... Z łazienki lub z sypialni. Policjant O'Bannion ruszył w tamtym kierunku. Broń trzymał uniesioną, celował w sufit. Trzymał ją dokładnie tak samo, jak niedawno Howard trzymał nożyce do przycinania żywopłotów.

Drzwi do łazienki były uchylone. O'Bannion był już święcie przekonany, że to stamtąd docierają szmery i stamtąd też pochodzi najgorszy smród. Przykucnęła i wyciągając przed siebie pistolet, popchnął lufą drzwi.

– Och, mój Boże! – westchnął cicho.

Łazienka wyglądała jak jatka po całodziennym uboju. Na ścianach i suficie widniały wielkie plamy krwi. Na podłodze skrzyły się całe kałuże. Jeszcze więcej posoki było w umywalce i wokół niej; tam dosłownie ściekała potokami. I to był najgorszy widok. Dostrzegł wybite okno, przewróconą butelkę z płynem do przeczyszczania rur kanalizacyjnych (to ona wydzielala ów ostry, laboratoryjny zapach) i parę męskich mokasynów leżących w sporej odległości od siebie. Jeden z nich był fatalnie podarty.

Kiedy O'Bannion uchylił drzwi szerzej, dostrzegł mężczyznę.

Howard Mitla, kończąc sprzątanie w tamtym rogu, wcisnął się najgłębiej, jak mógł, między załom ściany a wannę z prysznicem. Na podołku trzymał nożyce do przycinania żywopłotów, ale baterie w urządzeniu już się wyczerpały. Jak się okazało, kości są jednak trochę twardsze od gałęzi. Włosy ciągle sterczały mu jak igły. Na policzkach i czole miał krople zakrzepłej krwi. Oczy szeroko rozwarte i bez wyrazu – ta twarz kojarzyła się policjantowi O'Bannionowi z twarzami osób biorących amfę lub kokę.

Jezusie Nazareński – pomyślał. – Facet miał rację... ten tu NAPRAWDĘ zarznął żonę. Albo w ogóle kogoś zarznął. Gdzie jest ciało?

Zerknął w stronę wanny, ale niczego w niej nie dostrzegł. Wanna stanowiła jedyne odpowiednie miejsce dla trupa, ale nie zauważył w niej żadnych flaków. Poza tym wanna była jedynym przedmiotem niezbrakowanym krwią.

– Pan Mitla? – zapytał.

Nie celował dokładnie w Howarda, ale muszka kierowała się w najbliższą jego okolicę.

– Tak, tak się nazywam – odparł Howard głębokim, pełnym kurtuazji głosem.
– Howard Mitla, licencjonowany księgowy. Do usług. Czy przyszedł pan skorzystać z toalety? Proszę, to tam. Nic już nie będzie panu przeszkadzać. Sądzę, że ten problem został rozwiązany. W każdym razie chwilowo.

– Uuuuh... ma pan na myśli to, że usunął pan broń?

– Broń? – Howard spoglądał na niego przez chwilę tępym wzrokiem, ale niebawem w źrenicach pojawił mu się błysk zrozumienia. – To?

Uniósł nożyce do przystrzygania żywopłotów i muszka pistoletu O'Banniona po raz pierwszy skierowała się dokładnie na Howarda.

– Tak, proszę pana.

– Jasne – odparł Howard i niedbale wrzucił nożyce do wanny. Rozległ się trzask odpadającego wieczka pojemnika na baterie. – Nieważne. Tak czy siak, baterie już siadły. Ale... co to ja mówiłem o toalecie? Aha... z dość istotnych względów odradzałbym panu z niej korzystać.

– Naprawdę?

Teraz, kiedy mężczyzna był już bez broni, O'Bannion nie wiedział, jak ma dalej postępować. Sprawa byłaby znacznie prostsza, gdyby gdzieś w zasięgu wzroku dostrzegł ofiarę. Pomyślał, że najlepiej zakuć gościa w kajdanki i wezwać posiłki. Wiedział tylko jedno: najchętniej opuściłby tę śmierdzącą, upiorną łazienkę.

– Oczywiście – odparł Howard. – Ostatecznie, panie komisarzu, człowiek ma u ręki pięć palców. u jednej tylko ręki, proszę wziąć to pod uwagę... i... czy zastanawiał się pan kiedykolwiek, ile jest podziemnych otworów w łazience? Jeśli

uwzględnić otwory w kranach. No, ile? Siedem... – Howard urwał i po chwili dodał: – Siedem jest liczbą pierwszą... to znaczy taką, która dzieli się tylko przez siebie i przez jeden.

– Czy mógłby pan wyciągnąć przed siebie ręce? – odezwał się policjant O'Bannion, odpinając od pasa kajdanki.

– Vi twierdzi, że znam odpowiedź na każde pytanie – stwierdził Howard. – Grubo się myli.

Powoli wyciągnął w kierunku policjanta złożone dłonie.

O'Bannion uklęknął przed nim i szybko zatrzaskał na prawym nadgarstku Howarda metalową obręcz.

– Kto to jest Vi? – zapytał.

– Moja żona – powiedział Howard. Skierował na policjanta O'Banniona błyszczące źrenice, w których malowała się pustka.

– Widzi pan, ona nigdy nie ma problemów z wchodzeniem do ubikacji, jeśli nawet ktoś tam jest. Myślę, że weszłaby nawet do pana.

Policjant O'Bannion nabrał straszego, choć możliwego do przyjęcia przekonania, że ów drobny, dziwny mężczyzna zamordował żonę za pomocą nożyc do przycinania żywopłotów, a następnie w jakiś sposób rozpuścił jej zwłoki środkiem do czyszczenia przewodów kanalizacyjnych – a wszystko dlatego, że nie chciała wyjść z łazienki, kiedy próbował zniszczyć ukrywającego się w rurach smoka.

Zatrzaskał kajdanki na drugim nadgarstku Howarda.

– Panie Mitla, czy zamordował pan swoją żonę?

Przez chwilę Howard patrzył na niego ze zdumieniem, lecz szybko na twarz wrócił mu ów pusty, tępy wyraz.

– Nie – odparł. – Jest u doktora Stone'a. Wyrrywają dzisiaj komplet górnych zębów. Vi twierdzi, że to paskudne zajęcie, ale ktoś to musi zrobić. Jakże mógłbym zabić Vi?

Teraz, kiedy miał już gościa skutego kajdankami, O'Bannion poczuł, że trochę lepiej panuje nad sytuacją.

– No cóż, wygląda na to, że wysłał pan kogoś na tamten świat.

– To był tylko palec – odrzekł Howard, ciągle trzymając ręce wyciągnięte przed siebie. W spinającym obręcze kajdanek łańcuszku światło grało niczym płynne srebro. – Ale w dłoni jest więcej palców niż jeden. A co z właścicielem? – Howard powiódł wzrokiem po łazience, w której panował już półmrok. Wypełniały ją głębokie cienie. – Powiedziałem, że to może się pojawić dosłownie w każdej chwili – szepnął – ale popadłem w histerię. Doszedłem do wniosku, że ja... że brakuje mi zdolności. To rośnie. To rośnie, kiedy wypelza w powietrze.

W zamkniętym klozecie coś chlapnęło. Howard popatrzył w tamtą stronę. To samo uczynił policjant O'Bannion. Chlupot się powtórzył. Zupełnie jakby w klozecie pluskał się pstrąg.

– Nie, zdecydowanie nie mógłbym użyć toalety – oświadczył Howard. – Na pana miejscu, panie komisarzu, bym się powstrzymał. Powstrzymałbym się tak długo, jak dałbym radę, i udał się w zaułek obok bloku.

O'Bannion zadrżał.

Trzymaj się, chłopie – pomyślał. – Trzymaj się albo dostaniesz takiego samego zajoba jak ten gość.

Wstał, żeby sprawdzić sedes.

– Zły pomysł – odezwał się Howard. – Bardzo zły pomysł.

– Panie Mitla, co się tutaj konkretnie wydarzyło? – zapytał O'Bannion. – I co pan trzyma w sedesie?

– Co się wydarzyło? Wydarzyło się... wydarzyło się...

– Howard zawiesił głos, a na twarzy wykwitł mu uśmiech. Uśmiech pełen ulgi... ale oczyma nieustannie strzelał w kierunku zamkniętej klapy klozetu. – Wydarzyło się coś w rodzaju Jeopardy. Tak naprawdę było to już Final Jeopardy. Temat: „Niewytłumaczalne”. Odpowiedź w Final Jeopardy brzmi: „Ponieważ tak się zdarza”. Czy pan, panie komisarzu, wie, jakie zadano pytanie w Final Jeopardy?

Jak zahipnotyzowany, policjant O'Bannion, niezdolny oderwać wzroku od Howarda, potrząsnął przecząco głową.

– Pytanie w Final brzmi: „Dlaczego najsympatyczniejszym ludziom przytrafiają się tak okropne rzeczy?” – powiedział Howard ochryplym głosem na gra-

nicy szaleństwa. – Tak właśnie brzmi pytanie w Final Jeopardy. Trzeba to solidnie przemyśleć. Ale mam masę czasu. Tak dużo, jak długo uda mi się trzymać z dala od... dziur.

Z klozetu ponownie dobiegł plusk. Tym razem mocniejszy. Obrzygana deska i pokrywa sedesu zaczęła gwałtownie podskakiwać. Policjant O'Bannion wstał, podszedł do klozetu i pochylił się nad nim. Howard obserwował go z ciekawością.

– Final Jeopardy, panie komisarzu – powiedział Howard Mitla. – Ile pan stawia?

O'Bannion zastanawiał się chwilę nad tym pytaniem... a następnie chwycił deskę klozetową i postawił na wszystko.

Trampki

John Tell pracował w Tabori Studios już ponad miesiąc, kiedy po raz pierwszy spostrzegł trampki. Tabori mieściło się w budynku nazywanym niegdyś Music City, gdzie we wczesnym okresie rock and rolla i listy przebojów najlepszych czterdziestu utworów rythmandbluesowych zawierano wielkie transakcje. W tamtych czasach powyżej poziomu holu wejściowego nie spotykano nikogo w tego rodzaju obuwii. Te czasy jednak minęły bezpowrotnie, a wraz z nimi nadziani forszą producenci w eleganckich, wełnianych marynarkach i w spiczastych butach z wężowej skóry. Obecnie trampki stały się kolejną częścią uniformu obowiązującego w Music City, toteż kiedy wzrok Johna padł na nie po raz pierwszy, ich widok nie wywołał w nim żadnych negatywnych skojarzeń odnośnie do właściciela. Cóż, może tylko jedno: facet naprawdę powinien już kupić sobie nowe. Te kiedyś były białe, ale teraz na pierwszy rzut oka widać było, iż okres ich świetności dawno minął.

Tyle tylko zauważył, kiedy po raz pierwszy ujrzał te trampki w niewielkim pomieszczeniu, gdzie zazwyczaj ocenia się swego sąsiada po butach, ponieważ tylko tyle tam widać z człowieka. Tell ujrzał parę tych trampek pod drzwiami pierwszej kabiny w męskiej toalecie na drugim piętrze. Przeszedł obok niej i zajął trzecią, ostatnią. Wyszedł stamtąd kilka minut później, umył i wysuszył dłonie, uczesał grzebieniem włosy, a następnie wrócił do studia F, gdzie pomagał przy miksowaniu albumu kapeli heavymetalowej noszącej nazwę The Dead Beats. Powiedzieć, że Tell zapomniał już o widzianych trampkach, byłoby przesadą, ponieważ przelotnie tylko je zarejestrował na ekranie swego umysłowego radaru.

Szefem sesji nagraniowej The Dead Beats był Paul Jannings. Może nie cieszył

się już taką sławą jak dawni królowie bebopu z Music City – zdaniem Tella cały rock and roll stracił zbyt wiele ze swej potęgi, żeby zapewniać taki mityczny majestat – niemniej Janningsa znano w branży i zdaniem Tella był on najlepszym działającym aktualnie producentem płyt rockandrollowych. Dorównywał mu tylko Jimmy Iovine.

Tell po raz pierwszy spotkał go na przyjęciu z okazji premiery filmu muzycznego; konkretnie dostrzegł go po drugiej stronie sali. Włosy Janningsa już posiwiały, ostre rysy przystojnej twarzy stały się wręcz posępne, ale nie było wątpliwości, iż jest to człowiek, który przed mniej więcej piętnastoma laty nagrywał legendarną już Sesję Tokijską z Bobem Dylanem, Ericem Claptonem, Johnem Lennonem i Alem Kooperem. Obok Phila Spectora Jannings był jedynym producentem płytowym, którego Tell rozpoznawał zarówno wzrokowo, jak też po charakterystycznym brzmieniu jego nagrań – kryształowo przejrzyste zakończenia podkreślane tak silną perkusją, że człowiekowi aż wibrowały obojczyki. Na nagraniach z Sesji Tokijskiej przede wszystkim rzucała się w ucho klarowność nagrań Dona McLeana, ale jeśli wytarło się jego dyszkant, na dnie tej muzyki brzmiał czysto Sandy Nelson.

Naturalną powściągliwość Tella pokonał podziw dla dokonań Janningsa. Przeszedł więc przez salę w stronę słynnego producenta, który akurat z nikim nie rozmawiał. Przedstawił się, oczekując najwyżej zdawkowego potrząśnięcia dłonią i kilku banalnych słów. Sprawy potoczyły się jednak inaczej. Wdali się w długą i nader interesującą rozmowę. Pracowali w tej samej branży, doszukali się kilku wspólnych znajomych, ale nawet wtedy Tell uważał, że w tym ich pierwszym spotkaniu zagrały głównie nie te względy, ale raczej jakaś magia. Paul Jannings był jedną z niewielu osób, z którą Tell natychmiast nawiązał kontakt i rozmawiał z ogromną swobodą i przyjemnością. A przecież dla niego każda rozmowa miała w sobie coś z magii.

Pod koniec spotkania Jannings zapytał, czy Tell szuka pracy.

– A kto w naszej branży jej nie szuka? – odparł pytaniem Tell.

Jannings roześmiał się i poprosił Tella o numer jego telefonu. John podał, nie przywiązując do tego faktu większej wagi; pomyślał, że prośba Janningsa wyini-

kała raczej ze zwykłej kurtuazji. Ale w trzy dni później Jannings zadzwonił i zapytał, czy Tell nie zechciałby wejść do trzyosobowej ekipy zajmującej się miksowaniem pierwszego albumu The Dead Beats.

– Nie jestem pewien, czy uda się zrobić ze świńskiego ucha jedwabną torebkę – oświadczył – ale skoro płaci za to Atlantic Records, dlaczego nie spróbować? Tell uważał dokładnie tak samo i natychmiast zamówił samolot.

Mniej więcej po tygodniu Tell ujrzał trampki po raz drugi. Skonstatował tylko fakt, że musi to być ten sam gość, ponieważ dostrzegł buty w tym samym miejscu – w szparze między podłogą a drzwiami pierwszej kabiny w męskiej ubikacji na drugim piętrze. Nie miał też wątpliwości, że są to te same trampki: z białymi cholewkami (takie w każdym razie były kiedyś) i z brudem w załamaniach. Zauważył również pustą dziurkę na sznurowadło i pomyślał: Gdzieś ty, chłopie, miał oczy, kiedy je sznurowałeś? Później wszedł do trzeciej kabiny (o której zdążył już w jakiś mglisty sposób myśleć jako o „swojej”). Tym razem, kiedy opuściłabinę, znów popatrzył na trampki i wtedy zauważył coś dziwnego: na jednym bucie leżała martwa mucha. Leżała w miejscu, gdzie mniej więcej znajdował się paluch właściciela obuwia; na lewym trampku, tym z pustą dziurką na sznurowadło. Martwe stworzenie miało małe nóżki wyciągnięte w górę.

Kiedy wrócił do studia F, Jannings siedział przy konsolecie i ścisnął głowę rękami.

– Wszystko w porządku, Paul?

– Nie.

– A co jest nie w porządku?

– Ja. Myliłem się. Mylę się. To koniec mojej kariery. Wyrzuciło mnie na brzeg. To moja osiemdziesiąta szósta płyta. Za daleko się posunąłem.

– O czym ty mówisz? – Tell rozejrzał się, szukając wzrokiem Georgiego Ronklera, ale nigdzie go nie dostrzegł.

Wcale go to nie zaskoczyło. Jannings przechodził takie periodyczne fugi i Georgie zawsze wychodził, gdy widział, że właśnie jedna z nich się zbliża.

Twierdził, że jego karma nie pozwala mu borykać się z takimi wzruszeniami.

– Płacę nawet podczas inauguracji supermarketów – stwierdził Georgie.

– Nie zrobisz jedwabnej torebki ze świńskiego ucha – odparł Jannings, opierając pięść o szybę oddzielającą pomieszczenie realizatorskie od studia. Wyglądał tak, jakby oddawał stare faszystowskie pozdrowienie Heil Hitler. – W każdym razie nie z uszu takich świń.

– Och, daj spokój, trujesz – powiedział Tell, choć zdawał sobie sprawę, że Jannings ma stuprocentową rację.

The Dead Beats, składający się z czterech tępych skurwysynów i jednej tępej dziwki, jako grupa ludzi byli odrażający, a zawodowo kompletnie niekompetentni.

– To ty daj spokój i nie truj – powiedział Jannings, dając mu kuksańca.

– Boże, jak ja nienawidzę ludzi z temperamentem – odrzekł Tell.

Jannings popatrzył na niego i zachichotał. W chwilę później obaj już się śmiali; po pięciu minutach zgodnie wrócili do pracy.

Miksowanie płyty – jak to zwykle bywało – ukończyli w tydzień później. Tell poprosił Janningsa o referencje i taśmę.

– W porządku, ale wiesz o tym, że nie wolno ci jej nikomu puszczać, dopóki nie ukaże się płyta – odparł Jannings.

– Wiem.

– I nie pojmuję, dlaczego miałbyś ją w ogóle kiedykolwiek komuś puszczać. Muzyka tych fagasów przypomina bardziej pierdzenie Beatlesów.

– Daj spokój, Paul. Nie było to aż tak złe. A jeśli nawet, to mamy to za sobą. Uśmiechnął się.

– Tak, to racja. Jeśli kiedykolwiek zdecyduję się coś jeszcze robić w tym interesie, skontaktuję się z tobą.

– Byłoby cudownie.

Uścisnęli sobie dłonie i Tell opuścił budynek znany ongiś pod nazwą Music City. Trampkom, które widział w przerwie między podłogą a drzwiami kabiny numer jeden w męskiej toalecie na drugim piętrze, nie poświęcił już ani jednej myśli.

Jannings, który w branży muzycznej siedział od dwudziestu pięciu lat, oświadczył pewnego dnia Tellowi, że jeśli chodzi o miksowanie bopu (nigdy nie nazywał tej muzyki rock and rollem, ale właśnie bopem), to człowiek jest albo gównem, albo Supermanem. Przez dwa kolejne miesiące po sesji nagraniowej z Beatsami John Tell był gównem. Nie miał pracy. Zaczął się niepokoić, czy starczy mu pieniędzy na zapłacenie czynszu. Dwukrotnie o mało co nie zatelefonował do Janningsa, ale coś mówiło mu, że popełniłby błąd.

Wtedy na rozległy zawał serca umarł główny realizator muzyki do filmu „Karatecy – mistrzowie masakry” i Tell przez sześć tygodni pracował w Brill Building (który w czasach największej świetności Broadwayu i muzyki w stylu Big Band nosił nazwę Tin Pan Alley), kończąc miksowanie. Był to głównie materiał nieobjęty prawami autorskimi – i trochę rzępolenia na sitarach – ale na zapłacenie czynszu pieniędzy wystarczyło. Następnego dnia po zakończeniu pracy, kiedy Tell wszedł właśnie do mieszkania, zabrzączał telefon. Dzwonił Paul Jannings z pytaniem, czy Tell sprawdzał ostatnio notowania listy przebojów w *Billboard*. Tell odparł, że nie.

– Wszedł na pozycję siedemdziesiątą dziewiątą – poinformował Jannings z niesmakiem, rozbawieniem i zdumieniem jednocześnie. – Jak pocisk.

– Który utwór? – zapytał Tell, choć dobrze znał odpowiedź.

– „Nurzając się w brudzie”.

Był to tytuł piosenki z promocyjnej płyty zespołu The Dead Beats, która miała się niebawem pojawić na rynku i która nosiła tytuł „Bij, dopóki martwe”. Był to jedyny utwór, który w opinii Tella i Janningsa jako tako nadawał się na singiel.

– Gówno!

– Zgadza się, ale mam idiotyczne przeczucie, że wejdzie do pierwszej dziesiątki. Widziałeś teledysk?

– Nie.

– Absolutny szzał. Ginger, ta dziewczucha z kapeli, głównie barłoczy się w błocie w jakiejś malowniczej zatoce z facetem, który wygląda jak Donald Trump¹² w roboczych ogrodniczkach. Takie coś moi znajomi intelektualiści nazywają

„krzyżowaniem się kulturowych przesłań”. – Jannings wybuchnął tak głośnym śmiechem, że Tell musiał odsunąć od ucha słuchawkę.

Kiedy po dłuższej chwili Jannings się opanował, mówił dalej.

– Tak czy owak, znaczy to, że album również wejdzie do pierwszej dziesiątki. Podane na platynowym talerzu psie gówno pozostanie psim gównem, ale platynowa referencja z kolei to platynowa referencja. Rozumiesz to, Bwana, prawda?

– Jasne, że rozumiem – powiedział Tell, otwierając szufladę, żeby sprawdzić, czy kasetka z nagraniem The Dead Beats, której nie słuchał od czasu, kiedy wręczył mu ją w dniu zakończenia realizacji nagrań Jannings, ciągle jeszcze tam jest.

– Co teraz robisz? – zapytał Jannings.

– Szukam pracy.

– A chciałbyś znów ze mną popracować? Robię nowy album Rogera Daltreya. Zaczynamy za dwa tygodnie.

– Chryste Panie! Jasne, że tak!

Pieniądze bardzo były mu potrzebne, ale istniało też coś znacznie ważniejszego niż sama forsa. Po The Dead Beats i sześciu tygodniach pracy nad „Karatekami – mistrzami masakry” praca z byłym liderem grupy The Who była jak trafienie w zimną noc do ciepłego pomieszczenia. Bez względu na to, jakim człowiekiem Daltrey by się okazał, umiał śpiewać. No i naturalnie sama praca z Janningsem była rzeczą wspaniałą.

– Gdzie?

– W starym miejscu. Tabori w Music City.

– Wchodzę w to.

Roger Daltrey nie tylko umiał śpiewać, ale okazał się również niebywale sympatycznym facetem, więc Tell żywił najgłębsze przekonanie, że najbliższe trzy czy cztery tygodnie okażą się niebywale udane i owocne. Miał pracę jako koproducent albumu, który na liście *Billboardu* dotarł na czterdziestą pierwszą pozycję (oraz singla, który wspiał się na pozycję siedemnastą i nieustannie

szedł w górę), cieszył się zaufaniem i po raz pierwszy od czterech lat, to znaczy, odkąd przybył z Pensylwanii do Nowego Jorku, czuł się bezpieczny w kwestii płacenia czynszu.

Był czerwiec, drzewa stały w pełnej krasie liści, dziewczęta znowu nosiły króciutkie spódniczki i świat wydawał się piękny. Tak właśnie Tell czuł się pierwszego dnia, kiedy stawiał się w pracy u Paula Janningsa; ale tylko mniej więcej do godziny czternastej czterdzieści pięć. Kiedy o tej właśnie porze udał się do toalety na drugim piętrze, w przerwie między podłogą a drzwiami w kabynie pierwszej ujrzał te same – ongiś białe – trampki. W jednej chwili opuściło go całe dobre samopoczucie.

To nie te same – pomyślał. – Nie mogą być te same.

Ale były. Wyraźnie na to wskazywała owa pojedyncza, pusta dziurka po sznurowadle. Stały nawet w tej samej pozycji. Tell dostrzegł tylko jedną różnicę: wokół trampek leżało więcej martwych much.

Powoli wszedł do trzeciej kabiny, „swojej” kabiny, spuścił spodnie i usiadł na sedesie. Wcale nie zaskoczył go fakt, że nie odczuwa już potrzeby, która przynęcała go w to miejsce. Ale nie wstawał i tylko bacznie nastawiał uszu. Szelest gazety. Chrząknięcie. Do licha, niech nawet już to będzie głośno puszczoney bąk.

Martwa cisza.

A to dlatego, że jestem tu sam – błysnęło Tellowi w głowie.

– Tylko ja i ten martwy gość w pierwszej kabynie.

Trzasnęły zewnętrzne drzwi prowadzące do toalety i Tell o mało nie wrzasnął. Ktoś szybko podszedł do pisuaru, a kiedy dobiegł stamtąd dźwięk spuszczonej wody, Tell znalazł wytłumaczenie całej sytuacji. W jednej chwili odprężył się i wrócił mu dobry humor. Było to tak proste, że aż absurdalne...

i bez wątpienia słuszne. Popatrzył na zegarek, który wskazywał czternastą czterdzieści siedem.

„Człowiek systematyczny jest człowiekiem szczęśliwym” – zwykł był mawiać jego ojciec. Tata Tella był osobą małomówną, ale te słowa (oraz inne: „Przed zmywaniem naczyń umyj ręce”) stanowiły stałe jego powiedzonka. Jeśli syste-

matyczność naprawdę znaczyła szczęście, to Tell również powinien być człowiekiem szczęśliwym. Potrzebę pójścia do ubikacji odczuwał zawsze o tej samej mniej więcej porze, podobnie jak i pan Trampek, który upodobał sobie Kabinę Numer Jeden, tak jak Tell upodobał sobie Kabinę Numer Trzy.

Gdybyś chodził tylko do pisuaru, wielokrotnie zaobserwowałbyś tę kabinę pustą – tłumaczył sobie. – Albo widziałbyś w niej różne buty należące do różnych ludzi. No bo poza wszystkim innym, jaka jest szansa, by niezauważone przez nikogo zwłoki w kabinie męskiej toalety znajdowały się tam od...

Zastanawiał się przez chwilę, kiedy był tu po raz ostatni.

...od mniej więcej czterech miesięcy?

Odpowiedź była jedna: nie istniała taka szansa. Być może woźni nie przykładali szczególnej wagi do sprzątanía kabin – stąd te martwe muchy – ale z całą pewnością raz dziennie czy raz na dwa dni sprawdzali, czy jest jeszcze papier toaletowy. A gdyby nawet nie sprawdzali, martwi ludzie szybko zaczynają śmierdzieć, prawda? Bóg świadkiem, że nie jest to miejsce najpiękniej pachnące na świecie; a po wizycie tego grubasa z Janus Music stawało się wprost nie do zniesienia... ale z całą pewnością odór martwego ciała byłby zjadliwszy. Dużo wyrazistszy.

Wyrazisty? Wyrazisty? – pomyślał Tell. – Boże drogi, co za słowo. Ale skąd to możesz wiedzieć? Nigdy w życiu nie wachałeś rozkładających się zwłok.

To prawda, ale był święcie przekonany, że gdyby tylko powąchał, natychmiast by wiedział, co wacha. Logika to logika, a systematyczność to systematyczność. Koniec, kropka. Ten typek okazałby się zapewne jakimś urzędasem z Janus lub scenarzystą ze Snappy Kards mieszczącego się po drugiej stronie piętra. John Tell był już przeświadczony, że facet układa właśnie jakiś tekst na kartkę z życzeniami:

Czerwona jest róża, czerwony jest mak,

Myślałaś, żeś martwy, ale to nie tak;

Piszę więc ten list, żeby dać ci znak.

Pasuje – pomyślał Tell i wybuchnął krótkim, dzikim śmiechem.

Facet, który wszedł do toalety tak energicznie, że Tell o mało nie wrzasnął ze strachu, mył właśnie nad umywalką dłonie. Teraz plusk wody gwałtownie się urwał. Tell wyobraził sobie, jak ten człowiek nasłuchuje, ciekaw, kto się tak roześmiał w jednej z zamkniętych kabin, jak zastanawia się, czy był to dowcip, czy jakiś śmieszny świński rysunek na ścianie kabiny wywołał czyjś śmiech, a może miał po prostu do czynienia ze świrem. Ostatecznie w Nowym Jorku żyje wielu świrów. Na każdym kroku można spotkać kogoś, kto gada do siebie czy też śmieje się bez powodu... dokładnie tak, jak uczynił to przed chwilą Tell.

Tell próbował wyobrazić sobie pana Trampka, który również nasłuchuje, ale ta sztuka mu nie wyszła.

W jednej chwili przestało mu być do śmiechu. W jednej chwili poczuł, że musi stąd wyjść.

Z drugiej strony jednak nie chciał spotkać faceta, który mył ręce. Zapewne obrzuciłby go spojrzeniem. Tylko przelotnym, ale to z pewnością by wystarczyło, żeby Tell wiedział, co tamten o nim myśli. Ludziom, którzy śmieją się za zamkniętymi drzwiami kabin toaletowych, nie należy dowierzać.

Stuk-stuk. To buty zaklekotały na białych, staroświeckich, sześciokątnych kafelkach, jakimi była wyłożona podłoga w toalecie. Poświst otwieranych drzwi i cichy syk automatu, który powoli je zamykał. Drzwi dawało się energicznie otwierać, ale pneumatyczny łokieć zamykał je powoli i cicho. Hałas mógłby denrować recepcjonistę z drugiego piętra, który siedział przy biurku, palił camela i czytał najnowszy numer *Krranga!*

Jezu słodki, ale tu cicho! – pomyślał Tell. – Dlaczego ten gość się nie rusza? Choćby odrobinę.

Ale wokół panowała głucha, grobowa, zawieszona cisza. Taką ciszę słyszeliby w trumnach zmarli, gdyby mogli cokolwiek słyszeć. Tell ponownie nabrał najgłębszego przekonania, że pan Trampka jest martwy – ta pieprzona logika – jest martwy, i to martwy Bóg jeden wie od kiedy. Trampka siedział w kabine i gdyby Tell otworzył do niej drzwi, ujrzałby jakiegoś skulonego, porośniętego mchem stwora siedzącego na sedesie, z rękami bezwładnie zwisającymi między udami, zobaczyłby...

Naszła go nieodparta chęć, by zawołać: „Ej, Trampek! Czy u ciebie wszystko w porządku?”.

Ale gdyby Trampek odpowiedział nie zaciekawionym czy poirytowanym tonem, lecz wydobyłby z siebie ochrypły, zgrzytliwy skrzek? Czyż nie krążyły opowieści o wstających z martwych? O...

Tell zerwał się z sedesu, zerwał jak oparzony, spuścił wodę, zapiął spodnie, wyszedł z kabiny i zaciągając suwak w rozporku, ruszył ku wyjściu. Zdawał sobie sprawę, że za chwilę będzie mu bardzo głupio, ale niewiele go to obchodziło. Nie potrafił jednak powstrzymać się przed zerknięciem pod pierwsząabinę. Brudne, źle zasznurowane trampki. I martwe muchy. Dużo martwych much.

W mojej kabinie nie było ani jednej – błysnęło mu w głowie.

– I jak to możliwe, żeby po upływie tak długiego czasu nie zorientował się, że ma źle założone sznurowadła? Albo dlaczego bez przerwy chodzi w tych samych butach? A może nosi je w ten sposób na znak jakiegoś artystycznego manifestu?

Tell, wychodząc z szaletu, bardzo mocno pchnął drzwi. Recepcjonista obrzucił go osobliwie chłodnym spojrzeniem, zarezerwowanym wyłącznie dla śmiertelników (w przeciwieństwie do bóstw w ludzkiej postaci, takich jak Roger Daltrey).

Tell ruszył śpiesznie korytarzem w stronę Tabori Studios.

– Paul?

– O co chodzi? – zapytał Jannings, nie odrywając wzroku od konsoly.

Georgie Ronkler stał na uboczu, obserwował czujnie Janningsa i obgryzał skórki przy paznokciach. Pozostały mu do obgryzania tylko skórki, ponieważ paznokcie zjadł już do żywego mięsa, do miejsca, gdzie wyrastały z ciała. Stał blisko drzwi. Gdyby Jannings tylko zaczął jakąś tyradę, natychmiast opuściłby pomieszczenie.

– Wydaje mi się, że jest coś nie tak w...

Jannings jęknął.

– Jeszcze coś?

– O co ci chodzi?

– Mówię o ścieżce dźwiękowej bębnow. Została straszliwie spartaczona i nie wiem, co możemy z tym zrobić. – Wcisnął guzik i studio wypełnił grzmot perkusji. – Słyszysz?

– Chodzi ci o werbel?

– Oczywiście, że o werbel! Stał o całą milę od reszty perkusji, ale się w nią wżenił!

– Zgoda, ale...

– Zgoda, ale ja to pierdzielę. Nie znoszę takiego gówna! Mam tu czterdzieści ścieżek, czterdzieści pieprzonych ścieżek, żeby nagrać prostą bopową melodię i jakiś technik-IDIOTA...

Tell kątem oka spostrzegł, że Georgie zniknął niczym chłodna bryza.

– Posłuchaj, Paul, jeśli zmniejszysz korekcję...

– Korektor nie ma nic wspólnego...

– Zamknij się na chwilę i posłuchaj – powiedział łagodnie Tell (do nikogo innego na świecie nie odezwałby się w ten sposób) i przesunął włącznik.

Jannings przestał się indyczyć i zaczął słuchać. Zadał pytanie. Tell odpowiedział. Na kolejne nie potrafił odpowiedzieć, ale Jannings sam już znał na nie odpowiedź; i oto nagle mieli całą gamę nowych możliwości dla zmiksowania piosenki zatytułowanej: „Odpowiadam tobie, odpowiadasz mnie”.

Niebawem, czując, że burza minęła, do studia wsunął się niepostrzeżenie Georgie Ronkler.

Tellowi trampki kompletnie wywietrzały z głowy.

Przypomniał sobie o nich dopiero następnego wieczoru. Siedział u siebie w domu w ubikacji, czytał *Wise Blood*, z sypialni dobiegały przyciszone tony Vivaldiego (jakkolwiek Tell miksował dla pieniędzy muzykę rockandrollową, to w domu miał tylko cztery takie płyty; dwie Bruce’a Springsteena i dwie Johna Fogerty’ego).

W pewnej chwili, zaskoczony, oderwał wzrok od książki. Nagle dotarło do niego kosmicznie absurdalne pytanie: John, kiedy ostatni raz srałeś wieczorem?

Nie potrafił sobie przypomnieć, ale podejrzewał, że w przyszłości będzie trochę częściej to robił. Ostatecznie mógł zmienić jeden ze swych nawyków.

Kiedy w piętnaście minut później zasiadł w salonie, a zapomniana książka leżała mu na kolanach, Johnowi przysłała do głowy inna myśl: tego dnia ani razu nie skorzystał ze świątyni dumania na drugim piętrze. O dziesiątej poszli na kawę do lokaliku mieszczącego się po drugiej stronie ulicy. Gdy Paul i Georgie siedzieli przy barze, pili kawę i rozmawiali o nakładaniu ścieżek dźwiękowych, Tell wysikał się w toalecie w Donut Buddy. Potem, w porze lunchu, zatrzymał się na chwilę w Brew'n Burger. a późnym popołudniem na pierwszym piętrze, na które wstąpił; żeby wrzucić całą paczkę listów, jakkolwiek mógł spokojnie skorzystać ze skrzynki umieszczonej obok wind.

Czyżby unikał kibla na drugim piętrze? Czyżby przez cały ten dzień robił to nieświadomie? Mógłby założyć się o swoje reeboki, że tak właśnie było. Unikał tej toalety jak wystraszony dzieciak, który wracając ze szkoły, nadkłada drogi, żeby tylko nie przechodzić obok domu, gdzie straszy. Unikał tej toalety jak zaraży.

– No i co z tego? – powiedział na głos.

Nie mógł wprawdzie dokładnie wyartykułować słów „co z tego”, ale wiedział jedno: nawet jak na Nowy Jork fakt, że publiczna toaleta jest nawiedzana przez parę brudnych trampek, był trochę zbyt egzystencjalny.

– Muszę z tym skończyć – głośno i bardzo wyraźnie oświadczył Tell.

Działo się to we wtorek wieczorem, a wieczorem w piątek wydarzyło się coś, co zmieniło wszystko, co zatrzęsnęło drzwi między Tellem a Paulem Janningsem.

Tell należał do osób nieśmiałych i niełatwo zawiązywał przyjaźnie. W Pensylwanii, w miasteczku, które było na poły wsią, gdzie chodził do szkoły średniej, kaprys losu sprawił, że stanął na estradzie z gitarą w rękę. Nigdy by mu nawet nie zaświtało w głowie, że tam właśnie trafi. Basista z kapeli noszącej nazwę The Satin Saturns na dzień przed bardzo dobrze płatnym koncertem złapał salmonellę. Gitarzysta prowadzący grupy, który brzdąkał również w szkolnym ze-

spole, wiedział, że John Tell umie grać zarówno na gitarze rytmicznej jak na basie. Gitarzysta ów był rośli, bardzo silny i gwałtowny. John Tell był mały, wrażliwy i kruchy. Gitarzysta dał mu do wyboru: albo zagra na instrumencie chorego basisty, albo on wsadzi mu w tyłek gryf tej gitary aż po pięćdziesiąty próg. Ta druga możliwość bardzo ułatwiła Tellowi podjęcie decyzji. Postanowił, że zagra przed szerszą widownią.

Przy trzecim utworze całkowicie opuściła go trema, a pod koniec koncertu czuł się już jak ryba w wodzie. W kilka lat po tym występie usłyszał historię Billa Wymana, basisty The Rolling Stones. Podobno Wyman rzeczywiście przysnął w trakcie koncertu – i to nie w jakimś małym klubiku, ale w olbrzymiej sali koncertowej – spadł z estrady i złamał sobie obojczyk. Tell podejrzewał, że wiele osób traktowało tę historyjkę jako apokryf, ale on skłonny był w nią uwierzyć... ostatecznie sam najlepiej rozumiał, że coś takiego mogło się wydarzyć naprawdę. W świecie rocka basiści są niewidzialnymi ludźmi. Istnieją naturalnie wyjątki – na przykład Paul McCartney – ale one tylko potwierdzają regułę.

Zapewne dlatego, że rola basisty nie przysparza sławy, odczuwa się ich chroniczny brak. Kiedy w miesiąc później rozpadł się The Satin Saturns (gitarzysta prowadzący pobił się z perkusistą o dziewczynę), Tell dołączył do nowej kapeli sformowanej przez gitarzystę rytmicznego dawnej grupy i w ten sposób wybrał przyszlą karierę zawodową.

Lubił grać w zespole. Stoi się na scenie, patrzy na wszystkich z góry i czuje, że nie jest się częścią tłumu, ale przyczyną, dla której ten tłum się zebrał. Mógł być niewidzialny, a jednocześnie jak najbardziej cielesny. Można od czasu do czasu pośpiewać w chórkach, ale nikt nie wymaga wygłaszania przemówień czy innych głupich rzeczy.

Żył w ten sposób – student w nadgodzinach i pełnoetatowy basista w kapeli – przez dziesięć lat. Był dobry, ale nie zżerała go ambicja – nie miał w sobie na tyle ognia. W końcu zawędrował do Nowego Jorku, gdzie zaczął grać jako muzyk studyjny, później bawił się konsoletami, aż odkrył, że woli żyć po drugiej stronie szklanej ściany studia nagrań. W ciągu tych lat zaprzyjaźnił się z jed-

nym tylko człowiekiem: z Paulem Janningsem. Stało się to bardzo szybko i Tell podejrzewał, że duży udział miało w tym napięcie towarzyszące pracy, jaką wykonywał... chociaż to nie było wszystko. Sądził, że głównie wpływ miała kombinacja dwóch czynników: jego całkowitej samotności oraz osobowości Janningsa, która była tak potężna, że aż zniewalająca. A to, że podobnie rzecz się miała z Georgiem, Tell uświadomił sobie po tym, co wydarzyło się w ten piątkowy wieczór.

Wybrał się z Paulem na kilka głębszych do pubu McManusa, gdzie gwarzyli sobie o miksowaniu, o interesach, o baseballu Metsów, o wielu rzeczach. W pewnej chwili Jannings wsunął prawą rękę pod stolik i delikatnie chwycił Tella za krocze.

Ten szarpnął się do tyłu tak gwałtownie, że stojący pośrodku stolika lichtarz przewrócił się na kieliszek Janningsa. Na obrus pociekło wino. Natychmiast pojawił się kelner, który postawił lichtarz, zanim obrus zdążył zająć się od świecy. Zszokowany Tell gapił się na Janningsa szeroko rozwartymi oczyma.

– Bardzo mi przykro – powiedział Jannings i rzeczywiście sprawiał takie wrażenie... ale jednocześnie wcale na skruszonego nie wyglądał.

– Jezu Chryste, Paul! – Tyle tylko zdołał wykrztusić z siebie Tell, ale i to zabrzmiało beznadziejnie i niewłaściwie.

– Myślałem, że jesteś już gotowy, to wszystko – oświadczył Jannings. – Podejrzewam, że powinienem jednak być trochę delikatniejszy.

– Gotowy? – powtórzył jak echo Tell. – O co ci chodzi? Gotowy do czego?

– Otworzyć się. Pozwolić sobie na otwarcie się.

– O nie, ja taki nie jestem – odparł Tell, choć serce biło mu mocno i szybko.

Powodował to częściowo gniew, a częściowo strach na widok bezlitosnej pewności, jaką dostrzegł we wzroku producenta. Dużą rolę w tym grała też konsternacja. To, co uczynił Jannings, sprawiło, że Tell zamknął się w sobie.

– Co było, to było, w porządku? Po prostu złożmy zamówienia i udawajmy, że nic się nie stało.

Dopóki sam tego nie zechcesz – dodały owe bezlitosne, nieubłagane oczy.

Och, ale przecież się stało – chciał sprzeciwić się Tell, ale poskromił język.

Nie pozwoliły mu na to resztki zdrowego rozsądku i względy praktyczne... nie pozwoliły mu wyprowadzić z równowagi znanego z popędlivosti Janningsa. W końcu zapewniał mu bardzo dobrą pracę... ale praca *per se* nie była wszystkim. Mógł przecież w przyszłości użyć taśmy Rogera Daltreya jako wspaniałej reklamówki i rekomendacji. Było to nawet bardziej opłacalne niż dwutygodniowy zarobek. Musiał postąpić dyplomatycznie, a pozę rozgniewanego młodzieńca zostawić na inną okazję. Ponadto czy miał jakikolwiek powód do gniewu? Ostatecznie Jannings wcale go nie zgwałcił.

Ale tak naprawdę był to tylko czubek góry lodowej. Reszta polegała na tym: zamknął usta, ponieważ zawsze tak robił. Więcej niż zamknął. Zatrzasnął je niczym sidła na niedźwiedzia. Połączył je rygłem z tym, co dyktowało mu serce na dole i rozum na górze.

– W porządku, nic się nie stało.

Powiedział tylko tyle.

Tej nocy Tell fatalnie spał i dręczyły go koszmary. Najpierw przyśnił mu się Jannings u McManusa, a następnie pojawiły się trampki; z tym tylko, że we śnie Tell otworzył drzwi kabiny i ujrzał, że w środku siedzi Jannings. Umarł nago, ale w stanie erotycznego pobudzenia, które przetrwało w jakiś sposób po śmierci, nawet po tak długim czasie. Paulowi z donośnym kłapnięciem opadła szczeka. „W porządku, wiedziałem, że jesteś gotowy” – oświadczyły zwłoki, a z ust wypłynął im obłok zielonkawego, zepsutego powietrza.

Tell obudził się na podłodze spętany skotłowaną kołdrą. Była czwarta nad ranem. Przez okno napływały przedzierające się między budynkami pierwsze promienie dziennego światła. Tell ubrał się, usiadł i palił papierosa za papierosem, aż nadeszła pora wyjścia do pracy.

Około jedenastej w sobotę – żeby dotrzymać nieprzekraczalnego terminu Daltreya, pracowali sześć dni w tygodniu – Tell poszedł do męskiej toalety na drugim piętrze oddać mocz. Stał dłuższą chwilę w progu łazienki i pocierał skronie, a następnie rozejrzał się po kabinach.

Niczego nie dostrzegł. Patrzył pod złym kątem.

Nieważne! – pomyślał. – Chrzań to! Po prostu odlej się i wyjdź stąd!

Powolnym krokiem podszedł do jednego z pisuarów, rozpiął suwak w rozporuku. Sporo czasu minęło, zanim popłynęły pierwsze krople.

Wychodząc z toalety, ponownie przystanął z głową uniesioną jak pies przed tubą patefonu uwieczniony na starej etykietce płyt RCA Victor, a następnie odwrócił się. Powoli przeszedł za róg i przystanął w miejscu, skąd mógł zajrzeć pod drzwi pierwszej kabiny. Brudne trampki ciągle tam stały. Budynek, nazywany w swoim czasie Music City, był prawie opustoszały, jak zawsze w sobotnie poranki, ale trampki tkwiły na swoim miejscu.

Uwagę Tella zwróciła mucha pełznąca po podłodze tuż przed kabiną. Obserwował z jakąś zachłanną, niezdrową łapczywością, jak wlecze się po podłodze i włązi na czubek trampka. Tam zatrzymała się i po prostu padła trupem. Spadła na rosnącą stertę martwych owadów otaczających buty. Tella nie zdziwił nawet (tak mu się w każdym razie wydawało) widok dwóch niewielkich pajaków i wielkiego karalucha leżących na grzbietach niczym przewrócone do góry nogami żółwie.

Tell na kompletnie zdrtwiałych nogach opuścił toaletę wielkimi krokami, ale gdy szedł do studia, odnosił jeszcze cudacniejsze wrażenie. Wydawało mu się, że to nie on idzie, lecz cały budynek przesuwają się obok niego niczym rzeka opływająca tkwiącą pośrodku nurtu skałę.

Jak wrócę, powiem Paulowi, że nie czuję się najlepiej, i wezmę sobie wolny dzień – pomyślał. Wiedział jednak, że tak nie zrobi. Przez cały ranek Jannings był humorzasty, w nieprzyjemnym nastroju, a Tell zdawał sobie sprawę, że częściowo (a może całkowicie) on jest tego przyczyną. Może na przekór wszystkiemu Paul wywali go z pracy? Jeszcze przed tygodniem Tell wybuchnąłby śmiechem na taką myśl. Ale przed tygodniem wierzył jeszcze w to, w co wierzył, kiedy dorastał: że przyjaźń istnieje naprawdę, a duchy są jedynie wytworem fantazji. Obecnie zastanawiał się, czy nie powinien tego mniemania w jakiś sposób odwrócić.

– Przyszły odrzuty – oznajmił Paul, nie podnosząc głowy, kiedy Tell otworzył drugie z dwojga drzwi do studia; te, które nazywano „martwym powietrzem”

i których używano, kiedy w studio trwały nagrania. – Johnny, myślałem, że już tam umarłeś.

– Nie – odrzekł Tell. – Nie ja.

Był to duch, a Tell, na dzień przed zakończeniem miksowania płyty Daltreya – i zerwania kontaktów z Paulem Janningsem – odkrył czyj. Ale wcześniej wydarzyło się wiele innych rzeczy. Mimo że były to rzeczy pozornie drobne, niczym niewielkie słupki milowe przy płatnej autostradzie w Pensylwanii, to nieuchronnie kierowały Tella ku załamaniu nerwowemu. Wiedział, że ku temu wszystko zmierza, ale nie potrafił nic na to poradzić. Odnosił wrażenie, że nie jedzie tą szczególną drogą, ale że go nią wiozą.

Początkowo działania, jakie musiał podjąć, wydawały się proste i oczywiste: unikać tej konkretnej męskiej toalety i odrzucić wszelkie myśli oraz rozważania na temat trampek. Po prostu pominąć ten temat. Problem nie istnieje.

Ale nie mógł tak postępować. W najbardziej nieoczekiwanych momentach obraz trampek wypełzał na powierzchnię świadomości, spadając na niego niczym zastarzały smutek i żal. Siedział na przykład w domu, oglądał wiadomości CNN lub jakiś talk-show i nagle uświadamiał sobie, że myśli o muchach albo o tym, czego woźny, dając nowy papier toaletowy, najwyraźniej nie zauważył, i kiedy w końcu spoglądał na zegar, konstatował, że upłynęła godzina. Czasami więcej.

Przez jakiś czas był głęboko przekonany, że to rodzaj jakiegoś złośliwego żartu. Stał za tym oczywiście Paul i, zapewne, ów grubas z Janus Music. Tell wiedział, że nieustannie coś ze sobą ugwarzają. Czyż nie popatrzyli raz na przechodzącego Tella i nie wybuchnęli śmiechem? Następny na liście był palący camel recepcjonista o martwym, sceptycznym spojrzeniu. Na pewno nie Georgie. Georgie nie utrzymałby sekretu, gdyby nawet metodą zastraszenia Paul wciągnął go do spisku. Ale w końcu wszystko było możliwe. Przez dzień czy dwa Tell rozważał nawet, czy przypadkiem do gry nie włączył się sam Daltrey i czy to nie on wkładał źle zasznurowane białe trampki.

Choć zdawał sobie sprawę z tego, że są to jedynie paranoiczne fantazje, nie

potrafił się od nich uwolnić. Potrafił te myśli odgonić, racjonalnie sobie wytłumaczyć, że nie istnieje żadna uknuta przez Janningsa intryga, mógł w sobie wmówić: „Tak, masz rację, to właśnie ma sens”, ale w pięć godzin później – a może tylko w dwadzieścia minut – ponownie wyobrażał sobie, że oni siedzą w Desmond’s Steak House, dwie przecznice dalej w kierunku śródmieścia. Paul, palący papierosa za papierosem, recepcjonista zafascynowany heavy metalem i kapelami, których członkowie poprzebierani są w skórzane, nabijane gwoździami kurtki, a może nawet ten chudy, kościsty chłopak ze Snappy Kards. Całe to towarzystwo siedzi, pałaszuje koktajle z krewetek, pije i coś uradza. I śmieją się. Śmieją się naturalnie z Tella, a pod stolikiem, w pomiętej brązowej torbie, spoczywają brudne białe trampki.

Tell widział oczyma wyobraźni tę brązową torbę. Coś okropnego.

Ale to nie owe przelotne fantazje były najgorsze. Najgorsze w tym wszystkim było to, że męska toaleta na drugim piętrze przyciągała go ze straszliwą siłą. Zupełnie jakby znajdował się tam potężny magnes, a on miał kieszenie wypełnione żelazem. Gdyby ktoś inny powiedział mu coś takiego, roześmiałby się (może tylko w duchu, gdyby osoba używająca takiej metafory mówiła to z najgłębszym przekonaniem), ale tak było naprawdę. Za każdym razem, mijając męską toaletę w drodze do studia lub do windy, czuł, że coś spycha go z wybranej trasy, każe skrócić. Było to straszliwe wrażenie, zupełnie jakby coś ciągnęło go ku otwartemu oknu na najwyższym piętrze drapacza chmur lub jakby bezradnie obserwował spoza własnego ciała, jak sam sobie wkłada do ust lufę naładowanego pistoletu.

Koniecznienie chciał jeszcze raz zajrzeć do tej toalety. Zdawał sobie sprawę, że byłby to jego definitywny koniec, ale to nie robiło mu żadnej różnicy. Chciał tam jeszcze raz zajrzeć.

Za każdym razem, gdy przechodził obok tego kibla, czuł, że coś przyciąga tam jego umysł.

W snach nieustannie otwierał drzwi pierwszej kabiny. Po prostu żeby do niej zajrzeć.

Żeby dokładnie się wszystkiemu przyjrzeć.

I nie potrafił nikomu się z tego zwierzyć. Zdawał sobie sprawę, że byłoby to najlepszym rozwiązaniem, rozumiał, że gdyby otworzył przed kimś duszę, wyłał przed kimś swój strach, mogłoby to wszystko zmienić, mogłoby to stworzyć jakąś poręcz, której by się mocno i pewnie chwycił. Dwukrotnie zachodził do baru i próbował nawiązać rozmowę z siedzącymi obok mężczyznami. Wiedział, że rozmowa w barze jest bardzo tania. W zasadzie nic nie kosztuje.

Za pierwszym razem zanim w ogóle zdążył otworzyć usta, mężczyzna, którego sobie upatrzył, palnął prelekcję na temat baseballowych wyczynów Yankee'ów i George'a Steinbrennera. Steinbrenner straszliwie zalazł mu za skórę, toteż facet nie pozwolił Tellowi dojść do słowa na żaden inny temat. W końcu Tell dał za wygraną.

Za drugim razem zaczął przypadkową rozmowę z mężczyzną wyglądającym na robotnika budowlanego. Gawędzili o pogodzie, o baseballu (tym razem rozmówca Tella nie miał bzika na tym punkcie), a potem ponarzekali trochę na to, jak trudno jest znaleźć w Nowym Jorku dobrą pracę. Tell pocił się bardzo obficie. Czuł się tak, jakby wykonywał jakąś ciężką pracę fizyczną – na przykład pchał pod górę taczkę z cementem – ale odnosił wrażenie, że dobrze kieruje rozmową.

Gość wyglądający na robotnika budowlanego pił wódkę Black Russians. Tell ograniczał się do piwa. Czuł, że całe wypite piwo natychmiast wypaca, ale kiedy już postawił nowemu znajomemu kilka kolejek, a ten zafundował kilka kufli, Tell nabrał odwagi.

– Czy chciałbyś posłuchać o czymś naprawdę dziwnym? – zapytał.

– Jesteś pedziem? – zapytał facet o wyglądzie robotnika budowlanego, nie pozwalając Tellowi dokończyć zaczętej kwestii. Odwrócił się na barowym stołku i popatrzył na Tella z uprzejmym zainteresowaniem. – Nic mi do tego, czy jesteś, czy nie, ale wyczułem w tobie jakieś vibracje i chcę ci powiedzieć, że ja się w takie rzeczy nie bawię.

– Nie jestem pedziem – odrzekł Tell.

– Aha. Więc o czym dziwnym chcesz mi powiedzieć?

– Słucham?

- Powiedziałeś, że coś jest naprawdę dziwne.
 - Och, tak naprawdę to nie ma w tym nic dziwnego – odparł Tell.
- Popatrzył na zegarek i oświadczył, że jest już późno i czas na niego.

Na trzy dni przed końcem nagrań Tell opuścił studio F i udał się do toalety. Korzystał teraz z łazienki na piątym piętrze. Początkowo zachodził do toalety na trzecim, a następnie na czwartym, ale były one umieszczone w tym samym pionie co toaleta na drugim i Tell czuł, że właściciel trampek przeniknie bezszelestnie przez sufity, żeby przejąć go na wyższych piętrach. Męska toaleta na piętrze piątym znajdowała się po przeciwnej stronie budynku i wydawało się, że to rozwiązuje cały problem.

Idąc do windy, szybko przeszedł obok stanowiska recepcjonisty, zamrugał oczyma i nagle znalazł się w toalecie na drugim piętrze. Za jego plecami z sykaniem, powoli zamykały się drzwi. Nigdy jeszcze nie był tak wystraszony. Częściowo bał się trampek, a częściowo wystraszył się tym, że przez trzy do sześciu sekund był nieprzytomny. Po raz pierwszy w życiu po prostu wyłączył mu się umysł.

Nie wiadomo, jak długo stałby tak w bezruchu, gdyby nagle nie otworzyły się za nim drzwi, uderzając go boleśnie w plecy. Do środka wkroczył Paul Jannings.

– Przepraszam, Johnny – powiedział. – Nie wiedziałem, że przychodzisz tutaj medytować.

Nie czekając na odpowiedź, wyminął Tella (zresztą i tak by się nie doczekał – pomyślał później Tell – gdyż język miałem jak sparaliżowany i przylepiony do podniebienia) i ruszył w stronę kabin. Tell dowlóknął się do pierwszego pisuaru, po czym rozpiął suwak. Robił to tylko dlatego, żeby nie dać satysfakcji Paulowi, który mógł się odwrócić i go obserwować. Jeszcze nie tak dawno uważał Paula za przyjaciela – zapewne jedyne przyjaciela; w każdym razie w Nowym Jorku. Ale czasy się zmieniły. Tell postął przy pisuarze z dziesięć sekund, po czym spuścił wodę. Ruszył w stronę drzwi, lecz w połowie drogi przystanął. Odwrócił się i zrobił na palcach dwa kroki w kierunku pierwszej kabiny. Pochy-

lił się i zajrzał do środka. Trampki ciągle tam były, teraz już otoczone całym zwałem martwych much.

Ale były tam również mokasyny od Gucciego należące do Paula Janningsa.

To, co Tell miał przed oczyma, wyglądało jak podwójne naświetlanie lub jak owe triki filmowe z duchami w starym programie telewizyjnym *Topper*. Najpierw przez trampki widział mokasyny Paula; następnie trampki stały się bardziej materialne i widział je wyraźniej, jakby to Paul z kolei zamienił się w ducha. Lecz nawet owe widmowe mokasyny wykonywały drobne ruchy, podczas gdy trampki, jak zwykle, pozostawały nieruchome.

Tell opuścił toaletę. Po raz pierwszy od dwóch tygodni spłynął na niego spokój.

Następnego dnia zrobił to, co zapewne powinien był uczynić od razu. Zabrał Georgiego na lunch i tam wprost zapytał, czy nie słyszał jakichś dziwnych opowieści lub plotek o budynku, który nosił kiedyś nazwę Music City. Dziwił się sobie, że nie wpadł na to wcześniej. Wiedział jedynie, że to, czego był świadkiem poprzedniego dnia, niczym siarczasty policzek lub wylany na głowę kubek zimnej wody rozjaśniło mu w jakiś sposób umysł. Georgie mógł wprawdzie o niczym nie słyszeć; ale równie dobrze mógł słyszeć. Z Paulem pracował od co najmniej siedmiu lat, a większość zleceń wykonywali właśnie w Music City.

– Och, masz na myśli ducha? – zapytał Georgie i wybuchnął śmiechem. Siedzieli w wytwornej restauracji Certain's na Szóstej Alei, gwarnej teraz jak zwykle w porze lunchu. Georgie wbił zęby w kanapkę z konserwową wołowiną, przeżuł kęs, przełknął go i popił przez dwie słomki wetknięte do butelki z wodą sodową o smaku waniliowym. – Skąd o nim wiesz, Johnny?

– Och, od jednego z woźnych – odparł niedbale Tell.

– Jesteś pewien, że go nie widziałeś? – zapytał Georgie i skrzywił się.

Długoletniego współpracownika Paula było stać tylko na taką złośliwośćkę.

– Nie. Naprawdę nie widział ducha. Tylko trampki. I martwe robaki.

– Cóż, o tym się już dziś nie mówi, ale w swoim czasie był to temat dnia; to, że ten gość nawiedza to miejsce. Wiesz, oberwał na drugim piętrze. W kiblu.

Georgie wzniosł dygoczące dłonie do swych rumianych, pokrytych puchem policzków, zanucił kilka taktów ze „Strefy mroku” i starał się przybrać jak najbardziej złowieszczą minę. Ale takiego efektu żadną miarą nie potrafił osiągnąć.

– Wiem – odrzekł Tell. – Słyszałem o tym. Ale woźny nie powiedział nic więcej, a może nic więcej nie wiedział. Po prostu roześmiał się i odszedł.

– Zdarzyło się to na długo przed tym, jak zacząłem pracować z Paulem. A całą historię znam właśnie od niego.

– Ale Paul nigdy osobiście tego ducha nie widział? – zapytał Tell, z góry znając odpowiedź.

Wczoraj Paul siedział na tym sraczu. Srał do niego, mówiąc prosto i wulgarnie szczerze.

– Nie, zawsze się z tego śmiał. – Georgie odłożył kanapkę.

– Sam wiesz, jaki czasami potrafi być. Taki m-małostkowy.

Georgie, ilekroć był zmuszony powiedzieć coś negatywnego o innej osobie, zaczynał się lekko jąkać.

– Wiem. Ale Paul nie ma tu nic do rzeczy. Czyj to duch? Co się stało tamtemu człowiekowi?

– Och, był to jakiś handlarz narkotyków – powiedział Georgie. – Zdarzyło się to w siedemdziesiątym drugim albo trzecim roku. Paul chyba wtedy dopiero zaczynał... był tylko asystentem realizatora dźwięku. Działo się to tuż przed tym kryzysem.

Tell skinął głową. Mniej więcej w latach siedemdziesiąt pięć–osiemdziesiąt w przemyśle muzyki rockowej nastąpił zastój. Dzieciaki wydawały pieniądze nie na płyty, a na gry wideo. Zapewne po raz pięćdziesiąty od roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego mędracy głosili śmierć rock and rolla. Ale, jak już nieraz bywało, okazał się żywym trupem. Szał gier wideo minął; pojawiła się MTV; z Anglii dotarła muzyka nowych gwiazd; Bruce Springsteen wydał płytę *Born in the USA*; wszystkim zawrócił w głowach rap i hip-hop.

– W tamtych czasach, przed zastojem, kierownicy przedsiębiorstw płytowych przed wielkimi koncertami przynosili za kulisy w teczkach kokę – powiedział

Georgie. – Był jeden facet, nie żyje od siedemdziesiątego ósmego roku, ale znał byś jego nazwisko, gdybym ci je wymienił, który przed każdym koncertem przynosił słoik oliwek zawinięty w kolorowy, piękny papier ze wstążkami, kokardami i tak dalej. Z tym że zamiast w zalewie, oliwki znajdowały się w kokainie. Wkładał je sobie do drinków. Nazywał je w-w-wybuchowymi martini.

– O, z pewnością były wybuchowe – zgodził się Tell.

– No cóż, wtedy wiele osób traktowało kokę prawie jak witaminę – mówił dalej Georgie. – Twierdzono, że nie wciąga jak heroina, a następnego dnia nie t-telepie człowiekiem jak po gorzale. Chłopie, w naszym budynku trwała dosłownie biała zamieć. Również tabletki, marycha, haszysz, ale kokaina była najlepsza. I ten gość...

– Jak się nazywał?

Georgie wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Ani Paul, ani nikt w tym budynku nigdy mi tego nie powiedział; a w każdym razie nie przypominam sobie. Ale przypuszczalnie był jednym z tych chłopców na posyłki, którzy nieustannie rozwożą windami kawę, pączki i rogaliki. Tyle że zamiast kawy i jedzenia ten chłopak dostarczał prochy. Pojawiał się dwa, trzy razy w tygodniu. Wjeżdżał windą na samą górę, po czym schodził, roznosząc towar po piętrach. Miał zawsze przewieszony przez rękę płaszcz, a pod nim trzymał walizkę z krokodylej skóry. Miał na ręce ten płaszcz nawet podczas największych upałów. Żeby ludzie nie widzieli kajdanków. Ale podejrzewam, że cz-cz-czasami widzieli.

– Co?

– K-k-k-kajdanki – odparł Georgie i zakrztusił się, rozpryskując wokół kawałki chleba i konserwowej wołowiny. Natychmiast zaczerwienił się po uszy. – O Jezu, Johnny, przepraszam.

– Nic się nie stało. Chcesz jeszcze wody sodowej?

– Tak, proszę – odparł z wdzięcznością Georgie.

Tell skinął na kelnerkę.

– A więc był to chłopiec na posyłki – mruknął, starając się znów wprowadzić pogodną atmosferę.

Georgie chwilę jeszcze ciężko dyszał, zasłaniając serwetką usta.

– Zgadza się. – Pojawiła się kelnerka z napojem i Georgie upił łyk. – Kiedy wychodził z windy na siódmym piętrze, przypięta łańcuszkiem do przegubu walizeczka była pełna prochów. Gdy był już na parterze, wypełniała ją po brzeży forsa.

– Najlepszy sposób na zmienianie ołowiu w złoto – zauważył Tell.

– Tak, ale w końcu czary minęły. Pewnego dnia dotarł tylko do drugiego piętra. Ktoś rąbnął go w męskiej toalecie.

– Zadźgał go?

– Z tego, co słyszałem, ktoś otworzył drzwi kabiny, w której siedział, i wbił mu w oko ołówek.

Przez chwilę Tell widział to równie plastycznie jak pomietą torbę pod stolikiem wyimaginowanych konspiratorów w restauracji. Ołówek marki Berol Black Warrior, bardzo ostro zatemperowany, tnie powietrze i wbija się w oko zaskoczonego chłopaka. Gałka oczna pęka. Tell skrzywił się.

Georgie skinął głową.

– W-w-wstrętne, co? Ale to zapewne tylko legenda. To znaczy z tym ołówkiem. Zapewne ktoś go po prostu stuknął.

– Tak.

– Ale ktokolwiek to był, musiał mieć ze sobą coś ostrego – odparł Georgie.

– Dlaczego?

– Ponieważ zniknęła walizeczka.

Tell popatrzył na Georgiego. To również ujrzał oczyma wyobraźni. Zanim jeszcze Georgie opowiedział mu resztę, miał ten obraz przed oczyma.

– Kiedy pojawiły się gliny i wyciągnęły chłopaka z toalety, znaleźli jego lewą dłoń w s-sedesie.

– Och – westchnął Tell.

Georgie popatrzył na talerz, na którym pozostało jeszcze pół kanapki.

– Chyba mam już dosyć – oświadczył i uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– A zatem duch tego chłopaka straszy... Gdzie, w toalecie? – zapytał Tell,

gdy już wracali do studia.

I nieoczekiwanie roześmiał się, bo chociaż historia była bardzo ponura, pomyślał, iż w sraczu straszy duch, jest cokolwiek komiczny.

Georgie również się uśmiechnął.

– Wiesz, jacy są ludzie. Tak początkowo gadali. Kiedy rozpoczynałem pracę z Paulem, wiele osób mówiło mi, że widziało ducha. Konkretnie nie tyle jego, co jego trampki pod drzwiami kabiny.

– Same trampki mówisz? Śmieszne.

– Zgadza się. Tak właśnie gadano, a raczej wyobrażano sobie, gdyż mogłeś o tym usłyszeć jedynie od tych, którzy znali go, kiedy jeszcze żył. Od osób, które wiedziały, że chodził w trampkach.

Tell, który mieszkał w tamtym czasie w Pensylwanii i nie wiedział, co się tu wydarzyło, skinął głową. Dotarli do Music City. Kiedy szli głównym holem w stronę wind, odezwał się Georgie:

– Ale wiesz, jak w naszej branży wszystko się szybko zmienia. Dzisiaj człowiek jest tu, a jutro całkiem gdzieś indziej. Wątpię, czy z wyjątkiem Paula i kilku w-woźnych pozostał tu ktoś, kto wówczas pracował. Ale oni od niego nie kupowali towaru.

– Raczej nie.

– Na pewno nie. Tak więc od nikogo już o tej historii nie usłyszysz. No i nikt już tego chłopaka nie w-widuje.

Przystanęli przed windą.

– Georgie, dlaczego związałeś się z Paulem?

Chociaż Georgie spuścił głowę i poczerwieniały mu koniuszki uszu, w jego głosie nie zabrzmiało zdziwienie tak nagłą zmianą tematu.

– A dlaczego nie? Zajął się mną.

Czy sypiasz z nim, Georgie? – błysnęło natychmiast w głowie Paula pytanie jako naturalna konsekwencja poprzedniego. Ale nie odważył się zadać go głośno. Pomyślał bowiem, że Georgie mógłby mu powiedzieć prawdę.

Tell, który rzadko odzywał się do obcych i nigdy nie zawierał przyjaźni ani nie zwierzał się nikomu, nieoczekiwanie uścisnął Georgiego Ronklera. Georgie,

nie patrząc mu w oczy, oddał uścisk. Następnie odstąpili od siebie, nadjechała winda, podjęli pracę przy realizacji płyty, a następnego dnia wieczorem, kwadrans po osiemnastej, kiedy Jannings zaczął zbierać papiery (ostentacyjnie nie patrząc w stronę Tella), ten wyszedł do toalety na drugim piętrze, żeby spojrzeć na właściciela białych trampek.

Rozmawiając z Georgiem, Tell odkrył nagle... a może tak silne przeżycie należy nazwać objawieniem... że czasami można uwolnić ducha, który nawiedza ten świat. Trzeba tylko wykazać na tyle odwagi, żeby stanąć z nim oko w oko.

Tym razem nie miał zaniku świadomości, nie czuł lęku... jedynie serce w piersi biło mu jak młotem. Wdychał zapach chloru, różowych kostek zapachowych w pisuarach, zastarzały fetor bździn. Widział drobne pęknięcia farby na ścianach i łuszczące się rury. Kiedy podchodził do pierwszej kabiny, obcasy jego butów głośno klekotały na wyłożonej kafelkami podłodze.

Trampki niknęły prawie pod zwałami martwych much i pajaków.

Na początku były zaledwie dwa owady – pomyślał. – A to dlatego, że dopóki nie pojawiły się trampki, muchy nie musiały zdychać, a ponadto, dopóki nie zobaczyłem butów, owadów też tu nie było.

– Dlaczego ja? – zapytał wyraźnie, mącąc zalegającą w toalecie ciszę.

Trampki nie drgnęły. Nie rozległ się żaden głos.

– Nie znałem cię, nigdy cię nie spotkałem, nie biorę i nie brałem towaru, który sprzedawałeś. Dlaczego więc ja?

Jeden trampek poruszył się. Rozległ się suchy szelest martwych much. Następnie trampek – ten źle zasznurowany – wrócił na miejsce.

Tell pchnął drzwi kabiny i otworzył je. Jeden zawias zazgrzytał głośno w sposób, w jaki zawsze zawiasy skrzypią w gotyckich powieściach grozy. I oto stało się. Tajemniczy gościu, pokaż się, proszę – pomyślał Tell.

Tajemniczy gość siedział na sedesie z jedną ręką bezwładnie spoczywającą na udzie. Był dokładnie taki sam, jakim widział go w snach Tell. Z jedną różnicą: miał tylko jedną rękę. Druga kończyła się zakurzonym, kasztanowej barwy kikutem, do którego przyłgnęło kilkanaście much. Tell uświadomił sobie dopiero

teraz, że nigdy nie zauważył spuszczonej spodni Trampka (któż nie widział, jak wyglądają spuszczone spodnie opadające na buty, jeśli nachylić się i zajrzeć pod drzwiami do kabiny w ubikacji? Jest w tym widoku coś beznadziejnie komicznego czy bezbronno albo i jedno, i drugie). Nie dostrzegł ich, ponieważ spodnie były podciągnięte, pasek zapięty, a suwak rozporka zasunięty. Dzwony. Tell zastanawiał się chwilę, kiedy taki fason wyszedł z mody, ale nie potrafił sobie przypomnieć.

Trampek miał na sobie lnianą niebieską koszulę w paski z wyszytymi na kieszonkach „pacyfkami”. Cesał się z przedziałkiem na prawo. Na samym przedziałku Tell również dostrzegł kilka much. Na wbitym w drzwi haczyku wisiał płaszcz, o którym wspominał Georgie. Na obwisłych ramionach też widać było martwe muchy.

Rozległ się przykry dźwięk przypominający zgrzyt zawiasa. Tell zdał sobie sprawę z tego, że wydają go ścięgną w szyi trupa. Trampek podnosił głowę. Popatrzył na Tella i ten, nie wiadomo dlaczego, ale bez zdziwienia ujrzał, że jest to ta sama twarz, którą codziennie obserwował w lustrze podczas golenia. Z tym tylko, że w tej twarzy z oka sterczał pięciocentymetrowy kawałek ołówka. Trampek był nim, a on Trampkiem.

– Wiedziałem, że jesteś już gotowy – odezwał się ochrypłym, bezbarwnym głosem człowieka, który od dawna nie używał swoich strun głosowych.

– Wcale nie – powiedział Tell. – Odejdź.

– Mam na myśli prawdę – powiedział Tell do Tella, a stojący w progu kabiny Tell dostrzegł biały proszek wokół nozdrzy Tella siedzącego na sedesie.

Najwyraźniej nie tylko sprzedawał narkotyki, ale sam je brał. Zaszył się tutaj, żeby sobie trochę niuchnąć; ktoś wszedł za nim i wbił mu w oko ołówek. Kto dopuszcza się morderstwa za pomocą ołówka? Chyba tylko ktoś, kto dokonuje zbrodni pod...

– Och, nazwij to impulsem – odezwał się Trampek tym ochrypłym, bezbarwnym głosem. – Doskonale znany na całym świecie impuls do zbrodni.

I Tell – ten stojący w progu kabiny – zrozumiał, że tak właśnie dokładnie było, bez względu na to, co myślał Georgie. Zabójca nie musiał zaglądać pod

drzwi kabiny, bo to Trampek zapomniał przekręcić zasuwkę. Przypadkowy zbieg tych dwóch czynników. W innych okolicznościach skończyłoby się na mruknięciu: „Przepraszam pana bardzo” i pośpiesznym wycofaniu się. Tym razem jednak stało się inaczej. Tym razem ten zbieg okoliczności doprowadził do morderstwa dokonanego pod wpływem chwilowego impulsu.

– Nie zapomniałem się zamknąć – odezwał się ochryłym, bezbarwnym głosem Trampek. – Zamek był wyłamany.

Tak, to prawda, zamek był wyłamany. Ale to nie robiło żadnej różnicy. A ołówek? Tell wiedział, że zabójca, kiedy otwierał drzwi kabiny, trzymał go w ręce, ale nie jako narzędzie mordy. Trzymał go, ponieważ czasami człowiek lubi trzymać coś w ręce – papierosa, kółko z kluczami, pióro lub ołówek, którymi można się bawić. Tell pomyślał też, że zanim i Trampek, i zabójca to sobie uświadomili, w oku Trampka już tkwił ołówek. Następnie, ponieważ zabójca był również klientem, który wiedział, co jest w walizeczce, zamknął drzwi, zostawił swoją ofiarę na sedesie, wyszedł z budynku, kupił... cóż, kupił coś...

– Poszedł do sklepu z artykułami żelaznymi i kupił piłkę do metalu – oświadczył bezbarwnym głosem Trampek, a Tell nieoczekiwanie uświadomił sobie, że twarz tamtego wcale już nie jest jego twarzą.

Siedział przed nim mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna, który nie przypominał raczej rodowitego Amerykanina. Tell miał włosy ryżoblond i takie same miał jeszcze przed chwilą Trampek. Teraz jednak zmieniły się w gęstą, kruczoczną czuprynę.

I wtedy uświadomił sobie jeszcze jedną rzecz. Uświadomił to sobie w taki sposób, w jaki uświadamia się sobie różne rzeczy we śnie: kiedy ludzie spotykają ducha, zawsze w pierwszej chwili widzą samych siebie. Dlaczego? Z tego samego powodu, z jakiego znajdujący się głęboko pod wodą nurkowie muszą zatrzymywać się co chwila w swej drodze na powierzchnię, bo gdyby wynurzali się za szybko, we krwi wytworzyłyby się bąbelki azotu, co spowodowałoby straszliwe cierpienia, a nawet śmierć. Istnieją również zakręty rzeczywistości.

– Percepcja zmienia się w chwili, kiedy człowiek przekracza to, co jest naturalne, prawda? – zapytał ochryple Tell. – Dlatego ostatnio życie wydawało mi

się takie dziwne. Coś we mnie kazało mi uporać się... no cóż, uporać się z tobą.

Martwy mężczyzna wzruszył ramionami. Z jego ramion posypały się z szelestem martwe muchy.

– Ty mi to powiesz, Kapuściany Łbie... masz to w głowie.

– W porządku – odparł Tell. – Powiem. Kupił piłkę do metalu, którą sprzedawca wsadził do torby, a następnie tutaj wrócił. Niczego się nie bał. Ostatecznie gdyby ktoś już cię znalazł, on by się o tym natychmiast dowiedział. Przy toalecie kłębiliby się tłum. Tak to sobie wyliczył. Mogłyby się już nawet pojawić gliny. Kiedy okazało się, że nikt cię jeszcze nie znalazł, wrócił po walizeczkę.

– Najpierw próbował przeciąć łańcuszek – rozległ się ochrypły głos. – Kiedy mu się to nie udało, urznął mi dłoń.

Popatrzyli na siebie. Tell uświadomił sobie nagle, że widzi sedes i brudne białe kafelki za plecami zwłok... zwłoki przekształciły się w prawdziwego ducha.

– Teraz już wiesz? – zapytał Tella duch. – Wiesz dlaczego ty?

– Tak. Chciałeś o tym komuś powiedzieć.

– Nie... historia to gówno – odparł duch i skrzywił twarz w tak przerażającym, pełnym wrogości uśmiechu, że Tella ogarnęło przerażenie. – Ale czasami taka wiedza może sprawić trochę dobra... jeśli człowiek jeszcze żyje... – Urwał.

– Tell, zapomniałeś zapytać swego przyjaciela Georgiego o bardzo istotny szczegół. O coś, w czym mógłby się okazać nie do końca szczery.

– O co? – zapytał Tell, choć nie był pewien, czy naprawdę chce poznać odpowiedź.

– Kto w tamtych czasach na drugim piętrze był moim głównym klientem. Kto wydał na mój towar prawie osiem tysięcy dolarów. Kto wpadł w nałóg. Kto pojechał na odwykówkę do kliniki w Rhode Island i w dwa miesiące po mojej śmierci wrócił wyleczony. Kto teraz nawet nie tknie białego proszku. Georgiego wtedy jeszcze tutaj nie było, ale sądzę, że zna odpowiedź na wszystkie te pytania. Ponieważ słucha, co mówią ludzie. Zauważyłeś, że przy Georgiem ludzie rozmawiają o wszystkim tak, jakby go wcale nie było?

Tell skinął głową.

– A nie jest przecież chory na umyśle. Sądzę, że bardzo dobrze zna prawdę. Tell, on nigdy o tym nie mówi, ale sądzą, że wie.

Twarz ducha ponownie zaczęła się zmieniać, rysy rozpływały się w tej pośepnej, odwiecznej mgle, aż znów się ustabilizowały. Tell miał przed sobą twarz Paula Janningsa.

– Nie – szepnął Tell.

– Zgarnął ponad trzydzieści kawałków – oświadczył trup o twarzy Paula. – Z tego zapłacił za kurację... i jeszcze zostało mu dosyć na rozpustę, z której nie zrezygnował.

I w jednej chwili siedząca na sedesie postać zaczęła zniknąć. Po chwili już jej nie było. Tell popatrzył pod nogi i spostrzegł, że muchy również zniknęły.

Nie musiał już więcej tu przychodzić. Wrócił do pokoju studyjnego, oświadczył Paulowi Janningsowi, że jest skończonym skurwysynem, przez chwilę obserwował z satysfakcją jego pełną zdumienia i niedowierzania minę, a następnie wyszedł z pokoju. Znajdzie inne prace; jest wystarczająco dobry w tym, co robi, żeby w to nie wątpić. Świadomość ta pojawiła się w nim niczym jakiegoś objawienie. Nie był to pierwszy dzień, ale stanowczo najlepszy.

Kiedy wrócił do swego mieszkania, natychmiast przeszedł przez salon i udał się do łazienki. Znów wróciła mu potrzeba, nawet nagląca – ale to było w porządku. Kolejny aspekt bycia żywym.

– Człowiek systematyczny jest człowiekiem szczęśliwym – powiedział do białych kafelków, którymi wyłożone były ściany.

Lekko się odwrócił, sięgnął po ostatni numer *Rolling Stone*, który zostawił był na rezerwuarze, otworzył na kolumnie „Przypadkowo podsłuchane” i zagłębił się w lekturze.

Mają tu kapekę jak wszyscy diabli

Kiedy Mary obudziła się, spostrzegła, że zabłądzili. Wiedziała o tym równie dobrze jak Clark, jakkolwiek on początkowo nie chciał się do tego przyznać. Przybrał minę: sikam-więc-się-do-mnie-nie-zbliżajcie i zaczął sznurować usta, które stawały się mniejsze i mniejsze, tak że wydawało się, iż za chwilę znikną całkowicie. A i samo słowo „zabłądzić” nie było określeniem, którego by Clark użył. Clark powiedziałaby: „W którymś miejscu źle skręciliśmy”; lecz nawet tymi słowami raczej by się zadławił, niżby je wyartykułował.

Z Portland wyjechali poprzedniego dnia. Pomysł wyprawy zrodził się w głowie Clarka, który pracował w jednej z największych firm komputerowych. Zdecydował, że powinni trochę lepiej poznać Oregon, poznać coś poza miłą, ale monotonną podmiejską dzielnicą Portland, w której mieszkali – dzielnicą dla zamożnych przedstawicieli klasy średniej zwaną przez mieszkańców Software City. „Mówią, że te odludzia są czymś niebywałym – oświadczył Mary. – Czy chciałabyś się tam wybrać i obejrzeć je osobiście? Został mi jeszcze tydzień wolnego, a już zaczęto przebąkiwać coś o kolejnym moim przeniesieniu. Jeśli nie zwiedzimy Oregonu teraz, nie zrobimy tego nigdy i ostatnie szesnaście miesięcy pozostanie w mej pamięci jako wielka czarna dziura”.

Mary chętnie przystała na tę propozycję (zajęcia w szkole skończyła przed dziesięcioma dniami, a nie wzięła letnich klas, w których musiałaby uczyć). Perspektywa wyprawy w nieznaną budziła w niej miły dreszczyk emocji. Zapomniała, że takie wyprawy robione pod wpływem chwilowego impulsu często kończą się zagubieniem w plątaniu bocznych, lokalnych dróg, po których później błądzi się bez końca pośród głuszy. Tak, z całą pewnością była to przygoda – w każdym razie przy odrobinie dobrych chęci można to było tak nazwać

– ale Mary w styczniu skończyła trzydzieści dwa lata i uważała, że owe trzydzieści dwa lata to trochę za dużo jak na przeżywanie przygód. Obecnie ideałem miłych wakacji był dla niej hotel z czystym basenem, ręcznikami kąpielowymi na łóżkach i z suszarką do włosów w łazience.

A jednak poprzedni dzień udał się im nadzwyczajnie, okolica była tak śliczna, że nawet Clark kilkanaście razy zapadał w niezwykle u niego milczenie. Noc spędzili w uroczej wiejskiej gospodzie, troszeczkę na zachód od Eugene, kochali się nie raz, ale dwa razy (coś, na co Mary zdecydowanie nie była za stara), a rano skierowali się na południe, zamierzając zatrzymać się na noc w Klamath Falls. Ruszyli stanową autostradą 58 w Oregonie i wszystko było w jak najlepszym porządku. Dopiero podczas lunchu w miasteczku o nazwie Oakridge Clark zasugerował, że powinni jednak opuścić główną drogę, która z pewnością będzie zatłoczona samochodami urlopowiczów i ciężarówkami załadowanymi drewnem.

– Cóż, nie wiem... – odparła niepewnie Mary, jak kobieta, której mąż wielokrotnie już składał podobne propozycje i w wielu przypadkach musiała ponosić ich konsekwencje. – Clark, nie chcę, żebyśmy tu zabłądzili. Tak tu pusto. – Popukała kształtnym, wypielęgnowanym paznokciem w zieloną, rozległą plamę na mapie, opatrzoną napisem „Dzicz Boulder Creek”. – Tu jest napisane „dzicz”, a to oznacza brak stacji benzynowych, brak moteli, brak kempingów.

– Och, daj spokój – odparł Clark, odsuwając talerz z resztkami pieczonego kurczaka. Z szafy grającej dobiegały dźwięki piosenki kapeli Steve Earle and the Dukes zatytułowanej *Six Days on the Road*, a za zakurzonym oknem grupka znudzonych dzieciaków wycinała numery na deskorolkach. Dzieciaki najwyraźniej odliczały już czas do chwili, gdy dorosną na tyle, żeby móc na dobre wynieść się z tego miasteczka. Mary doskonale je rozumiała. – Nic złego nam się nie przytrafi, złotko. Pojedziemy pięćdziesiątą ósmą kilkanaście kilometrów na wschód... tam skęcimy w drogę stanową numer czterdzieści dwa... o tu, widzisz.

– Aha.

Widziała również i to, że autostrada 58 zaznaczona była grubą, czerwoną li-

nią, a droga stanowa 42 jedynie wijącą się czarną nitką. Ale wbiła właśnie w siebie potężnego klopa z tłuczonymi ziemniakami i nie miała ochoty na spory z ożywionym pionierskim duchem Clarkiem. Czuła się pełna niczym wąż boa, który właśnie połknął kozła. Marzyła tylko o tym, by rozeprzeć się w fotelu ich ukochanego starego mercedesa i zapaść w rozkoszną drzemkę.

– Później – ciągnął Clark – pojedziemy tędy, o, tą drogą. Nie jest opatrzona numerem, więc musi to być jakiś wiejski trakt, ale prowadzi prościutko do Toketee Falls. Stamtąd mamy już tylko jeden krok do ogólnokrajowej autostrady dziewięćdziesiąt siedem. No... co ty na to?

– Skończy się na tym, że zabłądzimy – mruknęła. – Ale ostatecznie wszystko będzie w porządku tak długo, jak długo będziesz wybierać drogi na tyle szerokie, żebyś mógł w każdej chwili zawrócić Princess.

Tej drobnej złośliwostki gorzko później żałowała.

– Prawdziwa Amerykanka – oświadczył rozpromieniony Clark i znów przysunął do siebie talerz ze stekiem z kurczaka.

Zaczął pochłaniać chłodne już mięso w lekko zakrzepłym sosie.

– Błeee – skrzywiła się Mary i przyłożyła dłoń do ust. – Jak ty możesz coś takiego jeść?

– To jest bardzo dobre – odparł tak niewyraźnie, że mogła go zrozumieć wyłącznie żona. – A poza tym kiedy się podróżuje po kraju, należy jeść miejscowe potrawy.

– Ale ta wygląda tak, jakby ktoś wciągnął do nosa całą garść tabaki, a następnie zwrócił ją na starego hamburgera – odrzekła.

– Powtarzam: błeee.

Oakridge opuścili w wyśmienionych humorach i początkowo wszystko szło gładko jak po maśle. Kłopoty zaczęły się dopiero z chwilą, kiedy skręcili w drogę stanową 42, a następnie w trakt nieoznaczony cyfrą. W mniemaniu Clarka miał on prowadzić prościutko do Toketee Falls. Początkowo nic nie wskazywało na to, że spotkają ich kłopoty. Wiejska droga okazała się lepsza niż droga 42, na której zdarzały się wyboje, a miejscami mimo lata występował szron. Zgodnie dzielili się magnetofonem wmontowanym w tablicę rozdzielczą, na prze-

mian wkładając swoje kasety. Clark był wielbicielem Wilsona Picketta, Ala Gre-
ena i Popa Staplesa. Mary miała całkowicie odmienny gust.

– Co ty widzisz w tych białych gościach? – zapytał Clark, kiedy wsunęła kase-
tę Lou Reeda z przebojem, który lubiła najbardziej: *New York*.

– Przecież mam już męża, prawda? – odparła, pobudzając Clarka do śmiechu.
Pierwszą oznaką nadchodzących kłopotów było rozwidlenie drogi, na które
natknęli się kwadrans później. Oba szlaki wyglądały równie obiecująco.

– Kurza dupa – mruknął Clark, zatrzymując samochód. Sięgnął do schowka
i wyciągnął mapę. Bardzo długo ją studiował.

– Tego tu nie ma.

– Masz ci los! – odparła Mary. Prawie już zapadła w sen, kiedy Clark zatrzy-
mał auto na niespodziewanym rozwidleniu. Była nieco zirytowana. – Chcesz
mojej rady?

– Nie – odrzekł również z irytacją. – Ale sędzę, że posłucham, co masz do po-
wiedzenia. I na wypadek, gdybyś o tym nie wiedziała: nie cierpię, kiedy tak
przewracasz oczami.

– Jak?

– Jakbym był starym psem, który właśnie pierdnął pod stołem, przy którym
jemy kolację. Dobra, mów, co o tym sądzisz. Zwał wszystko na mnie. Twój
ruch.

– Wracajmy, dopóki nie jest za późno. Tak brzmi moja rada.

– Ha-ha. A na najbliższym drogowskazy powinien widnieć napis: SKRUCHA.

– Czy to miało być śmieszne?

– Nie wiem, Mare – odparł posępnie i siedział, przenosząc wzrok z zabrudzo-
nej zabitymi muszkami przedniej szyby na mapę.

Byli małżeństwem od blisko piętnastu lat, więc Mary znała Clarka wystarcza-
jąco dobrze, aby wiedzieć, że będzie się upierał przy dalszej jeździe... nie na
przekór losowi, który doprowadził ich do tego nieoczekiwanego rozjazdu, ale
dlatego właśnie, że mieli przed sobą owo rozwidlenie drogi.

Kiedy w grę wchodzi jego jaja, Clark Willingham nigdy się nie wycofa–po-
myślała i przyłożyła do ust dłoń, żeby ukryć uśmiech.

Nie zrobiła tego wystarczająco szybko. Clark popatrzył na nią, uniósł brew, a Mary nagle naszała niepokojąca refleksja: skoro po wszystkich tych latach potrafi czytać w mężu jak dziecko w elementarzu, to zapewne i ona jest dla niego otwartą księgą.

– O co chodzi? – zapytał trochę zbyt piskliwie. Był to ten właśnie moment, jeszcze zanim zasnęła, co uświadomiła sobie dopiero teraz, kiedy zaczął sznurować usta, przez co stawały się coraz mniejsze. – Chciałaś coś powiedzieć, kochanie?

Potrząsnęła głową.

– Nie, coś mnie zadrapało w gardle.

Skinął głową, przesunął okulary na nieustannie powiększające się czoło i podniósł mapę do oczu tak blisko, że dotykał jej czubkiem nosa.

– Doskonale – odezwał się. – Musimy pojechać tą drogą w lewo, ponieważ kieruje się na południe, w stronę Toketee Falls. Druga biegnie na wschód. To zapewne jakiś szlak prowadzący do farmy lub coś w tym rodzaju.

– Droga do farmy z żółtą linią pośrodku? – wyraziła wątpliwości Mary.

Usta Clarka zmniejszyły się jeszcze bardziej.

– Zdziwiłabyś się, gdybyś wiedziała, jak zamożni są niektórzy farmerzy.

Chciała odpowiedzieć, że czasy skautów i pionierów należą już do przeszłości, oraz to, że nie wchodzi tu w grę mężowskie jądra, ale zdecydowała, że stanowczo woli drzemkę w ciepłe popołudniowe słońca niż sprzeczkę, zwłaszcza po dwóch cudownych miłosnych seansach, jakie stały się ich udziałem minionej nocy. A poza tym zawsze dokądś dojadą.

Ukojona tą myślą, zasłuchana w muzykę Lou Reeda, który śpiewał o ostatnim wielkim amerykańskim wielorybie, Mary Willingham zapadła w sen. Wybrana przez Clarka droga robiła się coraz gorsza, a ona śniła o tym, że znów są w Oakridge, gdzie zatrzymali się na lunch. Próbowwała wsunąć do szafy grającej dwudziestopięciocentówkę, ale otwór na monety był zatkany czymś, co przypominało mięso. Obok niej przechodził z deskorolką pod pachą jeden z bawiących się na parkingu dzieciaków. Na głowie miał odwróconą daszkiem do tyłu czapkę z napisem „Trailblazers”.

„Co jest z tą szafą?” – zapytała go Mary.

Dzieciak zbliżył się, zerknął na szafę i wzruszył ramionami.

„Aha, to nic takiego – odparł. – To tylko ciało jakiegoś chłopaka, które za ciebie i za wielu zostało połamane. Och, nie jesteśmy zacofani; mówimy o kulturze masowej, pierniczku”.

Dzieciak podszedł jeszcze bliżej, uszczypnął ją w czubek prawej piersi – ale nie był to gest przyjacielski – i odszedł. Kiedy znów popatrzyła na grającą szafę, ujrzała, że wypełniona jest krwią, w której unoszą się jakieś mgliste przedmioty do złudzenia przypominające ludzkie organy.

Może powinnam dać spokój tej płycie Lou Reeda – pomyślała, a z jeziora krwi za szkłem, jakby w odpowiedzi na jej myśl, na talerz adapteru spłynęła płyta i Lou zaczął śpiewać *Busload of Faith*.

Mary śniła ów sen, który stawał się coraz bardziej koszmarny, a droga ciągle robiła się coraz gorsza. W końcu szosa przeszła w lichą asfaltówkę. Kasetą z nagraniem płyty Lou Reeda – płytą długogrającą – skończyła się i taśma zaczęła się automatycznie przewijać. Clark nawet tego nie zauważył. Pogoda, jaka malowała się na jego twarzy na początku podróży, zniknęła bez śladu. Usta zmniejszyły mu się do rozmiarów pączka róży. Gdyby Mary nie zasnęła, obstawałaby przy tym, żeby zawrócił. Dobrze o tym wiedział i wiedział, jakim wzrokiem na niego popatrzy, kiedy się obudzi i zobaczy, jak wąska stała się popekana asfaltowa nawierzchnia – nazwać to szosą można było tylko przy najlepszych chęciach – do której z obu stron tak blisko podchodziła ściana sosen, że drogę zalegał gęsty cień. Od chwili opuszczenia stanówki 42 z przeciwka nie pojawił się ani jeden samochód.

Zdawał sobie sprawę, że powinien zawrócić – Mary nie znosiła, kiedy przez własną głupotę wpadał w takie właśnie gówniane tarapaty. Nie była przy tym łaskawa pamiętać, ile to razy nieomylnie wybierał wśród płataniny nieznanych dróg właściwą, wiodącą prosto do celu (Clark Willingham należał do tego miliona Amerykanów, którzy są najświęciej przekonani, że mają w mózгах zainstalowane kompas). Parł zatem z uporem do przodu, najpierw głęboko prze-

świadczony o tym, że muszą w końcu dotrzeć do Toketee Falls, a pod koniec z wątlą jedynie na to nadzieją. A poza tym nigdzie nie mógł znaleźć miejsca, żeby zawrócić. Gdyby spróbował tej sztuczki, zatopiłby tylko Princess do połowy karoserii w jednym z bagnistych rowów, które ciągnęły się po obu stronach tej żalösnej namiastki drogi... a tylko Bóg jeden wie, ile czasu zabrałoby wezwanie samochodu holowniczego i jak daleko musiałyby wędrować, żeby jakiś znaleźć.

W końcu dotarł do miejsca, w którym mógł zawrócić – kolejne rozwidlenie dróg – ale zdecydował się tego nie robić. Powód był prosty: jakkolwiek biegnąca w prawo droga była żwirowa i poryta koleinami z rosnącymi między nimi kępami trawy, szosa skręcająca w lewo znów stawała się szeroka, pokrywał ją doskonale utrzymany asfalt, a środkiem biegł jaskrawy, żółty pas. Zgodnie z kompasem zainstalowanym w głowie Clark zdecydował, że prowadzi ona dokładnie na południe. Czuł już zapach Toketee Falls. Piętnaście kilometrów, może dwadzieścia pięć. Najwyżej trzydzieści.

Ale przynajmniej z czystym sumieniem mógł powiedzieć, że rozważał możliwość powrotu. Kiedy później przyznał się do tego, Mary popatrzyła na niego podejrzliwie, choć była to szczerą prawdą. Postanowił jechać dalej, ponieważ żona zaczynała się wiercić przez sen i wiedział, że gdyby zawrócił i ponownie wjechał na wyboistą drogę, którą tutaj dotarł, wstrząsy pojazdu na pewno by obudziły Mary... a wtedy popatrzyłaby na niego ogromnymi, cudownymi, niebieskimi oczami. Tylko popatrzyła. Ale to by wystarczyło.

Ponadto, dlaczego mieli marnować półtorej godziny na jazdę powrotną, skoro Toketee Falls znajdowało się już w zasięgu ręki? Popatrz tylko na tę szosę – pomyślał. – Czy naprawdę sądzisz, że taka droga może prowadzić donikąd?

Włączył pierwszy bieg i Princess ruszyła biegnącą w lewo szosą. Za pierwszym wzniesieniem zniknęła ciągnąca się środkiem jezdni żółta linia. Za kolejnym asfalt się urywał, ustępując miejsca gruntowemu, zrytemu koleinami i dziurami traktowi, po którego obu stronach jeszcze bliżej niż poprzednio ciągnęła się wysoka ściana gęstego lasu. Clark po raz pierwszy spostrzegł, że słońce zachodzi po niewłaściwej stronie nieba.

Asfalt skończył się tak nagle, że kierowca nie zdążył w porę nacisnąć hamulca i mercedes wjechał na nową nawierzchnię z łoskotem, który obudził Mary. Gwałtownie wyprostowała się w fotelu i rozejrzała się szeroko rozwartymi oczyma.

– Gdzie... – zaczęła i w tej samej chwili, żeby wspaniale i kompletnie zakończyć to popołudnie, matowy głos Lou Reeda zaczął przyśpieszać, aż w końcu piosenkarz wykrzykiwał piskliwie tekst *Good Evening, Mr Waldheim*, jakby utwór wykonywał zespół Alvin and the Chipmunks¹³.

– Och! – wykrzyknęła i nacisnęła guzik odtwarzacza, żeby wyjąć z niego kasetę.

Kaseta wyskoczyła z szufladki, a za nią wstrętne brązowe pępowina – zwój lśniącej taśmy.

Princess wpadła w bezdenną prawie koleinę, przechyliła się mocno najpierw na lewą stronę, a następnie na prawą niczym morski jacht na sztormowej fali.

– Clark?

– Nic nie mów – warknął przez zaciśnięte zęby. – Na pewno nie zabłądziliśmy. Za minutę lub dwie znów w jedziemy na asfalt; prawdopodobnie za tym wzniesieniem. Nie zabłądziliśmy!

Ciągle pod paskudnym wrażeniem snu (choć nie mogła przypomnieć sobie dokładnie, o czym śniła), Mary trzymała żałośnie na kolanach zniszczoną kasetę. Przypuszczała, że można kupić nową... ale nie w tej chwili. Popatrzyła na rosnące po obu stronach traktu drzewa, które jakby nachylały się nad drogą niczym wygłodniały goście nad stołem bankietowym, i pomyślała sobie, że od najbliższego sklepu muzycznego dzieli ich bardzo długa droga.

Zerknęła na Clarka, zakonotowała w myślach jego poczerwieniałe policzki oraz prawie nieistniejące usta i doszła do wniosku, że najlepiej w ogóle się nie odzywać; w każdym razie przez jakiś czas. Jeśli utrzyma język za zębami i nie zacznie prawić mu morałów, Clark najprawdopodobniej odzyska rozum, zanim ta żałosna namiastka szosy urwie się w wielkim rowie lub w ruchomych piaskach.

– Poza tym nie mam tu gdzie zawrócić – odezwał się, jakby czytał w jej my-

ślach i przychyłał się do sugestii żony.

– Widzę – odparła obojętnie.

Popatrzył na nią, może szukając pretekstu do kłótni, może czując tylko zakłopotanie i ciekawość, czy bardzo jest na niego wkurzona, po czym skierował wzrok na przednią szybę. Teraz już drogę bezczelnie wręcz porastała trawa i zielsko, a sam szlak stał się tak wąski, że gdyby z przeciwka nadjechał jakiś samochód, któryś musiałby się cofać. Ale na tym zabawa się nie kończyła. Dwie koleiny, którymi posuwała się Princess, zaczynały budzić coraz większe wątpliwości. Karłowate drzewa jakby rozpychały się, szukając dla siebie najlepszego miejsca na podmokłym gruncie.

Nie widać również słupów wysokiego napięcia ciągnących się wzdłuż drogi – pomyślała Mary. Chciała zwrócić na ten fakt uwagę Clarka, ale doszła do wniosku, że i tym razem rozsądniej będzie poskromić język.

Clark prowadził w milczeniu aż do chwili, kiedy znaleźli się na szczycie wzniesienia i droga zaczęła schodzić w dół. Przed każdym wzniesieniem żywił rozpaczliwą nadzieję, że po drugiej stronie dojrzy w perspektywie asfalt. Ale zarośnięty zielskiem trakt ciągnął się i ciągnął w nieskończoność. Nawet jakby coraz bardziej zatracał się i zwężał, a Clark zaczął przypominać sobie drogi, o jakich czytał w swoich ulubionych powieściach fantasy – w historiach pisanych przez takich autorów jak Terry Brooks, Stephen Donaldson i, oczywiście, J.R.R. Tolkien, duchowy ojciec wszystkich pozostałych. W opowieściach tych bohaterowie (którzy zazwyczaj mieli stopy porośnięte futrem i spiczaste uszy), wbrew ponurej intuicji, zawsze wybierali takie zaniedbane, zapomniane przez Boga i ludzi drogi i zazwyczaj kończyło się to bitwą z trollami, straszidłami lub uzbrojonymi w maczugi kościotrupami.

– Clark...

– Wiem – odparł i nieoczekiwanie uderzył lewą dłonią w kierownicę; krótkie, wyrażające frustrację uderzenie, które sprawiło tylko, że rozległ się dźwięk klaksonu. – Wiem!

Zatrzymał mercedesa, który zajmował już całą szerokość drogi (drogi? – do licha, już określenie dukt było przesadne), włączył jałowy bieg i wysiadł z auta.

Mary, znacznie wolniej, wygramoliła się z drugiej strony samochodu.

Balsamiczne leśne powietrze przesączała boska woń i Mary pomyślała, że cudowna jest ta cisza, niezmacona szumem silników (nie było nawet słychać odległego warkotu jakiegokolwiek przelatującego gdzieś wysoko samolotu) i gwarem ludzkich głosów. ale jednocześnie czai się w niej coś upiornego. Nawet *tii-wit* jakiegoś ptaka, dobiegające z gęstwiny ciemnych świerków, delikatny poświst wiatru i cichy pomruk silnika Princess – wszystko to eksponowało tylko ścianę otaczającej ich ciszy i spokoju.

Przez szerokość srebrzystego dachu Princess popatrzyła na Clarka. W jej wzroku nie było wyrzutu czy gniewu, a jedynie troska i niema prośba: „Zabierz nas stąd, dobrze? Proszę”.

– Kochanie, tak mi przykro – powiedział, ale malujące się w jego twarzy poczucie winy wcale nie uspokoiło Mary.

– Naprawdę.

Chciała coś powiedzieć, lecz za pierwszym razem nie zdołała wykrztusić słowa. Chrząknęła i spróbowała ponownie.

– Clark, co myślisz o tym, żebyśmy wrócili?

Przez kilka chwil rozważał w milczeniu jej pytanie. Ponownie rozległo się *tii-wit*, któremu tym razem odpowiedział dobiegający gdzieś z głębi lasu gwizd innego ptaka. Clark potrząsnął głową.

– Zrobimy to w ostateczności. Od ostatniego rozwidlenia dzieli nas co najmniej pięć kilometrów.

– Chcesz powiedzieć, że było jeszcze jakieś następne?

Skrzywił się lekko, spuścił wzrok i skinął głową.

– Jazda na wstecznym biegu... cóż, sama widzisz, jak wąski jest ten szlak i jak podmokły teren. Jeśli zjedziemy z drogi...

Potrząsnął głową i westchnął.

– A więc jedźmy dalej.

– Myślę, że tak będzie najlepiej. Jeśli droga stanie się kompletnie do bani, to tak, będziemy musieli się cofnąć.

– Ale wtedy będziemy jeszcze dalej, prawda?

Choć tylko tyle udało się jej z siebie wydusić, sądziła, że powiedziała to spokojnym tonem, bez gniewu i pretensji. Niemniej z coraz większym trudem nad sobą panowała. Była wściekła na Clarka, po prostu wściekła, ale równocześnie czuła złość do samej siebie... przede wszystkim za to, że pozwoliła mu doprowadzić do tej sytuacji oraz że tak się z nim pieści.

– Wiem, ale wolę dojechać do jakiegoś szerszego miejsca, gdzie zawrócę, niż przez taki gnój brnąć na wstecznym biegu kilka kilometrów. Naturalnie, jeśli się okaże, że nie ma innego wyjścia... no cóż, wtedy wrócimy tyłem. Pięć minut jazdy, dziesięć odpoczynku i znów pięć minut jazdy... – Uśmiechnął się niepewnie. – To dopiero będzie przygoda!

– O tak, będzie – odparła Mary i pomyślała, że najlepszym określeniem sytuacji, w jakiej się znaleźli, jest nie „przygoda”, ale „ból w dupie”. – Czy jesteś pewien, że nie upierasz się, żeby jechać dalej tylko dlatego, że masz pobożne życzenie zobaczyć Toketee Falls za najbliższym wzniesieniem?

W mgnieniu oka usta prawie całkowicie mu zniknęły i Mary była przygotowana na straszliwy wybuch słusznego męskiego gniewu. Po chwili jednak ramiona męża opadły i tylko w milczeniu potrząsnął głową. Wyglądał o trzydzieści lat starzej, co bardziej ją przeraziło niż to, że utknęli gdzieś na bocznej drodze na kompletnym pustkowiu.

– Nie – powiedział cicho. – Toketee Falls chyba sobie daruję. Podstawowa zasada podróży po Ameryce głosi, że drogi, wzdłuż których nie ciągną się słupy wysokiego napięcia, prowadzą donikąd.

A więc i on już to zauważył.

– W porządku – dodał, wracając do samochodu. – Zrobię wszystko, żeby nas stąd wyciągnąć. I obiecuję, że następnym razem będę się ciebie słuchał.

Gadaj zdrów – pomyślała Mary z mieszaniną rozbawienia i pełnej znużenia złości. – Już to gdzieś słyszałam.

Ale zanim zdążył włączyć pierwszy bieg, położyła mu rękę na ramieniu.

– Wiem, że następnym razem mnie posłuchasz – oświadczyła.

– Ale na razie wyciągnij nas stąd.

– Masz to jak w banku – odrzekł Clark.

– I uważaj.

– To również masz jak w banku.

Przesłał jej wątyły uśmiech, dzięki któremu poczuła się odrobinę lepiej, i włączył pierwszy bieg. Ogromny srebrzysty mercedes, kompletnie nie na miejscu w tym głębokim, dzikim lesie, powoli ruszył w dalszą drogę.

Po pokonaniu kolejnego odcinka drogi – licznik wskazał półtora kilometra – zmieniła się tylko szerokość leśnego duktu, którym mozolnie posuwali się do przodu; droga stała się jeszcze węższa. Mary pomyślała, że parszywe świerki nie wyglądają już na zgłodniałych gości na bankiecie, ale przypominają raczej niezdrowy tłum gapiów na miejscu jakiegoś strasznego wypadku drogowego. Jeśli szlak zwięzi się jeszcze bardziej, gałęzie drzew zaczną tłuc o karoserię. Teren, z którego wyrastały drzewa, przestał być podmokły, a stał się bagnisty. Mary widziała oka stojącej wody oraz unoszące się na powierzchni pyłki kwiatowe i zeschnięte igliwie. Serce biło jej nienaturalnie mocno, dwa razy złapała się na tym, że obgryza paznokcie; nawyk, którego pozbyła się na wiele lat przed ślubem z Clarkiem. Zaczęło do niej docierać, że jeśli teraz gdzieś utkną, z całą pewnością spędzą noc ściśnięci w Princess. A przecież w tych lasach żyły dzikie zwierzęta – słyszała szelest gałęzi, gdy przedzierały się przez gęstwiny. Niektóre sprawiały wrażenie tak wielkich, że mogły to być niedźwiedzie. Na samą myśl o spotkaniu z niedźwiedziem w chwili, kiedy będą stać na drodze i patrzeć, jak mercedes beznadziejnie grzęźnie w błocie, przełknęła ślinę, czując, że w gardle pęcznieje jej coś, co smakiem przypomina kłębek waty.

– Clark, sądzę, że najlepiej będzie, jak damy sobie spokój i spróbujemy wracać. Minęła już trzecia i...

– Popatrz – wskazał palcem przed siebie. – Czy to jakiś znak?

Wyteńczyła wzrok. Przed nimi dukt wznosił się ku grzbietowi porośniętego gęstym lasem wzgórza. W pobliżu wierzchołka widniał jasnyniebieski prostokąt.

– Zgadza się – powiedziała Mary. – To jakiś znak.

– Cudownie! Możesz przeczytać, co jest na nim napisane?

– Ha-ha. SKORO DOTARŁEŚ TAK DALEKO, MUSISZ BYĆ NAPRAWDĘ ZDROWO PIERDOLNIĘTY.

Popatrzył na nią jednocześnie z rozbawieniem i złością.

– Strasznie śmieszne!

– Dzięki, Clark. Staram się, jak mogę.

– No cóż, podjedźmy na ten pagórek, przeczytajmy, co jest napisane na tablicy, i zerknijmy na drugą stronę stoku. Jeśli nie znajdziemy tam niczego zachęcającego, zawracamy. Zgoda?

– Zgoda.

Poklepał ją po nodze i ostrożnie ruszył dalej. Mercedes sunął tak wolno, że słyszeli delikatny szelest zielska rosnącego pośrodku drogi i szorującego o podwozie pojazdu. Mary odczytała słowa na tablicy, ale początkowo nie chciała w nie uwierzyć, myśląc, że wzrok płata jej figle. Było to po prostu zbyt szalone. Ale choć zbliżali się do tablicy, układ liter nie zmieniał się.

– Czy tam naprawdę jest napisane to, co ja widzę? – zapytał Clark.

Oszołomiona Mary parsknęła śmiechem.

– Jasne... ale to chyba czyjś ponury żart. Nie myślisz?

– Nic już nie myślę... myślenie wpędziło nas w kłopoty. Ale dostrzegam coś, co nie jest żartem. Popatrz, Mary!

W odległości jakichś sześciu, dziesięciu metrów za znakiem – tuż przed grzbietem wzniesienia – droga gwałtownie się rozszerzała, pokryta była gładkim asfaltem, pośrodku którego ciągnęła się prościutka, żółta linia. Mary poczuła, że z serca spada jej ogromny gład.

– Czyż to nie cudowne? – zapytał z szerokim uśmiechem Clark.

Równie szeroko uśmiechnięta Mary radośnie i skwapliwie skinęła głową.

Dotarli do znaku i Clark zatrzymał samochód. Ponownie odczytali napis:

Witajcie

w Niebie Rock and Rolla, Oregon.

U NAS ZABAWA NA STO DWA!

PRZEKONACIE SIĘ SAMI!

Liczne agencje towarzyskie

– To jakiś żart – powtórzyła Mary.

– Może nie.

– Miasteczko o nazwie Niebo Rock and Rolla? To jakiś idiotyzm, Clark!

– Dlaczego zaraz idiotyzm? Skoro w Nowym Meksyku jest Prawda Doniosłości, w Nevadzie Suchy Rekin, a w Pensylwanii Stosunki, dlaczegóż w Oregonie nie miałyby być Nieba Rock and Rolla?

Roześmiała się trzpiotowato. Czuła nieprawdopodobną ulgę.

– Naprawdę to sprawdziłeś?

– Co?

– Stosunki w Pensylwanii.

– Nie. Ale Ralph Ginzberg próbował kiedyś wysłać stamtąd czasopismo zatytułowane *Eros*. Dla samego stempla pocztowego. Federalni mu na to nie pozwolili. Przysięgam. Więc kto wie?

Może miasto założyła w latach sześćdziesiątych jakaś komuna hipisów uciekających z miasta na łono natury? Później się ustabilizowali („liczne agencje towarzyskie”), ale oryginalną nazwę zachowali. – Był w siódmym niebie. Uważał to za zabawne i niebywale sympatyczne. – Poza tym nie sądzę, żeby to było istotne. Ważne, że znów trafiliśmy na drogę z prawdziwego zdarzenia. Po czymś takim można jechać.

Skinęła głową.

– Więc jedź... tylko ostrożnie.

– Tego możesz być pewna. – Princess wjechała na gładką nawierzchnię szosy, która nie była pokryta asfaltem, lecz jakimś innym gładkim tworzywem, bez dziur i śladów łączenia.

– Ostrożność jest tutaj ostat...

Wjechali na grzbiet wzniesienia i słowa zamarły mu na ustach. Tak mocno nacisnął pedał hamulca, że przed uderzeniem głowami w przednią szybę uchroniły ich tylko zapięte pasy. Wrzucił jałowy bieg.

– Święci pańscy! – wykrzyknął.

Siedzieli w stojącym mercedesie i z rozdziawionymi ustami spoglądali na rozciągające się w dole miasto.

Wyglądało jak wspaniały klejnot spoczywający w niewielkiej, płytkiej dolinie, niczym w dołku. Zdaniem Mary do złudzenia przypominało rysunki Normana Rockwella¹⁴ lub wizerunki maleńkich miasteczek w wydawnictwie *Currrier & Ives*. Przekonywała sobie, że to tylko czysta geografia: sposób, w jaki droga wiała się przez dolinę, sposób, w jaki miasteczko otaczały gęste zielonoczarne bory – zastępy starych, grubych świerków rosnących gęsto tuż za okalającymi miasteczko polami. Ale było w tym coś więcej niż tylko geografia i podejrzewała, że podobnego zdania jest Clark. Ta zachwycająca równowaga wież kościelnych – jedna po północnej stronie miasteczka, druga po południowej. Ten budynek na wschodzie pomalowany czerwoną farbą, jaką maluje się stodoły, musiał pełnić funkcję szkoły. W innym, wielkim i białym, na zachodzie, z wieżą zegarową i dyskiem anteny satelitarnej, z pewnością musiał mieścić się magistrat. Domy sprawiały wrażenie niewiarygodnie schludnych i przytulnych, rodzaj domostw z przedwojennych reklam zamieszczanych w *The Saturday Evening Post* i *American Mercury*.

Z niektórych kominów powinien lecieć dym – pomyślała Mary. Po bliższej obserwacji rzeczywiście dostrzegła, że z kilku unoszą się siwe pasma. Nieoczekiwanie przypomniała sobie opowiadanie Raya Bradbury’ego z „Kronik marsjańskich”. Nosiło tytuł „Mars jest Niebem”. W historyjce tej Marsjanie tak chytrze zamaskowali rzeźnię, że wyglądała jak rozkoszna, senna wizja rodzinnego domu.

– Zawracaj – odezwała się nagle. – Masz tutaj dosyć miejsca. Tylko zrób to ostrożnie.

Powoli odwrócił w jej stronę twarz, ale Mary nie obchodziła jego mina. Gapił się na nią jak na kogoś niespełna rozumu.

– Kochanie, co z tobą...

– Po prostu nie podoba mi się to wszystko. – Czuła, że zaczynają palić ją policzki, ale na przekór samej sobie mówiła dalej. – Przypomina mi się przerażające opowiadanie, które czytałam, gdy byłam nastolatką... – Urwała. – Poza tym myślę, że jest to tak, jak ów domek z piernika w bajce o Jasiu i Małgosi.

Gapił się na nią takim wzrokiem, jakby chciał powiedzieć: własnym-uszom-

nie-wierzę, i naraz uświadomiła sobie, że Clark zamierza pojechać do tego miasteczka – kolejny skutek działania nieszczęsnego testosteronu, który przede wszystkim kazał mu zjechać z głównej drogi. Jezu Chryste, on zapragnął eksplorować to miasteczko! I naturalnie nabyć jakąś pamiątkę. Mógł to być podkoszulek kupiony w miejscowym sklepie i ozdobiony jakimś stosownym, zgrabnym napisem w stylu: BYŁEM W NIEBIE ROCK AND ROLLA; MAJĄ TU KAPELĘ JAK WSZYSCY DIABLI.

– Kochanie... – odezwał się miękkim, czułym głosem, którego zawsze używał, gdy chciał wprowadzić żonę w dobry nastrój lub obłaskawić.

– Och, przestań. Jeśli naprawdę chcesz sprawić mi przyjemność, zawróć i zawieź mnie z powrotem do autostrady pięćdziesiąt osiem. Jeśli to zrobisz, dzisiejszej nocy dostaniesz więcej cukru. Jeszcze dwa seanse, jeśli tylko będziesz miał ochotę.

Głęboko westchnął, zacisnął dłonie na kierownicy i wbił wzrok przed siebie. W końcu, nie patrząc na Mary, powiedział:

– Popatrz na drugą stronę doliny, Mary. Czy widzisz tam pnącą się na wznie-sienie nitkę szosy?

– Jasne, że widzę.

– Czy widzisz, jak szeroka jest ta szosa? Jak gładka? Jak dobrze utrzymana?

– Clark, trudno mi to...

– Popatrz! Chyba widzę na niej najzwyklejszy pod słońcem autobus. – Wska-zał żółtego żuczka posuwającego się szosą w stronę miasteczka. Jego lśniąca chityna lśniła ostro w promieniach popołudniowego słońca. – Jest to o jeden więcej pojazd, niż widzieliśmy po całej tamtej stronie świata.

– A jednak...

Sięgnął gwałtownie po mapę, która leżała na konsoli między fotelami, i kiedy odwrócił się do Mary, ta uświadomiła sobie z przerażeniem, że jego pogodny, przymilny ton zniknął w jednej chwili. Znaczyło to, że jest na nią straszliwie wkurzony.

– Posłuchaj, Mare, posłuchaj uważnie. Pytać będziesz później. Może dam radę tutaj zawrócić, a może nie... fakt, jest tutaj szerzej, ale nie wiem, czy wy-

starczająco. Poza tym odnoszę wrażenie, że teren jest ciągle podmokły.

– Clark, proszę, nie krzycz. Zaczyna mnie boleć głowa.

Z wyraźnym wysiłkiem zniżył głos, nadając mu spokojniejsze brzmienie.

– Jeśli nawet zawrócimy, to zanim dotrzemy do autostrady pięćdziesiąt osiem, czeka nas dziewiętnaście kilometrów jazdy po tej gównianej drodze, którą tu przyjechaliśmy, i...

– Dziewiętnaście kilometrów to nie tak dużo – odparła, starając się mówić stanowczo, choć wiedziała, że jej wola słabnie.

Czuła za to do siebie złość, ale nic nie mogła na to poradzić. Żywiła paskudne podejrzenia, że w taki właśnie sposób mężczyźni prawie zawsze stawiają na swoim; nie dlatego, że mają rację, ale dlatego, że są tak nieustępliwi. Upierają się przy swoim z takim samym samozaparciem, jakby grali w piłkę. Jeśli na ich drodze stanie kobieta, to zakończy z nimi dyskusję ze spaczoną psychiką i pozwoli ciosać sobie na głowie kołki.

– Masz rację, dziewiętnaście kilometrów to niewiele – przyznał najbardziej miodowym, ale rozsądnym tonem robię-wszystko-żeby-cię-nie-udusić-Mary. – Tylko co powiesz o kolejnych osiemdziesięciu albo i więcej kilometrach, które będziemy zmuszeni przebyć, żeby objechać autostradą cały ten kompleks leśny?

– Clark, mówisz tak, jakby miał nam uciec pociąg!

– Bo mnie to po prostu wkurza; nic więcej. Popatrzyłaś z góry na sympatyczne małe miasteczko o wdzięcznej nazwie i twierdzisz, że przypomina ci film „Piątek trzynastego. Część dwudziesta” albo jakąś inną głupotę. I tylko dlatego chcesz wracać. A tamta droga – wskazał palcem dolinę – wiedzie prosto na południe. Za jakieś pół godziny dotrzemy do Toketee Falls.

– Mniej więcej to samo mówiłeś w Oakridge... tam gdzie zaczynaliśmy ten etap naszej wyprawy pod tytułem Magiczna Tajemnicza Podróż¹⁵.

Dłuższą chwilę mierzył ją wzrokiem, usta miał jak zesnurowane, a następnie sięgnął do drążka biegów.

– Pierdołę, wracamy – warknął. – Ale zapamiętaj sobie, Mary, jeśli napotkamy jakiś samochód jadący z przeciwka, będziemy się znów cofać do Nieba

Rock and Rolla. Tak więc...

Zanim zdążył przesunąć bieg z jałowego na pierwszy, położyła mu dłoń na ramieniu.

– Jedź – powiedziała. – Zapewne to ty masz rację i zapewne to ja zachowuję się niemądrze.

Chyba mi się w głowie coś poprzestawiało – pomyślała.

– Albo się poprzestawiało, albo po prostu nie mam już siły dłużej walczyć.

Cofnęła dłoń, ale Clark chwilę jeszcze zwlekał, nie spuszczając z niej wzroku.

– Czy jesteś pewna, że tego chcesz?

I to było w tym wszystkim najśmieszniejsze. Takiemu mężczyźnie jak Clark samo zwycięstwo nie wystarczało; zgoda musiała wynikać z jej najgłębszego przekonania. W przeszłości wielokrotnie wyrażała takie przekonanie, choć wcale przekonana nie była. Tym razem również nie miała już siły dłużej walczyć.

– Jasne, że nie jestem pewna – odrzekła. – Gdybyś mnie słuchał, a nie wyłącznie złościł się na mnie, wiedziałbyś o tym. To ty zapewne masz rację i to ja zapewne zachowuję się niemądrze. Przyznaję, że twoje podejście do sprawy jest rozsądniejsze od mojego, więc ci się podporządkuję; ale to w niczym nie zmienia tego, co czuję w głębi serca. Tak więc wybac mi, że tym razem nie ubiorę się jak girlaska i nie popchnę cię do czynu okrzykiem: „Jedź, Clark! Jedź!”.

– Jezu! – sapnął Clark, a na jego twarzy pojawiło się niezdecydowanie, co sprawiło, że wyglądał jak nie on, jak typ, którego nie znosiła, jak chłopaczek. – Ale masz humorek, kwiatuszku.

– A żebyś wiedział, że mam – odparła buńczucznie z nadzieją, że nie dostrzegł, jak to szczególne pieszczotliwe określenie zgrzytliwie zabrzmiało w jej uszach.

Miała ostatecznie trzydzieści dwa lata, a on prawie czterdzieści jeden. Była trochę za stara, aby zostać czymś kwiatuszkiem, a Clark również trochę za stary, aby potrzebować kwiatuszków.

Szybko jednak niepokój zniknął z jego twarzy i wrócił tamten Clark, jakiego lubiła i z jakim zamierzała spędzić drugą połowę życia.

– A jednak byłoby ci bardzo do twarzy w stroju girlaski – oświadczył, mie-

rząc wzrokiem jej smukłe uda. – Naprawdę.

– Jesteś głupi, Clark – odparła i wbrew samej sobie roześmiała się.

– I o to właśnie chodziło, proszę pani – powiedział i wrzucił pierwszy bieg.

Miasteczko nie miało peryferii, jeśli nie liczyć kilku pól. Jeszcze przed chwilą jechali mroczną, zacienioną gałęziami przecinką i nagle znaleźli się wśród złocistych pól. Jeszcze chwila i oto mijali już pierwsze schludne, maleńkie domki.

Choć w miasteczku panowała grobowa cisza, bynajmniej nie było wymarłe. Na pięciu czy sześciu krzyżujących się uliczkach, które tworzyły centrum miasta, leniwie poruszało się kilka samochodów, a na chodnikach widać było nielicznych przechodniów. Clark uniósł dłoń i pozdrowił rozebranego do pasa, brzuchatego mężczyznę, który polewał z ogrodniczego szlauchu trawnik przed domem, popijając przy tym z puszki piwo Olympia. Brzuchacz miał bujne włosy spadające aż na ramiona. Popatrzył w ich stronę, ale nie oddał pozdrowienia.

Main Street rzeczywiście miała w sobie coś z klimatu obrazów Normana Rockwella, ale tutaj atmosfera ta była już tak intensywna, że odnosiło się wręcz wrażenie *déjà vu*. Chodniki ocieniały dorodne, olbrzymie dęby, które w jakiś osobliwy sposób bardzo do tego miejsca pasowały. Człowiek nie musiał zachodzić do jedyne go lokalu w mieście, żeby wiedzieć, że nosi nazwę Gospoda pod Kroplą Rosy, a nad barem wisi tam podświetlany zegar z reklamą budweisera. Na parkingach stały zaparkowane ukośnie samochody; pod szyldem z napisem „Ostra brzytwa” umieszczono słupek fryzjerski, jak wszędzie w całych Stanach pomalowany spiralnie w czerwone, białe i niebieskie pasy; nad drzwiami miejscowej apteki, noszącej nazwę Muzykalny Pigularz, wisiał moździerz i tłuczek. Sklep ze zwierzętami nazywał się Biały Królik, a w jego witrynie widniał napis: NA SPRZEDAŻ: KOTY SYJAMSKIE. Wszystko tu było tak na swoim miejscu, że aż się zesrać.

Najbardziej na miejscu była miejscowa muszla koncertowa postawiona w centrum miasta. Nad estradą, na grubym drucie, wisiała tablica, którą Mary zdołała odczytać, mimo że dzieliło ich od niej dobrych sto metrów: DZIŚ WIE-

CZOREM KONCERT.

Mary uświadomiła sobie naraz, że przecież zna to miasteczko – wielokrotnie je widziała w nocnej telewizji. Nieważna piekielna wizja Marsa Raya Bradbury’ego ani cukrowy domek z „Jasia i Małgosi”. To miejsce do złudzenia przypominało Dziwaczne Maleńkie Miasteczko, do którego przypadkowo trafiają ludzie w różnych epizodach „Strefy mroku”.

Pochyliła się w stronę męża i powiedziała niskim, złowieszczym głosem:

– Clark, podróżujemy przez wymiar umysłu, a nie obrazów i dźwięków. Popatrz!

Nie wskazała niczego konkretnego, ale stojąca przed salonem Western Auto kobieta zauważyła jej gest i przesłała Mary krzywe, nieufne spojrzenie.

– Na co mam popatrzeć? – zapytał.

W jego głosie znów zabrzmiała irytacja, ale Mary podejrzewała, że brała się stąd, że tym razem on również dobrze wiedział, o co jej chodzi.

– Clark! – prawie wrzasnęła. – Co ty wyprawiasz?

Wskazał palcem na budyneczek z nieco dziwacznym napisem:

The Rock-a-Boogie Restaurant.

– Chce mi się pić. Zamierzam tam wstąpić i kupić na wynos wielką butlę pepsi. Nie musisz ze mną wchodzić. Możesz zostać w samochodzie. Nawet zablokuj zamek, jeśli chcesz.

Powiedziawszy to, otworzył drzwi. Zanim zdążył wysunąć z auta nogi, Mary chwyciła go za ramię.

– Clark, proszę, nie rób tego.

Odwrócił się w jej stronę, a ona w jednej chwili pojęła, że nie powinna nic mówić o „Strefie mroku”; nie dlatego, że była to bzdura. Przeciwnie, dlatego, że była to prawda. Znów wylazł z niego *macho*. Nie zatrzymał się tutaj z powodu pragnienia; zatrzymał się, ponieważ to małe, upiorne miasteczko i jego wystraszyło. Może trochę, może bardzo, tego nie wiedziała, ale wiedziała, że Clark nie ma zamiaru stąd wyjechać, dopóki siebie nie przekona, że się nie boi; nie boi się nic a nic.

– Za chwilę wrócę. Chcesz piwa imbirowego albo czegoś w tym rodzaju?

Rozpięła pas bezpieczeństwa.

– Jedyłą rzeczą, jakiej chcę, to nie zostawać tu sama.

Przesłał jej pobłażliwe spojrzenie mówiące: wiedziałem-że-pójdiesz, które sprawiło, że nagle nabrała ochoty solidnie i boleśnie wytargać go za włosy.

– A przede wszystkim chcę dać ci solidnego kopa w dupę za to, żeś doprowadził do tej sytuacji – zakończyła i z zadowoleniem stwierdziła, że na jego twarzy miejsce pobłażliwości zajęło pełne urazy zdumienie. Otworzyła drzwi. – No, chodź. Należemy przy najbliższym hydrancie, Clark, a później się stąd wynosimy.

– Należemy...? Mary, co ty wygadujesz?

– Przecież chciałeś napić się pepsi! – prawie wrzasnęła, zdumiona tempem, w jakim cudowna wyprawa z uroczym mężczyzną zamieniła się w pasmo koszmaru.

Zerknęła na drugą stronę ulicy, gdzie dostrzegła dwóch długowłosych młodzieńców. Pili piwo Olly i obserwowali przybyszów. Jeden z nich nosił na głowie zniszczony cylinder. Za wstążkę włożył plastikową stokrotkę, która chwiała się w podmuchach wiatru. Jego kompan miał całe ramiona pokryte jasnoniebieskim tatuażem. Na Mary sprawili wrażenie typków, którzy już trzeci raz powtarzają dziesiątą klasę, ponieważ nieustannie medytują o tym, jak wsiąść do samochodu, dać gaz do dechy, a później pieprzyć się z dziewczynami na tylnym siedzeniu.

Odniosła dziwaczne wrażenie, że skądś ich zna.

Kiedy spostrzegli, że Mary ich obserwuje, Cylinder uniósł rękę, po czym zakreślił palcami młynka. Mary pośpiesznie odwróciła głowę i popatrzyła na Clarka.

– Kupujmy te napoje i wynośmy się stąd do wszystkich diabłów – mruknęła.

– Jasne. I nie musisz na mnie krzyczeć, Mary. Chodzi o to, że to ja miałem rację i...

– Clark, czy widzisz tych dwóch typków po drugiej stronie ulicy?

– Jakich znów dwóch typków?

Odwróciła się w tamtą stronę, ale Cylinder i Tatuaż znikali już w zakładzie

fryzjerskim. Tatuaż zerknął jeszcze przez ramię i Mary nie była pewna, ale wydawało jej się, że puścił do niej perskie oko.

– Wchodzą właśnie do fryzjera. Widzisz?

Clark popatrzył we wskazanym kierunku, ale ujrzał tylko zamykające się drzwi i rażący, jaskrawy refleks promieni słonecznych w szkle.

– O co ci chodzi?

– Wydali mi się znajomi.

– Tak?

– Tak. Ale trudno mi uwierzyć, aby jacyś moi znajomi przeprowadzili się do Nieba Rock and Rolla w stanie Oregon i przyjęli cieszącą się wysokim prestiżem społecznym, dobrze płatną posadę wystających na rogu ulicy łobuzów.

Clark roześmiał się i wziął ją pod rękę.

– Chodźmy – powiedział i poprowadził żonę w kierunku The Rock-a-Boogie Restaurant.

The Rock-a-Boogie w dużym stopniu uśmierzyło nurtujący Mary lęk. Spodziewała się tłustych łyżeczek, jak w ciemnej (i raczej brudnej) restauracyjce w Oakridge, gdzie zatrzymali się na lunch. Po przekroczeniu progu znaleźli się w rozjaśnionym słońcem lokaliku urządzonym w smętnym, nostalgicznym stylu lat pięćdziesiątych. Ściany wyłożone niebieskimi kafelkami, chromowane pojemniki na ciasto, czyściutka, żółta dębowa posadzka, pod sufitem leniwie obracające się drewniane wiatraki. Tarczę ściennego zegara otaczały czerwone i niebieskie szklane rurki neonu. Dwie kelnerki stojące obok wykonanych z nierdzewnej stali wahadłowych drzwi dzielących restaurację od kuchni miały na sobie stroje ze sztucznego jedwabiu w kolorze akwamaryny, które kojarzyły się Mary z kostiumami z *American Graffiti*. Jedna z nich była młoda – miała nie więcej niż dwadzieścia lat; zapewne mniej – i była na swój anemiczny sposób piękna. Druga, przysadzista, o kędzierzawych, rudych włosach miała bezczelne spojrzenie, w pojęciu Mary zarówno szorstkie jak desperackie... i było w niej coś jeszcze. Po raz drugi w ciągu kilku minut odniosła wrażenie, że zna kolejną mieszkającą w tym miasteczku osobę.

Kiedy Clark i Mary otworzyli drzwi, rozległ się dźwięk zawieszzonego nad framugą dzwoneczka. Kelnerki popatrzyły w ich stronę.

– Cześć – przywitała ich młodsza. – Zaraz do państwa podejść.

– Phi, mogą trochę poczekać – wtrąciła rudowłosa.

– Jesteśmy okropnie zajęte. Widzicie?

Szerokim gestem wskazała salę tak wymarłą, jak tylko może być wymarła restauracja w małym miasteczku po południu, dokładnie między porą lunchu a kolacji, i roześmiała się ze swego żartu. Podobnie jak głos, śmiech miała ochryply, szorstki, kojarzący się z whisky i z papierosami. Znam ten głos – pomyślała Mary.

– Mogę przysiąc.

Popatrzyła na Clarka. Jak zahipnotyzowany gapił się na kelnerki, które podjęły przerwana wejściem gości pogawędkę. Szarpnęła go za rękaw, żeby odwrócić od nich jego uwagę, a następnie drugi raz, kiedy skierował się do stolików zgrupowanych po lewej stronie sali. Chciała usiąść przy barze. Chciała zamówić napoje i plastikowe kubeczki na wynos, po czym natychmiast wracać do samochodu.

– O co ci chodzi? – zapytała szeptem.

– O nic.

– Wyglądasz tak, jakbyś połknął własny język.

– Przez chwilę faktycznie o mało się nim nie udławiłem – odparł, ale zanim zdążyła poprosić o wyjaśnienie, Clark ruszył w stronę szafy grającej.

Mary zajęła miejsce przy barze.

– Zaraz do pani podejść – powtórzyła młodsza kelnerka i nachyliła się, żeby posłuchać, co do niej mówi koleżanka o przepitym głosie.

Obserwując jej twarz, Mary doszła do wniosku, że młodziutką kelnerkę niezbyt interesuje, co ma do zakomunikowania starsza.

– Mary, ta szafa jest fantastyczna! – odezwał się z zachwytem Clark. – Wszystkie płyty z lat pięćdziesiątych! The Moonglows. The Five Satins. Shep and the Limelites. La Vern Baker! Chryyyste, La Vern Baker śpiewa *Tweedle-Dee!* Ostatni raz słyszałem to, jak byłem chłopakiem!

– Zaoszczędź sobie czasu i pieniędzy. Bierzemy napoje i wynosimy się!

– Dobrze, dobrze.

Obrzucił szafę Rock-Ola ostatnim, tęsknym spojrzeniem, parsknął ze złością i dołączył do siedzącej przy barze Mary. Ta zdjęła spis dań ze stojącego obok pojemniczków na sól i pieprz stojaczka głównie po to, żeby nie patrzeć na pionową zmarszczkę, jaka pojawiła się Clarkowi między brwiami i na jego wydetą kapryśnie dolną wargę. Popatrzył tylko – zdawał się mówić (odkryła, że to jeden z najbardziej kontrowersyjnych skutków długoletniego małżeństwa). – To ja prowadziłem samochód przez głuszę, a ty w tym czasie spałaś, polowałaś na bizona i toczyłaś potyczki z Indiancami; to ja dowiozłem cię bezpiecznie całą i zdrową do tej sztywnej, maleńkiej oazy pośród głuszy i jakich doczekałem się podziękowań? Nie pozwoliłaś mi nawet puścić w szafie grającej *Tweedle-Dee!*

Nie przejmuj się – pomyślała. – Zaraz nas tu nie będzie, więc się nie przejmuj.

Dobra rada. Skupiła uwagę na jadłospisie. Idealnie pasował do uniformów ze sztucznego jedwabiu, neonowego zegara, szafy grającej i do wystroju wnętrza (który, choć tak świetnie unowocześniony, spokojnie było można nazwać Powrotem Do Lat Pięćdziesiątych). Hot dog nie był hot dogiem, ale Hound Dogiem. Cheeseburger był Chubby Checkerem, a podwójny cheeseburge – Big Bopperem. Specjalność zakładu stanowiła pizza ze wszystkim; jadłospis obiecywał: „Ze wszystkim, z wyjątkiem Sama Cookiego”¹⁶.

– Miłe – powiedziała Mary. – Ble-ble-ble i tak dalej.

– Słucham? – zapytał Clark, ale Mary potrząsnęła tylko głową.

Podeszła do nich młoda kelnerka i wyciągnęła z kieszeni fartuszka notes. Uśmiechnęła się, lecz Mary dostrzegła, że jest to uśmiech czysto służbowy; dziewczyna sprawiała wrażenie zmęczonej i chorej. Na górnej wardze miała „skwarę”, a lekko przekrwionymi oczyma nieustannie wodziła po sali. Spoglądała na wszystko oprócz klientów.

– Czym mogę służyć?

Clark chciał wziąć od Mary jadłospis, ale ona cofnęła dłoń i powiedziała:

– Poprosimy dużą pepsi i duże piwo imbirowe. Na wynos.

– Powinniście spróbować placka wiśniowego! – zawołała z drugiego końca sali schrypniętym głosem rudowłosa. Młoda kelnerka drgnęła na dźwięk tego głosu. – Rick przed chwilą go upiekł! Jak zjecie, pomyślicie, że umarliście i jesteście w niebie!

– Przesłała im uśmiech i wzięła się pod boki. – No cóż, w końcu jesteście w Niebie; wiecie, o co mi chodzi.

– Dziękujemy – odparła Mary – ale bardzo się śpieszymy, więc...

– Jasne, dlaczego nie? – przerwał zamyślonym, nieobecny głosem Clark. – Poprosimy dwie porcje tego placka.

Mary kopnęła go w kostkę – bardzo mocno – ale Clark nawet nie zwrócił na to uwagi. Znów gapił się na rudowłosą jak sroka w gnat. Tym razem z rozdziawionymi ustami. Starsza kelnerka była świadoma wlepionego w siebie wzroku, ale widocznie wcale jej to nie przeszkadzało. Uniosła rękę i wzburzyła swą nieprawdopodobną czuprynę.

– Napoje na wynos, placek na miejscu – upewniła się młoda.

Obdarzyła ich kolejnym nerwowym uśmiechem, a jej niespokojny wzrok wędrował po zaręczynowym pierścionku Mary, po cukiernicy, zerknęła na jeden z drewnianych wiatraków pod sufitem. – Czy życzyście sobie państwo ciasto *A la mode*?

Pochyliła się, kładąc na barze dwie serwetki i dwa widelczyki.

– T... – zaczął Clark, ale Mary szybko i zdecydowanie powiedziała:

– Nie, dziękujemy.

Chromowany pojemnik z ciastem stał po odległej stronie baru. Kiedy tylko kelnerka oddaliła się w jego stronę, Mary pochyliła się do męża i wysyczała mu w ucho:

– Dlaczego mi to robisz, Clark? Wiesz, że chcę się wynieść stąd jak najprędzej!

– Ta kelnerka. Ta ruda. Czy ona...

– Przestań tak się na nią gapić! – szepnęła ogarnięta nagłą furią Mary. – Zachowujesz się jak chłopak, który próbuje zajrzeć koleżance w klasie pod sukien-

kę!

Odwrócił głowę... ale z najwyższym wysiłkiem.

– Albo ona jest żywym odbiciem Janis Joplin, albo ja zwariowałem.

Zaskoczona Mary popatrzyła na rudowłosą. Kelnerka była akurat częściowo odwrócona, bo przez metalowe drzwi prowadzące do kuchni rozmawiała z kucharzem, ale Mary widziała co najmniej dwie trzecie jej twarzy i to wystarczyło. Niemal słyszała lekki trzask w głowie, kiedy na twarz rudowłosej kelnerki nałożyła się ta zapamiętana z okładek płyt, które Mary wciąż jeszcze przechowywała – z winylowych albumów pochodzących z czasów, kiedy nie wymyślono jeszcze walkmanów Sony, a pomysł płyty kompaktowej był rodem z science fiction; z albumów zapakowanych obecnie w kartonowe pudło zabrane z sąsiedniego sklepu monopolowego i trzymany na zakurczonym strychu. Albumy z tytułami: *Big Brother and the Holding Company*, *Cheap Thrills* i *Pearl*. I twarz Janis Joplin – słodka, miła twarzyczka, która zbyt szybko się zestarzała, stwardniała i opuchła. Clark miał rację. Twarz tej kobiety stanowiła żywe odbicie twarzy z okładek tamtych starych albumów.

Ale nie o samą twarz chodziło. Na tę myśl Mary poczuła w piersi mrowienie, od którego prawie zamarło jej serce.

Głos. Chodziło o głos.

Przypomniała sobie przeszywające, wibrujące zawrodożenie Janis na początku *Piece of My Heart*. Nałożyła ów niski, przepity krzyk na przepojony marlboro i whisky głos rudowłosej, tak samo jak nałożyła jedną twarz na drugą, i wiedziała już, że gdyby kelnerka zaśpiewała, jej głos byłby identyczny z głosem zmarłej dziewczyny z Teksasu.

Bo ona jest tą zmarłą dziewczyną z Teksasu – pomyślała.

– Gratulacje, Mary. Musiałaś czekać do trzydziestego drugiego roku życia, ale ostatecznie wyszłaś na swoje. Zobaczyłaś wreszcie pierwszego ducha.

Próbowała rozprawić się z tym pomysłem, próbowała przekonać samą siebie, iż to zbieg okoliczności, a przede wszystkim stres spowodowany zgubieniem drogi sprawił, że zbyt dużą wagę przywiązała do fizycznego podobieństwa. Ale wszystkie racjonalne tłumaczenia zjawiska nie zdały się na nic. Była absolutnie

pewna, że ujrzała ducha.

W jej ciele zaszła dziwna zmiana, gwałtowna jak zmiana pogody na oceanie. Serce zaczęło jej bić jak oszalałe, zmieniając się w ułamku sekundy w olimpijskiego sprintera wyskakującego jak burza z bloków startowych, potężne uderzenie adrenaliny ścisnęło żołądek, poczuła, że przepona pali ją jak po solidnym hańście brandy. Spod pach pot ściekał strumykami, wystąpił kroplami na skronie. Najbardziej zdumiewający był sposób, w jaki otaczający ją świat nabrał nagle osobliwych barw sprawiających, że wszystko – neon wokół tarczy zegara, wahadłowe drzwiczki z nierdzewnej stali prowadzące do kuchni, feeria kolorów na konsolce szafy grającej – wszystko to stało się nierealne, a zarazem aż nazbyt realne. Docierał do niej szelest, z jakim wentylatory pod sufitem miały powietrze – niski, rytmiczny dźwięk, jakby ktoś dłonią gładził jedwab – zapach pieczonego mięsa na niewidocznym, pracującym w sąsiednim pomieszczeniu grillu. Jednocześnie poczuła, że traci równowagę i za chwilę osunie się nieprzytomna z barowego stołka na podłogę.

Weź się w garść, kobieto! – powiedziała rozpaczliwie do siebie. – Ogarnęła cię panika, to wszystko; żadnych duchów, żadnych skrzatów ani demonów. To tylko stary, dobry napad paniki, jaka już nieraz w życiu cię ogarnęła: egzamin dyplomowy na wyższej uczelni, pierwszy dzień pracy w szkole, pierwsze spotkanie z komitetem rodzicielskim. Dobrze znasz to uczucie i umiesz sobie z nim radzić. Nikt nie zamierza tu mdleć; po prostu weź się w garść, słyszysz?

Skrzyżowała w tenisówkach palce u nóg i zacisnęła je najmocniej, jak potrafiła, skupiając na tym wysiłku całą uwagę, próbując wrócić do rzeczywistości, uciec jak najdalej od tego oślepiająco jaskrawego miejsca, które stanowiło przedsięwzięcie do utraty świadomości.

– Kochanie? – dobiegł ją z bardzo daleka głos Clarka.

– Dobrze się czujesz?

– Tak, nic mi nie jest.

Jej głos również docierał z bardzo daleka... ale wiedziała, że gdyby odezwała się piętnaście sekund wcześniej, płynąłby z jeszcze większej dali.

Ciągle zaciskając skrzyżowane palce u nóg, sięgnęła po serwetkę, którą kel-

nerka położyła na barze, chciała poczuć w palcach jej fakturę – to kolejny sposób odzyskania łączności ze światem i odegnania panicznego, irracjonalnego (czy było irracjonalne? jasne, że było) uczucia, jakie ogarnęło ją z taką mocą. Uniosła do oczu serwetkę, chcąc otrzeć pot z czoła, i wtedy ujrzała, że na odwrotnej stronie napisane jest coś niewyraźnie ołówkiem, który poszarpał delikatną bibułkę. Mary przeczytała przesłanie wypisane drukowanymi, koślawymi literami:

UCIEKAJCIE STĄD, PÓKI MOŻECIE.

– Mare, co ci jest?

Pojawiła się kelnerka z opryszczką na górnej wardze i z rozbieganymi oczami pełnymi strachu. Przyniosła ciasto. Mary opuściła serwetkę na kolana.

– Nic – odparła spokojnie. Kiedy kelnerka stawiała przed nimi talerzyki, Mary napotkała jej wzrok.

– Dziękuję – powiedziała.

– Nikomu o tym nie mów – wymamrotała dziewczyna, patrząc przez chwilę Mary prosto w oczy, po czym znów zaczęła błędzić wzrokiem po całej sali.

– Widzę, że zmieniłaś zdanie co do ciasta – odezwał się Clark doprowadzającym wprost do furii, pobłażliwym tonem Clark-wie-najlepiej.

Kobiety! – mówił ten ton. – Na Boga, czyż nie są czymś szczególnym? Czasami samo przyprowadzenie ich do lokalu to mało – trzeba jeszcze zmuszać je do tego, żeby patrzyły pod nogi i dobrze rozglądały się wokół siebie. No właśnie, nie jest łatwo być mężczyzną, ale znoszę to z największą godnością, na jaką mnie stać.

– Wygląda apetycznie – powiedziała, rozkoszując się samym brzmieniem swego głosu.

Przesłała Clarkowi promienny uśmiech, świadoma tego, że rudowłosa wyglądająca jak Janis Joplin nie spuszcza z nich wzroku.

– Nie mogę się nadziwić, jak ona przypomina... – zaczął Clark, ale tym razem Mary, nie podnosząc oczu znad ciasta, kopnęła go z całych sił w kostkę.

Drgnął z bólu, wciągnął ze świstem powietrze, oczy zrobiły mu się okrągłe jak spodki, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Mary wsunęła mu w dłoń

serwetkę z przesłaniem.

Pochylił głowę. Spojrzał na papier, a Mary modliła się w duchu – naprawdę, naprawdę zanosila żarliwe modły; chyba po raz pierwszy od dwudziestu lat. – Proszę, Boże, niech nie potraktuje tego jako żart. Niech nie weźmie tego za żart, ponieważ ta kobieta wcale nie wygląda jak Janis Joplin. Ona jest Janis Joplin, i mam straszliwe przeczucia co do tego miasta, naprawdę straszliwe przeczucia.

Podniósł głowę i serce w niej zamarło. Jego twarz wyrażała jedynie zmieszanie i wściekłość. Nic więcej. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć... otwierał je szerzej, coraz szerzej, jakby puściły stawy trzymające żuchwę.

Mary powędrowała wzrokiem za jego spojrzeniem. Z kuchni wyszedł kucharz ubrany w nieskazitelną biel, z małą papierową czapczką przekrzywioną na jedno oko. Oparł się o pokrytą kafelkami ścianę, założył ręce na piersi, po czym zaczął rozmawiać z rudowłosą kelnerką, młoda natomiast stała obok, spoglądając na nich ze strachem i znudzeniem.

Jeśli szybko nie rzuci tej pracy, pozostanie tylko znudzenie – stwierdziła w duchu Mary. – A może apatia.

Kucharz był nieprzyzwoicie przystojny – tak przystojny, że Mary nie była w stanie określić jego wieku. Liczył sobie zapewne jakieś trzydzieści pięć, czterdzieści pięć lat; ale tylko tyle potrafiła powiedzieć. Jego twarz, podobnie jak twarz rudowłosej, wydała jej się znajoma. Rzucił na nich spojrzenie swych szeroko rozstawionych, niebieskich oczu obramowanych wspaniałymi, grubymi rzęsami. Uśmiechnął się przelotnie i znów skierował uwagę na rudą. Powiedział coś, na co kelnerka wybuchnęła gromkim, przypominającym krakanie śmiechem.

– Wielki Boże, przecież to Rick Nelson! – szepnął Clark.

– To nie może być, to niemożliwe. Przecież zginął w wypadku lotniczym sześć czy siedem lat temu. Ale to on.

Mary chciała powiedzieć, że z całą pewnością się myli, była gotowa uznać cały pomysł za śmieszny, mimo że sama uwierzyła w to, że rudowłosa kelnerka jest nikim innym jak zmarłą przed laty bluesową piosenkarką Janis Joplin. Ale

zanim zdążyła otworzyć usta, znów pod czaszką rozległ się znajomy trzask – znów dostrzegła podobieństwo. Clark rozpoznał tę twarz szybciej niż ona, ponieważ był o dziewięć lat starszy i słuchał radia oraz oglądał *American Bandstand* w czasach, kiedy Rick Nelson był Ricky Nelsonem, a jego piosenki *Be-Bop Baby* i *Lonesome Town* stały się szlagierami. Clark znał je nie tylko z płyt ze złotymi starociami, które do dzisiaj trzymają posiwiata już ówczesne nastolatki. Clark dostrzegł go pierwszy, ale teraz, kiedy i jej go pokazał, nie mogła udawać, że tego nie widzi.

A co powiedziała rudowłosa kelnerka? „Powinniście spróbować placka wiśniowego! Rick przed chwilą go upiekł!”.

I oto teraz, w odległości niecałych sześciu metrów od niej śmiertelna ofiara katastrofy lotniczej opowiada dowcipy – zapewne świńskie, sądząc po wyrazie twarzy zarówno jego jak kelnerki – nieszczęsnej ofierze przedawkowania narkotyków.

Rudowłosa odchyliła głowę i ponownie ryknęła chrapliwym śmiechem. Kucharz uśmiechnął się, w policzkach pojawiły mu się urocze dołki. A młodsza kelnerka, ta ze „skwarą” i nawiedzonymi oczami, popatrzyła na Clarka i Mary, jakby pytała: „Czy patrzycie na to? Czy to widzicie?”.

Clark ciągle gapił się na kuchcika i kelnerkę z pełnym oszołomienia zdumieniem. Twarz miał rozciągniętą i zapadniętą jak w gabinecie luster.

Zorientują się, jeśli już się nie zorientowali – pomyślała Mary – i stracimy szansę ucieczki z tego koszmaru. Musisz przejąć pełną kontrolę nad sytuacją, kurczaczku, i to szybko. Pytanie tylko jak?

Ujęła dłoń męża i chciała ją uścisnąć, ale zdecydowała, że to za mało, żeby przestał mieć tak baranią minę. Sięgnęła zatem niżej i ścisnęła go za jądra... tak mocno, jak tylko się odważyła. Clark podskoczył, jakby ktoś poraził go laserem i gwałtownie odwrócił się w jej stronę, o mało nie spadając z barowego stołka.

– Zostawiłam w samochodzie portfel – powiedziała. W jej własnych uszach słowa zabrzmiały zbyt głośno i zbyt piskliwie.

– Mógłbyś mi go przynieść, Clark?

Patrzyła na niego, na ustach igrał jej uśmiech, oczy w skupieniu wlepiła

w jego źrenice... Czytała gdzieś, zapewne w jakimś babskim czasopiśmie, gdy siedziała u fryzjerki, że kiedy żyje się z jednym mężczyzną przez dziesięć czy dwadzieścia lat, między partnerami zawiązuje się rodzaj telepatycznej więzi. Wiąż taka, informował artykuł, może być bardzo przydatna, gdy mężulek pojawia się nieoczekiwanie w domu na kolację w towarzystwie szefa, nie uprzedziwszy żony o tym fakcie, albo gdy chce się, żeby przyniósł ze sklepu monopolowego butelkę amaretto lub z supermarketu masło kakaowe. W tej chwili starała się – starała ze wszystkich sił – przesłać mu znacznie ważniejszą wiadomość.

Clark, idź. Proszę, idź. Daję ci dziesięć sekund, a potem sama przybiegnę. Jeśli nie będziesz już siedział za kierownicą i nie będziesz miał kluczyka w stacyjce, podejrzewam, że spadną na nas tutaj poważne kłopoty.

A jednocześnie druga Mary, głębiej skryta w jej umyśle mówiła: To tylko sen, prawda? Chyba tak... tak, prawda?

Clark spoglądał na nią z uwagą, oczy łzawiły mu od uścisku, jakim obdarzyła go żona... ale ostatecznie nie poskarżył się słowem. Powędrował wzrokiem w stronę rudowłosej i kucharza, zobaczył, że oboje zajęci są bez reszty rozmową (teraz ona opowiadała jakiś żarcik) i znów popatrzył na Mary.

– Mógł mi spaść pod fotel – dodała znów zbyt głośno i zbyt piskliwie, zanim Clark zdążył cokolwiek odpowiedzieć. – Wiesz, ten czerwony.

Po krótkiej chwili milczenia, która wydawała się ciągnąć w nieskończoność, skinął głową.

– W porządku – odparł, a ona błogosławiła go w duchu za spokojny ton. – Tylko mi przez ten czas nie zjedz placka.

– Więc wróć, zanim skończę swój, a wszystko będzie w porządku – odparła, nabiła na widelec kawałek ciasta i włożyła go do ust.

Jej zdaniem ciasto w ogóle nie miało smaku, ale uśmiechnęła się. Na jej twarzy wykwitł promienny uśmiech Miss New York Apple Queen¹⁷, którą niegdyś była.

Clark zaczął podnosić się ze stołka, kiedy gdzieś z zewnątrz dobiegła seria puszczonej przez wzmacniacz dźwięków gitarowych – nie akordów, ale pu-

stych strun. Clark drgnął, a Mary chwyciła go za ramię. Serce, które wróciło już do normalnego rytmu, znów zaczęło jej walić jak oszalałe.

Rudowłosa i kucharz – a nawet młodsza kelnerka, która, łaska boska, nie przypominała nikogo sławnego – odruchowo spojrzeli w wielkie panoramiczne okno The Rock-a-Boogie.

– Nic się złego nie dzieje, słoneczko – poinformowała rudowłosa. – To tylko stroją instrumenty na wieczorny koncert.

– Właśnie – dodał kucharz, kierując na Mary nieruchome spojrzenie swych niebieskich oczu. – Prawie co wieczór mamy w mieście koncert.

Tak – pomyślała Mary. – Naturalnie. Oczywiście, że macie.

Od strony sali niósł się głos, bezbarwny i boski zarazem, drżały od niego szyby w witrynach. Mary, która bywała na koncertach rockowych, od razu pojęła, o co chodzi – przed oczyma stanęli jej znudzeni, długowłosi członkowie ekip technicznych pałętający się po scenie, zanim pogasną światła, poruszający się z gracją po lesie wzmacniaczy i mikrofonów, przyklękający co chwila, żeby połączyć leżące na estradzie kable.

– Próba! – rozległ się głos. – Raz, dwa, trzy!

Kolejny grzmot gitary, znów nie akord, ale tym razem już coś do niego zbliżonego. Łoskot perkusji. Zawodzenie trąbki grającej frazę *Instant Karma*, której towarzyszyło delikatne dudnienie bongosów. Na obrazie Normana Rockwella przedstawiającym miasteczko Normana Rockwella, nad salą koncertową również widniał napis DZIŚ WIECZOREM KONCERT. Mary, która wychowała się na Elmirze w Nowym Jorku, jako dziecko była na kilku darmowych koncertach pod gołym niebem. Były to koncerty żywcem wyjęte z obrazów Normana Rockwella. Występował tam na przykład zespół, który grał, fałszując lekko, marsz Sousy (chłopcy poubierali się w mundury ochotniczej straży pożarnej, ponieważ na własne kostiumy dla zespołu nie było ich stać), oraz miejscowa grupa Barber Shop Quarter, wzmocniona dwoma muzykami, grająca takie tematy jak *Shenandoah* i *I've Got a Gal from Kalamazoo*.

Podejrzewała, że koncert w Niebie Rock and Rolla będzie się całkowicie różnił od tamtych dziecięcych wieczorków muzycznych, na których ona i jej przy-

jaciółki, kiedy zmierzch przechodził w wieczór, puszczały kolorowe race.

Podejrzewała, że ten koncert pod gołym niebem będzie miał więcej wspólnego z Goyą niż z Rockwellem.

– Skoczę po ten portfel – oświadczył Clark. – Smacznego.

– Dzięki, Clark.

Włożyła do ust kolejny kawałek pozbawionego smaku ciasta i obserwowała, jak Clark idzie w stronę drzwi. Posuwał się przesadnie powolnym krokiem, co wydawało się rozgorączkowanej Mary absurdalne i cokolwiek zatrważające. Nie mam zielonego pojęcia, że przebywam w jednym pomieszczeniu z dwoma trupami słynnych ludzi – mówił spokojny krok Ciarka. – Więc o co chodzi?

Pośpiesz się! – chciała krzyknąć Mary. – Zapomnij o dostojnych ruchach rewolwerowca i rusz dupę!

Kiedy Clark sięgał już do klamki, rozległ się dźwięk zawieszzonego nad drzwiami dzwonka i do środka wkroczyło dwóch kolejnych martwych Teksaszczyków. Jeden z nich, w ciemnych okularach, był Royem Orbisonem, drugi, w okularach w rogowej oprawie, Buddym Hollym.

Wszyscy zmarli pochodzą z Teksasu – pomyślała dziko Mary, przekonana, że nowo przybyli chwycą Clarka za ramiona i wciągną go z powrotem do restauracji.

– Przepraszamy pana – odezwał się grzecznie typ w ciemnych okularach i nie próbując nawet łąpać Clarka za ramiona, ustąpił mu z drogi.

Clark, nie odzywając się słowem, skinął głową – Mary uświadomiła sobie, że po prostu odebrało mu mowę – i wyszedł na zalaną słońcem ulicę.

Wyszedł, zostawiając ją ze zmarłymi. Ta myśl naturalnie sprowokowała kolejną, jeszcze bardziej przerażającą: Clark zamierza odjechać bez niej. Nagle była tego absolutnie pewna. Odjedzie nie dlatego, że chce tego, i nie z tchórzostwa – sytuacji nie można było rozpatrywać w kategoriach odwagi i tchórzostwa, a Mary podejrzewała, że jedynym powodem, iż nie tarzają się jeszcze z jękiem po podłodze, śliniąc się ze strachu, było to, że wypadki potoczyły się tak błyskawicznie – on po prostu nie mógł nic innego zrobić. Gadzina, która gnieździła się w jego mózgu i strzegła instynktu samozachowawczego, wylazła pew-

nie ze swej błotnistej nory i przejęła inicjatywę.

Musisz się stąd wydostać, Mary – odezwał się głos w jej umyśle; głos należący z kolei do jej gadziny, a ton tego głosu niebywale ją przestraszył. Był jeszcze bardziej rzeczowy, niż być powinien w zaistniałej sytuacji. Mary poczuła, że lada chwila jej zdrowy rozsądek ustąpi miejsca szaleństwu.

Zdjęła nogę z metalowej rury ciągnącej się pod barem w charakterze podnóżka i postawiła ją na podłodze, przygotowując się psychicznie do ucieczki. Ale zanim zdążyła się zebrać w sobie, na jej ramieniu spoczęła czyjaś wąska dłoń. Uniosła głowę i ujrzała przed sobą uśmiechniętą twarz Buddy'ego Holly'ego.

Zginał w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym. Pamiętała fragmenty jakiegoś głupiutkiego filmu, w którym grał go Gary Busey. Od pięćdziesiątego dziewiątego roku minęło ponad trzydzieści lat, ale Buddy Holly pozostał niezdarnym dwudziestotrzylatkiem wyglądającym na lat siedemnaście, jego oczy kryły się za szklami okularów, a grdyka latała mu w górę i w dół jak małpa na sznurku. Nosił paskudną marynarkę w kratę, a zamiast krawata dwie tasiemki ściągnięte pod szyją chromowaną spinką w kształcie koła sterowego. Można by powiedzieć, twarz i gust wiejskiego chłopka, ale w linii i w układzie ust malowała się jakaś nadzwyczajna mądrość; jednocześnie czaiło się coś stanowczo zbyt mrocznego. Przez chwilę mocno ścisnął Mary za ramię tak, że poczuła zgrubienia na końcach jego palców – zgrubienia od gitary.

– Cóż za śliczne stworzenie – powiedział i Mary wyłapała w jego oddechu woń goździkowej gumy do żucia. Lewe szkło okularów było pęknięte; ciągnąca się zygzakiem cienka niczym włos rysa. – Nie widziałem cię jeszcze w tych strojach.

Ku swemu zdumieniu wsunęła do ust kolejny kawałek ciasta. Nie zwróciła nawet uwagi, że pacynka wiśniowego dżemu spadła jej z powrotem na talerz. Wyjmując z ust widelec, znów ku swemu zdumieniu, uśmiechnęła się uprzejmie.

– Zgadza się – odrzekła. Intuicja podpowiadała, iż nie wolno pokazać temu człowiekowi, że go rozpoznała. Gdyby się zorientował, że wiedzą, kim jest, ani ona, ani Clark nie mieliby szans ulotnić się z miasteczka. – Mój mąż i ja po pro-

stu... no, wiesz, przejeżdżaliśmy tędy.

Czy Clark jedzie dalej, desperacko trzyma się dozwolonej prędkości, pot spływa mu strużkami po twarzy, zalewając oczy, a on co chwila spogląda we wsteczne lustro? Czy tak właśnie jest?

Mężczyzna w kraciastej sportowej marynarce wyszczerzył w uśmiechu zbyt wielkie i zbyt ostre zęby.

– Jasne, wiem, jak to jest... Słyszeliście ten piekielny hałas; przychodzi pora na prawdziwą zabawę.

– To był naprawdę hałas – odparła sztywno Mary.

Nowo przybyli spojrzeli na siebie, unieśli brwi, po czym wybuchnęli śmiechem. Młoda kelnerka wodziła po nich wystraszonymi, przekrwionymi oczyma.

– Nawet w połowie nie jest tak źle – oświadczył Buddy Holly. – Ty i twój mężczyzna powinniście się na trochę u nas zatrzymać. A w każdym razie zostać na dzisiejszym koncercie. Powiedziałbym, że stworzymy widowisko jak wszyscy diabli.

– Mary spostrzegła nagle, że oko za pękniętym szkłem okularów nabiegłe jest krwią. Kiedy Holly uśmiechał się, coraz bardziej mrużąc oczy, spod dolnej powieki wypłynęła szkarłatna kropla i spłynęła po policzku niczym łza. – Mam rację, Roy?

– Dobrze mówi, proszę pani – odezwał się mężczyzna w ciemnych okularach. – Musicie obejrzeć koncert, żeby w to uwierzyć.

– Jestem tego pewna – odparła słabo Mary.

Tak, Clark odjechał. Teraz już była o tym najgłębiej przekonana. Napędzany testosteronem facet czmychał niczym królik i Mary przypuszczała, że niebawem dziewczyna ze „skwarą” zaprowadzi ją na zaplecze, gdzie czekać już na nią będzie strój ze sztucznego jedwabiu i notes do zbierania zamówień.

– To będzie coś, o czym napiszesz do domu – odezwał się z dumą Holly. – To znaczy, o czym w domu opowiesz. – Kropla krwi skapnęła z jego twarzy na stół, który niedawno zwolnił Clark. – Zostańcie. Nie pożałujecie.

Popatrzył na kolegę, jakby oczekiwał od niego poparcia.

Mężczyzna w ciemnych okularach dołączył do kucharza i kelnerki. Położył

rękę na biodrze rudowłosej, która natychmiast nakryła jego dłoń swoją i uśmiechnęła się. Mary spostrzegła, że paznokcie na jej krótkich, grubych palcach są poobgryzane do żywego mięsa. Pod rozpiętą na piersi w kształcie litery V koszulą Roya Orbisona widniał krzyż maltański. Skinął głową i twarz rozjaśnił mu uśmiech.

– Będzie pani zauroczona. I to nie tylko tej jednej nocy. Jak mawiamy tutaj, zatrzymacie się i poddacie czarowi.

– Zapytam męża – usłyszała własne słowa i dokończyła w myślach: Jeśli w ogóle kiedykolwiek go jeszcze zobaczę.

– Zrób to, słoneczko – odparł Holly. – Po prostu zapytaj!

I wtedy, o dziwo, uścisnął jeszcze raz jej ramię i oddalił się, zostawiając wolną drogę do drzwi. Ku jeszcze większemu zdumieniu dostrzegła za oknem charakterystyczną sylwetkę mercedesa ze znakiem pokoju na masce.

Buddy dołączył do Roya, puścił do niego perskie oko (po policzku spłynęła mu kolejna kropla krwi), a następnie zaszedł Janis od tyłu i niespodziewanie klepnął ją po pośladkach. Ta krzyknęła z oburzeniem. Wtedy z ust popłynął jej potok robaków. Większość z nich spadła na podłogę, obok jej stóp, ale kilka przyczepiło się do warg, gdzie wiły się w odrażający sposób.

Młoda kelnerka odwróciła się z grymasem obrzydzenia. Uniosła dłoń i przyłożyła ją do ust. A Mary Willingham, do której dotarło naraz, że po prostu cały czas bawią się z nią w kotka i myszkę, zrozumiała, że jedynym dla niej ratunkiem jest natychmiastowa ucieczka. Zeskoczyła ze stołka i runęła w stronę wyjścia.

– Ej! – wrzasnęła za nią ruda. – Ej, nie zapłaciłaś za ciasto! Ani za napoje! Nie przyszłaś tu, pizdo, na proszone przyjęcie! Rick! Buddy! Łapcie ją!

Mary chwyciła gałkę od drzwi, ale ta tylko prześlizgnęła się jej między palcami. Słyszała za plecami tupot czyichś nóg. Znów chwyciła gałkę, przekreśliła ją i tak gwałtownie otworzyła drzwi, że zerwała wiszący przy framudze dzwonek. Powyżej łokcia chwyciła ją wąska dłoń o zgrubiałych na końcu palcach. Tym razem palce nie trzymały jej ramienia, ale ścisnęły niczym imadło; poczuła przeszywający ból nerwu łokciowego. Aż do szczęki przeszedł ją prąd, zosta-

wiając zdrętwiałe ramię.

Zwiniętą prawą pięścią, niczym króciutkim kijem do krykieta, zadała na oślepiec cios do tyłu, trafiając napastnika w miednicę, tuż ponad kroczeniem. Posłyszała jęk bólu – a więc martwi czy nie, odczuwają jednak ból – a potem trzymając ją za łokieć dłoń zluźniła chwyt. Wyrwała się i wybiegła na zewnątrz. Rozwiane włosy otaczały jej głowę puszystą koroną strachu.

Pełen rozpaczony wzrok wbiła w zaparkowanego na ulicy mercedesa. Błogosławiła Clarka za to, że został. Musiał jednak odczytać telepatycznie jej myśli, gdyż nie gmerał pod fotelem w poszukiwaniu portmonetki, lecz siedział za kierownicą. W chwili kiedy pojawiła się w drzwiach The Rock-a-Boogie, uruchomił silnik.

Człowiek w przystrojonym kwiatkiem cylindrze oraz jego tatuowany kompan znów stali przed zakładem fryzjerskim i obserwowali obojętnie, jak Mary rozpaczliwie szarpie za klamkę samochodu. Pomyślała, że chyba wie, kim jest Cylinder – miała trzy albumy zespołu Lynard Skynard i była święcie przekonana, że ma przed sobą Ronniego Van Zanta. W tej samej chwili uświadomiła sobie też, kim jest jego wytatuowany kompan: Duane Allman, który zginął przed dwudziestoma laty, kiedy prowadzony przez niego motocykl wyrznął w przyczepę traktora. Tatuaz wyciągnął właśnie coś z kieszeni i wbił w to zęby. Mary ze zdziwieniem skonstatowała, że to brzoskwinia. Z Rock-a-Boogie wypadł Rick. Tuż za nim sadził wielkimi susami Buddy Holly. Lewą stronę twarzy miał zbroszoną krwią.

– Wskakuj! – wrzasnął Clark. – Mary, do kurwy nędzy, wskakuj!

Wskoczyła na fotel obok kierowcy, a Clark natychmiast cofnął samochód, zanim jeszcze zdążyła zatrzaskać drzwi. Spod tylnych kół Princess uniósł się obłok niebieskiego dymu. Gdy Clark nacisnął hamulce, impet cisnął Mary do przodu ze straszliwą siłą. Wyrznęła głową w deskę rozdzielczą. Sięgnęła, żeby zamknąć drzwi. Clark, klnąc jak szewc, wrzucił bieg.

Rick Nelson skoczył na srebrzystą maskę samochodu. Oczy pałały mu blaskiem. W odrażającym grymasie pokazał nieprawdopodobnie białe zęby. Czapka kucharska dawno mu już spadła i na skroniach widać było ciemnobrązowe,

poskręcane kosmyki.

– Pójdziecie na koncert! – wrzasnął.

– Pierdol się! – odkrzyknął Clark.

Chwycił kierownicę i wcisnął pedał gazu. Spokojny zazwyczaj silnik Diesla ryknął niskim basem i samochód wystrzelił do przodu jak z katapulty. Widmo przywarło do maski i warcząc, szczyrzyło zęby.

– Zapnij pas! – zawołał Clark, kiedy Mary usadowiła się już na fotelu.

Złapała nylonową taśmę i zatrzasnęła zamek. Patrzyła z pełną zgrozy fascynacją, jak stwór na masce wyciąga lewą rękę i chwytą wycieraczkę po jej stronie. Zaczął podciągać się do przodu. Wycieraczka pękła. Stwór spojrzął na trzymany w ręku przedmiot, po czym go odrzucił. Sięgnął do wycieraczki po stronie Clarka.

Zanim zdołał ją chwycić, kierowca nacisnął hamulce – tym razem z całych sił. Pas bezpieczeństwa boleśnie wpił się pod lewą pierś Mary. Przez chwilę odniosła okropne wrażenie, że coś ścisną ją od środka, że czyjaś nielitościwa dłoń przepycha jej wnętrzności do gardła niczym komin. Stwór z impetem wyleciał w powietrze i spadł na ulicę. Mary usłyszała trzask, jakby coś pękło, i na jezdnię wokół głowy leżącego bryznięła krew, tworząc kształt gwiazdy. Mary obejrzała się i dostrzegła, że pozostali pędzą w stronę samochodu. Pierwsza biegła Janis. Przypominająca oblicze wiedźmy twarz wyrażała nienawiść i podniecenie.

Przed nimi kucharz z wdziękiem pozbawionej kości kukły usiadł na jezdni.

– Clark, oni się zbliżają! – wrzasnęła Mary.

Zerknął przelotnie we wsteczne lustro i znów nacisnął pedał gazu. Princess gwałtownie wyrwała do przodu. Mary miała jeszcze czas dojrzeć, iż siedzący na ulicy demon unosi rękę, żeby zasłonić twarz, i była wdzięczna losowi, że zobaczyła tylko tyle. Jednocześnie ujrzała jeszcze coś, coś dużo gorszego: spostrzegła, że w cieniu rzucanym przez ramię oblicze potwora ciągle szczyrzy w uśmiechu zęby.

W następnym ułamku sekundy dwutonowa niemiecka limuzyna uderzyła go i przetoczyła się po zwłokach. Rozległ się chrzęst, jakby grupa dzieci popychała

grabiami stertę zeschniętych liści. Mary zakryła dłońmi uszy – za późno, za późno – i wrzasnęła.

– Nie przejmuj się – mruknął Clark, spoglądając posepnie we wsteczne lustro. – Nie mogliśmy wyrządzić mu większej krzywdy. Właśnie znów się podnosi.

– Co?

– Poza tym, że ma na ubraniu ślady opon, jest... – urwał gwałtownie spoglądając na żonę. – Kto cię uderzył?

– Co?

– Masz zakrwawione usta. Pytam, kto cię uderzył?

Dotknęła palcem kącika warg, popatrzyła na jego umazany na czerwono kołnierz, a następnie polizała.

– To nie krew. to ciasto – oświadczyła i parsknęła nerwowym śmiechem. – Wynośmy się stąd, Clark. Proszę, wynośmy się stąd jak najszybciej.

– Masz to jak w banku – odparł i znów skupił uwagę na Main Street.

Ulica była szeroka i – przynajmniej na razie – pusta. Mary zauważyła, że wzdłuż Main Street nie poprowadzono linii wysokiego napięcia i gitary oraz wzmacniacze na estradzie koncertowej nie były zasilane stąd. Nie miała najmniejszego pojęcia, skąd Niebo Rock and Rolla czerpało energię (cóż... może z jakiejś idei), ale na pewno nie z głównej elektrowni w Oregonie.

Princess nabierała szybkości – silniki Diesla powoli, choć nieubłaganie zaczynały pracować pełną mocą – zostawiając za sobą brązową smugę spalin. Mary kątem oka dostrzegła dom towarowy, księgarnię i sklep z artykułami dla niemowląt nazywający się Rockandrollowa Kołysanka. Przed salą bilardową o nazwie The Rock Em & Sock Em Billiards Emporium dostrzegła młodzieńca z długimi brąz lokami opadającymi na ramiona. Ręce założył na piersi i stukał w pomalowane na biało cegły czubkiem buta z wężowej skóry. Na swój sposób jego odęta twarz o topornych rysach była przystojna i Mary natychmiast poznała, kto to jest.

Clark również.

– Lizard King we własnej osobie – oświadczył suchym, beznamiętnym tonem.

– Widzę.

Tak – widziała, ale obrazy były niczym suchy papier rzucony w ogień. Widziała je przez chwilę w nieustannym świetle rozjaśniającym umysł. Zupełnie jakby rosnąca w niej zgroza sprawiała, że widzi wszystko przez gigantyczne szkło powiększające. Zrozumiała, że jeśli nawet uda się im stąd wyrwać, nie pozostaną w ich umysłach żadne wspomnienia z Dziwaczego Małego Miasteczka; wspomnienia niczym popiół rozwieje wiatr. Oczywiście, taka musiała być naturalna kolej rzeczy. Nikt nie mógł zachować wspomnień o równie piekielnych obrazach, równie piekielnych doświadczeniach i pozostać przy zdrowych zmysłach. A więc umysł ludzki zamienia się w gigantyczny piec, w którym wszelkie wspomnienia, gdy zaczynają się odradzać, natychmiast płoną.

To dlatego większość ludzi może pozwolić sobie na luksus niewierzenia w duchy i nawiedzone domy – pomyślała Mary.

– Gdy umysł człowieka konotuje rzeczy przerażające i irracjonalne, to podobnie jak w przypadku spojrzenia w oblicze Meduzy, natychmiast o wszystkim zapomina. Musi zapomnieć. I... na Boga! Ja również, poza tym żeby wyrwać się z tego piekła, z całej duszy pragnę o tym wszystkim zapomnieć.

Na skrzyżowaniu, w pobliżu granic miasteczka, przy stacji benzynowej, spostrzegła grupę ludzi. Mieli zwykłe, wystraszone twarze i zwykłe, wytarte ubrania. Mężczyzna w poplamionym smarem kombinezonie mechanika. Kobieta w ubiorze pielęgniarki – niegdyś białym, obecnie szarawym i nieświeżym. Starsze małżeństwo: ona w butach ortopedycznych, on z aparatem słuchowym w uchu. Tulili się do siebie niczym wystraszone dzieci zagubione w czarnym lesie. Mary nie potrzebowała żadnych wyjaśnień. W jednej chwili pojęła, że są to, podobnie jak młoda kelnerka, prawdziwi mieszkańcy Nieba Rock and Rolla w Oregonie. Zostali pochyceni niczym owady przez dzbanecznik.

– Wywieź nas stąd, Clark – powiedziała. – Proszę.

Coś podchodziło jej do gardła i zasłoniła dłonią usta, przekonana, że za chwilę zwymiotuje. Ale tylko okropnie jej się odbiło, poczuła palenie w przełyku, a w ustach pojawił się smak zjedzonego w The Rock-a-Boogie ciasta.

– Wszystko będzie w porządku. Nie bój się, Mary.

Droga – teraz, kiedy widziała już granice miasta, Mary nie mogła jej dłużej

nazywać Main Street–biegła obok mieszczącego się po lewej stronie budynku miejskiej straży pożarnej i szkoły po prawej (mimo przerażenia Mary wydawało się, że w owym bastionie oświaty zwanym rockandrollową szkołą podstawową jest coś egzystencjalnego). Na przylegającym do szkoły boisku stało troje dzieci i apatycznie spoglądało na mknącą ulicą Princess. Przed nimi, obok występu z tablicą w kształcie gitary, droga zataczała łuk. Napis na niej głosił: OPUSZCZACIE NIEBO ROCK AND ROLLA. DOBRANOC, KOCHANIE, DOBRANOC.

Clark, nie zwalniając, wprowadził samochód w zakręt i nagle ujrzeli przed sobą blokujący szosę autobus.

Nie był to zwykły, żółty, szkolny autobus, jaki dostrzegli ze szczytu wzniesienia. Ten pomalowany był w setki kolorów i psychodelicznych wzorków, wielki relikw hipisowskiego lata tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku. Okna miał pozalepiane kalkomaniami przedstawiającymi motyle i „pacyfki”. Gdy Clark z krzykiem nacisnął hamulce, Mary, z fatalistycznym brakiem zaskoczenia, zdołała odczytać wymalowany farbą na boku pojazdu napis: MAGICZNY AUTOBUS.

Clark robił, co mógł, ale nie był już w stanie zatrzymać rozpędzonego auta. Princess, z szybkością dwudziestu kilometrów na godzinę, z zablokowanymi kołami, spod których unosił się dym, uderzyła w pomalowany jaskrawo Magiczny Autobus. Impet ponownie rzucił Mary do przodu i znów boleśnie zawisła w pasach. Autobus tylko lekko się zakołysał.

– Daj wsteczny i wymini go! – krzyknęła, ale instynkt mówił jej, że to już koniec.

Silnik Princess zaczął się krztusić, a spod zgniecionej maski wydobywała się para. Wyglądała jak oddech rannego smoka. Kiedy Clark wrzucił wsteczny bieg, silnik zakrztusił się jeszcze dwa razy, po czym umilkł i samochód znieruchomiał.

Z tyłu dobiegło ich zawodzenie syreny. Mary zaczęła się zastanawiać, kim będzie miejscowy policjant. Z całą pewnością nie Johnem Lennonem, który z przeciwstawiania się władzy uczynił życiowe motto. Nie Lizardem Kingiem, który w miasteczku najwyraźniej znany był jako jeden z bandy oszalałych bilar-

dzistów. A zatem kto? Czy to takie istotne? Może będzie nim Jimi Hendrix? – błysnęła jej myśl. Brzmiało to idiotycznie, ale rock and rolla swoich czasów znała lepiej niż Clark. W jakimś piśmie wyczytała, że Hendrix był skoczkiem w sto pierwszej dywizji spadochronowej. A czyż nie mówi się, że byli żołnierze najbardziej nadają się na policjantów?

Zaczynasz świrować – zgańła się w duchu i skinęła głową. Jasne, że świrowała. Na swój sposób myśl ta podniosła ją na duchu.

– Co teraz? – spytała grobowym głosem.

Żeby otworzyć wypaczone w wyniku kraksy drzwi, Clark musiał z całych sił uderzyć w nie barkiem.

– Uciekamy – oświadczył.

– Czy ma to jakikolwiek sens?

– Widziałaś ich. Czy chcesz stać się taka jak oni?

To na nowo rozbudziło w niej strach. Rozpięła pas bezpieczeństwa, a potem otworzyła drzwi. Clark obszedł samochód i wziął ją za rękę. Kiedy odwrócili się w stronę Magicznego Autobusu, na widok osobnika, który z niego wysiadł, Clark boleśnie ścisnął dłoń żony. Ujrzeni wysokiego mężczyznę w rozpiętej pod szyją białej koszuli, w czarnych dżinsach i w podłużnych, otulających oczy przeciwsłonecznych okularach. Jego kruczoczarne, aż przechodzące w granat włosy zaczesane były na skroniach do tyłu w nienaganną „jaskółkę”. Mimo przeciwsłonecznych okularów skrywających oczy miał w sobie ów nieprawdopodobny, jakby zrodzony z halucynacji urok. Pełne usta rozchyłał w lekkim, nieśmiałym uśmiechu.

Zza zakrętu wyłonił się biało-niebieski radiowóz z napisem DEPARTAMENT POLICJI NIEBO ROCK AND ROLLA na drzwiach. Z piskiem opon zatrzymał się o milimetry od tylnego zderzaka Princess. Siedzący za kierownicą Murzyn w niczym nie przypominał Jimiego Hendrixa. Mary nie była pewna, ale wszystko wskazywało na to, że miejscowym stróżem porządku jest Otis Redding.

Mężczyzna w przeciwsłonecznych okularach i czarnych dżinsach stanął przed nimi. Kciuki miał założone za szlufki spodni, białe dłonie zwisały bezwładnie niczym martwe pająki.

– I jak minął dzień? – zapytał powoli, szyderczo przeciągając słowa w żargonie z Memphis. – Z całego serca witamy w mieście. Mamy nadzieję, że zostanieie z nami jakiś czas. Samo miasto nie jest szczególnie interesujące, ale jesteśmy bardzo gościnni i ze szczerego serca się wami zajmiemy. – Wyciągnął rękę. Na jego palcach lśniły absurdalnie trzy ogromne pierścienie. – Jestem burmistrzem. Nazywam się Elvis Presley.

Zmierzch. Nadchodzi letnia noc.

Kiedy wchodzili do miejskiej muszli koncertowej, Mary ponownie przypomniała sobie koncerty na Elmirze, na które chodziła jako dziecko, i przez gruby kokon szoku i emocji przebiły się nostalgia oraz smutek. Tak samo... ale zarazem inaczej. Nie było młodziaków odpalających petardy. Widziała tylko z tuzin dzieci o bladych, pełnych napięcia twarzach, trzymających się od estrady najdalej, jak mogły. Dostrzegła tam dzieci, które zauważyła podczas nieudanej ucieczki za wzgórze.

Nie było zespołu instrumentów dętych, który grałby przez pierwszy kwadrans czy pół godziny koncertu. Na estradzie (w odczuciu Mary rozległej jak muszla Hollywood Bowl) rozstawiono największy chyba i najliczniejszy na świecie zestaw sprzętu, a sądząc po wzmacniaczach, również najgłośniejszy. Rockowa kapela. Apokaliptyczna kombinacja bebopowa, która, gdy zagra całą parą, będzie tak głośna, że w promieniu ośmiu kilometrów powylatują w oknach wszystkie szyby. Mary doliczyła się tuzina gitar i przestała dalej rachować. Cztery pełne zestawy perkusji... bongosy... konga... sekcja rytmiczna... koliste podium dla chóru... stalowy las mikrofonów.

Widownia zastawiona była rozłożonymi krzesłami – zdaniem Mary znajdowało się tam od siedmiuset do tysiąca miejsc – ale dostrzegła zaledwie pięćdziesięciu widzów, zapewne mniej. Widziała wśród nich mechanika, teraz ubranego w czyste dżinsy i w koszulę. Błada, nosząca ślady dawnej urody kobieta, która siedziała obok niego, była zapewne jego żoną. Pielęgniarka zajęła miejsce w środku pustego rzędu. Zadarła wysoko głowę – obserwowała wschodzące gwiazdy. Mary szybko odwróciła się od niej. Gdyby dłużej spoglądała w jej po-

ciąglą, pełną smutku twarz, serce by jej pękło.

Nigdzie nie było widać sławnych mieszkańców miasteczka. Oczywiście, że nie. Mieli za sobą cały dzień pracy i trzymali się na uboczu, sprawdzali sprzęt. Przygotowywali się do wieczornej gali.

Clark przystanął w porośniętym trawą przejściu między rzędami krzeseł. Podmuch wieczornego wiatru rozwiał mu włosy. Mary pomyślała, że są suche jak siano. Na czole i wokół ust pojawiły mu się zmarszczki, jakich nigdy nie miał. Wyglądał tak, jakby od lunchu w Oakridge stracił piętnaście kilogramów. Testosteronowy Dzieciak był nieobecny i Mary pojęła, że odszedł już na zawsze. Uświadomiła sobie, że tak czy inaczej, nic ją to nie obchodzi.

A tak swoją drogą – błysnęła jej myśl – cukiereczku-kwiatuszku, czy wiesz, jak ty wyglądasz?

– Gdzie chcesz usiąść? – zapytał Clark. Głos miał cienki i bezbarwny; głos kogoś, kto jest najgłębiej przekonany, że śni.

Mary zauważyła kelnerkę z opryszczką. Siedziała w czwartym rzędzie. Ubrana była w szarą koszulę i bawełnianą spódnicę. Na ramiona zarzuciła sweter, a jego rękawy zawiązała wokół szyi.

– Tam. – Mary wskazała kelnerkę. – Obok niej.

Clark, bez słowa sprzeciwu, skierował się we wskazanym kierunku.

Kelnerka omiotła ich wzrokiem. Mary wychwyciła w jej spojrzeniu coś w rodzaju ulgi. W chwilę później uświadomiła sobie, że na tej twarzy maluje się osłupienie. Spuściła wzrok, nie chcąc na to patrzeć. Spostrzegła, że lewa dłoń dziewczyny spowita jest grubą warstwą bandaża. Ze zgrozą stwierdziła, że w tej dłoni brakuje jednego albo dwóch palców.

– Cześć – odezwała się kelnerka. – Nazywam się Sissy Thomas.

– Cześć, Sissy – wyjąkała Mary Willingham. – Poznaj mego męża, Clarka.

– Miło mi – powiedziała kelnerka.

– Twoja dłoń... – zaczęła Mary i nie wiedziała, jak skończyć.

– To robota Frankiego – wyjaśniała Sissy z obojętnością kogoś, kto kieruje różowymi końmi po ulicy Marzeń. – Frankie Lymon. Wszyscy zgodnie twierdzą, że kiedy żył, był najsympatyczniejszym człowiekiem pod słońcem, a takim jak

teraz stał się dopiero po przybyciu tutaj. Można powiedzieć, że jest jednym z pierwszych... pionierów. Niewiele zresztą o tym wiem. Jeśli nawet był kiedyś sympatyczny, obecnie jest gorszy od najstraszniejszego drapieżnika. Nic mnie to nie obchodzi. Życzę wam tylko, żebyście trzymali się od niego jak najdalej. Ja też tak zrobię. Poza tym zajęła się mną Crystal.

Sissy wskazała pielęgniarkę, która przestała kontemplować gwiazdy i wlepiła w nich wzrok.

– Crystal naprawdę przejmuje się swoją rolą. Zajmie się wami i nie musicie tracić palców, żeby w tym miasteczku wejść na haj.

– Ani ja, ani moja żona nie zażywamy narkotyków – oświadczył z godnością Clark.

Sissy spoglądała na niego przez chwilę, po czym oświadczyła:

– Ale będziecie.

– Kiedy rozpocznie się występ?

Mary czuła, że szok mija, ale przywiązywała już niewielką wagę do swoich odczuć.

– Niebawem.

– Jak długo potrwa?

Sissy przez dobrą minutę milczała i Mary chciała ponowić pytanie, sądząc, że kelnerka albo nie dosłyszała jej słów, albo nie zrozumiała, o co chodzi. Po chwili jednak dziewczyna powiedziała:

– Długo. Jak zwykle do północy. Takie obowiązują w mieście przepisy, ale... trwać będzie długo. Czas tutaj płynie inaczej. Czasami... sama nie wiem... kiedy chłopcy zaczynają dawać czadu, trwa to rok albo dłużej.

Mary poczuła przechodzące po plecach ciarki. Próbowwała wyobrazić sobie, że siedzi na trwającym dwanaście miesięcy koncercie rockowym. Nie mieściło się to jej w głowie. To tylko sen, z którego się przebudzisz – powiedziała sobie, ale owa myśl, tak przekonująca, gdy stali w promieniach słońca obok Magicznego Autobusu i słuchali, co ma im do powiedzenia Elvis Presley, straciła wiele ze swej atrakcyjności.

„Ta droga prowadzi donikąd – poinformował ich Elvis.

– Kończy się na bagnach Umpqua. Nie ma tam żadnych dróg.

Tylko chaszcze, lebioda i lotne piaski. – W jego ciemnych okularach rozbłysły refleksy popołudniowego słońca niczym płomień w rozpalonym piecu. – I inne rzeczy”.

„Niedźwiedzie” – dodał policjant, który wyłonił się zza pleców Elvisa. Wyglądał jak Otis Redding.

„Tak, niedźwiedzie – przyznał Elvis z uśmiechem, który Mary doskonale pamiętała z telewizji i z kina. – I inne rzeczy”.

„Jeśli zostaniemy na koncercie... ” – zaczęła.

Elvis entuzjastycznie skinął głową.

„Koncert! O tak, zostaniecie na nim! To będzie prawdziwy rock! Sami się przekonacie!”.

„To fakt!” – wtrącił policjant.

„A jeśli zostaniemy na tym koncercie... czy będziemy mogli później odjechać?”.

Elvis i policjant wymienili poważne spojrzenia, choć ani na chwilę nie przestali się uśmiechać.

„Widzi pani – odezwał się po chwili Król Rock and Rolla.

– Żyjemy tutaj na prawdziwym odludziu i rzadko mamy publiczność... ale kiedy już nas ktoś posłucha, zostaje na dłużej...

i mamy nadzieję, że państwo również zostanieie z nami na dłużej. Posłuchacie naszych koncertów, doświadczycie naszej gościnności”.

Przesunął przeciwsłoneczne okulary na czoło. Przez ułamek sekundy Mary widziała puste oczodoły, ale po chwili znów patrzyła w ciemnoniebieskie źrenice Elvisa, które wydały się jej wyjątkowo posępne.

„Myślę, że powinniście nawet rozważyć pomysł, czyby nie osiedlić się tu na stałe” – dodał.

Na niebie pokazało się więcej gwiazd; panowały już prawie całkowite ciemności. Nad sceną, niczym delikatne kwiaty nocy, rozbłysły pomarańczowym blaskiem jupitery, oświetlając punktowo ustawione na estradzie mikrofony.

– Załatwią nam pracę – odezwał się pośępnie Clark. – On załatwi nam pracę. Burmistrz. Ten, który wygląda jak Elvis Presley.

– To jest Elvis Presley – poprawiła go Sissy Thomas, ale Clark, wpatrzony w estradę, nie zwrócił uwagi na jej słowa.

Nie był jeszcze gotowy, żeby o tej sprawie nawet myśleć.

– Mary od jutra rozpocznie pracę w salonie kosmetycznym Be-Bop Bauty Bar – oświadczył Clark. – Posiada wprawdzie dyplom nauczycielski i magisterium z literatury angielskiej, lecz następne Bóg-jeden-wie-ile-lat spędzi jako dziewczyna od mycia włosów. Później burmistrz zwrócił się do mnie i zapytał: „Aaa, paaan? Jaaaka jeest paańska speeeczjalność?” – Clark zjadliwie parodiował przeciągły akcent burmistrza pochodzącego z Memphis i w oczach kelnerki, które dotąd nieustannie były bez wyrazu, po raz pierwszy odmalowało się jakieś uczucie. Mary była święcie przekonana, że jest to strach.

– Nie powinienesz stroić sobie z niego żartów – przestrzegła Sissy. – To może sprowadzić na was poważne kłopoty... a chyba nie chcecie ich mieć.

Powoli uniosła zabandażowaną dłoń. Clark zwilżył językiem suche, drżące wargi. Kiedy Sissy znów położyła zabandażowaną rękę na kolanach, odezwał się niskim głosem:

– Powiedziałem mu, że jestem specjalistą od oprogramowania komputerowego. Odparł, że w mieście nie mają żadnego wyjścia Ticketronu¹⁸, choć przyznał, że posiadają jedno czy dwa wejścia do sieci. Wtedy ten drugi facet się roześmiał i oświadczył, że jest wakat na stanowisku magazyniera w supermarkecie, więc...

Nad sceną zapłonął jaskrawy reflektor. Pojawił się przysadzisty mężczyzna w sportowej marynarce, równie krzykliwej jak ta Buddy’ego Holly’ego. Miał uniesione ręce, jakby chciał uciszyć aplauz wielotysięcznej widowni.

– Kto to jest? – Mary zwróciła się z pytaniem do Sissy.

– Jakiś dawny prezenter. Alan Tweed czy Breed... jakoś tak. Dziwne, nie spodziewaliśmy go się tutaj. Podejrzewam, że tego popija. Całe dni przesypia... tyle wiem.

Kiedy dziewczyna wypowiedziała te słowa, z oczu Mary opadły łuski. Ona

i Clark trafili do Nieba Rock and Rolla, które okazało się Piekłem Rock and Rolla. Nie trafili tutaj dlatego, że byli złymi ludźmi; nie trafili tutaj za karę, którą przygotowali im jacyś starzy bogowie. Trafili tutaj tylko dlatego, że zabłądzili. To tyle. Zabłądzili w lasach, a to przecież może przytrafić się każdemu.

– *Wielki koncert!* – zawołał do mikrofonu mistrz ceremonii.

– *Mamy tu wielkiego boppera... Freddie Mercury, prosto z Londynu... Jim Croce... i mój faworyt, Johnny Ace.*

Mary pochyliła się w stronę Sissy.

– Sissy, jak długo już tu jesteś? – zapytała.

– Nie wiem. Bardzo łatwo stracić poczucie czasu. Ale co najmniej sześć lat. A może osiem. Lub dziewięć.

– *Keith Moon z The Who... Brian Jones ze Stonesów. urocza, malutka Florence Ballard z The Supremes. Mary Wells.*

– Ile miałaś lat, kiedy tu trafiłaś? – wyartykułowała swe najgorsze obawy Mary.

– *Cass Elliot... Janis Joplin...*

– Dwadzieścia trzy.

– *King Curtis. Johnny Burnette...*

– A ile masz teraz?

– *Slim Harpo... Bob „Bear” Hite... Steve Ray Vaughan...*

– Dwadzieścia trzy – odparła Sissy.

Na estradzie Alan Freed wykrzykiwał imiona i nazwiska do prawie pustej widowni, a na niebie pojawiało się coraz więcej gwiazd. Najpierw sto, później tysięcy, aż w końcu trudno już było je zliczyć. Pojawiały się nieoczekiwanie i lśniły w mroku. Freed wywoływał ofiary przedawkowania narkotyków, przedawkowania alkoholu, ofiary katastrof lotniczych i zabójstw, nazwiska osób, które znaleziono na ulicach i w basenach kąpielowych, w przydrożnych rowach z wbitymi w pierś drązkami do przerzucania biegów. Z oderwanymi od tułowia głowami. Wykrzykiwał imiona młodych i starych, imiona Ronniego Van Zanta i Steve’a Gainesa. Mary przypominała sobie piosenki, jakie śpiewali. Pamiętała jedną, która zaczynała się od słów: „Och, ta woń, ta woń, której nie wyczujesz”.

Ale tak, czuła tę woń. Czuła ją tutaj, w czystym powietrzu stanu Oregon. Tak, czuła ją. A kiedy ujęła dłoń Clarka, odniosła wrażenie, że ściska palce trupa.

– *Wssssssspaaaaaanialeeeee!* – ryczał Alan Freed. Zza jego pleców wyłaniały się dziesiątki cieni oświetlanych punktowymi reflektorami. – *Zaczynamyyyyyyyyy shooooow!*

Z widowni nie dobiegła żadna odpowiedź, ale Freed śmiał się i wymachiwał rękami, jakby miał przed sobą rozentuzjasmowaną tysięczną publiczność. Było na tyle jasno, że Mary dostrzegła, iż starszy człowiek wyjął z ucha aparat słuchowy.

– *Zaczynamy BOOOOOOOGIE?*

Tym razem doczekał się odpowiedzi – z cienia poza jego plecami dobiegł demoniczny skrzek saksofonu.

– *Czadu!... ROCK AND ROLL ŻYJE I NIGDY NIE ZGINIE!*

Gdy zapłonęły reflektory i ze sceny popłynęły tony pierwszej piosenki tego mającego trwać bardzo, bardzo długo koncertu – *I'll Be Doggone*, śpiewał Marvin Gaye – Mary pomyślała: Tak, tego się obawiałam. Dokładnie tego się właśnie obawiałam.

Urodzi się w domu

Wziąwszy pod uwagę, że miał to być zapewne koniec świata, Maddie Pace uznała, że wykonuje kawał dobrej roboty. Dobrej jak wszyscy diabli. Tak naprawdę to uważała, że lepiej sobie radzi z Końcem Wszystkiego niż ktokolwiek inny na Ziemi, a już na pewno lepiej niż jakakolwiek ciężarna kobieta.

Radzi sobie.

Maddie Pace, jedyna na świecie.

Maddie Pace, która czasami nie mogła zasnąć, kiedy po powrocie od wielbego Johnsona znajdowała pod stołem w jadalni choć jeden pyłek kurzu. Maddie Pace, która jeszcze jako Maddie Sullivan, potrafiła doprowadzić do rozpaczy swego narzeczonego, Jacka, zamierając w bezruchu nad jadłospisem, by przez dobre pół godziny rozważać, co zamówić jako danie główne.

– Maddie, dlaczego po prostu nie rzucisz monety? – zapytał pewnego razu, kiedy rozdarta między duszoną cielęciną a rumsztykiem z jagnięcia, nie mogła się na nic zdecydować.

– Wypiłem już pięć butelek tego cholernego niemieckiego piwa i jeśli szybko czegoś nie wybierzesz, zwałę się w sztok pijany pod stół, zanim pojawi się na nim jakiegokolwiek danie.

Uśmiechnęła się nerwowo, zamówiła duszoną cielęcinę i przez całą drogę powrotną do domu zastanawiała się, czy przypadkiem jagnię nie byłoby lepsze i czy mimo trochę wyższej ceny nie należało zamówić właśnie tego dania.

Ale kiedy Jack zaproponował jej małżeństwo, nie miała najmniejszych rozterek. Po prostu zgodziła się – natychmiast i z wielką ulgą. Po śmierci ojca mieszkała z matką i prowadziła bezcelowe życie; nijaką egzystencję na Little Tall Island przy wybrzeżu Maine. „Gdybym nie pojawił się w okolicy i nie powiedział

tym kobietom, w którą stronę należy przekręcić ster – mawiał z upodobaniem George Sullivan do swoich znajomków, gdy siedzieli nad szklaneczkami w Fudgy's Tavern na tyłach Prout's Barber Shop – to, do licha, nie wiem, dokąd by dożeglowały”.

Ojciec Maddie umarł na rozległy zawał serca. Miała wtedy dziewiętnaście lat i za czterdzieści jeden i pół dolara tygodniowo prowadziła wieczorami bibliotekę miejską. Matka z kolei prowadziła dom – a właściwie prowadziła go wtedy, gdy George przypominał jej (nieraz za pomocą siarczystego uderzenia w ucho), że ma dom, który należy przyzwoicie prowadzić.

Kiedy nadeszła wiadomość o jego śmierci, obie kobiety, przerażone, popatrzyły na siebie w milczeniu, a w ich źrenicach malowało się pytanie: Co my teraz zrobimy?

Żadna nie wiedziała, ale obie czuły – czuły bardzo mocno – że George właściwie je ocenił. Potrzebowały go. Były tylko kobietami i potrzebowały go, żeby powiedział im nie tylko, co robić, ale i jak. Nie mówiły o tym głośno, bo się wstydzily, lecz tak właśnie było – nie miały zielonego pojęcia, co będzie dalej, a nie przychodziło im do głowy, że są więźniami ciasnych pomysłów i oczekiwań George'a Sullivana. Nie były głupimi kobietami, po prostu pochodziły z wyspy.

Pieniądze nie stanowiły problemu. George niezłomnie wierzył w ubezpieczenie, toteż kiedy padł trupem podczas gry w kręgle, jego żona otrzymała grubo ponad sto tysięcy dolarów. Jeśli miało się własny dom i dobrze utrzymany ogród warzywny, życie na wyspie było tanie. Problem stanowiło to, że ich życie straciło sens. Kiedy George w koszulce Island Amoco padł twarzą do ziemi tuż za linią faulową przy dziewiętnastym torze (i za cholere już go nie obchodziło to, że jego zespół musi wygrać), życie obu kobiet zostało złamane i spowiła je osobliwa mgła.

To jak zagubić się w gęstej mgle – myślała czasami Maddie.

– Ale zamiast wypatrywać drogi czy domu, wioski albo po prostu jakichś charakterystycznych znaków topograficznych, jak na przykład strzaskanej piorunem sosny, ja szukam steru. Jeśli tylko go znajdę, ujmę go w dłonie i nadam

swemu życiu kierunek.

I w końcu znalazła ster; okazał się nim Jack Pace. Czasami mówi się, że kobiety poślubiają swoich ojców, a mężczyźni matki, ale choć tak szerokie uogólnienie rzadko bywa prawdą, to miało zastosowanie w przypadku Maddie. Znajomi jej ojca spoglądali na niego z lękiem i z podziwem. „Nie próbuj z George’em żadnych sztuczek, mój drogi – mawiali. – Zmiecie ci nochal z buzi, jeśli mu się coś nie spodoba albo popatrzysz na niego krzywo”.

Prawda ta sprawdzała się również w domu. George dominował, czasem nawet zdarzało mu się podnieść rękę, ale jednocześnie wiedział, czego chce i po co pracuje. Miał furgonetkę forda, umiał posługiwać się piłą łańcuchową, wiedział, jak uprawiać dwa akry ziemi ciągnące się na południe za ich domem. Ziemia Popa Cooka. George Sullivan znany był z tego, że Popa Cooka określał mianem starego pierdziela, któremu śmierdzi pod pachami, ale zapach, jaki wydzielał starzec, nie zmieniał faktu, że na jego dwóch akrach rosło wiele drzew stanowiących wyśmienity materiał stolarski. Pop nie zdawał sobie z tego sprawy, bo w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym wyniósł się do miasta, gdyż zanadto już dokuczał mu artretyzm. George ogłosił na Little Tall, że czego oczy starego pierdziela nie widzą, to i jego sercu nie żal, i obiecał, że pokroi na kawałki każdego, czy to mężczyznę, czy kobietę, kto oświeci w tym względzie Popa Cooka. Nikt go nie oświecił, więc ostatecznie Sullivan przejął jego ziemię oraz rosnące na niej drzewa. Oczywiście, dobre drewno zostało z wyspy wywiezione już przed trzema laty, ale George mówił, że jemu wszystko jedno; ziemia zawsze się zwróci. Tak mówił, a one mu wierzyły; wierzyły w niego. I pracowali we trójkę. Powiedziało: „Musicie ująć ten ster i dobrze skurwysynem kręcić. Musicie nim kręcić jak jasna cholera, bo nie obraca się łatwo”.

I tak robiły.

W tamtych czasach matka Maddie prowadziła przy drodze z East Head stragan, gdzie tłumy turystów kupowały warzywa i owoce (oczywiście te, które kazał jej sadzić George) i jakkolwiek nie były to płody, które pani Sullivan określiłaby mianem „produktów rodziny Gotrocków”, to jednak przynosiły dochód.

Nawet w latach, kiedy połowy krabów szły marnie, a oni musieli zdrowo kombinować, żeby spłacić bankowe kredyty, zawsze dzięki tym dwóm akrom Popa Cooka wychodzili na swoje.

Jack Pace był znacznie bardziej okrzesanym człowiekiem niż George Sullivan mógłby to sobie wyobrazić, ale również czasami dawał się ponieść temperamentowi. Maddie podejrzewała, że stać go byłoby na coś, co czasami nazywa się zaprowadzeniem w domu porządku – na wykręcenie żonie ręki, kiedy kolacja jest zimna, okazjonalny policzek lub solidne przetrzepanie niższych partii ciała. Cóż, kiedy róża jest już zerwana, nie ma o czym mówić. Nawet spodziewała się czegoś takiego; wręcz oczekiwała z niecierpliwością. Kobięce czasopiśma utrzymywały, że małżeństwa, w których mężczyzna pełni rolę władcy i pana, to pieśń przeszłości, i jeśli facet podnosi na kobietę rękę, powinien być aresztowany za czynną napaść; nawet gdy jest prawowitym małżonkiem. Maddie czytywała czasami u kosmetyczki w magazynach kobiecych listy czytelniczek, ale mocno wątpiła, czy te kobiety wiedziały o istnieniu tak izolowanych wysp jak jej wysepka. Z Little Island pochodziła tylko jedna dziennikarka – Selenia St George – lecz pisywała głównie o polityce, a na wyspę wracała raz w roku, na uroczysty obiad z okazji Święta Dziękczynienia.

– Nie mam zamiaru całe życie łowić homarów, Maddie – oświadczył jej na tydzień przed ślubem Jack, a ona mu uwierzyła.

Rok wcześniej, kiedy zaproponował jej pierwszą randkę (powiedziała „tak”, zanim jeszcze jakiegokolwiek inne słowa zdążyły jej przyjść do głowy, po czym zarumieniła się po nasadę włosów, uświadomiwszy sobie, jak skwapliwie wyraziła zgodę na tę randkę), powiedział: „Nie bede całe życie łowić homarów”. Niby mała różnica... ale wielka jak cały świat.

Trzy razy w tygodniu uczęszczał do szkoły wieczorowej; płynął do niej promem „Island Princess”. Mógł być zmordowany jak koń po całym dniu ciągnięcia sieci z homarami, ale wpadał do domu tylko na chwilę po to, żeby wziąć prysznic, zmyć z siebie zapach homarów i morskiej wody, po czym łykał dwie tabletki pobudzające, które popijał gorącą kawą. Kiedy Maddie zrozumiała, że Jack nie zrezygnuje ze szkoły, zaczęła gotować mu zupy, które wypijał podczas

jazdy w tamtą stronę. W przeciwnym razie skazany byłby na obrzydliwe, czerwone hot dogi sprzedawane w barze na „Island Princess”.

Pamiętała, jak gorączkowo i z jaką rozpaczą przebierała w sklepie puszki z zupami. Było ich tak wiele! Czy chce pomidorową? Niektórzy nie lubią pomidorowej. Tak naprawdę, to jej nie cierpią, nawet jeśli zrobi się ją na mleku, a nie na wodzie. Może jarzynową? Albo bulion z indyka? Albo rosół z kury? Przez prawie dziesięć minut wodziła bezradnie oczyma po półkach, aż w końcu Charlene Nedeau zapytała, czy może w czymś pomóc – ale Charlene zapytała złośliwie i Maddie podejrzewała, że następnego dnia opowie wszystko przyjaciółkom w liceum, a te będą się śmiały z biednej szarej myszki, Maddie Sullivan, która nie potrafi poradzić sobie nawet z tak prostą rzeczą jak kupno puszki zupy. Jak w ogóle mogła przyjąć oświadczenia Jacka Pace’a... ale nic oczywiście nie wiedziały o sterze, który musiała znaleźć, nie wiedziały nic o tym, że gdy już go raz znalazła, musiała mieć kogoś, kto powie, gdzie ma skrócić i w którą stronę skierować tę cholerną łajbę.

Maddie wyszła ze sklepu bez zupy, za to z potężnym bólem głowy.

Kiedy opanowała już wzburzenie, zapytała Jacka, jaką zupę lubi najbardziej.

– Rosół z kury z makaronem. Sprzedają go w puszkach.

Zapytała, czy lubi jeszcze jakieś.

– Nie, tylko rosół z makaronem – padła odpowiedź. – I to ten z puszki.

Tylko tej zupy Jack Pace w życiu pragnął i tylko takiej odpowiedzi (w każdym razie jeśli chodzi o ten temat) potrzebowała. Następnego dnia Maddie, której z serca spadł ogromny kamień, weszła do sklepu po rozchwierutanych drewnianych schodkach i nabyła cztery puszki rosółu z kury z makaronem. Zapytała Boba Nedeau, czy ma jeszcze tę zupę, a on odparł, że na zapleczu stoi cały cholerny karton.

Kupiła cały wielki karton, czym tak go zdumiała, że sam zaniósł ciężar do samochodu, zapominając nawet zapytać, do czego potrzeba jej tyle puszek z rosółem. Za to przeoczenie zdrowo mu się oberwało wieczorem od córki i żony o długim spiczastym nosie.

– Uwierz mi i zapamiętaj to na zawsze – oświadczył Jack, zakładając cumy

(uwierzyła i nigdy nie zapomniała). – Będę kimś więcej niż poławiaczem homarów. Mój tata mówił, że jestem pełen gówna. Powiedział, że skoro ciągnięcie sieci było dobre dla jego starego i starego jego starego, i dla wszystkich z naszej rodziny od czasów francowatego rajy, to jest to również odpowiednie zajęcie dla mnie. Ale ja nie bede... znaczy się, nie zamierzam... łowić całe życie homarów. Chcę robić lepsze rzeczy.

– Popatrzył na nią bardzo surowo, ale oczy wyrażały zdecydowanie, miłość, nadzieję i zaufanie. – Chcę być kimś więcej niż poławiaczem homarów, chcę, byś ty była kimś więcej niż żoną poławiacza homarów. Będziesz miała dom na kontynencie.

– Tak, Jack.

– I nie zamierzam mieć jakiegoś francowatego chevroleta.

– Wziął głęboki oddech, a potem ujął ją za rękę. – Zamierzam mieć oldsmobila. – Popatrzył jej poważnie w oczy, szukając w nich kpiny i szyderstwa z jego dzikich, nieprawdopodobnych rojeń i ambicji.

Ale ona była poważna. Powiedziała: „Tak, Jack”, po raz trzeci czy czwarty tego wieczoru. Podczas trwających rok zalotów powiedziała mu to tysiące razy i naprawdę wierzyła, że powie milion razy, zanim śmierć zabierze któreś z nich – a jeszcze lepiej, jeśli zabierze ich jednocześnie. „Tak, Jack”. Czyż istniały w historii świata dwa słowa, które tworzyły piękniejszą muzykę?

– Kimś więcej niż francowatym poławiaczem homarów, i nie obchodzi mnie, co mi powie mój stary, nie obchodzą mnie jego śmiechy. – Ostatnie słowo wymówił z zawieszonym, typowo wschodnim akcentem: śmichy. – Dokonam tego, a ty dobrze wiesz, kto mi w tym pomoże.

– Tak – odparła cicho Maddie. – Ja.

Roześmiał się i wziął ją w ramiona.

– Jesteś moją trąbką do boju, kochanie – powiedział.

I tak się pobrali, jak to zwykle bywa w bajkach, a dla Maddie tych kilka pierwszych miesięcy – miesięcy, kiedy wszyscy wołali radośnie: „Młodzi małżonkowie!” – naprawdę było bajką. Miała w Jacku oparcie, Jack pomagał jej podejmować decyzje i to było w tym wszystkim najlepsze. Najtrudniejszą decy-

zją, jaką podjęła w pierwszym roku małżeństwa, był wybór nowych firanek pasujących do ich salonu. W katalogu znalazła tak ogromną ofertę, a matka nie mogła jej pomóc. Matka dokonywała właśnie trudnego wyboru w ogromnej ilości papieru toaletowego.

Niemniej rok ten upłynął im w szczęściu, radości i bezpieczeństwie – w szczęściu kochania się z Jackiem w wielkim łożu, gdy zimowy wiatr ciął wyspę niczym ostrze noża deskę do krojenia chleba; w poczuciu pewności, że Jack powie jej, czego pragną i jak to osiągnąć. Miłość była cudowna – tak cudowna, że kiedy czasami w ciągu dnia pomyślała o Jacku, ze wzruszenia aż miękły pod nią kolana i czuła ściskanie w żołądku. Ale jeszcze wspanialsza była świadomość, że Jack wie dokładnie, co mają robić, a ona ślepo mu wierzy. Tak więc ich życie przypominało bajkę.

I wtedy Jack umarł, a wszystko zaczęło się toczyć w sposób przedziwny. Nie tylko dla Maddie.

Dla wszystkich.

Tuż przed tym, jak świat popadł w niezrozumiały koszmar, Maddie odkryła, że jest w stanie, który jej matka określała mianem „błóg”. To krótkie słowo brzmiało jak odkrztuszenie flegmy (w każdym razie tak odbierała je Maddie). Wtedy też przeprowadziła się z Jackiem na sąsiednią wyspę Gennesault, zwaną przez jej mieszkańców i mieszkańców Little Tall po prostu Jenny.

Przeżywała okropne duchowe rozterki, bo po raz drugi z rzędu nie miała okresu. Po czterech bezsennych nocach zamówiła wizytę u doktora McElwaina mieszkającego na kontynencie. Sięgając myślą wstecz, dochodziła do wniosku, że była wówczas bardzo z tego rada. Gdyby czekała, chcąc sprawdzić, czy nadejdzie trzeci z kolei okres, Jack miałby niecały miesiąc, żeby cieszyć się wspaniałą wiadomością, a ją ominęłaby ogromna troska i czułość, jaką zaczął ją otaczać.

Sięgając myślą wstecz – teraz gdy musiała sobie radzić, tamten brak zdecydowania wydawał się jej śmieszny, ale w głębi serca dobrze wiedziała, że poddanie się badaniom wymagało od niej wielkiej odwagi. Pragnęła wówczas czuć się

rano gorzej po to tylko, żeby mieć większą pewność. Pragnęła, żeby w nocy wyrwały ją ze snu nudności. Z lekarzem umówiła się na dzień, gdy Jack wyjechał do pracy, ale nie miało to nic wspólnego z ukradkową wyprawą promem na kontynent. I tak, i tak spotkałaby na pokładzie wielu znajomych mieszkających na obu wyspach. Któraś z tych osób mogłaby przy okazji wspomnieć Jackowi, że spotkała jego żonę na pokładzie „Island Princess”, a Jack chciałby wiedzieć, o co chodzi. Gdyby coś jej się pomyliło z tą ciążą, popatrzyłyby na nią jak na głupią gęś.

Ale nic się jej nie pomyliło. Nosiła w sobie dziecko (a te słowa nie przypominały już wcale dźwięku odkrztuszania flegmy przez kogoś, kto się fatalnie przeziębził). Jack Pace miał dokładnie dwadzieścia siedem dni, żeby nacieszyć się tym dzieckiem. Później mocny, nieoczekiwany przechył łodzi do połowów homarów „My Lady-Love”, którą Jack odziedziczył po swym wuju Mike’u, wyrzucił jej męża za burtę. Dave Eamons oświadczył Maddie zgnębnym głosem, że Jack był wyśmienitym pływakiem i wypłynął na powierzchnię jak korek. Ale kiedy to uczynił, kolejna silna fala pchnęła łódź prosto na niego. Więcej Eamons nic nie powiedział, ale przecież Maddie urodziła się i wychowała na wyspie, więc doskonale wiedziała, co było dalej: tak naprawdę, to wręcz usłyszała głuchy dźwięk, jaki musiał się rozlec, kiedy burta łodzi o tak perfidnej nazwie uderzyła jej męża w głowę, roztrzaskała mu czaszkę i zapewne tę część jego mózgu, która nocami, gdy wchodził w Maddie, kazała mu ciągle wykrzykiwać jej imię.

Jack Pace, ubrany w grubą parkę z kapturem, w puchowe spodnie i ciężkie buty, poszedł na dno jak kamień. Na cmentarzyku na północnym krańcu Jenny Island pochowano pustą trumnę, a wielebny Johnson (zarówno na Jenny jak na Little Tall człowiek zawsze miał wybór: mógł przystać do metodystów, a jeśli mu to nie odpowiadało, mógł zostać chwilowym metodystą) wygłosił kazanie nad pustą trumną, podobnie jak robił to bardzo wiele razy. Ceremonia się skończyła, a Maddie w wieku dwudziestu dwóch lat została wdową, została na łodzi i nie miał jej kto powiedzieć, gdzie jest ster, nie miał jej kto powiedzieć, jak go ująć w dłonie i w którą stronę skrócić.

W pierwszej chwili zamierzała wrócić na Little Tall, wrócić do matki, by tam przeczekać do rozwiązania, ale rok, który spędziła z Jackiem, otworzył przed nią nowe perspektywy, a jej matka była już stracona – zapewne bardziej niż ona sama. I to poddało jej myśl, że powrót do domu matki nie będzie najlepszym rozwiązaniem.

– Maddie – mówił jej ciągle Jack (może dla świata był martwy, ale w jej głowie żył tak realnie jak żaden inny zmarły... albo tak się jej wówczas wydawało) – jedyną decyzją, jaką możesz podjąć, jest niepodejmowanie żadnej decyzji.

Jej matka okazała się niewiele lepsza. Odbyły ze sobą rozmowę telefoniczną i Maddie miała nadzieję, że matka po prostu powie, żeby wróciła do domu. Ale pani Sullivan, odkąd skończyła dziesiąty rok życia, nie podjęła samodzielnej decyzji. „Może powinnaś tu wrócić” – powiedziała nieobowiązująco i Maddie nie wiedziała, czyjej słowa znaczyły: „Proszę, wracaj do domu”, czy też: „Proszę, nie zmuszaj mnie, żebym przez grzeczność składała ci taką propozycję”. Maddie spędziła wiele bezsennych nocy, roztrząsając problem, co jej matka naprawdę miała na myśli, ale im dłużej się nad tym zastanawiała, tym większy zamęt panował w jej głowie.

I wtedy zaczęły się niesamowite zdarzenia. Największą łaską losu okazało się to, że na Jenny istniał tylko jeden mały cmentarzyk (a co ważniejsze, większość pogrzebanych na niej trumien była pusta – fakt, który kiedyś wydawał się jej tak okropny, teraz stał się błogosławieństwem, łaską). Na Little Tall znajdowały się dwa cmentarze. Oba duże, tak więc najbezpieczniej było pozostać na Jenny i czekać.

Maddie postanowiła zatem zaczekać i zobaczyć, czy świat przetrwa, czy też zginie.

Jeśli przetrwa, ona poczeka na dziecko.

I oto wreszcie po okresie życia spędzonym na biernym posłuszeństwie i mglistych postanowieniach, które już w godzinę czy dwie po przebudzeniu mijały jak sen złoty, zaczęła sobie radzić. Wiedziała, że jest to efekt wstrząsów, które nastąpiły jeden po drugim – od śmierci jej męża poczynając, a na ostatnich wia-

domościach nadanych w telewizji satelitarnej, którą odbierali za pomocą anteny zainstalowanej w domu państwa Pulsiferów, kończąc. Podała ją sieć CNN. Przerażony reporter doniósł, iż jest rzeczą pewną, że we Wschodnim Pokoju Białego Domu pożarci zostali żywcem przez zombi prezydent Stanów Zjednoczonych, Pierwsza Dama, sekretarz stanu, starszy, honorowy senator z Oregonu oraz emir Kuwejtu.

– Chcę to powtórzyć – oświadczył reporter. Na czole i brodzie miał ognistoczerwone plamki trądziku wyglądające jak stygmaty. Wykrzywił twarz i usta. Ręce drżały mu spazmatycznie. – Chcę powtórzyć, że prezydent, jego żona i całe grono najbardziej znaczących polityków spożywali właśnie lunch składający się z duszonego łososia i mięczaków.

Następnie chłopak wybuchnął histerycznym śmiechem i wrzasnął wysokim, przeraźliwie piskliwym głosem:

– Naprzód, Yale! Bula-bula!

W końcu zniknął z ekranu, po raz pierwszy, odkąd Maddie sięgała pamięcią, zostawiwszy puste biurko w studiu wiadomości CNN. Maddie i Pulsiferowie siedzieli w pełnym przerażenia milczeniu, dopóki biurko prezentera wiadomości również nie zniknęło z ekranu, a na jego miejscu nie pojawiła się reklama bluesowych płyt Boxcar Williego niedostępnych w normalnej sprzedaży. Tę zdumiewającą kolekcję można było nabyć, wykręcając numer telefonu zaczynający się na osiemset i podany na dole ekranu. Na stole leżał przed Maddie ołówek Cheyne. Z jakichś niezrozumiałych względów sięgnęła po niego i zapisała numer telefonu na kawałku papieru, po czym pan Pulsifer bez słowa wyłączył telewizor.

Maddie podziękowała za wspólne spędzenie wieczoru przed telewizorem i za porcję popcornu, po czym powiedziała dobranoc.

– Maddie, kochanie, czy naprawdę dobrze się czujesz? – zapytała po raz piąty tego wieczoru Candi Pulsifer.

Maddie po raz piąty tego wieczoru odparła, że czuje się dobrze i że radzi sobie, na co Candi z kolei odparła, że dobrze o tym wie, ale jeśli Maddie chce, może przespać się na piętrze w sypialni Briana. Maddie przytuliła Candi, poca-

łowała ją w policzek, odmówiła najbardziej uprzejmie, jak potrafiła, i w końcu gospodarze pozwolili jej wyjść. Maddie, walcząc z wiatrem, pokonała kilometr dzielący ją od własnego domu i dopiero gdy znalazła się w swojej kuchni, uświadomiła sobie, że ciągle ściska w dłoni skrawek papieru z zapisanym numerem. Wykręciła numer, ale po drugiej stronie odpowiedziała jej głucha cisza. Żaden nagrany na taśmę magnetofonową głos nie poinformował jej, że linia jest zajęta albo nastąpiły usterki; żadnych zawodzących syren oznaczających, że kabel jest przerwany; żadnych szumów, trzasków i piskliwych sygnałów. Po prostu głucha cisza. Wtedy właśnie Maddie zrozumiała, że nadszedł albo nadchodzi koniec. Jeśli człowiek nie może już wykręcić numeru zaczynającego się na osiemset i zamówić płyt Boxcar Williego, które są niedostępne w normalnej sprzedaży, jeśli po raz pierwszy, odkąd Maddie sięgała pamięcią, nie ma dyżurnego operatora, koniec świata zbliża się nieuchronnie.

Stojąc obok wiszącego na ścianie w kuchni telefonu, czuła, jak coś ściska ją w żołądku. I wtedy też, po raz pierwszy, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, powiedziała na głos:

– Musi urodzić się w domu. Wszystko będzie w jak najlepszym porządku, jeśli się do tego przygotujesz, dziecino. Zapamiętaj, że nie ma innego wyjścia. Musi urodzić się w domu.

Czekała, aż ogarnie ją lęk, ale nic takiego nie nastąpiło.

– Muszę sobie z tym poradzić – dodała i tym razem już usłyszała własny głos. Poczowała się rażniej, gdy stwierdziła, że powiedziała to pewnie.

Dziecko.

Kiedy urodzi się dziecko, koniec świata sam z siebie dobiegnie końca.

– Raj – powiedziała z uśmiechem.

Był to pełen słodczy uśmiech, uśmiech Madonny. I nieważne, ilu rozkładających się zmarłych (w tym zapewne i Boxcar Willie) włączy się po powierzchni Ziemi.

Będzie miała dziecko. I urodzi je w domu. I wciąż pozostanie jej perspektywa raj.

Pierwsze doniesienia dotarły z maleńkiej australijskiej wioski leżącej w głębi kontynentu, z miejsca o nazwie, która na zawsze pozostała w pamięci: Fiddle Dee. Nazwa pierwszego amerykańskiego miasteczka, skąd przysły wieści o żywych trupach, stała się jeszcze bardziej sławna: Thumper na Florydzie. Pierwsza opisała to najpopularniejsza gazeta amerykańska podająca wiadomości w skrócie; *Inside View*.

W MALEŃKIM MIASTECZKU NA FLORYDZIE UMARŁY WSTAŁ Z GROBU – wrzeszczał ogromnymi literami tytuł na pierwszej stronie. Artykuł zaczynał się streszczeniem filmu zatytułowanego „Noc żywej śmierci”, którego Maddie nie widziała, oraz streszczeniem innego – *Macumba Love* – którego Maddie również nie знаła. Do artykułu dołączono trzy fotografie. Jedną z nich stanowił kadr z filmu „Noc żywej śmierci” i przedstawiał stojącą w nocy obok farmy grupę uciekinierów z domu wariatów. Drugie zdjęcie pochodziło z *Macumba Love* i pokazywało blondynkę w bikini o piersiach rozmiarów rekordowych dyń. Blondynka miała uniesione ręce i wrzeszczała z przerażenia na widok zbliżającego się czarnego mężczyzny w masce. Trzecia fotografia została ponoć wykonana w Thumper na Florydzie. Było to niewyraźne, grubo rastrowane zdjęcie osoby nieokreślonej płci stojącej przed jakimś sklepem ze sprzętem wideo. W artykule określono ją jako „ubraną w strój grobowy”, ale równie dobrze mogło to być brudne prześcieradło.

Nic wielkiego. W zeszłym tygodniu: BIGFOOD ZGWAŁCIŁ ŚPIEWAJĄCEGO W CHÓRZE CHŁOPCA. W tym tygodniu zmarli wstają z grobów. Za tydzień pojawi się zapewne dopuszczający się masowych morderstw karzeł.

Oczywiście, nic wielkiego. Dopóki zmarli nie zaczęli wstawać z grobów w innych miejscach. Nic wielkiego, dopóki nie pojawiła się pierwsza kronika filmowa („Wyprowadźcie dzieci z pokoju” – oświadczył poważnie Tom Brokaw) pokazująca w ogólnokrajowej sieci telewizyjnej gnijące potwory z nagimi kośćmi sterczącymi spod wyschniętej skóry – ofiary wypadków drogowych, z których głów dawno już zszedł makijaż zrobiony przez przedsiębiorców pogrzebowych, więc widać było rozdarte twarze i potrzaskane czaszki; kobiety o włosach niczym dachy uli, w których wiły się robaki i po których spacerowały żuki; kobie-

ty o pustych twarzach wyrażających wyrachowaną inteligencję idioty. Nic wielkiego, dopóki nie pojawiło się pierwsze wydanie magazynu *People* w opasce i z pomarańczową nalepką: NIE DLA DZIECI.

Wtedy było to już coś wielkiego.

Kiedy widzi się na własne oczy rozkładającego się trupa, ciągle jeszcze przybranego w strzępy pogrzebowego garnituru Brooks Brothers, w którym go pochowano, trupa, który rozdziera gardło wrzeszczącej kobiecie w podkoszulku z napisem PROPERTY OF THE HOUSTON OILERS, każdy sobie uświadamia, że to już jest coś wielkiego.

Wtedy też padły wzajemne oskarżenia i zaczęto potrząsać bronią. W ciągu trzech tygodni istoty uciekające z grobów niczym groteskowe ćmy umykające z zarażonych kokonów postawiły świat do góry nogami. Dwie potęgi nuklearne wzięły kurs na zderzenie.

„W Stanach Zjednoczonych nie ma żadnych zombi – oświadczyła telewizja komunistycznych Chin. – To zwykłe kłamstwo mające zakamufłować niewybaczalny akt wszczęcia wojny chemicznej skierowanej przeciw Republice Ludowych Chin; bardziej jeszcze przerażającej (bo zamierzonej) wersji tego, co wydarzyło się w Bhopalu w Indiach. Tak zatem nastąpi akcja odwetowa, jeśli martwi towarzysze wychodzący z grobów nie wrócą przyzwoicie do nich w ciągu dziesięciu dni”. Amerykańscy dyplomaci zostali z Chin wygnani; zdarzyło się kilkanaście przypadków zabójstw amerykańskich turystów.

Prezydent (sam niebawem stał się Specjalnością Zakładu dla Zombi) odparł zgrabnie porzekadłem, że przyganiał kocioł garnkowi (do którego zresztą sam był podobny, ponieważ od chwili powtórnej elekcji utył dwadzieścia pięć kilogramów). „Rząd Stanów Zjednoczonych – oświadczył narodowi amerykańskiemu – posiada bezsporne dowody na to, że wstający z grobu osobnicy w Chinach zostali rozpuszczeni rozmyślnie, i chociaż Główny Panda stał ze zwieszoną głową, twierdząc, że było tam ponad osiemdziesiąt tysięcy zmartwychwstańców kroczących po kraju w poszukiwaniu ostatecznej kolektywizacji, posiadamy niezbite dowody na to, że było ich niespełna czterdziestu. To Chiny dopuściły się czynu – odrażającego czynu – rozpętania wojny chemicznej i przywró-

cenia do życia lojalnych Amerykanów, którymi kieruje teraz jedynie żądza zżerania innych lojalnych Amerykanów, i jeśli ci Amerykanie – a niektórzy z nich byli uczciwymi demokratami – w ciągu pięciu dni nie wrócą do grobów, Czerwone Chiny zamienią się w jeden wielki krater wypełniony radioaktywnym żużlem”.

NORAD¹⁹ ogłosiło już DEFCON-2²⁰, kiedy brytyjski astronom, Humphrey Dagbolt, odkrył satelitę. A może był to statek kosmiczny? Albo stworzenie? Lub czort jeden wie co. Dagbolt mieszkał w zachodniej Anglii i nie był nawet zawodowym astronomem, lecz zwykłym amatorem obserwującym niebo przez teleskop. Nikim szczególnym, jak można by to określić – ale to uratował świat przed wymianą pocisków termojądrowych i totalną wojną jądrową. Niezły wynik jak na tydzień pracy człowieka o złamanej przegrodzie nosowej ciężko chorego na łuszczycę.

Początkowo wydawało się, że politycy dwóch przeciwnych systemów ustrojowych nie chcą uwierzyć w odkrycie Dagbolta, nawet po tym, jak Królewskie Obserwatorium w Londynie oznajmiło, iż jego zdjęcia i podana data są autentyczne. Ostatecznie jednak silosy zostały zamknięte, a wszystkie teleskopy świata skierowane bardzo niechętnie na Gwiazdę Północną²¹.

Powołano amerykańsko-chińską misję kosmiczną, która miała na celu zbadać nieproszonego przybysza. W niecałe trzy tygodnie po opublikowaniu pierwszych zdjęć w *Guardian* z kosmodromu w Lanzhou Heights astronauta poleciał w kosmos. Na pokładzie statku znalazł się również najpopularniejszy astronom świata; ze złamaną przegrodą nosową i całą resztą. Tak naprawdę trudno było pominąć osobę Dagbolta, ponieważ stał się ogólnoswiatowym bohaterem, najśłynniejszym Anglikiem od czasów Winstona Churchilla. Zapytany przez dziennikarza na dzień przed startem, czy się nie boi, Dagbolt wybuchnął tym dziwnym śmiechem przypominającym rechot Roberta Morleya, potarł swój naprawdę straszliwie zdeformowany nos i oświadczył:

– Jestem sparaliżowany ze strachu, mój drogi chłopcze. Drzę ze strachu jak osika na wietrze.

Przyszłość pokazała, że miał po temu powody.

Mieli je wszyscy.

Ostatnie sześćdziesiąt jeden sekund transmisji ze statku „Xiaoping/Truman” trzy zaangażowane w sprawę rządu uznały za zbyt przerażające, toteż taśmy tej nigdy oficjalnie nie emitowano. Nieważne oczywiście, że pojazd kosmiczny śledziło prawie dwadzieścia tysięcy astronomów-amatorów i co najmniej dziewiętnaście tysięcy z nich miało włączone magnetofony w chwili, gdy rakieta... no cóż, nie ma innego słowa... została przejęta.

GŁOS CHIŃSKI: Robaki! Wygląda na to, że jest to potężna kula uformowana...

GŁOS AMERYKAŃSKI: Jezu Chryste! Uważajmy! To leci prosto na nas!

DAGBOLT: To jakieś wyrzucenia. To okno w lewej burcie...

GŁOS CHIŃSKI: Wyłom! Wyłom! Skafandry, przyjaciele! (Niezrozumiały bełkot).

GŁOS AMERYKAŃSKI:...i wydaje się, że przeżerają...

KOBIECY GŁOS CHIŃSKI (Ching-Ling Soong): Och, powstrzymać to, powstrzymać, oczy...

(Odgłos wybuchu).

DAGBOLT: Gwałtowna dekompresja. Widzę trzy... eee, cztery... trupy i robaki... wszędzie tam są robaki...

GŁOS AMERYKAŃSKI: Osłona czołowa! Osłona czołowa! Osłona czołowa!

(Wrzask).

GŁOS CHIŃSKI: Gdzie moja mama? Boże, gdzie jest moja mama?

(Wrzaski. Młaskanie, jakie wydaje bezzębny staruch ssący tłuczone kartofle).

DAGBOLT: W kabinie pełno robaków. w każdym razie przypomina to robaki... tak, to naprawdę robaki... najwyraźniej oddzielają się od głównego satelity... naszym zdaniem... z jednej strony... w kabinie unoszą się rozdarte ludzkie ciała. Te kosmiczne robaki najwyraźniej wydzielają jakiś rodzaj kwasu...

(W tej samej chwili włączyły się pomocnicze silniki raketowe; pracowały przez siedem koma dwie sekundy, co świadczyło zapewne o tym, że astronauci podjęli próbę ucieczki lub że zamierzali staranować główny obiekt. Tak czy ina-

czej, manewr się nie powiódł. Bardzo możliwe, że komory spalania w silnikach zostały już zaczopowane przez robaki i kapitan Lin Yang – czy który tam z nich pełnił akurat dyżur – oznajmił, że w wyniku owego zaczopowania istnieje niebezpieczeństwo wybuchu zbiorników. A następnie wybuchu reaktora).

GŁOS AMERYKAŃSKI: Boże wielki, one są w mojej głowie, zzerają mój pieprzony mó...

(Trzaski).

DAGBOLT: Moim zdaniem zdrowy rozsądek nakazuje nam taktyczne wycofanie się do magazynów na rufie. Reszta załogi nie żyje. Co do tego nie ma wątpliwości. Wielka szkoda. Był to dzielny zespół. Nawet ten gruby Amerykanin, który tak się bał. Z drugiej strony...

(Trzaski).

DAGBOLT:...martwi, ponieważ Ching-Ling Soong... a raczej jej oderwana głowa... właśnie przepłynęła obok mnie w powietrzu. Miała otwarte oczy, którymi mrugała. Najwyraźniej rozpoznała mnie i...

(Trzaski).

DAGBOLT: ...trzymaj się...

(Wybuch. Trzaski).

DAGBOLT: ...wokół mnie. Powtarzam, wokół mnie. Wijące się stwory. Są... mówię, że nikt nie wie, czy...

(Dagbolt krzyczy i klnie, później tylko krzyczy. Znów dźwięki kojarzące się z bezzębnym staruchem).

(Koniec transmisji).

Trzy sekundy później „Xiaoping/Truman” eksplodował. Podczas owej krótkiej i żalosnej kolizji wybrzuszenia w chropowatej kuli nazwanej Gwiazdą Piołun obserwowano ponad trzysta teleskopów. Kiedy rozpoczęło się owo krytyczne sześćdziesiąt jeden sekund transmisji, statek kosmiczny zaczęło przesłaniać coś, co z całą pewnością wyglądało jak robaki. Pod koniec przekazu rakiet przestała być już widoczna – dostrzec można było jedynie te wijące się stwory przyczepiające się do jej burt. W chwilę po ostatecznej eksplozji satelita mete-

orologiczny zrobił zdjęcie unoszącej się chmury szczątków, z których pokażną część stanowiły niewątpliwie strzępy robaków. Kilka ludzkich nóg w strzępach chińskich kombinezonów kosmicznych unoszących się pośród tych szczątków było łatwo rozpoznać.

Ale na swój sposób nie miało to znaczenia. Naukowcy i politycy obu krajów wiedzieli już, gdzie dokładnie znajduje się Gwiazda Piołun: nad rozszerzającą się nad Ziemią dziurą ozonową. Wysyłała stamtąd na Ziemię coś, co z całą pewnością nie było bukietami kwiatów.

Wtedy w ruch poszły pociski rakietowe. Gwiazda Piołun bez trudu zeszła z toru ich lotu, po czym znów zajęła miejsce nad dziurą ozonową.

Na ekranie odbiornika telewizji satelitarnej Pulsiferów pojawiało się coraz więcej wstających z grobów trupów, które następnie przechadzały się swobodnie. Ale nastąpiła drastyczna zmiana. Na początku zombi rzucały się tylko na tych ludzi, którzy zanadto się do nich zbliżyli. Teraz jednak, na kilka tygodni przed tym, jak ekran najnowocześniejszego sony Pulsiferów zasnuł dokładnie elektroniczny biały śnieg, martwi sami próbowali dostać się w pobliże żywych.

Wszystko wskazywało na to, że spodobało się im gryzienie żywych.

Ostatnią próbę zniszczenia stwora podjęły Stany Zjednoczone. Prezydent wydał pozwolenie zaatakowania Gwiazdy Piołun orbitującym rakietom z ładunkiem nuklearnym, ignorując przy tym mężnie wszelkie swoje wcześniejsze zapewnienia, że Ameryka nigdy nie wprowadziła na orbitę – i nie wprowadzi – rakiet z głowicami atomowymi. Wszyscy inni zignorowali je również. Zbyt byli zajęci modlitwą o powodzenie tej akcji.

Był to dobry pomysł, ale niestety chybiony. Żadna z umieszczonych na orbicie rakiet nie odpaliła. Klapa na całej linii.

To tyle jeśli chodzi o nowoczesne technologie.

Później, po wszystkich tych wstrząsach na niebie i na Ziemi, zaczęła się historia z malutkim cmentarzykiem na Jenny. Ale nawet to miało niewielkie znaczenie dla Maddie, ponieważ wcale jej tam nie było. Kiedy koniec cywilizacji stał się oczywisty, a wyspa została odcięta od reszty świata – w odczuciu jej

mieszkańców okazało się to wielkim szczęściem – jeszcze raz sprawdziły się stare metody. Wszyscy już wiedzieli, co się wydarzy. Pytanie tylko kiedy. Mieszkańcy wyspy musieli po prostu zachować czujność i być na tę chwilę przygotowani.

Kobiety zostały z tego wyłączone.

Oczywiście to Bob Daggett pierwszy powołał obserwatorów. Tak zresztą być powinno, ponieważ Bob od tysiąca chyba lat był przewodniczącym rady miejskiej na Jenny. Następnego dnia po śmierci prezydenta (nikt nawet nie wspominał o tym, że on i Pierwsza Dama wałęsają się bezmyślnie po ulicach Waszyngtonu, przeżuwając ludzkie ręce i nogi tak, jak ludzie jedzą kurczaki na pikniku; byłoby to już nie do zniesienia, chociaż zarówno ten skubaniec jak jego żona o blond włosach byli demokratami), Bob Daggett zwołał pierwsze od czasów wojny domowej spotkanie mieszkańców Jenny. Ale tylko mężczyzn. Maddie na nie naturalnie nie poszła, ale dobrze wiedziała, co się tam wydarzyło. Dave Eamons opowiedział jej wszystko z najdrobniejszymi detalami.

– Sytuację wszyscy znamy – zagał Bob.

Cerę miał żółtą, jakby zachorował na żółtaczkę. Wszyscy znali jego córkę, która ciągle mieszkała na wyspie. W sumie miał ich cztery. Trzy żyły gdzieś indziej... to znaczy na kontynencie...

Do licha, jak się okazało, wszyscy mieli jakąś rodzinę na kontynencie.

– Na Jenny jest tylko jeden cmentarz – ciągnął Bob – i jak dotąd nic się nie wydarzyło. Ale to nie znaczy, że się nie wydarzy. W wielu miejscach nic się jeszcze nie wydarzyło... ale wszystko wskazuje na to, że jak raz się wydarzy, nic tego nie powstrzyma.

Pośród zgromadzonych w sali gimnastycznej w szkole podstawowej, jedynym miejscu wystarczająco obszernym, żeby wszyscy się pomieścili, przeszedł szmer aprobaty. Przyszło około siedemdziesięciu osób, poczynając od osiemnastoletniego Johnny'ego Crane'a, a kończąc na Franku, stryjecznym dziadku Boba, który liczył sobie lat osiemdziesiąt, miał szklane oko i żuł tytoń. Na sali gimnastycznej nie było sopluchy, więc Frank Daggett przyniósł sobie słoik po majoj-

nezie, żeby miał gdzie wypływać sok. Starzec to właśnie w tej chwili uczynił.

– Do rzeczy, Bobby – powiedział przy tym. – Nie prowadzisz w tej chwili biura, w którym mógłbyś sobie do woli marnować czas.

Pośród zebranych przeszedł kolejny szmer aprobaty, natomiast Bob Daggett poczerwieniał. Jakoś tak się złożyło, że stryjeczny dziadek zawsze traktował go jak nieudolnego głupca, a jeśli istniało coś, czego Bob nie znosił bardziej niż traktowania go jak głupca, to kiedy ktoś wołał na niego „Bobby”. Na Boga, miał przecież dom! I utrzymywał tego starego piernika – dostarczał mu tego cholernego tytoniu do żucia!

Ale cóż miał odpowiedzieć? Oczy starego Franka były jak dwa krzemienie.

– W porządku – oświadczył krótko Bob. – Potrzebujemy dwunastu wartowników. Za chwilę ustalę składy. Warty będą trwały po cztery godziny.

– Ja tam mogę trzymać wartę znacznie dłużej! – odezwał się głośno Matt Arsenault, a Davey powiedział później Maddie, iż Bob oświadczył po zebraniu, że taki próżniak żyjący z zasiłku jak Matt Arsenault nigdy nie odważyłby się zabrać głosu na zebraniu starszych i lepszych od siebie, gdyby ten utrapiony staruch nie nazwał go Bobbym. Zupełnie jakby on, Bob, był dzieciuchem, a nie poważnym człowiekiem, który za trzy miesiące będzie miał pięćdziesiątkę na karku.

– Może tak, może nie – odparł Bob – ale mamy tu wiele ciepłych ciał i nikomu nie wolno zasnąć na warcie.

– Nie zamierzam...

– Nie powiedziałem, że ty – przerwał mu Bob, ale sposób, w jaki patrzył na Matta, wyraźnie wskazywał, że to zapewne jego miał na myśli. – To nie zabawa. Siadaj i zamknij się.

Matt Arsenault otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć, rozejrzał się po zebranych, popatrzył na Franka Daggetta i poskromił język.

– Jeśli któryś z was ma broń, niech ją przyniesie – ciągnął Bob. Poczul się znacznie pewniej, gdy usadził tego Matta Arsenaulta. – Dotyczy to tych, którzy skończyli dwadzieścia dwa lata. Jeśli ktoś nie posiada broni, dostanie ją tutaj.

– Nie wiedziałem, że w szkole mają pod ręką broń – odezwał się Cal Partrid-

ge i zebrani wybuchnęli gromkim śmiechem.

– Dopiero od tej chwili – wyjaśnił Bob. – Każdy, kto posiada w domu więcej niż jeden karabin, musi go tu przynieść.

– Popatrzyl na Johna Wirleya, kierownika szkoły. – Johnny, możemy trzymać broń w twoim gabinecie?

Wirley skinął głową. Obok niego stał wielebny Johnson i nerwowo zacierał dłonie.

– Chrzanię to – wtrącił Orrin Campbell. – Mam żonę i dwoje dzieci. Czy mam ich zostawić w domu bez opieki? Kto ich obroni, jeśli ta banda szmaciarzy pojawi się na wcześniejszy obiad z okazji Święta Dziękczynienia, a ja w tym czasie będę na warcie?

– Jeśli tylko przypilnujemy cmentarza, nikt nie przyjdzie – odparł poważnie Bob. – Niektórzy posiadają pistolety. Ustalcie, które kobiety potrafią strzelać, a które nie. Zgromadzimy je parami i damy po pistolecie.

– Mogą sobie postrzelać z pistoletu na groch – zaskrzeczał stary Frank.

Tym razem również Bob się roześmiał.

Na Boga, Frank miał rację.

– Na noce ustawimy wokół cmentarza samochodu, ponieważ będziemy potrzebować dużo światła.

Bob popatrzył na Sonny'ego Dotsona, który prowadził Island Amoco, jedyną stację benzynową na Jenny. Oczywiście główne dochody Sonny czerpał nie ze sprzedaży paliwa do samochodów i ciężarówek – na wyspie nie było zbyt wiele miejsca do jeżdżenia autem, a na kontynent można było dostać się za dziesięć centów – lecz z napełniania baków łodzi do połowu homarów oraz motorówek, co robił latem na specjalnej przystani.

– Dostarczysz nam paliwa, Sonny?

– Czy mam wystawiać rachunek?

– Masz uratować własną dupę – odrzekł Bob. – Kiedy sytuacja wróci do normy, jeśli wróci, sądzę, że odzyskasz te pieniądze.

Sonny rozejrzał się, ale ponieważ napotkał jedynie twarde wzrok zgromadzonych, wzruszył ramionami. „Wyglądał ponuro, lecz tak naprawdę był zmieszany

ny” – oświadczył Davey Maddie następnego dnia.

– Paliwa mam tylko czterysta galonów – wyjaśnił Sonny.

– Głównie ropa.

– Na wyspie jest pięć generatorów – odezwał się Burt Dorfman (kiedy Burt zabierał głos, wszyscy uważnie słuchali. Jako jedynego Żyda na wyspie traktowano go po trosze z pobłażaniem, po trosze z obawą; niczym zatrudnioną na pół etatu wyrocznie). – Pracują na ropę. Jeśli będzie trzeba, mogę zainstalować światła.

Wśród zebranych przeszedł cichy pomruk. Skoro Burt twierdzi, że może, to znaczy, że może. Był Żydem i elektrykiem, a na sąsiednich wyspach cieszył się zasłużoną sławą pierwszorzędnego fachowca.

– Potrzebujemy tyle światła, żeby na cmentarzu było jasno jak na jakiejś cholernej estradzie – oświadczył Bob.

Podniósł się z miejsca Andy Kingsbury.

– Słyszałem, że jeśli takiego stwora trafić prosto w głowę, to czasem nie wstaje, ale czasem wstaje.

– Mamy piły łańcuchowe – powiedział stanowczo Bob – i jeśli nawet będzie chciał wstać... no, cóż, już nasza w tym głowa, żeby za daleko nie zaszedł.

I to właśnie, obok wystawionych wart, okazało się najskuteczniejsze.

Upłynęło sześć dni i nocy, toteż tkwiący na posterunkach wokół cmentarza na Jenny ludzie zaczęli się czuć coraz bardziej głupio („Nie wiem, czy trzymam wartę, czy tylko przychodzę sobie pograć” – oświadczył pewnego popołudnia Orrin Campbell, gdy tuzin mężczyzn zgromadził się przy cmentarnej furcie i grał w pokera), kiedy wszystko się zaczęło...

...a kiedy się już zaczęło, wypadki potoczyły się w błyskawicznym tempie.

Dave oświadczył Maddie, że usłyszał dźwięk przypominający zawrodozenie wiatru w kominie w wietrzną noc i wtedy przewrócił się nagrobek na mogile Michaela, syna państwa Fournierów, który w wieku siedemnastu lat zmarł na białaczkę (okropna tragedia, bo był jedynakiem, a oni tak sympatycznymi ludźmi). W chwilę później pojawiła się w trawie poszarpana dłoń porośnięta

mchem. Na jednym palcu widać było sygnet szkoły w Yarmouth. W trakcie rozgrzebywania ziemi odpadł środkowy palec.

Ziemia wydeła się (jak brzuch ciężarnej kobiety na chwilę przed rozwiązaniem – chciał w pierwszej chwili powiedzieć Dave, ale zdążył się opamiętać), grób zafalował i w mogile usiadł chłopak, lecz był nie do rozpoznania; na pewno nie po dwóch latach spędzonych w grobie.

– W czymś, co pozostało z jego twarzy, tkwiły drobne drzazgi – mówił Davey – a na ubłoconych włosach resztki lśniącej, niebieskiej tkaniny. Były to resztki kapy trumiennej – dodał, spuszczać wzrok na dłonie, w których wyłamywał sobie palce.

– Jestem tego pewien tak, jak swego imienia i nazwiska...

– Urwał na chwilę. – Dzięki Bogu, że ojciec Mike'a tego nie widział.

Maddie skinęła głową.

Pełniący wartę byli przerażeni, ale i zdecydowani na wszystko. Otworzyli ogień do ożywionych zwłok byłego mistrza szkoły w baseballu i kule rozdarły go na strzępy. Niektóre strzały, oddane w dzikiej panice, rozłupały marmurowy nagrobek. Całe szczęście, że uzbrojeni ludzie, kiedy wybuchła strzelanina, znajdowali się w jednym miejscu. Gdyby stali na dwóch skrzydłach, jak początkowo planował Daggett, najprawdopodobniej wzajemnie by się pozabijali. A tak nikt nie został ranny, jakkolwiek następnego dnia Bud Meechum odkrył w rękawie swojej koszuli bardzo podejrzanie wyglądającą dziurę.

– Zapewne rozdarłem ją sobie w krzakach jeżyn – powiedział.

– Wiecie, po tamtej stronie wyspy rośnie ich bardzo dużo.

Nikt nie zaprzeczał, ale zwęglone krawędzie dziurki bardzo wystraszyły jego żonę, która stwierdziła, że ten cień musiał mieć zadziwiająco duży kaliber.

Dzieciak Fournierów opadł na plecy, większa część zwłok leżała bez ruchu, inne części ciągle drgały... i wtedy cały cmentarz zaczął drżeć, wybrzuszał się jak podczas trzęsienia ziemi. Ale tylko cmentarz, nic więcej.

Stało się to na godzinę przez zachodem słońca.

Burt Dorfman podłączył syrenę do prądnicy traktora, a Bob Daggett ją uruchomił. W ciągu dwudziestu minut wszyscy mężczyźni z wyspy znaleźli się na

cmentarzu.

„I cholernie dobrze się stało” – oświadczył Dave Eamons, gdyż kilku umarłakom o mało nie udało się zbiec. Stary Frank Daggett, na dwie godziny przed zawałem serca, kiedy uspokoiło się zamieszanie, zorganizował i rozstawił nowych ludzi w ten sposób, by nie mogli się nawzajem powystrzelać i przez ostatnich dziesięć minut na cmentarzu na Jenny grzmiało, jakby przebiegało po nim olbrzymie stado bizonów. Pod koniec palby w powietrzu unosił się tak gęsty dym, że dławiał dech w piersiach. Ale kwaśny smród rzygowin był jeszcze silniejszy od woni prochu... ostrzejszy i dłużej utrzymywał się w powietrzu.

Ale ciągle niektórzy z nich drgali i wili się niczym węże z przetraconymi grzbietami – przeważnie ci, którzy spoczywali w grobach krócej.

– Burt! – zawołał Frank Daggett. – Rozdałeś piły łańcuchowe?

– Mam je – odparł Burt, po czym wydał długi furkot, jak cykada wspinająca się na pień drzewa, a następnie zwymiotował. Nie mógł oderwać wzroku od wijących się zwłok, poprzewracanych nagrobków i rozwartych grobów, z których wyłonili się umarli.

– Mam je na ciężarówce.

– Zatankowane? – Na łysej, starczej czaszce Franka wystąpiły błękitnawe żyły.

– Tak. – Burt znów przyłożył dłoń do ust. – Przepraszam...

– Możesz rzygać, ile chcesz – odparł żwawo Frank – ale zjeżdżaj stąd i rozdaj te piły. I ty... ty... ty... i ty.

Ostatnie „ty” odnosiło się do syna jego bratanka, Boba.

– Stryjku Frank, nie mogę – odparł słabym głosem Bob. Rozejrzał się, dostrzegł pięciu czy sześciu przyjaciół i sąsiadów leżących w wysokiej trawie. Nie umarli; po prostu stracili przytomność. Większość z nich widziała swych krewnych wstających z grobów. Buck Harkness, który osunął się na ziemię pod osiką, należał do grupy strzelców, których kule rozerwały jego żonę na strzępy. Zemdlął na widok jej zgniłego mózgu toczzonego przez robactwo, gdy pocisk trafił ją w głowę i zawartość czaszki wytrysnęła przerażającą, szarą mazią.

– Nie mogę. Nie mo...

Frank wyrznął go w twarz pokręconą artretyzmem, ale twardą jak kamień dłonią.

– Możesz i zrobisz to, koleżko – oświadczył.

Bob poszedł z resztą wyznaczonych mężczyzn.

Frank Daggett obserwował ich ponurym wzrokiem i pocierał pierś, skąd przez lewe ramię aż do łokcia zaczynał już promieniować pulsujący ból. Frank był stary, ale nie głupi i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, czym jest ten ból i co on oznacza.

– Powiedział, że chyba rozsadzi mu klatkę piersiową, i poklepał się dłonią w okolicy serca – mówił Davey, demonstracyjnie kładąc dłoń na potężnie rozwiniętym mięśniu tuż pod lewą sutką.

Maddie skinęła głową na znak, że zrozumiała.

– Powiedział: „Jeśli coś mi się przytrafi, nim skończy się cały ten bałagan, Davey, ty, Burt i Orrin przejmiecie dowództwo nad ludźmi. Bobby to dobry chłopak, ale sądzę, że stracił ducha... mam nadzieję, że na krótko. A wiesz, czasami jak mężczyzna traci ducha, potrafi uciec”.

Maddie znów skinęła głową, myśląc o tym, jakie spotkało ją szczęście... jak wielkie spotkało ją szczęście, że nie jest mężczyzną.

– No i w końcu zrobiliśmy to – odezwał się Dave.

– Opanowaliśmy bałagan.

Maddie po raz trzeci skinęła głową, ale musiała coś powiedzieć, gdyż Davey oświadczył, że jeśli nie chce już tego dłużej słuchać, nie powie ani słowa. Naprawdę zamierzał tak zrobić.

– Zniosę wszystko – powiedziała zatem cicho. – Nawet nie wyobrażasz sobie, ile potrafię znieść.

Obrzucił ją szybkim, ciekawym spojrzeniem, ale ona odwróciła głowę, zanim zdążył wyczytać z jej oczu sekret.

Davey nie znał tego sekretu, ponieważ nikt na Jenny go nie znał.

Tak postanowiła Maddie i chciała, żeby tak już zostało. W swoim czasie mu-

siała w błękitnym mroku wstrząsu udawać, że daje sobie radę. Wtedy wydarzyło się coś, co sprawiło, że przyszło jej pokonać samą siebie i naprawdę dać sobie radę. Na cztery dni przed tym, zanim cmentarz na Jenny wyrzygał z siebie zwłoki, Maddie Pace musiała podjąć decyzję i albo dać sobie radę, albo umrzeć.

Siedziała u siebie w domu w salonie, popijała ze szklanki wino z czarnej borówki, które wraz z Jackiem nastawiła w sierpniu poprzedniego roku – w czasach, które wydawały się niesłychanie odległe – i robiła coś aż śmiesznie banalnego. Robiła na drutach maleńkie ubranko. Tak naprawdę to buciki. Ale cóż innego miała do roboty? Wiadomo było, że jeszcze długo nikt nie wybierze się do sklepu Wee Folks na Ellsworth Mall.

Coś głucho walnęło w okno.

Nietoperz – pomyślała i podniosła głowę. Ale druty znieruchomiały w jej dłoniach. W szybę uderzyło coś większego, coś, co poruszało się gwałtownymi ruchami w wypełnionym wiatrem mroku. Lampa naftowa paliła się największym płomieniem i rzucała zbyt wiele refleksów na szkło w oknach, żeby Maddie mogła być pewna, co widzi. Przygasiła więc lampę, a w szybę znów coś głucho uderzyło. Okno zadrżało. Usłyszała, że o blaszany parapet biją drobne kawałki odprysniętego kitu. Jack planował tej jesieni ponownie oszklić wszystkie okna – przypomniała sobie, a następnie pomyślała: Może właśnie po to wrócił? Lecz to już było czyste szaleństwo. Spoczywał przecież na dnie morza, ale...

Siedziała z przechyloną na bok głową, w znieruchomiłych dłoniach trzymała druty i robótkę. Maleńkie, różowe buciki. Wcześniej zrobiła już niebieskie. Nagle uświadomiła sobie, ile dociera do niej dźwięków. Wiatr. Odległy grzmot fal na Cricket Ledge. Ciche trzaski domu, który osiadał jak stara kobieta wygodnie moszcząca się w łóżku. Tykanie zegara w korytarzu.

– Jack? – zapytała ciszę nocną, która nie była już ciszą.

– Czy to ty, kochanie?

I wtedy okno z trzaskiem wpadło do pokoju, a to, co przelazło przez wyłom, nie było tak naprawdę Jackiem, lecz szkieletem pokrytym gdzieś gnijącym, odpadającym od kości ciałem.

Na szyi ciągle miał zawieszony kompas. Z twarzy spływała broda utkana

z mchu.

Rozwiewana wiatrem firanka unosiła się nad nim niczym chmura, a on leżał rozciągnięty na podłodze. Po chwili dźwignął się na ręce i kolana, a potem popatrzył na nią czarnymi oczodołami, w których zagnieździły się pąkle.

Wydał przypominający chrząknięcie dźwięk. Jego pozbawione ciała usta otworzyły się, zadzwonił zębami. Był głodny... ale tym razem już nie miał ochoty na rosół z kury z makaronem. Nawet na ten z puszki.

W czarnych oczodołach, za pąklami, przelewało się coś szarego i Maddie uświadomiła sobie, że patrzy na resztki mózgu Jacka. Siedziała bez ruchu, zmrożona przerażeniem, a on podniósł się z podłogi i ruszył w jej stronę, zostawiając za sobą na dywanie czarne smugi wodorostów. Wyciągnął ręce. Cuchnął solą i głębiną. Wyciągnął ręce jeszcze bardziej. Nieustannie kłapał zębami.

Maddie spostrzegła, że ciągle ma na sobie resztki czarno-czerwonej koszuli, którą kupiła mu u L. L. Beansa w ostatnie Boże Narodzenie. Kosztowała zawrotną sumę, ale Jack nieustannie chwalił ją, że jest bardzo ciepła. Jeszcze teraz wyglądała całkiem przyzwoicie jak na tak długie przebywanie w wodzie.

Zimna pajęczyna kości – wszystko, co pozostało z jego palców – dotknęła jej szyi na chwilę przed tym, jak noszone pod sercem dziecko kopnęło ją w brzuchu – po raz pierwszy – a Maddie w jednej chwili opuściły przerażenie i drętwota, które brała dotąd za spokój. Bez wahania wbiła jeden z drutów w oko stwora.

Z przerażającym, ochrypłym dźwiękiem przypominającym wizgot pompy zachwiał się i zrobił krok do tyłu. Chwycił drut w resztki palców, a do połowy zrobiony różowy bucik bujał mu się przed jamą, która kiedyś była nosem. Maddie widziała, jak z tej dziury wypęłza bezskorupowy morski ślimak i zostawiając za sobą mulisty ślad, włazi do bucika.

Jack przewrócił się na kant stołu, który Maddie kupiła na wyprzedaży zaraz po ślubie... Długo nie mogła się zdecydować na ten zakup, długo się ze sobą męczyła, aż w końcu Jack oświadczył, że albo ona go kupi do ich salonu, albo on pójdzie na licytację i nabędzie go za dwukrotnie wyższą cenę, niż zapropo-

nowano jej na wyprzedaży, ale wtedy ten przeklęty mebel wrzuci do ognia i...

...i...

Z trzaskiem zwałił się na podłogę i rozłamał się na pół. Prawą ręką wyrwał z oczodołu drut zbrukany mazistą, gnijącą substancją mózgową i odrzucił daleko od siebie. Górna połowa tego, co kiedyś było jej mężem, popęzła w stronę Maddie. Jack nieustannie zgrzytał zębami.

Pomyślała, że on usiłuje się uśmiechnąć, ale wtedy dziecko ponownie ją kopnęło i przypomniała sobie, jak osobliwie był zmęczony i wyprowadzony z równowagi na tej wyprzedaży u Mabel Hanratty. „Kupuj to, Maddie, na rany Chrystusa! Jestem zmęczony! Chcę tylko wrócić do domu i zjeść obiad! Jeśli nie kupisz, dam tej starej nietoperzycy dwukrotnie wyższą sumę, niż żąda, a później napalę tym stołem w piecu wraz...”.

Zimna, ociekająca wodą dłoń zacisnęła się na jej kostce. Obrzydliwe zęby rozwarły się do ugryzienia. Zabić ją, zabić dziecko. Wyrwała nogę z uścisku, zostawiając w gnijącej ręce kapeć, który natychmiast stwór wsadził do ust, po czym go wypluł.

Kiedy wróciła z komórki, pełznął bezmyślnie do kuchni – w każdym razie jego górna część – a po płytkach podłogi włókł się za nim kompas. Na dźwięk jej kroków uniósł głowę.

Zanim rąbnęła siekierą, dostrzegła w jego czarnych oczodołach jakieś idiotyczne pytanie. Rozłupała mu czaszkę na dwoje, podobnie jak on wcześniej rozłupał się o kant stołu.

Głowa pękła na dwa kawałki, na kafelkach podłogi rozlał się mózg niczym zepsuta owsianka, mózg, w którym pełzały ślimaki i wiły się galaretowate, morskie stworzenia, mózg, który cuchnął niczym świstak rozkładający się w wysokiej trawie w środku lata.

Jego dłonie cały czas klekotały i biły w kafelki podłogowe, wydając dźwięk, jaki wydawać by mogły olbrzymie chrabąszcze.

Rąbała... rąbała... rąbała.

Rąbała tak długo, aż szczątki znieruchomiały.

Poczuła w środkowych partiach ciała przeszywający ból i ogarnęło ją skrajne

przerażenie. Poroniłam? – błysnęło jej w głowie. – Czy naprawdę poroniłam? Ale ból szybko minął, a dziecko znów ją kopnęło, tym razem mocniej niż poprzednio. Wróciła do salonu, ciągle dzierżąc w dłoni siekiere; teraz odrażająco śmierdząca.

Jego nogom jakoś udało się powstać z podłogi.

– Jack, tak bardzo cię kochałam – powiedziała – ale teraz to już nie jesteś ty.

Wzniosła siekiere i szerokim łukiem rozplatała mu miednicę, rozplatała dywan, a ostrze wbiło się mocno w twardą, dębową posadzkę.

Nogi rozpadły się i drżały wściekle przez dobrych pięć minut, po czym zaczęły nieruchomieć. W końcu nawet paluchy u stóp przestały się ruszać.

Włożywszy rękawice, zaniósła go, kawałek po kawałku, do piwnicy i każdy szczątek zawijała w płachty termiczne, które Jack trzymał w komórce, a których dotąd nie wyrzuciła. On i jego załoga zawijali w nie w czasie mrozów homary, żeby nie zamarzły.

W pewnej chwili odrąbana ręka chwyciła ją w pasie. Maddie stała bez ruchu i czekała, serce ciężko jej biło, ale po chwili ręka rozluźniła uścisk. I to był koniec. To był jego koniec.

Pod domem, w piwnicy znajdował się duży zbiornik, który Jack planował oczyścić i ponownie napełnić wodą. Maddie odsunęła ciężką, betonową pokrywę; kłapa leżała na klepisku niczym częściowo zaćmione słońce. Maddie zaczęła po kolei wrzucać do środka szczątki, nasłuchując głuchego plusku wody. Kiedy wrzuciła ostatni kawałek, zasunęła otwór ciężką płytą.

– Spoczywaj w wieczności – szepnęła, a jakiś wewnętrzny głos podpowiedział jej, że spoczywa, ale nie w całości.

Wybuchnęła płaczem, który szybko przeszedł w histeryczne zawodzenie. Odgarnęła z twarzy włosy i tak długo rozdrapywała sobie piersi, aż całe spłynęły krwią. I wtedy pomyślała: Jestem szalona. Tak, jestem sza...

Ale zanim zdążyła dokończyć zdanie, osunęła się nieprzytomna na ziemię. Omdlenie przeszło w głęboki sen, a następnego ranka czuła się już normalnie.

Ale nigdy nikomu o tym nie powiedziała.

Nigdy.

– Zniosę wszystko – oświadczyła ponownie Dave’owi Eamonsowi, wyrzucając z pamięci obraz druta ze zwisającym z niego bucikiem, sterczącego z zamulonego, pełnego wodorostów oczodołu stwora, który niegdyś był jej mężem i ojcem dziecka, które nosiła w łonie. – Naprawdę.

Tak więc opowiedział jej, zapewne dlatego, że musiał o tym komuś powiedzieć, bo inaczej sam by zwariował. Najgorsze rzeczy opowiedział jednak w ogromnym skrócie. Powiedział, że zwłoki, które żadną miarą nie chciały same wrócić do krainy umarłych, pocięli piłami łańcuchowymi. Nie wspomniał jednak, że niektóre szczątki długo jeszcze wiły się i drgały. Odrąbane dłonie zginały bezmyślnie palce, odcięte stopy kopały zrytą pociskami ziemię, jakby próbowały ucieczki. Te szczątki oblano ropą i podpalono. Wcale nie musiał tych szczegółów opowiadać Maddie. Widziała płomienie z okien swego domu.

Później jedyny na Gennesault Island samochód strażacki skierował sikawki na gasnące płomienie, choć nie istniała groźba, że silny wschodni wiatr nawiewający iskry w stronę morza rozniesie ogień po wyspie. Gdy nie zostało już nic poza cuchnącymi, wilgotnymi bryłami (a i to od czasu do czasu wszczynał się wśród nich jakiś ruch, jak drganie zmęczonych mięśni), Matt Arsenault uruchomił buldożer D-9 Caterpillar, zasiadł nad stalowym lemieszem maszyny – białą jak twaróg twarz chłopaka ocieniała gruba, dźwiękoszczelna czapka operatora ciężkiego sprzętu – i zorał gąsienicami cuchnącą masę.

Właśnie wszedł księżyc, kiedy Frank odciągnął na bok Boba Daggetta, Dave’a Eamonsa i Cala Partridge’a. Frank odezwał się do Dave’a:

- Wiedziałem, że nadchodzi, i oto mam.
- O czym mówisz, stryjku? – zapytał Bob.
- Moje serce... Wysiada mi to cholerstwo...
- No cóż, stryjek Frank...
- Nieważne, czy stryjek Frank to, czy stryjek Frank tamto – przerwał mu starzec. – Nie zamierzam słuchać głupot, które płyną z twojego organu mowy. Połowa moich przyjaciół przebyła tę samą drogę. To nie potrwa długo, ale mogło być gorzej. Mógł mnie na przykład tłuc rak.

Ale jest inna przykra sprawa, którą muszę poruszyć. Kiedy już upadnę, nie zamierzam wstawać. Przyłóż mi lufę swego karabinu do lewego ucha. Dave, kiedy uniosę lewą rękę, przyłóż mi lufę do pachy. A ty, Bobby, trzymaj swoją przy moim sercu. Chcę odmówić jeszcze Modlitwę Pańską, a kiedy powiem: „Amen”, cała trójka ma jednocześnie pociągnąć za spusty.

– Stryjku Frank... – zaczął Bob.

Zachwiał się.

– Powiedziałem, nie zaczynaj – odparł Frank. – I nie waż mi się tutaj mdleć, pieprzony szczyłu. No, przykładajcie lufy.

Bob uczynił, co mu kazano.

Frank rozejrzał się po twarzach trzech mężczyzn. Mieli równie białe oblicza jak Matt Arsenault, kiedy wjeżdżał buldożerem na kobiety i mężczyzn, których znał od najwcześniejszego dzieciństwa, od czasów, gdy chodził jeszcze w krótkich majtkach i postrzępionej koszuli.

– Tylko niczego nie spieprzcie, chłopcy – przestrzegł Frank. Mówił pozornie do całej trójki, ale wzrok miał utkwiony w syna swego bratanka. – Jeśli nie macie zamiaru tego zrobić, to oświadczam, że ja zrobiłbym to wam bez wahania.

– Daj spokój z tymi przemowami – odparł ochryple Bob.

– Kocham cię, stryjku Frank.

– Nie jesteś takim mężczyzną, jakim był twój ojciec, Bobby, ale również cię kocham – powiedział cicho Frank i z jękiem bólu uniósł lewą rękę nad głowę; jak facet z Nowego Jorku, kiedy chce zatrzymać taksówkę, i zaczął odmawiać modlitwę. – Ojciec nasz, któryś jest w niebie... Chryste, ależ to boli... święć się imię Twoje... och, łobuzie!... przyjdź królestwo Twoje, jako w niebie tak i na... tak i na...

Wzniesiona ręka Franka drżała dziko. Dave Eamons, z lufą karabinu przytkniętą do pachy starszaka, obserwował go uważnie, jak drwal ogląda drzewo, które ma ściąć, i nie chce, żeby spadło w niewłaściwą stronę. Wszyscy mężczyźni patrzyli tak samo. Na poblądłej twarzy starego człowieka pojawiły się grube krople potu. Rozchylił wargi, pokazując żółtawobiałą sztuczną szczękę, z ust dobył mu się zapach pasty Polident.

– ...tak i na ziemi – wydyszał starzec – i nie wódź nas na pokuszenie alenaszawodezłegoAMEN!

Cała trójka pociągnęła za spusty, a potem dwaj mężczyźni, Cal Partridge oraz Bob Daggett, zemdleli, ale przynajmniej Frank nigdy już nie wstanie i nie zacznie wędrować po świecie.

Frank Daggett chciał pozostać martwy i dopiął swego.

Skoro Dave zaczął już tę opowieść, musiał ją doprowadzić do końca, choć przeklinał się w duchu za to, że w ogóle ją zaczął. Miał rację od samego początku: nie była to historia, jaką opowiada się ciężarnej kobiecie.

Ale Maddie pocałowała go i powiedziała, że jej zdaniem postąpił wspaniale, podobnie jak Frank Daggett. Dave wyszedł lekko oszołomiony, zupełnie jakby pocałowała go w policzek kobieta, której nigdy wcześniej nie spotkał.

W gruncie rzeczy zresztą tak właśnie było.

Obserwowała, jak idzie ścieżką w kierunku bitej drogi, jednej z dwóch głównych dróg na Jenny, i jak skręca w lewo. W blasku księżyca widziała, że lekko się chwieje. Chwieje się ze zmęczenia – pomyślała – ale również z powodu wstrząsu, jaki przeżył. Towarzyszyła mu sercem... towarzyszyła im wszystkim. Chciała powiedzieć Dave'owi, że go kocha, i pocałować go w usta, a nie tylko musnąć wargami jego policzek, ale on mógł to opacznie zrozumieć, chociaż był kompletnie zmordowany, a ona prawie w piątym miesiącu ciąży.

Ale kochała go, kochała ich wszystkich, ponieważ przeszli przez piekło, żeby uratować dla niej ten niewielki, odległy o siedemdziesiąt kilometrów od kontynentu skrawek ziemi obmywany falami Atlantyku.

Uratowali go dla jej dziecka.

– Urodzi się w domu – powiedziała cicho, gdy Dave zniknął jej z oczu za ciemną sylwetką anteny satelitarnej Pulsiferów. Wzniosła oczy do księżyca. – Urodzi się w domu... i wszystko będzie dobrze.

Pora deszczowa

O wpół do piątej po południu John i Elise Grahamowie znaleźli wreszcie drogę do małej wioski leżącej, niczym ziarenko piasku w wątpliwej jakości perle, w środku okręgu Willow w stanie Maine. Osada znajdowała się niecałe osiem kilometrów od Hempstead Place, ale oni dwukrotnie skręcili w niewłaściwą stronę. Kiedy już wjechali na Main Street, byli spoceni, było im gorąco i wszystkiego mieli serdecznie dosyć. Podczas długiej jazdy z St Louis w ich fordzie przestała działać klimatyzacja, a temperatura na zewnątrz dochodziła do czterdziestu pięciu stopni. Tak ciepło nie jest – pomyślał John Graham. Dawniej mawiano, że to nie kwestia upału, ale wilgotności powietrza. Odnosił wrażenie, że mógłby wyzyskać z niego krople ciepłej wody. Niebo pozostawało wprawdzie przejrzyste i błękitne, ale czuło się, że w każdej chwili może zacząć padać. Kurczę blade... czuł, że już zaczęło padać.

– Tam jest ten supermarket, o którym wspominała Milly Cousins – odezwała się Elise, wskazując palcem kierunek.

John chrząknął.

– Na supermarket przyszłości to on nie wygląda.

– Nie – przyznała ostrożnie Elise.

Oboje zresztą zachowywali się ostrożnie. Od dwóch lat byli małżeństwem i naprawdę się kochali, ale teraz mieli za sobą długą drogę z St Louis odbytą samochodem z zepsutym radiem i niedziałającą klimatyzacją. John spodziewał się, iż tutaj, w Willow, spędzą cudowne lato (powinni, zwłaszcza że za ich pobyt płacił Uniwersytet Missouri), lecz podejrzewał, że minie co najmniej tydzień, zanim na dobre się rozlokują. Ale z powodu panującego upału awantura wisiała w powietrzu. A żadne z nich nie chciało takiego początku wakacji.

John powoli prowadził samochód po Main Street, zmierzając do sklepu spożywczego, w którym sprzedawano również artykuły gospodarstwa domowego. Po obu stronach werandy wisiały zardzewiałe szyldy przedstawiające niebieskiego orła, więc John stwierdził, że mieści się tutaj również poczta. W popołudniowym świetle sklep sprawiał wrażenie uśpionego. Pod tablicą z napisem: KANAPKI WŁOSKIE PIZZA ARTYKUŁY SPOŻYWCZE ZEZWOLENIA NA WĘDKOWANIE stało tylko stare, zdezelowane volvo, ale w porównaniu z resztą miasteczka miejsce to wydawało się wręcz tętnić życiem. W witrynie, mimo że do zmierzchu brakowało jeszcze prawie trzech godzin, z sykiem palił się neon reklamujący piwo. Bardzo istotne – pomyślał John.

– Z całą pewnością właściciel, zanim umieścił tutaj ten neon, musiał całą sprawę uzgodnić z władzami stanowymi.

– Myślałam, że Maine to atrakcyjne tereny rekreacyjne – odezwała się Elise.

– Sądząc po tym, co tu widzimy, Willow leży na uboczu głównego szlaku turystycznego – odparł John.

Wyszli z samochodu i wspięli się po schodkach na werandę. Na wyplatany, bujanym fotelu siedział starszy jegomość, który zmierzył ich przenikliwym spojrzeniem małych, niebieskich oczu. Robił skręta w palcach, sypiąc tytoniem na rozłożonego u jego nóg psa. Było to wielkie, płowe psisko rasy bardzo wielorasowej. Zwierzę złożyło łapy dokładnie pod biegunem fotela. Starzec nie zwracał najmniejszej uwagi na psa, zupełnie jakby nie zdawał sobie sprawy z jego obecności, ale ilekroć fotel wychylał się do przodu, biegun zatrzymywał się o milimetry od psich łap. Widok ten z niezrozumiałych względów bardzo zafascynował Elise.

– Witam panią i pana – odezwał się starzec.

– Dzień dobry – odparła Elise i przesłała mu lekki, niezobowiązujący uśmiech.

– Cześć – powiedział John. – Nazywam się...

– Pan Graham – przerwał mu pogodnie stary człowiek.

– Pan i pani Grahamowie. Przyjechali państwo do Hempstead Place na wakacje. Słyszałem, że napisał pan kilka książek.

– Tak, o migracjach ludności we Francji w siedemnastym wieku – potwierdził John. – Widzę, że wieść o nas już tu dotarła.

– Dotarła – przyznał starzec. – Wie pan, jak to jest w małych miasteczkach. – Wsunął do ust papierosa, który natychmiast się rozpadł, siejąc tytoniem po udach staruszka i rozciągniętym na ziemi psie. Zwierzę nawet nie drgnęło. – Och, niezdara – mruknął starzec, odrywając z dolnej wargi bibułkę.

– Żona nie pozwala mi palić. Mówi, że czytała, iż od papierosów dostaje się raka, ja zresztą też o tym czytałem.

– Przyjechaliśmy do miasteczka zrobić małe zakupy – wtrąciła Elise. – Stary dom, w którym mieszkamy, okazał się cudowny, ale spiżarnia jest pusta.

– Ayuh – mruknął starzec. – Miło mi was poznać. Nazywam się Henry Eden. – Wyciągnął w ich stronę pomarszczoną dłoń, a John nią potrząsnął. Po chwili gest powtórzyła Elise. Zrobili to bardzo delikatnie i starzec najwyraźniej ten fakt docenił.

– Spodziewałem się was tutaj pół godziny temu. Musieliście gdzieś źle skręcić. Myślę, że w okolicy jest zbyt wiele dróg jak na takie małe miasteczko. – Roześmiał się głuchym, niezdrowym śmiechem, który natychmiast przeszedł w kaszel nałogowego palacza. – Ayuh, w Willow mamy wiele dróg! – dodał i ponownie się roześmiał.

John zmarszczył lekko brwi.

– Dlaczego pan się nas spodziewał? – zapytał.

– Dzwoniła Lucy Doucette z wiadomością, że koło jej domu przejechali przybysze – wyjaśnił Eden.

Sięgnął po kapciuch z tytoniem Top, otworzył go i wyciągnął kartonik z bibułkami.

– Nie zna pani Lucy, ale ona twierdzi, że zna córkę pani bratanka.

– Czy ma pan na myśli stryjeczną babkę Milly Cousins? – zainteresowała się Elise.

– Tak – odrzekł Eden.

Nakładał tytoń na bibułkę, ale większość znów wylądowała na grzbiecie spoczywającego u jego stóp psa. Kiedy John Graham zaczynał już podejrzewać, że

psisko jest martwe, zwierzak uniósł ogon i puścił głośnego bąka. No tak, skomplementował mnie – błysnęło Johnowi w głowie.

– W Willow wszyscy są ze wszystkimi spokrewnieni – ciągnął stary człowiek.
– Lucy mieszka u stóp wzgórza. Chciałem do was telefonować, ale skoro powiedziała, że już jedziecie...

– A skąd pan wiedział, że akurat tutaj jedziemy? – zainteresował się John.

Henry Eden wzruszył ramionami, jakby zamierzał powiedzieć: A gdzież tu indziej można jechać?

– Chciał pan z nami porozmawiać? – zapytała Elise.

– Cóż, można to i tak ująć.

Poślinił bibułkę, skleił papierosa i wsunął go w usta. John obserwował starca, ciekaw, czy i ten papieros rozpadnie się jak poprzedni. Był nieco zdezorientowany; zupełnie, jakby miał do czynienia z jakąś bukoliczną wersją agenta CIA.

Skręt jakimś cudem się nie rozkleił. Do poręczy fotela przyklejony był kawałek zwęglonego papieru ściernego. Eden potarł o niego zapalnik i przyłożył płomyk do papierosa. O mały włos całego przy tym nie spalił.

– Myślę, że zechcecie spędzić tę noc poza miastem – powiedział w końcu.

John zamrugnął oczyma.

– Poza miastem? Dlaczego mielibyśmy to robić? Przecież dopiero przyjechaliśmy.

– A jednak, proszę pana, moim zdaniem nie byłoby to złe rozwiązanie – rozległ się za plecami Johna czyjś głos.

Graham obejrzał się. Zobaczył wysoką kobietę o opadniętych ramionach, stojącą za zardzewiałymi, wahadłowymi drzwiami sklepu. Nad jej głową wisiała blaszana reklama chesterfieldów: DWADZIEŚCIA PRZEPYSZNYCH PALEŃ. Kobieta pchnęła drzwi i wyszła na werandę. Miała ziemistą, zmęczoną twarz, ale w jej rysach malowała się inteligencja. W jednej ręce trzymała bochenek chleba, a w drugiej karton z sześcioma piwami Dawson's Ale.

– Jestem Laura Stanton – oświadczyła. – Miło mi państwa poznać. Nie chcemy być niegościnni, lecz dzisiejszej nocy mamy w Willow porę deszczową.

John i Elise wymienili zdumione spojrzenia, po czym Elise popatrzyła

w górę. Poza kilkoma postrzępionymi barankami zapowiadającymi piękną pogodę niebo było nieskazitelnie niebieskie.

– Wiem, jak wygląda – powiedziała pani Stanton. – Ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Prawda, Henry?

– Jasne – mruknął Eden.

Zaciągnął się mocno koślawym skrętem, a następnie cisnął niedopałek za balustradę werandy.

– Mogą państwo wyczuć wilgoć w powietrzu – dodała pani Stanton. – A to już mówi bardzo wiele, prawda, Henry?

– Ayuh – burknął Eden. – To już siedem lat. Dokładnie, co do dnia.

– Co do dnia – przytaknęła Laura Stanton. Oboje popatrzyli wyczekująco na Grahamów.

– Przepraszam – bąknęła Elise. – Nie rozumiem. Czy to jakiś miejscowy żarcik?

Tym razem Henry Eden i Laura Stanton wymienili spojrzenia, a potem jednocześnie znacząco westchnęli.

– Nie cierpię tego – oświadczyła Laura Stanton, a John Graham nie miał zielonego pojęcia, czy powiedziała to do siebie, czy do starca.

– Ale to musi się dokonać – odparł Eden.

Kobieta skinęła głową i ponownie westchnęła. Było to westchnienie kogoś, kto na chwilę zdjął z pleców ogromny ciężar i teraz ponownie musi go zarzucić na grzbiet.

– Nie zdarza się to zbyt często – stwierdziła pani Stanton.

– W Willow pora deszczowa nastaje co siedem lat...

– Siedemnastego czerwca – uściślił Eden. – Pora deszczowa raz na siedem lat, siedemnastego czerwca. Tak się dzieje zawsze, nawet w lata przestępne. To tylko jedna noc, lecz nazywamy ją porą deszczową. Niech mnie diabli wezmą, jeśli wiem dlaczego. A ty, Lauro, wiesz?

– Nie – odparła. – I proszę, nie przerywaj mi ciągle. Henry, myślę, że zaczynamy grzybieć.

– Przepraszam, że żyję. Odwołałem właśnie karawan – odparł starzec, najwy-

rażniej dotknięty do żywego.

Elise popatrzyła z niepokojem na Johna. O co tym ludziom chodzi? – pytało jej spojrzenie. – A może brakuje im piątej klepki?

John nie wiedział, ale zaczynał żałować, że nie pojechali po zakupy do Augusty. Przy okazji mogliby zatrzymać się przy jakimś straganie przy drodze numer siedemnaście i przekąsić małże na kolację.

– Proszę mnie posłuchać – odezwała się serdecznie pani Stanton. – Zarezerwowaliśmy dla państwa pokój w motelu Wonderview na Woolwich. Mieli wprawdzie komplet gości, ale kierownikiem jest tam mój kuzyn i dlatego na moją szczególną prośbę przygotował pokój. Możecie wrócić tu jutro i spędzić z nami całe lato. Będzie nam bardzo miło.

– Jeśli ma to być żart, to go nie rozumiem – burknął John.

– Nie, to nie żart – powiedziała i popatrzyła na Edena, który natychmiast szybko skinął głową, jakby chciał powiedzieć: No, dalej, nie wycofuj się i mów do końca. Kobieta przeniosła wzrok na Johna i Elise. Najwyraźniej wzięła się w garść, bo powiedziała:

– Otóż co siedem lat Willow nawiedza deszcz ropuch. Teraz już wiecie.

– Ropuch – powtórzyła Elise odległym, zamyślonym, ja-chyba-śnie, głosem.

– Ropuch, ayuh! – potwierdził radośnie Eden.

John rozejrzał się ostrożnie, jakby szukał skądś pomocy. Ale Main Street była kompletnie wymarła. Więcej, wszystkie okiennice w okolicznych domach pozatraskiwane zostały na głucho. Po jezdni nie przejeżdżał żaden samochód. Chodnikiem nie szedł żaden przechodzień.

Możemy mieć kłopoty – pomyślał. – Jeśli wszyscy tutaj są równie stuknięci jak ta dwójka, naprawdę możemy mieć poważne kłopoty.

Nieoczekiwanie przypomniała mu się „Loteria” Shirley Jackson, opowiadanie, które czytał, gdy był na pierwszym roku studiów.

– Niech państwo sobie nie myślą, że stoję tutaj i wygaduję głupoty, bo tak lubię – ciągnęła Laura Stanton. – Po prostu spełniamy z Henrym nasz obowiązek. Tak naprawdę ropuchy nie spadają z nieba. Czeka nas wprost ulewa ropuch.

– Chodźmy – powiedział John. Ujął Elise za łokieć, po czym przesłał starcowi

i kobiecie uśmiech równie prawdziwy jak banknot sześciodolarowy. – Miło było państwa poznać.

Sprowadził Elise z werandy, zerkając ze dwa lub trzy razy przez ramię na starca oraz kobietę o oklapłych ramionach i wymizerowanej twarzy. Obawiał się całkowicie odwrócić do nich plecami.

Kobieta zrobiła krok w ich stronę, a John się potknął. O mało nie spadł ze schodów.

– Wiem, że trochę trudno w to uwierzyć – powiedziała.

– Zapewne myślą państwo, że jestem trzepnięta.

– Wcale nie – odparł John.

Na twarzy pojawił mu się szeroki, nieszczerzy uśmiech, który w jego mniemaniu sięgał od ucha do ucha. Jezu słodki, dlaczego w ogóle opuszczałem St Louis? – pomyślał. Przejechał prawie dwa i pół tysiąca kilometrów samochodem z radiem do bani i schrzanioną klimatyzacją po to tylko, żeby spotkać rolnika Jekylla i panią Hyde.

– No to w porządku – powiedziała Laura Stanton tak łagodnie i z tak osobliwie pogodnym wyrazem twarzy, że John, którego od forda dzieliły jeszcze dobre dwa metry, przystanął pod tablicą z napisem KANAPKI WŁOSKIE. – Nawet ludzie, którzy słyszeli o deszczu ropuch, żab, ptaków i innych tego typu atrakcji, nie wyobrażają sobie, co się dzieje w Willow co siedem lat. Chcę więc dać państwu dobrą radę. Jeśli mimo wszystko zamierzacie tu zostać, nie opuszczajcie w nocy domu. Jeśli zostanieie w domu, najprawdopodobniej nic się nie stanie.

– I radzę dobrze zatrzasać okiennice – dorzucił Eden.

W tej samej chwili psisko uniosło ogon i puściło kolejnego bąka, zupełnie jakby chciało tym podkreślić wagę słów swego pana.

– Cóż... tak zrobimy – odparła niepewnie Elise.

John otworzył drzwi forda od strony pasażera i prawie siłą wepchnął Elise do środka.

– Na pewno – potwierdził z tym szerokim, nieszczerzym uśmiechem.

– I proszę do nas jutro wrócić! – zawołał Eden, kiedy John śpiesznie zajmo-

wał miejsce za kierownicą forda. – Jutro będziecie tu bezpieczni... – Urwał i po chwili dodał: – Jeśli w ogóle jeszcze będziecie.

John skinął mu ręką, włączył silnik i odjechał.

Na werandzie przez chwilę panowała cisza, a starzec i kobieta o bladej, niezdrowej cerze obserwowali niknący w perspektywie Main Street samochód. Odjeżdżał nieco szybciej, niż tu dotarł.

– Cóż, swoje zrobiliśmy – stwierdził z zadowoleniem stary człowiek.

– Tak – przyznała pani Stanton. – Ale czuję się jak dupa wołowa. Zawsze czuję się jak dupa wołowa, kiedy widzę, jak na nas patrzą. Jak patrzą na mnie.

– Cóż, ostatecznie zdarza się to tylko raz na siedem lat – mruknął starzec. – No i musi się dokonać właśnie w taki sposób, ponieważ...

– Ponieważ to część rytuału – dokończyła pośpiesznie.

– Ayuh, część rytuału.

Pies podniósł ogon i jeszcze raz pierdnął, jakby zgadzał się z tą opinią.

Kobieta trąciła nogą zwierzę i biorąc się pod boki, oświadczyła starcowi:

– To najsmrodliwszy kundel w czterech miastach, Henry Eden!

Pies warknął, dźwignął się i zwlókł z werandy, przystając tylko na chwilę, żeby obrzucić Laure Stanton pełnym wyrzutem spojrzeniem.

– Nic na to nie poradzi – stwierdził Eden.

Kobieta westchnęła i popatrzyła na ulicę, w perspektywie której zniknął ford.

– Fatalnie – powiedziała. – Sprawiają bardzo sympatyczne wrażenie.

– Ale my nic nie możemy na to poradzić – oświadczył Henry Eden i zaczął skręcać nowego papierosa.

Tak zatem Grahamowie zakończyli dzień kolacją w budzie, gdzie serwowano małże. Znaleźli ten bar w sąsiednim miasteczku o nazwie Woolwich („Ojczyzna malowniczego motelu Wonderview” powiedział John, na próżno starając się wywołać uśmiech na twarzy Elise). Zajęli stolik ustawiony na świeżym powietrzu pod starym, rozłożystym srebrzystym świerkiem. Buda i jej otoczenie stanowiły ostry kontrast w stosunku do Main Street w Willow. Parking prawie pełen pojazdów (większość samochodów, podobnie jak ich ford, miała tablice re-

jestracyjne innych stanów), wszędzie uganiała się rozwrzeszczana dzieciarnia z twarzami umorusanymi lodami, podczas gdy rodzice, oganiając się od muszek, czekali, aż z głośnika padnie numer ich zamówienia. Lokal oferował całkiem przyzwoity wybór potraw. Tak naprawdę – pomyślał John – można tu dostać wszystko, co zmieści się na patelni z wrzącym olejem.

– Nie wiem, czy wytrzymam w tym miasteczku dwa dni, a co dopiero mówić o dwóch miesiącach – oświadczyła Elise. – Ta róża, którą nam tu podarowano, ma dużo kolców, lecz ani jednego kwiatu, Johnny.

– To był tylko żart, nic więcej. Miejscowi zawsze w ten sposób dworują sobie z turystów. Ale masz rację, posunęli się trochę za daleko. Teraz zapewne tego żałują.

– Wyglądało na to, że mówią poważnie – odparła. – Będę się wstydziła tam wrócić i ponownie spojrzeć temu staruchowi w oczy.

– Tym się akurat nie przejmuj. Sądząc po jego papierosach, wszedł w wiek, w którym wszystkich spotyka po raz pierwszy w życiu. Nawet najdawniejszych przyjaciół.

Elise próbowała zachować powagę, ale nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem.

– Jesteś okrutny – stwierdziła.

– Szczery, ale na pewno nie okrutny. Nie mówię, że cierpi na chorobę Alzheimera, ale sprawia wrażenie kogoś, kto potrzebuje mapy drogowej, żeby trafić do własnej toalety.

– A gdzie się podziali wszyscy mieszkańcy miasteczka? Osada wyglądała jak wymarła.

– Część na kolacji w klubie rolnika Grange, a część farmerskich żon siedzi w masońskiej Eastern Star i gra w karty – odparł John i przeciągnął się. Zerknął Elise do koszyczka z małżami.

– Nie zjadłaś zbyt wiele, kochanie.

– Kochanie nie było głodne.

– Mówię ci, to tylko taki żart – powiedział, biorąc ją za rękę.

– Rozchmurz się.

– Naprawdę... naprawdę tak uważasz?

– Naprawdę, naprawdę. Sądzę... hej, czy w Willow w stanie Maine naprawdę co siedem lat spadają z nieba ropuchy? Brzmi to jak tekst wyjęty z komicznego monologu w wykonaniu Stevena Wrighta.

Elise uśmiechnęła się blado.

– Nie spadają – poprawiła. – To ulewa ropuch.

– Podpisuję się pod niezłomną zasadą każdego wytrawnego wędkarza: jak już mam otworzyć gębę, to powiedzieć największą głupotę. Gdy jako dziecko bywałem na obozach młodzieżowych, odpowiednikiem tego była zabawa w strzelanego. Wysyłało się dzieciaka na odludzie, a potem urządzało na niego zbiorowe polowanie. Tak naprawdę niczym się to nie różni. Jeśli się głębiej nad tym zastanowisz, nie powinno cię to wcale dziwić.

– Dlaczego ma nie dziwić?

– Ludzie, którzy żyją z turystów, mają mentalność takich właśnie letnich obozowiczów.

– Ależ nic nie wskazywało na to, że tamta kobieta stroi sobie z nas żarty. Prawdę mówiąc, Johnny... ona bardzo mnie wystraszyła.

Pogodne i sympatyczne zazwyczaj rysy Johna Grahama stały się nagle twarde i ostre. Wyraz ten nie pasował do jego twarzy, ale tym razem nie był ani nieszczery, ani udawany.

– Wiem – warknął, zbierając ze stołu sztucce, serwetki i plastikowe koszyczki. – I muszą nas za to przeprosić. Głupota zawsze jest głupotą; to zrozumiem. Ale jeśli ktoś próbuje straszyć moją żonę... do licha, nawet mnie trochę wystraszyli... potrafię być zdecydowany. Gotowa do drogi?

– A trafisz z powrotem do domu?

Uśmiechnął się i w jednej chwili znów zaczął być sobą.

– Rozsypywałem za nami okruchy chleba.

– Jesteś taki mądry, kochanie – powiedziała, wstając. Na jej twarzy znów gościł uśmiech, na widok którego Johna ogarnęła radość. Wciągnęła głęboko powietrze w płuca... co dokonało cudu z jej piersiami skrytymi pod niebieską, bawełnianą koszulką... po czym odetchnęła. – Chyba wilgotność powietrza jest

mniejsza.

– Jasne – odparł John i niczym koszykarz wrzucił z półobrotu serwetki, sztućce i koszyczki do pojemnika na śmieci. Puścił do żony perskie oko. – I koniec z porą deszczową.

Ale kiedy skręcili w Hempstead Road, powietrze znów stało się straszliwie parne. John odnosił wrażenie, że jego podkoszulek zmienia się w lepka pajęczynę dokładnie oblepiającą mu tors i plecy. Nadciągał zmierzch, lecz niebo, choć pociemniało, w dalszym ciągu było czyste. Niemniej John odnosił wrażenie, że gdyby miał przy sobie słomkę, mógłby przez nią spijać przenikającą powietrze wilgoć.

Po drodze minęli tylko jeden dom, u stóp wzgórza, na szczycie którego znajdowało się Hempstead Place. Kiedy przejeżdżali obok budynku, w jednym z okien John dostrzegł sylwetkę stojącej nieruchomo kobiety. Najwyraźniej ich obserwowowała.

– To ta znajoma ciotecznej babki twojej Milly – odezwał się John. – Teraz z pewnością zadzwoni do tych pomyleńców ze sklepu z meldunkiem, że już przejechaliśmy. Zastanawiam się, czy, jeśli zatrzymamy się tu na dłużej, powyciągają te wszystkie pierdzące poduszki, śmiacze i gryziszczęki.

– Tamten pies nie potrzebował pierdzącej poduszki.

John wybuchnął śmiechem i skinął głową.

Pięć minut później skręcili na podjazd prowadzący do wynajętego dla nich domu. Alejka była fatalnie zarośnięta zielskiem i niskimi krzaczkami, więc John postanowił zrobić z tym porządek jeszcze przed nadejściem prawdziwego lata. Samo Hempstead Place było typową wiejską, wzniesioną bez jednolitego planu farmą, którą kolejne pokolenia właścicieli rozbudowywały w miarę potrzeb. Za domem stała stodoła połączona z budynkiem trzema rozpadającymi się szopami. Dwie z nich niknęły prawie całkowicie w bujnej gęstwinie letniego, wonnego wiciokrzewu.

Sprzed domu rozciągał się przepyszny widok na miasteczko, zwłaszcza w tak pogodny wieczór jak ten. John zastanawiał się przez chwilę nad tym, jak przy

takiej wilgotności powietrze może być aż tak przejrzyste. Do stojącego przed autem męża dołączyła Elise. Objęli się ramionami w pasie i dłuższą chwilę kontemplowali widok łagodnych wzgórz ciągnących się w kierunku Augusty... a nadchodzący zmierzch powoli spowijał ich cieniem.

– Cudownie – mruknęła Elise.

– I posłuchaj tylko tych dźwięków – dodał John.

Okolo pięćdziesięciu metrów za stodołą zaczynał się podmokły teren porośnięty trzciną i wysoką trawą. Dobiegał stamtąd ogłuszający rechot żab, które Bóg z sobie tylko wiadomych względów obdarzył tak silnymi strunami głosowymi.

– No cóż, żab jest tu pod dostatkiem – zauważyła Elise.

– Ale nie ma żadnych ropuch. – Popatrzył w niebo, na którym Wenus otworzyła swe płonące chłodem oko. – Tam, popatrz, Elise! Tam, wysoko! Chmury ropuch!

Elise zachichotała.

– „Dzisiejszego wieczoru w małym miasteczku Willow – zaczęła deklamować – zimny front ropuch spotkał się z ciepłym frontem trytonów i w wyniku tego...”. – Trąciła Johna łokciem. – Chodźmy do środka – powiedziała.

Weszli do domu. Ale w swojej prywatnej grze w „Monopol” ominęli pole „Start” i nie zainkasowali dwustu dolarów.

Natychmiast poszli do łóżka.

Mniej więcej po godzinie Elise wyrwało z rozkosznej drzemki głucho uderzenie w dach. Uniosła się na łokciu.

– Johnny, co to było?

– Huzz! – burknął, odwracając się w jej stronę.

Ropuchy – błysnęło jej w głowie i zachichotała... ale był to bardzo nerwowy chichot. Wyślizgnęła się z pościeli i podeszła do okna. Ale zanim spojrzała na ziemię, żeby sprawdzić, co to spadło, uniosła twarz ku niebu.

Było bezchmurne i rozjaśnione bezlikiem lśniących gwiazd. Spoglądała w nie jak zahipnotyzowana, ujęta ich prostą urodą. *Łup!*

Jak oparzona odskoczyła od okna i popatrzyła na sufit. Cokolwiek to było, spadło na dach dokładnie nad jej głową.

– John! Johnny! Obudź się!

– Hmm... co się dzieje?

Usiadł na łóżku. Miał potargane włosy.

– Zaczęło się! – powiedziała i zachichotała piskliwie.

– Deszcz żab.

– Ropuch – poprawił ją John. – Ellie, o czym ty mówisz... *Łup-łup*.

Rozejrzał się, a potem spuścił nogi z łóżka.

– To śmieszne – powiedział cicho ze złością.

– O co ci...

Łup – TRZASK.

Na parterze zadzwoniły szyby.

– Cholera jasna! – warknął przez zęby i zaczął wkładać dzinsy. – Dość tego dobrego... kurwa. Dość!

Seria kolejnych, miękkich uderzeń w ściany i dach domu. Elise, nagle mocno przestraszona, przytuliła się do męża.

– O co ci chodzi? – zapytała.

– Chodzi mi o to, że tamta wariatka i staruch, a może i kilku ich znajomych, ciskają czymś w nasz dom – wyjaśnił. – Ale zaraz zrobię z tym porządek. Może i mają w tym miasteczku zwyczaj wyczyniania brewerii przed domami letników, ale...

ŁUP! TRZASK!

– Cholera JASNA! – wrzasnął John i pobiegł do holu.

– Nie zostawiaj mnie tu samej! – zawołała Elise i podążyła jego śladem.

John zapalił światło w korytarzu, po czym pędem ruszył na parter. Łomoty i dudnienie stawały się coraz głośniejsze, coraz częstsze, coraz natarczywsze, ale Elise miała czas pomyśleć: Ilu mieszkańców miasteczka przyszło pod nasz dom? Ilu z nich robi te małe figle? I czym rzucają? Kamieniami zawiniętymi w poszewki?

John dotarł do końca schodów i wkroczył do salonu. Znajdowało się tam

wielkie okno, za którym rozciągał się widok, jaki niedawno podziwiali. Szyba była wybita, a dywan pokrywały odłamki szkła. Chciał od razu podejść do okna i krzyknąć, że idzie po strzelbę, ale w tej samej chwili jego wzrok padł na pokrywające podłogę szkło. Uświadomił sobie, że jest boso. Stał bez ruchu i przez chwilę nie wiedział, co ma dalej robić. Wtedy właśnie dostrzegł leżący wśród szczątków rozbitej szyby ciemny przedmiot – kamień, którym jeden z tych skretyniałych skurwysynów wybił okno – i ogarnęła go ślepa furia. Miał właśnie podskoczyć do okna, nie bacząc na to, że jest bez butów, kiedy ujrzał, że kamień się poruszył.

To wcale nie kamień – pomyślał. – To...

– John? – dobiegł go głos Elise. Po całym domu niosły się te plaszczące łoskoty; zupełnie jakby budynek bombardowały wielkie ziarna rozmięklego gradu. – John, co to jest?

– Ropucha – stwierdził tępo.

Ze wzrokiem wlepionym w poruszający się wśród potłuczonego szkła ciemny kształt powiedział to bardziej do siebie niż do żony.

Uniósł głowę i wyjrzał za okno. Na widok tego, co tam zobaczył, oniemiał z niedowierzania i zgrozy. Nie dostrzegł już ani wzgórz, ani nawet horyzontu... do licha, z najwyższym trudem rozróżnił stodołę, a przecież znajdowała się nie dalej niż piętnaście metrów od domu.

Wszystko zasłaniała ulewa spadających z nieba mrocznych cieni.

Przez wybite okno do domu wpadły trzy kolejne stwory. Jeden wylądował na podłodze, w niewielkiej odległości od swego drgającego kumpla. Spadł na ostre kawałki potłuczonego szkła; z jego ciała trysnęły grube strużki ciemnego płynu.

Elise wrzasnęła.

Pozostałe dwa stwory uczepliły się zasłom, które zaczęły falować i wydymać się, jakby targały nimi mocne podmuchy wiatru. Jednej ropusze udało się wyswobodzić ze splotów materiału. Natychmiast skokami ruszyła w stronę Johna.

John, dłonią, która była jak nie jego, pomacał na oślep ścianę, natrafił na kontakt i zapalił lampę.

Stwór, który skakał w jego stronę po zasłanej odłamkami szkła podłodze, był

ropuchą; ale również nią nie był. Jego zielono-czarne ciało było stanowczo zbyt duże, zbyt bryłowate i pokryte guzami. Czarno-złociste oczy wybrzuszały się niczym dziwaczne jajka. Z rozwartej paszczęki sterczał cały bukiet ogromnych, ostrych jak igły zębów.

Zarechotał przeraźliwie i skoczył na Johna jak wybity sprężyną. A za nim, przez wytłuczone okno, wpadały kolejne ropuchy. Te, które uderzały bezpośrednio w podłogę, ginęły, bądź to rozdarte szkłem, bądź od impetu samego upadku. Ale wiele lądowało bezpiecznie na zasłonach, niczym na batucie, i bez szkody złąziło na parkiet.

– Wynoś się stąd! – krzyknął John do żony i kopnął ropuchę, która go zaatakowała; rzecz nie do pojęcia, a jednak prawdziwa.

Stwór wcale się nie cofnął, lecz przeciwnie, wbił przypominające igły zęby w wielki palec u jego nogi. Ból był okropny, palący, przejmujący do szpiku kości. John, niewiele myśląc, z półobrotu, najmocniej jak potrafił, kopnął w ścianę. Poczul, że w paluchu pękła mu kość, ale przy okazji roztrzaskał i ropuchę, której posoka, jak rozbryźnięta wiatrakiem, ochlapała półkoliście boazerię. Jego palec natomiast przypominał zwariowany drogowskaz pokazujący wszystkie kierunki świata naraz.

Elise stała w progu prowadzących z korytarza drzwi jak słup soli. Z całego domu dobiegał hałas tłuczonych szyb. Kiedy skończyli się kochać, włożyła podkoszulek męża i teraz obiema rękami ścisnęła pod szyją jego brzegi. Powietrze przewiercały odrażające rechoty.

– Wynoś się stąd, Elise! – ponownie wrzasnął John.

Odwrócił się w jej stronę i potrząsnął skrwawioną nogą.

Ropucha, która go ugryzła, była wprawdzie martwa, ale ciągle wisiała u jego stopy, wczepiona w nią olbrzymimi, nieprawdopodobnymi zębiskami, tkwiącymi w ranie niczym haczyki wędkarskie. Kopnął powietrze, jakby uderzał niewidzialną piłkę, i ropucha wreszcie odpadła.

Wypłowiąły dywan w salonie był już dosłownie pokryty nadymającymi się, skaczącymi cielskami. I wszystkie skakały w ich stronę.

John pobiegł do drzwi. Stopa natrafiła na ropuchę, która pękła pod ciężarem

człowieka. Pięta poślizgnęła się na przypominających galaretę wnętrznościach i John o mało nie upadł. Elise puściła wreszcie brzeg podkoszulka. Wyciągnęła do męża ramiona. Zataczając się, przeszli do holu, John natychmiast zatrzasnął za nimi drzwi do salonu, miażdżąc przy okazji ropuchę, która znalazła się właśnie w progu. Drzwi rozcięły ją na pół. Przednia część stwora wykręcała się i dygotała na podłodze, czarny pysk z odrażającymi zębami otwierał się i zamykał. Wytrzeszczone, czarno-żółciste ślepie gapiły się tępo na Johna i Elise.

Elise ujęła twarz w dłonie i zaczęła histerycznie wyć. John chciał ją przytulić, ale potrząsnęła głową i gwałtownie odskoczyła. Na twarz spadały jej kosmyki włosów.

Walenie ropuch w dach było paskudne, ale znacznie gorsze okazały się rechot i cmokanie, ponieważ dochodziły z wnętrza domu... z każdej jego części. John pomyślał o starcu siedzącym w bujanym fotelu na werandzie przed sklepem, przypomniał sobie jego słowa: „I radzę dobrze zatrzasnąć okiennice”.

Chryste Panie, dlaczego mu nie uwierzyłem? – klął się w myślach.

I zaraz pojawiła się kolejna refleksja: Jak mógłbym mu uwierzyć? W całym moim życiu nie wydarzyło się nic takiego, co by mnie skłoniło do tego, żeby mu uwierzyć!

A przez łoskot spadających nieustannie na ziemię ropuch, przez mlaskania, kiedy rozbryzgiwały się na dachu, przebijał dużo bardziej złowieszczy dźwięk; odgłos gryzionego i rozłupywanego drewna, gdy ropuchy próbowały przegryźć drzwi i wydostać się z salonu. John usłyszał, że pod zmasowanym naporem ich ciał zawiasy zaczynają trzeszczeć.

Odwrócił się i ujrzał całe tuziny zeskakujących po głównych schodach stworów.

– Elise! – zawołał i chwycił żonę za ramię.

Ciągle wrzeszczała. I znów wyszarpnęła się z jego uścisku. Rękaw podkoszulka pękł. Przez chwilę John spoglądał tępym, nierozumiejącym wzrokiem na strzęp materiału, który ścisnął w dłoni, po czym upuścił go na podłogę.

– Elise, do jasnej cholery!

Wrzasnęła jeszcze piskliwiej i odskoczyła do tyłu.

Pierwsze szarżujące po schodach ropuchy dotarły już na korytarz i skwapliwie posuwały się w ich stronę. Rozległ się kruchy trzask, kiedy pękło maleńkie okienko nad drzwiami wejściowymi. Prześlizgnęła się przez nie następna, spadła na dywan i leżąc na grzbiecie, świeciła różowym brzuchem w ciemne cętki i wymachiwała w powietrzu wyposażonymi w błony łapami.

John ponownie chwycił żonę, żeby nią potrząsnąć.

– Musimy zejść do piwnicy! W piwnicy będziemy bezpieczni!

– Nie! – odwrzasnęła Elise.

Jej oczy były dwoma olbrzymimi zerami i John pojął, że Elise nie odrzuca pomysłu ucieczki do piwnicy. Elise po prostu odrzuca wszystko.

Nie było czasu na miłe gesty, łagodne metody i czułe słówka. Chwycił ją za podkoszulek i powlókł korytarzem, jak policjant wlecze do radiowozu opornego aresztanta. Najbliższa złażąca ze schodów ropucha wykonała gigantyczny skok, przeleciała w powietrzu szerokim łukiem i kłapnęła paszczką pełną zębów, przypominających igły do cerowania, dokładnie w tym miejscu, gdzie przed sekundą jeszcze znajdowała się bosa pięta Elise.

W połowie holu Elise wrócił jednak zdrowy rozsądek, pojęła, o co Johnowi chodzi, i już z własnej woli pobiegła za nim. Dotarli do drzwi. John przekręcił gałkę, po czym silnie pociągnął ją do siebie. Drzwi ani drgnęły.

– Cholera! – krzyknął i znów szarpnął gałką.

Nic.

– John, pośpiesz się!

Obejrzała się przez ramię. Korytarzem parło mrowie ropuch. Jak oszalałe wlażyły na siebie, przeskakiwały się, szorowały bokami o tapety we wzorek w pnące róże, przewracały się na grzbiety. Wtedy tratowały je nadciągające z tyłu zastępy kolejnych stworów. Wszystkie były uzbrojone w zębiska, posiadały złocisto-czarne oczy i pękate jak skórzane mieszki ciała.

– JOHN, PROSZĘ! PRO...

Z szeregu wyskoczyła jedna i wpiła się w lewe udo Elise, tuż nad kolanem. Ta wrzasnęła, chwyciła stwora, wbijając palce w jego skórę, rozerwała pęcherze z ciemnym płynem. Odciągnęła go od nogi i podniósłszy, przez chwilę mu

się przyglądała. Miała go tuż przed nosem. Potworek zgrzytał potępieńczo zębami niczym maleńka, lecz mordercza maszyna fabryczna. Po chwili Elise z całych sił cisnęła ropuchą. Stwór przeleciał przez korytarz i rozbryznął się na ścianie, dokładnie naprzeciwko drzwi prowadzących do kuchni. Ropucha nie spadła; pozostała na ścianie, przylepiona do niej własnymi wnętrznościami niczym klejem.

– JOHN! JEZU, JOHN!

John Graham pojął nagle, gdzie popełnił błąd, i teraz zamiast ciągnąć drzwi do siebie, pchnął je. Otworzyły się z takim impetem, że o mało się nie przewrócił i nie spadł z prowadzących do piwnicy schodów. Przez chwilę już myślał, że jego matka straciła syna. Zamłócił rękami w poszukiwaniu balustrady, zacisnął na niej palce i w tej samej chwili minęła go w pędzie Elise, o mało przy tym nie strącając go ze stopni. Zbiegała, wyjąc niczym syrena strażacka w środku nocy.

Boże drogi, spadnie – błysnęła Johnowi myśl. – Jak amen w pacierzu spadnie; spadnie, skreśli sobie kark...

Ale jakoś nie spadła. Dotarła na sam dół, osunęła się na podłogę i szlochając, chwyciła się za poranioną nogę.

A po stopniach do piwnicy wskakiwały ropuchy.

John odzyskał równowagę, odwrócił się i zatrzasnął drzwi na głucho. Kilka stworów znalazło się jednak po ich stronie. Staczały się po schodach i spadały między słupkami balustrady. Jeden wyskoczył prawie pionowo w górę, a John wybuchnął nieoczekiwanie dzikim śmiechem; z przeraźliwą jasnością wyobraził sobie Pana Ropucha z Ropuszego Dworu podróżującego napogo zamiast w samochodzie. Nie przestając się śmiać, zacisnął prawą dłoń w pięść, a z chwilą gdy ropucha znalazła się w najwyższym punkcie i zamarła w bezruchu, kiedy energia jej wyskoku zrównoważyła się z siłą przyciągania ziemskiego, wyrznął ją w sam środek pulsującego brzucha. Poleciała w mrok, skąd dobiegło soczyste *plask*, gdy stwór uderzył o piec.

Pomacał ręką po ścianie. Natrafił na metalowy cylinder staroświeckiej latarki z kolankowym włącznikiem. Jak tylko rozbłysło światło, Elise zaczęła się ponownie drzeć. We włosy wplątała się jej ropucha, która natychmiast zarechota-

ła, przekręciła się i ugryzła kobietę w kark. Skulony potwór przypominał zniekształcony wałek do włosów.

Elise zerwała się na równe nogi i jak oszalała zaczęła biegać po piwnicy, w jakiś magiczny sposób tylko nie wpadając na któreś z licznych pudeł, jakimi zastawione było pomieszczenie. Uderzyła w jedną z belek podpierających strop, odwróciła się do niej tyłem i dwukrotnie wyrznęła w nią karkiem. Rozległo się donośne młaśnięcie, a następnie chlupot ciekącego czarnego płynu. Ropucha puściła włosy i stoczyła się po podkoszulku, zostawiając na nim smugi posoki.

Elise nieustannie wrzeszczała. Pobrzmiwający w tym krzyku ton szaleństwa przejął Johna zimnym dreszczem. Na wpół biegnąc, na wpół wlokąc za sobą nogi, przebył schody wiodące do piwnicy i zamknął Elise w ramionach. W pierwszej chwili stawiała opór, ale szybko się poddała. Jej wrzaski powoli przechodziły w ciągły szloch.

I wtedy przez odgłosy spadających na dom i na ziemię ropuch dotarł do nich rechot żab, które wraz z nimi dostały się do piwnicy. Elise wyrwała się Johnowi z objęć. Lśniące białe gałki oczne chodziły jej w oczodołach jak oszalałe.

– Gdzie one są? – wydyszała resztką tchu. Mówiła ochryłym szeptem; od krzyku prawie straciła głos. – John, gdzie one są?

Nie musieli się nawet rozglądać; ropuchy zlokalizowały już ofiary i zaczęły zapalczywie skakać w ich stronę.

Grahamowie cofnęli się. John dostrzegł zardzewiały szpadel oparty o ścianę. Chwycił go i zabijał każdą ropuchę, która podlaźła na wyciągnięcie styliska. Dotarła do nich tylko jedna. Wskoczyła na stojące na ziemi pudło, a z pudła na Elise. Chwyciła ją zębami za koszulkę i kopiąc łapami, zawisła między piersiami.

– Nie ruszaj się! – warknął do żony John.

Odstawił szpadel, zrobił dwa kroki i oderwał ropuchę od bluzki. W zębach potworka został strzęp materiału. Kiedy stworzenie wiło się, pulsowało i drżało w ręce Johna, z kła ciągle zwisał mu kawałek bawełny. Pokryta brodawkami skóra ropuchy była sucha, ale nieprzyjemnie ciepła i w jakiś sposób ruchliwa. John zacisnął dłonie w pięści, miażdżąc zwierzę. Spomiędzy palców pociekła

mu krew i śluz.

Do piwnicy dostał się niecały tuzin ropuch; niebawem wszystkie były już martwe. John i Elise przytulili się do siebie i wsłuchiwali w dobiegający zza ścian nieustanny łoskot ulewy ropuch.

John powiódł wzrokiem po maleńkich okienkach piwnicy. Były brudne i ciemne. Nagle wyobraził sobie, jak musi wyglądać dom od zewnątrz; cały zagrzebany w wydmach wijących się, skaczących ropuch.

– Musimy zabezpieczyć okna – powiedział ochryple. – Pod ich ciężarem trzaskną szyby, a wtedy to paskudztwo wleje się do środka.

– Ale czym? – zapytała szeptem Elise. – Czym mamy je zabezpieczyć?

John rozejrzał się i wskazał kilka starych i brudnych płyt dykty, które stały oparte o ścianę. Nie jest to dużo, ale zawsze coś – pomyślał.

– Tym – wyjaśnił. – Pomóż połamać mi je na kawałki.

Pracowali szybko i gorączkowo. W piwnicy były tylko cztery okienka. Nie wielkie rozmiary futryn sprawiły, że szyby w nich wytrzymały dłużej niż w dużych oknach na górze. Kończyli właśnie zabijać ostatnie, kiedy do ich uszu dobiegł trzask pękającej za dyktą szyby... ale sama dykta wytrzymała.

Powlekli się znów na środek piwnicy. John mocno utykał z powodu złamanego palca.

Z góry schodów dotarł łoskot gryzionych przez ropuchy drzwi.

– Co będzie, jak je przegryzą? – szepnęła Elise.

– Nie wiem – odparł... i w tej chwili puściła kłapa od zsypanego węgla.

Kłapa była od lat nieużywana, ale teraz, choć solidna i mocna, pod olbrzymim naporem pękła, a do piwnicy z impetem wpłynął potok ropuch.

Tym razem Elise nawet nie krzyknęła; miała kompletnie zdarte struny głosowe.

Po tym, jak pękła kłapa zsypanego węgla, Grahamom pozostało już niewiele czasu, ale dopóki się wszystko nie skończyło, John darł się za nich oboje.

Okolo północy ulewa ropuch w Willow osłabła, przechodząc w łagodną, skrzeczącą mżawkę.

O wpół do drugiej nad ranem na sosnę rosnącą obok jeziora spadła z ciemnego, rozgwieżdżonego nieba ostatnia ropucha. Zeskoczyła na ziemię i zniknęła w ciemności. Na kolejnych siedem lat nastał spokój.

Mniej więcej kwadrans po piątej na horyzoncie pojawiły się pierwsze zorze. Willow pokrywał wijący się, skaczący, drgający i hałaśliwy kobierzec. Budynki przy Main Street straciły narożniki i kąty. Wszystko było zaokrąglone, garbate i poprzekrzywiane. Znak drogowy z napisem: WITAMY W WILLOW W STANIE MAINE TO MIŁE MIEJSCE! wyglądał, jakby ktoś ze trzydzieści razy wypalił w niego z dubeltówki. Dziury porobiły naturalnie spadające z nieba ropuchy. Tablica przed sklepem spożywczym i z artykułami gospodarczymi, gdzie widniał napis: KANAPKI WŁOSKIE PIZZA ARTYKUŁY SPOŻYWCZE ZEZWOLENIA NA WĘDKOWANIE została w ogóle zerwana. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, ropuchy bawiły się niczym uczniowie przeskakujący przez plecy pochylonych kolegów. Na każdym dystrybutorze paliwa na stacji Donny's Sunoco odbywał się niewielki ropuszy sejmik. Dwa stworzenia siedziały na powoli obracającym się stalowym ramieniu wiatrowskazu umieszczonego na dachu sklepu z kuchenkami gazowymi. Wyglądały jak zdeformowane dzieci na karuzeli.

Na jeziorze, w kilku kajakach, które spuszczone na wodę mimo tak wczesnej pory roku (w jeziorze Willow bez względu na to, czy miały tego roku spadać ropuchy, czy nie, przed czwartym lipca pluskali się tylko najbardziej zagorzali amatorzy pływania), piętrzyły się stosy ropuch, a ryby wprost oszalały od nadmiaru żarcia. Co chwila tu i tam rozlegało się dźwięczne *plip! plip!*, kiedy któraś rozpychająca się na kajaku ropucha spadała do wody i służyła za śniadanie zgłodniałemu łososiowi czy pstrągowi. Zarówno w samym miasteczku jak poza nim drogi – „w okolicy jest zbyt wiele dróg jak na takie małe miasteczko”, jak powiedział Henry Eden – dosłownie wybrukowane zostały ropuchami. W Willow chwilowo nie było prądu, ponieważ spadające stworzenia pozrywały w wielu miejscach druty. Większość ogrodów również została zdewastowana, ale w mieście i okolicy nie znajdowało się zbyt wiele farm. Kilkanaście osób hodowało wprawdzie stosunkowo liczne stada mlecznych krów, ale na tę noc w porę wyprowadzono zwierzęta w bezpieczne miejsca. Właściciele mlecznych

gospodarstw dobrze wiedzieli o porze deszczowej i nie chcieli, żeby hordy skażących, krwiożerczych ropuch przetrzebiły im bydło. Bo cóż, do licha, powiedzieliby firmom ubezpieczeniowym?

Kiedy w Hempstead Place nastał świt, na dachu domu dostrzec było można sterty martwych ropuch. Te bestie, spadające z nieba jak bomby, zerwały większość rynien, a podwórko było nimi zasłane. Stworzenia wskakiwały i wyskakiwały ze stodoły, kominy były ich pełne. Potworki nonszalancko skakały sobie przy kołach forda Johna Grahama i siedziały rechoczącymi ordynkami na przednim siedzeniu niczym wierni w kongregacji kościelnej czekający na rozpoczęcie mszy. Stosy ropuch, głównie już martwych, niczym zaspy zalegały pod ścianami budynku. Niektóre zaspy miały po dwa metry wysokości.

O szóstej zero pięć nad horyzontem pokazało się słońce. Kiedy uderzyły pierwsze jego promienie, ropuchy zaczęły się roztopiać.

Ich skóry jaśniały, stawały się białe, a następnie przezroczyste. Wkrótce nad ich ciałami unosił się opar przypominający zapachem bagienne wyziewy, a po ich skórkach spływały strumyki wilgoci. Oczy stworów zapadały się w głąb czaszek lub wyłaziły z oczodołów, w zależności od pozycji, w jakiej stworzenie leżało. Skóry pękały z trzaskiem i po jakichś dziesięciu minutach w całym Willow słychać było wystrzały, jakby otwierano szampany.

Później ropuchy zaczęły gwałtownie się rozkładać i zlewać w kałuże mlecznosinej *shmeq*, przypominającej męskie nasienie. Wsiąkały w dziury i szczeliny w dachu budynku Hempstead Place. Skapywały z nieoberwanych rynien niczym ropa.

Żywe ropuchy zdechły; zdechłe po prostu gniły, zamieniając się w ów biały płyn. Ciecz przez chwilę się pienila, a następnie wsiąkała w ziemię. Z ziemi wydobywały się wąskie smużki pary i przez krótki czas wszystkie pola i tereny Willow wyglądały jak dogorywający wulkan.

Kwadrans po siódmej wszystko się skończyło. Teraz mieszkańcy miasta musieli tylko naprawić wyrządzone szkody.

Wydawało się to niewielką ceną za kolejnych siedem lat spokojnej egzystencji w tym zapomnianym prawie przez Boga i ludzi, cichym zakątku Maine.

Pięć minut po ósmej zdezelowane volvo Laury Stanton skręciło na podwórko sklepu spożywczego, w którym sprzedawano również artykuły gospodarcze. Kiedy Laura wysiadła z auta, wyglądała jeszcze bladziej i marniej niż zazwyczaj. Bo naprawdę była chora; w dalszym ciągu trzymała w ręce karton z sześcioma butelkami Dawson's Ale; z tym tylko, że obecnie były one puste.

Laura Stanton miała potężnego kaca.

Na werandę wyszedł Henry Eden, a za nim wyczłapał pies.

– Albo zabierzesz tego kundla do środka, albo ja robię w tył zwrot i już mnie tu nie ma – powiedziała stojąca na dole schodków Laura.

– On nie może powstrzymać tych bąków, Lauro.

– Ale to nie znaczy, że muszę słuchać, jak pierdzi. W każdym razie chwilowo. Głowa mnie boli jak trzy skurwysyny i ostatnia rzecz, na którą mam dzisiejszego ranka ochotę, to wysłuchiwać, jak twój pies wygrywa dupą „Hail Columbia”.

– Wejź do domu, Toby – mruknął Henry, przytrzymując otwarte drzwi.

Toby popatrzył na niego wilgotnymi oczyma, jakby chciał powiedzieć: Czy muszę? Tutaj jest ciekawiej.

– Wracaj do domu.

Toby zniknął w środku i Henry zamknął drzwi. Laura odczekała, aż usłyszy trzask zapadki zamka, i dopiero wtedy wspięła się na werandę.

– Tablica przed sklepem odpadła–poinformowała, wręczając mu karton z pustymi flaszkami.

– Nie jestem ślepy, kobieto – odparł Henry.

Nie był tego ranka w szczególnie dobrym nastroju. Podobnie zresztą jak kilku innych mieszkańców Willow. Ciężko zasnąć, słysząc nieustanny łoskot deszczu ropuch. Łaska boska, że taka noc następowała tylko raz na siedem lat. Inaczej ludzie by dostali zajoba.

– Zanieś te butelki do sklepu – powiedziała Laura. Odmruknął coś niezrozumiale.

– Co tam mamrociesz?

– Mówię, że powinniśmy byli mocniej ich przycisnąć – odparł buntowniczo

Henry. – To było sympatyczne małżeństwo. Powinniśmy byli mocniej ich przycisnąć.

Mimo łupania w głowie Laura poczuła przyływ współczucia dla starca i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Taki jest rytuał – stwierdziła.

– Czasami mam ochotę pieprzyć rytuał.

– Henry!

Cofnęła gwałtownie rękę z jego ramienia. Na przekór samej sobie była wstrząśnięta.

Ostatecznie nie młodnieje – napomniała się w duchu.

– Trybiki pod sufitem trochę zardzewiały.

– Nic mnie to nie obchodzi – upierał się. – Sprawiali wrażenie bardzo sympatycznych młodych ludzi. Ty uważasz tak samo i nie próbuj mi wmawiać, że tak nie jest.

– Uważam, że byli bardzo sympatyczni – zgodziła się.

– Ale nic nie mogliśmy zrobić, Henry. Ostatecznie sam to wczoraj wieczorem powiedziałeś.

– Wiem – odparł i westchnął.

– Nie każemy im tu zostawać – stwierdziła Laura.

– Przeciwnie. Ostrzegamy ich przed pozostaniem w mieście. Decyzja należy do nich. I zawsze postanawiają zostać. Ale to ich sprawa. To również część rytuału.

– Wiem – powtórzył. Odetchnął głęboko i skrzywił się.

– Nie cierpię tego smrodu, kiedy to się kończy. Całe to przeklęte miasto cuchnie jak skwaśniałe mleko.

– W południe po zapachu nie zostanie śladu. Sam wiesz o tym najlepiej.

– Ayuh. Ale mam nadzieję, że kiedy się to powtórzy, ja już będę wachał kwiatki od dołu, Lauro. A jeśli nie, to mam przynajmniej nadzieję, że ktoś inny przejmie po mnie obowiązek spotykania tych, którzy pojawiają się tuż przed porą deszczową. Jak każdy człowiek, chcę zdać uczciwie rachunek, kiedy przyjdzie dzień zapłaty. Ale mówię ci, mężczyzna jest zmęczony ropuchami. Nawet

jeśli przychodzą raz na siedem lat, mężczyzna jest zmęczony ropuchami.

– Kobieta również – powiedziała cicho.

– No cóż... – Westchnął i rozejrzył się. – Sądzę, że powinniśmy zabrać się do porządkowania tego bałaganu.

– Jasne – zgodziła się Laura. – I wiesz co, Henry? My nie tworzymy rytuału. My tylko postępujemy zgodnie z nim.

– Wiem, ale...

– I wszystko jeszcze może się zmienić. Nie wiadomo kiedy ani dlaczego. Może to była już ostatnia pora deszczowa? A może następnym razem nie pojawi się nikt spoza miasta i...

– Nie mów tak – powiedział z lękiem Henry. – Jeśli nikt się nie pojawi, ropuchy mogą nie odejść o świcie.

– Czy nie rozumiesz? – spytała Laura. – Musisz wraz ze mną przez to wszystko przejść.

– Cóż – odparł. – Ale to kawał czasu. Tak, tak. Siedem lat to kawał czasu.

– Tak.

– Byli bardzo sympatycznymi młodymi ludźmi, prawda?

– Tak – powtórzyła.

– Coś okropnego – stwierdził z nutą żalu Henry, ale tym razem Laura nic nie odpowiedziała.

Po chwili Eden zapytał ją, czy pomoże mu zawiesić tablicę. Na przekór tępego bólowi głowy Laura odparła, że zrobi to z chęcią. Nie znosiła, gdy Henry wpadał w przygnębienie, zwłaszcza wtedy, gdy przygnębiała go świadomość, że nie może o niczym decydować, na przykład o przyływach i odpływach lub o fazach księżyca.

Kiedy kończyli pracę, czuł się już odrobinę lepiej.

– Ayuh – westchnął. – Siedem lat to kawał czasu.

I tak jest zawsze – pomyślała. – Zawsze przychodzi pora deszczowa, a wraz z nią pojawiają się obcy. Zawsze we dwoje; zawsze kobieta i mężczyzna. I zawsze mówimy im, co się wydarzy, a oni nam nie wierzą, i dzieje się... co się dzieje.

– Chodź, stary dziadu – mruknęła. – Poczęstuj mnie herbatą, nim rozsadzi mi ten cholerny łeb.

Przygotował herbatę i zanim skończyli ją pić, w całym mieście rozległ się stukot młotków i wizgot pił. Przez wychodzące na Main Street okno widzieli, jak ludzie reperują okiennice, rozmawiają ze sobą i śmieją się.

Powietrze było ciepłe i suche, niebo jasne, błękitne i lekko zamglone, a pora deszczowa w Willow minęła.

Mój śliczny kucyk

Starzec siedział w drzwiach stodoły wypełnionej zapachem jabłek, huśtał się w fotelu na biegunach i strasznie chciał nie chce zapalić. Nie chciał palić nie z powodu zaleceń lekarza, ale dlatego, że ostatnio serce łopotało mu już nieustannie. Obserwował tego głupiego sukinsyna Osgooda, jak z twarzą opartą o pień drzewa szybko liczy, a następnie odwraca się, zaklepuje Cliveya i wybuchają śmiechem. Usta rozdziawił tak szeroko, że starzec mógł dostrzec jego bardzo już popsute zęby i przez chwilę zastanawiał się, jak oddech chłopaka musi śmierdzieć; niczym wyziew z najgłębszych zakamarków wilgotnej piwnicy. A przecież szczeniak miał dopiero jedenaście lat.

Starzec obserwował Osgooda, który zanosił się tym swoim rehotliwym, przypominającym ryk osła śmiechem. Chłopiec śmiał się tak serdecznie, że w pewnej chwili musiał zgiąć się wpół i oprzeć dłonie na kolanach. Śmiał się tak głośno, że reszta dzieciarni wychyłała ze swoich kryjówek, żeby sprawdzić, co się wydarzyło. Po chwili i pozostałe dzieci śmiały się jak szalone. Stały w promieniach porannego słońca, natrzęsając się z wnuka starca, który zapomniał już, jak bardzo chce mu się palić. Pragnął jedynie wiedzieć, czy Clivey zacznie płakać. Pojął, że ten problem obchodzi go bardziej niż jakikolwiek inny w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy. Obchodzi go nawet bardziej niż zbliżająca się do niego szybkimi krokami śmierć.

- Zaklepałeś go! – zawodziła roześmiana dzieciarnia.
- Zaklepałeś, zaklepałeś, zaklepałeś go!

Clivey stał nieporuszony jak głaz na polu rolnika i czekał, aż przeminie huragan śmiechu i zaczną dalszą zabawę, w której tym razem on będzie krył, a nie miły początek odejdzie w niepamięć. Niebawem zabawa znów trwała na całej

go. Później przyszło południe i chłopcy porozchodzili się do domów. Starzec zastanawiał się, czy Clivey będzie miał apetyt. Chłopiec jednak tylko dłubał widelcem w kartoflach i groszku, a niewielkie kawałki mięsa rzucał siedzącemu pod stołem psu. Stary człowiek obserwował to z zainteresowaniem, odpowiadał na pytania innych, ale nie przykładał większej wagi ani do ich słów, ani do swoich. Myślami krążył wokół chłopca.

Kiedy na stole zostały już tylko okruchy po cieście, starca znów naszła ochota na to, czego mu nie było wolno. Postanowił zatem uciąć sobie drzemkę. Idąc na górę, przystanął w połowie schodów, ponieważ jego serce zaczęło przypominać wentylator, w który wpadła talia kart. Stał tak na stopniach z pochyloną nisko głową i czekał, czy to jest już ten ostatni (wcześniej miał dwa). Kiedy palpacje minęły, ruszył na górę, w pokoju zdjął ubranie, został tylko w kalesonach i położył się na czystej, białej narzucie. Na jego kościsty tors padał prostokąt słonecznego światła przecięty trzema cieniami rzucanymi przez okienne ramy. Założył ręce pod głowę i próbując się zdrzemnąć, rozmyślał. W pewnej chwili, gdy wydało mu się, że z pokoju chłopca w końcu korytarza dobiega płacz, stwierdził w duchu: Powiniennem się tym zająć.

Spał godzinę, a kiedy wstał, obok niego leżała kobieta w halce. Zabrał swoje ubranie, włożył je w korytarzu i zszedł na dół.

Clivey siedział na schodkach i rzucał psu patyk, za którym zwierzę ganiało z większym zapałem, niż chłopiec rzucał. Pies (nie miał żadnego imienia, był po prostu psem) popatrzył na starca.

Ten skinął na chłopca i powiedział mu, żeby poszedł z nim do sadu.

Stary człowiek nazywał się George Banning. Był dziadkiem chłopca i to od niego Clive Banning nauczył się, jak ważną rzeczą jest mieć w życiu ślicznego kuczka. Każdy musi posiadać kuczka, choćby nawet miał alergię na konie. Bez ślicznego kuczka można mieć nawet sześć zegarów w każdym pokoju i tyle zegarków na każdej ręce, że nie da się unieść ramion, a i tak człowiek nie będzie wiedział, która godzina.

Instrukcję tę (George Banning nigdy nie dawał rad, a tylko instrukcje) Clive

dostał tego dnia, gdy ten idiota, Alden Osgood, zaklepał go podczas zabawy w chowanego. W tamtych czasach dziadek Clive'a wyglądał starzej niż sam Bóg, co zapewne oznaczało, że miał siedemdziesiąt dwa lata. Gospodarstwo Banninga znajdowało się w stanie Nowy Jork w miasteczku Troy, które w roku sześćdziesiątym pierwszym uczyło się dopiero, jak nie być wsią.

Instrukcję Clive dostał w Sadzie Zachodnim.

Jego dziadek stał bez kurtki w zamieci, która nie była spóźnionym śniegiem, ale wczesnym kwieciem jabłoni. Płatki rozwiewał silny, ciepły wiatr. Dziadek miał na sobie roboczy kombinezon i koszulę z kołnierzykiem, co kiedyś zapewne była zielona, ale w dziesiątkach czy setkach prań zmieniła kolor na nieokreślenie oliwkowy. Z rozcięcia pod szyją wystawał brzeg podkoszulka (takiego z troczkami, oczywiście; w tamtych czasach produkowano już inną bieliznę, ale mężczyźni pokroju dziadka do końca pozostawali wierni podkoszulkom z trokami). Podkoszulek był czysty, choć miał kolor starej kości słoniowej, a nie biały jak kiedyś, ponieważ mottem babci, często powtarzanym i wyszytym nawet na wiszącej w salonie makatce (powieszanej tam zapewne na wypadek wyjątkowych okoliczności, gdy kobiety nie było w domu i nie mogła udzielać owej drogocennej rady, której mądrość nakazywała jej wszem i wobec udzielać), było: „Używaj, używaj, nigdy nie zużywaj! Możesz drzeć! Możesz prać! Ale miej albo strać!”. Na długich, częściowo tylko posiwiałych włosach dziadka osiadały płatki kwiatów jabłoni i chłopiec pomyślał, że stojący pośród drzew owocowych dziadek wygląda przepięknie i imponująco.

Zauważył, że tego dnia staruszek bacznie obserwował ich zabawę w chowanego. Obserwował jego. Dziadek siedział w bujanym fotelu w wejściu do stodoły. Za każdym razem, kiedy fotel odchyłał się do tyłu, skrzypiała deska w podłodze. Stary człowiek trzymał dłonie na rozłożonej na kolanach książce; siedział i bujał się otoczony aromatem siana, jabłek i jabłecznika.

I właśnie ta zabawa w chowanego sprawiła, iż dał Clive'owi Banningowi instrukcję na temat czasu; jak bardzo jest on podstępny i jak człowiek stale musi zachowywać czujność; kucyk jest śliczny, ale ma płochę serce. Jeśli się dobrze

nie pilnuje tego ślicznego kucyka, w każdej chwili może dać susa przez płot i szukać wiatru w polu. Wtedy trzeba brać uzdę i gonić go. Może to być nawet wyprawa krótka, ale tak męcząca, że po powrocie do domu będą człowieka boleć wszystkie gnaty.

Dziadek zaczął instrukcję od stwierdzenia, że Alden Osgood Clive'a oszukiwał. Miał oprzeć głowę o pień uschłego wiązu, przez minutę nie patrzeć i liczyć do sześćdziesięciu. W tym czasie Clivey (dziadek zawsze tak na niego mówił, a chłopiec nic nie miał przeciwko temu, jakkolwiek odkąd skończył dwanaście lat, stłukłby na kwaśne jabłko każdego, kto by go tak nazwał) i inne dzieci musiały znaleźć sobie odpowiednią kryjówkę. Kiedy Alden Osgood doliczył do sześćdziesięciu, Clivey ciągle jeszcze jej nie znalazł i został „zaklepany” w chwili, gdy próbował wślizgnąć się między skrzynki na jabłka złożone w nieładzie obok szopy, w środku której w półmroku majaczyła przypominająca narzędzie tortur prasa do wyciskania soku później przerabianego na jabłecznik.

– Nie było to uczciwe – oświadczył dziadek. – Ale ty nie skowyczałeś ani nie marudziłeś i to było słuszne, ponieważ prawdziwy mężczyzna nigdy nie skowyczy ani nie marudzi; skowyty i marudzenie nie przystoją mężczyznom, a nawet chłopcom, którzy wiedzą lepiej, jak należy postępować i są wystarczająco odważni, żeby tak właśnie robić. Niemniej postępowanie Aldena było nieuczciwe. Mówię to teraz ja, ponieważ ty wtedy się nie poskarżyłeś.

We włosy starca wplątał się kolejny kwiat jabłoni. Jeszcze inny osiadł na wystających kościach obojczyków pod grdyką. Sprawiał wrażenie klejnotu, który jest piękny, ponieważ pewne rzeczy po prostu są piękne; i był wspaniały w swej nietrwałości. W każdej chwili zniecierpliwiony starzec mógł go strzepnąć na ziemię, gdzie płatek przyłączyłby się do tysięcy swoich całkiem anonimowych kolegów.

Clivey oświadczył dziadkowi, że Alden, zgodnie z regułami zabawy, doliczył do sześćdziesięciu, więc zupełnie nie rozumie, dlaczego dziadek próbuje mu na boku udowodnić coś innego. Ostatecznie chłopiec przyniósł mu wstyd przez to, że nie zdołał w porę znaleźć kryjówki i dał się „zaklepać”. Alden – który w chwilach złości potrafił jak dziewczyna dać komuś w twarz – musiał tylko za-

wołać: „Raz-dwa-trzy, Baba Jaga patrzy!”, odwrócić się, zobaczyć Clive’a, a następnie poklepać pień uschniętego drzewa i wykrzyknąć: „Raz-dwa-trzy, Clive zaklepany!”.

A może dyskutował z dziadkiem o Aldenie tylko dlatego, żeby nie wracać na podwórko, żeby móc dłużej obserwować zamieć kwiatów jabłoni, których płatki osiadały na włosach starego człowieka, i podziwiać wspaniałą klejnot w zagłębieniu jego szyi.

– Oczywiście, że tak – odparł dziadek. – Oczywiście, doliczył do sześćdziesięciu. Ale spójrz tylko na to, Clivey! Popatrz i wryj to sobie głęboko w pamięć.

W kombinezonie dziadka były prawdziwe kieszenie – aż pięć, licząc wielką jak u kangura kieszeń na piersi – ale na biodrach nie było żadnej – jedynie wycięcia, przez które można było sięgnąć do kieszeni noszonych pod kombinezonym spodni (w tamtych czasach pomyślał, żeby pod spód nic nie wkładać, nie wydawał się niczym strasznym, a jedynie śmiesznym; oznaczał, że ktoś Ma Nie Najlepiej Pod Sufitem). Dziadek nieodmiennie nosił pod kombinezonym niebieskie dzinsy. „Żydowskie portki” – mawiał poważnie, podobnie zresztą jak inni farmerzy, których Clive znał i którzy nosili dzinsy. Nazywano levisy „żydowskimi portkami” lub prościej, „żydłakami”.

Otóż dziadek wsunął prawą rękę w wycięcie w kombinezonie, przez chwilę gmerał w kieszeni spodni, aż w końcu wydobył na światło dzienne zmatowiały, srebrny zegarek kieszonkowy i wsunął go w dłoń zaskoczonego chłopca. Zegarek był tak ciężki, że dezorientowany Clive o mało nie wypuścił go z dłoni.

Popatrzył na dziadka szeroko rozwartymi, brązowymi oczyma.

– Tylko nie upuść go na ziemię – ostrzegł dziadek.

– Chociaż jeśli nawet to ci się zdarzy, zegarek zapewne nie przestanie chodzić. Kilkakrotnie już wypadł mi z rąk, a raz, podczas jakiejś cholernej popijawy w Utica, ktoś na niego nadepnął. Zegarek jednak nie przestał chodzić. Ale jeśli stanie na dobre, twoja strata, nie moja, ponieważ od tej chwili zegarek należy do ciebie.

– Co?

Chłopiec chciał powiedzieć, że nie rozumie, ale poskromił język.

– Daję ci go – oświadczył dziadek. – Dawno już postanowiłem, że ci go zostawię, i niech szlag trafi, jeśli wstawię go do testamentu. Za testament musiałbym zapłacić jakiemuś cholernemu prawnikowi więcej, niż ten zegarek jest wart.

– Dziadku... Ja... Jezu!

Dziadek tak długo się śmiał, że aż dostał ataku kaszlu. Kaszlał i śmiał się jednocześnie, a jego twarz nabrała koloru dojrzałej śliwki. Radość i zdumienie Clive'a przeszły w niepokój. Pamiętał, że matka, gdy tu jechali, nieustannie go napominała, że nie wolno dziadka męczyć, ponieważ jest ciężko chory. Kiedy przed dwoma dniami Clive zapytał – zapytał bardzo ostrożnie – na co choruje, George Banning odpowiedział jednym, tajemniczym słowem. Dopiero następnej nocy po rozmowie w sadzie, kiedy zapadał już w sen, ściskając w dłoni rozgrzany ciepłem jego ciała kieszonkowy zegarek, Clive nieoczekiwanie pojął, że słowo „tykawa” nie oznacza wcale jakiegoś groźnego robala, ale odnosi się do serca. Lekarz zabronił dziadkowi palić, oświadczając przy tym, że jeśli będzie próbował wykonywać jakiegokolwiek cięższe prace, na przykład odgarniać śnieg lub kopać w ogrodzie, skończy, przygrywając aniołom na harfie. A chłopiec dobrze wiedział, co to znaczy.

– Jeśli tylko nie upuścisz go na ziemię, to zawsze będzie ci chodził i chodził – oświadczył dziadek, ale chłopiec był już na tyle duży, żeby wiedzieć, że zegarek i tak któregoś dnia stanie; wiedział, że zarówno ludzie jak zegarki pewnego dnia stają na zawsze.

Clive obserwował dziadka, ciekaw, czy teraz stanie, ale w końcu kaszel ustał, stary człowiek przestał się śmiać i ponownie wyprostował swą postać. Starł lewą dłonią sopelek z nosa i niedbale strzepnął go z palców.

– Jesteś cholernie zabawnym dzieciakiem, Clivey – powiedział. – Mam szesnastu wnuków i tylko dwóch traktuję jak kacze łajno. Ale ty do nich nie należysz, jakkolwiek pierwszy na liście również nie jesteś, lecz tylko ty potrafisz mnie rozśmieszyć tak, że aż mnie jaja bołą.

– Nie chcę, żeby bołały cię jaja, dziadku – odparł Clive, czym znów niebywale rozbawił dziadka, który tym razem jednak potrafił na tyle zapanować nad sobą, żeby nie zanieść się kaszlem.

– Okręć sobie ze dwa razy łańcuszek wokół dłoni, a od razu poczujesz się różnie – poradził dziadek. – A kiedy już poczujesz się różnie, łatwiej przyjdzie się skupić.

Clive zastosował się do tej rady i rzeczywiście poczuł się różnie. Zerknął na zawieszony na dłoni zegarek, zahipnotyzowany jego żywym mechanizmem, wizerunkiem słońca na cyferblacie, trzecią wskazówką, wskazówką sekundnika, zataczającą swoje własne, odrębne koła. Niemniej był to ciągle jeszcze zegarek dziadka; w to nie wątpił ani przez chwilę. I wtedy właśnie na szkiełko opadł płatek kwiatu, który natychmiast ześlizgnął się z gładkiej powierzchni i poszybował na ziemię. Trwało to ułamek sekundy, ale w mgnieniu oka wszystko się odmieniło. Płatek kwiatu jabłoni potwierdził słowa dziadka; zegarek należał do Clive'a; należał na zawsze... a w każdym razie do chwili, kiedy jeden z nich, Clive albo zegarek, przestanie chodzić, nie da się go naprawić i trzeba go będzie wyrzucić.

– W porządku – powiedział dziadek. – Czy widzisz wskazówkę sekundnika chodzącą po oddzielnej tarczy?

– Tak.

– To dobrze. Nie spuszczaaj z niej oka. Kiedy dojdzie na samą górę, wrzaśnij do mnie: „Naprzód”. Rozumiesz?

Clive skinął głową.

– Świetnie. A kiedy już będzie na górze, krzyknij i pozwól, żeby szła dalej, Gallagher.

Clive, marszcząc czoło, popatrzył na zegarek ze skupieniem matematyka, który stoi właśnie u progu odkrycia doniosłego równania. Rozumiał już, co dziadek chce mu pokazać, ale był na tyle bystry i roztargniony, żeby wiedzieć, że dowód taki jest sprawą czystej formalności... ale jednocześnie dziadek musiał ten dowód przeprowadzić. Stanowiło to rytuał; podobnie jak byłoby nie do pomyślenia wyjść z kościoła przed ostatnim błogosławieństwem, nawet jeśli ucichły już tony psalmów i msza na szczęście się skończyła.

Kiedy wskazówka sekundnika na swoim odrębnym, malutkim cyferblaciku zatrzymała się na dwunastce (Moja – pomyślał z zachwytem. – To jest moja

wskazówka na moim zegarku), wrzasnął ile sił w płucach: „Naprzód!” i dziadek zaczął szybko liczyć, zupełnie jak prowadzący aukcję, który chce pozbyć się wątpliwej wartości przedmiotów po jak najwyższej cenie, zanim zahipnotyzowani kupcy zdążą obudzić się i uświadomić sobie fakt, że nie tylko już zapłacili za towar, ale zdążyli go odebrać.

– *Raz-dwa-trzy, cztery-piń-szyść, dziesięć-dynaście* – recytował dziadek z wypiekami na twarzy. Czerwone żyłki na nosie mówiły o tym, jak bardzo jest przejęty. Zakończył, chrapliwie, ale triumfalnie: – *Pińdziesiontdziewińcsześdziesiont!*

Kiedy wypowiedział ostatnie słowo, wskazóweczka sekundnika w kieszonkowym zegarku przekroczyła dopiero siódmą kreskę oznaczającą trzydziestą sekundę.

– I jak długo? – zapytał zdyszany dziadek, a potem potarł dłonią pierś.

Clive popatrzył na starca z nieskrywanym podziwem.

– To było szybkie liczenie, dziadku!

Starzec wykonał lekceważący gest dłonią, którą przed chwilą pocierał pierś, ale jego twarz promieniała uśmiechem.

– Nawet w połowie nie liczyłem tak szybko, jak ten bachor, Osgood – oświadczył. – Słyszałem, że smarkacz doliczył do dwudziestu siedmiu, a następnie był gdzieś w rejonach czterdziestu jeden. – Dziadek wbił swe brązowe jak jesień źrenice w błękitne niczym Morze Śródziemne oczy Clive’a. Położył sękatą dłoń na ramieniu wnuka. Rękę miał pokrytą guzami artretycznymi, ale chłopiec czuł bijącą z niej moc, jak w maszynie, która na chwilę przestała działać. – Zapamiętaj sobie jedno, Clivey. Czas nie ma nic wspólnego z tym, jak szybko liczysz.

Clive powoli skinął głową. Nic nie rozumiał, ale odnosił wrażenie, że drzemie w nim jakiś cień zrozumienia; jak cień chmury przesuwającej się powoli nad łąką.

Dziadek sięgnął do górnej kieszeni kombinezonu i wyciągnął paczkę koolsów bez filtra. Najwyraźniej bez względu na chore serce wcale nie przestał palić. A jednak chłopiec wiedział, że dziadek rzucił palenie natychmiast; paczka koolsów wyraźnie mówiła, że nosił ją od bardzo dawna, że uniknęła losu innych pa-

czek otwieranych po śniadaniu, a o trzeciej po południu, kiedy sajuż puste, gniecionych i wyrzucanych do rynsztoka; pogniecione kuleczki. Dziadek szperał chwilę w paczce i wyjął z niej równie mocno zmaltrretowanego papierosa. Wsunął go w kącik ust, pudełko z powrotem schował do kieszeni na piersi, a następnie wydobył skądś zapałkę, którą zapalił, pocierając z wprawą 0 zrogowaciały, żółty paznokieć kciuka. Clive patrzył na to z fascynacją dziecka obserwującego magika, któremu z pustych dłoni wytryska nagle fontanna kart. Rozbłysk płomyka go nie dziwił, ale zdumiewającą rzeczą było to, że zapałka nigdy nie gasła. A przecież w sadzie na wzgórzu zawsze wiał silny wiatr. Dziadek za każdym razem nieśpiesznie kulił dłonie, chroniąc wąły ognik. Zapalał papierosa i machał zapałką, jakby po prostu negował istnienie wiatru. Clive bacznie przyjrzał się papierosowi i nie dostrzegł zwęglonej wyżej bibułki. Wzrok go nie mylił; dziadek przypalił papierosa od nieruchomego płomienia, jakby przypalał go od ognia świecy w zamkniętym pokoju. A to już były czary; oczywiste i proste.

Dziadek wyjął spomiędzy warg papierosa i ściągając usta, jakby chciał gwizdnąć na psa lub taksówkarza, wsunął do ust kciuk i palec wskazujący. Wilgotnymi od śliny czubkami palców ścisnął szerniąłą główkę zapałki. Chłopiec nie potrzebował wyjaśnień: jedyną rzeczą, jakiej dziadek i jego znajomi obawiali się bardziej niż nagłych mrozów, był ogień. Starzec rzucił zapałkę na ziemię i zgniótł ją obcasem. Kiedy uniósł twarz i ujrzał wlepiony w siebie wzrok chłopca, źle ocenił fascynację dziecka.

– Wiem, że nie powinienem palić – oświadczył – i nie chcę, żebyś kłamał; nie próbuję cię nawet do tego namawiać. Jeśli babcia zapyta wprost: „Czy ten dziadga palił?”, powiesz, że tak. Nie potrzebuję, żeby dzieciak przeze mnie kłamał. – Powiedział to bez uśmiechu, ale wyraz jego przenikliwych, szeroko rozstawionych oczu sprawił, że Clive ochoczo przystał na tę niewinną konspirację. – Ale gdyby babcia zapytała mnie wprost, czy kiedy dałem ci zegarek, użyłeś imienia Zbawiciela nadaremno, odpowiem: „Nie”. Powiem, żeś podziękował najładniej, jak umiałeś, i to wszystko.

Teraz z kolei Clive wybuchnął śmiechem, lecz stary mężczyzna skrzywił tylko

twarz w lekkim uśmiechu, ukazując nieliczne zęby, które mu jeszcze pozostały.

– Oczywiście, jeśli nikogo z nas nie zapyta, nie zgłosimy się na ochotnika, prawda, Clivey? To chyba w porządku?

– Tak – odparł Clive.

Nie był ładnym chłopcem, ale kiedy uśmiechnął się z pełnym zrozumieniem dla retorycznej sztuczki dziadka, był prawie piękny, w każdym razie w tej właśnie chwili, i stary człowiek rozwichrzył mu dłonią włosy.

– Dobry z ciebie chłopiec, Clivey.

– Dziękuję, proszę dziadka.

Dziadek stał nieruchomo, pogrążony w myślach. Kool spalał się nienaturalnie szybko (tytoń był suchy, toteż mimo że starzec z rzadka się zaciągał, ostry wiatr sam spalał papierosa) i Clive sądził, że stary człowiek powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia. Chłopiec bardzo tego żałował. Uwielbiał rozmowy z dziadkiem. Wszystko, o czym stary pan opowiadał, nieustannie Clive'a zdumiewało, ponieważ prawie zawsze słowa starca miały głęboki sens. Matka, ojciec, babcia, wujek Don – wszyscy oni mówili różne rzeczy, które zapewne powinien był brać sobie do serca, ale rzadko kiedy miało to sens. Na przykład: dobrze jest, jak się dobrze postępuje. Co to znaczy?

Miał siostrę Patty o sześć lat od siebie starszą. Rozumiał ją, ale nie brał poważnie, bo większość z tego, co mówiła, było głupie. A resztę stanowiły różne drobne uszczypliwości. Najostrzejsze z nich określała mianem Pawka-Szcypawka. Oświadczyła bratu, że jeśli komuś wspomni o którejkolwiek Pawce-Szcypawce, to go zamordulizuje. Patty nieustannie mówiła o ludziach, których zamierzała zamordulizować. Ułożyła sobie nawet specjalną listę tych osób i zamierzała stworzyć organizację Spółka Akcyjna „Zabójstwo”. Mogłoby to wydawać się śmieszne... dopóki człowiek dobrze się nie przyjrzał jej szczupłej, zaciętej twarzy. Kiedy zobaczył, co kryje się w tym obliczu, opuszczała go cała ochota do śmiechu. W każdym razie na pewno opuszczała Clive'a. Z Patty należało bardzo uważać – opowiadała głupoty, ale głupia wcale nie była.

„Nie chcę umawiać się na randki – oznajmiła niedawno przy kolacji. O tej porze roku chłopcy zapraszali dziewczęta do klubu z okazji Dnia Wiosny albo

na studniówki do gimnazjum. – Wcale się nie martwię tym, że nigdy i z nikim nie umówię się na randkę”.

I znad mięsa na ciepło z jarzynami spojrzała wyzywająco na siedzących przy stole.

Clive zerknął na nieruchomą i w jakiś sposób nawiedzoną twarz siostry mającą w obłoczku bijącej z talerza pary i przypomniał sobie pewne zdarzenie sprzed dwóch miesięcy, kiedy jeszcze na polach zalegał śnieg. Szedł korytarzem na piętrze na bosaka tak, że nie usłyszała jego kroków. Drzwi do łazienki były otwarte, więc zajrzał do środka – nie miał zielonego pojęcia, że jest tam jego Odrażająca Siostrzyczka. Na widok tego, co ujrzał, stanął jak skamieniały. Gdyby Patty choć odrobinę odwróciła głowę w lewo, dostrzegłaby go.

Ale nie odwróciła. Zbyt pochłaniało ją oglądanie samej siebie. Była naga jak jedno z tych seksownych dziewczątek w dobrze zaczytanym magazynie *Model Delidhts* Foxy’ego Brannigana, u jej stóp leżał rzucony na podłogę ręcznik kąpielowy. Ale Patty bynajmniej nie była żadnym seksownym dziewczątkiem; co do tego zarówno ją jak i Clive’a upewnił jeden rzut oka. Po pryszczatych policzkach dziewczyny płynęły łzy. Płynęły strumieniami, ale z ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Ostatecznie Clive na tyle zapanował nad sobą, że odszedł na palcach i nigdy nikomu – a zwłaszcza siostrze – nie wspomniął o tym, czego był świadkiem. Nie wiedział, czy wpadłaby w furję na wiadomość, że dziecko, jakim był jej brat, widziało ją z gołym tyłkiem, ale doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że gdyby dowiedziała się, iż podejrzwał ją w chwili, gdy ryczała (choć było to ryczenie bezgłośnie), zamordulizowałaby go z całą pewnością.

„Uważam, że chłopcy są nudni, a ponadto większość z nich śmierdzi jak zleżały twaróg – oświadczyła pewnego wieczoru wczesną wiosną i wsunęła do ust nabity na widelec potężny kawałek pieczonej wołowiny. – Gdyby jakiś chłopak zaproponował mi randkę, roześmiałabym mu się w nos”.

„Jeszcze zmienisz zdanie, Dynio” – odparł tata, żując mięso i nie podnosząc głowy znad książki, która leżała obok talerza.

Mama dawno już zwątpiła, że kiedykolwiek zdoła odzwyczaić go od czytania przy jedzeniu.

„Nie zmienię” – powiedziała Patty, a Clive wiedział, że dokładnie tak będzie.

Kiedy Patty coś mówiła, prawie zawsze mówiła to serio. Było coś, co o niej wiedział, a z czego nie zdawali sobie sprawy jego rodzice. Nie był tylko pewien, czy mówiła serio – tak bardzo serio – że zamordulizowałyby go, gdyby rozgadał wszystkim o Pawkach-Szczypawkach, ale tego wolał już nie sprawdzać. Wiedział jednak, że gdyby nawet go nie zabiła, wymyśliłaby jakiś szczególny i niemożliwy do wykrycia sposób, aby mu zdrowo dopiec. Tego był pewien. Ponadto czasami Pawki-Szczypawki wcale nie były kąśliwe; przypominały bardziej sposób, w jaki jego siostra głaskała należącego do niej małego pudła-mieszkańca, Brandy’ego. Clive zdawał sobie sprawę z tego, że robi to, ponieważ on sam jest zły, ale on z kolei miał swój sekret, którego z całą pewnością nie zamierzał jej wyjawiać: owe przypominające głaskanie psa Pawki-Szczypawki na swój sposób sprawiały mu przyjemność.

Kiedy dziadek otworzył usta, Clive w pierwszej chwili sądził, że usłyszy: „Czas wracać do domu, Clivey”. A jednak starzec rzekł coś zupełnie innego.

– Jeśli chcesz, mogę ci o czymś opowiedzieć. Nie zajmie to dużo czasu. Czy chcesz to usłyszeć, Clivey?

– Tak, proszę dziadka!

– Naprawdę? – zapytał dziadek ze zdziwieniem.

– Tak, proszę dziadka.

– Czasami myślę, że powinienem cię podkraść twoim starym i zatrzymać przy sobie na zawsze. Czasami wydaje mi się, że gdybym miał cię pod ręką cały czas, żyłbym zawsze, niezależnie od tego przekłętego serca.

Wyjął z ust papierosa, rzucił go na ziemię i zdeptał roboczym butem, pokręciwszy kilka razy obcasem. Na koniec przysypał niedopałek ziemią. Kiedy znów popatrzył na Clive’a, jego oczy lśniły.

– Już bardzo dawno temu przestałem udzielać innym rad – oświadczył. – Trzydzieści lat, albo i lepiej. Przestałem ich udzielać, kiedy się przekonałem, że udzielają ich tylko głupcy i tylko głupcy ich słuchają. Instrukcja... instrukcja to coś innego. Mądry człowiek daje je od czasu do czasu i mądry człowiek, nawet

chłopiec, od czasu do czasu się do nich stosuje.

Clive milczał i wpatrywał się w skupieniu w dziadka.

– Istnieją trzy rodzaje czasu – oświadczył staruszek – i choć wszystkie obowiązują, to tak naprawdę obowiązują tylko jeden.

Chcesz poznać je wszystkie i zawsze potrafić je rozróżnić. Rozumiesz to?

– Nie, proszę dziadka.

Dziadek skinął głową.

– Gdybyś powiedział: „Tak, proszę dziadka”, zerznąłbym ci tyłek i odprowadził do domu.

Clive popatrzył pod nogi, na smętne resztki dziadkowego papierosa. Twarz miał gorącą, zaczerwienioną, ale malowała się na niej duma.

– Kiedy człowiek jest takim małym szprotem jak ty, czas wlecze mu się jak ślimak. Dam ci przykład. Gdy nadchodzi maj, wydaje ci się, że koniec szkoły nigdy nie nastąpi, że nigdy nie nadejdzie połowa czerwca. Czyż nie jest dokładnie tak, jak mówię?

Clive pomyślał o ciężarze ostatnich dni roku szkolnego, o sennej, pachnącej kredą klasie i skinął głową.

– A kiedy nadejdzie już połowa czerwca i nauczyciel da ci cenzurkę, wydaje się z kolei, że nigdy nie nastąpi początek szkoły. Czyż nie jest dokładnie tak, jak mówię?

Clive pomyślał o długim jak autostrada szeregu dni i tak energicznie kiwnął głową, że aż coś strzeliło mu w karku.

– Jezu, to prawda!... To znaczy proszę dziadka.

Te dni. Te wszystkie dni, ciągnące się przez czerwiec i lipiec, kiedy sierpień znajduje się jeszcze niewyobrażalnie daleko za horyzontem. Tak wiele dni, tak wiele ranków, tak wiele lunchów złożonych z kanapek z kielbasą, musztardą, pokrojoną w talarki cebulą i ogromnych kubków mleka. A mama siedzi w salonie nad szklanką wina, która nie ma dna, i ogląda w telewizji opery mydlane. Wlokące się upalne popołudnia, kiedy od potu swędzi ostrzyżona na języka głowa, kiedy ten pot spływa po czole i policzkach, a kleks cienia wydłuża się w miarę upływu godzin, co zawsze niebywale zdumiewało chłopca. Tak wiele

niekończących się zmierzchów, kiedy pot wysycha bez śladu, zostawiając tylko, jak płyn po goleniu, zapach na policzkach i rękach; zmierzchów, kiedy w najlepsze jeszcze trwa zabawa w berka, w piratów i w podchody. Szczęk łańcucha rowerowego, który gładko zaskakuje na zęby przekładni, woń kapryfolium, stygnącego asfaltu, zielonych liści i ścinanej trawy, klaskanie kart z podobiznami baseballistów obu lig, rozkładanych na chodniku przez chłopaków, gdy z powagą i namaszczeniem wymieniają się tymi fotografiami. Transakcje zawierane w zapadającym powoli czerwcowym zmierzchu. Kres tym rozrywkom kładzie dopiero wołanie „Clliiiiive, kolaaacja!”. Za każdym razem wołanie jednocześnie oczekiwane i zaskakujące, podobnie jak kleks cienia w południe, zmieniający się około trzeciej w znacznie dłuższy kontur uganiającego się po ulicy chłopca. Teraz, o piątej po południu, cień ten wydłużał się, tworząc sylwetkę dorosłego, choć wyjątkowo szczupłego i kościstego mężczyzny. Aksamitne wieczory przy telewizorze, suchy szelest kartek w książkach, jakie, jedną za drugą, połykał jego ojciec (zawsze było mu mało lektury; słowa, słowa, słowa; jego ojcu zawsze było mało lektury i pewnego razu nawet Clive chciał spytać tatę, jak mu się to nie nudzi, ale w ostatniej chwili stracił odwagę), matka, która ciągle wychodzi do kuchni, śledzona zaniepokojonym, gniewnym wzrokiem Patty i zaintrygowanym spojrzeniem syna, delikatne dzwonięcie napełnianej ponownie szklanki, tej, co od jedenastej przed południem nigdy nie bywała pusta (ojciec nie podnosił znad książki głowy, jakkolwiek Clive zdawał sobie sprawę z tego, że tata wszystko słyszy i o wszystkim wie, a Patty, gdy pewnego razu przyznała się jej do tego, nazwała go głupim tchórzem i przez cały dzień raczyła bardzo raniącymi Pawkami-Szczypawkami). Bzykanie komarów, które w miarę jak zachodziło słońce, coraz natarczywiej atakowały szyby w oknach. Później komenda: „Do łóżka”, nieprzyjemna, ale nieunikniona, a wszelkie argumenty tłumione były w zarodku. Szorstki pocałunek pachnącego tytoniem ojca. Pocałunek matki, miększy, słodki i cierpki jednocześnie, przesiąknięty wonią wina. Ojciec wychodzący na kilka piw do pobliskiego baru, gdzie przy okazji obejrzy w telewizji walki wrestlingu. Patty, która tłumaczy matce, że powinna już iść spać, i matka odpowiadająca córce, że powinna pilnować swego nosa. Rozmowy

przykre, ale kojące w swej przewidywalności. W mroku lśnią robaczki świętojańskie; odległy dźwięk klaksonu samochodowego, głuchy, jakby dobiegał z długiego mrocznego tunelu. I kolejny dzień, który pozornie tylko przypomina poprzedni. Lato. Takie właśnie było lato. I wcale nie wydawało się długie. Ono było długie.

Dziadek bacznie go obserwował, zdawał się odczytywać z niebieskich oczu wnuka nurtujące go myśli, zupełnie jakby wiedział, że chłopiec nie umie tego wszystkiego wypowiedzieć, nie potrafi wyartykułować słów oddających język jego serca. W końcu starzec skinął głową, potwierdzając to wszystko, co powiedział, a Clive się przestraszył, że stary człowiek powie nagle coś miłego, kojącego, coś bez znaczenia. Jasne, że mógł coś takiego powiedzieć. Na przykład: „Znam to wszystko, Clivey. Widzisz, sam kiedyś byłem dzieckiem”.

Ale nic takiego nie powiedział i chłopiec zrozumiał, że wykazał wyjątkową głupotę, przez chwilę nawet podejrzewając dziadka o coś takiego. Gorzej, zdradził dziadka. Bo to był dziadek, a dziadek nigdy nie opowiadał bzdur jak inni dorośli. Zamiast mówić łagodnie, uspokajająco, zamiast używać miłych słów, starzec dodał sucho, z ostateczną pewnością sędziego wydającego surowy wyrok za popełnienie zbrodni głównej:

– Wszystko się zmienia.

Clive popatrzył w górę na jego twarz, trochę wystraszony tym pomysłem, i zachwycił się, że dziadek wygląda dziko, bo wiatr rozwiął mu włosy. Przyszła mu do głowy myśl, że dziadek wygląda jak kaznodzieja, który dobrze wie, a nie zgaduje tylko, jaki jest i jak wygląda Bóg.

– Jak to? Czas się zmienia?

– Tak. Gdy osiąga się pewien wiek, mniej więcej czternaście lat, kiedy to dwie połowy rasy ludzkiej popełniają ogromny błąd, odkrywając nawzajem swe istnienie, czas staje się prawdziwym czasem. Prawdziwy czas. Nie jest już tak długi, jak był, ani tak krótki, jak będzie. Zmienia się. Ale przez większość życia obowiązuje czas prawdziwy. Czy wiesz, o czym mówię, Clivey?

– Nie, proszę dziadka.

– A zatem wysłuchaj instrukcji: prawdziwy czas jest twoim ślicznym kucy-

kiem. Powtórz: „Mój śliczny kucyk”.

Oszołomiony, zastanawiając się, czy dziadek go nie nabiera („robi cię w muła”, jak powiedziałyby wujek Don), Clive powtórzył to, o co prosił go dziadek. Podejrzewał, że starzec wybuchnie śmiechem i powie: „Tym razem naprawdę zrobiłem cię w muła, Clivey”. Ale stary człowiek skinął tylko poważnie głową, rozwiewając tym wszelkie obawy dziecka.

– Mój śliczny kucyk. Tych trzech słów, jeśli jesteś tak bystry, za jakiego cię mam, nie zapomnisz do końca życia. Mój śliczny kucyk. To jest cała prawda o czasie.

Dziadek wyciągnął z kieszeni pomietą paczkę papierosów, chwilę spoglądał na nią z zastanowieniem, po czym wsunął z powrotem do kombinezonu.

– Odkąd skończysz czternaście lat, aż do... hmm... do sześćdziesiątki, większość czasu będzie właśnie moim-ślicznym-kucykiem. Później czas znów stanie się długi jak w okresie dzieciństwa, ale nie będzie to już dobry czas. Musisz zatem oddać całą duszę czasowi mój-śliczny-kucyk. Ale jeśli powtórzysz babci to, o czym ci teraz powiem, nazwie mnie bluźniercą i przez tydzień nie będzie mi przynosić do łóżka butelki z ciepłą wodą. Przez tydzień, a może i przez dwa.

Usta dziadka wykrzywiły się w gorzkim, grzesznym grymasie.

– Gdybym powiedział to wielebnemu Chadbandowi, natychmiast usłyszałbym tyradę, że widzę świat w ciemnych barwach, albo tę starą głupotę, że niezbadane są wyroki Opatrzności. Ale tobie, Clivey, powiem, co myślę naprawdę. Myślę, że z Boga musi być kawał tęgiego skurwysyna, skoro sprawił, że dorosłym, kiedy bardzo cierpią, czas się wydłuża; na przykład wtedy, gdy mają porzaskane żebra, poszarpane wnętrzości czy coś w tym rodzaju. W porównaniu z takim Bogiem przebijający szpilką na żywca muchy dzieciak jest świętym, na którego ramieniu sadowią się dzikie ptaki. Lekki stóg siana zamienia się nagle w twardą, ciężką skorupę żółwia i zastanawiam się, dlaczego Bóg w pierwszym rzędzie postanowił stworzyć żywe, myślące istoty. Skoro już chciał się na coś wysikać, dlaczego nie stworzył tylko sumaku? Co powiesz o starym, nieszczęsnym Johnnym Brinkmayerze, tym, co w zeszłym roku tak powoli umierał na raka kości?

Clive niewiele o tym wiedział, ale później, wracając do miasta, przypomniał sobie, że Johnny Brinkmayer, właściciel sklepu spożywczego, jak nazywali to jego matka i ojciec, a dziadek i babcia mówili „spółdzielni”, był jedynym człowiekiem, jakiego dziadek wieczorami odwiedzał... i jedyną osobą, jaka wieczorami odwiedzała dziadka. Podczas długiej podróży do miasta dotarło do Clive’a, że Johnny Brinkmayer – przypominał go sobie bardzo mgliście jako mężczyznę z olbrzymią brodawką na czole, który nieustannie, gdy chodził, obciągał spodnie w kroku – musiał być jedynym, prawdziwym przyjacielem dziadka. A fakt, że ilekroć padało w rozmowie nazwisko Brinkmayera, dziadek odwracał twarz – i często skarżył się, że sklepikarz śmierdzi – jedynie umacniał Clive’a w tym przekonaniu.

Ale wszystkie te refleksje nie naszły Clive’a wtedy, w ogrodzie, ponieważ chłopiec był przejęty i czekał z zapartym tchem, aż ciśnięty ręką Boga piorun położy dziadka trupem. Za takie bluźnierstwo Bóg z całą pewnością powinien zesłać piorun. Nikomu nie mogło ujsć bezkarnie nazwanie Boga Ojca Wszechmogącego tęgim skurwysynem i przyrównanie Istoty, która stworzyła wszechświat, do trzecioklasisty, co nabija na szpilki żywe muchy.

Clive nerwowo odstąpił o krok od postaci w kombinezonie, bo nagle przestała być jego dziadkiem, a zmieniła się w piorunochron. W każdej chwili mógł z czystego, niebieskiego nieba strzelić grom i dziadek padłby na miejscu trupem, równie martwym jak psie łajno, a płonące jabłonie w sadzie oznajmiałyby światu o przekleństwie, jakie na niego spadło. Unoszone wiatrem płatki kwiecica jabłoni stałyby się zwęglonymi drobinami, jak gazety, które ojciec co tydzień, w niedzielne popołudnia, spalał w piecu na odpadki na tyłach ich domu.

Ale nic takiego się nie wydarzyło.

Clive czekał i stopniowo opuszczało go okropne przekonanie o karze boskiej, a gdy w pobliżu zagwizdał wesoło kos (jakby dziadek nie powiedział nic gorszego niż „pocałuj mnie w piętę”), chłopiec wiedział już, że żaden piorun nie uderzy. I w tej właśnie chwili, kiedy to sobie uświadomił, w życiu Clive’a Banninga zaszła niewielka, lecz fundamentalna zmiana. Pojął, iż wysłuchanie nieukaranego bluźnierstwa, jakiego dopuścił się dziadek, nie zrobi z niego ani kry-

minalisty, ani chuligana; nie sprawi nawet, że stanie się tak zwanym „trudnym dzieckiem” (ukuty niedawno termin, który dopiero wszedł w modę). Jakkolwiek wiara Clive’a uległa niewielkiej tylko zmianie, jego nastawienie do dziadka zmieniło się zasadniczo. Dotąd słuchał tylko tego, co starzec mu mówił; teraz mu towarzyszył.

– Kiedy cierpisz, czas wlecze się w nieskończoność – mówił dziadek. – Wierz mi, Clivey... tydzień cierpienia sprawi, że najwspanialsze wakacje twego dzieciństwa wydadzą ci się tylko weekendem. Do licha, zaledwie sobotnim porankiem! Gdy pomyślę o tych siedmiu miesiącach, kiedy to Johnny leżał z tym... z tą rzeczą, która się w nim załęgła, załęgła i zżerała od środka... Jeeezu, nie powinienem o tym opowiadać dzieciakowi. Twoja babcia ma rację. Jestem głupi jak but.

Dziadek ze zmarszczonym czołem popatrzył na swoje buty i przez chwilę zbierał myśli. Kiedy uniósł wreszcie głowę, twarz miał już pogodną.

– Nieistotne. Powiedziałem, że dam ci instrukcję, a zamiast tego stoję tu i zawodzę jak zbita, bura suka. Czy wiesz, co to takiego zbita, bura suka?

Chłopiec przecząco potrząsnął głową.

– Nieważne; tym zajmiemy się następnym razem.

Oczywiście następnego razu już nie było. Następnym razem Clive ujrzał dziadka w drewnianej skrzyni i podejrzewał, że to właśnie była ta istotna część instrukcji, jaką dał mu dziadek tamtego dnia. A fakt, że stary człowiek o tym nie wiedział, wcale nie umniejszał wagi tej instrukcji.

– Starzy ludzie są jak stare pociągi na stacji rozrządowej, Clivey. Za dużo tych cholernych pociągów. Tak więc muszą z pięć razy objeżdżać parowozownię, zanim dostaną się do środka.

– To racja, dziadku.

– Chodzi mi o to, że za każdym razem, kiedy zmierzam do jakiegoś punktu, trafiam w inne miejsce.

– Wiem, ale te inne miejsca są bardzo interesujące.

Dziadek uśmiechnął się.

– Jeśli masz w sobie duszę artysty, Clivey, to duszę artysty pierwszorzędne-

go.

Clive odpowiedział uśmiechem i najwyraźniej mroczne wspomnienie o Johnnym Brinkamyrze opuściło dziadka. Kiedy stary człowiek ponownie się odezwał, mówił bardziej rzeczowo.

– Dobrze, zapomnijmy o tym. Ów dłużący się czas w cierpieniu jest czymś ekstra, co Bóg dodatkowo nam dorzuca. Wiesz, jak ludzie zbierają kupony dołączane do papierosów Raleigh i wymieniają je później na mosiężne barometry, które wieszają w mieszkaniach, albo na nowy zestaw noży do mięsa.

Clive skinął głową.

– No cóż, dokładnie taki sam jest właśnie czas cierpienia... z tym tylko, że kupujemy go za znacznie bardziej frajerską cenę, jak byś ty to określił. Przede wszystkim chodzi o to, że w miarę starzenia się człowieka normalny czas, czas mój-śliczny-kucyk, zmienia się w czas krótki. To tak, jakbyś był dzieckiem, tyle że odwrotnie.

– Do tyłu.

– Właśnie.

Pomysł, że czas upływa szybciej, gdy człowiek się starzeje, był poza możliwością pojmowania chłopca, ale Clive miał dość oleju w głowie, żeby go zaakceptować. Wiedział przecież, że jeśli jedna strona huśtawki idzie w górę, druga musi opaść. Pojmował, że to, o czym opowiada mu dziadek, zasadza się na tym samym. Waga i przeciwwaga. Zgoda, to zależy, z której strony na to spojrzeć – powiedziała by ojciec chłopaka.

Dziadek ponownie wyciągnął z kangurzej kieszeni paczkę koolsów i tym razem ostrożnie wyjął z niej papierosa. Nie był to ostatni papieros w paczce, ale ostatni, jaki Clive widział w ustach dziadka. Następnie starzec schował paczkę tam, skąd ją wyciągnął. Swego ostatniego papierosa zapalił z równą łatwością jak poprzedniego. Wcale nie ignorował wiejącego na wzgórzu wiatru; po prostu zaprzeczał jego istnieniu.

– Dziadku, kiedy to się dzieje?

– Tego ci dokładnie powiedzieć nie potrafię, ale nie zdarza się to tak od razu – odparł dziadek i jak poprzednio poślinił zapałkę.

– To się skrada, jak kot do wiewiórki. W końcu zaczynasz to dostrzegać. Ale kiedy już to zobaczysz, okaże się to równie uczciwe jak liczenie twego Osgoda.

– No dobrze, ale co się wtedy dzieje? Jak można to dostrzec?

Dziadek, nie wyjmując z ust papierosa, trącił go palcem, strzepując wałeczek popiołu. Zrobił to kciukiem, jak się stuka palcem w stół. Chłopiec nigdy nie zapomniiał tego cichutkiego dźwięku.

– Myślę, że jest to sprawa indywidualna – wyjaśnił starzec.

– U mnie zaczęło się to w wieku czterdziestu iluś tam lat. Nie pamiętam dobrze ilu, ale dokładnie wiem, gdzie mnie to dopadło... w sklepiku Davisa. Znasz to miejsce, prawda?

Clive skinął głową.

Ojciec, ilekroć byli u dziadków, zawsze zabierał tam jego i Patty na lody. Tata nazywał to Potrójnym Wanczetrusk, ponieważ zamówienie zawsze było takie samo: dla ojca lody waniliowe, dla Patty czekoladowe, dla Clive'a truskawkowe. I nieodmiennie ojciec siedział między nimi i czytał, a oni pochłaniali lodowato zimne słodycze. Patty miała rację, twierdząc, że gdy ojciec czyta, można płać najbardziej zwariowane figle, co zresztą miało miejsce prawie cały czas, ale kiedy już odkładał książkę i rozglądał się, należało siedzieć jak trusia i wykazywać się dobrymi manierami; w przeciwnym razie łatwo było zarobić zdrowego klapsa.

– Wstąpiłem do sklepu Davisa – powiedział dziadek, wbił wzrok w niebo i zaczął studiować chmurę, która przypominała kształtem szybko poruszającego się po wiosennym niebie żołnierza grającego na trąbce. – Chciałem twojej babci kupić lekarstwo na artretyzm. Przez cały tydzień łało i kości bolały ją jak wszyscy diabli. Natychmiast zauważyłem, że zmieniono wystrój wnętrza. Trudno zresztą było nie zauważyć. Nowe dekoracje zajęły całe boczne przejście. Wisiały tam maski, wycinanki z kartonu przedstawiające czarne koty, wiedźmy na miotłach i inne tego rodzaju rzeczy. Dostrzegłem również kartonowe dynie. Dostarczano je w opakowaniach z dołączonymi pelerynkami. Pomysł zasadzał się na tym, że dzieciak wyciągał dynię z pudełka, a jego mama miała przez całe

popołudnie spokój, gdyż jej pociecha najpierw tę dynię kolorowała, a później szła się nią bawić na podwórku. Po pomalowaniu dyni można ją było zawiesić przy drzwiach domu albo, jeśli rodzina była zbyt biedna, żeby kupić dzieciakowi maskę w sklepie, lub za głupia, by pomóc mu wykonać kostium z tego, co było w domu, przyczepiało się pelerynkę do dyni i już dziecko, kiedy nadchodził wieczór Halloween, miało gotowy strój. Wiele dzieciaków chodziło w takich właśnie przebraniach kupowanych w sklepie Davisa. No i oczywiście można tam było dostać słodycze. Obok dystrybutora z wodą sodową znajdował się kontuar z tanimi słodyczami. Pewnie go widziałeś...

Clive uśmiechnął się. Jasne, że widział.

– ...ale ten był inny. Słodycze sprzedawano nie na sztuki, ale w całych zestawach. Każda paczka zawierała landrynki, rozpuszczalną gumę do żucia, słodką, prażoną kukurydzę, puszki z bezalkoholowym korzennym piwem i sznury lukrecji.

W pierwszej chwili pomyślałem, że staremu Davisowi – istniał inny jeszcze Davis, ojciec tego Davisa, którego znasz; to on chyba w tysiąc dziewięćset dziesiątym właśnie otworzył sklep i w tamtych latach go prowadził – poprzestawiały się w łepetynie klepki. Jasny gwint, pomyślałem, jeszcze nawet lato się nie skończyło, a on już wystawia *trick-or-treat*²². Chciałem podejść do lady, za którą wypisywał jakieś rachunki, i powiedzieć mu na ten temat kilka słów, ale coś mnie wstrzymało, coś zawołało pod czaszką: „Zaczekaj chwileczkę, George... to tobie się klepki w łepetynie poprzestawiały”. I nie było to wcale dalekie od prawdy, Clivey, ponieważ lato dawno już minęło i wiedziałem o tym równie dobrze jak o tym, że teraz tu stoimy. Widzisz, chcę, żebyś to właśnie zrozumiał. Przecież ja wiedziałem.

Czyż nie poszukiwałem już w miasteczku chętnych do zbierania jabłek? Czyż nie wysłałem już do Kanady pięciuset ulotek reklamowych z formularzami zamówień? I czyż nie interesowałem się już Timem Warburtonem, facetem, który w poszukiwaniu pracy zawędrował do nas z Schenectady? Miał coś w sobie, sprawiał wrażenie uczciwego i myślałem, że będzie dobrym nadzorcą podczas zbiorów. Czyż lada dzień nie zamierzałem zaproponować mu pracy, i czyż on

sam nie wiedział, że mam zamiar go zatrudnić? Przecież już nawet elegancko się ostrzygł! Powiedziałem do siebie: „George, chłopie, czy nie jesteś jeszcze trochę za młody, żeby grzybieć? Co z tego, że stary Frank wystawił słodczyce na Halloween trochę wcześniej. Ale lato? Lato dawno minęło, koleś!”.

Doskonale o tym wiedziałem, Clivey, ale przez sekundę – a może przez cały szereg sekund – wydawało mi się, że jest lato albo że musi jeszcze być lato, ponieważ było po prostu lato. Łapiesz, o co mi chodzi? Nie zajęło wiele czasu, żeby pojąć, że już wrzesień, ale zanim do tego doszedłem, czułem... rozumiesz, czułem... – Zmarszczył brwi, a następnie wydusił z siebie słowo, które znał, ale którego nigdy nie używał w rozmowie z innymi farmerami, żeby nikt nie powiedział (zwłaszcza jego najbliżsi koledzy rolnicy), że zadziera nosa. – Czułem się skonsternowany. To jedyne, cholerne słowo, które oddaje to, co czułem. Konsternacja. Zdarzyło mi się to po raz pierwszy.

Spojrzał na chłopca, który słuchał jego słów w takim skupieniu, że nawet nie skinął głową. Zatem dziadek kiwnął głową za obu i strącił kciukiem kolejny wałeczek popiołu. Clive zauważył, że dziadek tak był zagłębiany w myślach, że całego prawie papierosa wypalił za niego wiatr.

– Było to tak, jakbym podszedł do lustra się ogolić i ujrzał we włosach pierwszy siwy włos. Łapiesz to, Clivey?

– Tak.

– W porządku. Po tym pierwszym razie zaczęło się dziać podobnie ze wszystkimi świętami. Myślałem, że za wcześnie wystawiają towar, czasami nawet coś komuś na ten temat napomknąłem, ale raczej zachowywałem ostrożność w wypowiedzianiu swych sądów, że właściciele sklepów są po prostu chciwi. To z nimi było coś nie tak, nie ze mną! Łapiesz?

– Tak.

– Zachłanny właściciel sklepu był kimś, kogo człowiek rozumiał – ciągnął dziadek. – Niektórzy nawet ich podziwiali, jakkolwiek ja do tych ludzi nigdy nie należałem. „Taki to a taki ma wprawę” – mawiano, jakby wprawa taka była czymś chwalebny. Na przykład rzeźnik Radwick, który zawsze przyciskał kciukiem wagę. Ja osobiście nigdy bym tak nie postępował, ale mogłem go zro-

zumieć. Lecz wygadywanie rzeczy, na podstawie których ludzie powiedzą, że z moją głową jest coś nietęgo... cóż, to już inna para kaloszy. Mogłem powiedzieć: „Na Boga, oni wyciągną bombki choinkowe i anielskie włosie jeszcze przed sianokosami”, a każdy, kto by to usłyszał, powiedziałby, że to święta prawda, ale wcale to nie była święta prawda, bo kiedy dokładnie wszystko sobie przemyślałem, Clivey, dochodziłem do wniosku, że rokrocznie wyciągają te rzeczy tuż przed świętami.

Następnie spotkała mnie kolejna przygoda. Stało się to w pięć albo siedem lat później. Wydaje mi się, że miałem wtedy około pięćdziesiątki, ale głowy nie dam. Tak czy siak, powołano mnie na sędziego przysięgłego. Chciało mi się jak psu do studni, ale poszedłem. Zastępca szeryfa zaprzysiągł mnie, zapytał, czy będę pełnił swe obowiązki zgodnie z głosem sumienia, a ja odparłem, że tak; jakbym przez całe życie postępował inaczej. Wtedy zastępca wyciągnął pióro i zapytał mnie o mój adres. Podałem. Następnie spytał, ile mam lat. A ja otworzyłem usta, żeby z całym przekonaniem odpowiedzieć, że mam ich trzydzieści siedem.

Dziadek zadarł głowę i roześmiał się do chmury przypominającej żołnierza. Obłoczek, który pełnił rolę trąbki, rozdał się już do rozmiarów trąbity i przepłynął z jednej strony nieba na drugą.

– Dlaczego chciałeś tak powiedzieć, dziadku? – zapytał Clive.

Myślał już, że wszystko rozumie, ale nagle znalazł się w gęstym lesie.

– Chciałem tak odpowiedzieć, bo to mi pierwsze przyszło do głowy! Do licha! Przecież wiedziałem, że tak wcale nie jest, i zwlekałem chwilę z odpowiedzią. Nie sądzę, żeby szeryf czy ktokolwiek w sali sądowej cokolwiek zauważył, bo większość zgromadzonych sprawiała wrażenie, że śpi lub drzemie, ale nawet gdyby byli tak czujni jak ów facet, który wetknął sobie w tyłek kij od miotły należącej do wdowy Brown, nie jestem pewien, czyby to spostrzegli. Moje wahanie trwało chwilę, nie dłużej niż podwójny zamach przy chytrym rzucaniu piłki. Ale to głupstwo. Pytanie człowieka o jego wiek nie jest żadnym grzechem. Czułem się jak głupol. Skoro nie miałem trzydziestu siedmiu lat, to nie wiedziałem już, ile ich mam. Przez ułamek sekundy mogłem ich mieć równie

dobrze siedem, siedemnaście albo i siedemdziesiąt siedem. Ale ostatecznie zebrałem jakoś myśli i oświadczyłem, że czterdzieści osiem czy pięćdziesiąt jeden; sam już nie pamiętam. Ale zapomnieć, ile ma się lat, nawet na chwilę... *szuuu!*

Dziadek rzucił papierosa pod nogi, przygniótł go obcasem, po czym przystąpił do rytuału mordulizowania niedopałka i zagrzebywania go w ziemi.

– Ale to był zaledwie początek, Clivey, mój synu – rozpoczął dalszą opowieść dziadek i choć czasami wpadał w irlandzki żargon, chłopiec pomyślał: Chciałbym być twoim synem. Twoim, nie jego. – Po pierwszym razie następuje drugi raz i zanim się człowiek obejrzy, czas wchodzi na wysokie obroty, a już pędzi do przodu, jak ci faceci na autostradach, którzy tak szybko gnają w swych samochodach, że pęd ich maszyn strąca jesienią liście z rosnących przy drodze drzew.

– O co ci chodzi, dziadku?

– Najgorsze są zmiany pór roku – odparł zadumanym głosem, jakby nie dośłyszał pytania wnuka. – Inna pora roku przestaje być inną porą roku. Zaledwie matka zdążyła zdjąć ze strychu ciepłe buty, rękawiczki i szaliki, a tu już nadchodzą wiosenne roztopy. Człowiek myśli, że z radością przywita czas, kiedy już te słoty miną... do diabła, ja zawsze czekałem na to z utęsknieniem... ale ostatecznie wcale się nie cieszy, gdy widzi, że nie zdążył jeszcze wyciągnąć traktora z pierwszego blocka, w którym maszyna utknęła, a tu już te pluchy dawno minęły. Później, zaledwie zdążysz włożyć słomkowy kapelusz, żeby pójść na pierwszy letni koncert orkiestry, a tu już osiki pokazują halki.

Stary człowiek popatrzył na Clive'a z ironicznie uniesioną brwią, jakby spodziewał się, że chłopiec poprosi go o bliższe wyjaśnienia. Ale Clive uśmiechnął się tylko, słysząc to porównanie. Dobrze wiedział, co to halka, ponieważ czasami jego matka chodziła w halce aż do piątej po południu, a w każdym razie do czasu powrotu ojca z podróży, podczas której sprzedawał akcesoria i naczynia kuchenne, a przy okazji, kiedy miał czas, dorabiał jako agent ubezpieczeniowy. Kiedy tylko jego ojciec wyjeżdżał w trasę, matka zasiadała do picia i czasem piła na tyle poważnie, że nie zdążyła się ubrać aż do zachodu słońca. Kiedy w końcu się ubierała, wychodziła odwiedzić chorą przyjaciółkę, a Clive'a zоста-

wiała pod opieką Patty. Kiedyś chłopiec powiedział do siostry: „Czy zauważyłaś, że ta przyjaciółka mamy choruje zawsze, gdy tata wyjeżdża?”. Patty wybuchnęła takim śmiechem, że po policzkach popłynęły jej łzy. „Tak – powiedziała.

– Zauważyłam. Wtedy zawsze bardzo ciężko choruje”.

Słowa dziadka przypomniały mu, że w dniach, gdy zbliżał się już początek roku szkolnego, osiki nieco się zmieniały. Kiedy wiał wiatr, spodnie strony liści przybierały barwę najpiękniejszej halki jego matki. Srebrzysty kolor, zaskakująco smętny i zarazem pełen uroku; kolor, który oznaczał koniec czegoś, co wydawało się, iż będzie trwać zawsze.

– I wtedy – ciągnął dziadek – zaczynasz się we wszystkim gubić. Tylko trochę, nie za bardzo; nie jest to jeszcze, dzięki Bogu, zgrzybienie, jak u starego Haydena, który mieszka dalej przy naszej drodze... ale to paskudna rzecz, tak we wszystkim się gubić. Nie jest to zapominanie. Nie, wszystko pamiętasz, tyle że niewłaściwie umiejscawiasz. Na przykład ja byłem najgłębiej przekonany, że rękę złamałem zaraz po śmierci Billy’ego, co zginął w wypadku drogowym w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym roku. To również była paskudna sprawa. Rozmawiałem o tym z wielebny Chadbandem. Billy jechał za ciężarówką wiozącą tłuczeń, jechał najwyżej czterdzieści kilometrów na godzinę. Z lory spadł kamień nie większy niż tarcza zegarka kieszonkowego, który ci podarowałem, uderzył w drogę, odbił się i wyrznął w przednią szybę naszego forda. Roztrzaskane szkło weszło Billy’emu do oczu i doktor powiedział, że gdyby nawet przeżył, byłby ślepy na jedno oko; a może straciłby oba. Ale Billy nie przeżył. Jego samochód zjechał gwałtownie z drogi i uderzył w słup. Przewody elektryczne pękły, druty spadły na dach auta i Billy usmażył się jak seryjny zabójca na krześle elektrycznym w Sing Singu. A przecież najgorszą rzeczą, jaką zrobił w życiu, to raz, kiedyśmy uprawiali jeszcze fasolę, udawał chorego, gdy trzeba było skopać pod nią w ogrodzie grządki.

Ale odszedłem od tematu. Mówiłem o tym, jak byłem pewien, że tę przeklętą rękę złamałem po wypadku, i zaklinałem się na wszystkie świętości, iż na po-grzebie miałem już ramię w gipsie! Dopiero gdy Sarah pokazała mi najpierw

rodzinną Biblię, a następnie papiery z ubezpieczalni, uwierzyłem, że to ona ma rację. Rękę złamałem całe dwa miesiące przed wypadkiem i na pogrzeb Billy'ego poszedłem już bez gipsu. Sarah nawymyślała mi od starych durniów. Wpadłem w taką wściekłość, że chciałem jej przyłożyć. Wpadłem w dziką wściekłość, ponieważ byłem zakłopotany, ale w końcu zdrowy rozsądek wziął we mnie górę i nie podniosłem na Sarah ręki. Ona z kolei była na mnie wściekła dlatego, że nie znosiła wspomnień o Billym. Był jej solą w oku.

– Boże! – powiedział Clive.

– Nie jest to miłe. Bardziej przypomina spacer po Nowym Jorku, gdzie zaczepiają cię faceci grający w trzy karty. Zakładają się z tobą, że nie odgadniesz, która karta jest czerwona. Ty jesteś pewien, że odgadniesz, ale oni tak cwano i tak cholernie szybko przekładają te karty, że za każdym razem robią z ciebie głupka. Zaczynasz się w tym gubić, a mimo to nie jesteś w stanie niczemu zaradzić.

Starzec westchnął i rozejrzał się, jakby chciał przypomnieć sobie, gdzie są. Na jego twarzy pojawiła się taka bezradność, że chłopiec z jednej strony poczuł niesmak, a z drugiej się wystraszył. Nie chciał żywić do dziadka takich uczuć, ale nie był w stanie temu zaradzić. Zupełnie jakby stary człowiek odwinął bandaż i pokazał chłopcu wrzód, który stanowi pierwszy symptom jakiejś odrażającej choroby. Na przykład trądu.

– Wygląda na to, że wiosna zaczęła się w zeszłym tygodniu – powiedział dziadek – ale do jutra, jeśli wiatr dalej będzie wiał z taką siłą, nie zostanie już ani jeden kwiat i niech mnie pokręci, jeśli tak się właśnie nie stanie. Człowiek nie potrafi zapanować nad gonitwą myśli, gdy świat toczy się w takim tempie. Nie może zawołać: „Ej, zaczekaj chwilę, stary idioto! Muszę się w tym wszystkim pokapować!”, bo nie ma do kogo. To tak jak jazda furką bez woźnicy, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. I co ty na to, Clivey?

– No cóż – odparł chłopiec. – Masz, dziadku, rację w jednym. Wszystko to musiał wymyślić jakiś głupol.

Wcale nie chciał, aby zabrzmiało to zabawnie, ale dziadek wybuchnął takim śmiechem, że jego twarz znów nabrała niepokojąco purpurowej barwy. Tym ra-

zem starzec nie tylko pochylił się i wsparł dłonie na kolanach, ale jeszcze, żeby utrzymać równowagę, objął chłopca za szyję. Obaj z pewnością by się przewrócili, gdyby dziadek nie przestał charczeć i kaszleć, dokładnie w chwili, kiedy chłopiec nabrał już pewności, że z nabrzmiałej, purpurowej od śmiechu twarzy starca wytryśnie krew.

– Nie jesteś już takim pobożnisiem! – powiedział w końcu dziadek, prostując się. – Już nie jesteś!

– Dziadku, dobrze się czujesz? Może powinniśmy...

– Cholera jasna, wcale się dobrze nie czuję. W ciągu ostatnich dwóch lat miałem dwa zawały i jeśli przeżyję jeszcze dwa następne, fakt ten nikogo nie zdziwi bardziej niż mnie. Ale to dla rasy ludzkiej nic nowego, chłopcze. Wszystko, co chcę ci powiedzieć, to to, że czy człowiek stary, czy młody, czy szybki upływ czasu, czy powolny upływ czasu, to ten człowiek będzie kroczył prosto, jeśli tylko zachowa pamięć o kucyku. Jeśli licząc, pomiędzy każdą liczbą powiesz „mój śliczny kucyk”, czas będzie tylko czasem. Jeśli tak zrobisz, utrzymasz dupka w stajni. Nie możesz jednak bez przerwy liczyć; nie taki jest plan Boga. A mnie i tego gamonia o tłustej facjacie, Chadbanda, i tak już wtedy powiozą alejką. Ale musisz pamiętać, że to nie ty posiadasz czas, a czas ciebie. Stale idzie obok ciebie równym krokiem. Obchodzisz go tyle, co wysikana w śniegu dziura, ale to nieważne, jeśli masz tego ślicznego kuczka. Jeśli masz ślicznego kuczka, Clivey, trzymasz skubańca krótką ręką i masz gdzie wszystkich Alde-nów Osgoodów.

Pochylił się w stronę Clive’a Banninga.

– Rozumiesz to?

– Nie, proszę dziadka.

– Wiem, że nie rozumiesz. Ale zapamiętasz?

– Tak, proszę dziadka.

Oczy dziadka Banninga tak długo i tak przenikliwie obserwowały chłopca, że ogarnął go niepokój i zniecierpliwienie. W końcu starzec skinął głową.

– Cóż, sądzę, że zapamiętasz. Niech mnie pokręci, jeśli myślę inaczej.

Chłopiec nic nie odpowiedział. Tak naprawdę nie przychodziła mu do głowy

żadna odpowiedź.

– Dostałeś instrukcję – oświadczył dziadek.

– Skoro nie rozumiem, to nie dostałem żadnej instrukcji! – wykrzyknął Clive z takim gniewem, że sam był zaskoczony.

– Nic nie dostałem!

– Chrzanić zrozumienie – odparł spokojnie starzec.

Objął chłopca za szyję i przygarnął do siebie. Przygarnął po raz ostatni, ponieważ w miesiąc później babcia miała znaleźć dziadka w łóżku martwego jak kamień. Po prostu się obudziła i był tam dziadek, ale jego kucyk przeskoczył ogrodzenie i pogalopował na wszystkie pagórki świata.

Płocze serce, płocze serce. Śliczny, ale o płochym sercu.

– Zrozumienie i instrukcja są kuzynami, którzy nigdy nie dali sobie buzi – oświadczył dziadek tamtego dnia, kiedy stali pośród jabłoni.

– A więc jaka jest instrukcja?

– Pamięć – wyjaśnił pogodnie dziadek. – Będziesz pamiętał o kucyku?

– Tak, proszę dziadka.

– Jak ma na imię?

Chłopiec chwilę milczał.

– Myślę... że czas.

– Dobrze. A jakiego jest koloru?

Tym razem chłopiec namyślał się dłużej. Otworzył swój umysł, jak irys otwiera w mroku swój kielich.

– Nie wiem – powiedział w końcu.

– Ja też nie wiem – odrzekł starzec i wypuścił chłopca z objęć. – Nie sędzę, żeby miał jakikolwiek kolor, i nie sędzę, żeby miało to jakiegokolwiek znaczenie. Ale wiesz, co się liczy?

– Tak, proszę dziadka – odparł natychmiast chłopiec. Lśniące, rozgorączkowane oko okiełznało umysł i serce chłopca niczym wędzidło.

– Jaki?

– Będzie śliczny – odparł Clive Banning z pełnym przekonaniem.

Dziadek uśmiechnął się.

– Proszę! – powiedział. – Clivey dostał niewielką instrukcję, która sprawi, że będzie mądrzejszy i bardziej błogosławiony... albo wręcz przeciwnie. Czy masz ochotę, chłopcze, na placek brzoskwinowy?

– Tak, proszę dziadka.

– Zatem co tu jeszcze robimy? Wracajmy do domu!

Wrócili.

A Clive Banning nigdy nie zapomniał imienia, które brzmiało czas, i koloru, który nie miał żadnej barwy, i wyglądu, który nie był ani brzydki, ani ładny... a jedynie śliczny. Nie zapomniał również jego natury, która była płocha, ani tego, co powiedział dziadek w drodze powrotnej, słów, których prawie nie dosłyszał, bo porwał je wiatr: „Lepiej mieć kucyka i na nim jechać, niż nie mieć go wcale; niezależnie od tego, jakie ma serce”.

Przepraszam, to nie pomyłka

AKT I

WNEŹTRZE: Ekran jaśnieje. Usta Katie Weiderman. Maksymalne zbliżenie. Katie rozmawia przez telefon. Piękny rysunek ust; w ciągu kilku następnych sekund przekonamy się, że cała jej reszta również jest nie mniej urocza.

KATIE

Bill? Och, twierdzi, że wcale nie czuje się najlepiej, ale z nim tak jest zawsze, gdy skończy jedną książkę i musi zacząć drugą... Nie może spać, wydaje mu się, że każdy ból głowy stanowi pierwszy symptom guza mózgu... ale jak już wymyśli coś nowego, szybko wraca do normy.

DŹWIĘK: W tle gra telewizor.

Odjazd kamery. Katie siedzi w kuchni w kąciaku z telefonem. Ze swadą rozmawia ze swoją siostrą i odruchowo kartkuje leżące na stoliku katalogi. Należy zwrócić uwagę, że nie jest to zwyczajny telefon. Aparat posiada dwie linie. W jego obudowie znajdują się podświetlane guziki wskazujące, która linia jest zajęta. Teraz pali się tylko jedno światełko – należące do Katie. W miarę jak Katie ciągnie rozmowę, kamera oddala się i jedzie przez kuchnię, mija drzwi zwieńczone ostrym łukiem i wjeżdża do bawialni.

KATIE (jej głos stopniowo zamiera)

Och, Janie Charlton! Widziałam ją dzisiaj... tak! Wielka jak dom!...

Twarz Katie znika. Dźwięk telewizora staje się głośniejszy. W pokoju znajduje się

troje dzieci: ośmioletni Jeff, dziesięcioletnia Connie, trzynastoletni Dennis.

W telewizji idzie właśnie „Koło fortuny”, ale nikt nie ogląda programu. Wszyscy biorą udział w najwspanialszej zabawie: Kłótnia O To, Co Oglądać Później.

JEFF

Daaaj spokój! To jego pierwsza książka!

CONNIE

Jego pierwsza wielka książka.

DENNIS

Posłuchaj, Jeff, będziemy jak zwykle oglądać *Cheers and Wings*.

Dennis mówi tak kategorycznie, jak może mówić tylko starszy brat. Wyraz jego twarzy dopowiada: „Jeff, chcesz jeszcze na ten temat pogadać i przekonać się... jaki ból zadam twemu cherlawemu ciału?”.

JEFF

To może przynajmniej nagrajmy to na wideo?

CONNIE

Na wideo nagrywamy dla mamy program CNN. Powiedziała, że jeszcze chwilę porozmawia z ciocią Lois.

JEFF

Boziu, jak można nagrywać CNN? Przecież to się nigdy nie skończy!

DENNIS

Dlatego właśnie to lubi.

CONNIE

I nie mów „Boziu”, Jeffie. Jesteś za smarkaty, żeby poza kościołem mówić o Panu Bogu.

JEFF

Nie mów do mnie „Jeffie”.

CONNIE

Jeffie, Jeffie, Jeffie.

Jeff zrywa się z miejsca, podchodzi do okna i wygląda w ciemność. Jest mocno wytrącony z równowagi. Dennis i Connie, zgodnie z najlepszymi tradycjami starszych braci i sióstr, są tym zachwyceni.

DENNIS

Biedny Jeffie.

CONNIE

Myślę, że popełni samobójstwo.

JEFF (*odwraca się w ich stronę*)

To była jego pierwsza książka. Czy nic was to nie obchodzi?

CONNIE

Jeśli chcesz się przekonać, jaki to paskudny film, weź go sobie jutro w wypożyczalni.

JEFF

Takich filmów nie wypożyczają małym dzieciom i dobrze o tym wiesz!

CONNIE (*z rozmarzeniem*)

Zamknij się, to Vanna! Uwielbiam Vannę!

JEFF

Dennis.

DENNIS

Idź do taty i poproś, żeby nagrał ci na swoim wideo w gabinecie.
I przestań już być takim namolnym, małym smarkiem.

Jeff przechodzi przez pokój. Mijając telewizor, pokazuje język Vannie White. Kiedy wchodzi do kuchni, kamera jedzie za nim.

KATIE

...więc kiedy mnie zapytał, czy u Polly test na paciorkowce wypadł pozytywnie, musiałam mu przypomnieć, że jest w szkole przygotowującej do college'u... Boże, Lois, jak mi jej brakuje...

Jeff przechodzi przez kuchnię, kierując się w stronę schodów.

KATIE

Dzieciaki, czy możecie być ciszey?

JEFF (ponuro)

Teraz będą już cicho.

Wchodzi po schodach nieco strapiony. Katie spogląda za nim z miłością i niepokojem.

KATIE

Bez przerwy się kłóca. Polly trzymała ich trochę w ryzach, ale teraz, gdy wyjechała do szkoły... Nie wiem... może wysłanie jej do Bolton nie było najlepszym pomysłem. Czasami, kiedy dzwoni do domu, sprawia wrażenie tak nieszczęśliwej...

WNĘTRZE: Bella Lugosi w roli Dracula. Zbliżenie. Dracula stoi w bramie swego zamku w Transylwanii. Ktoś dorysował mu śmieszny wychodzący z ust dymek, na którym napisał: „Posłuchajcie! To moje dzieci nocy! Jakąż tworzą muzykę!”. Plakat umieszczony jest na drzwiach, ale my widzimy go tylko przez chwilę, kiedy Jeff otwiera te drzwi i wchodzi do gabinetu ojca.

WNĘTRZE: Fotografia Katie. Zbliżenie. Kamera stoi nieruchomo, a następnie powoli obraca się w prawo. Mijamy kolejne zdjęcie, tym razem Polly, córki, która wyjechała do szkoły. Jest śliczną dziewczyną w wieku mniej więcej szesnastu lat. Po Polly jest Dennis. później Connie... później Jeff. Kamera ciągle się obraca, a zara-

zem cofa tak, że pole widzenia się rozszerza. Widzimy Billa Weidermana, mężczyznę w wieku około czterdziestu czterech lat. Sprawia wrażenie zmęczonego. Patrzy w komputer, ale kryształowa kula jego umysłu musi krążyć gdzieś w nocnym mroku, ponieważ ekran jest pusty. Na ścianach widzimy oprawione w ramki okładki książek. Wszystkie traktują o duchach. Jedna z nich nosi tytuł „Pocałunek upiora”. Jeff na palcach podchodzi od tyłu do ojca. Dywan tłumi odgłos kroków. Bill wzdycha i naciska kilka klawiszy. W chwilę później Jeff uderza dłońmi ramiona ojca.

JEFF

BOOGA-BOOGA!

BILL

Cześć, Jeffie.

Odwraca się z krzesłem, żeby popatrzeć na wyraźnie rozczarowanego syna.

JEFF

Jak to jest, że się nie przestraszyłeś?

BILL

Bo to ja jestem od straszenia. Uodporniłem się. Coś się stało?

JEFF

Tato, czy mogę obejrzeć pierwszą godzinę „Pocałunku upiora”, a resztę nagrasz mi na kasetę? Dennis i Connie wszystko świnią.

Bill odwraca się z krzesłem i oszołomiony spogląda na okładkę książki.

BILL

Jesteś pewien, że chcesz to obejrzeć, mistrzu? To naprawdę...

JEFF

Tak!

WNĘTRZE: Kate w kąciu z telefonem. W tym ujęciu dokładnie widzimy za jej plecami schody prowadzące na piętro i do gabinetu jej męża.

KATIE

Uważam, że Jeff potrzebuje pomocy ortodonta, ale znasz Billa...

Odzywa się druga linia. Zaczyna mrugać drugie światelko.

KATIE

Właśnie włączyła się druga linia. Bill...

W tej samej chwili widzimy za jej plecami idących w dół po schodach Billa i Jeffa.

BILL

Kochanie, gdzie mamy czyste wideokasety? U siebie w gabinecie nie mogę znaleźć ani jednej i...

KATIE (*do Billa*)

Zaczekaj!

(*do Lois*)

Poczekaj sekundkę przy telefonie, Lo.

Kładzie słuchawkę. Teraz oba światelka mrugają. Naciska wyżej położony świecący guzik, uruchamiając drugą linię.

KATIE

Halo, tu dom Weidermanów.

DŹWIĘK: Rozpaczliwy szloch.

SZLOCHAJĄCY GŁOS (*stłumiony*)

Zabierz... proszę zabierz... z-z...

KATIE

Polly? To ty? Co się stało?

DŹWIĘK: Szloch. Okropny, łamiący serce szloch.

SZLOCHAJĄCY GŁOS (*stłumiony*)

Proszę... szybko...

DŹWIĘK: Szloch... Następnie trzask! Przerwane połączenie.

KATIE

Polly, uspokój się! Bez względu na to, co się stało, bę...

DŹWIĘK: Szum w słuchawce.

Jeff podchodzi do telewizora, mając nadzieję znaleźć obok czystą kasetę.

BILL

Kto to był?

Nie patrząc na męża ani mu nie odpowiadając, Katie znów wciska dolny guzik.

KATIE

Lois? Posłuchaj, zadzwonię później. Dzwoniła Polly, sprawiała wrażenie załamanej. Nie... odłożyła słuchawkę... Tak. Zadzwonię. Dzięki.

Odwiesza słuchawkę.

BILL (*zaniepokojony*)

Czy to była Polly?

KATIE

Ryczała jak bóbr. Zabrzmiało to tak, jakby chciała powiedzieć:

„Błagam, zabierzcie mnie do domu”... Wiedziała, że ta przeklęta szkoła da jej w kość... Dlaczego dałam ci się przekonać...

Gorączkowo przerzuca leżące na niewielkim stoliku telefonicznym przedmioty. Katalogi ześlizgnęły się na podłogę obok stołka.

KATIE

Connie, czy brałaś mój notes telefoniczny?

CONNIE (*głos*)

Nie, mamó.

Bill z tylnej kieszeni spodni wyciąga podniszczony notesik i kartkuje go.

BILL

Mam. Z tym tylko...

KATIE

Wiem, ten cholerny telefon w internacie jest zawsze zajęty. Daj mi ten numer.

BILL

Kochanie, uspokój się.

KATIE

Uspokoję się, kiedy już z nią porozmawiam. Bill, ona ma szesnaście lat. Szesnastoletnie dziewczyny są skłonne do wpadania w okresowe stany depresyjne. Czasami nawet potrafią popeł... Po prostu podaj mi ten cholerny numer!

BILL

Sześćset siedemnaście, pięćset pięćdziesiąt pięć, osiemdziesiąt sześć, czterdzieści jeden.

Kiedy Katie naciska klawisze, kamera robi zbliżenie.

KATIE

No łącz, łącz... nie bądź zajęty... tylko ten jeden raz...

DŹWIĘK: Trzaski. Przerwa. Wtedy... telefon zaczyna dzwonić.

KATIE (*z zamkniętymi oczyma*)

Dzięki ci, Panie Boże.

GŁOS (*stłumiony*)

Hartshorn Hall, tu Frieda. Arnie, jeśli chcesz rozmawiać z Królową Seksu Christine, to ciągle jeszcze jest pod prysznicem.

KATIE

Czy mogłabyś poprosić do telefonu Polly? Polly Weiderman. Mówi Kate Weiderman. Jej matka.

GŁOS (*stłumiony*)

O rany! Przepraszam. Myślałam... proszę poczekać, pani Weiderman.

DŹWIĘK: Słuchawka odkładana na bok.

GŁOS (*stłumiony, bardzo słaby*)

Polly! Pol?... Telefon do ciebie... Twoja matka!

WNĘTRZE: Kącik z telefonem; widać również Billa.

BILL

No i co?

KATIE

Ktoś po nią poszedł... Mam nadzieję.

Jeff wraca z taśmą.

JEFF

Tato, znalazłem. Jak zwykle Dennis ją schował.

BILL

Zaczekaj moment, Jeff. Pooglądaj sobie chwilowo kablówkę.

JEFF

Ale...

BILL

Nie zapomnę. A teraz uciekaj.

Jeff wychodzi.

KATIE

No, chodź już, chodź już...

BILL

Uspokój się, Katie.

KATIE (*oschle*)

Gdybyś słyszał jej głos, nie mówiłbyś, żebym się uspokoiła. Brzmiało to...

POLLY (*stłumiony, wesoły głos*)

Cześć, mamo!

KATIE

Pol? Kochanie? Czy u ciebie wszystko w porządku?

POLLY (*radosny, dźwięczny głos*)

Czy u mnie wszystko w porządku? Na egzaminie z biologii dostałam „A”, z literatury francuskiej „B”, a Ronnie Hansen zaprosił mnie na bal dożynkowy. Jestem tak szczęśliwa, że jeśli przytrafi mi się dziś jeszcze jakaś miła rzecz, rozpęknę się jak „Hindenburg”.

KATIE

To nie ty do mnie dzwoniłaś z płaczem?

Po twarzy Katie widać, jaką uzyska odpowiedź.

POLLY (*stłumiony głos*)

Ach, skądże!

KATIE

Cieszę się, że egzaminy dobrze ci poszły i randka się udała. To musiał dzwonić ktoś inny. Jeszcze do ciebie zatelefonuję, dobrze?

POLLY (*stłumiony głos*)

Jasne! Buziaki dla taty!

KATIE

Przekażę.

WNĘTRZE: Kącik z telefonem.

BILL

Wszystko w porządku?

KATIE

W porządku. Przysięgłabym, że to dzwoniła Polly, ale ona... ona jest w siódmym niebie.

BILL

A więc to jakiś dowcip. Albo ktoś tak bardzo płakał, że wykręcił zły numer. „przez lśniące kurtyny łez”, jak my, starzy pismacy, lubimy mówić.

KATIE

To nie był dowcip ani pomyłka! To ktoś z mojej rodziny!

BILL

Kochanie, tego nie możesz wiedzieć.

KATIE

Nie? A gdyby zadzwonił do ciebie zapłakany Jeff, nie poznałbyś, że to on?

BILL (*poruszony*)

Cóż, może. Tak, chyba tak.

KATIE nie słucha. Szybko naciska klawisze telefonu.

BILL

Do kogo dzwonisz?

Katie nie odpowiada.

DŹWIĘK: W słuchawce rozlegają się dwa sygnały. Następnie:

GŁOS STARSZEJ KOBIETY (*stłumiony*)

Halo?

KATIE

Mama? Czy to ty... (*Pauza.*) Czy to nie ty dzwoniłaś do mnie przed chwilą?

GŁOS (*stłumiony*)

Nie, kochanie... dlaczego...?

KATIE

Och... wiesz, jakie są telefony. Rozmawiałam z Lois i przegapiłam inną rozmowę.

GŁOS (*stłumiony*)

Cóż, to nie ja dzwoniłam. Kate, w La Boutique widziałam dziś najcudowniejszą sukienkę pod słońcem i...

KATIE

Mamo, o sukience porozmawiamy innym razem, dobrze?

GŁOS (*stłumiony*)

Kate, dobrze się czujesz?

KATIE

Mam... Mamo, choruję na biegunkę. Muszę już kończyć. Pa!

Odkłada słuchawkę. Bill, który czeka niecierpliwie, aż Katie skończy rozmawiać, wybucha dzikim, przypominającym ryk osła śmiechem.

BILL

Boże drogi... biegunka... Muszę to sobie zapamiętać i gdy zadzwoni do mnie mój agent... Och, Katie, to było tak...

KATIE (*prawie krzyczy*)

To nie jest wcale śmieszne!

Bill przestaje się śmiać.

WNĘTRZE: Pokój z telewizorem. Jeff szamoce się z Dennisem. Przerywają awanturę. Trójka dzieci patrzy w stronę kuchni.

WNĘTRZE: Kącik telefoniczny. Bill i Katie.

KATIE

Mówię ci, że to ktoś z mojej rodziny. Mówiła takim głosem... och, nie zrozumiesz tego. Poznałam ten głos.

BILL

Ale skoro z Polly i z twoją matką wszystko w porządku...

KATIE (*z przekonaniem*)

To Dawn.

BILL

Daj spokój, kochanie, jeszcze przed minutą byłaś przekonana, że to Polly.

KATIE

To musiała być Dawn. Rozmawiałam z Lois i z mamą. Skoro u nich wszystko w porządku, to pozostaje tylko Dawn. Jest najmłodsza... Mogłam pomylić ją z Polly... A poza tym, jest z dzieckiem na tej farmie zupełnie sama.

BILL (*zaskoczony*)

Co masz na myśli, mówiąc „sama”?

KATIE

Jerry jest w Burlington! To Dawn! Coś złego przytrafiło się Dawn!

Do kuchni wchodzi zaniepokojona Connie.

CONNIE

Mamo! Czy cioci Dawn przytrafiło się coś złego?

BILL

Z tego, co wiemy, ma się dobrze. Nie martw się, laleczko. To bardzo kiepski interes kupować kłopoty, nie wiedząc nawet, czy są w sprzedaży.

Katie skończyła naciskać klawisze i słucha. Szybkie sygnały oznaczające, że linia jest zajęta. Katie odkłada słuchawkę. Bill spogląda na nią pytająco. Ma uniesione brwi.

KATIE

Zajęte.

BILL

Katie, czy jesteś pewna...

KATIE

Tylko ona została. To musiała być ona. Bill, boję się. Zawieziesz mnie do niej?

Bill sięga po słuchawkę.

BILL

Jaki jest do niej numer?

KATIE

Pięćset pięćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt jeden, sześćdziesiąt dziewięć.
Bill wystukuje numer. Linia ciągle zajęta. Przerywa połączenie i naciska zero.

OPERATORKA (*stłumiony głos*)

Centrala, słucham?

BILL

Próbuję się dodzwonić do szwagierki, ale linia jest nieustannie zajęta. Podejrzewam, że dzieje się u niej coś niedobrego. Czy byłaby pani tak uprzejma i włączyła się do tej rozmowy?

WNĘTRZE: Drzwi do pokoju z telewizorem. W progu stoi trójka milczących, zaniepokojonych dzieci.

WNĘTRZE: Kącik telefoniczny, w nim Bill i Katie.

OPERATORKA (*stłumiony głos*)

Czy mógłby pan podać swoje imię i nazwisko?

BILL

William Weiderman. Mój numer.

OPERATORKA (*stłumiony głos*)

Ale chyba nie ten William Weiderman, który napisał „Przekleństwo pajaków”?

BILL

Dokładnie ten. Gdyby...

OPERATORKA (*stłumiony głos*)

Mój Boże, po prostu uwielbiam tę książkę! Uwielbiam wszystkie pańskie książki! Ja...

BILL

Niewymownie mi miło. Ale ja i moja żona bardzo niepokoimy się o jej siostrę. Więc gdyby pani mogła...

OPERATORKA (*stłumiony głos*)

Naturalnie, zrobię to, o co pan prosi. Proszę o pański numer, panie Weiderman. Do protokołu. (*Chichocze.*) Obiecuję, że nikomu go nie przekażę!

BILL

Pięćset pięćdziesiąt pięć, czterdzieści cztery, zero osiem.

OPERATORKA (*stłumiony głos*)

Z jakim numerem chce pan rozmawiać?

BILL (*spogląda na Katie*)

Ummm...

KATIE

Pięćset pięćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt jeden, sześćdziesiąt dziewięć.

BILL

Pięćset pięćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt jeden, sześćdziesiąt dziewięć.

OPERATORKA (*stłumiony głos*)

Proszę chwileczkę poczekać, panie Weiderman... A tak na marginesie, „Noc bestii” również była świetna. Proszę nie odkładać słuchawki.

DŹWIĘK: Trzaski i klekoty w słuchawce.

KATIE

Czy ona...

BILL

Oczywiście. Po prostu...

OPERATORKA (*stłumiony głos*)

Przykro mi, panie Weiderman, ale linia nie jest zajęta. Po prostu z tamtej strony ktoś nie odłożył słuchawki. Zastanawiam się, czy gdybym przesłała panu mój egzemplarz „Przekleństwa pajaków”...?

Bill odkłada słuchawkę.

KATIE

Dlaczego ją odłożyłeś?

BILL

Nie mogła się włączyć do rozmowy. Telefon nie jest zajęty. Słuchawka została zdjęta z widełek.

Patrzę na siebie tępo.

PLENER: Przed kamerą przejeżdża powoli sportowy samochód. Noc.

WNĘTRZE: Samochód z Billem i Katie w środku. Katie jest wystraszona. Bill, za kierownicą, również wykazuje spory niepokój.

KATIE

Ej, Bill... powiedz, że nic się jej nie stało.

BILL

Nic się jej nie stało.

KATIE

A teraz powiedz, co naprawdę o tym myślisz.

BILL

Dzisiaj wieczorem zakradł się do mnie od tyłu Jeff i wrzasnął te swoje stare „booga-booga”. Był rozczarowany, kiedy nie podskoczyłem ze strachu. Powiedziałem, że na strach jestem uodporniony. *(Pauza.)* Skłamałem.

KATIE

Dlaczego Jerry musiał się wyprowadzić, jeśli i tak połowę czasu spędza poza domem? Tylko ona i maleńkie dziecko. Dlaczego?

BILL

Ciii, Kate. Jesteśmy już prawie na miejscu.

KATIE

Jedź szybciej.

PLENER: Samochód. Auto przyśpiesza.

WNĘTRZE: Pokój z telewizorem w domu Weidermanów. Telewizor włączony na jeden z kanałów kablowych. Dzieci są w pokoju, ale nie dokazują.

CONNIE

Dennis, czy myślisz, że ciotki Dawn nic się nie stało?

DENNIS (*jest przekonany, że ciotka nie żyje, że szalowiec uciął jej głowę*)

Jasne, że nic się jej nie stało.

WNĘTRZE: Telefon. Widok z pokoju. Aparat wisi na ścianie, lampki się nie palą, wygląda jak wąż, który ma za chwilę uderzyć. Obraz ciemnieje.

AKT II

PLENER: Samotna farma. Prowadzi do niej długi podjazd. W oknie salonu pali się światło. Blask z reflektorów samochodu oświetla podjazd. Auto Weidermanów podjeżdża do drzwi garażu i staje.

WNĘTRZE: Samochód z Billem i Katie w środku.

KATIE

Boję się.

Bill pochyla się, sięga pod fotel i wyciąga pistolet.

BILL (*poważnie*)

Booga-booga.

KATIE (*kompletnie zaskoczona*)

Od dawna to masz?

BILL

Od roku. Nie chciałem straszyć ani ciebie, ani dzieciaków. Mam pozwolenie na broń. Chodź.

PLENER: Bill i Katie. Wysiadają z samochodu. Katie staje z przodu auta, a Bill podchodzi do garażu i zagląda do środka.

BILL

Samochód jest.

Kamera towarzyszy im w drodze do drzwi frontowych. Teraz słyszymy nastawiony bardzo głośno telewizor. Bill naciska dzwonek. Jego dźwięk słyszymy we wnętrzu domu. Czekają. Katie ponownie naciska dzwonek. Nikt nie otwiera drzwi. Znow naciska dzwonek, ale tym razem nie zdejmuje palca. Bill spogląda w dół.

PLENER: Zamek widziany od strony Billa. Widnieją na nim głębokie rysy. PLENER: Bill i Katie.

BILL (*cicho*)

Ktoś w nim grzebał.

Katie spogląda na zamek i cicho piszczy. Bill naciska klamkę. Drzwi są otwarte. Dźwięk telewizora staje się głośniejszy.

BILL

Idź za mną. Jeśli coś się zacznie dziać, zwiewaj. Boże, Katie, dlaczego nie zostawiłem cię w domu!

Rusza przodem. Za nim Katie; przerażona, bliska łez.

WNĘTRZE: Salon Dawn i Jerry'ego. Widzimy jedynie maleńki fragment pokoju. Telewizor gra jeszcze głośniej. Bill wchodzi do wnętrza, w ręce trzyma uniesiony pistolet. Patrzy w prawo... i nagle z jego twarzy znika napięcie. Opuszcza broń.

KATIE (wspina się za jego plecami na palce)

Bill... co...

Wskazuje.

WNĘTRZE: Salon, wielki, widziany od strony Billa i Katie. Pomieszczenie wygląda tak, jakby przetoczył się przez nie huragan... ale bałagan nie powstał w wyniku grabieży czy morderstwa. Spowodowało je normalne, zdrowe osiemnastomiesięczne dziecko. Po pracowitym dniu, kiedy obróciło w perzynę salon, dzieciąteczko i jego mama poczuli zmęczenie i zapadli na kanapie w drzemkę. Dawn trzyma dziecko na podółku. Na uszach ma słuchawki walkmana. Wokół leżą porozrzucane zabawki – przeważnie plastikowe figurki z Ulicy Sezamkowej i PlaySkool. Dziecko pościągało również większość książek z półki. Sądząc po wyglądzie, jedną nawet nadgryzło. Bill podchodzi do książki i podnosi ją z podłogi. Jest to egzemplarz „Pocałunku upióra”.

BILL

Spotkałem wiele osób, które twierdziły, że pożerają moje książki, ale to już lekka przesada.

Najwyraźniej jest rozbawiony. Katie nie. Podchodzi do siostry, gotowa zrobić jej straszną awanturę... ale widzi, jak bardzo Dawn jest zmęczona.

WNĘTRZE: Dawn i dziecko widziane od strony Katie. Śpią mocno, oddychają równo, jak na obrazie Rafaela „Madonna z Dzieciątkiem”. Kamera zjeżdża w dół. Widok walkmana. Dobiegają cichutkie dźwięki muzyki w wykonaniu zespołu Huey Lewis and the News. Najazd kamery na bardzo elegancki telefon marki Princess stojący na stoliku obok fotela. Słuchawka jest przekrzywiona. Tylko troszeczkę, ale wystarczająco, żeby przerwać połączenie i śmiertelnie wystraszyć ludzi.

WNĘTRZE: Katie. Wzdycha, pochyla się i ostrożnie kładzie słuchawkę na widełki. Następnie naciska w walkmanie guzik „stop”.

WNĘTRZE: Dawn, Bill i Katie. Kiedy cichnie muzyka, Dawn się budzi. Spogląda ze zdziwieniem na Billa i Katie.

DAWN (*półprzytomnie*)

O... cześć.

Uświadamia sobie, że na uszach ma słuchawki walkmana, i ściąga je.

BILL

Cześć, Dawn.

DAWN (*ciągle jeszcze półprzytomna*)

Powinniście poprzedzić się telefonem. Taki tu bałagan.

Uśmiecha się. Jej twarz rozjaśnia się pod wpływem uśmiechu.

KATIE

Próbowaliśmy. Operatorka w centrali oświadczyła Billowi, że masz źle odłożoną słuchawkę. Pomyślałam, że coś ci się stało. Jak ty możesz spać przy tak ryczącej muzyce?

DAWN

Mnie to odpręża. (*Dostrzega w dłoni Billa pogryzioną książkę.*) Och, Boże, Bill! Tak mi przykro. Justin właśnie ząbkuje i...

BILL

Niektórzy krytycy twierdzą, że moje książki tylko do tego się nadają. Nie chcę cię, moja piękna, straszyc, ale ktoś dobierał się czymś ostrym do zamka w drzwiach frontowych. Ktokolwiek by to był, otworzył te drzwi.

DAWN

A, to! To robota Jerry'ego. W zeszłym tygodniu niechcący zatrzasnęłam drzwi. Jerry nie miał przy sobie drugich kluczy. Nie było też zapasowych, które przeważnie trzymamy na górnej listwie futryny. Jerry się wściekł, ponieważ okropnie chciało mu się sikać, i złapał śrubokręt. Ale nie udało mu się sforsować zamka; jest bardzo mocny. *(Pauza.)* Zanim w końcu znalazłam swoje klucze w torebce, Jerry pobiegł w krzaki.

BILL

Skoro nikt nie wyłamał zamka, to dlaczego mogłem je po prostu otworzyć i wejść?

DAWN *(z nutą winy w głosie)*

Cóż... czasami zapominam ich zamknąć.

KATIE

Czy to ty dzwoniłaś do mnie dziś wieczorem, Dawn?

DAWN

Nie, po co miałabym dzwonić? Nie dzwoniłam zresztą do nikogo. Byłam zbyt zajęta uganianiem się za Justinem. Ciągłe miał apetyt na płyn do zmiękczenia tkanin! Potem zrobił się śpiący, więc wzięłam go na kolana i pomyślałam sobie, że czekając na twój film, Bill, posłucham trochę muzyki. No i zasnęłam, a...

Na wzmiankę o filmie Bill wyraźnie się ożywia i patrzy na książkę. Następnie zerka na zegarek.

BILL

Obiecałem Jeffowi, że nagram mu ten film. Chodź, Katie, jeszcze zdążymy.

KATIE

Za chwilę.

Podnosi słuchawkę i wybija numer.

DAWN

Ale, ale, Bill, czy naprawdę uważasz, że to jest film dla Jeffa?

BILL

To telewizja publiczna. Usuną sceny, w których fruwią krwawe ochłapy.

DAWN (*zmieszana, lecz uprzejmie*)

Ach, tak. To dobrze.

WNĘTRZE: Katie. Zbliżenie.

DENNIS (*stłumionym głosem*)

Halo?

KATIE

Dzwonię, żeby powiedzieć, że u cioci Dawn wszystko jest w najlepszym porządku.

DENNIS (*stłumionym głosem*)

Och, wspaniale. Dzięki, mamó.

WNĘTRZE: Kącik telefoniczny, a w nim Dennis i pozostałe dzieci. Na ich twarzach maluje się wyraźna ulga.

DENNIS

Z ciocią Dawn wszystko w porządku.

WNĘTRZE: Samochód z Billem i Katie w środku. Przez chwilę jadą w milczeniu.

KATIE

Masz mnie za rozhisteryzowaną idiotkę, prawda?

BILL (*naprawdę zdumiony*)

Wcale nie. Też się solidnie wystraszyłem.

KATIE

I naprawdę nie jesteś na mnie wściekły?

BILL

Czuję zbyt wielką ulgę. (*Śmieją się.*) Jak zwykle stara, roztrzepana Dawn. Ale uwielbiam ją.

KATIE (*pochyla się w jego stronę i całuje go w policzek*)

Kocham cię. Jesteś taki słodki.

BILL

Jestem Czarnym Ludem.

KATIE

Nie oszukasz mnie, kochanie.

PLENER: Samochód. Przejeżdża przed kamerą i obraz rozmywa się przechodząc w:

WNĘTRZE: Jeff w łóżku. W pokoju jest ciemno. Chłopiec przykryty pod szyję.

JEFF

Obiecałeś nagrać do końca, pamiętasz?

Kamera powiększa kąt tak, że widzimy Billa. Siedzi na skraju łóżka.

BILL

Obiecałem.

JEFF

Najbardziej podoba mi się to miejsce, kiedy ten martwy facet rozrzyna punkowi głowę.

BILL

Cóż... zazwyczaj wycinają takie krwawe ochłapy.

JEFF

Co, tato?

BILL

Nic, nic. Kocham cię, Jeffie.

JEFF

Ja ciebie też. I Ramba.

Jeff ściska wypchanego smoka, który wcale nie ma wojowniczego wyglądu. Bill najpierw całuje smoka, a następnie Jeffa.

BILL

Dobranoc.

JEFF

Dobranoc. (*Mówi to w chwili, gdy Bill sięga już do klamki.*) Cieszę się, że cioci Dawn nic się nie stało.

BILL

Ja też.

Wychodzi.

WNĘTRZE: Telewizor. Zbliżenie. Facet, który wygląda tak, jakby przed mniej więcej dwoma tygodniami zginął w wypadku samochodowym (a na dodatek leżał na słońcu), niezdarnie wydobywa się z krypty grobowej. Kamera rozszerza kąt widzenia i pokazuje również Billa, który zwalnia właśnie klawisz uruchamiający nagrywanie w magnetowidzie.

KATIE (głos)

Booga-booga.

Bill rozgląda się. Kamera jeszcze bardziej poszerza kąt widzenia, pokazuje Katie wkładającą bardzo seksowną koszulę nocną.

BILL

Tobie też booga-booga. Straciłem pierwsze czterdzieści sekund po przerwie na reklamy. Musiałem ucałować Ramba.

KATIE

Naprawdę nie jesteś na mnie zły, Bill?

Podchodzi do Katie i całuje ją.

BILL

Ani ciut-ciut.

KATIE

Mogłabym przysiąc, że był to ktoś z moich. Rozumiesz, o czym mówię? Ktoś z mojej rodziny.

BILL

Tak.

KATIE

Ciągle mam w uszach ten szloch. Tak rozpaczliwy... rozdzierający serce.

BILL

Kate, czy nigdy nie zdarzyło ci się zobaczyć kogoś na ulicy i zawołać do niego, a gdy ten ktoś się odwrócił, stwierdziłaś, że jest to zupełnie obca osoba?

KATIE

Tak, raz. W Seattle. Byłam w centrum miasta i wydawało mi się, że widzę koleżankę, z którą w college'u dzieliłam pokój. Ja... och, no tak, rozumiem, o co ci chodzi.

BILL

Jasne. Tak samo, jak można wyglądać podobnie do kogoś, tak samo można mieć podobny do czyjegoś głos.

KATIE

Ale... przecież znam swoich najbliższych. W każdym razie sądziłam tak do dzisiaj.

Kładzie mu policzek na ramieniu. Minę ma zakłopotaną.

KATIE

Byłam święcie przekonana, że to Polly...

BILL

Ponieważ bardzo się niepokoiłaś, jak poradzi sobie w nowej szkole... ale wnioskując z tego, co ci powiedziała przez telefon, myślę, że ma się tam jak pączek w maśle. Nie sądzisz?

KATIE

Tak... chyba tak.

BILL

Było, minęło, kochanie.

KATIE (*przyglądając mu się z uwagą*)

Wyglądasz na straszliwie zmęczonego. Pośpiesz się z tym nowym pomysłem.

BILL

Robię, co mogę.

KATIE

Idziesz do łóżka?

BILL

Jak tylko skończę nagrywać Jeffowi ten film.

KATIE (*rozbawiona*)

Bill, to urządzenie zbudowali Japończycy, a oni myślą o wszystkim. Film na-

gra się sam.

BILL

Tak, ale dawno go już nie oglądałem i chcę...

KATIE

W porządku. Baw się dobrze. Jeszcze jakiś czas nie będę spała. *(Pauza.)* Mam dla nas kilka ciekawych pomysłów.

BILL *(z uśmiechem)*

Naprawdę?

KATIE

Naprawdę.

Zaczyna odchodzić, pokazując bardzo duży fragment nogi. W progu, jakby tknięta jakąś myślą, odwraca się.

KATIE

Kiedy pojawi się ta scena z głową punka..

BILL *(z nutą winy)*

Wiem, zredaguję to.

KATIE

Dobranoc. I jeszcze raz wielkie dzięki. Za wszystko.

Wychodzi. Bill siedzi na krześle.

WNĘTRZE: Telewizor. Zbliżenie. W samochodzie pieści się jakaś parka. Nagle drzwi auta wyrywa martwy facet. Obraz rozplywa się. Pojawia się:

WNĘTRZE: Katie w łóżku. W pokoju panuje mrok. Ona śpi. Nagle... jakby się budzi.

KATIE (zaspianym głosem)

Ej, wielki chłopaku...

Maca ręką, ale druga połowa łóżka jest pusta. Kołdra równo rozłożona. Katie siada. Spogląda na:

WNĘTRZE: Zegarek na nocnym stoliku. Widok od strony Katie. Godzina druga zero trzy. Po chwili ostatnia cyferka zamienia się w czwórkę.

WNĘTRZE: Katie. Teraz jest już w pełni rozbudzona. Dręczy ją niepokój. Wstaje, wkłada szlafrok i opuszcza sypialnię.

WNĘTRZE: Ekran telewizora. Zbliżenie. Ekran śnieży.

KATIE (głos zbliża się)

Bill? Kochanie? Czy wszystko w porządku? Bill? Bi...

WNĘTRZE: Katie w gabinecie Billa. Stoi jak słup soli. Ma szeroko rozwarte oczy, w których maluje się przerażenie.

WNĘTRZE: Bill siedzi na krześle. Jest przechylony na bok, oczy ma zamknięte, dłoń wsuniętą pod koszulę. Dawn spała. Bill nie.

PLENER: Spuszczana do grobu trumna.

PASTOR (głos)

Tak oto składamy doczesne szczątki Williama Weidermana do ziemi, przekonani, że jego duch i jego dusza dostąpią życia wiecznego, bracia..

PLENER: Nad grobem. Zgromadzeni wszyscy Weidermanowie. Katie i Polly mają na sobie identyczne czarne sukienki i welony. Connie czarną spódnicę i białą bluzkę. Dennis i Jeff czarne garniturki. Jeff płacze. Na pociechę ściska pod pachą smoka Rambo. Kamera kieruje się na Katie. Po policzkach Katie powoli płyną łzy. Pochyla się i zagarnia dłonią ziemię. Wrzuca ją do grobu.

KATIE

Kocham cię, wielki chłopaku.

PLENER: Jeff. Chlipie.

PLENER: Kamera pokazuje wnętrze grobu. Na wieku trumny rozsypana ziemia.

PLENER: Grób. Robotnik zagarnia ostatnią łopatę ziemi.

ROBOTNIK

Moja żona twierdzi, że powinien być pan, mistrzu, przed tym atakiem serca napisać jeszcze ze dwie powieści. (Pauza.) Ja osobiście wolę westerny.

Robotnik odchodzi, pogwizdując. Obraz rozplywa się, pojawia się:

PLENER: Kościół. Dzień.

KARTA TYTUŁOWA: Pięć lat później.

DŹWIĘK: Marsz weselny.

Polly, starsza o pięć lat i promieniejąca radością wchodzi w deszcz rzucanego ryżu. Jest w ślubnej sukni, obok niej kroczy świeżo poślubiony mąż. Uczestnicy ceremonii rzucają ryżem wzdłuż całej drogi. Za panem i panną młodą podążają weselni goście. Między nimi są Katie, Dennis, Connie i Jeff... wszyscy starsi o pięć lat. Katie towarzyszy Hank, jej drugi mąż. Polly odwraca się do matki.

POLLY

Dziękuję, mamo.

KATIE (płacząc)

Och, lalczko, zawsze byłaś kochanym dzieckiem.

Obejmują się. Po chwili Polly odsuwa się od matki i patrzy na Hankę. Następuje chwila napięcia, po czym Polly przygarnia do siebie Hankę.

POLLY

Tobie też dziękuję, Hank. Przepraszam, że byłam takim upiorem...

HANK (*pogodnie*)

Nigdy nie byłeś upiorem, Pol. Dziewczyna ma tylko jednego ojca.

CONNIE

Rzuć ją! Rzuć ją!

Po chwili Polly ciska wiazanką.

PLENER: Bukiet. Zbliżenie. Zwolniony ruch. Bukiet obraca się w powietrzu, obraca i obraca. Obraz rozplywa się, zastępuje go:

WNĘTRZE: Gabinet, w którym jest Katie. Noc. Na biurku ciągle stoją fotografie, ale zamiast komputera ustawiono sporą lampę, w której świetle widnieją wydruki. Wiszące na ścianach okładki książek zastąpiono zdjęciami budynków; zapewne zaprojektowanych przez Hanka. Katie spogląda na biurko. Jest zamyślona, trochę smutna.

HANK (*głos*)

Idziesz do łóżka, Katie?

Katie odwraca się, a wraz z nią kamera, która powiększa kąt widzenia tak, że widzimy Hanka. Na pidżamę włożył szlafrok. Katie podchodzi do niego i z uśmiechem daje mu lekkiego kuksańca. Może dostrzegamy kilka siwych pasm w jej włosach. Przez lata, które upłynęły od śmierci Billa, straciła wiele ze swego dziewczęcego wdzięku.

KATIE

Za chwilę. Ostatecznie nie codziennie wydaje się za męża najstarszą córkę.

HANK

Wiem.

Kiedy odchodzą od biurka w kąt gabinetu, towarzyszy im kamera. Pokój wygląda tak samo jak za dawnych czasów: stolik do kawy, magnetowid, telewizor, kanapa i stary fotel klubowy Billa. Katie rozgląda się po meblach.

HANK

Ciągle za nim tęsknisz?

KATIE

Raz bardziej, raz mniej. Ty nie wiedziałaś, a Polly zapomniała.

HANK (*łagodnie*)

O czym zapomniała, laleczko?

KATIE

Polly wyszła za mąż dokładnie w piątą rocznicę śmierci Billa.

HANK (*tuli ją do siebie*)

Chodźmy lepiej do łóżka, dobrze?

KATIE

Za chwilę.

HANK

W porządku. Może jeszcze nie będę spał.

KATIE

Masz jakieś pomysły?

HANK

Może.

KATIE

To miło.

Hank całuje ją i wychodzi, zamykając za sobą drzwi. Katie siada w starym fotelu

Billa. Na stoliku do kawy leży pilot od telewizora, obok dodatkowy aparat telefoniczny. Katie patrzy na martwy ekran. Kamera ukazuje jej twarz. Z jednego oka spływa łza, lśni jak szafir.

KATIE

Wciąż za tobą tęsknię, wielki chłopaku. Z każdym dniem coraz bardziej. I wiesz co? To boli.

Pojedyncza łza spada. Katie sięga po pilota i naciska guzik.

WNĘTRZE: Telewizor widziany od strony Katie. Kończy się reklama noży Ginsu. Pojawia się logo stacji Star.

LEKTOR (głos)

Wracamy teraz na kanał sześćdziesiąty trzeci. Wtorkowe kino nocne... „Pocałunek upiora”.

Logo rozplywa się, a jego miejsce zajmuje martwy facet, który wygląda tak, jakby przed mniej więcej dwoma tygodniami zginął w wypadku samochodowym i przez ten czas leżał na słońcu. Niezdarnie wychodzi z tej samej, starej krypty grobowej.

WNĘTRZE: Katie. Jest strasznie zaskoczona, wręcz przerażona. Natychmiast wyłącza pilotem telewizor. Ekran ciemnieje. Na twarzy Katie maluje się burza uczuć. Walczy z naporem emocji, ale zbieg okoliczności, jaki stanowi projekcja tego filmu, to o jedna rzecz za dużo w dniu, który należał do najbardziej wzruszających dni w jej życiu. Tama pęka i Katie zaczyna szlochać... straszliwy, rozdierający serce szloch. Odkłada pilota na stojący obok fotela stolik. Przy okazji strąca na podłogę telefon.

DŹWIĘK: Ciągły sygnał telefonu.

Gdy Katie spogląda na aparat, na jej lśniącej od łez twarzy pojawia się dziwny wyraz. Coś zaczyna do niej docierać... jakaś myśl? Intuicja? Trudno powiedzieć. I zapewne nie ma to znaczenia.

WNĘTRZE: Telefon widziany od strony Katie. Kamera przechodzi na maksymalne zbliżenie... Przybliża się, aż otworki w mikrofonie wyglądają niczym czarne otchłanie.

DŹWIĘK: Coraz głośniejszy, ciągły sygnał telefonu. Wchodzimy w ciemność... i słyszymy:

BILL (głos)

Dokąd dzwonisz? Do kogo chcesz zadzwonić? Skoro nie jest jeszcze za późno, do kogo zadzwonisz?

WNĘTRZE: Katie. Twarz wygląda tak, jakby Katie wpadła w trans hipnotyczny. Katie sięga pod nogi, podnosi telefon i zaczyna na chybił trafił naciskać klawisze.

DŹWIĘK: Powolne przerywane sygnały w słuchawce.

Katie ciągle sprawia wrażenie zahipnotyzowanej. Trzyma słuchawkę tak długo, aż słyszy w niej czyjś głos. słyszy po drugiej stronie własny głos.

KATIE (głos, stłumiony)

Halo, tu dom Weidermanów.

Katie – aktualna Katie z pasmami siwizny we włosach – szłocha, ale na jej twarzy pojawia się rozpaczliwa nadzieja. Na jakimś poziomie świadomości rozumie, że otchłanna rozpacz pozwoliła jej na swoistą telefoniczną podróż w czasie. Chce mówić, próbuje wyartykułować słowa.

KATIE (szlochając)

Zabierz... proszę zabierz... z-z...

WNĘTRZE: Katie w kąciku telefonicznym. Repryza. Jest pięć lat wcześniej. Obok niej stoi zaniepokojony Bill. Jeff pomaszzerował do sąsiedniego pokoju szukać czystej taśmy.

KATIE

Polly? Co się stało?

WNEŹTRZE: Katie w gabinecie.

KATIE (szlochając)

Proszę... szybko...

DŹWIĘK: Trzask przerwaneć połączecia.

KATIE (wrzeszczy)

Zabierz go do szpitala! Jeśli chcesz, żeby żył, zabierz go do szpitala! Będzie miał atak serca! On...

DŹWIĘK: Ciągłe buczenie w słuchawce. Powoli, bardzo powoli Katie odkłada słuchawkę. I nagle, po chwili, ponownie ją podnosi. Mówi głośno, nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, co robi.

KATIE

Wykręciłam zły numer. Wykręciłam...

Gwałtowne cięcie i:

WNEŹTRZE: Bill w kąciku telefonicznym, obok niego Katie. Bill odebrał właśnie od Katie słuchawkę i rozmawia z operatorką.

OPERATORKA (stłumiony głos, chichoty)

Obiecuję, że nikomu go nie przekażę.

BILL

Pięćset pięćdziesiąt pięć...

Gwałtowne cięcie i:

WNEŹTRZE: Katie w starym fotelu Billa. Zbliżenie.

KATIE (*kończy*)

...czterdzieści cztery, zero osiem.

WNĘTRZE: Telefon. Zbliżenie. Katie drżącym palcem wybiera cyfry; każdemu naciśnięciu klawisza towarzyszy elektroniczny pisk: 555-4408.

WNĘTRZE: Katie w starym fotelu Billa. Zbliżenie. Zamyka oczy, kiedy ze słuchawki zaczynają płynąć sygnały. Na twarzy Katie maluje się bolesny wyraz, mieszanina nadziei i strachu. Jeśli tylko będzie miała jeszcze jedną szansę przekazania decydującej o życiu i śmierci wiadomości... jedną, jedyną szansę.

KATIE (*cicho*)

Proszę... proszę...

GŁOS Z TAŚMY MAGNETOFONOWEJ (*stłumiony*)

Nie ma takiego numeru. Proszę odłożyć słuchawkę i wykręcić ponownie. Jeśli potrzebna pomoc...

Katie odkłada słuchawkę. Po policzkach spływają jej łzy. Kamera oddala się, przechyla, ukazuje telefon.

WNĘTRZE: Kącik telefoniczny, w nim Bill i Katie. Repryza.

BILL

A więc to jakiś dowcip. Albo ktoś tak bardzo płakał, że wykręcił zły numer. „przez lśniąca kurtyny łez”, jak my, starzy pismacy, lubimy mówić.

KATIE

To nie był dowcip ani pomyłka! To ktoś z mojej rodziny.

WNĘTRZE: Katie (współczesna) w gabinecie Billa.

KATIE

Tak. Ktoś z mojej rodziny. Ktoś bardzo bliski. (*Pauza.*) Ja.

Nieoczekiwanie rzuca telefonem przez pokój. Zaczyna ponownie szlochać. Zakry-

wa twarz dłońmi. Kamera pokazuje ją przez chwilę, a następnie podąża przez pokój za:

WNĘTRZE: Telefon. Leży na dywanie, wygląda nijako, a zarazem w jakiś sposób złowieszczo. Kamera przechodzi na maksymalne zbliżenie – dziurki w mikrofonie ponownie wyglądają jak czarne otchłanie. Widzimy je, a następnie wszystko zasnuwa mrok.

Ludzie Godziny Dziesiątej

1

Pearson próbował krzyczeć, ale szok całkowicie odebrał mu głos i z jego gardła dobył się tylko niski, zdławiony pomruk – jęk, jaki czasami wydaje człowiek pogrążony we śnie. Zaczerpnął tchu, aby ponownie spróbować wrzasnąć, lecz w tej samej chwili czyjaś dłoń chwyciła jego lewy łokieć i ścisnęła niczym obcegi.

– To byłby błąd – powiedział głos, który pojawił się wraz z ręką. Mówił prosto w lewe ucho Pearsona zaledwie o pół tonu głośniejsze od szeptu. – Wielki błąd. Uwierz mi.

Pearson rozejrzał się. Stwór, który sprawił, że Pearson chciał – nie, musiał – krzyczeć, zniknął w banku, o dziwo przez nikogo nienagabywany, a Pearson pojął, że pierwszy paraliż minął i jest już w stanie jako tako kręcić głową. Podtrzymywał go przystojny młody Murzyn w garniturze kremowej barwy. Pearson znał go wyłącznie z widzenia, ale rozpoznawał po drobnych szczegółach, tak jak zawsze rozpoznawał osoby należące do plemienia Ludzi Godziny Dziesiątej... zapewne po takich samych, charakterystycznych szczegółach oni również go rozpoznawali.

Przystojny młody Murzyn przyglądał mu się z uwagą.

– Czy pan to też widział? – zapytał Pearson.

Mówił wysokim, natarczywym, skamlącym głosem, całkowicie niepodobnym do jego zwykle śmiałego, pełnego pewności siebie tonu.

Gdy przystojny młody Murzyn zorientował się, że Pearson nie zamierza już swym dzikim wrzaskiem stawiać na nogi całego placu rozciągającego się przed

The First Mercantile Bank of Boston, puścił jego ramię. Teraz z kolei Pearson wyciągnął rękę i chwycił młodego Murzyna za nadgarstek. Zupełnie jakby jeszcze ciągle potrzebował bezpośredniego kontaktu z innym człowiekiem. Przystojny młody Murzyn nie cofnął ręki. Zerknął jedynie na dłoń Pearsona, po czym znów przeniósł wzrok na jego twarz.

– Pytam, czy pan też to widział? Przerazające! Jeśli nawet był to makijaż... albo jakaś maska, którą ktoś nałożył dla kawału...

Ale nie był to ani makijaż, ani maska. Stwór w ciemnoszarym garniturze od Andre Cyra i w półbutach za pięćset dolarów podszedł do Pearsona bardzo blisko, prawie go dotknął (Boże, nie pozwól; umysł Pearsona aż skurczył się z odrazy) i Pearson dobrze wiedział, że nie był to ani makijaż, ani maska. A to dlatego, iż ciało na olbrzymiej wypukłości, która zapewne była głową, poruszało się. Różne części tej głowy poruszały się w różnych kierunkach jak pierścienie egzotycznego gazu otaczające którąś z planet-gigantów.

– Przyjacielu – zaczął przystojny młody Murzyn w kremowym garniturze. – Potrzebuje pan...

– Co to było? – bezceremonialnie przerwał mu Pearson.

– W życiu nie widziałem czegoś podobnego! Takie coś spotkać można jedynie w... nie wiem... w jakimś upiornym cyrku... albo... albo...

Głos nie płynął mu już ze zwykłego miejsca w głowie. Odnosił wrażenie, że dobywa się skądś ponad nim. Zupełnie jakby Pearson wpadł w jakąś głęboką dziurę w ziemi, a ów wysoki, natarczywy, piskliwy głos należał do kogoś innego, do kogoś, kto pochylony nad jamą, przemawia doń z góry.

– Posłuchaj, przyjacielu...

I było jeszcze coś. Kiedy zaledwie kilka chwil wcześniej Pearson, trzymając między palcami niezapalonego marlboro, wyszedł z banku przez obrotowe drzwi, dzień był pochmurny; wręcz wszystko wskazywało na to, że niebawem zacznie padać deszcz. Teraz jednak świat był nie tylko jaskrawy, ale przejaskrawiony. Czerwona spódniczka ślicznej blondynki stojącej pod ścianą budynku w odległości jakichś piętnastu metrów od niego (paliła papierosa i czytała książkę w miękkiej oprawie) lśniła niczym kula ognista, żółta koszula mijające-

go go gazeciarza kłuła oczy jak żądło osy, a twarze ludzi były jak oblicza z ukochanych barwnych, rozkładanych książeczek należących do jego córeczki Jeny.

I wargi... zupełnie nie czuł warg. Były zdętwiałe jak po dużej dawce nowokainy.

Pearson odwrócił się do przystojnego młodzieńca w kremowym garniturze i powiedział:

– To śmieszne, ale za chwilę chyba zemdleję.

– Nie, wcale pan nie zemdleje – odparł młody człowiek z taką pewnością w głosie, że Pearson mu uwierzył; w każdym razie chwilowo. Murzyn ponownie chwycił go za łokieć, tym razem znacznie łagodniej. – Chodźmy tam... musi pan na chwilę usiąść.

Na rozległym placyku przed bankiem znajdowały się porozrzucane w nieregularnych odstępach koliste, marmurowe wysepki mniej więcej metrowej wysokości. W każdej rosła jakaś inna odmiana późnoletnich/wczesnojesiennych kwiatów. Na kamiennych krawędziach tych kwietników siedzieli Ludzie Godziny Dziesiątej. Jedni czytali, drudzy gawędzili, inni jeszcze obserwowali potok przechodniów płynący chodnikami Commercial Street, ale jednocześnie wszyscy robili to, co sprawiało, że należeli do Ludzi Godziny Dziesiątej. Pearson zresztą zszedł na dół i stanął przed bankiem, żeby robić to samo. Na marmurowej wysepce, którą wybrał nowy znajomy Pearsona, rosły astry; Pearsonowi z powodu wyostrzonej percepcji wydawały się nieznośnie purpurowe. Kolisty występ był wolny, zapewne dlatego, że minęło już dziesięć minut po pełnej godzinie i ludzie zaczęli wracać do budynku.

– Niech pan siada – powiedział zachęcająco młody Murzyn w kremowym garniturze i Pearson, mimo że starał się jak mógł panować nad ciałem, raczej osunął się na kamienną krawędź kwietnika, niż na niej usiadł. W jednej chwili stał obok wykonanej z czerwonego marmuru wysepki, a w następnej już ktoś podciął mu kolana i Pearson wylądował na siedzeniu. Z impetem.

– Niech pan się pochyli – poradził młody człowiek, zajmując miejsce obok niego.

Cały czas miał pogodną minę, ale w oczach nie było niczego pogodnego; były rozbiegane i nerwowo strzelały po całym placu.

– Po co?

– Żeby krew napłynęła panu do głowy – wyjaśnił młody Murzyn. – Ale proszę zrobić to bardzo ostrożnie. Niech pan po prostu udaje, że wącha kwiaty.

– Co?

– Proszę zrobić tak, jak mówię. – W głosie młodego człowieka pojawiła się nutka zniecierpliwienia.

Pearson pochylił głowę i wziął głęboki wdech. Odkrył, że kwiaty nie pachną tak ładnie, jak na to wyglądają. Wydzielały wodnistą woń, przypominającą troszeczkę psie siuśki. Ale poczuł się odrobinę lepiej.

– Proszę zacząć wymieniać stany – polecił z kolei Murzyn. Skrzyżował nogi, podciągnął nogawki spodni, żeby się nie pomięły, i z wewnętrznej kieszeni wyjął paczkę winstonów. Pearson uświadomił sobie, że jego papierosy gdzieś zginęły; zapewne upuścił je w pierwszym szoku, gdy ujrzał potwornego stwora w drogim garniturze przecinającego zachodnią stronę placu.

– Stany – powtórzył tępo.

Młody Murzyn skinął głową, wyciągnął zapalniczkę, która była zapewne o wiele tańsza, niż na to wyglądała, i zapalił papierosa.

– Proszę zacząć od tego, w którym się znajdujemy, i posuwać się na zachód.

– Massachusetts. Nowy Jork, tak mi się wydaje... albo Vermont, jeśli zacząć od góry... New Jersey... – Pearson wyprostował się i zaczął wyliczać z większą pewnością siebie:

– Pensylwania, Wirginia Zachodnia, Ohio, Illinois.

Murzyn uniósł brwi.

– Wirginia Zachodnia? Jest pan pewien?

Pearson uśmiechnął się blado.

– Jasne. Mógłbym też dotrzeć do Ohio i Illinois od zadzi. Murzyn wzruszył ramionami, by pokazać, że niewiele go to obchodzi, i uśmiechnął się.

– Nie wygląda już pan na kogoś, kto ma zamiar zemdleć... widzę to po pańskiej twarzy... a to bardzo ważne. Zakurzy pan?

– Dzięki – odparł z wdzięcznością Pearson. Nie tyle chciał papierosa, co rozpaczliwie go potrzebował. – Miałem swoje, ale gdzieś mi zginęły. Jak się pan nazywa?

Murzyn wsunął Pearsonowi winstona w usta i pstryknął zapalniczką. Podsunął płomyk do papierosa.

– Dudley Rhinemann. Proszę mówić mi Duke.

Pearson mocno się zaciągnął papierosem i popatrzył w stronę obrotowych drzwi prowadzących do mrocznych czeluści sięgającego chmur banku.

– To wcale nie była halucynacja, prawda? – zapytał. – To co widziałem... pan również go widział?

Rhinemann skinął głową.

– Nie chciał pan, żeby się zorientował, iż go dostrzegłem? – upewnił się Pearson.

Wypowiadał słowa powoli, starając się wszystko poukładać sobie w głowie. Mówił już normalnym głosem, co sprawiało mu ogromną ulgę.

Rhinemann ponownie skinął głową.

– Ale jak mógłbym go nie widzieć? I jak on mógłby o tym nie wiedzieć?

– Czy widział pan, żeby ktoś na placu, tak jak pan, o mało nie dostał zawału? – zapytał Rhinemann. – Czy ktokolwiek wyglądał jak pan? Na przykład ja?

Pearson powoli potrząsnął głową. Teraz czuł się jeszcze i bardziej wystraszony i kompletnie zagubiony.

– Błyskawicznie stanąłem między wami i nie sądzę, żeby dostrzegł pańską reakcję. Ale przez sekundę czy dwie było o włos od tego. Sprawiał pan wrażenie kogoś, komu z kotleta wylazła mysz. Pracuje pan w Kasie Pożyczkowej Collateral, prawda?

– Och, tak... przepraszam, jestem Brandon Pearson.

– Ja pracuję w serwisie komputerowym. Teraz już wszystko w porządku. Pierwszy napotkany batman rzeczywiście może zrobić na człowieku takie wrażenie.

Duke Rhinemann wyciągnął dłoń i Pearson ją uścisnął. Ale myślami był jeszcze przy ostatnich słowach Murzyna. „Pierwszy napotkany batman rzeczywiście

może zrobić na człowieku wrażenie” – powiedział i Pearson w jednej chwili wymazał z pamięci skojarzenie, jakie przyszło mu na myśl, gdy ujrzał stwora; Zakapturzony Krzyżowiec torujący sobie drogę przez Gotham City²³ między budynkami w stylu art deco. Pomyślał, że „batman” jest określeniem dużo trafniejszym. Odkrył coś jeszcze; a może tylko ponownie to odkrył: dobrze jest natychmiast ukuć nazwę na każdą rzecz, która człowieka przerażała. Nie powoduje to, że człowiek przestaje się bać, ale przynajmniej dzięki temu strach staje się do zniesienia.

Tak więc teraz z rozmysłem dokładnie przypomniał sobie, co widział, i mruknął w duchu: To był mój pierwszy batman.

Przeszedł przez obrotowe drzwi, myśląc o jednym, o tym samym co zwykle, gdy wychodził o dziesiątej przed bank. Rozmyślał o upajającym uczuciu, jakie ogarnia człowieka, kiedy nikotyna z pierwszego papierosa zaczyna wdzierać się do płuc i mózgu. To właśnie czyniło go jednym z członków plemienia; stanowiło jego prywatną wersję rytualnych tatuaży na policzkach.

Natychmiast zauważył, że dzień stał się jeszcze bardziej mroczny niż o godzinie ósmej czterdzieści pięć, gdy pojawił się w pracy, i pomyślał: Po południu dym z naszych rakotwórczych zwitków wydmuchiwać będziemy w siąpiący deszcz; wszyscy, cały nasz klan. Ale mały deszczyk nie powstrzyma ich od tego. Ludzie Dziesiątej byli bardzo uparci i zdecydowani.

Pamiętał, że omiółł plac szybkim, prawie podświadomym spojrzeniem. Ujrzał dziewczynę w czerwonej spódniczce (i znów zastanowił się, jak zresztą zawsze to czynił, czy ktoś o tak znakomitym wyglądzie równie efektownie wyglądałby w spodniach), młodego, bebopowego odźwiernego z drugiego piętra, który w czapce nałożonej tył do przodu mył mopem podłogi w ubikacji i w barze przekąskowym, starszego mężczyznę z imponującą strzechą całkiem siwych włosów i purpurowymi plamkami na policzkach, młodą kobietę o wąskiej twarzy, w okularach o grubych szklach i z długimi, prostymi włosami. Dostrzegł innych, których sobie mgliście przypominał. Jednym z nich naturalnie był przystojny młody Murzyn w kremowym garniturze.

Gdyby dostrzegł gdzieś Timmy'ego Flandersa, toby do niego dołączył. Ponieważ jednak nigdzie go nie było, Pearson ruszył w kierunku środka placu, zamierzając przysiąść na jednej z marmurowych wysepek (dokładnie tej, na której siedział obecnie). Gdy już tam będzie, zajmie doskonałe stanowisko, z którego oceni wszelkie uroki i zalety długich nóg Ślicznotki W Czerwonej Spódniczce. Wprawdzie będzie mógł tylko sobie popatrzeć, ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. W małżeństwie powiodło mu się znakomicie, miał żonę, którą kochał, i córkę, którą uwielbiał. Nigdy nie zdradzał żony, ale kiedy zbliżył się już do czterdziestki, odkrył, że krew zaczyna się w nim burzyć jak woda w oceanie, z której lada chwila wynurzą się na powierzchnię jakieś morskie potwory. Nie wiedział, czy jakikolwiek mężczyzna zdołałby się powstrzymać przed spoglądaniem na taką czerwoną spódniczkę, i chwilę się zastanawiał, czyjej właścicielka nosi pod spodem czarną bieliznę.

W chwili jednak gdy ruszył w stronę upatrzonego stanowiska, zza załomu budynku wyłonił się przybysz i zaczął wchodzić po wiodących na plac stopniach. Pearson dostrzegł go zaledwie kątem oka i w normalnych okolicznościach nie zwróciłby na niego uwagi. Bez reszty pochłaniał go widok czerwonej spódniczki, króciutkiej, sztywnej i czerwonej jak wóz strażacki. A jednak popatrzył w stronę nowo przybyłego, gdyż mimo że ruch dostrzegł jedynie kątem oka, a myśli miał zaprzątnięte całkiem czymś innym, zarejestrował w umyśle, że coś jest nie tak z twarzą i głową zbliżającej się postaci. Odwrócił się i popatrzył w jej kierunku, co sprawiło, że przez Bóg jeden wie ile kolejnych nocy nie będzie w stanie zmrużyć oka.

Buty były w porządku; ciemnoszary garnitur od Andre Cyra wyglądał równie solidnie i wzbudzał zaufanie jak drzwi skarbcza w podziemiach banku. A nawet jeszcze większe. Czerwony krawat wyróżniał się barwą, ale nie raził oka i nie naruszał dobrego smaku. Wszystko pasowało w każdym calu: typowy strój wysokiego urzędnika bankowego, który kroczy z godnością do pracy w poniedziałkowy poranek (kto, jeśli nie urzędnik bankowy wysokiej rangi pojawia się w pracy w poniedziałkowy poranek dopiero o dziesiątej rano?). Kiedy jednak Pearson popatrzył na jego głowę, pomyślał, że oszalał i widzi coś, o czym

z pewnością nie ma nawet wzmianki w *World Book Encyclopedia*.

Ale dlaczego nikt nie uciekał? – dumał teraz Pearson, gdy na tył jego głowy spadła pierwsza kropla deszczu, a następna zmoczyła białą bibułę do połowy wypalonego papierosa, którego trzymał w ustach. Powinni byli przecież czmychać z wrzaskiem, jak robili to ludzie uciekający przed gigantycznymi robalami na filmach z lat pięćdziesiątych – błysnęło mu w głowie. – Ale w takim razie... dlaczego ja nie uciekałem?

Niby prawda, ale nie to samo. Nie uciekał, ponieważ sparaliżował go strach. Ale próbował krzyczeć. Na sekundę przed tym, jak chwycił go za łokieć ów nowy znajomy, próbował krzyczeć, lecz odebrało mu głos.

Batman. Mój pierwszy batman.

Nad szerokimi ramionami przybranymi w Najszkowniejszy Garnitur Służbowy Roku i nad węzłem wytwornego, czerwonego krawata firmy Sulka majaczyła olbrzymia, szarawo-brązowa głowa, nie okrągła, lecz zdeformowana jak piłka futbolowa, którą kopano przez cały letni sezon. Czarne linie, zapewne żyły, pulsowały pod powierzchnią ciemnej skóry, wijąc się chaotycznie niczym linie na mapie drogowej, a tam gdzie powinna znajdować się twarz, nie było nic (nic, co w ludzkim pojęciu przypominałoby oblicze), a jedynie jakieś bryły wyrzuszające się i drgające jak nowotwory obdarzone półrozumnym życiem. Rysy miał zaledwie szczątkowe i jakby ściągnięte, oczy płaskie, czarne, idealnie okrągłe, spoglądające drapieźnie ze środka twarzy jak ślepiec rekina lub opasłego owada, uszy zdeformowane, bez małżowin. Stwór nie miał nosa, a w każdym razie Pearson nic takiego nie dostrzegł, chociaż z dwóch kolczastych kępek włosów wyrastających pod oczyma wystawały dwa wyrostki przypominające niewielkie kły słoniowe. Większą część twarzy zajmowały usta – olbrzymie, czarne, w kształcie półksiężyca i wypełnione trójkątnymi zębami. Dla stworzenia z taką paszczą – pomyślał później Pearson – pożeranie musiało stanowić przenajświętszy sakrament.

Pierwszą refleksją, jaka go naszała, gdy wpatrywał się w potworną zjawę – zjawę, która w kształtnej, wymanikiurowanej dłoni trzymała teczkę firmy Balley – było: To Człowiek-Słoń. Ale – jak teraz sobie uświadamiał – stwór stano-

wił wyłącznie zdeformowaną istotę ludzką z jakiegoś starego filmu. Duke Rhinemann był bliższy prawdy: te czarne oczy i rozwarty pysk kojarzyły się bardziej z futrzastym, piszczącym stworzeniem, które całe noce poświęca na pozeranie owadów, a w dzień śpi w mrocznych kryjówkach z głową w dół.

Ale nie to sprawiło, że chciał wrzeszczeć; chciał wrzeszczeć dopiero wtedy, gdy stworzenie w garniturze od Andre Cyra minęło go, a lśniące, owadzie ślepią potwora wlepione już były w obrotowe drzwi prowadzące do banku. Wtedy też stwór przez sekundę czy dwie był bardzo blisko Pearsona, który ujrzał dokładnie przypominające nowotwór oblicze, poruszające się w jakiś osobliwy sposób pod cętkowaną szopą twardej szczeciny wyrastającej z tej twarzy. Nie miał pojęcia, jak to mogło się dziać, ale się działo. Widział na własne oczy, osobiście obserwował ludzkie ciało pełzające wokół kluchowatych krzywizn czaszki i falujące naprzemiennymi pierścieniami wokół przypominającego końcówkę maczugi łba. Dostrzegł też makabryczną, żywą, różową substancję, o której nawet nie chciał myśleć... a jednak teraz, kiedy to sobie przypominał, odnosił wrażenie, że nie potrafi oderwać od niej myśli.

Na jego dłonie i twarz spadły kolejne krople deszczu. Siedzący obok na marmurowej krawędzi Rhinemann zaciągnął się po raz ostatni, odrzucił niedopałek i wstał.

– Chodźmy – powiedział. – Zaczyna padać.

Pearson popatrzył nań szeroko rozwartymi oczyma, a następnie przeniósł wzrok na gmach banku. Właśnie wchodziła do niego blondynka w czerwonej spódnicy, książkę trzymała pod pachą. Dokładnie za nią szła (i dosłownie macała ją wzrokiem) grupka podstarzałych bankierów, wśród których był ów mężczyzna z szopą siwych włosów.

Pearson ponownie skierował wzrok na Rhinemanna i powiedział:

– Mamy wejść do środka? Mówi pan serio? Przecież tam właśnie wszedł ten stwór!

– Wiem.

– Chce pan usłyszeć coś kompletnie szalonego? – zapytał Pearson, odrzucając

papierosa.

Nie wiedział jeszcze, dokąd pójdzie, zapewne do domu, ale wiedział, dokąd z całą pewnością nie wejdzie: do The First Mercantile Bank of Boston.

– Jasne – odparł Rhinemann. – Dlaczego nie?

– To coś do złudzenia przypominało naszego czcigodnego dyrektora naczelnego, Douglasa Keefera... dopóki nie popatrzyłem na jego głowę. Ten sam garnitur, ta sama teczka.

– I co w tym dziwnego? – odparł Rhinemann.

Pearson zmierzył go niespokojnym wzrokiem.

– O co ci chodzi?

– Myślę, że zna pan już odpowiedź, ale nie wyszedł pan jeszcze z szoku. Zatem ja to powiem za pana. To rzeczywiście był Keefer.

Pearson uśmiechnął się niepewnie, ale Rhinemann zachował powagę. Chwytał Pearsona za łokieć i przyciągnął do siebie tak blisko, że ich twarze dzieliło tylko kilka centymetrów.

– Właśnie uratowałem panu życie. Czy wierzy pan w to, panie Pearson?

Pearson zastanowił się nad słowami Murzyna i pojął, że tak dokładnie jest. Obraz obcego o twarzy przypominającej pysk nietoperza, z czarnymi oczyma i strasznymi zębiskami płonął mu nieustannie w pamięci niczym czarna flara.

– Tak – powiedział. – Uratował pan.

– W porządku. Zatem proszę wyświadczyć mi tę grzeczność i wysłuchać uważnie trzech rzeczy... Wysłucha pan?

– Ja... tak, jasne.

– Po pierwsze: to był Douglas Keefer, dyrektor naczelny The First Mercantile Bank of Boston, bliski przyjaciel burmistrza oraz honorowy przewodniczący fundacji bostońskiego szpitala dziecięcego. Po drugie: w banku pracują jeszcze co najmniej trzy inne nietoperze, jeden z nich na pańskim piętrze. Po trzecie: musi pan tam wrócić. Jeśli naturalnie życie panu miłe.

Pearson zapomniał języka w gębie i tępo wpatrywał się w Rhinemanna. Gdyby próbował w tej chwili wyartykułować jakiegokolwiek słowo, z ust wydobyłby mu się jedynie kolejny niezrozumiały bełkot.

Rhinemann, nie puszczając jego łokcia, pchnął Pearsona w stronę obrotowych drzwi.

– Idziemy, przyjacielu – oświadczył dziwnie łagodnym tonem. – Zaczyna padać na dobre. Jeśli będziemy tu dłużej sterczeć, zwrócimy na siebie uwagę, a ludzie na naszych stanowiskach nie mogą sobie na to pozwolić.

Pearson w pierwszej chwili ruszył posłusznie za Murzynem, ale gdy naszło go wspomnienie owych pulsujących żył na głowie stwora, cały aż zwinął się w środku. Owo wspomnienie sprawiło, że tuż przed drzwiami zatrzymał się jak wryty. Gładkie płyty, którymi wyłożony był plac, kompletnie już mokre, odbijały drugiego Brandona Pearsona i odbicie to ciągnęło się od stóp mężczyzny niczym innego koloru nietoperz.

– Nie... nie wiem, czy potrafię tam wejść – wydukał drżącym, urywanym głosem.

– Potrafi pan – odparł Rhinemann i zerknął na lewą dłoń Pearsona. – Widzę, że jest pan żonaty... czy ma pan dzieci?

– Jedno. Córkę. – Pearson popatrzył w stronę kularów banku.

Szyby w obrotowych drzwiach były polaryzowane i obszerne pomieszczenie wewnątrz sprawiało wrażenie spowitego mrokiem. Jak pieczara – pomyślał Pearson. – Pieczara wypełniona na wpół ślepymi nietoperzami roznoszącymi choroby.

– Czy chce pan, aby pańska żona i dzieciak przeczytali w jutrzejszych gazetach, że policja wydobyła w porcie bostońskim ich męża i tatę z podejrzanym gardłem?

Pearson popatrzył na Rhinemanna rozszerzonymi oczyma. Krople deszczu spadały mu na policzki i czoło.

– Zrobią to tak, żeby wyglądało na robotę ćpunów – ciągnął Rhinemann. – To skutkuje. To zawsze skutkuje. Oni są cwani, a ponadto mają wysoko postawionych przyjaciół. Do diabła, oni są urodzeni do zajmowania wysokich stanowisk.

– Nie rozumiem – powiedział Pearson. – Nic z tego nie rozumiem.

– Wiem, że nie – odpalił Rhinemann. – Jest pan chwilowo w opałach i to właśnie pragnę panu uświadomić. Dobrze radzę, proszę wracać do swego

i przetrwać ten dzień z uśmiechem na ustach. Uśmiechaj się, mój przyjacielu, szeroko się uśmiechaj, choćbyś nie wiadomo jak paskudnie czuł się w środku... – Zawahał się i dodał: – Jeśli schrzani pan sprawę, nie damę trzech centów za pańskie życie.

Krople deszczu ściekały po młodej, gładkiej, ciemnej twarzy i do Pearsona dotarło nagle to, co dotąd nie docierało dlatego, że nie wyszedł jeszcze całkowicie z szoku: człowiek, którego miał przed sobą, był przerażony, człowiek ten ryzykował bardzo wiele, żeby uchronić Pearsona przed wejściem w pułapkę.

– Naprawdę nie mogę tu zostać ani chwili dłużej – oświadczył Rhinemann. – To niebezpieczne.

– W porządku – powiedział Pearson zdumiony tym, że ma spokojny, normalny głos. – Wracajmy do pracy.

Na twarzy Rhinemanna pojawiła się ulga.

– Mądrze. I bez względu na to, co pana dziś jeszcze spotka lub co pan zobaczy, proszę nie okazywać zdziwienia. Jasne?

– Tak – odrzekł Pearson, choć nic nie było dla niego jasne.

– Czy może pan skończyć dziś urzędowanie trochę wcześniej i wyjść z pracy około trzeciej?

Pearson zastanawiał się chwilę, po czym skinął głową.

– Tak. Chyba tak.

– Świetnie. Spotkajmy się na rogu Milk Street.

– W porządku.

– Dobrze robisz, człowieku – oświadczył Rhinemann.

– Wszystko się ułoży. Do zobaczenia o trzeciej.

Wszedł w obrotowe drzwi i pchnął je. Pearson wkroczył w następny przedział, czując, że tam, na placu zostawił jakąś część swego umysłu... zostawił wszystko poza jednym: chęcią zapalenia następnego papierosa.

Dzień włókł się niemiłosiernie, ale wszystko było w jak najlepszym porządku aż do chwili, gdy wracał z lunchu (i po dwóch wypalonych papierosach), który zjadł w towarzystwie Tima Flandersa. Wysiedli z windy na drugim piętrze

i pierwsze, co Pearson ujrzał, to kolejnego batmana... z tym tylko, że tym razem batmana-kobietę. Na nogach miała szpilki z czarnej lakierowanej skóry, czarne nylonowe pończochy i niebywale elegancką, jedwabną sukienkę... od Samuela Blue – pomyślał Pearson. Wspaniały strój... dopóki nie popatrzyło się na głowę jego właścicielki, chwiejącą się niczym zmutowany słońceznik.

– Cześć, panowie – wydobył się słodki kontralt z przypominającego zajęczą wargę otworu, który był ustami.

Suzan Holding – pomyślał Pearson. – To nie może być prawda, ale tak właśnie dokładnie jest.

– Cześć, Suzy, kochanie – usłyszał własny głos i pomyślał: Jeśli się do mnie zbliży... jeśli spróbuje mnie dotknąć... będę wrzeszczał. Nie zdołam się powstrzymać, bez względu na to, co mi tamten chłopak powiedział.

– Brand, czy dobrze się czujesz? Jesteś blady.

– Dasz buziaka, a od razu wrócę do normy – odparł zdumiony spokojem, z jakim wypowiedział te słowa.

– Doskonale – odrzekła Suzanne Holding z za nietoperzej twarzy i osobliwego, ruchliwego mięsa. – Ale żadnych pocałunków z języczkiem, dopóki nie poczujesz się lepiej. Tak naprawdę, to nawet nie waż się na mnie chuchać. Do środy, kiedy pojawią się ci Japończycy, nie mogę pozwolić sobie na żadną chorobę.

To nie problem, słońeczko... naprawdę, uwierz mi.

– Postaram się jakoś wytrzymać.

– Dzięki, Tim, możesz wpaść do mojego biura i rzucić okiem na dwa wyciągi komputerowe?

Timmy Flanders objął ją w pasie, kładąc dłoń na wyszukanej, seksownej sukience od Samuela Blue i Pearson szeroko rozwartymi oczyma ujrzał, jak Tim pochyła się, po czym całuje lekko, z boku, pobrużdżoną nowotworami, porośniętą szczeciną twarz stworza. A więc to w tym miejscu Timmy widzi jej policzek – pomyślał Pearson i w jednej chwili zaczął opuszczać go cały zdrowy rozsądek, jak nasmarowany tłuszczem kabel ześlizgujący się ze szpuli wyciągarki. Gładki, wyperfumowany policzek – błysnęło Pearsonowi w głowie. – Oto co widzi... w porządku, myśli, że właśnie całuje ją w policzek. Och, mój Boże! Och,

mój Boże!

– Proszę! – Timmy zgiął się w szarmanckim ukłonie przed stworem. – Jeden całus i jestem cały twój, droga pani!

Puścił do Pearsona oko i poprowadził potwora w kierunku jego biura. Kiedy mijali maleńką fontannę z wodą pitną, zabrał rękę z talii Suzanne Holding. Krótki, pozbawiony znaczenia taniec godowy pawia przed pawicą – gest, który przez ostatnich dziesięć lat stał się rytuałem w stosunkach panujących między kobietą-szefem a podwładnym-mężczyzną – został odegrany i teraz już jako przedstawiciele równorzędnych płci oddalali się od Pearsona, rozmawiając wyłącznie o liczbach.

Genialna analiza, Brand – pomyślał szaleńczo Pearson i odwrócił się na pięcie. – Powinieneś być zostać socjologiem. I rzeczywiście o mało nim nie został; ten właśnie kierunek wybrał sobie w college’u.

Kiedy wkroczył do swego biura, skonstatował, że lepi się od potu. Socjologia wywietrzała mu z głowy. Oczekując godziny trzeciej, zagłębił się w papierach.

Za kwadrans trzecia opuścił biuro i wsunął głowę do gabinetu Suzanne Holding. Obcy asteroid, jakim była jej głowa, pochylał się nad siwoniebieskim ekranem komputera; gdy zapukał, popatrzyła w stronę drzwi. Skóra na jej dziwacznej twarzy nieustannie się ślizgała, czarne oczy spoglądały łakomie jak ślepie rekina obserwujące nogi pływaka.

– Przekazałem Buzzowi Carstairsowi formularze siódemki – poinformował Pearson. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zabiorę do domu indywidualne dziewiątki. Mam to u siebie na twardym dysku.

– Próbujesz nieśmiało powiedzieć, że zamierzasz cichcem wyjść z pracy? – spytała Suzanne.

Czarne żyły na szczycie jej czaszki pulsowały obrzydliwie, guzy drgały i Pearson uświadomił sobie, że z jednego wycieka gęsta, różowawa substancja przypominająca krem do golenia wymieszany z krwią.

– Złapałaś mnie – odparł z lekkim uśmiechem.

– Dobrze – stwierdziła. – Bardzo dobrze. Cóż, orgietka, którą planujemy na

czwartą, odbędzie się dziś bez ciebie.

– Dziękuję, Suze – powiedział i odwrócił się.

– Brand?

Ponownie odwrócił się w jej stronę. Strach i odraza przeszły w panikę. Pearson nabrał nagle absolutnej pewności, że owe drapieżne czarne oczy przejrzały go na wylot i udający Suzanne Holding stwór za chwilę powie: „Dostyc już tej zabawy. Chodź tu i zamknij za sobą drzwi. Zobaczymy, czy smakujesz równie dobrze jak wyglądasz”.

Rhinemann poczeka, po czym samotnie uda się tam, dokąd zamierza się udać. Być może – rozważał gorączkowo Pearson – domyśli się wszystkiego. Być może już był kiedyś świadkiem podobnego zdarzenia.

– Tak? – zapytał, siląc się na uśmiech.

Przez chwilę taksowała go w milczeniu wzrokiem, groteskowa bulwa jej głowy widniała nad seksowną sylwetką jego szefowej, po czym przemówiła:

– Wyglądasz już dużo, dużo lepiej.

Gębę miała lekko rozwartą, czarne oczy nieustannie gapiły się na Pearsona wzrokiem szmacianej lalki Raggedy Ann o malowanej twarzy bez wyrazu, ciśniętej pod dziecinne łóżeczko, ale Pearson wiedział, że wszyscy inni widzieliby jedynie Suzanne Holding, uśmiechającą się do podwładnego uroczo i z odrobiną troski. Niekoniecznie jak matka Courage, lecz z niepokojem i wyraźnym zainteresowaniem.

– Lepiej – przyznał i doszedł do wniosku, że to zbyt słabe określenie. – Czuję się wspaniale.

– Cóż, pozostaje ci jeszcze tylko rzucić palenie.

– Próbuję – odparł z bladym uśmiechem.

Naoliwiony kabel w jego umyśle znów zaczął ześlizgiwać się ze szpuli. Pozwól już mi odejść – modlił się w duchu. – Daj mi, kurwo, odejść, zanim zrobię jakąś głupotę.

– Jeśli rzucisz papierosy, natychmiast odbije się to korzystnie na twojej polisie ubezpieczeniowej – oświadczył potwór.

Z cichym, obrzydliwym mlaśnięciem otworzyła się kolejna nowotworowa na-

rośl i zaczęła z niej wyciekać owa różowawa maź.

– Tak, wiem o tym – przyznał Pearson. – Poważnie tę sprawę przemyśle, Suzanne. Obiecuję.

– Tak, tak, zrób to – powiedziała i odwróciła się do ekranu komputera.

Pearsona ogarnęło zdumienie, nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Rozmowa była skończona.

Kiedy Pearson opuścił budynek, ciągle padało. Ludzie Godziny Dziesiątej – teraz naturalnie stali się już Ludźmi Godziny Piętnastej, ale poza tym nie zaszły w ich zachowaniu żadne istotne zmiany – stali przed budynkiem, gromadzili się jak stado owiec i robili to co zawsze. Ślicznotka W Czerwonej Spódnicy i odźwierny, który lubił nakładać czapkę tył do przodu, kryli się w podcieniach redakcji *Boston Globe*. Wyglądali żałośnie, byli zmoczeni, ale mimo to Pearson zazdrościł odźwiernemu. Ślicznotka W Czerwonej Spódnicy pachniała perfumami Giorgio; przekonał się o tym kilka razy, gdy jechał z nią windą. I naturalnie, kiedy się poruszała, wydawała cichy, jedwabisty szelest.

O czym ty, do licha, myślisz? – zapytał surowo samego siebie i sam sobie natychmiast odpowiedział: Myślę o tym, żeby zachować zdrowe zmysły. Pasuje?

Duke Rhinemann stał pod markizą rozpostartą nad wejściem do kwaciarni, tuż za rogiem. Miał przygarbione plecy, a w kąciku ust papierosa. Pearson dołączył do niego. Zerknął na zegarek, po czym przeniósł wzrok na tkwiącego w ustach Murzyna winstona.

– Moja szefowa jest jednym z nich – poinformował natychmiast Duke’a. – Chyba że Douglas Keefer lubi przebierać się w damskie ciuchy.

Rhinemann rozejrzał się z dziwnym wyrazem twarzy, ale nic nie odpowiedział.

– Mówił pan, że jest jeszcze trzech innych. Którzy?

– Donald Fine. Prawdopodobnie pan go nie zna... pracuje w ochronie. I Carl Grosbeck.

– Carl... Przewodniczący rady? Jezu!

– Mówiłem panu – powiedział Rhinemann. – Te typki są stworzone do zajmo-

wania wysokich stanowisk... Ej, taksówka!

Wybiegł spod markizy i machnął ręką na kasztanowo-biały pojazd, który w to deszczowe popołudnie jakimś przedziwnym zrządzeniem losu okazał się wolny. Samochód skierował się w ich stronę, rozpryskując fontanny wody z kół. Rhinemann zgrabnie podbiegł do taksówki, ale Pearson kompletnie przemoczył sobie buty i mankiety spodni. Jednak w tym stanie ducha, w jakim się znajdował, nawet nie zwrócił na to uwagi. Otworzył drzwi i przepuścił przodem Rhinemanna, który wślizgnął się do kabiny i skulił na fotelu. Pearson wsiadł za nim i zatrzasnął drzwi.

– Do pubu Gallaghera – poleciał Rhinemann. – To dokładnie naprzeciwko...

– Wiem, gdzie jest Gallagher – odparł kierowca – ale nigdzie nie pojedziemy, dopóki nie wyrzucisz, przyjacielu, tej rakotwórczej rurki. – Stuknął palcem w nalepkę na taksometrze.

W TEJ BRYCZCE NIE PALIMY – głosił napis.

Obaj mężczyźni wymienili spojrzenia i Rhinemann wzruszył ramionami, częściowo z zakłopotaniem, częściowo z urazą i politowaniem, co od mniej więcej tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku było rytualnym gestem w plemienu Ludzi Godziny Dziesiątej. Następnie, bez słowa protestu, wyrzucił na deszcz ćwiartkę winstona.

Pearson zaczął opowiadać Rhinemannowi o wstrząsie, jakiego doznał, gdy otworzyły się drzwi windy i po raz pierwszy dokładnie przyjrzał się prawdziwej Suzanne Holding. Rhinemann jednak zmarszczył brwi, potrząsnął szybko głową i wskazał kciukiem kierowcę.

– Porozmawiamy później – oświadczył.

Pearson zamilkł i zajął się obserwacją zmywanych deszczem wieżowców w centrum Bostonu. Doszedł do wniosku, że jego nastrój idealnie harmonizuje z małym ruchem ulicznym, jaki panował za zalewanymi deszczem szybami taksówki. Szczególne zainteresowanie budziły w nim niewielkie grupki Ludzi Godziny Dziesiątej, które obserwował przed każdym mijanym biurowcem.

Niezależnie od tego, czy stali pod jakimś zadaszeniem, czy nie, robili to

samo: kulili się, stawiali kołnierze i palili, osłaniając dłońmi papierosy. Pearsonowi przyszło do głowy, że w co najmniej dziewięćdziesięciu procentach eleganckich wieżowców w śródmieściu nie ma nawet palarni, podobnie jak w banku, gdzie pracował on i Rhinemann. Później dotarło do niego (myśl ta spadła nań niczym objawienie), że Ludzie Godziny Dziesiątej tak naprawdę nie stanowią żadnego nowego plemienia, lecz jedynie niedobitki dawnego – renegatów uciekających przed nową miotłą, która próbowała wymieść stary, paskudny obyczaj za próg życia Ameryki. Jednoczącą ich cechą była niechęć czy też niemożność zaprzestania zadawania sobie śmierci; stanowili śmieci w nieustannie kurczącej się strefie cienia akceptowalności. Egzotyczna grupa społeczna, której nie był sądzony długi żywot. Podejrzewał, że do roku dwa tysiące dwudziestego, najwyżej do pięćdziesiątego, Ludzie Godziny Dziesiątej przeminą, jak przeminęły ptaki dodo.

Cholera jasna, zastanów się tylko chwilę – pomyślał.

– Jesteśmy po prostu ostatnimi na świecie niepoprawnymi optymistami, to wszystko. Większość z nas nie zapina również pasów bezpieczeństwa, uwielbiamy też zasiadać na meczach baseballowych tuż za bazą domową, jeśli nawet zdjęto te cholerne siatki ochronne.

– Panie Pearson, co pana tak rozśmieszyło? – zapytał Rhinemann i Pearson uświadomił sobie, że na twarzy gości mu szeroki uśmiech.

– Nic – odparł. – W każdym razie nic ważnego.

– Dobrze, tylko niech pan nie robi ze mnie balona.

– Czy potraktuje pan to jak robienie z pana balona, jeśli poproszę, żeby pan mówił mi Brandon?

– Chyba nie – odparł Rhinemann i przybrał taką minę, jakby rozważał propozycję. – Nie, jeśli tylko będziesz mówił mi Duke i nie zniżymy się do tego, żeby zwracać się do siebie per „koleś”, „stary byku” albo w jakiś inny, żenujący sposób.

– Zapewniam cię, że ci to nie grozi. Chcesz się o czymś dowiedzieć?

– Jasne.

– To był najbardziej zdumiewający dzień w moim życiu.

Duke Rhinemann skinął głową i stwierdził bez uśmiechu:

– A co więcej, wcale się jeszcze nie skończył.

2

Pearson pomyślał, że Duke specjalnie wybrał pub Gallaghera, ponieważ jak na warunki bostońskie lokal ten stanowił wyraźną anomalię. Był to raczej pseudokowbojski bar niż przytulny pub; wymarzone miejsce dla dwóch pracowników banku, którzy zamierzali w cztery oczy poważnie przedyskutować problem. Gdyby opowiedzieli o nim znajomym, ci zwątpiliby w ich zdrowe zmysły. W lokalu znajdował się najdłuższy szynkwas, jaki kiedykolwiek Pearson widział w życiu, otaczający rozległy kwadratowy lśniący parkiet taneczny, gdzie w takt piosenki *This One's Gonna Hurt You* w wykonaniu Marty Stuart i Trvisa Tritta tuliły się właśnie sennie trzy pary.

W jakimś mniejszym lokaliku bar byłby zatłoczony, ale tutaj klienci mieli tyle miejsca przy tym szynkwasie wzbudzającym zdumienie swą długością, wyłożonym mahoniem z mosiężnymi okuciami na krawędziach, że każdy mógł znaleźć sobie odrobinę prywatności. Tak zatem Pearson i Rhinemann nie musieli siadać przy stoliku w jednej z łóż znajdujących się w mrocznej, dolnej części sali. Bardzo łatwo było wyobrazić sobie batmana, a nawet parkę batmanów, które usiadłszy (a może tylko przycupnąwszy) za przepierzeniem sąsiedniej łoży, podsłuchałyby ich rozmowę.

Chłopie, czy nie nazywa się to przypadkiem paranoją? – pomyślał Pearson. – Chyba ci już do niej bardzo blisko.

Tak, chyba blisko – dodał w duchu. Ale w tej chwili ten problem interesował go najmniej. Był po prostu zadowolony, że będzie mógł swobodnie obserwować otoczenie w czasie rozmowy... a raczej, jak podejrzewał, w czasie, kiedy będzie mówił Duke.

– Pasuje ci ten bar? – zapytał Rhinemann, a Pearson skinął głową.

Wygląda to jak jeden bar – nasza Pearsona refleksja, kiedy przechodził za Duke'em pod tablicą z napisem: PALIMY TYLKO W TEJ CZĘŚCI SALI – ale tak naprawdę są to dwa lokale... jak w latach pięćdziesiątych, kiedy to każdy bar

poniżej linii Masona-Dixona stanowił właściwie dwa; jeden dla białych, drugi dla czarnych. A tutaj, jak w tamtych latach, również były to dwa bary. W części dla niepalących przed szynkwasem stał wielki sony o ekranie prawie tak dużym jak kinowy. W nikotynowym getcie wisiał zawieszony na hakach wbitych w ścianę stary zenith (obok niego widniał napis: TY MASZ PRAWO PROSIĆ O KREDYT, MY MAMY PRAWO POWIEDZIEĆ WY!!!!!!LAJ!). W tej części sali było znacznie bardziej brudno; w pierwszej chwili nawet Pearson sądził, że coś mu się tylko przewidziało. Po bliższej jednak lustracji spostrzegł, że drewno kontuaru jest odrapane i wyblakłe, pełne okrągłych śladów – Upiorów Dawnych Kufli. No i naturalnie wszystko przesączał zapach zastarzałego dymu papierosowego. Pearson przysiągłby, że kiedy usiadł na barowym stołku obitym grubym materiałem, poduszka pierdnęła kurzem, jak fotele w podręcznym kinie pierdzą kawałeczkami rozsypanego przez widzów popcornu. W telewizorze o ekranie pokrytym warstwą nikotyny lektor miał twarz siną jak konający; ten sam facet, występujący przed zdrową częścią widzów w drugim końcu baru sprawiał wrażenie kogoś, kto w każdej chwili jest gotów przebiec dystans czterystu czterdziestu jardów, a następnie z werwą zająć się jakąś ognistą blondynką.

Witamy w tylnej części autobusu – pomyślał Pearson spoglądając z pełnym złości rozbawieniem na swego kompana, również należącego do Ludzi Godziny Dziesiątej. – Ale i tak nie masz na co się skarżyć – ciągnął ów wewnętrzny monolog.

– Za dziesięć lat palacze w ogóle nie będą wpuszczani do lokalu.

– Papieroska? – zapytał Duke, ujawniając szczątkowy talent do czytania w umysłach innych.

Pearson popatrzył na zegarek, po czym wziął papierosa i odpalił go od tandetnej zapalniczki Duke'a. Zaciągnął się głęboko, rozkoszując się lekkim zawrotem głowy, kiedy dym wszedł mu do płuc. Oczywiście, nałóg był groźny, zapewne nawet śmiertelny; bo jak inaczej potrafiłby tak bardzo człowieka wciągnąć? Ale taka już widać kolej rzeczy, to wszystko.

– A ty? – zapytał Duke'a, gdy ten schował paczkę do kieszeni.

– Zapalę później – odparł z uśmiechem Duke. – Wziąłem kilka machów, kiedy czekaliśmy na taksówkę. Ponadto muszę wyrównać dług, jaki zaciągnąłem po lunchu.

– Ograniczasz palenie?

– Tak. Zazwyczaj wtedy pozwalałam sobie na jednego, ale dzisiaj wypaliłem dwa. Wiesz, wystraszyłeś mnie jak jasna cholera.

– Sam miałem tęgiego pietra.

Zbliżył się barman, a Pearson z fascynacją obserwował, jak zgrabnie unika smug dymu unoszącego się z papierosa. Podejrzewam, że robi to całkiem podświadomie – pomyślał Brandon – ale gdybym dmuchnął mu dymem prosto w twarz, z całą pewnością wpadłby w furię i zdefasonował mi buzię.

– Czym mogę służyć, panowie?

Duke, nie pytając Pearsona o zdanie, zamówił dwa samy adamsy. Kiedy barman odszedł zrealizować zamówienie, odwrócił się do Brandona.

– Pij z umiarem. Nie jest to najlepszy czas, żeby się upić. Nie jest to też najlepszy czas, żeby być trzeźwym.

Pearson skinął głową, a kiedy pojawił się barman z piwami, położył na koncie banknot pięciodolarowy. Zaczepnął wielki łyk i zaciągnął się papierosem. Istnieją ludzie, którzy twierdzą, że papieros najlepiej smakuje pojedzeniu, ale Pearson nie zgadzał się z tą opinią. Jego zdaniem to nie jabłko spowodowało kłopoty na głowę Ewy, ale piwo i papieros.

– Co zastosowałeś? – zapytał Duke. – Plasterek? Hipnozę? Starą, dobrą, amerykańską silną wolę? Patrząc na ciebie, myślę, że plasterek.

Jeśli miała to być próba poprawienia Pearsonowi humoru, to zupełnie chybiła celu. Pearson tego popołudnia bardzo dużo myślał o paleniu.

– Tak, plasterek – odparł. – Ale po narodzinach mojej córeczki wytrzymałem tylko dwa lata. Gdy po raz pierwszy spojrzałem na nią przez szybę sali porodowej, postanowiłem rzucić palenie. To głupota, jeśli ktoś, kto wypala czterdzieści do pięćdziesięciu papierosów dziennie, składa nowo narodzonej istotce ludzkiej ślub, że nie będzie palił przez osiemnaście lat.

Natychmiast się w córeczce zakochałem – mógł dodać, ale podejrzewał, że

o tym już Duke doskonale wie.

– Nie wspominając o zobowiązaniu, że nigdy już nie zapalisz, jakie podjąłeś wobec żony – podpowiedział Duke.

– Tak, nie wspominając o żonie – zgodził się Pearson.

– Oraz o skłóconych braciach, bratowych, ściągających długi, podatnikach i wszystkich przyjaciółach z sądu.

Pearson wybuchnął śmiechem i kiwnął głową.

– Właśnie, załapałeś.

– Ale to nie jest takie łatwe, jak się mówi. Gdy o czwartej nad ranem nie można zasnąć, człowiek traci wszelką godność osobistą.

Pearson skrzywił się.

– Albo kiedy trzeba wejść na górę i wykonać kilka karkołomnych fikołków przed Grosbeckiem, Keeferem, Fine'em i resztą chłopaków z rady nadzorczej. Za pierwszym razem musiałem to zrobić bez wypalenia papierosa przed wejściem... Człowieku, to było trudne jak jasny gwint.

– Ale palenie rzuciłeś zupełnie; przynajmniej na jakiś czas.

Pearson popatrzył na Duke'a zdziwiony odrobinę jego wiedzą i skinął głową.

– Mniej więcej na sześć miesięcy. Ale w myślach nie rzuciłem nigdy, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

– Oczywiście, że rozumiem.

– Ostatecznie znów zacząłem popalać. Mniej więcej w dziewięćdziesiątym drugim, kiedy zaczęły krążyć opowieści o tym, że niektórzy, co noszą plasterki, a mimo to palą, umierają na zawał. Pamiętasz?

– Ba! – odparł Duke i postukał się w czoło. – Człowieku, mam tu całą kartotekę podobnych historyjek o palaczach. Palenie i choroba Alzheimera, palenie i wysokie ciśnienie, palenie i katarakta... znasz to wszystko, prawda?

– A więc miałem wybór – odrzekł Pearson. Uśmiechnął się lekko ze zdziwieniem; uśmiechem człowieka, który wie, że postępował jak dupa wołowa i że w dalszym ciągu postępuje jak dupa wołowa, ale nie ma najmniejszego pojęcia, dlaczego tak robi.

– Mogłem rzucić palenie albo rzucić plaster. Tak więc...

– Rzuciłem plaster! – dokończyli jednocześnie i wybuchnęli tak głośnym śmiechem, że siedzący w części dla niepalących klient o gładkim czole popatrzył na nich, zmarszczył brwi, po czym znów skupił uwagę na wiadomościach w telewizji kablowej.

– Życie to jeden wielki gówniany interes, prawda? – zapytał Duke, ciągle się śmiejąc, i zaczął grzebać w kieszeni kremowej marynarki.

Przerwał, kiedy ujrzał wyciągniętą w swoją stronę paczkę marlboro z wystającym z niej papierosem. Wymienili spojrzenia. Duke zdziwione, Pearson pełne pewności siebie, i ponownie wybuchnęli gromkim śmiechem. Facet o gładkim czole znów popatrzył na nich, tym razem z jeszcze bardziej zmarszczonymi brwiami, ale nie zwrócili na to najmniejszej uwagi. Duke przyjął ofiarowanego papierosa i zapalił. Wszystko trwało niecałe dziesięć sekund, ale wystarczyło, żeby w tej właśnie chwili ci dwaj mężczyźni zostali przyjaciółmi.

– Palilem jak lokomotywa od piętnastego roku życia do dziewięćdziesiątego pierwszego, kiedy się ożeniłem – powiedział Duke. – Matce bardzo się nie podobał mój nałóg, ale pogodziła się z nim, zadowolona, że przynajmniej nie zażywam ani nie handluję prochami, jak to robiła połowa dzieciaków z ulicy, przy której mieszkaliśmy... wiesz, mówię o Roxbury... i zanadto nie truła. Tydzień z naszego miodowego miesiąca spędziliśmy z Wendy na Hawajach, a pierwszego dnia po powrocie dostałem od niej prezent. – Duke zaciągnął się głęboko, a następnie wypuścił nosem dwie smugi dymu. – Wynałazła to chyba w wysyłkowym katalogu dla yuppie *Sharper Image*; a może w jakimś innym, nie pamiętam. Miało to taką śmieszna nazwę, ale zapomniałem już dokładnie jaką. Ja to nazwałem po prostu Śrubami Pawłowa²⁴. Ale kochałem Wendy jak wszyscy diabli i ciągle Kocham, więc potulnie przyjąłem prezent. Okazał się nie taki zły, jak myślałem. Wiesz, o jakim wynalazku mówię?

– Pewnie – odparł Pearson. – Brzęczyk. Sprawia, że między wypaleniem jednego papierosa i drugiego upływa trochę więcej czasu. Lisabeth, moja żona, kiedy była w ciąży z Jenny, bez przerwy mi o nim mówiła. I to z delikatnością spadającej z rusztowania taczki z cementem.

Duke kiwnął głową, uśmiechnął się, a kiedy mijał ich barman, wskazał palcem na puste kufle, poprosił o następną kolejkę i odwrócił się do Pearsona.

– Poza tym, że nie stosowałem plastra, lecz Śrubę Pawłowa, moja historia jest taka sama jak twoja. Dochodziłem już do punktu, gdzie maszynka wygrywała głównianą wersję *Freedom Chorus*, ale nałóg cały czas wypełzał na wierzch. Trudniej go zabić niż węża o dwóch sercach.

Barman przyniósł piwa. Tym razem zapłacił Duke i oświadczył:

– Muszę zadzwonić. Zajmie mi to najwyżej pięć minut.

– W porządku – powiedział Pearson.

Rozejrzał się, zobaczył, że barman ponownie wycofał się do względnie bezpiecznej części dla niepalących (związki zawodowe – pomyślał – do roku dwutysięcznego piątego wprowadzą instytucję dwóch barmanów; jednego dla palaczy, a drugiego dla niepalących) i ponownie odwrócił się do Duke'a.

– Myślałem, że mamy porozmawiać o batmanach – powiedział ściszym głosem.

Duke wbił w Pearsona spojrzenie ciemnobrązowych oczu i odparł:

– Rozmawialiśmy, człowieku. Rozmawialiśmy.

I zanim Pearson zdążył cokolwiek odrzec, Duke zniknął w mrocznych (choć prawie wcale nie było tam dymu) czeluściach pubu Gallaghera, zmierzając w stronę automatu telefonicznego.

Jego nieobecność trwała raczej dziesięć minut niż pięć i Pearson zastanawiał się właśnie, czy nie powinien pójść go poszukać, gdy jego uwagę przykuł program telewizyjny. Inny spiker mówił o kolejnej awanturze, jaką wszczął wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, sugerując w swoim przemówieniu na forum Stowarzyszenia Narodowej Edukacji, że należałoby raz jeszcze zweryfikować budżet części subsydiowanych przez rząd przedszkoli i zamknąć te, które się da.

Na ekranie pojawiły się migawki z jakiejś sali zebrań w Waszyngtonie. Kamera zarejestrowała najpierw całą salę, a następnie skierowała obiektyw na podium wiceprezydenta. Pearson zacisnął na krawędzi baru palce obu rąk tak sil-

nie, że aż mu kłykcie pobielają. Przypomniał sobie wypowiedziane tego ranka na placu słowa Duke'a: „Mają wysoko postawionych przyjaciół. Do diabła, oni są urodzeni do zajmowania wysokich stanowisk”.

– Nie mamy nic przeciwko amerykańskim matkom pracującym. – Na mównicy z niebieskim emblematem wiceprezydenta stał potwór o zniekształconej, nietoperzej twarzy.

– Nie mamy nic przeciw zasłużonym biedakom. Niemniej sędzimy...

Na ramieniu Pearsona spoczęła czyjaś dłoń i Brandon musiał z całych sił zagryźć wargi, żeby nie wrzasnąć. Obejrzał się i zobaczył przed sobą Duke'a. W młodym człowieku zaszła widoczna zmiana. Oczy mu błyszczały, a nad brwiami perlił się pot. Pearson pomyślał, że Duke wygląda tak, jakby wygrał w totalizatorze milion dolarów.

– Nigdy więcej nie rób mi takich kawałów – ostrzegł i wdrapujący się właśnie na barowy stołek Duke zamarł w bezruchu. – Myślałem, że umrę na serce ze strachu.

Zaskoczony Duke popatrzył w telewizor. Na jego twarzy pojawił się wyraz zrozumienia.

– Och, Jezu, przepraszam, Brandon. Ciągle zapominam, że zacząłeś ten film oglądać od środka.

– A co z prezydentem? – zapytał Pearson. Starał się mówić spokojnym, rzeczowym tonem i prawie mu się to udało. – Myślę, że tego dupka jakoś przeżyję, ale co z prezydentem? Czy on...

– Nie – odparł Duke, zawahał się i dodał: – W każdym razie jeszcze nie.

Pearson pochylił się w jego stronę, czując, że ponownie zaczynają drętwieć mu wargi.

– Co masz na myśli mówiąc: jeszcze nie? Co się dzieje, Duke? Czym oni są? Skąd się wzięli? Co robią i czego chcą?

– Powiem ci wszystko, co wiem – odparł Duke. – Ale najpierw chcę cię prosić, żebyś dziś wieczorem poszedł ze mną na małe spotkanie. Około szóstej. Odpowiada ci ta pora?

– Czy to ma związek z batmanami?

– Naturalnie.

Pearson zastanowił się.

– Zgoda. Ale przed tym zadzwonię do Lisabeth.

Duke wyraźnie się zaniepokoił.

– Ale nic nie wspominaj...

– Jasne, że nie. Powiem jej, że *La Belle Dame sans Merci* chce przejrzeć dokładnie drogocenne wydruki, zanim pokaże je Japończykom. Lisabeth spokojnie to kupi. Wie, że Holding szaleje przed przyjazdem naszych przyjaciół z drugiej strony Pacyfiku. Pasuje?

– Tak.

– Mnie też, ale czuję się trochę jak łgarz.

– Nie ma żadnego kręactwa w tym, że chcesz swoją żonę trzymać jak najdalej od nietoperzy. Nie zamierzam wcale zabierać cię, bracie, do burdelu.

– Mam nadzieję, że nie. A teraz mów.

– W porządku. Myślę, że opowieść zacznę od twoich papierosów.

Szafa grająca, która umilkła przed kilkoma minutami, zaczęła odtwarzać jakąś kiepską wersję złotego starocia Billy'ego Raya Cyrusa *Achy Breaky Heart*, a Pearson gapił się w oszołomieniu na Duke'a Rhinemanna. Otworzył usta, żeby zapytać, co mają jego papierosy do ceny kawy w San Diego, ale z ust nie wydobył mu się żaden dźwięk.

Żaden.

– Rzuciłeś... znów zacząłeś popalać... ale zdawałeś sobie sprawę z tego, że jeśli nie będziesz uważać, wrócisz do punktu, w którym byłeś miesiąc lub dwa wcześniej. Mam rację?

– Tak, ale nie rozumiem...

– Zrozumiesz. Po prostu trzymaj się mnie.

Duke wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wytarł nią czoło. Kiedy wrócił z budki telefonicznej, Pearson sądził, że Duke jest po prostu bardzo podekscytowany. I myślał tak do teraz. W tej chwili jednak uświadomił sobie coś jeszcze: że Duke był śmiertelnie wystraszony.

– W porządku.

– Ale w końcu udało ci się zawrzeć jakiś tam kompromis ze swoim nałogiem. Można to nazwać *modus vivendi*. Nie rzuciłeś palenia, ale zrozumiałeś, że na tym się świat nie kończy. To nie tak jak z kokainistą, który nie potrafi rzucić prochów, czy z pijaczkiem, co do końca życia będzie już doł berbeluchę. Palenie to paskudny nałóg, ale jest wiele miejsca między dwiema czy trzema paczkami dziennie a całkowitą abstynencją.

Pearson wpatrywał się w Duke'a tak szeroko rozwartymi oczyma, aż ten się uśmiechnął.

– Wcale nie czytam ci w myślach, jak może ci się wydawać. Po prostu obaj znamy ten problem od podszewki, prawda?

– Chyba tak – odparł zamyślonym tonem Pearson.

– Zapomniałem na chwilę, że obaj należymy do Ludzi Godziny Dziesiątej.

– My co?

Pearson wyjaśnił w kilku słowach, kim są Ludzie Godziny Dziesiątej. Opowiedział o ich plemiennych gestach (gorzkie spojrzenia na tabliczki z napisem PALENIE WZBRONIONE, cierpkie i pełne rezygnacji wzruszenie ramion, kiedy ktoś uprawniony mówi: „Proszę pana, proszę zgasić papierosa”), o plemiennych sakramentach (guma do żucia, lizaki, wykałaczki oraz naturalnie spray Binaca do płukania ust) i o plemiennych zaklęciach (najpowszechniejsze: „Od nowego roku kończę z tym na dobre”).

Duke słuchał z przejęciem, a kiedy Pearson skończył, powiedział:

– Jezu Chryste, Brandon! Odnalazłeś Zagubione Plemię Izraela! Popaprańcy zbłądzili, idąc za Joem Camelem!

Pearson wybuchnął śmiechem, narażając się na kolejne, pełne wyrzutu spojrzenie gościa o gładkim czole, siedzącego w części dla niepalących.

– Tak czy siak, pasuje – oświadczył Duke. – Chcę cię o coś zapytać... czy palisz przy dziecku?

– Skądże! – wykrzyknął Pearson.

– A przy żonie?

– Też nie... już nie.

– A kiedy ostatni raz sięgnąłeś po papierosa w restauracji?

Pearson zastanawiał się dłuższą chwilę i ze zdziwieniem uświadomił sobie, że nie pamięta. Ostatnio zawsze prosił o miejsce w części dla niepalących, nawet wtedy, gdy był sam, i odkładał zapalenie papierosa na później, kiedy już zje, zapłaci i opuści lokal. Czasy, kiedy palił między daniami, należały do odległej przeszłości.

– Ludzie Godziny Dziesiątej – odezwał się Duke, smakując te słowa. – Człowieku, podoba mi się to... podoba mi się, że mamy nazwę. Bo naprawdę czuję, że należę do szczególnego plemienia. Jest to...

Urwał gwałtownie i wyjrzał przez okno. Ulicą przechodził bostoński policjant i rozmawiał z piękną kobietą. Patrzyła na niego ze słodką mieszaniną podziwu i seksapilu, całkowicie nieświadoma, że tuż przed nosem ma czarne, taksujące oczy i lśniące, trójkątne kły.

– Jezu, widzisz – mruknął niskim głosem Pearson.

– Pewnie, że widzę – odparł Duke. – To też już staje się powszechne. Coraz bardziej powszechne z każdym upływającym dniem. – Umilkł na chwilę i zajrzał do opróżnionego do połowy kufła. Wydawało się, że z ogromnym fizycznym wysiłkiem otrząsa się z zadumy. – Bez względu na to, kim jeszcze jesteśmy – stwierdził – na pewno jesteśmy jedynymi ludźmi na tym przeklętym świecie, którzy ich widzą.

– Co, tylko palacze? – zapytał z niedowierzaniem Pearson. Rozumiał, że to Duke go tu przyprowadził, ale...

– Nie – wyjaśnił cierpliwie Duke. – Palacze ich nie widzą. Niepalący również. – Zmierzył Pearsona wzrokiem. – Widzą ich tylko tacy ludzie jak my, Brandon... ludzie, którzy nie należą do żadnej z tych grup.

– Tylko Ludzie Godziny Dziesiątej, tacy jak my.

Gdy w piętnaście minut później opuścili pub Gallaghery (Pearson zadzwonił uprzednio do żony i opowiedział jej zmyśloną historyjkę, obiecując jednocześnie, że wróci o dziesiątej), deszcz przeszedł w delikatną mżawkę i Duke zaproponował spacer. Nie zamierzali wcale przebyć na piechotę całej drogi do Cam-

bridge, dokąd się wybierali, ale chcieli pójść wystarczająco daleko, żeby Duke zdążył dokończyć opowieść. Ulice były prawie puste, nie musieli się cały czas czujnie rozglądać.

– Na swój dziwny sposób, jest to jak pierwszy orgazm – mówił Duke, kiedy szli otoczeni delikatną mgiełką w kierunku Charles River. – Jak raz się zdarzy, staje się już częścią twego życia. Tak samo z tym. Któregoś dnia procesy chemiczne w twoim mózgu doprowadzają do tego, że zaczynasz ich dostrzegać. Wiesz, zastanawiam się, ilu ludzi, widząc ich po raz pierwszy, pada trupem na miejscu ze strachu. Założę się, że wielu.

Pearson popatrzył na czerwoną plamę odbitych w mokrym asfalcie Boylston Street świateł ulicznych i przypomniał sobie wstrząs, jakiego doznał na widok batmana.

– Są tak odrażający. Tacy okropni. Sposób, w jaki skóra porusza się im wokół głów. Czy ktoś jest w stanie wyrazić to słowami?

Duke pokiwał głową.

– Zgadza się, dranie są wyjątkowo wstrętne. Wraciałem właśnie do domu w Milton czerwoną linią metra, kiedy zobaczyłem pierwszego. Stał na peronie stacji Park Street. Minęliśmy go. Dobrze, że byłem w kolejce, która natychmiast odjechała, bo zacząłem wrzeszczeć.

– I co było później?

Uśmiech Duke'a przeszedł w grymas zażenowania.

– Ludzie popatrzyli na mnie, a potem szybko poodwracali głowy. Wiesz, jak to jest w mieście. Na każdym rogu spotkasz świra, który wykrzykuje o tym, że Jezus kocha plastikowe naczynia kuchenne Tupperware.

Pearson przytaknął. Dobrze znał to miasto; a raczej sądził tak do tego dnia.

– Siedzący obok rudowłosa dryblas z milionem piegów na twarzy chwycił mnie za łokieć, identycznie jak ja złapałem cię dziś rano. Nazywa się Robbie Delray. Jest malarzem pokojowym. Poznasz go dziś wieczorem w „Kate’s”.

– Co to takiego „Kate’s”?

– Specjalistyczna księgarnia w Cambridge. Sprzedają w niej kryminały. Spotykamy się tam raz lub dwa razy w tygodniu. To dobre miejsce. I w większości

dobrzy ludzie. Sam zobaczysz. Tak czy owak, Robbie chwycił mnie za łokieć i powiedział: „Wcale nie oszalałeś. Ja też go widziałem. To coś istnieje naprawdę... To batman”.

– Tak – odparł Pearson, wracając myślami do porannego zdarzenia.

Przystanęli na Storrow Drive, żeby przepuścić samochód cysterne, a następnie szybko przeszli przez pełną kałużę jezdni. Pearson na chwilę osłupiał na widok wymalowanego sprayem na tyle parkowej ławki ustawionej frontem do rzeki napisu: OBCY WYLĄDOWALI. ZJEDLIŚMY 2 JAKO DANIE MORSKIE.

– Miałem dużo szczęścia, że dziś rano akurat się przy mnie znalazłeś – oświadczył. – Miałem dużo szczęścia.

Duke pokiwał głową.

– Zgadza się, miałeś. Kiedy nietoperze dopieprzają facetowi, zdrowo go pieprzą. Po takiej maleńkiej hulance policja zbiera strzępy jegomościa do koszyka. Słyszałeś o takich przypadkach? Pearson skinął głową.

– Ale nikt nie wie, że ofiary łączy wspólna cecha: ograniczyły palenie do pięciu, dziesięciu papierosów dziennie. A to już szczególnie zbyt subtelny nawet dla FBI.

– Ale dlaczego nas zabijają? – zdziwił się Pearson. – Chodzi mi o to, że jeśli ktoś chodzi i rozgaduje wokół, że jego szef jest Marsjaninem, nikt nie wzywa Gwardii Narodowej. Facia po prostu ładują do czubów.

– Daj spokój, człowieku, bądź realistą – odrzekł Duke.

– Widziałeś przecież tych przyjemniaczków.

– Oni... to lubią?

– Tak, oni to lubią. Ale to stawianie wozu przed koniem. Są jak wilki, Brandon, niewidzialne wilki, które krążą w tę i w tę pośrodku stada owiec. A teraz powiedz mi, czego wilki chcą od owiec poza tym, że zabijanie owiec sprawia im przyjemność?

– No... o czym ty mówisz? – Pearson zniżył głos do szeptu.

– Twierdzisz, że nas zjadają?

– Pewne nasze części – odrzekł Duke. – Tak twierdził Robbie Delray tego dnia, gdy go spotkałem, i tak sądzi do dzisiaj większość z nas.

– To znaczy kto, Duke?

– Ludzie, do których cię prowadzę. Nie wszyscy będą, ale tym razem większość. Coś się szykuje. Coś dużego.

– Co?

W odpowiedzi Duke potrząsnął tylko głową i zapytał:

– Możemy już łapać taksówkę? Nie masz dosyć wilgoci? Pearson miał dosyć wilgoci, ale nie był jeszcze gotów wsiadać do taksówki. Spacer dodał mu animuszu... nie tylko spacer. Nie sądził, że jest w stanie powiedzieć o tym Duke'owi – w każdym razie jeszcze nie teraz – ale cała sytuacja miała również inny aspekt... romantyczny. Czuł się tak, jakby trafił prosto do jakiejś młodzieżowej powieści przygodowej, prawie wyobrażał sobie siebie jako dziewiętnastowiecznego badacza i handlarza, N.C. Wyetha. Popatrzył na aureole utkane z delikatnej mgiełki wokół ciągnących się szeregiem wzdłuż Storrow Drive ulicznych latarni i lekko się uśmiechnął. Szykuje się coś dużego – pomyślał.

– W naszej podziemnej bazie pojawił się z dobrą wieścią agent X-9... zlokalizowaliśmy źródło szukanej przez nas nietoperzej trucizny!

– Uwierz mi na słowo. Niebawem przestaniesz tak bardzo się tym ekscytować – powiedział sucho Duke.

Zaskoczony Pearson popatrzył na niego.

– Mniej więcej wtedy, kiedy wyłowią z przystani bostońskiej drugiego twojego przyjaciela, a on będzie miał tylko połowę głowy, zrozumiesz, że nie pojawi się żaden Tomek Swift, żeby pomóc ci pobielić ten cholerny płot.

– Tomek Sawyer – mruknął Pearson i otarł z twarzy krople deszczu.

Czuł, że się rumieni.

– Zżerają coś, co wytwarza nasz mózg. Może enzymy, a może wchłaniają jakieś szczególne fale elektryczne. Tak przynajmniej uważa Robby. Twierdzi, że może chodzi im o składnik, który pozwala nam, niektórym z nas, ich widzieć. Uważa, że jesteśmy dla nich tym, czym dla ogrodnika pomidory, które zrywa, gdy uzna, że już dojrzały. Wychowałem się w rodzinie baptystów i lubię rozwiązania proste. Nie jestem wsiowym prostakiem, ale sądzę, że oni wysysają nam dusze.

– Naprawdę? Nabierasz mnie, czy mówisz poważnie?

Duke się roześmiał, wzruszył ramionami, ale minę miał wojowniczą.

– Cholera, człowieku, sam nie wiem. Te rzeczy pojawiły się w moim życiu mniej więcej w tym samym czasie, gdy doszedłem do wniosku, że niebo jest wymysłem, a piekło ludzie tworzą sobie sami. Teraz znów mi się wszystko pochrzało. Ale to nie ma większego znaczenia. Ważne jest coś innego; ważne jest to, żebyś ani na chwilę nie zapominał, że mają wiele powodów, żeby nas zabijać. Przede wszystkim dlatego, że się nas boją, boją się tego, co robimy, boją się, że połączymy siły, zorganizujemy opór i spróbujemy ich zniszczyć...

Urwał, zamyślił się, po czym potrząsnął głową. Sprawiał wrażenie kogoś, kto próbuje przekonać samego siebie, próbuje ponownie odpowiedzieć na pytania, które nurtują go od bardzo dawna.

– Boją się? Nie wiem, czy dokładnie o to chodzi. Ale nie wykorzystują okazji. Ale wolą nie ryzykować. Co do tego nie ma wątpliwości. I jeszcze coś nie budzi moich wątpliwości. Nie potrafią pogodzić się z tym, że niektórzy z nas ich przestrzegają. Kurwa, nienawidzą nas za to. Złapaliśmy jednego, ale to tak, jak chwywanie huraganu w butelkę...

– Złapaliście jednego?

– Naprawdę – odparł Duke, przesyłając Pearsonowi twardy, niewesoły uśmiech. – Upolowaliśmy go na placu postojowym przy autostradzie I-95, niedaleko Newburyport. Było nas sześciu. Dowodził mój przyjaciel Robbie. Zawlekliśmy stwora na farmę i kiedy narkotyk, który mu zaaplikowaliśmy, przestał działać, a nastąpiło to bardzo szybko, próbowaliśmy wziąć go na spytki, żeby poznać odpowiedź na kilka pytań; dokładnie tych samych, jakie ty mi zadałeś. Ręce skuliśmy mu kajdankami, nogi spętaliśmy łańcuchem, a na dodatek tak obwiązaliśmy go nylonową linką, że wyglądał jak mumia. I wiesz, co najbardziej wryło mi się w pamięć?

Pearson potrząsnął głową. Wrażenie, że trafił na karty młodzieżowej powieści awanturniczej, zupełnie już go opuściło.

– Moment, kiedy się obudził – powiedział Duke. – Nie było to takie powolne

dochodzenie do siebie. W jednej sekundzie był kompletnie wyłączony, w następnej już w pełni świadomy obserwował nas tymi przerażającymi ślepiami. Ślepiami nietoperza. Jak wiesz, one mają oczy. Ludzie nie zawsze zdają sobie z tego sprawę. Gadanie o tym, że są ślepe, musi być dziełem ich agentów w środkach masowego przekazu. Nie odzywał się do nas. Nie bąknął nawet słowa. Sądzę, że wiedział, iż nie opuści już tej stodoły, ale też i nie okazywał najmniejszego strachu. I tylko ta nienawiść. Jezu, ta nienawiść w jego oczach!

– Co działo się dalej?

– Kajdanki rozerwał, jakby były z bibułki. Z łańcuchem poszło gorzej. Włożyliśmy mu długie, kowbojskie buty Long John, które można przybić do podłogi, ale jeśli idzie o nylonową linę... cóż, zaczął ją przegryzać na ramieniu. Zębiska, sam je widziałeś, radziły sobie z nią jak szczur ze szpagatem. Gapiliśmy się na to niczym cieleńta w malowane wrota. Nawet Robbie. Nie wierzyliśmy własnym oczom... a może stwór nas zahipnotyzował? Długo się później zastanawiałem, czy tak przypadkiem nie było. Dzięki Bogu, towarzyszył nam Lester Olson. Mieliśmy furgonetkę, Forda Econoline, którą ukradł Robbie z Moirą, i Lester dostał paranoi, że pojazd widać z szosy. Wyszedł więc, żeby sprawdzić, czy auto jest dobrze ukryte, a kiedy wrócił i zobaczył, że stwór jest już prawie wolny i ma tylko skrupowane stopy, trzykrotnie strzelił mu w łeb. Po prostu: *trach-trach-trach*.

Duke z zadumą pokiwał głową.

– Zabił go? – upewnił się Pearson. – Po prostu: *trach-trach-trach*?

Znów, jak rano na placu przed bankiem, odniósł wrażenie, że głos wydobywa mu się spoza ciała, i nagle naszła go straszna, lecz bardzo atrakcyjna refleksja: ludzie-nietoperze wcale nie istnieją. To tylko halucynacja, nic więcej. Niczym się to nie różni od zwidów, jakie miewają osoby, które podczas seansów narkotycznych zażywają meskalinę. A w przypadku Ludzi Godziny Dziesiątej halucynacje brały się po prostu ze zbyt małej ilości nikotyny w organizmie. Ludzie, do których prowadzi go Duke, pod wpływem tej wariackiej manii zamordowali co najmniej jednego, Bogu ducha winnego człowieka, i gotowi są zabijać dalej. I z pewnością zabiją, jeśli będą mieli wystarczająco dużo czasu. Jeśli w porę nie

ucieknie od tego oszalałego pracownika banku, sam stanie się współwinnym zbrodni. Osobiście widział już dwoje ludzi-nietoperzy... nie, troje, licząc policjanta; i jeszcze czwartego batmana, wiceprezydenta. Toż to czyste szaleństwo, żeby wiceprezydent Stanów Zjednoczonych...

Kiedy popatrzył na twarz Duke'a, pojął, że ten po raz trzeci czyta mu w myślach.

– Zaczynasz się zastanawiać, czy przypadkiem wszyscy nie dostaliśmy świra. Łącznie z tobą – stwierdził Duke. – Mam rację?

– Jasne – powiedział Pearson ostrzej, niż zamierzał.

– Oni znikają – odparł po prostu Duke. – Widziałem, jak zniknął ten ze stodoły.

– Co?

– Stał się przezroczysty, zamienił się w dym i zniknął. Wiem, że brzmi to jak bredzenie wariata, ale nie potrafię opowiedzieć ci tego tak, żebyś pojął całe szaleństwo tych chwil w stodole, kiedy staliśmy i patrzyliśmy, co się wyrabia.

Początkowo sądzisz, że to nie dzieje się naprawdę, mimo że patrzysz na to własnymi oczyma. Wydaje ci się, że śniesz albo oglądasz film pełen efektów specjalnych, taki jak stare „Gwiezdne wojny”. Później dociera do ciebie zmieszany zapach kurzu, siuśków i chili. Gryzie cię w oczy, sprawia, że chce ci się rzygać. Lester wyrzygał się, a Janet przez godzinę kichała. Oświadczyła, że tak zazwyczaj działa na nią zapach krostawca i kotów, od których dostaje alergicznego łupieżu. W końcu podszedłem do krzesła, do którego był przywiązany. Zostały liny, kajdanki i ubranie. Koszula ciągle była zapięta, a krawat zawiązany. Ostrożnie, jakbym się bał, że z gaci wyskoczy mu kutas i zmiążdży mi nos, rozpiąłem spodnie, ale w środku były tylko jego slipy. Zwyczajne białe slipy. To wszystko, ale i tak aż za dużo, ponieważ poza tym nie było nic. Powiem ci coś, bracie. Dopiero gdy zobaczysz puste ubranie, bez faceta w środku, dociera do człowieka cała dziwaczność zdarzenia.

– Zamienił się w dym i zniknął – powtórzył Pearson. – Jezu Chryste!

– Dokładnie tak. Pod sam koniec wyglądał jak to. – Wskazał wirujący wokół latarni kłęb wilgotnej mgły.

– A co stało się z... – Pearson urwał, nie wiedząc przez chwilę, jak sformułować pytanie. – Czy ogłoszono zaginięcie? Czy oni... – I nagle wiedział już, o co naprawdę chce zapytać.

– Duke, a gdzie się podział prawdziwy Douglas Keefer? I prawdziwa Suzanne Holding?

Duke potrząsnął głową.

– Nie wiem. Nie wiem nic poza tym, że na swój sposób prawdziwego Keefera widziałeś dziś rano. To samo dotyczy Suzanne Holding. Przypuszczamy, że głów, które widzimy, wcale tam nie ma, że nasze mózgi przekładają na wizualne wyobrażenia to, czym naprawdę są nietoperze, ich serca, ich dusze.

– Spirytualna telepatia?

Duke wyszczerzył zęby.

– Ładnie operujesz słowami, człowieku. Musisz porozmawiać z Lesterem. Jeśli idzie o ludzi-nietoperzy, jest prawie poetą.

Imię to zabrzmiało w umyśle Pearsona niczym wielki dzwon i po chwili namysłu Brandon wiedział już dlaczego.

– Czy to taki starszy gość z szopą siwych włosów? Wygląda trochę jak podstarzały rekin giełdowy z opery mydlanej?

Duke wybuchnął śmiechem.

– Tak, to Les.

Przez chwilę posuwali się w milczeniu. Po ich prawej stronie mistycznie falowała rzeka, a na drugim brzegu widzieli już światła Cambridge. Pearsonowi błysnęła myśl, że nigdy jeszcze nie widział Bostonu wyglądającego tak pięknie.

– Ludzie-nietoperze wchodzą jak mikroby, które wdychasz... – zaczął Pearson.

– Cóż, niektórzy tak to próbują tłumaczyć. Ale ja do tych osób nie należę. Posłuchaj, nie spotkasz batmana, który pracuje jako odźwierny, albo batmanki wykonującej zawód kelnerki. Oni kochają władzę i obracają się w najbliższym otoczeniu władzy. Czy słyszałeś o bakteriach, które atakują tylko bogaczy, Brandon?

– Nie.

– Ja też nie.

– A ci ludzie, z którymi mamy się spotkać... czy oni...

– Pearson był lekko rozbawiony tym, o co zamierzał zapytać. Nie był to wprawdzie zupełny powrót na karty młodzieżowej powieści, ale coś podobnego. – Czy są to bojownicy ruchu oporu?

Duke zastanawiał się chwilę, po czym skinął głową i jednocześnie wzruszył ramionami. Fascynujący gest, jakby jego ciało mówiło jednocześnie „tak” i „nie”.

– Jeszcze nie – odparł. – Ale po dzisiejszym spotkaniu może się nimi staną.

Zanim Pearson zdążył zapytać, co ma na myśli, Duke zoczył kolejną wolną taksówkę jadącą po drugiej stronie Storrow Drive i zszedł z krawężnika, żeby ją zatrzymać. Pojazd nieprzepisowo zawrócił i przystanął przy chodniku tuż przed nimi.

W taksówce, omijając temat ludzi-nietoperzy, rozmawiali o sporcie – o oszałamiających Red Soxach, zenujących w tym sezonie Patriotach i spadających w tabeli Celticach, lecz gdy wysiedli w Cambridge przed stojącym samotnie drewnianym domem, na którym wisiał szyld ozdobiony wizerunkiem czarnego kota z wyprężonym grzbietem i z napisem: KSIĘGARNIA KATE'S – KRYMINAŁY, Pearson wziął Duke'a Rhinemanna za ramię i powiedział:

– Chciałbym zadać ci jeszcze kilka pytań.

Duke zerknął na zegarek.

– Nie mamy czasu, Brandon. Obawiam się, że zbyt długo szliśmy piechotą.

– A więc tylko dwa.

– Chryste Nazareński, jesteś jak ten gość w telewizji, wiesz, taki w starym, brudnym prochowcu. Poza tym wydaje mi się, że nie umiałbym ci na nie odpowiedzieć. Wiem znacznie mniej, niż ci się wydaje.

– Kiedy się to zaczęło?

– Nie wiem, a stwór, któregośmy schwytali, nie chciał nic powiedzieć. Kwiatusek nie podał nam nawet swego imienia, nazwiska, stanowiska i numeru paszportu. Robbie Delray, o którym już ci wspominałem, swego pierwszego zo-

baczył trochę ponad pięć lat temu w Lhasa Apso na Boston Common. Twierdzi, że z każdym rokiem ich przybywa. W porównaniu z nami ciągle jest ich niewiele, ale ich liczba wzrasta... wykładnikowo?... czy to dobre słowo?

– Mam nadzieję, że nie – odparł Pearson. – W tym kontekście brzmi złowieszczo.

– Drugie pytanie, Brandon. Pośpiesz się.

– Co z innymi miastami? Czy tam też żyją nietoperze?

I ludzie, którzy ich dostrzegają? Czy coś o tym wiesz?

– Nie wiem. Mogą być na całym świecie, ale jestem przekonany, że tylko w Ameryce istnieje więcej niż garstka tych, którzy ich widzą.

– Dlaczego?

– Ponieważ tylko w tym kraju ludzie mają hopla na punkcie rzucania palenia... zapewne dlatego, że tylko tu ludzie wierzą, i to wierzą najgłębiej jak potrafią, że jeśli będą się odpowiednio odżywiać, jeśli będą zażywać odpowiednie witaminy, odpowiednio myśleć, będą wycierali tyłki odpowiednim papierem, będą żyli wiecznie i na wieczność zachowają potencję. Ale kiedy doszło już do palenia, linia frontu została przerwana i w wyniku tego pojawiła się hybryda. Innymi słowy, my.

– Ludzie Godziny Dziesiątej – podpowiedział z lekkim uśmiechem Pearson.

– Tak, Ludzie Godziny Dziesiątej. – Duke popatrzył nad ramieniem Pearsona.

– Moira! Cześć!

Pearson nie był szczególnie zaskoczony, gdy dotarł doń zapach perfum Giorgio. Obejrzał się i ujrzał Ślicznotkę W Czerwonej Spódnicy.

– Moira Richardson, a to jest Brandon Pearson.

– Cześć – powiedział Pearson i wyciągnął rękę. – Dział Kredytów, zgadza się?

– To tak, jakby śmieciarza nazwać technikiem sanitarnym – odpowiedziała z uroczym uśmiechem dziewczyna, a Pearson pomyślał, że jest to uśmiech, na widok którego mężczyzna, jeśli nie zachowa daleko idącej czujności, może zakochać się od pierwszego wejrzenia. – Tak naprawdę, to pracuję w dziale czeków kredytowych. Jeśli chcesz kupić, na przykład, nowe porsche, sprawdzam w rejestrach, czy jesteś człowiekiem godnym jazdy takim samochodem...

w sensie finansowym, oczywiście.

– Oczywiście – odrzekł Pearson i roześmiał się.

– Cam! – zawołała. – Chodź tu do nas!

Był to odzwierny, który mył podłogę w kiblach i lubił nakładać czapkę daszkiem do tyłu. W cywilnym ubraniu wyglądał na człowieka, którego iloraz inteligencji wynosi pięćdziesiąt, a aparycją zdradzał zdumiewające podobieństwo do włoskiej urody Armanda Assante. Pearson poczuł w sercu igiełkę zawiści, ale specjalnie się nie zdziwił, kiedy chłopak objął Moirę Richardson w ponętnej, szczupłej talii i złożył przelotny pocałunek na ponętnych ustach. Następnie odzwierny wyciągnął rękę do Pearsona.

– Cameron Stevens.

– Brandon Pearson.

– Miło mi tu pana widzieć – oświadczył Stevens. – Dziś rano myślałem, że padnie pan trupem.

– Ilu z was mnie obserwowało? – zainteresował się Pearson. Próbował odtworzyć sobie to, co działo się o dziesiątej rano na placu przed bankiem, i nieoczekiwanie pojął, że niewiele pamięta. Prawie wszystko spowijała mgła szoku, w jaki wpadł.

– Większość pracowników banku, którzy ich widzą – wtrąciła cicho Moira. – Ale to dobrze, panie Pearson...

– Mam na imię Brandon.

Kiwnęła głową.

– Nie robiliśmy nic, ale czekaliśmy, aż do nas dołączysz, Brandon. Chodźmy, Cam.

Śpiesznie weszli po schodkach na werandę niewielkiego, drewnianego budynku i zniknęli w środku. Nim zamknęły się za nimi drzwi, Pearson dostrzegł bijącą ze środka smugę światła. Odwrócił się do Duke'a.

– Czy naprawdę dzieje się naprawdę? – zapytał.

Duke popatrzył na niego ze współczuciem.

– Niestety tak... – Urwał i dodał: – Ale jedno jest w tym dobre.

– Naprawdę? Co takiego?

W wypełnionym mżawką mroku błysnęły białe zęby Duke'a.

– Czeka cię pierwsze od pięciu lat zebranie, na którym będziesz mógł palić do woli. Chodźmy do środka.

3

Rozległy przedsionek i znajdująca się za nim księgarnia pogrążone były w mroku; światło – a wraz z nim szmer ludzkich głosów – sączyło się od strony stromych, biegnących do podziemi schodów usytuowanych po lewej stronie pomieszczenia.

– Cóż, jesteśmy na miejscu – odezwał się Duke. – Cytując *Grateful Dead*, była to osobliwa podróż, prawda?

– Ażebyś wiedział – przyznał Pearson. – Czy ta Kate również jest Człowiekiem Godziny Dziesiątej?

– Właścicielka? Ależ skądże. Widziałem ją tylko dwa razy, lecz odnoszę nieodparte wrażenie, że ona w ogóle nie pali. A to miejsce wynalazł Robbie. Kate wie, że należymy do Bostońskiego Towarzystwa Najtwardszych Twardzieli.

Pearson uniósł brwi.

– Powtórz, proszę?

– Niewielka grupa zagorzałych miłośników Raymonda Chandlera, Dashiella Hammetta, Rossa Macdonalda i innych im podobnych, którzy raz albo dwa razy na tydzień spotykają się, żeby dyskutować o ich twórczości. Jeśli nie czytałeś tych książek, powinieneś to zrobić. Nie zaszkodzi się zabezpieczyć. Poza tym to wcale nie musi być przykre. Niektórzy z nich naprawdę pisali rewelacyjnie.

Zszedł za Duke'em po schodach – stopnie były zbyt wąskie, żeby mogli posuwać się obok siebie – i przekroczyli próg, wchodząc do jasno oświetlonej sutereny o niskiej powale. Pomieszczenie miało długość i szerokość całego stojącego powyżej drewnianego domu. W piwnicy zgromadzono około trzydziestu składanych krzesel, a przed ich frontem stały sztalugi zakryte niebieskim materiałem. Za sztalugami piętrzyły się kartony pochodzące z różnych wydawnictw. Pearsona rozbawił oprawiony w ramę portret zawieszony na ścianie po lewej

stronie, a pod nim napis: DASHIELL HAMMETT: W HOŁDZIE NASZEMU NIE-
ULEKŁEMU WODZOWI.

– Duke? – odezwała się kobieta po lewej stronie Pearsona.

– Dzięki Bogu... już myślałam, że przytrafiło ci się coś złego.

Tę osobę Pearson również rozpoznał: poważnie wyglądająca młoda kobieta w grubych okularach i z długimi, prostymi, czarnymi włosami. Tego wieczoru wyglądała jednak mniej nobliwie. Miała na sobie obcisłe, sprane džinsy i podkoszulek z napisem „Georgetown University”, pod który najwyraźniej nie włożyła stanika. Pearson pomyślał, że gdyby żona Duke’a zobaczyła, w jaki sposób ta młoda niewiasta spogląda na jej męża, wywlekłaby go zapewne z tej sutere-
ny za uszy, nie zwracając uwagi na wszystkich ludzi-nietoperzy na świecie.

– Nic mi się nie stało, kochanie – odparł. – Przyprowadziłem nowego wy-
znawcę naszej Świątyni Wydymania Nietoperza, to wszystko. Janet Brightwo-
od, Brandon Pearson.

Brandon uścisnął jej dłoń, myśląc: A, to ty wtedy kichałaś.

– Miło mi cię poznać, Brandon – stwierdziła i popatrzyła z uśmiechem na
Duke’a, który poczuł się trochę skrępowany siłą jej spojrzenia. – Czy wybierzemy
się później na kawę? – zapytała.

– Cóż... zobaczymy, kochanie, dobrze?

– Dobrze – odparła z uśmiechem, który mówił, że od trzech lat jest gotowa
pójść z Duke’em na kawę, ilekroć on będzie miał na to ochotę.

Co ja tu robię? – zadał sobie nagle w duchu pytanie Pearson.

– To kompletne szaleństwo... jak spotkanie anonimowych alkoholików u psy-
chiatry.

Członkowie Świątyni Wydymania Nietoperza sięgnęli po popielniczki, któ-
rych stos piętrzył się na jednym z kartonów, pozajmowali miejsca i z wyraźną
przyjemnością zapalili papierosy. Pearson wcześniej już obliczył, że jeśli nawet
wszyscy usiądą, zostanie kilka wolnych miejsc.

– Niebawem poznasz wszystkich – oświadczył Duke, prowadząc go do dwóch
krzesel na skraju ostatniego rzędu, daleko od miejsca, w którym Janet Brigh-
twood zajmowała się ekspresem do kawy. Pearson nie wiedział, czy stało się to

przypadkowo, czy nie. – Tu będzie ci wygodnie... uważaj tylko na kij do zamykania okien, Brandon.

Zakończona solidnym hakiem i służąca do otwierania i zamykania umieszczonych pod sufitem sutereny okien masywna tyczka stała oparta o pobieloną wapnem, ceglana ścianę. Pearson, kiedy zajmował miejsce, nieumyślnie potracił ją nogą. Duke złapał kij w ostatniej chwili, zanim metalowe okucie zdążyło zrobić komukolwiek krzywdę. Odstawił go ostrożnie, przeszedł między krzesłami i przyniósł Pearsonowi popielniczkę.

– Ty naprawdę czytasz w myślach – stwierdził z zadowoleniem Pearson i wyciągnął papierosa.

Palenie papierosa w tak dużej grupie ludzi powodowało dziwne (lecz raczej przyjemne) uczucie.

Duke również wyjął papierosa, a następnie wskazał kościstego, piegowatego mężczyznę, który stał obok sztalug. Piegus pochłonięty był rozmową z Lesterem Olsonem, tym, co w stodole Newburyport zrobił batmanowi *trach-trach-trach*.

– Ten rudowłosy to Robbie Delray – oświadczył Duke prawie z czcią. – Jeśli oglądasz w telewizji miniseriale, nie wpadłoby ci nigdy do głowy, że jest on Zbawcą Własnej Rasy. Ale tak właśnie jest.

Delray skinął głową Olsonowi, poklepał go po plecach i powiedział coś, na co siwowłosy mężczyzna się roześmiał. Później Olson wrócił na swoje miejsce w środku pierwszego rzędu, a Delray podszedł do zasłoniętych sztalug.

Wszystkie krzesła zostały pozajmowane, a nawet kilka osób stało w głębi pomieszczenia, nie opodal ekspresu do kawy. Nad głową Pearsona krzyżowały się rozmowy, ożywione, nieco nerwowe, niczym kule bilardowe po mocnym uderzeniu. Pod sufitem unosiła się już warstwa błękitnego, tytoniowego dymu.

Jeżu, to półwariaci – pomyślał Pearson. – Naprawdę półwariaci. Podobna atmosfera musiała panować w londyńskich schronach w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym podczas nalotów.

Odwrócił się do Duke'a.

– Z kim rozmawiałeś przez telefon? Kto ci powiedział, że szykuje się coś dużego?

– Janet – odparł Duke, nie patrząc w jego stronę.

Wyraziste brązowe oczy utkwił w Robbiego Delraya, który kiedyś ocalił go w czerwonej linii metra od utraty zdrowych zmysłów. Pearson odniósł wrażenie, że na twarzy Duke'a maluje się podziw i uwielbienie dla tego człowieka.

– Duke? Czy naprawdę pojawiło się dzisiaj tak dużo osób?

– Jak na nas, to tak. To najliczniejsze zebranie, w jakim brałem udział.

– Czy to dlatego jesteś tak zdenerwowany? Dlatego, że tylu was zebrało się w jednym miejscu?

– Nie – odrzekł prosto Duke. – Robbie przecież potrafi wyczuć nietoperze na odległość. On... ale cicho, zaczynamy.

Uśmiechnięty Robbie Delray uniósł ręce i rozmowy ucichły w jednej chwili. Pearson spostrzegł, że na wielu twarzach pojawił się taki sam wyraz uwielbienia, jaki malował się na obliczu Duke'a. Wszystkie wyrażały co najmniej szacunek.

– Dziękuję, że przyszliście – powiedział cicho Delray.

– Sądzę, że osiągnęliśmy to, na co niektórzy z nas czekali od czterech lub pięciu lat.

Słowa te wzbudziły spontaniczny aplauz. Delray czekał chwilę, wodząc po suterenie pełnym radości spojrzeniem. W końcu uniósł ręce, uciszając zebranych. Kiedy aplauz ucichł, Pearsona (który nie brał w nim udziału) ogarnęło nieprzyjemne uczucie niechęci i do przyjaciela i mentora. Podejrzewał, że w dużym stopniu brało się to z zazdrości – teraz, gdy Delray stał przed frontem audytorium, Duke Rhinemann najwyraźniej zapomniał o obecności Pearsona – ale nie tylko. W tych uniesionych rękach, w geście „proszę o ciszę”, było coś z samouwielbienia, coś z prawie nieuświadomianej, oślizłej pogardy polityka dla swych wyborców.

Och, daj spokój – zganił się w duchu. – Co ty możesz na ten temat wiedzieć!

To prawda, święta prawda – dodał w myślach, próbując wypchnąć z umysłu wstrętne podejrzenia i dać Delrayowi szansę; już choćby tylko ze względu na Duke'a.

– Zanim jednak przystąpimy do rzeczy – kontynuował Delray – chciałbym

wam przedstawić nowego członka naszej grupy, Brandona Pearsona z najmroczniejszych głębin Medford. Wstań na chwilę, Brandon, niech twoi nowi znajomi zobaczą, jak wyglądasz.

Zaskoczony Pearson popatrzył na Duke'a. Ten uśmiechnął się, wzruszył ramionami, a następnie trącił go w łokieć kantem dłoni.

– No, wstawaj! Przecież oni nie gryzą.

Pearson nie był tego wcale taki pewien. Niemniej podniósł się z krzesła, twarz miał gorącą, zbyt krępowała go obecność ludzi, którzy wyciągali szyje, żeby go sobie obejrzeć. A szczególnie był świadom uśmiechu na twarzy Lestera Olsona; uśmiechu, który podobnie jak jego włosy wydawał się zbyt olśniewający, żeby nie budzić podejrzeń.

Ludzie Godziny Dziesiątej zaczęli klaskać; z tym tylko, że tym razem owacja przeznaczona była dla niego, Brandona Pearsona, pracownika bankowego średniego szczebla, namiętnego palacza. I znów zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem w jakiś tajemniczy sposób nie trafił na spotkanie anonimowych czubów-alkoholików. Kiedy ponownie zajął miejsce na krześle, policzki miał krwistoczerwone.

– Spokojnie mogłem się obyć bez tego. Dzięki – mruknął do Duke'a.

– Rozluźnij się – odparł ciągle uśmiechnięty Murzyn. – Tak jest tutaj z każdym nowym członkiem. Człowieku, przecież ci się tu chyba podoba, prawda? W końcu mamy lata dziewięćdziesiąte.

– Zgoda, dziewięćdziesiąte, ale wcale mi się to nie podoba – odrzekł Pearson.

Serce biło mu stanowczo za mocno, a rumieńce z policzków nie chciały zejść. Czuł, że zapada się w siebie. Co to jest? – zastanawiał się. – Pali mnie całe ciało. Czy to rodzaj męskiego klimakterium? Co to, do licha, jest?

Robbie Delray pochylił się i odbył króciutką rozmowę z siedzącą obok Olsona brunetką w okularach, następnie zerknął na zegarek, podszedł do zakrytych sztalug i odwrócił się twarzą do widowni. Jego piegowata, szczerą twarz przypominała buzię chłopca, który w niedziele jest ministrantem, ale w pozostałe sześć dni tygodnia płata niewinne, psie figle: wrzuca koleżankom żaby za kołnierze, braciszкови-niemowlakowi dla kawału składa prześcieradło i inne tego

rodzaju psikusy.

– Dziękuję, przyjaciele – powiedział. – Witamy cię, Brandon, w naszym gronie.

Pearson mruknął, że jemu też jest bardzo miło, ale nie była to prawda. Co będzie, jeśli się okaże, że ci Ludzie Godziny Dziesiątej to banda zajadłych dupków New Age? Zapewne skończy się na tym, że zaczniesz traktować ich tak, jak traktuje większość gości zaproszonych do programu prowadzonego przez Oprah lub tych elegancko ubranych głupków z religijnego programu PTL-Club zanoszących hymny do Boga. Co wtedy?

Och, przestań – zmitygował się. – Przecież lubisz Duke’a, prawda?

Tak, lubił Duke’a i podejrzewał, że polubi też Moirę Richardson... kiedy przebiję się już przez powłokę erotycznego zafascynowania i dojrzy kryjącego się pod spodem człowieka. Niewątpliwie spotka tu wiele innych osób, które również przypadną mu do gustu. Nie miałyby nic przeciwko temu. No i przede wszystkim zapomniał, w każdym razie na chwilę, o powodach, dla których zebrali się w tej suterenie. Zapomniał o ludziach-nietoperzach. Gdy wziął pod uwagę to zagrożenie, wiedział, że zniesie nawet towarzystwo wyznawców New Age i innych durniów.

O tym był najgłębiej przekonany.

Dobrze! Doskonale! Siadaj, rozluźnij się i obserwuj rozwój wypadków!

Rozparł się na krześle, lecz skonstatował, że nie jest w stanie się odprężyć; w każdym razie nie całkowicie. Częściowo dlatego, że został przed chwilą wciągnięty do tej grupy, a częściowo dlatego, że serdecznie nie znosił takich wymuszonych przyjaźni. Z zasady ludzi, którzy bez pozwolenia zwracali się do niego po imieniu, zbywał krótko, traktując jak przypadkowych natrętów. Częściowo też...

Och, dosyć! Jeszcze nie rozumiesz? W zaistniałej sytuacji nie masz wyboru!

Przykra myśl, ale trudno było się z nią nie zgodzić. Tego ranka, gdy przypadkowo odwrócił głowę i zrozumiał, co naprawdę żyje w ubraniu Douglasa Keefeera, przekroczył linię. Zapewne podświadomie o tym wiedział, ale dopiero teraz, wieczorem, dotarło doń, jak krytyczna była ta linia i jak niewielka jest szansa,

że kiedykolwiek znów ją przekroczy, by ponownie trafić na jej bezpieczną stronę.

Nie, żadną miarą nie potrafił się odprężyć. W każdym razie jeszcze nie.

– Zanim przejdziemy do rzeczy, chciałbym wam wszystkim podziękować za gremialne stawienie się tutaj na tak lakoniczne wezwanie – oświadczył Robbie Delray. – Zdaję sobie sprawę, że czasami trudno jest tak nagle się wyrwać, nie wzbudzając podejrzeń bliskich, a czasami nawet związane z tym jest straszliwe niebezpieczeństwo. I nie sądzę, że będzie przesadą, jeśli powiem, że przeszliśmy razem bardzo dużo... wypłynęliśmy na głęboką wodę...

Jego słowa skwitował uprzejmy, stłumiony chichot słuchaczy. Większość z nich nie spuszczała wzroku z ust mówcy.

– ...a nikt nie wie lepiej ode mnie, jak trudno być jednym z tych niewielu ludzi, którzy znają prawdę. Od czasu, kiedy przed pięcioma laty ujrzałem swego pierwszego nietoperza...

Pearsona ogarnął niepokój, doznał uczucia, jakiego się nie spodziewał po tym wieczorze: znudzenia. Pełen najdziwaczniejszych zdarzeń dzień kończy wśród grupy ludzi zgromadzonych w piwnicy księgarni na słuchaniu piegowatego marlarza pokojowego, który gada w stylu przypominającym najgorsze mowy w Klubie Rotariańskim.

A jednak pozostali słuchali jego słów z nabożeństwem, a Pearson, żeby się w tym upewnić, ponownie rozejrzał się po sali. Źrenice Duke'a lśniły fascynacją. Takim wzrokiem Buddy, pies, którego Pearson miał jako dziecko, spoglądał na wyciąganą spod zlewu miskę z żarciem. Cameron Stevens i Moira Richardson siedzieli spleceni ramionami i śledzili Robbiego Delraya promiennym wzrokiem. To samo Janet Brightwood. To samo reszta małej grupy skupionej wokół ekspresu do kawy Bunn-O-Matic.

To samo każdy – myślał – z wyjątkiem mnie, Brandona Pearsona. No, koteczku, spróbuj jednak zapoznać się z programem.

A jednak nie potrafił i odnosił dziwaczne wrażenie, że Robbie też jest spięty. Pearson przestał ukradkowo rozglądać się po zebranych i ponownie popatrzył na Delraya, dokładnie w chwili, kiedy ten zerkał ukradkiem na zegarek. Pear-

son bardzo dobrze znał ten gest, tak charakterystyczny dla Ludzi Godziny Dziesiątej. Podejrzewał, że ten człowiek odmierza czas dzielący go od następnego papierosa.

W miarę jak Delray ciągnął tę przemowę bez związku, niektórzy ze słuchaczy również zaczęli przejawiać niejakie zniecierpliwienie. Pearson słyszał stłumione pokasływania i szuranie nóg. Ale Robbie, najwyraźniej tego nieświadom, ciągnął niezrażony i bez względu na to, czy był ich ukochanym przywódcą, czy nie, wszystko wskazywało na to, że tym razem odrobinę przesadził.

– ...tak więc zrobiliśmy wszystko, na co było nas stać – mówił. – Przyjmowaliśmy porażki najgodniej, jak potrafiliśmy, ukrywając łzy w sposób, w jaki czynią to bojownicy cichej wojny w nadziei, że kiedyś nadejdzie dzień, gdy będą mogli wyjść z cienia. My też...

...Jebut, kolejne szybkie spojrzenie na stare casio...

– ...pewnego dnia będziemy mogli podzielić się swoją wiedzą z mężczyznami i z kobietami, którzy patrzą, ale nie widzą.

Zbawca Własnej Rasy? – błysnęła Pearsonowi myśl. – Jezu, obroń nas! Ten facet gada bardziej jak Jesse Helms²⁵ trzymający w senacie przemowę, żeby grać na zwłokę. Zerknął na Duke'a i poczuł się pokrzepiony na duchu. Rhinemann słuchał wprawdzie z uwagą, ale też wiercił się już na krześle i wykazywał wyraźne oznaki wychodzenia z transu.

Pearson ponownie dotknął własnej twarzy; ciągle była gorąca. Przesunął palce na tętnicę szyjną i zbadał sobie puls. Krew cały czas bardzo szybko płynęła mu w żyłach. Nie był to wcale wynik zażenowania spowodowanego tym, że musiał wstać, a inni oglądali go jak Miss Ameryki; zebrani w suterenie chwilowo całkowicie zapomnieli o jego istnieniu. Nie, chodziło o coś całkiem innego, co było chyba jeszcze bardziej niemiłe.

– ...weszliśmy w to i tkwimy w tym po uszy, poruszamy nogami, nawet jeśli nie odpowiada nam muzyka... – ciągnął monotennie Delray.

Tak, czuję dokładnie to samo, to co na początku – powiedział do siebie Brand Pearson. – Od początku obawiałem się, że trafię do grupy osób, które podlegają wspólnym zabójczym halucynacjom.

– Nie, wcale nie – mruknął pod nosem i Duke odwrócił w jego stronę twarz. Uniósł brwi, ale Pearson w milczeniu potrząsnął głową.

Rhinemann ponownie skierował wzrok przed siebie, skupiając uwagę na mówcy.

Tak, Pearson się bał, ale nie zamierzał włączać się do takiego dziwnego, budzącego dreszcz kultu. Być może ludzie ci – kilku z nich – zabijali, może owo interludium w stodole w Newburyport rzeczywiście miało miejsce, ale tego wieczoru nic nie wskazywało na to, żeby zebrani w piwnicy mieli w sobie dość energii, aby dopuszczać się tak desperackich czynów. Tutaj siedzieli zwyczajni yuppie, obserwowani przez Dashiella Hammetta z portretu. Pearson wyczuwał jedynie jakieś senne półzainteresowanie, na tyle jeszcze silne, że zebrani potrafili skupić częściowo uwagę i nie zasnąć albo nie wstać i nie opuścić sutereny.

– Robbie, do rzeczy! – zawołała z końca sali jakaś bratnia dusza Pearsona. Rozległy się nerwowe śmiechy.

Robbie Delray popatrzył zirytowany w kierunku, skąd dobiegł głos, uśmiechnął się i ponownie zerknął na zegarek.

– No tak, w porządku – odparł. – Przyznaję, że trochę mnie poniosło. Lester, czy możesz mi pomóc?

Lester wstał z krzesła. Obaj mężczyźni zniknęli za stertą kartonów i po chwili pojawili się, dźwigając na pasach wielki skórzany kufer.

– Dzięki, Les – powiedział Robbie.

Lester kiwnął głową i wrócił na swoje krzesło.

– Co tam jest? – szepnął Pearson Duke'owi do ucha.

Duke potrząsnął głową. Jego twarz wyrażała zdumienie i lekki niepokój... ale zapewne nie taki, jaki ogarniał Pearsona.

– W porządku, do rzeczy – oświadczył Delray. – Podejrzewam, że trochę pomarudziłem, ale dla mnie jest to chwila historyczna. Zaczynamy przedstawienie.

Przez chwilę dla efektu milczał, a następnie zerwał ze sztalug niebieski materiał. Widzowie pochylili się na składanych krzesłach, przygotowani na to, że ujrzą coś zdumiewającego, a następnie ponownie opadli na oparcia. Rozległ się

powszechny jęk zawodu. Na sztalugach zawieszono czarno-białą fotografię czegoś, co wyglądało na opuszczony magazyn. Zdjęcie było na tyle powiększone, że oko ludzkie z łatwością rozróżniało porozrzucane na rampach załadowniczych śmieci, papiery i prezerwatywy, a na ścianach wymalowane sprayami sentencje i mądrości życiowe. Największy napis głosił: PRAWO REWOLUCJI GRRRLS.

Pośród zgromadzonych dało się słyszeć szepty i pomruki.

– Przed pięcioma tygodniami – odezwał się dobitnie Robbie – Lester, Kendra i ja wytropiliśmy w tym opuszczonym magazynie w okolicach Revere przy Clark Bay dwa batmany.

Ciemnowłosa kobieta w okrągłych okularach bez oprawki, siedząca obok Lestera Olsona, rozejrzała się z dumą... a Pearson mógł przysiąc, że przy okazji szybko spojrzała na zegarek.

– Dokładnie w tym miejscu... – Robbie stuknął palcem w fotografię, wskazując jedną z ramp – ...wyszło im na spotkanie pięć innych batmanów, w tym dwie kobiety. Weszli do środka. Od tamtego czasu sześć czy siedem osób spośród nas na przemian stało tam na czatach. Ustaliliśmy...

Pearson popatrzył w stronę Duke'a, na którego obliczu malowało się zdumienie i uraza. Rhinemann miał dosłownie wytatuowane na czole pytanie: DLA-CZEGO NIE WYBRANO MNIE?

– ...że jest to miejsce zebrań nietoperzy mieszkających na obszarze objętym siecią bostońskiego metra...

Bostońskie Nietoperze – pomyślał Pearson. – Idealna nazwa dla drużyny baseballowej²⁶. I znów opadły go wątpliwości. Czy to ja tu siedzę i wysłuchuję tych bredni? Czy to naprawdę jestem ja? Myśli tej, jakby pod wpływem wątpliwości, które go na chwilę ogarnęły, towarzyszyło wspomnienie Delraya, gdy ogłaszał, że Nieulekli Łowcy Nietoperzy mają nowego rekruta, Brandona Pearsona z najmroczniejszych głębin Medford.

Odwrócił się do Duke'a i znów szepnął mu w ucho:

– Czy kiedy rozmawiałeś u Gallaghery przez telefon z Janet, wspominałeś, że mnie ze sobą przyprowadzisz?

Duke zmierzył go zniecierpliwionym spojrzeniem mówiącym czy-nie-widzisz-

że-słucham. W jego oczach ciągle paliła się uraza.

– Naturalnie.

– Czy mówiłeś jej, że pochodzę z Medford?

– Nie – odparł Duke. – Niby skąd mogłem wiedzieć, że jesteś z Medford. Ale daj mi posłuchać, Brand.

Duke odwrócił głowę.

– Naliczyliśmy ponad trzydzieści pięć pojazdów, w większości luksusowych samochodów i limuzyn, należących do odwiedzających ten opustoszały, stojący na odludziu magazyn – ciągnął Delray. Zamilkł, czekając, aż zebrani przyswoją sobie jego słowa, i znów zerknął na zegarek. – Wiele z tych aut widzieliśmy tam z dziesięć albo i dwanaście razy. Nietoperze z całą pewnością gratulowały sobie, że znalazły tak dobre, leżące na uboczu miejsce zebrania czy też spotkań towarzyskich, ale ja osobiście sędzę, że niebawem przekonają się, że same zapędziły się w kozi róg. Ponieważ... przepraszam na chwilę...

Odwrócił się i zaczął coś szeptem uradzać z Lesterem Olsonem. Dołączyła do nich kobieta imieniem Kendra i wodziła głową od jednego do drugiego, jakby oglądała rozgrywkę ping-ponga.

Zebrani obserwowali tę niemą scenę z oszołomieniem i zakłopotaniem.

Pearson dobrze wiedział, co czują. „Coś dużego” – obiecał Duke i każda z zebranych osób została również o tym przy wejściu zapewniona. „Coś dużego” okazało się jedną, czarno-białą fotografią opuszczonego magazynu tonącego w morzu śmieci, podartych gałganów i zużytych prezerwatyw. Co, do jasnej cholery, jest w tym zdjęciu nie tak?

Coś istotnego znajduje się w skrzyni – pomyślał Pearson.

– A tak swoją drogą, skąd Piegus wiedział, że pochodzę z Medford? Chciałem o tym powiedzieć dopiero po jego przemówieniu, kiedy wszyscy zaczną mnie wypytywać.

Poprzednie emocje – rumieńce, bijące jak oszalałe serce, a przede wszystkim straszliwa chęć na kolejnego papierosa – opadły go z jeszcze większą siłą. Przypominało to ataki niepokoju, jakie miewał w czasach studenckich. O co w tym chodzi? Skoro to nie strach, to co?

Och, ależ to jest właśnie strach... Ale nie jest to lęk jedyne go człowieka przy zdrowych zmysłach, który trafił do przeładowanego pacjentami domu wariatów. Wiesz dobrze, że nietoperze istnieją naprawdę. Nie jesteś wariatem; ani ty, ani Duke, ani Moira, ani Cam Stevens czy Janet Brightwood. Ale jednocześnie z tą fotografią jest coś nie w porządku... bardzo nie w porządku. I myślę, że to on, Robbie Delray, malarz pokojowy i Zbawca Własnej Rasy... Wiedział, skąd pochodzę. Zadzwo niła do niego Brightwood i powiadomiła, że Duke przypro wadzi kogoś z banku, kogoś, kto nazywa się Brandon Pearson. Wtedy Robbie mnie sprawdził. Po co? I w jaki sposób?

Pod czaszką zadudniły mu nagle słowa Duke'a Rhinemanna: „Oni są cwani... mają wysoko postawionych przyjaciół. Do diabła, oni są urodzeni do zajmowa nia wysokich stanowisk”.

Jeśli ma się przyjaciół piastujących wysokie godności, każdego można bardzo szybko sprawdzić, prawda? Osoby na wysokich stanowiskach znają hasła dają ce dostęp do wszystkich sieci komputerowych, do wszystkich kartotek, numery najważniejszych opracowań statystycznych...

Pearson drgnął na krześle jak człowiek wyrwany z koszmarne go snu. Odruchowo szarpnął nogą i potracił kij do otwierania okien, który zaczął się osuwać. Jednocześnie szepczący w przedniej części pomieszczenia zgodnie kiwnęli głó wami i skończyli naradę.

– Les? – zapytał Delray. – Czy ty i Kendra zechcecie jeszcze raz mi pomóc?

Pearson złapał tyczkę, zanim ta zdążyła się przewrócić i rozbić komuś głowę – a nawet czaszkę – ciężkim, metalowym okuciem. Chwycił kij i zamierzał od stawić go pod ścianę, kiedy w oknie piwnicy dostrzegł zagląającą do środka upiorną twarz goblina. Czarne oczy, jak oczy lalki Raggedy Ann ciśniętej pod łożko, wlepione były w szeroko rozwarte, niebieskie źrenice Pearsona. Pasy mięsa obracały się niczym pierścienie atmosferyczne wokół planet zwanych przez astronomów gazowymi gigantami. Czarne węże żył pod bryłowatą, gołą czaszką. W rozwartej gębie połyskiwały zęby.

– Po prostu pomóżcie mi oderwać taśmy z tego cholernego pudła – wyjaśnił Delray znajdujący się gdzieś po drugiej stronie galaktyki. – Są lepkie jak chole-

ra – dodał z przyjacielskim chichotem.

Jeśli chodzi o Brandona Pearsona, w jednej chwili jakby cofnął się w czasie do porannych zdarzeń. Znow chciał wrzasnąć, ale znow nie potrafił wydobyć z siebie głosu i z gardła wyszedł mu tylko niski zdławiony pomruk; jęk, jaki wydaje czasem człowiek pogrążony w głębokim śnie.

Chaotyczne przemówienie.

Bezsensowna fotografia.

Nieustanne zerkanie na zegarek.

„Czy to dlatego jesteś tak zdenerwowany? Dlatego, że tyłu was zebrało się w jednym miejscu?” – zapytał wcześniej Duke’a, a ten odpowiedział z uśmiechem: „Nie, Robbie przecież potrafi wyczuć nietoperze na odległość”.

Tym razem nie było nikogo, kto by go powstrzymał, i tym razem druga próba wydobywania z siebie głosu zakończyła się całkowitym sukcesem.

– TO WSZYSTKO ZOSTAŁO UKARTOWANE! – wrzasnął Pearson, zrywając się na równe nogi. – TO WSZYSTKO ZOSTAŁO UKARTOWANE! MUSIMY STĄD UCIEKAĆ!

Wyciągnęły się w jego kierunku głowy zaintrygowanych ludzi... tylko trzy twarze nie odwróciły się w jego stronę. Twarze należące do Delraya, Olsona i ciemnowłosej kobiety o imieniu Kendra. Rozerwali taśmy i otworzyli kufer. Ich oblicza wyrażały szok i poczucie winy... ale nie było śladu zdziwienia. Tej emocji właśnie brakowało na ich twarzach.

– Siadaj, człowieku! – syknął Duke. – Chyba postradałeś roz...

Na górze trzasnęły głośno jakieś drzwi. Rozległ się głuchy tupot butów.

– Co się tam dzieje? – zapytała Duke’a Janet Brightwood. Oczy miała rozszerzone strachem. – O czym on mówi?

– UCIEKAJMY! – ryknął Pearson. – WYPIERDALAJMY STĄD! GADAŁ TAK, ŻEBY ZYSKAĆ NA CZASIE! TO PUŁAPKA!

Drzwi na górze wąskich schodów rozwarły się z łoskotem i z cienia doszedł najbardziej odrażający dźwięk, jaki Pearson w życiu słyszał. Przypominało to odgłos hordy bulterierów, między które wrzucono żywe dziecko.

– Kto to? – krzyknęła Janet. – Kto jest na górze?

Ale wyraz jej twarzy wyraźnie wskazywał, że dobrze wie, kto jest na górze. Co jest tam na górze?

– Uspokójcie się! – krzyknął Robbie Delray do zmieszanych ludzi, z których większość siedziała jeszcze na składanych krzesłach. – Obiecali nam amnestię! Słyszycie mnie? Czy rozumiecie, co do was mówię? Solennie przyrzekli mi, że...

W tej samej chwili pękło z trzaskiem okno do piwnicy; okno znajdujące się po lewej stronie w stosunku do tego, w którym Pearson ujrzał nietoperzą twarz. Na otumanionych mężczyzn i kobiety siedzących w pierwszym rzędzie posypał się deszcz szklanych odłamków. Przez wybitą szybę wślizgnęło się ramię w rękawie marynarki od Armaniego i chwyciło Moirę Richardson za włosy. Ta wrzasnęła i z całych sił uderzyła w trzymającą ją dłoń... która wcale nie była dłonią, lecz łapą zakończoną długimi, chitynowymi szponami.

Pearson bez namysłu chwycił drąg do otwierania okien, runął w tamtą stronę i wbił hak w pulsującą nietoperzą twarz, która majaczyła w wybitym oknie. Żelazo zagłębiło się w oko stworza. Na wyciągnięte ręce Brandona pociekła gęsta, przypominająca atrament ciecz. Batman wydał ochrypły, dziki skrzek – nie zabrzmiało to wcale jak ryk bólu, choć Pearson miał taką nadzieję – i upadł do tyłu, zniknął w zamglonym deszczem mroku, wyrrywając z rąk Pearsona tyczkę. Zanim stworzenie pogrążyło się w cieniu, Brandon ujrzał, że z guzowatej skóry zaczyna unosić się biały dym, a w nozdrza uderzył go

(kurz siuński chili)

bardzo nieprzyjemny zapach.

Cam Stevens chwycił Moirę w ramiona i popatrzył na Pearsona zszokowanym, pełnym niedowierzania wzrokiem. Wokół ludzie mieli takie same tępe, puste spojrzenia. Sprawiali wrażenie stada saren uwięzionych w snopie blasku bijącego z czołowych reflektorów nadjeżdżającej ciężarówki.

Na moje oko nie wyglądają na bojowników ruchu oporu – pomyślał Pearson. – Wyglądają raczej jak stado owiec zapędzonych do zagrody... a baran, skurwysyn-Judasz, który je tam wprowadził, stoi przed nimi w towarzystwie swych pomagierów.

Dobiegające z parteru dzikie wrzaski zbliżały się, ale nie tak szybko, jak się spodziewał tego Pearson. W tej chwili przypomniał sobie jednak, jak wąskie są schody – tak wąskie, że nie mieściły się na nich obok siebie dwie osoby, i za to Pearson był wdzięczny losowi. Chwycił Duke'a za krawat, szarpnął mocno, podrywając Murzyna z krzesła, i postawił na nogi.

– Chodź – powiedział. – Zjeżdżamy stąd. Czy jest tu jakieś boczne wyjście?

– N-nie... wiem – bąknął Duke, pocierając powoli, mocno skroń, jak człowiek, którego męczy straszny ból głowy. – To zrobił Robbie? Robbie? To niemożliwe, człowieku... niemożliwe, prawda?

Zajrzał Pearsonowi w oczy żałością i głęboko.

– Obawiam się, że możliwe, Duke. Chodź.

Brandon, ciągnąc Duke'a za krawat, postąpił dwa kroki do przodu i stanął w przejściu między rzędami krzesel. Delray, Olson i Kendra siedzieli na skrzyni, a w rękach lśniła im przypominająca pistolety maszynowe broń z zabawnie wyglądającymi metalowymi, pajęczymi kolbami. Pearson znał uzi jedynie z kina i z telewizji, ale podejrzewał, że tą właśnie bronią dysponuje siedząca na kufrze trójka zdrajców. Uzi lub coś podobnego, nieważne, ale z pewnością była to broń.

– Stójcie! – polecił Duke'owi i Pearsonowi Delray. Próbował się uśmiechnąć, lecz na twarzy pojawił mu się grymas skazanego na śmierć więźnia stojącego pod murem. – Zostańcie, gdzie jesteście.

Ale Duke ruszył przejściem; Pearson za nim. Inni powstawali już z miejsc i przepychali się do przodu, nerwowo zerkając za siebie w stronę przejścia wiodącego do schodów. Ich wzrok wyraźnie mówił, że boją się broni, ale jeszcze większy lęk budzą w nich dobiegające z parteru hałasy.

– Człowieku, dlaczego? – zapytał Duke i Pearson skonstatował, że Murzyn jest bliski łez. Wyciągnął przed siebie ręce, dłonie miał odwrócone wewnętrzną stroną do góry.

– Dlaczego nas sprzedałeś?

– Zatrzymaj się, Duke. Ostrzegam – powiedział Lester Olson miodowym głosem.

– Reszta też niech zostanie tam, gdzie jest – warknęła Kendra.

Jej głos ani trochę nie brzmiał miódowo. Strzelała gorączkowo oczyma na wszystkie strony.

– Nigdy nie mielibyśmy szansy – zwrócił się Delray do Duke’a. W jego głosie pojawiły się błagalne nutki. – Wpadli na nasz trop, w każdej chwili mogli nas zgarnąć, ale zaproponowali układ. Rozumiesz? Nie sprzedałem was. Nigdy bym was nie sprzedał. To oni do mnie przyszli.

Powiedział z żarem, jakby namiętność ta naprawdę coś dla niego znaczyła, ale rozbiegany wzrok mówił coś innego. Zupełnie jak gdyby siedział w nim jakiś inny Robbie Delray, lepszy Robbie Delray, ktoś, kto próbuje gorączkowo odciąć się od tak haniebnej zdrady.

– TY PIEPRZONY ŁGARZU! – zaskrzeczał Duke Rhinemann przerywanym z bólu, rozpacz i wściekłości głosem.

Skoczył na człowieka, któremu zawdzięczał zdrowe zmysły i który zapewne uratował mu życie w czerwonej linii metra... i wtedy zaczęło się zamieszanie.

Pearson nie był w stanie wszystkiego dostrzec; zobaczył tylko trochę, ale wystarczająco dużo. Ujrzał, jak Robbie Delray się waha, przesuwa broń w bok, jakby zamierzał tylko przyłożyć Duke’owi kolbę, a nie strzelać. Ujrzał, jak Lester Olson, który zanim stracił odwagę i zdecydował się pójść na ugodę, w stodole w Newburyport zrobił batmanowi *trach-trach-trach*, przykładając metalową kolbę swego karabinu do sprzączki pasa i naciskając spust. Pearson dostrzegł krótki, błękitny jęzor ognia w otworach chłodniczych broni, usłyszał ochrypłe *hack!hack!hack!hack!* i zrozumiał, że tak właśnie w rzeczywistym świecie brzmią wystrzały broni automatycznej. Usłyszał, że coś niewidzialnego pruje powietrze na centymetr od jego twarzy; brzmiało to jak sapnięcie ducha. Zobaczył, że Duke pada z impetem do tyłu, a na białej koszuli i kremowym garniturze rozbryzguje się krew. Zobaczył, że mężczyzna, który stał bezpośrednio za Duke’em, osuwa się na kolana, przykładając do oczu dłoń, a pomiędzy palców zaczyna ściekać mu krew.

Ktoś – może Janet Brightwood – na samym początku zebrania zamknął drzwi

wiodące na schody. Teraz drzwi te rozwarły się z trzaskiem i do środka wpadły dwa batmany w mundurach bostońskiej policji. W ich przerośniętych, dziwnie ruchliwych głowach majaczyły niewielkie, ściągnięte twarze.

– Amnestia! – wrzasnął Robbie Delray. Piegi na jego twarzy pałały niczym pochodnie, a skóra była szarobiała, jak popiół.

– Amnestia! Obiecano nam amnestię, jeśli zostaniemy na miejscach i podnieśliemy ręce!

Kilkanaście osób, głównie te, które skupiły się w pobliżu ekspresu do kawy, choć posłusznie uniosło ręce, nieustannie cofało się przed umundurowanymi batmanami. Jeden z nietoperzy z basowym chrumknięciem wyciągnął ramię i chwycił któregoś mężczyznę za koszulę na piersiach. Przyciągnął go do siebie i zanim Pearson pojął, co się święci, stwór wydarł ofierze gałki oczne. Potwór przez chwilę spoglądał na galaretowatą substancję na swej dziwacznej, zniekształconej dłoni, po czym wepchnął śluzowate ochłapy do ust.

Przez drzwi wpadły dwa kolejne batmany i zaczęły rozglądać się swymi czarnymi, lśniącymi ślepiami. Drugi policjant-nietoperz wyrwał z kabury służbowy pistolet i trzykrotnie, na oślep, wystrzelił w tłum.

– Nie! – Pearson usłyszał wrzask Delraya. – Nie, obiecaliście!

Janet Brightwood chwyciła ekspres do kawy, uniosła go nad głowę i cisnęła w jednego z nowo przybyłych. Rozległ się stłumiony, metaliczny dźwięk i wrząca kawa oblała stwora od stóp do głów. Tym razem w jego skrzeku słychać było prawdziwy ból. Jeden z policjantów-nietoperzy wyciągnął ramię w stronę Janet, ale ta się uchyliła, próbowała uciec, potknęła się... i nagle zniknęła, zgubiła się w ogarniętym paniką tłumie, który ruszył.

Okna zaczęły po kolei pękać, a Pearson usłyszał w oddali zbliżający się ryk syren. Ujrzał, że nietoperze zbiły się w dwie grupy i pobiegły po obu stronach ustawionych rzędami krzeseł, zdecydowane zapędzić nieprzytomnych ze strachu Ludzi Godziny Dziesiątej na teren składowy piwnicy, za przewrócone w tej chwili sztalugi.

Olson cisnął broń, chwycił Kendrę za rękę i pociągnął ją w tamtą stronę. Przez wybite okno błyskawicznie wsunęła się nietoperza ręka, chwyciła za te-

atralnie białe włosy i uniosła krztuszącego się, gulgoczącego Olsona. W oknie pojawiła się druga dłoń i kciukiem z dziesięciocentymetrowej długości szponem rozerznęła mu gardło, zalewając wszystko szkarłatem.

Czasy, gdy uciszałeś batmany w stodołach na wybrzeżu, minęły, przyjacielu – pomyślał rzewnie Pearson. Znów odwrócił się w stronę kartonów z książkami. Między przewróconymi sztalugami a otwartym kufrem stał Delray, w ręku trzymał karabin, wzrok miał pusty. Kiedy Pearson wyrwał mu z dłoni broń, Robbie nie stawiał oporu.

– Obiecali amnestię – powiedział. – Obiecali.

– Naprawdę sądziłeś, że tak wyglądającym stworom można ufać? – zapytał Pearson i z całych sił wyrznął metalową lufą w sam środek twarzy Delraya.

Usłyszał, jak coś z głośnym trzaskiem pęka – zapewne nos Robby'ego – i bezmyślny barbarzyńca, który nagle odezwał się w jego duszy pracownika banku, zarechotał z dzikiej radości.

Pearson ruszył do przodu, zygzakami wymijając pudła, które poodrzucali już na bok inni ludzie uciekający tędy wcześniej. Natychmiast jednak zatrzymał się, gdy sprzed budynku dotarł do niego łoskot kanonady. Huk wystrzałów. krzyki... wrzask triumfu.

Pearson odwrócił się na pięcie i ujrzał stojących między składanymi krzesłami Cama Stevensa i Moirę Richardson. Trzymali się za ręce, na twarzach zakrzepło im osłupienie i Pearson pomyślał: Tak samo musieli wyglądać Jaś i Małgosia, kiedy wydostali się z chatki na kurzej nóżce. Potem pochylił się, podniósł karabiny Kendry i Olsona i wręczył je stojącej nieruchomo parze.

Przez tylne drzwi wbiegły do sutereny dwa kolejne nietoperze. Posuwały się niedbałym krokiem, jakby realizowały z góry ustalony plan... który zresztą, zdaniem Pearsona, ułożyły. Akcja przeniosła się teraz na tyły domu... to tam, zapewne, nie tutaj zorganizowano właściwą zagrodę. Ale nietoperze nie tylko zaganiały do niej ludzi, lecz robiły z nimi coś dużo, dużo gorszego.

– Teraz – powiedział do Cama i Moiry Pearson. – Wykończmy skurwysynów.

Batmany na końcu pomieszczenia zbyt późno uświadomiły sobie, że kilku uciekinierów postanowiło walczyć. Jeden z nich odwrócił się na pięcie, zapew-

ne, żeby uciec, wpadł na trzeciego, który właśnie pojawił się w drzwiach, i poślizgnęli się na rozlanej kawie. Oba potwory upadły. Pearson otworzył ogień do tego, który stał. Pistolet maszynowy rozgdał się tym w jakiś sposób rozczarowującym *hack!hack!hack!* i nietoperza cisnęło do tyłu. Rozwarł swą obcą paszczę, uniosła się z niego chmura cuchnącej mgły... Pearson pomyślał, że stworzy umierają w taki sposób, jakby rzeczywiście były jedynie złudzeniem.

Cam i Moira zrozumieli, o co chodzi, i otworzyli ogień do pozostałych nietoperzy, miażdżąc je morderczą nawałą pocisków, które ze straszliwą siłą rzucały stworzy na ścianę. Osunęły się na posadzkę i zaczęły wysączać się z ubrań eteryczną mgłą, która zdaniem Pearsona śmierdziała tak samo jak astry na marmurowych kwietnikach-wysepkach przed bankiem.

– Chodźcie – zakomunikował Pearson. – Jeśli teraz spróbujemy uciec, mamy jeszcze szansę.

– Ale... – zaczął Cameron.

Rozejrzał się. Najwyraźniej opuszczało go odrętwienie. To dobrze. Pearson zdawał sobie sprawę, że muszą wykazać maksymalny spryt i zdecydowanie, jeśli chcą się z tego wydostać.

– Nieważne, Cam – powiedziała Moira. Też się rozejrzała i spostrzegła, że są sami. W piwnicy nie było ani ludzi, ani nietoperzy. Wszyscy wybiegli z budynku. – Chodźmy. Wydaje mi się, że najlepszą drogą ucieczki będą drzwi, którymi się tu dostaliśmy.

– Tak – zgodził się Pearson. – Ale bardzo krótko.

Rzucił ostatnie spojrzenie na Duke'a, który leżał na ziemi. Na twarzy zakrzepł mu wyraz bolesnego osłupienia. Pearson żałował, że nie ma czasu zamknąć Duke'owi oczu.

– Idziemy – powiedział i ruszyli do drzwi.

Zanim dotarli do prowadzących na werandę – i na Cambridge Avenue – drzwi, dobiegająca z tyłu domu strzelanina powoli cichła. Ile osób zginęło? – zastanowił się Pearson, a pierwsza odpowiedź, jaka mu się nasunęła – wszyscy – była przerażająca, lecz najbardziej prawdopodobna. Podejrzewał, że jedna

czy dwie osoby mogły się wymknąć obławie; ale z pewnością nie więcej. To była doskonała pułapka, zastawiona cicho i sprawnie... podczas gdy Robbie Delray mełł ozorem, grał na zwłokę i spoglądał na zegarek... zapewne czekając na jakiś sygnał, który Pearson uprzedził.

Gdybym się opamiętał trochę wcześniej, Duke być może by żył – pomyślał gorzko. – To zapewne prawda, ale gdyby babcia miała wąsy, toby była dziadkiem. Nie było czasu na jałowe żale i obwinianie się.

Na werandzie trzymał wartę jeden z policjantów-nietoperzy, ale stał odwrócony w stronę ulicy. Prawdopodobnie czuwał nad tym, żeby nikt niepowołany się nie wtrącał. Pearson podkradł się do niego i powiedział:

– Ej, ty wstrętna dupo z pasami mięsa... chcesz zajarać?

Nietoperz odwrócił się.

Pearson odstrzelił mu głowę.

4

Tuż po pierwszej w nocy troje ludzi – dwóch mężczyzn i kobieta w podartych rajstopach i brudnej czerwonej spódnicy – biegło wzdłuż ruszającego sprzed rampy załadowniczej na South Station pociągu towarowego. Młodszy mężczyzna z łatwością wskoczył w otwarte, kwadratowe drzwi wagonu, odwrócił się i wyciągnął rękę do kobiety.

Zachwiała się i krzyknęła, gdy złamał się jej wysoki obcas. Pearson chwycił ją w pasie (poczuł przebijający lekko przez woń potu i strachu zapach giorgio), biegł chwilę obok niej, a następnie krzyknął, żeby skakała. Kiedy to zrobiła, chwycił ją za biodra i pchnął ku wyciągniętym rękóm Camerona Stevensa. Ten złapał Moirę za ramiona i ostrym szarpnięciem wciągnął do wagonu.

Pearson, który aż ugiął się pod jej ciężarem, ujrzał teraz niedaleko w przodzie płot ogradzający rampę kolejową. Pociąg prześlizgiwał się w wyrwie w siatce, ale Pearson już by się w niej nie zmieścił. Jeśli nie wskoczy do wagonu, i to nie wskoczy szybko, zostanie na rampie.

Cam wychylił się z drzwi, dostrzegł parkan i znów wyciągnął rękę.

– Wskakuj! – krzyknął. – Dasz radę!

Ale Pearson nie mógł sobie poradzić – miał za sobą zbyt wiele dwupaczkowych dni, a w tej chwili czuł w nogach i w płucach dwie dodatkowe paczki papierosów. Biegł po zdradliwym, pełnym odpadków tłuczniu rozsypanym obok torów, prześcigając czasami wlokący się pociąg, wyciągał ramiona, prostował palce, próbował pochwycić wyciągnięte w jego stronę ręce, a parkan był coraz bliżej. Teraz już Pearson mógł dostrzec wpleciony w połyskliwą siatkę kolczasty drut.

Szeroko otworzyły mu się oczy duszy i ujrzał żonę siedzącą w fotelu w salonie. Miała opuchniętą od płaczu twarz i zaczerwienione oczy. Ujrzał ją, jak mówi dwóm policjantom, że zaginął jej mąż. Zobaczył też stosik rozkładanych, barwnych książeczek Jenny na stojącym obok Lisabeth niskim stoliku. Czy to naprawdę działo się w tej chwili? Tak; w takiej formie lub innej; tak, o tym był przekonany. A Lisabeth, która w życiu nie zapaliła papierosa, nie widziała czarnych oczu i ust ze sterczącymi kłami pod młodymi twarzami policjantów siedzących naprzeciwko niej na kanapie. Nie widziała ciekących narośli ani czarnych pulsujących linii krzyżujących się na ich gołych czaszkach.

Nie wie. Nie widzi.

Dzięki ci, Boże, za jej ślepotę – pomyślał Pearson. – I tak niech już zostanie na zawsze.

Zbliżył się jeszcze bardziej do ciemnego, długiego potwora. Jadący na zachód pociąg towarowy linii Conrail krzeszał stalowymi, obracającymi się powoli kołami spiralne pęki pomarańczowych iskier.

– Szybciej! – zaskowyczała Moira i wyciągając ręce, mocniej wychyliła się z wagonu. – Brandon, błagam... jeszcze troszeczkę!

– Szybciej, gamoło! – wrzasnął Cam. – Przed sobą masz ten pierdzielony płot!

Nie dam rady – pomyślał Pearson. – Szybciej już nie mogę, nic nie obchodzi mnie płot, nic już mnie nie obchodzi. Chcę po prostu umrzeć. Po prostu zasnąć.

Pomyślał o Duke’u i trochę przyśpieszył. Duke był za młody, by wiedzieć, że czasami ludzie tracą ducha i sprzedają się, że czasami robi to nawet ktoś, kogo stawia się na cokole; ale był wystarczająco dojrzały, żeby chwycić za łokieć Branda Pearsona i uchronić przed samobójstwem, jakim byłby krzyk. Duke

z pewnością nie chciałby, aby Brandon pozostał na tej głupiej bocznicy kolejowej.

Pearson podjął ostatni wysiłek i pognał jeszcze szybciej ku wyciągniętym rękom, kątem oka dostrzegł pędzący już prosto na niego parkan i chwycił wyciągnięte palce Cama. Skoczył, poczuł, że Moira mocno chwyta go pod pachę i po chwili został wciągnięty do środka. Prawą stopę postawił na podłodze wagonu na ułamek sekundy przed tym, jak kolczasty drut miał go rozerwać, a pociąg rozwlec wzdłuż torów.

– Wszyscy na kartach przygodowej powieści dla młodzieży ilustrowanej przez N.C. Wyetha! – sapnął.

– Co? – zapytała Moira. – Co mówisz?

Odwrócił się i popatrzył na nich przez spadające mu na oczy włosy. Opierał się na łokciach i ciężko dyszał.

– Nieważne. Czy ktoś ma papierosa? Umrę, jeśli nie zapalę.

Gapili się w niego przez chwilę jak sroki w gnat, następnie popatrzyli po sobie i jednocześnie ryknęli dzikim śmiechem. Pearson pomyślał, że jednak naprawdę są w sobie zakochani.

Zataczali się ze śmiechu na podłodze wagonu, a Pearson usiadł i zaczął systematycznie przeszukiwać kieszenie brudnej, podartej marynarki.

– Aaaa – powiedział, gdy w drugiej z kolei namacał znajomy kształt. Wyciągnął pogniecioną paczkę i uniósł ją triumfalnie.

– Zwycięstwo!

Wagon towarowy toczył się na wschód przez Massachusetts, a w otwartych drzwiach, w mroku, żarzyły się trzy maleńkie czerwone ogniki. W tydzień później byli już w Omaha, gdzie przez całe przedpołudnie włóczyli się po śródmiejskich ulicach, obserwując ludzi, którzy mimo padającego deszczu przerwę na kawę spędzali pod gołym niebem. Wypatrywali Ludzi Godziny Dziesiątej. Polowali na członków Zaginionego Szczepu, tego, który wywędrował za Joem Camelem.

W listopadzie było ich już dwudziestu i spotykali się na tyłach opuszczonego magazynu w La Vista.

Na początku następnego roku urządzili pierwszy wypad za rzekę, do miasteczka Council Bluffs, gdzie zabili trzydziestu bardzo zaskoczonych bankierów-nietoperzy i dyrektorów-nietoperzy. Nie było to dużo, ale Brand Pearson zrozumiał, że zabijanie nietoperzy ma przynajmniej jedną cechę wspólną z ograniczeniem palenia; można to było zacząć, kiedy się chciało i gdzie się chciało.

Crouch End

Kiedy kobieta wreszcie sobie poszła, wybiło prawie wpół do trzeciej w nocy. Tottenham Lane ciągnąca się przed posterunkiem policji na Crouch End przypominała nieruchomą rzekę. Londyn pogrążony był we śnie... ale Londyn nigdy nie zapada w głęboki sen, a sny miewa niespokojne...

Policjant Vetter zamknął kajet, który zapisał prawie do końca, notując dziwną, gorączkową opowieść Amerykanki. Spojrzał na maszynę do pisania i stos czystych formularzy na stojącej obok półce.

– W dziennym świetle będzie to brzmieć jeszcze bardziej wariacko – stwierdził.

Policjant Farnham, który popijał coca-colę i od dłuższego już czasu się nie odzywał, nagle się odezwał.

– Ona była Amerykanką, prawda? – spytał, jakby ten fakt miał wytłumaczyć większość tego, co opowiedziała.

– Wepchniemy to do archiwum – zgodził się Vetter i rozejrzał się za papierosem. – Ale ciekaw jestem...

Farnham roześmiał się.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że wierzysz w choć jedno jej słowo? Śmiało! Słucham!

– Czy coś mówiłem? Nic. A ty jesteś teraz tutaj.

Farnham lekko zeszywniał. Miał dwadzieścia siedem lat i nie było jego winą ani to, że przeniesiono go na ten posterunek z leżącego bardziej na północ Muswell Hill, ani też to, że cała kariera zawodowa dwukrotnie prawie starszego od niego Vettera przebiegła w tym cichym zakątku Londynu, na Crouch End.

– Jestem – odparł. – Ale, z całym szacunkiem, potrafię jeszcze odróżnić ziar-

no od plew. Czy nie...

– Lepiej poczęstuj mnie fajką, kolego – odparł Vetter, spoglądając nań z lekkim rozbawieniem. – O, dzięki, dobry z ciebie chłopak.

Zapalił papierosa zapalką, którą wyjął z pudełka ozdobionego rysunkiem jasnoczerwonej lokomotywy. Machnięciem ręki zgasił płomyk i wrzucił wypalone drewnienko do popielniczki Farnhama. Popatrzył na kolegę przez obłok dymu. Już dawno stracił swój chłopięcy wygląd i wdzięk. Twarz Vettera pożłobiona była głębokimi zmarszczkami, a nos stanowił mapę popękanych naczynek krwionośnych; codziennie wieczorem lubił sobie wypić sześć butelek piwa Harp.

– A zatem uważasz, że Crouch End jest takim spokojnym i cichym miejscem?

Farnham wzruszył ramionami. Tak naprawdę uważał, że Crouch End jest ogromną, ziewającą gębą leżącą na peryferiach Londynu; jego młodszy brat z całą pewnością nazwałby tę dzielnicę Nudopatia.

– Cóż, wiem, że tak uważasz – ciągnął Vetter. – O jedenastej wieczorem wszystko tu już smacznie śpi. Ale widziałem na Crouch End wiele dziwnych rzeczy. Gdybyś spędził tu połowę tego czasu co ja, również byś w to uwierzył. Na przestrzeni tych sześciu czy ośmiu spokojniutkich ulic dzieje się więcej dziwnych rzeczy niż w całym Londynie. Wiem, że brzmi to zabawnie, ale mówię prawdę. Te rzeczy mnie przerażają. Dlatego piję tyle piwa, bo po nim nie boję się tak bardzo. Przypatrz się kiedyś sierżantowi Gordonowi, Farnham, i zadaj sobie pytanie, dlaczego w wieku czterdziestu lat jest kompletnie siwy. A gdybyś zobaczył Petty’ego... ale jego już nie zobaczysz, prawda? Petty popełnił samobójstwo latem siedemdziesiątego szóstego roku. Nasze gorące lato. Było to... – Vetter starannie szukał odpowiednich słów.

– Było to okropne lato. Straszne. Wielu z nas się obawiało, że mogą się tu przedrzeć.

– Kto mógł się przedrzeć? – zapytał Farnham.

Czuł, że kąciki ust wykrzywia mu pogardliwy, obelżywy uśmiezek, wiedział, że nie jest to uprzejme, ale nie potrafił nad sobą zapanować. Na swój sposób Vetter bredził tak samo, jak Amerykanka. Zresztą zawsze był trochę dziwny.

Zapewne pijaczek.

Spostrzegł, że Vetter oddaje mu uśmiech.

– Uważasz mnie za starą końską dupę – stwierdził.

– Wcale nie, wcale nie – zaprotestował Farnham i jęknął w duchu.

– Jesteś dobrym chłopcem – stwierdził Vetter. – Jak już osiągniesz mój wiek, nie będziesz siedział za biurkiem i przewracał papierów na takim posterunku jak ten. Będziesz pracował w normalnej policji. Będziesz, prawda? Marzysz o tym.

– Tak – przyznał Farnham.

Była to prawda. Marzył o tym. Zamierzał wstąpić do akademii, mimo że Sheila chciała, aby porzucił pracę w policji i zajął się czymś innym; na przykład zatrudnił się u Forda przy taśmie na linii montażowej. Na myśl o pracy z robotami aż coś ścisnęło go w brzuchu.

– Tak też myślałem – oświadczył Vetter, gniotąc niedopałek w popielniczce. – Masz to we krwi, prawda? Możesz wysoko zajść i nie skończysz w takim nudnym miejscu jak to, na starym Crouch End. Ale nie wiesz o wszystkim. Crouch End jest dziwne. Powinieneś od czasu do czasu postudiować nasze archiwa, Farnham. Och, naturalnie, znajdziesz tam masę zwyczajnych przypadków. chłopcy i dziewczęta uciekający z domu, żeby przystać do hipisów, punków czy jak tam sami siebie dzisiaj nazywają... zaginieni mężowie (gdy widzisz ich żony, zazwyczaj rozumiesz, dlaczego zaginęli)... podpalenia, których sprawców nie wykryto... kradzieże kieszonkowe... wiele innych spraw. Ale między nimi jest wystarczająca liczba historii mrozących krew w żyłach. Wiele takich, że człowiekowi robi się niedobrze.

– Naprawdę?

Vetter skinął głową.

– Niektóre do złudzenia przypominają historię, jaką opowiedziała nam ta niešťczesna amerykańska dziewczyna. Nigdy już nie zobaczy swego męża; masz na to moje słowo honoru.

– Popatrzył na Farnhama i wzruszył ramionami. – Możesz mi wierzyć albo nie. Pakujemy je wszystkie do jednej kartoteki. Nazywamy to kartoteką spraw

bieżących, ponieważ brzmi to ładniej niż archiwum, czyli kartoteka-pocałuj-nas-w-dupe. Przystudiuj ją, Farnham. Przystudiuj.

Farnham nic nie odpowiedział, ale postanowił „przystudiować” ją w wolnej chwili. Myśl, że istnieje cały szereg takich historii, jaką opowiedziała im Amerykanka, była... niepokojąca.

– Czasami... – powiedział Vetter i podkradł Farnhamowi kolejnego silk cutsa – ...rozmyślam o Wymiarach.

– O Wymiarach?

– Tak, synu, o Wymiarach. O Wymiarach zawsze piszą twórcy science fiction, prawda? Czy czytujesz science fiction, Farnham?

– Nie – odrzekł młody Farnham.

Zawsze uważał, że ten gatunek literatury stanowi wyrafinowaną formę robienia z ludzi głupków.

– A co powiesz o Lovecraftie? Jego utworów też nie czytałeś?

– Nawet o nim nie słyszałem – przyznał się Farnham.

Tak naprawdę ostatnią książką fantastyczną, jaką czytał dla zabicia czasu, był niewielki pastisz pochodzący jeszcze z czasów wiktoriańskich i zatytułowany *Two Gentlemen in Silk Knickers*.

– Cóż, ten facet, Lovecraft, zawsze pisał o Wymiarach – stwierdził Vetter, sięgając po pudełko zapalek z wymalowaną lokomotywką. – Wymiary są bardzo blisko nas. I są pełne tych nieśmiertelnych potworów, na sam widok których ludzie tracą zdrowe zmysły. Oczywiście, to fikcja. Ale gdy coś takiego rzeczywiście przytrafia się komuś, poważnie się zastanawiam, czy to naprawdę jedynie fikcja. Nachodzą mnie wtedy myśli, przeważnie cichą, spokojną nocą, taką jak teraz, że cały nasz świat, wszystko, co wydaje się nam tak miłe, normalne i zwykłe, jest jak wielka skórzana piłka napompowana powietrzem. I że miejscami skóra jest prawie całkiem przetarta. Tam bariery są cieńsze. Rozumiesz, o czym mówię?

– Tak – mruknął Farnham i pomyślał: A może powinieneś dać mi buzi, Vetter. Zawsze gdy błądzę myślami gdzieś indziej, marzę o buziaku.

– A później kombinuję: Może Crouch End jest właśnie jednym z takich

miejsc? Głupie, ale tak dokładnie sobie myślę. Być może to wyłącznie kwestia bujnej wyobraźni. Matka zawsze mi mówiła, że cierpię na przerost fantazji.

– Naprawdę?

– Tak. I wiesz, o czym jeszcze myślę?

– Nie. Nie mam zielonego pojęcia.

– Highgate jest prawie w porządku; to właśnie myślę. Tam powłoka oddzielająca nas od Wymiarów jest tak samo gruba jak w Muswell Hill. Ale weź, na przykład, takie Archway i Finsbury Park. Te dzielnice również przylegają do Crouch End. W obu mam przyjaciół. Wiedzą, że interesuję się pewnymi sprawami, które wydają się kompletnie nieracjonalne. Pewne zwariowane historie, jakie im opowiadają ludzie... no cóż... ludzie, którzy nie mają najmniejszego powodu opowiadać takich bredni. Czy zastanowiłeś się, Farnham, nad tym, po co ta kobieta miałaby opowiadać nam tak niestworzoną historię, gdyby nie była ona prawdziwa?

– No cóż...

Vetter zapalił zapałkę i popatrzył przez płomyk na Farnhama.

– Piękna, młoda, dwudziestosześcioletnia kobieta, w hotelu dwoje dzieci, jej mąż jest młodym, dobrze prosperującym prawnikiem w Milwaukee czy gdzieś tam. Co chciała zyskać na tym, że przyszła tu i wyrecytowała nam historię, jaką spotkać można jedynie w filmach o detektywie Hammerze?

– Nie wiem – odparł sztywno Farnham. – Ale zapewne istnieje jakieś wytłu...

– Tak więc myślę sobie – przerwał mu Vetter – że jeśli są takie „cienkie punkty”, nasz musi zaczynać się w Archway i Finsbury Park... ale najcieniej jest tutaj, w Crouch End. I mówię sobie: Czy nie nadejdzie w końcu taki dzień, kiedy skóra oddzielająca nas od tego, co znajduje się po jej drugiej stronie... ostatecznie się przetrze? Czy nie będzie to dzień, kiedy się okaże, że wszystko to, o czym mówiła nam ta kobieta, nie wyczerpuje prawdy nawet w połowie?

Farnham milczał. Był już najgłębiej przekonany, że policjant Vetter wierzy również w chiromancję, frenologię i w Różokrzyżowców.

– Poczytaj archiwa – poradził Vetter, wstając z krzesła. Kiedy przyłożył dłonie do pleców i się przeciągnął, rozległ się cichy trzask. – Idę zaczerpnąć trochę

świeżego powietrza.

Wyszedł. Farnham popatrzył za nim z mieszaniną rozbawienia i złości. Vetter ma fioła, to jasne jak słońce. I kopci jak parowóz. A w tym nowym, wspaniałym świecie socjalizmu papierosy i opieka społeczna wcale tanie nie są. Sięgnął po notes Vettera i ponownie zaczął czytać to, co opowiedziała dziewczyna.

Później, oczywiście, przejrzy archiwum.

Zrobi to po prostu dla jaja.

Dziewczyna – czy też młoda kobieta, jeśli chce się być grzecznym i dokładnym (a wiele wskazuje na to, że tacy są wszyscy współcześni Amerykanie) – wpadła na posterunek jak burza piętnaście po dziesiątej poprzedniego wieczoru. Włosy opadały jej na twarz mokrymi strakami, oczy miała wybałuszone. Wlokła za sobą na pasku torebkę.

– Lonnie – powiedziała. – Proszę, musicie odnaleźć Lonniego.

– Doskonale, proszę pani, zrobimy, co w naszej mocy – odparł Vetter. – Ale najpierw musi nam pani powiedzieć, kim jest Lonnie.

– On nie żyje – wyjaśniła młoda kobieta. – Wiem, że nie żyje.

Wybuchnęła płaczem, który szybko przeszedł w śmiech, a właściwie w rechot. Cisnęła przed siebie torebkę. Najwyraźniej wpadła w histerię.

W tę noc z piątku na sobotę posterunek był jak wymarły. Sierżant Raymond wysłuchiwał z niezwykłym wprost spokojem opowieści Pakistanki o tym, jak na Hillfield Avenue jakiś wytatuowany bandzior ze strzechą na niebiesko ufarbowanych włosów wyrwał jej torebkę. Vetter zauważył, że do pomieszczenia wsunął się Farnham, który zamienił właśnie wiszący w korytarzu plakat (CZY MASZ W SERCU MIEJSCE DLA NIECHCIANYCH DZIECI?) na inny (SZEŚĆ RAD, JAK BEZPIECZNIE JEŹDZIĆ NOCĄ NA ROWERZE).

Vetter skinął na niego ręką, a sierżant Raymond, słysząc na wpół histeryczny wrzask Amerykanki, obejrzał się w ich stronę. Raymond lubił kieszonkowcom łamać palce jak sucharki („Ach, daj spokój, kolego – odpowiadał, kiedy go proszono, aby jakoś uzasadnił tę wyjątkowo mało legalną procedurę. – Pięćdziesiąt milionów złotych nie może się mylić”), ale nie radził sobie zupełnie z rozhiste-

ryzowanymi kobietami.

– Lonnie! – zaskrzeczała. – Och, oni mają Lonniego!

Pakistanka odwróciła się w stronę Amerykanki, taksowała ją przez chwilę spokojnym wzrokiem, po czym znów odwróciła się do sierżanta Raymonda i podjęła opowieść o tym, jak wyrwano jej torebkę.

– Panno... – zaczął policjant Farnham.

– Co tu się wyprawia? – szepnęła.

Zaczęła dyszeć. Farnham spostrzegł niewielkie zadrapanie na jej lewym policzku. Była śliczną babką z uroczyimi cyckami – drobnymi, ale sterczącymi – i z wielką strzechą kasztanowych włosów. Ciuchy miała stosunkowo drogie. W jednym bucie brakowało jej obcasa.

– Co tu się wyprawia? – powtórzyła. – Potwory...

Pakistanka ponownie na nią popatrzyła... i uśmiechnęła się.

Miała popsute zęby. Uśmiech ten jednak zniknął prawie natychmiast, jak za sprawą magicznej sztuczki. Ponownie odwróciła się do Raymonda, który podał jej formularz protokołu kradzieży.

– Poczestujemy panią kawą i przejdziemy do pokoju numer trzy – oświadczył Vetter. – Napije się pani kawy, słoneczko, prawda?

– Lonnie – szepnęła. – Wiem, że nie żyje.

– Proszę pójść ze starym dobrym Tedem Vetterem i wszystko w mig załatwimy – powiedział Vetter i pomógł jej wstać z krzesła.

Kiedy objął ją w pasie i wyprowadzał z pokoju, ciągle lamentowała i mamrotała coś niewyraźnie pod nosem. Kroki stawiała niepewnie, ponieważ w jednym pantoflu brakowało jej obcasa.

Farnham nalał do kubka kawę i zaniósł naczynie do pomalowanego na biało, kwadratowego pokoju, w którym znajdował się odrapany stół, cztery krzesła i chłodziarka do pitnej wody.

– Proszę, słoneczko – powiedział. – To ci dobrze zrobi. Z cukrem, czy bez?

– Nie chcę pić – odparła. – Nie mogłabym...

I sięgnęła po kubek, *souvenir*, który dawno temu dostali od kogoś z Blackpool, jakby chciała ogrzać sobie nim dłonie. Ręce fatalnie jej się trzęsły i Farnham

chciał już poradzić, żeby odstawiła naczynie, zanim obleje się gorącą kawą.

– Nie mogłabym – powtórzyła i ciągle trzymając kubek w obu dłoniach, upiła łyk; kubek dzierżyła tak, jak dziecko trzyma faskę z rosółem.

Kiedy na nich popatrzyła, miała również wzrok dziecka – szczery, zmęczony, błagalny... i w jakiś sposób podobny do spojrzenia osaczonego zwierzęcia. Wyglądała tak, jakby to, co ją spotkało, odebrało jej całą dorosłość; jakby jakaś niewidzialna ręka wychyliła się z nieba i zabrała jej dwadzieścia lat, zostawiając w pokoju przesłuchań na posterunku w Crouch End dziecko w amerykańskim ubraniu dla dorosłych.

– Lonnie. Potwory... – powiedziała. – Czy mi pomożecie? Na Boga, czy mi pomożecie? Może jeszcze żyje. Może... Jestem amerykańską obywatelką! – wrzasnęła nagle i jakby powiedziała coś bardzo nieprzyzwoitego, wybuchnęła płaczem.

Vetter poklepał ją po ramieniu.

– Słoneczko, myślę, że pomożemy ci odnaleźć Lonniego. To twój mąż, prawda?

Nie przestając chlipać, kiwnęła głową.

– Danny i Norma są w hotelu... z opiekunką... mają iść spać... czekają, aż wróci, żeby pocałować je na dobranoc...

– Proszę się na chwilę uspokoić i powiedzieć dokładnie, co się wydarzyło...

– I gdzie – dodał Farnham, a Vetter obrzucił go szybkim spojrzeniem spod zmarszczonych brwi.

– No właśnie! – krzyknęła. – Nie wiem gdzie. Nie jestem nawet pewna, co się wydarzyło, poza tym, że było to s-str-straszne!

Vetter wyciągnął notatnik.

– Jak się pani nazywa, słoneczko?

– Doris Freeman. Mój mąż nazywa się Leonard Freeman. Zatrzymaliśmy się w hotelu Inter Continental. Jesteśmy obywatelami amerykańskimi.

Tym razem przyznanie się do amerykańskiego obywatelstwa jakby trochę ją uspokoiło. Upiła łyk kawy i odstawiła kubek. Farnham zauważył, że ma bardzo zaczerwienione dłonie. Poczujesz to później, moja droga – pomyślał.

Vetter z mozołem zapisywał wszystko w notatniku. Przelotnie popatrzył na policjanta Farnhama.

– Są państwo na wakacjach? – zapytał.

– Tak... dwa tygodnie tutaj i tydzień w Hiszpanii. Planowaliśmy zatrzymać się w Barcelonie... ale to przecież nie pomoże w odnalezieniu Lonniego! Dlaczego zadaje mi pan te głupie pytania?

– Próbujemy po prostu ustalić wszystkie okoliczności, pani Freeman – wyjaśnił Farnham. Odruchowo obaj starali się mówić cichym, uspokajającym tonem. – Proszę opowiedzieć nam dokładnie, co się wydarzyło. Proszę powiedzieć to własnymi słowami.

– Dlaczego w Londynie tak trudno złapać taksówkę? – zapytała nieoczekiwanie.

Farnham kompletnie stracił głowę i nie wiedział, co na to odrzec, ale Vetter zareagował w taki sposób, jakby pytanie należało do tematu.

– Trudno powiedzieć. Częściowo za sprawą turystów. Mieli państwo kłopoty z dotarciem na Crouch End?

– Tak – odparła. – Wyszliśmy z hotelu do księgami Hatchardsa. To na Haymarket, prawda?

– Blisko – zgodził się Vetter. – Wspaniała, ogromna księgarnia, prawda, kochanie?

– Jak wyszliśmy z hotelu, nie było najmniejszych kłopotów z taksówką. Stał ich cały sznur. Ale kiedy wychodziliśmy od Hatchardsa, nie było żadnej. W końcu jakaś się zatrzymała i Lonnie powiedział kierowcy, że chcemy dostać się na Crouch End, lecz on tylko roześmiał się nam w nos.

– Och, taksiarze, gdy chodzi o kursy na przedmieścia, potrafią być wyjątkowymi sukinkotami, jeśli wybaczy mi pani to określenie – wtrącił Farnham.

– Nie zgodził się nawet, gdy obiecaliśmy mu funta napiwku – poinformowała Doris Freeman, a w jej głosie rozległ się ton prawdziwie amerykańskiego zdumienia. – Czekaliśmy jeszcze blisko pół godziny, zanim trafiliśmy na taksówkarza, który zgodził się nas zabrać. Była mniej więcej siedemnasta trzydzieści, może za kwadrans szósta. I wtedy Lonnie stwierdził, że zgubił adres.

Ponownie chwyciła kubek z kawą.

– A do kogo państwo jechali? – zapytał Vetter.

– Do znajomego mego męża. Prawnik, nazywa się John Squales. Mój mąż wprawdzie nigdy się z nim osobiście nie spotkał, ale ich firmy utrzymywały ze sobą... – wykonała nieokreślony ruch ręką.

– Kontakty?

– Tak, chyba tak. Kiedy pan Squales się dowiedział, że zamierzamy w czasie wakacji odwiedzić Londyn, zaprosił nas do siebie na kolację. Lonnie prowadził z nim korespondencję, ale adres miał zapisany na kartce, którą trzymał w biurze. Kiedy wsiedliśmy do taksówki, Lonnie spostrzegł, że zgubił gdzieś tę kartkę. Pamiętał tylko, że jego znajomy mieszka na Crouch End.

– Popatrzyła na nich poważnym wzrokiem. – Crouch End... paskudna nazwa²⁷.

– I co wtedy państwo zrobili? – zapytał Vetter.

Zaczęła mówić. Kiedy skończyła, wypić prawie całą kawę, a policjant Vetter wypełnił kilkanaście kartek swego notatnika kwadratowym, rozwlekłym piśmem.

Lonnie Freeman, potężnie zbudowany mężczyzna, który siedział przygarbiony w mrocznym wnętrzu czarnej taksówki i pochylał się do przodu tak, żeby móc rozmawiać z kierowcą, zdumiał Doris, kiedy ta ujrzała go po raz pierwszy podczas meczu koszykówki, gdy oboje byli na ostatnim roku studiów. Siedział na ławce zawodników, kolana miał prawie przy uszach, ogromne dłonie z grubymi nadgarstkami zwieszały mu się luźno między łydkami. Wtedy miał na sobie spodenki koszykarskie, a na szyi ręcznik. Teraz ubrany był w garnitur z krawatem. Nie grał w zbyt wielu meczach – pomyślała czule – ponieważ nie prezentował szczególnej klasy sportowej i nieustannie gubił adresy.

Taksiarz z pobłażliwością wysłuchał historii o zgubionym adresie. Był to starszy mężczyzna ubrany w nieskazitelnie czysty, cienki letni garnitur i stanowił antytezę niechlujnych taksówkarzy z Nowego Jorku. Lekki zgrzyt stanowił jedynie kraciasty kaszkiet, jakkolwiek był całkiem akceptowalny; dodawał kie-

rowcy sporo zawadiackiego uroku. Za oknami taksówki po Haymarket sunął nieprzerwany sznur pojazdów. Afisz na pobliskim teatrze zapowiadał przedstawienie „Duch w operze”, które najwidoczniej zamierzano tam już zawsze wystawiać.

– Dobra, powiem coś panu, szefie – odezwał się taksjarsz.

– Zawiozę was na Crouch End, zatrzymamy się przy pierwszej budce telefonicznej i sprawdzisz pan w książce telefonicznej adres tego waszego znajomego. A wtedy odstawię was pod same drzwi.

– Cudownie – ucieszyła się szczerze Doris.

Byli w Londynie dopiero sześć dni, ale ona nie przypominała sobie miejsca, gdzie ludzie byłiby tak uczynni, sympatyczni i cywilizowani jak w tym mieście.

– Dzięki – odparł Lonnie, rozpierając się w fotelu. Objął Doris i dodał z uśmiechem: – Widzisz? I już po kłopotach.

– Ale nie dzięki tobie – zakpiła i lekko szturchnęła go w żebra.

– Co racja, to racja – przyznał taksjarsz. – No to dalej, na Crouch End!

Zbliżał się koniec sierpnia. Nieustanny gorący wiatr toczył po ulicach śmieci i targał kurtkami mężczyzn i spódnicami kobiet wracających z pracy do domu. Słońce przygrzewało jeszcze mocno, ale gdy pojawiało się między budynkami, Doris widziała, że zaczyna już powoli nabierać czerwonej barwy. Taksówkarz nucił coś pod nosem. Doris odprężyła się w objęciach Lonniego. Przez ostatnie sześć dni miała męża dla siebie częściej niż normalnie w ciągu całego roku i z zadowoleniem stwierdziła, że bardzo jej się to podoba. Nigdy dotąd nie wyjeżdżała z Ameryki, toteż teraz nieustannie musiała sobie przypominać, że jest w Anglii i że czeka ją jeszcze Barcelona.

Słońce skryło się właśnie za wysokie budynki, a ona prawie natychmiast straciła orientację. To ta jadąca przez Londyn taksówka – pomyślała. Miasto stanowiło istny labirynt, rozległe mrowisko pełne rozmaitych Road, Mew, Hill, Close (a nawet Inn) i zupełnie nie rozumiała, jak mieszkańcy mogli się w nim nie gubić. Gdy dzień wcześniej podzieliła się tą refleksją z mężem, ten odparł, że wszyscy tutaj poruszają się bardzo ostrożnie... czy nie zauważyła, że w każdej taksówce pod tablicą rozdzielczą znajduje się umieszczony tam dyskretnie

szczegółowy plan Londynu, *London Streetfinder*?

Była to najdłuższa jazda taksówką, jaką odbyli w życiu. Zostawili za sobą modne dzielnice (choć mieli nieodparte uczucie, że krążą w kółko). Minęli rejony zabudowane monolitycznymi, piętrzącymi się nad nimi budynkami, które sprawiały wrażenie całkowicie wymarłych (nie – poprawiła się później podczas rozmowy z Vetterem i Farnhamem w małym, pomalowanym na biało pokoju: widziała jakiegoś chłopczyka, który siedział na krawężniku i pstrykał zapalkami), następnie przebyli rejon niewielkich, raczej nędznych sklepików i straganów warzywno-owocowych, a potem nagle – nic dziwnego, że jazda przez Londyn mogła tak przybyszom zamieszać w głowie – znów znaleźli się w eleganckiej dzielnicy.

– Był tam nawet McDonald's – oświadczyła Vetterowi i Farnhamowi Doris tonem, jakim zazwyczaj mówi się o Sfinksie i Wiszących Ogrodach.

– Naprawdę? – zainteresował się Vetter ze stosownym zdziwieniem i szacunkiem.

Kobieta odzyskała już w dużym stopniu pamięć, a on chciał utrzymać ją w tym nastroju aż do chwili, kiedy powie im wszystko, co wie.

Zostawili za sobą elegancką dzielnicę, której serce stanowił McDonald's. Przez chwilę posuwali się okolicą zabudowaną niskimi domkami, gdzie spostrzegli, że wiszące nisko nad horyzontem słońce stanowi już wielką, pomarańczową kulę zalewającą ulice dziwnym światłem. W jego blasku wszyscy przechodnie wyglądali tak, jakby lada chwila mieli stanąć w płomieniach.

– I wtedy wszystko zaczęło się zmieniać – oświadczyła Doris.

Głos jej się załamał, dłonie ponownie zaczęły drżeć.

Vetter pochylił się czujnie.

– Zmieniać? Jak? W jaki sposób wszystko zaczęło się zmieniać, pani Freeman?

Powiedziała, że mijali właśnie kiosk z gazetami, a na wywieszonej nad nim tablicy z najważniejszymi wiadomościami dostrzegli napis: **SZEŚĆDZIESIĄT OSÓB ZAGINĘŁO PODCZAS HORRORU W METRZE.**

- Lonnie, spójrz na to!
- Na co? – Odwrócił się, ale sklep z gazetami został już za nimi.
- Tam było napisane: „Sześćdziesiąt osób zginęło podczas horroru w metrze”. Czy metro to to samo co kolej podziemna?
- Tak... potocznie rura. Czy to wykoleiły się wagony?
- Nie wiem. – Pochyliła się do szofera. – Panie kierowco, czy słyszał pan coś o tej katastrofie? Czy to kolizja w kolei podziemnej?
- Zderzenie, proszę pani. Ale nic więcej mi o tym nie wiadomo.
- Czy ma pan radio?
- Mam, ale nie w samochodzie.
- Lonnie?
- Hmmm?

Lonnie jednak stracił już zainteresowanie wypadkiem. Znowu przetrząsał kieszenie (a ponieważ był w trzyzęściowym garniturze, miał ich wiele do sprawdzenia), podejmując kolejną próbę odnalezienia kartki z adresem Johna Squalesa.

Doris ciągle miała w pamięci wypisaną kredą na tablicy ogłoszeniowej wiadomość. Powinno być: SZEŚĆDZIESIĄT OSÓB ZGINEŁO PODCZAS HORRORU W RURZE; tak właśnie powinno być napisane. Ale... SZEŚĆDZIESIĄT OSÓB ZAGINEŁO PODCZAS HORRORU W METRZE? Słowa te budziły w niej niepokój. Napis głosił „zginęło”, tak jak w dawnych czasach mówiło się o marynarzach, którzy utonęli w morzu, a nie „zginęło”.

HORROR W METRZE.

Bardzo się to jej nie podobało. Przywodziło na myśl cmentarze, kanały, białe, flakowate, odrażające stwory, które wyrają się nagle z tunelu metra, chwytają ramionami (zapewne są to macki) nieszczęsnych pasażerów stojących na peronach i wloką ich w mrok...

Skrećili w prawo. Na rogu stały zaparkowane trzy motocykle, a obok nich gawędzili trzej chłopcy w skórach. Spoglądali przez chwilę na taksówkę. Promienie zachodzącego słońca padały im na twarze pod takim kątem, iż wydawało się, że motocykliści nie mają ludzkich głów. Przez ułamek sekundy Doris miała

straszna pewność, że nad skórzanymi kurtkami, na karkach chłopaków siedzą smukłe głowy szczurów, które czarnymi oczyma śledzą przejeżdżające auto. W chwilę później światło zmieniło odrobinę kąt padania i Doris zrozumiała swój błąd. Przy motorach stało trzech młodych ludzi, paliło papierosy, a za plecami mieli angielski odpowiednik amerykańskiego sklepiku ze słodyczami.

– Jesteśmy na miejscu – oświadczył Lonnie, wskazując palcem za okno.

Mijali właśnie tabliczkę z napisem „Crouch Hill Road”. Otoczyły ich, niczym leciwe, czcigodne matrony, stare kamienice, spoglądające na nich z góry ślepy mi oczyma okien. Tu i ówdzie dostrzec było można śmigające na rowerach i hulajnogach dzieciaki. Jakaś dwójka próbowała bez powodzenia jeździć na deskorolkach. Przed domami siedzieli ojcowie, którzy wrócili już z pracy, kurzyli papierosy, gawędzili i obserwowali dzieciarnię. Widok był kojąco normalny.

Taksówka zatrzymała się przed posepnie wyglądającą restauracją z małym napisem na szybie: PROWADZIMY WYSZYNK. Pośrodku witryny widniał dużo większy napis informujący, że zakład prowadzi sprzedaż potraw z curry na wynos. Na wewnętrznej części werandy, za wielką taflą szkła drzemał gigantyczny bury kot. Obok restauracji znajdowała się budka telefoniczna.

– Tutaj, szefie – poinformował kierowca taksówki. – Znajdź pan adres swego kumpla i natychmiast tam jedziemy.

– Doskonale – odparł Lonnie i wysiadł z samochodu.

Doris rozsiadła się wygodnie w fotelu, ale po chwili i ona postanowiła rozprostować nogi. Na ulicy nieustannie wiał gorący wiatr. Owinął jej spódnicę wokół kolan, a następnie przykleił do łydki stare opakowanie po lodach. Z grymasem niesmaku odrzuciła papier. Kiedy uniosła głowę, ujrzała przed sobą za szybą wielkiego, burego kocura. Łypnął na nią nieodgadnienie swym jedynym okiem. Połowę pyska miał obdartą ze skóry w jakiejś dawnej kociej bójce. Pozostała mu różowawa, pofałdowana blizna pokryta tkanką, zaćmione kataraktą ślepie i kilka kłaków futra.

Zwierzę bezgłośnie miauknęło za szybą.

Poczuła obrzydzenie. Podeszła do budki telefonicznej i zajrzała do środka

przez jedną z brudnych szybek. Lonnie pokazał jej kółko utworzone z kciuka i palca wskazującego, a potem puścił perskie oko. Wrzucił do otworu automatu dziesięciopensówkę i zaczął z kimś rozmawiać. Roześmiał się, ale przez szybki do Doris nie dotarł dźwięk. Podobnie jak miauknięcie kota. Obejrzała się w stronę restauracji, lecz okno werandy było puste. W panującym wewnątrz półmroku dostrzegła stoliki z ustawionymi na nich do góry nogami krzesłami i jakiegoś starszego jegomościa, który zamiatał podłogę. Gdy znów popatrzyła w stronę budki, zobaczyła, że Lonnie coś zapisuje. Następnie schował pióro, a w ręce trzymał kartkę. Doris widziała zanotowany adres. Mąż powiedział do mikrofonu jeszcze kilka słów, odwiesił słuchawkę i wyszedł z budki.

Pomachał triumfalnie kartką.

– W porządku, ma... – Popatrzył nad jej ramieniem i zmarszczył brwi. – Gdzie się podziała ta cholerna gablota?

Doris odwróciła się. Taksówka zniknęła. Krawężnik, przy którym stała, był pusty, a wiatr porywał leniwie z rynsztoka kilka papierów. Po przeciwnej stronie ulicy przystanęło objętych ramionami dwoje dzieci i chichotało. Doris spostrzegła, że jedno z nich ma zdeformowaną dłoń. Palce przypominały szpony. Błysnęło jej w głowie, że powinna się tym zająć opieka społeczna. Dzieci po drugiej stronie jezdni, widząc, że obserwuje je obca kobieta, ponownie padły sobie w objęcia i znów zachichotały.

– Nie wiem – powiedziała.

Czuła się zdezorientowana i trochę otumaniona. Upał, wiejący nieustannie monotonny wiatr, światło prawie jak na malowidle...

– Która to była godzina? – zapytał nagle Farnham.

– Nie wiem – odparła Doris Freeman wystraszona naraz własną opowieścią. – Około szóstej. Może dwadzieścia po.

– Rozumiem, proszę mówić dalej – powiedział Farnham, wiedząc doskonale, że w sierpniu o tej godzinie słońce nie mogło jeszcze zachodzić.

Słońce chowało się za horyzont dopiero dobrze po siódmej.

– Co on zrobił? – zapytał Lonnie, ciągle się rozglądając. Zupełnie jakby się

spodziewał, że jego złość sprawi, iż taksówka wróci. – Tak po prostu wziął i odjechał?

– Może, gdy dawałeś mi z budki znaki, pomyślał, że to jemu sygnalizujesz, że jest wolny – odrzekła Doris, podnosząc rękę i robiąc kółko z kciuka i wskazującego palca; dokładnie takie samo, jak zrobił to w budce Lonnie.

– Mógłbym machać i machać, skoro na liczniku miał niezapłacone dwadzieścia pięć funtów – burknął Lonnie i podszedł do skraju chodnika. Po drugiej stronie jezdni dwójka dzieciaków wciąż chichotała. – Ej! – zawołał. – Dzieci!

– Pan jest Amerykaninem? – odkrzyknął chłopiec ze szponiastą dłonią.

– Tak – odrzekł z uśmiechem Lonnie. – Widzieliście tu taksówkę? Widzieliście, jak odjeżdżała?

Dwoje dzieci przez chwilę zastanawiało się nad pytaniem.

Jedno z nich okazało się dziewczynką w wieku mniej więcej pięciu lat. Miała niechlujnie zaplecione, brązowe warkoczyki sterczące w przeciwne strony. Podeszła do krawężnika po swojej stronie ulicy, z uśmiechem przyłożyła dłonie do ust i nie przestając się uśmiechać, wrzasnęła:

– Spieprzaj, Joe!

Lonniemu opadła szczęka.

– Proszę pana! Proszę pana! Proszę pana! – zaczął z kolei wydzierać się chłopak, salutując swą kaleką dłonią.

Po chwili oboje odwrócili się na pięcie i odbiegli. Zniknęli za najbliższym rogiem, zostawiając za sobą echo śmiechu.

Kompletnie oszołomiony Lonnie popatrzył na Doris.

– Podejrzewam, że niektóre dzieci z Crouch End nie przepadają za Amerykanami – powiedziała nieprzekonująco.

Rozejrzała się nerwowo. Ulica była pusta.

– Cóż, dziecino, wygląda na to, że udamy się tam na piechotę – powiedział Lonnie, obejmując Doris ramieniem.

– Nie jestem pewna, czy mam na to chęć. Te dzieciaki mogły pobiec po starszych braci. – Roześmiała się, żeby pokazać, że miał to być wyłącznie żart.

Niemniej śmiech zabrzmiał nienaturalnie piskliwie.

Atmosfera wieczoru stawała się osobliwie surrealistyczna. Bardzo się to Doris nie podobało. Chciała już tylko wrócić do hotelu.

– Nie mamy większego wyboru – odparł. – Jakoś nie ciągną tą ulicą sznury taksówek.

– Lonnie, dlaczego ten taksówkarz nas tu zostawił? Sprawiał bardzo sympatyczne wrażenie.

– Nie mam najmniejszego pojęcia. Ale John dokładnie mi wytłumaczył, jak się dostać do jego domu. Mieszka na uliczce Brass End, która jest maleńkim, ślepym zaułkiem. Powiedział, że nie ma jej nawet na planie Londynu. – Rozmawiając, oddalali się od budki telefonicznej, restauracji, w której sprzedawano na wynos potrawy z curry, i od pustego obecnie krawężnika. Znów posuwali się w górę Crouch Hill Road. – Musimy skręcić w prawo w Hillfield Avenue, w połowie tej ulicy w lewo, a następnie w pierwszą w prawo... a może w lewo? Nie ważne, musimy skręcić w Petrie Street. Druga uliczka w lewo to Brass End.

– I ty to wszystko zapamiętałeś?

– Występuję jako główny świadek – odparł dziarsko i Doris się roześmiała.

Lonnie zawsze potrafił rozładować napiętą atmosferę.

Na ścianie w korytarzu posterunku na Crouch End wisiał plan dzielnicy, znacznie bardziej szczegółowy od planów w *London Streetfinder*. Farnham zbliżył się do mapy i trzymając ręce w kieszeniach, zaczął ją z uwagą studiować. Na posterunku panowała cisza i spokój. Vetter jeszcze nie wrócił z przechadzki – Farnham miał nadzieję, że przeczyści sobie omroczone wiedźmami mózg – a Raymond dawno już skończył z Pakistanką, której ukradziono torebkę.

Farnham przyłożył palec do punktu, gdzie taksówkarz najprawdopodobniej zostawił swoich pasażerów (jeśli w ogóle można było wierzyć choć w jedno słowo tej Amerykanki). Droga do domu ich znajomego była prosta. Crouch Hill Road do Hillfield Avenue, następnie w lewo na Vickers Lane, skąd znów w lewo na Petrie Street, od której odchodziła Brass End. W zaułku tym stało nie więcej niż sześć czy osiem domów. Około półtora kilometra wędrówki. Na takim odcinku nawet Amerykanie nie powinni byli zabłądzić.

– Raymond! – zawołał. – Jesteś tam jeszcze?

Pojawił się sierżant. Był już gotów do wyjścia i wkładał cienką, popelinową kurtkę.

– Jestem, ale już wychodzę, moja ty miłości bez brody.

– Daj spokój – odparł Farnham, ale się roześmiał.

Raymond trochę go przerażał. Wystarczyło jedno spojrzenie na jego nawiedzoną gębę, żeby pojąć, że stoi trochę zbyt blisko płotu oddzielającego dobrego człowieka od łotra. Na jego twarzy, od lewego kącika ust prawie aż do grdyki, ciągnęła się wielka, gruba blizna. Raymond zaklinał się, że to robota złodzieja kieszonkowego, który kiedyś o mało nie poderżnął mu gardła butelką z utracionym denkiem. Zaklinał się też, iż dlatego właśnie łamie im palce. Zdaniem Farnhama jednak była to bzdura. Osobiście uważał, że Raymond łamie złodziejaskom palce dlatego, że lubi szczęk pękających kości; zwłaszcza w kłykciach.

– Masz fajkę? – zapytał Raymond.

Farnham westchnął, podał mu papierosa, a kiedy sierżant go zapalał, spytał:

– Czy na Crouch Hill Road jest jakiś lokal, w którym serwują curry?

– O niczym takim nie słyszałem, moja ty największa miłości – odrzekł Raymond.

– Tak myślałem.

– Masz jakiś problem, kochanie?

– Nie – odparł Farnham trochę za ostro.

Pamiętał zlepione włosy i wytrzeszczone oczy Doris Freeman.

Pod koniec Crouch Hill Road Doris i Lonnie Freemanowie skręcili w Hillfield Avenue, wzdłuż której ciągnęły się okazałe, miło wyglądające domy; jak muszelki – pomyślała – w których urządzono mieszkania i salony.

– Jak dotąd wszystko się zgadza – oświadczył Lonnie.

– Tak, wszystko się... – zaczęła i w tej samej chwili dotarł do nich cichy jęk.

Oboje przystanęli. Jęk dobiegł z prawej strony, z okolonego wysokim żywopłotem podwórka. Lonnie ruszył w tamtą stronę, ale żona chwyciła go za ramię.

– Lonnie, nie!

– Dlaczego nie? – zapytał. – Przecież tam ktoś jest ranny.

Targana strachem Doris ruszyła za mężem. Żywopłot był wysoki, ale cienki. Lonnie bez trudu rozgarnął krzaki, za którymi znajdował się niewielki, kwadratowy trawnik okolony kwiatami. Trawa była niezwykle zielona. Pośrodku zielenca czerniała dymiąca plama – tak to w każdym razie wyglądało na pierwszy rzut oka. Kiedy Doris wychyliła się i zerknęła zza pleców Lonniego – mężczyzna był za wysoki, żeby mogła spojrzeć ponad jego ramieniem – zobaczyła, że jest to jama przypominająca kształtem człowieka. Z dołu unosiły się smużki dymu.

SZEŚĆDZIESIĄT OSÓB ZAGINĘŁO PODCZAS HORRORU W METRZE – pomyślała nieoczekiwanie.

Jęki dochodziły z jamy i Lonnie zaczął przedzierać się przez zarośla.

– Lonnie – powiedziała Doris. – Proszę, nie!

– Przecież tam ktoś jest ranny – powtórzył i z szelestem przedarł się przez chaszczę.

Obserwowała, jak zbliża się do dołu, ale krzaki wyprostowały się nagle, zasłaniając jej widok, i mogła jedynie patrzeć na niewyraźny zarys sylwetki męża podchodzącego do dziury w ziemi. Próbowwała przedrzeć się za nim, ale gałęzie krzaków były twarde i kłujące, a ona miała na sobie cienką bluzkę z krótkimi rękawami.

– Lonnie! – zawołała nagle bardzo wystraszona. – Lonnie, wracaj!

– Za chwileczkę, kochanie!

Znad żywopłotu dom spoglądał na nią beznamiętnie oczyma okien.

Jęki nie ustawały, ale teraz były niższe, bardziej gardłowe, na swój sposób rozradowane. Czyż Lonnie tego nie słyszy?

– Ej, jest tam ktoś? – usłyszała wołanie Lonniego. – Czy ktoś... ej! Jezu!

Lonnie zaczął wrzeszczeć.

Nigdy dotąd nie słyszała, żeby Lonnie krzyczał, i teraz na dźwięk jego głosu zmiękły pod nią kolana. Rozejrzała się gorączkowo po żywopłocie, szukając w nim jakiejś wyrwy, ale przed sobą miała tylko zbitą ścianę zarośli. Przed oczyma zawirowały jej obrazy: motocykliści ze szczerzymi głowami, kot z mięsem zamiast pyska, chłopiec ze szponiastą dłonią.

Lonnie! – próbowała krzyknąć, ale z ust nie wydobył się jej żaden dźwięk.

Dobiegły ją odgłosy szamotaniny. Jęki ucichły, a ich miejsce zajęły jakieś lekkie, wilgotne, mlaszczące hałasy. I nagle przez gęste gałęzie porośnięte przykurzonymi liśćmi przeleciał Lonnie; zupełnie jakby ktoś popchnął go z przerażającą siłą. Lewy rękaw marynarki miał rozdarty, pokrywały go strużki czarnej substancji, dymiącej podobnie jak dziura w trawniku.

– Doris, uciekajmy!

– Lonnie, co...

– Uciekajmy! – Twarz miał białą jak twaróg.

Doris rozejrzała się dziko za policjantem. Za kimkolwiek. Ale Hillfield Avenue stanowiła część jakiegoś ogromnego, wymarłego miasta. Kiedy znów spojrzała na żywopłot, dostrzegła, że coś się za nim rusza, coś, co było czarniejsze niż sama czerń. Mroczny kształt barwy hebanu stanowiący antytezę światła.

To coś mlaskało.

W chwilę później zaczęły szeleścić gałęzie żywopłotu. Patrzyła na zarośla jak zahipnotyzowana. Mogłaby tak stać całą wieczność (oświadczyła to Vetterowi i Farnhamowi) i gdyby nie Lonnie, który chwycił ją brutalnie za ramię i wrzasnął na nią – właśnie tak, Lonnie, który nigdy nawet nie podniósł głosu na dzieci, ryknął na nią – to zapewne stałaby tam do teraz. Stała albo...

Zaczęli uciekać.

Dokąd? – chciał wiedzieć Farnham, ale ona nie wiedziała. Wiedziała tylko, że Lonnie był kompletnie rozbity, w stanie histerycznej paniki... wiedziała tylko to. Zacisnął palce na jej nadgarstku jak kajdanki i oddalali się pędem od górującego nad żywopłotem domu oraz dymiącej jamy w trawniku. Wiedziała tylko to. Resztę stanowił wyłącznie szereg mglistych impresji.

Początkowo biegło im się bardzo ciężko, później ucieczka stała się łatwiejsza, ponieważ ulica schodziła ze wzgórza. Skręcili.

I jeszcze raz skręcili. Szare domy z wysokimi werandami i zamkniętymi zielonymi okiennicami gapiły się na nich niczym ślepi emerycy. Pamiętała, że Lonnie, nie zwalniając, ściągnął poplamioną czarną mazią marynarkę i odrzucił ją. W końcu dotarli do jakiejś szerszej ulicy.

– Zatrzymaj się – sapnęła. – Zatrzymaj się. Ja już nie mogę!

Wolną ręką dotknęła boku, który przeszywał jej ostry ból, jakby ktoś wbijał tam rozpaloną igłę.

Przystanęli. Wydostali się z terenów zabudowanych willami i stali na rogu Crouch Lane i Norris Road. Drogowskaz po drugiej stronie Norris Road mówił, że od Slaughter Townen dzielą ich dwa kilometry.

– Town? – zasugerował Vetter.

– Nie – odparła Doris Freeman. – Slaughter Townen; z „e” w środku.

Raymond zdusił papierosa, którego wyżebrał od Farnhama.

– Znikam – oznajmił, po czym obrzucił Farnhama baczny spojrzeniem. – Moja kruszynka powinna bardziej o siebie dbać. Ma pod oczętami wielkie sińce. Czy nie rosną ci włosy na łapkach, dziecinko?

Wybuchnął gromkim śmiechem.

– Czy słyszałeś o ulicy Crouch Lane? – zapytał Farnham.

– Masz chyba na myśli Crouch Hill Road.

– Nie, mam na myśli Crouch Lane.

– Nigdy o takiej nie słyszałem.

– A o Norris Road?

– Odchodzi taka od High Street w Basingstoke...

– Nie, tutaj.

– Nie, tutaj, kruszynko, takiej ulicy nie ma.

Z powodów, których nie rozumiał – kobieta musiała być na bańce – Farnham wypytywał dalej.

– A co powiesz o nazwie Slaughter Townen?

– Townen, mówisz? Nie Town?

– Tak, Townen.

– Nigdy o takim miejscu nie słyszałem, ale gdybym nawet słyszał, omijałbym je szerokim łukiem.

– Dlaczego?

– Ponieważ w prastarym języku druidzkim słowo „touen” lub „townen” oznaczało miejsce składania rytualnych ofiar. Innymi słowy wyrywano tam ludziom

wątroby i ślepia.

Powiedziawszy to, Raymond zapiął kurtkę i wymknął się z posterunku.

Farnham popatrzył za nim z niepokojem. Zrobił sobie ze mnie jajo – powiedział w duchu. – Co taki twardy gliniarz jak Sid Raymond może wiedzieć o druidach, skoro zapomniał nawet, jak idzie „Ojcze nasz”.

Racja.

Ale choć zdobył ten strzęp informacji, nie zmieniało to wcale faktu, że tamta kobieta była...

– Chyba wariuję – oświadczył Lonnie i roześmiał się niepewnie.

Gdy Doris wcześniej spojrzała na zegarek, dochodziła za kwadrans ósma. Światło zmieniło się z czysto pomarańczowego na zawiesiście i mrocznie czerwone. Jego promienie odbijały się od witryn sklepów na Norris Road i widniejąca w perspektywie ulicy kościelna wieża sprawiała wrażenie zbryzganej krwią. Samo słońce przypominało stojącą nad horyzontem spłaszczoną kulę.

– Co tam się stało? – zapytała Doris. – Lonnie, co to było?

– Zgubiłem marynarkę. A w niej miałem kartkę.

– Wcale jej nie zgubiłeś, Lonnie. Sam ją z siebie ściągnąłeś. Była poplamiona...

– Nie bądź głupia – warknął na Doris, ale w oczach nie miał gniewu. Jego wzrok był rozmyty, zszokowany, błędny.

– Zgubiłem ją i tyle.

– Lonnie, co się wydarzyło, kiedy sforsowałeś żywopłot?

– Nic. Nie mówmy o tym. Gdzie jesteśmy?

– Lonnie...

– Nie pamiętam – odparł ciszej. – Mam pustkę w głowie. Szliśmy tamtędy... usłyszeliśmy jęk... a później uciekałem. To wszystko, co pamiętam. – I nieoczekiwanie dodał tonem wystraszonego śmiertelnie dziecka: – Jak mogłem wyrzucić marynarkę? Przecież bardzo ją lubiłem. Pasowała do spodni.

Zadarł głowę i wybuchnął przerażającym, szaleńczym śmiechem.

Doris nieoczekiwanie uświadomiła sobie, że cokolwiek ujrzał za żywopłotem,

kompletnie wytrąciło go z równowagi. Nie była pewna, czy to samo jej by nie spotkało... gdyby to zobaczyła. Nieważne. Muszą się stąd wydostać. Wrócić do hotelu, w którym czekają na nich dzieci.

– Poszukajmy taksówki. Chcę wracać do domu.

– Ale John... – zaczął.

– Nie obchodzi mnie John! – wrzasnęła. – Tu coś jest nie w porządku, wszystko tu jest nie w porządku, dlatego chcę wsiąść do taksówki i wrócić do domu!

– Dobrze, zgoda. Dobrze. – Lonnie przeciągnął drżącą dłońią po czole. – Jestem tego samego zdania. Tyle że nie ma tu żadnych taksówek.

Rzeczywiście po Norris Road, która była szeroką, wyłożoną kostką ulicą, nie przejeżdżał żaden samochód. Jej środkiem biegły stare szyny tramwajowe. Po drugiej stronie, przed kwiaciarnią, stał zaparkowany trzykołowy pojazd dostawczy. Dalej, już po ich stronie, widać było oparty ukośnie na podnóżku motocykl Yamaha. I to wszystko. Słyszeli warkot silników samochodowych, ale dobiegał gdzieś z daleka i był bardzo stłumiony.

– Może ta ulica jest zamknięta z powodu robót drogowych – mruknął Lonnie, po czym zrobił dziwną rzecz... dziwną w każdym razie jak na niego, bo zazwyczaj był tak beztroski i pewny siebie.

Obejrzał się przez ramię, jakby się obawiał, że ktoś ich tropi.

– Chodźmy – powiedziała.

– Dokąd?

– Dokądkolwiek. Wynośmy się z Crouch End. Kiedy już opuścimy tę dzielnicę, złapiemy jakąś taksówkę.

Nagle była o tym najgłębiej przekonana.

– W porządku.

Bez słowa sprzeciwu oddał żonie inicjatywę.

Ruszyli wzdłuż Norris Road w kierunku zachodzącego słońca. Do ich uszu dobiegał nieustannie szum samochodów, ale ani nie cichł, ani nie stawał się głośniejszy. Przypominało to zawroźnienie wiatru. Panująca wokół pustka zaczynała działać Doris na nerwy. Odnosiła wrażenie, że są obserwowani, starała się stłumić to odczucie, ale nie mogła. Odgłos ich kroków

(SZEŚĆDZIESIĄT OSÓB ZAGINĘŁO PODCZAS HORRORU W METRZE)

wzbudzał liczne, dźwięczne echa. Zdarzenie przy żywopłocie coraz bardziej drażyło jej umysł i w końcu musiała zapytać:

– Lonnie, co to było?

– Nie pamiętam – odparł po prostu. – I nie chcę pamiętać.

Minęli nieczynny sklep. Na wystawie piętrzyły się orzechy kokosowe niczym oparte o szybę wyschnięte głowy. Minęli pralnię, gdzie białe pralki ustawione pod ścianami wyłożonymi płytami z różowego gipsu sprawiały wrażenie kwadratowych zębów w martwych dziąsłach. Minęli sklep z zachlapaną wapnem szybą i z tabliczką: DO WYNAJĘCIA. Za smugami wapna coś się ruszało i Doris spostrzegła, że gapi się na nią kot z różowym, poszarpanym w bitwie pyskiem. Ten sam bury kocur.

Wejrzała głęboko w swój umysł. Z wolna zaczynało ogarniać ją przerażenie. Poczowała paskudny ucisk w kiszkiach, w ustach nieprzyjemny smak, jakby przedawkowała płyn do płukania dziąseł. W promieniach zachodzącego słońca kostka na jezdni Norris Road zdawała się pławić we krwi.

Zbliżali się do przejścia pod wiaduktem. Nie możesz – podszeptała jej całkiem rozsądnie umysł. – Nie możesz przejść tym tunelem, bez względu na to, czy coś się w nim czai, czy nie. Nie prosz mnie, bym tam weszła, ponieważ nie mogę tego zrobić.

Inna część jej umysłu zapytała, czy w takim razie potrafi zawrócić i ponownie przejść obok pustego sklepu z wałęsającym się wewnątrz kotem (jak zdołał się przemieścić tam z restauracji? – najlepiej nie pytać; a może właśnie należałoby się nad tym głęboko zastanowić?), minąć dziwną pralnię przypominającą rozdziawione usta, minąć Sklep z Wyschniętymi Głowami. Podejrzewała, że jej na to nie stać.

Zbliżyli się do wiaduktu. Z zadziwiającą prędkością pomykał nim dziwnie pomalowany, sześciowagonowy pociąg. Miał barwę białej kości, jak oszalała panna młoda mknąca na spotkanie swego oblubieńca. Koła krzeswały pęki jaskrawych iskier. Oboje odruchowo odskoczyli, a Lonnie wrzasnął. Doris popatrzyła na niego i ujrzała, że w ciągu ostatniej godziny stał się kompletnie kimś

innym, kimś, kogo nigdy dotąd nie widziała, a nawet w ogóle nie podejrzewała, że ktoś taki może istnieć. Włosy mu posiwiały i jakkolwiek przekonywała się – przekonywała najmocniej, jak potrafiła – że to wyłącznie gra światła, to właśnie widok jego włosów sprawił, że podjęła decyzję. Lonnie w żadnym wypadku nie mógł wracać. A zatem... pod wiadukt.

– Chodź – powiedziała i wzięła go za rękę. Ścisnęła mu mocno palce, tak żeby się nie zorientował, jak bardzo drżą jej dłonie. – Im szybciej to zrobimy, tym szybciej będziemy mieć to za sobą.

Ruszyła przodem, a on posłusznie poszedł za nią.

Byli już prawie po drugiej stronie – to bardzo wąski wiadukt, pomyślała ze śmieszną wręcz ulgą – kiedy za biceps chwyciła ją czyjaś dłoń.

Nawet nie wrzasnęła. W jednej chwili płuca zamieniły się w dwie zmięte, papierowe torby. Umysł chciał wyrwać się z ciała i po prostu... ulecieć. Lonnie zabrał rękę. Był nieświadom niczego. Wyszedł na drugą stronę wiaduktu. Przez chwilę widziała jego sylwetkę, wysoką i szczupłą na tle krwistych, oszalałych kolorów zachodzącego słońca, po czym w jednej chwili zniknął.

Ściskająca jej ramię dłoń była owłosiona jak ręka małpy. Odwróciła Doris bezlitośnie w stronę potężnego, masywnego kształtu pod betonową ścianą tunelu. Sylwetka wisiała między podwójnym cieniem rzucanym przez dwie betonowe podpory wiaduktu i Doris mogła rozróżnić jedynie niewyraźny kształt... kształt i parę świetlistych, zielonych oczu.

– Daj nam szluga, kochanie – odezwał się cockneyem szorstki głos, a Doris poczuła zapach mięsa, smażonych w głębokim oleju frytek i jeszcze jakąś słodką, odrażającą zarazem woń resztek na dnie pojemnika na śmieci.

Zielone oczy należały do kota i Doris nabrała nagle straszliwej pewności, że jeśli masywna postać wyjdzie z cienia, ujrzy zaciągnięte bielmem katarakty ślepie, straszliwą bliznę i kłaki futra.

Oswobodziła rękę, cofnęła się i poczuła, że obok niej coś śmignęło. Ręka? Szpony? Syczące parsknięcie...

Nad głową zadudnił kolejny pędzący pociąg. Ryk był potworny, porażał mózg. Sypnęło sadzą niczym czarnym śniegiem. Po raz drugi tego wieczoru

ogarnięta paniką, Doris rzuciła się do ucieczki, sama nie wiedząc dokąd... nie wiedziała też, jak długo będzie.

Opamiętanie przyszło dopiero wtedy, gdy dotarło do niej, że Lonnie zniknął. Oparła się całym ciężarem o brudną ceglana ścianę i ciężko, aż do łez, łapała powietrze. Ciągle znajdowała się na Norris Road (w każdym razie tak się jej wydawało – oświadczyła później dwóm policjantom – ponieważ szeroka jezdnia ciągle była wyłożona kostką, a jej środkiem biegły szyny tramwajowe), ale wymarłe, obracające się w ruinę sklepy ustąpiły miejsca wymarłym, obracającym się w ruinę magazynom. Na jednym wisiała brudna, poplamiona tablica z napisem DAWGLISH & SONS. Na innym zwietrzałym ceglany murze widniało słowo ALHAZRED wymalowane na zielono staroświeckimi literami. Poniżej ciągnęły się arabskie wężyki i zawijasy.

– Lonnie! – zawołała.

Mimo panującej ciszy nie odpowiedziało jej nawet echo (Nie, nie była to cisza kompletna – oświadczyła policjantom. – Ciągle dobiegał ją turkot ruchu ulicznego, i to jakby odrobinę bliżej). Odniosła wrażenie, że słowo, które wyszło jej z ust, spadło na ziemię niczym kamień. Krew zachodzącego słońca zastąpił zimny, szary popiół zmierzchu. Po raz pierwszy do świadomości Doris dotarło, że noc może ją zastać w Crouch End – jeśli rzeczywiście było to jeszcze Crouch End – i na tę myśl ponownie ogarnęło ją przerażenie.

Oświadczyła Vetterowi i Farnhamowi, że w czasie – nie wiedziała zupełnie, ile go upłynęło – między przybyciem do budki telefonicznej a końcową zgrozą, nie nachodziły ją żadne refleksje, myśli zaś nie układały się w żaden logiczny ciąg. Po prostu reagowała jak wystraszone zwierzę. I została sama. Wiedziała tylko, że chce, by pojawił się Lonnie. I tylko o tym myślała. Z całą pewnością nie zaświtało jej w głowie pytanie, jak to możliwe, żeby okolice oddalone od Cambridge Circus najwyżej o dziesięć kilometrów były tak kompletnie wyludnione.

Doris Freeman, nawołując bez przerwy męża, ruszyła przed siebie. Jej głos, w przeciwieństwie do kroków, nie wzbudzał echa. Norris Road zaczęły wypełniać cienie. W górze niebo było purpurowe. Mógł to być jakiś dziwaczny efekt

światlny nadchodzącego wieczoru lub też doznawała omamów powodowanych zmęczeniem. W każdym razie wydawało jej się, że magazyny pochylają się łakomie nad ulicą. Okna, na których od dziesięcioleci – a zapewne od wieków – zalegał kurz, jakby się na nią gapiły. A napisy na szyldach stawały się coraz dziwniejsze, zgoła szalone; w końcu zupełnie nie do wymówienia. Samogłoski były na niewłaściwych miejscach, a spółgłoski zostały tak pozostawiane, że ludzkie usta nie potrafiły ich wymówić. Jeden z napisów głosił: CTHULHU KRYON; poniżej figurowały arabskie robaki. YOGSOGGOTH – głosił inny. Na kolejnym widniało: R'YELEH. Jeden z nich zapamiętała szczególnie: NRTESN NYARLAHOTEP.

– Jak pani zdołała zapamiętać takie łamańce językowe? – zapytał Farnham.

Doris Freeman potrząsnęła głową powoli i ze znużeniem.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. To jak koszmar senny, który chce się po przebudzeniu jak najszybciej zapomnieć, ale on nie znika jak zwyczajny sen. Po prostu draży pamięć, draży i draży.

Norris Road ciągnęła się w nieskończoność; wyłożona kostką, z szynami tramwajowymi pośrodku. Doris, jakkolwiek nieustannie wlokła się przed siebie, nie wierzyła już, że potrafi jeszcze biec, choć później – jak oświadczyła policjantom – jednak biegła, to przestała już wzywać Lonniego. Była śmiertelnie wystraszona, paraliżował ją strach, strach tak wielki, że nie wierzyła, iż istota ludzka potrafi znieść taki strach i nie pogrążyć się w szaleństwie lub nie paść trupem na miejscu. Nie potrafiła wysłować tego strachu. Mogła jedynie stwierdzić, że było to jak balansowanie nad otchłanią, która otworzyła się w jej umyśle i sercu. Powiedziała, iż było to tak, jakby nie znajdowała się już na Ziemi, lecz na innej planecie, w miejscu tak obcym, że umysł ludzki nie starał się go nawet zgłębiać. Kąty zdawały się inne – oświadczyła. – Kolory zdawały się inne... Otoczenie... nie, to beznadziejne.

Mogła tylko wędrować pod zdeformowanym niebem śliwkowej barwy, wśród niesamowitych, piętrzących się wokół budynków i mieć nadzieję, że kiedyś się to wszystko skończy.

I skończyło się.

Nagle ujrzała przed sobą stojące na chodniku dwie postaci: dzieci, które ona i Lonnie spotkali wcześniej. Chłopiec pociągnął swą szponiastą dłonią za mysi warkoczyk dziewczynki.

- To Amerykanka – powiedział.
- Zgubiła się – odrzekła dziewczynka.
- Zgubiła swego męża.
- Zgubiła drogę.
- Znalazła drogę mroczniejszą.
- Drogę, która prowadzi do komina.
- Straciła nadzieję.
- Znalazła Świstacza z Gwiazd...
- ...Pożeracza Wymiarów.
- ...Ślepego Kobziarza...

Słowa płynęły szybciej i szybciej, zamieniając się w litanie, padały z oślepiającą wręcz prędkością. W ich takt Doris zaczęło wirować w głowie. Budynki się pochylały. Na niebie pojawiły się gwiazdy, ale nie były to jej gwiazdy, inne niż te, do których wzdychała jako dziewczynka i do których wzdychała jako kobieta. Były to szalone gwiazdy układające się w zwariowane konstelacje. Przyłożyła dłonie do uszu, lecz to nie stłumiło płynących dźwięków i w końcu Doris wrzasnęła do dzieci:

- Gdzie jest mój mąż? Gdzie jest Lonnie? Coście mu zrobiły?

Odpowiedziała jej cisza. I po chwili dopiero odezwała się dziewczynka.

- Poszedł na dół.

Chłopiec:

- Poszedł do Kozła z Tysiącem Potomstwa.

Dziewczynka uśmiechnęła się; złośliwy grymas pełen fałszywej niewinności.

- Nie mógł nie pójść, prawda? Był napiętnowany. Ty też tam pójdziesz.

- Lonnie. Coście mu...

Chłopiec uniósł rękę i zaintonował coś wysokim, piskliwym głosem w języku, którego Doris nie rozumiała. Ale same słowa sprawiły, że o mało nie oszalała ze

strachu.

– I wtedy ulica zaczęła się ruszać – powiedziała Vetterowi i Farnhamowi. – Kostka zaczęła falować jak dywan. Unosiła się i opadała, unosiła i opadała. Szyby tramwajowe wypaczyły się i wygięły w górę; pamiętam to, pamiętam, jak odbijało się w nich światło gwiazd. Później zaczęły wypadać kamienie, najpierw pojedynczo, potem całymi potokami. Po prostu odlatywały w mrok. Wypadały, a brzmiało to tak, jakby coś się darło. Darło się ze zgrzytem... taki hałas zapewne musi panować podczas trzęsienia ziemi. I... i coś zaczęło się wydobywać na powierzchnię...

– Co? – zapytał Vetter. Pochylił się i wiercił Amerykankę wzrokiem. – Co pani widziała? Co to było?

– Macki – odparła powoli rwącym się głosem. – Myślę, że były to macki. Ale grube jak stary indyjski figowiec, a z każdej odchodziły tysiące innych, mniejszych... i były jakieś różowe stwory przypominające pijawki... z tym tylko, że chwilami odnosiłam wrażenie, iż przypominają twarze... jedna z nich przypominała twarz Lonniego... wszystkie wyrażały mękę. A poniżej, w mroku pod ulicą... w mroku na dole... tam było coś jeszcze. Jakby oczy...

W tym momencie Doris się załamała i nie była w stanie przez jakiś czas wykrztusić słowa. Zresztą okazało się później, że nie miała nic więcej do powiedzenia. Następną rzeczą, jaką zapamiętała jako tako wyraźnie, było to, że leżała skulona pod drzwiami zamkniętego sklepika z gazetami. I chociaż widziała przejeżdżające w obie strony ulicą samochody i dodający otuchy blask sodowych latarni, oświadczyła na posterunku, że leżałaby tam do teraz. Minęło ją dwoje ludzi, a Doris wtuliła się w cień w obawie, iż to dwójka tamtych dzieci. Ale to nie były dzieci; był to nastolatek z dziewczyną. Szli, trzymając się za rękę. Chłopak mówił coś o najnowszym filmie Martina Scorsese'a.

Wyszła ostrożnie na chodnik gotowa w każdej chwili dać nura w pobliską, bezpieczną wnękę kiosku z gazetami. Ale nie było takiej potrzeby. Pięćdziesiąt metrów od niej znajdowało się względnie ruchliwe skrzyżowanie, gdzie na światłach czekały samochody osobowe i ciężarówki. Po drugiej stronie ulicy mieścił się sklep jubilerski z dużym, podświetlonym zegarem na wystawie.

Wprawdzie harmonijkowe kraty były zaciągnięte, ale zdołała odczytać godzinę. Była za pięć dziesiąta.

Przeszła do skrzyżowania i mimo padającego z ulicznych latarni blasku oraz kojących hałasów ulicznych co chwila zerkała z przerażeniem za siebie. Bolało ją całe ciało. Utykała, ponieważ zgubiła obcas. Naciągnęła sobie mięśnie brzucha i obu nóg; szczególnie dokuczała jej prawa. Zupełnie jakby naderwała sobie ścięgno.

Na skrzyżowaniu zorientowała się, że w jakiś sposób dotarła do zbiegu Hillfield Avenue i Tottenham Road. Pod latarnią sześćdziesięcioletnia kobieta z siwiejącymi włosami wymykającymi się spod chustki rozmawiała z mężczyzną w podobnym wieku. Oboje popatrzyli na Doris, jakby była upiorną zjawą.

– Policja – wychrypiała Doris Freeman. – Gdzie tu jest najbliższy posterunek policji? Jestem obywatelką amerykańską... zgubiłam męża... potrzebna mi pomoc policji.

– Co się stało, kochanie? – zapytała serdecznie kobieta.

– Wygląda pani tak, jakby ktoś przepuścił panią przez wyżymaczkę.

– Wypadek samochodowy? – zainteresował się jej towarzysz.

– Nie... Nie... nie... Proszę, czy jest gdzieś w pobliżu posterunek policji?

– Tam, na Tottenham Road – wskazał ręką mężczyzna. Wyciągnął z kieszeni paczkę playersów. – Chce pani papierosa? Wygląda na to, że dobrze pani robi.

– Dziękuję – odparła, sięgając do paczki, mimo że od czterech lat już nie paliła.

Starszy jegomość musiał wodzić ognikiem zapalniczki za drżącym końcem papierosa.

Popatrzył na kobietę w chustce.

– Podejdę z tą panią, Evvie. Upewnię się, że nie zabłądzi.

– Pójdę z wami, dobrze? – odparła Evvie i objęła Doris za ramiona. – Co się wydarzyło, kochanie? Czy ktoś panią napastował?

– Nie – odparła Doris. – To... ja... ja... ulica... tam był kocur z jednym okiem... ulica się rozwarła... widziałam to... i mówiły coś o Ślepym Kobziarzu... Muszę odnaleźć Lonniego!

Zdawała sobie sprawę z tego, że mówi nieskładnie, ale nie potrafiła inaczej. Ale tak czy owak – oświadczyła Vetterowi i Farnhamowi – nie opowiadała wcale nieskładnie, ponieważ towarzyszący jej mężczyzna i kobieta cofnęli się gwałtownie, zupełnie, jakby na pytanie Evvie Doris odparła, że jest chora na dżumę.

A mężczyzna mruknął coś pod nosem. Doris była przekonana, że powiedział: „Znów to się wydarzyło”.

Kobieta wskazała kierunek.

– Posterunek jest tam. Nad wejściem wiszą takie kuliste latarnie. Zobacz pani.

Oboje bardzo szybko odeszli. Kobieta jeszcze raz obejrzała się przez ramię; Doris dostrzegła jej szeroko rozwarte, błyszczące oczy. Nie wiedząc, dlaczego to robi, ruszyła za nimi.

– Nie zbliżaj się! – zawołała piskliwie Evvie i skrzyżowała palce, jakby chciała odgonić zły urok. Jednocześnie przylgnęła do mężczyzny, który mocno objął ją ramieniem. – Skoro byłaś w Crouch End Town, nie zbliżaj się.

Z tymi słowami oboje odeszli i niebawem pochłonął ich nocny mrok.

Teraz policjant Farnham stał oparty o framugę drzwi dzielących pomieszczenie, gdzie przyjmowano interesantów, od pokoju, w którym przechowywano kartoteki. Był jednak przekonany, że nie znajdzie w nim archiwum, o jakim wspominał Vetter. Farnham przygotował sobie kolejny kubek herbaty i zapalił ostatniego papierosa z paczki; Amerykanka również wzięła od niego kilka.

Pojechała do hotelu w towarzystwie wezwanej przez Vettera pielęgniarki, która miała zostać z nią na noc i rano sprawdzić, czy Doris nie trzeba jednak zabrać do szpitala. Kłopot mogły stanowić dzieci i Farnham podejrzewał, że Doris, jako obywatelka amerykańska, z całą pewnością może narobić straszego zamieszania. Zastanawiał się, co powie dzieciakom, gdy te obudzą się następnego dnia. Czy powie im, że wielki, zły potwór z Crouch End Town

(Town)

niczym jakiś olbrzym z bajki pożarł im tatusia?

Farnham skrzywił się i odstawił kubek. To już nie jego zmartwienie. I tak, i tak, pani Freeman zostanie ściśnięta w wielkim tańcu brytyjskiej policji

z amerykańską ambasadą. Ale to już nie jego sprawa. On jest jedynie policjantem, który chce o wszystkim jak najszybciej zapomnieć. A raport niech napisze Vetter. Vetter mógł się podpisać pod takim bukietem bzdur. Był starszym, zmęczonym człowiekiem. Do czasu, gdy otrzyma złoty zegarek, emeryturę i mieszkanie, będzie policjantem pełniącym nocne służby. Farnham z kolei, który chciał jak najszybciej awansować na sierżanta, musiał bardzo zważać na drobne potknięcia.

A tak swoją drogą, gdzie podział się Vetter? Już dość dawno temu poszedł odetchnąć świeżym powietrzem.

Farnham przeszedł przez dyżurkę i wyszedł przed posterunek. Stał między dwiema kulistymi latarniami i zaczął obserwować Tottenham Road. Vettera nigdzie nie dostrzegł. Minęła trzecia w nocy i wszystko spowijała jak mroczny całun głęboka cisza. Jak to szło u Wordswortha? „Wszystkie wielkie serca spoczywają w ciszy” albo jakoś tak podobnie.

Zszedł po schodkach i zatrzymał się na chodniku. Ogarniał go jakiś niezrozumiały niepokój. Było to oczywiście niemądre i czuł do siebie złość za to, że szalona opowieść tej kobiety tak bardzo utkwiała mu w pamięci. Być może zasłużył sobie na to, że tak lękał się twardego gliniarza, jakim jest Sid Raymond.

Farnham przeszedł wolnym krokiem do rogu w nadziei, że natknie się na wracającego z nocnej przechadzki Vettera. Ale nie mógł odchodzić za daleko. Jeśli nawet na chwilę zostawi pusty posterunek, a ktoś się o tym dowie, mogą go spotkać grube nieprzyjemności. Dotarł do skrzyżowania i rozejrzał się. Śmieszne, ale odniósł wrażenie, że zniknęło gdzieś światło sodowych lamp. Bez nich ulica wyglądała zupełnie inaczej. Czy powinienem wspomnieć o tym w raporcie? – zastanowił się. – I gdzie podział się Vetter?

Zdecydował, że przejdzie jeszcze kawałek dalej i zobaczy, co się dzieje. Ale nie za daleko. Nie mógł przecież na dłużej zostawiać pustego posterunku.

Jeszcze tylko kawałeczek.

Vetter pojawił się na posterunku pięć minut po odejściu Farnhama, który udał się w przeciwną stronę. Gdyby Vetter wrócił kilka minut wcześniej, ujrzał-

by stojącego niezdecydowanie na rogu młodego policjanta, który następnie ruszył ulicą i zniknął na zawsze.

– Farnham?

Odpowiedziała mu cisza. Dobiegało go jedynie tykanie ściennego zegara.

– Farnham? – zawołał ponownie, a potem otarł usta kantem dłoni.

Nigdy nie odnaleziono Lonniego Freemana. W końcu jego żona (której posiwiały na skroniach włosy) odleciała z dziećmi do Ameryki. Polecieli concorde'em. W miesiąc później Doris usiłowała popełnić samobójstwo. Spędziła dziewięćdziesiąt dni w domu zamkniętej opieki i wyszła z niego wyleczona. Czasami, gdy nie mogła zasnąć, zwłaszcza po dniu, w którym zachodzące słońce zapadało się za horyzont pomarańczową lub czerwoną kulą, pełzła na czworakach do szafy, wsuwała się najgłębiej jak mogła pod wiszące ubrania i ołówkiem pisała po wielekroć na kartce „Strzeż się Kozła z Tysiącem Potomstwa”. W jakiś sposób przynosiło jej to ulgę.

Policjant Robert Farnham zostawił żonę i dwuletnie bliźniaczki. Sheila Farnham napisała cały szereg wściekłych elaboratów do stołecznej policji, upierając się, że dzieje się coś niedobrego, że coś przed nią ukrywają, że jej Bob został wplątany w jakieś tajne akcje. Robił wszystko, żeby awansować na sierżanta – nieustannie powtarzała w tych listach pani Farnham. W końcu urzędnicy po prostu przestali jej odpisywać. W tym samym mniej więcej czasie pani Freeman opuściła zakład. Miała kompletnie siwe włosy. Pani Farnham natomiast przeprowadziła się do swoich rodziców w Essex. Tam ponownie wyszła za mąż, tym razem za człowieka wykonującego bezpieczniejszy zawód. Frank Hobbs pełnił funkcję inspektora linii produkcyjnej w zakładach Forda. Musiała się przed tym rozwieść zaocznie z Bobem na mocy paragrafu o porzuceniu, ale to dało się łatwo załatwić.

W cztery miesiące po tym, jak na posterunek przy Tottenham Lane zgłosiła się Doris Freeman, Vetter przeszedł na emeryturę i przeniósł się do służbowego, dwupokojowego mieszkania znajdującego się nad sklepem w Frimley. Pół roku później umarł na zawał serca. Znalaziono go z butelką piwa Harp Lager w dłoni.

A na Crouch End, cichej i spokojnej peryferyjnej dzielnicy Londynu, od czasu do czasu ciągle mają miejsce dziwne zdarzenia i wiele osób się gubi. Niektóre na zawsze.

Dom na Maple Street

Chociaż miała tylko pięć lat i była najmłodsza z czwórki dzieciaków Bradburych, Melissa miała bardzo bystry wzrok. Nic zatem dziwnego, że to ona pierwsza, gdy rodzina Bradburych wróciła z letnich wakacji w Anglii, zauważyła, że z domem na Maple Street stało się coś dziwnego.

Natychmiast pobiegła do swego starszego brata, Briana. Oświadczyła mu, iż na górze, na drugim piętrze, coś jest nie tak. Dodała, że mu to pokaże, ale jeśli przysięgnie, iż nikomu o tym nie powie. Wiedząc, że Lissa boi się ich ojczyma, Brian dał uroczyste słowo honoru; Tata Lew nie znosił, gdy którekolwiek z dzieciaków Bradburych „wymyślało głupoty” (tak to zawsze nazywał), a znakomicie się orientował, iż największą smykałkę do tego przejawia właśnie Melissa. Lissa, która nie była ani głupia, ani ślepa, doskonale zdawała sobie sprawę z uprzedzeń Lewa i bardzo na niego uważała. Zresztą wszystkie dzieciaki Bradburych bardzo uważały na drugiego męża ich matki.

Zapewne nowina Lissy nie stanowiła żadnej rewelacji, ale Brian cieszył się z powrotu do domu i chciał sprawić przyjemność swej malutkiej siostrzyczce (był starszy od niej o całe dwa lata). W każdym razie w tej chwili, burcząc tylko coś pod nosem i tylko raz pociągając ją złośliwie za warkoczyki, które nazywał kiedyś „hamulcami bezpieczeństwa”, poszedł z Lissą na korytarz na drugim piętrze.

Na palcach minęli drzwi gabinetu Lewa – gabinet był jak dotąd jedynym wykończonym pokojem w domu – gdyż ojczym, mruczając coś gniewnie, wyciągał z bagaży swoje notatniki i papiery. Kiedy dzieci dotarły do końca korytarza, Brian zastanawiał się właśnie nad tym, co pokażą wieczorem w telewizji. Wyczekiwał niecierpliwie chwili, gdy zasiądzie wreszcie przed telewizorem, aby

do woli naoglądać się programów na dobrej, starej amerykańskiej kablówce, ponieważ przez ostatnie trzy miesiące skazany był jedynie na BBC i ITV.

Gdy jednak spojrział przez ramię swej małej siostrzyczki na to, co mu wskazała palcem, z głowy Briana Bradbury'ego w jednej chwili wywietrzała wszelka myśl o telewizji.

– A teraz przysięgnij jeszcze raz – szepnęła Melissa. – Niech umrę, jeśli komuś o tym powiem, czy to Tacie Lewowi, czy komukolwiek.

– Niech umrę – odparł Brian, wytrzeszczając oczy.

Działo się to pół godziny wcześniej, niż powiedział o tym swej starszej siostrze, Laurie, która rozpakowywała się w swoim pokoju.

Laurie, jak każda jedenastolatka, była szalenie zazdrosna o swój pokój i robiła Brianowi piekielne awantury, ilekroć wchodził do niej bez pukania; nawet jeśli była kompletnie ubrana.

– Przepraszam – oświadczył Brian. – Muszę ci coś pokazać. To bardzo dziwne.

– Co i gdzie? – zapytała, wkładając obojętnie ubrania do szuflad, zupełnie jakby niewiele ją obchodziło to, co mały, głupkowaty siedmiolatek ma jej do pokazania.

Zupełnie jakby w ogóle nie miał jej nic ciekawego do pokazania.

Ale Brian wiedział dobrze, kiedy jego siostra udaje, a kiedy nie. Widział, że tym razem jest naprawdę bardzo zaintrygowana.

– Na górze. Na drugim piętrze. Na końcu korytarza, za gabinetem Taty Lewa.

Laurie zmarszczyła nos jak zawsze, kiedy Brian lub Lissa mówili tak o ojczyźnie. Ona i Trent pamiętali prawdziwego ojca i wcale się im nowy nie podobał. Mówili na niego po prostu Lew. A to z kolei najwyraźniej bardzo nie podobało się Lewowi Evansowi. Tak naprawdę uważał za impertynencję to, że Laurie i Trent tak właśnie zwracają się do człowieka, z którym aktualnie (hmmm!) sypia ich matka.

– Nie chce mi się tam iść – stwierdziła Laurie. – Odkąd wróciliśmy do domu, jest w parszywym nastroju. Trent twierdzi, że tak będzie aż do chwili, gdy zacznie się szkoła i Lew znów wpadnie w stare koleiny.

– Drzwi do jego gabinetu są zamknięte, a my pójdziemy na palcach. Nawet się nie domyśla, że Lissa i ja byli w korytarzu na drugim piętrze.

– Byliśmy – poprawiła chłopca starsza siostra.

– Zgoda. Byliśmy. Ale przecież nic nam nie grozi. Drzwi są zamknięte, a on jak zwykle gada do siebie.

– Nie cierpię, kiedy to robi – stwierdziła ponuro Laurie.

– Nasz prawdziwy ojciec nigdy do siebie nie gadał i nie zamykał się na klucz w swoim pokoju.

– Cóż, nie sądzę, żeby zamknął się na klucz – odparł Brian – ale jeśli się boisz, że akurat wyjdzie z gabinetu, kiedy tam będziemy, to weź pustą walizkę i w razie czego powiemy, że musimy odstawić ją do szafy, w której trzymamy wszystkie inne.

– A cóż to zobaczyliście za cudo? – zapytała Laurie, biorąc się pod boki.

– Pokażę ci – powiedział żarliwie Brian – ale musisz przysiąc na imię mamy i na własną śmierć, że nikomu nie powiesz... – Urwał, pomyślał chwilę i dodał: – A już na pewno nie wspominaj o tym Lissie, ponieważ złożyłem jej przysięgę.

Laurie nastawiła uszu. Rewelacje Briana zapewne okażą się wielkim nic, ale miała już serdecznie dosyć układania ubrań w szufladach. Zdumiewało ją, ile ciuchów mogło zebrać się zaledwie przez trzy miesiące.

– W porządku, przysięgam.

Zabrali ze sobą dwie puste walizki, jedną Laurie, a drugą Brian, lecz ostrożność okazała się zbędna. Ojczym nie wyjrzał z gabinetu, a sądząc po dochodzących zza zamkniętych drzwi odgłosach, był rozsierdzony i w podłym nastroju. Dzieci słyszały jego ciężkie kroki, mamrotanie, stukot otwieranych i zamykanych szuflad. Spod drzwi dobywał się też znajomy zapach, który Laurie przypominał zawsze smród tłących się skarpet lekkoatlety. Lew palił fajkę.

Laurie, gdy mijali drzwi gabinetu, wysunęła koniuszek języka, spuściła oczy i pocierała ucho.

W chwilę później, kiedy popatrzyła na miejsce, które Lissa pokazała Brianowi, a teraz on pokazał jej, Lew kompletnie wywietrzył jej z głowy; podobnie jak Brianowi cudowne rzeczy w telewizji, które miał obejrzeć wieczorem.

– Co to jest? – zapytała szeptem. – Boziu, co to znaczy?

– Nie wiem – odparł Brian. – Ale pamiętaj, że przysięgałaś, Laurie, na imię mamy.

– Tak, tak, ale...

– Przysięgnij jeszcze raz! – upierał się Brian, któremu bardzo nie spodobał się wyraz jej oczu.

Był to wzrok, który mówił sam za siebie, i chłopiec doszedł do wniosku, że powinien się jeszcze raz upewnić.

– Dobrze, dobrze, przysięgam na imię mamy – mruknęła niedbale Laurie. – Zadowolony? Ale, Brian, to...

– „Niech umrę”, nie zapomnij o tej części.

– Och, Brian, czy musisz być taki dokładnicki!

– Nieważne. Powiedz: „Niech umrę”.

– Niech umrę, niech umrę, w porządku? – odparła Laurie.

– Bri, dlaczego musisz być zawsze tak dokładnicki?

– Nie wiem – odparł z uśmiechem, którego nienawidziła.

– Ale jestem zadowolony.

Mogłaby go udusić... ale przysięga była przysięgą, zwłaszcza złożona na życie własnej matki, i Laurie wytrzymała godzinę, zanim poszła do Trenta. Wymogła na nim przysięgę, że nikomu nie powie, a jej pewność, że słowa dotrzy-ma, była całkiem uzasadniona. Trent liczył sobie prawie czternaście lat i jako najstarszy nie miał już komu dalej przekazać wieści... chyba że dorosłym. A skoro ich matka dostała migreny i poszła do łóżka, pozostał jedynie Lew. A to już było tak, jakby nie miał komu wypaplać sekretu.

Dwójka najstarszych dzieci Bradburchy nie musiała tym razem dla kamuflażu dźwigać pustych walizek. Ojczym był na dole i słuchał nagranych na wideo wy-kładu jakiegoś Brytyjczyka na temat Normanów i Anglosasów (na uczelni Lew specjalizował się w Normanach i Anglosasach), zajadając przy tym swoją ulu-bioną popołudniową przekąskę: kanapkę z keczupem, którą popijał szklanką mleka.

Trent zatrzymał się przy końcu korytarza i popatrzył na to, co poprzednio wi-

działa reszta jego rodzeństwa. Stał tak bardzo długo.

– Co to takiego, Trent? – zapytała w końcu Laurie.

Nie wpadło jej nawet na myśl, że Trent może nie wiedzieć. Trent wiedział wszystko. Popatrzyła więc na brata z niedowierzaniem, kiedy ten powoli pokręcił głową.

– Nie wiem – powiedział, zagładając do pęknięcia. – Chyba jakiś metal. Przydałaby się latarka. – Wsunął rękę do szczeliny i popukał palcem, a Laurie na ten widok ogarnął niepokój, toteż dziewczynka poczuła wielką ulgę, kiedy Trent wyciągnął wreszcie palec ze szpary. – Tak, to jest metal.

– Ale czy powinien tam być? – dociekała Laurie. – To znaczy, czy był tam wcześniej?

– Nie – odrzekł Trent. – Pamiętam, jak zmieniali w ścianach płyty gipsowe. Tuż po tym, kiedy mama za niego wyszła. Poza drewnianymi listwami nic nie było.

– Jakimi listwami?

– Takie wąskie deski – wyjaśnił Trent. – Biegną między płytami gipsowymi a zewnętrzną ścianą domu. – Trent wyciągnął rękę, wsunął ją w pęknięcie i jeszcze raz dotknął matowobiałego metalu. Szpara w najgrubszym miejscu miała około dziesięciu centymetrów długości i około dwóch i pół centymetra szerokości.

– Założyli też izolację – dodał, w zamyśleniu zmarszczył czoło, po czym wsunął ręce do tylnych kieszeni spranych dżinsów.

– Pamiętam. Takie różowe kulki przypominające pańską skórkę.

– Więc gdzie się podziała ta izolacja? Nie widzę w środku nic różowego.

– Ja też nie widzę – odparł Trent. – Ale przecież włożono tam izolację. Pamiętam. – Badał wzrokiem dziesięciocentymetrowej długości pęknięcie. – Ten metal w ścianie to coś nowego. Ciekaw jestem, ile go tam jest i jak daleko się ciągnie. Czy tylko tu, na drugim piętrze, czy też...

– Co: czy też? – Laurie popatrzyła na niego okrągłymi ze zdumienia oczyma. Zaczynał ogarniać ją strach.

– Czy też rozciąga się we wszystkich ścianach domu – dokończył zamyślonym

głosem Trent.

Nazajutrz po południu, po szkole, Trent zwołał zebranie pozostałej trójki młodych Bradburych. Zaczęło się trochę nieprzyjemnie, ponieważ Lissa oskarżyła Briana o złamanie, jak to określiła, „twojej uroczystej przysięgi”, a mocno zmieszany Brian oskarżył Laurie, że ta, mówiąc o wszystkim Trentowi, naraziła na niebezpieczeństwo duszę matki. Jakkolwiek niezupełnie wiedział, co to takiego jest ta dusza (Bradbury'owie należeli do unitarian), był święcie przekonany, że Laurie skazała matkę na piekło.

– No cóż, Brian – odezwała się Laurie – będziesz musiał wziąć trochę winy na siebie. Chodzi mi o to, że to ty wplątałeś w to imię matki. Powinieneś kazać mi przysiąc na imię Lewa. On spokojnie może iść do piekła.

Lissa, która była malutka i prostoduszna, nie chciała nikogo posyłać do piekła, więc temat, na jaki zeszła rozmowa, sprawił, że zaczęła płakać.

– Cicho bądźcie – zarządził Trent i tak długo tulił do siebie Lisę, aż ta się uspokoiła. – Co się stało, to się nie odstanie, ale uważam, że sprawa przybrała najlepszy obrót.

– Naprawdę tak uważasz? – zapytał Brian.

Kiedy Trent twierdzi, że wszystko jest w porządku, Brian walczyłby za brata do upadłego i nie śmiałby podważać jego opinii, ale przecież Laurie przysięgła na imię mamy.

– Coś tak dziwnego jak to należy dokładnie zbadać, ale jeśli będziecie się kłócić, co jest słuszne, a co nie, nigdy tego nie zrobimy.

Trent popatrzył znacząco na ścienny zegar wiszący w jego pokoju, gdzie wszyscy się zgromadzili. Było dwadzieścia po trzeciej. Nie musiał nic mówić. Tego ranka ich matka przygotowała Lewowi śniadanie – dwa jajka na miękko, grzanka z żytniego chleba i marmolada stanowiły jego tradycyjny poranny posiłek – po czym wróciła do łóżka, w którym już pozostała. Cierpiała na straszliwe migreny i czasami spędzała w łóżku dwa lub trzy dni pod rząd, skarżąc się na swój bezbronny, oszołomiony mózg (miała często kompletny zamęt w głowie). Później dolegliwości mijały na miesiąc.

Nie miała zwyczaju odwiedzać dzieci, gdy były na drugim piętrze, i sprawdzać, co robią, ale „Tata Lew”... o, to całkiem inna para kaloszy. W swym gabinecie znajdującym się tuż obok owej osobliwej szczeliny na pewno zwróciłyby na nie uwagę i zainteresowały się ich poczynaniami. Tak zatem badanie ściany należało przeprowadzić pod jego nieobecność. Z tego też względu Trent tak znacząco popatrzył na zegar.

Rodzina wróciła do Stanów na dziesięć dni przed rozpoczęciem zajęć na uczelni i Lew nie mógł już wytrzymać bez uniwersytetu. Zawsze ilekroć oddalał się od niego na odległość większą niż dwadzieścia kilometrów, czuł się jak wyjęta z wody ryba. Tego dnia wyszedł z domu wczesnym popołudniem, niosąc w ręku teczkę, w której miał cały plik notatek i papierów zgromadzonych w różnych interesujących pod względem historycznym miejscach w Anglii. Oświadczył, iż uporządkuje te dokumenty i włączy do archiwum, ale Trent był najgłębiej przekonany, że tylko wepchnie je do jednej z szuflad biurka w swoim gabinecie, a następnie uda się do klubu na Wydziale Historii na kawę i plotki z kumplami... Chociaż Trent odkrył, iż jeśli ktoś jest wykładowcą na uniwersytecie i ma „kumpli”, inni mają go za głupka. To są „koledzy”. Tak więc Lew wyszedł i to było dobre, ale teraz, w każdej chwili dzielącej ich od godziny siedemnastej, mógł pojawić się w domu, a to już by było niedobre. Niemniej ciągle pozostawało im trochę czasu i Trent był zdecydowany przerwać sprzeczkę, kto na kogo przysięgał.

– Posłuchajcie – powiedział i z zadowoleniem stwierdził, że naprawdę go słuchają, zapominając w obliczu podniecającego śledztwa o animozjach i wzajemnym obwinianiu się. Ogromne wrażenie wywarł również na nich fakt, że Trent nie potrafił wy tłumaczyć, czym jest to, co pokazała mu Laurie. Cała trójka dzieliła, przynajmniej do pewnego stopnia, prostą wiarę Briana w Trenta. Jeśli Trent jest czymś zaskoczony, jeśli Trent uważa, że coś jest dziwne, a na dodatek sam jest zdumiony, to oni uważali dokładnie tak samo.

– Trent, powiedz nam, co mamy robić – odezwała się w imieniu całej trójki Laurie. – Po prostu nam powiedz.

– W porządku – odparł Trent. – Potrzebujemy kilku rzeczy.

Zaczerpnął tchu i zaczął je wyliczać.

Kiedy już zebrali się przy pęknięciu w ścianie na końcu korytarza na drugim piętrze, Trent podniósł Lisę, żeby i ona mogła zajrzeć do środka. Dziecko przyświecało sobie latarką matki, która używała jej, zaglądając im do uszu, oczu i nosów, kiedy któreś z nich zachorowało. Wszyscy widzieli metal. Nie błyszczał na tyle, żeby odbijać światło, ale lśnił matowym, jedwabistym blaskiem. „Stal – zdecydował Trent. – Stal albo jakiś inny stop”.

– Co to takiego stop? – zainteresował się Brian.

Trent potrząsnął głową. Sam dobrze nie wiedział, czym jest stop. Odwrócił się do Laurie i poprosił, żeby podała mu świderek.

Brian i Lissa wymienili niespokojne spojrzenia, gdy Laurie przekazywała bratu narzędzie. Pochodziło z mieszczącego się w piwnicy warsztatu, który był ostatnim miejscem w domu, gdzie jeszcze niepodzielnie panował duch ich ojca. Tata Lew, od czasu gdy poślubił Catherine Bradbury, pojawił się tam najwyżej ze dwanaście razy. Młodsze dzieci wiedziały o tym równie dobrze jak Trent i Laurie, więc nie obawiały się, że Tata Lew zauważy zniknięcie ręcznej wiertarki. Bały się tylko tego, że dostrzeże dziury w ścianie w pobliżu swego gabinetu. Choć żadne z nich nie wyraziło swych obaw na głos, to jednak Trent wyczytał je w ich twarzach.

– Popatrzcie – powiedział, odbierając od siostry wiertarkę.

– To nazywa się wiertłem nakłuwającym. Widzicie, jakie jest cieniutkie? A ponieważ zamierzamy wiercić tylko pod obrazkami, nie sędzę, żebyśmy musieli się czegokolwiek obawiać.

Na ścianie korytarza na drugim piętrze wisiał z tuzin oprawionych w ramki reprodukcji. Połowa znajdowała się już po drugiej stronie gabinetu, w pobliżu szafy, w której trzymano puste walizki. Większość rycin stanowiły bardzo stare (i przeważnie mało interesujące) widoczki Titusville, miasteczka, gdzie mieszkali Bradbury'owie.

– Nigdy nawet na nie nie spojrzę, nie mówiąc już o zaglądaniu pod spód – zgodziła się Laurie.

Brian dotknął palcem czubka wiertła i skinął głową. Obserwująca go Lissa również dotknęła ostrza i również skinęła głową. Jeśli Laurie twierdzi, że wszystko jest w porządku, to zapewne jest w porządku. Jeśli to samo powiedział Trent, prawie na pewno jest w porządku. Jeśli stwierdzili to oboje, nie było najmniejszych wątpliwości.

Laurie zdjęła ze ściany obrazek wiszący najbliżej szczeliny i przekazała go Brianowi. Trent zaczął borować, a pozostała trójka rodzeństwa obserwowała, otaczając brata ciasnym pierścieniem, jak zawodnicy pola dodający otuchy i odwagi miotaczowi w szczególnie ważnym momencie meczu baseballowego.

Wiertło łatwo weszło w ścianę, a dziurka była dokładnie tak maleńka, jak obiecywał Trent. Ciemniejszy kwadrat na spłowiałej tapecie w miejscu, gdzie wisiał obrazek, także budził otuchę. Oznaczał, że od bardzo dawna nikt nie potrudził się nawet, żeby zdjąć rycinę przedstawiającą budynek biblioteki publicznej w Titusville i wytrzeć pod nią kurz.

Po dwunastym przekręceniu rączki wiertarki Trent przestał borować i kręcąc korbką w przeciwną stronę, wyjął wiertło ze ściany.

– Dlaczego przestałeś? – zapytał Brian.

– Trafiłem na coś twardego.

– Metal? – chciała wiedzieć Lissa.

– Tak sądzę. Na pewno nie jest to drewno. Zobaczmy.

– Zaświecił latarką, wyciągnął szyję, przez chwilę wykręcał głowę w różne strony, próbując dostrzec cokolwiek w dziurce, aż w końcu zdecydowanie potrząsnął czupryną. – Mam za dużą głowę. Dajcie tu Lissę.

Laurie i Trent podnieśli siostrzyczkę, a Brian wręczył jej latarkę-ołówek. Lissa przez chwilę zaglądała w maleńki otworek.

– To samo, co w pęknięciu, które odkryłam – oznajmiła.

– W porządku – powiedział Trent. – Następny obrazek.

W drugim otworze wiertło też natrafiło na metal; podobnie w trzecim. W czwartym – tuż obok drzwi do gabinetu Lewa – weszło całe i Trent musiał je w końcu wyciągnąć. Tym razem, kiedy podnieśli Lissę, dziewczynka dostrzegła w środku „coś różowego”.

- Taaa, izolacja – stwierdził Trent, zwracając się do Laurie.
- Mówiłem ci o niej. Spróbujemy po drugiej stronie korytarza.

We wschodniej ścianie przedpokoju musieli wywiercić dziurki aż pod cztery obrazkami, zanim wiertło trafiło na drewnianą listwę i różową substancję... i wtedy właśnie dotarł do nich chrapliwy warkot skręcającego w podjazd przed domem starego porsche Lewa.

Brian, do którego należało odwieszanie obrazków – do haczyka mógł sięgnąć tylko wspinając się na palce – wypuścił z rąk rycinę, ale Laurie złapała ją za ramkę w chwili, kiedy oprawiony obrazek miał już wyrznąć o podłogę. Dziewczynka zaczęła tak okropnie dygotać, że musiała natychmiast przekazać obrazek Trentowi, ponieważ sama by go nie utrzymała.

– Ty zawieś – powiedziała, zwracając pobladłą twarz w stronę starszego brata. – Na samą myśl o tym, co robię, mogłabym potłuc ten obrazek. Naprawdę go upuszczę.

Trent odwiesił na miejsce widoczek przedstawiający jadący przez City Park powóz konny i natychmiast zauważył, że powiesił go odrobinę krzywo. Wyciągnął rękę, żeby to poprawić, ale nie dotknąwszy nawet ramki, cofnął dłoń. Siostry i brat uważali go wprawdzie za boga, lecz Trent był wystarczająco rozgarnięty, by wiedzieć, że jest tylko dzieckiem. Ale nawet dziecko – choćby to było dziecko z połową mózgu – wie, że kiedy sprawy zaczynają układać się źle, najlepiej zostawić je własnemu biegowi! Gdyby coś jeszcze sknocił, obrazek z całą pewnością spadłby na podłogę i się potłukł.

– Uciekajcie! – szepnął. – Wracajcie na dół! Do pokoju telewizyjnego!

Na dole trzasnęły drzwi i do domu wkroczył Lew.

– Ale on wisi krzywo! – zaprotestowała Lissa. – Trent, nie można...

– Nieważne! – przerwała jej Laurie. – Róbcie, co mówi Trent!

Laurie i Trent popatrzyli na siebie szeroko rozwartymi oczyma. Jeśli Lew poszedł do kuchni przegryźć coś przed kolacją, to wszystko w porządku. Jeśli nie, spotka na schodach Lissę i Briana. Jeden rzut oka powie mu, że coś się dzieje. Dwójka młodszych Bradburych potrafiła utrzymać język za zębami, ale mieli wszystko wypisane na twarzach.

Brian i Lisa szybko zbiegli po schodach.

Trent i Laurie szli wolno i nadśluchiwali. Nastąpiła dramatyczna chwila, kiedy słycać było tylko ich kroki na schodach, a ciszę przerwał dobiegający z kuchni wrzask Lewa:

– NIE MOŻECIE ZACHOWYWAĆ SIĘ CISZEJ? WASZA MATKA ŚPI!

Jeśli twój krzyk jej nie obudzi – pomyślała Laurie – to nic jej nie obudzi.

Tego samego dnia, późnym wieczorem, kiedy Trent już zasypiał, wślizgnęła się do jego pokoju Laurie i usiadła na łóżku obok brata.

– Nie lubisz go, ale to jeszcze nie wszystko – stwierdziła.

– Koo-goo? – burknął Trent, ostrożnie otwierając oczy.

– Lewa – wyjaśniła cicho. – Przecież wiesz, o kim mówię, Trent.

– Tak – stwierdził. – Masz rację. Nie lubię go.

– A na dodatek się go boisz, prawda?

Po długiej chwili milczenia Trent powiedział:

– Tak, trochę.

– Tylko trochę?

– Może trochę więcej niż trochę – przyznał.

Puścił do siostry oko, mając nadzieję, że ją tym rozśmieszy, ale Laurie spoglądała nań poważnie i Trent dał za wygraną. Nie była w nastroju do żartów; w każdym razie nie tego wieczoru.

– Dlaczego? Czy myślisz, że mógłby nas skrzywdzić?

Lew często krzyczał, ale nigdy nie podniósł na nich ręki. Nie – uświadomiła sobie nagle Laurie. – Nie, to nieprawda. Kiedyś, gdy Brian wszedł do gabinetu ojczyma bez pukania, Lew przetrzepał mu tyłek. Przetrzepał tego. Brian starał się powstrzymywać łzy, ale w końcu wybuchnął płaczem. Mama też płakała, lecz nie próbowała powstrzymywać Lewa. Później jednak musiała mu coś na ten temat powiedzieć, bo Laurie słyszała, że Lew na nią krzyczy.

Było to normalne lanie, a nie zwykłe skarcenie dziecka. Z drugiej strony Brian, jeśli tak sobie umyślił, potrafił być naprawdę nieznośny.

Czy tak właśnie umyślił sobie tamtego wieczoru? Laurie dopiero teraz zaczę-

ła się nad tym zastanawiać. A może Lew przetrzepał jej bratu tyłek za jakiś inny dziecięcy figiel? Nie wiedziała i nagle nasza ją nieprzyjemna myśl, że Piotruś Pan miał rację, nie chcąc nigdy zostać dorosłym. Nie była pewna, czy sama tego chce. Wiedziała jedno: wiedziała, kto w tym domu naprawdę jest nieznośny.

Przypomniała sobie, że Trent nie odpowiedział na jej pytanie, i dała starszemu bratu szturchańca.

– Mowę ci odebrało?

– Właśnie myślę – odparł. – To nie takie proste, prawda?

– Prawda, nieproste – przyznała poważnie. – Wiem.

Dała mu czas do namysłu.

– Ba! – powiedział w końcu, zakładając za głowę splecione dłonie. – Nie sądzę, Szprotko. – Nie znosiła, jak tak do niej mówił, ale tego wieczoru postanowiła nie reagować. Nie przypominała sobie, żeby Trent kiedykolwiek tak poważnie z nią rozmawiał. – Nie sądzę, żeby wyrządził nam krzywdę... ale może to zrobić. – Oparł się z kolei na łokciu i popatrzył na Laurie jeszcze poważniej. – Myślę jednak, że krzywdzi mamę, i wydaje mi się, że z każdym dniem jest gorzej.

– A jej jest przykro, prawda? – Dziewczynce zachciało się nagle płakać. Dlaczego dorośli są czasami tak głupi i nie dostrzegają rzeczy oczywistych nawet dla dzieci? Aż ma się ochotę ich kopnąć. – Przede wszystkim wcale nie chciała jechać do Anglii... poza tym sposób, w jaki czasem na nią krzyczy...

– I nie zapominaj o bólach głowy – wtrącił bezbarwnym tonem Trent. – Tych, o których on mówi, że mama w siebie wmawia. Tak, jest jej przykro, zgadza się.

– Czy kiedyś... no, wiesz...

– Czy się z nim rozwiedzie?

– Tak – odparła z ulgą.

Nie była pewna, czy zdoła wykrztusić z siebie to słowo. Z drugiej jednak strony na tyle kochała matkę, że mogła zadawać sobie to pytanie.

– Nie – odparł Trent. – Nie mama.

- A więc nic nie możemy zrobić – powiedziała Laurie i westchnęła.
- Naprawdę? – odparł Trent tak cicho, że z najwyższym trudem go dosłyszała.

Przez następne półtora tygodnia wywiercili wiele dziurek w miejscach, gdzie nikt nie mógł ich zobaczyć: pod plakatami wiszącymi w ich pokojach, za lodówką w spiżarni (wcisnął się tam z wiertarką Brian), w ściennych szafach na parterze. Trent wyborował nawet otwór w jadalni, wysoko, w mrocznym kącie, dokąd nigdy nie docierało pełne światło. Zrobił to z drabinki malarskiej, którą przytrzymała Laurie.

Ale nigdzie na metal nie natrafili.

I dzieci chwilowo o całej sprawie zapomnieli.

Pewnego dnia, mniej więcej w miesiąc po tym, jak Lew zaczął pracować w pełnym wymiarze godzin, do Trenta przyszedł Brian i powiadomił brata, że na drugim piętrze pojawiło się w ścianie kolejne pęknięcie, a w środku znów jest metal. Trent i Lissa natychmiast tam się udali. Laurie nie wróciła jeszcze ze szkoły, bo miała próbę orkiestry.

Ich matka, podobnie jak wtedy, gdy natknęli się na pierwszą szparę, cierpiała na ból głowy. Humor Lewa, od kiedy rozpoczęły się zajęcia na uczelni, wyraźnie się poprawił (dokładnie jak przewidywali Trent i Laurie), lecz poprzedniego wieczoru zrobił matce piekielną awanturę. Chodziło o przyjęcie, jakie zamierzał wydać dla swoich kolegów z Wydziału Historycznego. Jeśli istniało coś, czego dawna pani Bradbury najserdeczniej nie znosiła i czego najbardziej się bała, to była to rola gospodyni na tego rodzaju bankietach. Ale Lew się uparł, a ona musiała w końcu ustąpić. Teraz leżała w zaciemnionym pokoju z wilgotnym ręcznikiem na oczach i z butelką fiorinalu na nocnym stoliku, a Lew, zapewne klepiąc kolegów po plecach, rozdawał im zaproszenia w wydziałowej świetlicy.

Nowa szczelina pojawiła się po zachodniej stronie korytarza, między drzwiami do gabinetu a schodami.

- Czy jesteś pewien, że widziałeś metal? – zapytał Trent.
- Przecież już sprawdzaliśmy tę stronę, Bri.

– Sam zobacz – odparł Brian i Trent to sprawdził.

Nie potrzebował nawet latarki. Ta szczelina była szersza i połykiwał w niej metal.

Po długich oględzinach Trent oświadczył rodzeństwu, że musi natychmiast iść do sklepu z artykułami gospodarczymi.

– Po co? – zapytała Lissa.

– Kupić trochę gipsu. Nie chcę, żeby Lew zauważył to pęknięcie... – Zawahał się, a po chwili dodał: – Nie chcę zwłaszcza, żeby zobaczył, że pod spodem jest metal.

Lissa zmarszczyła czoło.

– Dlaczego, Trent?

Ale Trent sam dobrze nie wiedział dlaczego. W każdym razie jeszcze nie wtedy.

Znów rozpoczęli wiercenie i tym razem natrafili na metal we wszystkich ścianach na drugim piętrze, łącznie ze ścianami gabinetu Lewa. Trent zakradł się tam pewnego popołudnia, gdy ojczym był na uczelni, a matka wyszła zrobić zakupy na przyjęcie.

Dawna pani Bradbury była w ostatnich dniach blada i wyczerpana – zauważyła to nawet Lissa – ale ilekroć któreś z dzieci pytało ją, czy dobrze się czuje, jej twarz rozjaśniał wprawiający w zmieszanie, przesadnie promienny uśmiech, a matka, rumieniąc się, odpowiadała, że nigdy jeszcze nie czuła się lepiej. Laurie, która potrafiła być bardzo szczerą, oświadczyła matce, że wygląda wyjątkowo mizernie i jest stanowczo za chuda. „Och, wręcz przeciwnie – odparła Catherine. – Lew twierdzi, że w Londynie zamieniłam się w kulkę; to przez te wszystkie popołudniowe herbatki z ciastem. Teraz chcę po prostu odzyskać dawną figurę, to wszystko”.

Laurie wiedziała swoje, ale nawet ona nie śmiała oświadczyć matce prosto w oczy, że kłamie. Gdyby poszli do niej całą czwórką i postawili sprawę otwarcie, matka wyznałaby im całą prawdę. Lecz tego nie myślał proponować nawet Trent.

Nad biurkiem w gabinecie Lewa wisiał oprawiony w ramkę jeden z uniwersy-

teckich dyplomów. Kiedy reszta dzieci, chociaż ze strachu robiło im się niedobrze, tłoczyła się pod drzwiami, Trent zdjął z gwoźdźca dyplom i wywiercił w ścianie maleńką dziurkę. Na głębokości pięciu centymetrów wiertło trafiło na metal.

Trent, zważając na to, żeby dyplom wisiał prościutko, pieczołowicie odwiesił go na miejsce i opuścił pokój.

Lissa na jego widok poczuła taką ulgę, że aż się popłakała. Po chwili zawtórował jej Brian. Najwyraźniej zgniewało go to, ale nie potrafił zapanować nad swymi emocjami. Nawet Laurie toczyła ze sobą walkę, żeby się nie rozbeczeć.

Wywiercili otworki na schodach prowadzących na pierwsze piętro. Tam też natknęli się na metal. Metal sięgał do połowy korytarza na pierwszym piętrze i było go więcej bliżej frontu domu. Znajdował się też we wszystkich ścianach pokoju Briana, ale u Laurie tkwił tylko w jednej ścianie.

– To nie skończyło jeszcze rosnać – stwierdziła ponuro Laurie.

Trent popatrzył na nią ze zdumieniem.

– Co?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, na Briana spłynęło olśnienie.

– Sprawdź podłogę, Trent! – powiedział. – Zobacz, czy w niej również jest metal.

Trent zastanawiał się chwilę, po czym wzruszył ramionami i wywiercił otwór w podłodze pokoju Laurie. Wiertło bez oporu weszło w drewno, ale kiedy chłopiec odsunął dywanik w nogach własnego łóżka i zaczął tam borować, szybko natknął się na stal... albo coś twardego, bez względu na to, co-by-to-było.

Na usilne prośby Lissy wlaźł na taboret i mrużąc oczy, zrobił dziurkę w suficie.

– Jebut! – oświadczył po chwili. – Metal. Ale dajmy już na dzisiaj spokój.

Tylko Laurie zauważyła, jak bardzo Trent jest zaniepokojony.

Tego wieczoru, po zgaszeniu świateł, Trent pojawił się w pokoju Laurie, a ona nie próbowała nawet udawać, że śpi. Bo tak naprawdę żadne z nich przez ostatnie dwa tygodnie dobrze nie spało.

– O co ci chodziło? – wyszeptał Trent, siadając na skraju łóżka.

– Nie wiem, o czym mówisz? – odpowiedziała pytaniem Laurie i oparła się na łokciu.

– Powiedziałaś, że to w twoim pokoju nie skończyło jeszcze rosnać. Co naprawdę chciałaś powiedzieć?

– Och, daj spokój, Trent... przecież nie jesteś tępak.

– Nie, nie jestem – przyznał bez zarozumiałstwa. – Ale może chcę to po prostu usłyszeć od ciebie, Szprotko.

– Jak jeszcze raz mnie tak nazwiesz, nie dowiesz się niczego.

– W porządku. Laurie, Laurie. Zadowolona?

– Tak. Tym metalem obrasta cały dom... – Urwała. – Nie, to nie tak. To wyrasta spod domu.

– To też nie tak.

Laurie przez chwilę milczała, po czym westchnęła.

– W porządku – zgodziła się. – To rośnie w domu. To coś wkrada się do domu. Czy tak dobrze, panie Bystry?

– Wkrada się do domu... – Trent siedział na skraju łóżka pogrążony w milczeniu, spoglądał na plakat Chrissie Hynde i najwyraźniej smakował w myślach określenie, którego użyła jego siostra. – Tak, bardzo dobrze.

– Jak byś tego nie nazwał, to zachowuje się tak, jakby żyło.

Trent skinął głową. Sam już wcześniej o tym myślał. Nie miał najmniejszego pojęcia, w jaki sposób metal może żyć, ale nie potrafił znaleźć innego wytłumaczenia; w każdym razie w tej chwili.

– Ale nie to jest najgorsze.

– A co?

– Że to się wkrada. – Laurie wlepiła w brata wielkie, poważne oczy, w których malował się strach. – To mi się właśnie najbardziej nie podoba. Nie wiem, gdzie się to zaczęło ani co to jest, i w sumie niewiele mnie to obchodzi. Ale to się wkrada.

Zanurzyła palce w gęste, jasnoblond włosy i odgarnęła je ze skroni. Był to nerwowy, podświadomy gest, lecz Trenta naszło bolesne wspomnienie ojca,

który również był jasnym blondynem.

– Odnoszę wrażenie, że coś się wydarzy, Trent. Tylko nie wiem co. Ale to jest jak nocny koszmar, z którego nie można się wyrwać. Czy ty również czasami tak czujesz?

– Czasami. Ale wiem, że coś się wydarzy. Może nawet wiem co.

Laurie, jak rażona prądem, usiadła wyprostowana w łóżku i chwyciła go za rękę.

– Wiesz? Co? Co takiego?

– Nie jestem jeszcze pewien – odrzekł Trent i wstał.

– Wydaje mi się, że wiem, ale na razie nie powiem ci co. Muszę się jeszcze porozglądać.

– Jeśli zrobimy w ścianach więcej dziur, cała chałupa może się zawalić.

– Nie mówię o borowaniu. Powiedziałem: porozglądać.

– Porozglądać za czym?

– Za czymś, czego tu jeszcze nie ma... co jeszcze nie wyrosło. Ale kiedy już wyrośnie, nie sędzę, żeby mogło się ukryć.

– Trent, powiedz!

– Jeszcze nie teraz – odparł i pocałował ją lekko w policzek.

– Poza tym ciekawość to pierwszy stopień do piekła, Szprotko.

– Nie cierpię cię! – krzyknęła cicho i naciągnęła kołdrę na głowę.

Ale rozmowa z Trentem ją uspokoiła. Laurie poczuła się lepiej i po raz pierwszy od tygodnia zapadła w zdrowy, mocny sen.

To, czego szukał, Trent znalazł dwa dni przed przyjęciem. Jako najstarszy z całej czwórki powinien był zauważyć, że matka wygląda coraz gorzej, że ma zapadnięte policzki, a jej skóra, tak dotąd blada, przybrała paskudny żółtawy odcień. Powinien też był zauważyć, że coraz częściej pociera skronie i gwałtownie, prawie panicznie, zaprzecza temu, iż ma migrenę, która tak naprawdę dręczyła ją już od ponad tygodnia.

A jednak tego nie spostrzegł. Zanadto pochłaniało go rozglądanie się.

W ciągu czterech czy pięciu dni dzielących jego wieczorną rozmowę z Laurie

od ostatecznego odkrycia co najmniej trzy razy przejrzał każdą szafę w wielkim, starym domu; z pięć albo sześć razy zajrzał pod podłogę w pokoju znajdującym się bezpośrednio nad gabinetem Lewa, z tuzin razy myszkował w rozległej piwnicy.

I właśnie tam natknął się na to, czego poszukiwał.

Nie znaczy to, że nie odkrył w innych miejscach różnych dziwnych rzeczy. Przeciwnie, znalazł. Natknął się na kawałek rury z nierdzewnej stali, sterczący z sufitu ściennej szafy na pierwszym piętrze. Zakrzywiony metalowy fragment jakiegoś zbrojenia w boku szafy na puste walizki na drugim piętrze. Fragment był gładki i ciemnoszary, dopóki Trent go nie dotknął. Kiedy to uczynił, zbrojenie rozbłysło przymglonym różowym blaskiem, a do uszu chłopca dotarł z głębi ściany lekki, lecz intensywny szum. Trent szarpnął rękę do tyłu, jakby metal był gorący (w pierwszej chwili instalacja przybrała barwę rozpalonej spirali w maszynie elektrycznej; chłopak mógł przysiąc, że naprawdę poczuł żar). Ale gdy cofnął dłoń, metal natychmiast zszarzał, a szum ucichł.

Dzień wcześniej na strychu, w ciemnym kącie, gdzie dach dochodził do samej podłogi, zauważył pajęczynę utkaną z cieniutkich przeplatających się kabelków. Łaził właśnie po strychu na czworakach, spocony i uświniony kurzem jak nieboskie stworzenie, gdy ujrzał owo zdumiewające zjawisko. Zamarł w bezruchu i spoglądał przez opadającą mu na oczy czuprynę, jak kabelki rozwijają się dosłownie z niczego (tak to w każdym razie wyglądało), stykają się, skręcają tak ściśle, jakby się nawzajem przenikały, i suną aż do podłogi, w którą natychmiast zaczynają się wkręcać i zakotwiczać, rozsiewając wokół malutkie obłoczki kurzu. Wyglądało na to, że tworzą rodzaj giętkiej, bardzo mocnej siatki ochronnej, zdolnej utrzymać dom w całości na wypadek straszliwych wstrząsów i uderzeń.

Ale jakich wstrząsów?

Jakich uderzeń?

I znów Trent pomyślał, że wie. Sam pomysł wprost nie mieścił się w głowie, ale chłopiec sądził, że wie, o co w tym wszystkim chodzi.

W północnej części piwnicy, z dala od warsztatu i pieca, znajdowała się nie-

wielka wnęka. Ich prawdziwy ojciec nazywał to miejsce „winiarnią” i choć zawsze nastawiał tylko ze dwa tuziny butelek bałagana (ich mama, ilekroć słyszała to słowo, zaczynała chichotać), to starannie przechowywał je na zrobionych własnoręcznie krzyżakowych stojakach.

Lew zachodził tu jeszcze rzadziej niż do warsztatu; w ogóle nie pijał wina. Ich mama, która z tatą często wysączała szklaneczkę albo dwie, później też już nie piła wina. Trent pamiętał, jaki smutek pojawił się jej na twarzy, gdy pewnego razu Brian zapytał, dlaczego już nie siada przed kominkiem ze szklanką bałagana.

„Lew nie toleruje picia – wyjaśniła synkowi. – Twierdzi, że alkohol to wyłączenie proteza”.

Na drzwiach do winiarni wisiała kłódka, ale tylko po to, żeby drzwi same się nie otwierały i nie napływało do środka bijące z pieca ciepło. Obok drzwi wisiał kluczyk, lecz Trent go nie potrzebował. Po pierwszej wizycie w tej części piwnicy kłódkę zostawił otwartą, a nikt się nie pojawił, żeby ją zatrzaskać. Chłopiec wiedział, że od dawna nikt tam nie zachodził.

Nie był wcale zdziwiony, kiedy dotarłszy do wejścia, poczuł silny zapach wina. Stanowiło to kolejny dowód na to, co on i Laurie już wiedzieli: w całym domu bezszelestnie zachodziły zmiany. Pchnął drewniane drzwi i choć widok tego, co za nimi zobaczył, go przeraził, to szczególnie nie zaskoczył.

Przez dwie ściany winiarni przebiły się metalowe konstrukcje, przewracając krzyżakowe stojaki z przegródkami w kształcie rombów, w których przechowywane były butelki z winem. Na podłodze leżały potłuczone flaszki bollingera, mondavii i battiglii.

Podobnie jak kabelki pod podłogą na strychu, to, co się tu tworzyło, rosło – używając wyrażenia Laurie – i nie zakończyło jeszcze tego procesu. Wszystko wirowało połyskliwym światłem, które raziło Trenta w oczy, wywołując mdłości.

Ale nie było tutaj kabelków ani pozakrzywianych zbrojeń. To, co rosło w zapomnianej winiarni jego prawdziwego ojca, przypominało bardziej szafki, konsolety i tablice rozdzielcze. Na oczach Trenta niewyraźne kształty wyginały się

niczym głowy rozwścieczonych węży, zmieniały się w metal i nabierały wyrazistości, przekształcając się w tarcze instrumentów, dźwignie oraz tablice rozdzielcze. Chłopiec dostrzegł też kilkanaście indykatorów, a kiedy na nie popatrzył, zaczęły mrugać.

Owemu aktowi tworzenia towarzyszył niski dźwięk przypominający szept.

Trent ostrożnie wszedł do niewielkiej wnęki. Kątem oka dostrzegł wyjątkowo jaskrawe, czerwone światelko; a raczej całą ich serię. Kiedy już znalazł się w środku, kichnął. Przepychające się przez stary beton maszyny i konsoly wzbijały tumany kurzu.

Światelka, które zwróciły jego uwagę, były cyframi. Znajdowały się pod szkłem w metalowej konstrukcji, jaka kręcąc się, wychyłała z konsoly. Ten nowy gadżet przypominał wyglądem fotel, ale nikt nie czułby się na nim wygodnie. W każdym razie nikt, kto posiada ludzkie kształty – pomyślał Trent, a po plecach przebiegł mu lekki dreszcz.

Szklana płytką znajdowała się w poręczy zdeformowanego fotela... jeśli to w ogóle był fotel. A cyferki zwróciły uwagę chłopca dlatego, że się zmieniały.

72:34:18 przeszło w:

72:34:17, a to w:

72:34:16.

Trent zerknął na swój zegarek z sekundnikiem. Instrument potwierdził tylko to, co dostrzegły wcześniej oczy chłopca. Fotel mógł być albo mógł nie być fotelem, ale cyferki pod szkłem z całą pewnością pokazywały wskazania zegara cyfrowego. Zegara, który się cofał. Mówiąc precyzyjnie, zegara, który odliczał czas. Co się stanie, gdy cyfry zmienią się z 00:00:01 na 00:00:00 co nastąpi za jakieś trzy dni, licząc od tego popołudnia?

Trent był najświęciej przekonany, że wie, co się wtedy wydarzy. Każdy amerykański chłopak wie, że przy odliczaniu, gdy na zegarze pojawią się same zera, nastąpi albo eksplozja, albo start.

Trent pomyślał, że jest tu zbyt wiele sprzętu, zbyt wiele urządzeń, żeby miała to być eksplozja.

Pomyślał, że podczas ich pobytu w Anglii coś dostało się do domu. Zapewne

jakiś zarodnik, który dryfował w przestrzeni kosmicznej przez miliardy lat, zanim został pochwycony przez ziemskie pole grawitacyjne, spłynął atmosferą niczym puszek dmuchawca i w końcu wpadł do komina domu w Titusville w stanie Indiana.

Do domu Bradburych w Titusville, w stanie Indiana. Oczywiście, mogło to być coś zupełnie innego, ale zdaniem Trenta pomysł z zarodnikiem pasował idealnie i choć chłopiec był najstarszy z dzieciaków Bradburych, to pozostawał zarazem wystarczająco młody, żeby móc smacznie zasnąć po zjedzeniu pizzy pepperoni o dziewiątej wieczorem, a także bez zastrzeżeń wierzyć we własne obserwacje i intuicję. No i ostatecznie, nie miało to żadnego znaczenia, prawda? Znaczenie miało to, co się wydarzyło.

I to, oczywiście, co miało się wydarzyć.

Tak więc teraz, gdy Trent opuścił winiarnię, nie tylko dokładnie zatrzaskał kłódkę, ale na dodatek zabrał ze sobą kluczyk.

Na przyjęciu wydziałowym w domu Lewa wydarzyło się coś okropnego. Stało się to za kwadrans dziewiąta, zaledwie w czterdzieści pięć minut po przybyciu pierwszych gości. Trent z Laurie słyszeli później, jak Lew krzyczał na ich matkę, że jedynym względem, jaki mu okazała, było to, iż wcześniej zademonstrowała swą głupotę. Gdyby odczekała do dziesiątej, po salonie, jadalni, kuchni i tylnym saloniku krążyłoby już z pięćdziesięciu albo i więcej gości.

– Co się z tobą, do cholery ciężkiej, dzieje? – usłyszeli Trent i Laurie strofującego ich matkę Lewa i kiedy Trent poczuł, że w jego dłoń, niczym maleńka, zmarznięta myszka, wsuwa się ręka Laurie, ucisnął mocno jej palce. – Wyobrażasz sobie, co ludzie o tym powiedzą? Sama najlepiej wiesz, jakimi plotkarzami są pracownicy mego wydziału! Catherine, to naprawdę była scena wyjęta z *Three Stooges*.

Odpowiedzią matki był cichy, bezradny szloch i przez chwilę Trent czuł do niej straszliwą, palącą nienawiść. Przede wszystkim z tego powodu, że wyszła za Lewa. Czyż nie zasłużyła sobie na to, co ją spotkało, skoro była taka głupia?

Natychmiast jednak się zawstydził, wypchnął z umysłu tę myśl, po czym od-

wrócił się do Laurie. Przeraziły go łzy, które ujrzał na policzkach siostry, a bezbrzeżny smutek w jej oczach sprawił, że serce zaczęło mu się kroić.

– Nie ma co, wspaniałe przyjęcie – szepnęła, ocierając kantami dłoni policzki.

– Zgadza się, Szprotko – powiedział i przytulił ją do siebie tak, że mogła bezgłośnie płakać z twarzą wtuloną w jego ramię.

– Trafi na pierwsze miejsce mojej listy największych wydarzeń roku.

Wydawało się, że Catherine Evans (która nigdy w życiu nie pragnęła bardziej ponownie zostać panią Bradbury) wszystkich w domu okłamała. Straszliwa migrena trzymała ją w swych szponach nie przez ostatni dzień czy dwa, ale pełne dwa tygodnie. W tym czasie prawie nic nie jadła i schudła siedem kilogramów. Częstoowała właśnie kanapkami Stephena Krutchmera, dziekana Wydziału Historycznego, oraz jego żonę, kiedy nagle z jej twarzy zeszły wszystkie kolory, cały świat odpłynął i Catherine Evans runęła bezwładnie do przodu, wysypując całą tacę wieprzowiny po chińsku zawijanej w naleśniki na przód kupionej specjalnie z okazji tego przyjęcia, bardzo drogiej sukni od Normy Kamali, którą miała na sobie pani Krutchmer.

Gdy Brian i Lissa, którzy, podobnie jak reszta ich rodzeństwa, dostali od Taty Lewa kategoryczny zakaz opuszczania piętra domu podczas przyjęcia, usłyszeli krzyki wystraszonych gości, po cichutku przekradli się w pidżamach na schody, żeby zobaczyć, co się dzieje.

„Pracownicy uniwersytetu nie lubią, jak podczas przyjęcia dzieci pętają im się pod nogami – wyjaśnił szorstko tego popołudnia Lew. – Budzą w nich mieszane uczucia”.

Kiedy dzieci ujrzały leżącą na podłodze matkę, a wokół niej wianuszek kłęzących uniwersyteckich gości (pani Krutchmer między nimi nie było; pobiegła do kuchni zmyć suknię zimną wodą, zanim sos zostawi na niej trwałe plamy), zapomniały o kategorycznym poleceniu ojczyma i ruszyły biegiem po schodach. Lissa płakała, oszołomiony Brian wrzeszczał. Lissa kopnęła niechcący w nerkę dziekana Wydziału Studiów Azjatyckich. Brianowi, który był o dwa lata starszy i ważył piętnaście kilogramów więcej, udało się jeszcze lepiej. Zwalił z nóg wy-

stępującego gościnnie w tym semestrze wykładowcę, pulchną panienkę w różowej sukience i wytwornych czółenkach o podwiniętych noskach. Panienka wtoczyła się do kominka. Siedziała tam oszołomiona, otoczona kłębamii szaroczarnego popiołu.

– Mamo! Mamusiu! – wrzasnął Brian, potrząsając dawną panią Catherine Bradbury. – Mamusiu! Obudź się!

Pani Evans poruszyła się z jękiem.

– Natychmiast marsz na górę – powiedział lodowato Lew.

– Oboje.

Kiedy dzieci kompletnie nie zwróciły uwagi na jego słowa, położył dłoń na ramieniu dziewczynki i tak mocno je ścisnął, że Lissa zapiszczała z bólu. Popatrzył na nią, twarz miał kredowobiałą i tylko na policzkach pojawiły mu się czerwone placki, jakby wymalował je tandetną szminką.

– Ja się tym zajmę – wycedził przez zęby, które zacisnął tak mocno, że z trudem wypowiadał słowa. – Wracaj natychmiast z bratem na górę i...

– Nie dotykaj jej, sukinsynu – rozległ się wyraźny głos Trenta.

Lew, a z nim wszyscy goście, którzy pojawili się na przyjęciu na tyle wcześnie, żeby być świadkami tego zajmującego widowiska, odwrócili się w kierunku drzwi salonu. W progu stali obok siebie Trent i Laurie. Trent był równie bładny jak jego ojczym, ale twarz miał spokojną i nieruchomą. Pośród gości znajdowało się kilka osób – niezbyt wiele – które znały pierwszego męża Catherine Evans i później zgodnie przyznawały, że podobieństwo Trenta do ojca jest wręcz zdumiewające. Ludzie ci oświadczyli, że w pierwszej chwili odnieśli wrażenie, iż to sam Bill Bradbury wstał z grobu, by stanąć twarzą w twarz ze swym poirytowanym następcą.

– Chcę, żebyście poszli na górę – oświadczył Lew. – Cała czwórka. Nie dzieje się tu nic takiego, czym moglibyście się niepokoić. Zupełnie nic.

W pokoju pojawiła się pani Krutchmer. Przód sukni od Normy Kamali miała wilgotny, ale na kreacji nie było znać żadnych trwałych śladów niemiłej przygody.

– Nie dotykaj Lissy – ponownie odezwał się Trent.

– I odczep się od naszej mamy – dodała Laurie.

Pani Evans usiadła na podłodze, przycisnęła ręce do skroni i rozglądała się po salonie oszołomionym wzrokiem. Ból głowy minął niczym spuszczone z balonu powietrze i jakkolwiek była zdezorientowana oraz przeraźliwie osłabiona, to przynajmniej dręcząca ją od czternastu dni migrena minęła bez śladu. Catherine zdawała sobie sprawę, iż zrobiła coś strasznego, coś, co wprowadziło Lewa w zakłopotanie, zapewne nawet sprowadziło na niego hańbę, ale w tej chwili zbyt wdzięczna była losowi za to, że ból minął, aby się tym przejmować. Na wstyd przyjdzie czas później. Obecnie pragnęła jedynie pójść na górę – pójść bardzo powoli – i się położyć.

– Czeka was za to surowa kara – przerwał martwą ciszę, jaka zapadła w salonie, Lew, spoglądając groźnie na pasierbów i pasierbice. Wodził po nich wzrokiem, jakby oceniał naturę i rozmiary zbrodni, jakich się każde z nich dopuściło. Gdy jego wzrok padł na Lissie, dziewczynka zaczęła płakać. – Przepraszam za skandaliczne zachowanie dzieci – oświadczył pod adresem gości. – Podejrzewam, że moja żona zanadto je rozpuściła. Potrzebują po prostu dobrej, angielskiej opiekunki.

– Nie bądź baranem, Lew – odezwała się pani Krutchmer. Mówiła bardzo głośno, ale niezbyt melodyjnie, a jej głos przypominał trochę ryk osła. Brian drgnął, przytulił się do siostry i też wybuchnął płaczem. – Twoja żona zemdlała, a dzieci bardzo się tym przejęły, to wszystko.

– Dokładnie – dodała wykładowniczy, dźwigając z kominka swe stosunkowo masywne ciało. Jej różowa sukienka była zabrudzona na szaro, na twarzy kobiety widniały ślady kopciucha. Jedynie buty o absurdalnej, choć w sposób przyciągający uwagę zawiniętych czubkach, pozostały czyste. Wykładowniczy najwyraźniej nie przejęła się przygodą. – Dzieci powinny troszczyć się o swoje matki. Podobnie jak mężowie o żony.

Mówiąc to, popatrzyła znacząco na Lewa Evansa, ale ten nawet nie spojrział w jej stronę. Śledził Trenta i Laurie, którzy pomagali matce wejść po schodach. Za nimi, niczym honorowa gwardia, postępował Brian i Lissa.

Przyjęcie trwało dalej. Wydarzenie zostało w większym lub mniejszym stop-

niu zapomniane, jak to zwykle bywa z nieprzyjemnymi incydentami na przyjęciach wydziałowych. Pani Evans (odkąd mąż powiadomił ją, że ma zamiar je wydać, sypiała najwyżej po trzy godziny na dobę) zasnęła od razu, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki, ale dzieci słyszały dochodzący z dołu jowialny, donośny głos Lewa, który zajmował się gośćmi bez pomocy pani domu. Trent podejrzewał nawet, że ojczym jest w gruncie rzeczy rad z takiego obrotu sprawy; przynajmniej nie musiał troszczyć się o swą płochliwą i wystraszoną jak myszka żonę.

Ani razu nie poszedł na górę sprawdzić, czy czegoś jej nie potrzeba.

Ani razu. Ani razu do końca przyjęcia.

Kiedy już wyszedł ostatni gość, Lew wspiał się ciężko po schodach, obudził żonę i kazał jej wstać... co też zrobiła, jak zwykle we wszystkim mu posłuszna od dnia, w którym popełniła ogromny błąd, przysięgając przed pastorem wierność małżeńską, a Lewowi ślubując posłuszeństwo.

Następnie wsunął głowę do pokoju Trenta i zmierzył dzieci surowym spojrzeniem.

– Wiedziałem, że wszyscy tu będziecie – oświadczył z lekkim, pełnym samozadowolenia kiwnięciem głowy. – Jak zwykle konspiracja. Ale nie zapominajcie, że jutro czeka was kara. Tak, naprawdę. Jutro. A teraz chcę, żebyście wrócili do łóżek i to sobie przemyśleli. No, marsz do swoich pokoi. I żadnego mi tu skradania się.

Ani Lissa, ani Brian nie mieli najmniejszego zamiaru nigdzie się „skradać”; dzieci były zbyt zmęczone i wyprane z wszelkich uczuć, żeby zająć się czymkolwiek innym, jak tylko pójść do łóżek i próbować natychmiast zapaść w sen. Ale Laurie, na przekór „Tacie Lewowi”, wróciła do pokoju Trenta, gdzie wraz z bratem w pełnym przerażenia milczeniu nasłuchiwała, jak ojczym łaje ich matkę za to, że śmiała zemdleć na jego przyjęciu... a matka tylko cicho płakała. Nie powiedziała nic na swoją obronę, nie odparła żadnego ze stawianych jej zarzutów.

– Och, Trent, co my teraz zrobimy? – zapytała Laurie stłumionym głosem, wtulając twarz w ramię brata.

Trent zachował kamienną twarz, choć była ona niezwykle blada.

– Co zrobimy? – zapytał. – Cóż, nic nie będziemy robili, Szprotko.

– Musimy coś zrobić! Trent! Musimy! Musimy jej pomóc!

– Nie, wcale nie musimy – odparł chłopiec. Na jego ustach pojawił się nikły, ale w jakiś sposób straszny uśmiezek. – Zrobi to za nas dom. – Popatrzył na zegarek i przez chwilę coś w myślach przeliczał. – Jutro po południu, mniej więcej o trzeciej czterdzieści, wszystko zrobi za nas dom.

Rano nie spotkała ich kara. Lew Evans myślał wyłącznie o swym seminarium na temat konsekwencji podboju normńskiego, które to zajęcia zaczynał na uczelni o ósmej. Ani Trenta, ani Laurie specjalnie to nie zaskoczyło, ale oboje w równym stopniu dziękowali za to losowi. Lew oświadczył tylko, że wieczorem wezwie każde z dzieci oddzielnie do gabinetu i każdemu „wkroi kilka zdrowych pasów”. Po rzuceniu tej złowieszczej groźby wymaszerował z domu z wysoko uniesioną głową, ściskając mocno w prawej ręce teczkę. Kiedy jego porsche jechało z warkotem ulicą, matka jeszcze spała.

Dwoje młodszych dzieci stało w kuchni, obejmowało się ramionami i patrzyło na Laurie jak na ilustrację z bajki braci Grimm. Lissa płakała. Brian, jak dotąd, trzymał się dzielnie, choć górna warga mu drżała, twarz miał blada, a pod oczyma czerwone obwódki.

– Dostaniemy lanie – powiedział do Trenta. – On bardzo mocno bije.

– Nie – odparł Trent, a dzieci popatrzyły na niego tyleż z nadzieją, co z powątpiewaniem.

Lew obiecał im baty i nawet Trent nie uniknie tego bolesnego upokorzenia.

– Ależ Trent... – zaczęła Lissa.

– Posłuchajcie mnie – odezwał się najstarszy brat, przyciągając stojące przy stole krzesło i siadając na nim twarzą do rodzeństwa. – Posłuchajcie mnie uważnie i zapamiętajcie każde słowo. To bardzo ważne, więc żadne z was nie może niczego popsuć.

Dzieci spoglądały na niego wielkimi, zielononiebieskimi oczyma.

– Chcę, żebyście natychmiast po szkole wrócili prosto do domu... ale tylko

do najbliższego rogu; do rogu Maple i Walnut. Rozumiecie?

– T-t-t-aak – odparła niepewnie Lissa. – Ale dlaczego, Trent?

– Nieważne – odparł. Oczy chłopca, również niebieskozielone, lśniły, ale Laurie pomyślała, że nie jest to lśnienie pogodne; pomyślała, że w źrenicach Trenta czai się groźba. – Po prostu tam czekajcie. Czekajcie przy skrzynce pocztowej. Musicie tam być o trzeciej, najpóźniej o trzeciej piętnaście. Rozumiecie?

– Tak – odpowiedział za oboje Brian. – Rozumiemy.

– Ja z Laurie albo już tam będziemy, albo pojawimy się zaraz po was.

– Ale jak my to zrobimy, Trent? – zapytała Laurie.

– Przecież do trzeciej nawet nie wyjdziemy ze szkoły. Poza tym ja mam próbę orkiestry, a sama jazda autobusem...

– My dziś nie idziemy do szkoły – odrzekł Trent.

– Nie? – zapytała zapędzona w kozi róg Laurie.

Lissa była przerażona.

– Trent! – powiedziała. – Nie możecie tego zrobić! To jest... to jest... ryzyko!

– Jeśli chodzi o czas, też ryzykujemy – odrzekł ponuro Trent. – A teraz wynocha do szkoły. Tylko pamiętajcie, róg Maple i Walnut o trzeciej, najpóźniej o trzeciej piętnaście. I niezależnie od tego, co się będzie działo, nie wracajcie do domu.

– Popatrzył na Briana i Lissę tak groźnie, że przerażone, oszołomione dzieci jeszcze mocniej przytuliły się do siebie, jakby szukając w sobie otuchy. Nawet Laurie wyglądała na wystraszoną.

– Czekajcie na nas, ale nie wściecie się wracać do domu – przykazał jeszcze raz Trent. – Za skarby świata.

Kiedy już małe dzieci opuściły dom, Laurie chwyciła brata za koszulę i stanowczo zażądała wyjaśnień.

– To musi mieć coś wspólnego z tym, co rośnie w domu. Wiem, że tak jest, ale jeśli chcesz, żebym poszła na wagary i pomogła ci, musisz mi o wszystkim powiedzieć, Trencie Bradbury.

– Uspokój się, wszystko ci powiem – odrzekł Trent i delikatnie wyswobodził się z mocnego uścisku siostry. – Tylko zachowuj się cicho. Nie chcę, żebyś zbu-

dziła mamę. Ona posłałaby nas szkoły, a do tego nie wolno dopuścić.

– Dobrze, więc o co chodzi? Mów!

– Chodźmy na dół. Chcę ci coś pokazać.

Zaprowadził ją do piwnicy, do winiarni.

Trent nie był do końca pewien, czy Laurie zgodzi się zrobić z nim to, co on umyślił – była to straszliwa... no cóż, straszliwa ostateczność – ale siostra nie stawiała żadnych sprzeciwów. Gdyby chodziło tylko o sprawę samego lania, jakie obiecał im Tata Lew, na pewno by Trentowi nie pomogła. Ale widok leżącej bez przytomności na podłodze w salonie matki wywarł na niej tak samo piorunujące wrażenie jak na Trencie oziębła reakcja ich ojczyrna.

– Tak – stwierdziła ponuro Laurie. – Myślę, że musimy to zrobić.

Patrzyła na cyferki mrugające na poręczy fotela.

07:49:21

Winiarnia nie była już winiarnią. Oczywiście, mocno pachniało w niej winem, a na podłodze wałało się zielone szkło z potłuczonych butelek i resztki rozbitego stojaka, który zrobił ich ojciec, ale teraz ta część piwnicy wyglądała jak zrodzona w umyśle szaleńca wizja sterowni gwiazdolotu „Enterprise”. Wskazówki na tarczach wahały się i wirowały. Cyfrowe wskaźniki mrugały, zmieniały się, znów mrugały. Światła płonęły i gasły.

– Tak – zgodził się Trent. – Też sądzę, że musimy. Sukinsyn... tak na nią wrzeszczeć!

– Trent, nie mów tak.

– To kretyn! Skurwysyn! Kawał kutasa!

Ale tak naprawdę tymi brzydkimi wyrazami określał po prostu rodzaj odlatującego ze świstem cmentarza; i oboje świetnie o tym wiedzieli. Trent, spoglądając na to skupisko obcych instrumentów, czuł niepokój i wątpliwości. Przypomniał sobie książkę, którą, gdy był jeszcze dzieckiem, czytywał mu ojciec. Było tam opowiadanie Mercera Mayera o Trollusku Pożeraczu Znaczków. Stworzył ten wsadził do koperty pocztowej małą dziewczynkę i zaadresował: „Do Tego, Kto

Na Tę Przesyłkę Czeka”. Czyż nie zamierzali uczynić tego samego z Lewem Evansem?

– Jeśli czegoś nie zrobimy, on ją w końcu zabije – powiedziała cicho Laurie.

– Co? – Tak szybko odwrócił głowę w jej stronę, że aż coś boleśnie chrupnęło mu w karku.

Lecz Laurie na niego nie patrzyła. Spoglądała na czerwone cyferki odmierzające czas. Odbijały się w szklach jej okularów, w których zawsze chodziła do szkoły. Dziewczynka stała jak zahipnotyzowana, nieświadoma tego, że Trent ją obserwuje; nieświadoma zapewne nawet jego obecności.

– Nie robi tego celowo – dodała. – Może nawet będzie mu przykro. W każdym razie przez jakiś czas. Myślę, że on ją naprawdę kocha, ale kocha na swój sposób, ona jego zresztą też... Wiesz... również na swój sposób. Ale z mamą będzie coraz gorzej i gorzej. Będzie cały czas chorować, aż w końcu... pewnego dnia...

Urwała i zerknęła na Trenta. Wyraz jej twarzy bardziej przeraził chłopca niż cokolwiek innego w ich dziwnym, zmieniającym się, nawiedzonym domu.

– Powiedz mi, Trent – poprosiła Laurie, chwytając brata za ramię. Rękę miała zimną jak lód. – Powiedz mi, jak to zrobimy.

Poszli razem na drugie piętro, do gabinetu Lewa. Trent był zdecydowany nawet splądrować pomieszczenie, ale znaleźli klucz w górnej szufladzie biurka. Był wsunięty starannie w kopertę z napisem GABINET, wypisanym drobnym, wyraźnym, w jakiś sposób przywodzącym na myśl hemoroidy pismem. Trent wsunął kopertę do kieszeni. Opuścili dom, gdy z pierwszego piętra dobiegł właśnie szum prysznic, oznaczający, że ich matka wstała.

Cały dzień spędzili w parku. Jakkolwiek żadne nie chciało się do tego przyznać, był to najdłuższy dzień w ich życiu. Dwukrotnie dostrzegli przejeżdżający patrol policji i musieli ukryć się w szaletach. Nie mogli pozwolić sobie na to, żeby przyłapano ich na wagarach i z hukiem odstawiono do szkoły.

O wpół do trzeciej Trent wręczył Laurie dwudziestopięciocentówkę i ruszyli do budki telefonicznej po wschodniej stronie parku.

– Czy muszę to robić? – zapytała. – Śmiertelnie ją wystraszę. Zwłaszcza po przejściach wczorajszego wieczoru.

– Chcesz, żeby była w domu, gdy stanie się, co ma się stać? – odparł pytaniem Trent i Laurie bez dalszych protestów wrzuciła do otworu monetę.

Telefon dzwonił i dzwonił. Dzwonił tak długo, że zaczęli już podejrzewać, że matka wyszła. To mogło się okazać dobre, ale mogło również okazać się złe. Z całą pewnością było bardzo denerwujące. Jeśli wyszła z domu, istniała wielka szansa, że jednak wróci przed...

– Trent, myślę, że jej nie ma...

– Halo? – rozległ się w słuchawce zaszany głos matki.

– O, cześć mamó – powiedziała Laurie. – Myślałam już, że cię nie ma.

– Wróciłam do łóżka – odparła i roześmiała się z lekkim zakłopotaniem. – Nie mogę się wyspać. Poza tym kiedy śpię, nie muszę rozmyślać, jak okropnie się zachowałam wczoraj wieczorem...

– Och, mamó, wcale nie zachowałam się okropnie. Przecież gdy ludzie mdleją, nie robią tego umyślnie...

– Laurie, dlaczego dzwonicz? Czy wszystko w porządku?

– Jasne, mamó... cóż...

Trent dał siostrze kuksańca w zębra. Mocnego kuksańca.

Laurie, która się przygarbiła (tak naprawdę sprawiała takie wrażenie, jakby zaczęła maleć), natychmiast wyprostowała plecy.

– Miałam wypadek na sali gimnastycznej. Taki... no, wiesz, niewielki. Nie jest źle.

– Co sobie zrobiłaś? Chryste, chyba nie dzwonicz ze szpitala?

– Pewnie, że nie – odparła pośpiesznie Laurie. – Po prostu wykręciłam sobie nogę w kolanie. Pani Kitt prosi, żebyś przyjechała i zabrała mnie wcześniej ze szkoły. Nie wiem, czy zdołam o własnych siłach dotrzeć do domu. To bardzo boli.

– Natychmiast po ciebie jadę. Jak najmniej się ruszaj, kochanie. Mogłaś zerwać sobie jakieś więzadło. Czy jest przy tobie pielęgniarka?

– Teraz już nie. Nie martw się, mamó. Będę uważać.

– A byłaś w gabinecie lekarskim?

– Tak – odparła Laurie.

Twarz miała czerwoną jak sterowana radiem kolejka Briana.

– Przyjadę po ciebie.

– Dzięki, mamó. Pa.

Odwiesiła słuchawkę i popatrzyła na Trenta. Zaczepnęła głęboko tchu, a potem ciężko westchnęła.

– To było okropne – stwierdziła bliska łez.

Trent mocno przytulił siostrę.

– Doskonale się sprawiłaś – pochwalił. – Sam bym tego lepiej nie zrobił, Szpro... Laurie. Nie jestem pewien, czyby mi uwierzyła.

– Zastanawiam się, czy mnie jeszcze kiedykolwiek uwierzy – odrzekła z goryczą Laurie.

– Uwierzy – pocieszył ją Trent. – Chodźmy.

Przeszli na zachodnią stronę parku, skąd mogli obserwować Walnut Street. Pochłodziło, zrobiło się ciemniej, nad głowami gromadziły się burzowe chmury, wiał przenikliwy wiatr. Czekali pięć minut, które ciągnęły się w nieskończoność, aż w końcu mignęło im subaru ich matki, jadące bardzo szybko w kierunku Greendowne Middle School, do której chodzili Trent i Laurie... dokąd poszlibyśmy i dzisiaj, gdybyśmy nie wybrali się na wagary – pomyślała Laurie.

– Naprawdę pognała – zauważył Trent. – Myślę, że nie spowoduje wypadku ani nic się jej złego nie stanie.

– Za późno na żale. Chodź – powiedziała Laurie, wzięła Trenta za ramię i pociągnęła z powrotem do budki telefonicznej.

– Teraz ty dzwoń do Lewa, szczęściarzu.

Wrzucił do automatu kolejną dwudziestopięciocentówkę, przeczytał z wyjętej z portfeli kartki numer sekretariatu Wydziału Historycznego i zaczął naciskać klawisze. Ostatniej nocy prawie nie zmrużył oka, ale teraz, kiedy wprowadzili już wszystko w ruch, był chłodny i spokojny... tak naprawdę chłodniejszy niż zamrażalnik w lodówce. Zerknął na zegarek. Za kwadrans trzecia. Jeszcze niecała godzina. Po zachodniej stronie nieba przetoczył się daleki grzmot.

– Tu Wydział Historii – rozległ się w słuchawce kobiecy głos.

– Dzień dobry. Mówi Trent Bradbury, chciałbym prosić mego ojczyrna, Lewisa Evansa.

– Profesor Evans prowadzi w tej chwili zajęcia – odparła sekretarka. – Ale skończy je za...

– Wiem, ma wykład ze współczesnej historii Anglii, który potrwa do wpół do czwartej. Ale muszę z nim porozmawiać teraz. To nagły wypadek. Dotyczy jego żony. – Znacząca, skalkulowana przerwa. – Mojej mamy.

W słuchawce zapadła długa cisza i Trent poczuł zawrót głowy. Zupełnie jakby kobieta po drugiej stronie linii zamierzała odmówić jego prośbie lub po prostu go zbyć, bez względu na to, czy jest to nagły wypadek, czy nie. A tego plan nie przewidywał.

– Ma zajęcia w Oglethorpe. To tuż obok – powiedziała w końcu. – Osobiście dostarczę mu wiadomość. Zadzwoń do domu, jak tylko...

– Nie, poczekam przy telefonie – odparł Trent.

– Ale...

– Czy mogłaby pani nie robić ze mnie głupka i poprosić go do aparatu? – zapytał Trent, nadając głosowi zimne, szorstkie brzmienie.

Przyszło mu to z łatwością.

– No dobrze – odparła sekretarka. Trudno powiedzieć, czy bardziej zła, czy zaniepokojona. – Jeśli tylko powiesz mi, o co chodzi...

– Nie, nie powiem – oświadczył Trent.

Ze słuchawki dobiegło pełne oburzenia i urazy parsknięcie, po czym zapadła cisza.

– I co? – zapytała Laurie, przestępując z nogi na nogę jak ktoś, kto koniecznie musi iść do ubikacji.

– Czekam. Mają go przywołać.

– A jeśli nie podejdzie?

Trent wzruszył ramionami.

– Wtedy będziemy ugotowani. Ale podejdzie. Poczekaj, a sama się o tym przekonasz.

Chciał mieć taką pewność, z jaką to mówił, ale mógł tylko głęboko wierzyć, że wszystko się uda. Musiało się udać.

– Zostawiliśmy to na ostatnią chwilę.

Trent przytaknął. Musieli zostawić to na ostatnią chwilę i Laurie wiedziała dlaczego. Drzwi do gabinetu wykonane zostały z grubego drewna dębowego, bardzo twardego, ale dzieci nic nie wiedziały o zasadzie działania zamka. Trent chciał mieć pewność, że Lew nie zdąży się z nimi uporać.

– A co będzie, jeśli jadąc do domu, zobaczy czekających na rogu Briana i Lisie?

– Jeśli przyjedzie wściekły, a uważam, że tak właśnie będzie, to ich nie zauważy. Staną pod podcieniami, a twarze zasłonią daszkami szkolnych czapecek.

– Dlaczego nie podchodzi do tego cholernego telefonu? – zapytała Laurie, spoglądając na zegarek.

– Podejdzie – uspokoił siostrę Trent i w tej samej chwili w słuchawce rozległ się głos ich ojczyma.

– Halo?

– Tu Trent. Lew, mama jest w twoim gabinecie. Musiał jej wrócić ból głowy, bo znów zemdląca. Nie mogę jej ocucić. Lepiej natychmiast wracaj do domu.

Trenta nie zaskoczyło pierwsze pytanie ojczyma. Tak naprawdę, na tym właśnie zasadzał się cały plan. A mimo to chłopcu pobieleły z gniewu zaciśnięte na słuchawce palce.

– W moim gabinecie? W moim gabinecie? Cóż ona, do diabła, tam robiła?

Mimo ogarniającej go wściekłości Trent nadał głosowi spokojne brzmienie.

– Chyba sprzątała – odparł, po czym rzucił ostateczną przynętę na kogoś, kto nieporównywalnie więcej dbał o swoją pracę niż o żonę. – Wszystkie papiery są porzucane na podłodze.

– Natychmiast wracam – warknął Lew i dodał: – Jeśli jakieś okna są pootwierane, to, na Boga, natychmiast je zamknij. Nadchodzi burza.

I bez słowa odłożył słuchawkę.

– No i co? – zapytała Laurie, gdy Trent odwiesił mikrofon.

– Już jedzie – odparł jej brat i roześmiał się złowieszczo.

– Sukinsyn był tak poruszony, że nie zapytał nawet, dlaczego o tej porze jestem w domu, a nie w szkole. Chodź.

Pobiegli na skrzyżowanie Maple i Walnut. Niebo zrobiło się już bardzo ciemne i przetaczał się po nim niemal nieustanny grzmot piorunów. Kiedy dotarli do niebieskiej skrzynki pocztowej na rogu, zaczęły się zapalać kolejno po dwie latarnie, stojące wzdłuż ulicy aż do szczytu wzniesienia.

Lissy i Briana jeszcze nie było.

– Chcę iść z tobą, Trent – oświadczyła Laurie, ale jej mina wyraźnie mówiła, że dziewczynka kłamie.

Twarz miała bardzo bladą, oczy nienaturalnie wielkie, wypełnione łzami, których nie potrafiła ukryć.

– W żadnym wypadku – odparł Trent. – Poczekasz tu na Briana i Lissę.

Na dźwięk imion młodszego rodzeństwa Laurie odwróciła się i spojrzała w perspektywę Walnut Street. Dostrzegła zbliżającą się śpiesznie dwójkę dzieci, w rękach trzymały pojemniczki na drugie śniadanie. Wprawdzie z tej odległości Laurie nie mogła jeszcze rozróżnić ich twarzy, lecz była święcie przekonana, że to Lissa i Brian.

Powiedziała o tym Trentowi.

– Dobrze. Pójdziecie we trójkę pod dom pani Redland, tam ukryjecie się za żywopłotem i poczekacie, aż minie was Lew. Wtedy ty wyjdiesz na ulicę; ale nie idź do domu ani im na to nie pozwól. Czekaj na mnie przed domem.

– Boję się, Trent – wyznała, apo policzkach popłynęły jej łzy.

– Ja też, Szprotko – stwierdził starszy brat i szybko pocałował ją w czoło. – Ale niedługo wszystko już będzie za nami.

Zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, chłopak pobiegł w stronę domu Bradburych na Maple Street. W biegu popatrzył na zegarek. Było dwanaście po trzeciej.

W domu panował bezruch i upał, co bardzo wystraszyło Trenta. Było tak, jakby po wszystkich kątach rozsypano proch strzelniczy, a jacyś ludzie, których

nie widział, czekali tylko, żeby włączyć niewidzialne zapalniki. Wyobraził sobie zegar w winiarni odliczający nieubłagane czas.

Ów zegar wskazywał teraz

00:19:06.

A jeśli Lew się spóźni?

Nie było czasu na jałowe spekulacje.

Trent galopem wbiegł na drugie piętro. Otaczało go nieruchome, łatwo zapalne powietrze. Chłopiec odnosił wrażenie; że cały dom się wierci, nabiera życia, w miarę jak odliczanie zbliża się do końca. Próbował się przekonywać, że to tylko gra wyobraźni, ale jakaś część jego umysłu wiedziała, że to nie fantazja.

Wszedł do gabinetu Lewa, otworzył na chybił trafił dwie czy trzy szafki z dokumentami oraz kilka szuflad w biurku i po całym pokoju porozrzucił papiery, jakie w nich znalazł. Zajęło mu to tylko kilka chwil, ale gdy kończył, usłyszał odgłos silnika nadjeżdżającego ulicą porsche. Tym razem maszyna nie warczała; Lew wprowadził ją na takie obroty, że ryczała.

Trent opuścił gabinet i skrył się w zalegającym korytarz na drugim piętrze cieniu, tam gdzie wyborowali pierwsze otwory. Zdawało się, że od tamtej chwili minęły wieki. Wsunął rękę do kieszeni po klucz, ale kieszeń była pusta. Znalazł w niej tylko jakiś stary, pomięty talon na lunch.

Musiałem zgubić klucz, kiedy biegłem ulicą – błysnęła mi myśl. – Musiał wyślizgnąć mi się z kieszeni.

Stał w bezruchu, spocony ze strachu, a porsche z piskiem opon wjeżdżało na podjazd. Po chwili ryk silnika umilkł. Drzwi samochodu się otworzyły, a następnie zamknęły z trzaskiem. Odgłos kroków podbiegającego do tylnych drzwi domu Lewa. Rozległ się głośny niczym eksplozja pocisku artyleryjskiego huk pioruna, mrok korytarza rozjaśniła niebieska poświata błyskawicy, a gdzieś głęboko w domu ruszył potężny motor, wydał niskie, stłumione warknięcie i z cichym szumem podjął pracę.

Jeżu, drogi Jeżu, co ja teraz zrobię? – zakołatało Trentowi pod czaszką. – CO MOGĘ zrobić? Jest większy ode mnie! Jeśli spróbuję przyłożyć mu czymś

w głowę, on...

Wsunął lewą dłoń do drugiej kieszeni i myśl natychmiast się urwała, kiedy dotknął staroświeckiej, metalowej główki klucza z wypilowanymi ząbkami. Zapewne w którymś momencie długiego oczekiwania w parku bezwiednie przełożył klucz z jednej kieszeni do drugiej.

Dyszząc ciężko – serce galopowało mu już nie tylko w piersi, ale i w żołądku, i w gardle – Trent przekradł się do szafy z walizkami, wszedł do środka i prawie całkowicie zaciągnął za sobą harmonijkowe drzwi.

Lew wielkimi susami sadził po schodach i najgłośniej jak potrafił wykrzykiwał imię żony. Trent zobaczył, że ojczym mija szafę, w której chłopiec się ukrył. Włosy Lewa stały dęba (przez całą drogę musiał przeciągać po nich palcami), krawat miał przekrzywiony, na wysokim, inteligentnym czole perliły się krople potu, oczy z wściekłości zwięzły mu się do wąziutkich szparek.

– Catherine! – wrzasnął jeszcze raz i pobiegł korytarzem do gabinetu.

Nie zdążył dotrzeć do drzwi, kiedy z szafy na walizy wynurzył się Trent i bezszelestnie ruszył jego śladem. Miał tylko jedną szansę. Jeśli nie trafi kluczem w dziurkę... jeśli zamek po pierwszym obrocie nie zaskoczy...

Jeżeli wydarzy się któraś z tych rzeczy, będę z nim walczył – miał czas pomyśleć Trent. – Jeśli nie wyślę go samego, to, do jasnej cholery, zabiorę go ze sobą.

Pchnął drzwi i zamknął je z takim hukiem, że ze szczelin między zawiasami posypał się kurz. W ułamku sekundy dostrzegł jeszcze zdumioną twarz Lewa. W mgnieniu oka wsunął klucz w dziurkę. Przekręcił go i zanim Lew zdążył rzucić się na drzwi, zapadka w środku zaskoczyła.

– Ej! – ryknął Lew. – Ej, ty mały skurwysynu! Co wyprawiasz? Gdzie Catherine? Wypuść mnie stąd!

Gałka obracała się bezskutecznie w lewo i w prawo. Później znieruchomiła, a na drzwi spadł grad potężnych uderzeń.

– Trencie Bradbury, natychmiast mnie stąd wypuść! W przeciwnym razie spuszczę ci takie baty, o jakich ci się nie śniło w twoim cholernym życiu!

Trent powoli się cofał, aż w końcu trafił plecami na przeciwległą ścianę kory-

tarza. Ciężko łapał powietrze. Klucz od gabinetu, który odruchowo wyciągnął z dziurki, wysunął mu się z palców i upadł między stopy chłopca na wyłożoną splewiałym linoleum podłogę korytarza. Teraz, gdy Trent dopiął swego, przyszła reakcja. Obraz świata zafalował, jakby dzieciak znalazł się nagle pod wodą i musiał toczyć ze sobą walkę, żeby nie stracić przytomności. Dopiero kiedy Lew został zamknięty na głucho w gabinecie, kiedy matkę podstępem wywabili z domu, a pozostałe dzieci bezpiecznie czekały pod przerośniętym cisowym żywopłotem pani Redland, Trent uświadomił sobie, że cały czas nie wierzył w to, iż jego plan wypali. Jeśli „Tata Lew” był zaskoczony tym, że zamknięto go w gabinecie, to zdumienie Trenta przechodziło wszelkie wyobrażenie.

– WYPUŚĆ MNIE STĄD, DO CHOLERY!

– Wypuszczę cię za kwadrans czwarta, Lew – powiedział Trent niepewnym, drżącym głosem i z gardła wydobył mu się cichy chichot. – Wypuszczę cię za kwadrans czwarta pod warunkiem, że jeszcze tu będziesz.

Wtedy z dołu dobiegło go wołanie:

– Trent? Trent, wszystko w porządku?

Dobry Boże, to Laurie.

– Co z tobą, Trent?

I Lissa!

– Ej, Trent! Wszystko w porządku?

I Brian.

Trent zerknął na zegarek, by z przerażeniem spostrzec, że jest już 3:31... cyferki przeskoczyły na 3:32. A jeśli zegarek się późni?

– Wynoście się! – wrzasnął na nich i runął korytarzem w stronę schodów. – Wynoście się z tego domu!

Korytarz na drugim piętrze rozciągał się przed nim jak toffi; im szybciej biegł, tym dłuższa pozostawała przed nim przestrzeń do przebycia. Lew bombardował drzwi pięściami i kłął jak szewc; grzmot pioruna; a gdzieś z trzewi domu dobiegł jeszcze bardziej przerażający łomot budzącej się do życia maszynarii.

Trent dotarł w końcu do schodów i zaczął nimi zbiegać. Tak mocno wychylił

do przodu tułów, że o mało nie upadł. Między pierwszym i drugim piętrzem znajdował się podest, na którym schody zakręcały i dalej spadały w dół do miejsca, gdzie czekał jego brat i dwie siostry. Wszyscy spoglądali w górę.

– Uciekajcie! – znów wrzasnął, zagarniając dzieci ramionami, popychając je w stronę otwartych drzwi i czającej się za nimi ciemności burzy. – Szybko!

– Trent, co się dzieje? – zapytał Brian. – Co się dzieje z domem? Cały się trzęsie!

Tak było naprawdę. Podłoga wpadła w wibrację, od której drżały Trentowi gałki oczne. Na głowy posypał się pył gipsowy.

– Nie ma czasu! Uciekajmy! Szybko! Laurie, pomóż mi!

Trent porwał Briana na ręce. Laurie chwyciła pod pachy Lisę i chwiejnie ruszyła z nią w stronę drzwi.

Uderzył piorun. Niebo przecięła błyskawica. Szepczący dotąd wiatr odezwał się z rykiem smoka.

Trent czuł, jak pod budynkiem zaczyna się trzęsienie ziemi. Kiedy z Brianem w ramionach wybiegał z domu, dostrzegł elektryczne, niebieskie światło, które buchnęło przez wąskie piwniczne okna i było tak oślepiające, że przez następną prawie godzinę migwały mu przed oczyma powidoki (później pomyślał, iż miał wiele szczęścia, że nie oślepnął). Na trawnik padły niemal materialne snopy blasku. Usłyszał brzęk pękającego szkła. A w tej samej chwili, kiedy przekraczał próg, poczuł, że cały dom zaczyna mu się podnosić pod stopami.

Zeskoczył z frontowych stopni i chwycił Laurie za rękę. Zataczając się, chwiejnie ruszyli w stronę ulicy, na którą wraz z burzą napływał prawie nocny mrok.

Na chodniku odwrócili się i zaczęli obserwować dom.

Budynek na Maple Street jakby się rozpadał. Nie był już prosty i masywny; wydawało się, że płąsa jak postać na pogo na rysunkowym filmie. Odbiegały od niego olbrzymie szczeliny, nie tylko w betonowym podjeździe, ale i w samej ziemi otaczającej dom. Trawniki rozpadły się na przypominające kształtem duże kawały ciasta kępy trawy. Pod zielenią pojawiły się czarne, naprężone korzenie, a cały dziedziniec przed domem wybrzuszył się jak bąbel, jakby chciał za-

trzymać budynek, który stał tam od tak dawna.

Trent popatrzył na drugie piętro, gdzie w gabinecie Lewa wciąż paliło się światło. Wydawało mu się, że dobiegł stamtąd – dobiegał cały czas – brzęk tłuczonego szkła, ale złożył to na karb wyobraźni. Jak mógł cokolwiek słyszeć w takim łośkocie? Dopiero rok później Laurie wyznała mu, że jest całkiem pewna, iż słyszała dziki wrzask ojczyma.

Fundamenty zaczęły się kruszyć, później pękać, aż w końcu poddały się z hukiem pocisku mózdzierzowego. Wytrysnął spod nich jasny, zimny niebieski ogień. Dzieci zasłoniły oczy i cofnęły się jeszcze bardziej. Silniki grzmiały. Ziemia wznosiła się i wznosiła, próbując rozpaczliwie powstrzymać dom... a następnie opadła. W jednej chwili budynek znalazł się trzydzieści centymetrów nad powierzchnią i stanął na słupie jasnoblękitnego ognia.

Był to wspaniały odlot.

Chorągiewka na szczycie dachu wirowała jak szalona.

Dom najpierw wznosił się pomalutku, później zaczął nabierać szybkości. I nagle z grzmotem wyrwał w górę na oślepiającym, błękitnym słupie płomienia. Frontowe drzwi z impetem otwierały się i zamykały.

– Moje zabawki! – zawołał Brian, zaczął beczeć, a Trent wybuchnął dzikim śmiechem.

Dom wzniósł się na wysokość jakichś trzydziestu metrów, zamarł na chwilę w idealnej równowadze, jakby przygotowywał się do dalszego skoku, i nagle wyrwał w górę, prosto w skłębioną nawałnicę czarnych jak w nocy chmur.

Zniknął.

Na ziemię, niczym liście, spłynęły dwa gonty.

– Uważaj, Trent! – wrzasnęła Laurie po sekundzie czy dwóch i tak mocno go popchnęła, że chłopak wywinął kozła.

W miejsce, gdzie przed chwilą stał Trent, grzotnęła o ziemię podbita grubą gumą wycieraczka leżąca zazwyczaj przed progiem ich domu. Widniał na niej napis: WITAMY.

Trent popatrzył na Laurie, a Laurie na Trenta.

– Gdyby spadła na ciebie, rozkwasiłaby ci głowę jak wszyscy diabli – powie-

działa dziewczynka. – Tak więc nigdy już nie nazywaj mnie Szprotką, Trent.

Przez kilka sekund spoglądał na nią poważnie, po czym zaczął chichotać. Po chwili chichotała już i Laurie. Na końcu dołączyła do nich dwójka najmłodszych. Brian i Laurie chwycili Trenta za ręce, pomogli mu dźwignąć się z ziemi, a potem stanęli obok siebie i zaczęli patrzeć w dymiącą dziurę w środku trawnika, gdzie jeszcze niedawno mieściła się piwnica. Z sąsiednich domów wychodzili ludzie, ale dzieciaki Bradburych nie zwróciły na nich uwagi. Tak naprawdę, mówiąc ściśle, dzieciaki Bradburych nie dostrzegły nawet ich istnienia.

– Bomba! – powiedział z szacunkiem Brian. – Nasz dom wystartował, Trent.

– Tak – zgodził się Trent.

– Może tam, dokąd zmierza, żyją ludzie, którzy zechcą dowiedzieć się czegoś interesującego o Normanach i Anglosasach – zauważyła Lissa.

Trent objął Laurie ramieniem i oboje wybuchnęli ni to śmiechem, ni to krzykiem zgrozy... W tej samej chwili deszcz lunął jak z cebra.

Podszedł do nich mieszkający po drugiej stronie ulicy pan Slattery. Nie miał na głowie zbyt wielu włosów, a te, które mu pozostały, natychmiast przyłgnęły do lśniącej czaszki grubymi, małymi kępkami.

– Co się stało? – zawołał, przekrzykując huk piorunów, które znów nieustannie przetaczały się po niebie. – Co się tutaj stało?

Trent puścił siostrę i popatrzył na pana Slattery'ego.

– Prawdziwa Przygoda Kosmiczna – wyjaśnił poważnie, co pobudziło dzieci do jeszcze większego śmiechu.

Pan Slattery popatrzył niepewnie, ze strachem na pustą jamę po piwnicy, zdecydował, że przezorność jest jednak lepsza od bohaterstwa, i wycofał się na swoją stronę ulicy. Jakkolwiek z nieba ciągle lały się strugi wody, nie zaprosił dzieci Bradburych do siebie. Ale ich to nic nie obchodziło. Usiadły na krawężniku, Trent i Laurie w środku, a Brian z Lissą po ich obu stronach.

Laurie pochyliła się do ucha Trenta.

– Jesteśmy wolni – szepnęła.

– Jeszcze lepiej – odparł. – Ona jest wolna.

Następnie objął całą trójkę ramionami – musiał je w tym celu tego wyciągnąć

– i siedzieli na krawężniku w lejącym deszczu czekając, aż ich mama wróci do domu.

Piąta ćwiartka

Zaparkowałem grata tuż za rogiem najbliższej przecznicy od domu Keenana i przez chwilę bez ruchu siedziałem w ciemnościach. Później przekręciłem kluczyk w stacyjce i wysiadłem z auta. Kiedy zatrasnąłem drzwi, usłyszałem, jak na jezdnię syją się z wahaczy płatki rdzy. Tak dłużej być nie mogło.

Spoczywająca w kaburze pod pachą czterdziestkapiątka, która niegdyś należała do Barneya, uciskała mi klatkę piersiową niczym pięść, ale bardzo mnie to cieszyło. Dodawała posmaku ironii całej tej zwariowanej sprawie. A może nawet była w tym jakaś sprawiedliwość.

Dom Keenana stanowił architektoniczne brzydactwo zajmujące ponad sto metrów kwadratowych powierzchni. W konstrukcji budynku wykorzystano wszystkie możliwe kąty i stromizny dachów, a całość otaczał żelazny parkan. Jak się spodziewałem, Keenan bramę zostawił otwartą. Wcześniej widziałem go przez okno w salonie, gdzie rozmawiał z kimś przez telefon. Odnosiłem nieodparte wrażenie, że rozmawia z Jaggerem albo z Sierżantem. Zapewne z Sierżantem. Koniec oczekiwania; ta noc należała do mnie.

Zbliżyłem się do podjazdu i stanąwszy tuż obok gęstych zarośli, nasłuchiwałem, czy nie dobiegają jakieś podejrzone dźwięki, które przebiłyby się przez zawrodozenie styczniowego wiatru. Nic nie usłyszałem. Był to piątkowy wieczór, więc mieszkająca na stałe u Keenana pokojówka miała zapewne wychodne i zabawiała się wesoło w czyjejs garsonierze. Nikogo w domu; tylko ten skurwysyn Keenan. Keenan czekający na Sierżanta. Czekający na mnie, choć o tym jeszcze nie wiedział.

Garaż również stał otworem, więc wślizgnąłem się do środka. Majaczył tam hebanowym cieniem impala Keenana. Szarpnąłem klamkę tylnych drzwi. Sa-

mochód był otwarty. Keenan nie został stworzony na łajdaka – nasza mnie nieoczekiwane refleksja.

– Jest stanowczo zbyt ufny i beztroski.

Wśliznąłem się do auta, rozsiadłem w fotelu i czekałem.

Teraz wiatr przynosił leciutkie dźwięki muzyki jazzowej; bardzo spokojnej, bardzo dobrej. Zapewne Milesa Davisa. Keenan słuchał Milesa Davisa, a w wymanikiurowanej dłoni trzymał szklanę dzinu z musującym tonikiem. Bardzo miło z jego strony.

Było to długie oczekiwanie. Wskazówki mego zegarka przesunęły się z godziny dwudziestej trzydzięci na dwudziestą pierwszą dziesięć. Bardzo dużo czasu do rozmyślań, głównie o Barneyu. Rozmyślałem o nim wbrew własnej woli. Myślałem o tym, jak wyglądał na tamtej niewielkiej łodzi, gdy gapił się na mnie i krakał coś bez sensu. Dryfował od dwóch dni i wyglądał jak gotowany homar. Pośrodku tułowia, w miejscu, gdzie został postrzelony, miał czarne plamy zakrzepłej krwi.

Robił, co mógł, żeby dopłynąć do domku letniskowego, ale tylko ślepemu szczęściu zawdzięczał, że w końcu tam dotarł. Dzięki szczęściu tam dotarł i dzięki szczęściu zdołał jeszcze przez chwilę mówić. Miałem całą garść pigułek nasennych na wypadek, gdyby nie mógł. Nie chciałem, żeby cierpiał. Chyba żeby istniały ku temu ważne przyczyny. Istniały. Miał mi do przekazania całą historię, rewelacyjną historię i prawie całą mi opowiedział.

Gdy już nie żył, wróciłem na łódź i zabrałem jego czterdziestkępiątkę. Znajdowała się w niewielkim schowku na rufie w wodoszczelnym woreczku. Później odholowałem łódź Barneya na głęboką wodę i tam ją zatopiłem. Gdybym miał umieścić epitafium, wybrałbym jakieś mówiące o tym, że na całym świecie frajerzy rodzą się co minutę. Mógłbym się założyć, że większość z nich to całkiem sympatyczni goście; tacy właśnie jak Barney. Zamiast umieszczania epitafium postanowiłem jednak odszukać ludzi, którzy go dorwali. Upłynęło sześć miesięcy, zanim dotarłem do Keenana i upewniłem się, że brał w tym udział również Sierżant; a przynajmniej w większym lub mniejszym stopniu maczał w tym palce. Ale taki już ze mnie uparty gość. No i proszę, siedziałem

teraz w tym samochodzie.

Gdy o dziesiątej dwadzieścia na ciągnący się łukiem podjazd padł blask reflektorów, położyłem się na podłodze impali. Przybysz wjechał do garażu i zaparkował samochód obok auta Keenana. Sądząc po szumie motoru, był to jeden z tych starych modeli volkswagenów. Niewielki silnik zamilkł i do moich uszu dotarło ciche pochrumkiwanie Sierżanta, kiedy niezdarnie gramolił się ze swego małego samochodu. Na werandzie zapaliło się światło i usłyszałem trzask otwieranych drzwi.

Keenan:

– Spóźniłeś się! Wejdz i zrób sobie coś do picia.

Sierżant:

– Może być szkocka.

Uprzednio opuściłem w impali szybę. Teraz więc wysunąłem przez okno czterdziestkępiątkę Barneya i trzymając kolbę w obu dłoniach, powiedziałem:

– Nie ruszaj się.

Sierżant znajdował się w połowie prowadzących na werandę schodków. Keenan, serdeczny gospodarz, stanął na ich skraju i spoglądał na gościa, czekając, aż ten wejdzie po stopniach, żeby ze słowami „ty pierwszy” wprowadzić go do domu. Ich sylwetki rysowały się wyraźnie na tle bijącego z domu światła. Wątpiłem, czy w zalegającym mroku byli w stanie mnie dostrzec, ale mogli dostrzec broń. Była to bardzo duża spluwa.

– Kim, do diabła, jesteś? – zapytał Keenan.

– Jerry Tarkanian – odparłem. – Rusz się tylko, a zrobię w tobie taką dziurę, że będzie można przez nią oglądać telewizję.

– Gadasz jak śmieć – powiedział Sierżant, ale się nie ruszył.

– Po prostu stój, gdzie stoisz. Niczym innym nie musisz się przejmować.

Otworzyłem tylne drzwi impali i ostrożnie wysiadłem z samochodu. Sierżant gapił się na mnie przez ramię; widziałem lśnienie jego małych oczu. Rękę wsuwał chyłkiem pod klapę dwurzędowej marynarki modelu rok tysiąc dziewięćset czterdziesty trzeci.

– Och, proszę – powiedziałem. – Dawaj w górę te swoje pieprzone łapska,

gnoju.

Sierżant wznosił ręce nad głowę. Keenan swoje już trzymał w górze od dobrej chwili.

– Złóżcie z werandy – poleciałem. – Obaj.

Zeszli, a ja wreszcie w pełnym świetle mogłem się przypatrzeć ich twarzom. Keenan był wyraźnie wystraszony, ale Sierżant sprawiał takie wrażenie, jakby słuchał wykładu zen lub instrukcji naprawy motocykla. To on prawdopodobnie dziabnął Barneya.

– Twarzami do ściany i ręce do góry – rozkazałem. – Obaj.

Keenan:

– Jeśli chodzi ci o pieniądze...

Roześmiałem się.

– Cóż, zamierzałem na początku zaproponować wam kupno plastikowych naczyń kuchennych Tupperware i sprzedać wam całą masę tego fajansu. Widzę jednak, że przejrzeście na wylot moje zamiary. Tak, chodzi mi o forszę. Dokładnie o czterysta osiemdziesiąt tysięcy dolarów. Zakopanych na niewielkiej wysepce Carmen's Folly, niedaleko Bar Harbor.

Keenan podskoczył, jakby ktoś go postrzelił, ale w jak wykutym w betonie obliczu Sierżanta nie drgnął ani jeden mięsień. Odwrócił się do muru i oparł wyciągnięte dłonie o ścianę, przenosząc ciężar ciała na ramiona. Keenan niechętnie zrobił to samo. Najpierw ich przeiskałem. Znalazłem tylko małą, głupią trzydziestkędwójkę z ośmiocentymetrową lufą. Taką broń można przyłożyć facetowi do głowy, a mimo to po naciśnięciu cyngla chybić. Odrzuciłem pistolet za siebie. Usłyszałem, że spadł na któryś samochód. Sierżant był czysty... a ja z ulgą się od niego odsunąłem.

– Teraz wejdziemy do domu. Ty pierwszy, Keenan, Sierżant w środku, ja na końcu. I bez żadnych figli, dobrze?

Posuwając się gęsiego, wspięliśmy się po stopniach i weszliśmy do kuchni. Było to jedno z tych sterylnych, wyjałowionych pomieszczeń, obficie chromowanych i wyłożonych terakotą. Wyglądają jak wyplute przez łono masowej produkcji gdzieś na Midwest, a zaprojektowane przez jakichś szczerych dupków-

metodystów o aparycji mister Goodwrencha²⁸ i pachnących wytwornym tyto-
niem Cherry Blend. Bardzo wątpię, czy kuchnia ta wymagała kiedykolwiek cze-
goś tak prozaicznie wulgarnego jak sprzątanie. Keenan zapewne zamykał po
prostu drzwi i raz na tydzień włączał ukryte gdzieś zraszarki.

Przeprowadziłem ich przez kuchnię do salonu stanowiącego kolejną ucztę dla
oczu. Najwyraźniej było to dzieło jakiegoś dekoratora-pederasty, który z pew-
nością nigdy nie robił słodkich oczu do Ernesta Hemingwaya. Znajdował się
tam wyłożony kamiennymi płytami kominek, prawie tak wielki jak winda, sto-
lik bufetowy z drewna tekowego, zawieszony nad nim na ścianie rogi łośia oraz
barek na kółkach, wsunięty pod stojak z karabinami, które gospodarz dostawał
w charakterze nagród. Aparatura stereo wyłączyła się sama.

Wskazałem bronią kanapę.

– Po przeciwnych stronach – poleciłem.

Usiedli, Keenan po prawej, Sierżant po lewej. Sierżant, kiedy już zajął miej-
sce, sprawiał wrażenie jeszcze większego i masywniejszego, niż był w rzeczywi-
stości. Pod króciutko obciętych włosami biegła paskudna, głęboka blizna. Oce-
niałem jego wagę na jakieś sto pięć, sto dziesięć kilogramów i zastanawiałem
się, jak człowiek o posturze i fizycznym wyglądzie Mike’a Tysona mógł zostać
posiadaczem volkswagena.

Przeciagnałem fotel klubowy po dywanie koloru lotnych piasków i postawi-
łem go naprzeciwko nich, na wysokości środka kanapy. Usiadłem, czterdziest-
kępiątkę oparłem na udzie. Keenan patrzył na nią jak ptak na węża. Sierżant
natomiast spoglądał na mnie tak, jakby to on był wężem, a ja ptakiem.

– I co teraz? – zapytał.

– Pogadamy sobie o mapach i pieniądzach – odrzekłem.

– Nie wiem, o czym gadasz – stwierdził Sierżant. – Wiem natomiast, że mali
chłopcy nie powinni bawić się bronią.

– Jak leci Cappy’emu MacFarlandowi? – zapytałem obojętnie.

Sierżant nawet nie drgnął, ale Keenanowi nerwy puściły zupełnie.

– On wie. On wie! – wyrzucał z siebie słowa niczym pociski.

– Zamknij się! – warknął Sierżant. – Zamknij swój cholerny ryj.

Keenan jęknął cicho. To była część scenariusza, jakiego nie przewidywał w najkoszmarniejszych snach. Uśmiechnąłem się.

– On ma rację, Sierzancie – powiedziałem. – Wiem. Wiem prawie wszystko.

– Kim jesteś?

– Nikim, kogo byś znał. Przyjacielem Barneya.

– Jakiego Barneya? – zapytał obojętnie Sierżant. – Barneya Google z maśmaś-maślanymi ślepkami?

– On nie był martwy, Sierzancie. Nie do końca martwy.

Sierżant odwrócił powoli głowę w kierunku Keenana i przesłał mu mordercze spojrzenie. Ten zadrżał, a potem otworzył usta, żeby coś powiedzieć.

– Nic nie mów – burknął Sierżant. – Ani jednego pieprzonego słowa. Skręć ci kark jak kurczakowi, jeśli piśniesz choć słówko.

Z cichym kłapnięciem Keenan zamknął usta.

Sierżant znów popatrzył na mnie.

– Co znaczy: „wiem prawie wszystko”?

– Wszystko z wyjątkiem kilku drobnych szczegółów. Wiem o opancerzonym samochodzie. O wyspie. Cappym MacFarlandzie.

Wiem, jak ty, Keenan i pewien skurwiol nazwiskiem Jagger zabiliście Barneya. I o mapie. O niej też wiem.

– To nie było tak, jak ci powiedział. Chciał nas wykołować.

– Nie był w stanie was wykołować – odparłem. – Był jedynie kozłem ofiarnym, który umiał prowadzić samochód.

Sierżant wzruszył ramionami; przypominało to niewielkie trzęsienie ziemi.

– W porządku. Jesteś tępak, na jakiego wyglądasz.

– Już w zeszłym roku w marcu wiedziałem, że Barney w coś wdepnął. Nie wiedziałem tylko w co. Pewnego wieczoru pojawił się ze spluwą. Z tą spluwą. W jaki sposób go poznałeś?

– Przez wspólnego znajomego... przez kogoś, kto razem z nim siedział. Potrzebowaliśmy kierowcy, który zna wschodnie Maine i okolicę Bar Harbor. Keenan i ja spotkaliśmy się z nim, po czym wyłuszczyliśmy całą sprawę. Z ochotą wszedł w ten interes.

– Siedziałem z nim w celi w Shank – odparłem. – Lubiłem go. Barneya nie dawało się nie lubić. Był trochę tępawy, ale w sumie dobry dzieciak. Bardziej potrzebował opiekuna niż współnika.

– George’a i Lenniego – zakpił Sierżant.

– Miło wiedzieć, że czas spędzany za kratkami poświęciłeś na szlifowanie pomysłu, który przyszedł ci do głowy, serduszko – zauważyłem. – Myśmy planowali bank w Lewiston. Ale Barney nie mógł czekać, aż dopracuję wszystkie szczegóły planu. No i teraz leży pod ziemią.

– Jezu, jakie to smutne – mruknął Sierżant. – Czuję, że serce topi się we mnie jak wosk.

Uniosłem pistolet i wycelowałem w niego. Przez sekundę czy dwie on był ptakiem, a ja wężem.

– Jeszcze jeden dowcipas i wpakuję ci kulę w brzuch. Wierzysz mi na słowo?

Jego język wysunął się błyskawicznie i polizał dolną wargę, po czym zniknął. Sierżant skinął głową. Keenan siedział jak zmrożony. Sprawiał wrażenie, że najchętniej zacząłby rzygać, ale się boi.

– Powiedział mi, że to duża rzecz i duża stawka – podjąłem.

– Ale nic więcej nie udało mi się z niego wyciągnąć. Odleciał trzeciego kwietnia. Dwa dni później czterech chłopców, tuż za Carmel, napadło na pancerny samochód przewożący forszę z Portland do Bangor. Trzech strażników zginęło. W gazetach pisano, że rabusie sforsowali dwie blokady drogowe, które założyła policja. Jechali podrasowanym plymouthem, rocznik siedemdziesiąt osiem. Barney miał taki właśnie samochód i zamierzał przysposobić go do auto rodeo. Mogę się założyć, że Keenan wyłożył pieniądze na zaliczkę po to, żeby Barney przerobił plymoutha na coś lepszego i znacznie szybszego.

Spojrzałem w jego stronę. Twarz Keenana przybrała barwę białego sera.

– Szóstego maja dostałem pocztówkę ze stemplem poczty w Bar Harbor, ale to o niczym nie świadczy. Znajdują się tam tuziny maleńkich wysepek, z których listy przechodzą właśnie przez Bar Harbor. Krąży między nimi stateczek pocztowy i odbiera przesyłki. Na kartce było napisane: „Mama i reszta rodziny w porządku, sklep prosperuje dobrze. Do zobaczenia w lipcu”. Kartkę podpisa-

no drugim imieniem Barneya. Dzierżawiłem domek letniskowy na wybrzeżu, ponieważ Barney uważał, że może się kiedyś przydać. Przyszedł i minął lipiec, ale Barneya nie było.

– Musiał mieć jakąś dobrą kryjówkę, prawda, dzieciaku? – powiedział Sierżant.

Byłem przekonany, że za wszelką cenę chciał pokazać, że wcale się mnie nie boi.

Popatrzyłem na niego nieobecny wzrokiem.

– Pojawił się na początku sierpnia. I to dzięki twemu koleśowi Keenanowi, który zapomniał, że na pokładzie łodzi znajduje się automatyczna pompa zęzowa. Myślałeś, że łajba bardzo szybko zatonie, prawda, Keenan? Poza tym byłeś święcie przekonany, że on jest już martwy. Na Frenchman's Point codziennie rozpiąłem żółty koc. Widoczny z odległości kilku kilometrów. Łatwy do zauważenia. Ale Barney i tak miał wiele szczęścia – Za dużo szczęścia – prawie wypłuł z siebie Sierżant.

– Zastanawia mnie jedna rzecz. Czy on wiedział przed robotą, że pieniądze będą nowe, a ich numery seryjne zarejestrowane? Czy wiedział, że przez najbliższe trzy czy cztery lata nie sprzedacie tej forsy nawet handlarzom waluty na Bahamach?

– Wiedział – zagrzemiał Sierżant, a ja, ku swemu zdumieniu, odkryłem, że mu wierzę. – Nikt nie zamierzał tej forsy wyrzucić na śmietnik. O tym też dobrze wiedział. Podejrzewam, że liczył, iż robota w Lewiston, o której mu wspomniałeś, zapewni mu kasę, ale bez względu na to, na co liczył albo nie liczył, znał stawkę i oświadczył, że taki układ mu odpowiada. Chryste, dlaczego nie? Musieliśmy tylko odczekać, powiedzmy, dziesięć lat, wrócić i podzielić się szmałem. Cóż znaczyło dziesięć lat dla takiego dzieciaka jak Barney? Cholera, miałby dopiero trzydzieści pięć, a ja sześćdziesiąt jeden.

– A co z Cappym MacFarlandem? Czy Barney wiedział również o nim?

– Tak. To Cappy zaproponował nam pomoc. Dobry człowiek. Fachura. W zeszłym roku wykryto u niego raka. Nieuleczalnego. A miał u mnie dług wdzięczności.

– Tak więc we czwórkę wybraliście się na wysepkę Cappy’ego – odparłem. – Maleńką, nieznaną Carmen’s Folly. Cappy zakopał tam pieniądze i sporządził mapę.

– To z kolei był pomysł Jaggera – wyznał Sierżant. – Nie chcieliśmy dzielić trefnych pieniędzy... mogły się okazać zbyt kuszące. Ale nie chcieliśmy też zostawiać łupu w jednych rękach. Cappy MacFarland stanowił idealne rozwiązanie.

– Powiedz mi o mapie.

– Wiedziałem, że w końcu do tego dojdziemy – odparł Sierżant z chłodnym uśmiechem.

– Nic mu nie mów! – wykrzyknął ochryple Keenan. Sierżant odwrócił się w jego stronę i przesłał mu spojrzenie, które mogłoby przepalić kraty.

– Zamknij się. Nie mogę kłamać i nie mogę się bronić, nie tracąc punktów. A wszystko przez ciebie. Wiesz, Keenan, jaką mam nadzieję? Mam nadzieję, że nie doczekasz nowego wieku.

– W liście jest twoje nazwisko! – wykrzyknął dziko Keenan.

– Jeśli coś złego mi się przytrafi, twoje nazwisko jest w liście!

– Cappy sporządził wyśmienitą mapę – oświadczył Sierżant, zupełnie jakby Keenan nie istniał. – W Joliet bardzo dobrze opanował zasady kartografii. Mapę pociął na ćwiartki. Po jednej dla każdego. Mieliśmy się spotkać po pięciu latach, czwartego lipca, i zastanowić się, czy czekać kolejne pięć lat, czy też złożyć kawałki mapy od razu. Ale wyniknął jeden kłopot.

– Tak – powiedziałem. – Podejrzewam, że chodziło o to, jak je złożyć.

– Jeśli ma ci to poprawić humor, powiem, że wszystko to wykombinował sobie Keenan. Nie wiem, czy Barney o tym wiedział, czy nie, ale tak było. Gdy Jagger i ja opuszczaliśmy łódź Cappy’ego, Barney cieszył się jak najlepszym zdrowiem.

– Ty cholerny łgarzu! – zaskrzeczał Keenan.

– A kto w swoim ściennym sejfie trzyma dwa kawałki mapy? – zapytał Sierżant. – Czy to nie ty, mój drogi?

Znów przeniósł spojrzenie na mnie.

– Ale w dalszym ciągu wszystko jest w porządku. Połowa mapy nie wystarczy, żeby położyć łapę na forsie. I co, mam tu niby siedzieć i przekonywać cię, że wolę cztery osoby do podziału od trzech? Nawet gdyby to była prawda, i tak byś w nią nie uwierzył. Domyślasz się już, co wydarzyło się później? Dzwoni Keenan. Mówi, że powinniśmy pogadać. Spodziewałem się tego. I wygląda na to, że ty również.

Skinałem głową. Keenana było łatwiej namierzyć niż Sierżanta – żył z większym rozmachem. Podejrzewałem, że mógłbym prześledzić całą dotychczasową drogę Sierżanta, ale byłem najgłębiej przekonany, że to niepotrzebne. Banda złodziei stanowiła niezłe stadko ptaszków. a ptaszki mają to do siebie, że lubią odfrunąć, zwłaszcza gdy jeden z nich jest takim sępem jak Keenan.

– Oczywiście – ciągnął Sierżant – poradził mi, żebym nie kombinował niczego, co mogłoby mu wyrządzić krzywdę. Oświadczył, że się zabezpieczył i złożył u swego prawnika list z adnotacją: „otworzyć-w-razie-mojej-śmierci”, w którym podał moje imię i nazwisko. Jego pomysł zasadzał się na tym, że jeśli we dwójkę złożymy trzy części mapy, zapewne zdołamy ustalić, gdzie Cappy zakopał pieniądze.

– I we dwójkę równo podzielić się łupem – odpowiedziałem.

Sierżant skinął głową. Oblicze Keenana przypominało księżyc pławiący się gdzieś wysoko w stratosferze strachu.

– Gdzie jest sejf? – zapytałem go.

Keenan nie odpowiedział.

Dokonałem pewnej operacji czterdziestkąpiątką. Było to dobre kopyto. Lubiłem je. Uniosłem broń obiema rękami i przestrzeliłem Keenanowi przedramię tuż pod łokciem. Sierżant nawet nie drgnął. Keenan zwalił się z kanapy, skulił na podłodze i trzymając się za rękę, wył.

– Sejf–powtórzyłem.

Keenan nie przestawał wyć.

– Przestrzelę ci kolano – obiecałem. – Nie znam tego z własnego doświadczenia, ale słyszałem, że boli jak oszalały skurwysyn.

– Reprodukacja – wystękał. – Van Gogh. Ale nie będziesz już do mnie strzelać?

Popatrzył na mnie, krzywiąc się strachliwie.

Wskazałem na Sierżanta pistoletem.

– Stań twarzą do ściany.

Sierżant wstał i stanął, jak kazałem. Ręce zwiesił luźno wzdłuż tułowia.

– Teraz ty – zwróciłem się do Keenana. – Otwieraj sejf.

– Wykrwawię się na śmierć – jęknął.

Pochyliłem się nad nim i szturchnąłem go lufą czterdziestkopiątki w policzek, rozcinając skórę.

– Już krwawisz – powiedziałem. – Otwieraj sejf albo będziesz krwawił jeszcze bardziej.

Keenan dzwignął się z podłogi i chlipał, przyciskając do siebie postrzeloną rękę. Zdrową zdjął z haków obraz. Pod spodem widniał szary, biurowy sejf. Keenan popatrzył na mnie z przerażeniem i zaczął kręcić tarczą. Dwa razy się pomylił i musiał zaczynać operację od początku. Za trzecim razem sejf stanął otworem. W środku były jakieś dokumenty i dwie paczki banknotów. Wsunął do sejfu rękę, pogrzebał i wyciągnął dwa kwadratowe kawałki papieru o bokach długości mniej więcej ośmiu centymetrów każdy.

Przysięgam, nie zamierzałem go zabić. Zamierzałem go tylko związać i zostawić. Był zupełnie nieszkodliwy. Pokojówka po powrocie z imprezy w garsonierze, czy gdzie tam pojechała swym małym dodge coltem, znalazłaby go w salonie, a sam Keenan przez tydzień nie odważyłby się wychylić nosa z domu. Lecz było dokładnie tak, jak mówił Sierżant. Keenan miał dwa kawałki mapy. A jeden z nich nosił ślady krwi.

Ponownie do niego strzeliłem, ale tym razem już nie w ramię. Osunął się na ziemię jak pusty worek na brudną bieliznę.

Sierżant znów nawet nie drgnął.

– Nie wstawiałem ci kitów. To Keenan wykończył twego kumpla. Obaj byli amatorami. A amatorzy to głupcy.

Nie odpowiedziałem. Spojrzałem na dwa kwadratowe kawałki papieru, po czym wsunąłem je do kieszeni. Na żadnym z nich nie było znaczka X.

– Co teraz? – zapytał Sierżant.

– Pojedziemy do ciebie.

– A skąd wiesz, że mam w domu kawałek mapy?

– Nie wiem. Może to telepatia. Poza tym, jeśli nie trzymasz go w domu, pojedziemy tam, gdzie go schowałeś. Mnie się nigdzie nie śpieszy.

– Masz na wszystko odpowiedź, prawda?

– Idziemy.

Wróciliśmy do garażu. Usiadłem na tylnym siedzeniu volkswagena, po przeciwnej stronie kierowcy. Rozmiary samochodu i postura Sierżanta zabezpieczyły mnie przed jakimkolwiek numerem z jego strony. Odwrócenie się w ciasnym samochodzie zajęłoby mu dobrą chwilę.

W dwie minuty później byliśmy już na szosie.

Zaczynał padać śnieg; wielkie, mokre płatki, które lepiły się do przedniej szyby, a na jezdni natychmiast się topiły. Zrobiło się ślisko, ale na szczęście na ulicy panował bardzo mały ruch.

Po półgodzinnej jeździe drogą numer 10 Sierżant skręcił w boczną drogę. Po kwadransie wjechaliśmy na zryty koleinami, gruntowy trakt, po którego obu stronach rosły obsypane śniegiem sosny. Trzy kilometry dalej skręciliśmy na zaśmiecony podjazd.

W wąskiej smudze światła rzucanego przez reflektory volkswagena dostrzegłem nędzny, drewniany barak z połatanym dachem i wykrzywioną anteną telewizyjną. W rowie po lewej stronie podjazdu stał przysypany śniegiem ford. W głębi zobaczyłem jakąś przybudówkę i stos starych opon. Kryjówka Hernan-da.

– Witaj w Bally's East – oświadczył Sierżant i wyłączył silnik.

– Jeśli się okaże, że to jakiś podstęp, zabiję cię.

Wypełniał sobą trzy czwarte przodu samochodu.

– Wiem o tym – odparł.

– Wysiadaj.

Przepchnął się do drzwi.

– Otwieraj – powiedziałem. – A potem się nie ruszaj.

Otworzył drzwi i siedział bez ruchu. Ja też się nie ruszałem.

Obaj przez jakieś dwie minuty się nie ruszaliśmy. Nic się nie wydarzyło. Jedynym poruszającym się stworzeniem była gruba, siwa wiewiórka, która wysła na środek podwórza, żeby przekląć nas w *lingua rodenta*.

– W porządku – powiedziałem. – Prowadź do domu.

Ależ panował tam śmietnik. Jedna sześćdziesięciowatowa żarówka rzucała ponury blask na całe pomieszczenie, pozostawiając po kątach cienie przypominające zagłodzone nietoperze. Wszędzie wałały się rzucone w nieładzie gazety. Na obwisłym sznurku suszyły się ubrania. W rogu stał zabytkowy telewizor marki Zenith. W przeciwnym wisiał poobijany zlew i stała masywna wanna na nóżkach w kształcie szponiastych łap, pokryta plamami rdzy. Obok niej oparto strzelbę myśliwską. Śmierdziało przeпоconymi skarpetkami, bździnami i chili.

– Trudno się tu żyje – stwierdził Sierżant.

W tym punkcie mógłbym z nim polemizować, ale mi się nie chciało.

– Gdzie masz swój kawałek mapy?

– W sypialni.

– Przynieś go.

– Chwileczkę. – Odwrócił się powoli w moją stronę, a jego jak wykuta w betonie twarz jeszcze stwardniała. – Najpierw daj mi słowo, że kiedy ci już to oddam, to mnie nie zabijesz.

– A jak mnie zmusisz do dotrzymania słowa?

– Kurwa, nie wiem. Podejrzewam, że muszę się krzepić nadzieją, że nie tylko dla forsy zrobiłeś taką aferę. Jeśli chodziło ci również o Barneya... żeby wyrównać za niego dług... to swego dopiąłeś. Keenan go sprzątnął i teraz Keenan jest martwy. Jeśli chcesz łupu, też w porządku. Może trzy czwarte mapy wystarczy. Na mojej części jest wielki znaczek X. Ale nie oddam ci swej ćwiartki, jeśli nie obiecasz, że i ja coś na tym zyskam. Życie.

– A skąd mogę wiedzieć, że nie pójdziesz później moim śladem?

– Ależ pójdę, synku – odparł cicho Sierżant.

Wybuchnąłem śmiechem.

– W porządku. Dorzucisz jeszcze adres Jaggera, a masz moje słowo. I dotrzymam go.

Sierżant powoli pokręcił głową.

– Koleś, nie radzę ci zadzierać z Jaggerem. On cię zje z butami.

Uniosłem czterdziestkępiątkę, którą przedtem trochę opuściłem.

– W porządku. Jest w Coleman, w Massachusetts. W zimowym domku myśliwskim. Wybrał się tam na narty. Tyle ci wystarczy?

– Tak. A teraz idź po swój kawałek mapy.

Znów obrzucił mnie baczным spojrzeniem, skinął głową i wszedł do sypialni.

Jeszcze więcej kolonialnego uroku. Brudny materac na podłodze, na nim postrzępione książki, a na ścianach fotografie kobiet, które miały na sobie jedynie warstewkę oleju Wesson Oil. Jedno spojrzenie na sypialnię sprawiłoby, że znanej z telewizyjnej dociekliwości doktor Ruth eksplodowałyby głowa. Sierżant się nie wahał. Podniósł stojącą na nocnym stoliku lampę i odkręcił jej podstawę. Jego ćwiartka mapy była schludnie zwinięta i wsunięta do środka. Bez słowa wyciągnął w moją stronę skrawek papieru.

– Rzuć go – zachęciłem.

Uśmiechnął się blado.

– Co, boisz się o swój wątlutki karczek?

– Wiem, że mi się to opłaca. Rzuć mi mapę.

Cisnął zwitek papieru w moją stronę.

– Łatwo przyszło, łatwo poszło – oświadczył.

– Zamierzam dotrzymać słowa – powiedziałem. – Uważaj się za szczęściarza.

Wracaj do tamtego pokoju.

W jego źrenicach pojawił się zimny blask.

– Co chcesz zrobić?

– Upewnić się, że przez jakiś czas nie opuścisz tej chałupy.

Ruszaj się.

Przeszliśmy do głównego pomieszczenia; szykowna, mała parada, w której brały udział dwie osoby. Sierżant stanął pod nieosłoniętą żarówką, plecami do mnie, ramiona miał pochylone. Wiedział, że tuż przy jego karku trzymam muszkę pistoletu. Podnosiłem właśnie broń, żeby trzasnąć go w czachę, kiedy zgasło światło.

Chatę wypełnił czarny jak smoła mrok.

Rzuciłem się w prawo; Sierżant zniknął niczym powiew chłodnego wiatru. Usłyszałem głuchoe tapnięcie i szelest gazet, kiedy rzucił się plackiem na podłogę. Zapadła cisza. Kompletna, dzwoniąca w uszach cisza.

Czekałem, aż wzrok oswoi mi się z zalegającymi ciemnościami, ale gdy mogłem już cokolwiek zobaczyć, nie na wiele mi się to przydało. Pokój był niczym mauzoleum z tysiącem majaczących w mroku nagrobków. A Sierżant wiedział o każdym z nich.

Dobrze znałem Sierżanta, zdawałem sobie sprawę, z jakiego zrobiony jest materiału. W Wietnamie służył w zielonych beretach w stopniu sierżanta i nikt go nie obchodziło jego prawdziwe imię i nazwisko. Był po prostu Sierżantem – wielkim twardzielem o morderczych skłonnościach.

Teraz krył się gdzieś w ciemnościach i w każdej chwili mógł uderzyć. Znał to pomieszczenie jak własną kieszeń, bo nie docierał do mnie żaden dźwięk; żadne skrzypnięcie deski w podłodze czy szelest przesuwanych stóp. Ale czułem, że jest coraz bliżej, że zachodzi mnie z lewej albo z prawej. Mógł też wykombinować jakąś sztuczkę i zaatakować od przodu.

Zaciśniętą na kolbie dłoń miałem bardzo spoconą i wiele wysiłku mnie kosztowało, by zapanować nad sobą i nie zacząć strzelać na oślep. Dobrze wiedziałem, że mam w kieszeni trzy czwarte najpyszniejszego tortu. Nie zastanawiałem się, dlaczego zgasło światło. A w każdym razie aż do chwili, gdy przez okno wpadł do środka snop silnego blasku z latarki. Przypadkowo prosto na Sierżanta, który zamarł w bezruchu w półprzysiadzie, dwa metry ode mnie, po lewej stronie. W świetle latarki jego oczy zaślniły zielono. Jak ślepiec kota.

W prawej ręce trzymał otwartą brzytwę i nagle przypomniałem sobie sposób, w jaki ukradkiem sięgał do klapy marynarki w garażu Keenana.

Sierżant, patrząc prosto w promień latarki, powiedział tylko jedno słowo:

– Jagger?

Nie wiem, który z nas trafił go pierwszy. Od strony latarki zagrzmiął huk pistoletu dużego kalibru, ale ja też nacisnąłem dwukrotnie spust swej czterdziestki. Zupełnie odruchowo. Sierżanta cisnęło na ścianę z takim impetem, że

zerwało mu but.

Światło zgasło.

Strzeliłem w okno, ale jedynie wytłukłem szybę. Leżąc na boku w ciemnościach, uświadomiłem sobie, że nie tylko ja czekałem w pobliżu, aż w Keenanie weźmie górę chciwość. Czekał na to również Jagger. I jakkolwiek w samochodzie miałem jeszcze dwanaście naboí, to w pistolecie pozostał mi już tylko jeden.

„Koleś, nie radzę ci zadzierać z Jaggerem – powiedział Sierżant. – On cię zje z butami”.

Miałem już w głowie każdy szczegół pokoju. Podniosłem się z podłogi i nisko pochylony przeskoczyłem nad rozciągniętym ciałem Sierżanta, po czym skryłem się w kącie. Wszedłem do wanny – obserwowałem pokój nad samą jej krawędzią. Żadnych dźwięków, głucha cisza. Dno wanny było szorstkie, pełne piasku i brudu. Czekałem.

Minęło jakieś pięć minut. Wydawały się pięcioma godzinami. Znow pojawiło się światło. Tym razem w oknie sypialni.

Wpadło do głównego pokoju przez drzwi, a ja pochyliłem szybko głowę. Blask omiótł pokój i zgasł.

I dalej cisza. Długa, ogłuszająca cisza. Na brudnym dnie porcelanowej wanny ujrzałem wszystko. Rozpaczliwie krzywiącego się Keenana. Barneya z dziurą tuż obok pępka, usmarowaną zakrzepłą krwią. Sierżanta stojącego w bezruchu w świetle latarki i fachowo trzymającego brzytwę między kciukiem a palcem wskazującym. Jaggera; mroczny cień bez twarzy. I siebie. Piątą ćwiartkę.

Nagle tuż za drzwiami rozległ się cichy, łagodny, prawie kobiecy głos, ale nie było w nim cienia emocji. Brzmiał groźnie i stanowczo jak wszyscy diabli.

– Ej, śliczny.

Milczałem. Nie dostał mego numeru. Musiał jeszcze trochę pokręcić tarczą.

Kiedy głos rozległ się ponownie, dochodził zza okna.

– Zamierzam cię zabić, śliczny. Pojawiłem się tu, żeby ich pozabijać, ale ty uwinąłeś się z tym bardzo gracko.

Cisza. Najwidoczniej znow się przemieszczał. Kiedy się odezwał, głos docho-

dził z okna tuż nad moją głową; tego, które znajdowało się nad wanną. Serce podeszło mi do gardła. Jeśli zapali latarkę...

– Niepotrzebne mi piąte koło – powiedział Jagger.

– Wybacz.

Nie słyszałem, kiedy znów zmienił miejsce. Tym razem głos dotarł od strony drzwi.

– Mam przy sobie swoją ćwiartkę mapy. Chcesz tu podejść i ją sobie wziąć?

Naszła mnie straszna chęć odkaszlnąć, ale zapanowałem nad sobą.

– Chodź tu, śliczny, i weź ją sobie. – Teraz już głos brzmiał szyderczo. – Weź całutki torcik. Chodź i weź go sobie.

Ale ja nie potrzebowałem jego ćwiartki i podejrzewam, że on o tym doskonale wiedział. Miałem w ręku wszystkie żetony. Teraz już mogłem znaleźć pieniądze. Jagger, ze swoją pojedynczą ćwiartką, nie miał najmniejszych szans.

Tym razem cisza trwała naprawdę długo. Pół godziny, godzinę, całą wieczność. Wieczność do kwadratu. Zaczynało mi cierpnąć ciało. Wiatr wiał z taką siłą, że słyhać było tylko jego zawodzenie i łoskot bijących w ściany domu tumanów śniegu. Panowało przenikliwe zimno. Opuszki palców też już powoli drętwiały.

I wtedy, około wpół do drugiej, dotarło do mnie upiorne szuranie, jakby z ciemności nadciągało stado szczurów. Wstrzymałem oddech. Jagger w jakiś sposób dostał się do domu. Stał pośrodku pokoju...

I nagle mnie oświeciło. *Rigor mortis*. To ono sprawiało, że Sierzant po raz ostatni się poruszył. To wszystko. Odrobinę się rozluźniłem.

W tej samej chwili rozwarły się drzwi i do środka wskoczył Jagger. Upiorny, spowity opończą białego śniegu, wysoki, rozluźniony, wiotki. Odczekałem, aż wejdzie do łazienki, i zrobiłem mu pociskiem dziurę w głowie. W króciutkim rozbłysku broni spostrzegłem, że przedziurawiłem stracha na wróble; pozbawionego twarzy, przybranego w podarte portki i koszulę farmera. Zrobiona z jutowego materiału głowa spadła na podłogę z szyi wykonanej z kija od miotły. I wtedy Jagger otworzył do mnie ogień.

Miał pistolet półautomatyczny i wewnątrz wanny czułem się jak w wielkich,

wydrążonych cymbałach. Rozprysnęła się porcelanowa polewa, zasypywała ściany i biła mnie w twarz. Posypały się drzazgi, spadła gorąca, rykoszetująca kula.

Jagger ruszył, nie chcąc dać mi najmniejszej szansy. Zamierzał mnie zabić w tej wannie jak rybę w beczce. Nie mogłem nawet unieść głowy.

Uratował mnie Sierżant. Jagger potknął się o jego ogromną martwą stopę i pocisk zamiast w moją głowę trafił w podłogę. A ja już byłem na kolanach. Wyobrażając sobie, że jestem Rogerem Clemensem, wzniosłem nad jego głowę wielką czterdziestkępiątkę Barneya.

Choć wyrznąłem go w łepetynę, nie zdołałem powstrzymać jego szarży. Przeskoczyłem przez krawędź wanny, aby go chwycić, i Jagger dwukrotnie we mnie wystrzelił.

Niewyraźna postać cofnęła się o krok i przyciskając dłoń do ucha, w które uderzyłem ją pistoletem, skierowała w moją stronę celownik. Jagger przestrzelił mi nadgarstek. Drugi pocisk drasnął mnie w kark. I wtedy jakimś cudem Jagger ponownie potknął się o stopy Sierżanta i upadł do tyłu. Ponownie wzniosł broń, ale tym razem trafił w sufit. To była jego ostatnia szansa. Kopniakiem wytrąciłem mu z ręki pistolet. Usłyszałem trzask, jaki wydaje pękające mokre drewno. To pękły mu kości. Kopnąłem go w krocze, aż zwinął się w kłębek. I znów go kopnąłem; w tył głowy. Jego stopy zaczęły wybijać o podłogę nieprzytomny rytm. Już wtedy był martwy, ale kopałem go i kopałem, kopałem tak długo, że z głowy została mu miazga i dżem truskawkowy. Nic, po czym można by go rozpoznać, nawet po zębach; po niczym. Kopałem go tak długo, aż w końcu nie miałem już sił, żeby ponownie zamachnąć się nogą, i nie mogłem ruszać paluchami u stóp.

Uświadomiłem sobie nagle, że wrzeszczę, choć nikt z wyjątkiem martwych mężczyzn nie mógł mnie usłyszeć.

Wytarłem usta i ukląknęłem obok ciała Jaggera.

Jak się okazało, skłamał na temat swojej ćwiartki mapy. Specjalnie mnie to nie zaskoczyło. Nie. W ogóle mnie to nie zaskoczyło.

Mój grat stał tam, gdzie go zostawiłem, za rogiem pierwszej przecznicy od domu Keenana, ale teraz majaczyła w tym miejscu tylko wielka zaspą śniegu. Volkswagena Sierżanta porzuciłem półtora kilometra dalej. Miałem nadzieję, że ogrzewanie w moim samochodzie będzie działać. Byłem przemarznięty do szpiku kości. Otworzyłem drzwi i krzywiąc się lekko z bólu, wsiadłem do kabiny. Krew na karku zakrzepła, ale nadgarstek bolał jak lichy.

Długo kręciłem kluczykiem, zanim silnik zaskoczył. Ogrzewanie działało, a wycieraczka odgarnęła śnieg z przedniej szyby po stronie kierowcy. Jagger kłamał na temat swojej ćwiartki mapy.

Nie znalazłem jej w niepozornej (i zapewne skradzionej) hondzie civic, którą przyjechał. Ale w jego portfelu wyszperałem adres i jeśli naprawdę będę potrzebował tego kawałka mapy, mam duże szanse go znaleźć. Ale nie sądzę, żeby do tego doszło. Trzy ćwiartki wystarczą, zwłaszcza że na skrawku Sierżanta widniał znaczek X.

Ostrożnie odjechałem od krawężnika. Zamierzałem przez dłuższy czas bardzo na siebie uważać. Sierżant w jednym miał rację: Barney był dupkiem. To, że był jednocześnie moim przyjacielem, nie miało znaczenia. Dług spłaciłem.

A tymczasem pojawiło się wiele powodów, żeby bardzo na siebie uważać.

Sprawa doktora

Mam wrażenie, że tylko raz tak naprawdę udało mi się rozwiązać zagadkę zbrodni wcześniej, niż zrobił to mój otoczony już niejaką legendą przyjaciel, pan Sherlock Holmes. Mówię „mam wrażenie”, ponieważ odkąd wszedłem w dziewiątą dziesiątkę lat mego życia, pamięć zaczęła mnie zawodzić. Teraz, gdy zbliżam się do setki, wszystko całkowicie spowija mgła. Tak więc może udało mi się go wyprzedzić w jakimś innym jeszcze przypadku, ale tego już żadną miarą nie mogę sobie przypomnieć.

Wątpię, czy kiedykolwiek zapomnę o tej szczególnej sprawie bez względu na to, jaka pomroka spadnie na mój umysł, zaćmiewając myśli oraz wspomnienia, i dlatego uważam, że zanim Bóg na zawsze wytrąci mi z ręki pióro, muszę tę historię przelać na papier. Tylko Bóg wie, iż nie spowoduje to uszczerbku na honorze Holmesa; on już od czterdziestu lat spoczywa w grobie. A to, jak sądzę, jest wystarczająco długi czas, żeby wolno mi było złamać milczenie. Zwłaszcza iż nawet Lestrade, który często korzystał z usług Holmesa, ale za nim nie przepadał, nigdy nie zająknął się słowem o sprawie lorda Hulla. Zresztą, biorąc pod uwagę okoliczności, trudno byłoby mu to uczynić. Ale gdyby nawet okoliczności te były inne, mocno wątpię, czy komisarz cokolwiek by na ten temat powiedział. On i Holmes często wystawiali siebie nawzajem do wiatru i jestem pewien, że choć Holmes żywił w sercu do policjanta głęboką nienawiść (jakkolwiek nigdy nie przyznał się do tak niskich emocji), to Lestrade odnosił się do mego przyjaciela z osobliwą estymą.

Zaczęło się to w deszczowe, ponure popołudnie. Zegar wybił właśnie wpół do drugiej. Holmes siedział przy oknie ze skrzypcami w dłoniach, ale nie grał, tylko w milczeniu wpatrywał się w deszcz. Niekiedy, głównie w czasach, gdy wy-

szedł już z nałogu kokainowego, kiedy niebo przez tydzień albo dłużej pozostawało uporczywie szare i zachmurzone, popadał w ponury nastrój. A tego dnia rozczarowanie było podwójne, ponieważ późnym wieczorem dnia poprzedniego barometr zaczął iść w górę i Holmes nabrał przekonania, że najpóźniej o dziesiątej rano się przejaśni. Zamiast tego, gdy wstałem, wisząca nad miastem mgła przemieniła się w nieustanny deszcz, a jeśli istniało coś, co jeszcze bardziej niż długie okresy pluchy drażniło Holmesa, to to, kiedy mylił się w swoich ocenach.

W pewnej chwili mój przyjaciel wyprostował się, szarpnął paznokciem strunę skrzypiec i uśmiechnął się złośliwie.

– Watsonie! To dopiero widok! Najbardziej zmoknięty pies gończy, jakiego w życiu widziałem!

Był to, oczywiście, Lestrade. Siedział na tylnym siedzeniu odkrytej bryczki, a strugi wody zalewały jego blisko osadzone, przenikliwe, wścibskie oczy. Gdy tylko pojazd się zatrzymał, Lestrade wyskoczył na chodnik, podał woźnicy monetę i ruszył po Baker Street do domu pod numerem 221 B. Poruszał się tak szybko, że myślałem, iż wyrznie w nasze drzwi, niczym szarżujący tryk.

Usłyszałem głośne protesty pani Hudson, która złorzeczyła na spływającą z jego ubrania wodę i tłumaczyła, jaki wpływ na dywany, zarówno na dole jak na piętrze, może mieć ten potop. Wtedy też Holmes, który obserwował śpieszącego się niczym zółw Lestrade'a, podbiegł do drzwi i zawołał na dół:

– Proszę go wpuścić na górę, pani H. Jeśli zamierza zostać dłużej, dam mu pod nogi gazety. Podejrzewam jednak... tak, podejrzewam, że...

Lestrade natychmiast ruszył na górę wielkimi susami, zostawiając za sobą pełną wymówek panią Hudson. Miał zaczerwienioną twarz, oczy płonęły mu dziwnym blaskiem, a zęby – zdecydowanie pożółkłe od tytoniu – szczyrzyły w wilczym uśmiechu.

– Inspektor Lestrade! – wykrzyknął jowialnie Holmes. – Cóż pana sprowadza w taką...

Nie zdążył dokończyć. Lestrade, ciągle ciężko dysząc od biegu po schodach, wysapał:

– Znam powiedzenie Cyganek, że diabeł zawsze spełnia życzenia. I teraz w to uwierzyłem. Chodź pan natychmiast ze mną, Holmes, a przekonasz się, że tak dokładnie jest. Zwłoki są świeże, a wszyscy podejrzani na miejscu.

– Przeraża mnie pański zapach, Lestrade! – wykrzyknął Holmes, unosząc szyderczo brwi.

– Człowieku, nie odgrywaj przede mną skromnisia... Przybiegłem, żeby zaproponować panu dokładnie taką sprawę, o jakiej pan w swej pysze myślał przy mnie ze sto albo i więcej razy. Tajemnica idealnie zamkniętego pokoju!

Holmes ruszył do kąta po tę ohydłą laskę o złoczonej gałce, którą z jakichś względów uwielbiał w tamtym sezonie. Następnie odwrócił się na pięcie w stronę przemokniętego inspektora i popatrzył nań szeroko rozwartymi oczyma.

– Lestrade! Czy pan mówi poważnie?

– Czy, gdybym żartował, ryzykowałbym zachorowanie na dławiec, jadąc tu w otwartym powozie? – odparł pytaniem Lestrade.

I wtedy, po raz pierwszy w mojej obecności (jakkolwiek wielokrotnie przypisywano mu te słowa), Holmes odwrócił się w moją stronę i zawołał:

– Szybko, Watsonie! Gra się zaczyna!

Podczas drogi Lestrade zauważył cierpko, iż Holmesowi również diabeł sprzyja. Mimo że inspektor polecił woźnicy odkrytego pojazdu poczekać, gdy tylko wyszliśmy z domu, zaturkotała po bruku ulicy niezwykła rzadkość: pusta dorożka, która wynurzyła się z lejącego deszczu. Wsiedliśmy do niej i w mgnieniu oka ruszyliśmy. Holmes, jak zwykle, zajął miejsce po lewej stronie i natychmiast zaczął strzelać oczyma, katalogując wszystko w pamięci, jakkolwiek w taki dzień niewiele było do katalogowania... tak w każdym razie sprawa przedstawiała się dla mnie. Nie miałem jednak wątpliwości, że jemu każdy pusty róg mijanej ulicy i każda zmywana deszczem wystawa sklepowa miały do powiedzenia bardzo wiele.

Lestrade polecił woźnicy jechać na Savile Row, po czym zapytał Holmesa, czy zna lorda Hulla.

– Słyszałem o nim – odparł Holmes – ale nigdy nie miałem szczęścia poznać

go osobiście. A teraz, podejrzewam, nigdy już mnie to szczęście nie spotka. To ten od transportu morskiego, tak?

– Tak, „Hul Shipping” – zgodził się Lestrade. – Ale fortuna jest po pańskiej stronie. Lord Hull, z tego, co mówią ludzie (włączając w to krewnych i... eheu!... najukochańszych), był bardzo dokuczliwym jegomościem; miał fioła jak bohaterowie tych najnowszych, rysunkowych książeczek dziecięcych. Niemniej skończył już z tą swoją dokuczliwością i głupotą. Dzisiejszego ranka, około jedenastej, zaledwie... – odchylił wieczko zegarka kieszonkowego i popatrzył na tarczę – ...zaledwie dwie godziny i czterdzieści minut temu, ktoś wbił mu w plecy nóż, gdy siedział w gabinecie, a przed sobą, na bibularzu na biurku, miał swój testament.

– A pan twierdzi – powiedział zamyślonym tonem Holmes, zapalając fajkę – że gabinet tego nieprzyjemnego lorda Hulla jest owym hipotetycznym, idealnie zamkniętym pokojem, o jakim marzyłem.

Zza mgiełki niebieskiego dymu unoszącego się z fajki w oczach Holmesa dostrzegłem sceptycyzm.

– Dokładnie tak uważam – odparł cicho Lestrade.

– Drażyliśmy już nieraz z Watsonem podobne doły, ale nigdy nie dokopaliśmy się do wody – zauważył Holmes, rzucił mi przelotne spojrzenie, a następnie wrócił do katalogowania ulic, którymi jechaliśmy. – Watsonie, czy przypominasz sobie sprawę „Nakrapiana przepaska niesie śmierć”?

Nie musiałem mu nawet odpowiadać. To racja, w tamtej sprawie również występował zamknięty pokój, ale występował też wentylator, jadowity wąż oraz na tyle szalony zabójca, żeby wpuścić do przewodu tę gadzinę. Zbrodnia była dziełem genialnego, choć okrutnego umysłu, lecz Holmes prawie natychmiast dotarł do sedna sprawy.

– Jakie są fakty, inspektorze? – zapytał Holmes.

Lestrade zaczął przedstawiać zdarzenia krótkimi zdaniem doświadczonego policjanta. Lord Albert Hull był tyranem w interesach i despotą w domu. Jego żona bała się go jak ognia i najwyraźniej miała ku temu powody. Fakt, że urodziła mu trzech synów, nie łagodził wcale jego dzikiego podejścia do spraw do-

mowych, a w szczególności do żony. Lady Hull bardzo niechętnie mówiła o tych rzeczach, ale jej synowie nie mieli podobnych skrupułów. Ich papa – oświadczyli – nie pominął żadnej okazji, żeby dopiec ich matce, skrytykować ją albo w okrutny sposób wykpić jakieś jej wydatki... a zawsze robił to w obecności osób trzecich. Gdy byli sami, kompletnie ją ignorował. Z wyjątkiem okazji – dodał Lestrade – gdy ją bił, co było na porządku dziennym.

– William, najstarszy syn, powiedział mi, że jego matka zawsze, ilekroć przy śniadaniu pojawiała się z podbitym okiem lub opuchniętym policzkiem, raczyła synów taką samą historyjką: zapomniała włożyć okularów i wpadła na drzwi. „Wpadała na te drzwi raz albo dwa w tygodniu – oświadczył mi William.

– Nawet nie wiedziałem, że mamy w domu aż tyle drzwi”.

– Hmm – mruknął Holmes. – Sympatyczny jegomość, nie ma co! Ale czy synowie nigdy nie próbowali stanąć w obronie matki?

– Ona by na to nie pozwoliła – odparł Lestrade.

– Szaleństwo – wtrąciłem. – Mężczyzna, który bije żonę, jest odrażający. Z kolei kobieta, która godzi się na tak odrażające traktowanie, budzi zdumienie.

– W jej szaleństwie była metoda – rzekł Lestrade. – Metoda i, jak byście to panowie określili, „pełna natchnienia cierpliwość”. Przede wszystkim lady Hull była o dwadzieścia lat młodsza od swego władcy i pana. A ponadto Hull tego pił i tego jadł. To rekordowy żarłok. Przed pięcioma laty, gdy dobił do siedemdziesiątki, nabawił się chronicznej podagry i anginy.

– Przeczekać do końca burzy i wtedy wreszcie cieszyć się piękną pogodą – stwierdził Holmes.

– Tak – przyznał Lestrade. – Lecz takie postępowanie niejednego już mężczyznę i niejedną kobietę zaprowadziło prosto do piekła. Ręczę, że Hull dokładnie poinformował rodzinę o swym majątku i postanowieniach testamentu. Los jej członków niewiele się różnił od losu niewolników.

– Testament jako umowa obustronna – mruknął Holmes.

– Dokładnie tak, stary przyjacielu. W chwili śmierci Hulla jego majątek wynosił trzysta tysięcy funtów. Nigdy nie żądał od rodziny, żeby wierzyła mu na

słowo. Miał swego głównego księgowego, który co kwartał pojawiał się u nich w domu i ze szczegółami prezentował bilans „Hull Shipping”. Ale Hull trzymał rękę na kasie domowej i dysponował kapitałem.

– Wcielony diabeł – oznajmiłem, myśląc o okrutnych chłopcach, jakich czasami widywałem na Eastcheap lub na Piccadilly; o chłopcach, którzy wyciągali do wygłodniałych psów smakołyki tylko po to, żeby zobaczyć, jak nieszczęsne zwierzęta tańczą na dwóch łapach... a następnie sami zjadali przysmak, podczas gdy wygłodniałe stworzenia mogły się tylko oblizywać.

Niebawem miałem się przekonać, że porównanie to było znacznie bardziej trafne, niż mógłbym się spodziewać.

– Po jego śmierci lady Rebecca miała otrzymać sto pięćdziesiąt tysięcy funtów. William, najstarszy syn, pięćdziesiąt tysięcy; średni, Jory, czterdzieści; a najmłodszy, Stephen, trzydzieści.

– A pozostałe trzydzieści tysięcy? – zapytałem.

– Drobne legaty, Watsonie. Kuzyn z Walii, ciotka z Brytanii (ale ani grosza krewnym lady Hull), pięć tysięcy dla służby. Aha, i, to ci się, Holmesie, spodoba najbardziej, dziesięć tysięcy funtów na Dom Opieki nad Opuszczonymi Kotami Pani Hemphill.

– Chyba pan żartuje! – zawołałem, lecz jeśli Lestrade oczekiwał podobnej reakcji ze strony Holmesa, srogo się zawiódł. Sherlock tylko ponownie zapalił wygasłą fajkę i skinął głową, jakby się tego spodziewał... tego albo czegoś w tym rodzaju.

– Przecież na East Endzie niemowlęta umierają z głodu, dwunastoletnie dzieci pracują w fabrykach po pięćdziesiąt godzin tygodniowo, a ten jegomość zostawia dziesięć tysięcy funtów na... pensjonat dla kotów?

– Dokładnie tak – odparł z zadowoleniem Lestrade. – A co więcej, zapisałby Opuszczonymi Kotkom Pani Hemphill dokładnie dwadzieścia siedem razy tyle, gdyby nie spotkało go to, co spotkało go dziś rano... z ręki tego, kto tego dokonał.

Mogłem mu się tylko przyglądać z rozdziawionymi ustami i rachować w myślach. Gdy już na dobre zaczęło do mnie docierać, że lord Hull zamierzał wy-

dziedziczyć żonę i dzieci na korzyść schroniska dla kotów, Holmes spojrzął kwaśno na Lestrade'a i powiedział coś, co w moich uszach zabrzmiało kompletnie *non sequitur*.

– Będę kichać, prawda?

Lestrade uśmiechnął się. Był to uśmiech pełen transcendentnej słodyczy.

– Tak, drogi Holmesie. Obawiam się, że często i z całego serca.

Holmes wyjął z ust fajkę, którą z zadowoleniem ssał (mogłem to wyczytać ze sposobu, w jaki siedział rozparty na ławce dorożki), spoglądał na nią chwilę, a następnie wystawił ją na deszcz. Bardziej osłupiały niż zwykle, obserwowałem, jak wytrząsa mokry, kopający tytoń.

– Ile? – zapytał Holmes.

– Dziesięć – odparł Lestrade, przybierając minę szaleńca.

– Podejrzewam, że to więcej niż ów pański sławetny zamknięty pokój, który kazał panu wsiąść do odkrytej bryczki w taki deszcz – stwierdził cierpko Holmes.

– Może pan sobie podejrzewać, co pan chce – odparł wesoło Lestrade. – Obawiam się, że muszę już wracać na miejsce zbrodni... rozumie pan, służba wzywa... ale jeśli pan sobie życzy, mogę pana i dobrego doktora wysadzić z dorożki tutaj.

– Jest pan, inspektorze, jedynym człowiekiem, jakiego znam, któremu paszukudna pogoda zaostrza dowcip – oświadczył Holmes.

– Zastanawiam się, czy nie mówi to czegoś istotnego o pańskim charakterze. Ale nieważne... to zapewne temat na inny dzień. Niech pan powie mi jedno, Lestrade. Kiedy lord Hull nabrał pewności, że umrze?

– Umrze? – zdziwiłem się. – Drogi Holmesie, skąd ci przyszło do głowy, że ten człowiek był przekonany...

– To oczywiste, Watsonie – odrzekł Holmes. – COP, mówiłem ci o tym co najmniej tysiąc razy: Charakter Określa Postępowanie. Bawiło go, że za pomocą zapisów testamentowych trzyma ich w niewoli... – Popatrzył w bok na Lestrade'a. – Nie istniał żaden układ powierniczy? Nie było żadnego ustanowienia dziedzica dla majoratu?

Lestrade potrząsnął głową.

– Nie.

– Zadziwiające! – stwierdziłem.

– Wcale nie, Watsonie. Pamiętaj, charakter określa postępowanie. Pragnął, żeby służyli mu w najgłębszym przekonaniu, iż kiedy już wyświadczy im tę grzeczność i umrze, dostaną wszystko. Tak naprawdę ani przez chwilę nie zamierzał im niczego zostawić. Taki postępek byłby czymś przeciwnym jego naturze i charakterowi. Podziela pan mój pogląd, Lestrade?

– Całkowicie – powiedział policjant. – A więc w tym punkcie jesteśmy zgodni, Watsonie, prawda? Czy wszystko jasne? Lord Hull uświadamia sobie, że umiera. Czeka... upewnia się, że tym razem to już naprawdę, że to żaden fałszywy alarm... a następnie gromadzi ukochaną rodzinę. Kiedy? Dziś rano, Lestrade?

Lestrade chrząknął potakująco.

Holmes podparł brodę palcami.

– Zbiera ich i oświadcza, że sporządził nowy testament, w którym wszystkich ich wydziedzicza... wszystkich z wyjątkiem służby, kilku dalekich krewnych i, naturalnie, kociątek.

Otworzyłem usta, chcąc coś powiedzieć, ale byłem zbyt oburzony, żeby wyartykułować choć jedno słowo. I znów naszło mnie wspomnienie okrutnych chłopców, którzy kazali wygłodniałym kundlom z East Endu skakać po kawałek wieprzowiny lub skórkę od pasztetu. Muszę dodać, że nawet nie wpadło mi na myśl zapytać, czy taki testament jest ważny z punktu widzenia prawa. Obecnie człowiek marnowałby tylko czas, próbując wypisać z testamentu najbliższą rodzinę na korzyść schroniska dla kotów, lecz w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym wola człowieka była wolą człowieka poza przypadkami choroby umysłowej – nie ekscentryczności, ale wyłącznie autentycznej choroby umysłowej – testament taki, odpowiednio poświadczony, traktowany był jak wola Boga.

– Czy ów nowy zapis został sporządzony legalnie i w obecności stosownych świadków?

– Oczywiście – odparł Lestrade. – Wczoraj lord Hull wezwał do swego domu prawnika wraz z asystentem i zaprowadził ich do gabinetu. Przebywali tam około piętnastu minut. Stephen Hull twierdzi, że w pewnej chwili prawnik podniósł głos, protestując przeciw czemuś. Młody Hull nie potrafił powiedzieć, o co chodziło, ale lord natychmiast uciszył prawnika. Jory, średni syn, przebywał na piętrze, gdzie malował, a lady Hull wyszła do przyjaciółki. Ale i Stephen, i William byli świadkami i przybycia prawników, i tego, jak niebawem opuszczali dom. William oświadczył, że wychodzili ze spuszczonej głowami i chociaż zagadnął nawet pana Barnes, prawnika, o zdrowie, a następnie rzucił jakąś uwagę na temat pogody oraz uporczywego deszczu, Barnes nie podjął rozmowy, a jego asystent najwyraźniej się kulił. „Zupełnie jakby obu przepełniał wstyd” – stwierdził William.

No cóż, to tyle, jeśli chodzi o możliwość prawnych wykrętów – pomyślałem.

– Skoro już o tym rozmawiamy, niech pan mi powie coś bliższego o tych chłopcach – poprosił Holmes.

– Proszę bardzo. Nie muszę chyba wspominać, że ich nienawiść do rodzica przewyższała jedynie pogarda, jaką okazywał im ojciec... choć z drugiej strony, jak mógł pogardzać Stephenem... no dobrze, nieistotne. Opowiem wszystko po kolei.

– Tak, tak. I proszę, żeby zrobił to pan jak najdokładniej – powiedział sucho Holmes.

– William ma trzydzieści sześć lat. Gdyby ojciec dał mu jakiegokolwiek fundusze, podejrzewam, że zostałby zdrowym bufonem. A tak, skoro niewiele posiada, całe dni spędza w salach gimnastycznych, uprawiając coś, co można nazwać „kulturą fizyczną”, i jest rzeczywiście wyjątkowo muskularnie zbudowanym mężczyzną. Wieczory i noce z kolei trwoni przeważnie w tanich klubach. Jeśli zdarza mu się zdobyć trochę gotówki, natychmiast idzie do szulerni, gdzie szybko przegrywa ją w karty. Nie jest to przyjemny człowiek, Holmesie. Człowiek, który nie posiada w życiu celu, pozbawiony jakichkolwiek uzdolnień, zainteresowań i ambicji (z wyjątkiem tej, aby przeżyć ojca), nie może być osobą sympatyczną. Gdy z nim rozmawiałem, odnosiłem dziwaczne wrażenie, że

przesłuchuję nie człowieka, ale pusty dzban, na którym wytłoczono twarz przypominającą nieco oblicze lorda Hulla.

– Dzban, który czeka, aż wypełni się funtami szterlingami – zauważył Holmes.

– Jory jest zupełnie inny – kontynuował Lestrade. – Lord Hull od najwcześniejszych lat dzieciństwa syna miał go w najgłębszej pogardzie i określał pieszczotliwymi przydomkami w rodzaju: „Rybi Pysk”, „Beczkonogi” czy „Kałduciarz”. Nie jest trudno zrozumieć, skąd się te przydomki brały. Jory Hull ma nie więcej niż sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu, a nawet jeszcze mniej, krzywe nogi i wyjątkowo szkaradną twarz. Przypomina trochę tego poetę. Pedzia.

– Oscara Wilde’a? – zapytałem.

Holmes rzucił mi krótkie, rozbawione spojrzenie.

– Sądzę, że Lestrade ma na myśli Algernona Swinburne’a – powiedział. – A on jest w równej mierze pedziem jak ty, drogi Watsonie.

– Jory Hull urodził się martwy – ciągnął Lestrade. – Gdy przez całą minutę pozostawał siny i nie wykazywał oznak życia, doktor stwierdził zgon, po czym nakrył jego zdeformowane ciało pieluszką. I wtedy lady Hull w przypływie osobliwego, chwilowego heroizmu usiadła na łóżku, zabrała pieluchę i zanurzyła nogi dziecka w gorącej wodzie, niezbędnej przy porodach. Dziecko zaczęło się więc i wrzeszczeć.

Lestrade wyszczerzył zęby i zapalił zapalką cygaretkę.

– Stary Hull twierdził, że to właśnie owo zanurzenie w wodzie sprawiło, że chłopiec ma krzywe nogi. Gdy był wstawiony, nieustannie wypominał to żonie, mówiąc, że nie powinna była tego robić. „Lepiej by się stało, gdyby Jory umarł, niż przeżył i został taki, jaki jest – mawiał przy wielu okazjach. – Pokraczne stworzenie z nogami kraba i twarzą dorsza”.

Jedyną reakcją Holmesa na tę zdumiewającą (a dla mnie z czysto lekarskiego punktu widzenia raczej podejrzaną) historię było stwierdzenie, że Lestrade posiada zadziwiający zasób informacji zdobytych w tak zadziwiająco krótkim czasie.

– To właśnie jeden z aspektów sprawy, który przekonał mnie, że przypadek ów przyciągnie pańską uwagę, drogi Holmesie – odparł Lestrade, gdy wjeżdżaliśmy z chlupotem kół w kałużach i w deszczu do Rotten Row. – Nie musiałem żadnego z nich zmuszać do wyznań. Zmuszanie dałoby odwrotny skutek. Zbyt długo musieli milczeć. Rozumie pan, nowy zapis zniknął. Radość z tego faktu rozwiązała im języki ponad miarę.

– Zniknął! – wykrzyknąłem, ale Holmes nie zwrócił na mnie uwagi.

Myślam przy Jorym, zdeformowanym, średnim dziecku.

– A zatem jest aż tak paskudny? – zapytał Lestrade’a.

– Trudno go nazwać przystojnym, ale widywałem brzydszych – odparł bez pośpiechu inspektor. – Wydaje mi się, że ojciec lżył go za to, że...

– ...że był jedyną osobą, która nie potrzebowała jego pieniędzy i potrafiła samodzielnie torować sobie drogę w życiu – zakończył za niego Holmes.

Lestrade drgnął.

– Do licha! Skąd pan o tym wie?

– Stąd, że lord Hull lżył Jory’ego jedynie za jego ułomność fizyczną. Jakże musiała drażnić starego diabła konfrontacja z kimś tak dobrze uzbrojonym pod każdym innym względem! Dręczenie człowieka za jego wygląd zewnętrzny przystoi raczej chłopcom w szkole lub pijanym prostakom, ale łajdacy pokroju lorda Hulla niewątpliwie wymagają bardziej wyszukanych sportów. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że wręcz bał się swego syna o kabłąkowatych nogach. Jakim kluczem Jory otwierał drzwi swej celi?

– Nie mówiłem? – zdziwił się Lestrade. – Maluje.

– A!

Jory Hull był, o czym świadczyły płótna porozwieszane w korytarzach na parterze domu Hullów, bardzo uzdolnionym malarzem. Nie, nie wybitnym, wcale tak nie uważam, ale portrety, jakie namalował swej matce i braciom, były wystarczająco wierne, bym po latach, gdy po raz pierwszy ujrzałem ich barwne reprodukcje fotograficzne, natychmiast cofnął się wspomnieniami do tamtego deszczowego listopada tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. A jeden z portretów ojca Jory’ego nosi wszelkie znamiona wybitnego

dzieła artystycznego. Z całą pewnością zaskakuje (prawie zastrasza) bijąca z płótna niczym powiew ociekającego wilgocią cmentarnego powietrza wrogość. Zapewne to Algernona Swinburne'a przypominał Jory, ale podobieństwo do ojca – a w każdym razie dłonie i oczy średniego syna – przywodziły mi na myśl Oscara Wilde'a; jego nieśmiertelne prawie *roue*, Doriana Graya.

Tworzył duże obrazy, pracował nad nimi wolno, ale potrafił też robić sztychy tak szybko, że po jednym popołudniu spędzonym w Hyde Parku wracał do domu z dwudziestoma funtami w kieszeni.

– Założyłbym się, że to się akurat jego ojcu podobało – odezwał się Holmes. Odruchowo sięgnął po fajkę, ale natychmiast wsunął ją z powrotem do kieszeni. – Syn arystokraty rysujący na kolanie portreciki bogatych amerykańskich turystów i ich ukochanych, dziewcząt z francuskiej bohemy.

Lestrade wybuchnął gromkim śmiechem.

– Na myśl o tym jego ojciec dostawał furii. Ale warsztacik Jory'ego w Hyde Parku, chwała chłopcu za to, prosperował w najlepsze... Jory malował tam tak długo, aż w końcu ojciec zgodził się wypłacać mu trzydzieści pięć funtów kieszonego tygodniowo. Nazywał to obrzydliwym szantażem.

– Serce mi krwawi – stwierdziłem.

– Moje też, Watsonie – odparł Holmes. – A trzeci syn, Lestrade, niech pan mówi szybko... podejrzewam, że jesteśmy już prawie na miejscu.

Lestrade oświadczył, że to właśnie Stephen Hull miał największe powody nienawidzić ojca. Lord Hull, w miarę jak rozwijała się w nim podagra i coraz bardziej plątały się myśli, zaczął wprowadzać w interesy firmy Stephena, który w chwili jego śmierci miał zaledwie dwadzieścia osiem lat. Całą odpowiedzialność za każde niepowodzenie zrzucał na barki najmłodszego syna. Natomiast jeśli chłopak podjął słuszną decyzję, to nie miał z tego żadnych profitów, choć interes ojca kwitł.

Lord Hull powinien był traktować Stephena bardzo życzliwie, gdyż on jedyny z jego dzieci obdarzony był zainteresowaniami handlowymi i talentem do prowadzenia firmy, którą założył jego ojciec. Stephen stanowił idealny przykład człowieka, którego Biblia określa mianem: „dobry syn”. Ale stary Hull zamiast

okazywać mu miłość i wdzięczność, odpłacał młodzieńcowi za jego przeważnie uwieńczone sukcesem wysiłki jedynie wzgardą, podejrzliwością i zawiścią. W ciągu ostatnich dwóch lat życia starzec zwykł był mawiać miodowym głosem, że Stephen „nawet zmarłemu skradłby pensy, którymi przykryto mu oczy”.

– S.....n! – wykrzyknąłem, tracąc nad sobą panowanie.

– Zostawmy chwilowo nowy zapis na boku – odezwał się Holmes i ponownie podparł palcami brodę – i wróćmy do starego. Nawet z powodu tego odrobinę bardziej szczodrego dokumentu Stephen Hull czuł złość i urazę. Mimo wszelkich jego zabiegów, które nie tylko ratowały rodzinną fortunę, ale jeszcze ją pomnażały, pozostawał ciągle najmłodszym synem, ponoszącym winę za wszystkie potknięcia. A tak swoją drogą, jakie były dyspozycje odnośnie do samego przedsiębiorstwa w tym nowym dokumencie, który możemy spokojnie nazwać Kocim Testamentem?

Popatrzyłem czujnie na Holmesa, ale jak zwykle trudno było określić, czy pokusił się tylko o *bon mot*. Nawet po tylu spędzonych z nim latach, po tylu przygodach, jakie wspólnie przeżyliśmy, poczucie humoru Sherlocka Holmesa ciągle pozostawało lądem nieznanym. Nawet dla mnie.

– Firmą miała się zająć Rada Nadzorcza, a dla Stephena nie została przewidziana żadna prowizja – wyjaśnił Lestrade i wyrzucił cygaretkę przez okno dorożki, skręcającej właśnie na podjazd wiodący do budynku, który od pierwszej chwili poraził mnie swą niebywałą brzydotą. Dom otaczały zbrązowiałe trawniki, błyszczące w zacinającym deszczu. – Ale teraz, kiedy jego ojciec nie żyje, a nowy testament zniknął, Stephen Hull posiada coś, co Amerykanie określają słówkiem: „wpływy”. Zajmie w przedsiębiorstwie stanowisko głównego dyrektora. Rada będzie istnieć w dalszym ciągu, ale na dyktowanych przez niego warunkach.

– Tak – odezwał się Holmes. – Wpływy. Dobre słowo.

– Wychylił się i zawołał: – Woźnica, proszę się tu zatrzymać! Jeszcze nie skończyliśmy rozmowy!

– To pan tak twierdzi, szefie, ale tu jest diabelnie mokro! – odkrzyknął woź-

nica.

– Odjedziesz stąd z kieszenią na tyle pełną, że opłaca ci się diabelnie zmknąć, i to zarówno na zewnątrz, jak i od środka – odparł Holmes.

Słowa te zadowoliły dorożkarza, który zatrzymał pojazd w odległości trzydziestu metrów od drzwi frontowych budynku. Wsłuchiwałem się w deszcz bębniący w dach dorożki, a Holmes po krótkim zastanowieniu powiedział:

– Pierwotny testament... ten, którym ich mamił... ten dokument nie zaginął, prawda?

– Skądże. Leżał na biurku, obok jego ciała.

– Czterech podejrzanych! Służby nie należy w to płątać... w każdym razie chwilowo. Niech pan szybko powie resztę, Lestrade. Okoliczności, zamknięty pokój...

Inspektor zaczął opowiadać zwięźle, zerkając od czasu do czasu do notatek. Przed miesiącem lord Hull zauważył na prawej nodze, dokładnie za kolanem, małe, czarne znamię. Natychmiast wezwał domowego lekarza, który stwierdził gangrenę. Przypadek dość niezwykły, ale wcale nie taki rzadki w połączeniu z podagrą i fatalnym krążeniem. Doktor oświadczył, że nogę należy odjąć, i to wysoko nad miejscem infekcji.

Lord Hull wybuchnął takim śmiechem, że po policzkach popłynęły mu strumienie łez. Lekarz, który spodziewał się każdej reakcji, ale nie takiej, po prostu stracił mowę.

„Kiedy już włożą mnie do trumny, konowale, to włożą mnie z obiema nogami! – oświadczył Hull. – Serdeczne dzięki, pokorny sługa”.

Doktor odparł, że całkowicie rozumie lorda Hulla, który chciałby zachować obie nogi, ale bez amputacji umrze za sześć miesięcy, a przez dwa ostatnie będzie nieprawdopodobnie cierpiał. Lord Hull zapytał z kolei, jakie ma szanse, jeśli podda się zabiegowi. Ciągłe ryczał ze śmiechu – dodał Lestrade – zupełnie jakby słyszał najwyborniejszy dowcip. Doktor wił się jak piskorz, ale w końcu wydukał, że trudno powiedzieć, bo szanse są takie same.

– Banialuki – oświadczyłem.

– Dokładnie to samo powiedział lord Hull – odrzekł Lestrade.

– Tyle że użył innego słowa, przystającego bardziej do domu noclegowego niż do salonu.

Hull poinformował doktora, że osobiście swoje szanse szacuje nie wyżej niż jeden do pięciu.

„A co do bólu, nie sądzę, by aż do tego doszło – stwierdził.

– W każdym razie tak długo, jak długo będę miał w zasięgu ręki tynkturę opium i łyżeczkę, żeby ją zamieszać”.

Następnego dnia Hull ogłosił swą okropną niespodziankę – że zamierza zmienić zapis w testamencie. I że cały czas mamił rodzinę.

– O! – mruknął Holmes i popatrzył przenikliwie na Lestrade’a swymi zimnymi, szarymi oczyma, które potrafiły tak wiele dostrzec. – A kto, na Boga, był zaskoczony?

– Moim zdaniem nikogo nie powinno to zdziwić. Ale zna pan ludzką naturę, Holmes. Wie pan, jak ludzie lubią się oszukiwać na przekór wszystkiemu.

– I jak, na przekór wszystkiemu, lubią tworzyć plany, które zapobiegą katastrofie – dodał zamyślonym tonem Holmes.

Tego ranka lord Hull wezwał rodzinę do salonu, a gdy już wszyscy pozajmowali miejsca, wyciągnął akt, który wymyślają spadkodawcy, a obrotne języki ich prawników formułują. Słowem, przeczytał nową wersję testamentu, w myśl której lwią część majątku dostawała się kapryśnym kotom pani Hemphill. W ciszy, jaka zapadła po tych słowach, starzec nie bez trudu dźwignął się z krzesła i obdarzył rodzinę grymasem przypominającym uśmiech trupiej główki. Następnie wsparł się na lasce i złożył następujące oświadczenie, które zarówno dziś, jak wtedy, kiedy relacjonował nam je Lestrade, uznaję za wyjątkowo nikczemne:

„Wszystko w porządku, prawda? Tak, wszystko jest bardzo w porządku! Ty, kobieto, i wy, chłopcy, służyliście mi całkiem wiernie przez jakieś czterdzieści lat. Tak więc z najczystszy sumieniem, jakie można sobie tylko wyobrazić, zamierzam wygnać was precz. Ale nie upadajcie z tego powodu na duchu! Mogło być gorzej! Faraonowie, jeśli mieli czas, przed śmiercią zabijali wszystkie swoje ukochane zwierzaki – głównie koty – żeby mogły ich przywitać w życiu po ży-

ciu, i gdzie mogli je kopać lub pieścić, w zależności od zachcianki wciąż... wciąż... i wciąż”.

Potem się roześmiał. Pochylony nad laską, marszczył w grymasie swą starczą twarz o ziemistej cerze i ścisnął w szponiastej dłoni nową wersję testamentu; testamentu oficjalnie poświadczonego i podpisanego w obecności świadków, o czym rodzina dobrze wiedziała.

William wstał i powiedział:

„Panie, jesteś może moim ojcem i dawcą życia, ale jesteś również najbardziej odrażającą kreaturą, jaka pełzała po powierzchni ziemi od czasów, kiedy wąż skusił w raju Ewę”.

„A wcale nie! – odparł ze śmiechem stary potwór. – Znam cztery gorsze. A teraz, jeśli pozwolicie, oddalę się do siebie, ponieważ muszę uporządkować papiery w sejfie... a kilka niepotrzebnych spalić w piecu”.

– A więc gdy oznajmił im swą wolę, miał jeszcze egzemplarz pierwotnego testamentu? – zapytał Holmes bardziej z ciekawością niż ze zdziwieniem.

– Tak.

– Mógł przecież spalić stary zapis zaraz po tym, jak nowy został sporządzony i podpisany przez świadków – zadumał się Holmes. – Miał do dyspozycji całe popołudnie i wieczór, żeby to uczynić. Ale nie zrobił tego, prawda? Dlaczego? Jak by pan odpowiedział na to pytanie, Lestrade?

– Podejrzewam, że chciał jeszcze bardziej zabawić się ich kosztem. Dawał im szansę, kusił, mamił, że wszystko jeszcze zmieni.

– Zapewne liczył na to, że któreś z nich się nie cofnie – powiedział Holmes. – Czy nie przyszła panu do głowy taka możliwość? – Odwrócił głowę w moją stronę i obrzucił mnie swym inteligentnym i cokolwiek mrozącym spojrzeniem.

– Czy nie przyszło to wam obu do głowy? Czyż nie jest możliwe, że tak czarny charakter zaczął kusić, wiedząc, że jeśli ktoś z jego rodziny ulegnie temu kuszeniu i skróci ojcu cierpienia... z tego, co pan mówił, inspektorze, wynika, że najprawdopodobniej byłby to Stephen... to osoba ta zostanie schwytana... i zadyna za ojcobójstwo?

Popatrzyłem z niemą zgrozą na Holmesa.

– Nieważne – powiedział. – Dalej, inspektorze. Sądzę, że już czas, by na scenie pojawił się zamknięty pokój.

Cała czwórka siedziała jak sparaliżowana, obserwując w milczeniu oddalającego się powoli korytarzem w kierunku swego gabinetu starca. Panowała głucha cisza mącona jedynie stukaniem jego laski, rzęzącym oddechem, płaczącym miauczeniem kota w kuchni i miarowym tykaniem zegara w salonie. Później dotarł skrzyp zawiasów, gdy starzec otwierał drzwi gabinetu, do którego po chwili wszedł.

– Chwileczkę! – przerwał ostro Holmes, prostując się na ławce. – Ale nikt nie widział, jak wchodzi do gabinetu, prawda?

– Obawiam się, że to nie tak, mój drogi Holmesie – odparł Lestrade. – Pan Oliver Stanley, służący lorda Hulla, usłyszał, jak jego pan idzie korytarzem. Wyszedł z przebieralni Hulla, podszedł do balustrady galerii i krzyknął na dół, pytając, czy wszystko w porządku. Hull popatrzył w górę; Stanley widział go tak wyraźnie jak ja teraz pana, przyjacielu, i odparł, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Następnie potarł tył głowy, wszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi na klucz.

Gdy ojciec docierał do drzwi gabinetu (korytarz jest bardzo długi, toteż bez niczyjej pomocy wędrownka zajęła starcowi dobre dwie minuty), Stephen otrząsnął się ze stuporu i stanął w progu salonu. Był świadkiem wymiany zdań między swym ojcem a służącym. Oczywiście lord Hull stał odwrócony do syna plecami, ale Stephen słyszał przecież jego głos i widział charakterystyczny dla staro Hulla gest: pocieranie tyłu głowy.

– A czy przed przybyciem policji Stephen Hull miał okazję porozumieć się ze Stanleyem? – zapytałem, moim zdaniem bardzo inteligentnie.

– Naturalnie – odparł ze znużeniem Lestrade.

– I prawdopodobnie rozmawiał. Ale z całą pewnością w zмовie nie są.

– Jest pan tego pewien? – zapytał bez szczególnego zainteresowania Holmes.

– Tak. Stephen potrafiłby łączyć jak z nut, ale Stanley robiłby to bardzo kiepsko. Może mi pan w tej kwestii zaufać albo nie. To już pańska sprawa, Holmes.

– Ufam.

Tak więc lord Hull wszedł do gabinetu, do słynnego zamkniętego pokoju, i wszyscy usłyszeli zgrzyt przekręcanego w zamku klucza; jedynego egzemplarza klucza dającego dostęp do *sanctum sanctorum*. Później dobiegły stamtąd bardziej niecodzienne dźwięki: hałas zakładanej na drzwi sztaby.

Następnie zapadła cisza.

Cała czwórka – lady Hull i jej synowie, którzy w jednej chwili zostali nędzarzami o błękitnej krwi – popatrzyła na siebie w milczeniu. W kuchni ponownie miauknął kot i lady Hull powiedziała z roztargnieniem, że jeżeli gospodyni nie da kotu miseczki mleka, to ona to robi. Dodała, że jeśli miauczenie potrwa chwilę dłużej, ona zwariuje. Powiedziawszy to, wyszła z salonu. W chwilę później, nie zamieniając ze sobą słowa, trzech bracia również opuścili pokój. William udał się do siebie na górę, Stephen do gabinetu muzycznego, a Jory usiadł na ławie pod schodami, gdzie od najwcześniejszych lat, jak wyznał Lestrade’owi, zawsze się kryje, gdy jest smutny lub ma do przemyślenia jakiś ważny problem.

W niecałe pięć minut później z gabinetu rozległ się wrzask. Stephen wybiegł z pokoju muzycznego, gdzie przebierał palcami po klawiszach pianina. Jory spotkał go pod drzwiami sanktuarium ojca. William był już w połowie schodów prowadzących z piętra, gdy ujrzał, jak dwaj bracia próbują sforsować drzwi. W tej samej chwili z przebieralni wynurzył się lokaj Stanley i po raz drugi podszedł do balustrady galerii. Stanley oświadczył, że widział, jak Stephen wdziera się do gabinetu, widział, jak William dociera do końca schodów, gdzie poślizgnął się na marmurowej posadzce i o mało nie upadł. Widział też, jak z jadalni wychodzi lady Hull, niosąc dzbanek mleka. W kilka chwil później zbiegła się służba.

– Lord Hull leżał połową ciała na biurku, a trzech bracia stali obok niego. Starzec miał rozwarte oczy, które spoglądały na nich... czy ja wiem, ze zdumieniem? I znów możecie mi ufać lub nie, ale oświadczam, że moim zdaniem malowało się w nich właśnie zdumienie. W zaciśniętej dłoni trzymał testament... ten pierwotny. Po nowym nie było śladu. A w plecach starca tkwił sztylet.

Powiedziawszy to, Lestrade stuknął na woźnicę, żeby ruszał.

Wejścia do domu strzegło dwóch konstabli o twarzach nieruchomych niczym twarze strażników w Buckingham Palace. Wewnątrz, od drzwi ciągnął się bardzo długi korytarz o posadzce z czarnych i białych marmurowych płytek ułożonych w szachownicę. Wiódł prosto do otwartych drzwi znajdujących się na jego końcu. Tam również trzymało wartę dwóch konstabli. Drzwi prowadziły do owego niesławnego gabinetu. Po lewej stronie znajdowały się schody, po prawej dwoje drzwi. Zgadłem, że prowadzą do salonu i pokoju muzycznego.

– Cała rodzina jest w salonie – poinformował Lestrade.

– Doskonale – odparł pogodnie Holmes. – Ale najpierw chcemy z Watsonem obejrzeć miejsce zbrodni.

– Czy mam panom towarzyszyć?

– Nie trzeba – odrzekł Holmes. – Zabrano już ciało?

– Gdy po was wyjeżdżałem, ciągle jeszcze było na miejscu zbrodni. Ale do teraz z całą pewnością już je usunięto.

– Bardzo dobrze.

Kiedy Sherlock ruszył w stronę gabinetu, a ja za nim, Lestrade zawołał:

– Holmes!

Sherlock odwrócił się z uniesionymi pytająco brwiami.

– Żadnych sekretnych boazerii, żadnych ukrytych drzwi. Po raz trzeci może mi pan ufać lub nie. Jak pan chce.

– Myślę, że poczekam... – mruknął Holmes i nagle zaczął mu się rwać oddech.

Sięgnął gwałtownie do kieszeni, wyciągnął z niej serwetkę, którą zapewne przez roztargnienie zabrał z jakiejś restauracji, gdzie jadł kolację poprzedniego wieczoru, i potężnie kichnął. Popatrzyłem na podłogę i ujrzałem wystraszonego kocura, zupełnie nie na miejscu w tym wielkim holu, podobnie jak nie na miejscu byłiby ulicznicy, o których myślałem wcześniej. Przemykał obok nóg Holmesa. Jedno ucho zwierzęcia leżało, przylegając ściśle do czaszki. Drugiego w ogóle nie było. Zapewne stracił je w jakiejś ulicznej bójce.

Holmes ponownie kichnął i kopnął kota. Kocisko obrzuciło go pełnym wyrzutem spojrzeniem, ale nie zasyczało gniewnie, jak można się było spodziewać po

takim starym wojowniku. Holmes z kolei popatrzył z wyrzutem zażawionymi oczyma na Lestrade'a. Inspektor bez śladu zmieszania wysunął do przodu głowę i uśmiechnął się jak mała.

– Dziesięć, Holmes – powiedział. – Dziesięć. Dom jest pełen kotów. Hull je uwielbiał.

Z tymi słowy oddalił się.

– Od kiedy cierpisz na tę przypadłość, przyjacielu? – zapytałem.

Ogarniał mnie lekki niepokój.

– Od zawsze – odparł Holmes i ponownie kichnął. W tamtych latach nie znało jeszcze słowa „alergia”, ale mój przyjaciel miał właśnie alergię.

– Czy chcesz stąd wyjść? – zapytałem.

Byłem ongiś świadkiem zdarzenia, że cierpiący na podobną awersję człowiek o mało się nie udusił. Wtedy chodziło wprawdzie nie o kota, lecz o owcę, ale pod każdym względem przypominało to objawy, jakie wykazywał obecnie Holmes.

– On chce wyjść – powiedział Holmes.

Nie musiał wyjaśniać, kogo ma na myśli. Ponownie kichnął (na jego zazwyczaj bladym czole pojawiła się wielka, czerwona plama), przekroczył próg gabinetu, mijając dwóch konstabli i dokładnie zamknął za nami drzwi.

Pokój był długi i stosunkowo wąski. Był położony w końcu jednego ze skrzydeł budynku. Główna część domu zajmowała mniej więcej trzy czwarte całej powierzchni i od niej właśnie rozchodziły się dwa skrzydła. Po obu stronach gabinetu znajdowały się okna i dlatego w pomieszczeniu, mimo że panował szary, deszczowy dzień, było bardzo jasno. Na ścianach wisały mapy morskich szlaków oprawione w śliczne ramki z tekowego drewna. Dostrzegłem tam również imponujący zbiór instrumentów do badania pogody umieszczony w mosiężnej gablocie o szklanym blacie. Zobaczyłem w niej anemometr (podejrzewam, że Hull miał również na dachu niewielki, obracający się instrument wskazujący kierunek wiatru), dwa termometry (jeden rejestrujący temperaturę na zewnątrz, a drugi w gabinecie) oraz barometr, taki sam jak ten, który zwiódł Holmes, wskazując odmianę pogody. Widząc, że wskazówka instrumentu ciągle

się podnosi, wyjrzałem przez okno. Deszcz lał jeszcze większy, bez względu na wskazania przyrządu. Na ogół ludzie sądzą, że dzięki różnorodnym instrumentom i urządzeniom wiemy więcej, ale ja byłem wystarczająco stary, żeby wiedzieć, iż nie znamy nawet połowy tego, co nam się wydaje, a teraz jestem wystarczająco stary, żeby wiedzieć, iż nigdy wszystkiego nie poznamy.

Obaj odwróciliśmy się w stronę drzwi. Sztaba została wyrwana, ale wyrwana do środka pokoju, tak jak powinno być. W zamku ciągle tkwił przekreślony klucz.

Holmes wodził zażawionymi oczyma po całym pokoju, notując, katalogując, rejestrując w pamięci każdy szczegół.

– Już ci trochę lepiej – stwierdziłem.

– Tak – odparł, opuszczając serwetkę i chowając ją niedbale do kieszeni płaszcza. – Może uwielbiał koty, ale ich do gabinetu nie wpuszczał; w każdym razie nie ciągle. No i co o tym wszystkim myślisz, Watsonie?

Jakkolwiek wolniej niż on, ale również wodziłem wzrokiem po całym pomieszczeniu. Podwójne okna były pozamykane na klamki i małe boczne miedziane zasuwki. Żadna szybka nie została wybita. Większość oprawionych map i gablota z instrumentami znajdowały się między otworami okiennymi. Pozostałe dwie ściany pokoju wypełniały książki. Dostrzegłem również niewielki piecyk na węgiel; piecyk, nie kominek. A zatem morderca nie dostał się tutaj przez komin jak święty Mikołaj, chyba że był tak chudy, iż przecisnął się przez rurę prowadzącą do piecyka, a na dodatek miał na sobie strój z azbestu, ponieważ piec nadal był bardzo gorący.

Biurko znajdowało w końcu długiego, wąskiego, doskonale oświetlonego pomieszczenia. Przeciwległy koniec pokoju wypełniały półki ze schludnie ustawionymi książkami, ale nie była to biblioteka. Stały tam dwa wyściełane krzesła o wysokich oparciach, a między nimi mały stolik do kawy. Na stoliku leżało kilka rzuconych niedbale książek. Na podłodze rozciągał się turecki dywanik. Gdyby morderca miał dostać się do gabinetu lorda Hulla drzwiami zapadowymi, musiałby ten dywan wzburzyć. A przecież kilim leżał prosto, bez jednej zmarszczki. Padał na niego cień nóżek stolika i widziałem, że na dywanie nie

było najmniejszej fałdki.

– Czy wierzysz w to, Watsonie? – zapytał Holmes, wyrywając mnie z hipnotycznego prawie transu.

Coś... coś w tym stoliku do kawy...

– Czy wierzę w co, Holmesie?

– Że cała czwórka na cztery minuty przed morderstwem tak po prostu wyszła z salonu w cztery różne strony?

– Nie wiem – odparłem słabo.

– Bo ja nie wierzę. Nie wierzyłem ani przez chwi... – urwał.

– Watsonie! Dobrze się czujesz?

– Nie – odparłem głosem tak słabym, że z trudem sam siebie słyszałem. Opałem na krzesło przy biblioteczce. Serce biło mi jak oszalałe, oczy zdawały się wychodzić z orbit. Nie potrafiłem oderwać wzroku od cieni nóg stolika do kawy padających na dywan. – Jestem... zdecydowanie nie... no cóż...

W tej samej chwili w progu gabinetu pojawił się Lestrade.

– Jeśli już wszystko obejrzałeś, H... – Urwał. – Co, do licha, stało się Watsonowi?

– Podejrzewam – odparł spokojnym, mierzonym głosem Holmes – że Watson rozwiązał już zagadkę tego morderstwa. Czy tak, Watsonie?

Skinąłem głową. Zapewne nie rozwikłałem jeszcze całej tajemnicy, ale jej większą część tak. Wiedziałem kto; wiedziałem jak.

– Czy z tobą, Holmesie, dzieje się to samo? – zapytałem.

– Wtedy gdy... wpadasz na trop?

– Tak – powiedział. – Z tym tylko, że w takich chwilach potrafię utrzymać się na nogach.

– Watson rozwiązał zagadkę? – zapytał zniecierpliwiony Lestrade. – Ba! Holmesie, jak sam najlepiej wiesz, Watson oferował już tysiąc rozwiązań w stu sprawach i żadne z nich nie okazało się prawdziwe. To jego *bete noire*. Cóż, pamiętam, jak zeszłego lata...

– Znam Watsona lepiej, niż pan kiedykolwiek go pozna – odparł Holmes. – I tym razem znalazł właściwe rozwiązanie. Widzę to po nim.

Znów zaczął kichać, gdyż do gabinetu przez drzwi, które Lestrade zostawił otwarte, ponownie wczłapał kot. Zwierzę skierowało się prosto do Holmesa. Paskudny pysk wyrażał bezgraniczną miłość.

– Jeśli za każdym razem czujesz to samo co ja teraz – powiedziałem – nigdy ci tego, Holmesie, nie wybaczę. Myślałem, że pęknie mi serce.

– Do wszystkiego można nawyknąć, nawet do przebłysków intuicji – odrzekł Holmes bez śladu zarozumiałości w głosie.

– Więc o co chodzi... a może, jak w ostatnim rozdziale powieści detektywistycznej, powinniśmy sprowadzić tu wszystkich podejrzanych?

– Nie! – krzyknąłem przerażony. Nie widziałem jeszcze żadnego z nich i wcale się do tego nie śpieszyłem. – Myślę, że najpierw pokażę wam, jak to zostało dokonane. Jeśli tylko ty i inspektor Lestrade wyjdziecie na chwilę na korytarz...

Kot dotarł do Holmesa, wskoczył mu na kolana i zaczął się tam kokosić, mrużąc jak najszcześliwsze stworzenie na świecie.

Holmes eksplodował kanonadą kichnięć. Czerwone plamy na czole, które zaczęły już znikać, ponownie wystąpiły. Odepchnął kota i wstał.

– Pośpiesz się, Watsonie, żebyśmy mogli jak najszybciej opuścić to przekłete miejsce – powiedział stłumionym głosem i wyszedł z pokoju.

Ramiona miał przygarbione, głowę spuszczoną i ani razu nie spojrzał za siebie.

Uwierzcie, zabrał ze sobą cząsteczkę mego serca.

Lestrade stał oparty o framugę drzwi, jego przemoczony płaszcz lekko parował. Usta inspektora były rozchylone w obmierzłym uśmiešku.

– Czy mogę wziąć nowego wielbiciela Holmesa, Watsonie? – zapytał.

– Zostaw go pan i zamknij za sobą drzwi – odparłem.

– Założę się o pięć funciaków, że tylko zabiera nam pan czas, starcze – oświadczył Lestrade, ale w jego oczach dostrzegłem jakiś nowy wyraz.

Gdybym przyjął jego zakład, z pewnością uczyniłby wszystko, żeby się z niego wykręcić.

– Proszę zamknąć za sobą drzwi – powtórzyłem. – Nie zabiorę wam dużo cza-

su.

Inspektor posłusznie to uczynił i zostałem w gabinecie Hulla sam... z wyjątkiem oczywiście kota, który usiadł pośrodku dywanu z ogonem starannie owiniętym wokół łap i obserwował mnie zielonymi ślepiami.

Pomacałem kieszenie i znalazłem mój *souvenir* wyniesiony z kolacji poprzedniego wieczoru. Obawiam się, że samotni mężczyźni bywają raczej niechlujami, ale to, że nosiłem w kieszeniach chleb, brało się z czegoś innego, nie z wrodzonego niechlujstwa. Prawie zawsze w którejś z kieszeni miałem skórki od chleba, ponieważ lubiłem karmić gołębie, często zaglądale do okna, przy którym siedział Holmes w chwili, gdy pojawił się w jego mieszkaniu Lestrade.

– Kotku – powiedziałem, kładąc chleb pod stolikiem; pod stolikiem, do którego lord Hull siedział tyłem w chwili, gdy przeglądał oba testamenty; wstrętny pierwszy i jeszcze wstrętniejszy drugi. – Kici-kici-kici.

Kot wstał, po czym ospale poczłapał pod stół, żeby obwąchać skórkę.

A ja podszedłem do drzwi i otworzyłem je.

– Holmesie! Lestrade! Szybko!

Obaj pojawili się w mgnieniu oka.

– Chodźcie tutaj – powiedziałem i zbliżyłem się do stolika do kawy.

Lestrade rozejrzał się i zaczął marszczyć brwi, nie mogąc niczego dostrzec. Holmes, naturalnie, znów zaczął kichać.

– Czy nie można zabrać stąd tego obrzydlistwa? – poskarżył się stłumionym głosem zza serwetki stołowej, która była już kompletnie mokra.

– Oczywiście – odrzekłem. – Ale gdzie jest to obrzydlistwo, Holmesie?

W jego załzawionych oczach pojawiło się zaskoczenie. Lestrade odwrócił się na pięcie, podszedł do biurka Hulla i zajrzał za nie. Holmes jednak zdawał sobie sprawę z tego, iż jego reakcja nie byłaby aż tak silna, gdyby kocisko znajdowało się w odległym końcu pokoju. Pochylił się i zajrzał pod stół do kawy. Nie dostrzegł niczego poza dywanem i najniższymi półkami dwóch regałów po drugiej stronie. Wyprostował się. Gdyby z oczu nie płynęły mu fontanny łez, zorientowałyby się natychmiast. Ostatecznie wszystko miał przed nosem. Ale sprawiedliwość należy oddać zawsze tam, gdzie należy ją oddać, a iluzja była

zaiste diabelska. Pusta przestrzeń pod stolikiem do kawy stanowiła majstersztyk Jory'ego Hulla.

– Nie... – zaczął Holmes i wtedy kot, który doszedł do wniosku, że stanowczo woli mego przyjaciela od skórki chleba, wysunął się spod stolika i zaczął ekstazy ocierać się o kostki Holmesa.

Wrócił Lestrade, a oczy zrobiły mu się tak okrągłe, że myślałem, iż lada chwila wyskoczą z orbit. Chociaż pojąłem, na czym polegała sztuczka, sam byłem zdumiony. Zdawało się, że pokryty bliznami kocur zmaterializował się w powietrzu z niczego: najpierw głowa, później tułów, a na końcu ogon z białą łatką.

Mrucząc, ocierał się teraz o nogi kichającego nieprzerwanie Holmesa.

– Dosyć – powiedziałem. – Wykonałeś swoje zadanie i teraz wynocha.

Podniosłem zwierzę, zaniósłem je do drzwi (otrzymując w zamian zdrowe drapnięcie) i bezceremonialnie wyrzuciłem kota na korytarz. Zamknąłem dokładnie drzwi.

Holmes usiadł.

– Mój Boże – powiedział nosowym, głuchym tonem.

Lestrade'owi kompletnie odjęło mowę. Nie spuszczał wzroku ze stolika i wytartego tureckiego dywanu; z pustej przestrzeni, z której w jakiś niebywały sposób narodził się kot.

– Powinienem był to zauważyć – mruczał Holmes. – Tak... ale ty... jak pojąłeś to tak szybko?

Wyczułem w jego głosie najdelikatniejszy ton żalu i urazy, a jednocześnie niemą prośbę o wybaczenie.

– To dzięki temu – odparłem, wskazując dywan.

– Naturalnie – prawie jęknął Holmes. Klepnął się w czoło pokryte czerwonymi plamami. – Idiota! Jestem skończonym idiotą!

– Nonsens – odparłem opryskliwie. – Podejrzewam, że w domu pełnym kotów, z których jeden wybrał cię na osobistego przyjaciela, wszystko ci się troi w oczach.

– O co chodzi z tym dywanikiem? – zapytał poirytowany Lestrade. – Jest bar-

dzo ładny i założę się, że musi być drogi, ale...

– To nie dywanik – odparłem. – To cienie.

– Pokaż inspektorowi, Watsonie – odparł znużonym głosem Holmes, opuszczając serwetkę na kolana.

Schyliłem się i podniosłem jeden z podłogi.

Lestrade, jak człowiek, który nieoczekiwanie zainkasował potężny cios, siadł ciężko na drugim krześle.

– Rozumiecie, nieustannie na nie spoglądałem – powiedziałem wbrew samemu sobie przepraszająco.

Cała sprawa poszła nie tak. To Holmes powinien na zakończenie śledztwa wyjaśnić wszelkie „kto” i „jak”. Ale gdy zauważyłem, że wszystko już rozumie, wiedziałem, że nie zechce zabierać głosu. A jakaś część mnie, część, która wiedziała, iż nigdy już los nie sprezentuje mi szansy dokonania podobnego wyczynu, koniecznie chciała wszystko wyjaśnić osobiście. A muszę przyznać, że posunięcie z kotem było mistrzowskie. Magik nie dokonałby lepiej sztuczki z królikiem i cylindrem.

– Wiedziałem, że coś jest nie tak, lecz zajęło mi chwilę, zanim się w tym połapałem. Pokój jest wyjątkowo jasny, ale dzisiaj za oknem pada. Niech pan się rozejrzy, inspektorze. Żadne przedmioty nie rzucają cienia... z wyjątkiem nóżek tego stolika.

Lestrade zaklął.

– Pada prawie od tygodnia – stwierdziłem. – Ale zarówno barometr Holmesa, jak barometr Hulla... – wskazałem instrument – ...mówią, że dziś będzie słoneczny dzień. W każdym razie wszystko na to wskazywało. Tak więc dodał cienie jako ostatni element.

– Kto?

– Jory Hull – odpowiedział tym samym zmęczonym tonem Holmes. – A ktoś by inny?

Pochyliłem się i wsunąłem rękę pod prawy skraj stolika. Zniknęła w powietrzu, podobnie jak zniknął kot. Lestrade ponownie zaklął. Postukałem w lewą

stronę płótna rozpiętego sztywno między przednimi nogami mebla. Półki z książkami i dywanik wybrzuszyły się, zmarszczyły i całe to wspaniałe złudzenie w jednej chwili zniknęło.

Jory Hull namalował to nic pod stolikiem do kawy swego ojca i ukrył się za tym nic na czas, gdy jego ojciec wchodził do gabinetu, zamykał za sobą drzwi i siadał za biurkiem z dwoma testamentami. Później wyszedł spoza tego nic ze sztyletem w dłoni.

– Tylko on był w stanie stworzyć coś równie realistycznego – wyjaśniłem, przeciągając tym razem dłonią po prawej stronie płótna. Do naszych uszu dobiegł cichy, niski, chrapliwy dźwięk, jak mruczenie bardzo leciwego kota. – Tylko on mógł coś takiego namalować i tylko on mógł się za tym skryć. Tylko Jory Hull ma niecałe sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu, pałakowate nogi i przygarbione plecy.

Jak stwierdził Holmes, niespodzianka, którą miał stanowić nowy zapis testamentowy, nie była żadną niespodzianką. Nawet gdyby starzec utrzymał w ściślejszej tajemnicy zamiar wypisania z testamentu rodziny, wyłącznie kiep nie zorientowałyby się w jego zamiarach, widząc w domu prawnika, a co ważniejsze, jego asystenta. Najwyższy Sąd Cywilny w Londynie uznaje dokument za ważny tylko w wypadku, gdy jest poświadczony przez dwóch świadków. To co Holmes powiedział o ludziach, którzy robią wszystko, aby zabezpieczyć się przed nadciągającą katastrofą, okazało się szczerą prawdą. Tak idealnie zrobionego płótna nie dałoby się stworzyć w jeden dzień czy nawet w miesiąc. Zapewniam was, że Jory pracował nad nim przez cały rok...

– Albo i pięć – wtrącił Holmes.

– Możliwe. Podejrzewam, że tak czy owak, gdy Hull oznajmił, że zamierza tego ranka spotkać się z rodziną w salonie, Jory pojął, że nadszedł czas działania. Gdy wczoraj wieczorem jego ojciec udał się na spoczynek, on zszedł na dół i zamontował płótno. Myślę, że wtedy też zrobił te cienie. Ponadto wszedł zapewne ukradkiem do gabinetu również dziś rano, przed zapowiedzianym wcześniej zgromadzeniem w salonie, i zerknął na barometr, żeby się upewnić, że wciąż idzie w górę. W każdym razie ja na miejscu Jory'ego tak właśnie bym po-

stąpił. Gdyby drzwi okazały się zamknięte, wykradłbym z kieszeni ojca klucz, a później niezauważenie wsunąłbym go tam z powrotem.

– Drzwi nie były zamknięte – stwierdził lakonicznie Lestrade.

– Stary miał zwyczaj je zamykać, żeby po gabinecie nie włączyły się koty, ale rzadko zamykał pokój na klucz.

– A jeśli chodzi o same cienie, zrobiono je z pasków filcu, o czym zresztą sami możecie się przekonać. Jory ma dobre oko. Cienie znajdują się dokładnie w tym miejscu, gdzie powinny być o godzinie jedenastej przed południem... gdyby barometr się nie pomylił.

– Skoro spodziewał się słonecznej pogody, po co w ogóle nakładał te cienie?

– zapytał opryskliwie Lestrade. – Jak pan wie, rzuciłoby je samo słońce. Mówię to na wypadek, gdyby pan, Watsonie, nigdy nie zauważył własnego cienia.

Tu byłem w kropce. Popatrzyłem na Holmesa, który sprawiał wrażenie, że odczuwa niebywałą wdzięczność za to, że dałem mu możliwość włączenia się do rozwiązania zagadki.

– Nie rozumie pan, inspektorze? W tym właśnie tkwi największa ironia! Gdyby, zgodnie ze wskazaniem barometru, świeciło słońce, płótno blokowałoby cienie. A jak pan wie, namalowane nogi nie rzucają cieni. Wpadł na tych cieniach w dzień, kiedy nie było żadnych, ponieważ bał się, że wpadnie na braku tych cieni w dniu, w którym barometr jego ojca twierdził, że w pokoju będzie ich nadmiar.

– Ciągle nie rozumiem, jak Jory dostał się do gabinetu, a Hull go nie zobaczył – stwierdził Lestrade.

– To stanowi zagadkę i dla mnie – przyznał Holmes. Stary, dobry Holmes! Bardzo wątpię, czy rzeczywiście stanowiło to dlań zagadkę, ale tak właśnie powiedział. – Watsonie?

– Z salonu, w którym lord Hull spotkał się z żoną i synami, jedne z drzwi prowadzą do gabinetu muzycznego, prawda?

– Tak – potwierdził Lestrade. – A pokój muzyczny łączy się z kolei z gotownią lady Hull, która jest druga w linii pomieszczeń ciągnących się w głąb domu. Ale z gotowni można już wyjść jedynie na korytarz. Gdyby w gabinecie Hulla

było dwoje drzwi, nie pędziłbym z takim pośpiechem po Holmesa.

Ostatnie słowa wypowiedział tonem usprawiedliwienia.

– Ależ Jory wyszedł właśnie na korytarz – powiedziałem.

– Ale ojciec go nie widział.

– Bzdura!

– Zademonstruję – zaproponowałem i podszedłem do biurka, o które wciąż jeszcze stała oparta laska zabitego. Sięgnąłem po nią, po czym obejrzałem się w stronę Holmesa i inspektora.

– Gdy tylko lord Hull opuścił salon, Jory zerwał się z miejsca i wybiegł z pokoju.

Lestrade popatrzył zaskoczony na Holmesa. Ten oddał mu chłodne i ironiczne spojrzenie. Nie zrozumiałem wówczas owej wymiany spojrzeń, ale też i nie poświęciłem jej chwili uwagi, ponieważ chciałem wszystko wyjaśnić sam. Nie rozumiałem jeszcze szerszych implikacji obrazu, jaki im malowałem. Sądzę, że wpadłem w przesadę, chcąc samodzielnie odtworzyć całą sytuację.

– Minał pierwsze drzwi, pokój muzyczny i wszedł do gotowalni lady Hull. Podszedł do drzwi i wyrzwał na korytarz. Skoro podagra lorda Hulla osiągnęła już takie stadium, że wywołała gangrenę, starzec zdążył przebyć w tym czasie, licząc bardzo optymistycznie, najwyżej jedną czwartą drogi. A teraz proszę uważnie mnie posłuchać, inspektorze Lestrade, gdyż pokażę, jaką cenę człowiek płaci za nadużywanie w ciągu całego życia jedzenia i mocnych trunków. Kiedy już to zademonstruję, a pan w dalszym ciągu będzie miał wątpliwości, zaprezentuję z tuzin osób chorych na podagrę, a każda z nich przejawiać będzie takie same wykrywalne ambulatoryjne symptomy, jakie zamierzam panu przedstawić tutaj. Proszę przede wszystkim popatrzeć, jak bardzo mam skupioną uwagę... i na czym.

Po tych słowach zacząłem powoli przemierzać na sztywnych nogach pokój, kierując się w stronę inspektora i Holmesa. Obie dłonie zacisnąłem mocno na gałce laski. Unosiłem wysoko nogę, odstawiałem ją z powrotem na podłogę, robiłem przerwę, po czym powtarzałem czynność drugą. Ani razu nie podniosłem wzroku. Spoglądałem jedynie to na laskę, to na wyciągniętą stopę.

– Tak – oświadczył cicho Holmes. – Dobry doktor ma całkowitą rację, inspektorze Lestrade. Najpierw przychodzi podagra, potem zanik równowagi, a na końcu (jeśli chory żyje wystarczająco długo) charakterystyczne przygarbienie sylwetki, co sprawia, że człowiek patrzy tylko pod nogi.

– Jory doskonale wiedział, na czym koncentruje uwagę jego ojciec, gdy przemieszcza się z miejsca na miejsce – ciągnąłem.

– W rezultacie to, co wydarzyło się dzisiejszego ranka, było diabelnie proste. Kiedy Jory dotarł do gotowalni, wyjrzał na korytarz, a ujrzawszy, że ojciec jak zwykle nie spuszcza wzroku ze stopy i końca laski, poczuł się całkowicie bezpieczny. Wyszedł na korytarz, prosto przed niewidzącego go ojca i wślizgnął się do gabinetu. Drzwi, jak poinformował nas inspektor Lestrade, nie zostały zamknięte na klucz. Co więc ryzykował? Na korytarzu przebywał trzy sekundy, zapewne krócej. – Na chwilę zamilkłem.

– Podłoga tam jest wyłożona marmurem, prawda? Musiał zatem zdjąć buty.

– Na nogach miał domowe bambosze – uzupełnił Lestrade osobliwie spokojnym tonem i na sekundę jego wzrok ponownie spotkał się ze wzrokiem Holmesa.

– A, rozumiem – powiedziałem. – Jory dostał się do gabinetu na długo przed ojcem i skrył się za chytrą dekoracją. Tam wyciągnął sztylet i czekał. Gdy starzec dotarł już do końca korytarza, Jory usłyszał, że Stanley woła z góry do staro Hulla. Słyszał, jak ojciec odpowiada, że wszystko w porządku. Następnie lord Hull wczłapał do gabinetu po raz ostatni w życiu... zamknął za sobą drzwi... przekręcił w zamku klucz.

Obaj spoglądali na mnie z uwagą, a ja pojąłem boskie uczucie, jakie przepełniało Holmesa w momentach takich jak ten, kiedy przekazywał innym to, co tylko on jeden wiedział. A ponadto muszę powtórzyć, że jest to uczucie, którego nie chciałbym przeżywać zbyt często. Podejrzewam, iż powtarzające się podobne stany mogą człowieka zdeprawować. Jeśli naturalnie nie posiada tak spiżowego serca jak mój przyjaciel Sherlock Holmes.

– Kiedy ojciec przebył próg, Beczkonogi skulił się najbardziej, jak potrafił. Wiedział (a może tylko przeczuwał), że jego ojciec zechce rozejrzeć się po po-

koju, zanim przekręci w zamku klucz i założy sztabę. Starzec cierpiał na podagrę i miał nieco osłabiony umysł, ale nie był przecież ślepy.

– Stanley twierdzi, że lord Hull wzrok miał znakomity – powiedział Lestrade.
– Była to pierwsza rzecz, o jaką spytałem służącego.

– A więc rozejrzał się – kontynuowałem i nagle jakbym wszystko to ujrzał na własne oczy; podejrzewam, iż tak samo rzecz miała się z Holmesem. Rekonstrukcja wydarzeń oparta wyłącznie na faktach objawiała się nagle w czymś w rodzaju wizji. – Nie dostrzegł niczego niepokojącego. Zobaczył jedynie gabinet, w którym znajdował się tylko on. Pokój był zadziwiająco prosty, bez żadnych drzwi do ściennych szaf, bez żadnych ciemnych zakamarków i kątków spowitych cieniem nawet w takie dni jak dzisiejszy.

Rad z tego, że jest sam, zamknął drzwi, przekręcił klucz w zamku i zasunął sztabę. Jory słyszał, jak sztywno przemieszcza się w stronę biurka. Usłyszał, że lord ciężko siada w fotelu, usłyszał, że uginają się pod ciężarem jego ciała sprężyny i poduszki – ludzie o zaawansowanej podagrze nie siadają stopniowo, lecz walą się całym ciężarem na siedzenie – i dopiero wtedy Jory odważył się wyrzeć ze swej kryjówki.

Popatrzyłem na Holmesa.

– Mów dalej, stary przyjacielu – powiedział ciepło. – Robisz to wspaniale. Absolutnie pierwsza klasa.

Wiedziałem, że mówi szczerze. Tysiące ludzi mogłoby nazwać go oziębłym i wcale by się nie myliło, bo taki był, ale posiadał również wielkie serce. Tyle że potrafił je ukrywać lepiej niż większość ludzi.

– Dziękuję. Jory ujrzał, jak ojciec odstawia laskę, a następnie kładzie na białym papierze dwa pakiety papierów. Nie zabił ojca natychmiast, choć mógł to zrobić; ten właśnie element jest tak złowieszczo patetyczny w całej tej sprawie, że nawet za tysiąc funtów nie wszedłbym do salonu, w którym siedzi rodzina Hullów. Chyba że zawleczenie mnie tam siłą.

– A skąd pan wie, że nie zabił go natychmiast? – zainteresował się Lestrade.

– Lord zaczął krzyczeć dopiero w kilka minut po tym, jak przekręcił klucz w zamku i zaryglował sztabę. Sam przecież pan to powiedział. Zakładam zresz-

ta, że ma pan na to tyle dowodów, iż nie można w to wątpić. Od drzwi dzieli biurko tylko dwanaście dużych kroków i nawet dla chorego na podagrę lorda Hulla wystarczyło trzydzieści sekund, żeby przebyć tę odległość. Czterdzieści sekund razem z zajęciem miejsca w fotelu. Niech pan doda do tego piętnaście sekund na odstawienie laski na miejsce, gdzie ją znaleziono, i na położenie testamentów na bibularzu.

Co zatem działo się dalej? Co działo się przez tę ostatnią minutę czy dwie, przez krótki czas, który, przynajmniej Jory'emu, wydawać się musiał wiecznością? Sądzę, że lord Hull po prostu siedział przy biurku i przeglądał to jeden testament, to drugi. Jory z łatwością zapewne je rozróżniał; rozróżniał je po odmiennym kolorze pergaminu.

Zdawał sobie sprawę z tego, że ojciec zamierza jeden z nich cisnąć w ogień. Sądzę, że czekał, chcąc się przekonać który. Ostatecznie istniała szansa, że wszystko to było tylko psikusem, jaki stary diabeł zrobił rodzinie. Może zamierzał spalić nowy dokument, a stary schować z powrotem do sejfu? Wtedy Jory opuściłby pokój, żeby powiadomić matkę i braci, że nowy zapis już nie istnieje. Czy wie pan, Lestrade, gdzie on jest? Mówię o sejfie.

– Trzeba wyjąć pięć książek z tej półki – odparł Lestrade, wskazując regał.

– Zarówno rodzina jak starzec byliby wtedy usatysfakcjonowani. Rodzina wiedziałaby, że dziedziczy spadek, a starzec poszedłby do grobu ze świadomością, iż splątał najokrutniejszego figla, jaki kiedykolwiek w życiu mu się udał...

1 odszedłby z woli Boga lub własnej, a nie Jory'ego Hulla.

Po raz trzeci Holmes i Lestrade wymienili owe dziwaczne, na wpół rozbawione, na wpół wyrażające odrazę spojrzenia.

– Osobiście jednak sądzą, że starzec delektował się chwilą w ten sposób, jak człowiek delektuje się perspektywą poobiedniego drinka lub porcji słodczy, których od dawna nie smakował. Tak czy siak, minęła minuta i lord Hull zaczął podnosić się z fotela... ale z ciemniejszym pergaminem w dłoni. Najwyraźniej kierował się w stronę pieca, nie sejfu. Bez względu na żywione nadzieje Jory się nie zawahał, gdy nadeszła ta chwila. Wysunął się z ukrycia, w jednej chwili przebył odległość między stolikiem do kawy a biurkiem i zanim ojciec zdążył

całkowicie wstać, wbił mu w plecy nóż.

Podejrzewam, że sekcja zwłok wykaże, iż cios, przebiwszy płuco, trafił dokładnie w prawą komorę serca, co tłumaczyłoby ilość krwi na biurku. Wyjaśnia to też kwestię, dlaczego lord Hull zdołał jeszcze krzyknąć przed śmiercią, co zresztą mocno pokrzyżowało plany pana Jory'ego Hulla.

– Jak to? – zapytał Lestrade.

– Zamknięty pokój jest najgorszą sprawą, jeśli naturalnie zabójca, popełniając morderstwo, nie pragnie zarazem popełnić samobójstwa – odparłem, spoglądając na Holmesa, który uśmiechnął się i skinął głową, słysząc w moich ustach własną maksymę. – Taki obrót sprawy stanowił ostatnią rzecz, jakiej pragnął Jory... zamknięty pokój, zamknięte okna, człowiek z nożem wbitym w miejsce, gdzie nie zdołałby go sam sobie wbić. Sądzę, że Jory nie przewidział tego, iż jego ojciec umrze z takim wrzaskiem. Planował go zasztyletować, spalić nowy testament, splądrować biurko, otworzyć okno, wymknąć się przez nie, wejść do domu którymś wejściem, usiąść pod schodami, a wtedy, gdy odkryto by ciało, wszystko wskazywałoby na napad rabunkowy.

– Ale nie dla prawnika Hulla – zaznaczył Lestrade.

– On zapewne zachowałby milczenie – powiedział z zadumą Holmes, po czym dodał raźniejszym tonem: – Założę się, że nasz obdarzony artystyczną duszą przyjaciel zamierzał sprokurować jeszcze kilka innych sztuczek. Wiem z doświadczenia, że mordercy reprezentujący wyższą klasę bardzo lubią zostawić kilka fałszywych tropów prowadzących z miejsca zbrodni. – Wydał krótkie, pozbawione wesołości parsknięcie, przypominające bardziej warczenie niż śmiech, po czym spojrzał spod okna znajdującego się najbliżej biurka na Lestrade'a i na mnie. – Myślę, że wszyscy zgodzimy się, iż biorąc pod uwagę okoliczności, było to podejrzanie zręczne morderstwo, ale nawet gdyby prawnik coś napomknął, niczego nie dałoby się udowodnić.

– Swoim krzykiem lord Hull wszystko popsuł – powiedziałem. – Podobnie jak wszystko psuł przez całe swe życie. Postawił na nogi cały dom. Jory musiał wpaść w panikę, zupełnie stracić głowę, jak jelen w blasku jaskrawego światła. To Stephen Hull uratował sytuację... a w każdym razie zapewnił Jory'emu ali-

bi, oświadczając, że w czasie, gdy ich ojciec został zamordowany, jego brat siedział pod schodami. Stephen wybiegł z pokoju muzycznego na korytarz, wyłamał drzwi i natychmiast syknął do Jory'ego, żeby podszedł z nim do biurka tak, aby wyglądało to, że razem wyważy...

Zamilkłem jak rażony gromem. W końcu dotarł do mnie sens spojrzeń, jakie wymieniali ze sobą Holmes i Lestrade. Pojąłem to, co dla nich było oczywiste już od chwili, gdy pokazałem im, na czym polegała sztuczka z kryjówką: tego morderstwa nie można było dokonać w pojedynkę. Zabójstwa, owszem, ale cała reszta...

– Stephen oświadczył, że spotkał się z Jorym przed drzwiami gabinetu – ciągnąłem powoli. – Że wyłamał drzwi, że obaj wkroczyli do środka i obaj znaleźli ciało. Skłamał. Mógł to zrobić, by ochronić brata, ale by tak przekonująco kłamać, nie wiedząc, co się naprawdę wydarzyło w gabinecie, wydaje się... wydaje się...

– Niemożliwością – zakończył za mnie Holmes. – Tego właśnie słowa poszukujesz, Watsonie.

– Tak zatem w morderstwie brali udział Stephen i Jory – oświadczyłem. – Zaplanowali je wspólnie... i w oczach prawa obaj są winni zabójstwa ojca! Mój Boże!

– Nie oni dwaj, mój drogi Watsonie – odezwał się Holmes zadziwiająco łagodnie. – Oni wszyscy.

Popatrzyłem nań z rozdziawionymi ustami.

Holmes skinął głową.

– Wykazałeś się dzisiaj wyjątkową intuicją, Watsonie; wzniosłeś się na takie poziomy dedukcji, jakich, mogę iść o to o zakład, nigdy już więcej nie osiągniesz. Chylę przed tobą głowę, drogi przyjacielu, podobnie jak uczyniłbym to przed każdym, kto potrafi wzbić się ponad swe naturalne zdolności, niezależnie na jak krótko. Ale na swój sposób pozostałeś starym, poczciwym jegomościem, jakim zawsze byłeś. Wiedząc, jak dobrzy potrafią być ludzie, nie dostrzegasz, jak bardzo mogą być podli.

Popatrzyłem nań w milczeniu, prawie z pokorą.

– Z tym, że tutaj nie spotkaliśmy żadnego zła, jeśli choć w połowie wszystko to, czego się dowiedzieliśmy o lordzie Hullu, jest prawdą – oświadczył Holmes. Wstał i zaczął nerwowo przechadzać się po gabinecie. – Kto poświadczy, że Jory był ze Stephenem, gdy ten wyłamywał drzwi? Naturalnie sam Jory. Naturalnie Stephen. Ale na rodzinnym portrecie znajdują się jeszcze dwie twarze. Jedna należy do Williama, trzeciego z braci. Podzielasz moje zdanie, Lestrade?

– W pełni – odparł inspektor. – Mówiąc bez ogródek, William również musiał maczać w tym palce. Powiedział, że był w połowie schodów, gdy zobaczył dwójkę braci, a Jory znajdował się trochę przed nim.

– Interesujące! – stwierdził Holmes z błyskiem w oku.

– Stephen wyłamuje drzwi. Jako młodszy i silniejszy musi to zrobić on. A zatem siłą rzeczy impet uderzenia sprawił, że w gabinecie pierwszy znalazł się właśnie Stephen. A jednak znajdujący się w połowie schodów William twierdzi, że pierwszy był Jory. Jak to możliwe, Watsonie?

Mogłem tylko tępo potrząsnąć głową.

– Zapytaj samego siebie, w czyje świadectwo, i tylko w czyje, możemy wierzyć. Odpowiedź brzmi: świadka, który nie należy do rodziny. Służącego lorda Hulla, Olivera Stanleya. Podszedł do balustrady galerii i ujrzał, że Stephen wdziera się do pokoju. Ale przecież William, który widział wszystko ze schodów pod korzystniejszym kątem, twierdzi, że pierwszy do gabinetu dostał się Jory. William tak właśnie zeznał, ponieważ widział Stanleya i zdał sobie sprawę, co musi powiedzieć. Rzecz sprowadza się do tego, Watsonie: wiemy, że Jory znajdował się w gabinecie. A skoro obaj bracia utrzymują, że go tam nie było, mamy do czynienia ze zмовą. Ale sposób, w jaki tak twardo trzymają ze sobą, sugeruje coś znacznie poważniejszego.

– Konspiracja – odparłem.

– Właśnie. Czy pamiętasz, jak zapytałem cię, Watsonie, czy wierzysz, iż cała czwórka tak po prostu i bez słowa wyszła z salonu, każde w swoją stronę, po tym gdy usłyszeli, że za starcem zamknęły się drzwi gabinetu?

– Naturalnie, pamiętam.

– Cała czwórka. – Holmes popatrzył przelotnie na Lestrade'a, który skinął

głową, po czym znów odwrócił twarz w moją stronę.

– Wiemy, że Jory musiał wstać i wyjść w chwili, gdy jego ojciec opuścił salon. Wszak miał dotrzeć do gabinetu przed starcem, a jednak reszta rodziny, w tym również lady Hull, twierdzi, że nikt nie ruszył się z miejsca do czasu, aż usłyszeli trzask zamykanych drzwi gabinetu. Tak więc w morderstwie lorda Hulla brała udział cała rodzina, Watsonie.

Byłem zbyt wytrącony z równowagi, żeby cokolwiek odrzec. Spojrzałem na Lestrade'a. Na jego twarzy ujrzałem wyraz, jakiego nigdy wcześniej nie widziałem, nie zanotowałem go też już nigdy później; rodzaj pełnej znużenia i odrazy powagi.

– Czego mogą się spodziewać? – zapytał prawie wesoło Holmes.

– Jory z pewnością zawisnie – odparł Lestrade. – Stephen dostanie dożywocie. Williama Hulla również czeka dożywotnie więzienie, ale najprawdopodobniej wyląduje na dwadzieścia lat w Wormwood Scrubs. A to rodzaj śmierci za życia.

Holmes pochylił się i przeciągnął dłonią po rozpiętym między nogami stolika płótnie. Rozległ się dziwaczny szelest przypominający pomruk kota.

– Lady Hull natomiast – kontynuował Lestrade – może się spodziewać, że najbliższe pięć lat spędzi w Beechwood Manor, znanym bardziej wśród więźniarek pod nazwą Pałacu Syfilisa... Jakkolwiek po jedynym spotkaniu z tą damą skłonny jestem sądzić, że znajdzie raczej inne rozwiązanie. Stawiam na tynkturę opium należącą do jej męża.

– A wszystko przez to, że Jory nie zadał celnego ciosu – zauważył Holmes i westchnął. – Gdyby starzec postępował zgodnie z nakazami przyzwoitości, umarłby bez jęku i wszystko byłoby dobrze. Jory mógłby, jak powiedział Watson, opuścić gabinet oknem, zabrawszy, naturalnie, ze sobą płótno... nie wspominając o cieniach. Ale staruch swym wrzaskiem postawił cały dom na nogi. Zbiegła się służba, krzycząc o śmierci swego pana. Rodzina znalazła się w kłopotliwym położeniu. Ależ los z niej zakpił. Lestrade, jak blisko znajdował się konstabl, kiedy wezwał go Stanley?

– Blżej, niż mógłby pan sądzić – odparł inspektor.

– Śpieszył właśnie podjazdem do wejściowych drzwi. Przechodził akurat obok domu i usłyszał ów straszny krzyk. Tak, los bardzo z nich zakpił.

– Holmesie, skąd wiedziałeś, że konstabl był w pobliżu? – zapytałem, czując się dużo pewniej w starej roli.

– To proste, Watsonie. Gdyby go w pobliżu nie było, Hullowie przepędziliby służbę na wystarczająco długi czas, żeby ukryć płótno i „cienie”.

– Przecież mogli usunąć płótno i cienie – odezwałem się nieoczekiwanie. Holmes odwrócił się w moją stronę.

– Tak.

Lestrade uniósł brwi.

– Wszystko sprowadzało się do wyboru – wyjaśniłem mu.

– Czasu wystarczało albo na spalenie nowej wersji testamentu, albo na zlikwidowanie całego bałaganu... tego mogli dokonać Stephen i Jory zaraz po tym, jak Stephen wdarł się do gabinetu. Oni, jeśli jest pan znawcą ludzkich charakterów, a jest nim pan, więc pan wie, że konkretnie Stephen, zdecydował się spalić testament, licząc na to, że sprawa się nie wyda. Jestem przekonany, że mieli wystarczająco dużo czasu, żeby wrzucić dokument w ogień.

Lestrade odwrócił się, popatrzył na płótno i znów spojrział na nas.

– Jedynie tak podły człowiek jak Hull mógł wykrzesać w sobie tyle sił, żeby umrzeć z wrzaskiem – stwierdził.

Znów wymienił z Holmesem spojrzenia i znów jakby się porozumieli. Milczące porozumienie, z którego ja byłem wyłączony.

– Czy kiedykolwiek coś takiego pan zrobił? – zapytał Holmes, jakby podejmował przerwana rozmowę.

Lestrade potrząsnął głową.

– Raz byłem diabło bliski takiego postępuku – powiedział.

– W sprawę zamieszana została dziewczyna; i to nie ze swej winy. Może mi pan wierzyć. Byłem bardzo bliski. Ale ona była jedna.

– A tutaj mamy cztery osoby – odpowiedział Holmes, doskonale go rozumiejąc. – Czwooro ludzi zmalretowanych przez łajdaka, który i tak miał umrzeć w ciągu najbliższych sześciu miesięcy.

I w końcu oświeciło mnie, o czym rozmawiają.

Holmes utkwił we mnie spojrzenie swych stalowych oczu.

– Co powiesz, Lestrade? Tę sprawę rozwiązał Watson, choć nie znał wszystkich wątków intrygi. Czy pozwolimy, żeby to Watson podjął decyzję?

– W porządku – burknął Lestrade. – Tylko szybko. Chcę jak najprędzej opuścić ten przeklęty pokój.

Nie wysilając się nawet na jakikolwiek komentarz, pochyliłem się, podniosłem filcowe cienie, zwinąłem je w kulę i schowałem do kieszeni płaszcza. Robiąc to, czułem się bardzo osobliwie. Czułem się jak w Indiach, gdy zachorowałem na febrę, która o mało co nie pozbawiła mnie życia.

– Znakomita decyzja, Watsonie! – wykrzyknął Holmes.

– Rozwiązałeś swą pierwszą sprawę, stałeś się współwinnym zbrodni, a tu jeszcze nie nadeszła nawet pora popołudniowej herbaty! To będzie prezent dla mnie: oryginalny Jory Hull. Wątpię, czy jest podpisany, ale należy dziękować Opatrzności za wszystko, co zesłała nam w tak deszczowy dzień.

Za pomocą scyzoryka oderwał przyklejone przez artystę do nóg stolika płótno. Uporał się ze wszystkim błyskawicznie. W niecałą minutę później chował już do wewnętrznej kieszeni swego obszernego, grubego palta zwinięte ciasno malowidło.

– To paskudny kawałek roboty – oświadczył Lestrade. Podeszedł do okna i po chwili wahania otworzył je na szerokość mniej więcej trzech centymetrów.

– Powiedzmy, że paskudna praca została wykonana – stwierdził Holmes z hektyczną prawie radością.

– Wychodzimy, panowie?

Podeszliśmy do drzwi i Lestrade je otworzył. Jeden z konstabli zapytał, czy poczyniliśmy jakieś postępy w śledztwie.

W innych okolicznościach Lestrade srogo zbeształby policjanta za to pytanie. Tym razem jednak odparł krótko:

– Wygląda na to, że próba rabunku zakończyła się fatalnie. Ja dostrzegłem to natychmiast, Holmes w chwilę później.

– Fatalnie – odważył się powtórzyć drugi konstabl.

– Tak – przyznał Lestrade. – Ale przynajmniej krzyk starca wypłoszył złodziejską szajkę. Chodźmy.

Opuściliśmy gabinet. Drzwi do salonu były otwarte, lecz kiedy je mijaliśmy, trzymałem głowę nisko spuszczoną. Holmes zerknął jednak do środka; po prostu zawsze tak czynił. Tyle tylko mógł zrobić. Jeśli chodzi o mnie, nigdy nie zobaczyłem tej rodziny. I nie chciałem zobaczyć.

Holmes znów zaczął kichać. O nogi ocierał się mu jego nowy przyjaciel i błogo mruczał.

– Wyośmy się stąd – powiedział Holmes, po czym popędził przed siebie.

W godzinę później siedzieliśmy już w mieszkaniu w domu numer 221 B na Baker Street. Siedzieliśmy w tych samych pozycjach, jak wtedy, gdy przed dom zajechał Lestrade. Holmes przy oknie, ja na kanapce.

– No cóż, Watsonie – odezwał się Holmes. – Czy sądzisz, że zaśniesz dzisiejszej nocy?

– Jak kamień – odparłem. – A ty?

– Jestem pewien, że ja też – stwierdził. – Mogę ci tylko powiedzieć, iż cieszę się, że jestem już z daleka od tych przeklętych kotów.

– A jak, twoim zdaniem, będzie spał Lestrade?

Holmes popatrzył na mnie z uśmiechem.

– Dzisiejszej nocy kiepsko. Zapewne kiepsko przez cały tydzień. Ale później wróci do normy. Wśród wielu zalet Lestrade posiada wielki talent do twórczego zapomnienia.

Wybuchnąłem śmiechem.

– Popatrz, Watsonie! – odezwał się nagle Holmes. – To dopiero widok!

Podniosłem się z kanapki i podszedłem do okna, w jakiś sposób przekonany, że ponownie ujrzę jadącego w odkrytej bryczce Lestrade'a. Zamiast tego dostrzegłem przezierające przez chmury słońce, które zaczynało zalewać Londyn wspaniałym, późnopołudniowym blaskiem.

– I w końcu się przejaśniło – stwierdził Holmes.

– Cudownie, Watsonie! Jak pięknie jest żyć!

Sięgnął po skrzypce i zaczął grać. Na twarz padały mu promienie słońca.

Popatrzyłem na barometr i skonstatowałem, że opada. Na ten widok wybuchnąłem takim śmiechem, że aż musiałem usiąść. Gdy lekko poirytowany Holmes zapytał o przyczynę mej wesołości, mogłem jedynie potrząsnąć głową. Prawdę mówiąc, nie byłem pewien, czy mój przyjaciel by to zrozumiał. Jego umysł pracował w inny sposób.

Ostatnia sprawa Umneya

*Deszcze się skończyły. Wzgórza wciąż jeszcze się zielenią, a z doliny po drugiej stronie wznie-
sien Hollywood widać śnieg na górskich szczytach. Sklepy futrzarskie ogłaszają doroczną wy-
przedaż. Przedsiębiorstwa wyspecjalizowane w szesnastoletnich dziewczicach robią kokosy.
A w Beverly Hills drzewa jacarandy zaczynają kwitnąć.*

Raymond Chandler „Siostrzyczka”²⁹

I. Wieści od Peorii

Był to jeden z tych wiosennych poranków, gdy Los Angeles wydaje się tak idealne, że człowiek w każdej chwili spodziewa się ujrzeć wydrukowany gdziekolwiek znaczek firmowy ®. Spaliny przejeżdżających po Sunset pojazdów pachniały lekko oleandrem, oleandry delikatnie spalinami, a niebo było czystym sumieniem niezłomnego baptysty. Peoria Smith, niewidomy gazeciarz, stał na swym zwykłym miejscu u zbiegu Sunset i Laurel i jeśli nie znaczyło to, że Bóg ciągle panuje w Niebiosach, a ze światem wszystko jest w jak najlepszym porządku, to sam już nie wiem, co by to miało oznaczać.

Od chwili jednak, gdy tego ranka zsunąłem z łóżka nogi o niezwykłej dla mnie godzinie siódmej trzydzieści, wszystko wydawało mi się jakoś nie takie; lekko zwichrowane i chwiejne. Dopiero przy goleniu – czy raczej usilnych próbach zdrapania tego cholernego zarostu – częściowo zrozumiałem przyczynę. Mimo że aż do drugiej w nocy czytałem, nie usłyszałem, jak do swego domu wtaczali się Demmickowie. Naprani jak szopy wymieniali zwykle owe zgryźliwe, kostyczne powarkiwania, które najwyraźniej stanowiły podstawę ich małżeństwa.

Nie słyshałem też Bustera, co zapewne było jeszcze dziwniejsze. Buster należał do Demmicków, był psem rasy Welsh Corgi i ujadał w tak wysokich tonacjach, że człowiek odnosił wrażenie, iż w mózg wbijają mu się szklane igły, a na dodatek zwierzę używało sobie do woli z tym szczekaniem. Było poza tym bardzo zazdrosne. Za każdym razem, gdy George i Gloria gliglali się w łóżku, psiak zanosił się straszliwym, przenikliwym ujadaniem; kiedy Demmickowie nie miotali się po mieszkaniu niczym małżeństwo z wodewilu, to przeważnie się gliglali. Nieraz gdy już leżałem w pościeli, słyshałem ich chichoty, podczas gdy pies harcował po domu, szczekając jak opętany, a ja zastanawiałem się, czy trudno byłoby udusić takie muskularne, średniej wielkości zwierzę o długości struny od pianina. Ostatniej nocy jednak w mieszkaniu Demmicków panowała grobowa cisza. Było to dziwne, ale nie tak zaskakujące jak trzęsienie ziemi; Demmickowie nie stanowili małżeństwa prowadzącego życie z zegarkiem w ręku.

Ale Peoria Smith był w porządku – jak zwykle wesoły niczym wiewiórka, rozpoznał mnie po krokach, choć pojawiłem się co najmniej o godzinę wcześniej niż zwykle. Miał na sobie rozciągnięty podkoszulek z nadrukiem kalifornijskiej politechniki, który sięgał mu do połowy ud, oraz sztruksowe, krótkie spodnie dochodzące do pokrytych strupami kolan. Obok, oparta o składany stolik, gdzie prowadził swój interes, stała znieawidzona, biała laska.

– Witam, panie Umney! Jak dzieciak?

Ciemne okulary Peorii załśniły w słońcu, gdy gazeciarz odwrócił się w stronę, skąd dobiegały moje kroki. Trzymał przed sobą egzemplarz gazety *Los Angeles Times*, bo zawsze ją u niego kupowałem. Na widok jego skrytych za okularami oczu zrodziło się we mnie nieprzyjemne skojarzenie: zupełnie jakby ktoś wyborował mu w twarzy dwie wielkie, czarne dziury. Zadrzałem na tę myśl i pomyślałem, że zapewne nadszedł czas, żeby skończyć ze zwyczajem picia porcji żytniówki przed pójściem do łóżka. Albo skończyć z tym obyczajem, albo też podwoić dawkę.

Na pierwszej stronie *Timesa* widniało zdjęcie Hitlera; w ostatnich czasach zresztą często się tam pojawiał. Tym razem był to jakiś artykuł o Austrii. Nie

pierwszy raz zastanowiłem się, jak ta blada twarz z loczkiem nad czołem wyglądałaby na tablicy ogłoszeniowej na poczcie.

– Dzieciak już prawie w porządku, Peoria – odparłem.

– Tak naprawdę jest w porządku jak świeża farba na zewnętrznej ścianie domu.

Do puszek po cygarach Corona stojącej na pliku gazet wrzuciłem dziesięć centów. *Times* wprawdzie kosztował trzy i przepłaciłem, ale od dawna zawsze tyle wrzucałem do puszek Peorii. Był dobrym dzieckiem i świetnie się uczył w szkole. W zeszłym roku osobiście się tą sprawą zainteresowałem zaraz po tym, jak pomógł mi w sprawie Weld. Gdyby Peoria nie pojawił się w łodzi mieszkalnej Harrisa Brunnera, do dzisiaj tkwiłbym na dnie morza, gdzieś w okolicach Malibu, z nogami zatopionymi w cemencie wlanym do beczki po nafcie. Twierdzenie, że wiele zawdzięczam Peorii, jest określeniem stanowczo za słabym.

W trakcie tego konkretnego śledztwa (dotyczącego Peorii Smitha, nie Harrisa Brunnera i Mavis Weld) poznałem nawet prawdziwe imię dzieciaka, choć końmi nikt by ze mnie tego nie wyciągnął. Ojciec Peorii w Czarny Piątek³⁰ udał się na permanentny lunch przez okno na dziewiątym piętrze biurowca, a matka chłopaka pracuje w nędznej, chińskiej pralni na La Punta. Sam dzieciak jest ślepy. Czy przy takim bagażu, jaki mały dźwiga, świat musi wiedzieć, że na chrzcie, kiedy Peoria był jeszcze zbyt młody, żeby się temu sprzeciwić, dano mu na imię Francis? Zapuśćmy na to zasłonę miłosierdzia.

Jeśli tylko poprzedniego wieczoru wydarzyło się coś rzeczywiście soczystego, prawie zawsze można było przeczytać o tym na pierwszej stronie *Timesa* na lewej szpalcie, tuż pod miejscem, gdzie gazeta się składa. Odwróciłem dziennik i przeczytałem, że główny baletmistrz zespołu kubańskiego podczas tańca z wokalistką w trakcie występów w *The Carousel* w Burbank dostał zawału serca. W godzinę później zmarł w szpitalu miejskim w Los Angeles. Współczułem żonie artysty, ale jemu ani trochę. Moim zdaniem, ktoś, kto tańczy w Burbank, zasługuje na każdy los, jaki go spotyka.

Otworzyłem na rubryce sportowej, ciekaw, jak poradziła sobie poprzedniego dnia drużyna Brooklynu z Cardsami, rozgrywając z nimi dwa mecze tego same-

go dnia.

– A ty, Peoria? Jak trzyma się twój zamek? Czy fosy i blanki murów obronnych są w dobrym stanie?

– Powiem panu, panie Umney! Świetnie!

Coś w jego głosie przykuło moją uwagę, więc opuściłem gazetę i uważnie przyjrzałem się chłopakowi. Zobaczyłem to, co taki niezawodny, prywatny detektyw jak ja powinien dostrzec natychmiast: dzieciak promieniał szczęściem.

– Wyglądasz, jakby ktoś podarował ci sześć biletów na pierwszą rozgrywkę World Series – stwierdziłem. – Co za afera, Peoria?

– Moja mama wygrała na loterii w Tijuana! – odrzekł.

– Czterdzieści tysięcy dolców! Jesteśmy bogaci, bracie! Bogaci!

Przesłałem mu uśmiech, którego nie mógł zobaczyć, i rozwichrzyłem chłopakowi włosy. Na głowie pozostały mu sterczące koguty, ale co to miało za znaczenie?

– Hola, zaczekaj! Ile ty masz lat, Peoria?

– W maju skończyłem dwanaście. Przecież pan o tym wie, panie Umney. Sam podarował mi na urodziny koszulkę polo. Ale nie rozumiem, co to ma wspólnego z...

– Dwanaście lat to wiek wystarczająco dojrzały, by pojąć, że czasami to, co ludzie chcą, żeby się stało, miesza się z tym, co dzieje się naprawdę. To tyle.

– Jeśli mówi pan o marzeniach, to ma pan rację... znam się na tym – odparł Peoria, pocierając dłonią tył głowy, by przygładzić włosy. – Ale to wcale nie jest sen na jawie, panie Umney. To rzeczywistość! Wczoraj po południu mój wujek Fred odebrał pieniądze. Przyniósł je do domu w skórzanej torbie przypiętej do bagażnika jego Vinnie! Wąchałem je! Do licha, tarzałem się w nich! Były rozrzucone po całym łóżku mojej mamy! Mówię panu, najbogatsze uczucie, jakiego doznałem w życiu: czterdzieści cholernych tysięcy dolców!

– Dwanaście lat to wiek wystarczająco dojrzały, żeby odróżnić marzenia od rzeczywistości, ale stanowczo za młody dla takich tekstów – odparłem.

Zabrzmiało to dobrze – jestem przekonany, że Zastępy Obyczajnych przyznałyby mi dwa tysiące procent racji – ale moimi ustami kierował automatyczny

pilot i niewiele słyszałem z tego, co z nich wychodziło. Zanadto zaabsorbowany byłem przetrwaniem wiadomości, którą Peoria mi przekazał. Jednego byłem pewien: popełnił omyłkę. Musiał się pomylić, ponieważ gdyby to, co mi powiedział, było prawdą, nie stałby już ani chwili dłużej na ulicy, po której ja szedłem do swego biura w Fulwider Building. To po prostu nie mogła być prawda.

Wróciłem myślą do Demmicków, którzy po raz pierwszy w notowanej historii nie puszczali przed snem na cały regulator jednej ze swych płyt z nagraniami big-bandów. Pomyślałem o Busterze, który po raz pierwszy w notowanej historii nie witał zgrzytu obracanego w zamku klucza George'a nawałą oszalałego ujadania. Powróciło uczucie, że coś jest nie w porządku; tym razem z dużo większą mocą. Peoria stał obok mnie z miną, jakiej nigdy dotąd nie widziałem na jego szczerej, otwartej twarzy; ponura irytacja mieszała się z rozbawieniem. W taki sam sposób dziecko patrzy na wujka gadułę, który trzeci czy czwarty raz z rzędu opowiada te same najnudniejsze historyjki.

– Czy nie dociera do pana, panie Umney, ta wielka wieść? Jesteśmy bogaci! Moja mama nie będzie musiała już dłużej prasować koszul dla tego starego, przeklętego Lee Ho, a ja nie będę musiał już dłużej sprzedawać gazet na rogu, drżąc z zimna, gdy przychodzi deszcz lub wiatr, i płaszczyć się przed tymi zwariowanymi starymi babami pracującymi u Bildera. Nie muszę już zachowywać się jak umarły i iść ze szczęścia do nieba, kiedy jakiś jełop da mi pięć centów napiwku.

Drgnąłem, słysząc ostatnie słowa, ale w końcu o co chodziło – nie byłem pięciocentowym człowiekiem. Rano i wieczorem zostawiałem Peorii po siedem centów. Chyba że akurat znajdowałem się w takiej kondycji finansowej, iż nie mogłem sobie na to pozwolić, ale w moim fachu sporadyczne okresy posuchy zależały od terenu, w jakim akurat pracowałem.

– Może przejdziemy się do „Blondie's” na kawę – zaproponowałem. – Tam sobie o wszystkim pogadamy.

– Nie da rady. Zamknięty.

– „Blondie's”? Co ty wygadujesz?

Ale Peoria nie zawracał sobie głowy tak przyziemnymi sprawami jak kawiar-

nia.

– Nie słyszał pan jeszcze najlepszej nowiny, panie Umney! Mój wuj Fred zna lekarza we Frisco, specjalistę, który sądzi, że może zrobić coś z moimi oczami.

– Odwrócił głowę w moją stronę. Pod maską chytrości i zbyt cienkim nosem drżały mu usta.

– Ten doktor twierdzi, że to wcale nie musi być uszkodzenie nerwu wzrokowego, a w takim razie operacja... Nie znam się na sprawach technicznych, ale znów będę widział, panie Umney!

– Sięgnął w moją stronę na ślepo... cóż, oczywiście, że na ślepo.

Jakże inaczej mógł? – Znów będę widział.

Chwycił mnie, a ja ująłem jego dłonie, szybko uściśnąłem, po czym delikatnie odsunąłem je od siebie. Miał na palcach ślady atramentu i ucieszyłem się, że gdy się ubierałem, wybrałem garnitur z ciemnej wełny. Był wprawdzie zbyt ciepły jak na letnie upały, ale teraz w mieście wszystkie domy są klimatyzowane, a ponadto z natury jestem odporny na gorąco.

A zresztą w tej chwili wcale nie było mi chłodno. Peoria odwrócił głowę w moją stronę, a na jego twarzy malowała się rozpacz. Delikatny wiatr – niosący zapach oleandru i spalin – burzył mu włosy, a ja nagle uświadomiłem sobie, że dzieciak nie ma na głowie swej tweedowej czapki. Wyglądał bez niej tak jak coś goło. Jasne, każdy gazeciarz powinien nosić tweedową czapkę, podobnie jak pucybut nakrycie głowy z odwróconym do tyłu daszkiem.

– O co chodzi, panie Umney? Myślałem, że się pan ucieszy. Chryste, wcale nie musiałem już dziś przychodzić na ten wszawy róg, ale, wie pan, przyszedłem; pojawiłem się nawet wcześniej, ponieważ wyczułem, że pan również pojawi się wcześniej. Myślałem, że uraduje pana wieść, że moja mama wygrała na loterii i mam szansę na operację. Ale pan wcale nie jest z tego zadowolony. – Głos zadrżał mu z urazy i żalu. – Nie jest.

– Ależ jestem – odparłem i naprawdę chciałem się cieszyć, przynajmniej jakaś część mnie chciała, ale cały szkopuł tkwił w tym, że chłopak generalnie miał rację.

Widzicie, to oznaczało, że wszystko się zmieni, a nic nie powinno się zmie-

niać. Peoria Smith powinien być tutaj, na początku roku i pod koniec, w tej swojej czapeczce przesuniętej w upalne dni na tył głowy i naciągniętej głęboko na oczy, kiedy pada deszcz, tak żeby krople wody spływały z daszka kaszkietu i nie ciekły mu do oczu. Powinien zawsze się uśmiechać, nie powinien nigdy używać słów „do diabła” i „cholernie”, a przede wszystkim na zawsze powinien zostać niewidomy.

– Wcale się pan nie cieszy – powiedział chłopiec i zrobił coś, co mną wstrząsnęło.

Pchnął z całych sił swój składany stolik, który przewrócił się na chodnik. Wokół pofrunęły gazety. Biała laska potoczyła się do rynsztoku. Peoria usłyszał to i pochylił się, żeby ją namacać i podnieść. Widziałem, że spod ciemnych okularów płyną mu łzy, ściekając po bladych, kościstych policzkach. Zaczął macać w poszukiwaniu laski, ale ona upadła tuż obok moich nóg i chłopiec szukał jej w złym miejscu. Poczułem nagle straszną ochotę wymierzyć szczeniakowi kopniaka w tyłek.

Ale zamiast tego pochyliłem się, podniosłem laskę i lekko poklepałem jej końcem Peorię w biodro.

Peoria odwrócił się, błyskawicznie jak wąż, i chwycił laskę. Dostrzegłem zdjęcia Hitlera i zmarłego tancerza kubańskiego rozrzucone po całym Sunset Boulevard. Zmierzający do VanNess autobus przejechał po nich niczym po cienkich, białych zaspach, zostawiając za sobą smugę spalin. Nie podobał mi się widok tych porozrzucanych, trzepoczących na lekkim wietrze gazet. Były pobrudzone. Były nie na miejscu. Kompletnie i okropnie nie na miejscu. I znów poczułem straszną chęć, równie silną jak przed chwilą, żeby chwycić Peorię i nim potrząsnąć. Powiedzieć mu, że przez cały ranek będzie zbierał te gazety, że nie puszcze go do domu tak długo, dopóki nie podniesie ostatniej.

Dotarło do mnie, że jeszcze niecałe dziesięć minut temu sądziłem, iż jest to cudowny poranek w Los Angeles – tak idealny, że zasługiwał na znaczek firmowy. Faktycznie było tak, do ciężkiej cholery. Gdzież więc podział się ten wspałały nastrój? I jak mógł minąć tak szybko?

Nie przyszło mi do głowy żadne wytłumaczenie. Jedynie jakiś irracjonalny,

ale potężny głos mówił we mnie, że matka Peorii nie mogła wygrać na loterii, dzieciak nie może przestać sprzedawać gazet, a przede wszystkim nie może odzyskać wzroku. Peoria Smith powinien pozostać już do końca życia ślepy.

Cóż, będzie to wyłącznie eksperyment – pomyślałem. – Nawet jeśli doktor z Frisco nie jest szarlatanem, a prawdopodobnie jest, operacja i tak się nie uda.

Ta myśl, choć może zabrzmiała to dziwacznie, uspokoiła mnie.

– Posłuchaj – powiedziałem. – Obaj wstaliśmy dzisiaj lewą nogą. Musimy się pogodzić. Chodźmy teraz do „Blondie’s”, zafunduję ci śniadanie. Co ty na to, Peoria? Zjesz jajka na bekonie i opowiesz mi wszystko o...

– Pieprz się! – krzyknął takim głosem, że po krzyżu przeszedł mi zimny dreszcz. – Pieprz się ze swoją kobyłą, na której jeździsz, ty szpiclu! Myślisz, że niewidomi nie potrafią poznać, gdy tacy jak ty łżą w żywe oczy? Pieprz się! I trzymaj swoje łapy z daleka ode mnie! Jesteś glistą!

To było to. Nikt nie śmiał nazwać mnie glistą, a potem bezkarnie odejść, nawet ślepy gazeciarz. W jednej chwili zapomniałem o tym, że Peoria uratował mi życie, kiedy prowadziłem sprawę Mavis Weld. Wyciągnąłem rękę, żeby wyszarpnąć laskę i przyłożyć mu kilka razy w tyłek.

Zanim jednak zdążyłem uczynić ruch, Peoria rzucił się w moją stronę i wyrzucił mnie końcem laski w dolne partie brzucha; w pierwszej chwili pomyślałem nawet, że niżej. Zgiąłem się wpół z bólu i mimo że z najwyższym trudem powstrzymywałem krzyk, dziękowałem losowi. Pięć centymetrów niżej i mógłbym zmienić zawód, zatrudniając się jako sopran w Pałacu Dożów.

Odruchowo wyciągnąłem rękę, żeby chwycić Peorię, ale on przyrzucił mi z kolei laską w kark. Bardzo mocno. Laska się nie złamała, choć usłyszałem, jak trzaska gdzieś w środku. Doszedłem do wniosku, że powinienem jednak wyrwać mu ten kij, a potem zdrowo przyłożyć w ucho. Pokazałbym mu, kto tu jest glistą.

Odwrócił się ode mnie, jakby odczytał moje myśli, i cisnął laskę na środek jezdni.

– Peoria... – zacząłem. Może nie było jeszcze za późno, żeby złapać zdrowy rozsądek za poły kapoty? – Peoria, co się, do diabła, dzieje...

– I nie nazywaj mnie tak! – wrzasnął dzieciak. – Nazywam się Francis! Frank! To ty zacząłeś mówić na mnie Peoria! To ty zacząłeś i teraz wszyscy tak na mnie wołają. A ja tego nie znoszę!

Załamionymi oczyma widziałem podwójnie jego sylwetkę, kiedy niepomny na ruch uliczny biegł przez jezdnię (na szczęście w tej chwili nie przejeżdżał żaden samochód) z wyciągniętymi przed siebie rękami. Pomyślałem, że potknie się o krawężnik po przeciwnej stronie i upadnie – tak naprawdę, to byłem najświęciej przekonany, iż tak się właśnie stanie – ale podejrzewam, że niewidomi mają w głowach jakieś doskonałe mapy odwzorowań topograficznych. Zwinnie niczym kozica przeskoczył krawężnik, a potem odwrócił twarz w ciemnych okularach w moją stronę. Po policzkach płynęły strumienie łez, na twarzy widniał wyraz dziwnego, pełnego szaleństwa triumfu, czarne szkła zaś jeszcze bardziej przypominały wyborowane w głowie czarne dziury. Ogromne, jakby ktoś strzelił do niego dwoma wielkokalibrowymi pociskami.

– „Blondie’s” nie ma, mówiłem ci! – wrzasnął. – Mama twierdzi, że właściciel zamknął interes i wyjechał z tą rudowłosą flama, którą zatrudnił przed miesiącem. Ciesz się, ty ciulu!

Odwrócił się i pobiegł Sunset w ten swój dziwaczny sposób, z wyciągniętymi przed siebie ramionami i rozcapierzonymi palcami. Po obu stronach stały grupki przechodniów, którzy obserwowali Peorię, obserwowali poniewierające się na ulicy gazety, obserwowali mnie.

Odnosiłem wrażenie, że głównie obserwowali mnie.

Peoria – zgoda, Francis – który dotarł już do „Derringer’s Bar”, odwrócił się ponownie w moją stronę i wrzasnął po raz ostatni pod moim adresem:

– Pieprz się, panie Umney!

Po czym odwrócił się i pobiegł przed siebie.

II. Kaszel Vernona

Wyprostowałem się i przeszedłem ulicę. Peoria, inaczej Francis Smith, dawno już zniknął mi z oczu, a ja chciałem zostawić za sobą porozrzucane gazety. Ich widok sprawiał mi większy ból niż stłuczone krocze.

Po drugiej stronie przystanąłem przed sklepem papierniczym Felta i zacząłem gapić się na wystawiony w witrynie nowy typ długopisu Parkera, jakby była to najbardziej fascynująca rzecz, jaką spotkałem w życiu (a może gapiłem się na oprawione w imitację skóry notesy o bardzo erotycznym wyglądzie?). Po upływie jakichś pięciu minut – wystarczający czas, żeby zakonotować w pamięci wszystkie wystawione w zakurzonej witrynie przedmioty – byłem w stanie bez szczególnie widocznego przechyłu na lewą burtę podjąć przerwana wędrowkę w górę Sunset.

Pod czaszką krążyły mi pytania niczym natrętne komary wokół głowy w restauracji dla zmotoryzowanych w San Pedro, gdy człowiek zapomni zabrać ze sobą lep na muchy. Większość z tych pytań potrafiłem zignorować, ale dwa nie dawały mi spokoju. Pierwsze: co wstąpiło w Peorię? I drugie: co wstąpiło we mnie? Borykałem się z tym problemem aż do chwili, gdy dotarłem do „»Blondie’s«, Otwarte 24 godziny, Skosztuj Naszych Obwarzanków” na rogu Sunset i Tavernii. Tam zaczęło mnie dręczyć kolejne pytanie. Odkąd sięgałem pamięcią, „Blondie’s” zawsze znajdował się na tym rogu. Pojawiali się w nim i znikali wszelkiego autoramentu cwaniacy, prostytutki, kryminaliści, dziwacy, narkomani, nie wspominając już o pedałach i lesbijkach. Pewnego dnia aresztowano tu mordercę słynnego gwiazdora kina niemego, kiedy wychodził z lokalu. Ja osobiście również zakończyłem tam nie tak dawno paskudną sprawę, zabijając naćpanego kokainą modnisia nazwiskiem Dunninger, który po przyjęciu narkotycznym w Hollywood zamordował trzech innych narkomanów. Tam również rozstałem się ze srebrnowłosą, fiołkowooką Ardis McGill. Resztę tej okropnej nocy spędziłem, włączając się w rzadkiej mgiełce Los Angeles, która mogła brać się wyłącznie z mych załzawionych oczu... i ocierając mokre policzki, gdy już wzeszło słońce.

„Blondie’s” zamknięty? „Blondie’s” już nie istnieje? To niemożliwe... to tak, jakby nagle Statua Wolności zniknęła ze swej wyniosłej skały na nabrzeżu Nowego Jorku.

Nieprawdopodobne, ale prawdziwe. Witryna, gdzie zawsze widniały specjały, na których widok ciekła do ust ślinka, została niezbyt dokładnie zamalowana

wapnem tak, że za szybą mogłem dostrzec prawie puste pomieszczenie. Lino-
leum było brudne i pomarszczone, pociemniałe od tłuszczu ramiona wiatraków
pod sufitem zwisały niczym śmigła rozbitych samolotów. Zostało kilka stolików
oraz z sześć czy osiem tak dobrze mi znanych, obitych na czerwono krzeseł,
ustawionych na blatach tych stolików do góry nogami. I to wszystko... oprócz
dwóch ciśniętych w kąt cukiernic.

Stałem przed witryną i starałem się jakoś sobie wszystko poukładać w gło-
wie, lecz bardziej przypominało to transport wielkiej kanapy po wąskich, krę-
tych schodach. Całe przepelniające to miejsce życie, panujący tu zgiełk, cała ta
trwająca okrągłą noc krzątania i rwetes, wszystkie niespodzianki... jakże to
mogło odejść w niepamięć? To nie wyglądało na pomyłkę, to zakrawało na
błuznierstwo. Dla mnie „Blondie’s” stanowił olśniewającą sprzeczność, negację
mrocznego, pozbawionego z natury wszelkich uczuć serca Los Angeles. Czasami
w moim odczuciu „Blondie’s” stawał się pomniejszoną repliką całego Los Ange-
les. Gdzie indziej człowiek mógł spotkać o dziewiątej rano gangstera jedzącego
śniadanie w towarzystwie księdza albo przystrojoną diamentami, przepiękną
kobietę siedzącą na barowym stołku obok ubrudzonego smarami mechanika,
celebrującego filiżanką kawy koniec pracy na nocnej zmianie? Nagle z dużo
większą sympatią pomyślałem o kubańskim baletmistrzu i jego zawale serca.

Całe to bajkowe, olśniewające życie Miasta Upadłych Aniołów³¹ – kapujesz
to, koleś? Kapujesz, o co chodzi?

Na drzwiach wisiała wprawdzie kartka z napisem: REMON – NIEDŁUGO
ZNÓW OTWIERAMY, ale nie wierzyłem w to zapewnienie. Moim zdaniem pu-
ste cukiernice leżące w kącie nie zapowiadały remontu. Peoria miał rację:
„Blondie’s” przeszedł do historii. Odwróciłem się i ruszyłem powoli ulicą. Cały
czas musiałem się pilnować, żeby trzymać głowę wysoko. Kiedy podchodziłem
już do Fulwider Building, gdzie wynajmowałem biuro od tak dawna, że nie lu-
bię o tym myśleć, ogarnęła mnie osobliwa pewność. Gałki podwójnych drzwi
zastanę obwiązane spiętym kłódką łańcuchem, szyby zamalowane niedbale
wapnem, a na szkle widnieć będzie napis: REMONT – NIEDŁUGO ZNÓW
OTWIERAMY.

Myśl ta zawładnęła mną z taką mocą i tak całkowicie, że nawet widok wchodzącego do budynku Billa Tuggle'a, zapijaczono licencjonowanego księgowego z trzeciego piętra, nie od razu rozwiął moje wątpliwości. Ale jak to się ma, zobaczyć to uwierzyć, i gdy już dotarłem do drzwi oznaczonych numerem dwa tysiące dwieście dwadzieścia jeden, nie dostrzegłem żadnego łańcucha, żadnych napisów czy zamalowanych wapnem szyb. Był to po prostu Fulwider, taki sam jak zawsze. Wszedłem do głównego holu. Przywitał mnie widok tych samych palm zwieszających się nad wyłożoną czerwonymi kafelkami posadzką, a w nozdrza uderzył znajomy zapach, przypominający woń różowych kostek wkładanych w tamtych czasach do pisuarów w szaletach.

Bill stał obok Vernona Kleina, najstarszego na świecie operatora windy, obsługującego szyb numer dwa. W postrzępionym, czerwonym uniformie i w staroświeckiej, okrągłej, sztywnej czapeczce bez daszka Vernon wyglądał jak skrzyżowanie gońca hotelowego z Philip Morrisa i rezusa, przepuszczonego przez przemysłową pralkę parową. Windziarz łypnął na mnie ponuro wzrokiem baseta. Oczy łzawiły mu od dymu camela, który tkwił między wargami pośrodku ust. Jego oczy powinny były już przed laty przyzwyczać się do dymu; nie pamiętam, żebym kiedykolwiek widział Vernona bez camela, którego palił dokładnie tak samo.

Bill troszeczkę się cofnął, ale nie za daleko. W kabinie było wystarczająco dużo miejsca, żeby mógł wsunąć się głębiej, lecz nie sądzę, by w całym Rhode Island starczyło mu miejsca, żeby cofnąć się wystarczająco. Może w Delaware? Śmierdział jak kiełbasa bologna marynowana latami w tanim bourbonie. I kiedy już myślałem, że nie może mnie spotkać nic gorszego, on czknął.

– Przepraszam, Clyde.

– Też uważam, że masz za co przeproszać – odparłem, wachlując się otwartą dłonią, podczas gdy Vernon zamykał drzwi, żeby zawieźć nas na księżyc... a przynajmniej na siódme piętro.

– Bill, w jakim kanale spędziłeś dzisiejszą noc?

Niemniej w bijącym od niego smrodzie znalazłem coś kojącego; skłamałbym twierdząc, że jest inaczej. Był to znajomy zapach. Był to Bill Tuggle. Cuchnący,

stojący w windzie na lekko ugiętych kolanach, jakby ktoś wrzucił mu w gacie porcję sałatki z kurczaka, a on właśnie to poczuł. Nie było to wcale miłe. Poranne jazdy windą nigdy nie były miłe, ale przynajmniej były znajome.

Bill przesłał mi krzywy uśmiezek, nie odezwał się jednak ani słowem. Winda z klekotem zaczęła swą podróż w górę.

Odwróciłem głowę w kierunku Vernona, głównie po to, żeby uniknąć bijącego od księgowego odoru, ale choć zamierzałem zagadnąć coś do windziarza, wszelkie słowa uwięzły mi w gardle. Dwa obrazki, które od narodzin czasu wisiały nad jego taboretami, zniknęły. Na jednym widniał Jezus spacerujący po Morzu Galilejskim i jego uczniowie, zgromadzeni na łodzi, gapiący się na mistrza. Drugi obrazek, a właściwie fotografia, przedstawiał żonę Verna w stroju z cielej skóry ozdobionym suto frędzlami, jaki wkłada się na rodeo. Wyglądała w nim jak typowa ślicznotka z prowincji. Obrazek, który zastąpił dwa poprzednie, nie powinien był nikogo dziwić, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę wiek windziarza. Lecz widok ten podziałał na mnie jak spadająca na łeb barka rzeczna wyładowana cegłami.

Była to pocztówka. Zwykła pocztówka przedstawiająca sylwetkę mężczyzny łowiącego ryby o zachodzie słońca. Ale to widniejący pod kanoe podpis sprawił, że ugięły się pode mną kolana: SZCZĘŚLIWEJ EMERYTURY!

Ogarnęło mnie takie samo uczucie jak w chwili, gdy Peoria powiedział, że odzyska wzrok. Przez głowę z szybkością kart przesiewanych między palcami zawodowego gracza na wytwornym rzeczonym parostatku zaczęły mi przelatywać wspomnienia. To Vernon wdarł się do sąsiedniego biura, żeby zadzwonić po ambulans, gdy ta zwariowana baba, Agnes Sternwood, najpierw wyrwała ze ściany przewody mego telefonu, a następnie połknęła środek do czyszczenia rur kanalizacyjnych. „Środek do czyszczenia rur kanalizacyjnych” okazał się gruboziarnistym cukrem, a biuro, do którego włamał się Vernon, wysokiej klasy biurom bukmacherskim do przyjmowania zakładów na wyścigi konne. Z tego, co się orientuję, facio, który wynajął to pomieszczenie biurowe i przybił na nim tabliczkę z napisem „MacKenzie Imports”, siedzi teraz w San Quentin, ale ciągle dostaje tam katalogi wysyłkowe Sears Roebuck. Był też facet, którego Vern

uciszył swoim taboretom, zanim tamten zdążył przewentylować mi flaki. No i oczywiście ponownie sprawa Mavis Weld. Nie wspominając już o tym, jak przyprowadził do mnie swoją córkę – ależ to była dziewczyna – która uwikłała się w aferę ze świńskimi zdjęciami.

Vern przechodzi na emeryturę.

To niemożliwe. To być nie może.

– Vernon, czy to jakiś żart? – zapytałem.

– Żaden żart, panie Umney – odparł, zatrzymał windę na trzecim piętrze, po czym wstrząsnął nim taki kaszel, jakiego przez wszystkie te lata u niego nie słyszałem.

Brzmiało to tak, jakby wyłożoną brukiem aleją toczyły się marmurowe kule do kręgli. Wyjął z ust camela, a ja z przerażeniem ujrzałem, że końcówka papierosa jest różowa; i nie były to bynajmniej ślady szminki. Spoglądał przez chwilę na koniec papierosa, skrzywił się, włożył go z powrotem do ust, po czym odsunął harmonijkową kratę.

– Cze...cie, panie Tuggle – wychrypiał.

– Dzięki, Vern – powiedział Bill.

– Proszę nie zapomnieć o przyjęciu w piątek – przypomniał stłumionym głosem Vernon. Wyciągnął z tylnej kieszeni popstrzoną brązowymi plamami chusteczkę i otarł nią usta.

– Będzie mi bardzo miło, jeśli pan przyjdzie. – Popatrzył na mnie kaprawymi oczyma i to, co w nich zobaczyłem, wystraszyło mnie śmiertelnie. Za najbliższym zakrętem drogi coś już czekało na Vernona Kleina, a wyraz jego oczu powiedział mi, że on dobrze wie, co to takiego. – Pana też to dotyczy, panie Umney... spędziliśmy tutaj razem kupę czasu i korci mnie, żeby sobie strzelić z panem po jednym.

– Chwileczkę! – krzyknąłem, chwytając za ramię Billa, który właśnie wychodził z windy. – Zaczekaj moment; obaj zaczekajcie! Jakie przyjęcie? Co tu się dzieje?

– Emerytura – wyjaśnił Bill. – Tak przeważnie bywa, gdy człowiekowi kompletnie już posiwieją włosy. Mówię to na wypadek, gdybyś był zbyt zajęty, żeby

to zauważyć. W podziemiach, w piątek po południu, Vernon wydaje pożegnalne przyjęcie. Wybierają się na nie wszyscy pracujący w tym budynku, a ja przygotowuję swój Dynamitowy Poncz. Co z tobą, Clyde? Przecież już od miesiąca wiesz, że Vernon ma pracować tylko do trzydziestego maja.

Poczułem gniew, taki sam jak wtedy, gdy Peoria nazwał mnie glistą. Chwyciłem Billa za ramię jego wywatowanej, dwurzędowej marynarki i potrząsnąłem.

– O czym ty gadasz?

Przesłał mi nikły, smutny uśmiech.

– O niczym, Clyde. Jeśli nie chcesz przyjść, w porządku. Nie przychodź. Tak czy owak, przez ostatnich sześć miesięcy zachowujesz się jak huju-muju.

Ponownie nim potrząsnąłem.

– Jakie znów huju-muju?

– Miotasz się jak jeleń w rui, świrujesz jak mała, dwoma kołami jedziesz po poboczu, grasz niepełną talią kart... czy to ci coś mówi? Ale zanim mi odpowiesz, pozwól, że cię poinformuję, iż jeśli jeszcze raz mną potrząśniesz, nawet leciutko, wyrzgam się na ciebie, i to tak, że żadna pralnia nie poradzi sobie z twoim garniturkiem.

Nie zdążyłbym nim potrząsnąć, nawet gdybym miał na to ochotę, ponieważ wyrwał mi się i ruszył korytarzem. Krok jego spodni, jak zwykle, znajdował się mniej więcej na wysokości kolan. Obejrzał się przez ramię akurat w chwili, gdy Vernon zasuwiał miedziane drzwi windy.

– Przydałoby ci się trochę urlopu, Clyde! – zawołał. – I to od zeszłego tygodnia poczynając!

– Co cię napadło? – krzyknąłem za nim. – Co was wszystkich napadło?

Ale wtedy wewnętrzne drzwi windy zamknęły się i kabina ruszyła do góry; tym razem na siódme piętro. Do mego skrawka nieba. Vern wrzucił niedopałek papierosa do stojącego w kącie windy kubelka z piaskiem i natychmiast wsunął do ust następnego camela. Wyjął zapalniczkę, zapalił ją o paznokcie kciuka, odpalił papierosa, po czym natychmiast znów zaniósł się kaszlem. Tym razem dostrzegłem drobniutkie kropelczki krwi, które wydostały się z jego lekko rozchylnych warg. Był to bardzo posępny widok. Vernon skierował pusty wzrok w kąt

windy; nic tam nie widział; niczego się tam nie spodziewał zobaczyć. Smród ciała Billa Tuggle'a wisiał między nami niczym Upiór Minionych Czasów.

– W porządku, Vern – powiedziałem. – O co chodzi i dokąd się wybierasz?

Vernon nigdy nie nadużywał języka angielskiego i przynajmniej to nie uległo zmianie.

– Rak – wyjaśnił. – W sobotę jadę liniami Dessert Blossom. Do Arizony. Zamieszkać u mojej siostry. Nie nadużyję zbyt długo jej gościny. Zapewne zdąży mi ze dwa razy zmienić pościel.

– Winda stanęła i Vernon otworzył drzwi, które rozsunęły się ze zgrzytem. – Siódme, panie Umney. Pański kawałeczek nieba.

Uśmiechnął się tak, jak robił to zawsze. Ale tym razem był to uśmiech, w jakim krzywią się cukrowe trupie czaszki w Tijuana na Zaduszki.

Drzwi windy otworzyły się na oścież. W swoim kawałeczku nieba natychmiast wyczułem osobliwy zapach, jakiego nigdy tam nie było. Po chwili dopiero zorientowałem się, że to zapach świeżej farby. Gdy tylko rozpoznałem woń, przestałem o niej myśleć. Miałem coś innego na głowie.

– To nie w porządku – oświadczyłem. – Wiesz o tym, że nie jest to w porządku, Vern.

Przeniósł na mnie ten swój przerażająco pusty wzrok. Była w nim śmierć; tuż pod wyblakłym błękitem źrenic trzepotał się i drżał mroczny cień.

– Co jest nie w porządku, panie Umney?

– Do licha, tutaj jest twoje miejsce! Dokładnie tutaj! Na tym taborecie, pod obrazkiem z Jezusem i fotografią twojej żony. Nie pod tym!

Wyciągnąłem rękę, zerwałem pocztówkę przedstawiającą mężczyznę łowiącego w jeziorze ryby, przedarłem ją na pół, następnie połówkę złożyłem, rozdarłem je jeszcze na pół, a potem wypuściłem z dłoni. Spłynęły niczym konfetti na spłowieały dywan, którym wyłożona była podłoga windy.

– Moje miejsce zapewne jest tutaj – zgodził się Vernon, nie spuszczać ze mnie ani na chwilę straszliwego wzroku.

Z korytarza popatrzyło na nas dwóch mężczyzn w pochlapanych farbą kombinizonach.

– No właśnie.

– Ale na jak długo, panie Umney? Ponieważ pan wie wszystko, to proszę mnie oświecić. Jak długo obsługiwałbym jeszcze tę przeklętą windę?

– Cóż... zawsze – odparłem i słowa te zawisły między nami jak kolejny upiór w tej wypełnionej papierosowym dymem windzie. Gdybym miał do wyboru upiory, podejrzewam, że wybrałbym smród niemytego ciała Billa Tuggle’a... ale nie miałem wyboru. Powtórzyłem więc tylko: – Zawsze, Vern.

Zaciągnął się camelem, wykaszał z siebie dym i najdelikatniejsze drobinki krwi, ale nie spuszczał ze mnie oczu.

– Panie Umney, nie moją rzeczą jest dawanie pracującym tu ludziom rad, ale panu dam; ostatecznie to mój ostatni tydzień w robocie. Powinien pan rozważyć pomysł pójścia do lekarza. Takiego, co to pokazuje panu plamy z atramentu, a pan mu mówi, co pan w nich widzi.

– Nie możesz iść na emeryturę, Vern. – Serce biło mi mocniej niż zwykle, ale mówiłem normalnym tonem. – Po prostu, nie możesz.

– Nie? – Wyjął z ust papierosa, którego koniuszek znów zabarwiony był krwią, i popatrzył na mnie. – Na moje oko nie mam wielkiego wyboru, panie Umney – powiedział z upiornym uśmiechem.

III. O malarzach i pesos

Zapach świeżej farby uderzył mnie w nozdrza, tłumiąc zapach papierosów Vernona i potu spod pach Billa Tuggle’a. Mężczyźni w kombinezonach pracowali teraz niedaleko drzwi wiodących do mego biura. Podłogę dokładnie zakryto brezentem, na którym poniewierały się narzędzia pracy – puszki z farbą, pędzle, pojemniki z terpentyną. Dostrzec też było można dwa drewniane podwyższenia o dwóch stopniach otaczające malarzy niczym podpórki na książki. Zapragnąłem nagle ruszyć w ich stronę, kopniakami poroztrącać narzędzia, a samych malarzy rozpędzić na cztery wiatry. Czyż mieli prawo pokryć te pociemniałe ściany lśniąca, świętokradczą bielą?

Zamiast tego podszedłem do jednego z robotników, którego poziom IQ wyrażałby się zapewne liczbą dwucyfrową, i uprzejmie zapytałem, czy on i jego tępy

koleżka zastanowili się, co robią. Malarz popatrzył na mnie.

– A jak pan myślisz? Ja pokazuję Miss Ameryki pośliniony palec, a ten tam Chick robi na czerwono tyłek Betty Grable.

Miałem dosyć. Dosyć ich, dosyć wszystkiego. Chwyciłem mądralę pod pachę i nacisnąłem jeden ze szczególnie parszywych nerwów, które się tam znajdują. Malarz wrzasnął i upuścił pędzel. Biała farba poląła się mu na buty. Jego kolega rzucił na mnie bojaźliwe, sarnie spojrzenie i cofnął się.

– Jeśli zamierzasz stąd zwiać, zanim z wami skończę – warknąłem – to tak głęboko wsadzę ci w dupsko rączkę od pędzla, że będziesz potrzebował bosaka, żeby dosięgnąć do jego włosia. Chcesz spróbować i zobaczyć, czy kłamię?

Zamarł, stał bez ruchu na skraju rozłożonego na podłodze brezentu i strzelał oczyma, jakby szukał pomocy. Ale nikogo nie było. Spodziewałem się, że z drzwi mego biura wyjrzy Candy, żeby sprawdzić, co to za awantura wybuchła na korytarzu. Ale drzwi pozostawały zamknięte. Skupiłem uwagę na dowcipni-siu, któremu ciągle jeszcze trzymałem dłoń pod pachą.

– Pytanie chyba było jasne, koleś: co tu robicie? Odpowiedz mi, czy mam cię jeszcze podrajcować?

Znów wykonałem obrót palcami i znów malarz wrzasnął.

– Malujemy korytarz! Jezu, nie widzisz pan?

Widziałem, a nawet gdybym był ślepy, tobym poczuł. Nie podobało mi się to, co mi oba odpowiedzialne za to zmysły mówiły. Korytarz nie powinien być malowany; a już na pewno nie taką lśniącą bielą. Powinien pozostać mroczny i ciemny, powinno w nim pachnieć kurzem i wspomnieniami. Cokolwiek zaczęło się od Demmicków, niezwyčajna cisza stawała się coraz gorsza. Byłem wściekły jak wszyscy diabli, zresztą ów nieszczęsny facet odczuł to na własnej skórze. Byłem również wystraszony, ale ktoś taki jak ja, ktoś, kto chcąc przeżyć, nosi w kaburze pod pachą kopyto, potrafi to dobrze skrywać.

– A kto was tutaj, patałachy, przysłał?

– Nasz szef – oświadczył malarz, spoglądając na mnie jak na człowieka niepełna rozumu. – Pracujemy w firmie Challis Custom Painters na Van Nuys. Szef nazywa się Hap Corrigan. Jeśli chcesz pan wiedzieć, kto wynajął naszą fir-

mę, powinieneś pan za...

– Właściciel – wtrącił cicho drugi malarz. – Właściciel tego budynku. Facet nazywa się Samuel Landry.

Pogrzebałem w pamięci, próbując połączyć imię i nazwisko Samuela Landry'ego z biurowcem Fulwider Building, ale nie udało mi się ta sztuka. Tak naprawdę Samuel Landry nie kojarzył mi się z niczym... mimo to owo imię i nazwisko dźwięczało mi pod czaszką niczym kościelny dzwon, jaki można usłyszeć z oddali w mglisty poranek.

– Kłamiesz – burknąłem, ale bez przekonania. Odezwałem się, żeby powiedzieć cokolwiek.

– Niech pan zadzwoni do szefa – poradził drugi malarz.

Wygląd zewnętrzny często bywa mylący, ale ten facet najwyraźniej był bardziej rozgarnięty z tej dwójki. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni brudnego, pochłapanego farbą kombinezonu i wyjął niewielką wizytówkę.

Ogarnęło mnie nagłe znużenie i machnąłem tylko obojętnie ręką.

– Kto, na Boga, chciałby malować takie miejsce?

Pytania wcale nie kierowałem do nich, ale malarz, który wyciągnął z zana-drza wizytówkę, odpowiedział.

– Cóż, będzie tu dużo jaśniej – odparł ostrożnie. – Sam musi pan to przyznać.

– Synu, czy twoja matka ma jakieś dzieciaki, które przeżyły, czy tylko wydała od czasu do czasu takie łożyska płodowe jak ty? – zapytałem.

– Zaraz, zaraz – powiedział, cofając się o krok. Powędrowałem za jego pełnym niepokojem spojrzeniem skierowanym na moje zaciśnięte pięści i siłą woli rozprostowałem palce. Nie wyglądało na to, żeby gest ten go uspokoił, ale wcale mu się nie dziwiłem. – Nie podoba się panu nasza robota... przychodzi pan tu i robi nam straszną awanturę. Ale ja z kolei robię to, co każe mi mój szef, prawda? W Ameryce wszyscy tak robią.

Zerknął na swego kolegę, a następnie znów przeniósł wzrok na mnie. Było to bardzo ukradkowe zerknięcie, ale w moim zawodzie zetknąłem się z nim już nieraz i dobrze wiedziałem, co ono oznacza: „Nie denerwuj tego typu – mówiło owo spojrzenie.

– Nie sprzeciwiaj się, nie wyklócaj się z nim. To świrus!”.

– Rozumie pan, mam żonę i małe dziecko, o których muszę dbać – ciągnął. – Wie pan, Wielki Kryzys.

Zmieszałem się. Zmieszanie ugasiło mój gniew, jak ulewa gasi niewielkie ognisko. Naprawdę nadchodził Wielki Kryzys? Naprawdę?

– Wiem – odparłem, nic już nie wiedząc. – Zapomnijmy o całej sprawie, dobra?

– Jasne – zgodzili się malarze tak skwapliwie, jakby stanowili połowę kwartetu wokalnego.

Ten, którego niewłaściwie oceniłem jako półgłówka, wsunął lewą dłoń pod prawą pachę i zaczął się masować, próbując ukoić ból. Mogłem mu powiedzieć, że czeka go jeszcze godzina takiego masowania, może i dłużej, ale nie chciało mi się otwierać ust. Nie chciało mi się z nikim rozmawiać ani nikogo widzieć; nawet rozkosznej Candy Kane, której wilgotne jak u łani oczy oraz wspaniałe, tropikalne kształty sprawiały, że nawet zahartowanym, ulicznym awanturnikom miękły na jej widok kolana. Jedyłą rzeczą, jakiej pragnąłem, to przejść przez sekretariat i zaszyć się w zaciszu mego gabinetu. W dolnej lewej szufladzie biurka miałem butelkę robb's rye; koniecznie musiałem wziąć tęgiego łyka.

Ruszyłem w stronę drzwi z matowym szkłem, na którym widniał napis: CLYDE UMNEY, PRYWATNY DETEKTYW. Znów naszła mnie ochota, żeby kopniakiem wyrzucić przez okno puszkę z farbą Dutch Boy Oyster White, a następnie czmychnąć wyjściem przeciwpożarowym. Sięgałem właśnie do gałki przy drzwiach, gdy przyszła mi do głowy pewna myśl. Odwróciłem się w stronę malarzy... ale powoli, tak żeby nie pomyśleli, że dostałem nowego napadu. Wiedziałem również, że gdybym odwrócił się zbyt szybko, dostrzegłbym szydercze spojrzenia robotników, którzy kręciliby palcami przy czołach – gest, który każdy zna aż za dobrze jeszcze ze szkolnych czasów.

Nie kręcili palcami, ale też nie spuszczaali ze mnie wzroku. Ten mniej rozgarnięty zmierzył wzrokiem odległość dzielącą go od drzwi opatrzonych napisem: SCHODY. Nagle naszła mnie ochota, żeby im wyjaśnić, że przy bliższym poznaniu wcale nie jestem takim wstrętnym typem. Tak naprawdę kilku klientów

oraz co najmniej jedna z moich byłych żon uważali mnie za bohatera. Ale trudno o samym sobie opowiadać tego rodzaju historie; a już na pewno nie takim dwóm głupkom jak ci malarze.

– Spokojnie – powiedziałem. – Nie zamierzam was ugryźć. Chcę tylko zadać jedno pytanie.

Trochę się rozluźnili. Ale tylko trochę.

– Pytaj pan – odezwał się Malarz Numer Dwa.

– Czy któryś z was grywał kiedykolwiek w totka w Tijuana?

– *La loteria*? – zapytał Numer Jeden.

– Twoja znajomość hiszpańskiego mnie zadziwia. Tak. *La loteria*.

Numer Jeden potrząsnął głową.

– Meksykańskie totki i meksykańskie burdele z dziwkami na telefon są tylko dla naiwniaków.

– A jak myślisz, dlaczego pytam? Nic przecież nie powiedziałem.

– Poza tym – ciągnął – możesz pan tam wygrać dziesięć albo dwadzieścia tysięcy pesos. Też mi interes! I to ma być forsa? Pięćdziesiąt dolców? Osiemdziesiąt?

„Moja mama wygrała na loterii w Tijuana – oświadczył Peoria, a ja już wtedy wiedziałem, że coś jest w tym nie w porządku. – Czterdzieści tysięcy dolców. Wczoraj po południu mój wujek Fred odebrał pieniądze. Przyniósł je do domu w skórzanej torbie przymocowanej do bagażnika jego Vinnie!”.

– Tak – odrzekłem. – Tak samo i ja myślałem. Zawsze tak wypłacają? W pesos?

Znów popatrzył na mnie, jakbym miał nierówno pod sufitem, ale natychmiast przypomniał sobie, że tak dokładnie jest, i przybrał miły wyraz twarzy.

– Cóż, pewnie. Wie pan, to meksykańska loteria. Trudno byłoby im wypłacać w dolarach.

– Racja – mruknąłem i oczyma duszy ujrzałem kościstą, pełną entuzjazmu twarz Peorii.

W uszach ponownie zadźwięczały mi jego słowa: „Były rozrzucone po całym łóżku mojej mamy! Czterdzieści cholernych tysięcy dolców!”.

Poza tym jak ślepy dzieciak mógł określić dokładnie sumę pieniędzy... a nawet to, czy to naprawdę pieniądze rozrzucone są na łóżku? Odpowiedź była prosta: nie mógł. Ale nawet ślepy gazeciarz powinien wiedzieć, że w *la loteria* wygrane wypłacane są w pesos, nie w dolarach, i nawet ślepy gazeciarz wiedziałby, że meksykańska sałata wartości czterdziestu tysięcy dolarów nie weszłaby do torby przytroczonej do bagażnika motocykla typu Vincent. Wujek Perorii potrzebowałby wywrotki z Los Angeles, żeby przewieźć taką kupę szmalu.

Chaos, chaos – nic, tylko czarne, skłębione tumany chaosu.

– Dzięki – powiedziałem i ruszyłem do biura.

Podejrzewam, że cała nasza trójka odczuła ulgę.

IV. Ostatni klient Umneya

– Candy, słoneczko. Nie chcę nikogo przyjmować ani odbierać żadnych tele...

Urwałem. Sekretariat był pusty. Stojące w rogu biurko Candy również prezentowało się nienaturalnie pusto. Tekturowa teczka, w której trzymała papiery do podpisania oraz dokumenty już załatwione, leżała w koszu na śmieci, a stojące zawsze na biurku fotografie Errola Flynna i Williama Powella zniknęły. Podobnie jak przybory do pisania. Niewielki niebieski taboret, skąd Candy, stenografując, miała zwyczaj prezentować mi swe olśniewające nogi, był niezajęty.

Wróciłem spojrzeniem do sterczącej z kosza na śmieci niczym dziób tonącego okrętu tekturowej teczki na dokumenty i na chwilę serce mi zamarło. Może ktoś tu przyszedł, przewrócił biuro do góry nogami, a następnie uprowadził Candy? Innymi słowy, mogła to być sprawa. W tym momencie chętnie podjąłbym się jakiegś, nawet jeśli miałoby to oznaczać, że bandzior w tej właśnie chwili wiąże Candy... i wyjątkowo pieczołowicie poprawia linkę na jej jędrnych, sterczących piersiach. Poczułem, że zaczynam wikłać się w jakąś pajęczynę.

Cały szkopuł tkwił jednak w tym, że pokój nie został wywrócony do góry nogami. Teczka na dokumenty tkwiła w koszu na śmieci, to fakt, ale nie było żadnych śladów walki. Tak naprawdę wszystko wskazywało na to, że...

Na biurku znajdowała się tylko jedna rzecz, położona dokładnie pośrodku bi-bularza. Biała koperta. Już na sam jej widok targnął mną niepokój. Nogi same poniosły mnie przez sekretariat. Sięgnąłem po kopertę. Nie zdziwiło mnie wca-le wypisane okrągłym pismem Candy moje nazwisko. Po prostu kolejna, pa-skudna część tego długiego, paskudnego poranka.

Rozerwałem kopertę i na dłoń wypadła mi niewielka kartka z notatnika.

Miły Clyde!

Dosyć już miałam twojego szamotania się i szyderstw. Jestem zmęczona twymi głupawymi, dziecinnymi dowcipami na temat mego imienia i nazwiska. Życie jest zbyt krótkie, żeby obłapiał mnie rozwiedziony detektyw w średnim wieku, mający na dodatek paskudny oddech. Clyde, masz swoje dobre strony, ale te złe zdecydowanie przeważają, szczególnie od czasu, gdy zaczęłeś nieustannie pić.

Wyświadczyć sobie tę uprzejmość i spoważnij.

Oddana Ci

Arlene Cain

PS: Wracam do matki w Idaho. Nie próbuj się ze mną kontaktować.

Trzymałem list jeszcze przez kilka chwil, spoglądając na niego z niedowierza-niem, a następnie wyrzuciłem go do kosza na śmieci. Kiedy kartka, kolebiąc się w powietrzu, leniwie spływała do pojemnika, przypomniało mi się jedno zda-nie: „Jestem zmęczona twoimi głupawymi, dziecinnymi dowcipami na temat mego imienia i nazwiska”. Ale czy wiedziałem, że nie nazywa się Candy Kane? Gdy list powoli spływał do kosza – co zdawało się trwać w nieskończoność – grzebałem w pamięci, bo musiałem sobie szczerze i uczciwie odpowiedzieć na to pytanie. Zawsze nazywała się Candy Kane, wiele razy żartowaliśmy na ten temat, a co z tego, że mieliśmy też za sobą kilka sprzeczek? Zawsze jej się to podobało. Nam obojgu.

Czy naprawdę jej się to podobało? – zapytał we mnie jakiś głos. – Naprawdę? A może to kolejna bajeczka, jaką raczyłem się przez te wszystkie lata?

Po kilku próbach stłumiłem ten mówiący mi pod czaszką głos, ale zastąpił go inny, jeszcze gorszy. Głos należący do samego Peorii Smitha. „Nie muszę już

zachowywać się jak umarły i iść ze szczęścia do nieba, kiedy jakiś jełop da mi pięć centów napiwku. Czy nie dociera do pana, panie Umney, ta wielka wieść?”.

– Zamknij się, dziecko – powiedziałem do pustego pokoju.

– Gabriel Heatter to ty nie jesteś.

Odwróciłem się od biurka Candy. W trakcie tej czynności maszerowały mi przed oczyma duszy, niczym w jakimś opętańczym, piekielnym korowodzie, twarze George’a i Glorii Demmicków, Peorii Smitha, Billa Tuggle’a, Vernona Kleina, wartej milion dolarów blondynki występującej pod imieniem i nazwiskiem Arlene Cain... znalazły się tam również oblicza dwóch malarzy.

Chaos, chaos, nic, tylko chaos.

Ze zwieszoną nisko głową powlokłem się do mego gabinetu, zamknąłem za sobą drzwi i usiadłem za biurkiem. Zza okna dobiegał stłumiony szum ruchu ulicznego na Sunset. Podejrzywałem, że dla każdego normalnego człowieka wciąż jest to ten sam wiosenny poranek w tak perfekcyjnym Los Angeles, że w każdej chwili można się spodziewać umieszczonego w jakimkolwiek miejscu znaczka firmowego. Dla mnie jednak całe światło tego dnia już gdzieś zniknęło... zarówno to światło we mnie, jak to poza mną. Myślałem o flasce gorzały w dolnej szufladzie biurka, ale nagle stwierdziłem, że proste schylenie się, żeby tam sięgnąć, to wysiłek zbyt wielki. Taki sam jak wspinaczka na Mount Everest w tenisówkach.

Woń świeżej farby docierała aż do mego gabinetu. Zazwyczaj bardzo lubiłem ten zapach, ale nie w tej chwili. W tej chwili zapach ów niósł ze sobą wszystko, co było nie tak, odkąd Demmickowie nie wrócili do swego domu w Hollywood, nie przerzucali się sympatycznymi złośliwościami niczym piłeczkami z kauczuku, nie puszczali płyt na cały regulator oraz nie wprowadzili swego psa w histeryczne skowoty zalotami i słodkim gaworzeniem. Dotarło do mnie z całą jaskrawością i prostotą – w sposób, w jaki zawsze, moim zdaniem, objawiają się ludziom wielkie prawdy – że gdyby jakiś lekarz potrafił powstrzymać rozwój raka, który zabijał windziarza w Fulwider Building, rak okazałby się biały. I pachniałby jak świeża farba Dutch Boy.

Myśl ta była tak uciążliwa, że pochyliłem głowę i kantami dłoni mocno ścisnąłem skronie, żeby nie opadła na biurko... a może chciałem w ten sposób zapobiec eksplozji tego, co miałem w głowie, a co by zachlapało ściany. Nawet gdy otworzyły się cicho drzwi i w pokoju rozległ się odgłos czyichś kroków, nie podniosłem głowy; w tej konkretnej chwili byłby to dla mnie także zbyt wielki wysiłek.

Poza wszystkim innym w dziwny sposób wiedziałem, kto wszedł do mego biura. Nie potrafiłbym wymienić imienia i nazwiska gościa, ale kroki brzmiały znajomo. To samo dotyczyło zapachu wody kolońskiej. Znałem tę woń, jakkolwiek, nawet pod groźbą przystawionego do skroni pistoletu, nie umiałbym wymienić jej marki. A to z prostego powodu: z tym zapachem zetknąłem się po raz pierwszy w życiu. Zapytacie, w jaki sposób mogłem go rozpoznać, skoro nigdy wcześniej się z nim nie spotkałem. Kolego, nie umiem ci na to pytanie odpowiedzieć, ale tak właśnie było.

Istniało jednak jeszcze coś, coś nieporównanie gorszego: ogarnął mnie śmiertelny lęk. Stałem już twarzą w twarz z rozwścieczonymi mężczyznami celującymi we mnie z pistoletu, co było sprawą paskudną; miałem do czynienia z rozwścieczonymi kobietami uzbrojonymi w sztylety, co było sprawą tysiącokrotnie paskudniejszą. Raz nawet siedziałem przykuty do kierownicy packarda ustawionego na torach, którymi bardzo często przejeżdżały pociągi towarowe. Wypchnięto mnie również przez okno z drugiego piętra. Niewątpliwie prowadziłem burzliwe życie, ale nic nie wystraszyło mnie tak, jak ów zapach wody kolońskiej i ciche kroki.

Odniosłem nagle wrażenie, że moja głowa waży co najmniej trzysta kilogramów.

– Clyde – rozległ się głos, którego nigdy przedtem nie słyszałem, a jednocześnie znałem go równie dobrze jak własny.

To jedno słowo sprawiło, że moja głowa nagle zaczęła ważyć równiutką tonę.

– Kimkolwiek jesteś, opuść moje biuro – odezwałem się, nie podnosząc wzroku. – Firma nie działa. – I coś kazało mi dodać:

– Remont.

– Paskudny dzień, co, Clyde?

Czyżbym wyczuł w tonie głosu współczucie? Być może, ale to tylko sprawę pogarszało. Kimkolwiek był ten facet, nie potrzebowałem jego współczucia. Coś mi mówiło, że lepiej by się stało, gdyby ział do mnie nienawiścią, zamiast okazywać współczucie.

– Nie tak bardzo paskudny – odparłem, wspierając bolącą głowę na kantach dłoni i wpatrując się tępo w bibularz na blacie biurka.

W górnym, lewym rogu widniał numer telefonu Mavis Weld. Gapiłem się na litery i cyfry: BEverly 6-4214. Wlepianie wzroku w bibularz wydawało mi się najlepszym rozwiązaniem. Nie wiedziałem, kim jest mój gość, ale wiedziałem, że nie chcę go oglądać. Wiedziałem tylko to.

– Sądzę, że jesteś troszeczkę... powiedzmy, nieszczerzy, prawda? – zapytał głos współczująco, a ja poczułem, że żołądek wypełnia mi pięść ociekająca kwasem.

Rozległo się skrzypienia krzesła – to przybysz siadał.

– Nie wiem dokładnie, o co chodzi, ale powiedzmy, że tak – zgodziłem się. – A więc skorośmy to już ustalili, Moggins, proszę wstać i opuścić moje biuro. Zamierzam dziś pójść na chorobowe, a mogę to uczynić bez najmniejszych przeszkód, ponieważ to ja jestem swoim szefem. Czasami sprawy układają się bardzo pomyślnie, prawda?

– Chyba tak. Spójrz na mnie, Clyde.

Serce mi załopotowało, ale nie poruszyłem głową i tylko tępo wpatrywałem się w napis BEverly 6-4214. Jakaś część mnie zastanawiała się, czy w piekle jest wystarczająca ilość płonącej siarki dla Mavis Weld. Dziękowałem losowi, że kiedy się odezwałem, głos miałem pewny i normalny.

– Tak naprawdę, to mogę sobie wziąć chorobowe na cały rok. Może wybrałbym się do Carmel. Siedziałbym na pokładzie z *American Mercury* na kolanach i obserwował płynące z Hawajów wielkie statki.

– Spójrz na mnie.

Nie chciałem wcale tego robić, ale mimowolnie uniosłem głowę. Siedział na krześle, na którym siedziała ongiś Mavis i Ardis McGill, i Big Tom Hatfield. Sie-

dział na nim raz nawet Vernon Klein, gdy przyniósł mi fotografie swej córki przybranej jedynie w ogłupiały uśmieszek i strój, w jakim przyszła na świat. Na oblicze mego gościa padał taki sam promień kalifornijskiego słońca – na twarz o rysach, które już z całą pewnością gdzieś widziałem. Ostatni raz tę twarz obserwowałem niecałą godzinę wcześniej w lustrze we własnej łazience, gdy skrobałem zarost żyletką Gillette Blue.

Współczucie w jego oczach – w moich oczach – stanowiło najbardziej odrażającą rzecz, z jaką zetknąłem się w życiu, a kiedy wyciągnął rękę – moją rękę – poczułem nieodpartą chęć, by odkręcić się wraz z krzesłem, zerwać na nogi i wyskoczyć przez okno z siódmego piętra. Podejrzewam, że nawet bym to uczynił, gdybym nie był tak kompletnie oszołomiony i zagubiony. Wielokrotnie czytałem słowo „strwożony”, ulubiony zwrot twórców brukowców oraz ich egzaltowanych, płaczliwych czytelniczek, ale po raz pierwszy w życiu naprawdę doświadczyłem tego uczucia.

Nieoczekiwanie w biurze pociemniało. Za oknami panował piękny, słoneczny dzień, mogłem to przysiąc, a jednak jakaś chmura przysłoniła słońce. Mężczyzna po drugiej stronie biurka był co najmniej o dziesięć lat ode mnie starszy, może nawet o piętnaście, włosy miał prawie zupełnie siwe, podczas gdy moje zachowały jeszcze nieskalaną czerń, lecz nic nie zmieniało oczywistego faktu, że bez względu na to, jak się nazywał i w jakim był wieku, był mną. Czy jego głos zabrzmiał w moich uszach znajomo? Jasne. Podobnie znajomo, choć nieco odmiennie, niż brzmi własny głos nagrany na taśmę.

Gość uniósł moją bezwładną rękę, potrząsnął nią z energią agenta firmy handlującej nieruchomościami, a następnie rozluźnił uścisk. Dłoń opadła z plaśnięciem na bibularz, lądując dokładnie na numerze telefonu Mavis Weld. Gdy skurczyłem palce, spostrzegłem, że numer Mavis zniknął. Tak naprawdę, to zniknęły wszystkie numery, jakie naskrobałem na bibularzu w ciągu minionych lat. Bibularz był czysty jak... cóż, czysty niczym sumienie niezłomnego baptysty.

– Jezu – wychrypiałem. – Jezu Chryste.

– Wcale nie – odparła starsza wersja mnie siedząca na krześle dla klientów

po drugiej stronie biurka. – Landry. Samuel D. Landry, do usług.

V. Spotkanie z Bogiem

Mimo że byłem tak wstrząśnięty, potrzebowiałem zaledwie sekundy lub dwóch, żeby umiejscowić sobie w pamięci to imię i nazwisko. Mogłem to zrobić dzięki temu, że usłyszałem je bardzo niedawno. Według słów Malarza Numer Dwa, to Samuel Landry zdecydował, iż już niebawem ściany długiego, mrocznego korytarza wiodącego do mego biura staną się perłowobiałe. Landry był właścicielem Fulwider Building.

Przyszedł mi do głowy wariacki pomysł, ale jego wariactwo nie potrafiło przyćmić ogromnej nadziei, jaka we mnie wstąpiła. Oni – bez względu na to, kim ci oni są – twierdzą, że każdy człowiek na ziemi ma swego sobowtóra. Może Landry jest właśnie moim sobowtórem? Może jesteśmy wyłącznie niepowiązanymi rodzinnie bliźniakami, które przyszły na świat w odstępie piętnastoletnim z różnych rodziców? Pomysł nie wyjaśniał wprawdzie całej osobliwej dziwaczności tego dnia, ale miałem przynajmniej, do licha, jakiś punkt zaczepienia.

– Czym mogę panu służyć, panie Landry? – zapytałem.

Starałem się mówić pewnie, ale wcale mi to nie wyszło. – Jeśli chodzi panu o wynajem lokalu, to proszę mi dać dzień lub dwa na uporządkowanie rachunków. Wygląda na to, że moja sekretarka musiała koniecznie wrócić do domu w Armpit w Idaho.

Landry całkowicie zignorował moją niemrawą próbę zmiany tematu.

– No cóż – odrzekł zadumanym tonem. – Podejrzewam, że od początku wszystko poszło nie tak... i to z mojej winy. Przykro mi z tego powodu, Clyde; naprawdę. Osobiste spotkanie z tobą okazało się... cóż, nie takie, jak się spodziewałem. Ani trochę. Po pierwsze, lubię cię znacznie bardziej, niż myślałem. Ale niestety nie ma już odwrotu.

Głęboko westchnął. Bardzo mi się to nie spodobało.

– O czym właściwie pan mówi? – zapytałem, nie próbując już powstrzymać drżenia głosu.

Opuściła mnie nawet tamta wariacka nadzieja. Odnosiłem wrażenie, że spowodował to brak tlenu w otchłannej przestrzeni, jaką nagle okazał się mój mózg.

Odpowiedział nie od razu. Pochylił się i sięgnął po cienką, skórzaną teczkę opartą o przednią nogę krzesła, na którym siedział. Widniały na niej inicjały S.D.L.; wydedukowałem z tego, iż mój niesamowity gość przyniósł ją ze sobą. Sami widzicie, że nie za darmo zdobyłem w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym i piątym tytuł detektywa roku.

Ale nigdy w życiu takiej teczki nie widziałem. Była za mała, za delikatna jak na normalną teczkę i nie zapinała się na zamki i pasek, lecz na suwak. Nigdy też nie spotkałem takiego suwaka. Ząbki miał drobniutkie, lecz nie wykonano ich z metalu.

Teczka stanowiła zaledwie początek całej dziwaczności. Pomijając już niezwykle podobieństwo tego gościa do mnie – zupełnie jakby był moim starszym bratem – to wcale nie sprawiał on wrażenia człowieka interesów, a już na pewno nie wyglądał na kogoś, komu powodzi się na tyle dobrze, aby być właścicielem Fulwider Building. To prawda, budynek w niczym nie przypominał Ritza, ale ostatecznie znajdował się w samym centrum Los Angeles, mój klient natomiast (jeśli miał zostać moim klientem) przypominał raczej okiego³², który wykapał się i ogolił.

Po pierwsze miał na sobie dżinsy, a na nogach trampki... z tym tylko, że trampki te w niczym nie przypominały trampek, z jakimi spotykałem się na co dzień. Było to wielkie i bryłowate obuwie. Tak naprawdę, to przypominało buty, jakie nosił Boris Karloff, gdy grał potwora Frankensteina, i gotów byłem zjeść swą ulubioną fedorę, jeśli wykonano je z brezentu. Słowo wypisane czerwonymi literami na boku każdego z nich kojarzyło mi się raczej z nazwą jakiejś chińskiej potrawy na wynos: REEBOK.

Spojrzałem na bibularz, popstrzony niegdyś numerami telefonów, i nagle uświadomiłem sobie, że nie pamiętam numeru Mavis Weld, jakkolwiek zaledwie ostatniej zimy musiałem do niej dzwonić z milion razy. Ogarnęło mnie jeszcze większe przerażenie.

– Proszę pana – powiedziałem. – Proszę wyłożyć swoją sprawę i wyjść stąd. Przestańmy kołować. Od razu przejdźmy do rzeczy, a później już pan sobie pójdzie.

Uśmiechnął się... ze znużeniem – pomyślałem. Twarz nad białą, rozpiętą pod szyją koszulą sprawiała wrażenie straszliwie zmęczonej. I przeraźliwie smutnej. Mówiła, że jego właściciel doświadczył w życiu rzeczy, o jakich mi się nawet nie śniło. Poczulem do gościa przyływ współczucia, ale nade wszystko przepełniał mnie strach. I gniew. Przecież ta twarz należała również do mnie, a ten skurwiel długo pracował nad tym, żeby ją tak wyniszczyć.

– Przykro mi, Clyde – odparł. – Ale tego nie da się zrobić.

Położył dłoń na cieniutkim, pomysłowym suwaku, a do mnie dotarło nagle, że ostatnią rzeczą, jakiej pragnę, jest to, by Landry otworzył swą teczkę. Żeby temu zapobiec, powiedziałem:

– Czy pan zawsze odwiedza swoich dzierżawców ubrany jak robotnik rolny pracujący przy zbiorach kapusty? Kim pan jest, jednym z tych ekscentrycznych milionerów?

– Zgadza się, jestem ekscentrykiem – przyznał. – I nie przyniesie ci nic dobrego, Clyde, jeśli zechcesz drążyć tę sprawę.

– Skąd przyszedł panu do głowy po...

I wtedy powiedział coś, czego najbardziej się bałem i co odebrało mi resztkę nadziei.

– Znam wszystkie twoje myśli, Clyde. Ostatecznie jestem tobą.

Obliziałem usta i próbowałem coś powiedzieć, cokolwiek, żeby powstrzymać go przed rozsunięciem suwaka. Cokolwiek. Z gardła wprawdzie wydobył mi się tylko ochrypły szepc, ale – ostatecznie się wydobył.

– Tak, zauważyłem podobieństwo. Ale ja używam innej wody kolońskiej. Używam old spice'a.

Jego kciuk i palec wskazujący ciągle spoczywały na suwaku, jednak nie otwierał teczki. W każdym razie jeszcze nie.

– Niemniej zapach ten ci się podoba – odparł z całkowitym przekonaniem. – I mógłbyś używać tej wody, gdybyś poszedł do sklepu Rexall na rogu. Niestety

nie możesz tego uczynić. Ta woda kolońska nosi nazwę Aramis i zaczął ją produkować dopiero za jakieś czterdzieści lat. – Popatrzył na swoje dziwaczne, paskudne, koszykarskie buty. – Podobnie jak moje trampki.

– O czym, do diabła, pan mówisz?

– Cóż, myślę, że może nawet gdzieś w tym wszystkim tkwi sam diabeł – odparł bez uśmiechu Landry.

– Skąd jesteś?

– Myślałem, że wiesz.

Landry otworzył zamek teczki. W środku dostrzegłem prostokątne urządzenie wykonane z jakiegoś gładkiego plastiku. Miało barwę ściany korytarza na siódmym piętrze po zachodzie słońca. Nigdy czegoś podobnego w życiu nie widziałem. Urządzenie nie nosiło żadnej firmowej nazwy. Zobaczyłem jedynie coś, co mogło być numerem seryjnym: T1000. Landry wyciągnął urządzenie z teczki, kciukami otworzył zapięcia po bokach i uniósł zamontowane na zawiasach wieczko. W środku znajdowało się coś, co przypominało teleekran z filmów „Buck Rogers”.

– Przybyłem z przyszłości – oświadczył Landry. – Zupełnie jak w opowiadaniu z brukowego czasopisma.

– Raczej z domu wariatów „Rozkoszna Kraina” – odparłem ochryple.

– Ale niezupełnie jak z brukowej science fiction – ciągnął niezrażony moją uwagą. – Tak, niezupełnie.

Nacisnął guzik z boku plastikowego pudełka. Ze środka urządzenia dobiegł cichy szum, a po nim krótki, przenikliwy pisk. Spoczywający na jego kolanach przedmiot przypominał stenograf... i przyszło mi do głowy, że nie jestem daleki od prawdy.

Landry popatrzył na mnie i powiedział:

– Clyde, jak twój ojciec miał na imię?

Chwilę na niego spoglądałem. Siłą woli powstrzymałem się, żeby ponownie nie oblizać ust. W pokoju panował półmrok. Słońce ciągle zakrywała chmura, której, gdy wchodziłem z ulicy do budynku, na niebie nie było. W półmroku twarz Landry’ego unosiła się w powietrzu niczym stary, zwiotczały balon.

– A co to ma wspólnego z ceną ogórków w Morovii? – odpowiedziałem pytaniem.

– Naprawdę nie wiesz?

– Oczywiście, że wiem – odparłem, ponieważ wiedziałem.

Nie mogłem tylko sobie przypomnieć. Miałem to imię na końcu języka; podobnie jak numer telefonu Mavis Weld, który był... jakoś tak... BAYshore.

– A imię matki?

– Przestań robić ze mnie wariata!

– Zatem pytanie łatwiejsze. Jakie gimnazjum ukończyłeś? Każdy prawdziwy Amerykanin pamięta nazwę szkoły, do której uczęszczał, prawda? Albo swoją pierwszą dziewczynę. Albo miasteczko, w którym wyrósł. Czy pochodzisz z San Luis Obispo?

Otworzyłem usta, ale nie popłynął z nich żaden dźwięk.

– Carmel?

To wydawało się prawdziwe... ale po chwili znów wszystko było źle. W głowie mi wirowało.

– A może z Dusty Bottom w Nowym Meksyku?

– Dość tych bzdur! – krzyknąłem.

– Czy wiesz? Wiesz?

– Tak. Nazywało się...

Pochylił się i zaklekotał klawiszami swej maszyny do stenografowania.

– San Diego. Tam urodzony i wychowany.

Ustawił swoją maszynę na biurku i odwrócił ją w moją stronę tak, że mogłem odczytać słowa widniejące w okienku nad klawiaturą.

San Diego. Tam urodzony i wychowany.

Powędrowałem wzrokiem z okienka na słowo wytłoczone na plastikowej ramce otaczającej to okienko.

– Co to takiego Toshiba? – zapytałem. – Coś, co podają razem z posiłkiem Reebok?

– To japońskie przedsiębiorstwo elektroniczne.

Parsknąłem suchym śmiechem.

– Żarty sobie stroisz? Bez włożenia odwrotnie sprężyny Japońce nie potrafią zrobić nawet nakręcanej zabawki.

– Teraz nie – zgodził się. – A skoro jesteśmy już przy „teraz”, Clyde, jakie jest to „teraz”? Który mamy rok?

– Tysiąc dziewięćset trzydziesty ósmy – odrzekłem, a następnie podniosłem na wpół zdrętwiałą dłoń do twarzy i potarłem usta. – Zaczekaj chwilę... tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty.

– A może nawet tysiąc dziewięćset czterdziesty. Mam rację?

Nic nie odpowiedziałem, ale poczułem, że twarz robi mi się gorąca.

– Nie masz się czym przejmować, Clyde. Nie wiesz tego, ponieważ i ja nie wiem. Zawsze pozostawiałem ten szczegół niejasny. Moje ramy czasowe tak naprawdę były raczej sprawą wyczucia... jeśli chcesz, nazwij to Amerykańskim Czasem Chandlera. Działa bardzo skutecznie na moich czytelników, jak też ułatwia lekturę, ponieważ trudno ustalić dokładnie upływ czasu. Czy nigdy nie zauważyłeś, jak często używasz zwrotów „nie pamiętam już od ilu lat”, „od tak dawna, że nie lubię o tym myśleć” czy też „od czasu, gdy Hektor nosił pieluchę”?

– Wcale nie... wcale tak nie jest.

Ale już w chwili gdy on to mówił, zauważyłem ten szczegół i ja. Natychmiast pomyślałem o *Los Angeles Times*. Czytałem tę gazetę codziennie, ale dokładnie w jakie dni? Nie można było się tego dowiedzieć z samej gazety, ponieważ w nagłówku nigdy nie podawano daty dziennej. Widniał tam jedynie slogan: „Najuczciwsza Gazeta Ameryki w Najuczciwszym Mieście Ameryki”.

– Możesz tak mówić, ponieważ w tym świecie tak naprawdę czas nie płynie. Stanowi to... – Urwał i uśmiechnął się. Strasznie było patrzeć na ten uśmiech pełen tęsknoty i jakiejś osobliwej zachłanności. – Stanowi to jeden z uroków tego świata – zakończył.

Bąłem się, ale zawsze, ilekroć zachodziła taka potrzeba, potrafiłem zjeść żabę i jakoś z tym żyć. Teraz właśnie znalazłem się w jednej z takich sytuacji.

– Powiedz mi, co się, do licha, tutaj wyprawia?

– Dobrze... ale sam już zaczynasz wszystko rozumieć, Clyde. Prawda?

– Może. Nie znam imion ani mego ojca, ani mojej matki, nie znam imienia mojej pierwszej dziewczyny, z którą poszedłem do łóżka, bo ty tego nie wiesz. Czy tak?

Skinął głową i uśmiechnął się jak nauczyciel do ucznia, który pomijając wszelkie prawa logiki, na przekór okolicznościom dał właściwą odpowiedź. Ale w jego oczach ciągle malowało się owo okropne współczucie.

– I kiedy na tym swoim urządzeniu napisałeś „San Diego”, mnie natychmiast przyszło do głowy to samo...

Znów skinął głową, jakby dodawał mi odwagi.

– Jesteś właścicielem nie tylko Fulwider Building, prawda?

– Przełknąłem ślinę, starając się bez powodzenia usunąć z gardła coś, co nie pozwalało mi mówić. – Jesteś właścicielem wszystkiego.

Ale Landry potrząsnął przecząco głową.

– Nie wszystkiego. Tylko Los Angeles i najbliższej okolicy. W tej wersji Los Angeles występują od czasu do czasu załamania ciągłości i teatralne charakteryzacje.

– Nonsensy – powiedziałem, ale tylko szeptem.

– Czy widzisz ten obrazek na ścianie na lewo od drzwi, Clyde?

Popatrzyłem w tamtą stronę, choć wcale nie musiałem tego robić. Przedstawiał Waszyngtona przekraczającego Delaware i wisiał tam od... no cóż, „od czasu, gdy Hektor nosił pieluchy”.

Landry poprawił na kolanach plastikowe urządzenie do stenografowania rodem z fantastycznonaukowych filmów „Buck Rogers” i pochylił się nad klawiaturą.

– Nie rób tego! – wrzasnąłem i próbowałem mu przeszkodzić.

Nie byłem w stanie wykonać ruchu. Ręka odmówiła mi posłuszeństwa i nie mogłem temu zaradzić. Czuję się tak, jakbym popadał w letarg, jakbym został kompletnie wydrenowany, jakbym stracił już ze dwa litry krwi i tracił jej coraz więcej.

Zaklekotał klawiszami. Odwrócił maszynę w moją stronę tak, że mogłem odczytać słowa w okienku. Było tam napisane: *Na ścianie, na lewo od drzwi wypro-*

wadzających do Candyland, wisi portret Naszego Czcigodnego Przywódcy... ale zawsze lekko przekrzywiony. To mój sposób, żeby zachowywał właściwe proporcje.

Odwróciłem się i spojrzałem na obraz. Jerzy Waszyngton zniknął, a jego miejsce zajęła fotografia Franklina Delano Roosevelta. Oblicze F.D.R. było uśmiechnięte, a z ust sterczała w górę cygarniczka pod takim kątem, który jego zwolennicy uważali za zabawny, a przeciwnicy za przejaw arogancji. Fotografia była nieco przekrzywiona.

– Wcale nie potrzebuję laptopa, żeby tego dokonać – odezwał się lekko zakłopotanym tonem, jakbym go o coś oskarżał. – Jeśli się odpowiednio skoncentruję, potrafię to robić również w myślach, jak sam się przekonałeś na przykładzie numerów telefonicznych, które zniknęły z twego bibularza, ale laptop bardzo ułatwia sprawę. Zapewne z tego względu, że mam zwyczaj pisać, a dopiero później redagować. Na swój sposób redakcja i modyfikacje są rzeczą najbardziej fascynującą, ponieważ wtedy wprowadzam ostateczne zmiany, przeważnie drobne, ale niebywale istotne, toteż dopiero wtedy obraz staje się naprawdę klarowny i nabiera ostrości.

Odwróciłem się do Landry’ego i powiedziałem głucho:

– Wymyśliłeś mnie, prawda?

Skinął głową. Sprawiał wrażenie osobliwie zawstydzonego, zupełnie jakby popełnił jakieś świństwo.

– Kiedy? – Roześmiałem się dziwnie chrapliwie. – Czy w ogóle jest to pytanie właściwe?

– Nie wiem, czy jest właściwe, czy nie – odrzekł. – Sądzę, że każdy autor odpowiedziałby ci tak samo. Jestem tylko pewien, że nie dzieje się to w jednej chwili. To proces postępujący stopniowo. Po raz pierwszy pojawiłeś się w „Szkarałatnym miasteczku”, ale w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym przerobiłem tę powieść i od tego czasu bardzo się zmieniłeś.

Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty siódmy. Z całą pewnością rok Bucka Rogersa. Nie mieściło mi się w głowie, że wszystko to dzieje się naprawdę. Chciałem wierzyć, że tylko śnię. Zastanawiająca rzecz, ale to zapach tej wody kolońskiej sprawił, że nie mogłem jednak traktować tego jak snu. Ów znajomy za-

pach, którego wcześniej nie spotkałem. Zresztą jak mógłbym? Woda kolońska Aramis, nazwa równie dla mnie obca jak Toshiba.

A on mówił dalej.

– Stałeś się bardziej skomplikowany, bardziej interesujący. Na początku byłeś naprawdę jednowymiarowy.

Chrząknął, spuścił wzrok na dłonie i przez chwilę się uśmiechał.

– Masz mnie w dupie.

Skrzywił się lekko, słysząc w moim głosie gniew, ale spojrzał mi w oczy.

– Ostatnią książką o tobie była powieść „Jak upadły anioł”. Zacząłem ją pisać w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym, ale udało mi się ją skończyć dopiero w dziewięćdziesiątym trzecim. W ciągu tych trzech lat miałem pewne problemy. Moje życie było... interesujące. – Słowo to wypowiedział z paskudnym grymasem. – W interesujących czasach pisarze nie tworzą najlepszych książek, Clyde. Uwierz mi na słowo.

Popatrzyłem na jego workowate ubranie, dokładnie takie samo, jakie noszą sezonowi robale i włóczędzy. Pomyślałem, że trafił w dziesiątkę.

– Może dlatego tak spieprzyłeś tę ostatnią – zauważyłem.

– Te rewelacje o loterii i czterdziestu tysiącach dolarów okazały się kompletną głupotą. Na południe od granicy wypłacają w pesos.

– Wiem o tym – oparł łagodnie. – Nie twierdzę, że od czasu do czasu czegoś nie schrzanię. Może jestem Bogiem w tym świecie lub dla tego świata, ale w moim własnym jestem wyłącznie zwykłym człowiekiem. Lecz jeśli nawet coś pochrzanię, to ty, Clyde, i twoi znajomi, nigdy się o tym nie dowiecie, gdyż moje pomyłki i przerwy w ciągłości dla was stanowią rzeczywistość. Nie, Peoria kłamał. Wiem o tym i chciałem, żebyś ty też o tym wiedział.

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami i ponownie popatrzył na mnie z niepokojem i lekkim zawstydeniem.

– Myślę, że dlatego, aby cię przygotować nieco na moją wizytę. Po to to wszystko było, poczynając od Demmicków. Ale nie chciałem cię straszyć bardziej, niż musiałem.

Każdy prywatny detektyw z prawdziwego zdarzenia dobrze wie, kiedy osoba siedząca na krześle przeznaczonym dla klientów kłamie, a kiedy mówi prawdę. Znacznie trudniej się zorientować, kiedy klient mówi prawdę, lecz niektóre rzeczy celowo pomija, i wątpię, czy nawet geniusze w naszym fachu potrafią to zawsze bezbłędnie wyczuć. W tej chwili ja to wyczułem, ale zapewne tylko dlatego, że moje myśli i myśli Landry'ego podążały tym samym torem. Lecz wyczułem bez pudła. Pewnych rzeczy nie chciał mi mówić. Pytanie brzmiało: czy powinienem o to zapytać wprost?

Powstrzymało mnie od tego jedynie nagle, przerażające przeczucie, jakie spłynęło znikąd, jak upiór, który nieoczekiwanie wynurza się ze ściany w nawiedzonym domu. Miało to związek z Demmickami. Ubiegłego wieczoru zachowywali się cicho z tego względu, że martwi ludzie nie wszczynają awantur. Było to jedno z tych praw, których człowiek może być absolutnie pewien, na przykład, że gówno zawsze spada, a nie się unosi. Prawie od pierwszej chwili, gdy ujrzałem George'a, podejrzewałem, że pod powłóczką elegancji i wytworności kryje się w nim brutal, a w Glorii Demmick, w cieniu pięknej twarzyczki i pod płaszczykiem głupkowatego zachowania drzemie kawał drapieżnej dziwki. Szczerze mówiąc, było w tym trochę z Cole'a Portera, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi. I teraz w jakiś sposób nabrałem przekonania, że w końcu George dorwał żonę i zabił... zapewne również tego wrzaskliwie ujadającego welsh corgiego. Może Gloria siedzi wyprostowana w łazience, wciśnięta między prysznic a sedes, twarz ma czarną, oczy wybałuszone i białe jak stary marmur, z sinych ust zwiesza się język. Pies leży z łbem na jej podołku, na szyi ma zaciśnięty druciany wieszak na ubrania i nigdy już nie zaszczeka. A George? Martwy w łóżku, a na nocnym stoliku stoi buteleczka – teraz już pusta – po weronału Glorii. Koniec z przyjęciami, koniec z jitterbugiem w „Al Arif”, koniec z morderstwami w wyższych sferach w Palm Desert lub w Beverly Glen. Teraz już stygli, przyciągali roje much, ich opalone na basenach twarze bładły.

Gloria i George Demmickowie, którzy umarli w maszynie tego człowieka. Którzy umarli w głowie tego człowieka.

– Nie udało ci się mnie nie wystraszyć – oświadczyłem i nagle zacząłem wąt-

pić, czy w ogóle mógłby to wszystko zorganizować w taki sposób, żebym się nie wystraszył.

Zadajcie sobie sami pytanie: jak przygotować człowieka na spotkanie z Bogiem? Założę się, że nawet Mojżesz nieco spocił się pod swą suknią, gdy ujrzał krzak gorejący, a ja przecież jestem tylko zwykłym łapsem, który pracuje za czterdzieści dolarów dziennie plus wydatki.

– „Jak upadły anioł” była książką o Mavis Weld. Owo imię i nazwisko, Mavis Weld, pochodzi z książki zatytułowanej „Siostrzyczka”. Napisał ją Raymond Chandler. – Landry spojrzał na mnie niepewnie i z zakłopotaniem; odnosiłem wrażenie, że czuje się odrobinę winny. – To *hommage*. – Pierwszą sylabę wymówił tak, że rymowała się ze słowem „dom”.

– Dla ciebie może to kumpel, ale mnie imię i nazwisko tego faceta nic nie mówią – oświadczyłem.

– Oczywiście, że nic. W twoim świecie, który jest moją wersją Los Angeles, Chandler nigdy nie istniał. Niemniej do swej książki wprowadziłem wszystkie nazwy i nazwiska z jego powieści. Philip Marlowe, detektyw wymyślony przez Chandlera, ma swoje biuro w Fulwider Building. Oczywiście, występują u niego inni... Vernon Klein... Peoria Smith... no i naturalnie Clyde Umney. W powieści zatytułowanej „Playback”, był prawnikiem.

– I wszystko to nazywasz *hommages*?

– Tak.

– Może tak się to nazywa, ale dla mnie jest to wyłącznie wdzięczne określenie plagiatu.

Mimo wszystko czułem się trochę dziwnie, wiedząc, że moje imię i nazwisko wymyślił człowiek, o którym nigdy nie słyszałem i który żył w świecie, o jakim nawet nie śniłem.

Landry miał na tyle przyzwoitości, że trochę się zaczerwienił, ale wzroku nie spuścił.

– No cóż, może popełniłem niewielkie złodziejstwo. Z całą pewnością przywołem sobie i zaadaptowałem styl Chandlera, ale nie ja pierwszy. To samo robił w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych Ross Macdonald, a w siedemdziesiątych...

siątych i osiemdziesiątych Robert Parker. A jednak wszyscy krytycy wieńczyli ich za to laurowymi wieńcami. Poza tym sam Chandler wziął wiele z Hammetta i Hemingwaya, nie wspominając już o pisarzach brukowych, takich jak...

Podniosłem rękę.

– Skończmy może ten wykład z literatury i zejdźmy na ziemię. To wszystko jest szalone, ale... – Powędrowałem wzrokiem do fotografii Roosevelta, następnie popatrzyłem na czysty bibularz, a na końcu znów spojrzałem w wymizowaną twarz siedzącego po drugiej stronie biurka człowieka – ...ale powiedzmy, że ci wierzę. Co zatem tu robisz? Po co tu przybyłeś?

Ale już wiedziałem. Wyczułem to, choć odpowiedź podyktowało mi raczej serce niż rozum.

– Przybyłem po ciebie.

– Po mnie?

– Przykro mi, ale tak. Obawiam się, że będziesz musiał zacząć myśleć o swym życiu w inny sposób, Clyde. Jak... eee, powiedzmy... jak o parze butów. Tyje zdejmujesz, a ja wkładam. Jak już je zasznurowę, odejdę.

Oczywiście. Oczywiście, że tak postąpi. I nagle wiedziałem już, co muszę zrobić... jedyną rzecz, jaką mogłem zrobić.

Musiałem się go pozbyć.

Na mojej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Uśmiech w stylu powiedz mi więcej. Jednocześnie zgiąłem nogi, gotów w każdej chwili skoczyć na niego przez biurko. Mój gabinet mógł opuścić tylko jeden z nas, to było oczywiste. I to ja zamierzałem być tym kimś.

– Och, naprawdę? – odezwałem się. – To fascynujące. A co się stanie ze mną, Sammy? Co stanie się z prywatnym detektywem pozbawionym butów? Co stanie się z Clyde'em...

...Umneyem; to słowo miało być moim ostatnim nazwiskiem i ostatnim słowem, jakie ten intruz i złodziej usłyszy w życiu. Kiedy ono padnie z mych ust, skoczę. Cały kłopot jednak polegał na tym, że telepatia działała w obie strony. Zobaczyłem, że w jego oczach zaczyna pojawiać się trwoga. Przymknął powieki, ściągnął usta. Nie fatygował się już z maszyną Bucka Rogersa. Podejrzewam,

że wiedział, iż nie ma na to czasu.

– „Jego rewelacje podziały na mnie niczym potężny narkotyk – odezwał się niskim, ale równym głosem, bardziej jakby recytował, niż mówił. – Poczułem, że siła opuszcza me mięśnie, nogi mam jak dwa *al dente* spaghetti, i byłem w stanie tylko bezwładnie rozeprzeć się na krzesło i gapić się w niego”.

Rozparłem się bezwładnie na krzesło, wyprostowałem nogi i nie byłem w stanie robić nic innego, jak w niego się gapić.

– Nie najlepiej – powiedział z nutą usprawiedliwienia Landry – ale szybkie kompozycje nigdy nie były moją mocną stroną.

– Bydlaku – powiedziałem chrapliwym, słabym głosem.

– Ty skurwysynu.

– Tak – zgodził się. – Chyba nim jestem.

– Dlaczego to robisz? Dlaczego kradniesz mi życie?

Na dźwięk tych słów w oczach zapaliły mu się iskierki złości.

– Twoje życie? Clyde, przecież sam najlepiej wiesz, jaka jest prawda, choć nie chcesz się do tego przyznać. To wcale nie twoje życie. To ja je wymyśliłem pewnego deszczowego, styczniowego dnia w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym i wymyślałem je aż do dzisiaj. To ja dałem ci życie, i moją rzeczą jest ci je odebrać.

– Bardzo zacnie – zakpiłem. – Gdyby w tej chwili pojawił się tutaj twój Bóg i zaczął rozrywać twoje życie jak stare ściegi na chuście, łatwiej przysłoby ci zrozumieć mój sposób widzenia.

– Zgadza się – odparł. – Punkt dla ciebie. Ale dlaczego się spierasz? Spieranie się z samym sobą to jak gra ze sobą w szachy. Za każdym razem doprowadzasz sprawę do martwego punktu, do pata. Powiedzmy, że robię to dlatego, że mogę to zrobić.

Nagle spłynął na mnie spokój. Byłem już kiedyś w tej uliczce. Kiedy na człowieka napadają, trzeba ich zagadywać, sprawić, że też będą gadali. Postępowanie takie sprawdziło się w przypadku Mavis Weld i powinno sprawdzić się teraz. Zazwyczaj mówią rzeczy w stylu: „Cóż, nie pogorszy to twojej sytuacji, jeśli się dowiesz” albo: „Co to komu zaszkodzi?”.

Wersja Mavis była szczerą, stanowczą i elegancką. „Chcę, żebyś to wiedział, Umney. Chcę, żebyś zabrał prawdę ze sobą do piekła. Będziesz miał o czym rozmawiać z diabłami nad kawą i ciasteczkami”. Naprawdę nie jest ważne, o czym mówią. Ważne jest to, że dopóki mówią, to nie strzelają.

Sprowokować ich do mówienia; o to w tym wszystkim chodziło. Podtrzymywać rozmowę w nadziei, że skądś przybędzie kawaleria z odsieczą.

– Cały problem sprowadza się do pytania: dlaczego chcesz to zrobić? – powiedziałem. – Bo to niezwykle, prawda? Chodzi mi o to, że wy, pisarze, jesteście ludźmi, którzy bardzo lubią odbierać wysyłane do was czeki i dbają o własny interes. Czy nie tak?

– Próbujesz mnie zagadać, Clyde?

Jego słowa były niczym straszliwy cios w splot słoneczny. Ale nie miałem innego wyjścia i musiałem rozegrać tę partię do końca.

Wyszczrzyłem zęby i wzruszyłem ramionami.

– Może tak, może nie. Ale jak by nie było, naprawdę chcę to wiedzieć.

W tym momencie wcale nie kłamałem.

Przez dłuższą chwilę się wahał, a następnie pochylił, dotknął klawiatury w plastikowej obudowie (widząc, jak przesuwają palce po klawiszach, poczułem skurcze w nogach, w żołądku i w piersi), po czym znów się wyprostował.

– Cóż, nie pogorszy to twojej sytuacji, jeśli się dowiesz – powiedział w końcu. – Co to komu zaszkodzi?

– Nikomu.

– Jesteś bystry, Clyde – oświadczył. – Masz całkowitą rację. Pisarze bardzo rzadko pogrążają się bez reszty w świecie, który stworzyli, ale kiedy już to robią, sądzę, że robią to jedynie w swym umyśle, podczas gdy ich ciała wegetują w jakimś zakładzie dla obłąkanych. Większości z nas wystarcza bycie turystami w krainach własnej wyobraźni. Tak działało się i w moim przypadku. Nie potrafię pisać szybko; chyba już ci wspominałem, że kompozycja zawsze stanowiła dla mnie najgorszą torturę. Ale w ciągu dziesięciu lat zdołałem napisać pięć powieści o Umneyu, każda kolejna zdobywała większy rozgłos, i w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim porzuciłem pracę kierownika prowincjo-

nalnej filii wielkiego przedsiębiorstwa ubezpieczeniowego i przeszedłem na pi-sarstwo zawodowe. Miałem żonę, którą kochałem, i chłopca, którego rano bu-dziło słońce, a nadchodząca noc kładła do łóżka – tak ja to w każdym razie wi-działem – i sądziłem, że lepiej już mi w życiu być nie może.

Poruszył się na miękkim krześle, przesunął rękę, a ja zobaczyłem, że wypalo-na papierosem przez Ardis McGill dziura w materiale, którym obita była poręcz krzesła, również zniknęła. Parsknął krótkim, gorzkim, zimnym śmiechem.

– I miałem rację – ciągnął po chwili. – Nie mogło być lepiej, ale za to mogło być dużo, dużo gorzej. I tak też się stało. Mniej więcej w trzy miesiące po tym, jak rozpocząłem pracę nad powieścią „Jak upadły anioł”, Danny, nasz synek, spadł w parku z huśtawki i uderzył się w głowę. Rąbnął się fest, używając two-jego języka.

Uśmiechnął się przelotnie. Był to również zimny i gorzki uśmiech. Pojawił się i zniknął jak żal.

– Bardzo krwawił. Widziałeś wiele rozbitych głów, Clyde, i wiesz, jak to wy-głąda. Linda śmiertelnie się przeraziła, ale lekarze okazali się bardzo dobrzy, a chłopak doznał jedynie wstrząsu mózgu. Szybko opanowano sytuację, wtło-czono mu do żył pół litra krwi, żeby zrekompensować utratę jego własnej. Być może wcale nie musiano tego robić... to mnie właśnie cały czas dręczy... ale zrobiono tę transfuzję. Widzisz, cały problem wyniknął nie z rozbitej głowy, ale z tego pół litra krwi, którą w niego wtłoczono. Była zakażona AIDS.

– Powtórz?

– Jest to coś, za co możesz być wdzięczny swemu Bogu, że nie kazał ci tego poznać – odparł Landry. – W twoich czasach AIDS jeszcze nie istnieje. Pojawi się dopiero w połowie lat siedemdziesiątych. Podobnie jak woda kolońska Ara-mis.

– Ale co to jest?

– Choroba, która niszczy twój system immunologiczny do tego stopnia, że w końcu kompletnie się rozpada, niczym wytworna, jednokonna bryczka. I wte-dy każde świństwo, od raka do wietrznej ospy, wyprawia sobie na organizmie ucztę.

– Jezu Chryste!

Po twarzy Landry’ego przebiegł uśmiech, szybki jak skurcz.

– Tak. AIDS jest przenoszony głównie drogą płciową, ale zdarza się, że wirus dostaje się do banków krwi. Można powiedzieć, że mój dzieciak wygrał główny los w wersji bardzo niefortunnej *la loteria*.

– Przykro mi – powiedziałem, i jakkolwiek straszliwie bałem się tego człowieka o zmęczonej twarzy, naprawdę mu współczułem.

W taki sposób stracić dziecko... czyż może człowieka spotkać coś gorszego? Zapewne tak. Zawsze trafi się coś gorszego, ale i ta tragedia każe usiąść i solidnie się nad nią zastanowić, prawda?

– Dzięki – powiedział Landry. – Dzięki, Clyde. Przynajmniej trwało to krótko. Z huśtawki spadł w maju. Pierwsze czerwone krosty, mięsak Kaposiego, wystąpiły na jego urodziny, we wrześniu. Umarł osiemnastego marca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku. I zapewne nie cierpiał tak bardzo jak niektórzy, ale cierpiał. O tak, cierpiał!

Nie miałem zielonego pojęcia, co to jest mięsak Kaposiego, ale doszedłem do wniosku, że nie chcę o to pytać. Wiedziałem już więcej, niż chciałem.

– Zapewne zrozumiesz teraz, dlaczego tak powoli pisałem tę książkę o tobie, prawda, Clyde?

Skinałem głową.

– Ale się nie poddałem. Głównie dlatego, że uważałem, iż udawanie jest najlepszym lekarzem. Może musiałem w to wierzyć.

Próbowałem też zrobić coś ze swoim życiem, ale wszystko ciągle układało się źle. Zupełnie jakby książka „Jak upadły anioł” rzuciła na mnie dziwaczny, zły urok i zmieniła w Hioba. Po śmierci Danny’ego moja żona wpadła w głęboką depresję i tak się o nią niepokoiłem, że nie spostrzegłem nawet czerwonych krost, jakie pojawiły mi się na piersi, nogach i brzuchu. Okropnie swędziały. Wiedziałem, że nie jest to AIDS, i chwilowo przeszedłem nad tym do porządku dziennego. Ale z biegiem czasu sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót... czy miałeś kiedyś półpasiec, Clyde?

Landry roześmiał się i rąbnął w czoło kantem dłoni w geście ależ-ze-mnie-

osioł, a ja mogłem jedynie potrząsnąć głową.

– Oczywiście, że nie... tyś nigdy nie cierpiał na nic poważniejszego niż kac. Półpasiec, mój miły detektywie, to dziwna nazwa dla strasznej, chronicznej dolegliwości. W mojej wersji Los Angeles istnieją skuteczne leki, aby łagodzić skutki tej choroby, ale mnie niewiele pomagały. Pod koniec dziewięćdziesiątego pierwszego potwornie cierpiałem. Częściowo, oczywiście, z powodu tego, co przytrafiło się Danny'emu, ale głównie z powodu fizycznego bólu i swędzenia. Nie sądzisz, że można by wymyślić powieść o cierpieniach pisarza pod bardzo interesującym tytułem? Na przykład: „Ból i swędzenie, czyli Thomas Hardy w okresie pokwitania”.

Wybuchnął krótkim, ochrypłym śmiechem.

– Zawsze coś wymyślisz.

– Powiadam ci, przeżyłem piekło. Wiem, teraz łatwo jest o tym mówić, ale tamtego roku, w Święto Dziękczynienia, wcale nie było mi do śmiechu. Sypiałem najwyżej trzy godziny na dobę, a w dzień czułem, że cała skóra zamierza ze mnie zleźć i odpełznąć jak w dziecięcej mieszaninie berka i chowanego. Z tego też powodu nie zauważyłem w porę, w jak fatalnym stanie jest Linda.

Nie wiedziałem, nie mogłem wiedzieć... a jednak wiedziałem.

– Popełniła samobójstwo.

Skinął głową.

– W marcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku, w rocznicę śmierci Daniela. Ponad dwa lata temu.

Po pomarszczonym, przedwcześnie postarzałym policzku spłynęła mu łza, a ja pojąłem, że Landry postarzał się błyskawicznie. Paskudnie się poczułem, uświadamiając sobie, że wymyśliła mnie wersja takiego Boga z trzeciej ligi. Ale jednocześnie fakt ten wiele wyjaśniał. Głównie moje wady.

– Ale tyle starczy – odezwał się tonem, w którym wyczuwałem gniew i bezbrzeżną żalność. – Wracajmy do rzeczy, jak byś powiedział. W moim czasie mówi się „zaczniemy rozmawiać o konkretach”, ale to wychodzi na jedno. Tego dnia, gdy znalazłem w łóżku martwą Lindę... podobnie jak dzisiaj policja znajdzie Glorię Demmick... ukończyłem sto dziewięćdziesiątą stronicę tekstu. Zbli-

żałem się do punktu, w którym wyłowisz z jeziora Tahoe brata Mavis. Trzy dni później, kiedy wróciłem z pogrzebu, włączyłem komputer i zacząłem pisać stronę sto dziewięćdziesiątą pierwszą. Czy to cię dziwi?

– Nie – odparłem.

Chciałem zapytać, co to takiego ów komputer, ale zdecydowałem, że nie muszę. To, co trzymał na kolanach, było właśnie tym komputerem. Musiało nim być.

– Należysz do zdecydowanej mniejszości – stwierdził Landry.

– Ponieważ nielicznymi przyjaciółmi, jacy mi zostali, wstrząsnęło to okropnie. Rodzina Lindy oświadczyła, że mam w sobie tyle uczuć co dzika świnia. Nie miałem siły im wyjaśniać, że próbuję w ten sposób ratować samego siebie. Olałem ich, jak powiedziałyby Peoria. Uchwyciłem się tej książki jak tonący koła ratunkowego. Uchwyciłem się ciebie, Clyde. Ciągle cierpiałem na półpasiec, co bardzo spowalniało tempo mojej pracy, w pewien sposób trzymało mnie z daleka, gdyż w przeciwnym razie pojawiłbym się tutaj znacznie wcześniej... ale mnie nie powstrzymało. Mniej więcej w czasie, gdy ukończyłem pisanie książki, nastąpiła poprawa; przynajmniej w sensie fizycznym. Ale kiedy już ją ukończyłem, popadłem w stan, który mógłbym określić mianem depresji. Redakcję robiłem w jakimś otumanieniu. Przejmował mnie jakiś żal... miałem świadomość straty... – Popatrzył mi prosto w oczy.

– Czy to co mówię, ma dla ciebie jakikolwiek sens?

– Ma – odparłem.

I rzeczywiście miało. Na swój wariacki sposób.

– W domu zostało wiele tabletek – ciągnął Landry. – Linda i ja pod wieloma względami byliśmy tacy sami jak Demmickowie. Wierzyliśmy w chemię i dwukrotnie byłem bliski tego, żeby zażyć dwie garście pastylek. Nie rozważałem tego w kategoriach samobójstwa. Traktowałem to jako sposób na połączenie się z Lindą i Dannym. Połączenie się z nimi, dopóki nie będzie za późno.

Skinąłem głową. To samo pomyślałem o Ardis McGill, kiedy w trzy dni po tym, jak w „Blondie’s” powiedzieliśmy sobie „pa”, znalazłem ją na zagraconym strychu z małą, niebieską dziurką w środku czoła. Z tym tylko, że jej prawdzi-

wym zabójcą okazał się Sam Landry, a dokonał tego czynu za pomocą elastycznej kuli swego mózgu. Oczywiście, że tak było. Sam Landry, ten sprawiający wrażenie wyczerpanego człowieka w ubraniu robotnika sezonowego, był odpowiedzialny za wszystko, co działo się w moim świecie. Pomysł powinien wydawać się zwariowany i taki rzeczywiście był... ale w miarę upływu czasu nabierał coraz większego sensu.

Wykrzesalem jeszcze z siebie tyle energii, że odwróciłem się z obrotowym krzesłem w stronę okna i wyjrzałem na ulicę. To, co tam ujrzałem, wcale mnie nie zaskoczyło. Sunset Boulevard i jego otoczenie zamarło. Samochody, autobusy, przechodnie; wszystko zatrzymało się w pół ruchu. Jak na fotografii kodaka. Dlaczego nie? Ich stwórca, pogrążony w odmętach własnego bólu i żalości, nie był szczególnie zainteresowany ożywieniem swych tworów; w każdym razie chwilowo. Do licha, cieszyłem się, że przynajmniej ja jeszcze oddycham.

– I co było dalej? – zapytałem. – Jak się tu dostałeś, Sam? Czy mogę prosić, żebyś mi to wyjaśnił? Nie masz nic przeciwko temu?

– Jasne, że nie. Ale nie dam ci pełnej odpowiedzi, ponieważ sam dobrze nie wiem, jak to się stało. Wiem tylko to, że ilekroć myślałem o pastylkach, moje myśli schodziły na ciebie. Myślałem wtedy konkretnie: „Clyde Umney by tego nie zrobił i wykpiłby każdego, kto chce coś podobnego uczynić. Nazwałby to tchórzostwem”.

Rozwazałem przez chwilę jego słowa, doszedłem do wniosku, że ma całkowitą rację, i skinąłem głową. Kogoś, kto ma na twarzy wymalowane takie cierpienie – rak Vernona czy koszmarny przypadek, który zabił temu człowiekowi dziecko – może bym zrozumiał, ale palnąć sobie w łeb tylko z powodu depresji? To dobre dla pederastów.

– Ale wtedy też pomyślałem: „Tak, ale to jest Clyde Umney, a Clyde jest zmyślony... to fikcja, wytwór mej wyobraźni”. Lecz taki pomysł mi nie odpowiadał. To jedynie bałwany tego świata, głównie politycy i prawnicy, szydzą z wyobraźni i uważają, że rzecz nie istnieje, jeśli nie da się jej zapalić, szturchnąć, poczuć albo wypierdolić. A uważają tak, ponieważ sami są pozbawieni wyobraźni i nie mają zielonego pojęcia o jej potędze. Ja wiedziałem lepiej. Do dia-

bla, musiałem wiedzieć lepiej. W końcu to moja wyobraźnia przez ostatnich dziesięć lat kupowała mi jedzenie i spłacała długi hipoteczne.

Ale jednocześnie wiedziałem, że nie mógłbym żyć w czymś, co miałem zwyczaj nazywać „rzeczywistym światem”, przez który, jak sądzę, rozumiemy „jedyny świat”. Wtedy właśnie zacząłem pojmować, że istnieje tylko jedno miejsce, dokąd mogę się udać i czuć się jak u siebie, i że kiedy już się tam dostanę, istnieje tylko jedna osoba, którą mogę się stać. To miejsce to Los Angeles w latach trzydziestych. A ta osoba to ty.

Znów usłyszałem cichy szum z urzędnika, ale się nie odwróciłem.

Częściowo ze strachu.

Częściowo dlatego, że nie wiedziałem, czy zdołam jeszcze się poruszyć.

VI. Ostatnia sprawa Umneya

Na ulicy, siedem pięter niżej, zmarł w bezruchu z lekko przekreśloną głową mężczyzna przyglądający się kobiecie, która wsiadając na rogu do autobusu numer osiemset pięćdziesiąt jadącego do centrum, odsłoniła na chwilę smukłą, kształtną nogę. Na tę nogę właśnie mężczyzna patrzył. Kawalek dalej chłopiec wyciągał rękę w zniszczonej rękawicy baseballowej, żeby chwycić zatrzymaną w locie piłkę, znajdującą się tuż nad jego głową. A dwa metry nad ulicą unosiła się, niczym duch wezwany przez widmo trzeciej kategorii na karnawałowym seansie spirytystycznym, jedna z gazet z przewróconego stolika Peorii. Dostrzegłem nawet obie fotografie, Hitlera na górze strony oraz zmarłego kubańskiego baletmistrza na dole.

Głos Landry’ego dobiegał jakby z oddali.

– Początkowo sądziłem, iż oznaczać to będzie, że resztę życia spędzę w jakimś zakładzie dla obłąkanych, uważając, że ja to ty, ale wcale mi to nie przeszkadzało, ponieważ to wyłącznie moja fizyczna powłoka miała trafić do wariatkowa. I wtedy stopniowo zacząłem dochodzić do przekonania, że może w tym być coś więcej... że być może istnieje sposób, żebym naprawdę... cóż... naprawdę prześlizgnął się tu cały. A wiesz, co stanowiło do tego klucz.

– Wiem – odparłem, nie odwracając się w jego stronę.

Znów rozległ się szum, w urządzeniu coś się obróciło i w mgnieniu oka wi-
sząca w powietrzu gazeta opadła na znieruchomiały Sunset Boulevard. W chwi-
lę później na skrzyżowaniu Sunset i Fernando pojawił się nieoczekiwanie stary
deSoto. Uderzył w chłopca w baseballowej rękawicy, po czym pojazd i dziecko
zniknęli. Ale piłka nie. Piłka spadła na ulicę, potoczyła się do rynsztoka i tam
ponownie zamarła w bezruchu.

– Naprawdę? – zapytał ze zdziwieniem.

– Tak. Kluczem był Peoria.

– Racja. – Roześmiał się nerwowo, a następnie równie nerwowo chrząknął. –
Ciągle zapominam, że ty to ja.

To już był luksus, którego ja nie miałem.

– Traciłem czas nad nową książką, ale to do niczego nie prowadziło. Do nie-
dzieli próbowałem napisać rozdział pierwszy na sześć sposobów, aż w końcu
dotarł do mej świadomości nader interesujący szczegół: Peoria Smith cię nie lu-
bił.

Słowa te sprawiły, że gwałtownie odwróciłem się w jego stronę.

– Głupstwa opowiadasz.

– Nie sądziłem, że w to uwierzysz, ale to prawda i w jakiś sposób cały czas
o tym wiedziałem. Nie chcę, Clyde, zaczynać znów wykładu o literaturze, ale
powiem ci jedną rzecz o moim zawodzie. Pisanie w pierwszej osobie jest spra-
wą osobliwą i dziwaczną. Zupełnie jakby wszystko, co pisarz wie, pochodziło
od jego głównego bohatera, jak seria listów czy doniesień z jakiegoś odległego
pola bitwy. Rzadko zdarza się pisarzowi zachować jakiegokolwiek sekrety, lecz
w moim przypadku ta sztuka się udała. Twoja malutka częśćka Sunset Boule-
vard stanowiła Rajski Ogród...

– Nigdy o tym nie słyszałem – przerwałem mu.

– ...gdzie znajdował się również wąż, którego ja widziałem, ty nie. Wąż nazy-
wał się Peoria Smith.

Na zewnątrz, w znieruchomiałym świecie, który nazwał moim Rajskim Ogro-
dem, ciągle ściemniało się, choć niebo było bezchmurne. „The Red Door”, noc-
ny klub rzekomo należący do Lucky’ego Luciana, zniknął. Przez chwilę widnia-

ła w tym miejscu dziura, po czym pojawił się inny budynek – z restauracją „Petit Dejeuner” o witrynach ozdobionych paprociami. Popatrzyłem w perspektywę ulicy i dostrzegłem kolejne zachodzące na niej zmiany. Na miejscu starych budynków w ciszy, z upiorną szybkością pojawiały się nowe. Znaczyło to, że cofam się w czasie; wiedziałem o tym. Niestety, wiedziałem również jeszcze jedno: w tym czasie zapewne nie będzie żadnej szczeliny. Kiedy do twego biura wkracza Bóg i oświadcza, że doszedł do wniosku, iż tve życie podoba mu się bardziej niż Jego własne, czy masz jakikolwiek wybór?

– Odrzuciłem wszystkie szkice powieści, którą zacząłem pisać w dwa miesiące po śmierci żony – powiedział Landry.

– Odrzuciłem je z lekkim sercem, ponieważ były to marne pomysły. I zacząłem pisać nową książkę. Zatytułowałem ją... czy wiesz, Clyde, jak ją zatytułowałem?

– Jasne – powiedziałem i odwróciłem się w jego stronę. Wiele kosztowało mnie to wysiłku, ale ten potwór z pewnością zrozumiał moją „motywację”. Sunset Strip nie był ani Champs Elysees ani Hyde Parkiem, ale był to mój świat. I nie chciałem patrzeć, jak go rozbija, tworząc inny, wedle własnej zachcianki.

– Sądzę, że zatytułowałaś ją „Ostatnia sprawa Umneya”.

Spojrzał na mnie z lekkim zdziwieniem.

– Masz rację.

Machnąłem ręką. Znów kosztowało mnie to wiele trudu, ale jakoś mi to wyszło.

– Jak wiesz, nie za darmo zdobyłem tytuł detektywa roku za lata tysiąc dziewięćset trzydzieści cztery i trzydzieści pięć.

Uśmiechnął się.

– Tak, zawsze lubiłem ten tekst.

I nagle go znienawidziłem – znienawidziłem go jak truciznę. Gdybym tylko zdołał zebrać w sobie tyle sił, żeby rzucić się na niego i go udusić, uczyniłbym to z największą ochotą. On też to zrozumiał. Uśmiech zniknął mu z twarzy.

– Nawet o tym nie myśl, Clyde... nie masz najmniejszych szans.

– Dlaczego stąd nie wyjdiesz? – wycedziłem przez zęby.

– Dlaczego po prostu nie wyjdiesz stąd i gdzieś indziej nie zrobisz tego, co masz zrobić?

– Bo nie mogę. Nie mógłbym, nawet gdybym chciał... i nie chcę. – Popatrzył na mnie wzrokiem pełnym gniewu, a zarazem niemej prośby. – Clyde, spróbuj spojrzeć na to z mojego punktu widzenia...

– A czy mam jakikolwiek wybór? Czy kiedykolwiek go miałem?

Puścił moje pytanie mimo uszu.

– To jest świat, w którym nigdy się nie zestarzeję, jest to rok, w którym na osiemnaście miesięcy przed wybuchem drugiej wojny światowej stanęły wszystkie zegary, świat, gdzie gazeta ciągle kosztuje trzy centy, gdzie mogę jeść do woli jajka i mięso i nie przejmować się poziomem cholesterolu.

– Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz.

Energicznie pochylił się w moją stronę.

– Oczywiście, że nie masz pojęcia! I o to właśnie chodzi, Clyde! Jest to świat, gdzie naprawdę mogę robić to wszystko, o czym marzyłem jako mały chłopiec. Mogę zostać prywatnym detektywem. Mogę o drugiej nad ranem pędzić szybkim samochodem i strzelać do gangsterów, wiedząc, że oni zginą, a ja nie, a w osiem godzin później obudzić się obok ślicznej *chanteuse*, gdy za oknem sypialni śpiewać będą mi na drzewach ptaki i świecić słońce. Cudowne, czyste słońce Kalifornii.

– Okna mej sypialni wychodzą na zachód – wyjaśniłem.

– Już nie – odrzekł spokojnie, a ja poczułem, że bezsilnie zaciskam dłonie na poręczach krzesła. – Czyż nie widzisz, jakie to piękne? Jakie doskonałe? W tym świecie ludzie nie wariują od swędzenia powodowanego głupią, pozbawiającą człowieka wszelkiej godności chorobą zwaną półpaścem. W tym świecie ludzie nie siwieją, najwyżej mogą łysieć.

Spojrzał na mnie z powagą. Jego wzrok odbierał mi wszelką nadzieję. Wszelką.

– W tym świecie ukochani synowie nie umierają na AIDS, a ukochane żony nie przedawkowują tabletek nasennych. A poza tym to ty zawsze byłeś tutaj obcy, nie ja, bez względu na to, jak się w tym miejscu czuleś. To mój świat, zro-

dzony z mojej wyobraźni i utrzymywany moim staraniem i ambicjami. Ja ci go tylko na chwilę wypożyczyłem... a teraz domagam się zwrotu.

– Zrób dla mnie choć tyle i powiedz, w jaki sposób się tutaj dostałeś. Naprawdę chciałbym to wiedzieć.

– To proste. Zniszczyłem ten świat, zaczynając od Demmicków, którzy nie byli niczym więcej niż nędzną imitacją Nicka i Nory Charlesów, a następnie odbudowałem go w swej wyobraźni. Zniszczyłem wszystkich ulubionych bohaterów, a teraz usuwam stare znaki orientacyjne. Wyciągam spod ciebie dywanik, innymi słowy twój kawałek czasu, i choć wcale nie jestem z siebie z tego powodu dumny, to jestem dumny ze swej nieugiętej woli, że jednak to robię.

– A co stało się z tobą w twoim własnym świecie? – Ciągle starałem się go zagadywać, lecz teraz to już niczemu nie służyło; robiłem to wyłącznie z nawyku, jak w śnieżny poranek stara dorożkarska szkapą zawsze znajduje drogę do domu.

Wzruszył ramionami.

– Może nie żyję. A może naprawdę opuściłem swą fizyczną powłokę... łupinę, która pozostała w śnie katatonicznym w jakimś zakładzie dla umysłowo chorych. Ale nie sądzę, żeby tak właśnie było. Zbyt mocno czuję się sobą. Nie! Uważam, że prześlizgnąłem się tu w fizycznym kształcie, Clyde. Jestem pewien, że tam, w moim świecie, poszukują zaginionego pisarza... nie mając pojęcia, że zniknął w banku pamięci własnego komputera. Ale tak naprawdę, nic mnie to nie obchodzi.

– A ja? Co będzie ze mną?

– Clyde, ty również mnie nie obchodzisz.

Znów pochylił się nad urządzeniem.

– Nie! – krzyknąłem ostro.

Uniósł głowę.

– Ja... – Usłyszałem, że głos mi drży, chciałem nad nim zapanować, ale nie byłem w stanie. – Proszę, boję się. Proszę, zostaw mnie samego. Wiem, że tamten świat nie jest już moim światem... do licha, ten świat... ale to jedyny świat, który jako tako poznałem. Pozwól mi zostać w tym, co z niego przetrwało. Pro-

szę.

– Za późno, Clyde. – Znów wyczułem w jego głosie owo pozbawione litości współczucie. – Zamknij oczy. Zrobię to najszybciej, jak zdołam.

Próbowałem skoczyć w jego stronę; próbowałem ze wszystkich sił. Ale nie potrafiłem nawet drgnąć. Nie musiałem też wcale zamykać oczu. Całe światło dnia zniknęło i w biurze zapadła ciemność jak o północy w worku z węglem.

Raczej wyczułem, niż zobaczyłem, że Landry przechyliła się nad biurkiem w moją stronę. Chciałem się cofnąć, ale nie zdołałem uczynić nawet tego. Mojej dłoni dotknęło coś suchego i szeleszczącego. Wrzasnąłem.

– Uspokój się, Clyde – dobiegł mnie z ciemności jego głos. Dobiegł nie z przodu, ale ze wszystkich stron.

Oczywiście – pomyślałem. – Ostatecznie jestem wyłącznie wytworem jego wyobraźni.

– To tylko czek.

– Cz-czek?

– Tak. Na pięć tysięcy dolarów. Sprzedałeś mi swój interes. Jeszcze dziś wieczorem, zanim pójdą do domu, malarze zdrapią z drzwi twoje imię i nazwisko i namalują moje. „Samuel D. Landry. Prywatny detektyw”. Czyż nie brzmi to wspaniale?

Chciałem go błagać, ale z ust nie wydobyło mi się żadne słowo. Zawodził mnie nawet głos.

– Przygotuj się – powiedział. – Sam dobrze nie wiem, co się wydarzy, Clyde, ale to już nadchodzi. Nie sądzę, żebyś cierpiał.

Ale i tak niewiele mnie to obchodzi – tych słów nie wypowiedział już głośno.

Z ciemności dobiegł szum. Poczułem, że krzesło, na którym siedziałem, rozplywa się pode mną i nagle zacząłem spadać. Wraz ze mną spadał głos Landry’ego, recytującego przy wtórze klekotu i trzasków jego bajkowej, futurystycznej maszyny stenograficznej dwa końcowe zdania powieści zatytułowanej „Ostatnia sprawa Umneya”.

– „Tak więc opuściłem miasto, a tam dokąd pojechałem... No cóż, proszę pana, sądzę, że to jest już tylko moja sprawa. Nieprawdaż?”.

Pode mną pojawiło się zielone światło i spadałem prosto w tę jasność. Niebawem mnie pochłonie, a ja czułem jedynie ulgę.

– KONIEC – zadudnił głos Landry’ego i runąłem w zielone światło, które weszło we mnie, przeniknęło mnie i nie było już Clyde’a Umneya.

Żegnaj, detektywie.

VII. Druga strona światła

Wszystko to zdarzyło się przed sześcioma miesiącami. Znalazłem się na podłodze w mrocznym pokoju, w uszach mi szumiało. Podniosłem się na kolana, potrząsnąłem głową, żeby pozbierać myśli, i popatrzyłem do góry, na pałające blaskiem zielone światło, przez które przeleciałem jak Alicja przez lustro. Ujrzałem urządzenie Bucka Rogersa. Było większym bratem maszyny, jaką Landry przydźwigał do mego biura. Lśniły na nim zielone litery. Zerwałem się na nogi i odruchowo drapiąc się po przedramieniu, przeczytałem słowa:

Tak więc opuściłem miasto, a tam dokąd pojechałem... No cóż, proszę pana, sądzę, że to jest już tylko moja sprawa. Nieprawdaż?

A poniżej, wypisane pośrodku drukowanymi literami, widniało słowo:

KONIEC

Przeczytałem zdanie ponownie, tym razem masując się po brzuchu. Robiłem to, ponieważ coś było nie w porządku z moją skórą, coś, co właściwie nie sprawiało mi bólu, ale bardzo doskwierało. I nagle uświadomiłem sobie, że odczucie to dręczy mnie wszędzie – na karku, po wewnętrznych stronach ud, w kroku.

Półpasiec – pomyślałem nieoczekiwanie. – Przejąłem po Landrym półpasiec. Swędzi mnie, a że nie zorientowałem się natychmiast, o co w tym chodzi, wynika z prostego faktu...

– Że nigdy mnie nic nie swędziało – powiedziałem na głos i nagle wszystko poukładało mi się w głowie.

Poukładało tak nagle i tak gwałtownie, że ugięły się pode mną kolana. Starając się jak najmniej drapać po dziwacznie swędzącej skórze, zbliżyłem się powoli do wiszącego na ścianie lustra.

Wiedziałem, że ujrzę w nim postarzałą wersję mej twarzy, oblicze pomarszczone jak stara, zeschnięta farba, a nad nim strzechę pozbawionych połysku, siwych włosów.

Teraz już wiedziałem, co się dzieje, gdy pisarze w jakiś sposób przejmują życie bohaterów, których sami stworzyli. Nie była to wcale kradzież.

Bardziej wymiana.

Stałem i gapiłem się w twarz Landry'ego – we własną twarz, ale postarzałą o piętnaście lat – czując, jak mnie mrowi i swędzi skóra. Czy nie wspomniał, że półpasiec trochę się uspokoił? Jeśli to była poprawa, to nie wiem, jak był w stanie znieść gorsze stadium choroby i nie zwariować.

Byłem, naturalnie, w domu Landry'ego – teraz już w moim domu – i w znajdującej się obok gabinetu łazience natknąłem się na lekarstwa na półpasiec. W niecałą godzinę po tym, jak znalazłem się na podłodze pod jego biurkiem, na którym stała szumiąca maszyna, zażyłem po raz pierwszy leki i było to tak, jakbym wchłonał w siebie wcale nie medykamenty, ale całe jego życie.

Jakbym wchłonał w siebie całe jego życie.

Z radością muszę stwierdzić, że obecnie półpasiec należy już do przeszłości. Być może jeszcze spokojnie egzystuje w moim ciele, ale lubię krzepić się myślą, że to duch starego Clyde'a Umneya miał w tej poprawie wiele do powiedzenia. Wiecie, Clyde za swoich czasów nigdy nie chorował i jakkolwiek jestem już na zawsze przykuty do wyniszczonego ciała Sama Landry'ego, to niech mnie szlag trafi, jeśli poddam się chorobom... czy kiedykolwiek zmienię owo pozytywne myślenie? Podejrzewam, że właściwa odpowiedź brzmi: „Nigdy”.

Niemniej mam za sobą trudne dni. Pierwszy przyszedł w niecałe dwadzieścia cztery godziny po moim pojawieniu się w tym niewiarygodnym roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym. Przeglądałem właśnie lodówkę Landry'ego w poszukiwaniu czegoś do jedzenia (poprzedniego wieczoru wlałem w siebie całe jego piwo Black Horse i czułem, że przekąska nie wyrządzi większej krzywdy kacowi, jaki mnie dręczył), gdy nagle wnętrzości przeszył mi straszliwy ból. Myślałem, że konam. Ból stawał się coraz gorszy i wiedziałem, że konam. Upadłem w kuchni na podłogę, starając się ze wszystkich sił nie

krzyczeć. Po chwili jednak coś się stało i ból ustał.

Przez większość życia często używałem zwrotu: „Nie dam się, do kurwy nędzy”. I poczynając od tego ranka, wszystko się zmieniło. Wykąpałem się, po czym wszedłem po schodach na piętro, wiedząc, co zastanę w sypialni: zmoczone prześcieradła w łóżku Landry’ego.

Pierwszy tydzień w jego świecie spędziłem na przyzwyczajaniu się do robienia toalety. W moim świecie, oczywiście, nikt nigdy nie chodził do łazienki. Ani, naturalnie, do dentysty. Pierwsza wizyta u dentysty, którego adres znalazłem w leżącym na biurku kołonoatniku, okazała się czymś, o czym wolę nie myśleć, więc ten temat zostawmy na boku.

Ale były również i jaśniejsze chwile w moim przedzieraniu się przez ten zbity gąszcz kolczastych chaszczy. Przede wszystkim nie musiałem szukać pracy w skomplikowanym, odrzutowym świecie Landry’ego. Jego książki wspaniale się sprzedawały, więc nie miałem kłopotu z realizacją czeków, które nadchodziły pocztą. Mój podpis był oczywiście identyczny z jego. A jeśli chodzi o jakiegokolwiek skrupuły moralne, nie rozśmieszajcie mnie; nie miałem żadnych. Czeki te były za powieści o mnie. Landry tylko je pisał. Żyłem w tych historiach. Do licha, zasłużyłem na pięćdziesiąt tysięcy dolców i zastrzyk przeciw wściekliwości za to, że trafiłem w zasięg pazurów Mavis Weld.

Obawiałem się niejakich kłopotów z tak zwanymi przyjaciółmi Landry’ego, ale szybko pojąłem, że taki twardy i doświadczony detektyw jak ja powinien był wiedzieć lepiej. Czy typek, który posiada prawdziwych przyjaciół, chciałby zniknąć w świecie, jaki stworzył na planie swej wyobraźni? Na pewno nie. Jedynymi przyjaciółmi Landry’ego była jego żona i synek, ale oboje już nie żyli. Istnieli znajomi i sąsiedzi, ale najwyraźniej wzięli mnie za niego. Mieszkająca naprzeciwko kobieta rzucała mi od czasu do czasu zagadkowe spojrzenia, a jej mała córeczka, mimo że kilka razy zajmowałem się nią pod nieobecność rodziców, gdy podchodziłem do niej, wybuchała głośnym płaczem (ta kobieta twierdzi, że kilkakrotnie zajmowałem się tym dzieckiem, a nie widzę powodów, dla których miałyby kłamać), ale niewiele mnie to obchodzi.

Odbyłem rozmowę z agentem Landry’ego, facetem z Nowego Jorku nazwi-

skiem Verrill. Koniecznie chce wiedzieć, kiedy przystąpię do pisania kolejnej powieści.

Niebawem – oświadczyłem mu. – Niebawem.

Większość czasu spędzam w domu. Nie mam szczególnej ochoty poznawać świata, w który wepchnął mnie Landry, wyrzucając przy tym z mego. Podczas cotygodniowych wypraw do banku i sklepu spożywczego widzę więcej, niż mi potrzeba, a po tym, jak zgłębiłem wreszcie tajniki działania jego okropnego telewizora, oglądam program niecałe dwie godziny dziennie. Już mnie nie dziwi, że Landry pragnął porzucić ten udręczony świat z jego nieprzerwanym ciągiem chorób i bezsensowną przemocą; świat, gdzie w witrynach nocnych klubów tańczą nagie kobiety, z którymi uprawianie seksu może człowieka zabić.

Tak, większość czasu spędzam w domu. Kilka razy przeczytałem wszystkie napisane przez Landry'ego powieści. Przy każdej z nich czułem się tak, jakbym kartkował ukochany pamiętnik. Poza tym, oczywiście, nauczyłem się obsługiwać komputer. To zupełnie coś innego niż maszyna telewizyjna. Ekrany są podobne, ale w komputerze możesz wywoływać obrazy, jakie chcesz, ponieważ pochodzą one z twojej głowy.

Bardzo mi się to podoba.

Wiecie, przygotowywałem się: budowałem i rozkładałem zdania niczym puzzle. A tego ranka napisałem kilka wersów, które całkowicie przypadły mi do gustu... albo prawie całkowicie. Chcecie posłuchać? Proszę:

Kiedy popatrzyłem w stronę drzwi, w progu ujrzałem bardzo skruszonego i zdeprymowanego Peorię Smitha.

– Chyba ostatnim razem paskudnie zachowałem się względem pana, panie Umney–powiedział. – Przyszedłem pana przeprosić.

Od naszego ostatniego spotkania minęło sześć miesięcy, ale chłopak wcale się nie zmienił.

– Ciągle nosisz ciemne okulary – stwierdziłem.

– Tak. Miałem operację, ale się nie powiodła. – Westchnął, uśmiechnął się, po czym wzruszył ramionami. W tej chwili wyglądał dokładnie jak Peoria, którego znałem. – Ale o co w końcu chodzi, panie Umney. Los niewidomego nie jest wcale taki

straszny.

Ale idealny też nie, to pewne. Wiem o tym. Zaczynałem jako detektyw, nie jako pisarz. A jednak uważam, że jeśli tylko człowiek chce sprawę pogorszyć, stać go prawie na wszystko. Jeśli już dobierze się komuś do dupy, jest to czymś w rodzaju podglądania przez dziurkę od klucza. W komputerze kształt i rozmiar tej dziurki od klucza są trochę inne, ale można przez nie podglądać życie innych, a następnie mówić klientowi, co zobaczyłeś.

Uczę się tego z jednego tylko względu: nie chcę tu zostać. Los Angeles z roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego możecie nazywać sobie, jak wam się żywnie podoba; dla mnie to piekło. Odrażające, mrożone potrawy odgrzewane w czymś, co nazywa się „mikrofalówką”, buty przypominające trzewiki potwora stworzonego przez Frankensteina, muzyka płynąca z radia i rycząca jak krowy włożone żywcem do szybkowaru, te...

No cóż, wszystko.

Pragnę mego dawnego życia, pragnę, żeby wszystko było tak jak kiedyś, i podejrzewam, że już wiem, jak tego dokonać.

Jesteś nędznym, skurwiałym złodziejem, Sam... czy mogę cię jeszcze tak nazywać?... i bardzo mi ciebie żal... ale moje współczucie jest wyjątkowo ograniczone, ponieważ jedyne adekwatne określenie twego postępu to „kradzież”. Moja pierwsza opinia w tym względzie nic się nie zmieniła. Ciągle uważam, iż zdolności twórcze nie dają prawa do złodziejstwa.

Złodzieju, co w tej chwili robisz? Jesz kolację w restauracji „Petit Dejeuner”, którą wymyśliłeś? A może leżysz obok jakiejś wspaniałej kochanki z cudownie sterczącymi piersiami i miętosisz jej negliż? A może beztróscko mkniesz samochodem do Malibu? Odrzucasz kopniakiem stare krzesło w biurze, radując się bezbolesnym, pozbawionym wszelkiego zapachu, beztróskim życiem? Co porabiasz?

Nauczyłem się pisać; to właśnie zrobiłem. I znalazłem sposób, żeby z powrotem tam wrócić. Sądzę, że powinienem się pośpieszyć. Już prawie cię widzę.

Jutro rano Clyde i Peoria zamierzają udać się do „Blondie’s”, który wznowił działalność. Tym razem to Peoria chce zaprosić Clyde’a na śniadanie. To będzie

drugi krok.

Tak, prawie cię widzę, Sam, a niebawem ujrzę naprawdę. Ale nie sądzę, żebyś ty mnie zobaczył. Ujrzysz mnie dopiero wtedy, gdy wynurzę się zza drzwi mego biura i zacisnę ci dłonie na krtani.

Tym razem nikt nie wróci do domu.

Pałka niżej!

OD AUTORA: Tutaj przerywam, Wierny Czytelniku, by Ci powiedzieć, że masz przed sobą nie kolejne opowiadanie, lecz esej – prawie pamiętnik. Pierwszy raz opublikowałem go na łamach *New Yorkera* wiosną 1990 roku.

S.K.

OD TŁUMACZA: Obawiam się, że dla większości polskich czytelników poniższy tekst będzie nie całkiem zrozumiały. Ci jednak, którzy choć trochę lubią baseball, z pewnością docenią kunszt, z jakim King opisuje wydarzenia na boisku, tak iż każda sytuacja niemal jak żywa staje nam przed oczami. Język polskiego baseballu jest nieco uboższy od amerykańskiego (stąd w tłumaczeniu brak różnienia np. między „wild pitch” a „passed bal!”), lecz nie chciałem się wdawać w obszerne wyjaśnienia, gdyż to rozbiłoby tok narracji i zagubiło gdzieś urok pisanych na gorąco notatek.

W.N.

– Pałka niżej! Koniec pałki niżej!

Nie jest to może najtrudniejsza rzecz w sporcie, lecz każdy, kto tego próbował, powie wam, że wystarczająco trudna: trafić okrągłą pałką w okrągłą piłkę, i to dokładnie w sam środek. Na tyle trudna, że paru facetów, którzy opanowali tę sztukę, poznało smak bogactwa, sławy i uwielbienia: Jose Canseco, Mike Greenwell, Kevin Mitchell. Dla rzeszy chłopców (i wcale pokaźnej liczby dziewcząt) to właśnie oni, a nie Axl Rose czy Bobby Brown, są prawdziwymi idolami; plakaty z ich wizerunkami zajmują honorowe miejsca na ścianach dziecięcych pokoi lub drzwiczkach szkolnych szafek. Dziś kilku z takich chłopców trenuje

pod okiem Rona St Pierre'a – jako reprezentacja Bangor West Side chcą wziąć udział w turnieju grupy trzeciej Małej Ligi i uczą się walić okrągłą pałką w okrągłą piłkę. St Pierre szkoli niejakiego Freda Moore'a, a mój syn, Owen, stoi w pobliżu, uważnie słuchając słów trenera. Za chwilę przyjdzie kolej na niego. Owen jest barczysty i mocno zbudowany, jak jego stary; Fred wygląda cherlawo w jasnozielonym dresie. I nie bardzo mu idzie.

– Niżej koniec pałki, Fred! – drze się St Pierre. Stoi w połowie drogi między wzgórzem miotacza a bazą domową, na jednym z dwóch boisk Małej Ligi położonych za rozlewnią coca-coli w Bangor; Fred cofnął się już prawie do metalowej zasłony, od której odbijają się rzucane piłki. Dzień jest upalny, lecz Fred i St Pierre najwyraźniej tego nie odczuwają. Są zbyt zajęci.

– Trzymaj niżej! – znów wrzeszczy St Pierre i wykonuje płaski, twardy narzut.

Fred muska piłkę wierzchem bijaka. Słysząc charakterystyczny stuk skóry uderzającej o aluminium – jakby ktoś puknął łyżeczką w cynowy kubek. Piłka odbija się od przegrody, wraca, o parę cali mija hełm Freda. Trener i Fred wybuchają śmiechem, po czym St Pierre wyciąga kolejną piłkę ze stojącego przy nim plastikowego czerwonego kubła.

– Szykuj się, Fred! – woła. – Pałka niżej!

Grupa trzecia, obejmująca Maine, jest tak duża, że podzielono ją na dwie mniejsze. Drużyny z hrabstwa Penobscot tworzą jedną podgrupę; zespoły z Aroostook i Washington – drugą. Do reprezentacji hrabstwa wybiera się najlepsze dzieciaki ze wszystkich klubów Małej Ligi. Dwanaście drużyn grupy trzeciej rozgrywa równoległe turnieje. Pod koniec lipca nadchodzi play-off, dwa najlepsze zespoły grają trzy mecze, a dwa zwycięstwa decydują o mistrzostwie grupy. Czempion grupy trzeciej przechodzi do mistrzostw stanowych i wiele czasu minęło – osiemnaście lat – gdy Bangor po raz ostatni dotarło do tego etapu.

W bieżącym roku gospodarzem mistrzostw stanowych będzie Old Town, gdzie produkują kajaki i kanadyjki. Cztery z pięciu grających tam drużyn powrócą do domu. Piąta będzie reprezentować stan Maine w turnieju Okręgu

Wschodniego, rozgrywanym tym razem w Bristolu, w Connecticut. Dopiero potem jest Williamsport w Pensylwanii, gdzie odbywają się Mistrzostwa Małej Ligi. Gracze z Bangor West nie myślą o takich zaszczytach; będą szczęśliwi, jeśli zdołają pokonać pierwszego przeciwnika w eliminacjach hrabstwa Penobscot, drużynę z Millinocket. Trenerom, rzecz jasna, wolno marzyć – więcej, marzenia są ich obowiązkiem.

Tym razem Fred, pełniący rolę czołowego wesołka drużyny, naprawdę nisko macha pałką. Piłka ląduje na ziemi dobre sześć stóp za linią biegnącą do pierwszej bazy.

– Spójrz – mówi St Pierre, biorąc następną piłkę. Trzymają w górze. Jest mocno poobijana, brudna i poplamiona trawą, lecz mimo wszystko to piłka, więc Fred patrzy na nią z należnym szacunkiem. – Pokażę ci sztuczkę. Gdzie jest teraz?

– W pana dłoni – odpowiada Fred.

Święty, jak nazywa St Pierre'a szef wyszkolenia, Dave Mansfield, chowa piłkę do rękawicy.

– A teraz?

– W rękawicy.

Święty staje bokiem i wsuwa wolną dłoń do rękawicy.

– Teraz?

– Pewnie znów w ręku.

– Masz rację. Więc patrz na moją rękę. Na rękę, Fred, i czekaj, aż zobaczysz piłkę. Patrzysz na piłkę. Na nic innego. Tylko na piłkę. To jedyne, co widzisz. Po co masz patrzeć na mnie? Chcesz widzieć mój uśmiech? Nie. Próbujesz wy-czuć, jak rzucę: pełnym zamachem, trzy czwarte, czy z góry. Czekasz?

Fred kiwa głową.

– Patrzysz?

Fred znów potakuje.

– Okay – mówi St Pierre i rutynowym, krótkim ruchem ramienia wznawia przerwany trening.

Fred trafia pewnie i mocno; piłka szybkim, płaskim lotem szybuje na prawą stronę boiska.

– Tak jest! – woła Święty. – O to chodzi, Fred! – Ociera pot z czoła. – Następny pałkarz!

Dave Mansfield, ciężki, brodaty mężczyzna, wchodzący na boisko w lotniczych ciemnych okularach i rozpiętej pod szyją koszulce z emblematem College World Series (co zastępuje króliczą łapkę), przynosi na mecz Bangor West–Millinocket dużą papierową torbę. W środku jest szesnaście różnobarwnych proporczyków. Na wszystkich, prócz napisu BANGOR, widnieje wizerunek homara i sosny. Gdy megafony, zawieszane na wysokiej drucianej siatce oddzielającej z jednej strony boisko od trybun, wywołują kolejne nazwisko, każdy zawodnik z Bangor sięga do torby trzymanej przez Dave'a, biegnie przez plac gry i wręcza proporczyk swemu przeciwnikowi, noszącemu ten sam numer.

Dave jest hałaśliwym, niezmordowanym facetem, który uwielbia baseball i wszystkie grające dzieciaki. Wierzy, że Mała Liga istnieje z dwóch powodów: by mogły się bawić i wygrywać. Obie przyczyny są ważne, twierdzi, lecz przede wszystkim trzeba zachować właściwe proporcje. Nie przyniósł proporczyków po to, by tą chytrą zagrywką zdenerwować rywali, lecz by dostarczyć im lepszej zabawy. Wie, iż mecz na długo zapadnie w pamięć obu drużyn, i chciałby zostawić malcom z Millinocket jakąś pamiątkę. Proste, prawda?

Zawodnicy Millinocket są szczerze zaskoczeni tym gestem, a gdy ktoś włącza magnetofon z „Gwiazdzistym Sztandarem” w wykonaniu Anity Bryant, nie bardzo wiedzą, co zrobić z proporczykami. Łapacz Millinocket, ledwo widoczny zza ochraniaczy, potrafi sobie poradzić we wzruszający sposób: przyciska proporczyk do serca.

Po wszystkich wstępnych grzecznościach Bangor odnosi błyskotliwe i zdecydowane zwycięstwo – końcowy wynik brzmi: Bangor West 18, Millinocket 7. Przegrana w niczym nie umniejsza wartości pamiątek; gdy zawodnicy Millinocket znikają w autokarze, pod ich ławką zostaje tylko parę papierowych kubków i patyków po lizakach. Proporczyki – co do jednego – zostały zabrane.

– Autuj drugą! – krzyczy Neil Waterman, drugi trener drużyny Bangor. – Dru-
gą! Autuj drugą!

Jest dzień po meczu z Millinocket. Wszyscy zawodnicy uczestniczą w trenin-
gu, lecz to jeszcze normalne. Zwolnienia zaczną się później. Zwykle tak bywa:
rodzice niezbyt chętnie rezygnują z wakacyjnych planów, by pozwolić swym
pociechom grać w Małej Lidze po zakończeniu przypadającej w maju i czerwcu
głównej części sezonu. Czasem same dzieciaki są już zmęczone reżimem trenin-
gów i wolą pojeździć na rowerze, lawirować na deskorolce lub po prostu po-
włóczyć się nad brzegiem miejskiego basenu i pooglądać dziewczyny.

– Autuj drugą! – wydziera się Waterman, mały, żylasty, krótko ostrzyżony
człowieczek w szortach koloru khaki. W prywatnym życiu jest nauczycielem
i szkolnym trenerem koszykówki, lecz tego lata chce udowodnić młodym lu-
dziom, że baseball ma więcej wspólnego z partią szachów, niżby to się zdawa-
ło. „Znaj zagrywkę – powtarza bezustannie. – Patrz, kogo kryjesz. Co więcej,
w każdej sytuacji pamiętaj, kto może cię wyautować, i nie pozwól, by to zro-
bił”. Z niezmaconą cierpliwością ukazuje im prawdę, leżącą u podstaw każdej
gry zespołowej: że częściej używa się głowy niż mięśni.

Ryan Iarrobino, środkowy pola, ciska piłką do Caseya Kinneya z drugiej
bazy. Casey autuje niewidzialnego biegacza, obraca się na pięcie i rzuca na do-
mową, gdzie czeka J.J. Fiddler. Po chwili piłka wraca do Watermana.

– Podwójny aut! – krzyczy Waterman i posyła piłkę do Matta Kinneya (przy-
padkowa zbieżność nazwisk z Caseyem).

Matt stoi dziś na pozycji stopera. Piłka kozłuje i leci na lewe skrzydło. Matt
zbija ją na ziemię, chwytą, podaje do Caseya na drugą; Casey okręca się i rzuca
do Mike’a Arnolda z pierwszej. Potem dostaje ją J.J.

– Nieźle! – woła Waterman. – Dobra robota! Zwłaszcza Matt Kinney! Jeden-
dwa-jeden! Mike Pelkey! Kryjesz!

Imię i nazwisko. Zawsze wymienia imię i nazwisko, by uniknąć nieporozu-
mień. W zespole jest mnóstwo Mattów, Mike’ów i facetów nazwiskiem Kinney.

Akcja wychodzi bezbłędnie. Mike Pelkey, drugi miotacz drużyny, jest na wła-
ściwym miejscu, kryjąc pierwszą bazę. Nie zawsze pamięta o tym manewrze,

lecz teraz mu się udało. Szczęrzając zęby, truchtem wraca na wzgórek, a Neil Waterman szykuje się do kolejnej zagrywki.

– To najlepsza drużyna Małej Ligi, jaką widziałem w ciągu ostatnich dwóch lat – powie Dave Mansfield w parę dni po zwycięstwie zespołu Bangor nad Millinocket. Wciska do ust garść ziaren słonecznika i zaczyna przeżuwać. Gdy mówi, od czasu do czasu wypluwa łupiny. – Myślę, że nikt ich nie pokona. Przynajmniej nie w trzeciej grupie.

Przerywa i patrzy, jak Mike Arnold rzuca się z pierwszej bazy w stronę bazy domowej, chwytając skrócone odbicie i robi szybki obrót. Zamach – lecz piłka zostaje w dłoni. Mike Pelkey wciąż stoi na wzgórkach; tym razem nie pamiętał o kryciu i baza jest niechroniona. Spłoszonym wzrokiem zerka na Dave'a. Potem uśmiecha się promiennie i jest gotów do następnej akcji. W powtórce da sobie radę, lecz co będzie, jeśli się zapomni podczas meczu?

– Rzecz jasna, możemy przegrać na własną prośbę – mruczy Dave. – Tak to zwykle wygląda. – Później, podnosząc głos, huczy: – Mike Pelkey! Gdzie się podziewasz? Miałeś kryć pierwszą!

Mike kiwa głową i biegnie we wskazanym kierunku – lepiej późno niż wcale.

– Brewer – mówi Dave i potrząsa głową. – Na ich boisku. To będzie ciężki mecz. Ci z Brewer zawsze są dobrzy.

Zawodnicy Bangor West nie rozgromili „tych z Brewer”, ale wygrali pierwszy mecz wyjazdowy bez większego wysiłku. Główny miotacz, Matt Kinney, jest w dobrej formie. Nie rzuca z przesadną siłą, lecz jego szybkie piłki podstępnie zmieniają tor lotu, a podkręcane – choć na pozór całkiem przeciętne – też są skuteczne. Ron St Pierre lubi powtarzać, że w całej Ameryce każdy miotacz Małej Ligi jest przekonany, iż potrafi zabójczo podkręcać.

– W rzeczywistości to nie żadna rotacja tylko zwykłe spadanie – mówi. – Pałkarz z odrobiną wyczucia wymiata taką piłkę z boiska.

Matt Kinney jednak umie podkręcać, a dziś wieczór dobrze wyczuwa odległość i autuje ośmiu pałkarzy. Co pewnie ważniejsze, tylko czterem daje bazę darmo. Błędy miotaczy są prawdziwą zmorą trenerów Małej Ligi.

– Zabójstwo – powiada Neil Waterman. – Za każdym razem zabójstwo. Bez wyjątku. W turniejach Małej Ligi sześćdziesiąt procent punktów jest zdobywanych po uporczywych błędach miotacza.

W tym meczu dzieje się inaczej: dwaj pałkarze puszczeni przez Kinneya są zatrzymani na drugiej; dwaj pozostali schodzą z boiska po trzech autach. Zawodnikom z Brewer tylko raz się udaje odbić: Denise Hewes, w obronie grająca na środkowym zapole, w piątej zmianie zalicza pierwszą bazę przy jednym wyautowanym, lecz spada z drugiej.

Gdy spotkanie z wolna przechodzi do historii, Matt Kinney, zwykle poważny i zamknięty w sobie, zdobywa się na uśmiech w stronę Dave'a, błyskając aparatem na zębach.

– Mogła walnąć mocniej! – mówi niemal nabożnie.

– Zaczekaj, aż przyjadą z Hampden – kwaśno odpowiada Dave. – Tam wszyscy walą.

Siedemnastego lipca, podczas wizyty zespołu z Hampden na boisku Bangor West, na tyłach rozlewni coca-coli, szybko się okazuje, że Dave miał rację. Mike Pelkey jest nieco lepszy i bardziej opanowany niż w meczu z Millinocket, lecz nie potrafi niczym zaskoczyć graczy z Hampden. Mike Tardif, silny chłopak, obdarzony niesłychanie szybkim odbiciem, wymiata trzeci narzut Pelkeya na lewe zapole, za ogrodzenie, na dobre dwieście jardów. Home run w pierwszej zmianie. W drugiej Hampden zdobywa jeszcze dwa punkty i obejmuje prowadzenie 3-0.

W trzeciej Bangor West zaczyna odzyskiwać formę. Hampden dobrze rzuca, zadziwiająco dobrze odbija, lecz gra w obronie, szczególnie w polu wewnętrznym, pozostawia nieco do życzenia. Bangor ma trzy dobre odbicia, wykorzystuje pięć błędów i dwukrotnie zalicza bazę darmo, gromadząc dzięki temu siedem punktów. Tak zwykle gra się w Małej Lidze i wspomniany wynik powinien starczyć do zwycięstwa, lecz przeciwnik uparcie brnie dalej, zgarnia dwa punkty w swojej połowie trzeciej zmiany i jeszcze dwa w piątej. Gdy stają na pałce w drugiej połowie szóstej, jest 10-7 dla Bangor.

Kyle King, dwunastolatek, który rozpoczął mecz jako miotacz drużyny Hampden, a w piątej zmianie zastąpił łapacza, na odbiciu od razu zalicza drugą bazę. Potem Mike Pelkey trzema strajkami autuje Mike'a Tardifa. Mike Wentworth, nowy miotacz Hampden, po krótkim odbiciu zdobywa pierwszą. Obaj, King i Wentworth, idą do przodu przy źle wymierzonym narzucie, lecz muszą stanąć, gdy Jeff Carson odbija piłkę po ziemi wprost do miotacza. Na odbicie wychodzi Josh Jamieson, jeden z pięciu graczy Hampden zdolnych wybić piłkę na home run. Dwóch biegaczy na bazach, dwa auty. Josh ma szansę zamknąć ostatnią wolną bazę. Mike, choć wyraźnie zmęczony, potrafi jeszcze coś z siebie wykrześć i przy stanie jeden-dwa autuje pałkarza. Gra skończona.

Dzieciaki stają w szeregu i uświęconym zwyczajem klepią się w wysoko uniesione dłonie, lecz dobrze widać, iż nie tylko Mike odczuwa trudy meczu; obwisłe ramiona i ciężko zwieszona głowa nie pasują do wizerunku zwycięzców. Bangor West prowadzi trzema punktami w tabeli rozgrywek, lecz w ostatnim spotkaniu wygrana przyszła fuksem. To jedna z cech, jakie czynią z meczów Małej Ligi ekscytujące widowisko, które szarpie nerwy widzów, trenerów i samych zawodników. Zwykle dobra obrona drużyny Bangor popełniła dziś wieczór około dziewięciu błędów.

– Nie spałem całą noc – mruczy Dave podczas treningu dzień później. – Do diaska, górowali nad nami. Mogliśmy przegrać.

Po dwóch dniach znajduje nowy powód do zmartwień. On i St Pierre jadą sześć mil do Hampden, by popatrzeć, jak Kyle King i jego koledzy radzą sobie z zespołem z Brewer. Nie chodzi o zwiad; Bangor grał już z obydwoma klubami i trenerzy poczynili wystarczającą ilość notatek. Dave przyznaje, że w duchu oczekiwał, iż Brewer złapie wiatr w żagle i wygra z Hampden. Nic z tego. To, na co patrzą, nie przypomina gry w baseball, lecz ćwiczenia strzeleckie.

Josh Jamieson, wystrajkowany niedawno przez Mike'a Pelkeya, wali home run nad wszystkim, aż na boisko treningowe. Nie koniec na tym. Carson zalicza jeden, Wentworth jeden, Tardif dwa. Ostateczny wynik: Hampden 21, Brewer 9.

W drodze powrotnej do Bangor Dave Mansfield wciąż zuje słonecznik i pra-

wie się nie odzywa. Odrywa oczy od szosy dopiero wówczas, gdy jego stary zielony chevrolet wjeżdża na parking na tyłach rozlewni coca-coli.

– We wtorek mieliśmy kupę szczęścia – mówi. – Wiedzą o tym. Gdy pojedziemy tam w czwartek, będą czekali.

Boiska, na których drużyny trzeciej grupy rozgrywają swe małe dramaty w sześciu odsłonach, mają mniej więcej te same wymiary, różniące się tu i ówdzie może o stopę. Każdy trener nosi w tylnej kieszeni spodni zbiór przepisów i nie waha się z niego korzystać. Dave lubi powtarzać, że nigdy nie zaszkodzi sprawdzić. Pole wewnętrzne to kwadrat o boku sześćdziesięciu stóp, a przy jednym z jego narożników mieści się baza domowa. Zgodnie z przepisami siatka ochronna musi być ustawiona co najmniej dwadzieścia stóp za nią, by w razie złego narzutu dać równe szanse łapaczowi i biegaczowi z trzeciej. Ogrodzenie zewnętrzne powinno być oddalone o dwieście stóp od miejsca wybicia. Na boisku Bangor West wspomniany wymiar wynosi dwieście dziesięć. W Hampden, gdzie grają tacy mocarze jak Tardif i Jamieson, tylko sto osiemdziesiąt.

Jedyna nienaruszalna odległość jest jednocześnie najważniejszą: chodzi o dystans od deski miotacza do miejsca wybicia.

Czterdzieści sześć stóp – ni mniej, ni więcej. Podczas mierzenia nikt nie powie: „No, starczy. Może tak zostać”. Dla wielu drużyn Małej Ligi owe czterdzieści sześć stóp stanowi o życiu lub śmierci.

Poza tym boiska trzeciej grupy bardzo się różnią i już na pierwszy rzut oka widać, czy społeczność danego miasteczka interesuje się rozgrywkami. Boisko w Bangor West jest w kiepskim stanie – wciąż pomijane przez radę miejską przy planowaniu wydatków na rekreację. W czasie deszczu gliniaste podłoże zmienia się w grząską zupę, latem, zwłaszcza tak upalnym jak tegoroczne, staje się twarde jak beton. Częste spryskiwanie pozwala zachować trawę na zapolu, choć pole wewnętrzne przyprawia o rozpacz. Skąpa zieleń porasta linie boczne, lecz przestrzeń między wzgórkami miotacza i bazą domową jest całkiem łąsa. Z tyłu zwisa zardzewiała siatka; źle narzucane piłki często wypadają poza plac gry, gdyż tuż nad ziemią ziele szeroka dziura. Dwie spore, pomarszczone sterty

piachu ciągną się przez środek i prawą część placu. To zresztą w czasie spotkań działa na korzyść gospodarzy. Drużyna Bangor West nauczyła się grać na werstepach równie dobrze jak skrzydłowi Red Soxów na nierównościach Green Monster. Goście z reguły biegną za kozłującą piłką pod samo ogrodzenie.

Boisko w Brewer, wciśnięte między miejscowy sklep IGA i komis Mardena, dzieli plac z czymś, co pretenduje do miana najstarszego i najbardziej zardzewiałego ogródka jordanowskiego w Nowej Anglii; młodszy bracia i siostry obserwują mecze, zwisając z rozmaitych drabinek, z głowami przy ziemi i nogami wycelowanymi w niebo.

Bob Beal Field, w Machias, z polem wewnętrznym upstrzonym drobnymi kamieniami, jest bez wątpienia najgorszym boiskiem, na jakim w tym roku przyszło grać drużynie z Bangor; Hampden, z wypieszczonym zapolem i miękką nawierzchnią pola wewnętrznego – najlepszym. Za ogrodzeniem ma znakomite miejsce na piknik, obok pobudowano snack-bar oferujący chwilę odpoczynku, słowem – prawdziwy stadion, chociaż na tyłach VFW. Ktoś mógłby sądzić, że grają tam tylko dzieciaki z zamożnych rodzin. Nic bardziej mylnego. Część zawodników dojeżdża z Newburgh, z wioski, gdzie wciąż nie brak małych gospodarstw utrzymujących się z uprawy roli. Przyjeżdżają na mecze starymi, rozklekotanymi samochodami, z których niejeden ma zaciągniętą minią blachę wokół reflektorów i powiązane drutem chlapacze. Chłopcy opaleni od pracy w polu, nie podczas zabaw na miejscowym basenie. Dzieciaki z miasta, dzieciaki ze wsi. Z chwilą gdy włożą dresy, przestaje być ważne, skąd pochodzą.

Dave ma rację: kibice Hampden-Newburgh już czekają. Bangor West po raz ostatni wygrało grupę trzecią Małej Ligi w 1971; drużyna z Hampden nigdy nie dotarła na szczyt tabeli i wielu wciąż ma nadzieję, że mimo wcześniejszej porażki dokona tego w tym roku. Zawodnicy z Bangor naprawdę czują, że przyjdzie im grać na wyjeździe; na boisko przybywa duża i hałaśliwa grupa miejscowych fanów.

Mecz rozpoczyna Matt Kinney. Hampden wystawia Kyle'a Kinga i spotkanie dość szybko przekształca się w niezwykle rzadki w rozgrywkach Małej Ligi, fa-

scynujący pojedynek miotaczy. Pod koniec trzeciej zmiany wynik brzmi 0-0.

W drugiej połowie czwartej Bangor zdobywa dwie bazy, gdyż Hampden znów zaczyna się sypać w defensywie. Owen King, w obronie Bangor grający na pierwszej, staje na pałce. Dwóch biegaczy na bazach, jeden aut. Dwaj Kingowie, Kyle z Hampden i Owen z Bangor West nie są krewniakami. Widać to zresztą na pierwszy rzut oka. Kyle King ma nie więcej niż pięć stóp i trzy cale wzrostu. Owen, sześć stóp, dwa cale, wygląda przy nim jak wieża. Różnice wzrostu wśród zawodników Małej Ligi są tak znaczne, że można dostać oczopłasu.

King z Bangor bije piłką po ziemi w stronę stopera. Sytuacja wprost wymarzona na podwójne autowanie, lecz stoper Hampden ma kłopoty z łapaniem, a King wprawia w ruch swe dwustufuntowe ciało i dobija do pierwszej bazy. Mike Pelkey i Mike Arnold zaliczają punkty.

Później, w pierwszej połowie piątej zmiany, zmęczony Matt Kinney trafia piłką Chrisa Witcomba, ósmego pałkarza z Hampden. Jako dziewiąty wychodzi Brett Johnson. Odbija w stronę stojącego na drugiej bazie Casey Kinneya. Znów okazja do podwójnego autowania, lecz Casey nie daje rady. Odruchowo opuszcza ręce, lecz zamiera w bezruchu, nie dotykając ziemi, i obraca w bok głowę, by uchronić twarz przed koziółkującą piłką. To najczęstszy błąd zawodników pola Małej Ligi, choć jednocześnie łatwy do zrozumienia: typowy odruch samoobrony. Casey rzuca zbolące spojrzenie na Dave'a i Neila, a piłka kończy swój balet w środku zapola.

– W porządku, Casey! Następnym razem będzie lepiej! – huczy Dave swym głębokim basem urodzonego jankesa.

– Nowy pałkarz! – krzyczy Neil, całkiem nie zwracając uwagi na minę Casey. – Nowy pałkarz! Wiecie, co robić! Wciąż prowadzimy! Autować! Skupcie się na autowaniu!

Casey, nieco uspokojony, wraca do gry, lecz w tej samej chwili, za ogrodzeniem, zaczynają wycie Klaksony Hampden. Na parkingu jest tylko kilka nowoczesnych samochodów – toyoty, hondy i jakiś mały, kłapiący dodge colt z naklejonymi na zderzaki napisami USA PRECZ Z AMERYKI ŚRODKOWEJ i ROZ-

ŁUPUJCIE DREWNO NIE ATOM. Reszta Klaksonów to stare auta i półciężarówki. Niejedna z nich ma mocno zardzewiałe drzwiczki, tranzystor podłączony pod deskę rozdzielczą i kempingową nadbudówkę nad szoferką. Kto siedzi w środku i hałasuje? Nie wiadomo. Na pewno nie rodzice i krewni graczy z Hampden; ci (plus szerokie grono umazanych lodami młodszych sióstr i braci) są na trybunach, zwłaszcza od strony trzeciej bazy, gdzie ustawiono ławkę rezerwową. Może jacyś faceci, którzy po wyjściu z pracy postanowili popatrzeć na mecz przed wychyleniem paru piwek w sąsiednim lokalu VFW? A może duchy dawnych graczy Małej Ligi, spragnione, by Hampden wywalczyło w końcu tytuł mistrza stanu? To możliwe: w jazgocie Klaksonów jest coś dziwnego i niesamowitego. Jęczą na zmianę – to wysoko, to nisko, czasem wycie zamiera, gdyż akumulatorom nie starcza prądu. Zawodnicy Bangor z niepokojem spoglądają na parking.

Tuż za siatką ekipa lokalnej stacji telewizyjnej rozkłada sprzęt, by nakręcić migawkę do sportowej części dziennika o jedenastej. To powoduje lekkie poruszenie wśród widzów, lecz zawodnicy Hampden na ogół nie patrzą w tę stronę. Matt Kinney jest zainteresowany czymś innym. Całą uwagę skupił na kolejnym pałkarzu. Matt Knaide stuka końcem aluminiowej pałki w podeszwę buta i zajmuje miejsce w polu wybiecia.

Klaksony zamilkły. Matt Kinney windupem przygotowuje się do narzutu. Casey Kinney staje na prawo od drugiej bazy i nisko opuszcza rękawicę. Z jego miny wyraźnie widać, że tym razem nie będzie krył twarzy przed nadlatującą piłką. Biegacze Hampden z napięciem stoją na pierwszej i drugiej. (W meczach Małej Ligi nie wolno skracać wybiegu). Widzowie usadowieni po obu stronach boiska z napięciem patrzą na pole gry. Cichną rozmowy. Baseball w najlepszym wydaniu (a to naprawdę dobry mecz, wart wszystkie pieniądze) jest grą, w której długie chwile wypoczynku przerywane są nagłym ostrym wdechem. Kibice wiedzą, że zaraz nadejdzie ten moment. Matt Kinney unosi rękę i rzuca.

Knaide odbija pierwszy narzut nad drugą bazą, zalicza bieg i wynik brzmi 2-1. Miotacz Hampden, Kyle King, staje na pałce i odsyła piłkę niskim, świszczącym lotem z powrotem na wzgórek. Trafia Kinneya w prawą goleń. Chłopak in-

stynktownie próbuje złapać piłkę, lecz ta umyka w dziurę między stoperem i trzecią bazą, a Matt, który dopiero teraz poczuł ból w nodze, zaczyna się związać. Wszystkie bazy zajęte, lecz nikt o tym nie myśli; w chwili gdy sędzia unosi ręce, sygnalizując przerwę, wszyscy zawodnicy Bangor biegną do Kinneya. W dali, za boiskiem, słychać triumfalne wycie Klaksonów.

Kinney jest bardzo blady; na pewno go boli. Z apteczki przechowywanej w snack-barze przynoszą kompres. Po chwili Matt może już wstać i wsparty na ramionach Dave'a i Neila kuśtyka na skraj placu. Kibice żegnają go głośnym i współczującym aplauzem.

Owen King, do tej pory stojący na pierwszej bazie, staje się nowym miotaczem zespołu i od razu musi się zmierzyć z Tardifem. Wchodzącego pałkarza wita krótki, wyczekujący ryk Klaksonów. Trzeci rzut Kinga mija łapacza i piłka grzęźnie w siatce. Brett Johnson rzuca się w stronę bazy domowej. King, jak go uczono, biegnie ze wzgóрка w tę samą stronę. Stojący przy ławce Neil Waterman, wciąż ściskający ramiona Matta Kinneya, krzyczy:

– Krycie! Krycie! Krycie!

Joe Wilcox, łapacz Bangor, jest stopę niższy od Kinga, lecz nie zbywa mu na szybkości. Na początku sezonu nie bardzo chciał być łapaczem. Wciąż nie jest zadowolony, choć zdołał już do tego przywyknąć i trwa na pozycji, na której gracze słabszej postury nie wytrzymują zbyt długo; nawet w Małej Lidze przeciętny łapacz przypomina wyglądem słoik Wecka. Joe nieco wcześniej wykonał zadziwiającą sztuczkę, wyłapując z powietrza złe odbicie. Teraz skacze w kierunku siatki, wolną ręką zrywa z twarzy maskę i niemal w tej samej chwili nakrywa rękawicą powracającą piłkę. Odwraca się do bazy i rzuca do Kinga, choć chór Klaksonów pieje wniebogłosy – przedwczesny, jak się okazało – hymn triumfu.

Johnson zwalnia. Robi minę jak Casey Kinney, gdy puścił turlającą się piłkę. W jego oczach pojawia się strach i zwątpienie; to twarz chłopca, który w tej chwili wolałby znaleźć się gdzieś indziej. Gdziekolwiek indziej. Nowy miotacz blokuje mu drogę do bazy.

Johnson bez przekonania składa się do ślizgu. King odbiera podanie Wilcoxa,

obraca się z zadziwiającą gracją i bez trudu autuje bezradnego Johnsona. Nieśpiesznie wraca na wzgórek, ociera pot z czoła i staje ponownie naprzeciw Tardifa. Klaksony milczą.

Tardif odbija krótko w stronę trzeciej bazy. Kevin Rochefort, obrońca Bangor, w odpowiedzi daje krok w tył. Odbicie jest łatwe do wyłapania, lecz chłopak porusza się niezbyt pewnie i przez chwilę widać, że wypadek Matta wywarł wyraźne wrażenie na wszystkich członkach drużyny. Piłka niknie w rękawicy Rocheforta, po czym z niej wyskakuje, gdyż Kevin – przezwany kiedyś przez Moore'a mało szacowanym mianem „Roach Clip” – nie zdążył zacisnąć palców. Knaide, który przebiegł na trzecią, gdy King i Wilcox walczyli z Johnsonem, już ruszył po punkt. Rochefort mógłby go wyautować, gdyby miał piłkę w dłoni, lecz tu – jak u zawodowców – baseball jest grą, gdzie często powtarza się „gdyby”, a o zwycięstwie decyduje najczęściej różnica kilku cali. Rochefort nie złapał piłki z powietrza, więc nerwowo rzuca na pierwszą. Źle. Stojący tam Mike Arnold jest jednym z najlepszych obrońców, lecz nikt nie dał mu szcudeł. Tardif tymczasem wpada na drugą. Pojedynek miotaczy przybiera typową formę dla spotkań Małej Ligi, a Klaksony osiągnęły radosną kakofonię. Buty gospodarzy stukają o bazę domową; wynik końcowy brzmi 9-2 dla Hampden. Mimo to gracze z Bangor mają co najmniej dwa powody do radości: Matt Kinney nie odniósł poważniejszych obrażeń, a Casey Kinney w końcowych zmianach spisywał się bardzo dzielnie i wyłapał trudną piłkę.

Po ogłoszeniu wyniku zawodnicy z Bangor truchtem zbiegają z boiska i siadają na ławce. To ich pierwsza przegrana i niektórzy nie bardzo wiedzą, jak ją przyjąć. Z niechęcią rzucają rękawice pod nogi, na zakurzone trampki. Któryś pochlipuje, oczy szklą się łzami, nikt nic nie mówi. W ów parny, czwartkowy wieczór w Hampden nawet dowcipniś Freddy nie ma ochoty do żartów. Za ogrodzeniem wciąż wesoło podśpiewuje kilka Klaksonów.

Pierwszy zabiera głos Neil Waterman. Każe chłopcom unieść głowy i spojrzeć na niego. Trzech robi to od początku: Owen King, Ryan Iarrobino i Matt Kinney. Tylko połowa budzi się z letargu, inni – wśród nich Josh Stevens, wyautowany jako ostatni, wciąż są zainteresowani własnymi butami.

– Głowy w górę – powtarza Waterman. Mówi ciut głośniejsze, lecz bez gniewu, i wreszcie ściąga uwagę wszystkich zawodników. Rozegraliście bardzo dobre spotkanie – oświadcza miękko.

– Fakt, było trochę zamieszania i przeciwnicy umieli to wykorzystać. Zdarza się. Nie znaczy to jednak, że są lepsi, choć naprawdę poznamy ich dopiero w sobotę. Dziś przegraliście tylko mecz baseballu. Jutro znów będzie świecić słońce.

Na ławce zaczyna się drobne poruszenie; stare kazanie nic nie straciło ze swej kojącej siły.

– Daliście dziś z siebie wszystko, a tego właśnie oczekiwaliśmy. Jestem z was dumny i wy także macie powód do dumy. Nie stało się nic takiego, czym moglibyście zaprzętać sobie głowy.

Schodzi w bok, by zrobić miejsce Mansfieldowi. Dave spogląda na drużynę. Gdy zaczyna mówić, jego zwykle donośny głos staje się jeszcze cichszy niż głos Watermana.

– Jadąc tu, wiedzieliśmy, że muszą nas pokonać, prawda? – pyta. Cedzi słowa z zadumą, jakby mówił do siebie.

– Przegrana odbierała im wszelkie szanse. W sobotę przyjadą do nas. W tym dniu to właśnie my musimy zwyciężyć. Chcecie?

Wszystkie głowy zwrócone są w jego stronę.

– Dobrze zapamiętajcie słowa Neila – ciągnie Dave tym samym refleksyjnym tonem, tak różnym od tubalnego pokrzykiwania na treningach. – Jesteście drużyną. To znaczy, że macie się kochać. Kochać, gdy wygrywacie i gdy staniecie w obliczu porażki. To stanowi o sile drużyny.

Gdy pierwszy raz ktoś powiedział tym chłopcom, że na boisku mają się kochać, rozległ się zduszony chichot. Teraz nikt się nie śmieje. Po doświadczeniach z Klaksonami coś zrozumieli. Przynajmniej trochę.

Dave jeszcze raz na nich patrzy, po czym kiwa głową.

– No dobrze. Zbieramy manele.

Podnoszą pałki, kaski, ochraniacze i rękawice i upychają wszystko do płóciennych worków. Nim cały sprzęt zniknie w starej zielonej półciężarówce

Dave'a, wraca dawna wesołość.

Dave żartuje wraz z nimi, choć w drodze powrotnej wcale mu nie jest do śmiechu. Czas wlecze się niemiłosiernie.

– Nie wiem, czy pokonamy ich w sobotę – mówi Dave tym samym zamyślnym tonem co na boisku. – Chcę wygrać, ale oni też chcą. Nie wiem. Mo przeszło na stronę Hampden.

„Mo” to oczywiście *momentum*, rozpęd – owa tajemnicza siła, która potrafi uskrzydlić drużynę nie tylko w jednym meczu, lecz nawet podczas całego sezonu. Wszyscy baseballiści, niezależnie od wieku i klasy, są przesądni, a drużyna z Bangor z sobie tylko wiadomych powodów obrała za swój talizman plastikowy bucik dla lalki – prezent od jednego z najmłodszych kibiców. Maskotkę nazwali Mo. Na meczu wtykają ją w siatkę w pobliżu ławki rezerwowych, a każdy pałkarz nabożnie muska ją palcem przed wyjściem na boisko. Na co dzień opiekuje się nią Nick Trzaskos, lewoskrzydłowy zapola. Dziś po raz pierwszy zapomniał zabrać talizman.

– Nick, pamiętaj wziąć Mo w sobotę – ponuro mruczy Dave.

– Choć nawet wówczas. – Kręci głową. – Po prostu nie wiem.

Na mecze Małej Ligi nie obowiązują bilety wstępu; zabraniają tego przepisy. Ale za to w czasie czwartej zmiany jeden z graczy chodzi wśród widzów z czapką, zbierając datki na zakup sprzętu i utrzymanie boiska. W sobotę, podczas spotkania Bangor West–Hampden, kończącego tegoroczny sezon rozgrywek hrabstwa Penobscot, widać wyraźny wzrost zainteresowania rozwojem Małej Ligi. Na meczu Bangor–Millinocket zebrano piętnaście dolarów i czterdzieści pięć centów; w sobotę przed rozpoczęciem piątej zmiany czapka jest pełna monet i pogniecionych banknotów. Dziewięćdziesiąt cztery dolary i dwadzieścia pięć centów. Trybuny są pełne, tłum stoi przy ogrodzeniu, na parkingu nie ma wolnego miejsca. Mała Liga pod jednym względem ma wiele wspólnego z amerykańskim sportem zawodowym oraz biznesem: najlepszą drogą do sukcesu jest sukces.

Bangor zaczyna dobrze – po trzeciej zmianie prowadzi 7-3 – lecz później

znów zaczyna się gubić. W czwartej Hampden zdobywa sześć punktów, przeważnie wskutek uprzejmości obrońców. Gracze z Bangor nie pękają, by użyć wyrażenia Neila Watermana, lecz gdy wchodzi na pałkę w drugiej połowie szóstej zmiany, przegrywają 14-12. Porażka jest bardzo blisko, a to oznacza eliminację z dalszej części mistrzostw. Mo tkwi na zwykłym miejscu, ale drużynę z Bangor dzielą zaledwie trzy auty od definitywnego końca sezonu.

Jednym z chłopców, którzy nie opuścili smętnie głowy po przegranej 9-2 w Hampden, był Ryan Iarrobino. Na wybiciu stawał trzykrotnie, dwa razy odbił, grał dobrze i zbiegł z boiska w poczuciu nieźle spełnionego obowiązku. Małomówny, o szerokich ramionach i gęstej ciemnej czuprynie. Jeden z dwóch urodzonych sportowców w drużynie Bangor. Drugi to Matt Kinney. Choć fizycznie bardzo się różnią – Kinney jest szczupły i dość niski, a Iarrobino wysoki i muskularny – posiadają cechę nieczęsto spotykaną u chłopców w ich wieku: zaufanie do własnego ciała. Inni zawodnicy, nawet najbardziej utalentowani, wciąż traktują swe stopy, ręce i dłonie jak szpiegów i potencjalnych zdrajców.

Iarrobino należy do tych, którzy w dresie i na boisku są po prostu u siebie. Wkłada kask pałkarza bez obawy, że będzie wyglądał niczym przygłup w matczynym rondlu. Matt Kinney czekający na wzgórk i gotów do rzutu piłką zadziwiająco pasuje do danego miejsca i czasu. Iarrobino, gdy staje w miejscu wybicia i na moment wskazuje miotacza końcem pałki, nim zastygnie w wyczekującej pozycji, dzierżąc bijak nad prawym ramieniem, też odnajduje swe powołanie. Już przed pierwszym narzutem wygląda jak wrośnięty w ziemię; można by przeciągnąć idealnie prostą linię od jego ramienia do biodra, a potem aż do kolana. Matt Kinney został stworzony, by rzucać piłką. Ryan Iarrobino – po to, by ją odbijać.

Ostatnia szansa dla Bangor West. Jeff Carson z Hampden, którego home run w czwartej zmianie odwrócił koleje meczu, i który zmienił Mike'a Wentwortha na wzgórk miotacza, schodzi, zastąpiony przez Mike'a Tardifa. W polu wybicia staje Owen King. Ma trzy bole i dwa strajki (raz niepotrzebnie machnął pałką, gdy piłka szorowała po ziemi), lecz czwarty, minimalny bol daje mu bazę

darmo. Po nim wchodzi Roger Fisher, grający w ataku zamiast Freda Moore'a, który zdecydowanie nie lubi walczyć samotnie. Roger to drobny chłopiec, o hinduskich ciemnych oczach i czarnych włosach. Wygląda niewinnie, lecz nie należy ufać pozorom; potrafi mocno uderzyć. Dziś jednak nie daje rady i spada po trzech strajkach.

Obrońcy Hampden wiercą się po boisku i spoglądają po sobie. Wiedzą już, że zwycięstwo mają w zasięgu ręki. Parking jest zbyt daleko, by zabrzmiał koncert Klaksonów, ale kibice gości zdzierają gardła do bólu. Dwie panie w szkarłatnych czapkach drużyny, stojące za ławką rezerwowym, ściskają się z entuzjazmem. Inni przypominają sprinterów pochylonych nad bieżnią w oczekiwaniu na strzał startera; na pewno rzucą się na boisko, kiedy ich chłopcy rozgromią Bangor.

Joe Wilcox, ten, który kiedyś nie chciał być łapaczem, lecz do dziś gra w obronie na tej pozycji, odbija krótko, przez środek, na lewą część zapola i dochodzi do pierwszej. King zatrzymuje się na drugiej. Na palce staje Arthur Dorr, prawoskrzydłowy Bangor i właściciel najstarszych trampek na świecie. Dziś jeszcze nie zdołał odbić żadnego rzutu. Teraz mu się udaje, lecz piłka leci wprost na stopera, który nawet nie musi się zbyt ruszać z miejsca, by ją złapać. Stoper podaje na drugą w nadziei, że zdoła przyłapać Kinga za bazą, lecz nie ma szczęścia. Tak czy inaczej, dwa auty.

Kibice z Hampden wrzeszczą coraz głośniejsze. Panie zza ławki podskakują z uciechy. Gdzieś z daleka dochodzi porykiwanie paru Klaksonów, chyba nieco przedwcześnie, o czym wie każdy, kto widzi twarz Tardifa. Miotacz ociera czoło i zaciska piłkę w rękawicy.

W polu wybiecia pojawia się Ryan Iarrobino. Umie odbijać szybkim, naturalnym i precyzyjnym ruchem; nawet Ron St Pierre rzadko go musi poprawiać.

Za pierwszym razem nie trafia. To najmocniejszy narzut Tardifa w tym meczu – piłka ląduje w rękawicy Kyle'a Kinga z trzaskiem przypominającym strzał z karabinu. Druga próba kończy się bólem. King oddaje piłkę; Tardif medytuje przez chwilę, potem rzuca nisko i szybko. Ryan stoi bez ruchu, a sędzia ogłasza drugi strajk. Być może przeleciała nad zewnętrzną krawędzią bazy. Decyzja ar-

bitra i tak jest ostateczna.

Wśród kibiców obu drużyn zapada cisza. Milczą trenerzy. Nie ma nikogo, prócz Tardifa i Iarrobino, balansującego przed ostatnim strajkiem i ostatnim autem, w ostatnim meczu dla jednej z drużyn. Twarze chłopców dzieli odległość czterdziestu sześciu stóp. Lecz Iarrobino nie patrzy na twarz Tardifa. Obserwuje jego rękawicę, a ja słyszę Rona St Pierre'a udzielającego lekcji Fredowi: „Próbujesz wyczuć, jak rzucę – pełnym zamachem, trzy czwarte, czy z góry”.

Iarrobino wciąż czeka. Gdy Tardif przygotowuje się do narzutu, słychać cichutkie puk-puk-puk piłeczek tenisowych na pobliskim korcie, lecz tu panuje głucho milczenie. Cienie graczy kładą się na boisku niczym sylwetki wycięte z czarnej tektury. Iarrobino czeka.

Rzut idzie z góry. Nagle Iarrobino jest w pełnym ruchu, kolana i lewy łokieć lekko ugięte, metalowa pałka błyska w słońcu. Charakterystyczny stuk skóry uderzającej o aluminium – jakby ktoś puknął łyżeczką w cynowy kubek – brzmi tym razem inaczej. Zupełnie inaczej. Nie „brzdęk”, lecz „trzask” i piłka szybuje w niebo, nad lewą częścią zapola – dalekie odbicie, wysokie, długie i piękne w blasku późnego popołudnia. Piłkę wyjęto potem spod samochodu stojącego o dwieście siedemdziesiąt pięć stóp od bazy domowej.

Dwunastoletni Mike Tardif jest zdumiony i zaszokowany. Rzuca okiem na rękawicę, jakby wiedziony nadzieją, że wciąż trzyma piłkę i że niewiarygodne odbicie Ryana przy dwóch strajkach i dwóch autach okaże się tylko strasznym, ulotnym snem. Kobiety stojące za ławką spoglądają na siebie z niedowierzaniem. Przez chwilę nikt się nie odzywa. Potem następuje wybuch dzikiej radości i wszyscy gracze Bangor zrywają się z miejsc, by przy bazie domowej czekać na biegnącego Ryana. Tylko dwóch zawodników ma pełną świadomość tego, co się stało. Jednym jest Ryan. Gdy dociera do pierwszej bazy, unosi ręce do ramion, w krótkim, lecz wyrazistym geście triumfu. A kiedy Owen King, jako pierwszy z trzech biegaczy wpada na bazę domową, co jest początkiem końca marzeń drużyny Hampden o grze w mistrzostwach stanu, gorzka prawda dociera do Mike'a Tardifa. Po raz ostatni stojąc na wzgórkach miotacza jako zawodnik Małej Ligi, wybucha płaczem.

– Trzeba pamiętać, że mamy do czynienia z dwunastolatkami – powtarza od czasu do czasu jeden z trzech trenerów i za każdym razem słuchacze wiedzą, że każdy z nich – Mansfield, Waterman, czy St Pierre – mówi to przede wszystkim do siebie.

– Kochamy was, gdy jesteście na boisku, i wy także musicie się kochać – wciąż tłumaczy swym podopiecznym Waterman. Po upragnionym zwycięstwie 15-14 nad Hampden, gdy wszyscy poznali prawdziwe znaczenie wyrazu „miłość”, jego słowa nie budzą już sztubackiej wesołości.

– Od dziś – ciągnie – będę dla was twardy. Bardzo twardy. Gdy gracie, możecie być pewni, że całym sercem jestem z wami, lecz podczas treningów nikt nie pozna, jak głośno potrafię krzyczeć. Jeśli któryś coś spaprze, z miejsca powędruje na ławkę. Jeśli ktoś nie wykona moich poleceń, też czeka go posiedzenie. Koniec laby, panowie. Zaczynamy prawdziwą robotę.

Kilka dni później, w czasie wieczornych ćwiczeń strzela piłką na prawo. Arthur Dorr omal nie traci nosa. Pewnie sprawdzał, czy ma zapięty rozporek lub dobrze zawiązane sznurowadła. Albo wymyślił jeszcze coś innego.

– Arthur! – wrzeszczy Waterman, a Dorr na dźwięk jego głosu podskakuje jeszcze wyżej niż przed chwilą, gdy piłka śmignęła mu koło twarzy. – Do mnie! Na ławkę! Natychmiast!

– Ale... – próbuje chłopak.

– Do mnie! – nie ustępuje Neil. – Grzejesz ławę!

Arthur ze spuszczoną głową potulnie schodzi z boiska, a jego miejsce zajmuje J.J. Fiddler. Parę dni potem Nick Trzaskos traci swoją szansę, gdyż w pięciu próbach nie potrafi wykonać dobrego skrót. Czerwony jak burak zajmuje miejsce na ławce.

Kolejnym przeciwnikiem drużyny z Bangor będzie Machias, zwycięzca grupy obejmującej hrabstwa Aroostook i Washington. W tej fazie rozgrywek liczą się dwa wygrane z trzech meczów, a najlepszy zespół zdobywa miano mistrza grupy trzeciej. Pierwsze spotkanie odbędzie się w Bangor, na tyłach rozlewni coca-coli, drugie – w Machias na Bob Beal Field. Ostatni mecz, jeśli okaże się potrzebny, zostanie rozegrany na neutralnym terenie, gdzieś między obydwoma

miastami.

Jak obiecał Waterman, nastawienie trenerów zmienia się radykalnie, gdy odegrano hymn i sędzia ogłasza początek pierwszego meczu.

– Nic się nie stało! Grać dalej! – krzyczy Dave Mansfield, gdy Arthur Dorr nie wyłapuje odbicia na prawo i piłka ląduje za nim. – Autować! Grać z brzucha! Po prostu autować! – Nikt nie wie dokładnie, co znaczy „grać z brzucha”, lecz wszyscy pilnie słuchają, skoro to ma zapewnić zwycięstwo.

Trzeci mecz z Machias nie będzie potrzebny. W pierwszym Matt Kinney rzuca jak automat i ustala wynik na 17-5 dla Bangor. Wygrać drugi jest nieco trudniej, głównie ze względu na kiepską pogodę. Letnia ulewa powoduje przełożenie spotkania, a to oznacza, że zawodnicy z Bangor jeszcze raz muszą odbyć podróż do Machias, by walczyć o tytuł. Mecz rozgrywają dwudziestego dziewiątego lipca. Drugi miotacz, Mike Pelkey wyjeżdża wraz z rodzicami do Orlando, do Disney Worldu, przez co drużyna traci trzeciego zawodnika, lecz Owen King spokojnie zajmuje jego miejsce i pozwala rywalom odbić zaledwie pięć razy, autując ośmiu pałkarzy. Zmęczony, w szóstej zmianie wpuszcza Mike’a Arnolda. Bangor wygrywa 12-1 i jest nowym mistrzem grupy trzeciej.

W takich chwilach zawodowcy wracają do klimatyzowanej szatni i leją sobie na głowy strugi szampana. Gracze Bangor jadą do „Helen’s”, najlepszej (a może jedynej) restauracji w Machias, by uczcić zwycięstwo hot dogami, hamburgerami, galonami pepsi-coli i górą frytek. Patrząc na roześmianą i hałaśliwą gromadkę, strzelającą przez słomki kulkami ze zwiniętych papierowych serwetek, nie sposób się oprzeć refleksji, iż może już wkrótce odkryją mniej bez troskie sposoby świętowania.

Na razie wszystko jest w porządku – wręcz cudownie. Nikt niepotrzebnie nie chełpi się sukcesem, wszyscy są po prostu szczęśliwi, niewiarygodnie szczęśliwi i... razem. Nawet jeżeli tego lata zostali zaczarowani, nic nie wiedzą i nikt jak dotąd nie był na tyle okrutny, by im o tym powiedzieć. Na razie mają świadomość, że mogą do woli korzystać ze smażonych przysmaków kuchni „Helen’s”. To wystarczy. Wygrali grupę; mistrzostwa stanu, podczas których bogatsze

i lepsze drużyny z gęściej zaludnionych obszarów na pewno im dadzą popalić, rozpoczynają się dopiero za tydzień.

Ryan Iarrobino zmienił się w cysterne. Arthur Dorr wysmarował keczupem cały policzek. A Owen King, który siał popłoch wśród pałkarzy z Machias, potężnym zamachem ramienia rzucając szybkie piłki przy stanie 2-0, bulgocze słomką w kubku pepsi. Nick Trzaskos, najniezwyklejszy chłopak świata, gdy rzeczy dzieją się nie po jego myśli, dziś promienieje niekłamaną radością. Cemu nie? Jest ich przecież dwunastu i wszyscy są zwycięzcami.

Czasem nie dają o sobie zapomnieć. Za pierwszym razem, po odwołaniu meczu z powodu deszczu, gdzieś w połowie drogi powrotnej J.J. Fiddler zaczyna się wiercić na tylnym siedzeniu samochodu.

– Muszę wysiąść – mówi. Przyciska ręce do podołka i dodaje rozpaczliwie: – Naprawdę muszę. Tym razem to poważna sprawa.

– J.J. zaraz to zrobi! – ze śmiechem woła Joe Wilcox.

– Patrzcie! Zatopi samochód!

– Zamknij się, Joey – mruczy J.J. i dalej się wierci.

Wybrał najmniej odpowiedni moment na swą deklarację. Między Machias i Bangor ciągną się osiemdziesiąt cztery mile pustkowia. Brak nawet kępy drzew, wśród których mógłby zniknąć za potrzebą. Po obu stronach prostej jak drut szosy 1A rozpościerają się płaskie łąki.

W chwili gdy pęcherz J.J. jest gotów do ogłoszenia DEFCON 1, w polu widzenia pojawia się stacja paliw. Pomocnik trenera zjeżdża pod dystrybutor, a J.J. wpada do toalety.

– Kurczę! – mówi, odgarniając włosy z oczu, gdy wraca do samochodu. – Nie-wiele brakowało!

– Masz mokre spodnie – niedbale odpowiada Joe Wilcox i wszyscy skrecają się ze śmiechu, kiedy J.J. pochyla głowę, by to sprawdzić.

Dzień później, podczas kolejnej podróży do Machias, Matt Kinney odkrywa główną atrakcję, jaką magazyn *People* przygotował dla graczy Małej Ligi.

– Na pewno jest – mówi i powoli kartkuje egzemplarz znaleziony na tylnym siedzeniu. – Drukują to w prawie każdym numerze.

– Co? Czego szukasz? – pyta Kevin Rochefort, z trzeciej bazy, zaglądając koledze przez ramię. Matt obojętnie mija zdjęcia polityków i artystów.

– Reklamy środków na większy biust – wyjaśnia. – Nie widać wszystkiego, ale wystarczy. O, jest! – Z triumfem unosi czasopismo.

Cztery głowy w czerwonych baseballowych czapkach natychmiast pochylają się nad zdjęciem. Przez kilka chwil żaden z chłopców nie myśli o meczu.

W osiemdziesiątym dziewiątym roku stanowe mistrzostwa Małej Ligi rozpoczynają się w Maine trzeciego sierpnia, miesiąc po pierwszych eliminacjach. Pięć drużyn, z pięciu części stanu, zjeżdża do Old Town, gdzie odbędą się wszystkie mecze. Wspomniana piątka to Yarmouth, Belfast, Lewiston, York i Bangor West. Wszystkie kluby, z wyjątkiem Belfastu, są większe od Bangor, a i Belfast podobno dysponuje tajną bronią. Ich główny miotacz ma być „cudownym dzieckiem” turnieju.

Nadanie tytułu „cudownego dziecka” wiąże się z całym ceremoniałem, twar-do opierającym się wszelkim próbom zrezygnowania z tej tradycji. Chłopak, który chcąc nie chcąc, jest nazywany odtąd „Kid Baseball”, nagle wpada w wir ogólnego zainteresowania i jest obiektem dyskusji, ocen i oczywiście porównań. Musi się także pogodzić z uczestnictwem w przedturniejowych imprezach. Mistrzostwa Małej Ligi są stresujące dla wszystkich młodocianych zawodników; ten, który po przybyciu na miejsce zawodów odkrywa, że w tajemniczy sposób stał się chodzącą legendą, z reguły nie wytrzymuje obciążenia.

W tym roku głównym tematem rozmów i plotek jest leworęczny miotacz Belfastu, Stanley Sturgis. W dwóch spotkaniach zaliczył trzydzieści strajkautów – czternaście w pierwszym, szesnaście w drugim. Zdumiewający wynik w każdej lidze, lecz dla pełnego zrozumienia niezwykłych wyczynów Sturgisa warto przypomnieć, że mecze Małej Ligi mają jedynie po sześć zmian. To znaczy, iż osiemdziesiąt trzy procent autów drużyny Belfastu było zasługą miotacza.

Kolej na York. Wszystkie drużyny przyjeżdżające na stadion Knights of Columbus w Old Town mogą poszczycić się znakomitymi osiągnięciami, lecz York, wciąż bez porażki, dla wielu jest głównym kandydatem na awans do tur-

nieju Okręgu Wschodniego. Żaden z graczy nie góruje posturą, lecz kilku ma ponad pięć stóp i dziesięć cali wzrostu, a ich najlepszy miotacz, Phil Tarbox, potrafi cisnąć piłkę z szybkością siedemdziesięciu mil na godzinę – rzadkość w Małej Lidze. Ci z Yarmouth, Belfastu i Yorku noszą jednolite, specjalnie na tę okazję zakupione dresy i korki, przez co przypominają prawdziwych zawodowców.

Gracze z Bangor i Lewistonu są *mufti* – ubrani w stroje różnego koloru i kroju, upstrzone naszywkami sponsorów. Owen King chodzi w pomarańczowym dresie z napisem „Elks”, Ryan Iarrobino i Nick Trzaskos na czerwono reklamują Bangor Hydro, Roger Fisher i Fred Moore połyskują zielenią Lions, i tak dalej. Zespół Lewistonu wygląda podobnie, choć ktoś przynajmniej dał im jednakowe buty i getry. W porównaniu z nimi zawodnicy Bangor, wystrojeni w różnorakie, grube skarpety i znoszone trampki, prezentują się dość ekscentrycznie. Na tle innych drużyn przypominają ubogich krewnych. Nikt, z wyjątkiem własnych trenerów, nie traktuje ich zbyt poważnie. W artykułach lokalnej prasy więcej miejsca zajmują Sturgis i Belfast niż cały Bangor.

Dave, Neil i Święty, dziwny, ale zdumiewająco efektywny trust mózgow, który dowiózł drużynę tak wysoko, w milczeniu obserwuje trening chłopców z Belfastu. Dzieciaki wyglądają buńczucznie w nowych, czerwono-białych dresach – dopiero dziś brudzonych piaskiem pokrywającym wewnętrzne pole gry. W końcu Dave mówi:

– Dotarliśmy aż tutaj. To dużo. I nikt nam tego nie odbierze.

Bangor West jako zespół z tego samego regionu co tegoroczny gospodarz turnieju nie bierze udziału w rozgrywkach, póki dwie najslabsze drużyny nie wrócą do domu. To tak zwana „runda pierwszych pożegnań”, a dla graczy z Bangor największa, może jedyna szansa na osiągnięcie lepszego miejsca. We własnej grupie spisywali się bez zarzutu (z wyjątkiem słabego meczu w Hampden), lecz Dave, Neil i Święty mają wystarczająco wiele rozsądku, by wiedzieć, iż tym razem patrzą na całkiem inny baseball. Potwierdza to ich milczenie, gdy stoją za siatką, przypatrując się trenującym zawodnikom z Belfastu.

Dla kontrastu York już od razu zamówił komplet odznak z symbolem grupy

czwartej. Wymiana proporczyków, breloczków i znaczków należy do tradycji mistrzostw okręgu, więc decyzja trenerów Yorku wyraźnie zdradza ich oczekiwania. Są pewni, że ich drużyna zagra w Bristolu wśród najlepszych zespołów Wschodniego Wybrzeża. Są pewni, że nie powstrzyma ich Yarmouth ani Belfast z cudownym mańkutem, ani Lewiston, który zwyciężył w drugiej grupie po wyjściu z dołka, w jaki wpadł w pierwszym meczu przegranym 15-12. A najmniej obawiają się czternastu przebierańców z zachodniej części Bangor.

– Przynajmniej mamy szansę zagrać – mówi Dave.

– Zrobimy wszystko, by zapamiętali, że tu byliśmy.

Lecz najpierw Belfast i Lewiston mają swoją szansę. Boston Pops wyśpiewują z płyty słowa hymnu, miejscowy pisarz o pewnej sławie rzuca obowiązkową pierwszą piłkę (która po długim i nierównym locie grzęźnie w siatce) i mecz może się zacząć.

Dziennikarze sportowi lokalnych gazet zużyli beczkę atramentu na rozważania o możliwościach Stanleya Sturgisa, lecz nie wolno im wejść na boisko po rozpoczęciu spotkania (wielu nadal uważa, że to niedopatrzenie wynika z błędu w przepisach). Z chwilą gdy sędzia główny wzywa drużyny do gry, Sturgis jest zdany wyłącznie na siebie. Fachowcy, uczeni w piśmie i cała rozgrzana do czerwoności liga Belfastu zostaje po drugiej stronie ogrodzenia.

Baseball należy do gier zespołowych, lecz w środku każdego boiska staje samotny zawodnik z piłką, a przed nim – rywal z pałką. Ten z pałką co chwila się zmienia, lecz miotacz musi wytrwać do końca – chyba że już nie ma siły rzucać. Dziś Stan Sturgis odkrywa gorzką prawdę każdego turnieju: nawet „cudowne dziecko” wcześniej czy później musi znaleźć pogromcę.

Sturgis w ostatnich dwóch meczach wystrajkował trzydziestu pałkarzy, lecz to miało miejsce w grupie drugiej. Teraz przychodzi mu stawić czoło twardzielom z okolic lewistońskiej Elliot Avenue, a to całkiem odmienny gatunek graczy. Nie tak wysocy jak chłopcy z Yorku i mniej wyszkoleni technicznie od Yarmouth, ale waleczni i uparci. Już pierwszy pałkarz, Carlton Gagnon, odzwierciedla zadziorność drużyny. Odbija na środek, zdobywa pierwszą bazę, kradnie drugą, po skróconym odbiciu kolejnego pałkarza dobija do trzeciej i na hasło

rzucone z ławki kradnie domową. W trzeciej zmianie, gdy wynik brzmi 1-0, Gagnon znów jest na pierwszej, tym razem po błędzie obrońców. Na pałkę wchodzi Randy Gervais, spada wystrajkowany, lecz przedtem, gdy łapacz nie chwytą piłki, Gagnon biegnie do drugiej i kradnie trzecią. Zdobywa kolejny punkt po krótkim, autowanym odbiciu Billa Paradisa.

Belfast na krótko budzi się w czwartej zmianie, zalicza punkt, lecz końcówka należy do graczy Lewistonu, którzy w piątej mają dwa pełne obiegi, a w szóstej – cztery. Wynik ostateczny – 9-1. Sturgis wystrajkował jedenastu, lecz także pozwolił pałkarzom siedem razy odbijać, a miotacz Lewistonu, Carlton Gagnon, wystrajkował ośmiu przy trzech odbiciach. Sturgis schodzi z boiska smutny, choć odprężony. Koniec związanej z nim histerycznej euforii. Może spokojnie porzucić łamy gazet i stać się ponownie dzieckiem. Z jego miny wyraźnie widać, że zna dobrą stronę tej sytuacji.

Później, w prawdziwym starciu gigantów, mocno faworyzowany York wygrywa z Yarmouth. Wszyscy wracają do domów (a w przypadku przyjezdnych drużyn do moteli i zaprzyjaźnionych rodzin). Bangor West gra jutro, w piątek, a zwycięzca meczu spotka się z Yorkiem.

Piątek jest upalny, zamglony i zachmurzony. Deszcz wisi w powietrzu od świtu, a na godzinę przed zaplanowanym początkiem spotkania drużyn z Bangor i Lewistonu rzeczywiście zaczyna padać. Strugi wody walą o ziemię. Gdy coś takiego zdarzyło się w Machias, mecz został natychmiast odwołany. Tu nie. Odmienne boisko – wewnętrzne pole gry pokrywa trawa, nie piasek – lecz prawdziwy powód jest całkiem inny. Chodzi o telewizję. W tym roku, po raz pierwszy w historii rozgrywek, dwie stacje chcą wspólnymi siłami nadać obszerną relację z turnieju w sobotnich wiadomościach sportowych transmitowanych na obszar całego stanu. Jeśli półfinał między Bangor i Lewistonem uległby przesunięciu, zepsułoby to cały harmonogram, a nawet w Maine i w najbardziej amatorskim sporcie nikt nie neguje potęgi mediów.

Gracze obu drużyn gromadzą się pod stadionem. Siedzą w samochodach lub chodzą w małych grupach po obszernym pasiastym namiocie, gdzie mieści się

centrum informacyjne. Czekają na zmianę pogody. Czekają. Czekają. Rzecz jasna, nie potrafią opanować niecierpliwości. Niektórzy, nim przejdą na sportową emeryturę, zdążą zagrać w wielu ważniejszych meczach, lecz teraz są u szczytu dotychczasowej kariery; napompowani do maksimum.

Ktoś w końcu idzie po rozum do głowy i po kilku szybkich telefonach dwa szkolne autokary, połyskujące żółto w kroplach deszczu, zajeżdżają na dziedzińiec pobliskiego Elks Club, by zabrać całą dzieciarnię na wycieczkę do Old Town Canoe Company i do miejscowej papierni Jamesa Rivera. (The James River Corporation wykupiło najwięcej czasu reklamowego w przewidywanej transmisji telewizyjnej). Gracze nie wyglądają na zbyt szczęśliwych, gdy przychodzi im zająć miejsca w autokarach; kiedy wracają, też nie są wcale weselsi. Każdy ściska maleńkie wiosło wielkości dobrze zbudowanego elfa. Pamiątka z wytwórni łódek. Chłopcy nie bardzo wiedzą, co zrobić z podarunkami, lecz kiedy sprawdzam później, autokary są puste. Wiosełka zniknęły, podobnie jak proporczyki na meczu Bangor–Millinocket. Darmowy prezent – dobry interes.

Wszystko wskazuje na to, że mecz jednak się zacznie. W pewnej chwili – w czasie gdy zawodnicy Małej Ligi podziwiali sprawność ludzi i maszyn przerażających drzewa na papier toaletowy – przestało padać. Osuszono boisko, na wzgórkach miotacza i w miejscu wybicia rozsypano quick-dry, a koło trzeciej po południu zza chmur wyjrzało zamglone słońce.

Gracze z Bangor wracają z wycieczki posępni i oklapnięci. Nikt jeszcze nie rzucił piłką, nie machnął pałką ani nie dobiegł do bazy, lecz wszyscy sprawiają wrażenie mocno zmęczonych. Smętnie człapią w stronę boiska; rękawice dynają im na końcach palców. Idą niczym straceńcy i zachowują się jak straceńcy.

Zamiast wykładu Dave zbiera całą grupę i zaczyna swobodną rozgrzewkę. Po chwili słychać śmiechy, kocią muzykę, ktoś próbuje sięgnąć do dziwnie rzuconej piłki, rozległy się jęki i głośne pohukiwania, gdy Dave krzyczy „błąd!” i kolejnego gracza odsyła na koniec kolejki. Tuż przed końcem zabawy, gdy Dave chce oddać chłopców w ręce Świętego i Neila, by poćwiczyli odbicia, Roger Fisher wybiega z szeregu i pochyla się nisko z rękawicą przyciśniętą do brzucha. Dave z zatroskaną miną podbiega do niego. Pyta, czy coś się stało.

- Nie – odpowiada Roger. W jego ciemnych oczach wyraźnie widać napięcie.
- Po prostu chciałem to zerwać.

Pochyla się jeszcze niżej, gmera palcami w trawie, po czym wyciąga dłoń w stronę Dave'a. Trzyma czterolistną koniczynę.

W turniejach Małej Ligi „gospodarza” spotkania losuje się przez rzut monetą. Dave w takich chwilach miewa niesamowite szczęście, lecz tym razem przegrywa i zawodnicy z Bangor wchodzą na boisko jako „goście”. Czasem pech wychodzi na dobre i tak właśnie dzieje się dzisiaj. Głównie za sprawą Nicka Trzaskosa.

Umiejętności wszystkich graczy znacznie wzrosły w ciągu minionych sześciu tygodni, lecz w paru przypadkach można mówić o zmianie cech charakteru. Nick zwykle zajmował dość odległe miejsce w porządku startowym, choć potrafił dość nieźle grać w obronie i nieźle spisywał się jako pałkarz; strach przed przegraną paraliżował mu ruchy. Krok po kroku zdobywał coraz więcej pewności siebie, aż w końcu Dave uznał, że dziś może jako pierwszy stanąć na pałce.

- Chłopak wreszcie zrozumiał, że koledzy z zespołu nie będą mu dokuczać, jeśli zgubi piłkę lub zostanie wyautowany – mówi St Pierre.

U dzieciaka takiego jak Nick to ogromna przemiana.

Przy trzecim narzucie Nick odbija głęboko w zapole. Piłka leci szybko, coraz wyżej, i niknie za ogrodzeniem, nim środkowy obrońca ma szansę dogonić ją wzrokiem, nie mówiąc o złapaniu. Nick mija drugą bazę, zwalnia i biegnie truchtem, tak dobrze znanym z telewizji. Kibice zgromadzeni za siatką mają okazję podziwiać rzadki widok: chłopak się śmieje. Gdy dociera do bazy domowej i wpada w ramiona uszczęśliwionych kolegów, wybucha niepowstrzymanym chichotem. Wraca na ławkę, gdzie Neil wita go serdecznym klepieniem w plecy, a Dave – krótkim, gorącym uściskiem.

W pełni osiągnął to, co Dave próbował zrobić podczas rozgrzewki; gracze przestali przysypiać i są gotowi do walki. Matt Kinney pozwala odbić Carlowi Gagnonowi, temu który wydatnie przyczynił się do porażki Stanleya Sturgisa. Gagnon przechodzi na drugą po skróconym odbiciu Ryana Strettona, zdobywa

trzecią przy złym narzucie, a przy kolejnym wpada na domową. Powtórka sytuacji z meczu z Belfastem. Kinney ma nieco kłopotów z celnością, lecz rzuca na tyle dobrze, by nie pozwolić przeciwnikom na zyskanie kolejnych punktów. Drużyna z Lewistonu jest w niewygodnej sytuacji, gdyż w drugiej zmianie pierwsi na pałkę wchodzi gracze Bangor.

Owen King zalicza pierwszą bazę; Arthur Dorr idzie za jego przykładem. Mike Arnold rusza do ataku po skrócie, łapacz Lewistonu, Jason Auger, podnosi piłkę z ziemi i rzuca na oślep w stronę bazy. Niecelnie. King korzysta z błędu obrońców, zdobywa punkt i Bangor znów jest na prowadzeniu: 2-1. Joe Wilcox odbija w pole wewnętrzne; wszystkie bazy zajęte. Nick Trzaskos po raz drugi staje naprzeciw Matta Noyesa, lecz spada wystrajkowany. Następny jest Ryan Iarrobino. W poprzednim wejściu nie odbił, lecz teraz spisuje się znacznie lepiej. Przy pierwszym narzucie trafia w piłkę, co daje grand-slam home run.

Nim mija półtorej zmiany, Bangor West prowadzi 6-1.

Czterolistna koniczyna pomaga zawodnikom Bangor do szóstej zmiany. Gdy Lewiston wchodzi na pałkę – po raz ostatni, jak myślą widzowie – wynik brzmi 9-1. Zaczyna Carlton Gagnon. Po błędzie obrony zdobywa bazę. Następny pałkarz, Ryan Stretton, po błędzie obrony zdobywa bazę. Rozradowani do tej pory kibice Bangor zaczynają się niepokoić. Trudno przegrać przy ośmiopunktowym prowadzeniu, lecz czasem się udaje. Ci z północnych rejonów Nowej Anglii widzieli to nawet dość często, na meczach Red Soxów.

Bill Paradis dolewa oliwy do ognia, odbijając na środek zapola. Gagnon i Stretton zaliczają punkty. Jest 9-3, biegacz na pierwszej, bez autów. Kibice Bangor wiercą się niecierpliwie i spoglądają po sobie. „To chyba niemożliwe, żeby spaskudzić tak dobry mecz w ostatniej zmianie?” – pytają wzrokiem. Odpowiedź brzmi: „Możliwe, a jakże”. W Małej Lidze wszystko może się zdarzyć, i zazwyczaj zdarza.

Lecz nie tym razem. Lewiston zdobywa czwarty punkt i koniec. Noyes, który trzykrotnie spadał wystrajkowany przez Sturgisa, gdyż machał pałką niemal przy każdym narzucie, teraz robi to samo. Pierwszy aut. Łapacz Lewistonu, Auger, odbija pierwszą piłkę wprost do stopera, Rogera Fishera. Roger nieco

wcześniej nie wyłapał odbicia Carla Gagnona, lecz tym razem chwyta bez trudu, podaje do Mike'a Arnolda, a ten z kolei do Owena Kinga na pierwszej. Auger biegnie powoli, a Owen ma długi zasięg ramion. Podwójny aut 6-4-3 kończy spotkanie. Rzadko można oglądać taką zagrywkę w miniaturowym świecie Małej Ligi, gdzie odległości między bazami nie przekraczają sześćdziesięciu stóp, lecz trzeba pamiętać, że Roger właśnie dziś znalazł czterolistną koniczynę. Jeśli ktoś szuka zadowalającego wyjaśnienia, to takie będzie chyba najlepsze. W każdym razie, Bangor West wygrywa mecz 9-4.

Jutro nadciągną giganci z Yorku.

Piątego sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku już tylko dwudziestu dziewięciu chłopców ze stanu Maine uczestniczy w rozgrywkach Małej Ligi – czternastu z Bangor West i piętnastu z Yorku. Dzień jest dokładnym powtórzeniem poprzedniego: upalny, zamglony i mokry. Mecz zaplanowano na wpół do pierwszej, lecz o jedenastej wszystko wskazuje na to, że początek meczu ulegnie – musi ulec – przesunięciu. Z nieba płyną na ziemię kaskady wody.

Dave, Neil i Święty nie chcą kusić losu. Żaden z nich nie był zadowolony z nastroju, w jakim drużyna wracała z wczorajszej zaimprovizowanej wycieczki, i nie mają ochoty na powtórkę. Nikt też nie zamierza ufać w dobroczynną moc rozgrzewki lub czterolistnej koniczyny. Skoro mecz będzie – a telewizja potrafi postawić na swoim, niezależnie od pogody – gra pójdzie o wysoką stawkę. Zwycięzcy pojedą do Bristolu; przegrani wrócą do domu.

Zebrana naprędce kawalkada samochodów i mikrobusów, pod dowództwem trenerów i paru rodziców, wiezie drużynę dziesięć mil na północ, do przypominającej oborę letniej hali treningowej uniwersytetu Maine. Neil oraz Święty wyciskają z chłopców siódme poty. Dave załatwił, by zespół Yorku także mógł potrenować, więc w chwili, gdy gracze z Bangor znikają w deszczu, na halę wkraczają ich przeciwnicy, ubrani w nieskazitelnie czyste, niebieskie dresy.

Okolo trzeciej ulewa zmienia się w drobną mżawkę, a obsługa boiska dokłada wszelkich starań, by doprowadzić murawę do porządku. Wokół wzniesiono

kilka prowizorycznych platform, na których mają stanąć kamery. Na pobliski parking wjeżdża olbrzymi wóz transmisyjny z wymalowanym na boku napisem MAINE BROADCASTING LIVE REMOTE. W jego wnętrzu nikną grube pęki kabli oraz przewodów biegnących od kamer i stanowiska spikera. Za otwartymi drzwiami widać migoczącą ścianę monitorów.

York jeszcze nie wrócił z treningu. Po lewej stronie boiska gracze Bangor bawią się przerzucaniem piłki, bardziej po to, by mieć co robić, niż z rzeczywistej potrzeby; po ciężkiej godzinie spędzonej w uniwersyteckiej hali są dostatecznie rozgrzani. Kamerzyści stoją na platformach i obserwują krzątanicę porządkowych.

Zapole jest w niezłym stanie, quick-dry pokrywa równo zgrabioną część pola wewnętrznego. Najgorzej wygląda część między wzgórkami miotacza i bazą domową. Zaorano ją i obsiano tuż przed turniejem, więc trawa nie miała dość czasu, by dobrze zapuścić korzenie i zapewnić naturalny drenaż. W efekcie tuż przed miejscem wybicia utworzyło się błotniste bajoro, sięgające mackami w stronę trzeciej bazy.

Ktoś wpada na pomysł – dobry, jak się okazuje – by usunąć dużą połąć rozmięklej darni. Gdy to zostaje zrobione, ciężarówka z liceum w Old Town przywozi dwa przemysłowe dreny typu Rinsenvac. Pięć minut później porządkowi dosłownie „odkurzają” z wody podłoże boiska. Pomaga. O trzeciej dwadzieścia pięć kawałki darni zostają ułożone z powrotem niczym fragmenty ogromnej zielonej łamigłówki. O trzeciej trzydzieści pięć miejscowa nauczycielka muzyki, z akompaniamentem gitary akustycznej, porywająco śpiewa „Gwiazdzisty Sztandar”. O trzeciej trzydzieści siedem Roger Fisher nieoczekiwanie dla wszystkich zastępujący nieobecnego Mike’a Pelkeya wchodzi na wzgórek miotacza, by wykonać kilka próbnych narzutów. Czemu nie King lub Arnold? Może jego wczorajszy występ zaważył na decyzji Dave’a? Dave tylko przykłada palec do nosa i uśmiecha się tajemniczo.

O trzeciej czterdzieści wchodzi sędzia.

– Piłka w obieg – mówi do łapacza.

Joey posłusznie spełnia polecenie. Mike Arnold autuje rękawicą wyimagino-

wanego biegacza, po czym podaje dalej. Piłka wędruje w szybką podróż po bazach. Widzowie, siedzący przed telewizorami od New Hampshire po nadmorskie prowincje Kanady, patrzą, jak Roger nerwowo obciąga rękawy zielonej bluzy i grubego szarego podkoszulka. Owen King rzuca mu piłkę z pierwszej bazy. Fisher chwytą ją i opiera rękawicę o biodro.

– Gramy! – oświadcza sędzia.

Już od półwiecza podobna komenda rozbrzmiewa na boiskach Małej Ligi. Dan Bouchard, łapacz Yorku i rozpoczynający pałkarz, staje w polu wybiecia. Roger za chwilę rzuci pierwszą piłkę w meczu o tytuł mistrza stanu za rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty dziewiąty.

Pięć dni wcześniej.

Dave i ja zabieramy wszystkich miotaczy Bangor do Old Town. Dave chce ich zapoznać z warunkami panującymi na tamtejszym boisku. Bez Mike'a Pelkeya jadą: Matt Kinney (dopiero za cztery dni odniesie triumf w meczu z Lewistonem), Owen King, Roger Fisher i Mike Arnold. Jest z nami też łapacz, J.J. Fiddler. Na miejsce dobijamy dość późno i w czasie gdy cała czwórka ćwiczy narzuty, siadam obok Dave'a na ławce rezerwowych i patrzę na murawę błyszczącą w wolno gasnących promieniach letniego słońca.

Na wzgórku Matt Kinney szerokim łukiem ciska jedną piłkę za drugą. Po przeciwnej stronie boiska przysiedli trzej pozostali. Skończyli swoją turę i gawędzą z kilkoma innymi graczami, którzy postanowili towarzyszyć nam w wycieczce. Choć docierają do mnie tylko urywki zdań, wiem, że mówią przede wszystkim o szkole – ów temat powraca coraz częściej w ostatnim miesiącu letnich wakacji. Rozprawiają o starych i nowych sprawach, wracają wspomnieniami do zdarzeń, które stanowią istotną część ich młodego życia: opowiadają o nauczycielce, która na kilka tygodni przed końcem roku szkolnego stała się mniej surowa, gdyż jej najstarszy syn został ranny w wypadku samochodowym; o zwariowanym wykładowcy gramatyki (z opisu wynika, że jest złowrogą kombinacją Jasona, Freddy'ego i Leatherface'a); o fizyku, który podobno kiedyś tak mocno pchnął jednego z uczniów o szafkę, że chłopak stracił przytomność,

i o świetliczance, która zawsze daje na lunch, jeśli ktoś zapomni wziąć forsy z domu lub powie, że zapomniał. Mity piątoklasistów obdarzone przemożną siłą i z lubością przywoływane w zapadającym zmierzchu.

Mknąca środkiem boiska piłka przypomina białą smugę. Matt porusza się w hipnotycznym rytmie: zamach, wykrok, narzut. Zamach, wykrok, narzut. Zamach, wykrok, narzut. Piłka z trzaskiem ląduje w rękawicy Fiddlera.

– Co będą z tego mieli? – pytam Dave’a. – Co zabiorą ze sobą do domu, gdy rozgrywki dobiegną końca? Zastanawiałeś się kiedyś, czy odczują jakąś różnicę?

Na twarzy Dave’a pojawia się zaskoczenie. Milczy przez chwilę, po czym spogląda na Matta i mówi z uśmiechem:

– Zabiorą siebie. Nawzajem.

Nie oczekiwałem takiej odpowiedzi. W dzisiejszej gazecie czytałem artykuł o Małej Lidze – jedno z tych „problemowych” rozważań wciśniętych w śmietnik ogłoszeń, gdzieś między nekrologami a horoskopem. Chodziło w nim o wyniki badań socjologicznych, prowadzonych wśród graczy w ciągu całego sezonu. Autor testu chciał ustalić, czy Mała Liga naprawdę spełnia swe zasadnicze zamierzenia; czy uczy dawnych amerykańskich wartości, takich jak szczerłość, pracowitość i współdziałanie. Badania wykazały, że po części tak jest istotnie. Lecz jednocześnie, w prywatnym życiu każdego z graczy zmieniło się bardzo niewiele. Najgorszy uczeń nadal sobie nie radził z nauką po rozpoczęciu roku szkolnego; prymus zostawał prymusem; klasowy błazen (czytaj: Fred Moore), który w czerwcu i lipcu rozegrał kilka poważnych meczów, wciąż płał głupie figle po Dniu Pracy. Oczywiście, zdarzały się odstępstwa od tej reguły: wyjątkowa gra powodowała wyjątkowe zmiany. Lecz trzon pozostawał nieruszony; z boiska wracali ci sami chłopcy, co przed meczem.

Myszę, że zaskoczenie, z jakim przyjąłem odpowiedź Dave’a, wynikało częściowo z naszej znajomości. Mansfield jest fanatycznym miłośnikiem Małej Ligi. Na pewno czytał wspomniany artykuł i sądziłem, że skorzysta z okazji, by zaprzeczyć opiniom socjologa. Zamiast tego usłyszałem jeden z najbardziej wyświechtanych sportowych banałów.

Matt rzuca coraz mocniej. Odnalazł owo mityczne miejsce przez wszystkich miotaczy zwane „szablonem” i nie ma zamiaru przestać, choć zdaje sobie sprawę, iż jest to tylko nieformalny trening dla oswojenia się z boiskiem.

Proszę Dave’a, by udzielił mi dodatkowych wyjaśnień, lecz robię to bardzo ostrożnie w obawie, że znów padnie jakiś frazes, w rodzaju: „Sowa nie lata w dzień; zwycięzcy się nie poddają” lub „Gra toczy się do samego końca”. Może nawet, uchowaj Boże, jakiś pomruk typu „Hmmmmm, stary”.

– Spójrz na nich – z uśmiechem powiada Dave. Z jego miny wnioskuję, że przejrzał moje myśli. – Dobrze się przypatrz.

Patrzę. Na ławce siedzi sześciu roześmianych i rozgadanych chłopaków, wciąż opowiadających sobie wojenne historie z życia szkoły. Jeden przerywa rozmowę i woła do Kinneya, by mocniej podkreślał. Matt rzeczywiście to robi i piłka szybuje paskudnym, pijanym lotem. Z ławki dobiega głośny wybuch śmiechu.

– Spójrz na tych dwóch. – Dave wskazuje palcem. – Ten pochodzi z dobrej rodziny. Ten nie. – Wpycha do ust kilka ziaren słonecznika i pokazuje innego. – Albo ten. Urodził się w najgorszej dzielnicy Bostonu. Myślisz, że gdyby nie grał w Małej Lidze, poznałby takich jak Matt Kinney lub Kevin Rochefort? Nie byłby z nimi w tej samej klasie, na przerwach rozmawiałby z kim innym i pewnie w ogóle nie miałby pojęcia, że istnieją.

Matt znów podkreśla, tym razem tak ostro, że J.J. nie może złapać. Piłka toczy się aż do siatki, a gdy J.J. rzuca się w pogoń, z ławki dobiegają wesołe okrzyki.

– Tu wszystko się zmienia – ciągnie Dave. – Chłopcy trenują razem i razem wygrali eliminacje. Jeden ma bogatych rodziców, inny jest biedny jak mysz kościelna, lecz gdy obaj włożą dresy i przekroczą linię boiska, to wszystko gdzieś zostaje. Podczas meczu nie liczą się stopnie ani to, co robią twoi starzy. Jesteś zdany na siebie i kolegów z drużyny. I wiesz o tym. Cała reszta – Dave macha ręką, jakby odpędzał uprzykrzoną muchę – nie ma żadnego znaczenia. O tym też wiedzą. Jeśli mi nie wierzysz, spójrz na nich, tam znajdziesz najlepszy dowód.

Zerkam na drugą stronę boiska. Mój syn siedzi ramię w ramię z jednym z chłopców, o których wspominał Dave, i rozmawiają o czymś półgłosem. Patrzą na siebie z rozbawieniem, po czym wybuchają donośnym śmiechem.

– Grali razem – powtarza Dave. – Dzień w dzień chodzili na wspólne treningi, a to czasem ważniejsze od meczu. Teraz wystąpią w mistrzostwach stanu. Nawet mają szansę wygrać. Co prawda nie bardzo wierzę, że im się uda, ale to nieważne. Liczy się udział. Nawet jeśli Lewiston znokautuje ich w pierwszej rundzie. Dlaczego? Dlatego, że jest coś, co ich łączy. Boisko. Będą o tym pamiętać. Zapamiętają to uczucie.

– Boisko – powtarzam i nagle, jak za dotknięciem różdżki, wszystko pojmuję.

Dave Mansfield wierzy w ten wyświechtany frazes. Mało tego, on się przyznaje, że wierzy. Wśród zawodowców zakrawałoby to na kpiny, gdyż tam co tydzień któryś z graczy zostaje zdyskwalifikowany ze względu na pozytywny wynik testu antydopingowego, a „naborca” jest równy Bogu. Na szczęście nie mamy do czynienia z główną ligą. Tu Anita Bryant śpiewa hymn przez poobijane głośniki połączone z magnetofonem stojącym przy ławce rezerwowym. Tu, zamiast płacić za wejście na stadion, rzucasz, gdy przyjdzie na ciebie kolej, nieco drobnych do czapki. Rzecz jasna, jeśli masz na to ochotę. Kiedy sezon rozgrywek dobiegnie końca, żaden z tych chłopców nie wyjedzie na Florydę, by grać pokazowe mecze z ociężałymi biznesmenami, nie będzie podpisywał zdjęć na jakimś konwencie fanów ani pokazywał się tu i ówdzie, zgarniając dwa tysiące baksów za jeden wieczór. Uśmiech Dave’a podpowiada wyraźnie, że gdy odrzucić to wszystko, można na nowo uwierzyć w stare sportowe banały. Jak żywi wracają: Red Barber, John Tunis i Kid z Tomkinsville. Dave Mansfield może mówić, że na boisku wszyscy są równi, gdyż wraz z Neilem i Świętym zaszczerpił tę świadomość wśród swoich podopiecznych. Chłopcy są o tym przekonani; widziałem to na ich twarzach, gdy patrzyłem, jak rozmawiają po treningu w Old Town. Chyba właśnie dlatego każdy Dave Mansfield w tym kraju rok po roku wraca do pracy. Łapie darmowy przejazd. Nie do czasów dzieciństwa – to byłoby niemożliwe – lecz do krainy utraconych marzeń.

Dave milczy przez chwilę, myśli, przesypuje przez palce ziarna słonecznika.

– Nie chodzi o zwycięstwo lub porażkę – mówi w końcu.

– To przyjdzie później. Teraz liczy się sposób, w jaki będą na siebie patrzeć na szkolnym korytarzu lub w drodze do liceum. Patrzeć i pamiętać. W pewnym sensie wciąż będą drużyną, która w osiemdziesiątym dziewiątym roku wygrała eliminacje mistrzostw stanu. – Patrzy na skrytą w półmroku ławkę, skąd dobiega śmiech Freda Moore’a i Mike’a Arnolda. Owen King też szczyrzy zęby, wzdając wzrokiem po twarzach kolegów. – Chodzi o to, byś wiedział, kto jest twoim kumplem z zespołu. Na kim możesz i musisz polegać, nawet gdy nie masz na to ochoty.

Spogląda przez chwilę na rozbawionych chłopców, po czym donośnym głosem woła do Matta, by rzucił jeszcze cztery, pięć razy i kończył trening.

Nie wszyscy trenerzy, którzy wygrywają rzut monetą – co piątego sierpnia po raz szósty w ostatnich dziewięciu meczach stało się udziałem Dave’a Mansfieldda – chcą być „gospodarzami” spotkania. Wielu (na przykład trener zespołu z Brewer) uważa, iż przewaga tak zwanych „gospodarzy” jest czystą fikcją, zwłaszcza podczas finałów, gdzie żadna z drużyn nie gra na własnym, dobrze znanym boisku. Ich zdaniem rola „gości” daje niezaprzeczalną korzyść: na początku każdego meczu dzieciaki są mocno zdenerwowane, więc zespół atakujący dość szybko może osiągnąć przewagę po błędach miotacza i reszty obrońców. Teoria głosi, że jeśli staniesz na pałce i w ciągu pierwszej zmiany zdobędziesz cztery punkty, zwycięstwo masz w garści, nim gra się zacznie rozkręcać. *Quod erat demonstrandum*. Dave nigdy nie był zwolennikiem tego poglądu.

– Chcę grać drugi – powiada i koniec dyskusji.

Dziś jednak jest nieco inaczej. Idzie nie tylko o mecz finałowy, lecz także o finał mistrzostw – co więcej, o finał transmitowany przez telewizję. A kiedy Roger Fisher przy pierwszym narzucie długim zamachem wali jakiegoś łamańca i sędzia ogłasza bol, Dave robi minę, jakby nagle zwątpił w słuszność swej decyzji. Roger wie doskonale, że nie powinien zaczynać spotkania – na jego miejscu stałby Mike Pelkey, gdyby właśnie w tej chwili nie witał Goofy’ego u bram Disney Worldu – lecz w sumie przez całą zmianę rzuca całkiem nieźle; nawet

lepiej, niż można się było spodziewać. Cofa się nieco, gdy łapacz, Joe Wilcox, zwraca mu piłkę, obserwuje pałkarza, obciąga rękawy i umiejętnie korzysta z każdej chwili przerwy. Co najważniejsze, pamięta, by piłka lądowała w najniższej części strefy dobrego narzutu. Pałkarze Yorku są napompowani siłą. Jeśli Roger popełni błąd i rzuci na wysokości oczu – zwłaszcza gdy trafi na Tarboxa, który potrafi równie mocno odbijać jak miotać – spotkanie nie potrwa długo.

Z pierwszym pałkarzem przegrywa. Bouchard drobnym truchtem zalicza bazę darmo przy histerycznych wiwatach kibiców Yorku. Następny jest stoper, Philbrick. Odbija po ziemi wprost do Fishera. Roger nie waha się przed decyzją, która może zmienić obraz całego meczu, i podaje na drugą, by wyautować biegacza. W Małej Lidze ta próba najczęściej zawodzi, gdyż źle rzucona piłka leci na środek zapola i biegacz ma otwartą drogę do trzeciej lub stoper przegapia sprawę i zapomina o kryciu. Nie tym razem. St Pierre dobrze wyszkolił chłopców w obronie. Dzisiejszy stoper Bangor, Matt Kinney, jest na właściwym miejscu. Roger rzuca. Philbrick dochodzi do pierwszej, lecz Bouchard spada wyautowany. Tym razem kibice Bangor wrzeszczą z uciechy.

Gra toczy się wartko, co powoduje, że Roger wreszcie zaczyna wierzyć we własne umiejętności. Phil Tarbox, najlepszy pałkarz i niekoronowany król miotaczy w drużynie Yorku, macha pałką nad nisko rzuconym strajkiem i nad ewidentnym bolem.

– Zaraz go dorwiesz, Phil! – krzyczą jego koledzy z ławki.

– Nie przywykłeś do tak ślamazarnych narzutów!

Lecz to nie szybkość lecącej piłki sprawia najwięcej kłopotów graczom Yorku; chodzi o tor lotu. Ron St Pierre przez cały sezon piał pean na cześć niskich narzutów, a Roger Fisher – Fish, jak nazywają go chłopcy – okazał się cichym, lecz bardzo pojętym uczniem. Decyzja Dave’a, by rozpoczął spotkanie, okazuje się trafna, gdy mija połowa pierwszej zmiany i zawodnicy Bangor wchodzą na odbicie. Widzę, że niektórzy, opuszczając murawę, lekko dotykają plastikowego sandałka o niecodziennym imieniu Mo.

Wiarę – kibiców, trenerów, drużyny – można mierzyć na różne sposoby, lecz niezależnie od wyboru skali zwolennicy Yorku mają jej spory zapas. Kibice zawiesili pod tablicą wyników ręcznie wymalowany transparent z ogromnym napisem: YORK JEDZIE DO BRISTOLU, a o przygotowanych i przywiezionych plakietkach z symbolem czwartej grupy eliminacyjnej wspominałem już wcześniej. Lecz naj lepszym probierzem zaufania, jakim trener Yorku darzy swych podopiecznych, jest wybór miotacza. We wszystkich innych klubach, nie wyłączając Bangor West, panuje zasada, że na pierwszy ogień idzie najlepszy. W myśl starej maksymy: jak nie znajdziesz partnerki, nie wpadniesz na potańcówkę. Jak nie wygrasz eliminacji, nie musisz się martwić o finał. Tylko trener Yorku, dufny w swą mądrość, w meczu z Yarmouth wystawił miotacza numer dwa, Ryana Fernalda. Wygrał o włos, 9-8, lecz wygrał. Pokerowe rozdanie, które dziś może przynieść efekty. Zachował Tarboxa na finał i choć Phil nie jest tak dobry technicznie jak Stanley Sturgis, ma coś, czego brakowało miotaczowi z Belfastu. Potrafi przestraszyć.

Nolan Ryan, chyba najlepszy miotacz w historii młodzieżowego baseballu, lubi opowiadać o meczu, jaki rozegrał podczas turnieju w Lidze Babe'a Rutha. Pierwszego pałkarza trafił piłką w ramię, łamiąc mu rękę. Drugiemu rozłupał hełm i na kilka sekund pozbawił przytomności. Gdy lekarz zajmował się zamroczonym chłopcem, trzeci pałkarz, blady jak ściana, podbiegł do swego trenera, prosząc, by go skreślono z listy zawodników.

– I wcale go za to nie ganię – dodaje Ryan.

Tarboxowi daleko do Ryana, lecz rzuca mocno i jest w pełni świadom, że brutalność stanowi tajną broń każdego miotacza. Sturgis też jest dość silny, lecz mierzy w dół i na zewnątrz. Gra łagodnie. Tarbox celuje ciasno w górę. Tam właśnie muszą szukać jego piłek zawodnicy z Bangor. Jeśli zdoła ich zdominować, stracą skuteczność i będą mogli z wolna pakować manatki.

Nick Trzaskos nie potrafi powtórzyć odbicia z poprzedniego meczu. Tarbox strajkuje go tak szybką piłką, że Nick aż kuca w polu wybiecia. Z osłupieniem spogląda na sędziego i otwiera usta, by zaprotestować.

– Ani słowa, Nick! – krzyczy z ławki Dave. – Stawaj na miejscu!

Nick milczy posłusznie, lecz jego twarz nabiera dawnego posępnego wyrazu. Gdy w końcu wraca do swoich, z niechęcią wpycha hełm pod ławkę.

Tarbox próbuje z każdym swych sztuczek, więcej respektu ma tylko dla Ryana Iarrobino. Ten ostatni cieszy się zasłużoną sławą, więc miotacz Yorku, choć dumny z własnych umiejętności, woli nie ryzykować. Rzuca dość nisko, po zewnętrznej i w końcu oddaje bazę darmo. Zaczyna celować wyżej, lecz mimo to puszcza Matta Kinneya, który wszedł po Ryaniu. Matt, obdarzony znakomitym refleksem, zręcznie unika twardych uderzeń. Nim zostanie nagrodzony pierwszą bazą, Iarrobino jest już na drugiej, gdyż jedna z piłek, która ocale minęła nos Kinneya, nie została schwytana przez łapacza. Tarbox na nowo łapie formę i trzema strajkami autuje Kevina Rocheforta oraz Rogera Fishera, co kończy pierwszą zmianę.

Fisher wraca do wolnej i metodycznej pracy, przed każdym narzutem starannie obciąga rękawy, rozgląda się po bazach lub patrzy w niebo, jakby chciał zobaczyć nadlatujące UFO. Przy dwóch zajętych bazach i jednym aucie dobrze rzucona piłka wyskakuje z rękawicy Wilcoxa i ląduje mu pod stopami. Estes, który z początku miał bazę darmo, próbuje się przedrzeć na trzecią. Joe szybko podnosi zgubę i celnie podaje do Kevina Rocheforta. Estes truchtem zbiega z boiska. Dwa auty; w czasie ostatniej akcji Fernald przeszedł na drugą.

Ósmy pałkarz Yorku, Wyatt, odbija w prawo. Piłka toczy się wolno po wilgotnej nawierzchni. Fisher usiłuje ją złapać, King z pierwszej robi to samo. Roger jest szybszy, lecz chwilę później ślizga się po trawie, pada i z piłką w dłoni pełźnie w stronę bazy. Wyatt wyprzedza go bez trudu. Fernald dobiega do domowej po pierwszy punkt meczu.

Zachodzi obawa, że Roger zacznie się łamać. Patrzy na kolegów, po czym starannie ogląda piłkę. Już, już ma rzucać, lecz nagle schodzi z deski. Wyraźnie nie jest zadowolony ze stanu swoich rękawów. Poprawia je, a pałkarz Yorku, Matt Francke, powoli wrasta w pole wybiecia. W końcu piłka szybuje w powietrzu. Francke odbija lekko, o ziemię, na trzecią bazę, w kierunku Rocheforta. Kevin podaje do Kinneya, który autuje Wyatta. Jednak to York utoczył pierwszej krwi i po pierwszej połowie drugiej zmiany prowadzi 1-0.

Bangor West nie zdobywa żadnego punktu, lecz Phil Tarbox też nie ma powodów do dumy. Po pierwszej zmianie zbiegał ze wzgórką z wysoko uniesioną głową. Po drugiej schodzi powoli, zasepiony, odprowadzany niespokojnymi spojrzeniami kolegów.

Owen King, który w drugiej zmianie jako pierwszy z drużyny Bangor staje w polu wybicia, nie daje się zastraszyć Tarboxowi, lecz jest większy i znacznie wolniejszy od Matta Kinneya. Po trzech bolach i dwóch strajkach miotacz próbuje zaskoczyć go po wewnętrznej. Piłka sunie w górę i skręca – zbyt mocno. King, trafiony pod pachę, pada na ziemię i przyciska dłoń do stłuczonego miejsca. Jest jeszcze zbyt oszołomiony, by płakać, lecz widać, że go boli. Łzy napływają mu do oczu, choć usiłuje zachować dzielną minę. Przy wzroście sześciu stóp, dwóch cali i wadze ponad dwustu funtów sprawia wrażenie dorosłego, lecz tak naprawdę ma zaledwie dwanaście lat i nie zdołał przywyknąć, by twarzą jak kamień piłka tłukła w niego z prędkością siedemdziesięciu mil na godzinę. Zmieszany i zaniepokojony Tarbox biegnie ze wzgórką, lecz sędzia, wciąż pochylony nad leżącym zawodnikiem, odgania go niecierpliwym gestem. Śpieszący z boku sanitariusz nawet nie patrzy w stronę miotacza. Co innego kibice. Ci wszystko widzą dokładnie.

– Zdjąć go, nim trafi jeszcze kogoś! – słychać z trybun.

– Może naprawdę zrobić krzywdę! – dobiega z innej strony, jakby trafienie piłką w żebra nie było niczym szczególnym.

– Sędzia, daj mu ostrzeżenie! – pada trzeci okrzyk.

– Potraktował chłopaka umyślnie! Niech wie, co za to grozi!

Tarbox spogląda na widzów i choć niedawno w jego oczach malowała się nieugiętość, teraz wygląda jak mocno wystraszony malec. Przypomina Stanleya Sturgisa przed końcem meczu Belfastu z Lewistonem. Wraca na wzgórek i nerwowo stuka piłką o rękawicę.

King tymczasem zdołał już wstać. Zapewnia Watermana, sanitariusza i sędziego, że chce grać dalej, i wolnym truchtem zmierza na pierwszą bazę. Kibice obu drużyn nagradzają go szczerym aplauzem.

Phil Tarbox, który w rzeczywistości nie chciał trafić pierwszego wychodzącego

go pałkarza, zwłaszcza przy zaledwie jednopunktowej przewadze, jest mocno przejęty i łatwym narzutem częstuje Arthura Dorra. Arthur, jeden z najmniejszych zawodników Bangor, z radością przyjmuje ów nieoczekiwany prezent i odbija głęboko w prawo.

Natrzask odbijanej piłki King rusza z bazy. Biegnie do trzeciej. Wie, że nie zdoła zaliczyć punktu, lecz ma nadzieję, że dzięki tej akcji Arthur dotrze na drugą. Zamiar jest dobry, lecz znów daje o sobie znać rozmiękłe podłoże. Grunt wokół trzeciej bazy wciąż jest mokry. Gdy King próbuje hamować, nogi uciekają spod niego i klapie na tyłek. Piłka trafia do Tarboxa, który nie ryzykuje rzutu; biegnie w kierunku bezradnego Kinga. Najwyższy gracz Bangor bezskutecznie usiłuje dźwignąć się z ziemi, po czym unosi ręce w wyrazistym, wzruszającym geście: „Poddaję się”. Dzięki śliskiej murawie Bangor ma biegacza na drugiej i jeden aut zamiast biegaczy na drugiej i trzeciej, bez autów. Spora różnica, więc Tarbox odzyskuje nieco pewności siebie i strajkuje Mike’a Arnolda.

Nieco później, przy trzecim narzucie na kolejnego pałkarza, znów zawodzi. Joe Wilcox zostaje trafiony prosto w łokieć. Tym razem gniewne okrzyki kibiców brzmią głośniejszy i natarczywiej. Wielu kieruje swą złość na sędziego, domagając się zdjęcia Tarboxa z boiska. Arbiter, który doskonale rozumie sytuację, nie kwapi się nawet z ostrzeżeniem. Wystarczy mu jeden rzut oka na zboląłą minę miotacza, gdy Wilcox kolebie się do pierwszej bazy, by wiedzieć, że to niepotrzebne. Trener Yorku wychodzi na boisko, chcąc uspokoić Tarboxa i wyjaśnić mu sytuację: „Miałeś dwa auty oraz otwartą pierwszą bazę. Nie ma sprawy”.

Dla Tarboxa jest sprawa. W tej zmianie zdążył już poturbować dwóch chłopców, i to wystarczająco mocno, by zmusić ich do płaczu. Gdyby się tym nie przejął, potrzebowałby chyba pomocy psychologa.

W trzeciej York po trzech udanych odbiciach zdobywa dwa punkty i obejmuje prowadzenie 3-0. Gdyby to wydarzyło się w pierwszej, Bangor byłoby w poważnych tarapatach, lecz teraz gracze są już dobrze rozgrzani i podnieceni rozgrywką. Ani przez chwilę nie dopuszczają myśli o porażce.

Ryan Iarrobino wychodzi jako pierwszy pałkarz Bangor. Tarbox jest bardzo

ostrożny – zbyt ostrożny. Zaczyna boleć i nietrudno przewidzieć rezultat. Przy stanie dwa-jeden trafia Ryana w ramię. Iarrobino robi szybki obrót i wali pałką w ziemię; z bólu, frustracji czy gniewu – nie wiadomo. Pewnie ze wszystkich trzech powodów naraz. Łatwiej odczytać reakcję publiczności. Kibice Bangor zrywają się z miejsc wśród głośnych okrzyków pod adresem Tarboxa oraz sędziego. Po stronie Yorku panuje zdumione milczenie: oczekiwano całkiem innego spotkania. Ryan biegnie do pierwszej bazy i zerka przez ramię na miotacza. Patrzy na niego jedynie krótką chwilę, lecz z jego wzroku można wyczytać wyraźne przesłanie: „Trzeci raz, pysiu. Lepiej, żeby był to ostatni”.

Tarbox przez chwilę konferuje ze swym trenerem, potem staje naprzeciw Matta Kinneya. Jego buńczuczność całkiem legła w gruzach, a pierwszy narzut, wykonany niemal na oślep, jest niezbitym dowodem, że ma tyle ochoty na dalszy udział w meczu, co kot na kąpiel w mydlinach. Iarrobino bez trudu zdobywa drugą, choć łapacz Yorku, Dan Bouchard, długim podaniem próbuje go wyautować. Tarbox oddaje Kinneyowi bazę darmo. Następnym pałkarzem jest Kevin Rochefort. Po dwóch nieudanych próbach skróconego odbicia zwiera szyki i nie pozwala miotaczowi na dalsze popisy. Znowu baza darmo. Tarbox w ciągu niecałych trzech zmian wykonał już ponad sześćdziesiąt narzutów.

Roger Fisher też doprowadza do stanu trzy-dwa, a Tarbox zaczyna rzucać coraz słabiej; chyba doszedł do wniosku, że nawet jeśli trafi w pałkarza, nie powinien mu zrobić żadnej krzywdy. Fish nie ma dokąd wędrować; wszystkie bazy zajęte. Tarbox wie o tym i z rozmysłem podejmuje ryzyko. Sądzi, że nawet przy mocniejszej piłce Roger będzie stał nieruchomo, spodziewając się kolejnego bola. Nie. Fisher z miną wygłodniałego wilka odbija między pierwszą a drugą bazę. Iarrobino dobiega do domowej, zdobywając pierwszy punkt dla Bangor.

Następny jest Owen King, ten, od którego zaczęła się gehenna Phila Tarboxa. Trener drużyny Yorku uważa, iż jego pupil tym razem będzie miał jeszcze mniej szczęścia, i decyduje się go zastąpić. Matt Francke wbiega na wzgórek, a Tarbox zajmuje miejsce łapacza. Z rezygnacją i ulgą kuca za bazą domową, by przyjąć kilka próbnych narzutów. Francke nikogo nie bije, lecz nie potrafi też zatamować krwawienia. Gdy kończy się trzecia zmiana, Bangor West, po za-

ledwie dwóch dobrych odbiciach, wychodzi na prowadzenie 5-3.

Piąta zmiana. Powietrze staje się szare od wszechobecnej wilgoci, a transparent z napisem YORK JEDZIE DO BRISTOLU ciężko zwisa pod tablicą wyników. Kibice także są ociężali i wyraźnie zaniepokojeni. York jedzie? „Przecież powinien – mówią twarze kibiców – lecz mamy już piątą zmianę i wciąż przegrywamy dwoma punktami. Boże, jak to się stało, że mecz minął tak szybko?”

Roger Fisher wciąż nieźle rzuca, a pod koniec zmiany wszystko wskazuje na to, że Bangor wbije ostatni gwóźdź w trumnę Yorku. Matt Arnold zalicza pierwszą bazę, gdzie zastępuje go wyznaczony na biegacza Fred Moore. Joe Wilcox po skróconym odbiciu wpuszcza Moore'a na drugą. Iarrobino posyła piłkę daleko w zapole, Moore zdobywa punkt. Na pałkę wchodzi Matt Kinney. Niecelny narzut pozwala Ryanowi przejść na trzecią, Kinney odbija w ziemię, lecz stoper gubi piłkę i Iarrobino dociera do bazy domowej.

Bangor West niepodzielnie włada boiskiem, prowadzi 7-3 i potrzebuje zaledwie trzech autów, by wygrać.

Z początkiem szóstej zmiany Roger Fisher wraca na wzgórek. Wykonał już dziewięćdziesiąt siedem narzutów i jest mocno zmęczony. Widać to zresztą od razu, gdy przy stanie trzy-dwa oddaje bazę darmo wyznaczonemu pałkarzowi Yorku, Timowi Pollackowi. Dave i Neil są zdania, że to wystarczy. Fisher wędruje na drugą bazę, a nowym miotaczem jest Mike Arnold, który zdążył odbyć krótką rozgrzewkę między zmianami. Na ogół spisuje się nieźle na tej pozycji, lecz dziś ma zły dzień. Napięcie, a może rozmiękły grunt na wzgórku powoduje, że rzuca całkiem inaczej. Co prawda Francke zostaje wyautowany z powietrza, lecz potem Bouchard dostaje bazę darmo, Philbrick odbija za dwie, a Pollack, który zdążył już ruszyć na Fisha, zdobywa punkt. Bouchard staje na trzeciej. Punkt Pollacka miałby niewielkie znaczenie, gdyby nie fakt, że biegacze Yorku zajmują drugą i trzecią bazę. Remis wisi w powietrzu. Co więcej, na pałkę wchodzi ktoś, komu bardzo zależy na poprawieniu opinii, gdyż dzięki niemu drużynę Yorku dzieli zaledwie dwa auty od porażki. To oczywiście Phil Tarbox.

Mike doprowadza do stanu jeden-jeden, po czym ciska szybką, gasnącą piłkę

na środek strefy narzutu. Dave Mansfield krzywi twarz i zrozpaczonym ruchem przykłada rękę do czoła, choć Tarbox dopiero zaczyna odbijać. Słysząc ostry trzask towarzyszący najtrudniejszej z baseballowych sztuczek: okrągła pałka trafia w sam środek okrągłej piłki.

Ryan Iarrobino pędzi na skraj zapola, lecz robi to całkiem niepotrzebnie. Piłka szybuje dobre dwadzieścia stóp nad ogrodzeniem, uderza w kamerę i wraca na boisko. Ryan patrzy smutno, jak kibice Yorku szaleją z radości, a zawodnicy zrywają się z ławki, by przy bazie domowej powitać Tarboxa. Chłopak w spektakularny sposób odzyskał ich zaufanie. Home run za trzy punkty. Tarbox nie wbiega, lecz skacze na bazę. Na jego twarzy maluje się uduchowiona satysfakcja. Na ramionach kolegów, z rzadka tylko dotykając nogami ziemi, wraca na ławkę.

Kibice Bangor siedzą w milczeniu, oszołomieni nagłą odmianą losu. Wczoraj, podczas spotkania z Lewistonem, przegrana wisiała w powietrzu; dziś zbliża się olbrzymimi krokami. Mo znów przeszło na stronę przeciwników i niektórzy podejrzewają, że na dobre. Dave i Neil rozmawiają z Arnoldem. Mówią mu, żeby grał dalej, rzucał mocniej, i że na razie jest tylko remis, lecz Mike wciąż wygląda jak kupa nieszczęścia.

Następny pałkarz, Hutchins, odbija kozłem po ziemi w stronę Matta Kinneya i wówczas wyraźnie widać, iż nie tylko Mike jest mocno zdenerwowany. Kinney gubi łatwą piłkę, a Hutchins dobija do bazy. Andy Estes zostaje wyautowany z powietrza przez Rocheforta z trzeciej, lecz Hutchins przechodzi na drugą przy niecelnym narzucie. King wyłapuje odbicie Matta Hoyta; jest trzeci aut i zawodnicy Bangor na razie wychodzą z kłopotów.

W drugiej połowie szóstej zmiany bezskutecznie próbują odzyskać utraconą przewagę. Matt Francke strajkuje jeden-dwa-trzy; wynik nadal brzmi 7-7 i sędzia zarządza dogrywkę.

Mecz z Lewistonem zaczął się przy padającej mżawce, lecz kończył w promieniach słońca. Dziś jest całkiem inaczej. Gdy na początku siódmej zmiany gracze Bangor stają na obronie, niebo robi się coraz ciemniejsze. Dochodzi dopiero szósta po południu, więc mimo wszystko powinno być jasno, lecz na bo-

isko wpełza mgła. Ktoś, kto nie będąc na meczu, znałby jedynie relację telewizyjną, mógłby pomyśleć, że zawiodły kamery; wszystko jest szare, ciężkie i bez wyrazu. Po drugiej stronie boiska mającą pozbawione ciał ręce i głowy kibiców; na zapole Trzaskos, Iarrobino i Arthur Dorr są widoczni jedynie dzięki kolorowym dresom.

Mike właśnie zamierza wykonać pierwszy narzut w siódmej zmianie, gdy Neil trąca łokciem Dave'a i wskazuje na prawą część zapola. Dave natychmiast prosi o czas i biegnie, by sprawdzić, co jest z Dorrem, który zwiesił głowę tak nisko, że trzyma ją niemal między kolanami.

Arthur z niejakim zdziwieniem spogląda na nadbiegającego trenera.

– Wszystko w porządku – odpowiada na nieme pytanie.

– Więc co, u diabła, wyprawiasz? – nie ustępuje Dave.

– Próbuję znaleźć czterolistną koniczynę – mamrocze Arthur.

Dave ze zdumienia lub z rozbawienia zapomina zmyć mu głowę. Radzi po prostu, żeby botaniką zajął się po zakończeniu meczu.

Arthur przez chwilę patrzy na gęstniejącą mgłę, po czym wlepia wzrok w Dave'a.

– Potem będzie zbyt ciemno – mówi.

W końcu dochodzą do zgody, mecz może toczyć się dalej, a Mike Arnold wykonuje niezłą robotę – pewnie dlatego, że trafia na mniej doświadczonych pałkarzy z końca listy. York nie zdobywa żadnego punktu i zawodnicy Bangor, przechodząc do ataku, znów stają przed szansą zwycięstwa.

Prawie im się udaje. Przy dwóch autach i obsadzonych bazach Roger Fisher mocno odbija w prawo, wzdłuż bocznej linii boiska. Jednak Matt Hoyt łapie piłkę i na tym kończy się siódma zmiana.

Z początkiem ósmej Nick Trzaskos z powietrza autuje Philbricka i na pałkę wychodzi Phil Tarbox. Jeszcze nie skończył porachunków z graczami Bangor. Odzyskał pewność siebie; z zawziętą miną patrzy, jak pierwszy narzut Mike'a kończy się strajkiem. W drugiej próbie macha nad zgrabnie podkręconą piłką, która uderza w nagołennik Wilcoxa. Chłopak schodzi na bok, kuca trzymając pałkę między kolanami, i próbuje się skoncentrować. Trener Yorku wyuczył

swych chłopców kilku sposobów medytacji przejętych z Dalekiego Wschodu – Francke postępował podobnie, gdy nie wiodło mu się na wzgórkach. Tarbox, z niewielką pomocą Mike’a Arnolda, udowadnia, że to niezła metoda.

Piłka rzucona przez Arnolda skręca ku górze i leci na wysokości oczu pałkarza, dokładnie tam, gdzie nie chcieli jej widzieć Neil i Dave. Tarbox nie marnuje okazji. Mocnym odbiciem posyła ją na lewą stronę środkowej części zapola, daleko za ogrodzenie. Tu nie ma kamer; szary pocisk niknie wśród drzew, a kibice Yorku skandują radośnie:

– Phil! Phil! Phil!

Tarbox okrążył trzecią bazę, biegnie dalej i wyskakuje wysoko w powietrze. Nie staje na domowej – po prostu wgniata ją w ziemię.

Przez chwilę zanoszą się, że to nie koniec. Hutchins zdobywa pierwszą bazę i po błędzie obrońców przechodzi na drugą. Estes sunie za nim, odbijając w stronę trzeciej, a Rochefort, choć łapie piłkę, niecelnie podaje na drugą. Na szczęście Roger Fisher, wspomagany przez Arthura Dorra, ratuje zespół przed utratą kolejnego punktu, lecz York ma biegaczy na pierwszej i drugiej, przy jednym wyautowanym.

Dave woła Owena Kinga, by zajął miejsce miotacza, a Mike Arnold wędruje na pierwszą. Niecelny narzut pozwala biegaczom przesunąć się na drugą i trzecią. Matt Hoyt odbija po ziemi w stronę Kevina Rocheforta. W przegranym meczu Bangor z Hampdenem Casey Kinney potrafił wrócić do gry po popełnionym błędzie. Rochefort robi to samo w dobrym stylu. Chwyta piłkę, trzyma ją przez chwilę, by się upewnić, że Hutchins nie ruszył w stronę domowej, po czym podaje w poprzek boiska do Mike’a, autując wolno biegnącego Hoyta dwa kroki przed bazą. To kawałek naprawdę dobrego baseballu. Chłopcy odzyskują chęć walki, a King starannie obrabia Ryana Fernalda – tego, który przy dwóch zajętych bazach miał home run w meczu z drużyną z Yarmouth. Miota po rogach, płaskim zamachem ramienia, co wychodzi mu znacznie lepiej niż szybki narzut z góry. Fernald słabo odbija na pierwszą piłkę i pierwsza połowa ósmej zmiany dobiega końca. York prowadzi z Bangor 8-7. Sześć odbić, po których padły punkty dla Yorku, jest dziełem Philipa Tarboxa.

Miotacz Yorku, Matt Francke, jest równie zmęczony jak Fisher, w chwili gdy Dave zdecydował się go zastąpić Arnoldem. Różnica polega na tym, że Dave miał Mike'a Arnolda, a po nim jeszcze Owena Kinga. Trener Yorku nie ma nikogo; Ryan Fernald rzucał w meczu z Yarmouth i dziś jest bez formy, więc Francke musi wytrwać do końca.

Zaczyna całkiem nieźle, strajkując Kinga. Następny jest Arthur Dorr, z jednym udanym odbiciem na cztery wejścia (zaliczył dwie bazy po narzucie Tarboxa). Francke, wyraźnie walczący z osłabieniem, lecz zdeterminowany, by grać dalej, doprowadza do stanu trzy-dwa, po czym rzuca górną piłkę daleko po zewnętrznej. Arthur truchta na pierwszą bazę.

Kolej na Mike'a Arnolda. Na wzgórkach szło mu kiepsko, lecz na wybiciu radzi sobie znacznie lepiej, popisując się precyzyjnym skróconym odbiciem. Nie jest to „poświęcenie”; Mike chciał naprawdę zdobyć bazę i prawie mu się udało. Niestety, piłka nie gaśnie na grząskiej ścieżce między wzgórkami miotacza a miejscem wybicia. Francke chwyta ją, spogląda na drugą bazę, po czym rzuca na pierwszą. Dwa auty, biegacz na drugiej. Jeden aut dzieli zespół Bangor od przegranej.

Następnym pałkarzem jest łapacz, Joe Wilcox. Przy stanie dwa-jeden bije wzdłuż linii wiodącej do pierwszej bazy. Matt Hoyt chwyta piłkę ułamek sekundy za późno; wysuwa rękę o pół stopy za skraj boiska, co nie uchodzi uwagi sędziego. Hoyt, gotów biec na wzgórek i radośnie uściskać miotacza, oddaje piłkę.

Dwa-dwa. Francke schodzi z deski, spogląda w niebo i usiłuje się skoncentrować. Wraca na wzgórek, miota wysoko, ponad strefą narzutu. Joey na oślep macha pałką, jakby w samoobronie. Cudem trafia w piłkę, bije na faul. Francke znów medytuje przez chwilę, rzuca... na zewnątrz. Trzeci bol.

Czas na rozstrzygający rzut. Wygląda na dobry, wysoki strajk kończący całe spotkanie, lecz sędzia ogłasza czwarty bol. Zdziwiony i ucieszony Joe Wilcox biegnie do pierwszej bazy. Dopiero później, po odtworzeniu tej sceny w zwolnionym tempie na telewizyjnym ekranie, każdy może zobaczyć, że sędzia miał całkowitą rację. Joe, tak podniecony, że trzymał pałkę niczym kij golfowy,

w chwili narzutu wspiął się na czubki palców i stąd wszystkim się wydawało, że piłka weszła w strefę strajku. Nieruchomy jak skała sędzia nie zwracał uwagi na nerwowe łamańce Wilcoxa i zachował się jak prawdziwy arbiter pierwszej ligi. Przepisy mówią, że nie wolno zmniejszać strefy narzutu przez niskie pochYLENIE głowy i ramion; tak samo nie wolno jej zwiększać przez wyciąganie szyi. Gdyby Joe nie stanął na palcach, miałby piłkę na wysokości brody, nie piersi. I tak, zamiast trzeciego, finałowego autu, mamy dwóch biegaczy.

Jedna z kamer była nacelowana wprost na Matta Francke'a i zarejestrowała dokładny obraz jego zachowania w chwili narzutu. Matt wypuszcza piłkę zbyt późno, by zaliczyć strajk. Unosi pięść w geście triumfu i skacze w prawo, w stronę ławki. W tej chwili sędzia przesłania obiektyw. Gdy Francke ponownie pojawia się w polu widzenia, na jego twarzy maluje się smutek i niedowierzanie. Nie kwestionuje decyzji – trenerzy wciąż powtarzają, że nie wolno tego robić nawet na meczach eliminacyjnych, a już nigdy, nigdy, przenigdy podczas mistrzostw – lecz z cichym szlochem przygotowuje się do kolejnego narzutu.

Gracze Bangor oddychają z ulgą, a kiedy w polu wybiecia staje Nick Trzaskos, z głośnym okrzykiem zrywają się z ławki. Nick ma nadzieję, że dostanie darmowy przejazd, i tak jest rzeczywiście. Francke puszcza go po pięciu narzutach. Już jedenasty raz w ciągu całego meczu oddaje bazę darmo. Nick biegnie na pierwszą, wszystkie bazy zajęte, na pałkę wchodzi Ryan Iarrobino. Jak on to robi, że zawsze pojawia się w takich sytuacjach? Kibice Bangor z wrzawą podnoszą się z miejsc, zawodnicy zaciskają pięści i z napięciem wpatrują się w kolegę.

- Nie wierzę – mówi jeden z komentatorów telewizyjnych.
- Nie potrafię uwierzyć w scenariusz tego meczu.
- Mam wrażenie, że obie drużyny chcą już jak najszybciej skończyć spotkanie – dodaje drugi.

W chwili gdy padają te słowa, kamera pokazuje napiętą, zmęczoną twarz Matta Francke'a. Jego mina wyraźnie świadczy o tym, że jest inaczej. Czemu nie? Iarrobino dwukrotnie odbił za dwie bazy, dwukrotnie miał bazę darmo i raz został trafiony piłką. Francke rzuca wysoko, na zewnątrz, potem zbyt ni-

sko. To jego sto trzydziesty piąty i sto trzydziesty szósty narzut. Jest wyczerpany. Menedżer Yorku, Chuck Bittner, woła go na krótką rozmowę. Iarrobino czeka na koniec narady, po czym wraca na miejsce.

Matt Francke odchyła głowę i zamyka oczy; przez chwilę wygląda jak pisklę czekające robaka. Potem robi zamach i ciska ostatnią piłkę w ostatnim meczu sezonu Małej Ligi w Maine.

Iarrobino nie zwraca uwagi na medytacje miotacza. Nisko trzyma głowę; patrzy, co robi Francke, i ani na chwilę nie spuszcza oczu z piłki. Narzut jest szybki, niski, mierzony w zewnętrzny róg strefy strajku. Ryan ugina kolana. Pałka świszcze w powietrzu. Suchy trzask uderzenia, piłka szybuje wysoko ponad prawą częścią zapola, a Iarrobino radośnie wyrzuca ręce nad głowę i zaczyna stepować wzdłuż linii wiodącej do pierwszej bazy.

Stojący na wzgórku Matt Francke, który dziś już dwukrotnie był od włos od wygranej, wbija wzrok w ziemię. Dopiero gdy Ryan mija drugą bazę i z wolna zmierza w stronę domowej, dociera do niego, co się stało, i zaczyna płakać.

Kibice wrzeszczą jak opętani; spikerzy są bliscy hysterii; nawet Dave i Neil biegną szaleńczo w stronę bazy, by powitać Ryana. Iarrobino tymczasem mija trzecią, gdzie sędzia wciąż miesza palcem przesiąknięte wilgocią powietrze, sygnalizując home run.

Phil Tarbox zdejmuje maskę i odchodzi, by nie przeszkadzać świętującym. Z gniewu tupie nogą w ziemię. Znika przed kamer i rozgrywek Małej Ligi. W przyszłym roku wystąpi w turnieju Babe'a Rutha i pewnie zagra całkiem dobrze, lecz taki mecz jak dzisiejszy na pewno się nie powtórzy. Dla żadnego z tych chłopców. Spotkanie, jak powiadają, które przechodzi do historii.

Ryan Iarrobino śmieje się, płacze, jedną ręką przytrzymuje kask na głowie, drugą wskazuje bure niebo, skacze w górę, spada na bazę domową, skacze powtórnie i ląduje w ramionach rozradowanych kolegów. Spotkanie skończone; Bangor West wygrywa 11-8. Jest mistrzem Małej Ligi stanu Maine za rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty dziewięć.

Patrzę na trybuny za pierwszą bazą i oglądam niezapomniany widok: rozkołysany las rąk. Rodzice zawodników przechylają się przez drucianą siatkę, by

pozdrowić swych synów.

Wielu płacze. Twarze chłopców wyrażają radosne zdumienie, a ręce – setki rąk – wyciągają się w ich stronę, by dotknąć, pogratulować, przytulić, poczuć.

Gracze Bangor nie zwracają na to uwagi. Czas na uściski i wiwaty przyjdzie później. Najpierw trzeba pożegnać przeciwników. Zawodnicy stają na liniach bocznych i zgodnie z uświęconym ceremoniałem, mijając bazę domową, pozdrawiają się klepieniem w dłonie. Niektórzy są tak zapłakani, że z trudem idą.

Nim drużyna Bangor podbiegnie do siatki, gdzie wciąż kołysze się gąszcz dłoni, chcą mieć chwilę dla siebie i dla trenerów. Wygrali wszyscy – Ryan i Matt, Owen i Arthur, Mike i Roger Fisher, znalazca czterolistnej koniczyny. Cieszą się, a reszta musi poczekać. Dopiero potem pędzą do ogrodzenia, do zapłakanych, uradowanych i wiwatujących rodziców, a świat powoli odzyskuje normalny oddech.

– Jak długo będziemy grali, trenerze? – spytał J.J. Fiddler, patrząc na Neila Watermana po zwycięskim meczu Bangor z Machiasem.

– Póki ktoś nas nie zastopuje, J.J. – odparł Neil.

Stoperem okazał się zespół z Westfield z Massachusetts. Było to piętnastego sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku, w Bristol, w Connecticut, w drugiej rundzie mistrzostw Małej Ligi okręgu wschodniego. Miotaczem Bangor był Matt Kinney, który rozegrał mecz swego życia, strajkując dziewięciu pałkarzy, pięć razy oddając bazę darmo (raz z rozmysłem) i pozwalając jedynie na trzy odbicia. Miotacz Westfield, Tim Laurita, dokonał jednak lepszej sztuki, gdyż tylko raz przegrał z pałkarzem. Tym, który mu nie uległ, był oczywiście Ryan Iarrobino. Wynik ostateczny brzmiał 2-1 dla Westfield. Punkt dla Bangor padł w chwili, gdy King dostał bazę darmo przy pełnej obsadzie. Zwycięstwo Westfield, w podobnej sytuacji, przypieczętował Laurita. Mecz okazał się ciężki i mocno denerwujący, lecz nie tak pamiętny jak spotkanie z Yorkiem.

W świecie wielkiego sportu był to zły rok dla baseballu. Główny kandydat do

Galerii Sławy został dożywotnio zdyskwalifikowany; były miotacz zastrzelił żonę, po czym popełnił samobójstwo; prezes związku zmarł na atak serca; pierwszy mecz World Series, jaki po z górą dwudziestu latach miał być rozegrany w Candlestick Park, został odwołany ze względu na trzęsienie ziemi, które nawiedziło północną Kalifornię. Lecz główna liga to tylko mała część baseballu. W innych miejscach, wśród innych graczy – na przykład w Małej Lidze, gdzie nie ma naganiaczy, zarobków i biletów – ów rok okazał się całkiem udany. Tytuł mistrza okręgu wschodniego wywalczyła drużyna z Trumbull, z Connecticut. Dwudziestego szóstego sierpnia Trumbull pokonało Tajwan w finale światowego czempionatu Małej Ligi. Od osiemdziesiątego trzeciego roku był to pierwszy triumf Amerykanów w tych mistrzostwach i pierwsze od czternastu lat zwycięstwo zespołu wywodzącego się z tego samego rejonu, co drużyna Bangor.

We wrześniu stanowa komisja Amerykańskiej Federacji Baseballu wybrała Dave'a Mansfielda trenerem roku w kategorii amatorów.

TŁUMACZENIE: WITOLD NOWAKOWSKI

Brooklyński sierpień

Jimowi Bishopowi

Na Ebbets Field rośnie trawa
(gdzie władał Alston)
nad rzędem rząd
kiedy oś dnia przechodzi w zmierzch wciąż ich widzę, czuję ciężką, zieloną
woń

świeżo skoszonej trawy:
w gasnącym blasku dnia z prawego zapola
zalany nagle strumieniem światła reflektorów otoczonych wirującymi bata-
lionami chrząszczy z nocnej zmiany.

Na miejscach po siedemdziesiąt pięć centów starcy i taksówkarze, co swo-
ją zmianę już odrobili, z kartonowych kubków piją piwo.

To Flatbush jest tak prawdziwe i aksamitne jak ulice
Harlemu w czerwcu pięćdziesiątego szóstego,
gdy w każdej grającej szafie królował jive.

Ebbets Field rozmyte deszczem i ławki puste, nad rzędem rząd.

Hodges pochylony nad pierwszą, rękawica w przodzie, sięga piłki z trzeciej,
skąd cisnął ją Robinson,

pole wybicia spowite upiornym światłem, co sączy się z nieba piątkowego
zmiernychu

(Musiał trafił od razu, Flatbush przywalił 2).

Newcombe ciężko wlecze się pod prysznic w prysznicu popcornu i nagłów-
ków gazet.

Teraz Carl Erskine próbuje rzucić mocno, ale Johnny Podres oraz Clem La-

bine już się grzeją – może nie wypali? –

(choć, jak wiesz, każdy z nich walnąć tak potrafi).

Na Ebbets Field przychodzą i odchodzą, biorą punkt za punktem, ślą za ciosem cios, ktoś prosi o czas w drugiej połowie piątej zmiany, ktoś z prawej rzuca pusty kubek,

Sandy Amoros gniecie go i bez słowa

wręcza porządkowemu, co zuje Mail Pouch, a z tłumu bezimiennych kibiców ku obu

zespołom lecą brooklyńskie, soczyste wyzwiska.

Na lewo od drugiej bazy Pee Wee Rees zgina kolana,

Campanella daje znak.

Widzę to wszystko przez zamknięte oczy.

Czuję zapach smażonych frankfurterów.

Widzę śmieci na polu o ósmej wieczorem i niebiańskie cienie idącego zmierzchu,

jak płyną nad misą stadionu razem z aniołami.

A Erskine staje, bierze zamach i rzuca nisko w strefie strajku.

TŁUMACZENIE: WITOLD NOWAKOWSKI

Noty

Wkrótce po opublikowaniu *Skeleton Crew*, mego poprzedniego zbioru opowiadań, odbyłem rozmowę z czytelniczką, która mówiła mi o tym, jak bardzo podobała się jej ta książka. Czytała opowiadania po jednym każdego wieczoru przez blisko trzy tygodnie. „Ale noty na końcu książki opuściłam – oświadczyła, patrząc mi bacznie w oczy (podejrzewam, iż spodziewała się, że wybuchnę gniewem na taki afront). – Należę do osób, które nie chcą wiedzieć, w jaki sposób magicy dokonują swych sztuczek”.

Ale ja skinąłem tylko głową i przyznałem jej całkowitą rację, nie chcąc wszczynać długiej, zawiłej rozmowy na ten temat w chwili, gdy czekało mnie jeszcze wiele innych, ważnych spraw do załatwienia. Teraz rano jednak nie muszę niczego załatwiać i pragnę, jak ma zwyczaj mawiać nasz stary kumpel z San Clemente, całkowicie jasno postawić dwie sprawy. Po pierwsze: nie obchodzi mnie, czy będziesz czytał poniższe noty, czy też nie. To twoja książka i jeśli chodzi o mnie, możesz nawet przykrywać sobie nią głowę na wyścigach konnych. Po drugie: nie jestem magikiem, a moje opowiadania nie są sztuczkami.

Nie jest nigdzie powiedziane, iż z pisaniem nie wiąże się magia. Przeciwnie, wierzę najgłębiej, że tkwi w nim ogromna ilość czarów. Cały paradoks polega na tym, że magicy nie robią niczego, co w jakikolwiek sposób łączyłoby się z czarami. Większość z nich wręcz przyznaje się do tego bez najmniejszych oporów. Dokonywane przez nich bezsprzeczne cuda – gołębie wyfruwające z chusteczek do nosa, monety wysypujące się z próżnych dzbanków, jedwabne szarfy materializujące się w pustych dłoniach – biorą się z ciężkiej, wyczerpującej pracy, wieloletniej praktyki, z umiejętnego odwracania uwagi widzów oraz z kuglarskich sztuczek. Ich przemowy na temat „starodawnych sekretów Orien-

tu” i „zapomnianej wiedzy Atlantydy” są wyłącznie gładzeniem. Ogólnie biorąc, uważam, że estradowi czarodzieje mogą się całkowicie identyfikować ze starym dowcipem o przybyszu do Nowego Jorku, który zapytał miejscowego bitnika, jak dostać się do Carnegie Hall. „Ćwicz, człowieku, ćwicz” – odpowiedział bitnik.

To samo dotyczy autorów literackich. Po dwudziestu latach spędzonych na pisaniu popularnej beletrystyki, okrzyknięty przez krytyków literackich mianem pisarzyny (intelektualna definicja słowa „pisarzyna” moim zdaniem brzmi: „Artysta, którego prace doceniane są przez zbyt wiele osób”), zaświadczam wszem i wobec, że opanowanie rzemiosła jest sprawą niebywale istotną, a częste i nudne przerabianie, ponowne przerabianie i znów przerabianie tekstu okazuje się warunkiem niezbędnym do osiągnięcia dobrych wyników i właśnie ta ciężka, monotonna praca jest jedynym ćwiczeniem dla tych z nas, którzy posiadają jakiś tam talent, ale niewiele, lub zgoła wcale, geniuszu.

A jednak jest w tym zajęciu sporo magii, a pojawia się ona w tej samej chwili, gdy w głowie pisarza rodzi się pomysł opowiadania. Zazwyczaj tylko jego fragment, ale bywa, że i całe (w takich razach przypomina to bezpośrednio trafienie taktyczną rakieta jądrową). Niejednokrotnie autor potrafi później odtworzyć okoliczności i miejsce, w których pomysł przyszedł mu do głowy, i wyliczyć elementy, jakie sprawiły, że taki właśnie nawiedził go koncept, ale pomysł sam w sobie jest rzeczą nową i przewyższa sumę elementów składowych. Jest czymś, co powstało z niczego. To, parafrazując Marienne Moore, prawdziwa ropucha w fikcyjnym ogrodzie. Tak więc nie musisz się obawiać, że lektura poniższych not zniweczy całą magię i wyjaśni, na czym polegają triki. W prawdziwej magii nie ma miejsca na triki. Kiedy mowa o magii, jest nią tylko historia powstania utworu.

Możliwe, że lektura notki zepsuje opowiadanie, którego jeszcze nie czytałeś, więc jeśli należysz do tych osób (do tych wstrętnych osób), które czują przymus czytania zakończenia książki przed jej lekturą, jak uparte dziecko, które musi zjeść budyń czekoladowy, zanim zje kotlet, chcę cię z tych stronic wygonić do wszystkich diabłów, chroniąc w ten sposób przed najgorszym przekleństwem:

przed rozczarowaniem. Dla pozostałych czytelników będzie to błyskawiczna podróż, w której zobaczycie, jak to się stało, że niektóre opowiadania zamieszczone w „Marzeniach i koszmarach” w ogóle powstały.

CADILLAC DOLANA

Podejrzewam, że ciąg myśli, który doprowadził mnie do napisania tej historii, jest oczywisty. Posuwałem się w zółwym tempie przez jeden z tych, zdawałoby się niemających końca, odcinków autostrady, na której prowadzono roboty drogowe. Wdychałem kurz, w powietrzu wisiał zapach gorącego asfaltu i spalin, a przed nosem miałem nieustannie tył ciągle tego samego samochodu z nalepką na zderzaku głosząca: HAMUJĘ PRZED ZWIERZĘTAMI. Wydawało się, że jazda trwa prawie dziewięć lat... samochód przede mną był wielkim, zielonym cadillakiem sedanem deVille. Kiedy tak się posuwaliśmy centymetr po centymetrze, mijając wykop, w którym układano olbrzymie rury, pamiętam, że pomyślałem: „Zmieściłby się w nim nawet tak wielki samochód jak ten cadillac”. W chwilę później miałem już gotowy, w pełni rozwinięty pomysł „Cadillaca Dolana” i kiedy pracowałem nad tym opowiadaniem, nie zmieniłem go na jotę.

Nie chcę przez to powiedzieć, że napisanie tej opowieści przyszło mi łatwo; nie, zdecydowanie nie. Nigdy jeszcze nie byłem tak zniechęcony – szczerze mówiąc, załamany – szczegółami technicznymi. Chcę teraz przedstawić to, co *Reader's Digest* określa terminem „osobisty wgląd”: jakkolwiek lubię myśleć o sobie jak o literackim odpowiedniku Jamesa Browna (samozwańczego Najciężej Pracującego Człowieka w Branży Rozrywkowej), jestem odrażająco wręcz leniwym bęcwałem, gdy przychodzi do własnych studiów i dopracowywania szczegółów technicznych. Raz po raz czytelnicy i krytycy nie zostawiają na mnie suchej nitki (najsłuszniej i najbardziej upokarzająco pisuje o mnie w *Chicago Tribune* i magazynie *Fantasy and Science Fiction* Avram Davidson) za niedociągnięcia w tej dziedzinie. Pracując nad „Cadillakiem Dolana”, uświadomiłem sobie, że tym razem nie wolno mi sprawy spartaczyć, gdyż całe opowiadanie zasadza się właśnie na szczegółach naukowych, formułach matematycznych i założe-

niach fizyki.

Gdybym tę niemiłą prawdę uświadomił sobie wcześniej, jeszcze przed napisaniem około piętnastu tysięcy słów opowiadania o Dolanie, Elizabeth i jej Poetycznym mężu, z całą pewnością „Cadillac Dolana” odesłałbym do lamusa, do Departamentu Opowiadań Nieukończonych. Ale nie zorientowałem się w porę, a później już nie chciałem przerywać pisania. Uczyniłem zatem jedyną rzecz, jaka przyszła mi do głowy. Wezwałem na pomoc swego starszego brata.

Dave King jest typem człowieka, którego my, rodowici mieszkańcy Nowej Anglii, określamy mianem „kawału solidnej roboty”, cudownym dzieckiem o IQ przekraczającym sto pięćdziesiąt (odbicie Dave’a znajdziecie w postaci genialnego brata Bow-Wow Fornoja w „Końcu całego bałaganu”), który z prędkością sań raketowych ukończył szkołę, w wieku osiemnastu lat wyższą uczelnię i natychmiast rozpoczął pracę jako wykładowca matematyki na Uniwersytecie Brunswick, gdzie wielu jego studentów, którym wykładał algebrę, było od niego o wiele starszych. Dave jest najmłodszym w historii człowiekiem wybranym w stanie Maine do Rady Miejskiej, a gdy ukończył dwadzieścia pięć lat, został przewodniczącym tej rady. Jest polihistorem, człowiekiem, który zasadniczo zna się po troszę na wszystkim.

Przedstawiłem mu przez telefon swój problem. W tydzień później pocztą nadeszła przesyłka w manilowej kopercie. Otwierałem ją z zamierającym sercem. Byłem pewien, że przysłał mi wszystkie informacje, jakich potrzebowałem, ale byłem też pewien, że nie przydadzą mi się na nic. Pismo mego brata jest absolutnie nie do odczytania.

Ku swej radości w przesyłce znalazłem kasetę wideo. Kiedy wsunąłem ją do magnetowidu i uruchomiłem urządzenie, ujrzałem Dave’a siedzącego przy zawalonym papierami biurku. Za pomocą kilku matchboxów wyjaśnił mi wszystko, co chciałem wiedzieć, łącznie z tym cudownie złowieszczym łukiem spadania. Ponadto brat dodał, że mój protagonista musiałby użyć ciężkiego sprzętu drogowego, żeby pogrzebać cadillaca Dolana (w pierwotnej wersji uczynił to rękami), a następnie dokładnie mi wyjaśnił, jak bez kluczyków uruchamiać poszczególne maszyny, które lokalne Wydziały Dróg i Autostrad mają zwyczaj zo-

stawiać na weekendy w miejscach, gdzie prowadzone są roboty drogowe. Była to szczególnie użyteczna informacja... tak naprawdę, to odrobinę zbyt użyteczna. Pozmieniałem więc szczegóły na tyle, że gdyby ktoś próbował w opisany przeze mnie sposób uruchomić którąś z tych maszyn, to i tak mu się to nie uda.

I jeszcze jedna uwaga dotycząca tej historii. Gdy już ukończyłem jej pisanie, zniechęciłem ją. Po prostu czułem do niej odrazę i dlatego nigdy nie ukazała się drukiem w czasopiśmie. Po prostu wrzuciłem ją do jednego z kartonowych pudeł oznaczonych hasłem „Stary, Zły Fajans”, które trzymam w korytarzyku za moją pracownią. Kilka lat później Herb Yellin, szef wydawnictwa Lord John Press publikującego cudowne utwory w ograniczonym nakładzie, napisał do mnie list z pytaniem, czy nie zechciałbym wydać w stosunkowo niewielkiej liczbie egzemplarzy któregoś z opowiadań; najlepiej dotąd niepublikowanego. Ponieważ uwielbiam jego książki, które są małe, starannie dopracowane i często w najwyższym stopniu ekscentryczne, udałem się do pomieszczenia, które określam mianem „Korytarza Losu”, i zacząłem przetrząsać pudła w poszukiwaniu czegoś, co nadawałoby się do uratowania przed zagładą.

Trafiłem na „Cadillac Dolana” i okazało się, że czas ponownie zrobił swoje. Opowiadanie czytało się znacznie lepiej, niż pamiętałem, a kiedy przesłałem je Herbowi, przyjął je z entuzjazmem. Później dokonałem kilku poprawek i utwór ukazał się w Lord John Press w maleńkim nakładzie pięciuset egzemplarzy. Po kolejnych przeróbkach zdecydowałem się włączyć go do niniejszego zbioru. Zmieniłem o nim zdanie do tego stopnia, że umieściłem go jako pierwszy utwór w tej książce. Nie bawiąc się w szczegółowe wyliczanie, powiem, że tekst ten stanowi oparte na archetypach opowiadanie z gatunku horror, z szalonym narratorem i wyliczeniami, jak dokonać na pustyni przedwczesnego pogrzebu. Lecz tak naprawdę utwór ten nie należy już do mnie; należy do Dave’a Kinga i Herba Yellina. Dzięki, chłopcy.

UDRĘKA MAŁYCH DZIECI

Opowiadanie to napisałem w czasach, gdy tworzyłem większość utworów zamieszczonych w „Nocnej zmianie”, i pierwotnie ukazało się drukiem na łamach

Cavaliera, jak większość opowiadań ze zbioru z siedemdziesiątego ósmego roku. Nie znalazło się w tamtej książce z tego względu, że mój wydawca, Bill Thompson, uznał, iż książka robi się „nieporęczna”. W taki właśnie sposób wydawcy często mówią autorowi, że należy nieco książkę skrócić, gdyż cena zanadto kłuje w oczy. Ja optowałem za usunięciem z „Nocnej zmiany” „Szarej materii”. Bill za „Udręką małych dzieci”. Ustąpiłem, lecz ostatnio przeczytałem uważnie jeszcze raz ten tekst i ostatecznie zdecydowałem się pomieścić go w niniejszym zbiorze. Darzę to opowiadanie dużą sympatią. Ma klimat i przypomina troszeczkę utwory Bradbury’ego z końca lat czterdziestych i początku pięćdziesiątych; sztańskiego Bradbury’ego, który lubował się w dzieciach-zabójcach, wiarołomnych i zdrażliwych, w przedsiębiorcach pogrzebowych oraz opowiadaniach, które polubić mógł jedynie stróż cmentarny. Innymi słowy, „Udręka małych dzieci” stanowi okropny, chory żart niemający żadnych odniesień do sytuacji społecznej. To właśnie w tej historii lubię.

NOCNY LATAWIEC

Czasami któryś z drugoplanowych bohaterów powieści przykuwa uwagę swego twórcy i wcale nie chce go opuścić, dowodząc, że ma do powiedzenia i do zrobienia o wiele więcej. Taką właśnie postacią jest Richard Dees, protagonista „Nocnego Latawca”. Pierwotnie pojawił się w „Strefie śmierci” (1979), gdzie zaproponował Johnny’emu Smithowi, skazanemu przez los bohaterowi tej powieści, pracę w charakterze jasnowidza w paskudnej, sprzedawanej w supermarketach gazecie *Inside View*. Johnny zrzuca go po schodkach werandy domu swego ojca.

I to miało być wszystko, jeśli chodzi o Deesa. A jednak znów się pojawił.

Jak większość moich opowiadań, „Nocny Latawiec” miał stanowić żart – wampir z licencją prywatnego pilota; czyż nie jest to zabawnie nowoczesne? – ale historia rosła, w miarę jak rósł Dees. Rzadko mi się zdarza, bym rozumiał moich bohaterów, podobnie jak nie rozumiem życia i serc ludzi, których spotykam na co dzień. Lecz często można wciągnąć ich w akcję, naszkicować intrygę, podobnie jak kartograf – on czy ona – szkicuje mapy. Gdy podjąłem pracę

nad „Nocnym Latawcem”, Dees zaczął mi się jawić jako jednostka kompletnie wyobcowana, jako ktoś, kto w pewien sposób sumuje w sobie niektóre z pa-skudnych i wstydliwych rzeczy w naszym, podobno otwartym społeczeństwie; zjawiska, które pojawiły się w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat naszego stulecia. Dees jest zasadniczo niedowiarkiem, a konfrontacja z Nocnym Lataw-cem pod koniec opowiadania przypomina mi kwestię, którą włożyłem w usta George’a Seferisa w „Miasteczku Salem” – tę o kolumnie prawdy, która ma w środku dziurę. W ostatnich latach dwudziestego wieku kolumna ta wydaje się aż nazbyt prawdziwa, a „Nocny Latawiec” opowiada przede wszystkim hi-storię człowieka, który tę dziurę odkrywa.

POPSY

Czy dziadek małego chłopca jest tym samym stworzeniem, które kazało Ri-chardowi Deesowi w „Nocnym Latawcu” stworzyć aparat filmowy i prześwie-tlić kliszę? Wiecie, ja myślę, że chyba tak.

TO ŻYJE W NAS

Pierwotną wersję tego opowiadania opublikowałem na początku lat siedem-dziesiątych w magazynie literackim Uniwersytetu w Maine zatytułowanym *Marshroots*. Wersja tu prezentowana całkowicie różni się od tamtej. Pod-czas lektury oryginalnego opowiadania zaczęło do mnie docierać, że ci starcy tak naprawdę stanowią niedobitki z pogromu opisanego w „Sklepiku z marze-niami”. Powieść ta to czarna komedia traktująca o zachłanności i obsesji; opo-wiadanie natomiast mówi znacznie poważniej o tajemnicach i chorobie. Odn-ośzę wrażenie, że pasuje do epilogu tamtej powieści... a poza tym z ogromną ra-dością chciałem po raz ostatni jeszcze trochę poobserwować starych przyjaciół z Castle Rock.

DEDYKACJA

Od lat, od chwili gdy poznałem pewną nieżyjącą już sławną pisarkę, która mnie przeraziła, a której imienia i nazwiska nie chcę wymieniać, nęka mnie problem niektórych niebywale utalentowanych ludzi, jacy w życiu prywatnym

okazują się straszną kupą gnoju; problem obłąpiających kobiety erotomanów, rasistów, zadzierających nosa, szyderczych zarozumiałców, osób płatających innym okrutne figle. Nie twierdzę, że tacy są wszyscy utalentowani i sławni ludzie, ale niestety spotkałem ich zbyt wielu – w tym ową niewątpliwie wybitną pisarkę – żeby nie zastanowić się nad problemem, dlaczego tak jest. Niniejsze opowiadanie stanowić miało, dokonaną dla własnej satysfakcji, próbę odpowiedzi na to pytanie. Odpowiedzi nie znalazłem, ale przynajmniej miałem okazję wyrazić osobisty niepokój i w tym kontekście wydaje mi się to wystarczające.

Nie jest to opowiadanie zbyt polityczne i sądzę, że wielu czytelników – tych, którzy chcą być straszeni przez te same, stare dobre potwory i demony z pałaców grozy w wesołych miasteczkach – bardzo się na to za mnie rozgniewa. Mam zresztą taką nadzieję. Wykonuję swój zawód od dobrych kilku lat, ale cały czas krzepię się myślą, że nie nadeszła jeszcze dla mnie pora na stary, bujany fotel. Opowiadania w „Marzeniach i koszmarach” są w większości utworami, które krytycy zaliczają (i dlatego stanowczo zbyt często je ignorują) do gatunku horror. W ich przekonaniu opowiadania horror stanowią rodzaj złego psa łańcuchowego, który ugryzie, gdy człowiek zanadto się do niego zbliży. Ta historia, moim zdaniem, gryzie. Czy mam za to przeproszać? Naprawdę uważacie, że powinienem? Czyż to przede wszystkim nie dlatego właśnie – dlatego, że chcecie zostać pogryzieni – sięgacie po tę książkę? Ja uważam, że tak. A jeśli myślicie o mnie jak o starym, dobrym wujciu Stefcu, o kimś w rodzaju narratora telewizyjnej „Strefy mroku”, Roda Serlinga końca wieku, postaram się pogryźć was jeszcze dotkliwiej. Innymi słowy chcę, żebyście wkraczając do mego salonu, za każdym razem bali się odrobinę bardziej. Chcę utrzymać was w niepewności co do tego, jak daleko się posunę i co zrobię następnym razem.

Teraz, kiedy już wyjaśniliśmy sobie ten szczegół, pozwólcie mi dodać, że gdybym naprawdę uważał, iż „Dedykacja” wymaga obrony, nigdy nie zdecydowałbym się jej opublikować. Opowiadanie, które nie jest w stanie obronić się samo, nie zasługuje na druk. To Martha Rosewall, skromna sprzątaczką, a nie Peter Jefferies, pisarz wielkiej klasy, wygrywa bitwę i to powinno powiedzieć czytelnikowi lub czytelniczce, po czyjej stronie jest moja sympatia.

A, i jeszcze jedno. Teraz wydaje mi się, że opowiadanie to, wydrukowane pierwotnie w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym, stanowiło pierwszą próbę mej powieści „Dolores Claiborne” (1992).

PALEC

Moim ulubionym typem opowiadania zawsze było takie, gdzie różne rzeczy dzieją się dlatego, że po prostu się dzieją. W powieściach i filmach (z wyjątkiem filmów, w których występują Sylvester Stallone i Arnold Schwarzenegger) czytelnik albo widz ma prawo spodziewać się wyjaśnienia, dlaczego to taka a taka rzecz miała miejsce. Pozwólcie, że coś wam powiem, moi przyjaciele i sąsiedzi. Nie cierpię wyjaśniać, dlaczego coś się dzieje, i dlatego wszelkie moje wysiłki, by w jakikolwiek sposób racjonalnie wszystko umotywować (na przykład nafaszerowanie organizmu LSD i wynikłe stąd zmiany w DNA spowodowały rozwój talentu pirokinetycznego u Charliego McGee w „Firestarter”), dają raczej mierne rezultaty. Ale prawdziwe życie rzadko ma coś wspólnego z tym, co w danym roku producenci filmowi nazywają „warstwą motywacyjną”...

Zauważyliście to? Nic o was nie wiem, ale nikt nie dał mi nigdy instrukcji naprawy. Usiłuję zatem tylko narobić jak najmniej bigosu i wiem, że nigdy z tego z życiem nie ujdę. Staram się zatem po prostu wszystkiego z nadto nie popieprzyć.

Autor opowiadań ma prawo czasami powiedzieć: „Stało się. Ale nie pytaj mnie dlaczego”. Historia nieszczęsnego Howarda Mitli należy do tej właśnie kategorii tekstów i sądzę, że wysiłki naszego bohatera, żeby jakoś uporać się z palcem wyłazającym z otworu odpływowego umywalki w jego łazience, podczas gdy w telewizji nadają teleturniej, stanowią idealną, istotną metaforę tego, jak my sami użeramy się z okropnymi niespodziankami, jakich tak wiele trzyma dla nas w zanadrzu życie: nowotwory, wypadki, od czasu do czasu jakiś koszmarny zbieg okoliczności. To jest właśnie unikalna dziedzina opowiadań fantasy, gdzie na pytanie: „Dlaczego złe rzeczy przytrafiają się dobrym ludziom?” można odpowiedzieć: „Ba... nie pytaj”. W utworze fantasy taka mętna

odpowieź zwykle nas zadowala. Na koniec rodzaj glównej przesłanki moralnej: najlepsze opowiadania tego typu otwierają okno (albo kratkę w konfesjonale) na egzystencjalne aspekty naszego śmiertelnego życia. Nie jest to może *perpetuum mobile*... ale też i nie jest złe.

MAJĄ TU KAPEŁĘ JAK WSZYSCY DIABLI

Pojawiły się w tej książce co najmniej dwa opowiadania o czymś, co bohaterki określają mianem „dziwaczno maleńkiego miasteczka”. To jest właśnie takie opowiadanie; a następne to „Pora deszczowa”. Być może znajdą się czytelnicy, którzy będą uważać, że o raz czy o dwa razy za dużo odwiedziłem „dziwaczno maleńkie miasteczko”, a niektórzy zapewne dostrzegą podobieństwo tych dwóch opowiadań do jeszcze dawniejszego, noszącego tytuł „Dzieci kukuzydzy”. Podobieństwa istnieją, ale czy to znaczy, że „Mamy tu kapełę...” i „Pora deszczowa” są autopowielaniem? To sprawa delikatna i każdy czytelnik czy czytelniczka sam musi dać sobie odpowiedź; ale moja brzmi: nie (to oczywiste, cóż innego mógłbym powiedzieć?).

Wydaje się, że istnieje wielka różnica między tradycyjnymi formami a autopowielaniem. Weźmy na przykład bluesa. Tak naprawdę w bluesie występują dwie konwencje akordowe i w sumie obie są takie same. Więc powiedzcie mi teraz: czy tylko dlatego, że John Lee Hooker gra prawie wszystko, co komponuje, w tonacji E albo A, oznacza, że równo jedzie na autopilocie, robiąc na okrągło dokładnie to samo? Wielu fanów Johna Lee Hookera (nie wspominając już fanów Bo Diddleya, Muddy’ego Watersa, Furry’ego Lewisa i innych wielkich) zdecydowanie by się temu stwierdzeniu sprzeciwiło. „Nie grasz w żadnej tonacji – oświadczyliby ci *aficionados* bluesa. – To ci w duszy gra”.

Tak samo tutaj. Istnieją pewne archetypowe opowiadania gatunku horror, które ciągle tkwią na wielkich, samotnych wzniesieniach na pustyni. Opowiadanie o nawiedzonym domu; opowiadanie o powrocie z za grobu; opowiadanie o dziwaczno-maleńkim-miasteczku. Jeśli się dobrze w taki utwór wniknie, nie traktuje on wcale o tym, o czym traktuje: jest, ogólnie mówiąc, literaturą zakończeń nerwowych i receptorów mięśniowych i w tym sensie traktuje o tym,

co czytelnik czuje. Ja osobiście czułem... impuls do napisania tej historii... Skóra mi cierpnie na myśl o tym, jak wielu rockmanów umarło młodo lub w paśkudnych okolicznościach; to koszmar rzeczoznawców od ubezpieczeń. Dla wielu młodszych fanów tak wysoki poziom śmiertelności ma w sobie ogromny ładunek romantyzmu, ale gdy człowiek, tak jak ja, przetańczy od The Platters do rapowego Ice T, zaczyna dostrzegać ciemniejszą stronę, stronę, w której czai się olbrzymi wąż. To właśnie starałem się w tym opowiadaniu wyrazić, ale nie sądzę, żeby historia ta naprawdę wbiła się w pamięć, powodowała gęsią skórę; może dopiero na ostatnich sześciu czy ośmiu stronach.

URODZI SIĘ W DOMU

To zapewne jedyne opowiadanie w tej książce napisane na zamówienie. John Skipp i Craig Spector (*The Light at the End*, *The Bridge* plus kilka innych dobrych powieści z gatunku splatterpunk) wystąpili z pomysłem stworzenia antologii opowiadań na temat tego, co by było, gdyby zombi z trylogii George'a Romero „Umarli” („Noc żywych trupów”, „Świt umarłych”, „Dzień umarłych”) przejęły władzę nad światem. Pomysł wypalił z mego umysłu niczym raca „rzymskich ogni”, a opowiadanie, którego akcja rozgrywa się na przybrzeżnych wyspach w Maine, jest tego wynikiem.

MÓJ ŚLICZNY KUCYK

Na początku lat osiemdziesiątych Richard Bachman mozolił się nad powieścią zatytułowaną (tak w każdym razie uważam) „Mój śliczny kucyk”. Powieść traktowała o niezależnym płatnym zabójcy, Clivie Banningu, który dostaje zlecenie wynajęcia podobnych sobie psychopatów i zabicia na przyjęciu weselnym pewnej liczby osób, bardzo wysoko postawionych w światku przestępczym. Banning i jego ludzie wykonują zadanie, zamieniając wesele w krwawą łaźnię, a następnie są wyłapywani przez swych mocodawców i po kolei likwidowani. Powieść miała stanowić kronikę wysiłków Banninga próbującego uniknąć skutków kataklizmu, który sam wywołał.

Książka była kawałem źle wykonanej roboty. Pisałem ją w złym okresie życia, które do tamtej chwili układało mi się bardzo pomyślnie; i nagle wszystko

to zaważyło się z donośnym łoskotem. Wtedy też Richard Bachman umarł, zostawiając po sobie dwa fragmenty: prawie ukończoną powieść zatytułowaną *Machine's Way*, pisaną pod pseudonimem George Stark, oraz sześć rozdziałów „Mojego ślicznego kucyka”. Jako literacki wykonawca testamentu Richarda, dokończyłem powieść *Machine's Way* i opublikowałem ją pod własnym nazwiskiem (przyznałem się jednocześnie do Bachmana), opatrując nowym tytułem „Mroczna połowa”. „Mojego ślicznego kucyka” wyrzuciłem do śmieci... z wyjątkiem krótkiego fragmentu, w którym Banning, gdy czeka na rozpoczęcie masakry na weselu, przypomina sobie instrukcje dziadka o plastycznej naturze czasu. Kiedy natknąłem się na ten kawałek – absolutnie cudowne, prawie gotowe opowiadanie – było to jak znalezienie róży rosnącej na wysypisku śmieci. Natychmiast ją zerwałem; uczyniłem to z najwyższą wdzięcznością. Historia ta okazuje się jedną z niewielu dobrych rzeczy, które napisałem w ciągu tamtego naprawdę okropnego dla mnie roku.

„Mój śliczny kucyk” pierwotnie światło dzienne ujrzał w wydaniu zbyt drogiego (i zbyt ozdobnym, moim skromnym zdaniem) opublikowanym przez Whitney Museum. Później ukazał się w formie nieco bardziej dostępnej (choć również zbyt drogiej i zbyt ozdobnej, moim skromnym zdaniem) wydanej przez Alfreda A. Knopfa. I oto wreszcie z radością pomieszczam to opowiadanie tutaj, wygładzone i nieco uproszczone, co z pewnością powinno zostać już zrobione dużo wcześniej. Po prostu kolejne opowiadanko, trochę lepsze niż niektóre, a trochę gorsze od innych.

PRZEPRASZAM, TO NIE POMYŁKA

Czy pamiętacie, jak mniej więcej milion stron wcześniej zaczynałem opowiadać o „Wierzcie w to, lub nie!” Ripleya? „Przepraszam, to nie pomyłka” należy prawie do tej samej kategorii. Pomysł owej „sztuczki telewizyjnej” przyszedł mi do głowy pewnego wieczoru, kiedy wracałem do domu po zakupie pary butów. Koncepcja pojawiła mi się w formie „obrazu”, jak to zawsze bywa w przypadku sztuk telewizyjnych. W ciągu dwóch posiedzeń przelałem pomysł na papier w takiej formie, jaką macie przed sobą. Mój agent z Zachodniego Wybrzeża –

ten, który zajmuje się też filmami – dostał ode mnie utwór pod koniec tygodnia. Na początku następnego czytał go już Steven Spielberg, który zamierzał stworzyć program telewizyjny pod tytułem *Amazing Stories* (do dzisiaj żaden z tych programów nie pojawił się na antenie).

Spielberg odrzucił tekst. „Szukamy do *Amazing Stories* trochę bardziej ożywczych rzeczy” – oświadczył, więc zaniósłem swoją historyjkę do mego długoletniego współpracownika i bardzo bliskiego przyjaciela, Richarda Rubinsteina, który był wówczas producentem innej serii, zatytułowanej *Tales from the Darkside*. Nie powiem, że Richard kręcił nosem na szczęśliwe zakończenia – lubił *happy endy*, podobnie chyba jak każdy – ale nie deprecjonował kompletnie zakończeń tragicznych. To on w końcu zrobił „Smętarz dla zwierzaków” (wydaje mi się, że „Smętarz dla zwierzaków” oraz „Thelma i Lousie” od końca lat siedemdziesiątych były jedynymi wyprodukowanymi w Hollywood wybitnymi filmami, których główny bohater, lub bohaterowie, na końcu umiera).

Richard kupił „Przepraszam, to nie pomyłka” tego samego dnia, gdy utwór przeczytał, a w tydzień czy dwa później skierował go do produkcji. Po miesiącu sztuka pojawiła się na antenie... jako premiera sezonu, jeśli mnie pamięć nie myli. Z tego, co wiem, utwór ten najszybciej przebył drogę od-pomysłu-w-głowie do realizacji-na-ekranie. Niniejsza wersja stanowi wersję pierwotną, nieco dłuższą i bardziej skomplikowaną niż scenariusz, na podstawie którego zrobiono przedstawienie. Widowisko telewizyjne ze względów budżetowych przygotowano w dwóch tylko dekoracjach. Zamieściłem ten utwór w niniejszym zbiorze jako przykład odmiennej formy opowiadania... odmiennej, ale równie ważnej jak inne.

LUDZIE GODZINY DZIESIĄTEJ

Latem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku błądziłem po centrum Bostonu, próbując trafić pod pewien adres, pod który żadną miarą nie umiałem trafić. W końcu odnalazłem to miejsce, ale wcześniej znalazłem tę historię. Wałęsałem się po mieście około godziny dziesiątej rano. Krążąc po ulicach, zauważyłem grupki ludzi gromadzących się przed frontem wszystkich

niebywale wytwornych i drogich biurowców. Skład tych grup pod względem socjologicznym był zupełnie pozbawiony sensu. Widziałem tam stolarzy za pan brat z biznesmenami, dozorców wydmuchujących chmurki tytoniowego dymu w towarzystwie elegancko uczesanych kobiet ubranych w powalające z nóg kreacje, gońców w towarzystwie członków rad nadzorczych.

Przez pół godziny zastanawiałem się nad tymi ludźmi – zbieraniną, o jakiej nie śniło się nawet Kurtowi Vonnegutowi – i w końcu mnie oświeciło. Pewna grupa uzależnionych mieszkańców amerykańskich miast zamienia przerwę w pracy na kawę czy lunch w przerwę na papieroska. W drogich, wytwornych wieżowcach wprowadzono ostatnio kategoryczny zakaz palenia tytoniu; jeden z największych i najbardziej zdumiewających zwrotów, które niezauważalnie nastąpiły w amerykańskim społeczeństwie w dwudziestym wieku. Bez wtóru triumfalnych fanfar porzuciliśmy jedno z naszych najgorszych przyzwyczajzeń. W wyniku tego powstał cały szereg bardzo dziwacznych pod względem socjologicznym zachowań. Ci, którzy nie zmienili starych złych nawyków – tytułowi Ludzie Godziny Dziesiątej – prezentują właśnie jedno z nich. Opowiadanie to ma stanowić jedynie zabawną historyjką, ale żywię też nadzieję, iż powie coś ciekawego o fali zmian, które, przynajmniej na jakiś czas, odtworzyły pewne instytucje istniejące w myśl doktryny *separate-but-equal*³³ w latach czterdziestych i pięćdziesiątych.

DOM NA MAPLE STREET

Czy pamiętacie Richarda Rubinsteina, mego producenta i przyjaciela? To on pierwszy przesłał mi egzemplarz *The Mysteries of Harris Burdick* Chrisa Van Allsburga. Dołączył do tego liścik napisany ostrym charakterem pisma. Notka zawierała tylko kilka słów: „To ci się spodoba”. I faktycznie, więcej nie musiał pisać. Spodobało mi się.

Książka składała się z szeregu rysunków, tytułów i podpisów pod obrazkami wykonanymi przez tytułowego pana Burdicka. Samych opowiadań w książeczce nie było. Każda kombinacja rysunku, tytułu i podpisu stanowiła rodzaj testu Rorschacha, dający zapewne czytelnikowi/obserwatorowi więcej wskazówek

niż to, co zakładał pan Van Allsburg. Jedna z moich ulubionych ilustracji przedstawiała człowieka trzymającego w ręce krzesło – człowiek ten najwyraźniej jest zdecydowany użyć go w charakterze maczugi – i spoglądającego na dziwne i w jakiś sposób organiczne wybrzuszenie, widniejące pod dywanem w salonie. „Minęły dwa tygodnie i oto znów się to wydarzyło” – głosił napis pod ilustracją.

Biorąc pod uwagę moje motywacje, staje się oczywiste, dlaczego ta książka aż tak przyciągnęła moją uwagę. Co się wydarzyło znowu po dwóch tygodniach? Nie sądzę, żeby miało to większe znaczenie. W naszych najgorszych sennych koszmarach istnieją jedynie zaimki mogące wyrazić trapiące nas zmozy, które jeszcze po przebudzeniu potrafią nas dręczyć, sprawiać, że oblewamy się zimnym potem i drżymy ze zgrozy, a zarazem ulgi, że koszmar już się skończył.

Moją żonę, Tabithę, również mocno wzięły *The Mysteries of Harris Burdick*. I to ona właśnie zasugerowała, żeby każdy członek naszej rodziny napisał opowiadanie oparte na którejś z rycin. Napisała; napisał również nasz młodszy syn Owen (wówczas dwunastolatek). Tabby wybrała pierwszy obrazek z książki, Owen któryś ze środka, a ja ostatni. Swoją próbę, za pewnego rodzaju przyzwoleniem Chrisa Van Allsburga, prezentuję tutaj. Nie mam nic więcej do dodania, oprócz może tego, iż kilkakrotnie w ciągu ostatnich trzech czy czterech lat czytałem nieco okrojone fragmenty niniejszego opowiadania czwarto – i piątklastom. Odniosłem wrażenie, że opowiedziana przeze mnie historyjka bardzo się im podoba. Podejrzewam, że naprawdę ujął ich pomysł z wysłaniem Niegodziwego Ojczyrna w Wielką Przestrzeń. Opowiadania nie publikowałem dotąd, głównie ze względu na pogmatwane antecedencje, i cieszę się, że mogę ten utwór zaprezentować teraz. Moim marzeniem jest też przedstawić opowiadania napisane przez moją żonę i syna.

PIĄTA ĆWIARTKA

Znów Bachman. A może George Stark.

OSTATNIA SPRAWA UMNEYA

Pastisz niewątpliwie i dlatego w jakiś sposób podobny do „Sprawy doktora”, ale ten utwór jest troszeczkę ambitniejszy. W gimnazjum, gdy odkryłem książki Raymonda Chandlera i Rossa Macdonalda, bez pamięci zakochałem się w ich autorach (jakkolwiek zauważyłem znaczący, choć trochę niepokojący fakt, że o ile Chandlera ciągle się czyta i dyskutuje o jego twórczości, to wysoko cenione książki Macdonalda o Lewie Archerze poza wąskim kręgiem miłośników *livre noir* są już mniej popularne) i po dziś dzień uważam, iż to język tych powieści tak rozpałił moją wyobraźnię. Teksty te pozwoliły mi w całkowicie odmienny sposób spojrzeć na świat, który niebywale przypadł do serca młodemu, samotnemu człowiekowi, jakim wówczas byłem.

Istniał też styl, tak zabójczo łatwy do naśladowania, co w ciągu ostatnich dwudziestu czy trzydziestu lat odkryło z pół setki powieściopisarzy. Bardzo długo trzymałem się z daleka od chandlerowskiego stylu, ponieważ nie znajdowałem dla niego zastosowania... nie miałem nic do powiedzenia tonem Philipa Marlowe’a.

I pewnego dnia napisałem. „Pisz, co wiesz” – przekazują nam starzy profesowie, referując Sterne’a, Dickensa, Defoe czy Melville’a, co w moim przypadku znaczyło nauczanie, pisanie i grę na gitarze... choć niekoniecznie w tej kolejności. Jeśli chodzi o moją karierę-w-karierze-pisania-o-pisaniu, pamiętam kwestię, jaką wygłosił Chet Atkins w *Austin City Limits*. Po minucie czy dwóch bezowocnych prób nastrojenia gitary popatrzył na widownię i oświadczył: „Zabrało mi dwadzieścia pięć lat, żeby odkryć, że w tym nie jestem dobry, a kiedy już to odkryłem, byłem zbyt bogaty, by z tym skończyć”.

To samo mnie się przytrafiło. Chyba jest moim przeznaczeniem wracanie do dziwnego, małego miasteczka – nieważne, jak się nazywa: Niebo Rock and Rolla w Oregonie; Gatlin w Nebrasce czy Willow w Maine – jak też powroty do tego, co robię. Nieustannie dręczy mnie i ściga pytanie, na które jeszcze nie znalazłem właściwej odpowiedzi: Kim jestem, gdy piszę? Kim ty jesteś? Co się dokładnie dzieje, dlaczego to się dzieje, i czy ma to jakiegokolwiek znaczenie?

Tak zatem, z tymi pytaniami w umyśle, włożyłem na głowę fedorę od Sama Spade’a, zapaliłem lucky strike’a (w tych dniach już tylko metaforycznie) i za-

czałem pisać. Rezultatem mej pracy jest „Ostatnia sprawa Umneya”, moje ulubione opowiadanie w tym zbiorze. To pierwsza publikacja tej historii.

PAŁKA NIŻEJ!

Pierwsze teksty, za które dostawałem pieniądze, dotyczyły sportu (przez jakiś czas stanowiłem całą redakcję sportową tygodnika *Lisbon Enterprise*), lecz to w niczym nie ułatwiło mi pracy. Mój bliski związek z zespołem Bangor West All-Star, gdy ten rozpoczął swą oszałamiającą szarżę w mistrzostwach stanowych, był wynikiem zwykłego zbiegu okoliczności lub też zrzędzenia losu; to zależy od tego, jak potraktować problem istnienia siły wyższej. Ja optuję za teorią siły wyższej, ale tak czy siak, znalazłem się tam dlatego, że w zespole tym grał mój syn. Niemniej szybko sobie uświadomiłem – myślę, że szybciej niż Dave Mansfield, Ron St Pierre czy Neil Waterman – że wydarzy się coś nadzwyczajnego, a w każdym razie będzie próbowało się wydarzyć. Nie chciałem o tym pisać, ale coś we mnie mówiło, że muszę ten temat podjąć...

Mój sposób działania, kiedy już czuję nieprzeparty przymus, żeby coś zrobić, jest brutalnie prosty: pochylam głowę, zakasuję rękawy i robię to najszybciej, jak potrafię. Tak samo było z tym utworem. Jak oszalały gromadziłem nikomu niepotrzebną dokumentację i starałem się jak najwięcej przebywać z drużyną. Przez mniej więcej miesiąc czułem się tak, jakbym wszedł na stronicę jednej z tych staromodnych powieści sportowych, które wielu z nas, kiedy byliśmy chłopcami, czytywało z zapartym tchem w deszczowe popołudnia: *Go Up for Glory*, *Power Forward*, czy historie wybitnych błyskotliwych sportowców, jak *The Kid from Tomkinsville* Johna R. Tunisa.

Z łatwością czy z trudem, nieważne. Napisałem. Esej „Pałka niżej!” okazał się moją życiową okazją i zanim go ukończyłem, Chip McGrath z *The New Yorker*, przymilając się, wycygnął ode mnie najlepsze niebeletrystyczne dziełko, jakie popełniłem w życiu. Chwała mu za to, ale największe podziękowania z mej strony należą się Owenowi i jego drużynie. To oni przede wszystkim sprawili, że ta historia się wydarzyła, a następnie pozwolili mi o niej napisać i utwór ten opublikować.

BROOKLYŃSKI SIERPIEŃ

To dziełko idzie oczywiście w parze z „Pałką niżej!”, ale istnieje inna, ważniejsza przyczyna, dla której zdecydowałem się je zamieścić prawie na samym końcu tej długiej książki. Utworek ten wymknął się z nudnej klatki wątpliwej reputacji jego twórcy i zaczął, już poza mną, prowadzić własny, pogodny żywot. Kilkakrotnie doczekał się wznowień w różnorodnych antologiach basebalowych osobliwości i wybierany był wielokrotnie przez wydawców, którzy skądinąd nie mieli zielonego pojęcia, kim jestem ani co robię. I to mi się naprawdę spodobało.

W porządku; postaw tę książkę na półce i trzymaj się ciepło do naszego kolejnego spotkania. Przeczytaj trochę dobrych książek, a jeśli któreś z twych braci czy sióstr przewróci się w twojej obecności, pomóż jemu czy jej wstać. Ostatecznie, następnym razem być może to ty właśnie będziesz potrzebował pomocnej dłoni... albo, na przykład, pomocy przy pozbyciu się tego wstrętnego palca wyłazącego z rur w łazience.

Bangor, Maine

16 września 1992

Żebrak i diament

UWAGA AUTORA: Tę króciutką historyjkę – w swej oryginalnej formie hinduską przypowieść – po raz pierwszy opowiedział mi pan Surendra Patel z Nowego Jorku. Przerobiłem ją bardzo swobodnie i przepraszam za to wszystkich, którzy znają jej formę oryginalną, gdzie głównymi bohaterami jest Bóg Sziwa i jego małżonka, Parvati.

Pewnego dnia pojawił się przed Bogiem archanioł Uriel z zatroskaną twarzą.

– Co cię trapi? – zapytał Bóg.

– Widziałem coś bardzo smutnego – odpowiedział Uriel i wskazał pod stopy.
– Tam, na dole.

– Na ziemi? – zapytał z uśmiechem Bóg. – Och! Tam smutku nie brakuje! Ale zobaczmy.

Pochylili się. Daleko w dole dostrzegli obszarpaną postać, która wlokła się powoli wiejską drogą na przedmieściach Chandrapuru. Mężczyzna był bardzo chudy, a nogi i ręce pokrywały mu rany. Nieustannie goniły go z ujadaniem psy, ale człowiek ani razu się nie odwrócił w ich stronę, żeby odgonić je kijem; nawet wtedy, gdy chwytały go już za pięty. Po prostu włókł się przed siebie, wspierając się głównie na prawej nodze. W pewnym miejscu z dużego domu wybiegła gromadka ślicznych, dobrze odżywionych dzieci. Na ich twarzach malowały się wstrętne uśmiechy. Kiedy obdarty mężczyzna wyciągnął w ich stronę pustą, żebraczą misę, zaczęły ciskać w niego kamieniami.

– Idź stąd, paskudniku! – zawołało jedno z dzieci. – Idź stąd na pola i tam sobie umieraj!

W tym momencie archanioł Uriel zapłakał.

– Dobrze, dobrze – powiedział Bóg i poklepał go po ramieniu. – Myślałem, że jesteś twardszy.

– Bez wątpienia – odparł Uriel, wycierając oczy. – Ale ten człowiek na dole uosabia wszystkie nieszczęścia, jakie spadły na synów i córę ziemi.

– Oczywiście, że tak – powiedział Bóg. – To jest Ramu i na tym właśnie polega jego rola. Kiedy umrze, ktoś inny przejmie po nim to zadanie. To bardzo zaszczytne zajęcie.

– Być może – przyznał Uriel, zasłaniając ramieniem twarz.

– Ale nie mogę znieść tego widoku. Jego cierpienie wypełnia mi serce mrokiem.

– Tutaj mrok jest niedozwolony – odparł Bóg – zatem muszę przedsięwziąć stosowne środki i zmienić to, co spowodowało na ciebie ten mrok. Popatrz, mój miły archaniele.

Uriel popatrzył na Boga i ujrzał, że ten trzyma w dłoni diament wielkości pawiego jaja.

– Kamień tak czysty i tej wielkości zapewni mu pożywienie do końca życia; jemu i jeszcze siedmiu pokoleniom jego potomków – zauważył Bóg. – Tak naprawdę, będzie to najpiękniejszy klejnot na ziemi. A teraz... popatrzmy...

Opadł na czworaka, wyciągnął rękę z diamentem, wsunął dłoń między dwie niewielkie chmurki i rzucił klejnot na dół. Razem z Urielem bacznie obserwowali lot kamienia, patrzyli, jak spada na środek drogi, którą szedł Ramu.

Diament był tak duży i ciężki, że Ramu, gdyby tylko był młodszym człowiekiem, niewątpliwie usłyszałby, że klejnot uderza w ziemię. Ale w ostatnich latach słuch bardzo mu stępsiał, podobnie jak odmawiać mu zaczynały posłuszeństwa płuca, krzyż i nerki. Tylko wzrok miał ciągle bystry jak w czasach młodości, gdy liczył sobie dwadzieścia jeden lat.

Wlókł się drogą, pokonując niewielkie wzniesienie, nieświadom tego, że po drugiej stronie pagórka leży połyskliwy, lśniący w promieniach słońca diament. Ramu ciężko westchnął... po czym przystanął, pochylił się wsparty na kiju, a jego westchnienie przeszło w kaszel. Stał, opierając się obiema rękami na kosturze, i czekał, aż atak minie. Kiedy kaszel prawie się uspokajał, kij – stary, su-

chy i prawie tak samo zużyty jak Ramu – pękł z głośnym trzaskiem, a Ramu upadł na pokrytą kurzem drogę.

Leżał, spoglądając w niebo i zastanawiał się, dlaczego Bóg jest tak okrutny. „Przeżyłem wszystkich, których kochałem – myślał – ale nie tych, których nienawidzę. Stałem się tak stary i brzydki, że obszczekują mnie psy, a dzieci rzucają we mnie kamieniami. Od trzech miesięcy żywię się najędźniejszymi ochłapami, a od dziesięciu lat, albo i więcej, nie jadłem przyzwoitego posiłku w otoczeniu rodziny i przyjaciół. Jestem włóczęgą depczącym oblicze ziemi, bez domu, który mógłbym nazwać swoim. Tej nocy będę spał pod drzewem albo pod żywopłotem, bez dachu nad głową, który zapewniłby mi ochronę przed deszczem. Ciało mam pokryte ranami, bolą mnie plecy, a kiedy przekraczam wodę, widzę krew tam, gdzie nie powinno jej być. Moje serce jest puste jak ta żebracza miska”.

Ramu powoli dźwignął się z ziemi i znów popatrzył w niebo, nieświadom tego, że niecałe dwadzieścia metrów przed nim, po drugiej stronie suchego pagórka leży skryty jeszcze przed jego bystrym wzrokiem największy diament na świecie.

– Boże, jestem nieszczęśliwy – powiedział. – Nie nienawidzę Cię, ale się obawiam, że nie jesteś przyjacielem ani moim, ani żadnego człowieka.

Powiedziawszy to, poczuł się trochę lepiej i podjął wędrówkę. Na chwilę tylko pochylił się i podniósł z ziemi dłuższy kawałek złamanego kija. Idąc, wymawiał sobie owo rozżalenie się nad sobą i niewdzięczną modlitwę.

„Bo przecież istnieje kilka rzeczy, za które powinienem być wdzięczny – rozumował. – Dzień jest wyjątkowo piękny, to raz, i jakkolwiek ciało pod wieloma względami mnie zawodzi, to przynajmniej zachowałem ostry wzrok. Pomyśl, jakie by to było okropne, gdybyś oślepnął”.

Żeby udowodnić samemu sobie, jak okropna byłaby ślepotą, Ramu zacisnął powieki i szedł, macając przed sobą drogę ułomkiem kija; jak robią to ślepcy za pomocą laski. Ciemność okazała się straszliwa, zapierająca w piersi dech, zupełnie odbierała wyczucie kierunku. Wkrótce Ramu nie wiedział, czy posuwa się jeszcze środkiem drogi, czy też znalazł się już na jednym z jej skrajów i lada

chwila wpadnie do przydrożnego rowu. Sama myśl o tym, co taki upadek znaczyłby dla jego starych, kruchych kości, budziła w nim dreszcz przerażenia. Mimo to nie otwierał oczu i szedł dalej na ślepo.

– To cię oduczy niewdzięczności, staruszkule – mruknął do siebie. – Do końca swych dni zapamiętasz, że może i jesteś żebrakiem, ale przynajmniej nie ślepym żebrakiem, i będziesz z tego czerpał radość.

Ramu nie wpadł do przydrożnego rowu ani po lewej, ani po prawej stronie traktu. Zboczył jedynie trochę na prawo, dotarł na szczyt wzniesienia i zaczął schodzić łagodnym stokiem, mijając olbrzymi diament, który, lśniąc, spoczywał w pyłe drogi. Lewa stopa Ramu była już o niecałe pięć centymetrów od klejnotu.

Przeszedłszy jeszcze trzydzieści metrów, Ramu rozchylił powieki. Oczy zalało mu jaskrawe, słoneczne światło; zdawało się, że światłość zalewa również jego umysł. Popatrzył z zadowoleniem po przymglonym leciutko, niebieskim niebie, po zakurzonych żółtych polach, po srebrzystej wstędze ubitej drogi. Na widok przelatującego z drzewa na drzewo ptaka roześmiał się i jakkolwiek nie obejrzał się za siebie i nie zobaczył wielkiego diamentu leżącego nieopodal za jego plecami, zapomniał o ranach i bolących plecach.

– Dzięki ci, Boże, za wzrok! – wykrzyknął. – Dziękuję ci przynajmniej za to! Może zobaczę na drodze coś wartościowego; starą butelkę, którą sprzedam na bazarze, a może jakiś pieniążek. Ale jeśli nawet niczego nie znajdę, pozostanie mi wzrok. Dzięki ci, Boże, za oczy! Na Boga, dzięki ci, Boże!

I zadowolony ruszył przed siebie, zostawiając za plecami diament. Wtedy Bóg wyciągnął rękę po klejnot i z powrotem umieścił go w zboczach góry w Afryce, skąd był go uprzednio zabrał. I prawie natychmiast, tknięty nową myślą (jeśli można o Bogu powiedzieć, że tknęła go nowa myśl), ułamał z rosnącego na veldzie drzewa solidny kij i zrzucił go na drogę Chandrapur, podobnie jak poprzednio zrzucił diament.

– Różnica polega na tym – powiedział Bóg do Uriela – że nasz przyjaciel Ramu znajdzie ten kij, który do końca życia służyć mu będzie za laskę.

Uriel popatrzył niepewnie na Boga (choć był archaniołem, popatrzył tak

samo niepewnie jak każdy, kto popatrzyłby w to płomienne oblicze).

– Czy dałeś mi lekcję, Panie?

– Nie wiem – odparł dobrotliwie Bóg. – Może?



- ¹ Chicana – Amerykanka meksykańskiego pochodzenia. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).
- ² Najstarsza honorowa korporacja studencka w Stanach Zjednoczonych założona w 1776 roku.
- ³ Lucy i Charlie Brown to postacie z popularnego komiksu *Peanuts*. Ona jest okropną babą, a on sympatycznym niezdara. Lucy nieustannie podaje mu do kopnięcia piłkę, po czym w ostatniej chwili ją zabiera.
- ⁴ Jay Gould (1836–1892) – amerykański kapitalista, rekin finansowy i potentat w dziedzinie kolejnictwa.
- ⁵ Popularna telewizyjna opera mydlana.
- ⁶ Instrument Landing System – system automatycznego lądowania.
- ⁷ Rodzaj meksykańskiego zawijanego naleśnika wypełnionego mięsem, serem, pieprzem i podawanego w bardzo ostrym sosie.
- ⁸ Stalowa Panna – średniowieczne narzędzie tortur w kształcie baby, wewnątrz nabijane żelaznymi szpikulcami, które przebijały umieszczonego w środku skazańca.
- ⁹ *Juilliard School of Music* – słynna koedukacyjna uczelnia na Manhattanie założona w 1926 roku.
- ¹⁰ W oryg. *Weird sister* – aluzja do „Makbeta”, w którym Szekspir tak właśnie określa czarownicę.
- ¹¹ Pierwsza flaga Konfederacji w czasie wojny secesyjnej. Widniały na niej dwa czerwone, poziome pasy, między nimi biały i niebieski kwadrat z ułożonymi kółkami siedmioma białymi gwiazdami.
- ¹² Bogacz, właściciel Trump Tower.
- ¹³ Amerykańska grupa stosująca tricki z przyśpieszaniem ścieżki wokalne.
- ¹⁴ Współczesny amerykański ilustrator, najbardziej znany z projektowania okładek czasopism i magazynów.
- ¹⁵ W oryg.: *Magical Mystery Tour*. Aluzja do słynnej płyty i filmu Beatlesów pod tym właśnie

tytułem.

¹⁶ Wykonawca rythmandbluesowy.

¹⁷ Dosłownie: Królowa Piękności Jabłka Nowego Jorku. W slangu amerykańskim Nowy Jork nosi nazwę *Big Apple* – Wielkie Jabłko.

¹⁸ Centralne biuro rezerwacji biletów w Stanach Zjednoczonych.

¹⁹ *North American Air Defense Command* – Północnoamerykańskie Dowództwo Ochrony Powietrznej.

²⁰ Drugi stopień zagrożenia. Decyzja o jego ogłoszeniu jest podejmowana w porozumieniu z prezydentem.

²¹ W oryg.: *Wormwood*. Źródłosłów kojarzy to pojęcie ze słowem „robak”, a także z czymś niesłychanie gorzkim i odrażającym. Gwiazda Piołun wymieniona jest również w „Apokalipsie” świętego Jana.

²² Dosł.: „Albo dobrze nas potraktujesz, albo zrobimy ci zdrowego psikusa”. Formułka, jaką wypowiadają dzieci domagające się słodyczy w wieczór Halloween.

²³ Potoczna nazwa Nowego Jorku

²⁴ W oryg.: *Pavlov's Thumbscrews*. Było to średniowieczne narzędzie tortur, służące do ściskania kciuków skazanego.

²⁵ Przewodniczący Senackiej Komisji do spraw Zagranicznych. Senator z Południa.

²⁶ W oryg.: *The Boston Bals*. Gra słów. *Bals* znaczy zarówno „nietoperze” jak „kije baseballowe”.

²⁷ *Crouch* oznacza również chorobę zwaną dławiec (błonica krtani), a *end* m.in. zgon, śmierć.

²⁸ Potoczne określenie pracownika serwisu General Motors.

²⁹ W. Raymond Chandler: „Siostrzyczka”. Warszawa, Iskry 1983. Tłum.: Piotr Kamiński.

³⁰ *Black Friday*. Załamanie się giełdy papierów wartościowych w 1929 roku.

³¹ Gra słów. W oryg.: *City of Lost Angeles*.

³² *Okie* – najemny robotnik rolny, pierwotnie z Oklahomy. W latach trzydziestych, w czasie Wielkiego Kryzysu wędrował po Ameryce w poszukiwaniu pracy.

³³ Dosł.: oddzielnie, lecz równo. Doktryna polityczna segregacji rasowej Murzynów i białych w dziedzinie edukacji, zatrudnienia czy korzystania z transportu publicznego przy jednoczesnym tworzeniu pewnych pozornie tylko dostępnych dla wszystkich instytucji.